

Strona Guermantes





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MARCEL PROUST

Strona Guermañtes

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Strona Guermañtes

CZĘŚĆ PIERWSZA, TOM PIERWSZY

Ranny szczebiot ptaków niecierpliwł Franciszkę. Lada odezwanie się którejś z „młodszych” podrzucało ją; podrażniona każdym ich krokiem, zadawała sobie pytanie, co one mogą robić? A wszystko stąd, żeśmy się przeprowadzili. Zapewne, na poddaszu dawnego mieszkania służba hałasowała nie mniej niż tutaj; ale Franciszka знаła wszystkich, krzątania ta stała się jej czymś przyjaznym. Teraz nawet cisza była przedmiotem jej bolesnej uwagi. Że zaś spokój nowej dzielnicy zdawał się przeciwieństwem hałaśliwego bulwaru, przy którym mieszkaliśmy dotąd, piosenka jakiegoś przechodnia — dochodząca z odłali niby motyw orkiestry — sprowadzała lzy do oczu Franciszki-wygnanki. Żartowałem z niej sobie, kiedy, zrozpaczona, że musi opuścić kamienicę, gdzie „każdy człowieka tak szanował”, pakowała rzeczy, płacząc wedle rytuału Combray i głosząc, że dom, gdzie mieszkaliśmy dotąd, miłszy był od wszystkich możebnych domów. Ale teraz, kiedy widział, iż kamienica, gdzie nieznający nas jeszcze odźwierny nie okazał Franciszce szacunku niezbędnego dla jej duchowego zdrowia, pograżyła ją w stanie bliskim uwiędu, ja, który równie łatwo przyswajałem sobie rzeczy nowe, jak porzucałem stare, zbliżyłem się do naszej starej służącej. Ona jedna mogła mnie zrozumieć; to pewne, że nie byłby do tego zdolny młody lokajczyk (osobnik niemający nic z „ducha Combray”); dla niego przeprowadzka, mieszkanie w innej dzielnicy, to było coś jak wakacje; nowość otaczających rzeczy działała nań orzeźwiająco jak podróż; miał wrażenie, że jest na wsi; katar, jakiego się nabawił, dał mu — niby „zawianie” nabyte w wagonie, gdzie się szyba nie domyka — rozkoszne uczucie, że zwiedził kawał świata; za każdym kichnięciem cieszył się, iż znalazł takie „galante miejsce”, ile że zawsze marzył o państwie, „które by dużo podróżowało”. Toteż nie zwracając na niego uwagi, podszedłem wprost do Franciszki; ale ponieważ śmiałem się z jej łez przy wyprowadzaniu się, które mi było obojętne, ona teraz okazywała się lodowata wobec mego smutku — bo go podzielała. Wraz z rzekomą wrażliwością nerwowców rośnie ich egoizm; nie mogą znieść u innych osób przejawów cierpienia, na które u siebie samych zwracają coraz więcej uwagi. Franciszka, która nie przepuściła żadnej własnej dolegliwości, odwracała głowę, kiedy ja cierpiałem; chciała mnie pozbawić tej przyjemności, że moje cierpienie spotkało się ze współczuciem, że je bodaj zauważono. Tak samo robiła, kiedy z nią chciałem mówić o nowym domu. Zresztą, zmuszona trzeciego dnia iść po jakieś rzeczy zapomniane na dawnym mieszkaniu, gdy ja w następstwie przeprowadzki miałem jeszcze „parę kresek” i podobny wężowi boa po pożarciu wołu, czułem się przykro wzdęty długim kredensem, który mój wzrok musiał „strawić”, Franciszka z kobiecą niewiernością oświadczyła za powrotem, iż myślała, że się udusi na naszym dawnym bulwarze; że idąc tam, czuła się całkiem „jak zbłąkana”; że nigdy nie widziała tak niewygodnych schodów; że nie wróciłaby tam mieszkać „ani za cysarstwo” i choćby jej — dowolna hipoteza — dawano miliony; że wszystko (to znaczy w zakresie kuchni i korytarzy) jest o wiele lepiej urządzone w naszym nowym domu.

Ale czas powiedzieć, że ten lokal mieścił się w skrzydle pałacu Guermantes — a przenieśliśmy się tam, ponieważ babka, mając się niezbyt dobrze, potrzebowała więcej powietrza. Ale tegośmy babce nie mówili.

W pewnym wieku Nazwy — nastręczając nam obraz Niepoznawalnego, któryśmy w nich pomieścili, podczas gdy równocześnie oznaczają dla nas i realne miejsce — zmuszają nas tym samym do zidentyfikowania z sobą obu tych pojęć; tak iż śpieszymy szukać w jakimś mieście duszy, której ono nie może zawierać, ale której nie mamy już mocy wygnać z jego nazwy. Dają one indywidualność nie tylko miastom i rzekom, jak to czynią alegoryczne malowidła; nie tylko pstrzą różnicami, zaludniają cudownością świat fizyczny, ale i świat socjalny; wówczas każdy zamek, każde sławne domostwo lub pałac ma swoją damę lub wróżkę, jak lasy mają swoje duchy, a wody bóstwa. Czasami, ukryta w głębi swego imienia, wróżka zmienia się wedle życia naszej wyobraźni, która ją karmi; w ten właśnie sposób atmosfera, gdzie pani de Guermantes istniała we mnie, będąc przez całe lata jedynie odbłaskiem szkiełka latarni magicznej i kościelnego witrażu, zaczynała blednąć, kiedy całkiem inne marzenia nasyciły ją pienistą wilgocią strumieni.

Jednakże wróżka ginie, kiedy się zbliżamy do rzeczywistej osoby, której odpowiada jej imię; wówczas bowiem imię zaczyna odbijać tę osobę, niezawierającą nic z wróżki; wróżka

może się odrodzić, kiedy się oddalimy od osoby; ale jeżeli znajdujemy się w jej pobliżu, wróżka umiera ostatecznie, a wraz z nią imię, jak owa rodzina de Lusignan, mająca wygasnąć w dniu, w którym znikłaby wróżka Meluzyna¹. Wówczas nazwisko, w którym pod kolejnymi warstwami przemalowań moglibyśmy w końcu odkryć piękny portret obcej kobiety, której nie znaliśmy nigdy, jest już tylko prostą fotografią z paszportu, do której sięgamy myślą, aby sprawdzić, czy mamy się ukłonić przechodzącej osobie. Ale niech wrażenie sprzed lat — niby owe płyty muzyczne, zachowujące ton i styl rozmaitych artystów — pozwoli naszej pamięci usłyszeć to nazwisko wraz z osobliwym dźwiękiem, jaki miało wówczas dla naszego ucha, to nazwisko na pozór niezmienione — a uczujemy odległość dzielącą od siebie rojenia zawarte dla nas kolejno w jego identycznych zgłoskach. Z usłyszanego znów świergotu, jakim brzmiało to nazwisko którejś dawnej wiosny, możemy na chwilę wycisnąć — niby z tubek z farbami — dokładny, zapomniany, tajemniczy i świeży odcień owych dni; ludziliśmy się natomiast, że je sobie przypominamy, kiedy, jak lichy malarz, dawaliśmy całej naszej przeszłości, pomieszczonej na tym samym płótnie konwencjonalne i jednakie tony świadomej pamięci. Otóż, przeciwnie, każda z chwil składających przeszłość używała dla swojej oryginalnej kreacji, w swojej jedynej harmonii, ówczesnych farb, których już nie znamy i które na przykład czarują mnie jeszcze nagle, jeżeli dzięki jakiemuś przypadkowi nazwisko „Guermantes”, odzyskawszy na chwilę po tylu latach dźwięk — tak różny od dzisiejszego — jaki miało dla mnie w dniu ślubu panny Percepied, odda mi ów kolor lila, tak słodki, zbyt błyszczący, zbyt nowy, jakim aksamitniał suty fontaż² młodej księżnej, oraz oczy rozslonecznione błękitnym uśmiechem niby świeżo zakwitły a niedosiężny barwinek. Ówczesne nazwisko „Guermantes” jest także niby dziecinny balonik, napęczniony tlenem lub innym gazem; kiedy go zdołam przebić, uwolnić jego zawartość, oddycham powietrzem Combray z owego roku, z owego dnia — powietrzem zmieszonym z zapachem głogów niesionym przez wiatr. Wiatr ten, zwiastun deszczu, to spędzał słońce, to pozwalał mi się kłaść na czerwonym kobiercu w zakrystii, strojąc go w błyszczące, niemal różowe tony geranii, oraz w tę, aby tak rzec, wagnerowską³ radosną słodycz, zachowującą w swojej odświeżności coś tak szlachetnego. Ale nawet poza tymi rzadkimi minutami, kiedy nagle czujemy, jak pierwotna istność drży i odzyskuje swój kształt i rysunek w łonie umarłych dziś sylab, o ile w zawrotnym wirze bieżącego życia, w którym nazwiska mają zastosowanie już wyłącznie praktyczne, straciły one wszelki kolor, jak wielobarwny bąk, który kręcąc się zbyt szybko, wydaje się szary, w zamian za to, kiedy w chwilach zadumy zastanawiamy się nad tym, staramy się — wracając w przeszłość zwolnić, zahamować ciągły ruch, który nas porywa. I wówczas widzimy znów stopniowo sąsiadujące z sobą, ale zupełnie odrębne od siebie wzajem, różne barwy, jakie w ciągu naszego istnienia przybierało dla nas kolejno to samo nazwisko.

Bez wątpienia, nie wiem, co za kształt łączył się dla moich oczu z nazwiskiem „Guermantes”, kiedy piastunka — nie wiedząc z pewnością, jak i ja dzisiaj, ku czyjej czi tę piosnkę ułożono — kołysała mnie starą melodią: *Chwała margrabinie de Guermantes*; lub kiedy w kilka lat później stary marszałek de Guermantes, przejmując dumą moją bonę, zatrzymywał się na Polach Elizejskich⁴, powiadając: „Ładne dziecko!”, i wyjmował z małej bombonierki czekoladową pastylkę. Te lata pierwszego dzieciństwa nie są już we mnie, są poza mną; jeżeli mogę o nich coś wiedzieć, to chyba z opowiadań starszych, jak o tym, co się działo przed naszym urodzeniem. Ale później w trwaniu we mnie tego nazwiska odnajduję kolejno siedem czy osiem różnych twarzy; pierwsze były najładniejsze; stopniowo moje marzenie, zmuszone przez rzeczywistość do opuszczenia straconej pozycji, cofało się znów trochę wstecz, zanim mu trzeba było cofnąć się jeszcze. I równocześnie z panią de Guermantes zmieniała się jej siedziba, poczęta również z tego nazwiska, zapładnianego z roku na rok jakimś zasłyszonym słowem odnawiającym moje marzenia, siedziba ta odbijała owe marzenia w samych swoich kamieniach, nabierających

¹Meluzyna — postać z podań i legend francuskich, kobieta z węzowym lub rybim ogonem, czarodziejka; miał od niej pochodzić potężny średniowieczny ród Lusignan, z którego pochodzili królowie Jerozolimy i Cypru, wygasły w XV w. [przypis edytorski]

²fontaż — ozdoba fryzury kobiecej z koronek i wstążek upiętych wysoko nad czołem. [przypis edytorski]

³wagnerowski — taki jak u Richarda Wagnera (1813–1883), niemieckiego kompozytora. [przypis edytorski]

⁴Polca Elizejskie — reprezentacyjna aleja w Paryżu, łącząca plac Zgody z placem De Gaulle’a (dawniej plac Gwiazdy), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

własności zwierciadła, niby powierzchnia chmury lub jeziora. Bezcielesna baszta, która była jedynie smugą pomarańczowego światła, a z której wyżyn pan zamku oraz jego małżonka rozstrzygali o życiu i śmierci wasalów, ustąpiła miejsca — na samym krańcu owej „strony Guermantes”, gdzie tyle razy w piękne popołudnie szedłem wraz z rodzicami brzegiem Vivonne — ustąpiła miejsca okolicy obfitej w strumienie, gdzie księżna uczyła mnie łowić pstrągi i poznawać kwiaty o fioletowych i czerwonych kiściach, strojące niskie mury dookólnych zagród; potem były to dziedziczne dobra, poetyczna rezydencja, gdzie dumna rasa Guermantów, niby poźółkła i zdobna kwiatami wieża, która przetrwała wieki, wznosiła się już nad Francją, wówczas gdy niebo było jeszcze puste, tam gdzie miały się później wznieść Notre Dame de Paris i Notre-Dame de Chartres⁵, wówczas kiedy na szczycie wzgórza Laon nawa katedry nie osiadła niby arka potopu na szczycie góry Ararat, pełna Patriarchów i Sprawiedliwych, trwożnie wychylających się z okien dla sprawdzenia, czy gniew boży się uśmierzył, niosąca z sobą odmiany roślin mających się rozmnożyć na ziemi, kipiąca zwierzętami wydzierającymi się nawet przez wieże, skąd woły, przechadzające się spokojnie na dachu, patrzą z góry na równiny Szampanii; wówczas kiedy podróżny opuszczający o schyłku dnia Beauvais nie widział jeszcze na zakręcie idących za nim czarnych i rozgałęzionych skrzydeł katedry, rozwiniętych na złotym ekranie zachodu.

Było owo Guermantes niby tło romansu, urojony krajobraz, który z trudem sobie mogłem wyobrazić, a który tym żarliwiej pragnąłem odkryć, wciśnięte między rzeczywiste ziemie i drogi; naraz, o dwie mile od dworca, jak gdyby nasycone właściwościami heraldycznymi; przypominałem sobie nazwy sąsiednich miejscowości, tak jakby się znajdowały u stóp Parnasu lub Helikonu⁶; i zdawały mi się one czymś szacownym jako materialne i topograficzne warunki ziszczenia się tajemniczego zjawiska. Oglądałem znów na ścianie pod witrażami w Combray malowane herby, których tarcze wypełniały się z wieku na wiek wszystkimi dziedzictwami, jakie w drodze małżeństwa lub kupna ten znamienity dom ściągnął ku sobie ze wszystkich kątów Niemiec, Włoch i Francji; olbrzymie ziemie Północy, potężne grody Południa łączące się i składające się na Guermantes i z zaturą swojej materialności wypisujące alegorycznie swoje zielone baszty lub srebrne zamki na lazurowym polu. Słyszałem o sławnych kobiercach w Guermantes i widziałem je, średniowieczne i błękitne, nieco grube, odcinające się na kształt chmury na amarantowym i legendarnym nazwisku, u stóp starożytnego lasu, gdzie tak często polował Childebert⁷; i miałem uczucie, że oszczędzając sobie podróży, wnikałbym w tajemnice owej ziemi, w ową dal wieków, zbliżając się na chwilę w Paryżu do pani de Guermantes, kasztelanki zamku i pani jeziora, tak jakby jej twarz i jej słowa mogły posiadać swoisty czar gąszczów i strumieni oraz te same wiekowe właściwości co stary kodeks jej archiwów. Ale wówczas poznałem Roberta de Saint-Loup; powiedział mi, że zamek nosi nazwę Guermantes dopiero od XVIII wieku, kiedy jego rodzina go nabyła. Do tej pory rodzina Guermantes rezydowała w sąsiedztwie, a tytuł jej nie pochodzi z tych stron. Miasteczko Guermantes otrzymało swoją nazwę od zamku, który jest od niego wcześniejszy; aby nie zniszczyć perspektyw zamku, dotąd utrzymany w mocy serwitut⁸ normuje plan ulic oraz wysokość domów. Co się tyczy kobierców, były kompozycji Bouchera⁹, kupione w XIX wieku przez jednego z Guermantów, malarza-amatora, i pomieszczone obok miernych obrazów myśliwskich jego własnej roboty, w bardzo brzydkim salonie obitym andrynoplem¹⁰ i pluszem. Przez te rewelacje Saint-Loup wprowadził w zamek składniki obce nazwisku „Guermantes”, co mi nie pozwoliło nadal wyczarowywać jego architektoniki z samej dźwięczności sylab. Wówczas w głębi tego nazwiska zatarł się zamek odbijający się w jeziorze; zjawił mi się natomiast, dokoła pani de Guermantes, jako jej siedziba, pałac

⁵*Notre Dame de Paris i Notre-Dame de Chartres* — najwspanialsze gotyckie katedry we Francji, obie pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, w Paryżu i w Chartres. [przypis edytorski]

⁶*Parnas i Helikon* — góry w Grecji, wg mit. gr. siedziby Muz, opiekunek sztuk. [przypis edytorski]

⁷*Childebert* — władca Franków z dynastii Merowingów: Childebert I (496–558) lub jego następcą Childebert II (570–596). [przypis edytorski]

⁸*serwitut* — prawo do korzystania z cudzej nieruchomości w określonym zakresie. [przypis edytorski]

⁹*Boucher, François* (1703–1770) — francuski malarz, grafik i dekorator, jeden z najbardziej znanych przedstawicieli rokoka. [przypis edytorski]

¹⁰*andrynopł* (neol. z fr. *andrinople*) — tania tkanina bawełniana, zwykle w kolorze ciemnoczerwonym; od francuskiej nazwy koloru: czerwień adrianopolska. [przypis edytorski]

jej w Paryżu — pałac Guermantes — przejrzysty jak jego nazwa, żaden bowiem materiałny i ciemny składnik nie mącił i nie ćmił jego przejrzystości. Jak „kościół” oznacza nie tylko świątynię, lecz i zebranie wiernych, tak ten pałac Guermantes obejmował wszystkie osoby biorące udział w życiu księżnej; ale te osoby, których nigdy nie widziałem na oczy, były dla mnie jedynie sławnymi i poetycznymi nazwiskami; te znowuż istoty, znając wyłącznie osoby będące również tylko nazwiskami, pomnażały jeszcze i chroniły tajemnicę księżnej, tworząc dokoła niej szeroką otęczę¹¹, która co najwyżej stopniowo bladła.

Na przyjęciach, jakie wydawała księżna, w wyobraźni mojej nikt z gości nie miał ciała ani wąsów, ani trzewików; nie padło tam najmniejsze słowo banalne, lub nawet oryginalne, ale w ludzki i racjonalny sposób; ten wir nazwisk, wnoszący mniej materii, niżby to zrobiła uczta duchów lub bal upiórów dokoła statuetki z saskiej porcelany, jaką była pani de Guermantes, dawał jej szklanemu pałacowi przejrzystość witraży. Później, kiedy Saint-Loup opowiedział mi anegdoty dotyczące kapelana lub ogrodników swojej kuzynki, pałac Guermantes stał się, jak niegdyś mógł być jakiś Luwr — rodzajem zamku otoczonego, w sercu Paryża, przynależnymi doń ziemiami, posiadanego dziedzicznie, na mocy starożytnego dziwacznego przetrwałego prawa, gdzie księżna zachowała jeszcze feudalne przywileje. Ale ta ostatnia siedziba sama z siebie rozwiała się w mgłę, kiedyśmy zajęli tuż obok pani de Villeparisis mieszkanie sąsiadujące z apartamentami pani de Guermantes, w skrzydle jej pałacu.

Była to jedna z owych starych siedzib, istniejących może jeszcze tu i ówdzie, gdzie dziedziniec — *cour d'honneur* — bądź pod wpływem wzbierającej fali demokracji, bądź przez puściznę dawniejszych jeszcze czasów, gdy rozmaite rzemiosła grupowały się koło „pana” — zawierał często sklepy, warsztaty, nawet jakiś kramik szewca lub krawca (podobne tym, które się widuje wsparte o boki katedr, o ile ich nie pousuwał estetyzm architektów), jakiegoś odźwiernego, a zarazem szewca, który hodował kury i uprawiał kwiaty; w głębi zaś, w samym „pałacu”, „panią hrabinę”, która kiedy wyjeżdżała starą dwukonną kolasą (mając przy kapeluszu parę nasturcji, robiących wrażenie, że je uszczknęto z ogródka odźwiernego, przy czym obok woźnicy siedział lokaj, schodzący z kozła, aby składać zagięty bilet¹² w każdym arystokratycznym pałacu w dzielnicy), przesyłała bez różnicy uśmiechy i pozdrowienia dzieciom odźwiernego i przechodzącym właśnie mieszczańskim lokatorom domostwa, w swojej wzgardliwej grzeczności i niwelującej dumie.

W domu, do któregośmy się sprowadzili, wielką damą z pałacu w głębi była księżna, elegancka i jeszcze młoda. Była to pani de Guermantes, dzięki Franciszce zaś posiłkiem dość szybko informacje o pałacu. Bo Guermantowie (których Franciszka określała często słowami „ci z dołu”, „dół”) byli przedmiotem jej ciągłego zainteresowania od samego rana, kiedy, czesząc mamę, z zabronionym, nieodpartym i ukradkowym spojrzeniem w dziedziniec, powiadała: „O, dwie zakonnice; pewnikiem idzie to na dół”, albo: „O, piękne bażanty w oknie w kuchni; nie trza ani pytać, skąd się pochodzą, księżę musiał być na polowaniu”, aż do wieczora, kiedy, podając mi przybory nocne, z zasłyszanego dźwięku fortepianu, z echa jakiejś piosenki Franciszka wносиła: „Mają gości na dole, wesoło im”. I wówczas na jej regularnej twarzy, pod włosami obecnie białymi, uśmiech młodości, ożywiony i godny, mieścił na chwilę każdy z jej rysów na swoim miejscu, zestrzał je w kunsztownym i tradycyjnym porządku, niby przed kontredansem.

Ale chwilą życia Guermantów, która najżywiej podniecała ciekawość Franciszki, która jej sprawiała najwięcej przyjemności, a także najwięcej bólu, był moment, gdy brama wjazdowa otwierała się na oścież, a księżna wsiadała do karety. Było to zazwyczaj wkrótce po momencie, gdy nasza służba skończyła celebrować ową uroczystą paschę¹³, której nikt nie ma prawa przerwać, nazwaną ich śniadaniem, podczas której byli tak dalece „tabu”, że nawet ojciec nie pozwoliłby sobie zadzwonić na nich, wiedząc zresztą, że nikt nie ruszyłby się, równie dobrze za piątym dzwonkiem, jak za pierwszym, i że tym samym pan domu

¹¹otęcza (rzad.) — aureola; tęczowa obwódka. [przypis edytorski]

¹²bilet — tu: bilet wizytowy, wizytówka; obowiązkiem kobiety z wyższych sfer było regularne składanie wizyt towarzyskich, zapowiadanych odpowiednio wcześniej przekazaniem wizytówki przez służbę; w XIX w. zagięciem odpowiedniego rogu wizytówki sygnalizowano cel wizyty, np. rozmowę towarzyską lub złożenie gratulacji. [przypis edytorski]

¹³Pascha — najważniejsze święto w judaizmie, upamiętniające wyzwolenie Izraelitów z niewoli egipskiej; jego główną częścią jest domowa wieczerza w gronie rodziny. [przypis edytorski]

dopuszczyłby się tego nietaktu nadaremnie, ale nie bez szkody dla siebie. Bo Franciszka (która, od czasu jak się posunęła w latach, komponowała sobie na każdą okazję okolicznościową maskę) ukazywałaby mu niechybnie przez cały dzień twarz pokrytą wypukłymi i czerwonymi cętkami, które wyrażały na zewnątrz — w sposób zresztą niezbyt czytelny — długi rachunek jej żalów oraz głębokie przyczyny niezadowolenia. Rozwijala je zresztą — niby aktor mówiący „na stronie” — ale tak, żeśmy nie mogli rozróżnić słów. To były — jak mówiła — jej „ciche msze”, odmawiane przez cały boży dzień; w jej pojęciu dotkliwe dla nas i upokarzające.

Dopełniwszy ostatnich obrzędów, Franciszka, która była równocześnie — niby w pierwotnym kościele — celebrantem i jednym z wiernych, nalewała sobie ostatnią szklanekę wina, odwiązywała serwetę, składała ją, wycierając z ust resztę wina z wodą i kawy, wsuwała serwetę w krążek, dziękowała z bolesnym spojrzeniem „swemu” młodemu lokajczykowi, który przez gorliwość mówił: „Pani Franciszko, jeszcze trochę winogron, śmienite są”, i szła natychmiast otworzyć okno pod pozorem, że jest strasznie gorąco „w tej przeklętej kuchni”. Otwierając okno i wciągając łyk powietrza, zręcznie ogarniała obojętnym niby to rzutem oka dziedziniec, zyskiwała ukradkową pewność, że księżna jeszcze jest niegotowa, pięściła chwilę wzgardliwym i namiętym spojrzeniem zaprzężony powóz i poświęciwszy tę chwilę uwagi rzeczom ziemskim, wznosiła oczy do nieba, którego czystość odgadła zawczasu z łagodnego powiewu i z ciepła słońca; po czym spoglądała na miejsce pod dachem, gdzie każdej wiosny stały sobie gniazdo, właśnie nad moim kominkiem, gołębie podobne do tych, które gruchały w jej kuchni, w Combray.

— Och! Combray, Combray! — wykrzykiwała. (A niemal śpiewny ton, jakim wygłaszała tę inwokację, zarówno jak arlezjańska czystość jej rysów, mogły zbudzić przypuszczenie, że Franciszka pochodzi z południa i że stracona ojczyzna, którą oplakuje, była tylko ojczyzną przybraną. Ale może by to była omyłka, bo zdaje się, iż nie ma prowincji, która by nie miała swojego „południa”; iluz spotyka się Sabaudczyków i Bretończyków, u których odnajdziemy znamienne dla południowców słodkie przemieszczenia długich i krótkich sylab). — Och, Combray, kiedyż ja cię zobaczę, biednaż ty moja ziemo! Kiedyż będę mogła spędzać cały boży dzień pod twoimi głogami i bzami, słuchając szpaków i naszej Vivonne, szemrzającej tak, jakby ktoś szeptał, zamiast słyszeć ten przeklęty dzwonek naszego panicza, który nie wytrzyma ani pół godziny, żeby nie kazać człowiekowi gonić bez ten diabelski korytarz. I jeszcze uważa, że ja nie lecę dość szybko; trzeba, żeby człowiek słyszał, zanim on zadzwoni, a kiedy się o minutkę spóźnisz, on „popada się” w takie straszliwe furie! Ach, biedne Combray, może cię nie ujrzę aż martwa, kiedy mnie rzucą jak ten kamień w dół cementarny. Wówczas nie będą mi już pachniały twoje piękne głogi, całe bielusiście. Ale za to we śmiertelnym śnie, myślę, że jeszcze będę słyszała te trzy dzwonki, które mnie tak trapiły w życiu.

Ale przerywały jej wołania krawczyny z dziedzińca — tego samego, który niegdyś tak się spodobał babce w czasie jej wizyty u pani de Villeparisis i który nie mniej łaski znalazł w oczach Franciszki. Podniósłszy głowę na odgłos otwieranego u nas okna, starał się już od dobrej chwili ściągnąć uwagę swojej sąsiadki, aby jej powiedzieć dzień dobry. Zalotność młodej dziewczyny, którą była niegdyś Franciszka, łagodziła wówczas dla pana Jupien opryskliwą twarz naszej starej kucharki, zgrubiała od wieku, złych humorów i gorąca blachy; z uroczą mieszaniną taktu, poufalości i zawstydzenia Franciszka przesyłała krawcowi miły ukłon, ale bez słów, o ile bowiem gwałciła zakazy mamy, wyglądając na dziedziniec, nie ośmieliłaby się urągać im do tego stopnia, aby rozmawiać przez okno, co miało (wedle niej) dar ściągnięcia na nią ze strony pani całego kazania. Pokazywała mu zaprzężony powóz, jakby mówiła: „Ładne koniczki, he!”, ale mrucząc: „Co za stary gruchot!”, czyniąc to zwłaszcza dlatego, że wiedziała, iż on jej odpowie, przykładając rękę do ust, aby być słyszany, mimo że mówił półgłosem: „Wy byście też mogli mieć to wszystko, gdybyście chcieli, a może więcej od nich, ale wy nie lubicie tego”.

I Franciszka po skromnym, wymijającym i uszczęśliwionym geście, którego sens był mniej więcej taki: „Každy ma to, czego pragnie; my tu jesteśmy skromne ludzie”, zamykała okno z obawy, aby mama nie weszła. Owi „wy”, którzy by mogli mieć więcej koni od Guermantów, to byliśmy *my*; ale Jupien miał rację, mówiąc „wy”, bo z wyjątkiem pewnych rozkoszy miłości własnej czysto osobistych — na przykład kiedy Franciszka kaszlała bez przerwy, a cały dom się bał, że dostanie od niej kataru, ona twierdziła z drażniącym

uśmieżkiem, że nie jest zakatarzona — Franciszka, podobna owym roślinom, dla których zespolone z nimi zwierzę przygotowuje pokarmy, łowiąc je, spożywając i trawiąc dla nich, i podsuwając im je w doskonale przyswojonej formie, Franciszka żyła z nami w symbiozie; to my, naszymi zaletami, majątkiem, sposobem życia, pozycją mieliśmy za zadanie dostarczać drobnych satysfakcji miłości własnej, które tworzyły — skoro do tego dodać uświęcony obrządek śniadania wedle starożytnej formy plus mały lyczek powietrza przy oknie po śniadaniu, trochę wałęsania się po ulicy, „za sprawunkami” oraz wychodne co niedziela dla odwiedzenia siostrzenicy — częśćkę zadowolenia nieodzowną jej do życia. Toteż zrozumiałe jest, że w nowym domu, gdzie wszystkie zaszczytne tytuły mego ojca nie były jeszcze znane, Franciszka musiała usychać przez pierwsze dni, będąc pastwą choroby, którą ona sama nazywała nudą; nudą w dramatycznym znaczeniu, jakie to słowo przybiera u Corneille’a¹⁴ lub pod piórem żołnierzy, nieraz odbierających sobie w końcu życie, bo im się zanadto „przykrzy” za narzeczoną, za ich wsią. Nudę Franciszki uleczył bardzo szybko właśnie Jupien, dostarczył jej bowiem przyjemności równie żywej, a bardziej wyrafinowanej niż ta, którą by odczuwała, gdybyśmy się zdecydowali mieć powóz. „Dobrzy ludziska ci Jupienowie — mówiła — poczciwe ludzie, mają to wypisane na twarzy”. Jupien umiał w istocie zrozumieć i udzielić wszystkim tej wiadomości, że jeżeli my nie mamy powozu, to dlatego że nie chcemy.

Ten przyjaciel Franciszki mało przebywał w domu, uzyskawszy posadkę w ministerstwie. Zrazu, trudniąc się szyciem kamizelek razem ze „smarkatą” (którą babka wzięła za jego córkę), stracił wszelką rację wykonywania tego fachu, odkąd ta dziewczyna (która, niemal jeszcze dzieckiem¹⁵, umiała bardzo dobrze zaszyć spódnicę, wówczas gdy babka wybrała się swego czasu z wizytą do pani de Villeparisis) wzięła się do krawieczyzny damskiej i wyspecjalizowała się w spódnicach. Najpierw „podręczna” u krawcowej, używana do tego, aby coś sfastrygować, przyszyć falbanę, przymocować guzik, zatrząsk, dopasować stanik agrafkami, została bardzo szybko „drugą panną”, potem pierwszą i wyrobiwszy sobie klientelę dam z najlepszego świata, pracowała u siebie, to znaczy w naszym dziedzińcu, najczęściej z paroma koleżankami z pracowni, przyjętymi jako uczennice. Odtąd obecność Jupiena stała się mniej potrzebna. Bez wątpienia „mała”, wyrósłszy na dużą, musiała jeszcze często szyc kamizelki. Ale wspomagana przez swoje przyjaciółki, nie potrzebowała nikogo. Toteż Jupien, jej wuj, postarał się o posadę. Zrazu mógł wracać w południe; potem, objąwszy na stałe funkcje urzędnika, któremu tylko wprzód pomagał, wracał dopiero na obiad. Jego „stabilizacja” nastąpiła szczęśliwie dopiero w kilka tygodni po naszym wprowadzeniu się, tak iż uprzejmość Jupiena mogła się objawiać na tyle, aby pomóc Franciszce przeżyć bez zbytich cierpień pierwszy trudny okres. Zresztą, nie zaprzeczając użyteczności, jaką Jupien był dla Franciszki jako „lekarstwo przejściowe”, muszę przyznać, że on mi się nie bardzo podobał z pierwszego wejrzenia. Na odległość kilku kroków, niewzruszając całkowicie wrażenie, jakie robiłyby bez tego, jego szerokie policzki i kwitnąca cera, oczy jego zwilżone współczuciem, żalonym i marzącym spojrzeniem, kazały przypuszczać, że on jest bardzo chory lub dotknięty świeżą żalobą. Nie tylko tak nie było, ale z chwilą gdy przemówił — mówił zresztą bardzo dobrze — był raczej zimny i drwiący. Z tego rozdzwiewku między jego spojrzeniem a słowami wynikało coś fałszywego, niesympatycznego; robił wrażenie, że on sam się czuje skrępowany, niby gość zjawiający się w marynarce, gdy wszyscy są we frakach, lub ktoś, kto rozmawiając z księżką wysokością, nie wie dobrze, jak ją tytułować, i aby obejść trudności, sprowadza rozmowę do nieznaczących frazesów.

Wysłowienie Jupiena — bo to jest tylko porównanie — było, przeciwnie, urocze. Pod tym kontrastem jego twarzy i oczu (na co się już nie zwracało uwagi, kiedy się go znało) odkryłem w nim rychło rzadką inteligencję. Była to jedna z najbardziej literackich natur, jakie mi się zdarzyło spotkać; w tym sensie, że nie otrzymawszy zapewne wykształcenia, Jupien posiadał lub przyswoił sobie, jedynie za pomocą paru pobieżnie przeczytanych książek, najszcześniejsze formy języka. Ludzie najbogaciej obdarzeni wśród tych, których znałem, umarli bardzo młodo. Toteż byłem przeświadczony, że Jupien nie pożyje długo.

¹⁴Corneille, *Pierre* (1606–1684) — francuski dramaturg, autor tragedii klasycystycznych. [przypis edytorski]

¹⁵dzieckiem — tu: będąc dzieckiem, jako dziecko. [przypis edytorski]

Był dobry, miłosierny, pełen delikatnych i szlachejnych uczuć. Rychło zresztą przestał być nieodzowny w życiu Franciszki. Nauczyła się go zastępować.

Nawet kiedy jakiś chłopiec z magazynu lub służący przyniósł do nas paczkę, Franciszka, udając, że się nim nie zajmuje, wskazując mu tylko od niechcienia krzesło, podczas gdy dalej parała się swoją robotą, tak zręcznie wyzyskiwała kilka chwil, które obcy spędzał w kuchni, czekając na odpowiedź mamy, iż rzadko zdarzało się, aby odszedł, nie wyrwawszy w sobie głęboko pewności, „że jeżeli nie mamy (powozu i koni), to dlatego że nie chcemy”. Jeżeli jej zresztą tak zależało na tym, żeby wiedziano, że my mamy „pieniędzy” (Franciszka nie rozróżniała odcieni składni i mówiła „mieć pieniędzy”), żeby wiedziano, że jesteśmy bogaci, to nie dlatego, aby bogactwo samo w sobie, bogactwo bez cnoty było w oczach Franciszki najwyższym dobrem; ale cnota bez bogactwa również nie była jej ideałem. Bogactwo było dla niej jakby koniecznym warunkiem cnoty, w braku którego cnota jest bez zasługi i bez uroku. Tak mało oddzielała je od siebie, że w końcu zaczęła jednej z tych rzeczy używać przymiotów drugiej, wymagając pewnego komfortu w cnotcie, a widząc coś budującego w bogactwie.

Zamknąwszy okno dosyć szybko — inaczej mama, jak Franciszka twierdziła, „nawymyślałaby jej od ostatnich” — Franciszka zaczynała, wzdychając, porządkować stół kuchenny.

— Są Guermanty, które siedzą przy ulicy la Chaise — mówił lokaj — miałem przyjaciela, który tam pracował, był u nich za drugiego stangreta. I znam kogoś, nie tego kolegę, ale jego szwagra, kto służył w wojsku razem z dojeżdżaczem¹⁶ barona de Guermantes. Ale co mi tam, to nie są ludzie z prawdziwego zdarzenia — dodał lokaj, który, jak nucił modne refreony, tak miał zwyczaj ozdabiać rozmowę sezonowymi dowcipami.

Franciszka, której stare i zmęczone oczy widziały wszystko niby z Combray, w mgli-
stej dali, rozumiała nie żart kryjący się w tych słowach, ale to, że musiał w nich być żart, bo nie tłumaczyły się same i były specjalnie zaakcentowane przez człowieka, o którym wiedziała, że jest żartowniś. Toteż uśmiechnęła się życzliwie i z uznaniem, jakby mówiła: „Zawsze wesół ten Wiktor!”. Była zresztą rada, bo wiedziała, że słuchanie tego rodzaju żarcików ma odległy związek z godziwymi uciechami światowymi, na które ludzie wszystkich sfer stroją się odświętnie i narażają się na zaziębienie. Sympatyzowała zresztą z młodym lokajem, bo wciąż prawil jej z oburzeniem o straszliwych dekretach, jakie Republika ma wydać przeciw księżom. Franciszka nie pojęła jeszcze, że nasi najokrutniejsi wrogowie to nie ci, co nam przeczają i starają się nas przekonać, ale ci co powiększają lub wymyślają nowiny zdolne nas zasmucić, strzegąc się dać im pozór usprawiedliwienia, które by zmniejszyło naszą zgryzotę i wzbudziłoby w nas może nieco szacunku dla obozu, który oni siłą się nam pokazać, ku naszej tym większej udręce, jako okrutny i triumfujący zarazem.

Wróg

— Księżna musi być skrewniona z tym wszystkim — rzekła Franciszka, wracając do Guermantów z ulicy la Chaise, tak jak się zaczyna na nowo jakiś utwór od *andante*¹⁷. — Nie wiem już kto mi powiedział, że to stamtąd wydali kuzynkę za księcia z dołu. Zawszeć to ta sama paranteza¹⁸. Ho! ho! to wielka rodzina te Guermanty! — dodawała z szacunkiem, opierając wielkość tej rodziny zarazem na liczbie jej członków i na ich świetności, jak Pascal¹⁹ opiera prawdę religii na rozumie i na powadze Pisma. Bo, mając tylko jedno słowo „wielki” na obie te rzeczy, Franciszka sądziła, że one tworzą tylko jedną, ile że słownik jej, jak niektóre drogie kamienie, przedstawiał w tym miejscu defekt zaciemniający już samą myśl Franciszki.

— Myślę sobie, czy to nie są ci sami, co mają zamek w Guermantes o dziesięć mil od Combray; w takim razie to musi być też krewny ich kuzynki z Algieru. (Zastanawialiśmy się długo z matką, co to może być ta kuzynka z Algieru; ale zrozumieliśmy wreszcie, że Franciszka rozumie pod Algierem miasto Angers. Coś, co jest dalekie, może być nam

¹⁶dojeżdżacz (daw.) — członek służby łowieckiej, osoba ścigająca z chartami i ogarami zwierzynę podczas polowania. [przypis edytorski]

¹⁷andante (muz., wł.) — umiarkowanie wolne tempo utworu; także: utwór lub część w takim tempie. [przypis edytorski]

¹⁸paranteza (znieksz.) — parantela: powinowactwo, powiązania rodzinne, zwłaszcza ze znanym rodem; krewni należący do tego samego rodu. [przypis edytorski]

¹⁹Pascal, Blaise (1623–1662) — francuski matematyk, fizyk i filozof religii; po 1654 porzucił nauki ścisłe na rzecz filozofii i teologii. [przypis edytorski]

bardziej znane niż coś, co jest bliskie. Franciszka, która znała nazwę Algieru z powodu okropnych daktyli, które dostawaliśmy na Nowy Rok, nie znała nazwy Angers. Język jej, jak sam język francuski, zwłaszcza toponimia²⁰, roił się od błędów). Chciałam o tym pogwarzyć z ich kamerdynerem. Jakże to jemu się mówi? — przerwała, jak gdyby stawiając sobie kwestię protokolarną — a, prawda, Dominik go tytułują (tak jakby Dominik był tytułem). On mógłby mi powiedzieć, ale to cały wielki pan, nadęta sztuka, myślałby kto, że mu ucięto język albo że go nie nauczono mówić. Nawet człowiekowi nie odkaże²¹, kiedy do niego gadać — dodała Franciszka, która mówiła „odkazać”, jak pani de Sévigné²². — Ale — rzekła niezbyt szczerze — kiedy ja wiem, co się gotuje w moim garnku, nie zaglądam do cudzych. W każdym bądź razie wszystko to nie jest po bożemu. A potem, a bo to jest dzielny człowiek. (Ten sąd mógłby obudzić mniemanie, że Franciszka zmieniła zdanie co do odwagi, która wedle niej — w Combray — ściągała ludzi do rzędu dzikich zwierząt, ale tak nie było. „Dzielny” znaczyło po prostu pracowity, roboczy). Powiadają też, że kradnie jak ta sroka, ale nie trzeba zawsze wierzyć temu, co ludzie gadają. Tutaj każdy pracujący wylatuje, a wszystko przez odźwiernych, bo one są zazdrosne i kotłują głowę księżnej. Ale można powiedzieć, że ten Dominik to czyste drabisko, a jego Dominiczka nie więcej warta od niego — dodała Franciszka, która w określeniu żony kamerdynera nieświadomie wzorowała się na formie „kanonik” i „kanoniczka”. W chwilę potem dostarczyła nowego przykładu urabiania rodzaju żeńskiego, dodając:

— No pewno, że to do księżnej należy się zamek w Guermentes. I to ona jest tam wójcina. To jest coś.

— Myślę, że to jest coś — rzekł z przekonaniem młody lokaj, nie poznawszy się na ironii.

— Myślisz, chłopcze, że to jest coś? Ależ dla ludzi takich jak tamte być wójtem i wójciną to jest tyle co nic. A, gdybym to ja miała zamek Guermentes, nie często by mnie ujrano w Paryżu. Muszą te państwo, co to mają z czego żyć, jak nasz pan i nasza pani, mieć zdrowie, żeby siedzieć w tym podłym mieścisku zamiast jechać do Combray, kiedy mogliby to zrobić i kiedy nikt ich tu nie trzyma. Na co one czekają ze swoim dożyciem, skoro im niczego nie zbywa: na to, żeby pomarli? Och! gdybym ja miała tylko suchy chleb i drzewo na opał w zimie, od dawna bym już siedziała u siebie, w biednej chatynce mego brata w Combray. Tam człowiek czuje przynajmniej, że żyje, nie ma wszystkich tych domisków przed sobą; jest tak cicho, że w nocy słyhać żaby, jak grają dalej niż o dwie mile.

— To musi być naprawdę piękne, pani Franciszko — wykrzyknął lokajczyk z entuzjazmem, jak gdyby ten ostatni szczegół był równie swoisty dla Combray co pływanie gondolą w Wenecji.

Będąc zresztą u nas mniej dawno niż kamerdyner, chłopak ten szukał w rozmowie z Franciszką tematów zdolnych interesować nie jego, ale ją. I Franciszka, krzywiąc się, kiedy ją traktowano jak kucharkę, miała dla lokajczyka — który mówiąc o niej, powiadał „pani gospodyni” — specjalną życzliwość, jaką odczuwają pokątni książęta krwi dla gorliwych młodych ludzi, raczących ich „wysokością”.

— Tam przynajmniej wiadomo, co się robi i w jakiej porze roku się żyje. To nie tak jak tutaj, gdzie będzie nie więcej jaskrów na Wielkanoc niż na Boże Narodzenie i gdzie ani usłyszeć dzwonka na jutrznię, kiedy pozbieram rano swoje stare kości. Tam człowiek słyszy każdą godzinę; to jest tylko biedny dzwonek, ale powiadasz sobie: „Aha, brat wraca z pola”, widzisz, jak dnia ubywa, dzwonią na wszystkie sprawy ziemi, masz czas się obrócić, zanim zapalisz lampę. Tutaj jest dzień, jest noc, idzie człowiek spać, nie mógłby nawet powiedzieć, co z całym dniem zrobił. Jak te zwierzęta.

— Zdaje się, że Méséglise to jest też bardzo ładne, pani Franciszko — przerwał lokajczyk, dla którego ta rozmowa przybierała charakter nieco abstrakcyjny i który sobie przypomniał mętnie, iż słyszał przy stole, jak rozmawialiśmy o Méséglise.

— Och, Méséglise! — rzekła Franciszka z szerokim uśmiechem, jaki wracał jej zawsze na wargi, kiedy ktoś wymawiał te nazwy: Méséglise, Combray, Tansonville. Stanowiły

²⁰toponimia — tu: ogół toponimów, czyli nazw miejsc. [przypis edytorski]

²¹odkazać (daw.) — odpowiedzieć. [przypis edytorski]

²²pani de Sévigné, właśc. *Marie de Rabutin-Chantal, markiza de Sévigné* (1626–1696) — autorka słynnych listów pisanych do córki, cenionych jako obraz obyczajów epoki. [przypis edytorski]

one tak bardzo część jej własnego istnienia, że spotykając je, słysząc je w rozmowie, odczuwała wesołość dość podobną do tej, jaką budzi w klasie profesor, robiąc aluzję do jakiejś współczesnej osoby, co do której uczniowie nie byliby nigdy przypuścili, że jej nazwisko może paść z katedry. Przyjemność Franciszki płynęła również stąd, iż czuła, że owe strony są dla niej tym, czym nie są dla innych: starymi kompanami, z którymi niejedno się przeżyło; i uśmiechała się do nich, tak jakby w nich znajdowała coś dowcipnego, bo odnajdywała w nich wiele z siebie samej.

— Tak, możesz na to przysiąc, mój synu, Méséglise jest dość ładne — rzekła, śmiejąc się subtelnie — ale gdzieżeś ty mógł słyszeć o Méséglise?

— Gdzieś słyszał o Méséglise? Ależ to bardzo znane; mówiono mi o tym, i nawet często — odparł z ową zbrodniczą nieścisłością informatorów, którzy za każdym razem kiedy staramy się zdać sobie obiektywnie sprawę z wagi, jaką coś, co nas tyczy, może mieć dla drugich, uniemożliwiają nam to.

— Ba, możesz mi uwierzyć, że lepiej jest tam pod wiśnią niż tutaj przy piecu.

Mówiła nawet o Eulalii jako o dobrej osobie. Bo od czasu jak Eulalia umarła, Franciszka zapomniiała kompletnie, że jej nie cierpiała za życia, tak jak nie cierpiała wszelkiej osoby, która nie miała co jeść w domu, która „zdychała z głodu”, a później dzięki łasce bogatych zaczynała „się dać”. Nie dolegało jej już, że Eulalia tak zgrabnie umiała co tygodnia wyłudzić jakiś pieniążek od ciotki. Co się tyczy ciotki Leonii, Franciszka bez ustanku śpiewała jej pochwały.

— Ale to w samym Combray, u kuzynki naszej pani, pani Franciszka była? — pytał lokajczyk.

— Tak, u pani Oktawowej, och, bardzo świętej kobity, mój chłopcze, gdzie było zawsze wszystkiego w bród i godnie, i pięknie. Dobra kobieta, możesz wiedzieć, nie pożałowała kuropatwy ani bażanta, ani nic; mogłeś tam przyjść na obiad w pięciu, w sześciu, mięsa tam pewnie nie zbrakło, i to najlepszej sorty, i wino białe i czerwone, wszystko, co tylko trzeba. (Franciszka używała słowa „żałować” w tym samym sensie, w jakim go używa La Bruyère²³). Wszystko było zawsze z jej substancji, nawet kiedy rodzina siedziała tam miesiąc i lata. (Ta uwaga nie miała nic ubliżającego dla nas, bo język Franciszki był z czasu, kiedy słowo „substancja” nie było zacieśnione do stylu sądowego). Och, ręczę ci, że tam się nie cierpiało głodu. Nieraz nam ksiądz proboszcz klarował, że jeżeli była kobieta mogąca liczyć na to, że pójdzie prosto do nieba, to z pewnością pani Leonia. Biedna pani, słyszę jeszcze, jak mi powiada swoim chudym głosikiem: „Franciszko, ty wiesz, że ja nie jem, ale chcę, żeby wszyscy mieli tak dobrze, co gdybym jadła”. Rozumie się, że to nie było dla niej. Gdybyście ją widzieli, ważyła nie więcej niż koszyk wiśni, nie było co wziąć w rękę. Nie chciała mi wierzyć, nigdy nie chciała iść do doktora. Ha! ha! tam z pewnością nie zjadłoby się nic na patatajkę. Chciała, żeby służba była tam dobrze karmiona. Tutaj, choćby w to dzisiejsze polednie, nie ma człowiek ani czasu przelknąć. Wszystko się robi na lap-cap.

Franciszkę doprowadzały do rozpaczycy zwłaszcza grzanki, które jadał ojciec. Przekonana była, że robił to jedynie po to, żeby wydziwiać i żeby jej kazać „tańczyć”.

— Mogę zaświadczyć — mówił młody lokaj — że nigdy coś takiego nie widziałem.

Mówił tak, jak gdyby wszystko widział i jak gdyby rezultaty jego tysiącletniego doświadczenia obejmowały wszystkie krainy i ich zwyczaje, pomiędzy którymi nigdzie nie figurowały grzanki z chleba.

— Tak, tak — mruzczał kamerdyner — ale wszystko to łatwo może się zmienić, robotnicy mają strajkować w Kanadzie, a minister mówił któregoś dnia naszemu panu, że wziął za to dwieście tysięcy franków.

Kamerdyner daleki był od potępienia ministra; sam był z gruntu uczciwy, ale ponieważ uważał wszystkich polityków za łajdaków, przekupstwo wydawało mu się mniejszą zbrodnią od łada kradzieży. Nie zastanawiał się nawet, czy dobrze usłyszał te historyczne słowa, i nie uderzyło go nieprawdopodobieństwo tego, aby sam winny powiedział je memu ojcu i aby ojciec nie wyrzucił go za drzwi. Ale filozofia Combray nie pozwoliła Franciszce spodziewać się, aby strajk w Kanadzie mógł oddziaływać na spożycie grzanek.

²³La Bruyère, Jean de (1645–1696) — francuski pisarz, moralista, autor *Charakterów*, w których przedstawił różnorodne typy ludzkie i krytykę ówczesnego społeczeństwa. [przypis edytorski]

— Dopóki świat będzie światem — mówiła — widzicie, będzie państwo, żeby nam kazać dreptać, i służba, żeby spełniała ich kaprysy.

Wbrew teorii tego wiekuistego dreptania, już od kwadransa mama, która zapewne inną miarą oceniała śniadanie służących, powiadała:

— Ale co oni mogą robić, już więcej niż dwie godziny siedzą przy śniadaniu!

I dzwoniła nieśmiało trzy lub cztery razy. Franciszka, lokajczyk, kamerdyner słyszeli apel dzwonka bez intencji posłuchu; bądź co bądź były to dla nich niby pierwsze dźwięki strojonych instrumentów, kiedy koncert ma się niebawem rozpocząć i kiedy pozostało już tylko kilka minut pauzy. Toteż, kiedy dzwonki powtarzały się coraz natarczywsze, służba zaczynała nadstawiać ucha. Uważając, że już nie mają dużo czasu przed sobą i że powrót do pracy jest bliski, przy jakimś dźwięczniejszym nieco odgłosie dzwonka wzdychali głęboko i decydowali się na czyn: lokajczyk szedł wypalić papierosa przed bramą, Franciszka po paru uwagach w rodzaju: „Na pewno mają kręćka”, drapała się na szóste piętro porządkować swoje rzeczy, a kamerdyner, zaopatrzony się na moim biurku w papier listowy, śpiesznie załatwiał swoją prywatną korespondencję.

Mimo nadętej miny kamerdynera z „dołu” Franciszka zdołała od pierwszych dni powiadomić mnie, że Guermantowie nie zamieszkują swego pałacu na zasadzie jakiegoś odwiecznego prawa, ale na skutek kupna stosunkowo świeżego; że ogród, na który pałac wychodził, a którego nie znałem, jest dość mały i podobny do wszystkich sąsiednich ogrodów; dowiedziałem się wreszcie, że nie widnieje tam ani pańska szubienica, ani warowny młyn, ani domek z filarkami, ani dworska piekarnia, ani spichlerz, ani zameczek, ani most stały lub zwodzony, nie więcej niż wieżyczki, niż mostowe, drogowe, przewozowe, ani stosy kamieni służące za drogowaskazy. Ale jak Elstir, kiedy zatoka Balbec, straciwszy swoją tajemnicę, stała się dla mnie banalną partią słonej wody, podobną do wszystkich innych na tym globie, przywrócił jej nagle indywidualność, powiadając mi, że to jest opalowa zatoka Whistlera²⁴ w jej srebrnoniebieskich harmoniach, podobnie, kiedy nazwisko Guermantes straciło pod ciosami Franciszki ostatnią zeń poczętą siedzibę, stary przyjaciel ojca oznajmił nam raz, mówiąc o księżnej: „Ona ma ogromną sytuację w Faubourg Saint-Germain²⁵; to jest pierwszy dom w Faubourg Saint-Germain”. Bez wątpienia, pierwszy salon, pierwszy dom w Faubourg Saint-Germain to było bardzo mało po innych rezydencjach, o których kolejno marzyłem. Ale ostatecznie i ta — a miała to być ostatnia — miała coś, choćby to było najskromniejsze, co wykraczało poza jej własną materię, jakieś tajemne zróżnicowanie.

I czułem potrzebę szukania tajemnicy nazwiska pani de Guermantes w jej „salonie”, w jej przyjaciółach, tym bardziej iż tajemnicy tej nie znajdowałem w jej osobie, kiedy ją widział wychodzącą rano pieszo, a po południu wyjeżdżając powozem. Z pewnością już w kościele w Combray księżna, ujrzana w błysku metamorfozy, z policzkami niepodatnymi, nieprzenikalnymi dla barwy nazwiska Guermantes i popołudni nad brzegiem Vivonne, ukazała mi się w miejsce mego spiorunowanego marzenia niby łabędź lub wierzba, w które zmieniono boga lub nimfę, iżby odtąd, poddani prawom natury, zanurzali się w wodę lub drżeli na wietrze. Jednakże skoro te odblaski zgasły, ledwom je stracił z oczu, skupiały się na nowo niby różowozielone blaski zachodzącego słońca za wiosłem, które je złamało; i w samotności mojej myśli nazwisko wchłonęło w siebie rychło wspomnienie twarzy. Teraz widywałem często księżnę w oknie, w dziedzińcu, na ulicy i jeżeli nie zdołałem wcielić w nią nazwiska Guermantes, wmyśleć się w fakt, że to ona jest panią de Guermantes, winiłem o to niezdolność mojego ducha do wysiłku, jakiego od niego żądałem; ale ona, nasza sąsiadka, księżna, zdawała się popełniać ten sam błąd, co więcej, popełniała go bez wzruszenia, bez żadnego z moich skrupułów, nie podejrzewając nawet, że to jest błąd. I tak pani de Guermantes objawiała w swojej toalecie tę samą troskę podążania za modą, co gdyby, uważając, iż stała się kobietą taką jak inne, aspirowała do tej elegancji, w której byle jaka kobieta mogła jej dorównać, przewyższyć ją nawet; widziałem ją, jak na ulicy przyglądała się z podziwem dobrze ubranej aktorce; rano zaś, w chwili gdy miała wyjść pieszo — jak gdyby opinia przechodniów, których pospolitość księżna

²⁴Whistler, James Abbot McNeill (1834–1903) — amerykański malarz działający w Anglii; związany z wczesną fazą impresjonizmu, znany z portretów i pejzaży. [przypis edytorski]

²⁵Faubourg Saint-Germain (fr. dosł.: przedmieście Saint-Germain) — historyczna dzielnica Paryża, znana z licznych rezydencji arystokracji. [przypis edytorski]

podkreślała swoją postać, obnosząc poufale wśród nich swoje niedostępne życie, mogła być dla niej trybunałem — widywałem ją przed lustrem, grającą z przekonaniem wolnym od wszelkiego rozdwojenia i ironii, z pasją, z irytacją, z ambicją — niby królowa, która zgodziła się w komedii dworskiej kreować subretkę²⁶ — grającą ową rolę tak poniżej jej samej, rolę eleganckiej kobiety; i w mitologicznym zapomnieniu swojej przyrodzonej wielkości sprawdzała, czy woalka jest dobrze obciągnięta, przyplaszczała rękawy, poprawiała płaszcz, jak boski łabędź wykonuje wszystkie ruchy swego zwierzęcego gatunku, obnosi oczy namalowane z dwóch stron swego dzioba, nie wkładając w nie spojrzeń, i rzuca się nagle na spinkę lub na parasol jako łabędź, nie pamiętając, że jest bogiem. Ale jak podróżny zawiedziony pierwszym widokiem miasta powiada sobie, iż przeniknie może jego czar, zwiedzając muzea, nawiązując znajomość z ludem, pracując w bibliotekach, tak ja powiadałem sobie, że gdybym był u pani de Guermantes, gdybym należał do jej przyjaciół, gdybym wdarł się w jej egzystencję, poznałbym, co pod swoją pomarańczową i błyszczącą powierzchnią nazwisko jej mieści realnie, przedmiotowo, dla innych, skoro przecież przyjaciel ojca mówił, że kółko Guermantów jest czymś odrębnym w Faubourg Saint-Germain.

Życie, które (jak sądziłem) musiano tam prowadzić, wypływało ze źródła będącego tak poza sferą doświadczeń, wydawało mi się czymś tak odrębnym, że nie mógłbym sobie wyobrazić na wieczorach księżnej osób, z którymi bym się gdzieś stykał wprzód, osób realnych. Bo wówczas, nie mogąc nagle zmienić swej natury, musiałyby tam mówić rzeczy analogiczne do tych, które znałem; partnerzy ich zniżyliby się może do odpowiadania im w tym samym ludzkim narzeczu; a zatem w ciągu wieczoru w pierwszym salonie Faubourg Saint-Germain istniałyby chwile identyczne z tymi, jakie już przeżyłem: co było niemożliwe. Prawda, że mój umysł porał się z pewnymi trudnościami: obecność ciała Chrystusa w hostii była mi nie bardziej tajemnicza niż ten położony na prawym brzegu Sekwany pierwszy salon Faubourg Saint-Germain, gdzie ze swojego pokoju mogłem słyszeć, jak trzepią rano meble. Ale linia demarkacyjna dzieląca mnie od Faubourg Saint-Germain, mimo iż tylko idealna, zdawała mi się tym rzeczywistsza; czułem, że słomianka Guermantów, pomieszczona z drugiej strony tego równika (słomianka, o której matka, spostrzegłszy ją jak ja, pewnego dnia, kiedy drzwi były otwarte, ośmieliła się powiedzieć, że jest w bardzo lichym stanie) — to już jest Faubourg. Zresztą jakim cudem ta jadalnia, ten ciemny korytarz, sień z czerwonymi pluszowymi meblami, które mogłem czasem spostrzec przez okno z naszej kuchni, mogłyby nie posiadać dla mnie tajemniczego czaru Faubourg Saint-Germain, jak mogłyby nie być jego najistotniejszą częścią, jego geograficzną przynależnością, skoro być przyjętym w tej jadalni znaczyło być w Faubourg Saint-Germain, oddychać jego atmosferą; skoro ci, co przed obiadem siadali obok pani de Guermantes na skórzanej kanapie w hallu, wszyscy należeli do Faubourg Saint-Germain? Bez wątplenia, gdzie indziej niż w owym Faubourg, na pewnych wieczorach, można było czasami widzieć, królującego majestatycznie pośród pospolitego gminu elegantów, jednego z owych ludzi, którzy są tylko nazwiskami i którzy, kiedy ich sobie chcemy wyobrazić, mają na przemian coś z turnieju i z dworskiego lasu. Ale tu, w pierwszym salonie Faubourg Saint-Germain, byli tylko oni. Byli niby kolumny z kosztownego materiału, podtrzymujące świątynię. Nawet na zwykłe przyjęcia jedynie spośród nich pani de Guermantes mogła dobierać swoich gości; przy obiedzie na dwanaście osób, zgromadzeni dokoła nakrytego obrusu, byli niby złote posągi apostołów w Sainte-Chapelle²⁷, symboliczne i święte filary dokoła Stołu Pańskiego.

Co się tyczy ogródka, który się rozciągał między wysokimi murami za pałacem i gdzie pani de Guermantes częstowała w lecie po obiedzie oranżadą i likierami, jakże mógłbym wątpić, iż siedzieć tam między dziewiątą a jedenastą wieczór na żelaznych krzeselkach — obdarzonych równie magiczną władzą co skórzana kanapa — znaczy oddychać swoistym wietrzykiem Saint-Germain, tak jak odbywając sjęstę w oazie Figuig, jest się tym samym w Afryce? Jedynie wyobraźnia i wiara mogą zróżnicować pewne przedmioty, pewne osoby i stworzyć atmosferę. Niestety! te malownicze pejzaże, te naturalne gry światła, te lokalne

²⁶subretka (z fr.) — pokojówka; także: typ postaci sprytniej służącej występującej w komedii. [przypis edytorski]

²⁷Sainte-Chapelle (fr.: Świąta Kaplica) — gotycka kaplica zamkowa w centrum dawnej siedziby królewskiej na wyspie Cité w Paryżu; ściany górnej kondygnacji zdobią figury apostołów. [przypis edytorski]

osobliwości, te artystyczne ornamenty Faubourg Saint-Germain pozostaną mi z pewnością na zawsze niedostępne. I drżałem tylko, spostrzegając z pełnego morza (bez nadziei, abym się tam kiedy znalazł!) — niby daleko wysunięty minaret, niby pierwsze drzewo palmowe, niby początek egzotycznego przemysłu lub roślinności — zniszczoną nadbrzeżną słomiankę.

Ale jeżeli pałac Guermantes zaczynał się dla mnie u bramy przedsiönka, przyległości jego musiały się rozciągać o wiele dalej wedle mniemania samego księcia. Uważając wszystkich lokatorów za swoich dzierżawców, za wzbogaconych na rewolucji plebejuszów, chmyzów²⁸, których opinia jest czymś bez znaczenia, książę golił się rano w nocnej koszuli przy oknie, schodził na dziedziniec, wedle temperatury powietrza w danym dniu, w kamizelce albo w piżamie, we włoskiej szkockiej kurtce osobliwego koloru, w kucy jasnym paltociku krótszym od marynarki, i kazał któremuś ze swoich pikierów²⁹ przejeżdżać świeżo kupionego konia. Niejeden raz nawet koń uszkodził wystawę Jupiena, który ku oburzeniu księcia żądał odszkodowania. „Choćby tylko przez wzgląd na wszystko dobro, jakie księżna pani świadczy w domu i w parafii, żądać czegoś od nas, to jest bezczelność ze strony tego chłystka”. Ale Jupien upierał się przy swoim, zdając się zgola nie wiedzieć, co za „dobro” wyświadczyła komu kiedy księżna. A jednak ona była dobroczynna; ale ponieważ nie można ogarnąć wszystkich, pamięć, że się obdarzyło jednego, staje się racją oszczędności w stosunku do drugich, ku tym większemu ich rozgorzyczeniu. Z innych zresztą punktów widzenia niż dobroczynność dzielnica ta wydawała się księciu — i to na znaczną odległość — jedynie przedłużeniem jego dziedzina, rozleglejszym maneżem³⁰ dla jego koni. Sprawdziwszy, jak nowy koń kłusuje sam, kazał go zaprzęgać, objeżdżać sąsiednie ulice, przy czym pikier biegł koło powozu, trzymając lejce, przeprowadzając konia przed księciem, który stał na trotuarze, olbrzymi, rosły, jasno ubrany, z cygarem w ustach, z zadartą głową, z bystrym monoklem, aż do chwili gdy sam wskakiwał na kozioł, aby jeszcze przepróbować konia, i jechał nowym zaprzęgiem spotkać się ze swoją kochanką na Polach Elizejskich.

Pan de Guermantes witał się w dziedzinie z dwiema parami, które mniej więcej należały do jego świata: z parą swoich kuzynów, których — podobnie jak się zdarza w stadłach robotników — nie było nigdy w domu dla zajęcia się dziećmi, bo od rana żona spieszyła do Schola³¹ doskonalić się w sztuce kontrapunktu i fugi³², a mąż szedł do swojej pracowni rzeźbić w drzewie i wytłaczać w skórce; dalej z baronostwem de Norpois, którzy, zawsze ubrani czarno — żona jak kobieta wynajmująca krzesła, a mąż jak karawaniarz — wychodzili kilka razy dziennie, udając się do kościoła. Baron de Norpois był bratanikiem naszego znajomego eks-ambasadora, którego właśnie ojciec spotkał w sieni, ale nie zgadując, skąd idzie; bo ojciec myślał, że osobistość tak znaczna, utrzymująca kontakt z pierwszymi figurami w Europie i przypuszczalnie bardzo obojętna na czcze arystokratyczne honory, nie ma powodu utrzymywać stosunków z tym gatunkiem klerykalnych i ograniczonych szlachciurów. Mieszkali w tym domu od niedawna; Jupien podszedł właśnie, aby coś powiedzieć baronowi, który się kłaniał panu de Guermantes, przy czym, nie znając dokładnie jego nazwiska, Jupien nazwał go „panem Norpois”.

— Ha! ha! „Pan Norpois”, a to doprawdy kapitalne! Cierpliwości, niedługo nazwie pana obywatelem Norpois! — wykrzyknął, zwracając się do barona, pan de Guermantes. Mógł wreszcie wyładować swoją złość na Jupiena, który tytułował go „pan”, a nie „książę pan”.

Pewnego dnia, kiedy pan de Guermantes potrzebował jakiejś informacji w zakresie urzędu jego ojca, przedstawił mu się sam z wielkim wdziękiem. Od tego czasu często miał okazję prosić ojca o jakąś sąsiedzką przysługę; spostrzegłszy go, jak schodzi po schodach pogrążony w myślach i unikający wszelkiego spotkania, książę, porzucając swoich masztalerzy, podchodził do ojca w dziedzinie, poprawiał mu kołnierz u palta z usługomością odziedziczoną po dawnych pokojowcach królewskich, brał go za rękę, zatrzymując jego

²⁸chmyz (lekcew.) — nieznaczący, niepozorny człowiek; smarkacz. [przypis edytorski]

²⁹pikier (daw., z fr.) — ujeżdżacz koni. [przypis edytorski]

³⁰maneż — ujeżdżalnia koni a. ogrodzony teren do nauki jazdy konnej. [przypis edytorski]

³¹Schola — tu: Schola Cantorum de Paris, prywatne konserwatorium w Paryżu, zał. w 1894. [przypis edytorski]

³²kontrapunkt i fuga (muz.) — terminy muzyczne. [przypis edytorski]

dłoń w swojej, pieszcząc ją nawet, aby mu dowiedzieć z bezwstydem kurtyzany, że mu nie żałuje kontaktu swej szacownej skóry; prowadził go jak na smyczy — bardzo znudzonego i myślącego tylko o tym, jak by się wymknąć — aż poza główną bramę.

Pewnego dnia, mijając nas powozem wraz z żoną, księżę skłonił się nam głęboko; musiał jej powiedzieć moje nazwisko, ale jakąż mogłem mieć nadzieję, aby ona zapamiętała to nazwisko wraz z moją twarzą? A przy tym cóż za mizerna rekomendacja — być jej wskazanym jedynie jako jeden z lokatorów! Ważniejsze byłoby spotkać księżnę u pani de Villeparisis, która właśnie poprosiła mnie przez babkę, abym ją odwiedził, wiedząc zaś, że mam zamiar poświęcić się literaturze, dodała, że spotkałbym u niej paru pisarzy. Ale ojciec uważał, że jestem jeszcze za młody, aby bywać w świecie; że zaś stan mego zdrowia wciąż go niepokoił, nie chciał mi dostarczać zbyt licznych okazji do wychodzenia wieczorem.

Ponieważ jeden z lokajów pani de Guermantes często rozmawiał z Franciszką, dosłyszałem, jak wymienia kilka salonów, gdzie księżna bywała, ale nie wyobrażałem ich sobie; z chwilą gdy były częścią jej życia — życia, które widziałem jedynie poprzez jej nazwisko — czyż nie były czymś niepojętym?

— Jest dzisiaj wielki wieczór z chińskimi cieniami u księżnej Parmy — mówił lokaj — ale nie będziemy, bo dziś o piątej pani jedzie do Chantilly spędzić dwa dni u księcia d'Aumale³³. Pokojówka i kamerdyner jadą z nią. Ja zostaję. Księżnej Parmy będzie bardzo przykro; więcej niż cztery razy pisała do naszej pani.

— Więc wy nie jedziecie tego lata do Guermantes?

— Pierwszy raz nas tam nie będzie; z przyczyny reumatyzmów księcia pana doktor zabronił mu tam wracać, zanim się urządzą kaloryfery; dawniej siadywało się tam aż do stycznia. Jeżeli kaloryfer nie będzie gotów, może nasza pani pojedzie do Cannes do księżnej de Guise, ale to jeszcze niepewne.

— A do teatru chodzicie?

— Chodzimy czasem do Opery, czasem w dni abonamentu księżnej Parmy, to spada co tydzień; zdaje się, że to bardzo szykowne, co tam pokazują: sztuczki, opera, wszystko. Nasza księżna nie wzięła abonamentu, ale bywamy i tak, raz u jednej przyjaciółki naszej pani, inszy raz u drugiej, często na parterze w łoży księżnej Marii, też Guermantes, zamężnej za kuzynem naszego księcia. To jest siostra księcia bawarskiego... Więc pani wraca do siebie — mówił lokaj, który, mimo iż utożsamiając się z Guermantami, miał wszelako o „państwie” w ogólności informacje dyplomatyczne, pozwalające mu traktować Franciszkę z takim szacunkiem, co gdyby służyła u jakichś książąt. — Pani Franciszka ma dobre zdrowie.

— Ha! ha! gdyby nie te przeklęte nogi! Na dworze to jeszcze jakoś idzie (dworzem nazywał się dziedziniec, także ulice, gdzie Franciszka dość lubiła się przechadzać, słowem, równy teren), ale te przeklęte schodziska! Do widzenia panu, da się pan widzieć może jeszcze wieczór.

Franciszka pragnęła jeszcze rozmawiać z lokajem, zwłaszcza że ją pouczył, iż synowie diuków noszą często tytuł *prince*, który zachowują aż do śmierci ojca. Niewątpliwie, kult szlachty, skojarzony z pewnym duchem buntu i godzący się z nim zresztą, dziedziczny, wyssany z gleby Francji, musi być bardzo silny wśród ludu. Można było mówić Franciszce o geniuszu Napoleona lub o telegrafie bez drutu, przy czym zaledwie że słuchała z roztargnieniem i nie przerywała ani na chwilę czynności wybierania popiołu z kominka lub nakrywania do stołu; ale skoro tylko ktoś zeszedł na te właściwości, na przykład, że młodszy syn diuka de Guermantes nazywa się zazwyczaj księżę d'Oleron, wykrzykiwała: „To bardzo piękne!” i stawała olśniona niby przed witrażem.

Franciszka dowiedziała się też przez kamerdynera księcia d'Agrigente (który to kamerdyner zaprzyjaźnił się z nią, nosząc często listy do księżnej), że w istocie wiele się mówi w świecie o małżeństwie margrabiego do Saint-Loup z panną d'Ambresac i że to jest prawie postanowione.

Ta willa, ta łoża parterowa, w które pani de Guermantes przesączała swoje życie, wydawały mi się czymś nie mniej czarodziejskim niż jej apartamenty. Nazwiska Guise, Parma, Guermantes-Bavière wyróżniały spośród wszystkich innych wilegiatur³⁴ te, na

³³Henryk Orleański, księżę d'Aumale (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I, ostatniego monarchy Francji z rodu Burbonów. [przypis edytorski]

³⁴wilegiatura (daw.) — dłuższy wypoczynek na wsi. [przypis edytorski]

które udawała się księżna, oraz codzienne fety, które ślad kół karety wiązał z jej pałacem. O ile mi te nazwiska powiadały, że na tych wilegiaturach, na tych fetach spływa życie pani de Guermantes, nie objaśniały mi w niczym tego życia. Każda z nich dawała egzystencji księżnej inne przeznaczenie, ale wszystkie kazały jej jedynie zmieniać rodzaj tajemnicy, w niczym nie rozpraszając tej, w której przesuwała się, chroniona cienką ścianką, zamknięta, niby w naczyniu, pośród fal powszechnego życia. Księżna mogła jeść śniadanie nad Morzem Śródziemnym w czas karnawału, ale w willi księżnej de Guise, gdzie królowa paryskiego towarzystwa była — w swojej białej pikowej sukni, pośród licznych księżniczek krwi — jedynie gościem podobnym do innych, tym samym stawała się dla mnie jeszcze bardziej sobą, bardziej wzruszająca w tej metamorfozie, niby gwiazda baletu, która w jakiejś fantazyjnej figurze tanecznej zajmuje kolejno miejsce innych balerin; mogła oglądać chińskie cienie, ale na wieczorze księżnej Parmy; mogła słuchać tragedii lub opery, ale w parterowej łoży swej księżęco-bawarskiej kuzynki.

W ciele danej osoby lokalizujemy wszystkie możliwości jej życia, wspomnienie istot, które ona zna, z którymi dopiero co się rozstała lub z którymi ma się spotkać. Toteż kiedy dowiedziawszy się od Franciszki, że pani de Guermantes pójdzie pieszo na śniadanie do księżnej Parmy, ujrzałem ją koło południa, jak wychodzi z domu w cielistej atlasowej sukni, z twarzą o tym samym odcieniu, niby chmura o zachodzie słońca, widziałem przed sobą wszystkie rozkosze Faubourg Saint-Germain zamknięte niby w muszli w tej polerowanej skorupie z różowej perłowej masy.

Ojciec miał w ministerstwie przyjaciela, niejakiego A. J. Moreau, który, aby się odróżnić od innych Moreau, zawsze poprzedzał swoje nazwisko tymi inicjałami, tak że go nazywano w skrócie: „A. J.”. Otóż nie wiem, jaką drogą ów A. J. dostał fotel na galowe przedstawienie w Operze; ofiarował bilet ojcu, że zaś Berma, której nie widziałem na scenie od czasu mego pierwszego rozczarowania, miała grać akt *Fedry*³⁵, babka uprosiła, aby ojciec dał mi ten bilet.

Prawdę mówiąc, nie przywiązywałem żadnej wagi do tej możliwości usłyszenia Bermy, która kilka lat wprzód przyprawiła mnie o tyle wzruszeń. I nie bez melancholii stwierdziłem swoją obojętność na to, co byłbym niegdyś przełożył nad zdrowie i spokój. Nie znaczy to, aby moja żądza oglądania z bliska szacownych cząstek rzeczywistości, które odgadywała moja wyobraźnia, straciła na sile. Ale ta wyobraźnia nie mieściła ich już w dykcji wielkiej aktorki; od czasu wizyt u Elstira wiarę duchową, jaką pokładałem niegdyś w tej grze, w tragicznej sztuce Bermy, przenieśliśmy teraz na pewne tkaniny, na pewne współczesne obrazy; i dalibóg, odkąd moje pragnienie nie podsycalo już nieustannego kultu dykcji i póź Bermy, „duplikat” ich, jaki posiadałem w sercu, zwiędł po trochu, jak owe inne „duplikaty” nieboszczyków w starożytnym Egipcie, które trzeba było nieustannie karmić, aby podtrzymać ich życie. Ta sztuka stała się nikła i marna; nie było już w niej głębi, duszy.

W chwili gdy, korzystając z ojcowskiego biletu, wstępowałem po wielkich schodach Opery, spostrzegłem przed sobą człowieka, którego wziąłem zrazu za pana de Charlus. W istocie miał coś z niego; kiedy obrócił głowę, aby poprosić urzędnika o jakąś informację, ujrzałem, że się omylił; ale nie wahałem się pomieścić nieznanego w tej samej klasie społecznej, nie tylko ze sposobu ubrania, ale i ze sposobu, w jaki mówił do kontrolera i do przetrzymujących go bileterek. Bo, poza właściwościami indywidualnymi, była jeszcze w owej epoce bardzo wyraźna różnica między bogatym elegantem z tych kół arystokracji a wszelkim bogatym elegantem ze świata finansów lub wielkiego przemysłu. Tam gdzie jeden z tych ostatnich uważałby, że podkreśla swoją elegancję ostrym i wyniosłym tonem wobec niższych, wielki pan, łagodny, uśmiechnięty, robił wrażenie, że przywilej dobrego wychowania mieści w komedii pokory i cierpliwości, w udaniu, że jest po prostu pierwszym lepszym z widzów. Widząc tego wielkiego pana, pokrywającego dobrodusznym uśmiechem nieprzebyty próg specjalnego świata, jaki nosił w sobie, niejeden syn bogatego bankiera, wchodząc w tej chwili do teatru, wziąłby go może za byle kogo, gdyby w nim nie dojrzał zdumiewającego podobieństwa do świeżo w ilustrowanych pismach reproduktowanego portretu bratanka cesarza austriackiego, księcia saskiego, właśnie bawiącego w tej chwili w Paryżu. Wiedziałem, że ów książę jest wiel-

³⁵*Fedra* — klasycystyczna tragedia Jeana Racine’a (1639–1699). [przypis edytorski]

kim przyjacielem Guermantów. Zbliżywszy się do kontrolera, usłyszałem, jak książę saski (lub ten, którego zań brałem) powiada z uśmiechem: „Nie wiem numeru łoży, kuzynka mówiła mi, żebym po prostu spytał o jej łożę”.

Może to był książę saski; może to księżnę de Guermantes (którą w takim razie mógłbym ujrzeć w momencie jej niepojętego życia w parterowej łoży kuzynki) oczy jego widziały w myśli, kiedy mówił: „Kuzynka mówiła mi, żebym się tylko spytał o jej łożę”, tak że to uśmiechnięte i odrębne spojrzenie oraz te proste słowa głaskały mi serce na przemian mackami możliwego szczęścia i niepewnego uroku o wiele bardziej, niżby to zrobiło oderwane marzenie. W każdym razie, wymawiając te słowa, nieznajomy otwierał pospolitemu wieczorowi mego codziennego życia możliwe przejście do nowego świata; korytarzyk, który mu wskazano na słowa „parterowa łoża” i w który się zapuścił, był wilgotny i odrapany i zdawał się prowadzić do jakichś morskich grot, do mitologicznego królestwa nimf wodnych. Miałem przed sobą tylko pana we fraku, który się oddalał; ale puściłem nań, niby niezręcznym i błędzącym reflektorem, myśl, że to jest książę saski i że idzie do księżnej de Guermantes. I mimo że był sam, ta myśl, będąca czymś poza nim, niepochwytana, olbrzymia i przerywana na kształt projekcji, zdawała się go poprzedzać i prowadzić niby bóstwo towarzyszące greckiemu wojownikowi, niewidzialne dla reszty ludzi.

Udałem się na swoje miejsce, starając się odnaleźć w myśli jakiś wiersz *Fedry*, którego sobie dokładnie nie przypominał. Tak jak go sobie recytowałem, wiersz nie miał dostatecznej ilości stóp³⁶; ale ponieważ nie próbowałem ich policzyć, zdawało mi się, że nie ma żadnej wspólnej miary między jego nieforemnością a klasycznym wierszem. Nie dziwiłbym się, gdyby trzeba było odjąć więcej niż sześć sylab od tego monstualnego zdania, aby z niego uczynić wiersz dwunastostopowy. Ale nagle przypomniałem go sobie: nieublagane kanty nieludzkiego świata znikły jakby czarami, sylaby wypełniły natychmiast miarę aleksandrynu³⁷, to, co w nim było zbyteczne, ulotniło się swobodnie i łatwo, niby bańka powietrza pękająca na powierzchni wody. I w istocie, ta potworność, z którą walczyłem, to była tylko jedna stopa.

Pewną liczbę foteli parterowych oddano do sprzedaży w kasie; zakupili je snobi lub ciekawscy, żądni oglądać ludzi, których inaczej nie mieliby sposobności widzieć z bliska. I w istocie trochę z ich prawdziwego życia światowego, zazwyczaj ukrytego, można było oglądać publicznie, bo księżna Parmy sama rozdała między swoich przyjaciół łoże i balkony, tak iż widownia była niby salon, gdzie każdy krążył, przysiadając się to tu, to tam koło jakiejś znajomej damy.

Obok mnie siedzieli zwykli ludzie, którzy nie znając abonujących łoże, chcieli okazać, że ich poznają, i wymieniali ich głośno. Dodawali, że ci wybrańcy przychodzą tu jak do salonu; chcieli przez to powiedzieć, że nie zwracają uwagi na scenę. Ale właśnie było przeciwnie. Genialny student, który kupił fotel, chcąc ujrzeć Bermę, myśli tylko o tym, żeby nie powalać rękawiczek, nie zawadzać, zyskać sympatię przygodnego sąsiada, ścigać uśmiechem jakieś przelotne spojrzenie, unikać z niegrzeczną miną wzroku znajomej osoby, którą odkrył w sali i którą po tysiącznych wahaniach decyduje się odwiedzić w chwili, gdy trzy uderzenia rozlegające się, zanim tam dotarł, zmuszają go do ucieczki niby Hebrajczyków przez Morze Czerwone między wzburzonymi falami widzów, których poruszył z miejsca i którym drze suknie lub depce po nogach. Wręcz przeciwnie ludzie światowi: ci byli w swoich łożach za balkonem jak w małych wiszących salonikach, z których jedną ścianę usunięto, lub jak w kawiarni, dokąd gość zachodzi napić się czegoś, nieonieśmielony lustrami w złotych ramach ani czerwonymi krzesłami lokalu w stylu neapolitańskim; i dlatego że wspierali się obojętną ręką o złożone słupy kolumn podtrzymujących tę świątynię sztuki, dlatego że nie byli wzruszeni nadmiernymi honorami, jakie zdawały się im oddawać dwie rzeźbione figury, wyciągające ku łożom gałęzie palm i laurów, oni jedni mieliby swobodę ducha na słuchanie sztuki — gdyby tylko mieli inteligencję po temu.

³⁶stopa — tu: najmniejsza jednostka miary rytmicznej wiersza. [przypis edytorski]

³⁷aleksandryn (lit.) — forma wierszowa, w której szósta sylaba wersu i szósta sylaba po średniówce stanowią ostatnie sylaby akcentowane półwersów; aleksandrynem pisze się utwory o charakterze heroicznym, np. tragedie czy epeje. [przypis edytorski]

Najpierw były tylko mgliste ciemności, w których spotykało się nagle, niby błysk niewidocznego drogiego kamienia, fosforescencją pary sławnych oczu, lub — niby medalion Henryka IV³⁸ odcinający się na czarnym tle — wydatny profil księcia d'Aumale, do którego niewidzialna dama krzyczała: „Niech Wasza Wysokość pozwoli sobie zdjąć palto”, na co księżę odpowiadał: „Ale nie, cóż znowu, pani d'Ambresac”. Mimo słabej obrony dama postawiła na swoim i wszyscy zazdrościli jej tego honoru.

Ale w innych parterowych łóżach białe boginie, zamieszkujące te mroczne miejsca, prawie wszędzie schroniły się pod ciemne ściany, pozostając niewidzialne. Jednakże w miarę trwania spektaklu mglisto ludzkie ich kształty wylaniały się miękko jeden po drugim z głębin nocy, którą wyścielały, i wychylając się ku światłu, ukazywały ich pół nagie ciała. Ciała te zatrzymywały się na prostopadłej granicy i na półmroczonej powierzchni, gdzie lśniące twarze jawiły się poza roześmianym, pianistym i lekkim szelestem pierzastych wachlarzy, pod gęstwą usianych perłami purpurowych włosów, jak gdyby sfalowanych przypliwem; potem zaczynały się fotele parterowe, siedziba śmiertelników na zawsze oddzielona od ciemnego i przezroczystego królestwa, dla którego tu i ówdzie tworzyły granicę, swoją płynną i pełną powierzchnią, jasne i zwierciadlane oczy bogiń wód. Bo nadbrzeżne straponteny³⁹, kształty potworów z parteru odbijały się w tych oczach jedynie wedle praw optyki i wedle swego kąta nachylenia, tak jak się dzieje z tymi dwiema dziedzinami rzeczywistego świata, do których — świadomi, że nie posiadają nawet w prymitywnym zarodku duszy podobnej do naszej — uważalibyśmy za szaleństwo zwracać uśmiech lub spojrzeć: minerałami i osobami, które nam nie były przedstawione. To była granica ich królestwa; w głębi natomiast promienne córki mórz obracały się co chwilę, uśmiechając się do brodatych trytonów⁴⁰ wtłoczonych w zaułki groty lub do jakiegoś wodnego półboga, mającego jako czaszkę gładki kamień, który fala opłotła oślizgła algą, a jako oko krążek skalnego kryształu. Przeginały się ku nim, częstowały ich cukierkami; czasem fala rozwierała się dla nowej nereidy⁴¹, która spóźniona, uśmiechnięta i zawstydzona, wykwiwała z ciemności; po czym, po skończonym akcie, nie spodziewając się już usłyszeć melodyjnych odgłosów ziemi, które je ściągnęły na powierzchnię, te tak różne siostrzyce, dając nurka wszystkie naraz, znikają w mroku. Ale ze wszystkich tych schronień, na których próg sprowadzała ciekawe i niedostępne boginie błaha chęć ujżenia dzieł ludzkich, najślawniejszy był blok półmroku znany jako łoża księżnej Marii de Guermantes-Bavière.

Niby można bogini, z dała przodująca igraszkom pomniejszych bóstw, księżna Maria umyślnie siedziała nieco w głębi, na bocznej kanapie, czerwonej jak ławica koralu, obok szerokiego szklistego odbłasku, który był prawdopodobnie lustrem i który budził pojęcie jakiegoś prostopadłego, mrocznego i płynnego wycinka, dokonanego przez promień w olśnionym kryształach wód. Wielki biały kwiat — zarazem pióro i kielich, jak pewne morskie wodorosty — puszysty jak skrzydło, spływał z czoła księżnej po policzku, którego zarys obejmował z zalotną, miłosną i żywą miękkością, tuląc go niby różowe jajko w przytulnym gniazdku alcjona⁴². Na włosach księżnej, schodząc aż do brwi, potem jawiąc się niżej na wysokości piersi, rozpościerała się siatka z białych muszelek, które łowi się w pewnych morzach południowych, a które były pomieszane z perłami; mozaika morska, ledwo wyłoniona z fal i chwilami zanurzająca się w cieniu, w którego głębi nawet wówczas zdradzała obecność ludzką olśniewająca żywość oczu księżnej. Piękność, która wynosiła ją o wiele ponad inne bajeczne córki mroku, nie była cała materialnie i wyłącznie wypisana w jej karku, barkach, ramionach, kibici. Ale rozkoszna i niedokończona linia tej postaci była jakby punktem wyjścia, bezawodną przynętą niewidzialnych linii, które oko przedłużało mimo woli, cudownych linii zrodzonych dokoła kobiety niby rzucone na ciemności widmo idealnego kształtu.

³⁸Henryk IV (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

³⁹strapontena (z fr.) — składane siedzenie, oszczędzające miejsce; dostawka. [przypis edytorski]

⁴⁰tryton (mit. gr.) — bóstwo morskie z orszaku Posejdona, o tułowiu człowieka i rybim ogonie. [przypis edytorski]

⁴¹nereidy (mit. gr.) — nimfy morskie, córki boga morskiego Nereusa. [przypis edytorski]

⁴²alcjon (mit. gr.) — ptak, w którego została zamieniona Alkione (łac. Alcyone) i który buduje swoje gniazdo na plaży w okresie spokoju na morzu; zimorodek. [przypis edytorski]

— To księżna Maria de Guermantes — rzekła do towarzyszącego jej pana moja sąsiadka, akcentując przesadnie słowo „księżna” dla zaznaczenia, że ten tytuł wydaje się jej śmieszny. — Nie żałowała sobie pereł. Zdaje mi się, że gdybym miała ich tyle, nie robiłabym takiej wystawy; nie uważam, aby to było w dobrym guście.

A jednak, poznając księżnę Marię, wszyscy ci, co starali się dojrzeć, kto jest na sali, uczuli, że się w ich sercu wznosi prawy tron piękności. W istocie, co się tyczyło księżnej de Luxembourg, pani de Morienval, pani de Saint-Euverte i tylu innych, szczegółem pozwalającym zidentyfikować ich twarz było spotkanie się dużego czerwonego nosa z zającą wargą lub dwóch namarszczonych policzków z małym wąsikiem. Te rysy wystarczały zresztą, aby czarować, ponieważ, mając jedynie konwencjonalną wymowę alfabetu, pozwalały odczytać sławne i imponujące nazwisko; ale w końcu rodziły myśl, że brzydota jest czymś arystokratycznym i że zbyteczne jest, aby twarz wielkiej damy — o ile jest dystygowana — była piękna. Ale jak niektórzy artyści zamiast liter własnego nazwiska kreślą pod swoim obrazem kształt piękny sam przez się — motyla, jaszczurkę, kwiat — tak samo księżna Maria ukazywała w swojej łoży wspaniałe ciało i uroczą twarz, dając tym dowód, że piękność może być najszlachetniejszym podpisem; obecność bowiem pani de Guermantes, zapraszającej do teatru jedynie osoby ze swego najbliższego kółka, była w oczach miłośników arystokracji najlepszym świadectwem autentyczności obrazu, jaki przedstawiała jej łoża, wizja zwykłego a odrębnego życia księżnej w jej pałacu w Monachium i w Paryżu.

Wyobraźnia nasza jest niby popsuta katarynka, która gra zawsze coś innego niż zapowiedzianą melodię; toteż za każdym razem, kiedym usłyszał nazwisko księżnej de Guermantes-Bavière, zaczynało śpiewać we mnie wspomnienie pewnych dzieł z XVI wieku. Trzeba mi ją było odrzeć z tego wspomnienia teraz, kiedym ją widział częstującą cukierkami grubego pana we fraku. Zapewne, daleki byłem mimo to od wniosku, że ona i jej goście to są istoty podobne innym. Rozumiałem dobrze, że to, co oni robią, to tylko gra, i że — jako preludium do scen swego prawdziwego życia (którego najważniejszą część przeżywali z pewnością nie tutaj) — regulują swoje postęпки wedle nieznanym mi obzędów, udają, że się częstują cukierkami lub odmawiają ich, czyniąc gesty pozbawione znaczenia, unormowane z góry, niby krok tancerki, która na przemian staje na palcach lub krąży dokoła szarfy. Kto wie, w chwili gdy bogini ofiarowywała te cukierki, powiadała może ironicznie (bo widziałem, że się uśmiecha): „Czy pozwoli pan cukierka?”. Cóż mi to znaczyło? Ujrzałbym rozkoszne wyrafinowanie w celowej oschłości (*à la*⁴³ Mérimée⁴⁴ lub *à la* Meilhac⁴⁵) tych słów skierowanych przez boginię do półboga, który wiedział, jakie wzniosłe myśli pokrywają oboje, chowając je z pewnością na chwilę, gdy złączą znów żyć prawdziwym życiem; i podejmując zabawę, odpowiadał z tą samą dyskretną finezją: „Owszem, proszę o wisienkę”. I byłbym słuchał tego dialogu równie chciwie, co jakiejś sceny z *Męża debiutantki*, gdzie brak poezji i wielkich myśli — rzeczy dla mnie tak potocznych, które, przypuszczam, Meilhac byłby tysiąc razy zdolny tam włożyć — zdawał mi się sam przez się elegancją, elegancją umowną i przez to samo tym bardziej tajemniczą i pouczającą.

— Ten gruby to margrabia de Ganançay — rzekł z dobrze poinformowaną miną mój sąsiad, który źle usłyszał szepnięte za nim nazwisko.

Margrabia de Palancy, z wyciągniętą szyją, z przekrzywioną twarzą, z wielkim okiem przyklepionym do monokla, przesuwał się z wolna w przejrzystym cieniu, zdając się tak samo nie widzieć publiczności z fotelów, jak ryba przepływająca poza oszkloną ścianą akwarium. Chwilami zatrzymywał się, czcigodny, sapiący i obrosły mchem, przy czym widzowie nie mogliby powiedzieć, czy on cierpi, śpi, pływa, znosi jajko lub tylko oddycha. Nikt nie budził we mnie takiej zazdrości jak on dla przywilejów, jakimi zdawał się cieszyć w tej łoży, oraz obojętności, z jaką pozwalał księżnej częstować się cukierkami; obejmowała go wówczas spojrzeniem swoich pięknych oczu wyciętych w diamencie, ogarniających go w tej chwili inteligencją i przyjaźnią. Oczy te, kiedy były spokojne, ograniczały się do swojej czystej materialnej piękności, do samego mineralnego blasku, ale o ile najmniejszy

⁴³*à la* (fr.) — na sposób, w stylu. [przypis edytorski]

⁴⁴Mérimée, Prosper (1803–1870) — francuski dramaturg, pisarz. [przypis edytorski]

⁴⁵Meilhac, Henri (1831–1897) — francuski dramaturg i librecista; autor m.in. komedii *Le Mari de la débutante* (*Mąż debiutantki*, 1879). [przypis edytorski]

odruch poruszył je lekko, rozpały głębie sali niehumanymi, horyzontalnymi i wspaniałymi ogniami.

Jednakże ponieważ akt *Fedry*, który grała Berma, miał się rozpocząć, księżna wysunęła się na przód łoża; wówczas, jak gdyby ona sama była teatralnym zjawiskiem, ujrzałem, iż w odmiennej strefie światła, którą przebyła, zmienia się nie tylko barwa, ale materiał jej strojów. I w łożu osuszonej, wyłonionej z oceanu, nienależącej już do świata wód, księżna, przestając być nereidą, ukazała się w białym i błękitnym turbanie niby jakaś cudowna tragiczka ukostiumowana na Zairę lub może na Orosmana⁴⁶; po czym, kiedy usiadła w pierwszym rzędzie, ujrzałem, iż przytulne gniazdko alcjona, tkliwie chroniące różową perłową masę jej policzków, to był — mięciutki, lśniący i jedwabisty — olbrzymi rajska ptak.

Wśród tego oczy moje odciągnęła od łoża księżnej Marii kobieta drobna, źle ubrana, brzydka, z płomiennymi oczami, która w towarzystwie dwóch młodych ludzi siedła o kilka miejsc ode mnie. Potem kurtyna się podniosła. Nie bez melancholii stwierdziłem, że nic mi już nie zostało z dawniejszych nastrojów, kiedy to — aby nic nie stracić z nadzwyczajnego zjawiska, które byłbym pospieszył oglądać na koniec świata — trzymałem duszę w pogotowiu, niby owe czule klisze, które astronomowie instalują w Afryce, na Antylach, dla ścisłej obserwacji komety lub zaćmienia; kiedym drżał, aby jakaś chmura (niedyspozycja artystki, zachowanie się publiczności) nie przeszkodziła widowisku osiągnąć maksimum nasilenia; kiedy bym uważał, że nie oglądam go w najlepszych warunkach, gdybym się nie znalazł w tym właśnie teatrze, poświęconym jej na kształt ołtarza, do którego włączałem wówczas (mimo iż jako uboczną część jej zjawienia się pod czerwoną kotarą) mianowanych przez nią kontrolerów z białymi goździkami, podmurowanie nawy nad parterem pełnym ludzi źle ubranych, bileterki sprzedające program z jej fotografią, kasztaniarzy ze skweru, wszystkich tych towarzyszy, tych powierników moich ówczesnych wrażeń, którzy mi się zdawali od nich nieodłączni. *Fedra*, „scena oświadczyń”, Berma, wszystko to miało wówczas dla mnie rodzaj absolutnego istnienia. Pomieszczone poza bieżącym światem, zjawiska te istniały same przez siebie, trzeba mi było iść ku nim, aby z nich przeniknąć, ile się da, a otwierając na oścież oczy i duszę, jeszcze wchłonałbym bardzo mało. Ale jak życie wydawało mi się przyjemne! Czczotki dni, które pędziłem, nie miała żadnej wagi, niby chwile, w których się człowiek ubiera, gotuje do wyjścia, skoro poza tym istniały w sposób absolutny — dobre a trudno dostępne, niemożliwe do całkowitego posiadania — owe trwalsze realności, *Fedra*, gra Bermę. Nasycony tymi marzeniami o doskonałości sztuki dramatycznej, których można by wówczas wydobyć znaczną dawkę, gdyby się w owej dobie, o którejkolwiek minucie dnia, a może nocy, zanalizowało mój umysł, byłem niby stos Volty⁴⁷ wyladowujący elektryczność. I przyszła chwila, w której, nawet będąc chory, nawet gdybym miał to przypłacić życiem, musiałem zobaczyć Bermę. Ale teraz, niby pagórek, który z daleka wydaje się z lazuru, a z bliska wsiąka w nasze pospolite widzenie przedmiotów, wszystko to opuściło świat absolutu i było już tylko rzeczą podobną do innych, którą przyjmowałem do świadomości, ponieważ byłem tam obecny; artyści byli ludźmi z tej samej materii co moi znajomi, starali się mówić możliwie najlepiej te wiersze z *Fedry*, które też nie były już wzniosłą i indywidualną, odrębną od wszystkiego istnością, ale mniej lub więcej udatnymi wierszami, gotowymi utonąć w olbrzymiej masie francuskich wierszy, z którymi się mieszały. Zniechęcenie moje było tym głębsze, że o ile przedmiot mojego upartego i czynnego pragnienia już nie istniał, w zamian za to wciąż istniała ta sama skłonność do opętania marzeniem, zmieniającym się z roku na rok, ale wiodącym mnie do nagłego wybuchu niedbającego na niebezpieczeństwa. Jakiś dzień, kiedy będąc chory, wybrałem się, aby oglądać w pewnym zamku obraz Elstira lub średniowieczny kobierzec, tak bardzo podobny był do dnia, gdy miałem jechać do Wenecji lub kiedym poszedł oglądać Bermę, lub pojechałem do Balbec, że z góry czułem, iż obecny przedmiot mojej ofiary zostawi mnie po niedługim czasie obojętnym, tak iż mógłbym wówczas przejeżdżać bardzo blisko, a nie wstąpić, aby obejrzeć ów obraz lub kobierzec, dla których byłbym się w danej chwili naraził na tyle bezsensownych nocy, na tyle bolesnych ataków choroby.

⁴⁶*Zaira, Orosman* — bohaterowie tragedii Woltera *Zaire* (1732). [przypis edytorski]

⁴⁷*stos Volty* — ogniwo galwaniczne, wytwarzające prąd dzięki reakcjom chemicznym zachodzącym między elektrodą a elektrolitem, wynalazek Alessandra Volty. [przypis edytorski]

Oceniałem czczość swego wysiłku z niestałości jego przedmiotu, a równocześnie czułem jego ogrom, w który wprzód nie wierzyłem. Byłem jak owi neurastenicy, których zmęczenie zdwaja się, skoro im zwrócić uwagę, że są zmęczeni. Na razie zaduma moja dawała urok wszystkiemu, co się z nią mogło wiązać. I nawet w moich najbardziej cielesnych pragnieniach, zawsze zwracających się w pewną stronę, skupionych dokoła tego samego marzenia, jako pierwszą pobudkę mógłbym rozpoznać ideę, ideę, dla której poświęciłbym życie, a w której centralnym punkcie — jak w moich marzeniach w czasie popołudniowych lektur w ogrodzie w Combray — było pojęcie doskonałości.

Nie miałem już tej samej co niegdyś pobłażliwości dla trafnych akcentów tkliwości lub gniewu, jakie zauważyłem wówczas w deklamacji i w grze Arycji, Ismeny i Hipolita. Nie znaczy to, aby ci artyści — byli to ci sami co wtedy — nie starali się, wciąż z tą samą inteligencją, dać tu swemu głosowi intonacji pieśniodoty lub celowej dwuznaczności, ówdzie swoim gestom tragicznego dostojeństwa lub błagalnej słodyczy. Akcenty ich nakazywały temu głosowi: „Bądź słodki, śpiewaj jak słowik, pieść” lub przeciwnie: „Bądź wściekły”; wówczas rzucały się na ten głos, starając się porwać go swoją furią. Ale oporny głos pozostawał niewzruszenie ich naturalnym głosem, z jego materialnymi brakami lub urokami, z jego codzienną pospolitością lub przesadą, i tworzył zespół akustycznych lub socjalnych przejawów, których nie zmieniło poczucie recytowanych wierszy.

Toż sam gest tych artystów powiadał ich rękami, ich płaszczowi: „Bądźcie majestacytni”. Ale nieusłuchane członki pozwalały się — między ramieniem a łokciem — puszyc bicepsom niemającym pojęcia o roli; nadal wyrażały błahość potocznego życia oraz wydobywały na światło, w miejsce Racine’owych⁴⁸ harmonii, węzły mięśniowe; draperia, którą podnosiły, opadała po linii pionowej, przy czym z prawami ciężkości walczyła jedynie martwa lekkość materii. W tej chwili damulka siedząca koło mnie wykrzyknęła:

— Ani jednego brawa! I jak ona się wysztafirowała! Ależ ona jest za stara, już nie może; w takich razach nie trzeba się upierać!

Wobec psykań publiczności dwaj młodzi ludzie, którzy towarzyszyli tej pani, starali się ją uspokoić; jakoż wściekłość jej wyrażała się już tylko oczami. Wściekłość ta mogła zresztą godzić jedynie w powodzenie, w sławę, bo Berma, która zarabiała tyle pieniędzy, miała tylko długi. Naznaczając wciąż zawodowe lub przyjacielskie spotkania, na które się nie mogła stawić, wysyłała na wszystkie strony groomów⁴⁹ biegających, aby ją usprawiedliwić; w hotelach miała pozamawiane apartamenty, z których nigdy nie korzystała; oceany perfum dla kąpania suczek, ciężar odszkodowań płaconych wszystkim dyrektorom. W braku kosztów znaczniejszych a mniej rozkoszliwych niż wydatki Kleopatry, potrafiłaby strwonić prowincje i królestwa na telegramy i dorożki. Ale owa damulka to była aktorka, której się nie powiodło w karierze i która powzięła śmiertelną nienawiść do Berny.

Berma weszła właśnie na scenę. I wówczas, o cudzie! jak owe lekcje, których obkuwaniem wyczerpaliśmy się do szczytu wczoraj wieczór, a które odnajdujemy w sobie umiane na pamięć, kiedyśmy się przespali; jak owe twarze zmarłych, które ścigaliśmy namiętnym wysiłkiem pamięci, nie mogąc ich odnaleźć, a które — kiedy już o nich nie myślimy — jawią się przed naszymi oczami, łudząco żywe, tak talent Berny, który uciekał przede mną, kiedyśmy się silił pochwycić jego istotę, teraz, po latach zapomnienia, w tej godzinie obojętności, narzucał się z całą oczywistością memu podziwowi. Niegdyś, starając się wyodrębnić ten talent, potraçałem niejako z tego, com słyżał, samą rolę — rolę, wspólną własność wszystkich aktorek grających Fedrę — którą przestudiowałem z góry, aby ją wyeliminować, aby zebrać jako resztę jedynie talent Berny. Ale ten talent, który starałem się uchwycić poza rolę, stapiał się z nią w jedno. Tak jak gra wielkiego muzyka (zdaje się, że tak było u Vinteuila, kiedy grał na fortepianie) jest grą tak wielkiego pianisty, że nawet się już nie wie, czy ten artysta jest w ogóle pianistą, ponieważ (nie narzucając całego aparatu wysiłków mięśniowych, tu i ówdzie uwieńczonych świetnym efektem, całego tego prysznicu nut, w którym słuchacz, nie wiedząc, czego się trzymać, sądzi bodaj, że znalazł talent w jego fizycznej rzeczywistości, dotykalny) ta gra stała się przejrzysta, tak nasyciona tym, co odtwarza, że już się jej samej nie widzi, jest tylko oknem

⁴⁸Racine, *Jean Baptiste* (1639–1699) — wybitny francuski dramaturg, autor tragedii opartych na motywach klasycznych i biblijnych. [przypis edytorski]

⁴⁹grum a. groom (ang.) — chłopiec stajenny opiekujący się końmi. [przypis edytorski]

na arcydzieło. Mogłem rozpoznać intencje okalające niejako majestatycznym lub subtelnym szlakiem głos i mimikę Arycji, Ismeny, Hipolita; ale Fedra wcieliła je w siebie, tak że moja świadomość nie mogła już oderwać od dykcji i od póż, nie mogła w oszczędnej prostocie ich gładkich powierzchni dostrzec owych odkryć, owych efektów, które nie przekraczały tych intencji, tak głęboko były w nich zawarte. Głos Bermy, w którym nie istniała już żadna resztką bezczulej i odpornej duchowi materii, nie pozwalał dostrzec dokoła niej tego nadmiaru łez, które widziało się spływające po marmurowym głosie Arycji i Ismeny, ponieważ nie mogły w ten głos wsiąknąć; jej głos był delikatnie spulchniony w swoich najdrobniejszych komórkach, niby instrument wielkiego skrzypka, u którego, kiedy się mówi, że ma piękny ton, chwali się nie fizyczną właściwością, ale bogactwo duszy; i niby w antycznym krajobrazie, gdzie w miejsce nimfy, która pierzchła, znajduje się nieożywione źródło, rozpoznawalna i konkretna intencja zmieniała się tu w jakąś właściwość dźwięku, o czystości idealnie dostrojonej i zimnej. Ramiona Bermy, które sam wiersz — tą samą emisją, która wyrzucała głos z jej ust — podnosił na jej piersi niby liście poruszane spływaniem wody; poza jej, którą stworzyła sobie pomału i którą miała zmienić jeszcze, powstała z refleksji o ileż głębszych niż te, których ślad spostrzegano się w gestach jej koleżanek, ale z refleksji, co straciwszy swój świadomy początek, stopione w jakimś promieniowaniu dokoła osoby Fedry, wprawiały w drganie bogate i złożone składniki, które urzeczony widz brał nie za zdobycz artysty, lecz za element życia; same te białe zasłony, wycieńczone i wierne, zdawały się żywą materią, jak gdyby były utkane przez na wpół pogańskie, na wpół jansenistyczne⁵⁰ cierpienie, dokoła którego kurczyły się na kształt kruchego i zziębniętego kokona; wszystko to, głos, pozy, gesty, zasłony, tworzyły jedynie dodatkowe powłoki dokoła tego ciała myśli, jakim jest wiersz (ciała, co na wspaniałym ciałem ludzkim nie jest dla duszy ciemną zaporą, niepozwalającą jej spostrzec, ale jest niby oczyszczona i ożywiona szata, w której się ona rozpuszcza i gdzie się ją odnajduje). Owe powłoki zamiast ukrywać tę myśl uwydatniały wspaniałe duszę, która sobie przyswoiła te wiersze i która się w nich rozlała; były jedynie stopem różnych substancji, obecnie przezroczystych, których nawarstwienie bogaciej jedynie odbija uwięziony w nich centralny promień, przechodzący je na wskroś i czyniący rozciąglejszą, cenniejszą i piękniejszą nasyoną płomieniem materię, którą jest spowity. W ten sposób kreacja Bermy tworzyła dokoła dzieła drugie dzieło, również ożywione geniuszem.

Moje wrażenie — szczerze mówiąc, miłsze od dawniejszego — nie było odmienne. Jedynie nie konfrontowałem go już z uprzednim abstrakcyjnym i fałszywym pojęciem geniuszu dramatycznego; rozumiałem, że geniusz dramatyczny to właśnie to. Myślałem przed chwilą, że jeżeli nie czułem przyjemności za pierwszym razem, kiedy słyszałem Berme, to dlatego że, jak niegdyś, kiedy ujrzałem Gilbertę na Polach Elizejskich, zbliżałem się do niej z nazbyt wielkim upragnieniem. Między tymi dwoma zawodami istniało może nie tylko to jedno podobieństwo, ale także inne, głębsze. Wrażenie, jakie na nas sprawia dana osoba, dane dzieło (lub interpretacja) o silnie zarysowanej odrębności, ma coś swobodnego. Przynieśliśmy z sobą pojęcie „piękna”, „szerokości stylu”, „patetyczności”, których mogliśmy się od biedy dopatrzeć w banalności jakiegoś poprawnego talentu lub twarzy; ale tu nasz wyczekujący duch spotyka się z naciskiem formy, której równoważnika intelektualnego nie posiada, z której trzeba mu wydobyć nieznanne. Słyszy ostry dźwięk, dziwnie pytającą intonację. Zastanawia się: „Czy to, czego doznaję, jest piękne? Czy to jest podziw? Czy to jest bogactwo kolorytu, szlachetność, siła?”. I odpowiada mu na nowo ostry głos, dziwnie pytający ton, despotyczne wrażenie wywołane przez nieznaną nam, całkowicie materialną istotę, w której nie zostało żadnego marginesu na „szerokość interpretacji”. I dlatego dzieła naprawdę piękne, jeżeli ich szczerze słuchamy, muszą nam sprawiać największy zawód, ponieważ w zbiorze naszych pojęć żadne nie odpowiada wrażeniu indywidualnemu.

Tego właśnie dowodziła mi gra Bermy. Tak, to było to — szlachetność, inteligencja dykcji. Teraz zdawałem sobie sprawę z walorów szerokiej, poetycznej, potężnej interpretacji; lub raczej to było coś, czemu zgodzono się dawać te przydomki, ale tak jak się daje miano Marsa, Wenery, Saturna gwiazdom niemającym nic mitologicznego. Czuj-

⁵⁰jansenistyczny — taki jak w jansenizmie, katolickim ruchu duchowo-teologicznym funkcjonującym we Francji w XVII–XVIII w., inspirowanym pesymistyczną koncepcją natury ludzkiej. [przypis edytorski]

my w jednym świecie, a myślimy i nazywamy w drugim; możemy ustalić między nimi zgodność, ale nie możemy zapełnić dzielącej ich przestrzeni. To bardzo mało ta przestrzeń, ta szczelina, którą musiałem przebyć pierwszy raz, widząc i słysząc Bermę, kiedy, wysłuchawszy jej z całym napięciem, z niejakim trudem siłilem się wrócić do swoich pojęć o „szlachetnej interpretacji”, o „oryginalności”; wybuchłem oklaskami dopiero po chwili pustki i tak jakby się one zrodziły nie z samego mojego wrażenia, ale jakbym je wiązał do swoich uprzednich pojęć, do przyjemności, jaką znajdowałem w tej myśli: „Słyszę wreszcie Bermę”. I ta sama różnica, jaka istnieje między jakąś osobą lub silnie indywidualnym dziełem a pojęciem piękności, istnieje w nie mniejszym stopniu między zbudzonymi przez nie uczuciami a pojęciem miłości i podziwu. Toteż nie poznaje się ich. Nie odczułem przyjemności, słysząc Bermę (tak samo jak nie odczuwałem jej niegdyś, widząc Gilbertę). Powiedziałem sobie: „Zatem nie podziwiam jej”. Ale myślałem wówczas jedynie o tym, aby zgłębić grę Bermy, byłem pochłonięty tylko tym, starałem się otworzyć swoją myśl możliwie najszerzej, aby przyjąć całą zawartość tej gry. Rozumiałem teraz, że to właśnie znaczyło: podziwiać.

Ów geniusz, którego gra Bermy była tylko objawieniem, czy to był tylko geniusz Racine’a?

Tak zrazu myślałem. Miałem wyjść z błędu po skończeniu aktu *Fedry*. W czasie owacji publiczności stara aktorka, wściekła, prężąc swoją drobną postać, siedząc bokiem z martwą twarzą, skrzyżowała ręce na piersiach, aby pokazać, że nie wtóruje oklaskom, aby jaskrawiej uwydatnić protest, w jej poczuciu sensacyjny, a w istocie niezauważony przez nikogo. Następną sztuką to była nowość z gatunku tych, które niegdyś zdawały mi się dla braku rozgłosu błahę, przemijające, jako że pozbawione pozascenicznego istnienia. Ale nie miałem, jak przy utworze klasycznym, tego zawodu, iż wieczność arcydzieła zajmuje jedynie długość rampy oraz czas spektaklu, w którym odmawia się je niby okolicznościową modlitwę. Następnie w każdej tyradzie, przy której czułem, że ją publiczność lubi, i która miała być kiedyś sławna, niedostatek jej sławy w przeszłości uzupełniałem sławą, jaką uzyska w przyszłości. Był to wysiłek myśli odwrotny do tego, który polega na wyobrażeniu sobie arcydzieła w chwili jego nikłych narodzin, kiedy jego tytuł, nigdy jeszcze niesłyszany, nie zapowiadał, iż znajdzie się kiedyś stopiony w tym samym świetle, obok tytułów innych dzieł autora. I że ta rola znajdzie się kiedyś na liście najpiękniejszych ról Bermy, obok roli Fedry. Nie iżby sama w sobie sztuka posiadała jakąś wartość literacką; ale Berma była w niej równie wspaniała jak w *Fedrze*. Zrozumiałem wówczas, że dzieło pisarza jest dla aktorki tylko materiałem — niemal obojętnym w sobie — dla stworzenia arcydzieła interpretacji, tak jak wielki malarz, którego poznałem w Balbec, Elstir, dla dwóch jednak pięknych obrazów znalazł temat w banalnym budynku szkolnym i w katedrze, która jest sama przez się arcydziełem. I jak malarz rozpuszcza dom, wóz, osoby w fali światła, która je stapia w jedno, tak Berma rozpościerała szerokie całuny grozy, tkliwości na słowach stopionych w jedność, wszystkich jednak zmatowanych lub podciągniętych, a które mierna artystka byłaby wygrywała kolejno, jedno po drugim. Bez wątpienia, każde z nich miało własny akcent i dykcja Bermy nie przeszkadzała czuć w nich wiersza. Czyż to nie jest już pierwszy element uporządkowanej złożoności, to znaczy piękna, kiedy słysząc rym — to znaczy coś, co jest zarazem jednakie i inne niż rym poprzedzający, umotywowane tamtym, ale wnoszące weń różnaitość nowego pojęcia — czujemy dwa wznoszące się na sobie systemy, jeden myślowy, drugi metryczny? Ale Berma wprowadzała słowa, nawet wiersze, nawet „tyrady” w obszerniejsze od nich zespoły; cudowne było widzieć, jak na ich granicy muszą się zatrzymać, przerwać sobie; tak poeta znajduje przyjemność w tym, aby zawiesić na chwilę przed rymem słowo mające wzlecieć, a muzyk, aby splecać rozmaite słowa tekstu we wspólnym rytmie, który je gwałci i porywa. Tak, w dialog nowoczesnego autora czy w wiersze Racine’a Berma umiała wprowadzić owe szerokie obrazy bólu, dostojeństwa, namiętności, będące jej własnym arcydziełem, i w których poznawało się ją, tak jak poznaje się malarza w portretach malowanych z rozmaitych modeli.

Nie byłbym już pragnął, jak niegdyś, unieruchomić póż Bermy, pięknego kolorystycznego efektu, jaki stwarzała przez chwilę tylko w przelotnym i niepowracającym oświetleniu, ani też kazać jej sto razy powtarzać jednego wiersza. Rozumiałem, że moje

dawniejsze pragnienie było bardziej wymagające niż wola poety, aktorki, wielkiego artysty dekoratora i że ten urok rozlany błyskawicznie na jakimś wierszu, te wciąż zmieniające się i nieuchwytnie pozy, te kolejne obrazy to był ulotny rezultat, doraźny cel, ruchome arcydzieło, które zakłada sobie sztuka teatralna, a które uwaga zbyt gorliwego miłośnika zniweczyłaby, siłąc się je utrwalić. Nie zależało mi nawet na tym, aby jeszcze kiedyś znów usłyszeć Bermę; byłem nią nasycony; niegdyś, kiedyś zanadto podziwiał, tym samym będąc skazany na zawód (czy przedmiotem podziwu była Gilberta, czy Berma), z góry od jutrzejszego wrażenia żądałem rozkoszy, jakiej mi nie dało wrażenie wczorajsze. Nie starając się zgłębić doznanej radości, z której dałoby się może uczynić płodniejszy użytek, powiadałem sobie, jak kiedyś jeden z moich kolegów: „Nie ma co, Bermie daję piątkę”, czując mglisto, że ten wyraz mojego wyboru i to pierwsze miejsce, mimo całego ukojenia, jakie mi przynosi, nie tłumaczą może zbyt dokładnie talentu Bermy.

W chwili gdy się zaczęła druga sztuka, spojrzałem w stronę łoży pani de Guermantes. Ruchem rodzącym rozkoszną linię, którą duch mój ścigał w próżni, księżna Maria zwróciła głowę w głąb łoży. Goście jej stali, zwróceniu również w głąb; w szpalerze, jaki tworzyli, zjawiała się, ze spokojem i majestatem bogini, ale z nieznaną słodyczą, zrodzoną stąd, że swoim spóźnieniem niepokoi wszystkich w pełni spektaklu — kojarząc białe muśliny, w które była spowita, oraz sprytnie naiwną, nieśmiałą i zawstydzoną minkę ze zwyczajnym uśmiechem — zjawiała się księżna Oriana de Guermantes. Podszedłszy do swojej kuzynki, złożyła głęboki ukłon młodemu blondynowi siedzącemu na przedzie, po czym, obracając się do morskich i świętych potworów bujających w głębi grotty, rzuciła tym półbogom z Jockey Clubu⁵¹ (którym w tej chwili, zwłaszcza panu de Palancy, najbardziej zazdrościłem) poufale przywitanie starej przyjaciółki, wyraz codziennych stosunków od lat piętnastu. Odczuwałem tajemnicę, ale nie mogłem odcyfrować zagadki tego uśmiechniętego spojrzenia, lśniącego błękitnym blaskiem, podczas gdy księżna podawała kolejno rękę przyjaciołom: gdybym umiał rozłożyć jego pryzmat, zanalizować krystalizację, zdradziłoby mi może istotę nieznanego życia, odbijającego się w nim w tej chwili. Księżę Błażej szedł za żoną, przy czym błyski monokla, śmiech uzębienia, białość goździka lub plisowanego gorsu rozsuwały jego brwi, wargi, frak, aby zyskać miejsce dla swego blasku; gestem wyciągniętej ręki, którą prostopadle, nie ruszając głową, opuścił na ramiona podrzędnych i czyniących mu miejsce potworów, nakazał im usiąść i skłonił się głęboko przed młodym blondynem. Można by rzec, iż księżna Oriana odgadła, że kuzynka, w której wyśmiewała to, co nazywała przesadą (miano, jakie z jej dowcipnie francuskiej i arcyumiarkowanej perspektywy, łatwo zyskiwał germański entuzjazm i sentymentalizm), włoży tego wieczoru jedną z toalet, które księżna nazywała „operą”, i że chciała jej dać lekcję gustu. Zamiast cudownych i miękkich piór, które spływały z głowy księżnej Marii na szyję, w miejsce jej siatki z muszelek i pereł, księżna Oriana miała we włosach tylko prostą egretkę⁵², która, stercząc nad jej orlim nosem i wypukłymi oczami, robiła wrażenie ptasiego czuba. Szyja i ramiona wylaniały się ze śnieżnej fali muślinu, którą muskał wachlarz z piór łabędzich; ale dalej suknia, której stanik miał za jedyną ozdobę niezliczone pajątki⁵³ (to z metalowych pręcików i ziarenek, to z brylantów), otulała jej ciało z iście brytyjską dokładnością. Ale, mimo iż toalety obu kobiet były tak różne, skoro księżna Maria oddała kuzynce krzesło, które zajmowała dotąd, zwróciły się ku sobie, podziwiając się wzajem.

Może księżnej Orianie zdarzy się nazajutrz uśmiechnąć, kiedy będzie mówiła o skomplikowanej nieco fryzurze księżnej Marii, ale z pewnością oświadczy, że była czarująca i cudownie „zaaranżowana”; a księżna Maria, która, na swój gust, znajdowała coś zbyt chłodnego i oschłego, zbyt krawieckiego w sposobie ubierania się kuzynki, odkryje w tej surowości uroczą wytworność. Zresztą harmonia będąca między nimi oraz ogólne tendencje ich wychowania neutralizowały kontrast nie tylko stroju, ale i wzięcia⁵⁴. W tych niewidzialnych i magnetycznych liniach, jakie rozpinał między nimi wykwiłt manier, zamierała ekspansywna natura księżnej Marii, gdy prostoliniowość księżnej Oriany gięła się

⁵¹Jockey Club (ang.: klub wyścigów konnych) — tu: jeden z najbardziej prestiżowych prywatnych klubów dla dżentelmenów w Paryżu, w XIX w. miejsce spotkań francuskiej elity. [przypis edytorski]

⁵²egretka — kitka z piór na kapeluszu. [przypis edytorski]

⁵³pajątki (z fr.) — cekin, cienka błyszcząca blaszka mocowana do ubrania jako ozdoba. [przypis edytorski]

⁵⁴wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

w ich przyciąganiu, stawiała się słodyczą i wdziękiem. Tak jak w sztuce, oglądanej właśnie w tej chwili, na to, aby zrozumieć, ile własnej jej poezji promieniowało z Bermy, wystarczyłoby powierzyć rolę, którą grała (i którą ona jedna mogła grać), jakiegokolwiek innej aktorce, tak widz, który by podniósł oczy na balkon, ujrzałby w dwóch łóżach, jak fryzura mająca niby to przypominać księżnę Marię daje baronowej de Morienvał jedynie wygląd ekscentryczny, pretensjonalny i pospolity, cierpliwy zaś i kosztowny wysiłek w tym, aby naśladować toalety i szyk księżnej Oriany, czyni panią de Cambremer podobną do jakiejś prowincjonalnej pensjonarki, osadzonej jak na drucie, prostej, suchej i kanciastej, z karawaniarskim pióropuszem tkwiącym pionowo we włosach. Może jej miejsce nie było w tej sali, gdzie łoże wypełnione najświetniejszymi kobietami sezonu (nawet łoże najwyższych pięter, które z dołu wydawały się niby wielkie kosze obsadzone ludzkimi kwiatami i przywiązane do sufitu czerwonymi aksamitnymi wstęgami) tworzyły ulotną panoramę, którą miały niebawem zmienić śmierć, skandale, choroby i zwady, ale która w tej chwili była stężała uwagą, upałem, zawrotem głowy, kurzem, elegancją i nudą, w tej wiekuiściej i tragicznej chwili nieświadomego oczekiwania i spokojnego odrętwienia, później, wstecz, robiącego wrażenie takie, jakby poprzedzało wybuch bomby lub pierwszy błysk pożaru.

Racją, dla której pani de Cambremer znajdowała się tutaj, było to, że księżna Parmy, wolna od snobizmu jak większość prawdziwych „wysokości”, w zamian zaś pożerana dumą i żądzą dobroczynności (żądza ta dorównywała u niej namiętności do tego, co uważała za Sztukę), ustąpiła kilku łóż osobom takim jak pani de Cambremer, osobom nienależącym do najwyższego świata, ale pozostającym w stosunkach z księżną na terenie filantropii. Pani de Cambremer nie spuszczała z oczu księżnej Oriany i księżnej Marii, co jej przychodziło tym łatwiej, że nie znając ich osobiście, nie mogła budzić podejrzeń, iż żebrze o ukłon. Bywać u tych wielkich dam było wszelako celem, który ścigała od dziesięciu lat z niestrudzoną cierpliwością. Obliczyła, że osiągnęłyby to z pewnością za lat pięć. Ale dotknięta nieubłaganą chorobą, której groźny charakter znała, mając pewne pretensje do wiedzy medycznej, bała się, że nie pożyje tak długo. Tego wieczora była przynajmniej szczęśliwa, myśląc, iż wszystkie te damy, których prawie nie znała, ujrzą w jej łoży jednego ze swoich przyjaciół, młodego margrabiego de Beausergeant, brata pani d'Argencourt, który bywał po równi w obu towarzystwach i którego obecnością kobiety z „drugiej klasy” lubiły się stroić w oczach kobiet z pierwszej. Siedział za panią de Cambremer na krześle ustawionym w poprzek, tak aby móc lornetować inne łoże. Znał tam wszystkich i kłaniając się z cudowną elegancją zgrabnej i wciętej figury, wytwornej głowy blond, na wpół podnosił się, wyprostowany, z uśmiechem w błękitnych oczach, z odcieniem niedbałego szacunku, rytując w ten sposób z precyzją w romboidalnej ramie łoży niby jakiś stary sztych przedstawiający dumnego i dwornego młodego pana. Bywał często w łoży pani de Cambremer; na sali oraz przy wyjściu, w przedśionku, stał koło niej mężnie w ciżbie świetniejszych przyjaciółek, do których strzegł się odezwać, nie chcąc ich wprawiać w kłopot, tak jakby był w podejrzanym towarzystwie. Jeżeli wówczas przechodziła księżna Maria, piękna i lekka jak Diana⁵⁵, wlokąc za sobą nieporównany płaszcz, zwracając ku sobie wszystkie głowy i ściągając wszystkie oczy (oczy pani de Cambremer bardziej od innych), pan de Beausergeant zatapiał się w rozmowę ze swoją sąsiadką, na przyjazny zaś i olśniewający uśmiech księżnej odpowiadał jedynie z przymusem, z taktowną wstrzeźliwością i miłosiernym chłodem człowieka, którego uprzejmość mogłaby się stać w danej chwili kłopotliwa.

Gdyby nawet pani de Cambremer nie wiedziała, że łoża należy do księżnej Marii, odgadła by i tak, że księżna Oriana jest gościem, z większego zainteresowania, z jakim przez uprzejmość dla gospodyni śledziła widowisko i salę. Ale równocześnie z tą siłą odśrodkową inna, przeciwna siła, wzbudzona tym samym pragnieniem uprzejmości, ściągała uwagę księżnej Oriany na jej własną toaletę, na jej egretkę, naszyjnik, stanik, a także na toaletę samej księżnej Marii; zdawała się głośić wasalką swojej kuzynki, jej poddana, przybyła tu jedynie po to, aby ją podziwiać, gotową pospieszyć za nią gdzie indziej, o ile by właścicielce łoży przyszła ochota opuścić teatr; reszta sali była dla niej niby gromadka obcych, interesujących do oglądania, mimo że księżna Oriana liczyła tam wiele przyja-

⁵⁵Diana (mit. rzym.) — dziewicza bogini łowów i księżycy. [przypis edytorski]

ciół, w których łóżach bywała w inne dni i wobec których rozwijała wówczas ten sam wyłączny, fakultatywny i periodyczny lojalizm.

Pani de Cambremer zdziwiła się, widząc księżnę Orianą tego wieczora. Wiedziała, że zazwyczaj pozostaje bardzo długo w Guermites, i myślała, że bawi tam jeszcze. Ale opowiadano jej, że czasami, kiedy było w Paryżu jakieś interesujące przedstawienie, księżna, ledwo wypiwszy herbatę w towarzystwie myśliwych, kazała zaprzęgać i o zachodzie słońca jechała ostrym kłusem przez mroczny las, a potem drogą, aby złapać pociąg w Combray i być w Paryżu wieczorem. „Może przyjechała umyślnie z Guermites, aby widzieć Bermę” — myślała z podziwem pani de Cambremer. I przypominała sobie, jak czasem Swann mówił w owej nieuchwytniej gwarze, którą dzielił z panem de Charlus: „Księżna Oriana to jedna z najszlachetniejszych istot w Paryżu, z najbardziej wyrafinowanej, najrzadszej elity”.

Co do mnie, który z nazwisk Guermites, Bavière oraz z nazwiska Conde wywodziłem życie i myśl dwóch kuzynek (nie mogłem już z tych nazwisk wywodzić ich twarzy, skoro je widziałem), byłbym wołał znać ich sąd o Fedrze niż sąd największego krytyka w świecie. Bo w jego sądzie znalazłbym tylko inteligencję — wyższą od mojej, ale tej samej natury. Ale to, co myślała księżna Maria i księżna Oriana i co by mi dostarczyło nieoszacowanego dokumentu dotyczącego tych dwóch poetycznych stworzeń, wyobrażałem sobie przy pomocy ich nazwisk, przeczuwałem w tym irracjonalny czar; z pragnieniem i nostalgią człowieka w gorączce spodziewałem się od ich opinii o Fedrze, że mi ona wróci urok owych letnich popołudni, kiedy się przechadzałem w stronie Guermites.

Pani de Cambremer próbowała odcyfrować toalety dwóch kuzynek. Co do mnie, nie wątpiłem, że owe toalety są im właściwe, odrębne, nie tylko w tym sensie, w jakim liberia z czerwonym kołnierzem lub z niebieskim rabatem należała niegdyś wyłącznie do domu Guermites lub Conde, ale raczej jak dla ptaka upierzenie, będące nie tylko ozdobą, ale dalszym ciągiem jego ciała. Strój tych dwóch istot zdawał mi się niby śnieżna lub mieniąca się barwami materializacja ich duchowej energii, i tak jak gesty księżnej Marii odpowiadały dla mnie jakiejś ukrytej idei, tak pióra spływające z jej czoła oraz olśniewający pajetkami stanik jej kuzynki zdawały się coś wyrażać, tworzyć dla każdej z tych kobiet wyłącznie jej przynależne godło, którego sens chciałbym poznać: rajski ptak zdawał mi się nieodłączny od księżnej Marii niby paw Junony⁵⁶, nie przypuszczałem zaś, aby inna kobieta mogła sobie usurpować błyszczący stanik Oriany, nie bardziej niż lśniącą i oszytą frędzlami tarczę Minerwy⁵⁷. I kiedy obracał oczy na tę łożę, miałem wrażenie — o wiele bardziej, niż gdy spojrział na sufit sali wyobrażający zimne alegorie — że dzięki cudownemu rozdarciu tradycyjnych chmur oglądam zebranie bogów przyglądających się widowisku ludzi pod czerwoną kotarą, w promiennym oknie lazuru, między dwoma filarami nieba. Patrzyłem na tę chwilową apoteozę⁵⁸ ze wzruszeniem, kojony przez uczucie, że Nieśmiertelni nic o mnie nie wiedzą; księżna Oriana widziała mnie raz, jadąc z mężem, ale z pewnością tego nie pamięta; nie bolało mnie, że ona dzięki swemu miejscu w łoży patrzy na bezimienne i zbiorowe ławice publiczności w krzesłach, bo czułem szczęśliwie istność swoją roztopioną w tej masie.

Nagle mocą praw refrakcji⁵⁹ odbiła się widocznie w nieczułym strumieniu tych dwojga niebieskich oczu mętna forma nieistniejącego indywidualnie pierwotniaka (niby mnie); ujrzałem, że te oczy rozświeca jasność: z bogini zmieniwszy się w kobietę i stawszy się nagle dla mnie tysiąc razy piękniejsza, księżna Oriana podniosła ku mnie rękę w białej rękawiczce, dotąd opartą o krawędź łoża, i potrząsnęła nią przyjaźnie; równocześnie spojrzenia moje olśnił swoim mimowolnym blaskiem ogień źrenic księżnej Marii, która wznieciła w nich bezwiednie pożar, jedynie poruszając oczami, aby sprawdzić, z kim wita się jej kuzynka, gdy ta, poznawszy mnie, spuściła na mnie błyszczącą i niebiańską ulewę swego uśmiechu.

⁵⁶Junona (mit. rzym.) — bogini kobiet, małżeństwa i macierzyństwa, żona Jowisza; jej świętym ptakiem był paw. [przypis edytorski]

⁵⁷Minerwa (mit. rzym.) — bogini mądrości i wojny sprawiedliwej, utożsamiana z grecką Ateną. [przypis edytorski]

⁵⁸apoteoza (gr.) — ubóstwienie. [przypis edytorski]

⁵⁹refrakcja — załamanie promieni świetlnych, odchylenie kierunku rozchodzenia się światła przy przejściu do innego ośrodka. [przypis edytorski]

Obecnie co rano, o wiele przed godziną spaceru księżnej Oriany, szedłem okrężną drogą, na róg ulicy, którą zazwyczaj chodziła, kiedy zaś zbliżał się moment jej prawdopodobnego zjawienia się, wracałem z roztargnioną miną, patrząc w przeciwną stronę i podnosząc oczy na księżną z chwilą, gdy ją mijalem, ale tak jak gdybym zgoła nie spodziewał się tego widoku. W pierwszych dniach nawet, aby być pewniejszym spotkania, czekałem na nią przed domem. I za każdym razem, kiedy się brama otwierała (przepuszczając kolejno tyle osób niebędących tą, której oczekiwałem), łoskot bramy przedłużał się potem w moim sercu w drganiach długo niemogących się ukoić. Bo nigdy nieznanym wielbiciel wielkiej aktorki wyczekujący jej pod „wyjściem artystów”, nigdy zajadły lub bałwochwalczy tłum zebrany, aby znieważać skazańca lub obnosić w triumfie wielkiego człowieka, których zjawienie się odgaduje za każdym hałasem rozlegającym się z wnętrza więzienia lub pałacu, nie był tak wzruszony jak ja, gdym oczekiwał wyjścia tej wielkiej damy, która, w skromnej toalecie, wdziękiem swego chodu (całkiem różnego od kroku, jakim wchodziła do salonu lub łoża) umiała ze swojej rannej przechadzki — dla mnie w całym świecie jedynie ona się przechadzała! — zrobić cały poemat elegancji, najsubtelniejszą strojność, najosobliwszy kwiat pogody.

Ale po trzech dniach, nie chcąc, aby odźwierny spostrzegł mój manewr, zacząłem chodzić znacznie dalej, aż do jakiegoś punktu zwyczajnej drogi księżnej. Często przed owym wieczorem w teatrze robiłem takie wypadki przed śniadaniem, kiedy było ładnie; jeżeli padał deszcz, za pierwszym przetarciem się nieba spieszyłem przejść się nieco; i nagle na mokrym jeszcze chodniku zmienionym przez światło w złotą laskę, w apoteozie placyku rozpylonego mgłą, którą wyprawia i rozjaśnia słońce, spostrzegałem pensjonarkę idącą w towarzystwie nauczycielki lub mleczarkę w białych rękawach i stałem chwilę bez ruchu, z ręką na sercu, które już wydierało się ku obcemu życiu; starałem się przypomnieć sobie ulicę, godzinę, bramę, gdzie dziewczynka (za którą szedłem czasami) zniknęła, aby się nie zjawić więcej. Szczęściem, ulotność tych lubych obrazów, któremu sobie przyrzekał odszukać jeszcze, nie pozwalała utrwalić się im mocno w moim wspomnieniu. Ale i tak mniej smutno odczuwałem to, że jestem chory i że nie miałem jeszcze dotąd siły wziąć się do pracy, zacząć pisać książkę; ziemia zdawała mi się mieszkalniejsza, życie bardziej interesujące, od czasu jak widziałem, że ulice Paryża — tak samo jak ulice Balbec — zakwitają owymi nieznanymi pięknosciami, które tak często starałem się wyczarować z lasów Méséglise, a z których każda budziła we mnie rozkoszne pragnienie, jedynie ona — tak mi się zdawało — zdolna je ukoić.

Wracając z Opery, przydałem na dzień następny do istot, które od kilku dni pragnąłem odnaleźć, obraz księżnej Oriany: dużej, z wysoką fryzurą jasnych i lekkich włosów, z tkliwą obietnicą zawartą w uśmiechu, jakim mnie obdarzyła z łoża kuzynki. Postanowiłem iść drogą, którą (jak mi mówiła Franciszka) chodziła księżna, starając się jednak nie zaniedbać godziny pensji i ćwiczeń duchownych, aby spotkać dwie ujrzone przedwczoraj panienki. Ale podczas gdy czekał, błyszczący uśmiech księżnej Oriany, wrażenie jego słodczy jawiły się od czasu do czasu w mojej pamięci. I nie bardzo wiedząc, co czynię, próbowałem pomieścić księżną (jak kobieta przymierza do sukni garnitur kosztownych guzików, który właśnie dostała) obok moich dawnych romantycznych idei wyzwolonych we mnie przez chłód Albertyny, przedwczesny wyjazd Gizeli, dawniej przez dobrowolną i zbyt długą rozłąkę z Gilbertą (na przykład marzenie o miłości kobiety, o wspólnym z nią życiu); potem przymierzałem do tych myśli obraz jednej lub drugiej z dwóch spotkanych dziewcząt; tuż potem starałem się dostroić do tych pojęć wspomnienie księżnej. W obliczu tych myśli wspomnienie pani de Guermantes w Operze było drobniakiem, małą gwiazdką przy długim ogonie jej błyszczącej komety; co więcej, znałem dobrze te uczucia, zanim poznałem panią de Guermantes, podczas gdy, przeciwnie, wspomnienie jej posiadałem bardzo niedoskonale; wymykało mi się chwilami. W ciągu tych godzin, kiedy, z obrazu bujającego we mnie po równi z obrazami innych ładnych kobiet, przeszło ono pomału w stan jedynego i ostatecznego stopienia się — z wyłączeniem wszelkiego innego obrazu kobiety — z moimi romantycznymi ideami o tyle odeń wcześniejszymi — w ciągu tych kilku godzin, kiedy je sobie przypominałem najlepiej, powinienem był dokładnie sprawdzić, czym ono było. Ale nie znałem wówczas ważności, jakiej wspomnienie to miało nabrać; było jedynie słodkie jak pierwsza schadzka z księżną we mnie samym; było pierwszym szkicem — jedynym prawdziwym, jedynym zdjętym z natury, jedynym,

który był naprawdę panią de Guermites. I tylko przez kilka godzin, przez które miałem szczęście przechowywać owo wspomnienie, nie umiając na nie zwracać uwagi, musiało ono być bardzo urocze, skoro zawsze — jeszcze swobodnie w owej chwili, bez pośpiechu, bez zmęczenia, bez przymusu lub onieśmienia — wracały do niego moje myśli o miłości; później, w miarę jak te myśli utrwaliły je ostateczniej, wspomnienie to zaczerpnęło z nich większą siłę, ale stało się jakby mglistsze. Niebawem nie umiałem go już odnaleźć i w marzeniach swoich zniekształcałem je zapewne całkowicie, bo za każdym razem, kiedy widział panią de Guermites, stwierdzałem rozdźwięk — zawsze zresztą odmienny — między tym, com wyroił, a tym, co widziałem. Zapewne, za każdym razem teraz, w chwili gdy pani de Guermites zjawiała się na ulicy, spostrzegałem jeszcze jej wysoką postać, jej jasne spojrzenie pod lekkimi włosami, wszystkie te szczegóły, dla których byłem tutaj; ale w zamian w kilka sekund później, kiedy zwróciwszy oczy w innym kierunku, iżby nie wyglądało, że się spodziewałem tego spotkania, podnosiłem je na księżną, mijając ją, widziałem czerwone plamki — nie wiadomo wskutek wiatru czy spryszczenia skóry — na niechętnej twarzy, która znakiem suchym i bardzo odległym od uprzejmości owego wieczora w teatrze, odpowiadała na mój ukłon, składany co dzień ze zdziwioną miną, a najwidoczniej nieprzypadający jej do smaku. Jednakże po upływie kilku dni, przez które obraz dwóch pań z różnym szczęściem walczył o panowanie w moich miłosnych myślach ze wspomnieniem pani de Guermites, odradzało się ono najczęściej jak gdyby samo z siebie, podczas gdy jego konkurentki same z siebie pierzchały; na nie — na to wspomnienie — przenieśliem w końcu wszystkie swoje myśli miłosne, w sumie jeszcze dobrowolnie, jak gdyby z wyboru i z upodobania. Nie myślałem już o pensjonariach ani o mleczarce, mimo iż nie spodziewałem się już odnaleźć na ulicy tego, czego szukał: ani czułości przyrzeczonej uśmiechem w teatrze, ani sylwetki i jasnej twarzy pod włosami blond — istniejących jedynie z daleka. Teraz nie umiałbym nawet powiedzieć, jaka jest pani de Guermites, po czym ją poznaję, bo co dzień w całokształcie jej osoby twarz jej zmieniała się jak suknia i kapelusz.

Czemu raz, widząc zbliżającą się do mnie wprost w „budce” lila słodką i gładką twarz o wdziękach symetrycznie rozmieszczonych dokoła pary błękitnych oczu, twarz, w którą linia nosa była jak gdyby wessana, odgadywałem z radosnym wzruszeniem, że nie wróce, nie ujrzawszy pani de Guermites? Czemu odczuwałem to samo wzruszenie, udawałem tę samą obojętność, odwracałem oczy z tym samym udanym roztargnieniem co wczoraj na widok dojrzanego w poprzecznej ulicy profilu w niebieskim toczku, nosa na kształt ptasiego dzioba wyrastającego z czerwonego policzka, przeciętego przenikliwym okiem niby bóstwo egipskie? Raz nawet ujrzałem nie kobietę z ptasim dziobem, ale jak gdyby samego ptaka: suknia, a nawet toczek pani de Guermites były futrzane, nie widziało się żadnej materii, tak iż wydawała się porośnięta futrem, jak owe sępy, których gęste, gładkie, płowe i miękkie upierzenie robi wrażenie sierści. Pośród tego naturalnego upierzenia mała głowa zakrzywiała swój ptasi dziób, wypukłe oczy były przenikliwe i niebieskie.

Pewnego dnia przechadzałem się parę godzin po ulicy, nie widząc pani de Guermites, kiedy nagle ze sklepu mleczarza, wciśniętego między dwa pałace w tej arystokratycznej i ludowej dzielnicy, wyłoniła się mętna i nowa twarz eleganckiej kobiety, która kazała sobie pokazywać serki śmietankowe; zanim miałem czas rozpoznać tę twarz, uderzyło mnie niby błyskawica spojrzenie księżnej, dotarłszy do mnie szybciej od reszty obrazu. Innym razem, nie spotkawszy jej i słysząc, jak bije południe, zrozumiałem, że nie warto już czekać i wracałem smutno do domu; pochłonięty swoim zawodem, patrząc bezmyślnie na powóz, który się oddalał, zrozumiałem nagle, że ruch głowy, jaki dama wykonała w oknie powozu, był dla mnie, i że ta dama, której apatyczne i blade lub, przeciwnie, napięte i żywe rysy tworzyły pod okrągłym kapeluszem i wysoką egretką twarz obcej, a przynajmniej niepoznanej osoby, to jest pani Guermites: przeoczyłem jej ukłon, nie odkloniwszy się nawet! I niekiedy, wracając, widziałem ją w łoży portiera, gdzie wstrętny odźwierny, którego badawczych spojrzeń nienawidziłem, składał jej uniżone poklony, a z pewnością i raporty. Bo cały personel Guermitów, ukryty za frankami w oknach, śledził ze drżeniem dialog, którego nie słyszał, a w którego następstwie księżna miała niechybnie pozbawić „wychodni” kogoś ze służby, kogoś „fagas” wydał.

Z powodu wszystkich kolejnych objawień się rozmaitych twarzy, jakie mi ukazywała pani de Guermites, twarzy zajmujących rozmaite w swojej względności, to szczupłą, to

rozległą przestrzeń w całokształcie jej toalety, miłość moja nie była związana z taką lub inną z owych zmiennych partii ciała i materii, które zależnie od dnia zajmowały miejsce innych i które księżna mogła odmienić i odnawiać niemal całkowicie, nie naruszając mojego wzruszenia; poprzez te szczegóły, poprzez nową ramę nieznanego policzka, czułem, że to jest zawsze pani de Guermantes. Bo kochałem niewidzialną osobę wprawiającą w ruch to wszystko; ją, której wrogość martwiła mnie, której zbliżenie przyprawiało mnie o wstrząs, której życie chciałbym zagarnąć, a przyjaciół jej wygnać! Mogłaby włożyć niebieskie piórko lub mieć ognipiór⁶⁰, a uczynki jej nie stałyby się przez to dla mnie mniej ważne.

Gdybym nie spostrzegł sam z siebie, że panią de Guermantes irytują te codzienne spotkania, odgadłbym to pośrednio z pełnej chłodu, przygany i litości twarzy Franciszki, kiedy mi pomagała stroić się na moje ranne wyprawy. Z chwilą gdym wołał o rzeczy, czułem przeciwny wiatr wznoszący się w ściągniętych i pooranych rysach jej twarzy. Nie próbowałem nawet pozyskać zaufania Franciszki; czułem, że by mi się to nie udało. W błyskawicznym odgadywaniu wszystkiego, co rodzicom i mnie mogło się zdarzyć nieprzyjemnego, miała ona zmysł, którego natura pozostała mi zawsze tajemnicza. Może nie był ów zmysł czymś nadprzyrodzonym, może dałoby się go wytłumaczyć swoistymi sposobami informacji; w ten sposób dzięki plemiona dowiadują się pewnych nowin o kilka dni wcześniej, nim je poczta przyniesie kolonii europejskiej, a doszły ich w istocie nie przez telepatię, ale przy pomocy zapalanych z pagórka na pagórek ogni. I tak, co się tyczyło moich spacerów, służba księżnej de Guermantes słyszała, jak jej pani skarżyła się, że mnie wciąż znajduje na swojej drodze; z kolei służba księżnej powtórzyła to Franciszce. Co prawda, choćby rodzice dali mi do usługi inną osobę, nic bym na tym nie zyskał. W pewnym sensie Franciszka mniej była służącą od innych. W swoim sposobie odczuwania, w swojej dobroci i miłosierdziu, w swojej nieczułości i dumie, subtelności i ograniczeniu, ze swoją białą skórą i czerwonymi rękami była dziewczyną ze wsi, której rodzice „siedzieli na swoim”, ale zrujnowawszy się, musieli ją oddać na służbę. Obecność jej w naszym domu to było powietrze wsi i życie folwarczku sprzed pięćdziesięciu lat, przeniesione do nas rodzajem odwrotnej podróży, w której wieś przychodzi do podróznego. Jak witrynę regionalnego muzeum stroją owe oryginalne robótki, które wieśniaczki wykonują i haftują jeszcze w niektórych okolicach, tak nasze paryskie mieszkanie zdobne było słowami Franciszki, natchnionymi tradycyjnym i lokalnym sentymentem, posłusznymi odwiecznym prawdom. Umiała w nich odtworzyć niby kolorowymi nićmi drzewa wiśniowe i ptaki z czasu swego dzieciństwa, łóżko, gdzie umarła jej matka, a które widziała jeszcze. Mimo to wszystko, odkąd zgodziła się w Paryżu do nas, przejęła — a tym bardziej byłaby to uczyniła inna na jej miejscu — poglądy i kazuistykę⁶¹ służby z innych pięter. Szacunek, jaki nam musiała okazywać, wynagradzała sobie, powtarzając nam to, co kucharka z czwartego powiedziała ordynarnego swojej pani, i to z taką satysfakcją, że pierwszy raz w życiu, czując coś w rodzaju solidarności z okropną lokatorką z czwartego piętra, powiadaliśmy sobie, że w istocie może my jesteśmy państwem!

Ta zmiana charakteru Franciszki była może nieunikniona. Pewne egzystencje są tak anormalne, że muszą nieodzownie rodić pewne skazy; na przykład życie, jakie pędził w Wersalu król pośród swoich dworaków, równie dziwaczne jak życie jakiegoś faraona lub doży; a bardziej jeszcze od życia króla — życie dworaków. Życie służących jest z pewnością jeszcze potworniejszą osobliwością, którą przesłania nam jedynie przyzwyczajenie. Ale nawet gdybym oddalił Franciszkę, skazany byłbym, aż do jeszcze specjalniejszych właściwości, na tę samą służbę. Bo mogłem później mieć różnych służących; już obciążeni ogólnymi wadami służby, ulegali jeszcze u mnie szybkiemu przeobrażeniu. Jak zasady ataku warunkują zasady obrony, tak aby nie cierpieć od pewnych chropowatości mego charakteru, wszyscy oni nabywali identycznych wklęsłości w swoim własnym, i to w tych samych punktach; w zamian za to korzystali z moich luk, aby w nich lokować swoje przestrości. Ja nie znałem tych luk, i tak samo nie znałem wypukłości, wynikających z naszych

⁶⁰ognipiór — choroba skóry, objawiająca się charakterystycznym zaczerwienieniem policzków oraz wysypką na głowie i twarzy, występująca najczęściej u dzieci. [przypis edytorski]

⁶¹kazuistyka — drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne; pot.: pokrętne argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]

stosunków — właśnie dlatego, że istniały luki. Ale moja służba, psując się pomału, pouczyła mnie o tym. Z wad niezmiennie nabywanych przez nich dowiedziałem się o swoich wrodzonych i niezmiennych wadach; charakter mojej służby był niby negatywem mego. Żartowaliśmy sobie niegdyś z mamą z pani Sazerat, która mówiła o służbie: „Ta rasa, to plemię”. Ale muszę przyznać, iż rację, dla której nie myślałem o zastąpieniu Franciszki inną służącą, stanowiło to, że ta inna należałaby tak samo i nieuchronnie do ogólnej rasy służących, a do specjalnego gatunku moich służących.

Aby wrócić do Franciszki, nie zdarzyło mi się doznać w życiu upokorzenia, abym wczasu nie zastał na twarzy Franciszki gotowych już kondolencji; a jeśli kiedyś, wściekły, iż budzę jej współczucie, starałem się, przeciwnie, udawać sukces, kłamstwa moje daremnie obijały się o jej pełne szacunku, ale widoczne niedowierzanie i o jej poczucie własnej nieomyślności. Bo ona wiedziała prawdę; taila ją, czyniąc tylko lekki ruch wargami, tak jakby miała jeszcze pełne usta i kończyła smaczny kąsek. Taila tę prawdę; przynajmniej długo tak myślałem, bo w owej epoce wyobrażałem sobie jeszcze, że prawdy udziela się za pomocą słów. A nawet słowa, które mi mówiono, przekazywały mojej wrażliwości tak niezmiennie swoje wierne znaczenie, że kiedy mi ktoś powiedział, że mnie kocha, tak samo wydawało mi się niemożliwe, aby mnie nie kochał, jak sama Franciszka niezdolna była wątpić — skoro to wyczytała w dzienniku — że jakiś ksiądz lub inny jegomość może, na skierowaną doń pocztą prośbę, przesłać nam gratis nieomyślne lekarstwo na wszystkie choroby lub sposób stokrotnego zwiększenia naszych dochodów. (W zamian za to, jeżeli nasz lekarz dał jej najprostszy środek na katar, ona, tak wytrzymała na największe cierpienie, jęczała, że musi to wdychać, zapewniając, że to jej „zatyka nos” i że już rady sobie dać nie może). Ale Franciszka dała mi pierwszą przykład (miałem go zrozumieć dopiero później, kiedy osoba, która mi była droga, dała mi go na nowo i boleśniej, jak się okaże w ostatnich tomach tego dzieła), że prawdy nie musi się powiedzieć na to, aby ją wyrazić, i że można ją pochwycić pewniej, nie czekając słów i nie biorąc ich wręcz w rachubę, w tysiącu zewnętrznych oznak, nawet w pewnych niewidocznych objawach, analogicznych w sferze charakterów do tego, czym są w fizyce zmiany atmosferyczne. Byłbym się mógł tego domyślać, skoro mnie samemu zdarzało się wówczas często mówić rzeczy pozbawione cienia prawdy, gdy równocześnie objawiałem tę prawdę tyloma mimowolnymi zwierzeniami swego ciała i swoich uczynków (które Franciszka bardzo dobrze sobie umiała tłumaczyć). Byłbym się mógł tego domyślać, ale na to trzeba mi było wiedzieć, że bywałem wówczas niekiedy kłamcą i krętą. Otóż kłamstwo i kręctwo rodziły się u mnie, jak u wszystkich, w sposób tak bezpośredni i przypadkowy, dla własnej obrony, z jakiegoś specjalnego interesu, że duch mój, wpatrzony w piękny ideał, pozwalał memu charakterowi spełniać w mroku te pilne i mizerne roboty i nie raczył się obracać po to, aby je dojrzeć.

Kiedy Franciszka była dla mnie wieczorem uprzejma, kiedy prosiła o pozwolenie posiedzenia w moim pokoju, zdawało mi się, że twarz jej robi się przezroczysta i że widzę w niej samą dobroć i szczerść. Ale Jupien, odznaczający się czasami niedyskrecją, którą poznałem dopiero później, wygadał się, iż ona powiadała, że ja niewart jestem ani postronka na stryczek i że m się silił jej robić ile mogłem złego. Te słowa Jupiena odbiły natychmiast dla mnie — w nieznanym wprzód kolorze — egzemplarz moich stosunków z Franciszką tak różny od tego, na jakim często lubiłem zatrzymywać spojrzenia (gdzie bez cienia wahań Franciszka ubóstwiała mnie i nie traciła żadnej sposobności, aby mnie wysławiać), że rozumiałem, iż nie tylko świat fizyczny różni się od postaci, w jakiej go widzimy; że wszelka rzeczywistość jest może równie niepodobna do tej, którą — w swoim mniemaniu — oglądamy bezpośrednio: że drzewa, słońce i niebo byłyby całkiem inne, niż my je widzimy, oglądane przez istoty mające oczy inaczej ukształtowane niż nasze lub wyposażone do tego celu w narządy inne niż oczy — narządy dające drzewom, niebu i słońcu równoważniki inne niż wzrokowe. Faktem jest, że to okno, jakie mi raz nagle otworzył Jupien na świat zewnętrzny, przeraziło mnie. A jeszcze tu chodziło jedynie o Franciszkę, o którą się troszczyłem dość mało. Czy tak samo mają się rzeczy we wszystkich stosunkach ludzkich? Do jakiej rozpaczy mogłoby to mnie przywieść kiedyś, gdyby tak samo było w miłości?

To była tajemnica przeszłości. Wówczas chodziło jeszcze tylko o Franciszkę. Czy ona myślała szczerze to, co powiedziała Jupienowi? Czy powiedziała to jedynie po to, aby

Ciało, Słowo, Sługa, Pan,
Kłamstwo, Prawda

poróżnić Jupiena ze mną; może dlatego, aby nie wzięto córki Jupiena na jej miejsce? Bądź co bądź zrozumiałem niemożliwość dowiedzenia się w sposób bezpośredni i pewny, czy mnie Franciszka kocha, czy nienawidzi. Tak więc ona pierwsza zrodziła we mnie myśl, że dana osoba nie znajduje się (jak wprzód sądziłem) przed nami jasna i nieruchoma, ze swymi przymiotami, wadami, projektami, intencjami (niby oglądany przez parkan ogród i jego grządki), ale że jest cieniem, w który nigdy nie zdołamy wnikać, wobec którego nie istnieje bezpośrednie poznanie, co do którego tworzymy sobie mnogie pojęcia przy pomocy słów, a nawet postępów, dających nam jedynie niedostateczne i zresztą sprzeczne wskazówki; cieniem, w którym możemy sobie kolejno z równym prawdopodobieństwem wyobrażać błysk nienawiści lub miłości.

Kochałem się naprawdę w pani de Guermites. Największe szczęście, o jakie bym mógł prosić Boga, to, aby spuścił na nią wszystkie klęski i aby, zrujnowana, zhańbiona, odarta ze wszystkich dzielących mnie od niej przywilejów, nie mając już dachu nad głową ani człowieka, który by się jej raczył ukłonić, przyszła mnie prosić o schronienie. Wyobrażałem ją sobie w tej roli. A nawet w dni, gdy pewne wahania atmosfery lub mego własnego zdrowia wstawiały w moją świadomość jakiś zapomniany zwój, gdzie były zapisane dawniejsze wrażenia, wówczas, zamiast korzystać z nowych rodzących się we mnie sił, zamiast je obrócić na odcyfrowanie w sobie samym wymykających mi się zazwyczaj myśli, zamiast się wziąć wreszcie do pracy, wołałem rozprawiać głośno, układać w wyobraźni — ilustrując go czczymi słowami i gestami — cały felietonowy romans, jałowy i fałszywy, gdzie księżna, popadłszy w nędzę, przychodzi mnie błagać, mnie, który dzięki odwrotnej igraszce losu stałem się bogaty i potężny. I kiedyś tak strawiłem godziny całe na rojeniu sobie wydarzeń, na dobieraniu zdań, które bym wyrzekł, przyjmując księżnę pod swój dach, sytuacja zostawała ta sama; w rzeczywistości miłość moja wybrała sobie, niestety, kobietę, która skupiała najwięcej różnorodnych przewag, w której oczach tym samym nie mogłem sobie wróżyć żadnego uroku; była bowiem równie bogata jak największy „złe urodzony” bogacz, nie licząc osobistego czaru, który ją stawiał na świeczniku, czyniąc ją wszędzie czymś na kształt królowej.

Czułem, że drażnię księżnę, wychodząc co rano na jej spotkanie; ale gdybym nawet miał siłę wytrwać parę dni, pani de Guermites nie zauważyłaby może tej powściągliwości, stanowiącej dla mnie taką ofiarę, lub przypisałyby ją jakiejś przygodnej przeszkodzie. I w istocie, aby przestać wychodzić na jej spotkanie, musiałbym się postawić w położeniu, które by mi to uczyniło fizycznym niepodobieństwem; wciąż bowiem odradzająca się potrzeba spotkania jej, stania się bodaj na chwilę przedmiotem jej uwagi, jej ukłonu, potrzeba ta była silniejsza od przykrości, że ją drażnię. Powinienem był wyjechać na jakiś czas; nie miałem siły. Myślałem o tym przez chwilę. Polecałem Franciszce, żeby mi spakowała rzeczy; zaraz potem, żeby je rozpakowała. Że zaś demon naśladownictwa oraz obawa wydania się zacofanym kazi najnaturalniejszą i najpewniejszą siebie formę, Franciszka, zapożyczając się w słowniku córki, powiadała, że jestem „bujacz”. Nie lubiła (powiadała), że ja wciąż „wydwarzam”; posługiwała się bowiem, kiedy nie chciała rywalizować z modą, słownictwem Saint-Simona. Prawda, że jeszcze mniej lubiła, kiedyś przemawiał jako jej pan. Wiedziała, że to nie płynie ze mnie i że mi z tym nie jest do twarzy, co wyrażała, mówiąc, że „rządzenie się mi nie pasuje”.

Gdyby chodziło o wyjazd, miałbym odwagę wyjechać jedynie w kierunku, który by mnie zbliżył do pani de Guermites. To nie było niemożliwe. Gdybym się udał o wiele mil od pani de Guermites, ale do kogoś, kogo by ona знаła, kogo by uważała za trudnego w doborze stosunków, a kto by mnie cenil, kto by jej mógł mówić o mnie i jeżeli nie uzyskać od niej tego, czego bym pragnął, to przynajmniej zakomunikować jej owo pragnienie; do kogoś, dzięki komu w każdym razie, jedynie rozważając z nim możliwości jakiejś interwencji, dałbym swoim samotnym i niemyim marzeniom nową, mówioną, czynną formę, która wydawałaby mi się postępem, niemal realizacją, czyżby to nie znaczyło być bliżej niej, niż byłem teraz, stercząc na ulicy, sam, upokorzony, czując, że ani jedna z myśli, które chciałbym jej przesłać, nie dojdzie do niej nigdy, drepcąc na miejscu w tych swoich spacerach, które mogłyby trwać bez końca, nie posuwając mnie ani trochę naprzód? Wmieszać się w to, co ona robiła podczas tajemniczego życia istoty z klanu Guermitów, życia będącego przedmiotem mego sekretnego marzenia, wtargnąć w nie bodaj pośrednio na sposób dżwigni, wprawiając w ruch kogoś, komu byłby dostępny pa-

lac księżnej, jej przyjęcia, dłuższa z nią rozmowa, czyżby to nie była styczność bardziej odległa, ale skuteczniejsza niż moje uliczno-poranne kontemplacje?

Przyjaźń i podziw, jakie dla mnie żywił Saint-Loup, wydawały mi się niezasłużone i były mi obojętne. Naraz wydały mi się cenne; pragnąłbym, aby on się nimi podzielił z panią de Guerantes, byłbym zdolny prosić go, aby to uczynił. Bo z chwilą kiedy ktoś jest zakochany, chciałby roztoczyć przed ukochaną kobietą wszystkie drobne, niezbrane przywileje, jakie posiada, tak jak to czynią w życiu wykołajeńcy i natręty. Dręczy nas, że ona nie zna naszych przewag; staramy się pocieszyć myślą, iż właśnie dlatego że te przewagi nie są nigdy widzialne, ona pomnaża swoje pojęcia o nas możliwościami niewiadomych zalet.

Saint-Loup od dawna nie mógł wpaść do Paryża, bądź — jak mówił — ze względów służbowych, bądź raczej z powodu zgryzot, jakie mu sprawiała kochanka. Dwa razy był już bliski zerwania. Często mówił mi, ile bym mu dobrego wyświadczył, odwiedzając go w tym garnizonie, którego nazwa — w dwa dni od chwili, gdy Saint-Loup opuścił Balbec — wyczytana na kopercie pierwszego listu mego przyjaciela, sprawiła mi tyle radości. Było to małe arystokratyczne i wojskowe miasteczko, mniej odległe od Balbec, niżbym mógł wnosić z całkowicie już lądowego krajobrazu, otoczone rozległymi polami, gdzie w piękną pogodę tak często buja w oddali jakaś dźwięczna i lekka mgła, która — jak szpaler topoli rysuje swoimi zakrętami bieg niewidzialnej rzeki — zdradza przesunięcia manewrującego pułku, tak że nawet atmosfera ulic, alej i placów nabyła w końcu jak gdyby ciągłej muzycznej i wojennej dźwięczności, a najpospolitszy turkot wozu lub tramwaju przedłuża się tam uszom urzeczonym ciszą w powtarzające się bez końca zamglone odgłosy trąbki.

Miasteczko nie było tak odległe od Paryża, abym nie mógł, wpadłszy tam kurierem, wrócić, uścisnąć matkę i babkę i znaleźć się na noc w swoim łóżku. Skorom to sobie uświadomił, nękania bolesnym pragnieniem, miałem za mało woli, aby zdecydować, że nie wrócę do Paryża i zostanę w miasteczku; ale za mało także, aby przeszkodzić bagażowemu zanieść moją walizkę do fiakra⁶², aby idąc za nim, nie stać się zafrasowanym podróżnym, czuwającym nad swoimi rzeczami i nieoczekiwanym przez żadną babkę, aby nie wsiąść do dorożki ze swobodą człowieka, który, przestawszy myśleć o tym, czego chce, robi wrażenie, iż wie, czego chce, i aby nie podać woźnicy adresu koszar kawalerii.

Myślałem, że Saint-Loup zanocuje ze mną tego dnia w hotelu, aby mi złagodzić wstrząs pierwszego zetknięcia z nieznanym miastem. Żołnierz poszedł go uprzedzić; i czekałem na Roberta u bramy koszar, przed tym wielkim okrętem huczącym listopadowymi wichrami, skąd co chwilę — była szósta wieczór — wychodzili parami żołnierze, kiwając się tak, jakby wysiedli na łód w jakimś egzotycznym porcie, gdzie się chwilowo zatrzymano.

Przybył Saint-Loup, kołysząc się na wszystkie strony, powiewając przed sobą monoklem; nie powiedziałem nazwiska, chciałem się cieszyć jego radością i niespodzianką.

— Och, co za fatalność! — wykrzyknął, spostrzegając mnie nagle i czerwieniąc się po uszy. — objąłem właśnie tygodniową służbę i nie mogę wyjść przed upływem tego czasu!

I pochłonięty myślą, że będzie mnie musiał zostawić samego przez tę pierwszą noc — znał bowiem lepiej niż ktokolwiek moje wieczorne lęki, które tak często widział i uśmiechał w Balbec — przerywał swoje żale, aby się zwracać do mnie, śląc mi lekkie uśmiechy, czułe spojrzenia, nierówne, bo jedno szły wprost z jego oka, a drugie przez monokl, a wszystkie były aluzją do wzruszenia moim widokiem, aluzją również do tej ważnej rzeczy, którą nie zawsze rozumiałem, ale którą cenilem teraz — do naszej przyjaźni.

— Mój Boże! gdzie ty będziesz nocował? Doprawdy, nie doradzam ci hotelu, gdzie jadamy, to w stronie Wystawy⁶³, która rozpocznie się niebawem, miałbyś tam tłumy. Nie, lepszy będzie Hotel Flandryjski, to dawny pałac z XVIII wieku ze starymi obiciami. To „robi” dosyć dobrze „starą siedzibę historyczną”.

Saint-Loup używał co chwilę przy każdej sposobności słowa „robi” zamiast „wygląda na coś”, bo język mówiony, jak pisany, odczuwa od czasu do czasu potrzebę owych zmian

⁶²fiaker (daw., z fr.) — dorożka; także: dorożkarz, woźnica. [przypis edytorski]

⁶³Wystawa — wystawa światowa w Paryżu. [przypis edytorski]

w znaczeniu słów, owych ekscentryczności wyrażen. I tak samo jak często dziennikarze nie wiedzą, z jakiej szkoły literackiej pochodzą smaczki, którymi nas częstują, tak samo słownictwo, a nawet dykcja Roberta urobione były na podobieństwo trzech różnych estetów, z których żadnego nie znał, ale których sposoby mówienia przejął pośrednio.

— Zresztą — zakonkludował Robert — ten hotel dość dobrze zaadaptowany jest do twojej hiperestezji⁶⁴ słuchowej. Nie będziesz miał sąsiadów. Uznaję, że to jest nikła korzyść, że zaś, ostatecznie, nowy gość może tam przybyć jutro, to by nie była racja darczenia tego hotelu świadomym wyborem. Nie, raczej ci go zalecam dla jego stylu. Pokoje są dość sympatyczne, meble stare i wygodne, ma coś, co daje poczucie bezpieczeństwa.

Ale dla mnie, mniej estety od Roberta, przyjemność, jaką może dać stylowy pałacyk była powierzchowna, prawie żadna i nie mogła ukoić owładającego mną niepokoju, równie uciążliwego jak ów, który mnie nawiedzał niegdyś w Combray, kiedy mama nie przyszła mi powiedzieć dobranoc, lub któremu doznawał w dniu przybycia do Balbec, w nazbyt wysokim pokoju, wonięjącym „bagnem”. Saint-Loup zrozumiał to z mego martwego spojrzenia.

— Ale ty sobie gwizdziesz, moje kochanie, na ładny pałacyk; jesteś cały błąd, a ja mówię ci jak bydlę o obiciach, na które nawet nie będziesz miał serca spojrzeć. Znam pokój, w którym by cię pomieszczono; osobiście wydaje mi się bardzo wesoły, ale zdaję sobie sprawę, że dla ciebie, przy twojej wrażliwości, to nie to samo. Nie przypuszczaj, że ja cię nie rozumiem; nie odczuwam tak samo, ale stawiam się na twoim miejscu.

Podoficer, który przejeżdżał konia na dziedzińcu, bardzo zajęty tym, aby go uczyć skakać, nieodpowiadający na ukłony żołnierzy, ale obsypujący wyzwiskami tych, co mu się napatoczyli, uśmiechnął się w tej chwili do Roberta, widząc zaś, że jest w towarzystwie, uklonił się. Ale koń jego, spieniony, stanął potężnego dęba. Saint-Loup poskoczył, chwycił konia za uzdę, zdołał go uspokoić i wrócił do mnie.

— Tak — rzekł — ręczę ci, że ja sobie zdaję sprawę, cierpię razem z tobą; czuję się nieszczęśliwy — dodał, kładąc mi serdecznie rękę na ramieniu — na myśl, że gdybym mógł zostać przy tobie, zdołałbym może, siedząc obok ciebie, rozmawiając z tobą do rana, ująć ci trochę smutku. Pożyczyłbym ci chętnie książek, ale w tym stanie nie będziesz mógł czytać. I nie ma nawet mowy o tym, żeby mnie ktoś mógł zastąpić; już dwa razy z rzędu to robiłem, kiedy moja dziewczyna przyjechała.

Marszczył brwi strapiiony, a także z natężenia, z jakim szukał, niby lekarz, co za lekarstwa dałoby się użyć na moje cierpienie.

— Biegnij zapalić ogień w moim pokoju — rzekł do przechodzącego żołnierza. — No, prędzej, zwijaj się.

Potem na nowo zwracał się do mnie: zarówno monokl, jak oko krótkowidza robiły aluzję do naszej wielkiej przyjaźni:

— Nie! ty tutaj, w tych koszarach, gdzie tyle o tobie myślałem; nie wierzę własnym oczom, mam uczucie, że śnię. A ogółem, twoje zdrowie, czy trochę lepiej? Opowiesz mi to wszystko za chwilę. Pójdziemy do mnie, nie siedzmy za długo na dziedzińcu, jest wściekły wiatr; ja tego już prawie nie czuję, ale ty nie jesteś przyzwyczajony, boję się, żebyś nie zziął. A do pracy zabrałeś się już? Nie? Jakiś ty zabawny! Gdybym ja miał twój talent, myślę, że pisałbym od rana do wieczora. To cię bardziej bawi nic nie robić! Co za nieszczęście, że właśnie ludzie mierni jak ja zawsze są skorzy pracować, a ci, co by mogli, nie chcą. Ale ja cię jeszcze nie spytałem o zdrowie babki. Nie rozstaję się z jej Proudhone⁶⁵.

Jakiś oficer — wielki, piękny, majestatyczny — wolnym i uroczytym krokiem wynurzył się ze schodów. Saint-Loup uklonił się i unieruchomił wieczną ruchliwość swego ciała na czas, przez który trzymał rękę przytkniętą do kepi⁶⁶. Ale wyrzucił ją z taką siłą, prostując się ruchem tak suchym, natychmiast zaś po uklonieniu opuścił dłoń gestem tak nagłym, zmieniając wszystkie pozycje ramienia, nogi i monoklu, że ten moment był nie tyle chwilą nieruchomości, ile drgającym napięciem, w którym neutralizowały się nadmierne ruchy poprzednie i te, które miały nastąpić. Tymczasem oficer, nie zbliżając się,

⁶⁴*hiperestezja* (gr., med.) — przeczulica, nadmierna wrażliwość na bodźce zmysłowe. [przypis edytorski]

⁶⁵*Proudhon, Pierre Joseph* (1809–1865) — francuski myśliciel społeczny, polityk, dziennikarz, twórca anarchizmu indywidualistycznego; krytykował kapitalizm, państwo i Kościół. [przypis edytorski]

⁶⁶*kepi* — sztywna czapka wojskowa o kształcie walca, z czworokątnym daszkiem. [przypis edytorski]

spokojny, życzliwy, godny, cesarski, w sumie przedstawiający kompletne przeciwieństwo Roberta, podniósł także — ale bez pośpiechu — rękę do kepi.

— Muszę coś powiedzieć kapitanowi — szepnął do mnie Saint-Loup — bądź tak dobry, idź, zaczekaj na mnie w moim pokoju, drugi na prawo, trzecie piętro, przyjdę do ciebie za chwilę.

I ruszając ostrym krokiem, poprzedzony monoklem bujającym na wszystkie strony, poszedł prosto ku godnemu i powolnemu kapitanowi, któremu przyprowadzono w tej chwili konia. Zanim wsiadł, wydawał parę rozkazów, z wystudiowaną szlachetnością gestów, niby z jakiegoś historycznego obrazu. Wyglądał tak, jakby miał jechać na jaką bitwę Pierwszego Cesarstwa⁶⁷, podczas gdy po prostu udawał się do siebie, do mieszkania wynajętego na czas pobytu w Doncieres, na placu nazwanym — jakby przez antycypowaną ironię wobec tego napoleonidy — placem Republiki! Zapuściłem się na schody, niemal ślizgając się co chwila na stopniach nabitych gwoździami; migały mi izby o nagich ścianach z podwójnymi szeregami łóżek i kuferków. Wskazano mi pokój Roberta. Stałem przez chwilę przed zamkniętymi drzwiami, bom słyszał, że się ktoś tam rusza; jakby ktoś trącał coś, jakby coś upuszczał; czułem, że pokój nie jest pusty, że tam ktoś jest. Ale to był tylko ogień płonący na kominku. Nie mógł wytrwać ani przez chwilę spokojnie, ruszał polana, i to bardzo niezręcznie. Wszedłem; stracił jedno, buchnął dymem z drugiego. I nawet kiedy się nie ruszał, i wówczas, jak ludzie z gminu, wciąż wydawał jakieś odgłosy, które, skorom widział wzbijający się płomień, były dla mnie odgłosami ognia, ale przez ścianę wydałyby mi się hałasem kogoś, kto uciera nos i chodzi. W końcu usiadłem w pokoju. Obicie *liberty*⁶⁸ i stare niemieckie materie z XVIII wieku chroniły go od zapachu wydzielanego przez resztę budynku; był to zapach pospolity, mdły i zgniły, jak woń razowego chleba. Tu, w tym uroczym pokoju, zjadłbym obiad i spałbym tak rozkosznie i spokojnie! Saint-Loup zdawał się tu niemal obecny dzięki fachowym książkom leżącym na stole, dzięki fotografiom, pośród których rozpoznałem siebie i panią de Guermites, dzięki ogniowi, który wreszcie przyzwyczał się do kominka i niby zwierzę leżące w żarliwym, milczącym i wiernym oczekiwaniu, jedynie od czasu do czasu upuszczał rozsypującą się głównię lub lizal płomieniem ścianę.

Słyszałem tykanie zegarka, który musiał leżeć gdzieś niedaleko. Tykanie to zmieniało co chwila miejsce, bo zegarka nie widziałem; rozlegało się za mną, z przodu, z prawej, z lewej, chwilami jakby ginąc w oddali. Naraz ujrzałem zegarek na stole. Odtąd słyszałem tykanie w stałym punkcie, z którego się już nie ruszyło. Przynajmniej zdawało mi się, że je tam właśnie słyszę; nie słyszałem go tam, ale widziałem, dźwięki nie mają miejsca. Przynajmniej łączymy je z ruchami, przez co mają dla nas tę korzyść, że nas uprzedzają o ruchach, czynią je niejako czymś naturalnym i koniecznym. Z pewnością zdarza się niekiedy, że chory, któremu hermetycznie zamknięto uszy, nie słyszy już odgłosu ognia podobnego temu, który trzeszczał w tej chwili na kominku Roberta, wytrwale fabrykując głównię i popiół i upuszczając je następnie do koszyka; i tak samo nie słyszy tramwajów, których muzyka zrywała się w regularnych odstępach na rynku w Doncieres. Jeżeli wówczas taki chory czyta, stronicę będą się obracały w ciszy, jakby je obracał palec jakiegoś boga. Głuchy łoskot przyrządzonej kąpieli łagodnieje, cichnie i oddala się na kształt niebiańskiego świegotu. Oddalenie się hałasu, jego zwątlenie odbierają mu w stosunku do nas wszelką natarczywość; dopiero co nękani uderzeniami młota, które zdawały się wstrząsać sufit nad naszą głową, bawimy się teraz tym, aby chwycić te uderzenia, lekkie, pieścizotliwe, dalekie, niby szmer liści igrających na ścieżce z wietrzykiem. Kładziemy pasjansę, nie słysząc szelestu kart, tak iż myślimy, żeśmy ich nie poruszyli, że się ruszają same i że, uprzedzając naszą ochotę, same zaczęły grać z nami. I nasuwa się pytanie, czy z Miłością (dodajmy nawet do Miłości miłość życia, miłość sławy, skoro są podobno ludzie znający te dwa uczucia) nie powinno by się czynić tak jak ci, co wobec hałasu — zamiast błagać go, żeby ustał — zatykają sobie uszy; i naśladując ich, czybyśmy nie powinni skupić na sobie samych naszej uwagi, naszej samoobrony, dając im za cel uszczuplenie nie osoby którą kochamy, ale naszej zdolności cierpienia przez tę osobę.

⁶⁷*Pierwsze Cesarstwo Francuskie* — państwo francuskie, w którym najwyższą władzę sprawował Napoleon Bonaparte jako cesarz Francuzów, Napoleon I (w latach 1804–1814 i 1815). [przypis edytorski]

⁶⁸*Obicie liberty* — z luksusowego londyńskiego domu towarowego „Liberty”, sprzedającego ozdoby, tkaniny i przedmioty sztuki, założonego w 1875. [przypis edytorski]

Aby wrócić do dźwięku: wystarczy pogrubić jeszcze kulkę zamykającą przewód słuchowy, a może ona zmusić do *pianissimo*⁶⁹ pannę, która grała nad naszą głową hałaśliwy kawałek; wystarczy nasycić taką kulkę tłuszczem, a natychmiast despotyzmowi jej ulega cały dom, prawa jej rozciągają się nawet na ulicę. *Pianissimo* już nie wystarcza; kulka zamyka niezwłocznie fortepian, ucina nagle lekcję muzyki; jegomość, który nam chodził po głowie, przerywa w jednej chwili dreptanie; krążenie powozów i tramwajów ustaje nagle, tak jakby oczekiwano jakiejś głowy państwa. I to ściszenie dźwięków mąci nawet czasem sen zamiast go chronić. Wczoraj jeszcze nieustanne hałasy, opisując nam bez przerwy ruch na ulicy i w domu, usypiały nas w końcu jak nudna książka; dzisiaj na powierzchni ciszy rozciągającej się na naszym śnie jakiś silniejszy od innych łoskot daje się w końcu słyszeć, lekki jak westchnienie, bez związku z żadnym innym dźwiękiem, tajemniczy; i prośba o wytłumaczenie, jaką nam szepce, wystarcza, aby nas obudzić. Dość jest usunąć na chwilę choremu watę osłaniającą bębenki, a nagle światło, pełne słońce dźwięku, zjawia się na nowo, oslepiające, odradza się we wszechświecie; pędem wraca tłum wygnanych hałasów; jest się świadkiem zmartwychwstania głosów, jakby je psalmodiowały⁷⁰ muzykujące anioły. Puste ulice wypełniają się na chwilę szybkimi i kolejnymi skrzydłami śpiewnych tramwajów. I w samym pokoju chory stwarza nie jak Prometeusz ogień, ale dźwięk ognia. I powiększając lub zwalniając pęczki waty, robimy tak, jakbyśmy naciskali kolejno jeden i drugi z dwóch pedałów, które przydaliśmy dźwięczności zewnętrznego świata.

Jednakże istnieją porażenia dźwięków trwałe, nie chwilowe. Człowiek całkowicie głuchy nie może nawet zagrzać rondelka z mlekiem, inaczej niż śledząc oczami, podniósłszy przykrywkę, biały podbiegunowy blask podobny blaskowi śnieżnej zawieruchy, niby ostrzegawczy znak, którego rozsądnie jest słuchać, wyjmując — niby Pan wstrzymujący fale — kontakt elektryczny; bo już wznoszące się i spazmatyczne jajko wrzącego mleka rośnie w paru skośnych rzutach, wzdyma się, zaokrągla parę wpół obalonych żagli, które zmarszczyła śmietanka, ciska w burzę żagiel z perłowej masy, przerwanie zaś prądów — jeżeli zażegnano na czas elektryczną nawałnicę — skręca je wszystkie w miejscu i rzuca je z wiatrem zmienione w płatki magnolii. Ale jeżeli chory nie podjął zawczasu potrzebnych ostrożności, niebawem książka jego i zegarek, zatopione, ledwo wychylają się z białego morza po tym mlecznym przyplwywie; musi wołać na pomoc swoją starą służącą, która, choćby był znamienitym mężem stanu lub wielkim pisarzem, powie mu, że ma nie więcej rozumu niż pięcioletnie dziecko.

Innym razem, w czarnoksięskim pokoju, przed zamkniętymi drzwiami zjawia się osoba, której nie było przed chwilą; to gość, którego wejścia chory nie słyszał i który wykonuje tylko gesty niby w teatrzyku marionetek, tak kojącym dla tych, co nabrali wstrętu do słów. Utrata jednego zmysłu przydaje światu tyleż piękności co nabycie innego: toteż taki głuchy przechadza się teraz z rozkoszą po Ziemi niemal rajskiej, gdzie nie stworzono jeszcze dźwięku. Najwyższe wodospady rozpościerają swój kryształowy obrus dla samych oczu, spokojniejsze niż morze w czas ciszy, jak wodospady Raju. Ponieważ hałas był dlań przed ogłuchnięciem dostrzegalną formą przyczyn ruchu, przedmioty poruszające się bez hałasu poruszają się jak gdyby bez przyczyny; odarte z wszelkich właściwości dźwiękowych, rozwijają samorzutną czynność, zdają się żyć; poruszają się, martwieją, zapalają się same. Same z siebie wzlatają niby skrzydlate przedhistoryczne potwory. W samotnym i pozbawionym sąsiadów domu człowieka głuchego, usługa, która, zanim jego głuchota stała się kompletna, okazywała już więcej względów i odbywała się cicho, wykonywana jest teraz — z odcieniem czegoś podstępnego — przez niemych, jak obsługa króla w ferii⁷¹. I budowle, które głuchy widzi z okna — koszary, kościół, ratusz — są, również jak na scenie, tylko dekoracją. Jeżeli któregoś dnia dekoracja się zawali, powstanie stąd chmura kurzu i widoczne szczątki; ale jeszcze mniej materialna niż pałac w teatrze, od którego jest wszelako mniej lekka, runie w czarodziejski wszechświat tak, że upadek jej ciężkich głazów żadnym pospolitym hałasem nie skala czystości ciszy.

⁶⁹*pianissimo* (wł., muz.) — bardzo cicho. [przypis edytorski]

⁷⁰*psalmodia* a. *psalmodiowanie* — śpiewanie i intonowanie psalmów. [przypis edytorski]

⁷¹*féerie* (z fr.) — widowisko fantastyczne, teatralne lub skomponowane na sposób teatralny. [przypis edytorski]

Cisza — o wiele bardziej względna — panująca w żołnierskiej izdebce, gdzie się znajdowałem od paru chwil, przerwała się. Drzwi się otwały i Saint-Loup, wypuszczając z oka monokl, wyszedł żywo.

— Ach, Robercie, jak tu dobrze u ciebie — rzekłem — jakby to było wspaniale, gdyby tu było wolno zjeść obiad i przenocować!

I w istocie, gdyby to nie było zabronione, jakiegoż spoczynku wolnego od smutku zakosztowałbym tutaj, chroniony przez tę atmosferę spokoju, czujności i wesołości, którą podtrzymywały tysiączne uregulowane i zdyscyplinowane wole, tysiąc beztroskich dusz, w tej wielkiej wspólnocie, jaką są koszary, gdzie, strojąc nawet czas w formę działania, smutny dźwięk godzin zastąpiono radosną fanfaramą pobudek, tych samych, których dźwięczne wspomnienie, rozproszkowane, rozdrobnione, buja nieustannie nad brukiem ulic — głos pewny, że będzie słuchany, a muzyczny, bo jest nie tylko głosem władzy wzywającej do posłuchu, ale i głosem mądrości wzywającej do szczęścia.

— A! wołałbyś spać tutaj blisko mnie niż iść sam do hotelu — rzekł, śmiejąc się Saint-Loup.

— Och, Robercie, okrutny jesteś, że traktujesz to ironicznie — rzekłem — skoro wiesz, że to niemożliwe i że tam będę tak cierpieć!

— Sprawiasz mi wielką przyjemność — rzekł — bo właśnie pomyślałem sam z siebie, że ty wołałbyś zostać dzisiaj wieczór tutaj. I specjalnie o to poszedłem prosić kapitana.

— I pozwolił? — wykrzyknąłem.

— Bez najmniejszej trudności.

— Och! ubóstwiam go!

— Nie, to za wiele. A teraz, pozwól mi zawołać ordynansa, by się zajął naszym obiadem — dodał, gdy ja się odwróciłem, aby ukryć łzy.

Raz po raz wchodził któryś z kolegów Roberta. Wyrzucał ich za drzwi.

— No, zmykaj!

Prosiłem go, aby im pozwolił zostać.

— Ale nie, zanudziliby cię, to są ludzie całkowicie nieokrzesani, którzy umieją mówić tylko o wyścigach, o ile nie o czyszczeniu koni. A i mnie zepsuliby te tak drogie chwile, których tak bardzo pragnąłem. Ale zważ, że jeżeli ja mówię o ubóstwie ducha moich kolegów, to nie znaczy, aby wszelki wojskowy miał być antyintelektualny. Ani trochę. Mamy tu majora, który jest cudowny człowiek. Miał kurs, w którym historia wojen potraktowana jest jak dowód matematyczny, coś w rodzaju algebry. Nawet estetycznie to ma swoją piękność, indukcyjną i dedukcyjną na przemian. Podobałoby ci się.

— To nie ten kapitan, który mi pozwolił zostać tutaj?

— Nie, Bogu dzięki, bo człowiek, którego „ubóstwiasz” dla tak błahej przyczyny, to jest największy głupiec, jakiego święta ziemia nosiła. Bajeczny jest do tego, aby się zajmować menażą⁷² i ekwipunkiem swoich ludzi; spędza godziny całe z kwatermistrzem i z krawcem pułkowym. To jego mentalność. Gardzi zresztą, jak wszyscy, wspaniałym majorem, o którym ci mówiłem. Nikt z nim nie żyje, bo jest mason i nie chodzi do spowiedzi. Nigdy ksiązę Borodino nie przyjąłby u siebie tego plebejusza. I to jest bądź co bądź bajeczny tupet ze strony człowieka, którego pradziadek był po prostu chłopem i który gdyby nie wojny napoleońskie, byłby zapewne też chłopem. Zresztą on sobie dobrze zdaje sprawę ze swojego położenia w świecie: ni to pies, ni wydra. Zaledwie się pokazuje w Jockey Clubie, tak bardzo czuje się tam nieswój ten rzekomy ksiązę — dodał Robert, który mocą tego samego ducha naśladownictwa przejąwszy teorie socjalne swoich mistrzów i przesady światowe swojej rodziny, łączył — nie zdając sobie z tego sprawy — miłość ludu z pogardą dla szlachty Cesarstwa.

Patrzyłem na fotografię jego ciotki; myśl, że Saint-Loup, posiadając tę fotografię, będzie mi ją może mógł darować, uczyniła mi go tym droższym. Byłbym pragnął oddać mu tysiąc usług, które w porównaniu z tą wydawały mi się drobiazgiem. Bo ta fotografia to było niby jedno spotkanie więcej, przydane do moich poprzednich spotkań z panią de Guermantes; co więcej, spotkanie przedłużone, tak jakby w nagłym zbliżeniu naszych stosunków ona zatrzymała się przy mnie w ogrodowym kapeluszu i pozwoliła mi pierwszy raz przyglądać się do syta tym policzkom, linii karku, kącikowi brwi (dotąd zamglonym

⁷²menaż (przestarz., z fr.) — stolówka; kasyno wojskowe. [przypis edytorski]

dla mnie wskutek chyżości mijania się, zamętu moich wrażeń, chwiejności wspomnienia); i oglądanie tego wszystkiego, jak widok piersi i ramion kobiety, którą się dotąd widziało tylko w sukni pod szyję, było dla mnie rozkosznym odkryciem, przywilejem. Te linie, których widok zdawał mi się dotąd niemal wzbroniony, mógłbym studiować niby w podręczniku jedynej geometrii mającej dla mnie wartość.

Później, przyglądając się Robertowi, spostrzegłem, że i on był po trosze niby fotografia jego ciotki. Mocą tajemnicy, dla mnie niemal równie wzruszającej, o ile twarz Roberta nie była wprost poczęta z jej twarzy, obie miały wszakże wspólny początek. Rysy księżnej de Guermantes, przyszpilone w mojej wizji z Combray, nos w kształcie sokołego dzioba, przenikliwe oczy posłużyły również do wycięcia — w innym analogicznym i wiotkim egzemplarzu o zbyt delikatnej skórze — twarzy Roberta, niemal pokrywającej się z twarzą ciotki. Z zazdrością oglądałem w nim charakterystyczne rysy Guermantów, rasy tak swoistej w świecie, w którym ona nie ginie, w którym pozostaje wyosobniona w swojej bosko ornitologicznej chwale, zdaje się bowiem zrodzona w mitologicznej epoce z połączenia bogini i ptaka.

Nie znając przyczyn mego rozczulenia, Robert był bardzo nim wzruszony. Czulość ta wzmagala się zresztą od błogostanu spowodowanego ciepłem kominka i szampanem, który równocześnie perlił kroplami potu moje czoło, a łzami moje oczy; podlewaliśmy nim kuropatwy, które jadłem z podziwem wszelkiego profana, kiedy w jakimś obcym mu życiu znajdzie coś, o czym sądził, że jest z tego życia wykluczone (na przykład podziw wolnomysliciela zjadającego świetny obiad na plebanii). I nazajutrz rano, budząc się, z okna pokoiku Roberta, które, położone bardzo wysoko, ogarniało całą okolicę, rzuciłem pełne ciekawości spojrzenia, aby się zapoznać ze swoją sąsiadką — wsią, której nie mogłem obejrzyć poprzedniego dnia, przybywszy za późno, w nocy, w chwili gdy ona już spała. Ale choć się budziła wcześniej, ujrzałem ją wszakże, otwierając okno, jedynie tak, jak się ją widzi z okna jakiegoś zamku, w stronie stawu, opatuloną jeszcze w miękką białą szatę z mgły, która nie pozwalała mi prawie nic dojrzeć. Ale wiedziałem, że zanim żołnierze krzątający się na dziedzińcu przy koniach skończą je czyścić, ona zdejmie tę suknię. Na razie widziałem tylko nikłą górkę, wystawiającą w stronę koszar swój grzbiet już odarty z cienia, mizerny i chropawy. Poprzez ażurowe firanki szronu nie odrywałem oczu od tej nieznanym, która mnie widziała pierwszy raz. Ale kiedy przywykłem zachodzić do koszar, świadomość, że ta górka jest tam, realniejsza tym samym — nawet kiedy jej nie widziałem — niż hotel w Balbec, niż nasz dom w Paryżu, o których myślałem jak o nieobecnych, jak o umarłych, to znaczy ledwie już wierząc w ich istnienie, sprawiła, że nawet gdy sobie z tego nie zdawałem sprawy, oświetlony jej kształt rysował się zawsze nad najmniejszymi wrażeniami, jakich doznałem w Doncieres, aby zaś zacząć od tego ranka, nad lubym wrażeniem ciepła, jakie mi dała czekolada przyrządzona przez ordynansa Roberta w tym wygodnym pokoju, sprawiającym wrażenie optycznego centrum do oglądania tego wzgórza, ile że myśl robienia czegoś innego niż patrzenia na nie i przechadzania się po nim była uniemożliwiona przez rozpościerającą się mgłę. Nasycając kształt pagórka, skojarzona ze smakiem czekolady i z wątkiem moich ówczesnych myśli, ta mgła, mimo że nie myślałem o niej ani trochę, zwilżyła wszystkie moje myśli z owego czasu, tak jak jakieś nieskażone i masywne złoto skojarzyło się z moimi wrażeniami z Balbec lub jak sąsiedztwo czarnych kamiennych schodów powlekało czymś szarym moje wrażenia z Combray. Mgła nie przetrwała zresztą długo, słońce wypuściło na nią daremnie kilka strzał, które zahaftowały ją diamentami, po czym rozproszyły ją. Wzgórze mogło poddać swój szary grzbiet promieniom, które w godzinę później, kiedy zeszedł do miasta, dawały czerwonym liściom drzew oraz czerwieni i błękitowi afiszów wyborczych na murach jakiś poryw, który wypełniał mnie samego i kazał mi zbijać bruk, śpiewając i wstrzymując się, aby nie podskakiwać z radości.

Ale począwszy od drugiego dnia, trzeba mi było nocować w hotelu. I wiedziałem z góry, że muszę tam zastać nieunikniony smutek. Smutek ten był niby dławiący aromat, jaki od czasu mego pierwszego dzieciństwa wydzielał dla mnie wszelki nowy pokój, to znaczy wszelki pokój: w pokoju, gdzie mieszkał stale, byłem nieobecny, myśl moja przebywała gdzie indziej, wysyłała na swoje miejsce jedynie przyzwyczajenie. Ale nie mogłem obarczać owej mniej wrażliwej służebnicy tym, aby się zajęła moimi sprawami w nowym miejscu, gdzie ją poprzedzałem, gdzie przybywałem sam, gdzie trzeba mi było

wprowadzić w kontakt z otoczeniem owo „ja”, które odnajdywałem jedynie po latach przerwy, ale zawsze to samo, ile że nie urosło od czasu Combray, od mego pierwszego przybycia do Balbec, płaczące i niepokieszone na otwartej walizie.

Otóż pomyliłem się. Nie miałem czasu być smutny, bo nie byłem ani chwili sam. Bo z dawnego pałacu pozostał przerost zbytku, bez zastosowania w nowoczesnym hotelu, i oderwany od wszelkiej praktycznej funkcji, przybrał w swojej beczynności rodzaj własnego życia: kręcące się w kółko korytarze, których bezcelowe odnogi mijają się co chwila, sienie długie jak korytarze, a strojne jak salony, robiące raczej wrażenie, że tam mieszkają, niż że stanowią część mieszkania; nie dało się ich włączyć w żaden apartament, ale krążyły dokoła mego i przyszyły mi od razu ofiarować swoje towarzystwo — rodzaj sąsiadów próżniaczych, lecz nie hałaśliwych, pokątnych widm przeszłości, którym pozwolono mieszkać bez hałasu u drzwi pokojów do wynajęcia — mary, które, za każdym razem kiedy je spotkałem na drodze, zachowywały wobec mnie milczącą uprzejmość. W sumie, idea mieszkania, prostego futerału obejmującego nasze doraźne istnienie i zabezpieczającego nas jedynie od zimna, od wzroku ludzi, nie nadawała się absolutnie do tej siedziby, zespołu ubikacji⁷³ równie realnych jak zbiorowisko osób, o życiu milczącym co prawda, ale które musiało się spotykać, unikać ich, witać je, kiedy się wracało. Niepodobna było bez ostrożnego szacunku patrzeć na wielki salon, który od XVIII wieku nawykł rozpościerać się między swymi gzymsami ze starego złota, pod chmurami malowanymi na suficie. A poufalszą ciekawość budziły małe pokoiki, które nie troszcząc się o symetrię, biegły dokoła niego, niezliczone, zdziwione, uciekające w nieładzie aż do ogrodu, dokąd schodziły tak łatwo po trzech wyszczerbionych stopniach.

Kiedyś chciałem wyjść lub wrócić, nie posługując się windą i nie przechodząc przez główne schody, mniejsze schodki prywatne, już nieużywane, nadstawały mi swoje stopnie, tak składnie zbudowane, że linia ich zdawała się posiadać doskonałą gradację, w rodzaju tej, jaka w kolorach, zapachach, smakach budzi w nas często specjalną rozkosz. Ale trzeba mi było przybyć aż tutaj, aby poznać przyjemność związaną z wchodzeniem i schodzeniem, jak niegdyś musiałem się znaleźć w alpejskiej miejscowości klimatycznej, aby się przekonać, że niedostrzegany zazwyczaj akt oddychania może być ciągłą rozkoszą. Odczułem tę folgę⁷⁴ w wysiłku, daną nam jedynie przez rzeczy, do których przywykliśmy od dawna, kiedyś pierwszy raz postawił nogi na tych stopniach, poufałych, zanim je znałem, tak jakby posiadały — może złożoną i wcieloną w nie przez dawniejszych panów, których przyjmowały co dnia — antycypowaną słodycz nienabytych jeszcze przeze mnie przyzwyczajęń, słodycz zdolną jedynie osłabnąć, skoro się z nią oswoję.

Otworzyłem pokój, podwójne drzwi zamknęły się za mną, draperia wpuściła milczenie, nad którym uczułem jakąś upajającą królewskość. Zdobny cyzelowanym mosiądzem marmurowy kominek — błędem byłoby przypuszczać, że ten kominek umiał jedynie reprezentować sztukę Dyrektoriatu⁷⁵ — dawał i ciepło, a niski fotelik pomógł mi się grzać równie wygodnie, co gdybym siedział na dywanie. Ściany tuliły pokój, oddzielając go od reszty świata; aby tam wpuścić, aby w nim zamknąć to, co mu dawało jego pełnię, rozstępowały się przed biblioteką, obejmowały zagłębienie z łóżkiem, po którego dwóch stronach kolumnienki podtrzymywały lekko wyniosły sufit alkowy⁷⁶. A pokój przedłużał się w głąb w dwa alkierze⁷⁷ równej z nim szerokości; w drugim z nich wisiał na ścianie — aby nasycić wonią skupienie, którego miało się tam szukać — rozkoszny różaniec z ziarn irysa. Drzwi, gdybym je zostawił otwarte, wchodząc do tego najdalszego schronienia, nie tylko troiły je, nie niweczając jego harmonii i nie tylko dawały memu spojrzeniu lubość przestrzeni po lubości skupienia, ale przydawały uczucie swobody do rozkoszy samotności, samotności wciąż nienaruszonej, a nie tak zamkniętej. Alkówek ta wychodziła na dziedziniec, którego miłe sąsiedztwo odkryłem ze szczęściem nazajutrz rano, ujrzawszy

⁷³ubikacja (daw., z łac.) — miejsce; pomieszczenie. [przypis edytorski]

⁷⁴folga (daw.) — ulga, odpoczynek; pobłażanie. [przypis edytorski]

⁷⁵Dyrektoriat — pięcioosobowy rząd Republiki Francuskiej ustanowiony w 1795, w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej; także: okres działania tego rządu, tj. do zamachu stanu dokonanego przez Napoleona w 1799. [przypis edytorski]

⁷⁶alkowa — mały pokój bez okien, przylegający do większego pokoju; przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

⁷⁷alkierz — mały, boczny pokój, często sypialny. [przypis edytorski]

go zamkniętym — niby piękną samotnicę — między wysokimi murami bez okien. Rosły tam tylko dwa pożółkle drzewa, dające czystemu niebu jakąś słodycz lila.

Zanim się położyłem, zapragnąłem wyjść z pokoju, aby zbadać całą swoją bajkową dziedzinę. Szedłem długą galerią, niosącą mi w darze wszystko, co mi mogła ofiarować w razie bezsenności: fotel w kącie, szpinet⁷⁸, na konsoli⁷⁹ niebieski fajansowy wazon pełen cynerarii⁸⁰ i w staroświeckiej ramie widmo zeszlówiecznej damy z niebieskimi kwiatami w pudrowanych włosach, z bukietem goździków w ręce. Kiedym doszedł do końca, ściana bez drzwi powiedziała mi naiwnie: „Teraz trzeba wracać; ale widzisz, jesteś tu u siebie”, podczas gdy puszysty dywan dodawał uprzejmie, że gdybym nie spał tej nocy, mógłbym doskonale przyjść tu boso, a okna bez okiennic wyglądające na pole zapewniały mnie, że będą czuwały całą noc i że nawet zjawiając się o jakiej bądź porze, nie potrzebuję się bać, bym kogoś obudził. Za drzwiczkami w ścianie zauważyłem jedynie mały gabinetek: wstrzymany ścianą i nie mogąc uciec, ukrył się tam markotny i patrzył na mnie wystraszonego swoim okrągłym okienkiem zblękitnionym przez księżyc.

Położyłem się, ale obecność pierzyny, kolumnienek, kominka, napinając moją uwagę w stopniu nieznanym mi w Paryżu, nie pozwoliła mi się oddać zwykłej włóczędze marzeń. Że zaś ten szczególnie stan uwagi, zagarniając sen i działając nań, zmienia go, dociąga go do tej czy innej serii wspomnień, obrazy moich sennych marzeń owej pierwszej nocy wylaniały się z pamięci zupełnie odmiennej od tej, z której zwykle czerpał mój sen. Gdybym nawet, śpiąc, skłonny był pożegłować w stronę mej zwykłej pamięci, łóżko, do którego nie był przyzwyczajony, łagodna baczność towarzysząca nieodzownie moim ruchom, kiedym się obracał, wystarczały, aby naprostować lub podtrzymać nowy wątek moich snów.

Ze snem jest tak jak z percepcją świata zewnętrznego. Wystarczy lada zmiany w naszych przyzwyczajeniach, aby go uczynić poetycznym; wystarczy, abyśmy, rozbierając się, zasnęli niechcący na łóżku, aby się proporcje snu zmieniły, dając nam odczuć jego piękno. Budzimy się, widzimy na zegarku czwartą, to dopiero czwarta rano; ale nam się zdaje, że już spłynął cały dzień, tak bardzo ten kilkuminutowy sen, któregośmy nie szukali, wydaje się nam mocą jakiegoś boskiego prawa zesłany z nieba, olbrzymi i pełny niby złote jabłko cesarza.

Rano, kiedym się frasował, że dziadek dawno jest gotów i że czekają na mnie, aby się wybrać w stronę Méséglise, obudziła mnie fanfara pułku, który co dzień przejeżdżał pod moimi oknami. Ale parę razy — i mówię to tutaj, bo niepodobna dobrze oddać czyjegoś życia, jeżeli się go nie skąpie w śnie, w którym się ono nurza i który noc po nocy opływa je tak jak morze otacza półwysep — odgradzający mnie sen był dość oporny, aby wytrzymać uderzenie muzyki, tak że nie słyszałem nic. W inne dni ustępował na chwilę: ale moja świadomość — jeszcze powleczone snem, jak owe znieczulone wprzód narządy, którym przyżeganie, zrazu nieodczuwane wcale, daje się uczuć dopiero przy samym końcu w postaci lekkiego sparzenia — doznała jedynie lekkiego dotknięcia ostrzy piszczalek, pieszczących ją niby lekkie i świeże świegot letni; i po tej wąskiej przerwie, w której cisza stała się muzyką, cisza ta powracała wraz z moim snem, zanim nawet dragoni przeszli, kradnąc mi ostatnie rozkwitłe pęki dźwięcznego bukietu. A strefa mojej świadomości, którą musnęły tryskające gałązki, była tak wąska, tak spowita snem, że później, kiedy Saint-Loup mnie pytał, czym słyszał muzykę, nie byłem już pewny, czy dźwięk fanfary nie był takim samym urojeniem jak ten, który słyszałem w dzień unoszący się po najmniejszym hałasie nad brukiem. Może słyszałem go jedynie we śnie z obawy przebudzenia się lub, przeciwnie, z obawy, że się nie zbudzę i nie zobaczę defilady. Bo często, kiedy spałem w chwili, gdym myślał, że hałas byłby mnie obudził, przez godzinę jeszcze — wciąż drzemiąc — myślałem, że nie śpię, i na ekranie swojego snu komponowałem sobie z nikłych cieni rozmaite widowiska, w których ten hałas mi przeszkadzał, ale których złuda trwała we mnie.

⁷⁸szpinet — dawny instrument muzyczny, odmiana klawesynu. [przypis edytorski]

⁷⁹konsola — ozdobny stolik umieszczany zwykle pod lustrem; także kolumnienka służąca jako podstawa, do umieszczania na niej wazonu, zegara itp. [przypis edytorski]

⁸⁰cyneraria — roślina z rodziny astrowatych o purpurowoczerwonych kwiatkach z żółtym środkiem. [przypis edytorski]

Zdarza się w istocie z nadejściem snu, że to, co zrobilibyśmy w dzień, spełniamy jedynie we śnie, to znaczy po zboczeniu w sen, idąc inną drogą, niżby się to zrobiło na jawie. Ta sama historia skręca i ma inny koniec. Mimo wszystko świat, w jakim żyjemy we śnie, jest tak odmienny, że ludzie, którym trudno jest zasnąć, starają się przede wszystkim wyjść z naszego świata. Walkując rozpaczliwie przez całe godziny z zamkniętymi oczami myśli podobne do tych, jakie by mieli z otwartymi oczami, nabierają otuchy, skoro spostrzegą, że ostatnia minuta była brzemienna rozumowaniem zupełnie sprzecznym z prawidłami logiki, z oczywistością danego momentu; ta krótka „absencja” znaczy, że uchylila się brama, przez którą zdołają się może za chwilę wymknąć rzeczywistości, przycupnąć gdzieś mniej lub więcej z dala od niej, co im da mniej lub więcej „dobry” sen. Ale już uczyniliśmy wielki krok, kiedy się obrócimy plecami do rzeczywistości i kiedy dosięgniemy pierwszych czeluści, gdzie „autosugestie” na kształt czarownic przyrządzają piekielną potrawkę urojonych chorób lub pogorszenia się nerwic i czatują na godzinę, gdy ataki naciągnięte niby sprężyna w czasie nieświadomego snu, odprężą się nagle dość silnie, aby go przerwać.

Niedaleko stamtąd znajduje się zamknięty ogród, gdzie rosną, jak nieznanne kwiaty, sny tak różne od siebie wzajem: sen datury⁸¹, konopi indyjskich, rozlicznych wyciągów eteru, sen belladonna⁸², opium, waleriany; kwiaty zwinięte do dnia, gdy predestynowany wędrowiec dotknie ich, rozwinie je i na długie godziny wyzwoli aromat ich marzeń w swojej zachwyconej i zdumionej duszy. W głębi ogrodu jest klasztor z otwartymi oknami, gdzie słyszy się powtarzane przed zaśnięciem lekcje, które będziemy umieli dopiero przy obudzeniu; podczas gdy, niby wróżba tego przebudzenia, powtarza swoje „tik tak” ów wewnętrzny budzik, który poczucie nasze nastawiło tak dobrze, że kiedy służąca przyjdzie nam powiedzieć: „Jest siódma”, już nas zastanie gotowych. Na ciemnych ścianach tego pokoju otwierającego się na sny, gdzie pracuje bez przerwy owo zapomnienie miłosnych zgrzyot, którego pracę, szybko na nowo podjętą, przerywa czasem i niszczy koszmar przypomnień, wiszą nawet po przebudzeniu się wspomnienia snów, ale tak mroczne, że często spostrzegamy je pierwszy raz aż w pełne popołudnie, kiedy je przypadkowo uderzy promień jakiejś pokrewnej myśli; niektóre już harmonijnie jasne, podczas gdyśmy spali, ale obecnie tak zmienione, że nie poznawszy ich, możemy tylko co prędzej oddać je ziemi, jak nazbyt rychło rozkładające się trupy lub przedmioty tak zniszczone i zmurszałe, iż najbieglejszy konserwator nie potrafiłby im przywrócić kształtu i zrobić z nich czegoś.

Opodal kraty znajduje się kopalnia, gdzie głębokie sny zachodzą szukać substancji nasycających głowę materią tak twardą, że aby obudzić śpiącego, własna jego wola zmuszona jest, nawet w złoty ranek, walić toporem niby młody Zygfryd⁸³. Dalej jeszcze są zwidzenia, o których lekarze niedorzecznie twierdzą, że bardziej męczą niż bezsenność, wówczas gdy one, przeciwnie, pozwalają naszej myśli wyzwolić się z uwagi; koszmary ze swymi fantazyjnymi albumami, gdzie nasi zmarli rodzice ulegają ciężkiemu wypadkowi, niewykluczającemu rychłego wyleczenia. Na razie trzymamy ich w klatce na szczury, przy czym mniejsi są niż białe myszki; pokryci wielkimi czerwonymi pryszczami, z których każdy strojny jest w piórko, zwracają do nas cycerońskie⁸⁴ oracje. Obok tego albumu znajduje się kręcący się dysk przebudzenia, dzięki któremu grozi nam przez chwilę ta przykreść, że musimy za chwilę wrócić do zburzonego od pięćdziesięciu lat domu, którego obraz — w miarę jak sen się oddala — zacierają inne domy, zanim dojdziemy do tego, który się zjawi dopiero po zatrzymaniu się dysku, utożsamiony z tym, który ujrzemy otwartymi oczami.

Czasem nie słyszałem nic, pogrążony we śnie z rodzaju snów, w które wpadamy niby w czeluść, szczęśliwi, gdy się z niej wydostaniemy nieco później; sen ciężki, obżarty, trawiący wszystko to co nam — na kształt nimf karmiących Herkulesa — przyniosły owe zwinne roślinne potęgi, działające ze zdwojoną energią w czasie, gdy śpimy.

⁸¹datura — bieleń, rodzaj roślin z Ameryki, używanych przez Indian do wywoływania halucynacji. [przypis edytorski]

⁸²belladonna — pokrzyk wilcza jagoda; roślina trująca, powodująca m.in. omamy wzrokowe i słuchowe. [przypis edytorski]

⁸³Zygfryd — legendarny germański heros, zabójca smoka, tytułowy bohater trzeciej części dramatu muzycznego Ryszarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*. [przypis edytorski]

⁸⁴cyceroński — taki jak u Cycerona (106–43 p.n.e.), najwybitniejszego rzymskiego mówcy, także pisarza, filozofa i polityka. [przypis edytorski]

Nazywa się to snem ołowianym; zdaje się, że człowiek sam stał się na kilka chwil po przerwaniu takiego snu człowiekiem z ołowiu. Nie jest się nikim. Jakim cudem, szukając swojej myśli, swojej osobowości, tak jak się szuka zgubionego przedmiotu, odnajdujemy wówczas w końcu swoje „ja” raczej niż jakiegokolwiek inne? Czemu kiedy zaczniemy na nowo myśleć, wciela się w nas osobowość nie inna niż poprzednia? Nie wiadomo, co nam dyktuje ten wybór i czemu, pośród milionów istot ludzkich, którymi moglibyśmy być, trafiamy właśnie na tę, którą byliśmy wczoraj. Co nami kieruje w odnalezieniu się po tej przerwie (spowodowanej głębokością snu lub odrębnością marzeń sennych, całkowicie od nas różnych)? Była to naprawdę śmierć, jak wówczas kiedy serce przestało bić i kiedy miarowe wyciąganie języka wraca nas do życia. Bez wątplenia jakiś pokój, choćbyśmy go widzieli tylko raz, budzi wspomnienia, których czepiają się inne, dawniejsze. Albo też spały może w nas samych pewne wspomnienia, dochodzące naszej świadomości? Zmartwychwstanie przy przebudzeniu — po tym dobroczynnym napadzie obłądki, jakim jest sen — musi być w gruncie podobne do procesu, mocą którego odnajdujemy zapomniane nazwisko, wiersz, melodię. I może zmartwychwstanie duszy po śmierci dałoby się pojąć jako zjawisko pamięci.

Kiedym się wreszcie rozbudził, wabiony słonecznym niebem, ale zrażony chłodem owych ostatnich poranków, promiennych i mroźnych, zwiastujących zimą, spoglądałem na drzewa, gdzie liście były zaznaczone tylko paroma plamami złota lub czerwieni, jak gdyby zawieszonymi w powietrzu, w niewidzialnej osnowie. Podnosiłem głowę i wyciągałem szyję, z ciałem półokrytym kołdrą; niby poczwarzka w trakcie przeobrażania się, byłem podwójną istotą, której poszczególne części wymagały różnych środowisk; oczom moim wystarczał kolor bez ciepła, za to moja pierś łaknęła jedynie ciepła, nie zaś koloru. Wstawałem dopiero wtedy, kiedy ogień płonął, i patrzyłem na łagodny i przejrzysty obraz złocistoliliowego poranku, któremu sztucznie przydawałem brakującą cząstkę ciepła, poruszając pogrzebaczem ogień płonący i dymiący na kształt dobrej fajki i dający mi jak fajka przyjemność — grubą zarazem, bo polegała na rozkoszy materialnej, i delikatną, bo za nią znaczyła się czysta wizja.

Gotownia⁸⁵ moja była obita żywoczerwoną tapetą w białe i czarne kwiatki, z którymi oswojenie powinno mi było przyjść dość trudno. Ale wydały mi się tylko nowe: zmusiły mnie jedynie do wejścia z nimi w styczność, nie zaś w zatarg; odmieniły jedynie wesołość i melodie mego wstawania, wsadziły mnie przemocą jakby w kielich maku, z którego patrzyłem na świat, widząc go zgoła inaczej niż w Paryżu, z owego wesołego parawanu, jakim był ten nieznan dom, inaczej położony od domu rodziców i skąpany w czystym powietrzu.

Bywały dni, gdy nękała mnie potrzeba ujrzenia babki, obawa, czy nie jest cierpiąca; lub pamięć jakiejś uprzykrzonej sprawy pozostawionej w Paryżu; czasem jakieś kłopoty, w które nawet tutaj potrafiłem się wpakować. Któraś z tych trosk nie dała mi spać; byłem bez siły przeciw memu smutkowi, który w jednej chwili wypełniał mi całe istnienie. Wówczas posyłałem kogoś z hotelu do koszar z bilecikiem do Roberta; prosiłem go, jeżeli mu to jest fizycznie możliwe — wiedziałem, że to jest bardzo trudne — aby był tak dobry i przyszedł na chwilę. Za godzinę przybywał; słysząc jego dzwonek, czułem się wyzwolony ze swoich trosk. Wiedziałem, że o ile one są silniejsze ode mnie, on jest silniejszy od nich; uwaga moja odrywała się od nich i obracała się ku niemu, mającemu decydować. Już wszedł i już napełnił pokój falą powietrza, w którym rozwijał tyle energii od rana; atmosferą bardzo różną od mojego pokoju, do której dostrajałem się natychmiast przez stosowne reakcje.

— Nie gniewasz się, mam nadzieję, że cię niepokoił; jest coś co mnie dręczy, powinienś być to zgadnąć.

— Ależ nie; myślałem po prostu, że masz ochotę mnie widzieć, i bardzo mnie to ucieszyło. Byłem niezmiernie rad, żeś mnie wezwał. Ale co? Jakoś nietęgo się miewasz? Czym ci mogę usłużyć?

Słuchał moich wyjaśnień, odpowiadał z precyzją, ale nim jeszcze przemówił, upodobał mi się; przy poważnych zajęciach, które go czyniły tak spieszącym się, tak ruchliwym i wesołym, przykrości wypełniające mnie przed chwilą nieustannym cierpie-

⁸⁵gotownia (daw.) — pokój do ubierania się. [przypis edytorski]

niem wydawały mi się, jak jemu, czymś blahym; byłem jak człowiek, co, nie mogąc otworzyć oczu od kilku dni, sprowadza lekarza, który łagodnie i zręcznie rozwiera mu powieki i pokazuje wyjęte ziarnko piasku; chory jest wyleczony i uspokojony. Wszystkie moje udręki rozwiązywała depesza, którą Saint-Loup podejmował się wysłać. Życie zdawało mi się tak inne, tak piękne, byłem przepelniony takim nadmiarem siły, żem pragnął działać.

— Co ty teraz robisz? — pytałem Roberta.

— Muszę cię opuścić, bo za trzy kwadranse wymarsz, potrzebują mnie.

— To był dla ciebie wielki kłopot przyjść tutaj?

— Nie, żaden kłopot, kapitan był bardzo uprzejmy; powiedział, że z chwilą gdy chodzi o ciebie, powinienem iść, ale ostatecznie nie chcę, aby się wydawało, że tego nadużywam.

— A gdybym wstał prędko i wybrał się na własną rękę w okolice, gdzie macie ćwiczenia? To by mnie bardzo interesowało, a w pauzach moglibyśmy może gawędzić sobie.

— Nie radzę ci: nie spałeś, nabiłeś sobie głowę czymś, co, ręcąc ci, nie ma żadnego sensu; zatem teraz, kiedy cię to już nie dręczy, obróć się do ściany i śpij, co ci wybornie zrobi na demineralizację twojej tkanki nerwowej. Ale nie zasypiaj zbyt szybko, bo ta szelma muzyka będzie przechodziła pod twoimi oknami, ale potem już będziesz miał spokój. Zobaczymy się wieczorem na obiedzie.

Ale z czasem, później, chodziłem często przyglądać się, jak pułk odbywa ćwiczenia w polu, wówczas kiedy zacząłem interesować się teoriami wojskowymi, jakie rozwijali przy obiedzie przyjaciele Roberta, i kiedy oblegało mnie pragnienie ujżenia z bliska ich różnych przełożonych. Tak ktoś, kto żyje muzyką i wysiada na koncertach, znajduje przyjemność w tym, aby zachodzić do kawiarni, w której może obserwować życie członków orkiestry. Aby dotrzeć na teren ćwiczeń, musiałem robić daleki marsz. Wieczorem, po obiedzie, głowa opadała mi chwilami z senności. Nazajutrz spostrzegłem, że nie słyszał fanfary, tak samo jak w Balbec, po wieczorze z Robertem w Rivebelle, nie słyszałem koncertu na plaży. I w chwili, gdy chciałem wstać, odczuwałem rozkoszny bezwład; czułem się wrośnięty w niewidzialny i głęboki grunt siecią muskularnych i odżywczych korzonków, odczuwanych dzięki zmęczeniu. Czułem się pełen sił, życie rozciągało się przede mną dłuższe, bo też cofnąłem się w błogosławione znużenia mego dzieciństwa w Combray, nazajutrz po spacerach w stronę Guermantes. Poeci twierdzą, że zachodząc do jakiegoś domu, do jakiegoś ogrodu, gdzieśmy żyli za młodu, odnajdujemy się na chwilę takimi, jakimi byliśmy niegdyś. To są bardzo ryzykowne pielgrzymki, często przynoszące zawód. Pewniejsze jest odnajdywać w sobie samym miejsca stałe, współczesne różnym latom. Do tego mogą się nam zdać poniekąd wielkie zmęczenia, po których następuje dobra noc. Ale te, dając nam zstąpić w najgłębsze podziemne labirynty snu, gdzie żaden odbłask jawy, żaden błysk pamięci nie oświeca już wewnętrznego monologu, o ile on w ogóle tam nie ustaje — wywracają tak dokładnie grunt i martwicę naszego ciała, że dają się nam odnaleźć tam, gdzie nasze mięśnie zanurzają i skręcają swoje odnogi i wsysają nowe życie, ogród, gdzieśmy spędzili dzieciństwo. Nie trzeba podróży na to, aby go ujrzeć na nowo; aby go odnaleźć, trzeba zastąpić w głąb. To, co przykryła ziemia, nie jest już na niej, ale pod nią; aby zwiedzić umarłe miasto, nie wystarczy wycieczki, trzeba kopać w ziemi. Ale czytelnik ujrzy, o ile ulotne i przypadkowe wrażenia lepiej jeszcze wiodą w przeszłość, z subtelniejszą precyzją, lotem lżejszym, bardziej niematerialnym, bardziej zawrotnym, nieomylnym, bardziej nieśmiertelnym niż te organiczne przemieszczenia.

Czasem byłem jeszcze bardziej zmęczony: asystowałem, nie mogąc się położyć, ćwiczeniom przez kilka dni. Jakże błogi był wówczas powrót do hotelu! Wracając do swego łóżka, miałem uczucie, że się w końcu wyrwał czarownikom, wróżom podobnym do tych, jacy zaludniają „romanse” ukochane przez nasz wiek XVII. Sen i wylegiwanie się nazajutrz rano były już tylko uroczą baśnią. Uroczą, może i dobroczynną. Powiadałem sobie, że dla najgorszych cierpień istnieje miejsce azylu, że zawsze można w braku czegoś lepszego — znaleźć spokój. Te myśli prowadziły mnie bardzo daleko.

W dni, kiedy nie było ćwiczeń, a Saint-Loup nie mógł mimo to wyjść, odwiedzałem go często w koszarach. Znajdowały się daleko; trzeba było wyjść z miasta, przebyć wiadukt, po którego obu stronach rozciągał się szeroki widok. Silny wiatr dął prawie zawsze na tym wyżu i wypełniał wszystkie budynki koszar, huczące wciąż niby jaskinia wiatrów. Czekałem na Roberta, zatrudnionego służbowo, przed jego drzwiami albo

w refektarzu⁸⁶, rozmawiając z jego przyjaciółmi (później odwiedzałem ich czasem, nawet gdy Roberta miało nie być); widziałem przez okno w dole nagie pola; tu i ówdzie nowe zasiewy, często jeszcze mokre od deszczu i oświetlone słońcem, tworzyły zielone pasy, błyszczące i przezroczyste jak emalia. Słyszałem często, jak mówią o Robercie: rychło zdałem sobie sprawę, jak był popularny i lubiany. U wielu rekrutów z innych szwadronów, bogatych mieszczańskich synów, którzy widywali wielki świat jedynie z daleka i nie mając doń dostępu, sympatia, jaką w nich budziły przymioty Roberta, urastała jeszcze od uroku jego sfery. Często, bawiąc na przepustce w Paryżu, widzieli go, wieczorzącego w Café de la Paix z księciem d'Uzès i z księciem Orleanu. I z tej przyczyny jego ładna twarz, jego niedbały sposób chodzenia, kłaniania się, z nieustannie fruującym monoklem, jego nieprzepisowe, zbyt wysokie kepi, pantalon⁸⁷ ze zbyt cienkiego i zbyt różowego sukna, zrosły się im z pojęciem „szyku”. Odmawiali tego szyku innym, najbardziej eleganckim oficerom pułku; nawet majestatycznemu kapitanowi, któremu zawdzięczałem pierwszy nocleg w koszarach, a który wydawał się w porównaniu z Robertem zbyt nadęty, niemal pospolity.

Któryś mówił, że kapitan kupił nowego konia.

— Może kupować koni, ile tylko zechce! Spotkałem Roberta de Saint-Loup w niedzielę rano w alei des Acacias: ten dopiero ma szyk na koniu! — odparł drugi; a znał się na tym, bo ci młodzi ludzie należeli do klasy, która jeżeli nie bywa w tym samym świecie co Saint-Loup, to jednak dzięki pieniądzom i wczasom nie ustępuje arystokracji w znajomości wszystkich elegancji, jakie się da kupić. Co najwyżej elegancja ich miała (w tym na przykład, co się tyczyło stroju) coś bardziej wyszukanego, nieskazitelnego niż swoboda i niedbała elegancja Roberta, która się tak podobała mojej babce. Dla tych bankierskich synków, zajądających się ostrzygami po teatrze, widzieć przy sąsiednim stole podoficera Saint-Loup to była pewna emocja. I ileż opowiadań w koszarach w poniedziałek po powrocie z urlopu! Jednemu, koledze ze szwadronu, Robert uklonił się bardzo przyjaźnie; drugi, z innego szwadronu, twierdził, że Saint-Loup i tak go poznał, bo parę razy wycelował monokl w jego stronę.

— Tak, mój brat widział go w „La Paix” — powiadał inny, który spędził dzień u swojej kochanki. — Zdaje się nawet, że miał za luźny frak, nieszczególnie skrojony.

— Jaką miał kamizelkę?

— Nie białą, ale lila w jakieś palmy, bajeczna!

Żołnierze, ludzie prości, niemający pojęcia o Jockey Clubie, zaliczali Roberta jedynie do kategorii podoficerów bardzo bogatych, w której to kategorii mieścili wszystkich, co — zrujnowani lub nie — żyli na pewnej stopie, mieli okazałą sumę dochodów lub długów i byli hojni dla żołnierzy. Dla tych — chód, monokl, spodnie, kepi Roberta, w których zresztą nie widzieli nic arystokratycznego, miały swoją ważność i znaczenie. We właściwościach tych poznawali charakter, styl, który raz na zawsze wyznaczyli temu najpopularniejszemu z podoficerów, wzięcie niepodobne do żadnego innego, pogardę dla opinii władz, co się tym prostym ludziom wydawało naturalną konsekwencją dobroci Roberta dla żołnierzy. Ranna kawa w izbie lub popołudniowa sjesta na łóżku lepiej smakowały, kiedy jakiś „starszy” uraczył łakomą i leniwą drużynę nowym, smakowitym szczegółem o kepi Roberta.

— Takie wysokie jak moja walizka.

— Daj spokój, stary, ty chcesz z nas strugać wariatów, nie mogło być takie wysokie jak twoja walizka — przerwał młody maturzysta, który posługując się tym dialektem, starał się nie wyglądać na frajera, ryzykując zaś ten sprzeciw, chciał wywołać potwierdzenie faktu, którym był zachwycony.

— Aha, nie takie wysokie jak moja walizka. Tyś je może mierzył. Powiadam ci, podpułkownik fiksował go tak, jakby go chciał posłać do paki. I nie myśl sobie, że ten sakramencki Saint-Loup robił sobie co z tego; chodził sobie tędy i owędy, spuszczał głowę, podnosił głowę, wciąż z tym fruującym monoklem. Zobaczmy, co powie kapitan. Ha, możebne — nie powie nic; ale to pewne, że kontent⁸⁸ nie będzie. Ale to kepi to jeszcze nic. Podobno u siebie w domu on ma ich więcej niż trzydzieści.

⁸⁶refektarz — jadalnia w klasztorze lub seminarium duchownym. [przypis edytorski]

⁸⁷pantalon (z fr., daw.) — spodnie. [przypis edytorski]

⁸⁸kontent (przestarz.) — zadowolony. [przypis edytorski]

— Jak ty to wiesz, stary? Przez naszego cholernego kaprala? — pytał młody maturzysta, z pedantyzmem paradując nowymi formami, których nauczył się niedawno i którymi lubił ozdabiać konwersację.

— Jak wiem? Przez jego ordynansa, u licha.

— Myślę, że temu to się musi dziać wcale nieźle.

— Ma się wi! Ma więcej forsy ode mnie, to pewne. I daje mu swoje rzeczy, i wszystko. Nie dawali mu dosyć w kantynie. I nasz Saint-Loup przychodzi i dopiero kucharz wysłuchał za swoje: „Ja chcę, żeby on był dobrze żywiony, niech kosztuje, co chce”.

I stary zupak uzupełniał błahość słów energią akcentu, przy czym ta mierna imitacja odniosła kolosalny sukces.

Wyszedszy z koszar, robiłem mały spacer, po czym, nim przyszła chwila, w której szedłem co dzień na obiad z Robertem do restauracji, gdzie on się stołował z przyjaciółmi, udawałem się, skoro tylko słońce zaszło, do hotelu, aby przez dwie godziny odpocząć trochę i poczytać. Na rynku wieczór kładł na stromych dachach zamku różowe chmurki w kolorze cegieł i spajał je z nimi, łagodząc ton cegieł swoim odbłaskiem. Taki strumień życia napływał mi do nerwów, że żaden mój ruch nie mógł go wyczerpać, każdy krok, dotknąwszy ulicznego bruku, odskakiwał: zdawało mi się, że mam u stóp skrzydła Merkurego⁸⁹. Jedna fontanna była pełna czerwonego światła, gdy w drugiej księżyc dawał już wodzie kolor opalu. Pomiedzy nimi bawiły się dzieci, krzycząc, biegając w kółko, posłuszne jakiemuś nakazowi godziny, na kształt jerzyków lub nietoperzy. Obok hotelu, dawne pałace i oranżeria Ludwika XVI⁹⁰ — obecnie Kasa Oszczędności i Komenda Korpusu — oświetlone były od wewnątrz bladoczystymi ampulkami już zapalonego gazu. Płomyki te, w jasnym jeszcze dniu, wdzięcznie stroiły te wysokie i szerokie okna z XVIII wieku, gdzie nie zatarł się jeszcze ostatni odbłask zachodu, niby jasny szylkretowy⁹¹ stroik na głowie nieco podbarwionej różem. Światło to zachęcało mnie, abym spieszył do swojego kominka i do lampy, która sama jedna w fasadzie mojego hotelu walczyła ze zmierzchem i dla której wracałem, nim zapadnie noc, z rozkoszą, niby na podwieczorek. Zachowywałem w swoim pokoju tę samą pełnię wrażeń, jaką miałem wprzód na dworze. Wzdymała ona tak suto kształt powierzchni, które się nam często wydają płaskie i puste, żółty płomień ognia, sinawy papier nieba, na którym, na kształt uczniaka, wieczór nabazgrał floresy czerwonym ołówkiem, osobliwy deseń serwety na okrągłym stole, gdzie czekała mnie libra papieru i kałamarz obok powieści Bergotte'a, że odtąd przedmioty te nadal wydają mi się bogate w swoiste życie, które — takie mam wrażenie — umiałbym w nich wywołać, gdyby mi je było dane odnaleźć.

Myślałem z radością o tych koszarach, którym dopiero co opuścił i na których choraćgiewka kręciła się jak szalona na wietrze. Jak nurka oddychanie rurą biegnącą aż ponad powierzchnię wody, tak mnie te koszary wiązały ze zdrowym życiem, ze świeżym powietrzem: czułem niby punkt oparcia w tym wysokim obserwatorium, górującym nad polami przeciętymi zieloną emalią kanałów. Tam, w tych szopach i budynkach, miałem ten szacowny przywilej — jakże pragnąłem zachować go na stałe! — że mogłem zjawić się, kiedy zechcę, zawsze pewien dobrego przyjęcia.

O siódmej ubierałem się i szedłem na obiad spotkać się z Robertem w restauracji, gdzie się stołował. Lubilem chodzić tam pieszo. Ciemność była głęboka. Od trzeciego dnia mego pobytu zaczął dąć zaraz z zapadnięciem nocy lodowaty wiatr, zwiastun śniegu. Zdawało się, że w drodze powinien bym bez ustanku myśleć o pani de Guermantes; wszak wybrałem się do Roberta tylko po to, aby się do niej zbliżyć. Ale wspomnienie, zgryzota są ruchome. Są dni, w których odchodzą tak daleko, że ledwie je dostrzegamy, sądzimy, że już sobie poszły. Wówczas zwracamy uwagę na inne rzeczy. Ulice tego miasta nie były jeszcze dla mnie (jak są tam, gdzie mieszkamy stale) jedynie środkami przenoszenia się z miejsca na miejsce. Życie mieszkańców tego nieznanego świata wydawało mi się czymś cudownym; często oświetlone szyby jakiegoś domu zatrzymywały mnie długo w miejscu

⁸⁹*Merkury* (mit. rzym.) — posłaniec bogów, opiekun kupców, podróżników i złodziei, odpowiednik gr. Hermes; przedstawiany w sandałach ze skrzydłami, dzięki którym szybko się przemieszczał. [przypis edytorski]

⁹⁰*Ludwik XVI* (1754–1793) — król Francji (od 1774) z dynastii Burbonów, ścięty w okresie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

⁹¹*szylkretowy* — wykonany z szylkretu, tworzywa pozyskiwanego ze skorup żółwi morskich. [przypis edytorski]

w ciemnościach nocy, ukazując moim oczom autentyczne a tajemnicze sceny istnień, w których nie miałem udziału. Tu geniusz ognia pokazywał mi w purpurowym obrazie szynkownię, gdzie dwaj podoficerowie, złożwszy kupę⁹² na krzesłach, grali w karty, nie domyślając się, że czarodziej wywołuje ich z nocy, niby duchy w teatrze, w postaci, w jakiej ukazywali się w tej chwili oczom niewidocznego im przechodnia. W antykwarskim sklepiku na wpół wypalona świeca, oświetlając czerwonym blaskiem jakiś sztych, zmieniała go w sangwinę⁹³, podczas gdy, walcząc z cieniem, jasność dużej lampy opalała kawał skóry, pokrywała sztylet błyszczącymi pajątkami, na lichych kopiach obrazów kładła szacowne złoto niby patynę wieków lub werniks mistrza, czyniąc z tej nory, zawierającej samą tandetę, bezcennego Rembrandta⁹⁴. Czasami rzucałem wzrok w głąb jakiegoś obszerne- go starego mieszkania z niedomkniętymi okiennicami, gdzie ziemnowodni mieszkańcy obojga płci co wieczora powracali do życia w innym żywiole niż za dnia, pływali wolno w gęstym płynie, który z nadejściem nocy sączy się bez ustanku z rezerwuaru lamp, wypełniając pokoje po brzegi ich kamiennych i szklanych ścian; i w płynie tym, przesuwając swoje ciała, tworzyli tłuste i złociste wiry.

Szedłem dalej i często w czarnej uliczce wiodącej koło katedry, jak niegdyś na drodze do Méséglise, siła mego pragnienia zatrzymywała mnie: miałem uczucie, że się wyłoni jakaś kobieta, aby je zaspokoić; kiedy w ciemności uczulem nagle przesuwaną się suknię, sama gwałtowność doznawanej rozkoszy nie pozwalała mi sądzić, że otarcie się było przypadkowe, i próbowałem chwycić w ramiona wystraszoną nieznajomą.

Ta gotycka uliczka miała dla mnie coś tak realnego, że gdybym mógł tam zdybać i posiąść kobietę, niepodobna byłoby mi nie uwierzyć, że to antyczna rozkosz ma nas połączyć, choćby nawet owa kobieta była zwykłą ulicznicą wystającą tam co wieczora; tyle użyczyłyby jej tajemnicy zima, obcość miejsca, ciemność i średniowiecze. Myślałem o przyszłości: próbować zapomnieć o pani de Guermites wydawało mi się okropne, ale rozsądne i — po raz pierwszy — możliwe, może nawet łatwe. W absolutnej ciszy tej dzielnicy słyszałem dokoła siebie słowa i uśmiechy, pochodzące zapewne od zaproszonych winem wracających przechodniów. Zatrzymałem się, aby się im przyjrzeć, patrzyłem w stronę, skąd dochodził hałas. Ale trzeba mi było czekać długo: otaczająca cisza była tak głęboka, że z osobliwą wyrazistością i siłą przenosiła odgłosy jeszcze odległe. Wreszcie idący przeszli, nie — jak przypuszczałem — przede mną, ale daleko za mną. Czy że skrzyżowanie ulic i zgrupowanie domów spowodowało przez odbicie ten akustyczny błąd, czy że trudno jest umiejscowić dźwięk, którego źródła nie znamy, pomyliłem się zarówno co do odległości, jak co do kierunku.

Wiatr wzmagął się, był jakby zjeżony i chropawy zbliżającym się śniegiem. Wróciłem na główną ulicę i wskoczyłem do tramwaju, gdzie na platformie oficer — zdając się ich nie widzieć — odpowiadał na ukłony ciężkich żołnierzy przechodzących chodnikiem, z twarzami ufarbowanymi zimnem; w mieście, które nagły przeskok jesieni w rozpoczynającą się zimą posuwał jak gdyby o wiele dalej na północ, twarze te przywodziły na myśl czerwone gęby, jakie Breughel⁹⁵ daje swoim radosnym, hulaszczym i zmarzniętym wieśniakom.

Do restauracji, gdzie miał spotkać z Robertem i jego przyjaciółmi, zbliżające się święta ściągały wiele osób z sąsiedztwa, a także obcych. Gdym miał dziedziniec odsłaniający żarzące się kuchnie, gdzie kręciły się na rożnie kurczaki, gdzie piekły się wieprze, gdzie żywe jeszcze homary rzucano w tak nazwany przez hotelarza „ogień wieczny”, tłoczyli się (niby w jakimś *Spisie ludności w Betlejem*⁹⁶, jak je malowali starzy mistrze flamandzcy) przybysze, którzy, skupieni gromadkami w dziedzińcu, pytali gospodarza lub któregoś z jego pomocników (wskazującego im chętnie mieszkanie w mieście, kiedy się mu nie wydawali dość „odpowiedzialni”), czy mogą dostać posiłek i pokój, podczas gdy chłopcy biegali, trzymając za szyję szamocące się sztuki drobiu. I w wielkiej sali jadalnej

⁹²kupla (daw.) — pas; sprzączka u pasa. [przypis edytorski]

⁹³sangwina — brunatny odcień czerwieni przypominający kolor krwi (łac. *sanguis*). [przypis edytorski]

⁹⁴Rembrandt, właśc. *Rembrandt Harmenszoon van Rijn* (1606–1669) — holenderski malarz i grafik okresu baroku, mistrz światłocienia. [przypis edytorski]

⁹⁵Breughel, *Pieter* (ok. 1525–1569) — niderlandzki malarz i rysownik; wiele jego obrazów przedstawia sceny rodzajowe rozgrywane się w środowisku chłopskim. [przypis edytorski]

⁹⁶*Spis ludności w Betlejem* — obraz Pietera Bruegla Starszego z 1566, przedstawiający wydarzenie z Ewangelii wg świętego Łukasza w zimowej scenarii niderlandzkiego miasteczka. [przypis edytorski]

(którą przebyłem pierwszego dnia, zanim dotarłem do pokoiku, gdzie mnie oczekiwał przyjaciel) również przypominał się posiłek z Ewangelii, wyobrażony z naiwnością dawnych wieków i z przesadą Flamandów. Przywodziła go na myśl mnogość ryb, pulard⁹⁷, bażantów, bekasów, gołębi, dymiących, wnoszonych w całej paradzie przez zdyszanych garsonów⁹⁸, którzy ślizgali się dla pośpiechu po posadzce i stawiali je na olbrzymiej konsoli, gdzie je natychmiast krajano, ale gdzie — ile że wiele obiadów dobiegało końca w chwili, gdy się zjawiał — gromadziły się nieużyte, jak gdyby ich obfitość i pośpiech służby odpowiadały nie tyle potrzebom gości, ile raczej szacunkowi dla świętego tekstu, skrupulatnie przestrzegane, lecz naiwnie ilustrowane tymi realnymi szczegółami, zapożyczonymi z miejscowego życia, oraz estetycznej i religijnej trosce o uczczenie święta przez obfitość wiktualów i gorliwość służebników. Jeden z nich, stojąc na końcu sali, dumiał nieruchomy obok podręcznego kredensu; aby spytać tego właśnie (jedyne, który się wydawał dość spokojny), w którym pokoju pomieszczono nasz stół, posuwałem się między piecykami rozpalonymi tu i ówdzie, aby nie dać ostygnąć półmiskom zapóźnionych gości (co nie przeszkadzało, że w centrum sali desery trzymał w rękach olbrzymi bałwan, czasami wsparty na skrzydłach kaczkę na pozór z kryształu, a w rzeczywistości z lodu, co dnia cyzelowanego rozpalonym żelazem przez kucharza-rzeźbiarza w guście bardzo flamandzkim). Szedłem prosto, narażając się na przewrócenie w tłoku, w stronę tego służącego, w którym poznawałem jak gdyby osobistość tradycyjną w takich świętych tematach, z jej płaskonosą, naiwną i źle narysowaną twarzą, z wyrazem zadumy już jakby przeczuwającej niepodejrzewany jeszcze przez innych cud boskiej obecności. Dodajmy, iż (z pewnością z racji zbliżających się świąt) figurantowi temu przydano niebiański orszak, dobrany całkowicie z personelu cherubinów i serafinów⁹⁹. Młody anioł-muzykant o blond włosach strojących czternastoletnią twarzyczkę nie grał wprawdzie na żadnym instrumencie, ale marzył przed gongiem lub przed stosem talerzy, podczas gdy mniej dziecięcy aniołowie pomykali przez olbrzymie przestrzenie sali, poruszając w niej powietrze nieustannym drżeniem serwet, zwisających wzdłuż ich ciał na kształt kończytych skrzydeł prymitywów.

Uchodząc z tych nieokreślonych regionów, przesłoniętych firanką palm, gdzie niebiańscy służebnicy robili z daleka wrażenie, że zstępują z *empireum*¹⁰⁰, torowałem sobie drogę do salki, gdzie był stół Roberta. Zastałem tam kilku jego przyjaciół, którzy zawsze z nim jadali; wszystko szlachta, z wyjątkiem paru mieszczan, ale takich, w których ci „dobrze urodzeni” od szkolnej ławy wyczuli przyjaciół, z którymi zbliżyli się chętnie, dowodząc tym, że nie są w zasadzie wrogami mieszczan, nawet republikanów, byleby ci mieli czyste ręce i chodzili na mszę. Od pierwszego wieczoru, zanim siedliśmy do stołu, odciągnąłem Roberta w kącie przy wszystkich, ale tak, żeby nie słyszeli, rzekłem:

— Robercie, chwila i miejsce są źle obrane na to, co ci chcę powiedzieć, ale to potrwa tylko sekundę. Zawsze zapominam spytać cię o to w koszarach: czy fotografia u ciebie na stole to jest pani de Guermantes?

— Ależ tak, to jest moja dobra ciocia.

— Ach, prawda, w głowie mi się troi, wiedziałem dawniej i nigdy o tym nie pomyślałem. Mój Boże, twoi przyjaciele muszą się niecierpliwić, mówmy szybko, patrz na nas. Albo odłożmy na inny raz, to nie ma żadnego znaczenia.

— Ależ owszem, różnij dalej, nic nie szkodzi, że zaczekają.

— Ale nie, ja chciałbym być grzeczny, oni są tacy mili dla mnie; zresztą doprawdy to nic tak ważnego.

— Ty znasz tę znaną Oriana?

Ta „zacna Oriana” — tak jakby powiedział ta „dobra Oriana” — nie znaczyła wcale, aby Robert uważał panią de Guermantes za specjalnie dobrą. W takich wypadkach „dobra”, „zacna”, „dzielna” są prostym wzmocnieniem słówka „ta”, określającego osobę, którą znają obaj, a o której nie bardzo się wie, co powiedzieć komuś, z kim się nie jest całkiem blisko.

⁹⁷pularda — młoda kura, wysterylizowana i specjalnie tuczona dla uzyskania szczególnie delikatnego mięsa. [przypis edytorski]

⁹⁸garson (z fr.) — kelner (dosł.: chłopiec). [przypis edytorski]

⁹⁹cherubini i serafini — anioły znajdujące się wysoko w hierarchii chórów anielskich. [przypis edytorski]

¹⁰⁰empireum — kosmiczne niebiosa, najbardziej zewnętrzna sfera wszechświata, będąca siedzibą Boga, miejscem pobytu aniołów i świętych. [przypis edytorski]

„Dobra” służy za przystawkę i pozwala zyskać na czasie, aż się znajdzie coś w rodzaju: „Czy ją widzisz często?”, albo: „Od wieków jej już nie widziałem”, albo: „Mam ją zobaczyć we wtorek”, albo: „Nie musi być już pierwszej młodości”.

— Nie umiem ci powiedzieć, jak mnie to bawi, że to jest jej fotografia, bo my mieszkamy teraz w jej domu i dowiedziałem się o niej niesłychanych rzeczy (byłbym w wielkim kłopotcie, gdybym miał powiedzieć jakich), co sprawia, że mnie ona bardzo interesuje, z punktu widzenia literackiego, rozumiesz, nie wiem, jak się wyrazić, z punktu widzenia balzakowskiego¹⁰¹. Ty, taki inteligentny, rozumiesz mnie w pół słowa; ale kończmy już, co twoi przyjaciele pomyślą o moim wychowaniu!

— Ależ nic nie pomyślą; powiedziałem im, że ty jesteś bajkowy, i są o wiele bardziej onieśmieleni od ciebie.

— Doprawdy, jakiś ty poczciwy. Ale chodzi o to: pani de Guermantes nie wie, że ja cię znam, prawda?

— Nie mam pojęcia, nie widziałem jej od lata, bo nie byłem w Paryżu od czasu jej powrotu.

— Powiem ci jedno: zaręczano mi, że ona mnie ma za kompletnego idiotę.

— Och, w to nie uwierzę. Oriana nie jest orzeł, ale bądź co bądź nie jest całkiem głupia.

— Ty wiesz, że nie zależy mi wcale na tym, abyś afiszował swoją przyjaźń dla mnie, bo nie jestem ani trochę próżny. Toteż żałuję, żeś mówił o mnie tak pochlebne rzeczy swoim przyjaciółom (do których przejdziemy za chwilę). Ale co się tyczy pani de Guermantes, gdybyś mógł jej zakomunikować, nawet z pewną przesadą, co o mnie myślisz, zrobiłbyś mi wielką przyjemność.

— Ależ bardzo chętnie, jeżeli tylko o to ci chodzi, to nie jest zbyt trudne; ale cóż tobie może zależeć na tym, co ona o tobie myśli? Przypuszczam, że gwizdzesz na to; w każdym razie, jeżeli to tylko tyle, będziemy mogli pomówić o tym przy wszystkich albo kiedy będziemy sami, bo boję się, żebyś się nie zmęczył, rozmawiając stojący, i to tak niewygodnie, podczas gdy mamy tyle sposobności znaleźć się sam na sam.

Ale właśnie ta niewygodność dała mi odwagę mówienia z Robertem; obecność innych była dla mnie pretekstem, pozwalającym mi formułować zdania krótko i beładnie, dzięki czemu łatwiej mogłem ukryć kłamstwo, jakiegom się dopuszczał, mówiąc przyjacielowi, że zapomniał o jego pokrewieństwie z księżną. Zarazem okoliczność ta nie zostawiała Robertowi czasu na spytanie mnie o motywy, dla których pragnę, aby pani de Guermantes wiedziała, że jestem z nim w przyjaźni, że jestem inteligentny itd., które to pytania byłyby mi nieprzyjemne, a nawet bardzo bym pragnął, abyś mnie o coś poprosił — zapewniam cię, nie żądałbym od ciebie wyjaśnień. Idę dalej niż to, czego pragnę; nie zależy mi na znajomości z panią de Guermantes, ale powinienem cię być wypróbować, powiedzieć ci, że chciałbym być zaproszony na obiad z panią de Guermantes, i wiem, że byś ty tego nie zrobił.

— Robercie, u ciebie, tak inteligentnego, dziwi mnie, iż nie rozumiesz, że nie trzeba rozbiierać tego, co sprawia przyjacielowi przyjemność, ale zrobić to po prostu. Ja, gdybyś mnie prosił o cokolwiek w świecie — a nawet bardzo bym pragnął, abyś mnie o coś poprosił — zapewniam cię, nie żądałbym od ciebie wyjaśnień. Idę dalej niż to, czego pragnę; nie zależy mi na znajomości z panią de Guermantes, ale powinienem cię być wypróbować, powiedzieć ci, że chciałbym być zaproszony na obiad z panią de Guermantes, i wiem, że byś ty tego nie zrobił.

— Nie tylko bym zrobił, ale zrobię.

— Kiedy?

— Skoro tylko przyjadę do Paryża, pewnie za trzy tygodnie.

— Zobaczymy; zresztą ona nie zechce. Nie umiem ci powiedzieć, jak ci dziękuję.

— Ależ nie, to drobnostka.

— Nie mów mi tego, to jest olbrzymie, bo teraz widzę, jaki z ciebie jest przyjaciel; czy to, o co proszę, jest ważne czy nie, przyjemne czy nie, czy mi na tym zależy w istocie, czy tylko aby cię wypróbować, mniejsza; powiadasz, że to zrobisz, i dowodzisz tym subtelnością swojej inteligencji i swego serca. Głupiec wszcząłby dyskusję.

Właśnie Saint-Loup zrobił to; ale może chciałem go wziąć przez miłość własną, może też byłem szczerzy, ile że jedynym kamieniem probierczym zasługi zdawała mi się czyjaś

¹⁰¹balzakowski — taki jak u Balzaka; *Honoré de Balzac* (1799–1850): francuski prozaik okresu romantyzmu, nazywany „mistrzem realizmu”, autor monumentalnego cyklu powieściowego pt. *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

użyteczność dla mnie wobec jedynej rzeczy, która mi się wydawała ważna — mojej miłości. Po czym dodałem, czy to powodowany obłudą, czy szczerym przychylnym uczuciu zrodzonego z wdzięczności, z interesu i ze wszystkiego, co natura przelała z rysów pani de Guermentes w siostrzeńca jej Roberta:

— Ale trzeba nam wracać do towarzystwa, a ja poprosiłem dopiero o jedną z dwóch rzeczy, i to mniej ważną. Druga jest o wiele dla mnie ważniejsza, ale boję się spotkać z odmową: czy by to była wielka przykrość, gdybyśmy przeszli na „ty”?¹⁰²

— Och, przykrość! jakże! Ależ „radość, ły radości, nieznanne szczęście!”¹⁰³

— Jak ja panu dziękuję... ci dziękuję. Kiedy pan... ty zaczniesz? To mi robi taką przyjemność, że jeżeli chcesz, możesz nic nie zrobić w sprawie pani de Guermentes, to „ty” wystarczy mi.

— Zrobi się i jedno, i drugie.

— Och! Robercie! Słuchaj — rzekłem jeszcze do Roberta podczas obiadu — och, jakie to komiczne, ta rozmowa wciąż przerywana i zresztą, nie wiem czemu — wiesz, pamiętasz tę osobę, o której ci mówiłem?

— Tak.

— Wiesz dobrze, o kim mówię?

— Ależ jakże, czy bierzesz mnie za kretyna, matolka?

— Czy nie zechciałbyś mi dać jej fotografię?

Chciałem go prosić jedynie o pożyczanie. Ale w chwili, gdym mówił, ogarnął mnie lęk, prośba moja wydała mi się zbyt śmiała; aby tego nie okazać, sformułowałem ją brutalnie i wyolbrzymiłem ją jeszcze, tak jakby była zupełnie naturalna.

— Nie, musiałbym jej wprzód poprosić o pozwolenie — odparł.

Równocześnie zacerwienił się. Zrozumiałem, że nie mówi wszystkiego, że mnie pomsądza o to samo, że będzie wspomagał moją miłość jedynie w pewnej mierze, w granicach pewnych zasad, i zniechęcił się do mnie w tej chwili.

A mimo to byłem wzruszony, widząc, jak bardzo Robert jest inny w stosunku do mnie z chwilą, gdym nie był z nim sam i kiedy byli przy tym jego przyjaciele. Jego wzmożona uprzejmość byłaby mi obojętna, gdybym wiedział, że jest rozmyślna; ale czułem, że jest mimowolna, złożona jedynie ze wszystkiego, co musiał mówić o mnie w mojej nieobecności, a co krył w sobie, kiedy byliśmy sami. Wówczas niewątpliwie domyślałem się przyjemności, jaką mu sprawiała rozmowa ze mną, ale przyjemność ta pozostawała prawie zawsze niewyrażona. Teraz przy tych samych moich powiedzeniach, jakimi się delektował zazwyczaj, nie okazując tego, zerkał spod oka na przyjaciół, badając, czy robię efekt, na który liczył i który miał odpowiadać jego zapowiedziom. Matka debiutantki nie z większą uwagą śledzi grę córki i wrażenia publiczności. Kiedym powiedział coś, z czego, gdybyśmy byli sami, tylko by się uśmiechnął, wołał: „Jak, jak?”, aby mnie zmusić do powtórzenia i ściągnąć uwagę. I obracając się do innych, patrząc na nich ze szczerym śmiechem i mimo woli prowokując ich śmiech, pierwszy raz zdradzał przede mną pojęcie, jakie miał o mnie i jakim musiał się często dzielić z kolegami. Tak iż spostrzegłem nagle samego siebie z zewnątrz, jak ktoś, kto wyczyta swoje nazwisko w dzienniku lub ujrzy się w lustrze.

Zdarzyło mi się pewnego wieczoru, że chciałem opowiedzieć dosyć komiczną historijkę o pani Blandais, ale zatrzymałem się natychmiast, przypomniawszy sobie, że Saint-Loup już zna tę historię i że kiedym mu ją chciał opowiedzieć nazajutrz po przybyciu, przerwał mi, mówiąc: „Opowiadałeś mi to już w Balbec”. Zdziwiłem się tedy, widząc, że Saint-Loup zachęca mnie, abym mówił dalej, zapewniając, że nie zna tej historijki i że bardzo by go zabawiła. Rzekłem:

— Musiałeś zapomnieć na chwilę, ale zaraz zobaczysz, że znasz.

— Ale nie, przysięgam, że ci się pomyliło. Nigdyś mi tego nie opowiadał. Jedź.

I przez cały ciąg anegdoty wlepił gorączkowo zachwycone oczy to we mnie, to w kolegów. Dopiero kiedym skończył historijkę wśród powszechnego śmiechu, zrozumiałem,

¹⁰²gdybyśmy przeszli na „ty”? — brak polskiego odpowiednika do francuskiej formy *vous* sprawił, iż tłumacz już wcześniej pozwolił się tym młodym ludziom „tykać”. Kazać im być z sobą tak długo na „pan” byłoby zbyt sztuczne. [przypis tłumacza]

¹⁰³radość, ły radości, nieznanne szczęście — słynny cytat z *Mysli* Pascala. [przypis tłumacza]

że on pomyślał, iż ona da wysokie pojęcie o mnie jego przyjaciółom i dlatego udał, że jej nie zna. To jest przyjaźń!

Trzeciego wieczora jeden z jego przyjaciół, z którym nie miałem sposobności mówić dotąd, rozmawiał ze mną bardzo długo; słyszałem później, jak półgłosem wyrażał Robertowi przyjemność, jaką w tym znalazł. W istocie, przegadaliśmy prawie cały wieczór przy stojących przed nami i zapomnianych kieliszkach sauternes¹⁰⁴, odcięci od innych, chronieni od nich przez wspaniałe zasłony jednej z owych wzajemnych męskich sympatii, które kiedy nie mają źródła w pociągu fizycznym, są jedynym rodzajem sympatii zupełnie tajemniczej. Tak samo zagadkowe wydawało mi się w Balbec uczucie, jakie żywił dla mnie Saint-Loup, niepokrywające się z przyjemnością naszych rozmów, oderwane od wszelkich węzłów materialnych, niewidzialne, niedotykalne, którego obecność jednak odczuwał w sobie samym niby rodzaj fluidu, gazu, na tyle, aby o nim mówić z uśmiechem. A może było coś jeszcze bardziej zdumiewającego w tej sympatii, zrodzonej tutaj w ciągu jednego wieczoru, niby kwiat rozwity w ciągu kilku minut w upale tego pokoiku.

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie spytać Roberta, kiedy wspomniał o Balbec, czy to jest naprawdę postanowione, że on się żeni z panną d'Ambresac. Odpowiedział, że nie tylko nie jest postanowione, ale nigdy nie było nawet o tym mowy, nie widział tej panny na oczy, nie wie, kto to jest. Gdybym spotkał w tej chwili kogoś z tych, co mi mówili o jego małżeństwie, oznajmiłby mi związek panny d'Ambresac z kimś innym niż pan de Saint-Loup, i pana de Saint-Loup z kimś innym niż panna d'Ambresac. Bardzo bym ich zdziwił, przypominając im odmienne proroctwa, jeszcze tak świeże! Iżby ta niewinna zabawa mogła trwać i mnożyć fałszywe nowiny, piętrząc ich maksymalną ilość przy każdym nazwisku, natura dała amatorom tej zabawy pamięć tym krótszą, im łatwościerność ich jest większa.

Saint-Loup mówił mi o innym z kolegów, również obecnym, z którym czuł się szczególnie blisko, bo byli w tym środowisku jedynymi zwolennikami rewizji procesu Dreyfusa¹⁰⁵.

— Och! on, to nie jak Saint-Loup, to fanatyk! — rzekł do mnie mój nowy przyjaciel. — On nie jest nawet szczerzy. W początkach powiadał mi: „Trzeba tylko czekać, jest tam w sztabie człowiek, którego znam dobrze, subtelny, zacny, generał de Boisdeffre¹⁰⁶; będzie można bez zastrzeżeń polegać na jego opinii”. Ale kiedy się dowiedział, że Boisdeffre wierzy w winę Dreyfusa, już Boisdeffre był niczym; klerykalizm (powiadał), sztabowe uprzedzenia nie pozwalają mu sądzić szczerze — mimo że nikt nie był równie klerykalny przed Dreyfusem jak nasz przyjaciel! Wówczas oświadczył mi, że w każdym razie będzie się wiedziało prawdę, bo sprawa jest w rękach Saussiera¹⁰⁷ i że ten republikański żołnierz (nasz przyjaciel jest z rodziny ultramonarchistycznej) to jest człowiek z brązu, sumienie nieugięte. Ale kiedy Saussier obwieścił niewinność Esterhazego¹⁰⁸, nasz kolega znalazł nowe komentarze do tego werdyktu, potępiające nie Dreyfusa, ale generała Saussier. Powiadał, że to duch militarystyki zaślepił Saussiera (a niech pan zważy, że on

¹⁰⁴*sauternes* (wym.: sotern) — białe półsłodkie wino z francuskiego regionu o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*Dreyfus, Alfred* (1859–1935) — francuski oficer pochodzenia żydowskiego, w 1894 niesłusznie oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazany na dożywotni pobyt w kolonii karnej, zrehabilitowany w 1906; jego sprawa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*Boisdeffre, Raoul Le Mouton de* (1839–1919) — francuski generał, szef Sztabu Generalnego w czasie sprawy Dreyfusa; na procesie Émile'a Zoli (1898) powołał się na istnienie dodatkowego dokumentu obciążającego Dreyfusa; kiedy później ujawniono, że dokument ten był fałszerstwem spreparowanym przez oficera wywiadu francuskiego, Boisdeffre podał się do dymisji i wycofał z życia publicznego. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Saussier, Félix Gustave* (1828–1905) — francuski generał; w 1894 jako gubernator Paryża wydał rozkaz przeprowadzenia śledztwa w sprawie wykrytego szpiegostwa, co rozpoczęło sprawę Dreyfusa. [przypis edytorski]

¹⁰⁸*Esterhazy, Ferdinand Walsin* (1847–1923) — major armii francuskiej, szpiegujący na rzecz Niemiec. W 1894 jego działania zostały wykryte, ale oskarżony o nie został zupełnie niewinny oficer, Alfred Dreyfus. Kiedy w 1896 odkryto dowody świadczące, że za szpiegostwo odpowiadał Etherhazy, władze wojskowe usiłowały nie dopuścić do ich ujawnienia, następnie rozdzielono sprawy obu oficerów i w styczniu 1898 postawiono Etherhazego przed tajnym sądem wojskowym, który po kilku minutach narady go uniewinnił. Doprowadziło to do nagłośnienia afery w prasie, w liście otwartym Émile'a Zoli podpisanym przez setki intelektualistów. W sierpniu 1898 Esterhazy wyjechał do Londynu, gdzie aż do śmierci był korespondentem antysemitycznej gazety „La Libre Parole”. [przypis edytorski]

sam jest zarówno militarystą, jak klerykałem, lub raczej był, bo nie wiem już teraz, co o nim sądzić). Rodzina jest w rozpacz, że on ma te poglądy.

— Widzisz — rzekłem, zwracając się na wół do Roberta, aby się nie zdawało, że się izoluję, a zarazem do jego kolegi, aby go wciągnąć do rozmowy — że wpływ, jaki przypisujemy środowisku, jest zwłaszcza prawdą w stosunku do środowiska intelektualnego. Jest się człowiekiem swojej idei; że zaś jest o wiele mniej idei niż ludzi, wszyscy ludzie jednej idei są do siebie podobni. Ponieważ idea nie ma nic materialnego, ludzie, którzy otaczają człowieka danej idei jedynie materialnie, nie zmieniają jej w niczym.

Saint-Loup nie zadowolił się tym skojarzeniem. W szale radości, zdwojonej niechybnie zadowoleniem, że mi dał sposobność błysnięcia w oczach kolegów, powtarzał nerwowo, pieszcząc mnie niby konia, który pierwszy przyszedł do mety:

— Ty jesteś najinteligentniejszy człowiek, jakiego znam, wiesz! — Poprawił się i dodał: — Obok Elstira. To cię nie drażni, prawda? Rozumiesz: ścisłość. Porównanie: mówię tak, jakby ktoś powiedział Balzacowi¹⁰⁹: jesteś największy powieściopisarz epoki obok Stendhala¹¹⁰. Nadmiar skrupułu, rozumiesz; w gruncie bezgraniczny podziw. Nie? nie piszesz się na Stendhala? — dodał z naiwną wiarą w mój sąd, wyrażającą się uroczym, uśmiechniętym, prawie dziecinnym pytaniem jego zielonych oczu. — Och, tak, widzę, że jesteś mojego zdania. Bloch nie cierpi Stendhala, dla mnie to jest idiotyczne. *Pustelnia* to jednak jest niesłychane, co? Cieszę się, że jesteś mojego zdania. Co ty najbardziej kochasz w *Pustelni*, powiedz — nacierał z młodzieńczym impetem, przy czym groźna siła fizyczna Roberta dawała coś niemal przerażającego jego pytaniu — Mosca, Fabrycy?

Odpowiedziałem nieśmiało, że Mosca ma coś z pana de Norpois. Na to burza śmiechu młodego Zygryfda-Saint-Loup. Nie dokończyłem jeszcze słów: „Ale Mosca jest o wiele inteligentniejszy, mniejszy pedant”, kiedy już Robert krzyczał brawo, klaszcząc z całych sił w ręce, dusząc się ze śmiechu i wołając: „Kapitalne! Trafione w centrum! Bajeczny jesteś”.

W tej chwili Saint-Loup przerwał mi, bo jeden z młodych wojskowych wskazał na mnie, mówiąc do Roberta: „Duroc. Całkiem Duroc”. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć, ale czułem, że wyraz onieśmiałej twarzy był więcej niż życzliwy. Kiedy mówiłem, nawet uznanie innych zdawało się Robertowi czymś zbyt cennym, żądał milczenia. I jak dyrygent przerywa muzykantom uderzeniem smyczka z powodu jakiegoś szmeru, tak on zganiał przerywającego:

— Gibergue — rzekł — trzeba umieć być cicho, kiedy ktoś mówi. Powiesz później. No, mów dalej — rzekł do mnie.

Odetchnąłem, bo już się bałem, że mi każe wszystko zacząć na nowo.

— Że zaś — ciągnąłem dalej — idea jest rzeczą niemożliwą uczestniczyć w ludzkich interesach i niezdolną dzielić ich korzyści, interes nie ma wpływu na ludzi idei.

— Słuchajcie, dzieci, to człowiek dębieje po prostu! — wykrzyknął Saint-Loup, kiedy skończył mówić. Śledził mnie oczami z tą samą niespokojną bacznością, co gdybym szedł po wyciągniętej linii. — Coś ty chciał powiedzieć, Gibergue?

— Powiadałem, że pan mi bardzo przypomina majora Duroc. Miałem wrażenie, że jego słyszę.

— Ależ i mnie to często przychodziło na myśl — odparł Saint-Loup. — Jest wiele podobieństwa, ale zobaczcie, że on ma tysiąc rzeczy, których nie ma Duroc.

Tak samo jak brat owego przyjaciela Roberta, uczeń Schola Cantorum¹¹¹, miał o wszelkim nowym dziele muzycznym sąd zgoła nie taki jak jego ojciec, matka, kuzyni, koledzy z klubu, ale ściśle taki jak wszyscy inni uczniowie Schola, tak samo ów arystokratyczny sierżant (o którym Bloch — kiedy mu o nim mówiłem — powziął niezwykle pojęcie, ponieważ, wzruszony wiadomością, że należy do tego samego stronnictwa co on, wyobrażał go sobie z powodu jego arystokratycznego pochodzenia oraz religijnego i wojskowego

¹⁰⁹Balzac, *Honoré de* (1799–1850) — francuski prozaik okresu romantyzmu, nazywany „mistrzem realizmu”, autor monumentalnego cyklu powieściowego pt. *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

¹¹⁰Stendhal, właśc. *Marie-Henri Beyle* (1783–1842) — francuski pisarz epoki romantyzmu, prekursor realizmu w literaturze; twórca doskonałych portretów psychologicznych bohaterów i analiz ich namiętności na tle społeczno-obyczajowym; jego najslawniejsze powieści to *Czerwone i czarne* (1830) oraz *Pustynia parmeńska* (1839), opowiadająca dzieje młodego mediolańskiego szlachcica Fabrycego del Dongo. [przypis edytorski]

¹¹¹*Schola Cantorum* (łac.: Szkoła Śpiewaków) — tu: Schola Cantorum de Paris, prywatna uczelnia muzyczna w Paryżu, zał. w 1896, kładąca nacisk na kultywowanie dawnej muzyki francuskiej. [przypis edytorski]

wychowania możliwie najodmienniejszym, strojnym w ten sam urok co mieszkańiec dalekiego kraju) miał „mentalność” (jak zaczynało się mówić) analogiczną do wszystkich dreyfusistów w ogólności, a Blocha w szczególności; mentalność, na którą nie mogły mieć żadnego wpływu tradycje rodzinne i względy kariery. Podobnie kuzyn Roberta de Saint-Loup ożenił się z młodą wschodnią księżniczką, która pisała — powiadano — wiersze równie piękne jak wiersze Wiktora Hugo¹¹² lub Alfreda de Vigny¹¹³, a której mimo to przypisywano umysłowość inną niż to, co można było sobie wyobrazić, duszę księżniczki Wschodu zamkniętej w pałacu z *Tysiąca i jednej nocy*. Pisarze, którzy mieli szczęście zbliżenia się do niej, doznawali zawodu lub raczej radości, stwierdzając, że jej rozmowa daje pojęcie nie Szeherezady¹¹⁴, ale istoty pokrewnej duchem Alfredowi de Vigny lub Wiktorowi Hugo¹¹⁵.

Lubiłem zwłaszcza rozmawiać z tym młodym człowiekiem, jak zresztą z innymi kolegami Roberta i z samym Robertem, o koszarach, o oficerach pułku, o armii w ogóle. Dzięki tej olbrzymio powiększonej skali, w jakiej widzimy rzeczy bodaj najmniejsze, pośród których jemy, rozmawiamy, wiemy realne życie, dzięki tej straszliwej wyższe, jakiej one ulegają i która sprawia, iż nieobecna reszta świata nie może z nimi walczyć i staje się przy nich jak gdyby nikłym snem, zacząłem się interesować rozmaitymi dygnitarzami koszar, oficerami, których widywałem w dziedzińcu, kiedy zachodził do Roberta lub — o ilem się zbudził — kiedy pułk przechodził pod moimi oknami. Byłbym chciał wiedzieć coś więcej o majorze, którego tak podziwiał Saint-Loup, i o jego kursie historii wojen, który by mnie zachwycił „nawet estetycznie”. Wiedziałem, że Robert ma skłonność do werbalizmu¹¹⁶, który bywał nieco czczy, ale innym razem znamionował proces przyswajania sobie głębokich myśli, które bardzo był zdolny ogarnąć. Na nieszczęście, z punktu widzenia wojskowości, Roberta pochłaniała w tej chwili zwłaszcza sprawa Dreyfusa. Mówił o niej mało, bo on jeden przy tym stole był dreyfusistą; inni byli gwałtownymi przeciwnikami rewizji, wyjąwszy mego sąsiada przy stole, mego nowego przyjaciela, którego poglądy zdawały się dość niezdecydowane. Gorący entuzjasta swego pułkownika, który uchodził za wybitnego oficera, a który w licznych rozkazach dziennych napiętnował agitację przeciw armii, dzięki czemu uchodził za antydreyfusistę, sąsiad mój dowiedział się o paru jego enuncjacjach¹¹⁷, dających do myślenia, że pułkownik ma wątpliwości co do winy Dreyfusa i że zachował szacunek dla Picquarta¹¹⁸. Bądź jak bądź, co do tego ostatniego punktu pogłoski o względnym dreyfusizmie pułkownika były niecisłe, jak wszystkie pogłoski pochodzące nie wiadomo skąd, które się rodzą dokoła wszelkiej takiej „wielkiej sprawy”. Bo wkrótce potem, pułkownik ów, mając poruczone przesłuchanie eks-szefa biura wywiadowczego, potraktował go z bezgraniczną wzdargą i brutalnością. Jak bądź się rzeczy miały i mimo iż niepodobna byłoby zasięgnąć wiadomości u pułkownika wprost, sąsiad mój miał tę uprzejmość, aby powiedzieć Robertowi — tonem, jakim dama katoliczka oznajmia damie żydówce, że jej proboszcz potępia pogromy Żydów w Rosji oraz podziwia szlachetność pewnych Izraelitów — że pułkownik nie jest owym fanatycznym, ciasnym przeciwnikiem dreyfusizmu — pewnego dreyfusizmu przynajmniej — za jakiego go przedstawiano.

¹¹²Hugo, Victor (1802–1885) — francuski pisarz, poeta, dramaturg, czołowy przedstawiciel romantyzmu francuskiego. [przypis edytorski]

¹¹³Vigny, Alfred de (1797–1863) — poeta, dramaturg i powieściopisarz epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

¹¹⁴Szeherezada — bohaterka *Księgi tysiąca i jednej nocy*, żona sultana, która co noc opowiadała mężowi kolejną historię, przerywając opowieść w najciekawszym momencie, aby odwlec niezasłużoną karę śmierci. [przypis edytorski]

¹¹⁵ożenił się z młodą wschodnią księżniczką, która pisała (...) wiersze... — mowa o sławnej poetce francuskiej, hr. Annie de Noailles (z pochodzenia Rumunce) zaprzyjaźnionej z Proustem. Proust lubi czasem wprowadzać autentyczne osoby w fikcję swego opowiadania. [przypis tłumacza]

¹¹⁶werbalizm — pustosłowic, wypowiedź zawierająca wiele słów, lecz niewiele istotnej treści, sprawiająca pozory obszernej informacji lub argumentacji za daną tezę. [przypis edytorski]

¹¹⁷enuncjacja — wypowiedź, oświadczenie. [przypis edytorski]

¹¹⁸Picquart, Georges (1854–1914) — francuski oficer i minister wojny; znany przede wszystkim ze związku z aferą Dreyfusa: w 1896, służąc w wywiadzie wojskowym, odkrył, że przypisywane Dreyfusowi pismo do ambasady niemieckiej, stanowiące koronny dowód w sprawie, zostało sporządzone przez współpracującego z Niemcami majora Ferdinanda Walsina Esterhazyego; został oskarżony o wymuszenie zeznań Esterhazyego, po uniewinnieniu Dreyfusa w 1906 awansowany na stopień generała brygady; w latach 1906–1909 był ministrem wojny. [przypis edytorski]

— To mnie nie dziwi — rzekł Saint-Loup — bo to jest człowiek inteligentny. Ale mimo wszystko przesady rodowe, a zwłaszcza klerykalizm zaślepiają go. Och! — rzekł do mnie — major Duroc, profesor historii wojen, o którym ci mówiłem, oto człowiek, który, zdaje się, całkowicie podziela nasze przekonania. Zresztą dziwiłbym się, gdyby było inaczej; bo to jest nie tylko wspaniała inteligencja, ale socjalista-radykał i wolnomularz.

Zarówno przez uprzejmość dla jego przyjaciół, którym dreyfusistowskie enuncjacje Roberta były przykre, jak dlatego, że inne rzeczy bardziej mnie interesowały, spytałem sąsiada, czy prawdą jest, że ów major zrobił z historii wojen konstrukcję o prawdziwie estetycznym pięknie.

— Absolutna prawda — odparł.

— Ale co pan pod tym rozumie?

— Och, na przykład: wszystko, co pan czyta — mam na myśli opowiadanie operacji wojennych — najdrobniejsze fakty, najmniejsze wydarzenia, to są tylko znaki idei, którą trzeba wyłuskać i która często kryje inne, jak w palimpseście¹¹⁹. Tak iż całość staje się równie intelektualna jak w jakiegokolwiek innej nauce lub sztuce i daje umysłowi pełne zadowolenie.

— Czy wolno mi prosić o przykład?

— Trudno ci to tak uprzytomnić — przerwał Saint-Loup. — Czytasz na przykład, że taki a taki korpus podjął... Zanim się pójdzie dalej, nazwa korpusu, jego skład, nie są bez znaczenia. Jeżeli operację podjęto nie po raz pierwszy i jeżeli dla tej samej operacji widzimy zjawiający się inny korpus, to może być oznaką, że poprzednie korpusy zostały unicestwione lub mocno uszkodzone rzezoną operacją, że nie są już w stanie doprowadzić jej do skutku. Otóż trzeba się wywiedzieć, co to był za korpus dziś zniesiony; jeżeli to były wojska szturmowe, zachowane w rezerwie dla potężnych ataków, nowy korpus niższej jakości mało ma szans powodzenia tam, gdzie się tamtym nie udało. Co więcej, jeżeli to nie jest z początkiem kampanii, ten nowy korpus może być sklecony z kawałków, co może dostarczyć wskazówek co do sił, jakimi rozporządza jeszcze strona wojująca, co do bliskości momentu, w którym te siły będą niższe od sił przeciwnika; wskazówki te znowu dadzą odmienny sens samej operacji, o którą ten korpus ma się pokusić, ponieważ jeżeli nie jest już w stanie uzupełnić swoich strat, nawet jego sukcesy muszą go doprowadzić — matematycznie — do finalnego unicestwienia. Zresztą numer oznaczający korpus walczący po przeciwnej stronie ma nie mniejsze znaczenie. Jeżeli na przykład jest to jednostka bojowa o wiele słabsza i która już wchłonęła wiele poważnych jednostek nieprzyjaciela, sama operacja zmienia charakter, bo choćby się miała skończyć stratą pozycji, którą zajmował obrońca, utrzymanie jej przez jakiś czas może być wielkim sukcesem, o ile przy bardzo małych siłach wystarczyło, aby zniszczyć bardzo poważne siły przeciwnika. Rozumiesz, że jeżeli w analizie zmagających się korpusów można w ten sposób wyczytać doniosłe rzeczy, studium samej pozycji, dróg, kolei żelaznych będących w jej zakresie, aprowizacji, którą ona zabezpiecza, jest jeszcze ważniejsze. Trzeba studiować to, co nazwałbym całym kontekstem geograficznym — dodał, śmiejąc się. (I w istocie, Saint-Loup był taki rad z tej nazwy, że później za każdym razem, kiedy jej użył, nawet po upływie miesięcy, śmiał się tak samo). — Jeżeli czytasz, że podczas gdy jedna ze stron wojujących przygotowuje operację, jakiś jej patrol zniosła w okolicy druga strona wojująca, możesz stąd wyciągnąć wniosek, że jedna strona starała się zdać sobie sprawę z prac obronnych, jakimi druga zamierzała udaremnić atak. Szczególnie gwałtowna akcja na jakimś punkcie może oznaczać chęć zdobycia go, ale także chęć związania przeciwnika, niestawiania mu czoła tam, gdzie zaatakował, lub nawet może być jedynie fintą¹²⁰ i pod zdwójoną czynnością ukrywać wycofanie wojsk z tego punktu. (Klasyczna finta wojen napoleońskich). Z drugiej strony, aby zrozumieć znaczenie jakiegoś manewru, jego prawdopodobny cel i tym samym inne ruchy towarzyszące mu lub mające po nim nastąpić, ważne jest śledzić nie tyle to, co zapowiada rozkaz (a co może mieć na celu oszukanie przeciwnika, zamaskowanie możliwej porażki), ile reguły wojskowe danego kraju. Zawsze godzi się przypuszczać, że manewr zamierzony przez daną armię jest właśnie tym, jaki przepisywał w podobnych okolicznościach obowiązujący regulamin.

¹¹⁹palimpsest — rękopis spisany na używanym już wcześniej materiale piśmiennym, z którego usunięto poprzedni tekst, częściowo jednak jest on możliwy do odczytania. [przypis edytorski]

¹²⁰finta (daw.) — fortel, podstęp. [przypis edytorski]

Jeżeli na przykład regulamin zaleca, aby atakowi frontowemu towarzyszył atak z flanki, jeżeli po załamaniu się tego ataku z flanki dowództwo powiada, że on był bez związku z pierwszym i był jedynie dywersją, bardzo prawdopodobnie istoty rzeczy należy szukać w regulaminie, nie zaś w oświadczeniach dowództwa. A istnieją nie tylko regulaminy każdej armii, ale ich tradycje, ich zwyczaje, zasady. Studium równoczesnej akcji dyplomatycznej, jej wpływ na akcję wojenną lub zależność od niej, również zasługuje na baczną uwagę. Incydenty pozornie nieznaczące, w swoim czasie źle zrozumiane, wytłumaczą ci, że nieprzyjaciół (licząc na pomoc, która, wnosząc z tych incydentów, zawiodła) wykonał faktycznie tylko część swojej strategicznej akcji. Tak iż jeżeli umiesz czytać historię wojen, to, co jest mętnym opowiadaniem dla zwykłego czytelnika, dla ciebie jest łańcuchem równie racjonalnym jak obraz dla znawcy, który umie dostrzec, co jakaś osoba ma na sobie, co trzyma w rękach, gdy oszołomiony zwiedzacz muzeum dostaje kręćka w głowie i migreny od gry kolorów. Ale jak przy pewnych obrazach, gdzie nie wystarczy zauważyć, iż osoba jakaś trzyma kielich, ale trzeba wiedzieć, czemu malarz włożył jej w ręce kielich, co tym symbolizuje, tak te operacje wojenne, nawet poza ich bezpośrednim celem, są zazwyczaj w myśli dowodzącego generała skopiowane z dawniejszych bitew, które są, powiedzmy, niby przeszłość, niby biblioteka, erudycja, etymologia, arystokracja nowych bitew. Zauważ, że ja nie mówię w tej chwili o identyczności lokalnej — powiedziałbym przestrzennej — bitew. Ta istnieje również. W ciągu wieków pole bitwy było lub będzie polem nie tylko jednej bitwy. Jeżeli było polem bitwy, to dlatego, że łączyło pewne warunki topograficzne, nawet wady sposobne do sparaliżowania nieprzyjaciela (na przykład rzeka przecinająca je na dwoje), które uczyniły z niej dobre pole bitwy. Dlatego było nim i będzie. Nie zrobi się pracowni malarskiej z byle jakiego pokoju, nie zrobi się pola bitwy z byle jakiej okolicy. Są miejsca predestynowane. Ale jeszcze raz powtarzam, nie o tym mówiłem, ale o typie bitwy, który się naśladowuje; o rodzaju strategicznej odbitki, taktycznego pastiszu, jeżeli wolisz; bitwa pod Ulm, pod Lodi, pod Lipskiem, pod Kannami. Nie wiem, czy będą jeszcze wojny i między jakimi narodami; ale jeżeli będą, bądź pewien, że będą (i to z całą świadomością wodza) Kanny, Austerlitz, Rosbach, Waterloo, nie mówiąc o innych. Niektórzy mówią to wręcz, bez ceremonii. Marszałek von Schieffer i generał von Falkenhausen zawczasu przygotowali przeciw Francji bitwę pod Kannami¹²¹, w guście Hannibala, z unieruchomieniem przeciwnika na całym froncie i posuwaniem się dwoma skrzydłami, zwłaszcza prawym przez Belgię, gdy Bernhardi woli skośny szyk Fryderyka Wielkiego, raczej Leuthen¹²² niż Kanny. Inni wyrażają swoje poglądy mniej jasno, ale ręczę ci, mój stary, że Beauconseil, ten szef szwadronu, któremu cię przedstawiłem kiedyś, oficer z wielką przyszłością, wystudiował swój atak pod Pratzen¹²³, zna go na wylot, trzyma go w rezerwie i jeżeli kiedy będzie go miał sposobność wykonać, nie spartoli go i pokaże go nam ekstrasfajny. Atak na centrum pod Rivoli¹²⁴ powtórzy się jeszcze, o ile będą wojny. Tak samo się nie zestarzał, jak się nie zestarzała *Iliada*. Dodam, że jesteście niemal skazani na ataki czołowe, bo nie chcemy powtórzyć błędu z roku 1870¹²⁵. Ofen-

¹²¹bitwa pod Kannami (2 sierpnia 216 p.n.e.) — kluczowe starcie między Kartaginą a Republiką Rzymską podczas II wojny punickiej, stoczone w pobliżu wioski Kanny (łac. Cannae) w płd. Italii; dowodzone przez Hannibala wojska kartagińskie okrzyły, a następnie unicestwiły większą armię rzymską; uważana za jedno z największych osiągnięć taktycznych w historii wojskowości, była jedną z największych klęsk militarnych w całej historii Rzymu (zginęło w niej 60 tys. żołnierzy rzymskich). [przypis edytorski]

¹²²bitwa pod Leuthen, pol.: bitwa pod Lutynią (5 grudnia 1757) — stoczona w trakcie wojny siedmioletniej w okolicy wsi Lutynia na Dolnym Śląsku, pomiędzy armią Prus dowodzoną przez Fryderyka II Wielkiego a dwukrotnie liczniejszą armią Austrii pod dowództwem Karola Lotaryńskiego; zakończona wielkim zwycięstwem wojsk pruskich dzięki atakowi na wroga z boku tzw. szykiem skośnym, używanym w starożytności przez Tebańczyków. [przypis edytorski]

¹²³Pratzen — tu: Wzgórze Pratzen w pobliżu Austerlitz (ob. Sławków w Czechach), odegrały ważną rolę 2 grudnia 1805, podczas jednej z kluczowych bitew wojen napoleońskich, w której armia Napoleona pokonała liczniejsze wojska austriacko-rosyjskie. [przypis edytorski]

¹²⁴bitwa pod Rivoli (14–15 stycznia 1797) — starcie zbrojne pomiędzy republikańską armią francuską dowodzoną przez Napoleona Bonaparte'a a cesarskimi wojskami austriackimi pod dowództwem Josepha Alvinczy'ego; zakończona decydującym zwycięstwem Bonaparte'go, które umożliwiło Francuzom całkowite zajęcie północnej Italii. [przypis edytorski]

¹²⁵błąd z roku 1870 — w wojnie francusko-pruskiej, w bitwie pod Gravelotte (18 sierpnia 1870) francuski marszałek François Achille Bazaine mimo przewagi na polu bitwy nie podjął decyzji o ataku na wyczerpane wojska pruskie i wycofał się do Metz, co doprowadziło do okrążenia jego armii; spiesząca jej na pomoc druga, stutysięczna armia francuska została okrążona w bitwie pod Sedanem (1–2 września 1870), wskutek czego

sywa, tylko ofensywa. Jedynie zacofańcy sprzeciwiają się tej wspaniałej teorii; mimo to niepokoi mnie, że jeden z moich młodszych mistrzów, człowiek wręcz genialny, Mangin¹²⁶, żąda, aby zostawić miejsce — prowizoryczne oczywiście — defensywie. Bardzo mu trudno coś odpowiedzieć, kiedy cytuje jako przykład Austerlitz¹²⁷, gdzie obrona jest jedynie wstępem do ataku i zwycięstwa.

Te teorie Roberta zachwycaly mnie. Budziły we mnie nadzieję, że ja w tym życiu w Doncières, w stosunku do wszystkich tych oficerów, o których słuchałem rozmów, popijając sauternes rzucające na nich swój uroczy refleks, nie padam może ofiarą tego samego „zbliżenia”, które tak mi powiększyło, dopóki byłem w Balbec, króla i królowę Oceanii, kółko czworga smakoszy, młodego gracza, szwagra pana Legrandin, teraz zmalanych w moich oczach wręcz do nieistnienia. To, co mi się podoba dziś, nie stanie mi się może jutro obojętne, jak mi się to zawsze zdarzało dotąd; istota, którą jestem jeszcze w tej chwili, nie jest może skazana na bliskie zniweczenie, skoro do żarliwej i przelotnej pasji, jaką w ciągu tych kilku wieczorów wkładałem we wszystko, co tyczy życia wojskowego, to, co mi mówił przed chwilą Saint-Loup w przedmiocie strategii, przydawało treść intelektualną, trwałą, zdolną mnie przywiązać na tyle silnie, abym mógł uwierzyć, nie starając się oszukać samego siebie, że wyjechawszy stąd, będę się nadal interesował pracami swoich przyjaciół z Doncières i że nie omieszkam tu wrócić. Ale aby się tym bardziej upewnić, że sztuka wojenna jest w istocie sztuką w duchowym znaczeniu słowa, rzekłem do Roberta:

— Interesuje mnie pan, przepraszam, interesujesz mnie bardzo; ale, powiedz, jedno mnie w tym niepokoi. Czuję, że mógłbym się pasjonować sztuką wojenną, ale trzeba by na to, aby mi się nie wydawała tak odmienna od innych sztuk, aby wyuczona reguła nie była w niej wszystkim. Powiadasz, że się kopiuje bitwy. To mi się wydaje w istocie artystyczne, widzieć, jak powiadasz, pod bitwą nowoczesną inną bitwę dawniejszą; nie umiem ci powiedzieć, jak mi się ta idea podoba. Ale w takim razie, czy geniusz wodza jest niczym? Czy doprawdy on tylko stosuje reguły? Lub też — przyjąwszy równy zasób wiedzy — czy istnieją wielcy wodzowie jak są wielcy chirurdzy, którzy przy materialnie równych danych dwóch stanów chorobowych czują jednak z jakiegoś drobiazgu, może stworzonego ich doświadczeniem, ale zinterpretowanego przez nich, że w danym wypadku zachodzi raczej to, w innym co innego, że w jednym wypadku raczej trzeba operować, w innym zaniechać operacji?

— Ależ oczywiście! Ujrzysz Napoleona, jak nie atakuje, mimo iż wszystkie reguły żądałyby tego, kiedy tajemne przecucie odradza mu atak. Weź na przykład Austerlitz lub w roku 1806 jego instrukcje dane generałowi Lannes¹²⁸. Ale zobaczysz, jak jakiś generał naśladuje po szkolarSKU¹²⁹ manewr Napoleona i osiąga wręcz przeciwny rezultat. Jest tego z dziesięć przykładów w roku 1870. Ale nawet dla interpretacji tego, co *może* zrobić przeciwnik, to, co robi jest tylko symptomem zdolnym oznaczać wiele rozmaitych rzeczy. Każda z tych rzeczy ma równe szanse prawdy, jeżeli się ograniczyć do rozumowania i wiedzy, tak samo jak w pewnych skomplikowanych wypadkach cała wiedza lekarska świata nie wystarczy, aby rozstrzygnąć, czy niewidoczny guz jest natury włóknistej czy nie i czy należy operować. Po prostu węch, jasnowidzenie w rodzaju pani de Thèbes¹³⁰ (rozumiesz mnie?) rozstrzygają u wielkiego wodza, jak u wielkiego lekarza. I tak, mówiłem ci — aby

cesarz Napoleon III skapitulował i oddał się wraz z armią do niewoli, co stało się bezpośrednią przyczyną jego detronizacji oraz proklamowania III Republiki. [przypis edytorski]

¹²⁶Mangin, Charles (1866–1925) — generał francuski. [przypis edytorski]

¹²⁷bitwa pod Austerlitz (2 grudnia 1805) — jedna z najważniejszych bitew wojen napoleońskich, stoczona między dowodzoną przez cesarza Napoleona Bonaparte'go francuską Wielką Armią a znacznie większą od niej, połączoną armią austriacko-rosyjską; dzięki doskonałej taktyce Napoleona zakończona wielkim zwycięstwem armii francuskiej; po klęsce pod Austerlitz Austria poprosiła o zawarcie pokoju, koalicja antyfrancuska rozpadła się. [przypis edytorski]

¹²⁸Lannes, Jean (1769–1809) — francuski wojskowy, marszałek cesarstwa (od 1804); w bitwie pod Austerlitz dowodził lewym skrzydłem armii francuskiej; odznaczył się przeprowadzeniem swoich korpusów przez Las Turyński i wygraną bitwą pod Saalfeld; w bitwie pod Jeną (14 października 1806) na rozkaz Napoleona przesunął swój korpus, aby uratować zagrożony korpus marszałka Ney'a. [przypis edytorski]

¹²⁹po szkolarSKU (lekcew.) — opierając się na uproszczonych, szkolnych formułkach. [przypis edytorski]

¹³⁰Madame de Thèbes (pseud.), właśc. Anne Victorine Savigny (1845–1916) — francuska jasnowidząca i chiromantka (tj. czytająca z linii papilarnych dłoni); co roku publikowała swoje wróżby w specjalnym almanachu, cieszącym się dużym powodzeniem; miała przewidzieć m.in. wojnę burską, wojnę rosyjsko-japońską oraz I wojnę światową. [przypis edytorski]

ci dać jakiś przykład — co może znaczyć rekonesans z początkiem bitwy. Ależ on może znaczyć dziesięć innych rzeczy! Na przykład wmówić w przeciwnika, że go chcemy atakować na jakimś punkcie, podczas gdy go chcemy atakować na innym; stworzyć zasłonę, która mu nie pozwoli dojrzeć przygotowań do rzeczywistej akcji; zmusić go do skupienia wojsk, do ustalenia ich, do unieruchomienia ich w innej okolicy niż tam, gdzie są potrzebne; zdać sobie sprawę z sił, jakimi rozporządza, zmacać go, zmusić, aby odkrył karty. Czasami nawet fakt, że się angażuje w jakąś akcją ogromne siły, nie jest dowodem, że ta właśnie akcja jest istotna; można ją bowiem wykonać na dobre, mimo że jest tylko fantą, po to, aby ta finta miała więcej szans oszukania. Gdybym miał czas opowiedzieć ci z tego punktu wojny Napoleona, zapewniam cię, że te proste, klasyczne ruchy, które my studiujemy, a które zobaczysz w praktyce w czasie ćwiczeń — spacerkiem, spacerkiem, ty świnko; nie, ja wiem, że ty jesteś chory, przepraszam cię! — otóż w czasie wojny, kiedy się czuje poza tym wszystkim czujność, myśl i głębokie kalkulacje sztabu, człowiek jest wzruszony wobec tych obrotów jak wobec prostego światła latarni morskiej, światła przenikającego przestrzeń, aby ostrzec okręty przed niebezpieczeństwem. Żle może robię, że ci mówię o wojnie jedynie literacko. W rzeczywistości, jak właściwości gruntu, kierunek wiatru i światła wskazują, w którą stronę będzie rosło drzewo, tak samo warunki, w jakich się odbywa kampania, właściwości okolicy, gdzie się operuje, narzucają poniekąd i ograniczają plany, między którymi wódz może wybierać. Tak iż u stóp gór, w układzie dolin, na danej równinie możesz przepowiedzieć ruchy wojsk niemal z nieuchronnością i wspaniałym pięknem lawiny.

— Odrzucasz teraz wolny wybór u wodza, intuicję u przeciwnika starającego się przyniknąć jego plany, wszystko, coś mi przyznawał przed chwilą?

— Ależ bynajmniej! Przypominasz sobie to filozoficzne dzieło, które czytaliśmy razem w Balbec: bogactwo świata możliwości w stosunku do świata rzeczywistego. Otóż tak samo jest w sztuce wojennej. W danej sytuacji następują na przykład cztery plany, między którymi wódz mógł wybierać, tak jak choroba może mieć rozmaite ewentualności, na które lekarz musi być przygotowany. I tu jeszcze słabość i wielkość ludzka stają się nowym źródłem niepewności. Bo przypuścmy, że wśród tych czterech planów przypadkowe racje (jako to: uboczne cele do osiągnięcia albo konieczność pośpiechu, albo braki aprowizacji) każą wodzowi wybrać plan pierwszy, mniej doskonały, ale w wykonaniu mniej kosztowny, szybszy i mający za teren okolicę sposobniejszą do wyżywienia armii. Może, zacząwszy od tego pierwszego planu (który nieprzyjaciel, zrazu niepewny, odcyfruje niebawem), nie móc go wykonać z powodu zbyt wielkich przeszkód (ja to nazywam: ryzyko zrodzone ze słabości ludzkiej); wówczas może go porzucić i próbować drugiego albo trzeciego, albo czwartego. Ale może się także zdarzyć, że próbował pierwszego — i oto co nazywam wielkością ludzką — jedynie przez fantę, aby związać przeciwnika i zaskoczyć go tam, gdzie się wróg nie spodziewał ataku. W ten sposób pod Ulm¹³¹ Mack, który oczekiwał nieprzyjaciela od zachodu, został otoczony od północy, gdzie się czuł bardzo bezpieczny. Mój przykład nie jest zresztą bardzo dobry. A Ulm jest raczej typem bitwy przez otoczenie, który powtórzy się w przyszłości. Jest nie tylko klasycznym przykładem, który generałowie będą naśladowali, ale formą poniekąd konieczną (konieczną między innymi, co pozostawia wybór, rozmaitość) jako typ krystalizacji. Ale wszystko to nie znaczy nic, bo rama jest bądź co bądź sztuczna. Wracam do naszego filozoficznego dzieła; to jest tak, jak zasady racjonalne albo prawa naukowe; rzeczywistość pokrywa się z tym mniej więcej, ale przypomnij sobie wielkiego matematyka Poincarégo¹³²: on nie jest pewny, czy matematyka jest ściśle dokładna. Co się tyczy samych reguł, o których ci mówiłem, mają one ostatecznie drugorzędne znaczenie; zresztą zmienia się je od czasu do czasu. I tak na przykład my, konnica, żyjemy *Śłużbą w polu* z roku 1895, o której można powiedzieć, że jest przestarzała, skoro opiera się na starej i zużytej teorii, uważającej, iż walka kawalerii ma wyłącznie prawie działanie moralne, siłą przestraszenia, jaki atak budzi w nieprzyjacielu. Otóż najinteligentniejsi z naszych nauczycieli (co tylko może być naj-

¹³¹bitwa pod Ulm (16–19 października 1805) — stoczona w pld. Niemczech pomiędzy oddziałami francuskiej Wielkiej Armii, dowodzonej przez Cesarza Napoleona I, a siłami austriackimi, dowodzonymi przez gen. Karla Macka von Leibericha; zakończona zwycięstwem francuskim. [przypis edytorski]

¹³²Poincaré, Henri Jules (1854–1912) — wybitny francuski matematyk, zajmował się również fizyką teoretyczną, mechaniką nieba i filozofią nauki. [przypis edytorski]

lepszego w kawalerii, a zwłaszcza ów major, o którym ci mówiłem) sądzą przeciwnie, że rozstrzygać będzie szczerą bitwa, gdzie będzie się machało szablą i lancą i gdzie najęźszy będzie zwycięzcą nie tylko moralnie i siłą przestraszu, ale fizycznie.

— Saint-Loup ma słusznosc; prawdopodobne jest, że najbliższa *Sluzba w polu* będzie nosila ślady tej ewolucji — rzekł mój sąsiad.

— Cieszę się z twojej aprobaty, bo twój sąd robi najwidoczniej na moim przyjacielu większe wrażenie od mojego — rzekł, śmiejąc się Saint-Loup, czy że rodząca się sympatia między jego kolegą a mną drażniła go trochę, czy że rad był przez grzeczność uswięcić ją, stwierdzając ją tak oficjalnie. — A zresztą, może ja umniejszyłem ważność regulaminów. Zmienia się je niewątpliwie. Ale na razie one kształtują sytuację wojenną, plany bitwy i koncentracji. Jeżeli odbijają fałszywą koncepcję strategiczną, mogą być pierwszym źródłem klęski. Wszystko to jest dla ciebie trochę zbyt techniczne. W gruncie powiedz sobie, że ewolucję sztuki wojennej najbardziej przyspieszają same wojny. W czasie kampanii (jeżeli trwa dość długo) widzimy, jak jedna strona korzysta z lekcji, jakie jej dają sukcesy i błędy przeciwnika, jak udoskonala metody tego przeciwnika, który znowuż stara się iść dalej. Ale to jest przeszłość. Przy straszliwych postępach artylerii przyszłe wojny — o ile będą jeszcze wojny — będą tak krótkie, że nim się zdoła pomyśleć o tym, aby skorzystać z nauki, już będzie pokój.

— Nie bądź taki podejrzliwy — rzekłem do Roberta, odpowiadając na jego wycieczkę sprzed tych ostatnich słów. — Słuchałem cię dosyć żarliwie!

— Jeżeli zechcesz się nie dąsać i pozwolisz mi mówić — podjął przyjaciel Roberta — do tego, co powiedziałaś, dodam, że jeżeli bitwy powtarzają się i piętrzą na sobie, to nie tylko z racji umysłowości wodza. Może się zdarzyć, że błąd wodza (na przykład niedocenienie siły przeciwnika) przywiedzie go do żądania od swoich wojsk nadmiernych poświęceń; poświęceń, które pewne jednostki bojowe spełnią z zaparciem się siebie tak wzniosłym, że ich rola zrówna się z rolą innej danej jednostki w innej bitwie i obie będzie się cytowało w dziejach jako równoważne przykłady: aby się trzymać roku 1870, gwardia pruska pod Saint-Privat, turkosi¹³³ pod Froschwiller i pod Wissemburg.

— A, równoważne, bardzo ściśle! wybornie, ty jesteś inteligentny — rzekł Saint-Loup.

Nie byłem obojętny na te ostatnie przykłady, jak za każdym razem, kiedy pod szczególnym wskazywano mi ogólne prawo. Ale najbardziej interesował mnie geniusz wodza. Byłbym chciał sobie zdać sprawę, na czym on polega; w jaki sposób w danej okoliczności, gdzie wódz bez talentu nie mógłby się oprzeć przeciwnikowi, wziąłby się do rzeczy wódz genialny, aby ocalić zagrożoną bitwę, co — jak mówił Saint-Loup — było bardzo możliwe i czego dokonał Napoleon wiele razy. I aby zrozumieć, co to jest talent wojskowy, prosiłem o porównania między znanymi mi z nazwisk generałami; który z nich najbardziej ma naturę wodza, talenty taktyka. Zanudzałem swoich nowych przyjaciół; ale nie okazywali tego i odpowiadali mi z niestrudzoną dobrocią.

Czułem się oddzielony nie tylko od wielkiej mroźnej nocy, rozpościerającej się w dal, w której słyszeliśmy od czasu do czasu gwizd pociągu, wzmacniający jeszcze przyjemność, że jestem tutaj, lub bicie godziny, jeszcze na szczęście oddalonej od pory, kiedy młodzi ludzie będą musieli przypasać szablę i wracać; czułem się także odcięty od wszystkich zewnętrznych zainteresowań, niemal od wspomnienia pani de Guermantes, a to dzięki dobroci Roberta, której to dobroci serdeczność jego przyjaciół przydawała jak gdyby konsystencji; a także dzięki ciepłu tej małej jadalni, dzięki smakowitości wybornych rzeczy, którymi nas raczono. Dawały tyleż przyjemności mojej wyobraźni, co memu podniebieniu; czasami kawałek natury, z której je wyrwano — chropawa kropielnica ostrzygi, gdzie zostało parę kropel słonej wody, lub też węzła gałązka, pożątkły liść winnego grona — otaczał je jeszcze, niejadalny, poetyczny i odległy niby krajobraz, nasuwając na przemian w ciągu obiadu obraz przejażdżki morskiej lub sjeisty pod krzakiem wina. Innym razem jedynie kucharz podkreślał tę oryginalną swoistość potraw, podając je w ich naturalnej ramie niby dzieło sztuki: rybę w krótkim sosie przynoszono na długim glianym półmisku, gdzie odcinając się na posłaniu niebieskich traw, nienaruszona, ale

¹³³turkosi — piechota francuska utworzona z mieszkańców terytoriów kolonialnych w Afryce Płn.: Algierii, Tunezji i Maroka. [przypis edytorski]

skręcona jeszcze od tego, że ją rzucono żywą do wrzącej wody, otoczona kręgiem muszel, orszakiem satelitów, krabów, krewetek i mulek¹³⁴, robiła wrażenie kompozycji w glinie Bernarda Palissy¹³⁵.

— Jestem zazdrosny, jestem wściekły — mówił do mnie Saint-Loup, wpół śmiejąc się, wpół poważnie, z aluzją do rozmówek, jakie wiodłem bez końca na stronie z jego przyjacielem. — Czy on ci się wydaje inteligentniejszy ode mnie, czy go wolisz ode mnie? Więc co, teraz dla mnie już nic, wszystko dla niego?

(Mężczyźni, którzy namiętnie kochają kobiety, którzy żyją w towarzystwie kobiecary, pozwalają sobie na żarty, na które nie odważyliby się inni, widzący rzeczy mniej niewinnie).

Z chwilą gdy rozmowa stała się powszechna, unikano wzmianki o Dreyfusie z obawy urażenia Roberta. Jednakże w tydzień później, dwaj jego koledzy zauważyli, że to jest bardzo osobliwe, aby on, żyjąc w środowisku tak wojskowym, był takim dreyfusistą, prawie antimilitarystą. „Bo — rzekłem, nie chcąc wchodzić w te szczegóły — otoczenie nie ma tego wpływu, jaki mu się przypisuje...”. Z pewnością chciałem poprzestać na tym i nie wszczynać refleksji, jakimi podzieliłem się z Robertem kilka dni wprzód. Mimo to, ponieważ właśnie te słowa powiedziałem mu swego czasu prawie dosłownie, chciałem się usprawiedliwić, dodając: „Właśnie mówiłem kiedyś...”. Ale nie wziąłem w rachubę odwrotnej strony, jaką miał pełen wdzięku podziw Roberta dla mnie i dla paru innych. Podziwowi temu towarzyszyło tak całkowite wchłonięcie ich myśli, iż po upływie czterdziestu ośmiu godzin Saint-Loup zapominał, że te myśli nie pochodziły od niego. Toteż Saint-Loup, zupełnie tak jakby to było od wieków jego zdanie i jak gdybym ja tylko przychodził mu w sukurs¹³⁶, uważał za stosowne pozdrowić mnie niejako radośnie w tym charakterze i poprzec mnie.

— Ależ tak! Środowisko nie ma znaczenia.

I powtórzył z siłą, jak gdyby się obawiał że mu przerwę lub że go nie zrozumiem:

— Prawdziwy wpływ, to wpływ sfery intelektualnej! Każdy jest człowiekiem swojej idei.

Z uśmiechem człowieka, który dobrze podjadł, przerwał na chwilę, wypuścił monokl i wpił we mnie swoje spojrzenie jak śrubę.

— Wszyscy ludzie jednej idei są podobni do siebie — rzekł, jak gdyby rzucając wyzwanie. Nie pamiętał z pewnością ani trochę, że ja mu powiedziałem przed paru dniami to, co w zamian zapamiętał tak dobrze.

Nie co wieczór zjawiałem się w tej jadalni w jednakim usposobieniu. Jeżeli jakieś wspomnienie, jakaś zgryzota, zdolne są nas opuścić do tego stopnia, że ich już nie spostrzegamy, zdarza się również, że wracają i czasem długo nas nie porzucają. Bywały wieczory, kiedy idąc miastem, aby się udać do restauracji, tak tęskniłem do pani de Guermantes, że ledwie mogłem oddychać; można by rzec, że biegły anatom wyciął i usunął część mojej piersi, zastępując ją odpowiednią partią niematerialnego cierpienia, ekwiwalentem tęsknoty i miłości. I mimo że starannie zeszyto ranę, dość trudno jest żyć, kiedy żal za daną istotą wstawiono zamiast trzewi; sprawia on uczucie, że zajmuje więcej miejsca od nich, czujemy go ustawicznie; a przy tym, cóż za dziwna rzecz musieć *myśleć* część swojego ciała! Jedynie mamy wówczas uczucie, żeśmy urosli co do wartości. Za lada podmuchem wiatru wzdychamy pod wpływem ucisku serca, ale i tęsknoty. Patrzyłem w niebo. Kiedy było jasne, powiadałem sobie: „Może ona jest na wsi, patrzy na te same gwiazdy”. Kto wie, gdy wejść do jadalni, Robert powie mi może: »Dobra nowina, ciotka pisała do mnie, chciałaby cię poznać, przyjedzie tutaj«.

Nie w samym firmamencie lokowałem myśl o pani de Guermantes. Nieco łagodniejszy podmuch zdawał się mi przynosić poselstwo od niej, jak niegdyś od Gilberty

¹³⁴*mule* — omułki, jadalne małże. [przypis edytorski]

¹³⁵*Palissy, Bernard* (ok.1510–ok.1589) — francuski ceramik; najbardziej znany z dużych owalnych półmisek dekorowanych barwnymi, realistycznymi płaskorzeźbami przedstawiającymi drobne zwierzęta w otoczeniu muszli i liści. [przypis edytorski]

¹³⁶*sukurs* (daw.) — wsparcie, pomoc. [przypis edytorski]

w zbożach Mèsèglise. Człowiek nie zmienia się; w uczucie odnoszące się do jakiejś istoty wprowadza wiele drzemiących składników, które ta osoba budzi, ale które są jej obce. A przy tym zawsze się coś w nas sili sprowadzić te poszczególne uczucia do wyższej prawdy, to znaczy połączyć je z jakimś uczuciem ogólniejszym, wspólnym całej ludzkości; dane osoby oraz zgryzoty, jakie nam one sprawiają, są dla nas jedynie środkiem do zespolenia się z tą ludzkością. Świadomość, że moja zgryzota jest częścią powszechnej miłości, zaprawiała ją niejaką słodyczą. Miałem wrażenie, że w cierpieniu, jakim doznałem, poznałem smutki przeżyte niegdyś z powodu Gilberty lub wieczorem w Combray, kiedy mama nie została w moim pokoju, a także wspomnienie pewnych stronic Bergotte'a. Pani de Guermantes, jej chłód, jej nieobecność, wszystko to nie wiązało się z tym cierpieniem tak jasno, jak w mózgu uczonego przyczyna wiąże się ze skutkiem; mimo to nie wyciągałem stąd wniosku, aby pani de Guermantes nie była tą przyczyną. Czyż nie istnieje ból fizyczny rozlany, promieniujący w partię odległą od chorej części, ale opuszczający je, aby się całkowicie rozproszyć, kiedy lekarz dotknie właściwego punktu kryjącego źródło bólu? A przedtem rozległość tego bólu dawała mu coś tak nieokreślonego i groźnego, że nie umiejąc go wytłumaczyć, a nawet umiejscowić, uważaliśmy go za nieuleczalny.

Idąc do restauracji, powtarzałem sobie: „Już dwa tygodnie nie widziałem pani de Guermantes”. Dwa tygodnie — to się zdawało czymś ogromnym jedynie mnie; kiedy szło o panią de Guermantes, liczyłem czas na minuty. Nie tylko gwiazdy i wiatr, ale nawet podział czasu przybierał dla mnie coś bolesnego i poetycznego. Każdy dzień był obecnie niby ruchomy grzebień mglistego pagórka; z jednej strony czułem, że mogę zstąpić ku zapomnieniu, z drugiej rwała mnie potrzeba ujrzenia znów księżnej. I, pozbawiony stałej równowagi, czułem się bliżej to jednego, to drugiego. Pewnego dnia powiedziałem sobie: „Będzie może list dziś wieczór”, i przyszedłszy na obiad, miałem odwagę spytać Roberta:

— Czy nie masz przypadkiem wiadomości z Paryża?

— Owszem — odpowiedział posępnie — fatalne.

Odetchnąłem, że to tylko on ma zgryzotę i że wiadomości są od jego kochanki. Ale spostrzegłem rychło, iż jednym z ich następstw będzie to, że przez długi czas Robert nie będzie mógł mnie wprowadzić do pani de Guermantes.

Dowiedziałem się, że wybuchła sprzeczka między nim a jego kochanką, czy to listownie, czy może ona przyjechała któregoś dnia zobaczyć się z nim od pociągu do pociągu. A sprzeczki, nawet mniej poważne, jakie miewali z sobą dotąd, zdawały się zawsze czymś nie do naprawienia. Bo ona wpadała we wściekłość, tupiała, płakała z niezrozumiałych przyczyn, jak dzieci, które zamykają się w ciemnej komórce, nie przychodzą na obiad, odmawiając wszelkich wyjaśnień, szlochając jedynie tym gwałtowniej, kiedy, wyczerpawszy argumenty, przechodzi się do klapsów. Saint-Loup cierpiał straszliwie z powodu tej zwady; ale to określenie jest zbyt proste i fałszuje pojęcie tej męki. Kiedy się znalazł sam z myślą o kochance, która widząc go tak stanowczym, odjechała przejęta dłań szacunkiem, wzruszenia pierwszych chwil skończyły się wobec nieodwołalnego faktu; ulga zaś po takim szarpaniu się jest czymś tak słodkim, że zdecydowane zerwanie nabrało dłań coś z tego uroku, jaki miałoby pogodzenie się. Późniejsze jego cierpienie było czymś wtórnym; fala tego bólu szła bez ustanku z niego samego na myśl, że ona może chciałaby się pojednać, że — kto wie — może czeka tylko słówka od niego; że tymczasem, aby się zemścić, zrobi tego a tego wieczora, w takim a takim miejscu, taką a taką rzecz, i że wystarczyłoby mu zadepszować do niej, że przyjeżdża, aby ta rzecz się nie stała; że inni korzystają może z czasu, który on marnuje i że za kilka dni będzie za późno odzyskać ją, bo już będzie zajęta. O wszystkich tych możliwościach nie wiedział nic; kochanka zachowywała milczenie, które przywiodło go w końcu do szaleństwa; w męce swojej gotów był wierzyć, że ona jest ukryta w Doncieres lub że wyjechała do Indii.

Powiedziano, że milczenie jest siłą; w istocie, w całkiem innym znaczeniu, jest ono straszliwą siłą w ręku osoby, która się czuje kochaną. Wzmaga ono ucisk serca tego, który czeka. Nic tak nie skłania do zbliżenia się do jakiejś istoty, jak to, co od niej dzieli, a cóż może być bardziej nieprzebytą zaporą niż milczenie? Powiedziano też, że milczenie jest męką zdolną przywieść do szaleństwa ludzi skazanych na nie w więzieniach. Ale cóż za męka większa niż milczeć samemu — znosić milczenie osoby, którą się kocha! Robert powiedział sobie: „Co ona robi, że tak milczy? Z pewnością zdradza mnie z innymi”. Powia-

Milczenie, Pustynia,
Więzienie

dał sobie także: „Cóż ja takiego zrobiłem, żeby tak milczała? Może mnie znienawidziła, i to na zawsze”. I obwiniał sam siebie. Tak więc milczenie doprowadzało go w istocie do szaleństwa przez zazdrość i przez wyrzuty. Zresztą milczenie takie, okrutniejsze od więzienia, samo jest więzieniem. Ściana niematerialna wprawdzie, ale nieprzenikniona; próżnia, której nie może przebyć wzrok opuszczonego. Czyż istnieje straszliwsze światło niż milczenie, które ukazuje nam nie jedną nieobecną kochankę, ale tysiąc, a każdą dopuszczającą się jakiejś innej zdrady. Czasem przez nagłą reakcję Robert myślał już, że to milczenie przerwie się nagle, że nadejdzie oczekiwany list. Widział, jak ten list nadchodzi, nadśluchiwał każdego szelestu, już niemal uspokojony szeptał: „List! List!”. I nasyciwszy oczy urojoną oazą tkliwości, odnajdywał się w istnej pustyni milczenia bez kresu.

Cierpiał z góry wszystkie męki zerwania, nie zapominając ani jednej, to znów myślał, że można by tego zerwania uniknąć. Był jak ludzie, którzy regulują wszystkie sprawy pod kątem prawdopodobnej ekspatriacji¹³⁷ i których myśl, nie wiedząc, gdzie jej przyjdzie ustalić się jutro, miota się oderwana od nich samych, niby owo serce wydarte choremu, które bije dalej oddzielone od reszty ciała. W każdym razie nadzieja, że kochanka wróci, pomagała mu wytrwać w zerwaniu, jak wiara, że zdoła wrócić żywy z pola walki, pomaga żołnierzowi narażać się na śmierć. A że ze wszystkich roślin ludzkich przyzwyczajenie jest tą, która potrzebuje najmniej ziemi, aby żyć, która zjawia się pierwsza na najbardziej jałowej skale, Robert, grając zrazu komedię zerwania, byłby się z nim może w końcu szczerze oswoił. Ale niepewność podtrzymywała w nim stan, który, połączony ze wspomnieniem tej kobiety, podobny był do miłości.

Saint-Loup zmuszał się wszelako, aby do niej nie pisać, myśląc może, że mniej okrutne jest żyć bez ukochanej niż żyć z nią w pewnych warunkach; lub że po sposobie w jaki się rozstali, należy mu koniecznie czekać jej przeprosin, iżby zachowała dlań jeżeli nie miłość, to bodaj szacunek i poważanie. Ograniczał się do telefonowania (właśnie założono telefon w Doncières) i do pytania o nowiny lub dawania zleceń pokojówce, którą umieścił u swojej kochanki. Połączenia te były zresztą skomplikowane i zabierały mu dużo czasu, ponieważ, posłuszna opiniom swoich przyjaciół intelektualistów zohydżających szpetotę stolicy, a bardziej jeszcze przez wzgląd na swoje zwierzęta, psy, małpę, kanarki i papugę, których nieustannych hałasów gospodarz domu nie chciał znosić, kochanka Roberta wynajęła domek w pobliżu Wersalu. Tymczasem on w Doncières nie spał już w nocy ani chwili. Raz u mnie, zmożony, zdrzemnął się nieco. Ale nagle zaczął mówić przez sen, chciał gdzieś pędzić, przeszkodzić czemuś; wołał: „Ja rozumiem, ty nie... ty nie...”. Obudził się. Powiadał, iż mu się śniło, że był na wsi u kwatermistrza. Ten starał się go nie dopuścić do pewnej części domu. Saint-Loup odgadł, że u kwatermistrza bawi bardzo bogaty i bardzo rozpustny porucznik, o którym wiedział, że się pali do jego kochanki. I naraz we śnie usłyszał wyraźnie przerywane i regularne krzyki, jakie jego kochanka zwykła była wydawać w momentach rozkoszy. Chciał zmusić kwatermistrza, aby go zaprowadził do pokoju; ów przytrzymał go, aby mu nie dać wejść, robiąc minę zgorzsną taką niedyskrecją: Robert mówił, że nigdy nie zdoła zapomnieć tej miny.

— Idiotyczny sen — powiadał jeszcze zdyszany.

Ale widziałem, że w ciągu najbliższej godziny kilka razy omal już nie telefonował do kochanki z propozycją pojednania. Ojciec mój miał od niedawna telefon, ale nie wiem, czy by się to na wiele zdało Robertowi. Zresztą nie wydawało mi się właściwe, aby rodzice — lub choćby aparat znajdujący się w ich domu — mieli grać rolę pośrednika między Robertem a jego kochanką, choćby najbardziej dystygowaną i szlachetną. Koszmar snu zatarł się stopniowo w jego umyśle. Z nieprzytomnym i upartym wzrokiem odwiedzał mnie przez wszystkie te okrutne dni, których kolejność wykreśliła mi niby wspaniałą łuk jakiejś wykutej w twardym materiale poręczy, przy której Robert zadawał sobie pytanie, co za decyzję powźmie jego przyjaciółka.

W końcu zapytała go, czy zechce jej przebaczyć. Skoro tylko zrozumiał, że nie grozi już zerwanie, ujrzał wszystkie ujemne strony ponownego zbliżenia. Zresztą cierpiał już mniej, niemal pogodził się już z bólem, którego rany trzeba by może za kilka miesięcy odnowić, o ile by się stosunek nawiązał na nowo. Saint-Loup nie wahał się długo. I może wahał się tylko dlatego, że był wreszcie pewny, iż może odzyskać swoją kochankę; może

¹³⁷ekspatriacja — opuszczenie kraju ojczystego. [przypis edytorski]

— zatem uczyni to. Prosiła go jedynie, aby mogła nie wracać do Paryża na Nowy Rok, chciała odzyskać spokój. Otóż on nie miał siły jechać do Paryża bez widzenia jej. Z drugiej strony, ona godziła się wyjechać z nim w podróż, ale na to trzeba mu było prawdziwego urlopu, którego kapitan de Borodino nie chciał mu dać.

— Martwi mnie to z powodu naszej wizyty u ciotki Oriany; w ten sposób wszystko się odwleka. Ale będę z pewnością w Paryżu na Wielkanoc.

— Wtedy nie będziemy mogli iść do pani de Guermantes, bo będę już w Balbec. Ale to nie ma żadnego znaczenia.

— W Balbec? Ależ w tym roku byłeś tam dopiero w sierpniu.

— Tak, ale obecnie z powodu mego zdrowia mają mnie wysłać wcześniej.

Robert najbardziej się bał, abym nie sądził źle jego kochanki po tym, co mi opowiadał.

— Jest gwałtowna tylko dlatego, że jest zbyt szczerą, zbyt bezpośrednią w swoich uczuciach. Ale to cudna istota! Nie możesz sobie wyobrazić, ile w niej subtelności, poezji. Co roku spędza dzień zaduszny w Bruges. To ma styl, prawda? Jeżeli ją kiedy poznasz, zobaczysz, wspaniała jest... — Że zaś nasiąkł pewnym językiem, jakim mówiono w otoczeniu tej kobiety w kołach literackich, dodał: — Ma coś syderalnego¹³⁸, a nawet watyckiego¹³⁹, rozumiesz co przez to chcę powiedzieć; poeta, który był prawie kapłanem.

Szukałem przez cały obiad pretekstu, który by pozwolił Robertowi poprosić ciotkę, aby mnie przyjęła, nie czekając jego bytności w Paryżu. Otóż pretekstu tego dostarczyło mi pragnienie ujrzenia obrazów Elstira, wielkiego malarza, którego obaj z Robertem poznaliśmy w Balbec. Pretekst, w którym było zresztą coś prawdy; o ile bowiem w swoich wizytach w pracowni Elstira szukałem w jego malarstwie tego, aby mnie przywiodło do zrozumienia i miłości rzeczy lepszych od samego jego malarstwa — prawdziwej odwilży, autentycznego prowincjonalnego rynku, żywych kobiet na plaży (co najwyżej byłbym u niego zamówił portret realności, których nie umiałem zgłębić, jak na przykład szpaleru glogów, nie aby mi utrwalił ich piękność, ale aby mi ją odkrył), tak teraz przeciwnie chęć moją podsycali oryginalność i urok tych obrazów, i ponad wszystko pragnąłem ujrzeć inne płótna Elstira.

Miałem zresztą uczucie, że najbłahsze jego obrazy są czymś innym niż arcydzieła nawet większych malarzy. Dzieło jego było niby zamknięte królestwo o nieprzebranych granicach, niepodobne do żadnego innego. Chciwie gromadząc nieliczne wydawnictwa, w których znajdowały się studia o Elstirze, dowiedziałem się z nich, że on dopiero niedawno zaczął malować pejzaże i martwe natury, zaczął zaś od obrazów mitologicznych (widziałem fotografie dwóch takich obrazów w jego pracowni), a potem długo był pod wpływem sztuki japońskiej.

Niektóre prace Elstira, najznamienniejsze dla jego rozmaitych faz malarskich, znajdowały się na prowincji. Pewien dom w Les Andelys, gdzie był jeden z najpiękniejszych jego pejzażów, wydawał mi się równie szacowny, budził we mnie równie żywe pragnienie podróży jak wioska w okolicy Chartres, gdzie w prosty kamień wprawiony jest wspaniały witraż; do tego posiadacza arcydzieła, do tego człowieka, który w swoim prostym domostwie w miasteczku, zamknięty jak astrolog, bada jedno z owych zwierciadeł świata, jakim jest obraz Elstira, kupiony może przezeń za kilka tysięcy franków, czułem poryw owej sympatii, jaka łączy wręcz serca, nawet charaktery tych, co jednako myślą w jakimś zasadniczym przedmiocie. Otóż trzy dzieła mego ukochanego malarza odnotowano w jednym z wydawnictw jako znajdujące się u pani de Guermantes. Zatem w rezultacie szczerze, w dniu kiedy mi Saint-Loup oznajmił wyjazd kochanki do Bruges, mogłem przy obiedzie w obecności jego przyjaciół rzucić mu niby to niespodzianie:

— Słuchaj, Robercie. Ostatnia rozmowa w przedmiocie damy, którą znasz. Przypominasz sobie malarza Elstira, którego poznałem w Balbec?

— Ale jakże, oczywiście.

— Przypominasz sobie moją admirację¹⁴⁰ dla niego?

— Wybornie, i list któryśmy mu posłali.

¹³⁸syderalny a. syderyczny (z łac.) — gwiazdny, gwiazdowy. [przypis edytorski]

¹³⁹watycki (neol., z łac.) — wieszcz, natchniony; związany z natchnionym przez bogów wieszczkiem, poetą lub śpiewakiem. [przypis edytorski]

¹⁴⁰admiracja (z łac.) — podziw, uwielbienie. [przypis edytorski]

— Otóż, jedną z najważniejszych przyczyn, dodatkową racją dla której pragnąłbym poznać pomienioną damę, wiesz wciąż którą...

— Ależ tak! Ileż tych nawiasów!

— Jest to, że ona ma u siebie co najmniej jeden bardzo piękny obraz Elstira.

— A, nie wiedziałem.

— Elstir będzie z pewnością na Wielkanoc w Balbec; wiesz, że on spędza teraz prawie cały rok na tym wybrzeżu. Bardzo bym pragnął widzieć ten obraz przed wyjazdem do Balbec. Nie wiem, czy ty jesteś w dość bliskich stosunkach ze swoją ciotką, czy nie mógłbyś — zachwalając mnie jej na tyle zręcznie, aby nie odmówiła — poprosić, żeby mi pozwoliła zobaczyć obraz bez ciebie, skoro ciebie nie będzie w Paryżu.

— Zrobione, odpowiadam za nią, biorę to na siebie.

— Robercie, ubóstwiam cię.

— Mam nadzieję, że to nie pański wyjazd jest przedmiotem tego spisku — rzekł jeden z przyjaciół Roberta. — Pan wie, jeżeli Saint-Loup dostanie urlop, nic się nie powinno zmienić, my jesteśmy tutaj. To będzie może dla pana mniej zabawne, ale dołożymy z naszej strony wszelkiego trudu, aby panu dać zapomnieć o nieobecności Roberta.

W istocie, w chwili gdy się zdawało, że przyjaciółka Roberta sama pojedzie do Bruges, dowiedzieliśmy się, że kapitan de Borodino (dotąd przeciwny temu) udzielił sierżantowi Saint-Loup dłuższego urlopu do Bruges. Oto co zaszło. Książę de Borodino, bardzo dumny ze swojej bujnej czupryny, był wiernym klientem najznakomitszego fryzjera w mieście, niegdyś pracownika u dawnego fryzjera Napoleona III¹⁴¹. Kapitan de Borodino był w wybornych stosunkach z tym fryzjerem, bo mimo swoich tajemniczych manier był prosty z prostymi ludźmi. Ale fryzjer, u którego książę miał co najmniej od pięciu lat zaległy rachunek wciąż rosnący od flakonów wody portugalskiej, „Eau des Souverains”, żelazek, brzytwy, pasków, zarówno jak od szamponów, strzyżeń itd., o wiele wyżej cenił Roberta, który płacił gotówką, miał kilka powozów i koni wierzchowych. Dowiedziawszy się o zmartwieniu Roberta, z powodu, iż nie może towarzyszyć kochance, fryzjer przemówił za nim gorąco do księcia spowitego w białe gżło¹⁴², w chwili gdy balwierz trzymał jego przegiętą głowę z brzytwą na gardle. Opowieść o sercowych przygodach młodego sierżanta wyrwała kapitanowi-księciu uśmiech napoleońskiej pobłażliwości. Mało prawdopodobne jest, aby książę pomyślał o swoim niezapłaconym rachunku; ale polecenie fryzjera sprawiło go w dobry humor w tym samym stopniu, w jakim rekomendacja jakiegoś diuka sprawiłaby go w zły. Jeszcze miał pełno mydła na brodzie, a już urlop był rzeczą załatwioną, podpisaną tego samego wieczora. Co się tyczy fryzjera, który miał zwyczaj chwalić się bez ustanku (aby to sobie ułatwić, przypisywał sobie, z nadzwyczajnym talentem kłamcy, przewagi całkowicie zmyślone), ten, oddawszy faktyczną usługę Robertowi, nie tylko się nią nie chepił, ale nigdy nie wspomniał mu o tym. Można by mniemać, że próżność potrzebuje kłamać, kiedy zaś nie ma powodu tego czynić, ustępuje miejsca skromności.

Wszyscy powtarzali mi, że ilekolwiek czasu zostałbym w Doncières lub kiedykolwiek bym tam wrócił, jeżeli Roberta nie będzie, ich powozy, konie, domy, ich czas, wszystko będzie do mojej dyspozycji. I czułem, że ci młodzi ludzie ze szczerego serca oddają swój zbytek, swoją młodość, energię na usługi mojej słabości.

— Czemu zresztą — mówili koledzy Roberta, nalegając, abym został — nie miałby pan wrócić tu co rok? Widzi pan, że to ciche życie podoba się panu! A nawet interesuje się pan wszystkim, co się dzieje w pułku, jak stary zupak¹⁴³.

Bo wciąż dopytywałem się ich chciwie o klasyfikację rozmaitych znanych mi z nazwiska wojskowych, wedle mniejszego lub większego podziwu, na jaki ich zdaniem zasługują, jak niegdyś w szkole z kolegami w stosunku do aktorów Komedii Francuskiej. Jeżeli w miejsce któregoś z generałów zawsze wymienianego przed innymi — jakiegoś

¹⁴¹ *Napoleon III Bonaparte* (1808–1873) — bratanek Napoleona I, od 1848 prezydent Francji, w 1851 dokonał zamachu stanu, w 1852 ogłosił się cesarzem; w 1870 zdeponizowany. [przypis edytorski]

¹⁴² *gżło* a. *gieszło* (daw., gw.) — koszula, szczególnie białoznana. [przypis edytorski]

¹⁴³ *zupak* (zwykle lekcew.) — zawodowy podoficer. [przypis edytorski]

Galliffeta¹⁴⁴ lub Négriera¹⁴⁵ — któryś z przyjaciół Roberta rzekł: „Ale Négrier to jeden z najmienniejszych” i rzucał nowe nazwisko, nietknięte i smaczne, jak Pau¹⁴⁶ lub Geslin de Bourgogne¹⁴⁷, odczuwałem to samo niespodziane szczęście, jak niegdyś, kiedy wyczerpane nazwiska Thirona lub Febvre’a¹⁴⁸ zgasły wobec nagłego rozkwitu nieużytego nazwiska „Amaury”¹⁴⁹. „Teższy¹⁵⁰ od samego Négriera? Ale w czym, niech mi pan da przykład”. Pragnąłem, aby istniały głębokie różnice nawet między niższymi oficerami pułku, w racjach tych różnic spodziewając się pochwycić istotę wojskowego talentu. Oficerem, którego reputacja szczególnie mnie interesowała, był książę de Borodino, bom go widywał najczęściej. Ale zarówno Saint-Loup, jak jego przyjaciele, o ile oddawali sprawiedliwość pięknemu kapitanowi, któremu szwadron jego zawdzięczał niezrównaną formę, nie lubili go jako człowieka. Nie mówili o nim co prawda tym samym tonem, co o pewnych oficerach wyrosłych z prostego żołnierza, masonach, co nie żyli z innymi i zachowywali przy nich sztywne miny adiutantów; ale nie mieścili też pana de Borodino w liczbie innych oficerów-szlachciców, od których, prawdę mówiąc, nawet w stosunku do Roberta bardzo się różnił wzięciem. Ci korzystali z tego, że Saint-Loup jest tylko podoficerem i że jego potężna rodzina może się czuć szczęśliwa, iż jego przełożeni, którymi by może inaczej gardziła, przyjmują go u siebie; nie tracili też żadnej okazji zaproszenia Roberta, kiedy się im zdarzyło gościć jakąś grubą rybę, mogącą zdać się na coś młodemu sierżantowi. Jeden kapitan de Borodino utrzymywał z Robertem stosunki wyłącznie służbowe, zresztą wyborne. Dziadek kapitana był marszałkiem Francji oraz księciem i parem¹⁵¹ z łaski cesarza, z którego rodziną spokrewnił się później przez małżeństwo; ojciec kapitana zaślubił kuzynkę Napoleona III i był po zamachu stanu dwa razy ministrem. Mimo to książę-kapitan czuł, że niewiele waży dla Roberta de Saint-Loup i dla wszystkich Guermantów, którzy na odwrót — ponieważ patrzył na rzeczy z innej strony — niewiele ważyli dla niego. Domyślał się, że dla Roberta de Saint-Loup on, spowinowacony z Hohenzollernami¹⁵², nie jest prawdziwym szlachcicem, ale wnukiem chłopca; dla niego w zamian Saint-Loup był synem człowieka, którego hrabiowski tytuł potwierdził cesarz — nazywano to w Faubourg Saint-Germain „odświeżeni hrabiowie” — i który ubiegał się o prefekturę lub o jakieś inne stanowisko pomieszczone bardzo nisko pod rozkazami jego wysokości księcia de Borodino, ministra Stanu, do którego pisało się „Wasza Dostojność” i który był siostrzeńcem monarchy.

Więcej może niż siostrzeńcem. Pierwsza księżna de Borodino — tak mówiono — miała szczególne względy dla Napoleona I, któremu towarzyszyła na Elbę, druga zaś dla Napoleona III. I o ile w pogodnej twarzy kapitana można było odnaleźć, jeżeli nie naturalne rysy Napoleona I, to bodaj wystudiowany majestat jego maski, oficer ów miał zwłaszcza w melancholijnym i poczciwym spojrzeniu, w opadających wąsach coś, co przywodziło na myśl Napoleona III. Było to tak uderzające, że kiedy po Sedanie¹⁵³ poprosił, aby się mógł udać do cesarza, Bismarck¹⁵⁴ zaś, do którego go zaprowadzono, odmówił,

¹⁴⁴Galliffet, Gaston de (1830–1909) — francuski generał; uczestnik wojny krymskiej, kampanii w Algierii, ekspedycji do Meksyku; szczególnie znany z brutalnego stłumienia Komuny Paryskiej (1871); minister wojny (1899–1900), w okresie sprawy Dreyfusa. [przypis edytorski]

¹⁴⁵Négrier, François Oscar de (1839–1913) — francuski generał; zdobył sławę w walkach w Algierii (1881) oraz w Tonkinie podczas wojny chińsko-francuskiej (1884–1885); uczestnik wojny francusko-pruskiej. [przypis edytorski]

¹⁴⁶Pau, Paul (1848–1932) — francuski generał; uczestnik wojny francusko-pruskiej oraz I wojny światowej. [przypis edytorski]

¹⁴⁷Geslin de Bourgogne, Yves-Marie (1847–1910) — francuski generał; autor kilku książek o strategii wojskowej. [przypis edytorski]

¹⁴⁸Thirona i Febvre — francuscy aktorzy: Charles Thiron (1830–1891) i Frédéric-Alexandre Febvre (1835–1916). [przypis edytorski]

¹⁴⁹Amaury (pseud.), właśc. Ernest-Félix Socquet (1849–1916) — francuski aktor. [przypis edytorski]

¹⁵⁰tegi — mocny, dzielny, dobry w swojej dziedzinie. [przypis edytorski]

¹⁵¹par — członek wyższej izby parlamentu we Francji w latach 1814–1848. [przypis edytorski]

¹⁵²Hohenzollernowie — niemiecka dynastia, której przedstawiciele panowali w krajach niemieckich (m.in. w Brandenburgii i w Prusach), jako cesarze niemieccy (1871–1918) oraz w Rumunii (1869–1947). [przypis edytorski]

¹⁵³bitwa pod Sedanem (1–2 września 1870) — starcie podczas wojny francusko-pruskiej; okrzyknięty cesarz Napoleon III skapitulował i ze swą stutysięczną armią oddał się do niewoli. [przypis edytorski]

¹⁵⁴Bismarck, Otto von (1815–1898) — niemiecki polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich (1871), w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza. [przypis edytorski]

tenże Bismarck, spojrzawszy przypadkiem na młodego człowieka, już mającego się oddalić, uderzony tym podobieństwem zmienił zdanie, przywołał go i dał owo pozwolenie, którego mu, jak wszystkim innym, dopiero co wzbronił.

Jeżeli książę de Borodino nie chciał robić awansów Robertowi de Saint-Loup ani innym arystokrotom w pułku (często natomiast zapraszał do siebie dwóch poruczników mieszczan, bardzo miłych ludzi), to dlatego, iż patrząc na wszystkich z wyżyn swojej cesarskiej wielkości, robił między niższymi od siebie tę różnicę, że jedni byli niżsi i wiedzieli o tym: z tymi bratał się z przyjemnością, będąc pod majestatycznym pozorem naturą prostą i jowialną; drudzy zaś, będąc niżsi, uważali się za wyższych, czego książę nie dopuszczał. Toteż gdy wszyscy oficerowie pułku nosili na rękach Roberta de Saint-Loup, książę de Borodino, któremu Roberta polecił marszałek de X..., ograniczył się do uprzejmości dla młodego sierżanta w służbie, w której zresztą Saint-Loup był wzorowy. Nigdy nie zaprosił go do siebie, wyjąwszy jakąś specjalną okoliczność, kiedy poniekąd musiał go zaprosić; że zaś sposobność taka nastąpiła w czasie mego pobytu, zachęcił Roberta, aby mnie przyprowadził z sobą.

Tęgo wieczora, widząc Roberta przy stole kapitana, łatwo mogłem ocenić — aż do wzięcia i elegancji każdego z nich — różnicę między dwiema arystokracjami: dawną a cesarską. Robert pochodził z kasty, której wszystkie wady — nawet te, które potępiał całą swoją inteligencją — przeszły mu w krew. Kasta ta, przestawszy co najmniej od wieku mieć jakieś rzeczywiste znaczenie, w protekcyjnej uprzejmości, stanowiącej część jej wychowania, jak konna jazda lub fechtunek, widzi już tylko ćwiczenie uprawiane bez poważnego celu, dla zabawy, w stosunku do mieszczan, którymi ta szlachta na tyle gardzi, aby wierzyć, że owa poufalskość schlebia im i że ich pańska bezceremonialność jest dla nich zaszczytem. Saint-Loup brał poufale za rękę pierwszego z brzegu mieszczkańskiego syna, którego mu przedstawiono, i rozmawiając z nim (przy czym wciąż zakładał nogę na nogę i przeginał się niedbale w tył, trzymając stopę w ręce), mówił mu: „drogi panie”. Książę de Borodino, przeciwnie, pochodził ze szlachty, której tytuły, opatrzone bogatymi majoratami¹⁵⁵ w nagrodę zaszczytnych usług, zachowały jeszcze swoje znaczenie, budząc pamięć wysokich funkcji, dających władzę nad wieloma ludźmi i nakładających konieczność znawstwa ludzi. Książę de Borodino — jeżeli nie w swojej osobistej i jasnej świadomości, to bodaj w swoim ciecie, które podkreślało to postawą i wzięciem — uważał swoją godność za rzeczywisty przywilej; do tych samych łyków¹⁵⁶, których Saint-Loup brałby pod rękę i klepałby po ramieniu, on odnosił się z majestatyczną grzecznością, której dostojny umiar łagodziła uśmiechnięta dobroduszość, nacechowana zarazem szczerą życzliwością i rozmyślną dumą. Wynikało to zapewne stąd, że książę mniej był odległy od wielkich ambasad i od dworu, gdzie jego ojciec piastował najwyższe godności i gdzie maniery Roberta — łokieć na stole i stopa w ręce — byłyby źle przyjęte; ale zwłaszcza płynęło to stąd, że on tym mieszczaństwem mniej gardził, że ono było wielkim zbiornikiem, z którego pierwszy cesarz czerpał swoich marszałków, swoją szlachtę, a w którym drugi znalazł swego Foulda czy Rouhera¹⁵⁷.

Niewątpliwie w myślach pana de Borodino, cesarskiego syna lub wnuka, którego funkcje ograniczały się do dowodzenia szwadronem, nie mogły, z braku zastosowania, przetrwać horyzonty ojca i dziadka. Ale jak duch artysty wciąż modeluje w wiele lat po jego zgonie posąg, który ów wyrzeźbił, ucieleśniły się w nim one, zmaterializowały się, wcieliły, odbijała je jego twarz. Z żywością głosu pierwszego cesarza łajał wachmistrza, z zadumą i melancholią drugiego puszczał dym z papierosa. Kiedy ubrany po cywilnemu szedł ulicami Doncierres, jakiś błysk oczu wymykający się spod melonika dawał kapitanowi aureolę monarszego incognito; drżano, kiedy wchodził do biura naczelnego kwatermistrza, wiodąc za sobą adiutanta i furiera¹⁵⁸ niby Berthiera i Massenę¹⁵⁹. Kiedy

¹⁵⁵majorat — majątek dziedziczony w ten sposób, że całość przechodzi na najstarszego syna. [przypis edytorski]

¹⁵⁶łyk (daw., pogardl.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

¹⁵⁷Fould i Rouber — ministrowie Napoleona III: minister sprawiedliwości Eugène Rouher (1814–1884) oraz minister finansów Achille Fould (1800–1867). [przypis edytorski]

¹⁵⁸furier (daw.) — dostawca; podoficer odpowiedzialny za zakwaterowanie wojska i dostarczanie żywności. [przypis edytorski]

¹⁵⁹Berthier i Massena — marszałkowie cesarza Napoleona I Bonaparte: André Masséna, wł. Andrea Massena (1758–1817) oraz Louis Alexandre Berthier (1753–1815). [przypis edytorski]

wybierał materiał na spodnie dla swego szwadronu, wlepił w pułkowego krawca spojrzenie zdolne przeniknąć Talleyranda¹⁶⁰ i oszukać Aleksandra; a czasem podczas inspekcji koszar przystawał, pozwalał marzyć swoim cudnym niebieskim oczom, kręcił węża, robił wrażenie, jakby budował nowe Prusy i nowe Włochy. Ale natychmiast, stając się z Napoleona III Napoleonem I, zauważał, że rzemienie nie są dość wyglancowane i żądał, aby mu dano skosztować żołnierskiej menaży. A u siebie w domu, w życiu prywatnym, dla żon oficerów-mieszczan (byle nie masonów) wyjmował nie tylko serwis z błękitnej sewskiej porcelany, godny ambasadora (darowany jego ojcu przez Napoleona i jak gdyby jeszcze cenniejszy w prowincjonalnym domku, gdzie kapitan mieszkał, niby owe rzadkie porcelany, które turyści z tym większą przyjemnością podziwiają w prostej szafie starego dworu, zmienionego na dostatnią fermę); prezentował również, pośród innych darów cesarza, owo szlachetne i urocze wzięcie, zdolne działać cudzy na jakimś reprezentacyjnym stanowisku, gdyby dla pewnych kół być „urodzonym” nie znaczyło być skazanym całe życie na najniesprawiedliwszy ostracyzm, swobodne ruchy, dobroć, wdzięk oraz tajemniczo prześwieconą i dziedziczną relikwię spojrzenia, kryjącą wspaniałe obrazy również pod emalią królewskiego błękitu.

W związku ze stosunkami, jakie książę utrzymywał w Doncières, trzeba przytoczyć jeden fakt. Podpułkownik grał cudownie na fortepianie, żona naczelnego lekarza śpiewała jak skończona artystka. Lekarz z żoną, zarówno jak podpułkownik z żoną, bywali co tydzień na obiedzie u pana de Borodino. Pochlebiali im to niewątpliwie; wiedzieli, że kiedy książę jest w Paryżu, bywa na obiedzie u pani de Pourtalès, u Muratów itd. Ale powiadali sobie: „To prosty kapitan, aż nadto szczęśliwy jest, że bywamy u niego. To zresztą prawdziwy nasz przyjaciel”. Ale kiedy pana de Borodino, który od dawna robił starania, aby się zbliżyć do Paryża, przeniesiono do Beauvais, zmieniawszy garnizon, zapomniał o dwóch muzykujących parach równie dokładnie, co o teatrze w Doncières i o restauracyjce, skąd często kazał sobie przynosić śniadanie; i ku ich wielkiemu oburzeniu ani podpułkownik, ani naczelnik lekarz, którzy tak często bywali u kapitana na obiedzie, nie otrzymali już w życiu wiadomości od niego.

Pewnego rana Saint-Loup wyznał mi, iż napisał do mojej babki, aby jej donieść o mnie i poddać jej myśl pomówienia ze mną, skoro istnieje połączenie telefoniczne między Doncières a Paryżem. Krótko mówiąc, jeszcze tego dnia miała mnie wezwać do aparatu: Robert poradził mi, abym był przed czwartą na poczcie. Telefon nie był wówczas tak rozpowszechniony jak dziś. A jednak przyzwyczajenie tak mało potrzebuje czasu, aby odrzeć z tajemnicy poświęcone formy, z którymi się stykamy, że kiedyś nie otrzymał zaraz połączenia, jedyną moją myślą było utyskiwać na tę zwłokę, na niewygodę — niemal chciałem wnieść zażalenie! Jak my wszyscy teraz, nie uważałem za dość szybką w stosunku do swoich pragnień tej czarodziejskiej feerii, dla której kilka chwil wystarcza, aby się zjawiała tuż koło nas — niewidzialna, ale obecna istota, z którą chcieliśmy mówić i która, siedząc u siebie przy stole, w odległym mieście (dla babki był nim Paryż) pod innym niebem, w inną może pogodę, wśród okoliczności i zajęć, których nie znamy i o których ta istota nas powiadomi, przenosi się nagle o setki mil (wraz z całą otaczającą atmosferą) i zjawia się tuż koło naszego ucha w chwili, gdy nasz kaprys tego zażąda. I jesteśmy niby człowiek z bajki, któremu wróżka na wyrażone przez niego życzenie ukazuje w nadprzyrodzonym blasku babkę lub narzeczoną, przeglądającą książkę, lejącą lzy, zrywającą kwiaty, tuż obok, a jednak bardzo daleko, tam, gdzie się znajduje istotnie. Wystarczy nam dla ziszczenia cudu zbliżyć wargi do magicznej płytki i wzywać — czasem trochę długo, przyznając — Czuwające Dziewice¹⁶¹, których głos słyszymy co dzień, nie znając nigdy ich twarzy; to są nasze anioły-stróżki w zawrotnych ciemnościach, których drzwi zazdrośnie strzegą; one, wszechpotężne, dzięki którym mocy nieobecni zjawiają się koło nas, mimo iż nie wolno nam ich ujrzeć; Danaidy¹⁶² Niewidzialnego, które bez przerwy opróżniają,

Czary

¹⁶⁰Talleyrand, właśc. *książę Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord* (1754–1838) — francuski dyplomata i polityk; zasłynął jako inteligentny, cyniczny i bezwzględny pragmatyk, pełniąc funkcje agenta dyplomatycznego lub ministra spraw wewnętrznych kolejnych rządów: Dyrektoriatu, Napoleona, Burbonów i Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

¹⁶¹*Czuwające Dziewice* — westalki, rzymskie kapłanki strzegące świętego ognia w świątyni bogini Westy, patronki ogniska domowego; ślubowały dziewictwo. [przypis edytorski]

¹⁶²*Danaidy* (mit. gr.) — córki króla Danaosa, za zamordowanie w noc poślubną swoich mężów zostały skazane w świecie zmarłych na napełnianie beczki bez dna wodą, noszoną w sitach. [przypis edytorski]

napętniają, podają sobie urny dźwięków; ironiczne Furie¹⁶³, które — w chwili gdy szepcemy ukochanej poufne słowa w nadziei, że ich nikt nie słyszy — krzyczą nam okrutnie: „Słucham”; wciąż gniewne służebnice Tajemnicy, chmurne kapłanki Niewidzialnego — telefonistki!

I skoro tylko nasze wołanie rozlegnie się w pełnej zjaw nocy, na którą otwierają się same tylko uszy, lekki szmer — szmer abstrakcyjny — szmer zniesionej odległości — i oto zwraca się do nas głos drogiej istoty.

To ona, to jej głos mówi do nas, jest tutaj. Ale jakież daleki! Ileż razy nie mogłem go słuchać bez ucisku serca, jak gdybym, wobec niemożliwości widzenia — bez długich godzin podróży — tej, której głos był tak blisko mego ucha, lepiej czuł, ile zawodnego jest w pozorze najśłodsze zbliżenia i jak daleko możemy być od ukochanych osób w chwili, gdy się zdaje, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, aby je zatrzymać. Rzeczywista obecność — ten głos tak bliski — przy istotnym rozłączeniu! Ale także przedsmak wiekuistej rozłąki! Często, słuchając w ten sposób, nie widząc tej, co do mnie mówiła z tak daleka, miałem wrażenie, że ten głos woła z głębokości, skąd się nie wraca, i poznałem ucisk serca, jaki miałem odczuć kiedyś, kiedy głos wróci w ten sposób (sam, niezwiązany z ciałem, którego nie miałem już nigdy ujrzeć), aby szeptać do mego ucha słowa, które byłbym chciał ucałować w przelocie na wargach zmienionych w proch na wieki.

Tego dnia, niestety, w Doncières cud się nie spełnił. Kiedym wchodził do kabiny, okazało się, że babka już mnie wzywała; wszedłem, linia była zajęta, ktoś rozmawiał, nie wiedząc zapewne, że nie ma nikogo, kto by mu odpowiedział, bo kiedy wziąłem słuchawkę, ten kawałek drzewa zaczął paplać na kształt poliszynela¹⁶⁴; uciszyłem go, jak się robi w budzie jarmarcznej, odkładając go na miejsce; z chwilą gdy go zbliżył do siebie, poliszynel zaczął gadać na nowo. Zwątpiwszy o połączeniu, powiesiłem ostatecznie słuchawkę, zdołałem zdławić konwulsje tego dźwięcznego trzonka, który paplał do ostatniej chwili. Poszedłem po urzędnika, powiedział mi, abym zaczekał chwilę. Potem zacząłem rozmawiać i po momencie ciszy usłyszałem ten głos, o którym mylnie sądziłem, że go znam tak dobrze. Dotąd, za każdym razem kiedy babka mówiła ze mną, śledziłem zawsze słowa na otwartej partycji¹⁶⁵ jej twarzy, gdzie oczy zajmowały wiele miejsca, ale sam w sobie jej głos słyszałem dziś po raz pierwszy. I dlatego że mi się ten głos wydawał zmieniony w proporcjach od chwili, gdy był wszystkim, dochodząc do mnie sam, bez akompaniamentu rysów twarzy, odkryłem, jak bardzo jest słodki; może zresztą nigdy nie był nim w tym stopniu, bo babka, czując, że jestem daleko i nieszczęśliwy, sądziła, że może dać folgę czułości, którą dla „zasady” pedagogicznej zazwyczaj powściągała i kryła. Był słodki, ale zarazem tak smutny! Po pierwsze, z przyczyny swojej słodczy, był prawie zupełnie oczyszczony — jak mało który ludzki głos — z wszelkiej twardości, z wszelkiego odporu, z wszelkiego egoizmu; kruchy w swojej delikatności, zdawał się co chwila gotów załamać, zamrzeć w czystym strumieniu łez; po wtóre, kiedym miał ten głos koło siebie, sam, widziany bez maski twarzy, spostrzegłem po raz pierwszy zgrzyzoty, które go rozbiły w biegu życia.

Czy to zresztą wyłącznie głos — przez to, że był sam — dawał mi owo nowe wrażenie, które mnie rozdzierało? Nie; raczej ta izolacja głosu była niby symbol, ewokacja¹⁶⁶, bezpośredni skutek innej izolacji — pierwszej rozłąki babki ze mną. Przestrogi i zakazy, jakimi mnie obsypywała co chwila w powszednim życiu, zniecierpliwienie posłuchu lub gorączka buntu, neutralizujące czułość moją dla niej, nie istniały w tej chwili, a nawet mogły przestać istnieć na przyszłość. Babka nie upierała się już mieć mnie koło siebie, pod swoim okiem; wyrażała właśnie nadzieję, że ja zostanę na dobre w Doncières lub w każdym razie przeciągnę pobyt możliwie najdłużej, co może wyjść na dobre memu zdrowiu i pracy. Toteż to, com miał pod tym małym kloszem przyłożonym do mego ucha, to była nasza wzajemna czułość, która, oswobodzona od przeciwnych ciśnień, co dnia stwarzających jej przeciwwagę, stawiała się czymś nieodpartym, rozsadzała mnie po prostu. Mówiąc, abym został, babka obudziła we mnie trwożliwe i szalone pragnienie powrotu. Swoboda, jaką mi zostawiała teraz wbrew wszelkiemu spodziewaniu, wydała

¹⁶³Furie (mit. rzym.) — okrutne boginie zemsty. [przypis edytorski]

¹⁶⁴poliszynel — postać z *commedia dell'arte*, złośliwy gbur, prześmiewca. [przypis edytorski]

¹⁶⁵partycji (daw.) — partytura, szczegółowy zapis nutowy utworu muzycznego. [przypis edytorski]

¹⁶⁶ewokacja — wywołanie wspomnień, skojarzeń lub wizji czegoś. [przypis edytorski]

mi się nagle równie smutna, jak mogłaby być smutna wolność moja po jej śmierci (kiedy bym ją kochał jeszcze i kiedy by się ona całkiem mnie wyrzekła). Krzychałem: „Babciu, babciu” i byłbym chciał uściskać ją; ale miałem koło siebie tylko ten głos, widmo, równie nieuchwytnie jak to, które wróci może nawiedzić mnie, kiedy babka umrze. „Mów do mnie”; ale wówczas stało się, że się uczułem jeszcze bardziej sam, nagle zupełnie przestałem słyszeć ten głos. Babka nie słyszała mnie już, straciła kontakt ze mną, przestaliśmy być naprzeciw siebie, być dla siebie wzajem słyszalni. Wołałem ją dalej, macając w ciemności, czując, że i jej wołania muszą się gubić. Drżałem tym samym wzruszeniem, jakim doznałem niegdyś, bardzo dawno, w dniu, kiedy jako małe dziecko zgubiłem ją w tłumie; drżałem nie tyle o to, że jej nie odnajdę, ile o to, że ona mnie szuka, czułem, iż sobie mówi, że ja jej szukam; uczucie dosyć podobne do tego, jakiego bym doznał w dniu, kiedy się mówi do osób, które już nie mogą odpowiedzieć, a którym chciałoby się bodaj rzecz wszystko, czego się im nie powiedziało w życiu, i zapewnić je, że się nie cierpi. Zdawało mi się, że to już jest drogi cień, któremu dałem się zgubić wśród cieniów; samotny przed aparatem, dalej powtarzałem daremnie: „Babciu, babciu”, jak Orfeusz¹⁶⁷, zostawszy sam, powtarza imię zmarłej.

Zdecydowałem się opuścić pocztę, wywołać Roberta z restauracji, aby mu powiedzieć, że spodziewając się depezy, która mnie może zmusi do wyjazdu, chciałbym na wszelki wypadek znać rozkład pociągów. A jednak przed powzięciem tego postanowienia byłbym chciał ostatni raz wezwać Córy Nocy, Wysłanniczki Głosu, boginie bez twarzy; ale kapryśne Strażniczki nie chciały — lub zapewne nie mogły — otworzyć cudownych bram; daremnie wzywały niestrudzenie, swoim zwyczajem, czcigodnego wynalazcę druku oraz młodego księcia, miłośnika impresjonizmu i zapalonego automobilistę (który był siostrzeńcem kapitana de Borodino): Gutenberg i Wagram¹⁶⁸ zostawili ich błagania bez odpowiedzi. Odszedłem, czując, że wzywane przeze mnie Niewidzialne pozostanie głuche.

Odnajdując Roberta i jego kolegów, nie wyznałem im, że serce moje nie jest już z nimi, że wyjazd mój jest nieodwołalny. Robert udawał, że wierzy, ale jak dowiedziałem się później, od pierwszej minuty rozumiał, że moja niepewność jest udana i że jutro mnie już nie będzie. Podczas gdy, dając stygnąc potrawom, koledzy Roberta szukali wraz z nim najlepszego pociągu do Paryża i gdy w gwieździstej i zimnej nocy słychać było gwizd lokomotyw, nie czułem, to pewne, spokoju, jaki mi dała tutaj przez tyle wieczorów przyjaźń tych młodych ludzi oraz dalekie przesuwanie się pociągów. Ale i tego wieczora, mimo że w innej formie, pozostali wierni swojej roli. Wyjazd przygnębiał mnie mniej, kiedy nie musiał o nim myśleć sam jeden; kiedy czułem w tej sprawie udział normalniejszej i zdrowszej energii swoich dzielnych przyjaciół, kolegów Roberta, oraz owych innych silnych istot — pociągów, których ustawiczne krążenie między Doncières a Paryżem rozdrabniało retrospektywnie to, co było zbyt gęste i uciążliwe w mojej długiej rozłące z babką, na każdodziennie możliwości powrotu.

— Nie wątpię o prawdzie twoich słów i o tym, że nie zamierzasz jeszcze wyjeżdżać — rzekł, śmiejąc się Saint-Loup — ale rób tak, jakbyś jechał, i przyjdź się pożegnać ze mną wcześniej rano, inaczej grozi nam to, że cię nie zobaczę. Zaproszony jestem na śniadanie, kapitan zwolnił mnie, na drugą muszę wracać do koszar, bo jedziemy na ćwiczenia na cały dzień. Facet, u którego mam śniadanie o trzy kilometry stąd, odwiezie mnie z pewnością, tak abym był w koszarach na drugą.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy przysłano po mnie z hotelu: wzywano mnie z poczty do telefonu. Pobiegłem, bo już miano zamykać pocztę. Słowo „międzymiastowa” powtarzało się raz po raz w odpowiedziach, jakie mi dawali urzędnicy. Byłem straszliwie niespokojny, bo to babka mnie wzywała. Zamykano już. Wreszcie dostałem połączenie. „Czy to ty, babciu?”. Głos kobiety o silnym akcencie angielskim odpowiedział: „Tak, ale

¹⁶⁷ *Orfeusz* (mit. gr.) — niezrównany tracki śpiewak i poeta; zszedł do podziemnej krainy zmarłych po swą żonę Eurydykę, zmarłą od ukąszenia węża; oczarował swoim śpiewem królujących tam Hadesa i Persefonę, którzy zgodzili się na powrót Eurydyki, stawiając warunek, że będzie szedł przed nią i nie obejrzy się za siebie, aż oboje wyjdą; Orfeusz tuż przed wyjściem z podziemia spojrzął na żonę i stracił ją na zawsze. [przypis edytorski]

¹⁶⁸ *Gutenberg i Wagram* — nazwy dwóch głównych central telefonicznych w Paryżu, otwartych w 1892–1893; nazwane na cześć Jana Gutenberga (1398–1468), wynalazcy druku, oraz Alexandre’a Louisa Philippe’a Marie Berthier, ostatniego księcia Wagram (1883–1918). [przypis edytorski]

nie poznaję twojego głosu”. I ja nie poznawałem głosu, który do mnie mówił; przy tym babka nie mówiła mi nigdy „vous”¹⁶⁹. W końcu wszystko się wyjaśniło. Młody człowiek, którego babka wzywała do telefonu, miał nazwisko prawie identyczne z moim i mieszkał w filii hotelu. Ponieważ wezwano mnie tegoż samego dnia, w którym ja chciałem telefonować do babki, nie wątpiłem ani przez chwilę, że to ona mnie wzywa. Prosty zbieg okoliczności stał się przyczyną podwójnej omyłki na poczcie i w hotelu.

Nazajutrz rano spóźniłem się; nie zastałem Roberta, który już pojechał na śniadanie w sąsiedztwo. Około wpół do drugiej wybierałem się na wszelki wypadek do koszar, aby tam być w chwili jego przybycia. Naraz, idąc wiodącą tam aleją, ujrzałem jadące w tym samym kierunku tilbury¹⁷⁰, które mijając mnie, kazało mi uskoczyć na bok. Powoził podoficer z monoklem w oku; był to Saint-Loup. Obok niego siedział przyjaciel, u którego był na śniadaniu i którego już raz spotkałem w hotelu, gdzie się Robert stołował. Nie śmiałem wołać Roberta, skoro nie był sam, ale chcąc, aby się zatrzymał i wziął mnie z sobą, ściągnąłem jego uwagę ceremonialnym ukłonem, usprawiedliwionym obecnością nieznanego. Wiedziałem, że Robert ma krótki wzrok, ale myślałem, że gdyby mnie tylko zobaczył, poznałby mnie z pewnością; otóż on spostrzegł ukłon i oddał mi go, ale nie zatrzymując się. Oddalając się pędem, bez uśmiechu, bez drgnienia jednego mięśnia w twarzy, przyłożył jedynie palce do kepi, tak jakby odpowiadał na ukłon nieznanego żołnierza.

Pobiegłem do koszar, ale to było jeszcze daleko; kiedy przybyłem, pułk formował się na dziedzińcu, gdzie mi nie pozwolono zostać. W rozpaczy, że się nie mogę pożegnać z Robertem, poszedłem do jego pokoju, gdzie go nie było; zdołałem się dopytać o niego w gromadce „marodów”, rekrutów zwolnionych od marszu, młodego maturzysty oraz starego zupaka, którzy się przyglądali, jak pułk się formuje.

— Czy panowie nie widzieli sierżanta Saint-Loup? — spytałem.

— Zeszedł, proszę pana — rzekł zupak.

— Nie widziałem go — rzekł maturzysta.

— Nie widziałeś go — rzekł zupak, nie zajmując się już mną — nie widziałeś naszego morowca Saint-Loup, jak on paraduje w swoich nowych portczętach; kiedy go kapitan zobaczy, wścieknie się: oficerskie sukno!

— Cha, Cha! ty masz dobre kawały, oficerskie sukno — rzekł maturzysta, który jako „marod” nie szedł na ćwiczenia i próbował, nie bez pewnego niepokoju, stawiać się zupakom. — To oficerskie sukno, to sukno takie jak to.

— Ej, ej, panie, panie... — krzyknął z gniewem zupak, który mówił o „portczętach”.

Był oburzony, że młody maturzysta podał w wątpliwość fakt oficerskiego sukna; ale, jako Bretończyk urodzony we wsi, która się zowie Penguern-Stereden, wyuczywszy się po francusku z równym trudem, co gdyby to był język angielski lub niemiecki, kiedy się czuł wzruszony, powtarzał kilka razy „panie”, aby zyskać czas na znalezienie słów; po czym, po tym przygotowaniu, dawał folgę swojej wymowie, zadowolając się powtarzaniem kilku wyrazów, które znał lepiej od innych, ale bez pośpiechu, siląc się na poprawne wymawianie.

— A, to takie sukno jak to — powtórzył z gniewem, którym barwiła się stopniowo energia i powolność wysłowienia. — A, to takie sukno: kiedy ci mówię, że to sukno oficerskie, kiedy ci powiem, skoro ja ci to powiem, to ja myślę, że ja wiem, co mówię. Nie nas bujać takimi bajdami.

— A, w takim razie, to chyba — rzekł maturzysta zwyciężony tą argumentacją.

— O patrz, właśnie przechodzi kapichrust. Nie! popatrz tylko na naszego Saint-Loupka; patrz, jak on wyrzuca nogami i spójrz na jego facjatę. Czy powiedziałby kto, że to podoficer? A monokl! Cha, cha! ten sobie lata.

Poprosiłem tych żołnierzy, którzy nic sobie nie robili z mojej obecności, żeby mi pozwolili też spojrzeć przez okno. Nie przeszkodzili mi ani się nie usunęli. Ujrzałem kapitana de Borodino, przejeżdżał majestatycznie truchtem, zdając się żywić złudzenie, iż bierze udział w bitwie pod Austerlitz. Kilku przechodniów skupiło się przed bramą, aby

¹⁶⁹vous (fr.) — zaimke 2. os. lm: wy; używany także jako forma grzecznościowa przy zwracaniu się do pojedynczej osoby (pan, pani) lub większej liczby osób (państwo). [przypis edytorski]

¹⁷⁰tilbury — lekki, otwarty powóz dwukołowy o dużych kołach, opracowany na pocz. XIX wieku przez londyńską firmę Tilbury; dostosowany do szybkiego poruszania się po nierównych drogach. [przypis edytorski]

patrzeć, jak pułk będzie wyjeżdżał. Wyprostowany na koniu, z twarzą nieco zbyt pulchną, z policzkami o cesarskiej pełni, z jasnym spojrzeniem, księżę musiał być igraszką jakiejś halucynacji, jak ja za każdym razem, kiedy po przejściu tramwaju cisza następująca po łomocie zdawała mi się jak gdyby prądkowana mglistym drganiem muzycznym. Byłem w rozpacz, że się nie pożegnał z Robertem, ale pojechałem i tak, bo moją jedyną myślą było wrócić do babki. Do owego dnia, w tym małym miasteczku, kiedy myślałem, co babka robi sama, przedstawiałem ją sobie taką, jak była ze mną, ale wyłączając siebie, bez zdania sobie sprawy z następstw tego wyłączenia; teraz musiałem się w jej ramionach czym prędzej wyzwolić z widma niepodjęwanego dotąd, a wywołanego nagle głosem babki, faktycznie rozdzielonej ze mną, zrezygnowanej, posiadającej — czego dotąd nigdy w niej nie znałem — wiek, odbierającej ode mnie list w pustym mieszkaniu, w jakim już sobie wyobrażałem mamę wówczas, kiedy wyjechałem do Balbec.

Niestety, właśnie to widmo ujrzałem, kiedy, wszedłszy do salonu bez uprzedzenia babki o powrocie, zastałem ją w trakcie czytania. Byłem tam, lub raczej nie byłem tam jeszcze, skoro ona nie wiedziała o tym: jak kobieta zaskoczona przy jakiejś robótce, którą chowa, kiedy wchodzi, pogrążona była w myślach, jakich nigdy nie zdradzała przede mną. Mocą ulotnego przywileju, dzięki któremu przez krótką chwilę powrotu zyskujemy zdolność naglego asystowania własnej nieobecności, był tam ze mnie jedynie świadek, obserwator, w kapeluszu i płaszczu podróżnym, ktoś obcy, nienależący do tego domu, fotograf przychodzący robić zdjęcie miejsc, których już nie ujrzymy. To, co się mechanicznie dokonało w tej chwili w moich oczach, kiedy spostrzegłem babkę, to była w istocie fotografia! Zawsze widzimy drogie nam istoty jedynie w żywym kontekście, w ciągłym ruchu naszej nieustannej tkliwości, która zanim pozwoli do nas dojść obrazom, jakie dla nas przedstawia ich twarz, chwytając je w swój wir, rzuca je na ideę, jaką sobie o nich tworzymy „od zawsze”, stapia je z tą ideą, zespala je z nią. W jaki sposób, skoro czoło i policzki babki wyrażały dla mnie to, co było najdelikatniejszego i najtrwalszego w jej duszy; w jaki sposób, skoro wszelkie nawykowe spojrzenie jest nekromancją, a każda ukochana twarz zwierciadłem przeszłości, w jaki sposób nie byłbym w niej pominął tego, co w niej mogło zgrubić i ulec zmianie, wówczas kiedy nawet w najobojętniejszych obrazach życia oko nasze, brzemienne myślą, opuszcza (tak jakby to zrobiła tragedia klasyczna) wszystkie zbyteczne dla akcji obrazy, zatrzymując jedynie te, które mogą cel uczynić zrozumiałym. Ale niech w miejsce naszego oka spojrzysz czysto materialna soczewka, płyta fotograficzna, wówczas, na przykład w dziedzińcu Instytutu¹⁷¹ zamiast wychodzącego akademika¹⁷², który woła fiakra, ujrzymy jego zataczanie się, jego wysiłki, aby się nie przewrócić wstecz, parabolę jego upadku, tak jakby był pijany lub jakby dziedziniec pokryty był gołoledzią. Tak samo się dzieje, kiedy jakiś okrutny podstęp przypadku przeszkodzi naszej inteligentnej i zbożnej czułości nadbiec na czas, aby ukryć naszym spojrzeniom to, czego nie powinny nigdy oglądać; kiedy ją wyprzedzi owo *coś*, co przybywszy pierwsze na miejsce i zostawione samemu sobie, funkcjonuje mechanicznie na kształt czulej błonki i pokaże nam w miejsce ukochanej istoty, która nie istnieje już od dawna, ale której śmierć czułość nasza zawsze chciała przed nami utaić — nową istotę, którą po sto razy dziennie czułość ta stroiła drogim i kłamiwym podobieństwem. I jak chory, który się nie oglądał od dawna, komponujący co chwilę twarz — której nie widzi — wedle idealnego obrazu, jaki nosi o sobie samym w swojej myśli, cofa się, widząc w lustrze, na wyschłej i spustoszonej twarzy, skośną i zaczerwienioną protuberancję¹⁷³ nosa olbrzymiego na kształt piramidy egipskiej, tak ja, dla którego babka była jeszcze mną samym, ja, którym nigdy nie widział jej inaczej niż w swojej duszy, wciąż w tym samym miejscu przeszłości, poprzez przezroczystość otaczających ją ze wszech stron uśmiechów, nagle, w naszym salonie, tworzącym część nowego świata — świata czasu — tego, gdzie żyją ludzie obcy, o których się mówi „bardzo się zestarzał”, pierwszy raz i tylko na chwilę, bo ten obraz znikł bardzo szybko —

¹⁷¹*Instytut* — Instytut Francuski, obejmujący pięć towarzystw naukowych: Akademię Francuską, Akademię Napisów i Literatury Pięknej, Akademię Nauk, Akademię Sztuk Pięknych i Akademię Nauk Moralnych i Politycznych. [przypis edytorski]

¹⁷²*akademik* (daw.) — profesor akademii, uniwersytetu; członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

¹⁷³*protuberancja* — jasna struktura widoczna ponad brzegiem tarczy słonecznej, składająca się ze stosunkowo gęstej plazmy; protuberancje obserwuje się podczas całkowitych zaćmień słońca lub za pomocą koronografu. [przypis edytorski]

na kanapie, pod lampą ujrzałem czerwoną, ciężką i pospolitą, chorą, zadumaną, wodzącą po książce błędnymi nieco oczami, przygnębioną starą kobietę, której nie znałem.

Na moją prośbę, abym mógł obejrzeć Elstiry pani de Guermantes, Saint-Loup rzekł: „Odpowiadam za nią”. I w istocie, na nieszczęście, jedynie on odpowiedział za nią. Łatwo odpowiadamy za innych, kiedy, rozporządzając w swoich myślach obrazkami, które ich wyobrażają, poruszamy nimi wedle naszej woli. Zapewne, nawet w tej chwili bierzemy w rachubę trudności wynikające z natury każdej z tych osób, różnej od nas, i nie zaniebujemy uciec się do jakiegoś sposobu działania mającego na nich wpływ — interesu, perswazji, wzruszenia, zdolnych zneutralizować przeciwne skłonności. Ale ową różność od naszej natury również wyobraża sobie nasza natura; to my usuwamy te trudności, my dawkujemy te skuteczne sposoby. I kiedy chcemy w życiu ziszczyć owe gesty, któreśmy w swoich myślach kazali powtarzać drugiej osobie zgodnie z naszą wolą, wszystko się zmienia: natykamy się na nieprzewidziane opory, często nie do pokonania. Jednym z najsilniejszych jest niewątpliwie opór zrodzony w niekochającej kobiecie z niezwykłego obmierzonego wstrętu, jaki w niej budzi człowiek, który ją kocha. W ciągu długich tygodni, przez które Saint-Loup nie mógł przybyć do Paryża, ciotka jego (do której ponad wszelką wątpliwość napisał z prośbą o to) nie zaprosiła mnie ani razu, abym przyszedł obejrzeć obrazy Elstira.

Odczułem chłód jeszcze ze strony innej osoby w domu. Osobą tą był Jupien. Czy uważał, że powinienem być zająć do niego przywitać się, wróciwszy z Doncières, zanim nawet wszedłem do domu? Matka zapewniła mnie, że nie, że nie trzeba się temu dziwić. Franciszka mówiła jej, że Jupien jest już taki, że miewa takie nagłe humory bez powodu. Przechodzi mu to po niedługim czasie.

Tymczasem zima dobiegła końca. Pewnego rana, po kilku tygodniach słoty i burz, usłyszałem w swoim kominku — w miejsce bezkształtnego, elastycznego i posępnego wichru, który budził we mnie dreszcz tęsknoty za morzem — gruchanie gołębi, gnieżdżących się w murze: tęczowe, nieprzewidziane jak pierwszy hiacynt, łagodnie rozdierające swoje żywicielskie serce, iżby trysnął jego dźwięczny i atlasowy kwiat koloru lila, wpuszczające, na kształt otwartego okna, do mojego zamkniętego jeszcze i czarnego pokoju ciepło, blask, znużenie pierwszego ładnego dnia. Owego rana chwyciłem się na tym, że nucił aryjkę z *café concert*¹⁷⁴, której zapomniałem od owego roku, gdy miał jechać do Florencji i do Wenecji. Tak głęboko atmosfera, zależnie od dnia, działa na nasz organizm i z ciemnych składów, gdzieśmy ich zapomnieli, dobywa melodie zapisane, ale nieodcyfrowane naszą pamięcią. Niebawem bardziej świadomy marzyciel towarzyszył temu muzykowi, któremu słuchał w samym sobie, nie poznawszy nawet zrazu, co on gra.

Czułem, iż raczej, dla których, kiedym przybył do Balbec, nie znalazłem już w miejscowym kościele oroku, jaki miał dla mnie, zanim go poznałem, to nie są raczej szczególnie związane z Balbec; że we Florencji, w Parmie czy w Wenecji wyobrażenia moja też nie lepiej umiałyby się podstawić w miejsce moich oczu, aby patrzeć. Czułem to. Tak samo pewnego wieczora w Nowy Rok, z zapadnięciem nocy, przed słupem z afiszami odkryłem, że złudzeniem jest wiara, iż pewne świąteczne dni różnią się zasadniczo od innych. A mimo to wspomnienie czasu, kiedym się spodziewał spędzić Wielki Tydzień we Florencji, nadal spowijało ją niby atmosferą miasta kwiatów, dając równocześnie Wielkiej Nocy coś florenckiego, a Florencji coś wielkanocnego. Wielki Tydzień był jeszcze daleko; ale w szeregu dni, który się rozciągał przede mną, dni świąteczne odcinały się jaśniej od zwyczajnych. Tknięte promieniem, jak pewne domy w wiosce widzianej z daleka w grze światła i cieni, skupiały na sobie wszystko słońce.

Robiło się coraz cieplej. Nawet rodzice, radząc mi, abym chodził na spacer, dostarczali mi pretekstu do wznowienia rannych wypraw. Byłbym chciał ich zaprzestać, bom spotykał

¹⁷⁴*café concert* a. *café chantant* (fr.) — kawiarnia z występami artystycznymi i śpiewem; kabaret. [przypis edytorski]

na nich panią de Guermantes. Ale właśnie dlatego wciąż myślałem o tych spacerach, co sprawiało, że znajdowałem dla nich wciąż nowe racje niemające żadnego związku z panią de Guermantes i dowodzące mi bez trudu, że gdyby ona nie istniała, tak samo szedłbym na spacer o tej samej porze.

Niestety! o ile byłoby mi obojętne spotkać wszelką inną osobę niż ona, o tyle czułem, że dla niej spotkanie z kimkolwiek byłoby znośniejsze niż spotkanie ze mną. Zdarzało się jej w ciągu rannej przechadzki odklaniać wielu notorycznym durniom, przy czym widok ich uważała, jeżeli nie za wróżbę przyjemności, to bodaj za wynik przypadku. I zatrzymywała ich czasem, bo są chwile, kiedy mamy ochotę wyjść z siebie, przyjmując gościnę w duszy drugich, pod warunkiem, żeby ta dusza, choćby najskromniejsza i najbrzydsza, była duszą cudzą, podczas gdy księżna czuła z rozpaczą i ze wstrętem, że w mojej duszy odnalazłaby jedynie siebie samą. Toteż nawet kiedym miał dla obrania tej drogi inny powód niż to, aby ją zobaczyć, drżałem jak zbrodniarz w chwili, gdy ona przechodziła; czasem, pragnąc niejako zneutralizować to, co w moim zachowaniu mogło się wydać natręctwem, ledwie odpowiadałem na ukłon księżnej lub przyglądałem się jej, nie kłaniając się. Osiągałem tylko tyle, żem ją drażnił jeszcze bardziej i że zaczęła mnie w dodatku uważać za impertynenta i gbura.

Księżna nosiła teraz suknie lżejsze lub bodaj jaśniejsze i sunęła ulicą, gdzie — jak gdyby już była wiosna — w wąskich sklepach, wciśniętych w szerokie fasady starych arystokratycznych pałaców, na wystawie handlarki masła, owoców, jarzyn, zapuszczone były stopy dla ochrony od słońca. Powiadałem sobie, że kobieta zbliżająca się ku mnie z daleka, otwierająca umbrellę¹⁷⁵, przechodząca na drugą stronę ulicy, jest, zdaniem znawców, największą współczesną artystką w sztuce wykonywania tych gestów i czynienia z nich czegoś rozkosznego. Szła; ciało jej, nieświadome tej szerokiej reputacji, szczupłe, oporne i obce, gięło się pod lekkim jedwabiem lila; chmurne i jasne jej oczy patrzyły niedbale przed siebie i spostrzegły mnie może; księżna przygryzała wargi; widziałem, jak poprawia mufkę, daje grosz ubogiemu, kupuje bukiet fiołków od kwiaciarki. Patrzyłem na nią z tą samą ciekawością, z jaką bym śledził ruchy pędzla u wielkiego malarza. I kiedy, mijając mnie, kiwała mi głową, łącząc niekiedy z tym gestem nikły uśmiech, miałem wrażenie, że wykonała dla mnie — przydając dedykację — rysunek, będący arcydziełem. Każda jej suknia wydawała mi się naturalną i konieczną atmosferą, projekcją odrębnego stanu jej duszy.

Pewnego wielkopostnego ranka, kiedy księżna miała jakieś prozzone śniadanie, spotkałem ją w aksamitnej żywoczerwonej sukni, lekko wyciętej. Twarz pani de Guermantes, okolona włosami blond, wydawała się rozmarzona. Uczulem się mniej smutny niż zwykle, bo jej melancholijny wyraz — rodzaj klauzury¹⁷⁶, siłą koloru odcinającej ją od reszty świata — dawał jej coś nieszczęśliwego i samotnego, co mi dodawało otuchy. Ta suknia zdawała mi się dokoła niej materializacją szkarłatnych promieni serca, którego w niej nie znałem i które mógłbym może pocieszyć; spowita w mistyczne światło łagodnych fałdów materii, księżna wydawała mi się niby jakaś święta z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Wówczas odczuwałem wstyd, że mierzę swoim widokiem tę męczennicę. „Ale ostatecznie — powiadałem sobie — ulica jest dla wszystkich”.

„Ulica jest dla wszystkich” — powtarzałem, dając tym słowom odmienne znaczenie i podziwiając, że na tej ulicy, ludnej, często mokrej od deszczu i szacownej w tej chwili niby jaka ulica starożytnych miast Italii, księżna de Guermantes z życiem publicznym miesza chwile swego poufnego życia, ukazując się oto każdemu — ze wspaniałą hojnością arcydzieł — tajemnicza, potrącana przez wszystkich. Ponieważ wyszedłem rano po nieprzespanej nocy, po południu rodzice radzili mi, abym się trochę położył i starał się zasnąć. Na to, by zasnąć, nie potrzeba dużo refleksji; bardzo natomiast zbawienne jest ku temu przyzwyczajenie, a nawet brak refleksji. Otóż w owych godzinach nie dostawało¹⁷⁷ mi obu tych rzeczy. Przed zaśnięciem myślałem tak długo, że nie zdołam zasnąć, iż nawet kiedym zasnął, zostawało mi trochę myśli. Było to jedynie wątle światelko w zupełnej niemal ciemności, ale wystarczało, aby rzucić na mój sen — niby jakiś odbłask

¹⁷⁵umbrella — parasolka. [przypis edytorski]

¹⁷⁶klauzura (z łac.: zamknięcie) — zamknięta część domu zakonnego lub klasztoru; także: przepisy zakonne zakazujące kontaktowania się ze światem zewnętrznym. [przypis edytorski]

¹⁷⁷nie dostawać (daw.) — nie wystarczać, brakować. [przypis edytorski]

myśl, że nie zdołam zasnąć, a potem — odbłask tego odbłasku — myśl, że to we śnie wydawało mi się, iż nie śpię; potem — jako nowe odbicie — przebudzenie... do nowego snu, w którym chciałem opowiedzieć przyjaciółom (właśnie weszli do mego pokoju), że przed chwilą, śpiąc, myślałem, iż nie śpię. Cienie te ledwie były do rozpoznania; trzeba by wielkiej i bardzo czerzej subtelności percepcji, aby je pochwycić. Podobnie później w Wenecji, dobrze po zachodzie słońca, kiedy się zdaje, że już jest zupełna noc, widziałem — dzięki niewidzialnemu wszakże echu ostatniej nuty światła, bez końca trzymanej na kanałach jak gdyby mocą jakiegoś optycznego pedału — odbicia pałaców rozpościerające się jak gdyby na wieki czarniejszym aksamitem na wieczornej szarości wód.

Jednym z moich sennych marzeń była synteza tego, co moja wyobraźnia często się sobie starała wyobrazić na jawie: pewien krajobraz morski i jego średniowieczną przeszłość. Widziałem we śnie gotyckie miasto pośród morza o falach stężonych jak na witrażu. Odnoga morza dzieliła miasto na dwoje; zielona woda rozciągała się u moich stóp; woda ta opływała na przeciwległym brzegu wschodni kościół, dalej domy istniejące jeszcze w XIV wieku, tak że iść ku nim znaczyłoby cofać się w głąb wieków. Ten sen, w którym natura wyuczyła się sztuki, gdzie morze stało się gotyckie, ten sen, w którym pragnąłem dotknąć niemożliwości i miałem uczucie, że to czynię, zdawał mi się czymś, com już śnił często. Że jednak właściwością marzeń sennych jest to, że się mnożą w przeszłości i że, mimo iż nowe, wydają się znane, sądziłem, że się omylił. Spostrzegłem, przeciwnie, że w istocie często miewałem ten sen.

Nawet owe tak charakterystyczne pomniejszenia objawiały się w moim śnie, ale w sposób symboliczny: nie mogłem w ciemności rozpoznać twarzy przyjaciół, bo śni się z zamkniętymi oczami; rozprawiając przez sen sam z sobą bez końca, z chwilą gdym chciałem przemówić do przyjaciół, czułem, iż dźwięk zamiera mi w gardle, bo nie mówi się wyraźnie we śnie; chciałem podejść do nich i nie mogłem ruszyć nogami, bo również nie chodzi się we śnie; i nagle wstyd mi było pokazać się im, bo śni się bez ubrania. Tak iż postać snu, jaką stwarzał sam mój sen — ośleple oczy, zawarte usta, bezwładne nogi, nagie ciało — przypominała owe wielkie alegoryczne figury, które dał mi niegdyś Swann, a w których Giotto¹⁷⁸ wyobraził Zawiesz z wężem w ustach.

Saint-Loup przyjechał do Paryża tylko na kilka godzin. Tłumacząc się, że nie miał sposobności wspomnieć o mnie kuzynce, równocześnie powiadał, zdradzając się naiwnie:

— Oriana jest bardzo dziwna, to już nie moja dawna Oriana, odmieniono mi ją. Ręczę ci, nie warto, żebyś o niej myślał. Czynisz jej o wiele za dużo zaszczytu. Chcesz, przedstawię cię mojej kuzynce Poitiers? — dodał, nie zdając sobie sprawy, że to by mi nie sprawiło żadnej przyjemności. — Oto młoda kobieta inteligentna i która by ci się spodobała! Wyszła za mego kuzyna, księcia de Poitiers; dobry chłopiec, ale trochę za wielki prostaczek jak dla niej. Mówiłem z nią o tobie. Prosiła, żeby cię przyprowadzić. Dużo ładniejsza od Oriany, i młodsza. To jest indywidualność, wiesz: ef-ef. (Były to wyrażenia nowe, tym żarliwiej przyswojone przez Roberta, oznaczające, że ktoś ma subtelną naturę). Nie powiem ci — dodał — aby ona była dreyfusistka, trzeba się ostatecznie liczyć z jej środowiskiem, ale bądź co bądź mówi: „Gdyby był niewinny, cóż za okropność, że go trzymają na Diabłej Wyspie”. Rozumiesz, prawda? Przy tym to osoba, która bardzo wiele robi dla swoich dawnych nauczycielek; zabroniła je wpuszczać kuchennymi schodami. Zapewniam cię, to ktoś bardzo, bardzo. W gruncie, Oriana nie lubi jej, bo czuje, że tamta jest inteligentniejsza.

Mimo że pochłonięta współczuciem, jakie w niej budził lokaj Guermantów — który nie mógł odwiedzić narzeczonej, nawet gdy księżnej nie było w domu, bo natychmiast zaraportowałby to odzwierny — Franciszka ubolewała, że jej nie było w domu w chwili wizyty Roberta; ale bo teraz ona sama chodziła z wizytami. Wychodziła niemylnie w dni, gdym jej potrzebował; a zawsze po to, aby odwiedzić brata, siostrzenicę, zwłaszcza

¹⁷⁸ Giotto di Bondone (1266–1337) — włoski malarz i architekt; odszedł od stylu wschodniego, bizantyjskiego, czym przyczynił się do rozwoju nowożytnego malarstwa we Włoszech; autor kilku cykli fresków w kaplicy Scrovegnich w Padwie, między innymi alegorii siedmiu cnót i siedmiu grzechów głównych, w tym Zawiesz, przedstawionej jako kobieta, z której ust wychodzi wąż kłusujący ją w twarz. [przypis edytorski]

cza zaś własną córkę, przybyłą niedawno do Paryża. Już sam rodzinny charakter tych wizyt, pozbawiających mnie usług Franciszki, pomnażał moją irytację, bo przewidywałem, że każda wizyta będzie dla niej czymś, z czego nie można się zwolnić, wedle zasad ustalonych w Saint-André-des-Champs. Toteż zawsze słuchałem jej wymówek z bardzo niesprawiedliwym złym humorem, którego miarę przepełniał sposób, w jaki Franciszka mówiła: „Zaszłam do brata, wpadłam »po drodze« uściskać siostrzenicę” (albo: „moją siostrzenicę rzeźniczkę”). Co się tyczy córki, Franciszka wolałaby ją wyprawić z powrotem do Combray. Ale ta świeża paryżanka, posługując się jak elegantka skrótami, ale gminnymi, mówiła, że tydzień spędzony w Combray dłużyłby się jej, gdyby nie miała co dzień bodaj swojego „Intran”¹⁷⁹. Tym mniej miała ochotę jechać do siostry Franciszki, mieszkającej w górzystej okolicy, bo góry, powiadała córka Franciszki, dając słowu „interesujący” nowy i żalony sens — nie są zbyt interesujące. Nie mogła się zdecydować na powrót do Meseglise, gdzie „ludzie są takie głupie”, gdzie na targu kumoszki doszukiwałyby się jakiegoś pokrewieństwa, powiadając: „Popatrz no, czy to nie córka nieboszczyka Bazireau?”. Wolałaby raczej umrzeć, niż tam wracać „teraz, kiedy zasmakowała paryskiego życia”. Tradycjonalistka Franciszka uśmiechała się dość życzliwie do ducha nowatorstwa wcielonego w świeżej paryżance, kiedy ta mówiła: „No i cóż, matka, jeżeli nie będziesz miała wychodni, pchnij mi po prostu *pneu*”.

Znów zrobiło się zimniej. „Wychodzić? po co? żeby się zaziębić?” — mówiła Franciszka, która wolała siedzieć w domu przez tydzień, na który jej córka, brat oraz siostrzenica-rzeźniczka pojechali do Combray. Zresztą Franciszka — ostatnia sekciarka, w której przetrwały mętnie nauki cici Leonii z zakresu fizyki — dodawała, mówiąc o niezwykłym jak na tę porę czasie: „To jeszcze Pan Bóg się nie wygniewał do reszty”. Odpowiadałem na jej lamente jedynie leniwym uśmiechem, tym obojętniejszy na te przepowiednie, że dla mnie miało być ładnie na wszelki sposób: już widziałem ranne słońce błyszczące na wzgórzu Fiezole, grzałem się w jego promieniach; siła ich kazała mi z uśmiechem otwierać i przysmykać powieki, wypełniające się niby alabastrowe lampki nocne różowym blaskiem. To nie tylko dzwony wracały z Italii, Italia wróciła z nimi. Moim wiernym ręką nie zbraknie kwiatów, aby uczcić rocznicę podróży, jaką miałem podjąć niegdyś; bo od czasu gdy w Paryżu zrobiło się zimno — tak jak w owym roku, przed Wielkanocą, w chwili naszych przygotowań do wyjazdu — w płynnym i mroźnym powietrzu kąpiącym kasztany i platany na bulwarze, drzewo na dziedzińcu w naszym domu rozchyliło już liście, niby w naczyniu pełnym czystej wody narcyzy, żonkile, anemony z Ponte Vecchio¹⁸⁰.

Ojciec powiedział nam, że wie już przez A. J., dokąd udaje się pan de Norpois, kiedy się go spotyka w naszym domu.

— Idzie do pani de Villeparisis; on z nią jest bardzo blisko, nic o tym nie wiedziałem. Zdaje się, że to przemiła osoba, niezwykła kobieta. Powinien byś jej złożyć wizytę — rzekł ojciec do mnie. — Zresztą Norpois zdziwił mnie bardzo, mówiąc o panu de Guermantes jak o człowieku bardzo dystyngowanym; zawsze go miałem za prostaka. Zdaje się, że on wie bardzo dużo, że ma wiele smaku, jest tylko bardzo pyszny ze swego nazwiska i ze swoich parantel. Ale zresztą (powiada Norpois) on ma olbrzymią sytuację, nie tylko tutaj, ale w całej Europie. Zdaje się, że cesarz austriacki i cesarz rosyjski traktują go całkiem jak przyjaciela. Stary Norpois powiedział mi, że pani de Villeparisis bardzo cię lubi i że poznałbyś w jej salonie interesujących ludzi. Bardzo mi cię chwalił. Spotkasz go u pani de Villeparisis: mógłby ci dać dobre rady, nawet choćbyś miał zostać literatem. Bo ja widzę, że z ciebie nie będzie nic innego. I to może być kariera; nie tego bym pragnął dla ciebie, ale staniesz się niebawem dorosłym mężczyzną, nie zawsze będziemy przy tobie, nie możemy ci bronić iść za swoim powołaniem.

Gdybym bodaj zdołał zacząć pisać! Ale jakiegokolwiek były okoliczności, w których chwyciłem się tego projektu (tak samo, niestety, jak postanowień nieużywania alkoholu, wczesnego spania, dbania o zdrowie), choćbym to czynił zapalczywie, metodycznie, z upojeniem, pozbawiając się spaceru, odkładając go i chowając go sobie jako nagrodę, korzystając z godziny dobrego stanu zdrowia, spożytkowując przymusową bezczynność

¹⁷⁹ „Intran” — popularny skrót dziennika „L’Intransigeant”. [przypis tłumacza]

¹⁸⁰ Ponte Vecchio (wł. Stary Most) — najstarszy z mostów Florencji, na rzece Arno. [przypis edytorski]

dnia choroby, rezultatem moich wysiłków była wciąż jedynie biała stronica nieskalana piórem, nieuchronna jak owa karta, którą wyciągamy niezmiennie w sztuce magicznej, w jaki bądź sposób stasowalibyśmy poprzednio talię. Byłem jedynie narzędziem nawyków niepracowania, niekładzenia się, niespania, które musiały się zrealizować na wspak wszystkiemu; jeżeli się im nie opierałem, jeżeli się zadowalałem następczym przez pierwszą lepszą okoliczność pretekstem, aby im zostawić swobodę działania, czyniłem to bez zbytnej szkody; i tak odpoczywałem kilka godzin pod koniec nocy, czytałem trochę, nie robiłem zbytnych ekscesów; ale jeżeli chciałem zadać gwałt tym nawykom, jeżeli się siliłem wcześniej położyć do łóżka, pić tylko wodę, pracować, rozdrażniało je to, posuwały się do ostateczności, wpędzały mnie w kompletną chorobę, musiałem zdwoić dawkę alkoholu, nie kładłem się do łóżka po dwa dni, nie mogłem już nawet czytać. Po czym postanawiałem sobie być na drugi raz mądrzejszym, to znaczy mniej rozsądnym, jak ofiara, która się pozwala okraść z obawy, aby w razie oporu nie zamordowano jej.

Wśród tego ojciec spotkał raz czy dwa pana de Guermantes; obecnie, odkąd mu pan de Norpois powiedział, że książę jest człowiekiem wybitnym, zwracał więcej uwagi na jego słowa. Właśnie mówili w dziedzińcu o pani de Villeparisis.

— Powiedział, że to jego ciotka; wymawia „Viparisi”. Mówi, że jest nadzwyczaj inteligentna. Dodał nawet, że ona ma „bureau d'esprit”¹⁸¹ — dodał ojciec, uderzony mglistością tego wyrażenia, które spotkał raz czy dwa w starych pamiętnikach, ale któremu nie umiał dać określonego sensu.

Matka miała dla ojca takie uwielbienie, iż widząc, iż ojciec nie jest obojętny na to, że pani de Villeparisis ma „bureau d'esprit”, uznała doniosłość tego faktu. Mimo iż od dawna wiedziała przez babkę, co warta jest margrabina, natychmiast nabrała o niej lepszego pojęcia. Babka, w tym czasie nieco cierpiąca, nie była zrazu zbyt przychylna wizycie, potem przestała się tym interesować. Od czasu jak mieszkaliśmy w nowym mieszkaniu, pani de Villeparisis zapraszała ją kilka razy; za każdym razem babka odpowiadała, że nie wychodzi obecnie z domu. Uderzył nas nowy i dość niezrozumiały dla nas obyczaj babki: nie zaklejała teraz żadnego listu, troskę o to zostawiając Franciszce. Co do mnie, nie dość jasno wyobrażając sobie to „bureau d'esprit”, nie byłbym bardzo zdziwiony, zastając starą damę z Balbec przy „biurku”, co też w istocie się zdarzyło.

Ojciec chciał ponadto upewnić się, czy poparcie ambasadora zapewni mu dużo głosów w Instytucie, gdzie zamierzał postawić swoją kandydaturę na członka-korespondenta. Prawdę rzekłszy, nie ośmielając się wątpić o poparciu pana de Norpois, nie był go jednakże całkiem pewny. Myślał, że to są plotki, kiedy mu w ministerstwie mówiono, że pan de Norpois pragnie w nim sam jeden reprezentować Instytut i że będzie na wszelkie możliwe sposoby przeszkadzał wyborowi ojca, bardzo mu zresztą nie na rękę w tej chwili, kiedy popiera inny wybór. Uderzyło natomiast ojca, kiedy pan Leroy-Beaulieu¹⁸² poradził mu zgłosić kandydaturę i rozważał jej widoki, że znakomity ekonomista nie wymienił pana de Norpois pośród kolegów, na których może liczyć w tej sprawie. Ojciec nie śmiał zapytać eks-ambasadora wprost, ale miał nadzieję, że ja wrócę od pani de Villeparisis z jego wyborem w kieszeni. Wizyta ta była nieuchronna. Poparcie pana de Norpois, zdolne w istocie zapewnić ojcu dwie trzecie Akademii, zdawało się zresztą tym prawdopodobniejsze, ile że uczynność ambasadora była przysłowiowa; nawet ci, co z nim najmniej sympatyzowali, uznawali, że nikt bardziej nie lubi oddać przysługi. A z drugiej strony w ministerstwie przychylność jego dla mojego ojca była o wiele wyraźniejsza niż w stosunku do jakiegokolwiek innego urzędnika.

Ojciec wspominał jeszcze o innym spotkaniu, ale to spotkanie wywołało jego zdumienie, a potem oburzenie. Minął na ulicy panią Sazerat; stosunkowa niezamożność tej damy uszczupliła jej życie paryskie do rzadkich pobyków u przyjaciółki. Towarzystwo pani de Sazerat nudziło ojca, tak że mama musiała raz do roku mówić mu słodkim i błagalnym głosem: „Mój drogi, muszę raz zaprosić panią de Sazerat; nie będzie siedziała długo”; a nawet: „Słuchaj, mam cię prosić o wielką ofiarę, zjazz na chwilę do pani Sazerat. Wiesz, że nie lubię cię męczyć, ale to byłoby tak grzecznie z twojej strony”. Ojciec śmiał się, gniewał się trochę i odrabiał tę wizytę. Mimo zatem iż nie przepadł za panią

¹⁸¹bureau d'esprit (fr.; dosł.: gabinet umysłu, ducha) — salon, w którym rozmawia się o sztuce, literaturze, nauce; innym znaczeniem słowa bureau jest biurko, rodzaj mebla. [przypis edytorski]

¹⁸²Leroy-Beaulieu, Pierre Paul (1843–1916) — francuski ekonomista. [przypis edytorski]

Sazerat, spotkawszy ją, podszedł do niej z przyjaznym ukłonem; ale ku jego zdumieniu pani Sazerat poprzestała na lodowatym skinieniu głową, jak gdyby wymuszonym przez grzeczność wobec kogoś, kto się dopuścił brzydkiego uczynku lub kto zmuszony jest obecnie żyć na drugiej półkuli. Ojciec wrócił zirytowany, zdumiony. Nazajutrz matka spotkała panią Sazerat w jakimś salonie; pani Sazerat nie podała jej ręki i uśmiechnęła się do niej blado i smutno, jak do osoby, z którą bawiliśmy się w dzieciństwie, ale z którą zerwaliśmy od tego czasu wszelkie stosunki, ponieważ prowadzi gorszące życie albo wyszła za mąż za kryminalistę lub, co jeszcze gorzej, za rozwodnika. Otóż dotąd rodzice moi zawsze odnosili się do pani Sazerat z głębokim szacunkiem i cieszyli się wzajemnym szacunkiem z jej strony. Ale (o czym matka nie wiedziała) pani Sazerat, jedyny egzemplarz tego gatunku w Combray, była dreyfusistką. Ojciec, przyjaciel pana Méline¹⁸³, był przeświadczony o winie Dreyfusa. Odprawił — i to bardzo cierpko — z niczym swoich kolegów, gdy go prosili o podpis na adresie¹⁸⁴ żądającym rewizji procesu. Nie mówił do mnie przez tydzień, kiedy się dowiedział, że ja mam inną orientację. Opinie ojca były znane. Uważano go niemal za nacjonalistę. Co się tyczy babki, która sama jedna w naszej rodzinie powinna by — zdawało się — płonąć szlachetnym wątpieniem, ta, ilekroć ktoś wspomniał o możebnej niewinności Dreyfusa, potrząsała głową ruchem (znaczenia tego ruchu nie rozumieliśmy wówczas) podobnym do gestu osoby, której zakłóca się poważniejsze myśli. Matka, rozdarta między swoją miłość do męża a nadzieję, że ja będę inteligentny, zachowywała brak decyzji wyrażający się milczeniem. Dziadek wreszcie, uwielbiający armię (mimo że obowiązki gwardzisty narodowego były zmorą jego męskich lat) niezdolny był ujrzeć w Combray pułku defilującego przed furką, aby nie odkryć głowy, kiedy przejeżdżał pułkownik, a za nim sztandar. Wszystko to wystarczało, aby pani Sazerat, znająca do głębi życie ojca i dziadka przeżyte pod znakiem bezinteresowności i honoru, uważała ich obu za podpory nieprawości. Przebacza się zbrodnie indywidualne, ale nie udział w zbrodni zbiorowej. Z chwilą gdy się pani Sazerat dowiedziała, że ojciec jest antydreyfusistą, rzuciła między nim a sobą całe łądy i wieki. Co tłumaczy, że na taką odległość w czasie i przestrzeni ukłon jej wydał się ojcu niedostrzegalny, jej zaś nie przyszło na myśl poprzec ukłonu uściskiem dłoni ani słowami niezdolnymi przebyć światów, które ich dzieliły.

¹⁸³Méline, Jules (1838–1925) — francuski polityk, premier Francji (1896–1898). [przypis edytorski]

¹⁸⁴adres (daw.) — pismo zbiorowe wystosowane do osoby wybitnej lub zajmującej wysokie stanowisko. [przypis edytorski]

CZĘŚĆ PIERWSZA, TOM DRUGI

Wybierając się do Paryża, Saint-Loup obiecał zaprowadzić mnie do pani de Villeparisis, gdzie, mimo iż nie zdradzając tego, miałem nadzieję spotkać panią de Guermantes. Zaprosił mnie na śniadanie ze swoją kochanką, którą odprowadzilibyśmy później do teatru na próbę. Mieliśmy się wybrać po nią rano w okolice Paryża, gdzie mieszkała.

Prosiłem Roberta, żeby zjeść śniadanie w restauracji (w życiu złotej młodzieży puszczającej pieniądze restauracja gra rolę równie ważną jak skrzynie z tkaninami w arabskich powieściach), gdzie Aimé, jak mi to oznajmił, miał pełnić obowiązki *maitre d'hôtel*¹⁸⁵ w oczekiwaniu sezonu w Balbec. Dla mnie, co marzyłem o tylu podróżach, a robiłem ich tak mało, wielki urok miało spotkanie człowieka, który stanowił częstkę już nie tylko moich wspomnień z Balbec, ale samego Balbec, który jeździł tam co rok, który, kiedy niedomaganie lub wykłady zatrzymywały mnie w Paryżu, oglądał mimo to w ciągu długich schyłków lipcowych popołudni, zanim goście zaczęły się schodzić na obiad, zachodzące i tonące w morzu słońce; patrzył na nie przez szklane tafle wielkiej jadalni, poza którymi, w porze gdy słońce gasło, nieruchome skrzydła dalekich i błękitnych statków robiły wrażenie egzotycznych motyli nocnych w witrynie. Kelner ten, sam namagnesowany przez swój kontakt z potężnym magnesem Balbec, stał się z kolei dla mnie magnesem. Spodziewałem się przez rozmowę z nim znaleźć się już niejako w styczności z Balbec, zakosztować na miejscu nieco czaru podróży.

Wyszedłem rano z domu, gdzie zostawiłem Franciszkę biadającą, ponieważ lokaj księżnej znowuż poprzedniego dnia nie mógł odwiedzić narzeczonej. Franciszka zastała go we łzach; o mało nie spoliczkował odźwiernego, ale się opanował, bo zależało mu na miejscu.

Zanim się spotkałem z Robertem, który miał mnie oczekiwać u siebie przed bramą, natknąłem się na pana Legrandin, którego straciliśmy z oczu od czasu Combray; mocno już szpakowaty, zachował w rysach coś młodego i serdecznego. Zatrzymał się:

— Ha, ha! — rzekł — widzę, że z pana cały elegant. W tużurku¹⁸⁶! Ten tużurek to liberia, z którą moja niepodległość nie umiałaby się pogodzić. Prawda, że z pana teraz człowiek światowy, chodzi pan z wizytami. Na to, aby pomarzyć, jak ja to czynię, nad jakimś wpół zniszczałym grobem, moja marynarka i mój fontaż wystarczą. Wie pan, jak cenię piękno pańskiej duszy; pojmuję pan, jak musi mnie boleć to, że pan idzie się jej zapierać między niewiernymi. Mogąc wytrzymać bodaj chwilę w dusznej atmosferze saloonów — którą nie umiałbym oddychać — ściga pan na swoją przyszłość klątwe Proroka. Zgaduję, widzę: bywa pan u ludzi czczych, u posiadaczy zamków i pałaców; oto klątwa dzisiejszej burżuazji. Och, ta arystokracja! Terror popełnił wielki błąd, że im wszystkim nie zdjął głów z karku. Wszystko lajdaki lub kretyni. Ale cóż, moje biedne dziecko, skoro to cię bawi! Podczas gdy ty spieszysz na jakiś *five o'clock*¹⁸⁷, twój stary przyjaciel będzie szczęśliwszy od ciebie; włócząc się samotnie po zaułkach miasta, będzie oglądał różowy księżyc na fioletowym niebie. To fakt, że ja na wpół tylko żyję na tej ziemi, gdzie czuję się wygnanym; trzeba całej mocy praw ciężenia, aby mnie na niej zatrzymać, abym się nie wymknął w inną sferę. Jestem z innej planety. Bywaj; nie bierz pan za złe staroświeckiej szczeroci wieśniaka znad Vivonne, który zachował prostotę wieśniaczą. Aby ci dowieść mojego szacunku, przyślę ci swoją ostatnią powieść. Ale to ci się nie będzie podobało; to nie dosyć zepsute, nie dosyć *fin de siecle*¹⁸⁸ dla ciebie; za szczerze, za uczciwie; tobie trzeba Bergotte'a, przyznałeś to sam, trzeba zapaszku zgnilizny na zblazowane podniebienia smakoszów. Muszą mnie uważać w pańskim kółku za weterana; popełniam ten błąd, że wkładam serce w to, co piszę, to już nie w modzie; przy tym życie ludu nie jest dość dystyngowane, aby mogło interesować wasze snobinetki. Do widzenia; staraj się wspomnieć od czasu do czasu słowa Chrystusa: „Czyń tak, a będziesz żył”. Bywaj, przyjacielu.

¹⁸⁵*maitre d'hôtel* (fr.) — szef służby hotelowej. [przypis edytorski]

¹⁸⁶tużurek (z fr.) — surdut codziennego użytku, popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

¹⁸⁷*five o'clock* (ang. dosł.: : godzina piąta) — spotkanie towarzyskie o piątej po południu, połączone z piciem herbaty; podwieczorek. [przypis edytorski]

¹⁸⁸*fin de siecle* (fr.) — koniec wieku; w historii sztuki i kultury europejskiej: ostatnie dziesięciolecie XIX w., cechujące się charakterystycznym poczuciem schyłkowości (dekadentyzmem), melancholii i katastrofizmu. [przypis edytorski]

Pożegnałem Legrandina bez zbytnej urazy. Pewne wspomnienia są niby wspólni przyjaciele, umieją nas godzić. Drewniany mostek wśród pól usianych jaskrami, grzebiących feudalne ruiny, łączył Legrandina i mnie niby dwa brzegi Vivonne.

Opuściliśmy Paryż, gdzie mimo zaczynającej się wiosny drzewa na bulwarach ledwie miały pierwsze liście; kiedy podmiejska kolej przeniosła mnie wraz z Robertem do pobliskiej wioski, gdzie mieszkała jego kochanka, z zachwytem ujrzałem ogródki strojne olbrzymimi białymi ołtarzami kwitnących drzew owocowych. Było to jak gdyby jakieś osobliwe, poetyczne, ulotne i lokalne święto, na które przyjeżdża się z bardzo daleka o stałych porach: ale to święto było dziełem natury. Kwiaty wiśni, tworząc niby białą pochwę, były tak ściśle przylepione do gałęzi, że z daleka, między drzewami zaledwie mającymi coś kwiatów i liści, zdawały się, w ów słoneczny dzień jeszcze tak zimny, niby śnieg, który stopniał gdzie indziej, a został jeszcze na drzewach. Ale wielkie grusze spowijały każdy dom, każdy skromny dziedziniec szerszą, jednolitszą, świetniejszą białą, tak jakby wszystkie domy, wszystkie zagrody tej wioski miały przystąpić tego samego dnia do pierwszej komunii.

Te sioła¹⁸⁹ w okolicach Paryża zachowują jeszcze u swoich wrót parki z XVII i XVIII wieku, kosztowne kaprysy finansistów i faworyt. Ogrodnik zużytkował jeden taki park, położony poniżej drogi, na szkółkę drzew owocowych (a może po prostu zachował rysunek olbrzymiego sadu z owych czasów). Posadzone w szachownice, mniej gęsto, grusze te, późniejsze od innych, tworzyły — podzielone niskimi murami — wielkie kwadraty białych kwiatów, z każdej strony odmiennie cieniowanych światłem, tak że wszystkie te powietrzne pokoje bez dachu robiły wrażenie salonów Pałacu Słońca, takiego, jaki można by odnaleźć kędyś na Krecie¹⁹⁰; przywodziły także na myśl przegrody rezerwuaru lub jakichś partii morza, które człowiek dzieli dla połowu lub hodowli ostryg, kiedy — zależnie od położenia — widziało się światło igrające na szpalerach niby na wodach wiosennych, rozpryskujące tu i ówdzie, migocącą pośród rzadkich i napełnionych lazurem sztachet — gałęzi — białą pianę rozslonecznionego i musującego kwecia.

Była to dawna wioska, ze swoim starym merostwem, ogorzałym i złocistym, przed którym, niby słupy szczęścia powiewające chorągiewkami, stały trzy wielkie grusze, dwornie wystrojone w biały atlas niby na świeckie i lokalne święto.

Nigdy Robert nie mówił czulej o swojej kochance niż podczas tej drogi. Ona jedna wypełniała jego serce; kariera wojskowa, wielki świat, rodzina, wszystko to nie było mu zapewne obojętne, ale nie liczyło się za nic wobec najmniejszego drobiazgu tyżącego jego kochanki. Była to jedyna rzecz mająca dlań urok; nieskończenie więcej uroku niż wszyscy Guermantowie i wszyscy królowie ziemi. Nie wiem, czy on to sobie mówił jasno, że ona jest istotą wyższą nad wszystko, ale to pewne, że cenił tylko to, dbał tylko o to, co się jej tyczyło. Przez nią był zdolny cierpieć, być szczęśliwym, może zabić. Naprawdę interesujące, pasjonujące było dlań tylko to, czego sobie życzyła i co robiła jego kochanka; tylko to, co się działo na wąskiej przestrzeni jej twarzy i pod jej uświęconym czołem, czytelne co najwyżej w ulotnym wyrazie. Saint-Loup, tak pełen honoru we wszystkim innym, rozważał perspektywę świetnego małżeństwa jedynie pod tym kątem, żeby móc nadal utrzymywać swoją kochankę, zachować ją. Gdyby się spytać, na ile on ją szacuje, sądzę, że niepodobna by sobie wyobrazić ceny dość wysokiej. Jeżeli się z nią nie żenił, to dlatego, że praktyczny zmysł mówił mu, iż z chwilą, kiedy by się już niczego nie spodziewała od niego, opuściłaby go, a przynajmniej żyłaby na własną rękę, i że trzeba ją trzymać nadzieją jutra. Bo Saint-Loup przypuszczał, że ona go może nie kocha. Bez wątpienia, ogólne uczucie zwane miłością musiało — jak zawsze dzieje się u mężczyzn — skłaniać go do wierzenia chwilami, że ona go kocha. Ale w praktyce czuł, że ta miłość nie zmienia faktu iż ona żyje z nim jedynie dla pieniędzy i że z chwilą kiedy się już nie będzie niczego spodziewała od niego, rzuci go (kochając go, ale będąc w tym ofiarą teorii swoich przyjaciół-literatów — myślał Saint-Loup).

¹⁸⁹sioła (daw.) — wieś. [przypis edytorski]

¹⁹⁰Pałacu Słońca, takiego, jaki można by odnaleźć kędyś na Krecie — na pocz. XX w. Arthur Evans odkrył w Knossos na Krecie ruiny wspaniałej budowli nieznannej wcześniej starożytnej cywilizacji, które nazwał pałacem Minosa, mitycznego króla Krety; żona Minosa, Pazyfae, była córką Heliosa, boga słońca. [przypis edytorski]

— Zrobię jej dziś, jeżeli będzie miła — rzekł Robert — prezent, który ją ucieszy. Naszyjnik, który widział u Boucheron¹⁹¹. Trzydzieści tysięcy franków: w tej chwili to trochę ciężko dla mnie. Ale pomyśl, to biedactwo niewiele ma radości w życiu. Ależ będzie kontenta! Wspominała mi o tym, mówiła, że zna kogoś, kto by jej może dał ten naszyjnik. Nie sądzę, aby to była prawda; ale na wszelki wypadek prosiłem Boucheron, który jest nadwornym jubilerem mojej rodziny, aby mi go zarezerwował. Szalenie się cieszę, że ty ją poznasz; nie jest szczególnie piękna, wiesz (widziałem, że Robert myśli wręcz przeciwnie i że mówi tak jedynie po to, aby zwiększyć mój podziw); jest zwłaszcza cudownie inteligentna; przy tobie nie będzie może śmiała dużo mówić, ale cieszę się z góry na to, co mi powie później o tobie; wiesz, ona mówi rzeczy, które można zgłębiać bez końca, ma doprawdy coś pytyjskiego¹⁹².

Aby dotrzeć do domu, gdzie mieszkała, przechodziliśmy koło małych ogródków; nie mogłem się wstrzymać, aby nie przystawać, bo tonęły w kwieciu wiśni i gruszy; puste z pewnością i niezamieszkałe wczoraj jeszcze, niby niewynajęta posiadłość, nagle zaludniły się i wypiękniały dzięki tym nowo przybyłym, których piękne białe suknie widniały poprzez sztachety.

— Słuchaj, ja widzę, że ty chcesz podziwiać to wszystko, poetyczna istoto — rzekł Robert — zaczekaj na mnie tutaj, moja mała mieszka tuż, pójdę po nią.

Czekając, przechadzałem się trochę między skromnymi ogródkami. Kiedym podniósł głowę, widziałem tu i ówdzie w oknach młode dziewczęta; równie młode pędy bżów, gibkie i lekkie w swoich świeżych sukienkach lila, zwisające wśród liści, kołysały się na wietrze, nie troszcząc się o przechodnia, wznoszącego oczy aż do pięterka ich zieleni. Poznawałem w nich fioletowe kłębki, narządzone u wejścia do parku pana Swanna — skoro się minie białą furtkę, w ciepłe wiosenne popołudnie — do cudnego prowincjonalnego haftu. Skierowałem się ścieżką wiodącą ku łące. Zimny wiatr dął jak w Combray; mimo to z thustej, wilgotnej i wiejskiej ziemi, która mogłaby się znajdować nad brzegiem Vivonne, wykwitła — punktualna jak cała gromada jej towarzyszek — wielka biała grusza, potrząsająca z uśmiechem swoim kwieciami. Kwiaty te, zmierzwiłone wiatrem, ale wyglansowane i posrebrzone promieniami słońca, tworzyły niby firankę zmaterializowanego i dotykającego światła.

Naraz Saint-Loup zjawił się w towarzystwie kochanki: i oto w tej kobiecie, która była dla niego wszystką miłością, wszystkim możebnym urokiem życia, w tej kobiecie, której istność, tajemniczo zamknięta w ciele niby w świętym tabernakulum, stanowiła przedmiot bez ustanku jeszcze bogaczony wyobraźnią mego przyjaciela, przedmiot, którego, czuł to — nigdy nie miał poznać, o który się wечно pytał siebie, czym ona jest sama w sobie, poza zasłoną spojrzeń i ciała, w tej kobiecie poznałem natychmiast „Rachele, kiedy Pan”, tę, co przed kilku laty — kobiety w tym świecie tak szybko zmieniają sytuację, o ile ją zmieniają! — mówiła do rajfurki¹⁹³: „Zatem jutro wieczór, jeżeli pani będzie mnie potrzebowała dla kogoś, pośle pani po mnie”.

I kiedy „posłano po nią” w istocie i kiedy się znalazła sama w pokoju z owym „kims”, wiedziała tak dobrze, czego się żąda od niej, że zamknąwszy drzwi na klucz — przez ostrożność przezornej kobiety lub rytualnym gestem — zaczynała się rozbierać, tak jak się robi u doktora przystępującego do auskultacji¹⁹⁴. Przerzywała tę czynność jedynie o tyle, o ile „ktoś”, nie lubiąc nagości, powiedział jej, że może zostać w koszuli; jak niektórzy lekarze, którzy, mając bardzo bystry słuch, a bojąc się, aby się chory nie zaziębił, przestają na słuchaniu oddechu i serca przez bieliznę. Całe życie, wszystkie myśli, cała przeszłość tej kobiety, wszyscy mężczyźni, do których mogła należeć, były dla mnie czymś tak obojętnym, że gdyby mi to opowiedziała, słuchałbym tylko przez grzeczność i ledwie bym słyszał; i oto czułem, że niepokój, cierpienie, miłość Roberta przyrosły do niej tak, że zrobiły z niej — z tego, co dla mnie było mechaniczną zabawką — przedmiot nieskoń-

¹⁹¹Boucheron — paryski sklep z luksusową biżuterią i zegarkami, zał. w 1858 przez Frédérica Boucheron (1830–1902). [przypis edytorski]

¹⁹²pytyjski — taki jak u Pytii; *Pytia*: kapłanka świątyni Apollina w Delfach w starożytnej Grecji, słynąca z niejasnych przepowiedni, które wygłaszała wśród dymów i oparów wydobywających się ze skalnej pieczary. [przypis edytorski]

¹⁹³rajfurka (daw.) — pośredniczka prostytucji; stręczycielka. [przypis edytorski]

¹⁹⁴auskultacja (med.) — osłuchiwanie; rodzaj badania lekarskiego polegającego na słuchaniu, zazwyczaj z pomocą specjalnej słuchawki, jak pracują narządy wewnętrzne (takie jak np. serce czy płuca). [przypis edytorski]

czonych cierpień, wręcz cenę istnienia. Widząc te dwa rozszczerzone czynniki (dlatego że znałem „Rachelę, kiedy Pan” z domu publicznego), pojmowałem, że wiele kobiet, dla których mężczyźni żyją, cierpią, zabijają się, mogą być same w sobie lub dla innych, tym, czym Rachela była dla mnie. Myśl, że ktoś może czuć bolesną ciekawość jej życia, zdumiewała mnie. Mógłbym opowiedzieć Robertowi wiele jej miłostek, które mi się zdawały czymś najobojętniejszym w świecie; a jakimż byłyby ciosem dla niego! I czegoż nie dał, aby się dowiedzieć o nich, i na próżno.

Pojmowałem, ile wyobraźnia ludzka może pomieścić w małym kawałku twarzy — jak u tej kobiety — jeżeli pierwsze jej poznanie nastąpiło w drodze wyobraźni; i na odwrót, na jak nędzne, pozbawione wszelkiej wartości i ceny składniki materialne może się rozłożyć to, co było celem tylu marzeń, jeżeli, przeciwnie, poznanie nastąpiło w drodze najtrywialniejszego faktu. Rozumiałem, że to, co mi się zdawało niewarte dwudziestu franków wówczas, gdy mi to ofiarowano za dwadzieścia franków w domu schadzek, gdzie ona była dla mnie jedynie kobietą chcącą zarobić dwadzieścia franków, że to może być warte więcej niż milion, niż rodzina, niż wszystkie dobra świata, jeżeli się zaczęło od wyrojenia w niej istoty nieznannej, niezwyklej, nieuchwytniej, nieujarzmionej. Bez wątplenia, i Robert, i ja, obaj widzieliśmy tę samą szczupłą twarz. Ale doszliśmy do niej dwiema przeciwnymi drogami, które nie zetkną się ze sobą nigdy, i nigdy nie ujrzymy tej samej jej strony. Tę twarz, z jej spojrzzeniami, uśmiechami, poruszeniami ust, ja poznałem z zewnątrz jako twarz byle jakiej kobiety, gotowej za dwadzieścia franków zrobić wszystko, co zechcę. Toteż spojrzzenia, uśmiechy, poruszenia ust wyrażały dla mnie jedynie akty ogólne, bez śladu czegoś indywidualnego, i nie byłbym ciekaw szukać w nich osoby. Ale to, co mnie poniekąd ofiarowano na wstępie, ta twarz gotowa do wszystkiego, było dla Roberta metą ostateczną, do której dążył poprzez ile nadziei, wątpliń, podejrzeń, marzeń! Dawał więcej niż milion, aby to posiadać, aby się nie dostało innym to, co mnie — jak każdemu — ofiarowano niegdyś za dwadzieścia franków. Że on tego nie dostał za tę cenę, mogło zależeć od przypadku chwili, chwili, w której ta, co zdawała się gotowa oddać, wymknie się, może mając schadzki, może z innego powodu, który każe się jej tego właśnie dnia opierać. Jeżeli ma do czynienia z naturą uczuciową, wówczas — nawet gdy tego nie spostrzeże, ale zwłaszcza gdy spostrzeże — zaczyna się straszliwa gra. Niezdolny strawić swego zawodu, wyrzec się tej kobiety, mężczyzna upędma się za nią, ona ucieka, tak że jeden uśmiech, którego nie śmiał się już spodziewać, kosztuje go tysiąc razy drożej, niżby powinno kosztować całkowite posiadanie. Jeżeli, łącząc naiwność z tchórzostwem wobec cierpienia, popełni ktoś to szaleństwo, aby uczynić z dziewczki niedostępne bóstwo, zdarza się nawet czasem w tym wypadku, że nie dostąpi nigdy tego posiadania, a nawet pierwszego pocałunku; nie śmie nawet już o niego prosić, aby nie zadać kłamstwa swoim zapewnieniom idealnej miłości. Cóż za cierpienie wówczas — umrzeć, nie dowiedziawszy się nigdy, czym mógł być pocałunek kobiety, którą się najbardziej kochało.

Saint-Loup zdołał szczęśliwie uzyskać wszystkie fawory Racheli. Z pewnością, gdyby wiedział teraz, że ofiarowywano je całemu światu za cenę jednego ludwika¹⁹⁵, byłby z pewnością straszliwie cierpiał, ale i tak dałby milion, aby je zachować, wszystko bowiem, czego by się dowiedział, nie zdołałoby go sprowadzić — bo to jest ponad siły człowieka i może się zdarzyć jedynie mocą jakiegoś wielkiego naturalnego prawa — z drogi, na której się znalazł i skąd ta twarz była mu widzialna jedynie poprzez jego marzenia; stąd te spojrzzenia, te uśmiechy, te drgnienia ust były jedyną rewelacją¹⁹⁶ osoby, której chciałby poznać prawdziwą istotę i sam jeden posiadać jej pragnienia. Nieruchomość tej wąskiej twarzy, niby ćwiartki papieru poddanej kolosalnemu ciśnieniu dwóch atmosfer, zdawała mi się zrównoważona dwiema nieskończonościami, które schodziły się na niej, nie stykając się, bo ona je rozdzielała. I w istocie, patrząc na nią, każdy z nas dwu widział ją po innej stronie tajemnicy.

I nie „Rachela, kiedy Pan” wydawała mi się czymś drobnym; raczej czymś ogromnym wydawała mi się potęga ludzkiej wyobraźni, złudzenie, na jakim się opierają cierpienia miłości. Robert ujrzał, że jestem wzruszony. Odwróciłem oczy ku gruszom i wiśniom, aby myślał, że to ich piękność mnie wzrusza. I wzruszała mnie po trosze w ten sam sposób;

¹⁹⁵ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

¹⁹⁶rewelacja — tu: objawienie, wyjawienie; odkrycie. [przypis edytorski]

objawiała mi również coś, co się nie tylko widzi oczami, ale czuje sercem. Kiedy widziałem te drzewa w ogrodzie i wziąłem je za cudzoziemskich bogów, czyż nie pomyliłem się jak Magdalena, kiedy — w innym ogrodzie, w dniu, którego rocznica miała niebawem nadejść — ujrzała postać ludzką i „myślała, że to ogrodnik”¹⁹⁷? Stróże wspomnień złotego wieku, piastuny obietnicy, że rzeczywistość nie jest tym, co się mniema, że przepych poezji, że cudny blask niewinności mogą w niej błyszczeć i mogą się stać nagrodą, na którą będziemy się starali zasłużyć, wielkie białe istoty cudownie pochylone nad cieniem zapraszającym do odpoczynku, do rybołówstwa, do lektury — czyż to nie były raczej anioły?

Wymieniłem kilka słów z kochanką Roberta. Poszliśmy na przełaj przez wieś. Domy były niechlujne. Ale obok najędzniejszych, tych, co robiły wrażenie jakby spalonych deszczem siarki¹⁹⁸, tajemniczy podróżny, zatrzymawszy się przez jeden dzień w przeklętym mieście, błyszczący anioł stał prosto, rozpościerając nad nim olśniewającą opiekę kwiatnych skrzydeł niewinności: to była grusza.

Saint-Loup wysunął się ze mną trochę naprzód.

— Byłbym wolał czekać tu we dwójkę z tobą, wolałbym nawet zjeść śniadanie z tobą samym i żebyśmy zostali sami do chwili, kiedy będzie czas iść do ciotki. Ale dla mojej biednej małej to jest taka przyjemność i ona taka jest milusia dla mnie, że rozumiesz, nie mogłem jej tego odmówić. Zresztą ona ci się spodoba; to dusza literacka, krzak gorejący; i to takie zabawne być z nią na śniadaniu w restauracji, jest taka miła, taka prosta, zawsze kontenta ze wszystkiego.

Ale mam wrażenie, że właśnie tego rana, i prawdopodobnie jedyny raz, Robert wyzwolił się na chwilę od kobiety, którą — siłą tkliwości — stworzył sobie powoli, i że nagle, na pewien dystans od siebie, ujrzał inną Rachelę, duplikat tamtej, ale absolutnie różny i ludzko podobny do przeciętnej kokotki¹⁹⁹. Opuściwszy piękny sad, mieliśmy wsiąść do pociągu, aby wracać do Paryża, kiedy idącą o kilka kroków przed nami Rachelę poznały i przywitały pospolite „pulki” — takie, jaką była ona — które, myśląc zrazu, że jest sama, zaczęły wołać: „O, Rachelu, siadaj z nami, Lucy i Zużu są w wagonie, jest właśnie miejsce, chodź, pójdziemy potem na *skating*”²⁰⁰. I już miały jej przedstawić dwóch subiektów²⁰¹, swoich kochanków, którzy im towarzyszyli, kiedy pod wpływem zakłopotanej miny Racheli spojrzały ciekawie nieco dalej, spostrzegły nas i pożegnały ją, przepaszając. Rachelu odpowiedziała również pożegnaniem, trochę nieswojo, ale przyjaźnie. Były to dwie biedne podfruwajki, w kołnierzach z fałszywej wydry, wyglądające mniej więcej tak, jak Rachelu, kiedy Saint-Loup spotkał ją po raz pierwszy. Nie znał ich z widzenia ani z nazwiska; ale widząc ich wyraźną zażyłość z jego „małą”, pomyślał, że Rachelu miała może miejsce — może je ma jeszcze — w życiu przez niego niepodejrzewanym, bardzo różnym od tego, jakie on pędził; w życiu, w którym kobietę ma się za jednego ludwika, gdy on dawał Racheli więcej niż sto tysięcy rocznie. Nie tylko ujrzał przelotnie to życie, ale zarazem ujrzał w nim Rachelę całkiem inną od tej, którą znał, Rachelę podobną do dwóch małych „pulek”, Rachelę za dwadzieścia franków. W rezultacie Rachelu rozdzieliła się na chwilę dla niego; w pewnej odległości od swojej Racheli ujrzał Rachelę małą „pulkę”, Rachelę rzeczywistą, o ile przyjąć, że Rachelu-„pulka” była rzeczywistsza od tamtej. Przyszło mu wówczas może na myśl, że z tego piekła, w którym żył, z perspektywą i koniecznością bogatego małżeństwa, sprzedaży nazwiska, po to aby móc nadal dawać Racheli sto tysięcy franków rocznie, mógłby się może łatwo wyrwać i mieć wszystko od swojej kochanki, jak owi subiektki od tych kokotek, za byle co. Ale jak to zrobić? Nie zawiniła w niczym. Mniej obsypywana darami, byłaby mniej serdeczna, nie mówiłaby mu, nie pisała rzeczy, które go tak wzruszały i które cytował z pewną ostentacją swoim kolegom, podkreślając z naciskiem jej czułość, ale przemilczając, że ją utrzymuje bogato, a nawet że jej w ogóle daje cośkolwiek; że te fotografie z dedykacjami

¹⁹⁷Magdalena (...) w innym ogrodzie (...) „myślała, że to ogrodnik” — w *Ewangelii wg Jana* płacząca przed grobem Maria Magdalena, nie wiedząc o zmartwychwstaniu Jezusa, początkowo uznała go za ogrodnika (J 20, 11–15). [przypis edytorski]

¹⁹⁸spalonych deszczem siarki — tak jak biblijne miasta Sodom i Gomora, zniszczone deszczem ognia i siarki przez Boga za niegodziwość i złamanie prawa gościnności wobec podróżnych-aniołów. [przypis edytorski]

¹⁹⁹kokotka a. kokota — kobieta lekkich obyczajów; prostytutka. [przypis edytorski]

²⁰⁰skating (ang.) — łyżwiarstwo. [przypis edytorski]

²⁰¹subiektki (przest.) — sprzedawca, sklepikarz. [przypis edytorski]

i te czule telegramy reprezentują sto tysięcy franków zagęszczone do swojej najwięźlejszej i najszacowniejszej formy. Jeżeli Saint-Loup zatajał fakt, że te skąpe czułości Racheli są przez niego opłacane, fałszem byłoby — mimo iż symplicystyczne²⁰² rozumowanie robi to w stosunku do wszystkich płacących kochanków, w stosunku do tylu mężów — powiedzieć, że on to czyni przez miłość własną, przez próżność. Saint-Loup był na tyle inteligentny, aby pojąć, że wszystkie rozkosze próżności znalazłby łatwo i darmo w swoim świecie dzięki swemu nazwisku i urodzie i że, przeciwnie, właśnie jego stosunek z Rachelą wytrącił go po trosze ze „świata”, zdeprecjonował go na giełdzie towarzyskiej. Nie, ambicja uchodzenia za posiadacza gratis oznak czułości tej, którą się kocha, to po prostu uboczny produkt miłości, potrzeba wmówienia w siebie i w drugich wzajemności istoty tak bardzo ukochanej.

Rachela zbliżyła się do nas, pozwalając dwóm podfruwajkom wsiąść do ich przedziału; mimo to zarówno fałszywa wydra „pulek” i naburmuszona mina subiektów, jak imiona Lucy i Żużu, przedłużyły na moment istnienie nowej Racheli. Przez chwilę Robert wyobraził sobie plac Pigalle²⁰³, nieznanych przyjaciół, plugawe miłostki, naiwne rozrywki popołudniowe, spacerory lub zabawy, w owym Paryżu, gdzie usłonecznienie ulic, poczawszy od bulwaru Clichy, wydawało mu się nie to samo co słoneczna jasność, w której przechadzał się z kochanką; ale że musi być inne, bo miłość i zrosnięte z nią cierpienie mają, tak jak pijaństwo, moc różnicowania przedmiotów. Podejrzał w samym Paryżu jakiś nieznaną Paryż; jego stosunek z Rachelą wydał mu się niby zwiedzanie dziwnego życia; o ile bowiem, będąc z nim, Rachela była trochę podobna do niego samego, przeżywała z nim przecież część swego realnego życia, ba, najcenniejszą dzięki szalonym sumom, jakie jej dawał; część życia, która budziła zazdrość jej przyjaciółek i miała jej kiedyś pozwolić osiąść na wsi lub pokusić się o wielką karierę teatralną po uciułaniu okrągłej sumki.

Robert byłby chciał spytać Racheli, kto to są te Lucy i Żużu; o czym byłyby z nią mówiły, gdyby wsiadła do ich przedziału, na czym byłyby razem spędziły dzień, zakończony może — jako szczyt zabawy, po rozkoszach *skatingu* — w „Taverne Olympia”²⁰⁴, gdyby mnie i Roberta nie było. Przez chwilę tajemnice tego lokalu, dotąd żałośnie nudne, obudziły jego ciekawość; cierpienie jego oraz słońce tego wiosennego dnia oświeciły ulicę Caumartin, dokąd — gdyby nie poznała Roberta — Rachela poszłaby może teraz, aby zarobić ludwika. Uczuł skurcz serca. Ale na co zadawać pytania, kiedy wiedział z góry, że odpowiedzią będzie proste milczenie albo kłamstwo, albo coś bardzo przykrego dla niego, co mu jednak niczego nie wyjaśni.

Konduktorzy zamykali drzwiczki. Wsiadliśmy do pierwszej klasy: cudowne perły Racheli znów przekonały Roberta, że to jest kobieta wielkiej ceny. Uściskał ją, przyjął ją z powrotem w serce, gdzie się jej przyjrzał, uwewnętrznionej, tak jak to zawsze robił dotąd — z wyjątkiem tej krótkiej chwili, gdy ją ujrzał na placu Pigalle z obrazu impresjonisty i pociąg ruszył.

To była zresztą prawda, że ona była „literacka”. Bez przerwy mówiła do mnie o książkach, o nowej sztuce, o tołstoizmie²⁰⁵; przerwała sobie jedynie, aby wyrzucać Robertowi, że pije za dużo wina.

— Och, gdybyś ty mógł żyć przez rok ze mną, zobaczyłbyś, dawałabym ci pić samą wodę i miewałbyś się o wiele lepiej.

— Doskonale, jedźmy gdzieś.

— Wiesz przecie, że ja mam dużo pracy (brała serio swój talent dramatyczny). Zresztą, co by powiedziała twoja rodzina?

I rozwiodła się przede mną na temat jego rodziny w zarzutach, które mi się wydawały nader słuszne i które Saint-Loup — oporny na punkcie szampana — całkowicie uznawał. Ja, który się tak obawiałem dla Roberta wina i który czułem dobry wpływ jego kochanki,

²⁰² *symplicystyczny* a. *symplicyfikujący* (z łac.) — nadmiernie uproszczający i spłycający. [przypis edytorski]

²⁰³ *plac Pigalle* — plac w Paryżu; na przełomie XIX i XX w. plac i otaczające go ulice stały się dzielnicą pracowni malarskich i kawiarni literackich. [przypis edytorski]

²⁰⁴ *Taverne Olympia* — popularny nocny lokal przy paryskiej sali music-hallowej Olympia. [przypis edytorski]

²⁰⁵ *tołstoizm* — ruch społeczno-religijny powstały pod wpływem poglądów filozoficzno-religijnych Lwa Tołstoja (1828–1910), rosyjskiego prozaika, dramaturga i myśliciela, który głosił doktrynę „niesprzeciwiania się złu przemocą”, potrzebę odnowienia moralnego i powrotu do natury. [przypis edytorski]

byłem już gotów radzić mu, aby posłał w diabły rodzinę. Łzy nabiegły do oczu młodej kobiecie, kiedy niebacznie poruszył temat Dreyfusa.

— Biedny męczennik — rzekła, wstrzymując łkanie — oni go tam uśmiercą.

— Uspokój się, Zizi; wróci, będzie uniewinniony, prawda wyjdzie na wierzch.

— Do tego czasu on umrze! Ale bodaj jego dzieci będą nosiły nazwisko bez zmyzy. Myśl o tym, ile on musi cierpieć, zabija mnie po prostu! I czy pan sobie wyobrazi, matka Roberta, kobieta nabożna, powiada, że powinni go trzymać na Diablej Wyspie, nawet jeżeli jest niewinny. Czy to nie ohyda?

— Tak, to najściślejsza prawda; mówi tak — rzekł Robert. — To moja matka, nie mam prawa jej sądzić; ale to pewne, że ona nie ma serca takiego jak Zizi.

W rzeczywistości te śniadania, „takie milusie”, kończyły się zawsze nader burzliwie. Z chwilą bowiem gdy Saint-Loup znalazł się z kochanką w jakimś lokalu, wyobrażał sobie, że ona patrzy na wszystkich mężczyzn, robił się ponury, ona widziała jego zły humor, który może dla zabawy podsycala, ale którego, jeszcze prawdopodobniej, przez głupią ambicję, zraniona jego tonem, nie chciała ułagodzić; udawała, że nie spuszcza oczu z jakiegoś mężczyzny, zresztą nie zawsze dla czystej zabawki. W istocie niech tylko zdarzył się jakiś przystojny sąsiad w teatrze lub kawiarni lub nawet prosty dorożkarz, Robert, ostrzeżony natychmiast przez swoją zazdrość, spostrzegał to wcześniej od Racheli; natychmiast widział w nim jednego z owych potworów, o których mówił mi w Balbec, co dla rozrywki deprawują i hańbią kobiety; błagał kochankę, aby nie patrzyła na tego osobnika i tym samym zwracał na niego jej uwagę. Otóż czasami Rachela znajdowała, że Robert ma wcale dobry gust w swoich podejrzeniach; przestawała go nawet drażnić, iżby się uspokoił, i wyprawiała go z jakimś zleceniem, aby zyskać czas na wymienienie kilku słów z nieznanym, często na umówienie schadzki, czasem nawet na zaspokojenie naprędce kaprysu.

Ledwieśmy weszli do restauracji, ujrzałem, że Robert jest chmurny. Bo też Saint-Loup zauważył natychmiast (co uszło naszej uwagi w Balbec), że na tle swoich pospolitych kolegów Aimé, ze swoją skromną dystynkcją, ma — bardzo mimo woli — coś romantycznego, co promieniuje przez pewną ilość lat z puszystych włosów i greckiego nosa, a co wyróżniało z ciżby innych służebników. Ci, prawie wszyscy niemłodzi, odznaczali się osobliwą brzydota mającą coś obłudnie księżego, coś z obleśnych spowiedników, częściej coś z dawnych komików, których czoła w kształcie głowy cukru spotyka się już tylko w pokątnie historycznym *foyer*²⁰⁶ niemodnych teatryków, gdzie ich uwieczniono w rolach sługusów lub arcykapłanów. Restauracja ta, dzięki specjalnemu doborowi, a może dzięki systemowi dziedzicznej nominacji, przechowała te uroczyście typy niby kolegium augurów²⁰⁷. Na nieszczęście Aimé poznał nas, wskutek czego on przyjął od nas zamówienie, gdy orszak operetkowych arcykapłanów odpłynął ku innym stolikom. Aimé spytał mnie o zdrowie babki, ja spytałem go o żonę i dzieci. Odpowiedział ze wzruszeniem, bo miał kult życia rodzinnego. Robił wrażenie człowieka inteligentnego, energicznego, ale w granicach szacunku. Kochanka Roberta zaczęła mu się przyglądać z nadzwyczajną uwagą. Ale zapadłe oczy kelnera, którym lekka krótkowzroczność dawała wyraz skrytej głębi, nie zdradziły żadnego wrażenia w jego nieruchomej twarzy. W prowincjonalnym hotelu, gdzie Aimé służył wiele lat, zanim przybył do Balbec, ładny — teraz nieco poźółkły i zmęczony — zarys jego twarzy, którą przez tyle lat, niby sztych przedstawiający księcia Eugeniusza²⁰⁸, widziało się zawsze na tym samym miejscu w prawie zawsze pustej jadalni, nie musiał ściągać zbyt ciekawych spojrzeń. Długo tedy — zapewne z braku znawców — Aimé pozostał nieświadom artystycznych walorów swojej twarzy, mało zresztą skłonny do ściągnięcia na nią uwagi, bo był temperamentu chłodnego. Co najwyżej jakaś przejezdna paryżanka, zatrzymawszy się przypadkiem w mieście, podniosła na niego oczy, poprosiła go może, aby przyszedł pomóc jej przed odjazdem zapakować rzeczy i w przezroczyściej,

²⁰⁶*foyer* — pomieszczenie obok sali teatralnej, w którym w czasie przerw gromadzi się publiczność. [przypis edytorski]

²⁰⁷*kolegium augurów* — w starożytnym Rzymie: kolegium wybieranych dożywotnio kapłanów zajmujących się odczytywaniem wróżb z lotu ptaków drapieżnych. [przypis edytorski]

²⁰⁸*Eugeniusz Sabaudzki* (1663–1736) — książę Sabaudii (w pld.-wsch. Francji), wybitny dowódca cesarskich wojsk austriackich. [przypis edytorski]

jednostajnej i głębokiej pustce tej egzystencji dobrego męża i prowincjonalnego sługi, zagrzebała sekret kaprysu bez jutra, którego nikt nie miał nigdy odkryć.

Mimo to Aimé musiał spostrzec wytrwałość, z jaką oczy młodej artystki spoczywały na nim. W każdym razie nie uszła ta wytrwałość uwagi Roberta, na którego twarzy widziałem gromadzący się rumieniec, nie ów żywy rumieniec, który go oblewał purpurą w chwili gwałtownego wzruszenia, ale słaby, rozproszony.

— Czy ten kelner jest bardzo zajmujący, Zizi? — spytał Racheli, oddaliwszy Aimégo dość gwałtownie. — Można by przypuszczać, że ty zamierzasz robić jego portret.

— Zaczyna się, byłam tego pewna!

— Ale co się zaczyna, małeńka? Jeżeli nie mam racji, cofam wszystko, nic nie powiedziałem. Ale mam przecie prawo cię ostrzec przed tym famulusem²⁰⁹, którego znam z Balbec (inaczej kpilbym sobie z tego) i który jest jednym z największych łajdaków, jakich święta ziemia nosiła.

Zdawało się, że Rachela ustępuje Robertowi; zapuściła się ze mną w rozmowę literacką, do której i on się wmieszał. Nie nudziłem się z nią, bo знаła wybornie utwory, które podziwiałem i dzieliła mniej więcej moje sądy; że jednak słyszałem od pani de Villeparisis, iż ona nie ma talentu, nie przywiązywałem do tej kultury wielkiej wagi. Poruszała zręcznie tysiąc tematów i byłaby naprawdę miła, gdyby nie przejęła drażniącej gwary kapliczek i pracowni. Rozciągała zresztą tę gwarę na wszystko; przywykłszy na przykład mówić o obrazie (jeżeli był impresjonistyczny) albo o operze (jeżeli była wagnerowska): „Och, to silne”, jednego dnia, kiedy młody człowiek pocałował ją za ucho i, pogłaskany jej udanym dreszczem, robił skromnego, ona rzekła: „Owszem, jako wrażenie, uważam, że to było silne”. Ale zwłaszcza dziwiło mnie, że ona używa przy Robertcie jego wyrażen (których Robert nabył może od znajomych jej literatów), a Robert jej wyrażen przy niej; czynili to tak, jakby to był język obowiązujący, nie zdając sobie sprawy z ubóstwa oryginalności wspólnej wszystkim.

Jedząc, Rachela manipulowała bardzo niezdarnie rękami, tak iż można było wnosić, że i na scenie musi być dosyć niezręczna. Zwinność odnajdywała jedynie w miłości, przez tę wzruszającą prawiedzę kobiet, które tak kochają ciało mężczyzny, że od pierwszego razu zgadują, co sprawi największą przyjemność temu ciału, mimo iż tak różnemu od ich własnego.

Przestałem brać udział w rozmowie, kiedy zaczęto mówić o teatrze, bo na tym punkcie Rachela była zbyt zjadliwa. Podjęła co prawda, współczującym tonem, obronę Bermy przeciw Robertowi, co dowodziło, że ją często atakowała wobec niego. Rachela mówiła:

— Och, nie, nie! to jest niezwykła kobieta. Oczywiście to, co ona robi, nie wzrusza nas już; nie odpowiada zupełnie temu, czego dziś szukamy; ale trzeba ją brać w momencie, gdy się zjawiała, zawdzięcza się jej wiele. Ona robiła rzeczy mocne, wiesz! A przy tym to taka dzielna kobieta, wielkie serce; nie kocha oczywiście tych rzeczy, które nas pasjonują, ale przy dosyć wyrazistej twarzy miała ładny gatunek inteligencji. (Palce niejednako towarzyszą wszystkim sądom estetycznym. Gdy chodzi o malarstwo, aby pokazać, że coś jest tego namalowane, szeroko machnięte, wystarczy wystawić wielki palec. Ale „ładny gatunek inteligencji” jest bardziej wymagający; trzeba mu dwóch palców, lub raczej dwóch paznokci, tak jakby się strzepywało kurz).

Ale poza tym jednym wyjątkiem kochanka Roberta mówiła o najbardziej znanych artystach tonem ironii i wyższości, który mnie drażnił, bo sądziłem — mylnie zresztą — że to ona do nich nie dorasta. Ona spostrzegła wybornie, że ja muszę ją uważać za miernotę, a że, przeciwnie, wysoko cenię tych, którymi ona gardzi. Ale nie uraziło jej to, bo w wielkim talencie nieuznanym jeszcze, jak u niej, choćby nawet był najpewniejszy samego siebie, istnieje pewna pokora: względy, jakich żądamy, dawkujemy nie wedle naszych darów, ale według zdobytej sytuacji. (W godzinę później miałem ujrzeć w teatrze Rachelę okazującą wiele szacunku tym samym artystom, o których wyrażała się tak ujemnie). Toteż chociaż moje milczenie nie mogło jej zostawić wątpliwości, nalegała mimo to, abyśmy zjedli obiad razem, zapewniając, że w niczym towarzystwie nie bawiła się tak dobrze jak w moim. O ile nie byliśmy jeszcze w teatrze, dokąd mieliśmy iść po śniadaniu, można by rzec, że jesteśmy w *foyer* strojnym w portrety starej gwardii

²⁰⁹*famulus* (daw., z łac.) — służący. [przypis edytorski]

aktorskiej, tak dalece kelnerzy mieli owe fizjonomie, które wydają się stracone wraz z całą generacją świetnych artystów Palais-Royal. Stojąc przed bufetem, wyglądali także na Akademików: jeden oglądał gruszki z twarzą, jaką mógłby mieć pan de Jussieu²¹⁰ i z jego bezinteresownym zaciekawieniem; inni obok niego rzucali na salę spojrzenia nacechowane ciekawością i chłodem, jakimi znakomici członkowie Instytutu mierzą publiczność, wymieniając równocześnie po cichu parę słów. Były to twarze sławne wśród bywalców lokalu; ale pokazywano sobie jednego nowego z rubinowym nosem i obłudną wargą, z miną kleszą; ten funkcjonował tutaj po raz pierwszy, toteż wszyscy patrzyli z zainteresowaniem na nowego wybrańca. Niebawem, może dlatego aby wyprawić Roberta i zostać sama z Aimém, Rachela zaczęła robić oko do młodego kantorowicza, który jadł śniadanie z przyjacielem przy sąsiednim stoliku.

— Zizi, prosiłbym cię, abys nie patrzyła na tego faceta w ten sposób — rzekł Saint-Loup, na którego twarzy przelotne rumieńce skupiły się w krwawą chmurę, wzbierającą w pociemniałych i napiętych rysach mego przyjaciela. — Jeżeli masz z nas robić widowisko, wolę zjeść śniadanie osobno i poczekać na ciebie w teatrze.

W tej chwili oznajmiono, że jakiś pan prosi, aby Aimé wyszedł do niego do powozu, że ma mu coś do powiedzenia. Saint-Loup, zawsze niespokojny i drżący, czy nie chodzi o jakąś pocztę miłosną dla jego kochanki, spojrzął w okno i ujrzał w głębi powozu, z rękami w białych rękawiczkach z czarnymi wyszyciami, z kwiatem w butonierce, pana de Charlus.

— Widzisz — rzekł do mnie z cicha — rodzinka ściga mnie aż tutaj. Proszę cię, bo ja nie mogę, ale skoro ty znasz dobrze kelnera, który nas z pewnością sprzeda, poproś go, aby nie szedł do powozu. Niech bodaj idzie garson, który mnie nie zna. Jeżeli powie wujowi, że mnie tu nie znają, wiem, jaki on jest, nie wejdzie do środka sprawdzać, on nie cierpi takich lokali. Ale powiedz, czy to nie jest obrzydliwe, żeby taki stary dziwkarz, wciąż jeszcze upędzający się za spódnicami, dawał mi wiecznie nauki i szpiegował mnie!

Aimé, otrzymawszy moje wskazówki, posłał jednego ze swoich pomocników z oznajmieniem, że on sam nie może podejść; gdyby się zaś pytano o margrabiego de Saint-Loup, kazał powiedzieć że go tu nie znają. Niebawem powóz odjechał. Ale Rachela, która nie słyszała tego, cośmy sobie szepotali, i myślała, że chodzi o młodego człowieka, do którego Robert zabronił jej robić oko, wybuchnęła obelgami.

— A to dobre! Więc teraz ten młody człowiek! Dobrze robisz, żeś mnie uprzedził; rozkoszna rzecz śniadanie w takich warunkach! Niech się pan nie zajmuje tym, co on mówi, on jest trochę wstawiony; a zresztą — dodała, obracając się do mnie — on tak mówi, bo myśli, że to jest szyk, że to jest w wielkim stylu takie sceny zazdrości.

I zaczęła rękami i nogami dawać wyraz swemu zdenerwowaniu.

— Ależ, Zizi, to ja mogę być zirytowany. Ośmieszasz nas w oczach tego pana, który będzie przekonany, że ty go kokietujesz, a który wygląda na figurę spod najciemniejszej gwiazdy.

— Mnie, przeciwnie, bardzo się podoba; po pierwsze, ma cudowne oczy, do tego umie patrzeć na kobiety; czuć, że je musi kochać.

— Milcz przynajmniej, póki ja nie wyjdę. Tyś zupełnie oszalała! — krzyknął Robert. — Garson, moje rzeczy.

Nie wiedziałem, czy mam iść za nim.

— Nie, chcę być sam — rzekł do mnie tym samym tonem, jakim przed chwilą mówił do swojej kochanki i tak jakby był na mnie wściekły. Gniew jego był niby wspólna fraza, dająca w operze melodię kilku replikom zupełnie różniącym się w librecie od siebie sensem i charakterem, ale złączonym przez muzykę w jednym uczuciu. Kiedy Robert odszedł, Rachela wezwała Aimégo, prosząc go o różne informacje. Spytała mnie potem, jak mi się on wydaje.

— Ma zabawne spojrzenie, prawda? Rozumie pan, mnie by bawiło wiedzieć, co on może myśleć, mieć go przy sobie do usługi, zabrać go z sobą w podróż. Ale nie więcej. Gdyby się trzeba było kochać z każdym mężczyzną, który się nam podoba, to byłoby

²¹⁰Jussieu, Bernard de (1699–1777) — francuski botanik, należący do rodziny znanych botaników; założyciel ogrodu botanicznego w Trianon koło Wersalu. [przypis edytorski]

w gruncie dosyć okropne. Robert niepotrzebnie nabija sobie głowę. Wszystko to jest u mnie czysto cerebralne²¹¹, Robert powinien by być bardzo spokojny.

Patrzyła wciąż na Aimégo.

— O, niech pan patrzy na te jego czarne oczy, chciałabym wiedzieć, co tam w nich siedzi.

Niebawem oznajmiono Racheli, że Saint-Loup prosi ją do separatki, dokąd udał się innym wejściem, aby dokończyć śniadania, nie przechodząc przez restaurację. Znalazłem się nagle sam, potem Robert kazał mnie zawołać. Zostałem Rachelę wyciągniętą na sofie, śmiejącą się pod jego pocałunkami i pieszczotami. Pili szampana. „Serwus, ty!” — rzekła do niego, bo nauczyła się świeżo tej formuły, która się jej wydawała ostatnim słowem pieszczoty i dowcipu. Źle się jakoś czułem i, niezależnie od perory Legrandina, ze smutkiem myślałem, że zacząłem to pierwsze wiosenne popołudnie w separatce, a skończę je za kulisami. Spojrzawszy na zegarek, aby sprawdzić, czy się nie spóźni, Rachela naląła mi szampana, poczęstowała mnie egipskim papierosem i odpięła dla mnie różę od stanika. Wówczas powiedziałem sobie: „Nie trzeba zbyt żałować dnia; godziny spędzone z tą młodą kobietą nie są stracone, skoro dzięki niej mam tę uroczą rzecz, której nie można opłacić zbyt drogo: różę, wonnego papierosa, kubek szampana”. Mówiłem to sobie, bo zdawało mi się, że w ten sposób daję owym godzinom nudy charakter estetyczny i tym samym usprawiedliwiam je. Może powinienem był myśleć, że sama potrzeba argumentu dla pocieszenia się w mojej nudzie starczy za dowód, że nie odczuwam nic estetycznego.

Co się tyczy Roberta i jego kochanki, robili wrażenie, że wcale nie pamiętają swojej świeżej sprzeczki ani tego, że ja byłem jej świadkiem. Nie robili do niej żadnej aluzji, nie szukali żadnego usprawiedliwienia, tak samo jak dla kontrastu, który z nią tworzyło obecne ich zachowanie się. Dojąc z nimi szampana, odczuwałem coś niby pijaństwo z Rivebelle, mimo iż zapewne nie było to to samo. Nie tylko każdy rodzaj pijaństwa — ale każdy stopień pijaństwa (który powinien mieć odmienną „kotę”, jak te, co oznaczają głębokość morza) obnaża w nas specjalnego człowieka, ściśle w tej głębokości, w jakiej się znajduje. Gabinet, gdzie siedzieliśmy, był mały, ale jedyne lustro, które go zdobiło, umieszczone było w ten sposób, że zdawało się odbijać trzydzieści innych w perspektywie bez końca; a lampka elektryczna umieszczona na szczycie ramy, wieczorem, kiedy była zapalona, musiała wraz z procesją trzydziestu podobnych do niej odbić dawać pijakowi, nawet samotnemu, wrażenie, że przestrzeń dokoła niego mnoży się równocześnie z jego wrażeniami podsyconymi pijaństwem i że, zamknięty w tej salce, panuje nad czymś o wiele rozleglejszym w swojej nieokreślonej i świetlnej krzywiźnie niż aleja Jardin de Paris. Otóż będąc w tej chwili owym pijącym, naraz, szukając go w lustrze, spostrzegłem go, szpetnego, nieznanego, patrzącego na mnie. Radość pijaństwa była mocniejsza niż wstręt; przez wesołość lub fanfaronadę uśmiechnąłem się doń, a równocześnie on uśmiechnął się do mnie. I czułem się tak bardzo pod ulotną i potężną władzą chwili, w której wrażenia są tak mocne, iż nie wiem, czy moim jedynym smutkiem nie była myśl, że owo okropne „ja”, które ujrzałem, przeżywa może swój ostatni dzień i że nigdy nie spotkam tego obcego człowieka w ciągu mego życia.

Robert był tylko zły, że nie chciał bardziej błyszczeć w oczach jego kochanki.

— No, słuchaj, opowiedz jej o tym panu, któregoś spotkał rano, co to miesza snobizm z astronomią, nie pamiętam już dobrze. — I zerkał na nią spod oka.

— Ależ, Robercie, nie ma o nim nic więcej do powiedzenia niż to, co powiedział.

— Nudny jesteś. Więc opowiedz o Franciszce na polach Elizejskich; to ją tak zabawi.

— Och, tak! Bobby ty mi mówił o Franciszce. — I biorąc Roberta pod brodę, Rachela powtórzyła, przez brak inwencji, przyciągając mu głowę do światła: — Serwus, ty!

Od czasu jak aktorzy nie byli już dla mnie wyłącznie, w swojej dykcji i w swojej grze, piastunami prawdy artystycznej, interesowali mnie sami w sobie; bawiłem się, tak jakbym oglądał postacie ze starego „romansu komicznego”, widząc, jak za zjawieniem się

²¹¹cerebralny (med.) — mózgowy, związany z mózgiem. [przypis edytorski]

Pijaństwo

Lustro

nowej twarzy młodego panicza wchodzącego na salę „naiwna” słucha z roztargnieniem oświadczeń amanta na scenie, gdy ten, w pełni płomiennej tyrady miłosnej, praży spojrzeniem starszą damę siedzącą w pobliskiej łoży i fascynującą go wspaniałymi perłami; w ten sposób, zwłaszcza dzięki informacjom Roberta o życiu prywatnym artystów, widziałem jakby inną sztukę, niemą i wyrazistą, odgrywaną pod sztuką mówioną, która zresztą, mimo iż mierna, interesowała mnie; czułem bowiem, jak w niej kiełkuje i rozkwita na przeciąg godziny, w świetle rampy, na twarzy aktora inna twarz, utworzona z aglutynacji²¹² szminki i kartonu, a na jego prywatnej duszy inna dusza, stworzona ze słów roli.

Te znikome i żywe indywidualności, jakimi są osoby sztuki również pochłaniającej, które się kocha, podziwia, z którymi się współczuje, które chciałoby się ujrzyć po wyjściu z teatru, ale które się rozszczepiły na aktora pozbawionego już tego charakteru, jaki miał w sztuce, na tekst niezrośnięty już z twarzą aktora, na kolorowy pył dający się zetrzeć chustką, które, jednym słowem, obróciły się w składniki niemające już nic z nich, z przyczyny swego rozkładu, dokonanego natychmiast z końcem widowiska, każą, tak samo jak rozpad ukochanej istoty, wątpić o realności naszego ja i dumać nad tajemnicą śmierci.

Jeden numer programu był mi nadzwyczaj przykry. Młoda kobieta, przedmiot nienawiści Racheli i kilku jej przyjaciółek, miała debiutować w tym teatrzyku w starych piosenkach, na którym to debiucie wspierała wszystkie nadzieje swoje i swojej rodziny. Ta młoda kobieta miała pupę bardzo wydatną, niemal śmieszna; głos ładny, ale zbyt niski, zwątlony jeszcze tremą i stanowiący kontrast z tym potężnym umięśnieniem. Racheli ściągnęła do sali sporo swoich stronników, których zadaniem było paraliżować sarkazmami znaną z nieśmiałości debiutantkę; zbić ją z tropu tak, aby zrobiła kompletne fiasko, które by ją pozbawiło widoków *engagement*²¹³. Od pierwszych słów nieszczęsnej kilku widzów zaczęło sobie w tym celu pokazywać ze śmiechem jej tył; kilka kobiet należących do spisku śmiało się w głos; każda wysoka nuta zwiększała rozmyślną wesołość trącającą skandalem. Nieszczęśliwa, która pociła się z męki pod szminką, próbowała przez chwilę walczyć; potem rzuciła na salę zrozpaczone i oburzone spojrzenie, które jedynie zdwoiło wycia. Zmysł naśladowczy, chęć okazania odwagi i dowcipu pociągnęły kilka ładnych aktorek, których nie uprzedzono z góry, ale które, porozumiewszy się z tamtymi złośliwym spojrzeniem, wiły się wśród gwałtownych wybuchów śmiechu, tak że pod koniec drugiej piosenki, mimo iż program obejmował ich jeszcze pięć, reżyser kazał spuścić kurtynę. Siliłem się nie myśleć już o tym wydarzeniu, tak samo jak o cierpieniu mojej babki, kiedy wuj, aby ją podrażnić, częstował dziadka koniakiem; pojęcie złośliwości miało dla mnie coś nazbyt bolesnego. A przecież, tak samo jak litość wobec nieszczęścia nie jest może zbyt ścisła, bo siłą wyobraźni odtwarzamy sobie cały ból, nad którym nieszczęśliwy, zmuszony walczyć przeciw niemu, nie myśli się roztkliwiać, tak samo złość nie posiada zapewne w duszy złośliwego człowieka owego czystego i rozkosznego okrucieństwa, którego pojęcie sprawia nam taką przykrość. Nienawiść jest mu pobudką, gniew daje mu zapal, energię, niemające nic bardzo radosnego; trzeba by sadyzmu, aby stąd czerpać przyjemność; zły myśli, że dręczy złego. Racheli wyobrażała sobie z pewnością, że aktorka, której dokuczała, nie jest niczym interesującym; w każdym razie sądziła, że wywołując gwizdania, broni dobrego smaku, drwiąc sobie z tego, co śmieszne i dając nauczkę złej koleżance. Mimo to wolałem nie mówić o tym wydarzeniu; skoro nie miałem odwagi ani siły zapobieżenia mu, byłoby mi zbyt przykro, gdybym, mówiąc dobrze o ofercie, sprowadzał do sadyzmu uczucia ożywiającej katów tej debiutantki.

Ale początek tego przedstawienia zainteresował mnie jeszcze w inny sposób. Wy tłumaczył mi po części naturę złudzenia, jakiego Saint-Loup był ofiarą w stosunku do Racheli; złudzenia, które stworzyło przepaść między obrazami, pod jakimi oglądaliśmy obaj kochankę Roberta, widząc ją tegoż ranka pod kwitnącą gruszą. Racheli niemalże statystowała w błahej sztuczce. Ale oglądana w ten sposób, była to inna kobieta. Twarz jej była z tych, które wydobywa odległość, a które rozsypują się w proch widziane z bliska. I niekoniecznie odległość sceny: świat jest w tej mierze jedynie większym teatrem. Będąc tuż obok niej, widziało się jedynie mgławicę, mleczną drogę piegów, przyszczyków,

²¹²aglutynacja (z łac.) — skupianie się i zlepianie się w grudki komórek rozproszonych w płynnym środowisku. [przypis edytorski]

²¹³engagement (fr.) — angaż, umowa z artystą: aktorem lub śpiewakiem. [przypis edytorski]

nic więcej. Na pewną odległość wszystko to znikало; z zatartych i wessanych policzków wyląniał się — niby półksiężyc — nos tak subtelny, tak czysty, że pragnęłoby się ściągnąć na siebie uwagę Racheli, widzieć ją do syta, mieć ją koło siebie — gdyby się jej nigdy nie widziało inaczej i z bliska! Ja nie byłem w tym położeniu, ale był w nim Saint-Loup, kiedy ją ujrzał na scenie pierwszy raz. Wówczas zadał sobie pytanie, jak się zbliżyć do niej, jak ją poznać; otwarła się w nim cała czarodziejska dziedzina — ta, w której żyła ona — skąd szły ku niemu rozkoszne promienie, ale do której nie miał dostępu. Wyszedł z teatru, powiadając sobie, że szaleństwem byłoby pisać do niej, że by mu nie odpowiedziała; gotów był oddać majątek i nazwisko dla istoty żyjącej w nim w świecie o tyle wyższym od tych nazbyt znanych realności; w świecie upiękuszonym żądzą i marzeniem, kiedy, czekając pod teatrem, starą budą, która sama robiła wrażenie dekoracji, ujrzał wysypującą się z drzwi w zgrabnych kapelusikach wesołą gromadkę grających owego wieczora aktorek. Młodzi ludzie, którzy je znali, czekali tam na nie. Ponieważ ilość pionków ludzkich jest mniej liczna niż ilość kombinacji, jakie mogą utworzyć, w sali, gdzie nie mamy nikogo znajomego, znajdzie się zawsze ktoś, kogo nie spodziewaliśmy się ujrzeć w życiu, a kto zjawia się tak w porę, że trafia robi wrażenie czegoś opatrnościowego; niemniej, gdybyśmy się znaleźli nie tam, lecz gdzie indziej, gdzie by się zrodziły inne pragnienia, spotkalibyśmy znowu innego starego znajomego, zdolnego im dopomóc. Złote wrota świata marzeń zamknęły się za Rachelą, zanim Saint-Loup ujrzał ją wychodzącą z teatru, tak że piegi i pryszczki zeszły na drugi plan. Raziły go jednak, tym bardziej że, nie będąc już sam, nie miał już tej swobody marzenia co w teatrze. Ale młoda aktorka, mimo że jej już nie widział, dalej kierowała jego czynami, jak owe gwiazdy, które władają nad nami siłą swego przyciągania, nawet wówczas gdy nie są widzialne naszym oczom. Jakoż pragnienie zbudzone przez aktorkę o subtelnych rysach — których nawet nie pamiętał — sprawiło, iż, rzucając się na obecnego tam przypadkowo dawnego kolegę, kazał się przedstawić osobie bez rysów i z piegami (skoro to była ta sama), powiadając sobie, że później postara się rozpoznać, którą z dwóch kobiet jest ta osoba w rzeczywistości. Rachela śpieszyła się, nie odezwała się nawet tym razem do Roberta; dopiero w kilka dni później zdołał uzyskać to, że pożegnała kolegów i pozwoliła się odprowadzić. Kochał ją już. Potrzeba marzenia, pragnienie szczęścia przez osobę, którą się wymarzyło, sprawiają, że niewiele czasu potrzeba, aby powierzyć wszystkie swoje nadzieje szczęścia tej, która kilka dni wprzód była jedynie przygodnym, nieznanym, obojętnym zjawiskiem na deskach teatru.

Po zapadnięciu kurtyny przeszliśmy na scenę. Onieśmielony swoją obecnością na deskach scenicznych chciałem się wdać w rozmowę z Robertem; w ten sposób moje zachowanie się (a nie wiedziałem, jak by się właściwie należało zachować w tak dla mnie nowym miejscu) utonęłoby całkowicie w naszej rozmowie; wszyscy będą myśleli, że jestem tak zaabsorbowany, iż wyda się całkiem naturalne, że mój wyraz nie odpowiada miejscu, gdzie się znajduję, ile że, pochłonięty tym, co mówię, zaledwie wiem, gdzie jestem. Zatem, dla pośpiechu, chwyciłem się pierwszego z brzegu tematu:

— Wiesz — rzekłem do Roberta — że byłem się z tobą pożegnać w dniu wyjazdu; nigdy nie mieliśmy sposobności mówić o tym. Kłaniałem ci się na ulicy.

— Nie mów nawet — odparł — byłem w rozpacz; spotkaliśmy się tuż koło koszar, ale nie mogłem się zatrzymać, bo już byłem bardzo spóźniony. Byłem niepokieszony, wierząc.

Więc on mnie poznał! Widziałem jeszcze ten całkowicie bezosobisty ukłon, jaki Robert oddał mi, przykładając rękę do kępi, bez jednego spojrzenia zdradzającego, że mnie zna, bez gestu, który by wyraził żal, że się nie może zatrzymać. Widocznie owa fikcja, jaką obrał w danej chwili — ta, że mnie nie poznaje — musiała dlań upraszczać sytuację. Ale byłem zdumiony, że mógł się na nią zdecydować tak szybko, zanim jakiś odruch zdradził pierwsze wrażenie. Zauważyłem już w Balbec, że obok tej naiwnej szczeroci jego twarzy, której skóra przezroczyścią swoją przepuszczała nagły dopływ pewnych wzruszeń, ciało Roberta było cudownie wdrożone wychowaniem do pewnej ilości towarzyskich komedii; niby doskonały aktor, mógł on — w pułku czy w salonie — grać na przemian rozmaite role. W jednej z tych ról kochał mnie głęboko, był ze mną jak z bratem; był moim bratem przedtem i stał się nim znów potem, ale przez krótką chwilę był innym człowiekiem, który mnie nie znał i który, trzymając lejce, z monoklem w oku, bez spojrzenia i uśmiechu, podniósł rękę do kępi, aby mi oddać poprawny ukłon wojskowy!

Snułem się między dekoracjami. Widziane z bliska, odarte z czaru odległości i światła, obliczonych przez wielkiego malarza, który je projektował, wydawały się nędzne; Rachelą zaś, kiedy się do niej zbliżył, nie mniej uległa władzy zniszczenia. Skrzydła jej uroczego nosa zgubiły się w perspektywie, między salą a sceną, całkiem tak jak plastyka dekoracji. To już nie była ona; poznawałem ją jedynie dzięki oczom, w których schroniła się jej tożsamość. Forma, blask tej błyszczącej przed chwilą młodej gwiazdy — znikły. W zamian za to — tak jak gdybyśmy się zbliżyli do księżycy i jak gdyby się nam przestał wydawać różowy i złoty — na tej twarzy tak gładkiej przed chwilą, widziałem już tylko same narośle, plamy, wyboje. Mimo chaosu, w jaki się rozpadały z bliska nie tylko twarz kobieca, ale malowane płótna, czułem się szczęśliwy, że tam jestem, że chodzę pośród dekoracji, w całej tej ramie, którą niegdyś moja miłość natury czyniłaby mi nudną i sztuczną, ale którą pędzel Goethego w *Wilhelmie Meisterze*²¹⁴ obdarzył dla mnie niejaką pięknnością.

Zachwyciło mnie, że pośród dziennikarzy lub zaprzyjaźnionych z aktorkami światowców, którzy kłaniali się, rozmawiali, palili jak w restauracji, widzę młodego człowieka w czarnym aksamitnym berecie, w spódnicze „hortensja”, z policzkami cętkowanymi różem niby kartka z albumu Watteau²¹⁵. Z uśmiechem na ustach, z oczami wzniesionymi ku niebu, manewrując z wdziękiem rękami, podskakując lekko, ów młody człowiek wydawał się istotą tak bardzo innego gatunku niż rozsądni ludzie w marynarkach i tużurkach, pośród których on ścigał jak wariat swoje ekstatyczne marzenie, tak obcy sprawom ich życia, tak wcześniejszy od form ich cywilizacji, tak wyzwolony z praw natury! Patrząc nań, śledzić oczami wśród dekoracji swobodne arabeski, jakie kreśliły na nich jego kapryśne i uszmiukowane skrzydlate pląsy, było orzeźwiające i miłe niby oglądać motyla zabłąkanego w ciżbie. Ale w tej samej chwili Saint-Loup wyobraził sobie, że jego kochanka zwraca zbyt dużą uwagę na tego tancerza próbującego ostatni raz figury *divertissement*²¹⁶, w którym miał wystąpić; twarz Roberta spochmurniała.

— Mogłabyś patrzeć w inną stronę — rzekł ponuro. — Wiesz, że ci tancerze to są skończone wycieruchy, obwiesie spod ciemnej gwiazdy! Taki będzie się potem chwalił, żeś na niego zwróciła uwagę. Zresztą, słyszysz przecie, wołają, żebyś szła się ubierać. Znowu się spóźnisz.

Trzej panowie — trzej dziennikarze — widząc wściekłą minę Roberta de Saint-Loup, zbliżyli się rozbawieni, aby posłuchać wymiany słów. Że zaś z drugiej strony ustawiano dekoracje, przyparto nas do nich.

— Och, ależ ja go poznaję, to mój przyjaciel — wykrzyknęła kochanka Roberta, patrząc na tancerza. — Ależ on to świetnie robi, patrzcie na małe ręce, jak one tańczą wraz z całą resztą!

Tancerz obrócił głowę; ludzka jego osobowość zjawiała się w sylfie²¹⁷, którego wcieliła; prosta i szara galareta jego oczu zadrżała i zabłysła między sztywnymi i malowanymi rzęsami, a uśmiech poszerzył jego usta na uróżowanej twarzy. Następnie, aby zabawić młodą kobietę, niby śpiewaczka nucąca przez uprzejmość aryjkę, która nas zachwyciła, zaczął powtarzać ruch rąk, parodiując samego siebie z finezją karykaturzysty i wesołością dziecka.

— Och, to świetne! jak on robi samego siebie! — wykrzyknęła Rachelą, klaszcząc w ręce.

— Błagam cię, kochanie — rzekł Saint-Loup żalonym głosem — nie rób z siebie widowiska; zabijasz mnie. Przysięgam ci, że jeżeli powiesz jeszcze słowo, nie przyjdę do ciebie do garderoby i pójdę sobie. No, Zizi, nie bądź niedobra.

— Nie stój tak w tym dymie cygar, zaszkożdzisz sobie — rzekł do mnie Saint-Loup, z troskliwością, jaką miał dla mnie od czasu Balbec.

²¹⁴ Goethe, Johann Wolfgang von (1749–1832) — jeden z najwybitniejszych autorów niemieckich, poeta, dramaturg, prozaik, uczyony i polityk, reprezentant nurtu „burzy i naporu”, przedstawiciel klasycyzmu weimarskiego; autor m.in. powieści epistolarniej *Cierpienia młodego Wertera* (1774), dramatu *Faust* (cz. I 1808, cz. II 1831), powieści dydaktycznej *Lata nauki Wilhelma Meistra* (1796) oraz zbioru nowel *Lata wędrówki Wilhelma Meistra* (1821). [przypis edytorski]

²¹⁵ Watteau, Antoine (1734–1724) — francuski malarz, prekursor i czołowy przedstawiciel francuskiego rokoka. [przypis edytorski]

²¹⁶ *divertissement* (fr.) — wywodzące się z francuskiej kultury dworskiej XVII w. krótkie widowiska, np. baletowe lub o charakterze mieszanym. [przypis edytorski]

²¹⁷ sylf — duch żywiołu powietrza. [przypis edytorski]

— Och, co za szczęście, jeżeli sobie pójdiesz.
— Uprzedzam cię, że już nie wrócę.
— Nie śmiem o tym marzyć.
— Słuchaj, wiesz, przyrzekłem ci naszyjnik, jeżeli będziesz grzeczna; ale skoro mnie traktujesz w ten sposób...

— A, to coś, co mnie nie dziwi u ciebie. Przyrzekłeś mi, powinnam była zgadnąć, że nie dotrzymasz. Podzwaniaś mi nad uchem swoimi pieniędzmi, ale ja nie jestem interesowna jak ty. Mam twoją kolię gdzieś. Znam kogoś, kto mi ją ofiaruje.

— Nikt ci jej nie ofiaruje, bo zastrzegłem ją u Boucheron'a i mam jego słowo, że jej nie sprzeda nikomu prócz mnie.

— Doskonale, chciałeś mnie szantażować, zabezpieczyłeś się z góry. Typowy potomek Marsantów, *Mater Semita*²¹⁸, czuć rasę — odparła Rachela, powtarzając etymologię wspartą na grubym błędzie, bo *semita* znaczy „ścieżka”, a nie Semitka, ale przylepioną Robertowi przez nacjonalistów z powodu jego dreyfusizmu, przejętego zresztą od Racheli. A już Rachela mniej niż ktokolwiek miała racji przymawiać od Żydówek pani de Marsantes, u której salonowi etnografowie nie zdołali wykryć Żyda poza jej pokrewieństwem z rodziną Lévy-Mirepoix. — Ale jeszcze nie wszystko skończone, bądź pewny — ciągnęła Rachela. — Słowo dane w tych warunkach nie ma znaczenia. Podszedłeś mnie. Boucheron dowie się o tym i dostanie podwójną cenę za swoją kolię. Usłyszysz o mnie niedługo, bądź pewien.

Saint-Loup miał sto razy rację. Ale okoliczności są zawsze tak zagmatwane, że ten, co ma rację sto razy, może jej nie mieć raz. I mimo woli przypomniałem sobie to niemile, a przecież bardzo niewinne słówko, które mu się wyrwało w Balbec: „W ten sposób mam ją w ręku”.

— Źle zrozumiałas to, co mówiłem o kologii. Nie przyrzekłem ci jej w sposób formalny. Z chwilą gdy robisz wszystko, aby mnie przywieść do zerwania, bardzo naturalne jest, że ci jej nie dam. Nie rozumiem, gdzie tu widzisz podejście lub interesowność. Nie możesz mówić, że ja podzwaniałam pieniędzmi; wciąż ci powtarzam, że jestem biedny i że nie mam grosza. Nie słusznie bierzesz to w ten sposób, maleńka. W czym jestem interesowny? Ty wiesz, że jedyne, co mnie interesuje, to ty.

— Owszem, owszem, możesz mówić dalej — rzekła ironicznie Rachela, imitując gestem ruch piły. Po czym zwróciła się do tancerza:

— Och, naprawdę, on jest bajeczny z tymi rękami. Ja, kobieta, nie potrafiłabym tego, co on wyczynia.

I obracając się do tancerza, pokazała mu zmienioną twarz Roberta:

— Patrz, on cierpi — szepnęła doń w przystępie sadystycznego okrucieństwa, niebędącego zresztą w stosunku do jej prawdziwego przywiązania do Roberta.

— Słuchaj, ostatni raz, przysięgam ci, że choćbyś na głowie stawała, będziesz mogła za tydzień przeproszać, ile ci się podoba, nie wrócę. Miarka się przebrała, uważaj. To już nieodwołalne; będziesz tego żałowała kiedyś, ale będzie za późno.

Może był szczery; ból rozstania się z kochanką wydawał mu się mniej okrutny niż znoszenie pewnych rzeczy.

— Słuchaj, dziecko — rzekł Robert zwracając się do mnie — nie stój tutaj, powtarzam ci, zaczniesz kaszleć.

Wskazałem dekorację, która nie pozwalała mi zmienić miejsca. Saint-Loup dotknął lekko kapelusza i rzekł do dziennikarza:

— Proszę pana, czy pan nie zechciałby rzucić cygara, dym szkodzi mojemu przyjacielowi.

Nie czekając nań, Rachela skierowała się do garderoby; idąc, odwróciła się jeszcze:

— Czy i z kobietami tak sobie poczynają te małe rączki? — rzekła z daleka do tancerza sztucznie melodyjnym i niewinnym głosikiem „nawnej”. — Ty sam robisz wrażenie kobiety; sądzę, że można by się doskonale porozumieć z tobą i z jedną z moich przyjaciółek.

— O ile wiem, palenie nie jest tu wzbronione; kiedy ktoś jest chory, najlepiej, żeby siedział w domu — rzekł dziennikarz.

²¹⁸*Mater Semita* (łac.) — Główna Ścieżka. [przypis edytorski]

Tancerz uśmiechnął się tajemniczo do artystki.

— Och, cicho siedź, przywodziś mnie do szaleństwa — krzyknęła. — Zrobimy jakąś kombinację.

— W każdym razie, widzę, że pan nie jest uprzejmy — rzekł Saint-Loup do dziennikarza tonem wciąż łagodnym i grzecznym, z miną człowieka, który omawia jakieś minione zdarzenie.

W tej chwili ujrzałem, jak Saint-Loup podnosi prostopadle ramię, tak jakby dawał znak komuś, kogo nie widziałem, lub jak dyrygent orkiestry. I w istocie — bez większego przejścia niż kiedy, na prosty ruch palczki w symfonii lub w balecie, gwałtowny rytm następuje po wdzięcznym *andante*²¹⁹ — po swoich grzecznych słowach Robert opuścił w grzmiącym policzku dłoń na twarz dziennikarza.

Teraz, kiedy po pełnych umiaru rozmowach dyplomatów, po pogodnych igraszkach pokoju nastąpił wściekły wybuch wojny, nie zdziwiłbym się nadto, widząc przeciwników kąpiących się we własnej krwi. Cios prowokował cios. Ale czego nie mogłem zrozumieć (jak osoby, które uważają za niewłaściwość wybuch wojny między dwoma krajami, wówczas gdy dopiero była mowa o rewizji granic, lub śmierć chorego, kiedy była mowa jedynie o powiększeniu wątroby), to w jaki sposób, po słowach Roberta dyskutujących jedynie stopień grzeczności, mógł nastąpić gest, który zupełnie nie wypływał z tych słów, gest, którego one nie zapowiadały. Ten gest, zrodzony w samoródtwie gniewu *ex nihilo*²²⁰, gwałcił nie tylko prawo narodów, ale zasadę przyczynowości. Szczęściem, dziennikarz, który, zachwiaszwszy się pod gwałtownością uderzenia, zbladł i zawahał się chwilę, nie oddał ciosu. Co się tyczy jego przyjaciół, jeden natychmiast odwrócił głowę, wypatrując z uwagą w stronę kulis kogoś, kogo najoczywiściej tam nie było; drugi udał, że mu coś wpadło w oko, i krzywiąc się, zaczął trzeć powiekę; trzeci rzucił się ku wyjściu, wołając: „Och, zdaje się, że podnoszą kurtynę: nie dostaniemy się na salę”.

Byłbym chciał przemówić do Roberta, ale był tak przepelniony oburzeniem na tancerza, że przylgnęło ono całkowicie do powierzchni jego źrenic; niby wewnętrzne ruszowanie napinało jego policzki, tak że jego duchowe podniecenie wyrażało się pełnym zewnętrznym bezruchem; nie zdobyłby się nawet na grę mięśni pozwalającą przyjąć do świadomości moje słowa ani odpowiedzieć na nie. Przyjaciele dziennikarza, widząc, że wszystko jest skończone, zbliżyli się do niego, jeszcze drżący. Ale, wstydząc się, że go opuścili, chcieli koniecznie, aby myślał, że oni nic nie zauważyli. Jeden zaczął obszernie opowiadać, że mu coś wpadło w oko, drugi, że myślał, iż podnoszą kurtynę, trzeci rozwiódł się nad niezwykłym podobieństwem kogoś przechodzącego do jego brata. Zdawali się nawet mieć pretensję do niego, że nie dzieli ich przeżyć.

— Jak to, nie uderzyło cię to? Ślepy jesteś?

— A wy jesteście kapłony²²¹ — burknął spoliczkowany dziennikarz.

Niekonsekwentni wobec przyjętej fikcji, na zasadzie której powinni byli — ale tego nie uczynili — udać, że nie rozumieją, o co jemu chodzi, powiedzieli to, co jest tradycyjne w takich okolicznościach:

— Ech, zaciętrzewiasz się, nie przejmuj się, ależ z ciebie gorączka.

Zrozumiałem tego rana pod kwitnącymi gruszami złudzenie, na jakim wspierała się miłość Roberta do „Racheli, kiedy Pan?”; niemniej zdawałem sobie sprawę, ile, przeciwnie, jest realności w cierpieniu zrodzonym z tej miłości. Pomału ból, jaki Saint-Loup odczuwał od godziny, nie ustał, ale skurczył się, wsiąknął, w oczach jego pojawiała się wolna i elastyczna strefa. Opuściliśmy teatr i szliśmy przed siebie. Zatrzymałem się chwilę na rogu avenue Gabriel, skąd niegdyś widywałem często zjawiającą się Gilbertę. Próbowałem przez kilka sekund przypomnieć sobie te wrażenia, po czym przyspieszyłem kroku, aby dogonić Roberta, kiedy ujrzałem, że dość lichy ubrany jegomość mówi doń coś z bliska. Wywnioskowałem, że to musi być jakiś osobisty przyjaciel Roberta; ale ujrzałem, że jeszcze jakby zbliżyli się do siebie; naraz, tak jak na niebie ukazuje się zjawisko astralne, ujrzałem owoidalne²²² ciała, które z zawrotną chyżością przybierały wszystkie pozycje,

²¹⁹*andante* (muz., wł.) — umiarkowanie wolne tempo utworu; także: utwór lub część w takim tempie. [przypis edytorski]

²²⁰*ex nihilo* (łac.) — z niczego. [przypis edytorski]

²²¹*kapłon* — kastrowany kogut, tuczony na mięso. [przypis edytorski]

²²²*owoidalny* (z łac.) — jajowaty. [przypis edytorski]

pozwalające im utworzyć w stosunku do Roberta niestałą konstelację. Wyrzucone niby z procy, przybrały dla mnie liczbę co najmniej siedmiu. Były to wszakże jedynie dwie pięści Roberta, pomnożone przez chyżość zmiany miejsca w tej idealnej na pozór i dekoracyjnej całości. Ale fajerwerk ten był jedynie „laniem”, jakie Saint-Loup aplikował obcemu panu; agresywny zaś (w miejsce estetycznego) charakter zdarzenia ujawniła mi dopiero mina nieszczególnie ubranego jegomościa, który zdawał się równocześnie tracić równowagę, szczękę i dużo krwi. Osobom, które zbliżyły się z pytaniami na ustach, dał jakieś kłamlive wyjaśnienia, odwrócił głowę i widząc, że Saint-Loup zdecydowanym krokiem oddala się w moją stronę, patrzył za nim z miną urażoną i przybitą, ale bynajmniej nie wściekłą. Wściekły był, przeciwnie, Saint-Loup, mimo że jemu nic się nie dostało; kiedy się zrównał ze mną, oczy jego błyszczały jeszcze gniewem. Wypadek ten nie miał (jak mogłem przypuszczać) żadnego związku z pyskobiciem w teatrze. Ów pan był to gorąckokrwisty przechodzień, który widząc pięknego żołnierza, uczynił mu pewne propozycje. Saint-Loup nie mógł się nadziwić czelności tej „kliki”, która nie czeka dla swoich praktyk nawet mroków nocy; mówił o propozycjach nieznajomego z tym samym oburzeniem, z jakim dzienniki mówią o kradzieży zbrojną ręką, popełnionej w biały dzień w centrum Paryża. Usprawiedliwieniem spranego jegomościa mogłoby być to, że żądza sąsiaduje na tyle blisko z aktem, aby sama piękność zdawała się już przyzwoleniem. Otóż fakt, że Saint-Loup był piękny, nie podlegał dyskusji. Lanie, które zaaplikował nieznajomemu, ma dla tego rodzaju ludzi tę korzyść, że każe się im poważnie zastanowić nad sobą; ale działanie tych refleksji trwa zazwyczaj zbyt krótko, aby się mogli poprawić i uniknąć w końcu znajomości z policją. Tak więc — mimo że Saint-Loup zaaplikował swoją pucówkę bez wielkiego zastanowienia — wszystkie tego rodzaju egzekucje, nawet gdy przychodzą w pomoc prawom, nie są zdolne ujednostajnić obyczajów.

Wydarzenia te — a zwłaszcza to, o którym myślał najbardziej — zrodziły z pewnością w Robercie potrzebę samotności. Zapropował mi, abym sam poszedł do pani Villeparisis; on przyjdzie później; woli — powiadał — abyśmy nie wchodzili razem; w ten sposób będzie wyglądało, że on dopiero co przyjechał do Paryża, nie zaś, żeśmy już spędzili z sobą popołudnie.

Jak to przypuszczałem przed poznaniem pani de Villeparisis w Balbec, między srodowiskiem, w którym żyła margrabina, a światem pani de Guermantes istniała wielka różnica. Pani de Villeparisis należała do kobiet, które, pochodząc ze świetnej rodziny, wszedłszy przez fakt małżeństwa w inną, nie mniej świetną, nie mają mimo to wielkiej sytuacji światowej; prócz kilku diuszes²²³, będących ich siostrzenicami lub szwagierkami, a nawet paru koronowanych głów (stare stosunki rodzinne), skupiają w swoim salonie jedynie publiczność trzeciego rzędu, mieszczaństwo, szlachtę prowincjonalną albo z „felerem”, której obecność od dawna wypłoszyła ludzi eleganckich lub snobów, o ile nie są zmuszeni bywać tam z obowiązku pokrewieństwa lub zbyt dawnej zażyłości. Zapewne, po paru chwilach nietrudno mi było zrozumieć, jakim cudem pani de Villeparisis była w Balbec tak dobrze — lepiej od nas samych — poinformowana o najmniejszych szczegółach podróży, jaką ojciec odbywał wówczas po Hiszpanii z panem de Norpois. Ale to nie dopuszczało wniosku, aby dwudziestoletni przeszło stosunek pani de Villeparisis z ambasadorem mógł być racją zdeklasowania się margrabiny w towarzystwie, gdzie najświetniejsze kobiety afiszują mniej godnych kochanków; zresztą pan de Norpois był z pewnością od dawna dla margrabiny jedynie starym przyjacielem. Czy pani de Villeparisis miewała niegdyś inne przygody, będąc wówczas gorętszej krwi niż obecnie na starość, która to starość, spokojna i nabożna, zawdzięczała może jednak trochę swojej barwy owym namiętym i odległym latom? Może nie umiała na prowincji, gdzie mieszkała przez czas dłuższy, uniknąć pewnych skandalów, nieznanym nowym pokoleniom, które konstatowały jedynie ich skutki w mieszanym i wątpliwym składzie salonu, stworzonym z natury swojej na to, aby był najbardziej wolny od wszelkiego aliażu²²⁴? Czy ów

²²³ diusza (z fr.) — księżna. [przypis edytorski]

²²⁴ aliaż (z fr.) — daw.: stop metali; dziś przen.: mieszanina, połączenie różnych właściwości, pojęć, cech. [przypis edytorski]

„zły język”, jaki przypisywał jej siostrzeniec, zyskał jej w owych czasach wrogów? Czy kazał jej wyzyskiwać pewne sukcesy u mężczyzn, aby dawać folgę zemście wobec kobiet? Wszystko to było możliwe; a uroczy, subtelny — nie tylko w słowach, ale akcentach — sposób, w jaki pani de Villeparisis mówiła o skromności, o dobroci, nie był argumentem przeciw tej hipotezie; ci bowiem, co nie tylko pięknie mówią o pewnych cnotach, ale nawet odczuwają ich urok i rozumieją je doskonale, co potrafią w swoich pamiętnikach odmalować ich godny obraz, pochodzą wprawdzie często z niemej, surowej i prostodusznej generacji, która te cnoty uprawiała, ale sami do niej nie należą. Generacja ta odbija się w nich, ale się w nich nie kontynuuje. Miejsce jej dawnego charakteru zastępuje wrażliwość, inteligencja, które nie służą do czynu. I bez względu na to, czy w życiu pani de Villeparisis istotnie były owe skandale, które zatarłyby blask jej nazwiska, przyczyną jej zdeklasowania była z pewnością owa inteligencja — inteligencja niemal drugorzędного pisarza raczej niż światowej kobiety.

Bez wątpienia pani de Villeparisis sławiła zwłaszcza przymioty niezbyt podniecające, jak takt i miarę; ale aby mówić o umiarze w sposób pełnowartościowy, miara nie wystarczy, trzeba pewnych zalet pisarskich, które wymagają egzaltacji przekraczającej miarę. Zauważyłem w Balbec, że geniusz pewnych wielkich pisarzy był dla pani de Villeparisis niedostępny; umiała jedynie drwić z nich sprytnie, dawać swemu niezrozumieniu dowcipną i wdzięczną formę. Ale ten dowcip i wdzięk, rozwinięte w tym stopniu co u niej, stawały się same — na innym planie i choćby ich używała dla zapoznania najwyższych arcydzieł — stawały się same prawdziwą wartością artystyczną. Otóż takie przymioty wywierają na wszelką światową sytuację swoiste działanie chorobotwórcze, jak mówią lekarze, i tak destrukcyjne, że najsolidniejsza pozycja ledwie parę lat zdoła mu się opierać. To, co artyści nazywają inteligencją, wydaje się czystą pretensjonalnością eleganckiemu towarzystwu, które, niezdolne stanąć na jedynym punkcie widzenia, z którego artyści sądzą wszystko, nie rozumiejąc nigdy specjalnego uroku, jakiemu tamci ulegają, dobierając wyrażen lub tworząc skojarzenia, odczuwa w zetknięciu z nimi zmęczenie, irytację, nader rychło rodzące antypatię. A przecież jak w rozmowie, tak w pamiętnikach swoich, które ogłoszono później, pani de Villeparisis ujawniała wdzięk na wskroś światowy. Przeszedłszy obok wielkich rzeczy, których nie zgłębiała, a czasem nie dostrzegała, z lat, które przeżyła i które odmalowała zresztą z wielką trafnością i czarem, utrwaliła jedynie to, co w nich było najblahsze. Ale dzieło, nawet kiedy się ima jedynie tematów nieintelektualnych, jest i tak przejawem inteligencji; aby dać w książce lub w mała różniącej się od niej rozmowie doskonale wrażenie pustki, trzeba pewnej refleksji, do której osoba całkowicie pusta nie byłaby zdolna. W niektórych pamiętnikach pisanych przez kobietę i uważanych za arcydzieło, to i owo zdanie, cytowane jako model lekkości i wdzięku, zawsze nasuwało mi myśl, że aby dojść do tej lekkości, autorka musiała posiadać niegdyś dość solidną wiedzę, uprzykrzone wykształcenie, i że jako młoda dziewczyna była może w oczach przyjaciółek nieznośną sawantką²²⁵. Między niektórymi przymiotami literackimi a nielaską „świata” związek jest tak nieuchronny, że kiedy dziś czytamy pamiętniki pani de Villeparisis, jakieś trafne wyrażenie, jakaś celna metafora wystarczą czytelnikowi, aby przy ich pomocy uprzytomnił sobie głęboki, ale lodowaty ukłon, jaki na schodach jakiejś ambasady musiała składać starej margrabinie snobka w rodzaju pani Leroi, która rzucała jej może bilet wizytowy, udając się do Guermantów, ale nigdy nie przestępowała progu jej salonu z obawy, aby się nie zdeklasować w towarzystwie bywających tam żon lekarzy lub rejentów²²⁶. Sawantką była może pani de Villeparisis w pierwszej młodości; upojona wówczas swoją wiedzą, nie umiała może powstrzymać — w przeciwieństwie do ludzi światowych, mniej od niej inteligentnych i mniej wykształconych — ostrych żarcików, których zraniona nimi osoba nie zapomina.

Przy tym talent nie jest naddatkiem, który się sztucznie dołącza do rozmaitych zalet zapewniających sukcesy towarzyskie, w tym celu, aby stworzyć to, co światowcy nazywają „damą”. Talent jest żywym produktem pewnej organizacji duchowej, której na ogół wielu zalet brakuje i w której przeważa wrażliwość; a cechy tej wrażliwości, których nie dostrzegamy w książce, mogą się przejawiać dość jaskrawo w życiu, na przykład pewne

²²⁵sawantka (daw.; z fr. *savante*: uczona) — kobieta wykształcona, erudytka. [przypis edytorski]

²²⁶rejent (daw.) — notariusz. [przypis edytorski]

zainteresowania, fantazje, ochota pójścia tu czy tam dla własnej przyjemności, nie w celu pomnożenia, podtrzymania lub prostego kontynuowania stosunków towarzyskich. Wiedziałem w Balbec panią de Villeparisis otoczoną swoim dworem, niepatrzącą nawet na osoby zbierające się w hallu hotelowym. Ale miałem przeczucie, że to odcięcie nie było obojętnością, i zdaje się, że dawniej nie zawsze je sobie nakładała. Zapalała się do poznania jakiegoś osobnika, niemającego żadnych tytułów do bywania u niej; czasem dlatego, że ją uderzył swoją urodą, lub tylko dlatego, że chwalono jego dowcip, lub że się wydawał inny od jej znajomych, którzy, w owej epoce, kiedy ich jeszcze nie ceniła, bo myślała, że jej nigdy nie opuszczą, należeli wszyscy do najczystszej Faubourg Saint-Germain. Jakimś cyganowi, plebejuszowi, którego wyróżniła, musiała posyłać zaproszenia, których wartości nie mógł ocenić, z wytrwałością, która deprecjonowała stopniowo margrabinę w oczach snobów, nawykłych szacować salon raczej wedle osób, które pani domu z niego wyklucza, niż wedle tych, które przyjmuje.

To pewne, że jeżeli pani de Villeparisis w latach młodości, zblazowana przyjemnością należenia do najrasowszego kwiatu arystokracji, czyniła sobie jakby zabawę z tego, aby gorszyć swój świat i rezolutnie niweczyć własną sytuację, zaczęła cenić tę sytuację, odkąd ją straciła. Niegdyś chciała pokazać diuszom, że jest czymś więcej od nich, mówiąc i robiąc wszystko to, czego one nie śmiały mówić i robić. Ale teraz, kiedy one, z wyjątkiem najbliższej rodziny, przestały u niej bywać, czuła się upośledzona i pragnęła jeszcze panować, ale inaczej niż inteligencją. Byłaby chciała ściągnąć wszystkie te, które tak starannie odsunęła. Ileż egzystencji kobiecych, mało znanych zresztą (bo każdy, wedle swego wieku, ma jakby swój odrębny świat, a dyskrecja starców nie pozwala młodym ludziom znać przeszłości i ogarnąć całego kręgu), rozpada się w ten sposób na sprzeczne okresy, z których ostatni jest wypełniony pracą nad odzyskaniem tego, co w drugim tak wesoło puszczono z wiatrem! Puszczono z wiatrem w jaki sposób? Młodzi ludzie niełatwo to sobie wyobrażają, wówczas gdy mają przed sobą starą i czcigodną margrabinę de Villeparisis; nie postanie im w myśli, aby dzisiejszy poważny pamiętnikarz, tak godny pod swoją białą peruką, mógł być niegdyś wesołą kobietką, stanowiącą rozkosz lub ruinę ludzi od dawna leżących w grobie. To, że margrabina zniweczyła w ten sposób z całą wytrwałością i konsekwencją sytuację, jaką zawdzięczała swemu urodzeniu, nie znaczy zresztą wcale, aby nawet w owej odległej epoce nie ceniła wysoko swojej pozycji. Tak samo neurastenik²²⁷ może sam dziergać od rana do wieczora odosobnienie i beczynność, w jakich żyje i od których cierpi; i podczas gdy się sili dodać nowe oczko do sieci, która go czyni więźniem, być może iż marzy o samych balach, polowaniach i podróżach. Pracujemy nieustannie nad tym, aby nadać kształt swojemu życiu, ale kopiując mimo woli, niby wzorek, rysy osoby, którą jesteśmy, nie zaś tej, którą byłoby nam miło być. Wzgardliwe ukłony pani Leroi mogły wyrażać poniekąd prawdziwą naturę pani de Villeparisis, ale nie odpowiadały zgola jej pragnieniu.

Bez wątpienia, w tej samej chwili gdy pani Leroi, wedle ulubionego wyrażenia pani Swann, „zamrażała” margrabinę, ta mogła szukać dla siebie pociechy, wspominając, iż niegdyś królowa Maria Amelia²²⁸ mówiła jej: „Kocham cię jak córkę”. Ale tego rodzaju uprzejmości monarsze, sekretne i nieznanne, istniały tylko dla margrabiny, zakurzone niby dyplom eks-laureata konserwatorium. Jedyne prawdziwe przewagi światowe to te, które tworzą życie; które mogą zniknąć, ten zaś, co z nich korzysta, nie potrzebuje ani się ich czepiać, ani się nimi chwalić, bo tego samego dnia zastąpi je sto innych. Przypominając sobie słowa królowej, pani de Villeparisis byłaby je chętnie zamieniła na stałą moc zyskiwania zaproszeń, jaką posiadała pani Leroi; tak jak w restauracji nieznanym wielki artysta, którego geniusz nie jest wypisany ani w rysach jego nieśmiałej twarzy, ani w niemodnym kroju marynarki, wolałby być bodaj młodym giełdciarzem, najniżej notowanym towarzysko, ale zajadającym śniadanie przy sąsiednim stoliku z dwiema aktorkami i do którego, w usługowej i nieprzerwanej procesji cisną się gospodarz lokalu, kelnerzy, garsoni, pikolaki²²⁹, nawet kuchciki, wychodzący sznurem z kuchni, aby mu się pokłonić jak w feerii, podczas gdy z innej strony wylazi piwniczny, zakurzony jak jego butelki,

²²⁷neurastenik — osoba znerwicowana, o nadmiernie pobudzonym układzie nerwowym. [przypis edytorski]

²²⁸Amelia Orleańska, właśc. Amelia Maria Ludwika Helena Orleańska (1865–1951) — królowa Portugalii, najstarsza córka Filipa Orleańskiego, hrabiego Paryża. [przypis edytorski]

²²⁹pikolo (przestarz., z wł.) a. pikolak (pot.) — chłopak usługujący w restauracji, hotelu itp. [przypis edytorski]

koślawy i olśniony, jak gdyby, idąc z piwnicy, skręcił sobie nogę, zanim wydobyl się na światło.

Trzeba jednakże powiedzieć, że o ile nieobecność pani Leroi w salonie pani de Villeparisis gnębiła panią domu, brak ten przechodził niezauważony przez większość jej gości. Nie mieli pojęcia o wyjątkowej sytuacji pani Leroi, znanej jedynie eleganckiemu światu, i nie wątpili, że przyjęcia pani de Villeparisis były — jak o tym są dziś przekonani czytelnicy jej pamiętników — najświetniejsze w Paryżu.

Za pierwszą wizytą, jaką, rozstawszy się z Robertem, złożyłem pani de Villeparisis (idąc w tym za radą pana de Norpois, daną memu ojcu), zastałem ją w salonie obitym żółtym jedwabiem, gdzie kanapy oraz cudowne fotele z haftami *beauvais* odcinały się różowym, niemal fioletowym kolorem dojrzałych poziomek. Obok portretów Guermantów i Villeparisis wisiały — ofiarowane przez modele — portrety królowej Marii Amelii, królowej Belgów, księcia de Joinville²³⁰, cesarzowej austriackiej. Pani de Villeparisis, w staroświeckim koronkowym czepeczku (który konserwowała z tym samym inteligentnym zmysłem lokalnej lub historycznej barwy, z jakim hotelarz bretoński, choćby miał klientelę najbardziej paryską, sprytnie konserwuje u kelnerek czepki i szerokie rękawy), siedziała przy stoliku, gdzie, obok pędzli, palety i zaczętej akwareli, stały przed nią w szklankach, w salaterkach, filiżankach, róże mchowe, cynie, kapryfolium, które z powodu napływających w tej chwili gości przestała malować i które robiły wrażenie, iż stroją ładę kwiaciarki, niby na jakimś sztychu z XVIII wieku.

W salonie tym, umyślnie niezbyt ogrzanym, bo margrabina zakatarzyła się, wracając od siebie ze wsi, znajdował się pomiędzy obecnymi archiwista, z którym pani de Villeparisis segregowała rano własnoręczne listy historycznych osobistości, pisane do niej i mające figurować w faksymiliach²³¹ jako dokumenty w pamiętnikach, które właśnie pisała. Był i pewien historyk, uroczysty i onieśmielony, który dowiedziawszy się że margrabina posiada po przodkach portret księżnej de Montmorency²³², przyszedł prosić jej o pozwolenie reprodukcji tego portretu w swoim dziele o Frondzie²³³. Do tych gości przybył mój kolega Bloch, obecnie młody autor dramatyczny, na którego margrabina liczyła, że dostarczy gratis artystów na jej najbliższe koncerty. Prawda, iż kalejdoskop socjalny właśnie się obracał i że sprawa Dreyfusa miała zepchnąć Żydów na ostatni szczebel drabiny społecznej. Ale z jednej strony, na próżno cyklon dreyfusistowski szalał; nie z początkiem burzy fale biją z największą wściekłością. Następnie, pani de Villeparisis, pozwalając większości swojej rodziny grzmieć przeciw Żydom, została dotąd całkowicie obca „Sprawie” i nie interesowała się nią. Wreszcie, młody człowiek jak Bloch, którego nikt nie znał, mógł ujść niezauważony, podczas gdy wielcy reprezentacyjni Żydzi byli już zagrożeni.

Bloch nosił teraz bródkę, binokle, długi tużurek i rękawiczkę niby zwój papirusu w ręce. Rumuni, Egipcjanie i Turcy mogą nie cierpieć Żydów. Ale we francuskim salonie różnice między tymi narodami nie są tak uderzające; Izraelita wchodzący do salonu tak jakby się wylaniał z głębi pustyni, z ciałem pochylonym jak u hieny, z przekrzywioną szyją, rozdający wielkie „salamaleki”²³⁴, doskonale zadowala gust do orientalizmu. Tylko trzeba na to, aby Żyd nie należał do „świata”; inaczej łatwo przybiera wygląd lorda, obyczaje zaś jego „galicyzują się”, tak że krnąbrny nos, rosnąc jak nasturcje w nieoczekiwanych kierunkach, budzi myśl raczej o nosie Maskaryla²³⁵ niż o nosie Salomona²³⁶. Ale Bloch, jeszcze niewyrobiony w salonowej gimnastyce, nieuszlachetniony skrzyżowaniem z Anglią lub Hiszpanią, pozostał dla miłośnika egzotyzy, mimo europejskiego kostiu-

²³⁰książę Joinville — Franciszek Orleański (1818–1900), jeden z synów króla Ludwika Filipa I; admirał marynarki wojennej, utalentowany artysta. [przypis edytorski]

²³¹faksymile (z łac. *fac simile*: rób podobne; lm *faksymilia*) — dokładna reprodukcja dokumentu, podpisu lub rysunku. [przypis edytorski]

²³²księżna Montmorency — Marie-Félicie des Ursins (1600–1666), żona Henriego II de Montmorency; po śmierci męża straconego za zdradę stanu w 1632 zamieszkała w klasztorze. [przypis edytorski]

²³³Fronda — ruch polityczny we Francji w latach 1648–53, występujący przeciwko absolutyzmowi i rządowi kardynała Mazariniego, pełniącego funkcję pierwszego ministra. [przypis edytorski]

²³⁴salamaleki — pozdrowienia; znieksz. *salam alejkum* (ar.): pokój z wami. [przypis edytorski]

²³⁵Maskaryl — typ wesołego i bezczelnego lokaja w dawnej komedii francuskiej (m.in. w sztuce *Wartogłów* Moliera). [przypis edytorski]

²³⁶Salomon — biblijny król Izraela, syn Dawida, słynny z mądrości. [przypis edytorski]

mu, równie dziwny i ciekawy jak Żyd z obrazu Decampa²³⁷. Cudowna potęga rasy, która z głębi wieków pcha przed siebie, aż w dzisiejszy Paryż, w kuluary naszych teatrów, za okienka naszych biur, na pogrzeby, na ulice, nietkniętą falangę²³⁸, stylizującą nowoczesne uczesanie, wchłaniającą i neutralizującą tużurek, pozostaje w sumie całkiem tożsama z falangą asyryjskich skrybów, którzy, odmalowani w uroczystym stroju na fryzie gmachu w Suzie²³⁹, bronią bram pałacu Dariusza. (W godzinę później Bloch wyobrażał sobie, że to przez antysemityzm pan de Charlus dopytywał się, czy on ma imię żydowskie, gdy baron uczynił to jedynie przez estetyczną ciekawość i kult barwy lokalnej). Zresztą pojęcie trwałości ras nieściśle oddaje wrażenie, jakie na nas robią Żydzi, Grecy, Persowie, wszystkie te ludy, którym raczej należałoby zostawić ich różnorodność. Znamy ze starożytnych malowideł twarz dawnych Greków; widzieliśmy Asyryjczyków na frontonie pałacu w Suzie. Otóż kiedy gdzieś w towarzystwie spotkamy ludzi Wschodu, należących do takiej czy innej grupy, odnosimy wrażenie, że mamy przed sobą istoty wywołane mocą spirytyzmu. Zналиśmy jedynie powierzchowny obraz; i oto obraz ten nabral głębi, rozpóściera się w trzech wymiarach, porusza się. Młoda Greczynka, córka bogatego bankiera, modna w tej chwili, podobna jest do jednej z owych figurantek, które w historycznym i estetycznym wraz balecie symbolizują w żywym ciele sztukę helleńską; a jeszcze w teatrze aparat sceniczny banalizuje te obrazy; natomiast widowisko, jakie nam daje wejście do salonu Turczynki lub Żyda, ożywiając figury, czyni je tym dziwniejszymi, tak jakby chodziło istotnie o postacie wywołane mediumiczną siłą. To dusza (lub raczej to niewiele, do czego się sprowadza — dotąd przynajmniej — dusza w tego rodzaju materializacjach), to dusza oglądana dawniej przez nas jedynie w muzeach, dusza dawnych Greków, dawnych Żydów, wyrwana z życia nieznaczącego i transcendentalnego zarazem, zdaje się wykonywać wobec nas tę zdumiewającą mimikę. W młodej Greczynce, która się nam wymyka, na próżno chcielibyśmy uściskać postać podziwianą niegdyś na jakimś wazonie. Miałem wrażenie, że gdybym w świetle salonu pani de Villeparisis sfotografował Blocha, klisze dałyby ten sam obraz Izraela, niepokojący tak, jakby się nie wyłaniał z ludzkości, budzący rozczarowanie, bo mimo wszystko nazbyt podobny jest do ludzkości — obraz typowy dla fotografii z seansów spirytystycznych. Nawet, biorąc ogólniej, błahość słów wygłaszanych przez osoby, pośród których żyjemy, daje nam wrażenie czegoś nadprzyrodzonego — w tym naszym biednym codziennym świecie, gdzie nawet genialny człowiek, od którego spodziewamy się, skupieni koło niego jak koło wirującego stolika, tajemnicy nieskończoności, wypowiada tylko te słowa — te same, które właśnie wyszły z ust Blocha: „Proszę uważać na mój cylinder”.

— Mój Boże, ministrowie, mój drogi panie!... — mówiła właśnie pani de Villeparisis, zwracając się specjalnie do mego dawnego kolegi i nawiązując nić konwersacji, którą przerwało moje wejście. — Nikt wówczas nie chciał przyjmować ministrów. Choć byłam jeszcze bardzo mała, przypominam sobie, jak król prosił mego dziadka, aby zaprosił pana Decazes²⁴⁰ na redutę²⁴¹, gdzie ojciec miał tańczyć z księżną de Berry. „Zrobisz mi przyjemność, Florymondzie”, mówił król. Dziadek, który był trochę głuchy, usłyszawszy „de Castries”, uważał prośbę za zupełnie naturalną. Kiedy zrozumiał, że chodzi o pana Decazes, miał chwilę buntu, ale skłonił się i napisał tegoż samego wieczora do pana Decazes, błagając, aby mu uczynił tę łaskę i zaszczyt i przyszedł do niego na bal w przyszłym tygodniu. Bo ludzie byli grzeczni, drogi panie, w owym czasie; a pani domu nie poprzestałaby na tym, aby przesłać komuś bilet wizytowy, dopisując ręcznie: „filiżanka herbaty” albo

²³⁷Decamps, Alexandre-Gabriel (1803–1860) — francuski malarz i grafik, tworzący romantyczne kompozycje o tematyce orientalnej, inspirowane podróżami do Grecji i Turcji. [przypis edytorski]

²³⁸falanga — w staroż. Grecji zwarty szyk ciężkobrajnej piechoty; dziś przen.: zbity, zwarty szereg ludzi. [przypis edytorski]

²³⁹Suza — staroż. miasto w ob. Iranie, od VI w. p.n.e. stolica administracyjna państwa perskiego; znana m.in. z ruin kompleksu pałacowego króla Dariusza I Wielkiego (ok. 550–485 p.n.e.). Autor błędnie powtarza, że na fryzach w Suzie przedstawieni są Asyryjczycy (których wizerunki są znane z przedstawień w miastach asyryjskich (Niniwie, Nimrud, Kalchu itd.), odkrytych w XIX w., położonych w płn. Mezopotamii, setki kilometrów dalej. [przypis edytorski]

²⁴⁰Decazes, Élie de (1780–1860) — francuski polityk, faworyt króla Ludwika XVIII, premier (1819–1820). [przypis edytorski]

²⁴¹reduta (daw.) — zabawa towarzyska, łącząca bal (często maskowy) oraz grę w karty dla panów i plotki oraz swatanie par dla pań. [przypis edytorski]

„herbata tańcząca”²⁴², albo „herbata z muzyką”. Ale o ile znano grzeczność, znano i impertynencję. Pan Decazes przyjął zaproszenie, ale w wilię²⁴³ zawiadomiono wszystkich, że dziadek, czując się cierpiący, odwołał redutę. Był posłuszny królowi, ale nie oglądał u siebie na balu pana Decazes... Tak, proszę pana, przypominam sobie bardzo dobrze pana Molé; był to człowiek wielkiego dowcipu (dał tego dowód, przyjmując — tak jak przyjął — pana de Vigny w Akademii), ale był bardzo uroczysty; widzę go jeszcze, jak schodzi na obiad u siebie w domu z cylindrem w ręce.

— Och, to bardzo ewokacyjne²⁴⁴ dla epoki dość żałośnie filisterskiej²⁴⁵; bo to był z pewnością powszechny zwyczaj, aby mieć kapelusz w ręku u siebie w domu — rzekł Bloch, pragnąc skorzystać z tej tak rzadkiej sposobności poinformowania się u naocznego świadka o właściwościach arystokratycznego życia z dawnych epok; podczas gdy archiwista, rodzaj przygodnego sekretarza margrabiny, obejmował ją rozczulonym spojrzeniem, zdając się nam mówić: „Nadzwyczajna kobieta, wszystko wie, wszystkich znała, możecie ją pytać, o co chcecie, bajeczna jest”.

— Ale nie — odparła pani de Villeparisis, przysuwając bliżej szklankę pełną kwiatów, które za chwilę miała znów zacząć malować — to był po prostu zwyczaj pana Molé. Nigdy nie widziałam, aby ojciec miał kapelusz u siebie w domu, wyjąwszy, rozumie się, kiedy przychodził król, skoro bowiem król jest wszędzie u siebie, gospodarz domu staje się prostym gościem we własnym salonie.

— Arystoteles²⁴⁶ powiada nam w rozdziale drugim... — zaryzykował pan Adam, historyk Frondy, ale tak nieśmiało, że nikt tego nie zauważył. Trapiiony od kilku tygodni nerwową bezsennością, opierającą się wszelkiemu leczeniu, nie kładł się już wcale i zmęczony zmęczeniem wychodził tylko wtedy, kiedy jego prace tego wymagały. Niezdolny podejmować często tych wypraw, tak prostych dla innych, a jego kosztujących tyle co wyprawa na Księżyc, konstatawał ze zdziwieniem, że życie większości ludzi nie jest stale zorganizowane w tym sensie, aby zapewnić maksimum wydajności nagłym zrywom jego energii. Często zastawał zamkniętą bibliotekę, do której wybrał się, skupiwszy całą siłę woli i w tużurku niby człowiek z Wellsa²⁴⁷. Szczęściem, zastał panią de Villeparisis w domu i miał ujrzeć portret.

Bloch przerwał mu w pół zdania.

— Doprawdy — rzekł, odpowiadając na słowa pani de Villeparisis w przedmiocie ceremoniału wizyt królewskich — absolutnie tego nie wiedziałem (jak gdyby to było dziwne, że on tego nie wiedział).

— À propos tego rodzaju wizyt, czy pan wie, na jaki głupi concept wpadł wczoraj mój siostrzeniec Błażej? — spytała archiwisty pani de Villeparisis. — Zamiast się zaanonsować, kazał mi powiedzieć, że przyszła królowa szwedzka.

— Cha, cha! tak sobie: „królowa szwedzka”, ni z tego ni z owego. Dobry kawał! — parsknął Bloch, podczas gdy historyk uśmiechnął się z majestatyczną nieśmiałością.

— Zdziwiłam się trochę, bo wróciłam ze wsi dopiero od kilku dni; chcąc mieć trochę spokoju, prosiłam, aby nikomu nie mówiono, że jestem w Paryżu; toteż zastanawiałam się, jakim cudem królowa już wie o moim powrocie — odparła pani de Villeparisis, pograżając swoich gości w zdumieniu tym, że wizyta królowej szwedzkiej nie jest dla gospodyni domu sama przez się niczym anormalnym.

Niewątpliwie pani de Villeparisis, która przez całe rano porządkowała z archiwistą dokumenty do swoich pamiętników, w tej chwili bezwiednie próbowała ich działania na przeciętną publiczność — dającą skrót tej, z której będą się kiedyś składali jej czytelnicy. Salon pani de Villeparisis nie był salonem naprawdę eleganckim; na to margrabina przyjmowała zbyt wiele „pań miasta”, a w zamian brakło tam niejednej ze świetnych dam,

²⁴²*herbata tańcząca* (fr. *thé dansant*) — popołudniowe tańce z drobnym poczęstunkiem, organizowane w tradycyjnej porze picia herbaty, popularne w 2 poł. XIX w. i pierwszych dekadach XX w., początkowo na przedmieściach, w miastach garnizonowych, w kąpieliskach itp. [przypis edytorski]

²⁴³*wilia* (daw.) — wigilia, przeddzień, tj. dzień poprzedzający ważne wydarzenie. [przypis edytorski]

²⁴⁴*ewokacyjny* (książk.) — przedstawiający lub wywołujący wspomnienia. [przypis edytorski]

²⁴⁵*filisterski* — cechujący filistrów, tj. mieszcuchów o ograniczonych horyzontach. [przypis edytorski]

²⁴⁶*Arystoteles* Arystoteles (384–322 p.n.e.) — grecki filozof i przyrodnik, najwyszczehroniejszy z uczonych starożytnych, osobisty nauczyciel Aleksandra Wielkiego. [przypis edytorski]

²⁴⁷*Wells*, *George Herbert* (1866–1946) — pisarz brytyjski, jeden z pionierów fantastyki naukowej. [przypis edytorski]

które zdołała ściągnąć do siebie pani Leroi; ale nikt by się tego nie domyślił z jej pamiętników. Tam niektóre mniej świetne stosunki autorki nikną, bo nie ma sposobności ich cytować; nieobecnych zaś nie czuje się braku, bo na przestrzeni, siłą rzeczy ograniczonej, jaką ogarniają te pamiętniki, może figurować niewiele osób; jeżeli więc te osoby należą do rodów monarszych lub figur historycznych, ostateczne wrażenie pamiętnika na publiczności sięga maksimum wykwintu. Zdaniem pani Leroi, salon pani de Villeparisis był czymś trzeciorzędnym, i ten sąd pani Leroi bolał panią de Villeparisis. Ale nikt już prawie nie wie, kim była pani Leroi; jej sąd ulotnił się, a salon pani de Villeparisis, gdzie bywała królowa szwedzka, gdzie bywali książę d'Aumale²⁴⁸, książę de Broglie²⁴⁹, Thiers²⁵⁰, Montalambert²⁵¹, biskup Dupanloup²⁵², przetrwa jako jeden z najświetniejszych salonów XIX wieku dla tej potomności, która nie zmieniła się od czasu Homera i Pindara²⁵³ i dla której godną zazdrości rangą jest wysokie urodzenie — królewskie lub omal że królewskie — przyjaźń królów, wodzów narodu, znamienitych mężów.

Otóż wszystko to miała pani de Villeparisis po trosze w swoim obecnym salonie i w swoich wspomnieniach, czasem lekko retuszowanych, przy których pomocy przedłużała go w przeszłość. Następnie pan de Norpois, niezdolny odbudować swojej przyjaciółce prawdziwej sytuacji, przyprowadzał jej w zamian zagranicznych lub francuskich mężów stanu, którzy go potrzebowali i którzy wiedzieli, że jedynym skutecznym sposobem zyskania jego łask jest bywać u pani de Villeparisis. Może i pani Leroi знаła te europejskie znakomitości. Ale jako kobieta miła i unikająca tonu sawantki, strzegła się mówić o kwestii wschodniej z premierami, zarówno jak o istocie miłości z powieściopisarzami i filozofami. „Miłość? — odparła raz pretensjonalnej damie, która spytała jej: »Co pani myśli o miłości?«. — Miłość uprawiam często, ale nie mówię o niej nigdy”. Kiedy pani Leroi miała u siebie owe świeczniki literatury i polityki, poprzestawała, jak księżna de Guermantes, na tym, aby im urządzić partyjkę pokera. Często woleli to niż programowe rozmowy na wielkie tematy, do jakich ich zmuszała pani de Villeparisis. Ale te rozmowy, może śmieszne w towarzystwie, dostarczyły *Wspomnieniom* pani de Villeparisis kapitalnych ustępów, dysertacji²⁵⁴ politycznych, które dobrze robią w pamiętnikach, jak w tragediach Corneille'a. Zresztą jedynie salony pań de Villeparisis mogą przejść do potomności, bo panie Leroi nie umieją pisać, a choćby umiały, nie miałyby na to czasu. I jeżeli żyłka literacka pań de Villeparisis jest przyczyną lekceważenia ze strony pań Leroi, wzgarda znowuż pań Leroi osobliwie wspomaga żyłkę literacką pań de Villeparisis, zostawiając sawantkom wczasy, jakich wymaga kariera literacka. Bóg, który chce, aby istniało trochę dobrze napisanych książek, podsyca w tym celu wzgardę w sercu pań Leroi, bo wie, że gdyby panie Leroi zapraszały na obiady panie de Villeparisis, te rzuciłyby natychmiast pióro i kazałyby zaprzęgać na ósmą.

W pewnym momencie weszła wolnym i uroczystym krokiem stara dama słusznego wzrostu, która pod odwiniętym słomkowym kapeluszem obnosiła monumentalną białą fryzurę *à la Marie-Antoinette*²⁵⁵. Nie wiedziałem wówczas, że to jest jedna z trzech kobiet, które można było jeszcze obserwować w paryskim towarzystwie i które, jak pani de Villeparisis, mimo iż pochodząc z wielkiego rodu, skazane były na towarzystwo samych odpadków swojego świata. Racje tego ostracyzmu gubiły się w mroku lat; mógłby coś o nich powiedzieć jedynie jakiś elegant współczesnej im epoki. Każda z tych dam miała swoją „księżnę de Guermantes”, swoją świetną siostrzenicę, która składała jej powinne wizyty, ale żadna nie zdołałaby ściągnąć do siebie „księżnej de Guermantes” dwóch tam-

²⁴⁸ Henryk Orleański, książę d'Aumale (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

²⁴⁹ Broglie, Achille Charles de (1785–1870) — francuski książę, polityk; premier (1830 i 1835–1836), przywódca prawicy w Zgromadzeniu Narodowym. [przypis edytorski]

²⁵⁰ Thiers, Louis Adolphe (1797–1877) — francuski historyk i polityk, wsławiony stłumieniem komuny paryskiej. [przypis edytorski]

²⁵¹ Montalambert, Charles de (1810–1870) — francuski pisarz, historyk i działacz katolicki, inicjator ruchu katolików liberalnych. [przypis edytorski]

²⁵² Dupanloup, Félix (1802–1878) — biskup francuski, filozof. [przypis edytorski]

²⁵³ Pindara (ok. 520–ok. 438 p.n.e.) — wybitny poeta grecki, twórca liryki chóralnej, znany gł. z utworów na cześć zwycięzców igrzysk. [przypis edytorski]

²⁵⁴ dysertacja (daw.) — rozumowanie, dyskusja, roztrząsanie jakiegoś problemu, badanie; dziś: rozprawa naukowa. [przypis edytorski]

²⁵⁵ *à la Marie-Antoinette* (fr.) — na wzór Marii Antoniny. [przypis edytorski]

tych. Pani de Villeparisis żyła bardzo blisko z tymi trzema damami, ale ich nie lubiła. Może ich położenie, dość podobne do jej własnego losu, odbijało obraz, który nie był jej miły. Następnie te skwaśniałe sawantki, starając się liczbą „saynetek”²⁵⁶ odegranych pod swoim patronatem stworzyć iluzję salonu, rywalizowały z sobą, niemal walczyły o byt, ile że majątek każdej z nich, nadwerężony w ciągu burzliwej egzystencji, zmuszał je do liczenia się z groszem, do korzystania z gratisowego udziału jakiegoś artysty. Co więcej, dama z fryzurą *à la Marie-Antoinette*, ilekroć widziała panią de Villeparisis, nie mogła się powstrzymać od myśli, że księżna de Guermentes nie przychodzi na jej piątki. Pocięchą jej było, że piątków tych nie opuszcza nigdy — jako dobra kuzynka — księżna de Poix, która była jej „księżną de Guermentes” i która znowuż nigdy nie bywała u pani de Villeparisis, mimo iż będąc serdeczną przyjaciółką księżnej de Guermentes.

Jednakże między pałacem na quai Malaquais a salonami przy ulicach du Tournon, de la Chaise i du Faubourg Saint-Honoré węzeł równie silny jak znieawidzony łączył trzy upadłe bóstwa, o których bardzo rad byłbym się dowiedzieć, przeglądając jakiś mitologiczny słownik wielkiego świata, co za awanturka miłosna, co za świętokradzki wybryk sprowadziły tę karę. To samo świetne pochodzenie, ten sam obecny upadek odgrywały może dużą rolę w konieczności, która im kazała wraz nie cierpieć się i przestawać z sobą. Następnie, każda z nich znajdowała w osobach swoich przyjaciółek wygodny sposób świadczenia grzeczności swoim gościom. Jakimż cudem goście ci nie czuliby się w najbardziej zamkniętym świecie, kiedy ich przedstawiono wysoko utytułowanej damie, której siostra zaślubiła księcia de Sagan czy de Ligne! Tym bardziej że w dziennikach o wiele więcej mówiono o tych rzekomych salonach niż o prawdziwych. Nawet eleganccy siostrzeńcy (pierwszy Saint-Loup), kiedy jakiś kolega prosił ich, aby go wprowadzili w świat, mówili: „Zaprowadzę cię do mojej ciotki Villeparisis, to interesujący salon”. Wiedzieli zwłaszcza, że to im przysporzy mniej trudu niż wprowadzić owych przyjaciół do wykwiutnych siostrzenic lub szwagierek tych dam. Ludzie bardzo wiekowi, młode kobiety, które dowiedziały się tego od nich, powiadali mi, że jeżeli tych starszych dam nie przyjmowano, to dla nadmiernej swobody ich życia; na moją zaś obiekcję, że to nie jest przeszkoda do dobrego tonu, odpowiedziano mi, że to było coś przechodzącego wszystkie znane dziś proporcje. Wyuzdanie tych uroczystych dam, które siedziały wyprostowane, stawało się w ustach osób świadomych rzeczy czymś, czego bym sobie nie zdołał wyobrazić, na miarę przedhistorycznych epok mamuta. Krótko mówiąc, te trzy Parki²⁵⁷ o białych, niebieskich lub różowych włosach, przyczyniły się do ruiny nieprawdopodobnej ilości mężczyzn. Myślałem, że dzisiejsi ludzie wyolbrzymiają przywary owych bajecznych czasów, jak Grecy stwarzający Ikara, Tezeusza, Herkulesa z ludzi mało odmiennych od tych, którzy ubóstwili te postacie po wielu latach. Ale błędy danej istoty podsumowuje się dopiero wtedy, kiedy ta osoba nie bardzo jest już w stanie ich powtarzać; z rozmiarów kary socjalnej — która zaczyna się spełniać i którą jedynie stwierdzamy — oceniamy, wyobrażamy sobie, przesadzamy rozmiar popełnionej zbrodni. W tej galerii symbolicznych figur, jaką jest „świat”, kobiety naprawdę lekkie, kompletne Messaliny²⁵⁸, mają zawsze uroczystą postać damy co najmniej siedemdziesięcioletniej, wyniosłej, która przyjmuje tyle, ile może, ale nie tych, których by chciała; u której nie chcą być kobiety mające swoje grzeszki; jest to dama, której nieodmiennie papież daje „złotą różę” i która czasami napisała o młodości Lamartine’a²⁵⁹ dzieło uwieńczone przez Akademię Francuską.

— Dzień dobry, Alix — rzekła pani de Villeparisis do damy z białą fryzurą *à la Marie-Antoinette*, która to dama objęła przenikliwym okiem zebranie, aby sprawdzić, czy nie ma w tym salonie jakiegoś egzemplarza, który mógłby się nadać do jej salonu, a który w tym wypadku powinna odkryć sama, bo pani de Villeparisis, nie ma co o tym wątpić, umiałaby go przed nią przebiegle ukryć. I tak, pani de Villeparisis strzegła się pilnie przedstawić starej damie Blocha, z obawy, aby nie wystawił w salonie przy quai

²⁵⁶ *saynetka* (neol.; z fr. *saynète*) — scenka; komedijka. [przypis edytorski]

²⁵⁷ *Parki* (mit. rzym.) — trzy boginie przeznaczenia, przędące i przecinające nić ludzkiego losu. [przypis edytorski]

²⁵⁸ *Messalina, Valeria* (ok. 17–40) — trzecia żona rzym. cesarza Klaudiusza, znana z urody i licznych kochanków. [przypis edytorski]

²⁵⁹ *Lamartine, Alphonse de* (1790–1869) — francuski poeta, polityk liberalny; tradycyjnie uznawany za prekursora francuskiego romantyzmu; członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

Malaquais tej samej „saynetki” co u niej. Było to zresztą jedynie wet za wet. Bo w wilię tego dnia pani Ristori²⁶⁰ deklamowała w salonie starej damy, baczącej pilnie, aby pani de Villeparisis, której zwędziła włoską artystkę, usłyszała o tym aż po fakcie. Iżby się o tym nie dowiedziała z gazet i nie obraziła się, stara dama przyszła jej to opowiedzieć, jakoby w niewinności ducha.

Pani de Villeparisis, uważając, że moja prezentacja nie grozi tym, co znajomość z Blochem, przedstawiła mnie fałszywej Marii Antoninie. Ta, starając się możliwie najmniej poruszać, aby na przekór wiekowi ocalić ową linię bogini Coysevoxa²⁶¹, która przed wielu laty czarowała wytworną młodzież, a którą quasi-poeci opiewali teraz w lichych rymach — przybrawszy zresztą styl wyniosłej sztywności, wspólnej osobom, które zły los skazał na ustawiczne robienie awansów — skinęła lekko głową z lodowatym majestatem, po czym, obracając się w inną stronę, przestała się mną zajmować, tak jakbym nie istniał. Zachowanie się jej miało podwójną intencję; zdawało się mówić pani de Villeparisis: „Widzisz, że nie zależy mi na jednym stosunku więcej i że młodzi ludzie — z żadnego punktu widzenia, ty jaszczurko — nie interesują mnie”. Ale kiedy, w kwadrans potem, owa dama wychodziła, wówczas korzystając z zamętu, szepnęła mi, abym przyszedł w piątek do jej łoża, gdzie spotkam jedną ze starych dam, której wspaniałe nazwisko — była zresztą z domu Choiseul — zrobiło na mnie kolosalne wrażenie.

— Proszę pana, coś mi się widzi, że pan chce pisać o księżnej de Montmorency — rzekła do historyka Frondy pani de Villeparisis, owym szorstkim tonem, jakim bezwiednie chmurzyła się jej uprzejmość, przez pomarszczony dąs, przez fizjologiczny żal starości, zarówno jak przez afektację w podrabianiu chłopskiego niemal tonu dawnej arystokracji. — Pokażę panu jej portret, oryginał kopii znajdującej się w Luwrze.

Wstała, składając pędzle obok kwiatów. Fartuszek, którym była przepasana i który nosiła, aby się nie powalać farbami, podkreślał jeszcze charakter niemal wieśniaczy, jaki jej dawały wielkie okulary i czepek, stanowiąc kontrast z elegancją służby, kamerdynera wnoszącego herbatę i ciasteczka, lokaja w liberii, na którego margrabina zadzwoniła, aby oświetlił portret księżnej de Montmorency, ksieni²⁶² jednego z najświetniejszych klasztorów wschodnich kresów Francji. Wszyscy wstali.

— Co jest dosyć zabawne — rzekła pani de Villeparisis — to że w owych klasztorach, gdzie nasze cioteczne babki bywały przeoryszami, nie przyjęto by córek króla Francji. To były kapituły bardzo zamknięte.

— Nie przyjęto by córek króla Francji, a to czemu? — spytał zdumiony Bloch.

— Ależ temu, że dom francuski nie miał dosyć pokoleń szlacheckich, od czasu jak popełnił mezalians.

Zdumienie Blocha rosło.

— Dom francuski mezalians? Z kim?

— No, z Medyceuszami — odparła najnaturalniej pani de Villeparisis. — Piękny portret, nieprawdaż, i doskonale zachowany — dodała.

— Droga — rzekła dama uczesana *à la Marie-Antoinette* — przypominasz sobie, że kiedyś ci przyprowadziła Liszta²⁶³, Liszt powiedział, że ten portret to kopia.

— Gotowa jestem zawsze schylić głowę przed opinią Liszta w muzyce, ale nie w malarstwie. Zresztą on już był ramol i nie przypominam sobie, aby to kiedy powiedział. Ale to nie ty mi go przyprowadziłaś; jadłam z nim dwadzieścia razy obiad u księżnej de Sayn-Wittgenstein.

Strzał Alix spudłował; zamilkła, stała wyprostowana, bez ruchu. Twarz jej, pokryta grubą warstwą pudru, robiła wrażenie twarzy z kamienia. Ze swoim szlachetnym profilem była podobna do spijającej się bogini w parku, na trójkątnym i omszonym cokole okrytym mantylką²⁶⁴.

— A! jeszcze jeden piękny portret — rzekł historyk.

Drzwi się otwarły, weszła księżna de Guermantes.

Król, Szlachcic, Krew,
Obyczaje

²⁶⁰Ristori, *Adelaide* (1822–1906) — włoska aktorka, wybitna tragiczka swojej epoki. [przypis edytorski]

²⁶¹Coysevox, *Antoine* (1640–1720) — francuski rzeźbiarz barokowy. [przypis edytorski]

²⁶²ksieni — przełożona klasztoru, przeorysza. [przypis edytorski]

²⁶³Liszt, *Ferenc* (1811–1886) — kompozytor i pianista węgierski epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

²⁶⁴mantylka — szal, często ozdobny, noszony daw. przez kobiety na ramionach, a niekiedy również okrywający głowę. [przypis edytorski]

— Jak się masz — rzekła jej bez skinienia głową pani de Villeparisis, wyjmując z kieszeni fartucha rękę, którą podała nowo przybyłej; po czym natychmiast przestała się nią zajmować, zwracając się do historyka:

— To portret księżnej de la Rochefoucauld²⁶⁵.

Młody służący o śmiałej minie i twarzy uroczej (ale — co przydawało jej doskonałości — nieco zuchwalej, przy czym zaczerwieniony nieco nos i lekko zadrażniona skóra dawały złudzenie, że zachowały jakby ślad dłuta rzeźbiarza) wszedł, niosąc bilet na tacy.

— To ten pan, który już kilka razy pytał o panią margrabinę.

— Powiedziałeś mu że przyjmuję?

— Słyszał głosy.

— Więc dobrze, niech będzie, wpuść. To jakiś pan, którego mi przedstawiono — rzekła pani de Villeparisis. — Oświadczył, że bardzo by pragnął złożyć mi wizytę. Nigdy nie upoważniłam go do tego. Ale, ostatecznie, już piąty raz się fatyguję, nie trzeba ludzi urażać. Panowie — rzekła do mnie i do historyka Frondy — przedstawiam panom moją siostrzenicę, księżną de Guermantes.

Historyk skłonił się głęboko (tak samo ja) i jak gdyby przypuszczał, że jakaś serdeczna wymiana słów powinna nastąpić po tym ukłonie, oczy jego zabyły i gotował się otworzyć usta, kiedy go ostudził wygląd pani de Guermantes. Księżna skorzystała z autonomii swojego torsu, aby go rzucić naprzód z przesadną grzecznością i cofnąć go ściśle na dawne miejsce, nie zdradzając twarzy ani spojrzeniem, aby zauważyła, że ktoś znajduje się na wprost niej; wydawszy lekkie westchnienie, poprzestała na stwierdzeniu nikłości wrażenia odniesionego z osoby zarówno mojej, jak z osoby historyka, poruszając skrzydłami nosa z precyzją, która świadczyła o absolutnej inercji jej niezatrudnionej uwagi.

Niewczesny gość wszedł, krocząc prosto ku pani de Villeparisis z naiwną i żarliwą miną: był to Legrandin.

— Dziękuję pani bardzo, że mnie pani raczyła przyjąć — rzekł, kładąc nacisk na słowie „bardzo” — przyjemność, jakiej pani użycza staremu samotnikowi, jest czymś tak rzadkim i subtelnym, iż zapewniam panią, że oddziwięk, który...

Urwał, spostrzegając mnie.

— Pokazywałam właśnie panom piękny portret księżnej de la Rochefoucauld, żony autora *Maksym*; od wieków jest w rodzinie.

Pani de Guermantes przywitała się z Alix, usprawiedliwiając się, że tego roku, jak innych, nie mogła być u niej.

— Miałam o pani wiadomości przez Magdalenę — dodała.

— Była u mnie dziś na śniadaniu — rzekła markiza z quai Malaquais, myśląc z satysfakcją, że nigdy pani de Villeparisis nie mogłaby się pochwalić tym samym.

Tymczasem ja rozmawiałem z Blochem. Bojąc się — wedle tego, co mi mówiono o odmianie jego ojca w stosunku do niego — aby nie zazdrościł mojej egzystencji, wyraziłem przeświadczenie, że jego życie musi być szczęśliwsze. Powiedziałem to po prostu przez uprzejmość. Ale taka uprzejmość łatwo przekonuje o ich przewadze ludzi bardzo próżnych lub budzi w nich chęć przekonania innych.

— Tak, w istocie, pędzę życie wręcz rozkoszne — rzekł Bloch z wyrazem upojenia. — Mam trzech serdecznych przyjaciół, nie życzyłbym sobie ani jednego więcej, mam uroczą kochankę, jestem nieskończenie szczęśliwy. Rzadki jest śmiertelny, któremu by ojciec Zeus²⁶⁶ użyczył tyle szczęśliwości.

Przypuszczam, że Bloch chciał się zwłaszcza pochwalić i obudzić we mnie zazdrość. Może była też jakaś chęć oryginalności w jego optymizmie. Widoczne było, że nie chce odpowiadać tymi banalnościami co wszyscy („Och, to drobiazg” itd.), kiedy na moje pytanie, jak się udał wyprawiony przez niego wieczorek tańczący, na którym nie mogłem być, Bloch odpowiedział spokojnie i obojętnie, tak jakby chodziło o kogoś innego:

— Ależ tak, to było bardzo ładne, nad wyraz udane. To było naprawdę urocze.

— To, co nam pani mówi, interesuje mnie nieskończenie — rzekł Legrandin do pani de Villeparisis. — Właśnie sobie powiadałem kiedyś, że pani ma wiele z autora

²⁶⁵Księżna de la Rochefoucauld — Andrée de Vivonne, żona (od 1628) księcia François de la Rochefoucauld (1613–1680), francuskiego pisarza i filozofa, znanego ze swoich pesymistycznych aforyzmów. [przypis edytorski]

²⁶⁶Zeus (mit. gr.) — najwyższy bóg, władca nieba, bogów i ludzi, pan piorunów. [przypis edytorski]

Maksym w czystości chwytu, coś, co bym określił dwoma sprzecznymi terminami: lapidarna zwinność i nieśmiertelna błyskawiczność. Chętnie bym dziś notował, co pani mówi; ale zapamiętam. To są rzeczy (wedle wyrażenia, zdaje mi się, Jouberta²⁶⁷) przyjazne pamięci. Nie czytała pani nigdy Jouberta? Och! tak byłaby mu się pani podobała! Pozwolę sobie dziś jeszcze przesłać pani jego dzieła; dumny będę, że mogę pani sprezentować jego inteligencję. Nie posiadał pani siły, ale miał też dużo wdzięku.

Byłbym chciał zaraz przywitać się z panem Legrandin, ale wciąż trzymał się ode mnie możliwie najdalej, zapewne w tej nadziei, że nie dosłyszę bardzo wyszukanych pochlebstw, jakimi bez przerwy i pod lada pretekstem okadzał panią de Villeparisis.

Wzruszyła z uśmiechem ramionami, tak jakby on sobie z niej żartował, i obróciła się do historyka:

— A to jest sławna Maria de Rohan, księżna de Chevreuse, z pierwszego męża księżna de Luynes.

— Moja droga, pani de Luynes przywodzi mi na myśl Yolandę; zaszła właśnie do mnie wczoraj; gdybym wiedziała, że masz wieczór wolny, byłabym posłała po ciebie. Pani Ristori, która przyszła niespodzianie, wygłosiła w obecności autorki wiersze królowej Carmen Sylvy²⁶⁸; to było coś cudownego!

„Co za perfidia! — pomyślała pani de Villeparisis. — To z pewnością o tym rozmawiała kiedyś po cichu z panią de Beaulaincourt i z panią Chaponay”.

— Byłam wolna, ale nie byłabym przyszła — odparła — słyszałam panią Ristori za jej dobrych czasów; teraz to już jest ruina. Przy tym nie cierpię wierszy Carmen Sylvy. Ristori była tu raz, przyprowadzona przez księżną d'Aoste, aby powiedzieć jedną pieśń z *Piekła* Danta²⁶⁹. Oto w czym jest niezrównana.

Alix zniosła cios bez drgnienia. Pozostała jak z marmuru. Spojrzenie jej było przenikliwe i puste, nos szlachetnie orli. Ale jeden z jej policzków łuszczył się. Lekkie, dziwne, zielonorożowe vegetacje pokrywały podbródek. Jedna zima więcej może by ją zwała.

— O, proszę pana, jeżeli pan lubi malarstwo, niech pan spojrzy na portret pani de Montmorency — rzekła margrabina do pana Legrandin, aby przerwać nową falę komplementów.

Korzystając z tego, że Legrandin się oddalił, pani de Guermantes wskazała go ciotce ironicznym i pytającym spojrzeniem.

— To pan Legrandin — rzekła półgłosem pani de Villeparisis — ma siostrę, która się nazywa pani de Cambremer, co ci z pewnością mówi nie więcej niż mnie.

— Jak to, ależ ja ją doskonale znam! — wykrzyknęła pani de Guermantes, zasłaniając sobie usta ręką. — Lub raczej nie znam jej, ale nie wiem, co napadło Błażeja, który spotyka licha wie gdzie jej męża, aby powiedzieć tej grubej babie, żeby się do mnie wybrała z wizytą. Nie umiem opisać, co to była za wizyta! Opowiedziała mi, że była w Londynie, wyliczyła wszystkie obrazy z *British*²⁷⁰. Jak mnie ciocia widzi, wychodząc od cioci, idę rzucić bilet temu potworowi. I niech ciocia nie myśli, aby to była najłatwiejsza rzecz; bo pod pozorem, że jest umierająca, ona nieprzerwanie siedzi w domu, i czy się przyjdzie o siódmą wieczór, czy o dziewiątą rano, zawsze jest gotowa uraczyć człowieka plackiem z truskawkami. Ale rozumie się, tak, to potwór — potwierdziła pani de Guermantes na pytające spojrzenie ciotki. To osoba niemożliwa: ona mówi „piszczyk”, słowem, rzeczy tego rodzaju.

— Co to jest „piszczyk”? — spytała pani de Villeparisis siostrzenicy.

— Ależ ja nie mam pojęcia! — wykrzyknęła księżna z udanym oburzeniem. — Nie chcę wiedzieć. Ja nie mówię tym językiem.

I widząc, że ciotka naprawdę nie wie, co znaczy „piszczyk”, aby mieć przyjemność okazania, że jest w równym stopniu wykształcona jak purystka, i aby zadrwić z ciotki, za-

²⁶⁷Joubert, *Joseph* (1754–1824) — francuski moralista i eseista, znany głównie ze swoich *Pensées* (Myśli, 1838). [przypis edytorski]

²⁶⁸*Carmen Sylva* — literacki pseudonim królowej Rumunii Elżbiety (1843–1916). [przypis edytorski]

²⁶⁹*Danta* (daw.) — dziś popr. forma B.: *Danteo*; *Dante Alighieri* (1265–1321): filozof i polityk, jeden z najwybitniejszych poetów włoskich, autor poematu *Boska Komedia*, uważanego za szczytowe osiągnięcie średnio-wiecznej literatury włoskiej, przedstawiającego wizję wędrowki poety przez trzy światy pozagrobowe, Piekło, Czyściec i Raj. [przypis edytorski]

²⁷⁰*British* — tu: *British Museum*, Muzeum Brytyjskie w Londynie, największe muzeum Wielkiej Brytanii i jedno z największych na świecie. [przypis edytorski]

drwiwszy poprzednio z pani de Cambremer, rzekła na wpół ze śmiechem, powściąganym przez resztki udanego złego humoru:

— Ależ tak, to wszyscy wiedzą; „piszczyk” to jest pisarz w sensie pejoratywnym. Ale to jest ohydne słowo. To może język skrzyć. Nigdy mnie nikt nie zmusi, abym to wymówiła. Jak to — dodała — to jest jej brat? Jeszcze go nie zlokalizowałam. Ale, w gruncie, to jest rzecz do pojęcia. Ona ma tę samą płaskość dywanika sprzed łóżka i te same zasoby intelektualne okrzężnej biblioteczki. Jest równie nadskakująca i równie nudna. Zaczynam się oswajać z ideą tego pokrewieństwa.

— Usiądź, zaraz nam dadzą herbaty — rzekła pani de Villeparisis do księżnej. — Obsłuż się sama, ty nie potrzebujesz oglądać portretów swoich prababek, znasz je równie dobrze jak ja.

Niebawem pani de Villeparisis usiadła i wzięła się do malowania. Wszyscy zbliżyli się do niej; skorzystałem z tego, aby podejść do pana Legrandin. Nie widząc nic występnego w jego obecności u pani de Villeparisis, rzekłem, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo go zranię, i budząc w nim zarazem przeświadczenie, że go zranił rozmyślnie:

— I cóż, proszę pana, czuję się niemal rozgrzeszony z obecności swojej w salonie, skoro pana w nim spotykam.

Pan Legrandin wywnioskował z tych słów (taki przynajmniej sąd wydał o mnie w kilka dni później), że jestem szczególnie źle ladaco, znajdujące rozkosz w tym, aby komuś dokuczyć.

— Mógłby pan być na tyle grzeczny, aby się ze mną wprzód przywitać — odparł, nie podając mi ręki, wścickłym i trywialnym głosem, którego w nim nie podejrzewałem i który, nie będąc w racjonalnym związku z tym, co Legrandin mówił zazwyczaj, zdradzał inny, bardziej bezpośredni i uderzający, związek z czymś, co odczuwał. A ponieważ jesteśmy zdecydowani ukryć na zawsze to, co czujemy, nigdy nie pomyśleliśmy o sposobie, w jaki byśmy to wyrazili. I nagle daje się w nas słyszeć, niby potworna i nieznaną bestia, zwierzę, którego głos może wręcz przestraszyć kogoś, kto przejmuje to mimowolnie, pośrednie i prawie że nieodparte zwierzenie naszej wady lub przywary; przestraszyć tak, jak przestraszyłoby nagle, pośrednio i dziwacznie wyrażone wyznanie zbrodniarza, niezdolnego się wstrzymać od przyznania się do morderstwa, o któregoś go nie posądzali. Zapewne, wiedziałem, że idealizm — nawet subiektywny — nie przeszkodzi wielkiemu filozofowi być łakomym lub zabiegać wytrwale o fotel w Akademii. Ale doprawdy Legrandin niepotrzebnie przypominał tak często, że jest „z innej planety”, skoro wszystkie konwulsyjne odruchy jego gniewu lub uprzejmości płynęły z chęci dobrego uplasowania się na tej.

— Oczywiście, kiedy mnie ktoś nęka dwadzieścia razy z rzędu, aby mnie gdzieś ściągnąć — dodał półgłosem — wówczas, mimo że mam prawo do swobody, nie mogę przecież okazać się chamelem.

Pani de Guermantes siadła. Nazwisko jej, któremu towarzyszył tytuł, spowijał jej fizyczną osobę w owo księstwo, rozpościerające się dokoła niej i rodzące cienisty i złożony chłód lasów Guermantes w tym salonie, dokoła pufa, na którym siedziała. Czulem się tylko zdziwiony, że podobieństwo to nie było czytelniejsze na twarzy księżnej, niemającej nic roślinnego; co najwyżej na policzkach — które powinny by być naznaczone herbem Guermantes — widniały drobne żyłki, będące skutkiem (ale nie obrazem) długich konnych spacerów na wietrze. Później, kiedy mi się księżna stała obojętna, poznałem wiele jej cech; mianowicie (aby się na razie ograniczyć do tego, czego urokowi już bezwiednie i nieświadomie ulegałem) oczy jej, w których zamknięte było, niby na jakim obrazie, błękitne niebo francuskiego popołudnia, czyste, skąpane w świetle, nawet kiedy to światło nie lśniło; głos w pierwszej chwili jak gdyby zachrypnięty, niemal gminny, w którym włączyło się, niby na stopniach kościoła w Combray lub cukierni na rynku, leniwe i tłuste złoto prowincjonalnego słońca. Ale tego pierwszego dnia nie rozróżniałem nic; moja żarliwa uwaga rozpylała natychmiast to niewiele, co mogłem pochwycić i w czym mógłbym odnaleźć coś z nazwiska „Guermantes”. W każdym razie powiadałem sobie, że to ją niewątpliwie oznacza dla całego świata nazwisko księżnej de Guermantes; że to właśnie ciało zawiera niepojęte życie określone tym nazwiskiem; wprowadziło ją oto w sferę odmiennych istot, w ten salon, który ją otaczał ze wszystkich stron, a od którego odcinała się tak żywo, że widziałem niejako, tam gdzie to życie przestało się rozpościerać,

smugę wrzenia określając jej granice: w obwodzie, jaki rysował na dywanie krąg niebieskiej jedwabnej spódnicy, i w jasnych źrenicach księżnej, w przecięciu zainteresowań, wspomnień i niepojętej, wzgardliwej, rozbawionej i ciekawej myśli, która je wypełniała, oraz odbijających się w nich zewnętrznych obrazów. Byłbym może nieco mniej wzruszony, gdybym spotkał księżnę u pani de Villeparisis na wieczorze, zamiast ją spotkać na jednym z „żurków” margrabiny, na „herbacie”, która jest dla kobiet tylko krótkim postojem w rozkładzie dnia i gdzie, zostając w kapeluszu, w którym uganiały po mieście, wnoszą w amfiladę²⁷¹ salonów woń powietrza ulicy, szerzej wpuszczając w nie schyłek paryskiego popołudnia, niż to czynią wysokie otwarte okna, przez które dochodzi turkot powozów. Pani de Guermites miała słomkowy *canotier*, strojny bławatkami; a kwiaty te przywodziły mi na pamięć nie słońca odległych lat na bruzdach Combray, opodal żywoplotu w Tansonville, gdzie tak często zrywałem te bławatki, ale zapach i pył zmierzchu, w którym dopiero co kąpała się pani de Guermites na ulicy de la Paix. Z uśmiechniętą, wzgardliwą i zagadkową miną, krzywiąc lekko zaciśnięte wargi, rysowała kółka na dywanie końcem parasolki niby ostatnią macką swego tajemniczego życia; następnie, z ową obojętną uwagą, która od razu niweczy wszelką styczność z tym, co się ogląda, spojrzenie księżnej spoczywało kolejno na każdym z nas, potem robiło przegląd kanap i foteli, łagodniejąc wówczas w wyrazie ludzkiej sympatii, jaką budzi nieznacząca nawet obecność rzeczy znajomej, rzeczy będącej niemal osobą; te meble nie były jak my, one były poniekąd z jej świata, były związane z życiem jej ciotki; następnie, z mebla *beaux-vaix* spojrzenie to schodziło na osobę, która na nim siedziała; wówczas przybierało ono z powrotem ten sam bystry wyraz i to niezadowolenie, którego szacunek dla ciotki nie pozwoliłby księżnej wyrazić, ale które by niewątpliwie odczuła, gdyby, w miejsce naszej obecności, stwierdziła na fotelach tłustą plamę lub warstwę kurzu.

Wszedł znakomity pisarz G...; przyszedł złożyć pani de Villeparisis wizytę, którą uważał za pilę. Księżna, zachwycona tym, że go spotyka, nie przywołała go do siebie gestem, niemniej, w sposób całkiem naturalny, on sam podszedł do niej; jej wdzięk, takt, prostota kazały mu ją uważać za kobietę inteligentną. Zresztą grzeczność nakładała mu obowiązek podejścia do księżnej, ile że — ponieważ był miły i sławny — pani de Guermites zapraszała go często na śniadanie, nawet we trójkę z mężem, lub jesienią do Guermites; korzystała z tej zażyłości, aby go zapraszać w pewne wieczory na obiad z dostojnymi gośćmi pragnącymi poznać pisarza. Bo księżna lubiła przyjmować niektórych wybranych ludzi, ale pod warunkiem, aby byli nieżonaci, którego to warunku dopełniali wobec niej, nawet gdy byli żonaci; żony ich bowiem, zawsze mniej lub więcej pospolite, raziłyby w salonie, gdzie znajdowały się jedynie najwykwintniejsze piękności paryskie. Tych znakomitych ludzi zawsze zapraszało się bez żon; aby uprzedzić wszelką drażliwość, księżę tłumaczył tym „wdowcom mimo woli”, że księżna nie przyjmuje kobiet, nie znosi towarzystwa kobiet, prawie tak, jakby to był przepis lekarza i tak jakby mówił, że żona nie może być w pokoju, gdzie jest jakiś zapach, jeść zbyt słono, siedzieć w wagonie tyłem do lokomotywy lub nosić gorsetu. Prawda, że ci wielcy ludzie widywali u Guermites księżnę Parmy, księżnę de Sagan²⁷² (którą Franciszka, słysząc wciąż o niej, nazywała w końcu — sądząc, iż ten rodzaj żeński wymagany jest przez gramatykę — Saganką) i wiele innych; ale obecność ich usprawiedliwiano tym, że to jest rodzina albo przyjaciółki z dzieciństwa, których się nie da pominąć. Przekonani lub nieprzekonani wyjaśnieniami księcia de Guermites w przedmiocie szczególnej choroby księżnej, polegającej na tym, że nie znosi towarzystwa kobiet, wielcy ludzie powtarzali je swoim żonom. Niektóre myślały, że ta choroba jest tylko płaszczkiem zazdrości i że księżna chce sama władać nad dworem wielbicieli. Jeszcze naiwniejsze myślały, że księżna ma jakieś dwuznaczne gusty, może skandaliczną przeszłość, że kobiety nie chcą u niej bywać i że pani de Guermites konieczność tłumaczy kaprysem. Najpocziwsze, słysząc z ust mężów cuda o dowcipie i inteligencji księżnej, uważały, że osoba o tyle wyższa od innych kobiet nudzi się w ich towarzystwie, bo nie ma z nimi o czym mówić. I faktem jest, że księżna nudziła się z kobietami, o ile najdostojniejsze urodzenie nie przydawało im specjalnego uroku. Ale wygnane małżon-

²⁷¹ *amfilada* — szereg przechodnich pokoiów z wejściami ustawionymi w jednej osi. [przypis edytorski]

²⁷² *księżna de Sagan*, właśc. *Jeanne Seillière* (1839–1905) — żona (od 1858) Bosona de Talleyrand-Périgord, księcia de Sagan (Zagania), kolekcjonerka obrazów, słynna z urody, wdzięku i wpływów we francuskim życiu towarzyskim XIX w. [przypis edytorski]

ki myliły się, sądząc, iż księżna pragnie przyjmować jedynie mężczyzn po to, aby z nimi mówić o literaturze, nauce i filozofii. Bo nie mówiła o tym nigdy, przynajmniej z luminarzami intelektu. Siłą tradycji rodzinnej, która sprawia, iż córki wielkich wodzów zachowują, nawet pośród swoich najbliższych zatrudnień, szacunek dla rzeczy dotyczących armii, księżna — wnuczka kobiet zaprzyjaźnionych z Thiersem, Mériméem i Augierem²⁷³ — uważała, że trzeba w swoim salonie zachować miejsce przede wszystkim dla wybitnych umysłów; ale z drugiej strony, z łaskawego zarazem i serdecznego sposobu, w jaki tych sławnych ludzi przyjmowano w Guermantes, przechowała nawyk traktowania ludzi z talentem jak bliskich znajomych, których talent nie olśniewa nas, z którymi nie mówi się o ich dziełach, co by ich zresztą nie bawiło. Następnie, charakter jej umysłowości — styl Mériméego oraz Meilhaca i Halévy²⁷⁴ — skłaniał ją, przez kontrast z rozgadany sentymentalizmem poprzedniej epoki, do rodzaju rozmowy odrzucającej wszelki frazes i grandilokwencję²⁷⁵; co sprawiało, że księżna, znajdując się w towarzystwie poety lub muzyka, uważała za najwytworniejsze mówić jedynie o potrawach, które się właśnie je, lub o partyjce kart, do której się siądzie za chwilę. Dyscyplina ta miała dla kogoś nieoswojonego z nią coś niepokojącego, niemal tajemniczego. Kiedy pani de Guermantes pytała takiego kogoś, czy sprawiłoby mu przyjemność spędzić wieczór z jakimś sławnym poetą, ów, pożerany ciekawością, przybywał o oznaczonej godzinie. Przez cały czas księżna mówiła do poety o pogodzie. Siadano do stołu. „Czy pan lubi jajka przyrządzone w ten sposób?” — pytała poety. Wobec jego uznania, które podzielała (bo wszystko, co było u niej w domu, zdawało się jej wyborne, nawet ohydny jablecznik sprowadzany z Guermantes), polecała lokajowi: „Proszę panu podać jeszcze”, podczas gdy wzruszony gość wciąż oczekiwał tego, co oni mieli z pewnością sobie do powiedzenia, skoro doprowadzili do skutku to spotkanie — mimo tysiąca trudności — przed wyjazdem poety. Ale obiad ciągnął się dalej, obnoszono półmiski, które dawały pani de Guermantes sposobność do miłych żarcików lub zabawnych historyjek. Tymczasem poeta wciąż jadł, przy czym ani księżciu, ani księżnej nie przychodziło na myśl przypomnieć sobie, że on jest poetą. I niebawem śniadanie dobiegało końca, i trzeba się było pożegnać, nie rzekłszy słowa o poezji, którą wszyscy kochali, ale o której — przez delikatność, jakiej przedsmak dał mi Swann — nikt nie mówił. Ta delikatność to był po prostu dobry ton. Ale dla kogoś obcego, jeżeli zastanowił się trochę, miał ten obyczaj coś bardzo melancholijnego; obiad u Guermantów przywodził na myśl owe godziny, jakie nieśmiali kochankowie spędzają często, mówiąc same banalności, aż do chwili rozstania, tak że — przez nieśmiałość, wstydlivość lub niezręczność — wielki sekret, który wyznać byłoby dla nich takim szczęściem, nigdy nie może przejść im przez usta. Zresztą trzeba dodać, że to milczenie zachowywane co do rzeczy głębokich — przy czym wciąż się oczekiwało momentu ich poruszenia — o ile mogło uchodzić za charakterystyczne dla księżnej, nie było jednak absolutne. Pani de Guermantes spędziła młodość w środowisku nieco odmiennym, równie arystokratycznym, ale mniej świetnym, a zwłaszcza mniej czczym niż to, w którym żyła obecnie, w zamian za to odznaczającym się wielką kulturą. Zostawiło jej ono pod obecną światowością pewien grunt solidniejszy, niewidzialnie odżywczy, skąd księżnej zdarzało się czerpać nawet (bardzo rzadko, bo nie cierpiała pedantyzmu) jakiś cytat z Wiktora Hugo lub Lamartine’a, który, trafnie zastosowany, powiedziany z inteligentnym spojrzeniem pięknych oczu, mimo woli zadziwiał i czarował. Czasem nawet, bez pretensji, z taktem i prostotą, dawała autorowi dramatycznemu — akademikowi — jakąś dorzeczną radę, radziła mu złagodzić jakąś sytuację lub zmienić rozwiązanie.

Jeżeli w salonie pani de Villeparisis, tak samo jak w kościele w Combray na ślubie panny Percepied, z trudnością przychodziło mi w pięknej i zbyt ludzkiej twarzy pani de Guermantes odnaleźć nieznaną jej nazwiska, sądziłem bodaj, że jej rozmowa — głęboka, tajemnicza — będzie miała dziwność średniowiecznego haftu lub gotyckiego witrażu. Ale na to, by słowa wychodzące z ust osoby zwanej panią de Guermantes nie sprawiły mi zawodu — nawet gdybym jej nie kochał — nie wystarczyłoby już, aby

²⁷³ Augier, *Émile* (1820–1889) — francuski dramaturg, autor komedii obyczajowych, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

²⁷⁴ Halévy, *Ludovic* (1834–1908) — francuski pisarz, członek Akademii Francuskiej, autor sztuk teatralnych i librett operetkowych, współpracował z Henrim Meilhakiem. [przypis edytorski]

²⁷⁵ grandilokwencja — górnolotny, napuszony styl mówienia. [przypis edytorski]

były subtelne, piękne i głębokie; na to musiałyby odbijać ów amarantowy kolor ostatniej zgłoski jej nazwiska, ów kolor, którego nieobecność w jej osobie zdziwiła mnie już pierwszego dnia i który przeniósłem w jej myśl. Bez wątpienia, slyszalem już panią de Villeparisis, Roberta de Saint-Loup — ludzi, których inteligencja nie miała nic niezwykłego — jak wymawiali niedbale owo „Guermantes”, po prostu jako nazwisko osoby, która ma przyjść z wizytą lub u której ma się być na obiedzie, najwidoczniej nie czując w tym nazwisku widoku żółkniejących lasów i całego tajemniczego zakątka prowincji. Ale to musiała być afektacja z ich strony, podobnie jak gdy poeci klasyczni nie uprzedzają nas o głębokich intencjach, które jednakże mieli; afektacja, którą i ja siliłem się naśladować, mówiąc najnaturalniej „księżna de Guermantes” — ot, jak nazwisko podobne do tyłu innych. Zresztą wszyscy zapewniali, że to jest osoba bardzo inteligentna, dowcipna, żyjąca w kółku niezmiernie interesującym; wszystko to podsycalo moje marzenia. Bo kiedy mówili „inteligentne kółko”, „dowcip”, nie wyobrażałem sobie zgoła inteligencji takiej, jaką znałem, choćby nawet inteligencji najwyższych duchów; nie wyobrażałem sobie owego kółka jako grona ludzi w rodzaju Bergotte’a. Nie, przez inteligencję rozumiałem jakąś właściwość niewystowioną, zlocistą, nasyconą leśnym chłodem. Nawet mówiąc najinteligentniejsze rzeczy (w sensie, w jakim brałem słowo „inteligentny”, kiedy chodziło o filozofa lub krytyka), pani de Guermantes byłaby może bardziej jeszcze zawiodła moje oczekiwanie tak odrębnej właściwości, niż gdyby w błahej gawędce mówiła po prostu o przepisach kucharskich lub o urządzeniu zamku, lub wymieniała nazwiska sąsiadek, krewnych, które by mi uzmysłowiły jej życie.

— Myślałam, że zastanę Błażeja tutaj, miał zamiar ciocię odwiedzić — rzekła pani de Guermantes do ciotki.

— Nie widziałam twojego męża od kilku dni — odparła podejrzliwie i kwaśno pani de Villeparisis. — Nie widziałam go albo widziałam może raz od czasu tego przemilego żarciku, kiedy to kazał się oznajmić jako królowa szwedzka.

Aby się uśmiechnąć, pani de Guermantes przygryzła wargi, tak jakby uszczypnęła ustami woalkę.

— Jedliśmy z nią wczoraj obiad u Blanki Leroi; nie poznałaby jej ciocia, zrobiła się olbrzymia, jestem pewna, że musi być chora.

— Mówiłam właśnie panom, że zrobiła na tobie wrażenie żaby.

Pani de Guermantes wydała chrapliwy dźwięk, świadczący, że się zaśmiała z poczucia obowiązku.

— Nie wiedziałam, żem zrobiła to piękne porównanie, ale w takim razie to jest żaba, której się udało osiągnąć rozmiary wołu. A raczej niezupełnie to, bo cały jej rozmiar skupił się na brzuchu: to raczej żaba w błogosławionym stanie.

— Paradny obraz! — rzekła pani de Villeparisis, w gruncie rzeczy dość dumna wobec swoich gości z dowcipu siostrzenicy.

— *Zwłaszcza arbitralny* — odparła pani de Guermantes, biorąc ironicznie w cudzysłów ten wyszukany epitet, tak jakby to uczynił Swann — bo przyznaję, że nigdy nie widziałam żaby w połogu. W żadnym razie ta żaba, która zresztą nie żąda króla, bo nigdy nie widziałam jej tak rozbrykanej, jak od śmierci jej małżonka, ma być u nas na obiedzie któregoś dnia w przyszłym tygodniu. Powiedziałam jej, że uprzedzę ciocię na wszelki wypadek.

Pani de Villeparisis wydała niewyraźny pomruk.

— Wiem, że przedwczoraj była na obiedzie u pani de Mecklemburg — dodała. — Był tam Hannibal de Bréauté. Przyszedł mi to opowiedzieć i muszę przyznać, wcale dowcipnie.

— Był na tym obiedzie ktoś znacznie dowcipniejszy od naszego Babala — rzekła pani de Guermantes, która, choć była bardzo blisko z panem de Bréauté-Consalvi, chciała to okazać, nazywając go tym zdrobnieniem. — Mianowicie pan Bergotte.

Nie myślałem, że Bergotte’a można było uważać za dowcipnego; co więcej, należał dla mnie do ludzkości inteligentnej, to znaczy nieskończenie odległej od tajemniczego królestwa, którym ujrzał pod purpurowymi frankami łoży, gdzie pan de Bréauté, pobudzając do śmiechu księżnę, wiódł z nią, w języku bogów, tę rzecz niepojętą: rozmowę mieszkańców Faubourg Saint-Germain. Zmartwiłem się, że równowaga się mąci i że Bergotte wysuwa się przed pana de Bréauté. Ale zwłaszcza byłem w rozpaczy, żem unikał Bergotte’a.

te'a w ów wieczór *Fedry*, zem nie podszedł do niego; byłem w rozpaczy teraz, kiedym usłyszał, jak pani de Guermantes mówi do pani de Villeparisis:

— To jedyny człowiek, którego mam ochotę poznać — dodała księżna, w której zawsze można było, niby w momencie duchowego przyływu, obserwować, jak fala ciekawości w stosunku do sław intelektualnych spotyka się z odpływem arystokratycznego snobizmu. — To by była dla mnie wielka przyjemność!

Pokazanie się w towarzystwie Bergotte'a, rzecz tak łatwa do osiągnięcia, ale zdolna w moim pojęciu obniżyć mnie w oczach pani de Guermantes, byłaby mi zapewne zyskała to, że księżna wezwałaby mnie skinieniem do łoża i prosiłaby mnie, abym któregoś dnia przyszedł do niej z wielkim pisarzem na śniadanie.

— Zdaje się, że nie był bardzo miły; przedstawiono go księciu koburskiemu i nie odezwał się do niego ani słowa — rzekła pani de Guermantes, podkreślając ten ciekawy rys, tak jakby opowiadała, że Chińczyk obtarł nos papierem. — Nie powiedział mu ani razu „wasza wysokość” — dodała z miną ubawioną tym szczegółem, równie ważnym dla niej, jak zachowanie się protestanta wzdragającego się na audyencji u papieża klękając przed jego świątobliwością.

Zainteresowana wybrykami Bergotte'a, księżna nie widziała w nich zresztą nic naganego; zdawałoby się raczej, że mu je poczytuje za zasługę, mimo iż sama nie wiedziała ściśle, jakiego rodzaju jest ta zasługa. Mimo tego jej szczególnego sposobu pojmowania oryginalności Bergotte'a, fakt, że pani de Guermantes, ku zdziwieniu wielu osób, uznała Bergotte'a za dowcipniejszego od pana de Bréauté, wydał mi się później dosyć godny uwagi. Owe rewelacyjne sądy, odosobnione, a mimo wszystko słuszne, są w „świecie” udziałem nielicznych osób przerastających inne. Te właśnie osoby kreślą pierwszy zarys hierarchii walorów, takiej, jaką przyjmie następne pokolenie, zamiast się trzymać wiekuiście dawnej.

Hrabia d'Argencourt, poseł belgijski i powinowaty pani de Villeparisis, wszedł kulejąc, a tuż za nim dwaj młodzi ludzie, baron de Guermantes i jego wysokość książę de Châtellerault, do którego pani de Guermantes rzekła: „Jak się masz, mały”; powiedziała to niedbale i nie ruszając się z pufa, była bowiem w wielkiej przyjaźni z matką młodego księcia, który z tej przyczyny miał dla niej od dziecka wiele szacunku. Wysocy, szczupli, ze złotą cerą i złotymi włosami, typowi Guermantes, ci dwaj młodzi ludzie robili wrażenie jakby zageśczenia wiosennego i wieczornego światła, zalewającego salon. Modnym wówczas zwyczajem postawili cylindry przy sobie na ziemi. Historyk Frondy myślał, że oni są zakłopotani niby chłop, gdy wchodzi do urzędu i nie wie, co począć z kapeluszem. Pragnąc przyjść miłosiernie z pomocą ich domniemanemu nieobytcu, rzekł:

— Nie, nie, niech panowie nie stawiają kapeluszy na ziemi, zniszczą się.

Spojrzenie barona de Guermantes, nachylając skośnie płaszczyznę jego żrenic, zabarwiło je nagle zimnym i ostrym błękitem, który zmroził życzliwego historyka.

— Jak się nazywa — spytał mnie — ten jegomość, którego mi przedstawiła pani de Villeparisis?

— Pan Adam — odparłem półgłosem.

— Adam jak?

— Adam to jego nazwisko, to bardzo ceniony historyk.

— A!... upadam do nóg.

— Nie, to jest nowy obyczaj tych panów, aby kłaść kapelusze na ziemi — objaśniła pani de Villeparisis. — Jestem taka jak pan, nie mogę się do tego przyzwyczaić. Ale wolę to, niż kiedy mój siostrzeniec Robert zostawia kapelusz w przedpokoju. Kiedy wchodzi w ten sposób, powiadam mu zawsze, że wygląda na zegarmistrza i pytam się go, czy przyszedł nastawiać zegary.

— Mówiła pani przed chwilą, pani margrabino, o kapeluszu pana Molé; dojdziemy niebawem do tego, co Arystoteles w rozdziale o kapeluszach... — zaczął mówić historyk Frondy, nieco skrzepiony interwencją pani de Villeparisis, ale głosem jeszcze tak wątłym, że z wyjątkiem mnie nikt go nie dosłyszał.

— Bajeczna jest doprawdy nasza kochana księżna — rzekł pan d'Argencourt, pokazując panią de Guermantes, która rozmawiała ze sławnym pisarzem. — Z chwilą gdy się znajdzie w salonie sławny człowiek, zawsze musi być przy niej. Oczywiście musi to

być jakiś wielki mogol²⁷⁶. Nie można mieć co dzień pana de Borelli²⁷⁷, Schlumbergera²⁷⁸ lub pana d'Avenel²⁷⁹; ale wówczas będzie pan Loti²⁸⁰ albo pan Rostand²⁸¹. Wczoraj wieczór u Doudeauwillów²⁸², gdzie, nawiasem mówiąc, wspaniała była nasza księżna w swoim szmaragdowym diademie, w różowej sukni balowej z trenem, miała z jednej strony pana Deschanel²⁸³, z drugiej niemieckiego ambasadora: wyklócała się z nimi o Chiny; publiczność, w pełnej szacunku odległości, nie słysząc, co mówią, pytała się, czy nie będziemy mieli wojny. Doprawdy, można by rzec, królowa odbywająca *cercle*²⁸⁴.

Wszyscy zbliżyli się do pani de Villeparisis, przyglądając się, jak maluje.

— Te kwiaty mają różowość doprawdy niebieską — rzekł Legrandin — to znaczy koloru różowego nieba. Bo bywa niebo różowe, jak bywa niebo niebieskie. Ale — szepnął ciszej jedynie dla margrabin — mam wrażenie, że ja wolę jeszcze atlas i szkarłat tej ich kopii, nad którą pani pracuje. Ach, jakże błędną przy pani Pisanello²⁸⁵ i Van Huysum²⁸⁶ ze swoim drobiazgowym i martwym zielnikiem.

Artysta, choćby najskromniejszy, godzi się zawsze, aby go przekładano nad jego rywali i stara się jedynie oddać im sprawiedliwość.

— Pańskie wrażenie tłumaczy się tym, że oni malowali kwiaty z owego czasu, których my już nie znamy; ale to byli wielcy mistrze.

— A, kwiaty z owego czasu, śliczna myśl! — wykrzyknął Legrandin.

— W istocie, bardzo są piękne te kwiaty wiśni... czy dzikiej malwy... — rzekł historyk Frondy nie bez wahania co do kwiatu, ale pewniejszym głosem, bo zapomniał już o zdarzeniu z kapelusząmi.

— Nie, to przecież kwiaty jabłoni — rzekła księżna de Guermites, zwracając się do ciotki.

— A, widzę że z ciebie dobra wieśniaczka: jak ja umiesz rozróżnić kwiaty.

— A, tak, prawda! Ale ja myślałem, że pora jabłoni już minęła — rzekł, ratując się na los szczęścia, historyk Frondy.

— Ależ nie, przeciwnie, jeszcze nie kwitną, nie będą kwitły wcześniej niż za dwa, może trzy tygodnie — rzekł archiwista, który, zawiadując po trosze dobrami pani de Villeparisis, bardziej był świadomy spraw wsi.

— Tak, i to jeszcze w okolicach Paryża, gdzie są bardzo wczesne. W Normandii na przykład, u jego ojca — rzekła, wskazując księcia de Châtellerault — który ma wspaniałe jabłonie nad samym morzem, niby na parawanie japońskim, robią się naprawdę różowe dopiero po dwudziestym maja.

— Nie widuję ich nigdy — rzekł młody książę — mnie to przypawia o gorączkę sienną, to piramidalne.

— Gorączka sienna, nigdy nie słyszałem o tym — rzekł historyk.

— To modna choroba — rzekł archiwista.

— To zależy; to by może panu nie zaszkodziło, jeżeli to jest dobry rok na jabłka. Znacie państwo normandzkie porzekadło... — rzekł pan d'Argencourt, który, nie będąc całkowicie Francuzem, silił się być paryżaninem.

— Masz słuszność — rzekła pani de Villeparisis do siostrzenicy — to jest jabłoni z Południa. Kwiaciarka przysłała mi te gałązki, prosząc, abym je przyjęła. Pana to dziwi,

²⁷⁶ *mogol* — tytuł władcy indyjskiego, tu ironicznie: wybitna osobistość. [przypis edytorski]

²⁷⁷ *Borelli*, popr. *Borrelli*, *Raymond de* (1837–1906) — francuski poeta. [przypis edytorski]

²⁷⁸ *Schlumberger*, *Gustave* (1844–1929) — francuski historyk. [przypis edytorski]

²⁷⁹ *D'Avenel*, *Georges* (1855–1939) — francuski historyk i ekonomista. [przypis edytorski]

²⁸⁰ *Loti*, *Pierre* (pseud.), właśc. *Louis-Marie-Julien Viaud* (1850–1923) — francuski pisarz, oficer marynarki, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

²⁸¹ *Rostand*, *Edmond* (1868–1918) — popularny francuski dramaturg, jego najbardziej znane dzieło to *Cyrano de Bergerac*. [przypis edytorski]

²⁸² *Doudeauwillouie* — Charles Gabriel Sosthène, książę Doudeauville (1825–1908), wieloletni prezes paryskiego Jockey Clubu, i jego żona Maria de Ligne (1843–1898). [przypis edytorski]

²⁸³ *Deschanel*, *Paul* (1856–1922) — francuski polityk i pisarz, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego (1898–1902 i 1912–1920), prezydent Francji (1920). [przypis edytorski]

²⁸⁴ *cercle* (wym. [serkl], daw., z fr.: kółko, grono osób) — pogawędka w zamkniętym gronie. [przypis edytorski]

²⁸⁵ *Pisanello*, właśc. *Antonio Pisano* (ok. 1395–ok. 1455) — włoski malarz i rysownik; autor m.in. studiów fauny i flory. [przypis edytorski]

²⁸⁶ *Huysum*, *Jan van* (1682–1749) — holenderski malarz barokowy, malował przeważnie owoce i kwiaty. [przypis edytorski]

panie Vallèrès — rzekła, zwracając się do archiwisty — że kwiaciarka przysłała mi gałązkę jabłoni. Ale mimo iż jest ze mnie bardzo stara dama, znam trochę ludzi, mam paru przyjaciół — dodała, uśmiechając się przez prostotę, jak przypuszczano powszechnie, ale raczej, jak mnie się wydawało, przez kokieteryę: ładnie jest pochwalić się przyjaźnią kwiaciarki, kiedy się ma tak wysokie stosunki!

Z kolei Bloch wstał, aby podziwiać kwiaty, które malowała pani de Villeparisis.

— To fakt, pani margrabino — rzekł historyk wracając na swoje miejsce — że gdyby się nawet zdarzyła jedna z owych rewolucji, które tak często krwawiły Francję... mój Boże, w dzisiejszych czasach nic nie można wiedzieć — dodał, rzucając dokoła ostrożne spojrzenie, jakby dla sprawdzenia, czy nie ma w salonie kogoś „źle myślącego”, mimo iż był tego pewny — przy takim talencie i przy pani pięciu językach, miałyby pani zawsze pewność, że pani sobie da radę.

Historyk Frondy zażywał niejakiego wytchnienia, bo zapomniał o swojej bezsenności. Ale przypomniał sobie nagle, że nie spał od sześciu dni; i w tej samej chwili zmęczenie, zrodzone w jego wyobraźni, obciążło mu nogi, przygięło ramiona i osmucona jego twarz obwisła, podobna do twarzy starca.

Bloch chciał uczynić jakiś gest, aby wyrazić podziw, ale ruchem łokcia przewrócił wazon, w którym tkwiła gałązka, i cała woda rozlała się na dywan.

— Istne ręce wróżki — rzekł do margrabiny historyk, który obrócony w tej chwili plecami, nie spostrzegł niezręczności Blocha.

Ale ów myślał, że te słowa odnoszą się do niego, i aby pokryć beczelnością zażenowanie, rzekł:

— Nic się wielkiego nie stało, nie oblałem się.

Pani de Villeparisis zadzwoniła, przyszedł lokaj, aby wytrzeć dywan i zebrać kawałki szkła. Margrabina zaprosiła dwóch młodych ludzi na swój „poranek”, toż samo panią de Guermantes, do której rzekła:

— Pamiętaj powiedzieć Gizeli i Bercie (księżnej d'Auberion i księżnej de Portefin) żeby przyszły trochę wcześniej pomóc mi (tak jak poleciłaby „dochodzącym”, żeby przyszli wcześniej przyrządzić kompotierki).

Margrabina nie znajdowała dla swoich wysoko urodzonych krewnych, tak samo jak dla pana de Norpois, żadnej z owych uprzejmości, jakimi darzyła historyka, profesora Cottard, Blocha, mnie; można by myśleć, iż jedyną wartością tamtych jest to, że może ich rzucić na łup naszej ciekawości. Bo wiedziała, że nie ma się co wysilać dla ludzi, dla których była nie mniej lub bardziej świętą kobietą, ale jedynie drażliwą siostrą, oszczędzaną przez ich ojca lub wuję. Na nic by się jej nie zdało olśniewać tych ludzi, którzy znali na wylot silne i słabe strony jej sytuacji, umieli na pamięć jej historię i szanowali dostojną krew, z której się wiodła. Byli dla niej jedynie martwym szczątkiem, niezdolnym już wydać owoców; nie przedstawia jej swoich nowych przyjaciół, nie podzielił z nią swoich przyjemności. Mogła uzyskać jedynie ich obecność lub możliwość mówienia o nich na swojej herbatce, jak potem w swoich pamiętnikach, dla których ta herbatka była tylko rodzajem generalnej próby, pierwszą głośną lekturą w małym kółku. Prawdziwym jej towarzystwem, które owi wszyscy szlachetni krewni pomagali jej zainteresować, olśnić, przykuć, było towarzystwo Cottardów, Blochów, znanych autorów dramatycznych, historyków Frondy wszelakiego rodzaju. W tym towarzystwie znajdowała margrabina — w braku eleganckiego świata, który u niej nie bywał — ruch, nowość, rozrywkę i życie; to byli ludzie, z których czerpała socjalne korzyści (warte, aby im dać czasem spotkać księżnę de Guermantes, której zresztą nie mieli być przedstawieni nigdy), obiady z wybitnymi ludźmi, których prace ją interesowały; operę komiczną lub pantominę wystawioną u niej przez autora, łoże na ciekawe sztuki.

Bloch wstał i zamierzał wyjść. Powiedział głośno, że wypadek z wazonem nie ma żadnego znaczenia, ale co innego mówił po cichu, a jeszcze co innego myślał: „Kiedy się nie ma służby na tyle wytresowanej, aby umiała postawić wazon tak, żeby nie groził przewróceniem się, a nawet pokaleczeniem gości, nie trzeba się bawić w wielki świat” — mruzczał na stronie. Bloch należał do owych drażliwych „nerwowców” niezdolnych ścierpieć, że popełnili niezręczność, do której nie przyznają się przed sobą, ale przez którą mają zepsuty cały dzień. Wścikły, miał pretensje do całego świata, postanawiał sobie przestać już w ogóle bywać. Była to chwila, w której człowiek potrzebuje trochę dystrak-

cji²⁸⁷. Szczęściem, za sekundę pani de Villeparisis miała zatrzymać Blocha. Czy że znała poglądy swoich przyjaciół oraz wzbierającą już falę antysemityzmu, czy po prostu przez roztargnienie, nie przedstawiła go obecnym; jednak Bloch, mało obyty w świecie, sądził, że odchodząc, powinien się pożegnać ze wszystkimi, dla dopełnienia formy, ale bez cienia uprzejmości; skłonił kilka razy głowę, wsunął brodę w kołnierzyk, patrząc kolejno na wszystkich przez szkła z zimną i kwaśną miną. Ale pani de Villeparisis zatrzymała go; chciała z nim jeszcze pomówić o komedynie, którą miano grać u niej; z drugiej strony nie chciała, aby Bloch odszedł, nie dostąpiwszy satysfakcji poznania pana de Norpois (dziwiła się, że go jeszcze nie ma), mimo że ta prezentacja była zbyt cenna, bo Bloch już był zdecydowany namówić paru artystów, aby przyszli śpiewać gratis, dla reklamy, na jednym z owych przyjęć margrabiny, gdzie spotykała się elita Europy. Zaproponował nawet ponadto tragiczkę „o czystych oczach, piękną jak Hera²⁸⁸”, która recytuje poezję prozą z poczuciem plastycznego piękna. Ale słysząc jej nazwisko, pani de Villeparisis odmówiła, bo to była przyjaciółka Roberta de Saint-Loup.

— Mam lepsze nowiny — szepnęła mi do ucha — zdaje się, że to się już wypała i że niebawem się rozstaną, mimo pewnego oficera, który odegrał w tym haniebną rolę — dodała. (Bo rodzina Roberta miała śmiertelną pretensję do pana de Borodino, który dał Robertowi urlop na prośbę fryzjera; obwiniano go, że faworyzuje ten bezecny stosunek). — To ktoś bardzo paskudny — rzekła pani de Villeparisis z cnotliwym akcentem Guermantów, nawet najbardziej zdeprawowanych. — Bardzo, bardzo paskudny — dodała, wzmacniając potrójnym *b* słowo „bardzo”. Czuć było, iż nie wątpi, że ten oficer bierze udział „na trzeciego” we wszystkich orgiach. Twarz jej marszczyła się surowością pod adresem ohydneho kapitana, którego nazwisko wymieniła z ironiczną emfazą: „książę de Borodino”, jak osoba, dla której Cesarstwo się nie liczy. Że jednak uprzejmość była dominującą cechą margrabiny, wybuch ten skończył się czułym uśmiechem pod moim adresem, z mechanicznym zmrużeniem oczu, znamionującym coś w rodzaju współnictwa.

— Lubię bardzo Roberta de Saint-Loup-en-Bray — rzekł Bloch — mimo że jest skończone bydlę, bo jest nadzwyczaj dobrze wychowany. Bardzo lubię, nie jego, ale osoby nadzwyczaj dobrze wychowane, to takie rzadkie — ciągnął, nie zdając sobie sprawy (ponieważ sam był bardzo źle wychowany), jak jego słowa rażą. — Zacytuję państwu jeden przykład, dla mnie uderzający, jego doskonałego wychowania. Spotkałem go raz z pewnym młodym człowiekiem, kiedy miał wsiadać na rydwan o pięknych osiach, założywszy sam błyszczące lejce parze koni karmionych owsem i jęczmieniem, których nie potrzeba zachęcać lśniącem biczem. Zapoznał nas, ale nie dosłyszałem nazwiska młodego człowieka, bo nigdy się nie słyszy nazwiska osób, którym nas przedstawiają — dodał Bloch, śmiejąc się, bo to był żarcik jego ojca. — De Saint-Loup-en-Bray zachował prostotę, nie nadskakiwał zbyt młodemu człowiekowi, nie wydawał się ani trochę skrupowany. Otóż przypadkiem dowiedziałem się w kilka dni później, że ten młody człowiek, to był syn sir Rufusa Israels!

Koniec tej historii wydał się mniej rażący niż jej początek, bo go obecni nie zrozumieli. W istocie, sir Rufus Israels — dla Blocha i jego ojca osobistość niemal królewska, przed którą Saint-Loup powinien był drżeć — był, przeciwnie, w środowisku Guermantów cudzoziemcem i parweniusem, ot, tolerowanym w towarzystwie, człowiekiem, którego przyjaźnią nie przyszłoby nikomu do głowy się pysznić, wprost przeciwnie!

— Dowiedziałem się o tym — rzekł Bloch — przez pełnomocnika sir Rufusa Israels: to przyjaciel mego ojca, człowiek bardzo niezwykły. Och, indywidualność absolutnie ciekawe — dodał z ową apodyktyczną energią, z owym akcentem entuzjazmu, jaki wkładamy jedynie w przekonania, których nie wytworzyliśmy sobie sami.

Bloch był zachwycony nadzieją poznania pana de Norpois.

— Chętnie bym — powiedział — pociągnął go za język na temat Dreyfusa. To jest mentalność, którą znam dość mało; byłoby dla mnie wcale pikantne uzyskać *interview*²⁸⁹ od tego znamenitego dyplomaty — rzekł sarkastycznym tonem, aby się nie wydawało, że się ma za coś gorszego od ambasadora.

²⁸⁷ *distrakcja* — rozproszenie uwagi, skupienia. [przypis edytorski]

²⁸⁸ *Hera* (mit. gr.) — bogini niebios i macierzyństwa, żona i siostra Zeusa. [przypis edytorski]

²⁸⁹ *interview* (ang.) — wywiad z kimś przeprowadzany przez dziennikarza. [przypis edytorski]

— Powiedz mi — podjął Bloch, zwracając się do mnie po cichu — jaki majątek może mieć Saint-Loup? Rozumiesz, że jeżeli się pytam, dbam o to tyle co o zeszloroczny śnieg; obchodzi mnie to jedynie z punktu widzenia balzakowskiego, rozumiesz. I nie wiesz nawet, w czym to jest ulokowane: czy ma papiery francuskie, zagraniczne, ziemię?

Nie umiałem go w niczym objaśnić. Przestając szeptać, Bloch poprosił bardzo głośno o pozwolenie otworzenia okien i nie czekając odpowiedzi, skierował się w tę stronę. Pani de Villeparisis powstrzymała go, mówiąc, że jest zakatarzona.

— A, jeżeli to ma pani zaszkodzić... — rzekł Bloch niezadowolony. — Ale trzeba przyznać, że tu jest upał!

Zaśmiał się i powiódł wzrokiem dokoła, jak gdyby szukając u obecnych poparcia przeciw pani de Villeparisis; nie znalazł go wśród tych dobrze wychowanych ludzi. Błyszczące jego oczy, które nie zdołały uwieść nikogo, odzyskały wraz z rezygnacją wyraz serio. Jak gdyby stwierdzając swoją porażkę, rzekł:

— Musi być co najmniej dwadzieścia dwa lub dwadzieścia pięć stopni? To mnie nie dziwi. Pocę się jak ruda mysz. I nie mam, jak roztropny Antenor, syn strumienia Alfejosa²⁹⁰, możliwości zanurzenia się w ojcowskiej fali, aby splukać swój pot, zanim wnijdę do gładkiej wanny i namaszczę się wonną oliwą. — I z wrodzoną ludziom potrzebą kreślenia na użytek drugich teorii lekarskich, których praktyka byłaby pożyteczna dla nas samych, dodał: — Ha! skoro pani myśli, że to pani dobrze robi!... Ja sędzę przeciwnie. Właśnie z tego pani ma katar.

Pani de Villeparisis była niekontenta, że Bloch mówi to wszystko tak głośno, ale przestała się przejmować, kiedy ujrzała, że archiwista, którego nacjonalistyczne przekonania trzymały ją niejako na łańcuchu, siedzi zbyt daleko, aby móc usłyszeć. Bardziej zgorszyło ją, kiedy Bloch, party przez demona złego wychowania, który go uprzednio oślepił, spytał się jej, śmiejąc się z ojcowskiego konceptu:

— Prawda, to ten Norpois napisał wytrawne studium, gdzie dowodzi, dla jakich nieodpartych przyczyn wojna rosyjsko-japońska²⁹¹ musi się skończyć zwycięstwem Rosjan, a klęską Japończyków? Czy on nie jest trochę ramol? Zdaje mi się, że to jego widziałem, jak bierze na cel krzesło, zanim się ku niemu wypuści, ślizgając się jak na kółkach.

— Nigdy w życiu! Niech pan zaczeka chwilę — dodała margrabina — nie wiem, co on może robić tak długo.

Zadzzwoniła; kiedy służący wszedł, pani de Villeparisis, która bynajmniej nie kryła, a nawet lubiła okazywać, że jej stary przyjaciel większą część czasu spędza u niej, rzekła:

— Proszę uprzedzić pana de Norpois, żeby przyszedł. Porządkuje papiery w moim biurku; powiedział, że przyjdzie za dwadzieścia minut, a już blisko dwie godziny czekam na niego. Powie panu o sprawie Dreyfusa, o wszystkim co pan zechce — rzekła margrabina do Blocha z dąsem — nie bardzo zgadza się z tym, co się dzieje.

W istocie, pan de Norpois był źle z obecnym ministerstwem, a pani de Villeparisis, mimo że eks-ambasador nie pozwoliłby sobie przyprowadzić jej „figur z rządu”, wiedziała jednak przez niego o tym, co się działo. Margrabina zachowała mimo wszystko fason wielkiej damy, odgradzając się od urzędowych stosunków dyplomaty. Toż samo „figury z rządu” nie ośmieliłyby się prosić pana de Norpois o przedstawienie ich pani de Villeparisis. Ale czasem zdarzało się im dopaść go u margrabiny na wsi, kiedy był nagle potrzebny w ważnych okolicznościach. Znali adres: udawali się do pałacu, nie mając szczęścia oglądać pani domu. Ale przy obiedzie margrabina powiadała: „Wiem, że kochanego pana tu niepokojono. Czy sytuacja się poprawia?”.

— Nie spieszy się panu zbytnio? — spytała pani de Villeparisis Blocha.

— Nie, nie, chciałem wyjść, bo nie czuję się zbyt dobrze; zalecają mi nawet kurację w Vichy na mój pęcherzyk żółciowy — rzekł Bloch skandując wyrazy z szatańską ironią.

— A, właśnie mój siostrzeniec Châtellerault ma tam jechać; powinni byćście się panowie wybrać razem. Czy on jest jeszcze tutaj? Wie pan, to bardzo miły chłopiec — rzekła

²⁹⁰Antenor, syn strumienia Alfejosa — Antenor: członek starszyny trojańskiej, doradca króla Troi; Alfejos: bóg rzeki o tej samej nazwie; pomiędzy tymi dwiema postaciami w mitologii greckiej nie ma związku. [przypis edytorski]

²⁹¹wojna rosyjsko-japońska (1904–1905) — toczone o panowanie na Dalekim Wschodzie, gł. w Korei; zakończona miazdzącym zwycięstwem Japonii, która dzięki temu awansowała do grona światowych potęg. [przypis edytorski]

pani de Villeparisis może z dobrą wiarą, sądząc, iż dwaj młodzi ludzie, obaj jej znajomi, nie mają żadnej racji nie zaprzyjaźnić się z sobą.

— Och, nie wiem, czy by on miał ochotę, nie znam go... to jest znam... tak... trochę; o, stoi tam — rzekł zawstydzony i uszczęśliwiony Bloch.

Kamerdyner nie musiał bardzo dokładnie powtórzyć panu de Norpois zlecenia, z którym go wysłano. Bo ambasador, chcąc udać, że przychodzi z ulicy i że jeszcze nie widział pani domu, wziął w przedpokoju na chybił trafił jakiś kapelusz i wchodząc, ucałował ceremonialnie rękę pani de Villeparisis, pytając jej o zdrowie z zainteresowaniem świadczącym o dłuższej nieobecności. Nie wiedział, że pani de Villeparisis z góry odjęła wszelkie prawdopodobieństwo tej komedii, którą przecięła zresztą natychmiast, biorąc pana de Norpois i Blocha do sąsiedniego salonu. Widząc cały aparat uprzejmości rozwinięty dla osoby, której nie utożsamiał jeszcze z panem de Norpois, oraz nawzajem ceremonialne, wdzięczne i głębokie ukłony eks-ambasadora, Bloch, czując się czymś poniżej całego tego ceremoniału i podrażniony myślą, że nigdy się nie stanie jego przedmiotem, szepnął do mnie dla kontenansu²⁹²: „Co to za szczególny okaz idioty?”. Może zresztą wszystkie te „salamaleki” pana de Norpois uraziły w Blochu to, co w nim było najlepszego, pewną prostotę i bezpośredniość bardziej nowoczesnego środowiska, i może poniekąd szczerze uważał je za śmieszne. W każdym razie przestały go śmieszyć, a nawet oczarowały go z chwilą, gdy on sam stał się ich przedmiotem.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis — chciałam pana zapoznać z panem Bloch. Panie Bloch, margrabia de Norpois. (Mimo sposobu, w jaki musztrowała pana de Norpois, margrabina przestrzegająca tego, aby mu mówić: „panie ambasadorze”, przez znajomość form, przez wysoki a wpojony jej przez pana de Norpois szacunek dla rangi ambasadora, wreszcie aby w stosunku do danego mężczyzny zastosować owe maniere mniej poufale, ceremonialne, które w salonie dystyngowanej damy, odbijając od jej swobody w stosunku do innych gości, wskazują natychmiast człowieka będącego jej kochankiem).

Pan de Norpois utopił błękitne spojrzenie w swojej białej brodzie, głęboko schylił wyniosłą postać, tak jakby się skłaniał przed całym blaskiem i dostojenstwem nazwiska Bloch, i mruknął: „Bardzo mi miło”, podczas gdy Bloch, wzruszony, ale znajdując, iż sławny dyplomata posuwa się za daleko, sprostował skwapliwie, mówiąc: „Ależ nie, bynajmniej, to mnie jest bardzo miło”. Przez wzgląd na panią de Villeparisis, pan de Norpois powtarzał tę ceremonię z każdym obcym, którego mu przedstawiła jego stara przyjaciółka, jednakże w stosunku do Blocha nie wydało się to margrabinie wystarczające, zatem rzekła:

— Panie Bloch, niech pan od razu zapyta ambasadora o wszystko, co pan chce wiedzieć; niech go pan weźmie do drugiego pokoju, jeżeli to wam wygodniej; będzie niezmiernie rad porozmawiać z panem; zdaje się, że pan chciał z nim pomówić o sprawie Dreyfusa.

Pani de Villeparisis mówiła to wszystko, tak samo nie troszcząc się o to, czy sprawi przyjemność panu de Norpois, jak jej nie przyszło na myśl pytać o zgodę portretu księżnej de Montmorency, zanim go kazała oświetlić dla historyka, lub pytać o zgodę herbaty przed poczęstowaniem nią gości.

— Niech pan mówi głośno — rzekła do Blocha — jest trochę głuchy, ale powie panu wszystko, co pan ze chce; znał doskonale Bismarcka, Cavoura²⁹³. Prawda, panie ambasadorze — rzekła z siłą — że pan dobrze znał Bismarcka?

— Czy pan ma coś na warsztacie? — spytał pan de Norpois porozumiewawczo, ścisnąc mi serdecznie rękę. Skorzystałem z tego, aby go uprzejmie uwolnić od kapelusza, który eks-ambasador uważał za potrzebne przynieść z sobą na znak ceremonii, bo spostrzegłem w tej chwili, że wziął przypadkowo mój. — Pokazał mi pan kiedyś fragmencik nieco przesubtylizowany, w którym pan rozciął każdy włos na czworo. Wyraziłem panu szczerze moje zdanie, że tego rodzaju wrażenia nie były warte trudu utrwalenia ich na pa-

²⁹²kontenans (daw., z fr.) — pewność siebie, odwaga. [przypis edytorski]

²⁹³Cavour, Camillo Benso (1810–1861) — włoski mąż stanu, polityk królestwa Piemontu i Sardynii, premier i minister spraw zagranicznych (od 1852), działacz na rzecz zjednoczenia Włoch; premier Włoch (1861). [przypis edytorski]

pierze. Czy przygotowuje nam pan coś obecnie? Był pan bardzo opętany Bergsonem²⁹⁴, przypominam sobie.

— Och! niech pan nie mówi źle o Bergsonie — wykrzyknęła księżna.

— Ja nie odmawiam mu talentu malarza, nikt by się nie ośmielił, księżno. Umie władać rylcem lub akwafortą, o ile nie umie nakreślić, jak pan Cherbuliez²⁹⁵, wielkiej kompozycji. Ale zdaje mi się, że nasza epoka dopuszcza się pomieszania rodzajów i że zadaniem powieściopisarza jest raczej być narratorem i krzepić serca niż dłużyć winietki i ornamenty. Mam spotkać pańskiego ojca w niedzielę u tego zacnego A.J. — dodał eks-ambasador, obracając się do mnie.

Widząc, iż pan de Norpois rozmawia z panią de Guermantes, miałem przez chwilę nadzieję, że mi użyczą dla wejścia w dom księżnej pomocy, której mi odmówił niegdyś w stosunku do pani Swann.

— Drugi przedmiot mego entuzjazmu — rzekłem — to Elstir. Zdaje się, że księżna de Guermantes ma cudowne Elstiry, zwłaszcza ów zdumiewający pęk rzodkiewek, który widziałem na wystawie i który bym tak pragnął ujrzeć jeszcze: co za arcydzieło!

I w istocie, gdyby moje zdanie coś znaczyło i gdyby mnie spytano, jakie dzieło malarzkie najwyżej cenię, wskazałbym ten pęk rzodkiewek.

— Arcydzieło? — wykrzyknął pan de Norpois z wyrazem zdumienia i nagany. — To nawet nie ma pretensji do obrazu, to prosty szkic (w czym miał rację). Jeżeli pan ten szkic nazwie arcydziełem, co pan powie o *Dziwicy Héberta*²⁹⁶ lub *Dagnan-Bouvereta*²⁹⁷?

— Słyszałem, że ciocia odpałała przyjaciółkę Roberta — rzekła pani de Guermantes do ciotki, gdy Bloch odciągnął na stronę ambasadora. — Sądzę, ciociu, że nie masz czego żałować; to istna ohyda, nie ma za grosz talentu, a przy tym jest po prostu śmieszna.

— Ale jakim cudem księżna ją zna? — spytał pan d'Argencourt.

— Jak to! nie wie pan, że u mnie był jej pierwszy występ, z czego zresztą nie mam powodu się pyszczyć — rzekła, śmiejąc się, pani de Guermantes, szczęśliwa mimo to, skoro mówiono o tej aktorce, że to ona miała pierwociny jej śmieszności. — No, trzeba mi się zabierać — dodała, nie ruszając się z miejsca.

Ujrzała właśnie wchodzącego męża, a słowa te stanowiły aluzję do komicznego pozoru, że składają we dwoje wizytę poślubną, nie zaś do trudnych nieraz stosunków istniejących między nią a tym olbrzymim, starzejącym się chwatem, wciąż pędzącym kawalerskie życie. Wodząc po osobach siedzących dookoła herbacianego stołu uprzejme, sprytne i nieco olśnione blaskiem zachodzącego słońca spojrzenia swoich małych, okrągłych źrenic, umieszczonych dokładnie w oku niby tarcze, które ten świetny strzelec umiał brać na cel i trafiać tak nieomylnie, książę posuwał się z zachwyconą i ostrożną powolnością, jak gdyby, oniesmielony tak świetnym zebraniem, bał się nadepnąć na suknie i zmącić rozmowę. Stały uśmiech leciutko wstawionego dobrego króla Yvetot²⁹⁸, półotwarta dłoń, bujająca niby płetwa rekina koło piersi, dłoń którą pozwalał ścisnąć bez różnicy starym przyjaciółom i nieznanym, gdy mu ich przedstawiano, pozwalały księciu, bez jednego gestu, nie przerywając dobrodusznego, próżniaczego i królewskiego pochodzenia, uczynić zadość skwapliwości wszystkich, przy czym mruczał tylko: „Dzień dobry, mój poczciwy; dzień dobry, drogi przyjacielu; bardzo mi miło, panie Bloch; jak się masz, d'Argencourt”. Mnie, skoro usłyszał moje nazwisko, książę wyróżnił najbardziej, mówiąc: „Witaj, młody sąsiedzie. Jak się ma pański ojciec. Cóż za zacny człowiek!”. Pełny ceremoniał rozwinął książę Błazej jedynie dla pani de Villeparisis, która przywitała go skinieniem głowy, wyjmując rękę z fartuszka.

²⁹⁴Bergson, Henri (1859–1941) — francuski filozof, przedstawiciel irracjonalizmu i intuicjonizmu, twórca koncepcji *élan vital*, czyli pędu życiowego; za punkt wyjścia swej doktryny przyjął krytykę poznania intelektualnego na rzecz intuicji. [przypis edytorski]

²⁹⁵Cherbuliez, Victor (1829–1899) — francuski powieściopisarz pochodzenia szwajcarskiego, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

²⁹⁶Hébert, Ernest (1817–1908) — francuski malarz, tworzący sceny biblijne i portrety w stylu romantycznym. [przypis edytorski]

²⁹⁷Dagnan-Bouveret, Pascal (1852–1929) — francuski malarz realista. [przypis edytorski]

²⁹⁸król Yvetot — z piosenki *Le Roi d'Yvetot* Pierre'a Jeana de Beranger (1780–1857) z 1813, o kochającym wygodne i spokojne życie dobrym królu-pacyfście, rządzącym miasteczkiem Yvetot w Normandii. [przypis edytorski]

Kolosalnie bogaty w świecie, gdzie bogactwo jest coraz radsze, książe nasiąkł w całej swojej istocie świadomością tej olbrzymiej fortuny; próżność wielkiego pana zdwoiła się próżnością krezusa²⁹⁹, przy czym staranne wychowanie pierwszego z nich ledwie umiało powściągnąć arogancję drugiego. Rozumiało się zresztą, że jego sukcesy u kobiet, stanowiące zgrzyotę jego żony, nie były wynikiem jedynie nazwiska i majątku, bo książe, ze swoim czystym i wyrazistym profilem jakiegoś greckiego boga, był jeszcze bardzo piękny.

— Naprawdę, grała u pani? — spytał księżnej pan d'Argencourt.

— Ależ tak, przyszła u mnie recytować z bukietem lilij w ręce i w innych lelijach na sukni (pani de Guermentes, jak pani de Villeparisis, wymawiała z pewną kokieterią niektóre słowa z chłopska, mimo że nie „rulowała” r, jak jej ciotka).

Zanim pan de Norpois, spętany i osiodłany, powiódł Blocha do małej niszy, gdzie by mogli rozmawiać swobodniej, podszedłem na chwilę do starego dyplomaty i wsunąłem mu słówko o kandydaturze ojca. Zrazu chciał odłożyć rozmowę na później, na co napomknąłem, że wyjeżdżam do Balbec. „Jak to, znów pan jedzie do Balbec? Ależ z pana prawdziwy globtroter!”. Potem wysłuchał mnie. Słyszając nazwisko Leroy-Beaulieu, pan de Norpois spojrział na mnie podejrzliwie. Powziąłem stąd myśl, że eks-ambasador mówił może panu Leroy-Beaulieu o moim ojcu ujemne rzeczy i że lęka się, czy znakomity ekonomista ich nie powtórzył. Z punktu okazał się pełen najlepszych uczuć dla mego ojca. I po owym *ritardando*³⁰⁰, z którego wybucha nagle jakieś słowo, jak gdyby wbrew woli mówiącego, skoro nieodparte przekonanie zwycięży zająkliwe próby przemilczenia, ambasador rzekł z przejęciem:

— Nie, nie; *nie trzeba*, aby pański ojciec zgłaszał swoją kandydaturę. Nie trzeba w jego własnym interesie, dla niego samego, przez szacunek dla jego niepospolitej wartości, którą naraziłby w takim hazardzie. On jest wart więcej. Choćby go nawet wybrano, miałby wszystko do stracenia, a nic do zyskania. Bogu dzięki, nie jest mówcą. A to jest jedyna rzecz, która liczy się u moich kochanych kolegów, choćby nawet to, co się mówi, to były same androny. Pański ojciec ma doniosły cel w życiu; powinien iść prosto, nie dając się ściągnąć z drogi, nawet w bardziej cierniste niż pełne kwiatów gaje Akademos³⁰¹. Zresztą nie uzyskalby więcej niż kilka głosów. Akademia lubi wytrzymać postulanta, zanim go przyjmie na swoje łono. W obecnym momencie nic się nie da zrobić. Później, nie mówię. Ale trzeba, aby to ciało samo przyszło go szukać. Praktykuje ono z większym fetysyzmem niż szczęściem hasło „*Farà da se*”³⁰² naszych sąsiadów z tamtej strony Alp. Pan Leroy-Beaulieu mówił mi o tym w sposób, który mi się nie podobał. Trąciło mi to wyraźnie tym, że działa w porozumieniu z pańskim ojcem. Dałem mu może uczuć trochę żywo, że, nawykły zajmować się kolonistami i metalami, nie docenia roli imponderabiliów³⁰³, jak to nazywał Bismarck. Przede wszystkim, trzeba nie dopuścić do tego, aby ojciec pański zgłosił swoją kandydaturę: „*Principiis obsta*”³⁰⁴. Przyjaciela jego znaleźliby się w drażliwym położeniu, gdyby ich postawił wobec faktu dokonanego. Słuchaj pan — rzekł nagle pan de Norpois z akcentem szczerości, wlepiając we mnie swoje błękitne oczy — powiem panu coś, co pana zdziwi ze strony człowieka, który tak kocha pańskiego ojca. Otóż właśnie dlatego, że go kocham (jesteśmy dwaj nierozłączni *Arcades ambo*³⁰⁵), właśnie dlatego, że znam usługi, jakie może oddać krajowi, rafy, jakich może mu oszczędzić, o ile zostanie przy sterze, przez przyjaźń, przez wysoki szacunek, przez patriotyzm, nie głosowałbym za nim. Zresztą, sądzę, iż dałem to do zrozumienia. (Tu zdawało mi się, że widzę w oczach ambasadora asyryjski i surowy profil pana Leroy-Beaulieu). — Zatem, oddać mu swój głos, byłoby z mojej strony rodzajem zaprzaństwa.

Kilkakrotnie w czasie tej rozmowy pan de Norpois skwalifikował swoich kolegów jako mamutów. Pomijając inne racje, wszelki członek jakiegoś klubu lub Akademii lubi

²⁹⁹ *krezus* — bogacz. [przypis edytorski]

³⁰⁰ *ritardando* (muz., wł.) — zwolnienie tempa utworu. [przypis edytorski]

³⁰¹ *Akademos* (mit. gr.) — heros ateński, w gaju poświęconym Akademosowi znajdowała się szkoła Platona, stąd: Akademia. [przypis edytorski]

³⁰² [*Italia*] *farà da se* (wł.) — Włochy same sobie poradzą. [przypis edytorski]

³⁰³ *imponderabilia* (z łac.) — rzeczy nieuchwytny, dosł. niedające się zważyć (tj. dokładnie określić), ale mające wpływ na rzeczywistość a. bieg jakiejś sprawy. [przypis edytorski]

³⁰⁴ *principiis obsta* (łac.) — niszczy zło w zarodku; dosł.: przeszkadzaj początkom. [przypis edytorski]

³⁰⁵ *Arcades ambo* (łac.) — obaj Arkadyjczycy (Wergiliusz, *Bukoliki* VII, 4); o osobach tych samych upodobań. [przypis edytorski]

stroić swoich kolegów w charakter najbardziej sprzeczny ze swoim, nie tyle dla wygody powiedzenia: „Och, gdyby to zależało tylko ode mnie!”, ile dla satysfakcji przedstawienia tytułu, który sam posiada, jako czegoś trudniejszego i pochlebniejszego.

— Powiem panu — zakończył — że w interesie was wszystkich wolę dla pańskiego ojca triumfalny wybór za dziesięć lub piętnaście lat.

Słowa te wydały mi się w danej chwili wyrazem zazdrości lub bodaj absolutnej nieużytości; później, w świetle wypadków, zyskały inny sens.

— Czy nie zamierza pan omówić w Instytucie cen chleba w czasie Frondy? — spytał nieśmiało pana de Norpois historyk Frondy. — Mógłby pan tym zyskać znaczny sukces (co miało znaczyć: kolosalną reklamę) — dodał uśmiechając się do ambasadora tchórzliwie, ale zarazem z czułością, która kazała mu podnieść powieki i odsłonić oczy wielkie jak niebo. Zdawało mi się, że już gdzieś widziałem ten wzrok, a przecież poznałem historyka dopiero dziś. Naraz przypomniałem sobie: to samo spojrzenie widziałem w oczach brazylijskiego lekarza, zaręczającego, iż leczy duszności takie jak moje za pomocą idiotycznych inhalacji z jakichś ekstraktów roślinnych. Kiedy, chcąc, aby się mną gorliwiej zajął, powiedziałem mu, iż znam profesora Cottard, lekarz rzekł, jakby w interesie profesora: „Gdyby mu pan wspomniał o moim systemie, profesor znalazłby w nim materiał do sensacyjnego referatu w Akademii Medycznej”. Nie śmiał nalegać, ale patrzył na mnie z tym samym nieśmiałością, interesownością i błagalnym pytajnikiem w oczach, jaki właśnie podziwiałem u historyka Frondy. Z pewnością ci dwaj ludzie nie znali się wzajem i zupełnie nie byli do siebie podobni, ale prawa psychologiczne mają, jak prawa fizyczne, pewne ogólne zasady. I jeżeli okoliczności są jednakie, jednakie spojrzenie rozświeca różne zwierzęta ludzkie, jak to samo ranne słońce oświeca okolice leżące daleko od siebie i które się nigdy nie widziały.

Nie usłyszałem odpowiedzi ambasadora, bo wszyscy zbliżyli się z hałasem do pani de Villeparisis, aby popatrzeć jak maluje.

— Czy wiesz, o kim mówiliśmy, Błażeju? — spytała księżna męża.

— Zgaduję, oczywiście — rzekł książę.

— Och, to nie jest to, co nazywamy: „aktorka wielkiej klasy”.

— Nigdy — podjęła pani de Guermantes, zwracając się do pana d’Argencourt — nie wyobraziłby pan sobie czegoś równie pociesznego.

— To było nawet kakofoniczne — przerwał pan de Guermantes, którego dziwaczny słownik pozwalał równocześnie światowcom stwierdzać, że on jest „niegłupi”, a literatom uważać go za najgroźniejszego cymbała.

— Nie mogę pojąć — podjęła księżna — jakim cudem Robert mógł się w niej kiedy kochać. Och, ja wiem, że takich rzeczy się nie dyskutuje — dodała z ładną miną filozofki i zawiedzionej w swoich uczuciach kobiety. — Wiem, że byle kto może pokochać byle co. I — dodała księżna, bo o ile pokpiwała sobie jeszcze z nowej literatury, literatura ta, może spopularyzowana przez gazety, może przez pewne rozmowy, wsiąkała w nią po trosze — to jest nawet piękne w miłości, to właśnie czyni ją czymś „tajemniczym”.

— Tajemniczym! Och, przyznaję, że to jest trochę za trudne dla mnie, kuzynko — rzekł hrabia d’Argencourt.

— Ależ tak, to bardzo tajemnicza rzecz, miłość — odparła księżna z łagodnym uśmiechem kobiety światowej, ale i z nieubłaganym przeświadczeniem wagnerzystki, dowodzącej klubowcowi, że *Walkirie*³⁰⁶ to nie jest tylko sam hałas. — Zresztą, w gruncie, nie wiemy nigdy, czemu ktoś kogoś kocha, może wcale nie dlatego, co my myślimy — dodała z uśmiechem, przekreślając nagle przez swoją interpretację myśl, którą dopiero co wyraziła. — Zresztą, w gruncie, nigdy się nic nie wie — zakończyła ze sceptyczną i znużoną miną. — Toteż, widzi pan, „inteligentniej” jest nie dyskutować nigdy wyboru w miłości.

Ale postawiwszy tę zasadę, złamała ją natychmiast, krytykując wybór Roberta.

— Z tym wszystkim wydaje mi się zdumiewające, aby kogoś mogła oczarować osoba śmieszna.

³⁰⁶*Walkirie* (mit. germ.) — pomniejsze boginie, dziewice-wojowniczkę posiadające skrzydlatych koni, odprowadzające cienie poległych w boju do Walhalli; spopularyzowała je opera Wagnera *Walkiria* (1870) Richarda Wagnera, stanowiąca drugą część dramatu muzycznego *Pierścień Nibelunga*, a szczególnie *Cwał Walkirii*, wstęp do III aktu tej opery, jeden z najbardziej znanych utworów tego kompozytora. [przypis edytorski]

Bloch, słysząc, że mówimy o Robercie i zgadując, że Saint-Loup jest w Paryżu, zaczął wygadywać na niego tak okropnie, że wszystkich wzburzył. Zaczynały go nurtować nienawiści; czuło się, że aby je nasycić, nie cofnąłby się przed niczym. Przyjąwszy za zasadę, że on, Bloch, posiada wysokie wartości duchowe i że gatunek ludzi uczęszczających do „Boulie” (klub sportowy, który Bloch uważał za elegancki) zasługuje na galery, uważał, iż wszystkie ciosy, jakie im zdoła zadać, są uprawnione. Mówił wręcz o procesie, jaki myślał wytoczyć jednemu ze swoich przyjaciół z „Boulie”. W ciągu procesu zamierzał złożyć zeznania kłamliwe, ale takie, że oskarżony nie mógłby dowieść ich fałszu. W ten sposób Bloch (który zresztą nie wykonał swego zamiaru) pragnął go pognać i przywieść do szaleństwa. I cóż w tym złego, skoro człowiek, którego chciał ugodzić w ten sposób, był człowiekiem myślącym jedynie o „szyku”, człowiekiem z „Boulie”; przeciwko takim ludziom wszelka broń jest dozwolona, zwłaszcza człowiekowi świętemu jak Bloch.

— A jednak, niech pani weźmie Swanna — zauważył pan d'Argencourt, który, rozumiawszy wreszcie sens słów księżnej, uderzony ich słusnością, szukał w pamięci przykładu ludzi szalejących dla osób, które jemu by się nie podobały.

— Och, Swann to zupełnie nie to samo — zaprotestowała księżna. — To było zresztą bardzo zdumiewające, bo to była poczciwa idiotka, ale nie była śmieszna i była kiedyś ładna.

— Hum, hum — chrząknęła pani de Villeparisis.

— A! cioci się nie podobała? Ale owszem, miała szczegóły śliczne, bardzo ładne oczy, ładne włosy, ubierała się i dotąd ubiera się jeszcze cudownie. Teraz przyznaję, że ona jest potworna, ale to była czarująca osoba. Tym nie mniej zmartwiło mnie, że Lolo się z nią ożenił, bo to było takie niepotrzebne.

Księżna nie sądziła, aby powiedziała coś niezwyklego, że jednak pan d'Argencourt zaczął się śmiać, powtórzyła to zdanie, czy że się jej wydało dowcipne, czy że się jej wydał miły partner rozmowy, na którego zaczęła patrzeć pieszczotliwie, aby do czarów inteligencji dodać czar słodczy. Ciągnęła:

— Tak, nieprawdaż, nie było warto, ale ostatecznie ona nie była bez uroku i rozumem doskonale, że można ją było kochać; podczas gdy widząc tę pannę od Roberta, zapewniam was, można skonać ze śmiechu. Wiem, że mi kto odpowie starą śpiewką Augiera: „Cóż znaczy flasza, byle upojenie”. Otóż Robert ma może upojenie, ale doprawdy nie złożył dowodu smaku w wyborze flaszki! Po pierwsze, pomyślcie, ona sobie ubrdała, żeby jej ustawić schody w samym środku mojego salonu. To drobiazg, nieprawdaż; do tego oznajmiła mi, że będzie leżała na brzuchu na tych schodach. Zresztą, gdyby pan słyszał, co ona deklamowała: znam tylko jedną scenę, ale nie przypuszczam, aby ktoś sobie zdołał wyobrazić coś podobnego: to się nazywa *Siedem księżniczek*³⁰⁷.

— *Siedem księżniczek*, au, au, co za snobizm! — wykrzyknął pan d'Argencourt. — Ale, a! czekajcie państwo, ja znam całą sztukę. To jednego z moich krajanów. Przesłał ją królowi, który nic nie zrozumiał i prosił mnie, żebym mu to wytłumaczył.

— Czy to przypadkiem nie Sar Peladan³⁰⁸? — spytał historyk Frondy, z intencją dowcipu i aktualności, ale tak cicho, że jego słowa przeszły niepostrzeżenie.

— A, pan zna *Siedem księżniczek*? — odparła księżna panu d'Argencourt. — Moje gratulacje! Ja znam tylko jedną, ale to mi odjęło ochotę do znajomości z sześcioma innymi. Jeżeli wszystkie są podobne do tej, którą widziałam!

„Co za kłępa — myślałem podrażniony lodowatym sposobem, w jaki mnie księżna przyjęła. Znajdowałem rodzaj cierpkiej przyjemności w stwierdzeniu jej pełnego niezrozumienia Maeterlincka³⁰⁹. — I dla takiej kobiety odwałem co rano nie wiem już ile kilometrów; doprawdy, trzeba mieć zdrowie! Teraz to ja bym jej nie chciał”. Takie słowa mówiłem w duchu; ale były one przeciwieństwem mojej myśli; były to słowa czysto konwersacyjne, jakie powtarzamy w chwilach gdy, nazbyt wzburzeni, aby zostać sami

³⁰⁷ *Siedem księżniczek* — *Les Sept Princesses* (1891), sztuka Maurice'a Maeterlincka. [przypis edytorski]

³⁰⁸ *Péladan, Joséphin*, znany też *Sâr Péladan* (1858–1918) — francuski powieściopisarz; utrzymywał, że pewien babiloński król pozostawił jego rodzinie tytuł „Sâr”; założyciel odnowionego Bractwa Różokrzyżowców, które m.in. organizowało wystawy obrazów: na jednej z ulotek takiej wystawy znajdowały się schody usłane liliami. [przypis edytorski]

³⁰⁹ *Maeterlinck, Maurice* (1862–1949) — belgijski pisarz piszący po francusku, czołowy przedstawiciel symbolizmu w sztuce, twórca dramatu symbolicznego, laureat literackiej Nagrody Nobla z 1911. [przypis edytorski]

z sobą, odczuwamy potrzebę, w braku innego partnera, rozmawiać z sobą, nieszczerze jak z obcym.

— Nie mogę panu dać o tym wyobrażenia — ciągnęła księżna — to można było skończyć ze śmiechu. Nie żalowano też sobie, zanadto może, bo pindulka się obraziła, a Robert w gruncie rzeczy zawsze chował o to żal do mnie. Czego zresztą nie żałuję, bo gdyby dobrze poszło, dałoby to tej pannie powód do dalszych występów, a nie wiem, czyby to zrobiło przyjemność Marii Aynardowej.

Tak nazywano w rodzinie matkę Roberta, panią de Marsantes, wdowę po Aynardzie de Saint-Loup, aby ją odróżnić od jej kuzynki, księżnej de Guermites z panującego domu bawarskiego, również Marii, do którego to imienia, dla uniknięcia pomyłek, siostrzeńcy, kuzyni i szwagrowie dodawali imię męża lub drugie jej imię, zwać ją Maria Gilbertowa lub Maria Jadwiga.

— Zresztą w wilię był rodzaj próby generalnej, to było ładne! — ciągnęła ironicznie pani de Guermites. — Wyobraźcie sobie, kiedy powiedziała zdanie, a nawet nie, ćwierć zdania, zatrzymywała się; robiła pauzę, doprawdy nie przesadzam, przez pięć minut.

— Au, au, au! — krzyknął pan d'Argencourt.

— Najuprzejmiej w świecie pozwoliłam sobie zwrócić jej uwagę, że to się może wyda trochę dziwne. Odpowiedziała dosłownie: „Trzeba zawsze mówić każdą rzecz tak, jakby się ją właśnie samemu tworzyło”. Skoro się trochę zastanowić, ta odpowiedź jest monumentalna!

— Ja myślałem, że ona nieźle mówi wiersze — rzekł jeden z dwóch młodych ludzi.

— Nie ma o tym zielonego pojęcia — odparła pani de Guermites. — Zresztą ja nie potrzebowałam jej słyszeć. Wystarczyło mi widzieć ją, jak sunie ze swoją leliją. Od razu zrozumiałam, że ona nie ma talentu, kiedym zobaczyła leliję.

Wszyscy się zaśmiali.

— Ciociu, nie pogniewała się chyba ciocia na mnie kiedyś za mój żart z królową szwedzką, przychodzę błagać o pardon.

— Nie, nie gniewam się, pozwalam ci nawet zjeść podwieczorek, jeżeli jesteś głodny. No, panie Valleneres, niech pan robi pannę domu — rzekła pani de Villeparisis do archiwisty: był to uświęcony żarcik.

Pan de Guermites wyprostował się w fotelu, gdzie się rozwalił, postawiwszy cylinder na dywanie, i badał z zadowoloną miną talerzyki z ciasteczkami, które mu podawano.

— Ależ chętnie, teraz kiedy się zaczynam oswajać z tym szlachebnym zgromadzeniem, schrupię jakąś babkę, wyglądają wybornie.

— Doskonale się pan wywiązuje z roli panny domu — rzekł pan d'Argentcourt, który przez ducha naśladownictwa podjął koncept pani de Villeparisis.

Archiwista podał ciasteczka historykowi Frondy.

— Cudownie się pan wywiązuje ze swoich funkcji — rzekł ów przez nieśmiałość i starając się pozyskać ogólną sympatię.

Jakoż objął ukradkiem porozumiewawczym spojrzeniem tych, co zrobili już jak on.

— Powiedz mi, dobra ciociu — spytał pan de Guermites pani de Villeparisis — kto jest ten pan prezentujący się wcale dobrze, który wychodził, kiedy ja wchodziłem? Muszę go znać, bo mi się głęboko uklonił, ale nie przypominam go sobie. Ciocia wie, że ja jestem zawsze w niezgodzie z nazwiskami, co jest bardzo niemile — rzekł tonem satysfakcji.

— Pan Legrandin.

— A! przecież Oriana ma kuzynkę, której matka, jeżeli się nie mylę, jest z domu Grandin. Tak, tak, wiem doskonale, to są Grandin de l'Éprevier.

— Nie — odparła pani de Villeparisis — to nie ma żadnego związku. Ci są po prostu Grandin, Grandin „de nic a nic”. Ale bardzo by chcieli być „de coś”, co ci się tylko podoba. Siostra tego pana nazywa się pani de Cambremer.

— Ależ słuchaj, Błażeju, wiesz, o kim ciocia mówi — wykrzyknęła księżna z oburzeniem — to przecie brat tej trawożernej olbrzymki, którą przyszło ci kiedyś do głowy wpakować mi na kark. Siedziała godzinę; myślałam, że zwariuję. Ale z początku sądziłam, że to ona zwariowała, widząc wchodzącą do mnie osobę, której nie znałam, osobę z miną krowy.

— Słuchaj, Oriano, spytała się mnie, kiedy ty przyjmujesz; nie mogłem być grubianinem — rzekł książę. — Zresztą powiedz sama, ty przesadzasz: ona nie ma miny krowy — dodał żalonym tonem, rzucając ukradkiem na obecnych uśmiechnięte spojrzenie.

Książę wiedział, że werwa żony wymaga, aby ją podsycać sprzeciwem; sprzeciwem zdrowego rozsądku, który protestuje na przykład, że nie można wziąć kobiety za krowę (w ten sposób pani de Guermentes, licytując samą siebie, znajdowała często swoje najładniejsze powiedzonka). I książę nastroił się naiwnie, aby pomóc, niby to niechcący, do sukcesu sztuczki, jak w wagonie kolejowym cichy współnik szulera.

— Uznaję, że nie wygląda na krowę, bo wygląda na całe stado krów — wykrzyknęła księżna. — Przysięgam wam, byłem w wielkim kłopotcie, widząc to stado krów tarabaniące się w kapeluszu do salonu i pytające mnie o zdrowie. Z jednej strony miałam ochotę jej odpowiedzieć: „Ależ, stado krów, tobie się coś myli; nie możesz być w stosunkach ze mną, skoro jesteś stadem krów”; z drugiej strony, szukając w pamięci, ubrdałam sobie w końcu, że twoja Cambremer to jest infantka³¹⁰ Dorota, która zapowiedziała się, że przyjdzie kiedyś, a która też jest dosyć *krowiasta*; tak że omal nie powiedziałam „wasza królewska wysokość” i nie mówiłam w trzeciej osobie do stada krów. Ona też ma żółdek w stylu królowej szwedzkiej. Zresztą ten atak na bagnety przygotowany był zawczasu ostrzeliwaniem mnie wedle wszelkich reguł strategii. Nie pamiętam już, odkąd bombardowała mnie biletami wizytowymi; znajdowałam je wszędzie, na wszystkich meblach jak prospekty. Nie znałam celu tej reklamy. Wszędzie czytało się u mnie same: „Margrabia i margrabina de Cambremer” z adresem, którego nie pamiętam i z którego zresztą postanowiłam sobie święcie nie skorzystać.

— Ależ to bardzo pochlebne być podobną do królowej — rzekł historyk Frondy.

— Och, mój Boże, drogi panie, królowie w naszej epoce to bardzo niewiele! — rzekł pan de Guermentes, bo miał pretensję być umysłem wyzwolonym i nowoczesnym, a także aby się nie wydawało, że sobie dużo robi ze stosunków monarszych, na których zależało mu bardzo.

Bloch i pan de Norpois, którzy wstali z krzesel, znaleźli się opodal nas.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis — czy mówił pan z panem Bloch o sprawie Dreyfusa?

Pan de Norpois podniósł oczy do nieba z uśmiechem, ale jak gdyby stwierdzając potworność kaprysów, jakie mu narzuca jego Dulcynea³¹¹. Mimo to zaczął mówić Blochowi bardzo uprzejmie o okropnych, może śmiertelnych latach, jakie przeżywa Francja. Ponieważ to znaczyło prawdopodobnie, że pan de Norpois (któremu wszelako Bloch oświadczył, że wierzy w niewinność Dreyfusa) jest gorącym antydreyfusistą, uprzejmość ambasadora, mina, z jaką zdawał się przyznawać słuszność swemu partnerowi, nie wątpić, że są jednego zdania, sprzymierzać się z nim w potępieniu rządu, pochlebiali próżności Blocha i budziły jego ciekawość. Co to były za ważne punkty, których pan de Norpois nie określał, ale co do których zdawał się dopuszczać swoją zgodność z Blochem; jakież tedy miał pogląd na sprawę, który by mógł ich zjednoczyć? Bloch był tym bardziej zdziwiony tajemniczą harmonią, jaka zdawała się istnieć między nim a panem de Norpois, ile że ta harmonia tyczyła się nie tylko polityki, pani de Villeparisis wspomniała bowiem dość obszernie panu de Norpois o pracach literackich Blocha.

— Pan nie jesteś człowiekiem swojej epoki, winszuję panu — rzekł do Blocha eks-ambasador — nie jesteś pan z tej epoki, w której bezinteresowne studia już nie istnieją, w której sprzedaje się publiczności jedynie pornografię lub bzdurstwa. Usiłowania takie jak pańskie powinny by się spotkać z zachętą, gdybyśmy mieli rząd.

Blochowi bardzo pochlebiło, że sam jeden nie zatonął w powszechnym potopie. Ale i w tym byłby pragnął większej ścisłości; rad byłby wiedzieć, o jakich bzdurstwach mówi pan de Norpois. Bloch miał poczucie, że pracuje w tym samym duchu co wielu innych; nie sądził, aby był tak wyjątkowy. Wrócił do sprawy Dreyfusa, ale nie zdołał rozgryźć poglądów pana de Norpois. Starał się go sprowadzić na oficerów, których nazwiska, powtarzające się często w owej chwili w dziennikach, więcej budziły ciekawości od polityków wmieszanych w tę samą sprawę, ponieważ ci wojskowi byli mniej znani i ponieważ,

³¹⁰*infantka* — hiszpański tytuł córki królewskiej. [przypis edytorski]

³¹¹*Dulcynea* — ukochana Don Kichota, tytułowego bohatera powieści Miguela Cervantesa. [przypis edytorski]

w specjalnym kostiumie, z głębi odrębnego życia oraz święcie dochowywanego milczenia, wyłonili się dopiero, aby przemówić, niby Lohengrin³¹² wysiadający z czółna ciągnionego przez łabędzia. Dzięki znajomemu adwokatowi-nacjonalście Bloch zdołał się dostać na kilka posiedzeń procesu Zoli³¹³. Przychodził rano, z zapasem bułek z szynką i flaszką kawy, aby wychodzić aż wieczór, jak przy piśmiennej maturze; ta zmiana trybu życia wprowadzała go w stan nerwowej pobudliwości, którą potęgowała jeszcze kawa oraz emocje procesu. Wychodził tak upojony wszystkim, co przeżył, że wieczorem, wróciwszy do domu, pragnął się znów zanurzyć w pięknym śnie i spieszył spotkać kolegów w kawiarni odwiedzanej przez oba stronnictwa. Omawiał tam bez końca z nimi wypadki dnia, rozkazującym tonem, dającym mu złudzenie władzy, zamawiał kolację, która kompensowała post i zmęczenie dnia zaczętego tak wcześnie i bez śniadania. Człowiek poruszający się wciąż między dwiema płaszczyznami — doświadczenia i wyobraźni — chciałby zgłębić idealne życie ludzi, których zna, oraz poznać istoty, których życie musi sobie roić. Na pytanie Blocha pan de Norpois odpowiedział:

— Jest dwóch oficerów wmieszanych w wiadomą sprawę, ludzi, o których słyszałem niegdyś z ust człowieka zasługującego na wszelkie zaufanie a ceniącego ich nader wysoko (pan de Miribel); ci oficerowie to podpułkownik Henry³¹⁴ i podpułkownik Picquart.

— Ależ — wykrzyknął Bloch — boska Atena³¹⁵, córka Zeusa, pomieściła w umyśle każdego z nich pojęcia wręcz przeciwne tym, które mieszkają w głowie drugiego. I walczą przeciwko sobie niczym dwa lwy. Pułkownik Picquart miał znakomitą sytuację w wojsku, ale jego Mojra³¹⁶ zawiodła go na stronę nieodpowiadającą jego stanowisku. Miecz nacjonalistów przetnie jego delikatne ciało, iżby posłużył za strawę drapieżnym zwierzętom i ptakom żywiącym się tłuszczem umarłych³¹⁷.

Pan de Norpois nie odpowiedział nic.

— O czym oni tam rajcują w kącie? — spytał pan de Guermantes pani de Villeparisis, pokazując pana de Norpois i Blocha.

— O sprawie Dreyfusa.

— Bagatela! *À propos*, czy wiecie, kto jest zajadłym stronnikiem Dreyfusa? Zgadnijcie, jeśli możecie. Mój siostrzeniec Robert! Powiem wam nawet, że w „Jockeyu”, kiedy się dowiedziano o jego wyczynach, zrobił się prawdziwy huczek, istny tumult. Ponieważ podają go za tydzień na członka...

— Oczywiście — przerwała księżna — jeżeli oni są wszyscy tacy jak Gilbert, który zawsze utrzymywał, iż trzeba wysłać wszystkich Żydów do Jerozolimy...

— A! w takim razie książę Gilbert podziela najzupełniej moje przekonania — przerwał pan d'Argencourt.

Książę stroił się w swoją żonę, ale jej nie kochał. Sam wielki arogant, nie znoślił, aby mu przerywano; przyzwyczał się przy tym w domu być z nią brutalny. Trzęsąc się

³¹²*Lohengrin* — Rycerz Łabędzia, postać z legend arturiańskich, syn Parsifala, wysłany w łodzi ciągniętej przez łabędzia, by ocalić pannę, która nie może zapytać Lohengrina o jego tożsamość; szerzej znany jako tytułowy bohater romantycznej opery Wagnera z 1850, w której Graal napelnia Rycerza Łabędzia mistycznymi mocami, które działają tak długo, jak długo udaje się zachować ich sekret. [przypis edytorski]

³¹³*Zola, Emile* (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu; wszystkie jego dzieła zostały wpisane na indeks ksiąg zakazanych; w 1898 zaangażował się w obronę Alfreda Dreyfusa, oficera niesłusznie oskarżonego o zdradę, publikując 13 stycznia na pierwszej stronie paryskiego dziennika „L'Aurore” artykuł *J'Accuse!*... (Oskarżam!), zarzucający władzom antysemityzm i działania niezgodne z prawem; 7 lutego został postawiony przed sądem pod zarzutem pomówienia, 23 lutego skazany i pozbawiony orderu Legii Honorowej; w kwietniu wyrok uchylono ze względów proceduralnych, ale przeciwko Zoli wszczęto nowy proces, który rozpoczął się 18 lipca; za radą swojego prawnika przed wydaniem werdyktu pisarz uciekł do Anglii. [przypis edytorski]

³¹⁴*Henry, Hubert-Joseph* (1846–1898) — francuski oficer wywiadu; jego przełożony, Picquart, był przekonany, że Henry sfałszował dowody, aby ostatecznie udowodnić, że Alfred Dreyfus był zdrajcą na korzyść Niemiec; fałszerstwo udowodniono w 1898, Henry został aresztowany; znaleziono go martwego w celi więziennej. [przypis edytorski]

³¹⁵*Atena* (mit. gr.) — bogini mądrości, sztuki i wojny sprawiedliwej, córka Zeusa, władcy bogów. [przypis edytorski]

³¹⁶*Mojry* (mit. gr.) — trzy boginie przeznaczenia, pilnujące odwiecznego porządku świata, wyobrażane jako prządki przędące i przecinające nić ludzkiego żywota. [przypis edytorski]

³¹⁷*za strawę drapieżnym zwierzętom i ptakom żywiącym się tłuszczem umarłych* — zapewne aluzja do słów z pierwszego zdania *Iliady*: „na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu walające się trupy rycerskie” (tłum. Franciszek Ksawery Dmochowski). [przypis edytorski]

z podwójnego gniewu, złego męża, do którego żona mówi, i krasomówcy, którego ktoś nie słucha, urwał i przesył księżnę spojrzeniem, które zakłopotowało wszystkich.

— Co ciebie napadło opowiadać nam o Gilbertcie i o Jerozolimie? — rzekł wreszcie. — Nie o to chodzi. Ale — dodał łagodniej — przyznajcie mi, że gdyby zbalotowano³¹⁸ w „Jockeyu” jednego z naszych, a zwłaszcza Roberta, którego ojciec był przez dziesięć lat prezesem klubu, to by był szczyt! Cóż chcesz, moja droga, zatknęło po prostu tych ludzi, rozdziawili szeroko oczy. Nie mogę ich potępiać; osobiście, wiesz, że nie mam żadnego przesądu co do ras, uważam, że to nie jest rzecz na dzisiejsze czasy, a mam pretensję iść z duchem czasu, ale ostatecznie, cóż u diaska! Kiedy się ktoś nazywa margrabia de Saint-Loup, nie jest dreyfusistą, daruj mi, ale to trudno!

Pan de Guermantes wyrzekł te słowa: „Kiedy się ktoś nazywa margrabia de Saint-Loup” z emfazą. Wiedział przecież dobrze, że jeszcze większą rzeczą jest nazywać się „książę de Guermantes”. Ale o ile jego miłość własna skłonna była raczej przeceniać wyższość tytułu księcia de Guermantes, widząc go nad wszystkimi innymi, nie tyle może prawidła dobrego smaku, ile prawa wyobraźni parły księcia do tego, aby go pomniejszać. Każdemu się wydaje piękniejsze to, co widzi na odległość, co widzi u innych. Powszechne prawa regulujące perspektywę wyobraźni obowiązują równie dobrze książąt jak innych ludzi. Nie tylko prawa wyobraźni, ale języka. Otóż jedno i drugie z dwóch prawideł języka mogło tu znaleźć zastosowanie. Jedno chce, aby się wyrażać tak jak ludzie danej klasy duchowej, a nie rodowej. Tym samym pan de Guermantes, nawet kiedy chciał mówić o szlachcie, mógł spłacać haracz małemu mieszczaństwu, które by powiedziało: „Kiedy się ktoś nazywa książę de Guermantes”, podczas gdy intelektualista, jakiś Swann, jakiś Legrandin nie powiedzieliby tego. Książę może pisać powieści godne sklepikarza, nawet gdy bierze wielki świat za temat; pergaminy nie są tu żadną pomocą, a epitet „arystokratyczny” mogą zdobyć pisma jakiegos plebejusza. Kto to był, w danym wypadku, ów łyk, z którego ust pan de Guermantes słyszał: „Kiedy się ktoś nazywa...”, o tym z pewnością książę nie miał pojęcia. Ale innym prawem języka jest, że od czasu do czasu, tak jak się zjawiają i znikają pewne choroby, o których nie słyszy się już później, tak samo rodzą się, nie wiadomo jak — samoistnie, czy przez przypadek, podobny temu, który przenosi do Francji chwast z Ameryki przez nasienie uczonego pledu jakiegos podróżnego i zawiane na skarpe kolejową — całe światy wyrażań, powtarzanych w tej samej dekadzie przez ludzi, którzy się nie umówili w tym celu. Tak na przykład pewnego roku słyszałem Blocha mówiącego o samym sobie: „Skoro osoby najbardziej urocze, najświetniejsze, najlepiej postawione, najwybredniejsze, spostrzegły się, że istnieje tylko jeden człowiek, który się im wydał inteligentny, miły, bez którego nie mogą się obejść, a mianowicie niejaki Bloch”; i to samo zdanie słyszałem w ustach wielu innych młodych ludzi, którzy go nie znali i którzy zastępowali jedynie nazwisko „Bloch” swoim własnym; otóż tak samo miałem często słyszeć owo: „Kiedy się ktoś nazywa”.

— Cóż chcecie — ciągnął książę — wobec ducha, jaki tam panuje, to dość zrozumiałe.

— To zwłaszcza komiczne — odparła księżna — zważywszy poglądy jego matki, która nas piłuje swoją Patrie Française³¹⁹ od rana do wieczora.

— Tak, ale tu jest nie tylko jego matka, nie trzeba nam zawracać głowy matką. Jest tam dziewucha, lafirynda najgorszego rodzaju, która ma na niego więcej wpływu i która właśnie jest rodaczką imć Dreyfusa. Ona zaraziła Roberta swoim duchem.

— Nie wie może książę, że istnieje nowe słowo na wyrażenie tego rodzaju ducha — rzekł archiwista, będący sekretarzem komitetów antyrewizjonistycznych. — Mówi się „mentalność”. To znaczy ściśle to samo, ale przynajmniej nikt nie wie, co to ma znaczyć. To jest szczyt finezji; jak się to mówi, „ostatni krzyk”.

Równocześnie archiwista, usłyszawszy nazwisko Blocha, z niepokojem obserwował jego rozmowę z panem de Norpois, co znów obudziło niepokój odmiennego rodzaju, ale równie mocny u margrabiny. Drżąc przed archiwistą i udając przed nim antydreyfusistkę,

³¹⁸balotować (daw.) — tajnie głosować za pomocą kartek albo białych i czarnych galek; zbalotować: odrzucić lub wyrzucić w wyniku tajnego głosowania. [przypis edytorski]

³¹⁹Ligue de la patrie française (fr.) — Liga Ojczyzny Francuskiej, francuska organizacja polityczna o charakterze nacjonalistycznym, zał. w 1898, w okresie sprawy Dreyfusa, w odpowiedzi na utworzenie przez intelektualistów lewicy Ligi Praw Człowieka; oficjalnie rozwiązana w 1904. [przypis edytorski]

bała się jego wymówek, o ile ów sobie zda sprawę, że ona wpuściła do domu Żyda mniej lub więcej związanego z „syndykatem”.

— A, „mentalność”, muszę to zapisać, podam to dalej — rzekł książę. (To nie była przenośnia: książę miał notesik pełen cytatów, które przeglądał przed wielkimi obiadami). — Mentalność udała mi się. Są takie nowe słowa, które ktoś puszcza w kurs, ale które nie trwają długo. Niedawno czytałem w tym rodzaju o jakimś pisarzu, że jest „kongenialny”. Zrozum, kto mądry. Później nie spotkałem już tego.

— Ale „mentalność” jest bardziej rozpowszechniona niż „kongenialny” — rzekł historyk Frondy, aby się wmieszać do rozmowy. — Jestem członkiem komisji w ministerstwie oświaty, gdzie słyszałem to słowo kilka razy, toż samo w moim klubie, w klubie „Volney”, a nawet na obiedzie u pana Emila Ollivier³²⁰.

— Ja, który nie mam zaszczytu należeć do ministerstwa oświaty — odparł książę z udaną pokorą, ale z pychą tak głęboką, że usta jego nie mogły się wstrzymać od uśmiechu, a oczy od okrężnego błysku radości, pod którego ironią zarumienił się biedny historyk — ja, który nie mam zaszczytu należeć do ministerstwa oświaty — podjął, pieszcząc się własnymi słowami — ani do klubu „Volney” (należę tylko do „Union” i do „Jockey”), pan nie należy do „Jockey”, proszę pana? — spytał historyka, który, rumieniąc się jeszcze bardziej, przeczuwając impertynencję i nie rozumiejąc jej, zaczął drżeć na całym ciele. — Ja, który nie bywam nawet na obiadach pana Emila Ollivier, wyznaję, że nie znałem słowa „mentalność”. Jestem pewien, że i ty, Argencourt, jesteś w moim położeniu... Wiecie, czemu nie można zaprodukować dowodów winy Dreyfusa? Zdaje się dlatego, że on jest kochankiem żony ministra wojny. Mówi się o tym po cichu.

— A, myślałem, że żony premiera — rzekł pan d’Argencourt.

— Jesteście równie nudni jedni jak drudzy z tą całą sprawą — rzekła księżna de Guermantes, która na gruncie towarzyskim zawsze starała się okazać, że nie podlega niczym wpływom. — Ta rzecz nie może mieć dla mnie znaczenia z punktu widzenia Żydów z tej dobrej racji, że nigdy nie było ich między moimi znajomymi i mam nadzieję pozostać zawsze w tej błogiej nieznanomości. Ale z drugiej strony, wydaje mi się nieznośne, aby Maria Aynardowa lub Wiktoryna narzucały nam całą kupę pań Durand lub Dubois, których nie bylibyśmy nigdy znali, pod tym pretekstem, że są dobrze myślące, że nic nie kupują u Żydów lub że mają wypisane „śmierć Żydom” na parasolce. Byłam u Marii przedwczoraj. Dawniej było tam uroczko. Teraz zastaje się wszystkie osoby, których się unikało całe życie, pod pozorem, że są przeciw Dreyfusowi; i inne, o których się w ogóle nie wie, kto to taki.

— Nie, żony ministra wojny. Tak przynajmniej opowiadają w alkowach — odparł książę, używający czasem w rozmowie pewnych wyrażen, które wydawały mu się *ancien régime*³²¹. — W każdym razie, osobiście, wiadomo jest, że ja mam poglądy wręcz przeciwne niż mój kuzyn Gilbert. Ja nie jestem feudał, jak on; spacerowałbym pod rękę z Murzynem, gdyby Murzyn był moim przyjacielem, i tyle bym się troszczył o opinię plebsu, co o zeszlóroczny śnieg; ale ostatecznie, mimo wszystko, przyznacie mi, że kiedy się ktoś nazywa Saint-Loup, nie wolno mu się bawić w prowokowanie całego świata, który, jak mówi przysłowie, ma więcej rozumu od Woltera³²², a nawet od mego siostrzeńca. A zwłaszcza nie puszcza się człowiek na to, co bym nazwał akrobatyką sentymentalną, na tydzień przed balotem w klubie. To już jest przesada! I to z pewnością jego lafirynda napompuwała go w ten sposób. Wmówiła w Roberta, że to go postawi jako „intelektualistę”. Intelektualizm to jest molierowskie³²³ „ciastko ze śmietaną” tych panów. Zresztą dało to już powód do kalamburów, dość zabawnych, ale bardzo złośliwych.

I książę zacytował po cichu księżnej i panu d’Argencourt „*Mater Semita*”, które w istocie już krążyło w Jockey Clubie, bo ze wszystkich wędrownych nasion żarcik posia-

Żyd, Antysemityzm,
Pozycja społeczna, Obyczaje

Śmiech, Słowo

³²⁰ Ollivier, Émile (1825–1913) — francuski polityk i historyk; premier (1869–1870). [przypis edytorski]

³²¹ *ancien régime* (fr.) — stare rządy; określenie systemu polityczno-społecznego Francji funkcjonującego przed rewolucją 1789. [przypis edytorski]

³²² Wolter a. Voltaire, właśc. François-Marie Arouet (1694–1778) — czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania. [przypis edytorski]

³²³ Molière, właśc. Jean Baptiste Poquelin (1622–1673) — aktor i najwybitniejszy komediopisarz francuski; molierowskie „ciastko ze śmietaną”: określenie z komedii Moliera *Szkola żon* (akt I, scena I), krytykowane w jego czasach jako trywialne, zostało następnie w odpowiedzi celowo użyte przez autora w *Krytyce szkoły żon* jako nonsensownie powtarzane słowa postaci markiza. [przypis edytorski]

da najmocniejsze skrzydła, pozwalające mu się zasiać na największą odległość od miejsca pochodzenia.

— Moglibyśmy spytać o wyjaśnienia pana, który robi wrażenie „wielkiej erudyty³²⁴” — rzekł książę, wskazując historyka. — Ale lepiej nie mówić o tym, zwłaszcza iż fakt jest absolutnie fałszywy. Nie jestem tak ambitny jak moja kuzynka Mirepois, która twierdzi, że może śledzić filiacje swego domu przed Chrystusem aż do pokolenia Lewi³²⁵ i podejmuje się dowieść, że nigdy nie było ani kropli krwi żydowskiej w naszej rodzinie. Ale ostatecznie nie trzeba nas zanadto wodzić na pokuszenie, i to jest pewne, że uroczę poglądy mego siostrzeńca muszą robić sporo hałasu w naszej Pipidówce. Zwłaszcza że Fezensac jest chory, zatem Duras będzie prowadził wszystko, a wiecie, jaki on jest mąciwoda.

Bloch starał się przyprzeć do muru pana de Norpois w przedmiocie pułkownika Picquart.

— Nie ulega wątpliwości — odparł pan de Norpois — że jego zeznanie było potrzebne. Wiem, że taki pogląd każe rozedrzeć szaty niejednemu z moich kolegów, ale, na mój rozum, rząd miał obowiązek pozwolić mówić pułkownikowi. Nie wychodzi się z takiego impasu zwykłym piruetem lub ryzykuje się wówczas, że się wpadnie w błoto. Co do samego pułkownika, zeznania jego wywarły na pierwszej rozprawie jak najlepsze wrażenie. Kiedy się pokazał, zgrabny, w swoim uniformie szaserów³²⁶; kiedy doskonale prostym i szczerym tonem opowiadał, co widział, w co wierzył; kiedy powiedział: „Na mój żołnierski honor (tu głos pana de Norpois zadrgał lekkim patriotycznym tremolo³²⁷) takie jest moje przekonanie”, wówczas, nie da się zaprzeczyć, wrażenie było głębokie.

„Jest za Dreyfusem, nie ma cienia wątpliwości” — pomyślał Bloch.

— Ale co odjęło Picquartowi całkowicie sympatie, jakie umiał sobie pozyskać zrazu, to jego konfrontacja z archiwistą Gribelin. Kiedy usłyszano tego starego sługę, tego człowieka mającego tylko jedno słowo (tu pan de Norpois z energią szczerego przekonania podkreślił słowa, które nastąpiły); kiedy go usłyszano, kiedy ujrzano, jak patrzy swemu zwierzchnikowi w oczy, jak się nie lęka wytrzymać jego wzroku i oświadczyć mu tonem niedopuszczającym repliki: „Ech, panie pułkowniku, pan wie, że ja nigdy nie skłamałem; wie pan dobrze, że w tej chwili, jak zawsze, mówię prawdę”, wówczas wiatr się odwrócił; darmo w trakcie późniejszych rozpraw pan Picquart poruszał niebo i ziemię — zrobił kompletne fiasko.

„Nie, stanowczo jest przeciw Dreyfusowi, to murowane — powiedział sobie Bloch. — Ale jeżeli uważa Picquarta za zdrajcę, który kłamie, jak może liczyć się z jego rewelacjami i wspominać je tak, jakby był pod ich urokiem i wierzył w ich szczerłość? A przeciwnie, jeżeli widzi w nim męża sprawiedliwego, który czyni zadość swemu sumieniu, jak może sądzić, że on skłamał w momencie konfrontacji z Gribelinem?”

— W każdym razie, jeżeli ten Dreyfus jest niewinny — przerwała księżna — nie bardzo umie tego dowieść. Cóż za idiotyczne, emfaticzne³²⁸ listy on pisze ze swojej wyspy. Nie wiem, czy pan Esterhazy więcej jest wart od niego, ale ma grubo inny fason w swoim stylu, inny kolor. To nie musi być przyjemne dla stronników Dreyfusa. Co za nieszczęście dla nich, że nie mogą zmienić niewinnego.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

— Słyszała ciocia słówko Oriany? — spytał namiętnie książę pani de Villeparisis.

— Owszem, bardzo zabawne.

To nie wystarczyło księciu:

— A mnie się wcale nie wydaje zabawne — rzekł — lub raczej jest mi to obojętne, czy jest zabawne, czy nie. Nie przywiązuję żadnej wagi do dowcipu.

Pan d'Argencourt protestował.

³²⁴erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową; rzecz. rodzaju męskiego. [przypis edytorski]

³²⁵Lewi — postać biblijna z *Księgi Rodzaju*, syn patriarchy Jakuba; jego potomkowie, plemię Lewitów, tworzyli w społeczeństwie żydowskim osobną grupę kapłanów, naczelnikiem rodu był każdorazowy arcykapłan. [przypis edytorski]

³²⁶szaserzy (z fr. *chasseur*: strzelec, myśliwy) — typ piechoty, a następnie lekkiej kawalerii, istniejący w armii francuskiej od poł. XVIII w. [przypis edytorski]

³²⁷tremolo (muz., z wł.: drżenie) — wydobywanie wielu dźwięków o tej samej wysokości, wykonywane przez drżące ruchy smyczka, szybkie i częste szarpanie struny itp. [przypis edytorski]

³²⁸emfaticzny — nacechowany emfazą, przesadną uczuciowością w wypowiedzi. [przypis edytorski]

— On nie myśli ani słowa z tego co mówi — szepnęła księżna.

— To z pewnością dla tego, że byłem posłem do Izby; nasłuchałem się tam świetnych przemówień, które nie znaczyły nic. Nauczyłem się tam cenić zwłaszcza logikę. Zapewne temu zawdzięczam, że mnie nie wybrano ponownie. Rzeczy dowcipne są mi obojętne.

— Błażeju, nie rób pana Prudhomme³²⁹, moje kochanie, wiesz dobrze, że nikt tak nie ceni dowcipu jak ty.

— Pozwól mi skończyć. Właśnie dlatego, że jestem niewrażliwy na pewien gatunek konceptów, cenię często dowcip mojej żony. Bo wychodzi najczęściej z trafnej obserwacji. Ona rozumuje jak mężczyzna, a formułuje myśli jak pisarz.

Powodem, że pan de Norpois mówił do Blocha tak, jakby byli obaj jednego zdania, było może to, że ambasador był tak dalece antydreyfusistą, iż uważając, że rząd jest nim nie dosyć, był przeciwnikiem rządu tyleż co dreyfusiści. Może to, że cel, jaki widział w polityce, był czymś głębszym, leżącym na innej płaszczyźnie, skąd dreyfusizm przedstawiał się jako szczegół bez wielkiego znaczenia, niewart zaprzętać patrioty, pochłoniętego wielką polityką zagraniczną. Może raczej to, że maksymy jego mądrości politycznej, sprowadzając się do kwestii formy, procedury, sposobności, były równie niezdolne do rozwiązania zasadniczych kwestii, jak w filozofii czysta logika niezdolna jest rozwiązać kwestii istnienia, lub że ta właśnie mądrość sprawiała, iż uważał za niebezpieczne dyskutować te zagadnienia i przez ostrożność wolał mówić jedynie o ubocznych szczegółach. Ale omyłką Blocha było przeświadczenie, że pan de Norpois, nawet gdyby był mniej ostrożny i mniejszy formalista, byłby mógł, gdyby chciał, powiedzieć mu prawdę co do roli pułkownika Henry, Picquarta, Paty de Clama i co do wszystkich punktów sprawy. Bloch nie wątpił, że pan de Norpois wie prawdę o tych wszystkich rzeczach. Jakżeby mógł jej nie znać, skoro zna ministrów? Zapewne Bloch sądził, iż prawdę polityczną mogą w przybliżeniu odgadnąć najbystrzejsze mózgi; ale wyobrażał sobie, jak większość obywateli, że ona zawsze mieszka, niewątpliwa i materialna, w tajnym dossier prezydenta Republiki i premiera, którzy udzielają jej ministrom. Otóż nawet kiedy prawda polityczna zawiera dokumenty, rzadko się zdarza, aby one miały większą wartość niż rentgenowska klisza pacjenta. Ogół sądzi, że choroba wypisana jest na niej wszystkimi głoskami, gdy w istocie klisza ta dostarcza jednego z elementów, który, obok wielu innych, stanie się substratem wniosków lekarza i przesłanką jego diagnozy. Toteż prawda polityczna, kiedy się zbliżamy do ludzi poinformowanych i kiedy nam się zdaje, że już ją chwytamy, wymyka się. Nawet później — aby pozostać przy sprawie Dreyfusa — kiedy się zdarzył fakt tak jaskrawy, jak zeznania pułkownika Henry i w następstwie jego samobójstwo, fakt ten interpretowali natychmiast w przeciwny sposób ministrowie dreyfusiści, a przeciwnie Cavaignac i Cuignet³³⁰, którzy sami odkryli fałszerstwo i poprowadzili śledztwo; co więcej, nawet pośród ministrów dreyfusistów, i to tej samej barwy, sądzących nie tylko na zasadzie tych samych aktów, ale w tym samym duchu, rola pułkownika Henry spotkała się z wykładem całkowicie sprzecznym, przy czym jedni widzieli w nim współnika Esterhazego, drudzy przeciwnie wyznaczali tę rolę Paty de Clamowi, dzielając niejako tezę swego przeciwnika Cuignet, a będąc w zupełnej sprzeczności ze swoim stronnikiem Reinachem.

Bloch mógł wydobyć z pana de Norpois tylko tyle, że, jeżeli prawdą jest, iż szef sztabu generalnego, de Boisdeffre, udzielił tajnej informacji panu Rochefort, fakt ten byłby niewątpliwie czymś bardzo godnym ubolewania.

— Niech pan będzie przeświadczony, że minister wojny musiał, *in petto*³³¹ przynajmniej, ślać swojego szefa sztabu generalnego do wszystkich bogów piekieł. Oficjalne *dementi*³³² nie byłoby moim zdaniem pleonazmem. Ale minister wojny wyraża się bardzo

³²⁹pan Prudhomme — postać z satyrycznych rysunków i utworów komediowych Henryka Monnier, symbol głupoty francuskiego mieszczaństwa. [przypis edytorski]

³³⁰Cavaignac i Cuignet — francuski minister wojny (1898) Godefroy Cavaignac (1853–1905), który przekazał Zgromadzeniu Narodowemu dokumenty obciążające Dreyfusa, oraz kapitan Louis Cuignet (185–1936), który odkrył, że kluczowy dokument został sfalszowany przez pułkownika Henry'ego, który przyznał się do przestępstwa, gdy został przesłuchany przez Cavaignaca; Cavaignac zrezygnował ze stanowiska, ale nadal głosił o winie Dreyfusa i dołączył do grupy nacjonalistów w parlamencie, której został jednym z liderów. [przypis edytorski]

³³¹*in petto* (wl.) — w głębi duszy. [przypis edytorski]

³³²*dementi* (fr.) — oficjalne zaprzeczenie prawdziwości jakiejś informacji. [przypis edytorski]

jakrawo o tym *inter pocula*³³³. Bywają zresztą przedmioty, w związku z którymi bardzo jest nieostrożnie stwarzać ruch niepodobny później do opanowania.

— Ale wszystkie te dokumenty są najoczywściej fałszywe — rzekł Bloch.

Pan de Norpois nie odpowiedział, ale oświadczył, że nie pochwała manifestacji księcia Henryka Orleańskiego³³⁴.

— Zresztą mogą one tylko zmacić pogodę trybunałów i rozpętać ruchy, które tak w jednym, jak w drugim kierunku, byłyby godne ubolewania. Niewątpliwie trzeba zawołać: wara! zakusom antymilitarystycznym, ale również nic nam po swarach podsycanych przez te elementy prawicowe, które, zamiast służyć idei patriotycznej, starają się ją wyzyskać dla siebie. Francja, Bogu dzięki, nie jest Meksykiem i nie tęskni do generała z *pronunciamento*³³⁵.

Bloch nie zdołał wydobyć z pana de Norpois opinii o winie Dreyfusa ani prognozy co do sądu mającego wyrokować w sprawie cywilnej będącej właśnie w toku. W zamian za to pan de Norpois z widoczną przyjemnością udzielił mu wyjaśnień co do następstw tego wyroku.

— Jeżeli będzie skazujący — rzekł ambasador — będzie prawdopodobnie skasowany, bo w procesie, gdzie zeznania świadków są tak liczne, rzadko się zdarza, aby nie zaszły uchybienia formalne, które adwokaci mogą zaczepić. Co się tyczy wybryku księcia Henryka, bardzo wątpię, aby przypadł do smaku jego ojcu.

— Myśli pan, że Chartres³³⁶ jest za Dreyfusem? — spytała księżna z uśmiechem, ale tonem zgorznienia, z oczami szeroko otwartymi, z zaczerwienioną twarzą, z nosem w talerzu z ciasteczkami.

— Bynajmniej; chciałem tylko powiedzieć, że istnieje w całej tej rodzinie zmysł polityczny, którego *nec plus ultra*³³⁷ można było stwierdzić u godnej podziwu księżnej Klementyny³³⁸, a który jej syn, książę Ferdynand³³⁹, zachował jako szacowne dziedzictwo. To pewne, książę Bułgarii nie byłby uściskał majora Esterhazy!

— Wolałby prostego żołnierza — szepnęła pani de Guermantes, która często jadła obiad z owym Bułgarem u księcia de Joinville i która odpowiedziała mu raz, kiedy pytał, czy jest zazdrośna: „Owszem, o bransoletki waszej książęcej mości”.

— Czy nie idzie pani dziś na bal do Saganów? — spytał pan de Norpois pani de Villeparisis, aby przeciąć rozmowę z Blochem. Poza tym Bloch dosyć spodobał się ambasadorowi, który powiedział później, nie bez naiwności i zapewne z powodu niejakich śladów maniery (mimo iż porzuconej) neohomeryckiej, pozostałych w języku Blocha: „Dosyć zabawny jest z tym swoim stylem trochę przestarzałym, trochę uroczystym. Mało brak, aby powiedział: »Cne siostry«, jak Lamartine albo Jean-Baptiste Rousseau³⁴⁰. To jest dość rzadkie u dzisiejszej młodzieży, a nawet było rzadkie w poprzedniej generacji. My byliśmy raczej trochę romantyczni”. Ale mimo iż partner wydał mu się dość osobliwy, pan de Norpois uznał, że rozmowa trwała aż nazbyt długo.

— Nie, drogi panie, nie chodzę już na bale — odparła pani de Villeparisis z ładnym uśmiechem starej kobiety. — A wy idziecie? To w sam raz na wasze lata — dodała, obejmując wspólnym spojrzeniem pana de Châtellerauld, jego przyjaciela i Blocha. Mnie także zaproszono — rzekła, udając dla żartu, że się tym pyszni. — Zaproszono mnie nawet osobiście („Zaproszono” to znaczyło: księżna de Sagan).

³³³*inter pocula* (łac.) — dosł. między kubkami; w trakcie spotkania przy alkoholu. [przypis edytorski]

³³⁴Henryk Orleański (1867–1901) — francuski książę, syn Roberta Orleańskiego, księcia Chartres, oraz księżniczki Franciszki Orleańskiej; przekonany o winie Dreyfusa, publicznie pogratulował Esterhazemu po jego niewinnieniu w lutym 1898. [przypis edytorski]

³³⁵*pronunciamento* (hiszp. dosł.: oświadczenie) — rodzaj wojskowego buntu a. zamachu stanu, który zaczyna się od publicznej deklaracji wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi dokonanej przez grupę spiskowców oczekujących następnie na poparcie reszty sił zbrojnych; *pronunciamento* było charakterystyczne dla Hiszpanii, Portugalii i krajów Ameryki Łacińskiej, szczególnie w XIX w. [przypis edytorski]

³³⁶Robert Orleański, książę Chartres (1840–1910) — francuski arystokrata, syn Ferdynanda Filipa Orleańskiego, młodszy brat Filipa, księcia Paryża pretendenta do tronu Francji. [przypis edytorski]

³³⁷*nec plus ultra* a. *non plus ultra* (łac.) — nic ponad to; kraniec; szczyt doskonałości. [przypis edytorski]

³³⁸Klementyna Orleańska (1817–1907) — księżniczka francuska, księżna Saksonii, córka Ludwika Filipa I, króla Francuzów. [przypis edytorski]

³³⁹Ferdynand I Koburg (1861–1948) — książę Bułgarii (od 1887), następnie car Bułgarów (1908–1918), syn Augusta Koburga (1818–1881), brata króla Portugalii Ferdynanda II, oraz Klementyny Orleańskiej (1817–1907). [przypis edytorski]

³⁴⁰Rousseau, Jean-Baptiste (1670–1741) — francuski dramaturg i poeta. [przypis edytorski]

— Ja nie mam zaproszenia — rzekł Bloch, myśląc że pani de Villeparisis ofiaruje mu się wystarać o nie i że pani de Sagan będzie szczęśliwa powitać u siebie przyjaciela kobiety, którą była zaprosić osobiście.

Margrabina nie odpowiedziała nic, a Bloch nie poruszał już tego tematu, bo miał z nią poważniejszą sprawę do obrobienia, w którym to celu zaprosił się na pojutrze. Usłyszawszy mianowicie, jak dwaj młodzi panicze mówią, że się podali do dymisji z klubu przy ulicy Royale, gdzie wpuszczają byle kogo, Bloch chciał prosić pani de Villeparisis, aby mu tam wyrobiła przyjęcie.

— Ci Sagan, nieprawdaż, to szczyt fałszywej elegancji, straszne snoby? — rzekł sarkastycznie.

— Ależ nie, to jest to, co mamy najlepszego na składzie w tym rodzaju — odparł pan d'Argencourt, który przyswoił sobie wszystkie paryskie koncepty.

— Zatem — rzekł Bloch na wół ironicznie — to jest to, co się nazywa „uroczystość”, wielkie światowe wydarzenie sezonu.

Pani de Villeparisis rzekła wesoło do pani de Guermantes:

— Powiedz, czy to taka światowa uroczystość: bal u pani de Sagan?

— Nie mnie trzeba o to pytać — odparła ironicznie księżna — nie doszłam jeszcze do zgłębienia tego, co to jest światowa uroczystość. Zresztą rzeczy światowe to nie jest moja specjalność.

— A! ja myślałam przeciwnie — rzekł Bloch, który wyobrażał sobie, że pani de Guermantes mówi serio.

Ku wielkiej rozpaczy pana de Norpois Bloch zadawał mu dalej mnóstwo pytań w kwestii oficerów, których nazwiska powtarzały się najczęściej w sprawie Dreyfusa. Ambasador oświadczył mu, że „na oko” pułkownik du Paty de Clam robi na nim wrażenie trochę mętnej głowy i że nie był może najszczęśliwiej wybrany do prowadzenia śledztwa w tej delikatnej sprawie, wymagającej tyle zimnej krwi i tyle taktu.

— Wiem, że partia socjalistyczna domaga się jego skalpu, zarówno jak natychmiastowego wypuszczenia na wolność jeńca z Diabelskiej Wyspy³⁴¹. Ale ja sądzę, że nie jesteście jeszcze w tym położeniu, abyśmy mieli słuchać dyktatu panów Gérault-Richard *et consortes*³⁴². Dotychczas cała ta sprawa to butla atramentu. Nie powiadam, aby tak z jednej, jak z drugiej strony nie było do ukrycia dosyć szpetnych paskudztw. Nie twierdzą nawet, aby niektórzy mniej lub więcej bezinteresowni protektorzy pańskiego klienta nie mogli mieć dobrych intencji; ale wiadomo panu, że piekło jest nimi wybrukowane — dodał ambasador ze sprytnym spojrzaniem. — Zasadniczą rzeczą jest, aby rząd sprawiał wrażenie, że nie jest w rękach lewicowych frakcji i że nie musi się poddać ze związanymi rękami i nogami pogróżkom jakiejś wątpliwej armii pretorianów³⁴³, która, niech mi pan wierzy, nie jest armią. Rozumie się samo przez się, że gdyby wyszedł na jaw nowy fakt, przystąpiono by do rewizji. Oczywiście tego bije w oczy. Domagać się tego znaczy wyważać otwarte drzwi. W owym dniu rząd potrafi przemówić jasno i głośno lub też zapanłby się tego, co jest jego zasadniczym przywilejem. Kalambury nie wystarczą. Trzeba będzie dać sędziów Dreyfusowi. I to nie będzie rzeczą trudną, bo mimo iż przyzwyczajono się w naszej pięknej Francji, tak chętnej do oczerniania samej siebie, wierzyć lub pozwalać wierzyć, iż aby usłyszeć słowa prawdy i sprawiedliwości, nieodzowne jest przebyć kanał la Manche, co bardzo często jest okrężną drogą wiodącą nad Sprewę, sędziowie są nie tylko w Berlinie. Ale, skoro raz akcja rządu się wyłoni, czy potraficie być rządowi posłuszni? Kiedy was wezwie, abyście dopełnili obywatelskiego obowiązku, czy potraficie go usłuchać, czy skupicie się dokoła niego? Czy na jego patriotyczny apel potraficie nie pozostać głusi i odpowiedzieć: „Jestem!”?

Pan de Norpois zadawał te pytania Blochowi z gwałtownością, która onieśmielając mojego kolegę, pochlebiała mu zarazem; ambasador bowiem robił wrażenie, że zwraca

³⁴¹*Diabelska Wyspa* — francuska kolonia karna u wybrzeży Ameryki Południowej, w Gujanie Francuskiej. [przypis edytorski]

³⁴²*et consortes* (łac.) — i towarzysze; i współnicy. [przypis edytorski]

³⁴³*pretorianie* — straż przyboczna cesarza rzymskiego; znani ze swoich intryg pałacowych, wywierali wpływ na politykę cesarską, wielokrotnie sami decydowali, kto zostanie kolejnym cesarzem, często najpierw uśmiercając poprzedniego; formacja rozwiązana przez Konstantyna Wielkiego w 312. [przypis edytorski]

się w jego osobie do całego stronnictwa, że zadaje Blochowi pytania tak, jakby ów był piastunem sekretów partii i mógł przyjąć odpowiedzialność za decyzje, które zapadną.

— Gdybyście nie złożyli oręża — ciągnął pan de Norpois, nie czekając kolektywnej odpowiedzi Blocha — gdybyście, nim jeszcze obesznie dekret zarządzający rewizję procesu, posłuszni jakiemuś zdradzieckiemu hasłu, nie złożyli broni, ale zaciekli się w jałowej opozycji, która wydaje się niektórym *ultima ratio*³⁴⁴ polityki, gdybyście się cofnęli do swego namiotu³⁴⁵ i spalili okręty, byłoby to z waszą wielką szkodą. Czy jesteście więźniami siewców rozkładu? Czyście się im zaprzędali?

Bloch był w kłopotcie, co odpowiedzieć; ale pan de Norpois nie zostawił mu na to czasu:

— Jeżeli, przypuścimy to, prawda jest w przeciwnym obozie; jeżeli posiadacie trochę tego, czego, niestety, jak widzę, brakuje niektórym z waszych wodzów i przyjaciół, jakiegoś zmysłu politycznego, wówczas w tym samym dniu, w którym wyrok sądu zostanie zakwestionowany, o ile się nie dacie przywieść na hak ludziom łowiącym ryby w mętnej wodzie, zdobyliście twierdzą. Nie ręczę, czy cały sztab generalny zdoła wyjść z tego cało, ale to jest już dość pięknie, jeżeli bodaj część zdoła ocalić głowę, nie podkładając ognia pod prochy i nie powodując katastrofy. Rozumie się zresztą samo przez się, że do rządu należy stanowić prawo i zamknąć zbyt długą listę nieukaranych zbrodni, oczywiście nie w drodze posłuchu podżeganiom socjalistów, czy jakiej bądź soldateski³⁴⁶ — dodał ambasador, patrząc Blochowi w oczy, może z owym właściwym wszystkim konserwatystom instynktem zabezpieczenia sobie względów w przeciwnym obozie. — Akcja rządowa musi iść swoim torem, bez troski o pokrzykiwania, skądkolwiek by pochodziły. Rząd nie jest, Bogu dzięki, ani pod rozkazami pułkownika Driant³⁴⁷, ani, na przeciwnym biegunie, pana Clemenceau³⁴⁸. Trzeba przygiąć karku zawodowym agitatorom i nie dać im podnieść głowy. Francja w swojej ogromnej większości pragnie pracy i ładu! W tym względzie moje wyznanie wiary jest jasne. Ale nie trzeba się bać oświecić opinię; a jeżeli parę owiec, z tych, które tak dobrze znał nasz Rabelais³⁴⁹, rzuci się na łeb na szyję w wodę, godziłoby się pokazać im, że ta woda jest mętna, że ją zmacił rozmyślnie posiew obcego chowu, aby zasłonić niebezpieczne kulisy. I rząd nie powinien robić wrażenia, że porzuca swą bierność jakby pomimo woli, kiedy będzie wykonywał prawo będące zasadniczym jego prawem: mam na myśli prawo wprawienia w ruch ramienia Sprawiedliwości. Rząd przyjmie wszystkie wasze sugestie, panowie. Jeżeli stwierdzone zostanie, że zaszła omyłka sądowa, rząd będzie pewien przygniatającej większości, która mu pozwoli na rozmach w działaniu.

— Pan, proszę pana — rzekł Bloch, zwracając się do pana d'Argencourt, któremu wymieniono wraz ze wszystkimi jego nazwisko — pan jest z pewnością dreyfusistą; za granicą wszyscy są za Dreyfusem.

— To jest sprawa, która obchodzi tylko Francuzów, tylko ich, nieprawdaż? — odparł pan d'Argencourt z ową specjalną impertynencją, która polega na tym, aby używać partnerowi mniemania, którego on najoczywiściej nie podziela, skoro właśnie wyraził sąd przeciwny.

Bloch spiekł raka; pan d'Argencourt uśmiechnął się, patrząc dokoła siebie, a o ile ten uśmiech, podczas gdy go kierował na innych gości, był niezycliwy dla mego kolegi, zabarwił się serdecznością, spoczawszy w końcu na Blochu, aby mu odjąć pozór do obrazy za słowa, które mimo to pozostały okrutne. Pani de Guermantes szepnęła panu d'Argencourt coś, czego nie słyszałem, ale co się musiało odnosić do religii Blocha; bo

Obcy, Obyczaje

³⁴⁴*ultima ratio* (łac.) — ostatni argument, środek ostateczny. [przypis edytorski]

³⁴⁵*gdybyście się cofnęli do swego namiotu* — nawiązanie do postawy Achillesa w *Iliadzie*, który w geście sprzeciwu wobec naczelnego wodza Agamemnona pozostawał w swoim namiocie, nie biorąc udziału w walkach. [przypis edytorski]

³⁴⁶*soldateska* — pogardl.: niedyscyplinowane, nieokrzesane wojsko; rządy militarystów. [przypis edytorski]

³⁴⁷*Driant, Émile Augustin Cyprien* (1855–1916) — francuski pisarz, polityk i oficer; zięc nacjonalistycznego generała Boulanger'a, ministra wojny w latach 1886–1887. [przypis edytorski]

³⁴⁸*Clemenceau, Georges* (1841–1929) — francuski pisarz, lekarz i polityk; premier (1906–1909 i 1917–1920); w trakcie sprawy Dreyfusa był jednym z czołowych zwolenników rewizji procesu. [przypis edytorski]

³⁴⁹*Rabelais, François* (ok. 1484–1553) — francuski pisarz, lekarz, były zakonnik; autor arcydzieła francuskiego renesansu, powieści *Gargantua i Pantagruel*; *parę owiec, z tych, które tak dobrze znał nasz Rabelais*: odniesienie do fragmentu *Gargantui i Pantagruela* (IV 5–8), w którym Panurg mści się na kupcu: kupuje od niego najpiękniejszego barana, którego wrzuca do morza, a za baranem wskakuje całe stado kupca. [przypis edytorski]

w tej chwili po twarzy księżnej przebiegł ów wyraz, któremu strach, iż dotycząca osoba mogła coś spostrzec, daje coś niepewnego i fałszywego, z domieszką owej ciekawej i złośliwej wesołości, jaką budzi grupa ludzka zasadniczo nam obca.

Aby się odegrać, Bloch zwrócił się do księcia de Châtellerault:

— Pan, proszę pana, jakkolwiek Francuz, wie pan z pewnością, że zagranica jest za Dreyfusem, mimo iż twierdzą, że we Francji nie wie się nigdy, co się dzieje za granicą. Zresztą wiem, że z panem można się dogadać. Saint-Loup mówił mi to.

Ale młody książę widział, że wszyscy zgodnie są przeciw Blochowi; tchórzliwy, jak często ludzie bywają w „świecie”, obdarzony zresztą ciętym dowcipem, jak gdyby przejętym atawistycznie od pana de Charlus, rzekł:

— Daruje pan, że nie będę z nim dysputował o Dreyfusie, ale mam za zasadę mówić o tej sprawie jedynie z potomkami Jafeta³⁵⁰.

Wszyscy się uśmiechnęli, z wyjątkiem Blocha, mimo iż często zdarzało mu się wygłaszać ironiczne aluzje do swego semickiego pochodzenia, co do swojej genealogii wiodącej do stóp góry Synaj. Ale w miejsce jednego z tych powiedzeń, które widocznie nie były gotowe, sprężyna jego duchowej maszyny sprowadziła na usta Blocha inne słowa. I dosłyszano tylko to: „Ale skąd pan może wiedzieć? Kto panu powiedział?”, tak jak gdyby był synem zbrodniarza. Z drugiej strony, zważywszy jego fizys³⁵¹ i jego nazwisko niemające nic szczególnie chrześcijańskiego, zdumienie jego trąciło pewną naiwnością.

Ponieważ deklaracja pana de Norpois nie zadowoliła Blocha całkowicie, zbliżył się do archiwisty i spytał, czy nie widuje się czasem u pani de Villeparisis pana du Paty de Clam³⁵² albo Józefa Reinach³⁵³. Archiwista nie odpowiedział; był nacjonalistą i nieustannie kładł w uszy margrabinie, że niebawem przyjdzie do wojny socjalnej i że powinna być ostrożniejsza w wyborze stosunków. Pomyślał, czy Bloch nie jest tajnym emisariuszem syndykatu, przybyłym celem wywiadu; toteż poszedł natychmiast powtórzyć pani de Villeparisis pytania Blocha. Margrabina uznała, że Bloch jest co najmniej źle wychowany, a może niebezpieczny dla sytuacji pana de Norpois. Chciała zarazem dać satysfakcję archiwście, jednemu człowiekowi, którego się trochę bała i który katechizował ją bez wielkiego sukcesu (co rano czytał jej artykuł pana Judet w „Le Petit journal”). Pragnąc tedy okazać Blochowi, że nie ma po co wracać, znalazła na poczekaniu w swoim światowym repertuarze scenę, za pomocą której wielka dama ekspediuje kogoś za drzwi; scenę niewymagającą zgoła rozkazująco wyciągniętej ręki ani płomiennych oczu, jakby to sobie można wyobrazić. Kiedy Bloch podszedł, aby się pożegnać, margrabina, zanurzona w wielkim fotelu, zaledwie że się ocknęła niby to z mimowolnej drzemki. Zamglone jej oczy miały słaby i uroczy blask perły. Pożegnanie Blocha, ledwie znacząc na twarzy margrabiny omdlewający uśmiech, nie wyrwało jej ani słowa; nie wyciągnęła doń ręki. Scena ta wprawiła Blocha w niesłychane zdumienie, ale ponieważ krąg stojących dookoła osób był jej świadkiem, nie sądził, aby ją mógł przeciągać bez ujmy dla siebie; aby wyrwać margrabinę z bierności, sam podał rękę, której ona nie kwapiła się podjąć. Pani de Villeparisis czuła się zgorzonna; ale zapewne, dając doraźną satysfakcję archiwście oraz obozowi antydreyfusistów, chciała jednak zabezpieczyć sobie przyszłość; poprzestała na spuszczeniu powiek i przymknięciu oczu.

— Zdaje się, że śpi — rzekł Bloch do archiwisty, który, czując poparcie margrabiny, przybrał wyraz oburzony. — Moje uszanowanie pani — krzyknął Bloch.

Margrabina poruszyła lekko wargami, niby umierająca, która chciałaby otworzyć usta, ale już nie poznaje. Następnie odwróciła się, kipiąca odzyskanym życiem, ku margrabie-

³⁵⁰Jafet — postać biblijna z *Księgi Rodzaju*, jeden z synów Noego; trzej synowie Noego: Sem, Cham i Jafet, dali początek trzem grupom ludów, zamieszkujących trzy części świata i składających się na całą ludzkość; Jafet miał być przodkiem ludów indoeuropejskich, podczas gdy Sem przodkiem ludów semickich, w tym Żydów. [przypis edytorski]

³⁵¹fizys (z łac.) — twarz. [przypis edytorski]

³⁵²Paty de Clam, Armand du (1853–1916) — francuski oficer, amator-grafolog, jedna z kluczowych postaci w sprawie Dreyfusa; wskazał Alfreda Dreyfusa, jedynego Żyda w Sztabie Generalnym, jako głównego podejrzanego o szpiegostwo, stwierdził zgodność jego próbki pisma z obciążającym dokumentem; zastraszał pułkownika Picquarta, głównego demaskatora w tej sprawie; w *J'Accuse!*... został przez Zolę wskazany jako główny uczestnik spisku; w 1899 przed ponownym procesem Dreyfusa został aresztowany; po kilku miesiącach ulaskawiony w ramach amnestii dla wszystkich zaangażowanych w sprawę. [przypis edytorski]

³⁵³Reinach, Joseph (1856–1921) — francuski polityk, dziennikarz i pisarz niemiecko-żydowskiego pochodzenia; prowadził kampanię prasową w obronie Dreyfusa. [przypis edytorski]

mu d'Argencourt, podczas gdy Bloch oddalał się, przekonany, że ona jest „zramolała”. Ciekawość i chęć przeniknięcia tak dziwnego zdarzenia zaprowadziły go do margrabiny po kilku dniach. Przyjęła go bardzo uprzejmie, bo była dobra kobieta, bo archiwisty nie było, zależało jej na bluetce³⁵⁴, którą Bloch miał u niej wystawić, a wreszcie, bo odegrała już swoją scenę wielkiej damy, powszechnie podziwianą i komentowaną tego samego wieczora w różnych salonach, ale wedle wersji niemającej już nic wspólnego z prawdą.

— Mówiła pani o *Siedmiu księżniczkach*; wie księżna, czym zresztą nie mam powodu się pysznić, że autor tego... jak mam powiedzieć, tego „dowodu rzeczowego” jest moim ziomkiem — rzekł pan d'Argencourt z ironią niepozbawioną odcienia satysfakcji, iż zna lepiej od innych autora utworu będącego tematem rozmowy. — Tak, to jest z profesji Belg — dodał.

— Doprawdy? Nie, nie będziemy pana posądzali o to, aby pan miał jakikolwiek udział w tych *Siedmiu księżniczkach*. Szczęściem dla pana i dla pańskich ziomków, nie jest pan w niczym podobny do autora tej bzdury. Znam Belgów bardzo miłych: pan, pański król, trochę nieśmiały, ale pełen inteligencji, moi kuzynowie Ligne i wielu innych, ale na szczęście nie posługujecie się tym samym językiem, co autor *Siedmiu księżniczek*. Zresztą, jeżeli mam być szczerą, za dużo mówimy o tym, bo przede wszystkim to jest nic. To są ludzie, którzy starają się być mętni, a w potrzebie gotowi są być śmieszni, aby pokryć to, że mają pustkę w głowie. Gdyby w tym coś było, powiem panu, że ja się nie lękam niektórych śmiałości — dodała tonem serio — z chwilą, kiedy gdzieś jest myśl. Nie wiem, czy pan widział sztukę pana Borelli. Są ludzie, których to raziło; ja, gdyby mnie nawet miano ukamienować — dodała księżna, nie zdając sobie sprawy, że nie ryzykuje zbyt wiele — przyznając, że mi się to wydało nieskończenie ciekawe. Ale *Siedem księżniczek*! Daremnie jedna z nich darzy łaskami mego siostrzeńca, niepodobna mi posunąć tak daleko uczuć rodzinnych...

Księżna urwała, bo wchodząca właśnie dama to była wicehrabina de Marsantes, matka Roberta. Pani de Marsantes miała w Faubourg Saint-Germain opinię istoty wyższej, anielskiej rezygnacji i dobroci. Słyszałem o tym i nie miałem specjalnego powodu się dziwić, nie wiedząc wówczas, że to jest rodzona siostra księcia de Guermantes. Później dziwiło mnie zawsze, ilekroć się dowiedziałem w tym towarzystwie, że kobiety melancholijne, czyste, otoczone kultem, czczone na kształt idealnych świętych z witraża, wykwitły z tej samej genealogicznej gałęzi, co ich bracia, brutalni, rozwiążli i plugawi. Zdawało mi się, że bracia i siostry, kiedy są zupełnie podobni z twarzy (jak książę de Guermantes i pani de Marsantes), powinni by mieć jedną inteligencję, jedno serce, jak osoba, która może mieć dobre lub złe chwile, ale od której nie można się spodziewać szerokich widnokręgów, jeżeli jest ograniczona, ani wzniosłej abnegacji, jeżeli ma twarde serce.

Pani de Marsantes uczęszczała na wykłady Brunetière'a³⁵⁵. Budziła entuzjazm Faubourg Saint-Germain, budując zarazem salony życiem świętej. Ale morfologiczne powinowactwo ładnego nosa i przenikliwych oczu kazałyby ją jednakże zaliczyć do tej samej intelektualnej i moralnej rodziny co brata jej, księcia de Guermantes. Nie mogłem uwierzyć, iż sam fakt, że ktoś jest kobietą i może to, że ta kobieta była nieszczęśliwa i że ma za sobą sympatię opinii, mógł sprawić, aby ktoś był tak różny od swoich bliskich, niby w *Chansons de geste*³⁵⁶, gdzie wszystkie cnoty i wdzięki skupiają się w siostrze dzikich braci. Zdawało mi się, że natura, bardziej skrupowana od starych poetów, musi się posługiwać niemal wyłącznie składnikami wspólnymi całej rodzinie; nie umiałem przypisywać naturze takiej zdolności odnawiania się, aby z materiałów analogicznych do tych, co składały³⁵⁷ głupca i chama, stworzyła wielki umysł bez najmniejszej domieszki głupoty, świętą bez żadnej zmazy brutalności.

Pani de Marsantes miała białą jedwabną suknię w wielkie palmy, od których odcinały się czarne kwiaty. Przed trzema tygodniami straciła kuzyna, pana de Montmorency, co jej nie przeszkadzało robić wizyt i chodzić na mniejsze obiady, ale w żałobie. To była

³⁵⁴bluetka (z fr.) — bezpretensjonalny drobiazg muzyczny. [przypis edytorski]

³⁵⁵Brunetière, Ferdinand (1849–1906) — francuski krytyk i historyk literatury; członek Akademii Francuskiej (od 1893). [przypis edytorski]

³⁵⁶Chansons de geste — średniowieczne starofrancuskie poematy rycerskie, mówiące o przygodach historycznych i legendarnych bohaterów. [przypis edytorski]

³⁵⁷składać coś (daw.) — stanowić coś, tworzyć coś; składać się na coś. [przypis edytorski]

wielka dama. Przez atawizm dusza jej była wypełniona czczością egzystencji dworskich, ze wszystkim, co w nich jest powierzchownego i formalistycznego.

Pani de Marsantes nie miała siły długo oplakiwać ojca i matki, ale za nic na świecie nie włożyłaby nic kolorowego w ciągu miesiąca po śmierci kuzyna. Była dla mnie niezmiernie uprzejma, ponieważ byłem przyjacielem Roberta i ponieważ nie byłem z tego samego świata. Dobroci tej towarzyszyła udana nieśmiałość, objawiająca się chwilowym powściągnięciem głosu, spojrzenia, myśli, które kobieta ściąga ku sobie niby zbyt obfitą spódnicę, aby nie zabierać za wiele miejsca, aby zachować linię prostą — mimo iż giętką — jak żąda dobre wychowanie. Dobre wychowanie, którego nie trzeba zresztą brać dosłownie: wiele z tych dam osuwa się bardzo szybko w wyuzdanie, nie tracąc nigdy dziecinnej niemal poprawności manier. Pani de Marsantes była nieco drażniąca w rozmowie, bo za każdym razem, kiedy chodziło o kogoś „nieurodzonego”, jak na przykład Bergotte, Elstir, mówiła skandując słowa, podkreślając je i psalmodiując na dwa odmienne tony, z modulacją właściwą Guermantom: „Miałam *zaszczyt*, wielki *zaszczyt* spotkać pana Bergotte, poznać pana Elstir”; czy aby kazać podziwiać swoją pokorę, czy przez to samo upodobanie, jakie znajdował pan de Guermantes w antycznych formach, w proteście przeciw dzisiejszemu brakowi wychowania, nie dosyć posługującemu się słowem „zaszczycony”. Która bądź z tych dwóch racji była istotną, czuło się, iż kiedy pani de Marsantes mówi: „Miałam *zaszczyt*, wielki *zaszczyt*”, dama ta sądzi, iż spełnia wielką rolę, pokazuje, iż umie witać nazwiska ludzi wartościowych, tak jakby witała ich samych w swoim zamku, gdyby się znaleźli gdzieś w sąsiedztwie. Z drugiej strony, ponieważ miała liczną rodzinę i bardzo ją kochała, ponieważ powolna w dykcji, a lubiąca się w wyjaśnieniach, chciała wykladać gruntownie pokrewieństwa, co chwila cytowała (bez najmniejszej chęci popisu, szczerze lubiła mówić jedynie o wzruszających chłopach i o wzniosłych gajowych) wszystkie mediatyzowane³⁵⁸ rody Europy, czego mniej świetne od niej osoby nie mogły jej przebaczyć i — o ile były trochę intelektualne — drwiły z jej głupoty.

Na wsi ubóstwiano panią de Marsantes dla jej dobroczynności, ale zwłaszcza dlatego, że czystość jej krwi, w której od kilku pokoleń skupiało się jedynie to, co było największego w historii Francji, odejmowała jej wzięciu wszystko, co lud nazywa „fasonami”, dając mu zupełną prostotę. Nie lękała się uściskać biednej kobiety, która była w nędzy, i kazała jej przyjść po worek drzewa do zamku. Była to — powiadano — doskonała chrześcijanka. Pragnęła dla Roberta kolosalnie bogatego małżeństwa. Być wielką damą znaczy grać wielką damę; to znaczy, po części, grać prostotę. To jest gra, która kosztuje niezmiernie drogo; zwłaszcza że prostota czaruje jedynie pod tym warunkiem, żeby inni wiedzieli, iż ktoś mógłby nie być prosty, to znaczy, że jest bardzo bogaty. Mówiono mi potem, kiedy opowiedział, że widział panią de Marsantes: „Musiał pan sobie uprzytomnić, że ona była kiedyś czarująca”. Ale prawdziwa piękność jest tak swoista, tak nowa, że nie poznaje się jej jako piękności. Powiedziałem sobie jedynie tego dnia, że pani de Marsantes ma maleńki nosek, bardzo niebieskie oczy, długą szyję i smutny wyraz twarzy.

— Słuchaj — rzekła pani de Villeparisis do księżnej de Guermantes — sądzę, że za chwilę zjawi się tutaj kobieta, której nie masz ochoty poznać; wolę cię uprzedzić, żeby cię to nie zaskoczyło. Zresztą możesz być spokojna, nigdy nie przyjmę jej później, ale ma przyjść tylko jeden raz, dzisiaj. To żona Swanna.

Pani Swann, widząc proporcje, jakie przybierała sprawa Dreyfusa i bojąc się, aby pochodzenie męża nie obróciło się przeciwko niej, błagała go, aby nigdy już nie mówił o niewinności skazanego. Kiedy Swanna nie było, posuwała się dalej i głosiła *credo*³⁵⁹ najżarliwszego nacjonalizmu; naśladowała w tym zresztą panią Verdurin, w której mieszczański i skryty antysemityzm obudził się i doszedł do prawdziwego szału. Pani Swann zyskała na swojej postawie to, że weszła do paru antysemickich lig kobiecych, które zaczynały się tworzyć, oraz nawiązała stosunki z licznymi osobami z arystokracji. Może się wydać dziwne, że daleka od ich naśladowania księżna de Guermantes, tak zaprzyjaźniona ze Swannem, wytrwale opierała się jego nietajonej chęci przedstawienia jej swojej żony. Ale ujrzymy później, że to był skutek swoistego charakteru księżnej, która sądziła, że

³⁵⁸mediatyzowany (hist.) — pozbawiony praw udzielnych (w związku z wcieleniem księstwa do większego państwa). [przypis edytorski]

³⁵⁹credo (łac.) — dosł. wierzę; przen. wyznanie wiary, poglądy i zasady, którymi ktoś kieruje się w życiu. [przypis edytorski]

„nie musi” zrobić takiej a takiej rzeczy i narzucała despotycznie to, co zdecydowała jej światowa „wolna wola”, bardzo arbitralna.

— Dziękuję, że mnie ciocia uprzedziła — odparła księżna. — To by mi było w istocie bardzo przykre. Ale ponieważ ją znam z widzenia, zerwę się na czas.

— Zapewniam cię, Oriano, ona jest bardzo miła, to wyborna osoba — rzekła pani de Marsantes.

— Nie wątpię, ale nie czuję żadnej potrzeby sprawdzać tego osobiście.

— Czy jesteś zaproszona do lady Israel? — spytała pani de Villeparisis księżnej, aby odmienić rozmowę.

— Ależ, Bogu dzięki, ja jej nie znam — odparła pani de Guermantes. — To naszej Marii trzeba o to pytać. Ona ją zna, nigdy nie mogłam pojąć czemu.

— Znałam ją w istocie — odparła pani de Marsantes — wyznaję swoje błędy. Ale jestem zdecydowana jej już nie znać. Zdaje się, że to jedna z najgorszych, i nie kryje się z tym. Zresztą wszyscy byliśmy zbyt ufni, zbyt gościnni. Noga moja już nie postanie u nikogo z tej nacji. Zamykało się drzwi starym kuzynom z prowincji, ludziom tej samej krwi, a otwierało się je Żydom. Widzimy teraz, jak nam za to dziękują. Niestety, nie mam prawa nic mówić: mam czarującego syna, który, jak młody wartogłów³⁶⁰, wygłasza wszystkie możliwe niedorzeczności — dodała, słysząc, że pan d'Argencourt robi aluzję do Roberta. — Ale *à propos* Roberta, czy ty go nie widziałaś? — spytała, zwracając się do pani de Villeparisis — ponieważ to jest sobota, myślałam, że mógłby wpaść na dwadzieścia cztery godzin do Paryża i w takim razie zaszedłby cię z pewnością odwiedzić.

W rzeczywistości pani de Marsantes myślała, że jej syn nie dostał pozwolenia; że jednak w każdym razie wiedziała, iż gdyby je miał, nie zaszedłby do pani de Villeparisis, miała nadzieję, udając, iż wierzy, że by go tutaj zastała, zyskać mu przebaczenie u podejrzliwej ciotki za wszystkie wizyty, o które ją oszukał.

— Robert tutaj! Ależ ja nie miałam nawet słówka od niego; zdaje się, że go nie widziała od czasu Balbec.

— Jest taki zajęty, tyle ma do roboty — rzekła pani de Marsantes.

Niedostrzegalny uśmiech sfalował rzęsy pani de Guermantes; patrzyła na kółko, które końcem parasolki kreśliła na dywanie. Za każdym razem, kiedy książę zaniedbywał zbyt jawnie żonę, pani de Marsantes brała z rozgłosem stronę szwagierki przeciw bratu. Ta zachowywała jej opiekę we wdzięcznej i urażliwej pamięci i niezbyt się martwiła wybrykami Roberta. W tej chwili drzwi otworzyły się znowu i wszedł Robert.

— O, kiedy mowa o wilku... — rzekła pani de Guermantes, igrając z nazwiskiem Saint-Loup³⁶¹.

Pani de Marsantes, siedząc plecami do drzwi, nie widziała wchodzącego syna. Kiedy go spostrzegła, radość w tej matce zatrzepotała naprawdę jak skrzydło, ciało pani de Marsantes na wpół się uniosło, twarz jej zadrgała, wlepiła w Roberta zachwycone oczy:

— Jak to, przyszedłeś! Co za szczęście! Co za niespodzianka!

— A, kiedy mowa o wilku, rozumiem — rzekł dyplomata belgijski, śmiejąc się do rozpuku. — Saint-Loup.

— To rozkoszne — rzekła sucho pani de Guermantes, która nie cierpiała kalamburów i zaryzykowała ten, jedynie niby to kpiąc z samej siebie.

— Jak się masz, Robercie — rzekła — więc tak zapomina się o swojej ciotce.

Rozmawiali chwilę z sobą, i z pewnością o mnie, bo podczas gdy Saint-Loup zbliżał się do matki, pani de Guermantes obróciła się do mnie.

— Dzień dobry — rzekła — jak się pan ma.

Spuściła na mnie deszcz światła swego błękitnego spojrzenia, zawahała się chwilę, rozwinęła i wyciągnęła lodygę swego ramienia, pochyliła naprzód ciało, które wyprostowało się szybko wstecz, niby drzewko, które ktoś nagiął i które, zwolnione, wraca do naturalnej pozycji. Tak robiła pod ogniem spojrzeń Roberta, który ją obserwował i czynił na odległość rozpaczliwe wysiłki, aby uzyskać od ciotki jeszcze coś więcej. Bojąc się, aby rozmowa nie upadła, przyszedł ją podsycić i odpowiedział za mnie:

³⁶⁰wartogłów (daw.) — osoba lekkomyślna, niezbyt zrównoważona, lekkoduch. [przypis edytorski]

³⁶¹igrając z nazwiskiem Saint-Loup — we francuskim „Saint Loup” oznacza: święty Lupus (biskup Troyes z IV–V w.), jest także nazwą wielu miejscowości nazwanych na jego cześć we Francji; jako rzecz. pospolity słowo loup (łac. lupus) oznacza wilka. [przypis edytorski]

— Nie miewa się zbyt dobrze, jest trochę zmęczony; zresztą może by się miewał lepiej, gdyby cię częściej widywał, bo nie ukrywam ci, że lubi cię widzieć.

— A, ależ to bardzo uprzejmie! — rzekła pani de Guermantes tonem rozmyślnie banalnym, tak jakby jej przyniósł płaszcz. — Bardzo mi to pochlebia.

— Pójdę trochę usiąść koło matki, zostawiam ci swoje krzesło — rzekł Saint-Loup, zmuszając mnie w ten sposób, abym usiadł przy jego ciotce.

Zamilkliśmy oboje.

— Spotykam pana czasem rano — rzekła, jak gdyby mi oznajmiała nowinę i jakbym ja jej nie widział. — To bardzo dobre dla zdrowia.

— Oriano — rzekła półgłosem pani de Marsantes — mówiłaś, że idziesz do pani de Saint-Ferréol; czy byłabyś tak uprzejma powiedzieć jej, żeby mnie nie czekała z obiadem: zostanę w domu, skoro mam Roberta. Śmiem nawet prosić cię jeszcze o coś: powiedz, przechodząc, żeby kupiono tych cygar, które Robert lubi; to się nazywa „Corona”, nie ma ich już w domu.

Robert zbliżył się, usłyszał tylko nazwisko pani de Saint-Ferréol.

— Co to jest znowu takiego pani de Saint-Ferréol? — spytał tonem ostentacyjnego zdziwienia, przybrał bowiem manierę ignorowania wszystkiego, co tyczy „świata”.

— Ależ, kochanie, wiesz dobrze — rzekła matka — to siostra pana de Vermandois; to ona ci dała ten ładny bilardzik, który tak lubieś.

— Jak to, to jest siostra Vermandois, nie miałem o tym najłżejszego pojęcia. A, moja rodzina jest bajeczna — rzekł, na wpół obracając się do mnie i przejmując bezwiednie akcenty Blocha, jak przejmował jego myśli — zna ludzi niesłychanych, ludzi nazywających się co najmniej de Saint-Ferréol (wybijal ostatnią spółgłoskę każdego słowa), chodzi na bale, jeździ na spacer powozami, prowadzi fantastyczną egzystencję. Bajkowe.

Pani de Guermantes wydobyła z gardła ów lekki i silny dźwięk, niby wymuszony uśmiech, który się połyka, a który miał na celu okazanie, że w stopniu, w jakim pokrewieństwo ją do tego zmusza, bierze udział w dowcipie swego siostrzeńca.

W tej chwili lokaj oznajmił, że książę von Faffenheim-Münsterburg-Weinigen każe powiedzieć panu de Norpois, że przyszedł.

— Niech go pan wprowadzi — rzekła pani de Villeparisis do eks-ambasadora, który ruszył naprzeciw niemieckiego premiera.

Ale margrabina przywołała ambasadora:

— Niech pan zaczeka; czy mam mu pokazać miniaturę cesarzowej Szarloty³⁶²?

— A, sądzę, że będzie zachwycony! — rzekł z przejęciem ambasador, tak jakby z zdrościł szczęśliwemu ministrowi łaski, która go czeka.

— Tak, wiem, że on jest bardzo „dobrze myślący” — rzekła pani de Marsantes — a to takie rzadkie u cudzoziemców. Ale ja mam informacje. To wcielony antysemityzm.

Nazwisko księcia von Faffenheim — w szczeroci, z jaką pierwsze sylaby były — jak się mówi w muzyce — atakowane, i w zająkłej repetycji, która je skandowała — zachowało rozmach, zmanierowaną naiwność, ciężkie finezje germańskie, rzucone niby zieleniące się gałęzie na ciemnobłękitną emalię zgłoski „Heim”, roztaczającą mistycyzm nadreńskiego witrażu, poza bladymi i subtelnie cyzelowanymi złoceniami niemieckiego XVIII wieku. Wśród różnych członów, które je składały, nazwisko to zawierało nazwę niemieckiego miasteczka kąpielowego, gdzie raz dzieckiem byłem z babką, u stóp góry zaszczyconej przechadzkami Goethego oraz winnic, z których piliśmy w Kurhofie szacowne wina o nazwach skomplikowanych i grzmiących jak epitety dawane przez Homera jego bohaterom. Toteż ledwie usłyszał nazwisko księcia, zanim sobie przypomniałem kąpielisko, wydało mi się ono zmniejszone, nasiąkłe ludzkością, mieszczące się swobodnie w małym zakątku mojej pamięci, do której przyłgnęło, poufale, przyziemne, malownicze, soczyste, lekkie, z dodatkiem czegoś jakby autoryzowanego, przepisowego. Co więcej, pan de Guermantes, tłumacząc, kim jest książę, wymienił kilka jego tytułów; wówczas poznałem wioskę przeciętą rzeką, gdzie co wieczór po skończonej kuracji puszczałem się łódką przez chmarę komarów; i nazwę lasu, na tyle odległego, aby mi lekarz zabronił tam chodzić na spacer. I w istocie zrozumiałe było, że zwierchnictwo

³⁶²Elżbieta Charlotta z Palatynatu (1652–1722) — niemiecka księżniczka Palatynatu Reńskiego, żona księcia Orleanu; opisywała zdarzenia i osoby z dworu Ludwika XIV w swoich listach do Niemiec. [przypis edytorski]

udzielnego pana rozciągało się na otaczające miejscowości i w wyliczaniu jego tytułów skupiło na nowo nazwy, które można było wyczytać jedne tuż koło drugich na mapie. Tak więc pod przyłbicą księcia Świętego Imperium³⁶³ i giermka Frankonii ujrzałem twarz ukochanej ziemi, gdzie często zatrzymywały się dla mnie promienie wieczornego słońca, którem znow ujrzał w tej chwili, przynajmniej zanim książe, ryngrabia i elektor Palatynatu wszedł do salonu. Bo dowiedziałem się w ciągu kilku chwil, że dochody jakie czerpie z lasu i z rzeki zaludnionej gnomami³⁶⁴ i ondynamami³⁶⁵, z zaczarowanej góry, gdzie wznosi się stary gród pamiętający Lutra³⁶⁶ i Ludwika Niemieckiego³⁶⁷, książe obraca na to, aby mieć pięć samochodów marki Charron, jeden pałac w Paryżu, a drugi w Londynie, abonowaną łożę (poniedziałki) w Operze, a drugą (wtorki) w Komedii Francuskiej. Nie wydawało mi się (i on sam nie zdawał się w to wierzyć), aby on się różnił od ludzi tego samego majątku i wieku o mniej poetycznym rodowodzie. Posiadał ich kulturę, ich ideały, cieszył się swoją pozycją, ale jedynie dla korzyści, jakie mu dawała, i miał w życiu już tylko jedną ambicję: zostać członkiem korespondentem Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, z której to przyczyny zjawił się u pani de Villeparisis.

Jeżeli książe, którego żona wodziła rej w najbardziej zamkniętej koterii Berlina, prosił o zaszczyt przedstawienia go margrabinie, to nie dlatego, aby sam z siebie żywił tę ochotę. Trawiony od lat żądzą wejścia do Instytutu, nigdy, na swoje nieszczęście, nie zdołał przekroczyć liczby pięciu akademików skłonnych nań głosować. Wiedział, że pan de Norpois rozporządza sam jeden co najmniej dziesiątkiem głosów, do których dyplomata ów miał możliwość, dzięki zręcznym transakcjom, przydać inne. Toteż książe, znajomy jego z Rosji, kiedy byli tam obaj ambasadorami, wybrał się do pana de Norpois z wizytą i robił co mógł, aby go sobie zjednać. Ale daremnie mnożył uprzejmości, daremnie zdobywał margrabiemu rosyjskie ordery, cytował go w artykułach o polityce zagranicznej — miał do czynienia z niewdzięcznikiem, człowiekiem, któremu wszystkie uprzejmości zdawały się niczym, który nie posunął jego kandydatury ani o krok, nie przyrzekł mu nawet swojego głosu! Niewątpliwie, pan de Norpois przyjmował księcia niezmiernie uprzejmie, nie chciał nawet, aby się trudził i „drapał się po schodach”; udawał się sam do pałacu księcia, kiedy zaś rycerz teutoński³⁶⁸ wybąkał: „Chciałbym bardzo być pańskim kolegą”, odpowiadał z przekonaniem: „Och, byłbym szczęśliwy!”. I z pewnością człowiek naiwny, jakiś Cottard, powiedziałby sobie: „No tak, przyszedł do mnie, zależało mu na tym, aby przyjść, bo uważa mnie za figurę wyższą od siebie, mówi mi, że byłby szczęśliwy, gdybym się znalazł w Akademii, słowa mają przecież jakieś znaczenie, cóż u licha, z pewnością jeżeli mi nie proponuje, że będzie głosował na mnie, to dlatego, że mu to nie przyszło na myśl. Za wiele mówi o mojej wielkiej władzy, musi myśleć, że mnie pieczone gołąbki same wpadają do ust, że mam tyle głosów, ile zapragnę, i dlatego nie proponuje mi swojego; ale wystarczy mi przycisnąć go do muru, o tak, w cztery oczy, i powiedzieć mu: »No więc, niech pan głosuje za mną«, a będzie musiał to zrobić”.

Ale książe von Faffenheim nie był naiwny; był — jakby powiedział doktor Cottard — „szczwanym dyplomata” i wiedział, że pan de Norpois jest nie mniej szczwany, ani też nie jest człowiekiem niezdolnym zgadnąć w lot, że mógłby sprawić przyjemność kandydatowi, głosując za nim. W czasie swoich ambasad i jako minister spraw zagranicznych, książe miewał na rzecz swojego kraju, jak obecnie dla samego siebie, owe rozmowy, w których człowiek wie z góry, jak daleko chce zajść i czego nie chce powiedzieć. Wiedział, że w je-

Polityka, Słowo

³⁶³Święte Imperium — Święte Cesarstwo Rzymskie, utworzone w średniowieczu, nawiązujące do uniwersalistycznych tradycji cesarstwa rzymskiego, obejmujące Europę zachodnią, środkową i południową; od koronacji Ottona I na cesarza w 962 do XII w. było najpotężniejszą monarchią w Europie; rozwiązane w 1806 podczas wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

³⁶⁴gnom — baśniowy, karłowaty opiekun kopalni i skarbów. [przypis edytorski]

³⁶⁵Ondyna (niem. *Undine*) — wodna rusałka, tytułowa bohaterka romantycznej baśni Friedricha Fouque (1777–1843) z 1811, która posłużyła za libretto oper E.T.A. Hoffmana i A. Lortziga oraz zainspirowała H. Ch. Andersena do napisania *Matej syrenki*. [przypis edytorski]

³⁶⁶Luter, Marcin (1483–1546) — niemiecki reformator religijny, współtwórca luteranizmu, jednego z nurtów protestantyzmu, doktor teologii. [przypis edytorski]

³⁶⁷Ludwik II Niemiecki (806–876) — wnuk Karola Wielkiego, pierwszy król państwa wschodniofrankijskiego (od 843), poprzednika Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, z którego w ciągu wieków wykształciło się państwo niemieckie. [przypis edytorski]

³⁶⁸teutoński — germański, niemiecki; od starożytnego germańskiego ludu Teutonów, którzy razem z Cymbami pod koniec II w. p.n.e. zaatakowali państwo rzymskie. [przypis edytorski]

zyku dyplomatycznym rozmawiać znaczy ofiarowywać. I dlatego postarał się dla pana de Norpois o wielką wstęgę świętego Andrzeja. Ale gdyby musiał zdać sprawę swemu rządowi z rozmowy, jaką miał potem z panem de Norpois, mógłby sformułować to w depeszy: „Zrozumiałem, że obrał fałszywą drogę”. Bo z chwilą gdy książę znów zaczął mówić o Instytucie, pan de Norpois odpowiedział:

— Bardzo bym się z tego cieszył, bardzo, dla moich kolegów. Muszą, jak sądzę, czuć się naprawdę zaszczytzeni tym, że książę o nich pomyślał. To jest kandydatura bardzo interesująca, trochę niezwykła dla naszych przyzwyczajęń. Książę wie, Akademia jest wielka rutynistka, przeraża ją wszystko, co wydaje dźwięk trochę nowy. Osobiście nie chwalebę jej tego. Ileż razy zdarzyło mi się dać to do zrozumienia moim kolegom. Nie wiem nawet, niech mi Bóg odpuści, czy słowo „mamuty” nie wyszło raz z moich ust — dodał ze zgorzonym uśmiechem, półgłosem, prawie „na stronie”, rzucając na księcia szybkie i skośne spojrzenie swego niebieskiego oka, niby stary aktor sprawdzający wrażenie. — Rozumie książę, że nie chciałbym osobistości tak wybitnej jak pańska narażać na partię z góry przegraną. Dopóki pojęcia moich kolegów będą równie zacofane, sądzę, że roztropność każe się powstrzymać. Niech książę będzie zresztą przeświadczony, że gdybym widział kiedyś, że duch nieco świeższy, nieco żywszy rysuje się w tym kolegium, które staje się po trosze cementarzyskiem, gdybym dostrzegł jakąś możliwą szansę, pierwszy uprzedziłbym księcia o tym.

„Wielka wstęga świętego Andrzeja była omyłką — pomyślał książę; rokowania nie posunęły się ani o jotę; nie tego chciał. — Nie znalazłem właściwego klucza”.

Był to rodzaj wniosku, do jakiego pan de Norpois, wychowany w tej samej szkole, byłby równie zdolny. Można sobie drwić z pedantycznego ramolizmu, z jakim dyplomaci w stylu pana de Norpois rozpluwają się nad oficjalnym słówkiem, prawie nieznaczącym. Ale ich dzieciństwo ma swoją korekturę³⁶⁹: dyplomaci wiedzą, że na wadze, która zapewnia równowagę europejską lub inną, nazywaną pokojem, dobre uczucia, piękne słowa, błagania ważą bardzo mało; że ważki i prawdziwy ciężar, decyzje zależą od czego innego: od możliwości, jaką posiada przeciwnik (o ile jest dość silny) zaspokojenia, w drodze wymiany, jakiejś chęci. Z tym systemem prawd, którego osoba całkowicie bezinteresowna, jak moja babka na przykład, nie byłaby zdolna pojąć, pan de Norpois i niemiecki książę zmagali się często. Jako ambasador w krajach, z którymi bywaliśmy o włos od wojny, pan de Norpois, niespokojny o obrót wypadków, wiedział bardzo dobrze, że nie pod słowem „Pokój” lub pod słowem „Wojna”, będą mu one zakomunikowane; ale pod innym, banalnym na pozór, straszliwym lub błogosławionym, które dyplomata przy pomocy swego szyfru zdoła natychmiast odczytać. Aby ocalić godność Francji, odpowiedziałby na nie innym, równie banalnym słowem, w którym minister wrogiego narodu wyczytałby natychmiast: „Wojna”. I nawet, wedle dawnego zwyczaju, pokrewnego temu, który pierwszemu zbliżeniu dwojga przeznaczonych dla siebie istot dawał formę przypadkowego spotkania w teatrze „Gymnase”, dialog, w którym los poddyktowałby słowo „Wojna” lub słowo „Pokój”, nie odbywał się zazwyczaj w gabinecie ministra, ale na ławce jakiegoś *Kurgartenu*³⁷⁰, gdzie minister i pan de Norpois chodzili obaj do źródeł mineralnych wychylać kubki zdrowiodajnej wody. Jak gdyby mocą cichego układu, spotykali się w godzinie kuracji, robili najpierw mały spacer, o którym, pod jego niewinnym pozorem, obaj partnerzy wiedzieli, że jest równie tragiczny jak nakaz mobilizacji. Otóż w sprawie prywatnej, jak ta kandydatura do Instytutu, książę posługiwał się tym samym systemem indukcji, jaki praktykował w ciągu swojej kariery, i tą samą metodą czytania poprzez warstwę symbolów.

I z pewnością nie można twierdzić, aby wyłącznie moja babka i podobne jej natury nie znały rachub tego rodzaju. To pewne, iż ogół ludzi uprawiających określone zawody swoim brakiem intuicji dorównuje ignorancji, jaką babce dawała jej absolutna bezinteresowność. Często trzeba zstąpić aż do osób będących na utrzymaniu — mężczyzn lub kobiet — aby pobudek czynów lub słów, na pozór najniewinniejszych, umieć szukać w interesie, w koniecznościach życia. Któryż mężczyzna nie wie, iż kiedy kobieta, której ma płacić, powiada: „Nie mówmy o pieniądzach”, że te słowa trzeba liczyć, aby się

³⁶⁹korektura — poprawki usterek w uchwalonym prawie; ogólnie: usuwanie usterek, korekta. [przypis edytorski]

³⁷⁰*Kurgarten* (niem.) — ogród zdrojowy. [przypis edytorski]

posłużyć terminem muzycznym, za „pusty takt”; a jeżeli później oświadcza mu: „Robiłeś mi za wiele przykrości, często ukrywałeś mi prawdę, przebrałeś miarę”, powinien to odczytać: „Inny protektor ofiarowuje jej więcej”. A i to jest tylko język kokoty dość zbliżonej do kobiet z towarzystwa. Apasze³⁷¹ dostarczają jaskrawszych przykładów. O ile pan de Norpois i niemiecki książę nie znali świata apaszów, przywykli w zamian wcielać się w psychikę narodów, które mimo swej wielkości są także istotami pełnymi egoizmu i podstępem, istotami, które poskramia się jedynie siłą, względami interesu zdolnego je popchnąć do morderstwa, morderstwa też często symbolicznego, gdyż proste zawahanie się przed walką lub odmowa walki może oznaczać dla narodu śmierć. Że jednak wszystko to nie jest powiedziane w *Żółtych*³⁷² (i innych tym podobnych) księgach, lud jest chętnie pacyfistą; jeżeli jest wojowniczy, to instynktownie, przez nienawiść, przez urazę, a nie z racji, które zdecydowały naczelników państwa, ostrzeżonych przez panów de Norpois.

Następnej zimy książę bardzo chorował; wyzdrowiał, ale serce jego zachowało ślad nieuleczalnego draśnięcia.

„Tam do licha! — powiedział sobie — nie trzeba tracić czasu, bo jeżeli będę zanadto odwlekał, grozi mi, że umrę, zanim wejść do Instytutu, a to byłoby doprawdy zbyt głupie”.

Napisał w przedmiocie polityki ostatnich dwudziestu lat studium do „Revue des Deux Mondes”³⁷³, gdzie wyraził się kilkakrotnie najpochlebniej o panu de Norpois. Ten wybrał się z wizytą do księcia i podziękował mu. Dodał, iż nie wie, jak mu ma okazać swoją wdzięczność. Książę powiedział sobie, jak ktoś, kto spróbował do zamku nowego klucza: „To jeszcze nie ten”. Zadyszawszy się nieco, odprowadzając pana de Norpois, pomyślał: „Ej, do licha, te zuchy pozwolą mi kipnąć, zanim mnie powołają. Trzeba przyspieszyć”.

Tego samego wieczora książę spotkał pana de Norpois w operze.

— Drogi ambasadorze — rzekł — powiedział mi pan dziś rano, że pan nie wie, jak mi okazać swoją wdzięczność; to wielka przesada, nie jest mi pan winien żadnej, ale będę na tyle niedelikatny, aby go wziąć za słowo.

Pan de Norpois nie mniej cenił takt księcia niż książę jego własny. Zrozumiał natychmiast, że książę von Faffenheim wystąpi nie z prośbą, lecz z ofertą, i z przychylnym uśmiechem gotował się go wysłuchać.

— Powiem więc, o co chodzi, mimo że się może panu wydam wielce natrętny. Są dwie osoby, do których jestem bardzo przywiązany (na bardzo różny sposób, jak pan to zaraz zrozumie), a które od niedawna osiadły na stałe w Paryżu. Te osoby to moja żona i wielka księżna Janowa. Mają wydać parę obiadów, w szczególności na cześć królestwa angielskich, i marzeniem ich byłoby móc uraczyć swoich dostojnych gości towarzystwem kobiety, dla której, nie znając jej, obie żywią wielką admirację. Wyznaję, że nie wiedziałem, co począć, aby zadowolić ich pragnienie, kiedy — najzupełniejszym przypadkiem — dowiedziałem się przed chwilą, że pan zna tę osobę; wiem, że żyje bardzo ustronnie, widuje bardzo mało kogo, *happy few*³⁷⁴; ale gdyby pan zechciał mnie poprzeć z życzliwością, jaką mi pan okazuje, jestem pewien, że dama ta zgodziłaby się, aby mnie pan jej przedstawił i abym jej oznajmił pragnienie wielkiej księżnej i księżnej mojej żony. Może zgodziłaby się przyjść do nas spożyć obiad z królową angielską, a może, o ile byśmy jej nie znudzili zbyttnio, spędziłaby z nami święta wielkanocne w Beaulieu u wielkiej księżnej Janowej. Ta osoba zwie się margrabina de Villeparisis. Wyznaję, że nadzieja zostania jednym ze stałych gości tego *bureau d'esprit* pozwoliłaby mi bez przykrości wyrzec się kandydatury do Akademii. To jest także Akademia inteligencji i wytwornej rozmowy.

Z uczuciem niewysłowionej rozkoszy książę uczuł, że zamek się nie opiera i że narzecie klucz wchodzi.

— Zbyteczna alternatywa, drogi książę — odparł pan de Norpois — nic lepiej się nie godzi z Instytutem niż salon, o którym pan mówi i który jest prawdziwą wylęgarnią akademików. Przekażę pańskie życzenie margrabinie de Villeparisis, z pewnością pochlebi jej bardzo. Co się tyczy obiadu u państwa, to będzie może trudniej, margrabina rusza się

³⁷¹ *apasz* — chuligan, drobny przestępca, osoba z paryskiego półświatka. [przypis edytorski]

³⁷² *Żółta Księga* — ang. „The Yellow Book”, brytyjski kwartalnik literacki, wyd. w latach 1894–1897. [przypis edytorski]

³⁷³ „*Revue des Deux Mondes*” (fr.: Przegląd dwóch światów) — francuskie czasopismo literacko-kulturalne ukazujące się od 1829; na jego łamach publikowało wielu wybitnych pisarzy. [przypis edytorski]

³⁷⁴ *happy few* (ang.) — szczęśliwych kilku. [przypis edytorski]

z domu bardzo rzadko. Ale przedstawię jej księcia i będzie książe mógł sam bronić swojej sprawy. Nie trzeba zwłaszcza wyrzekać się Akademii; właśnie od jutra za dwa tygodnie jem śniadanie (po czym udajemy się na ważne posiedzenie) u pana Leroy-Beaulieu³⁷⁵, bez którego niepodobna myśleć o żadnym wyborze; już wspominałem mu pańskie nazwisko, które zna oczywiście doskonale. Sformułował pewne zarzuty. Ale tak się składa, że on potrzebuje poparcia mojej grupy przy najbliższym wyborze, toteż mam zamiar ponowić atak; wyznam mu bardzo szczerze na wskroś serdeczne związki, jakie nas łączą; nie zataję, że gdyby pan postawił swoją kandydaturę, poprosiłbym wszystkich swoich przyjaciół, aby głosowali za panem (książe odetchnął z głęboką ulgą) a on wie, że ja mam przyjaciół. Sądzę, że gdybym zdołał sobie zapewnić jego poparcie, widoki pańskie stałyby się bardzo poważne. Niech pan przyjdzie tego wieczora o szóstej do pani de Villeparisis, wprowadzę pana i będę mógł panu zdać sprawę z mojej rannej rozmowy.

W ten sposób książe von Faffenheim dopłynął do salonu pani de Villeparisis. Kiedy zaczął mówić, sprawił mi głębokie rozczarowanie. Nie pomyślałem o tym, że o ile dana epoka posiada rysy swoiste i ogólne, silniejsze od narodowości, tak że w ilustrowanej encyklopedii, gdzie nam pokazują zgoła autentyczny portret Minerwy, Leibniz³⁷⁶ ze swoją peruką i krezą mało się różni od Marivaux³⁷⁷ lub od Samuela Bernard³⁷⁸, o tyle znowuż narodowość ma swoiste rysy, silniejsze od kasty. Otóż wyraziły się one w mojej obecności nie słowami, w których spodziewałem się zawczasu usłyszeć szmer elfów i taniec koboldów³⁷⁹, ale ich transpozycją, nie mniej świadczącą o tym poetycznym pochodzeniu; faktem, iż składając ukłon pani de Villeparisis, mały, czerwony i brzuchaty ryngrabia powiedział: „Zień topry, bani margiso”, z akcentem odźwiernego Alzacyjnyka.

— Czy pozwoli pan podać sobie filiżankę herbaty albo kawalek torciku, wyborny jest — rzekła do mnie pani de Guermantes, rozwijając dla mnie maksimum uprzejmości. — Robię honory w tym domu jakby we własnym — dodała z odcieniem ironii, która dawała coś gardłowego jej głosowi, tak jakby stłumiła chrapliwy śmiech.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis do pana de Norpois — będzie pan pamiętał za chwilę, że pan miał coś do powiedzenia księciu w sprawie Akademii?

Pani de Guermantes spuściła oczy i obróciła dłoń, aby spojrzeć na zegarek.

— Och, Boże, ostatni czas pożegnać się z ciotką, jeżeli mam jeszcze wpaść do pani de Saint-Ferréol, a mam obiad u pani Leroi.

Wstała, nie żegnając się ze mną. Spozrzęła panią Swann, która zdawała się dosyć zakłopotana moim widokiem. Przypominała sobie z pewnością, że wcześniej niż ktokolwiek mówiła mi, że jest przekonana o niewinności Dreyfusa.

— Nie chcę, żeby mnie ciotka przedstawiała pani Swann — rzekł do mnie Saint-Loup. — To eks-kokota. Jej mąż to Żyd, a ona nam odważa nacjonalizm. O, przyszedł wuj Palamed.

Obecność pani Swann miała dla mnie specjalne znaczenie dzięki faktowi, który się zdarzył kilka dni wprzód, a który trzeba przytoczyć dla następstw, jakie miał mieć o wiele później; opowiemy je szczegółowo, kiedy przyjdzie właściwy moment. Zatem kilka dni przed tą wizytą spotkała mnie inna znów wizyta, doprawdy nieoczekiwana: wizyta Karola Morel, nieznanego mi syna dawnego kamerdynera w domu wuja Adolfa. Ten mój wujeczny dziadek (ten sam, u którego spotkałem „różową damę”) umarł poprzedniego roku. Jego kamerdyner objawiał kilka razy zamiar odwiedzenia mnie; nie znałem celu jego wizyty, ale byłbym go ujrzał chętnie, bo dowiedziałem się przez Franciszkę, że zachował prawdziwy kult dla pamięci wuja i odbywał przy każdej sposobności pielgrzymki na cmentarz. Ale zmuszony udać się dla zdrowia w swoje strony i spodziewając się pozostać tam dłużej, wyprawił do mnie syna. Zdziwiłem się, widząc wchodzącego pięknego osiemnastoletniego młodzieńca, ubranego raczej bogato niż ze smakiem, ale wyglądają-

³⁷⁵Leroy-Beaulieu, Anatole (1842–1912) — francuski publicysta i historyk; członek Akademii Nauk Moralnych i Politycznych Instytutu Francuskiego (od 1887). [przypis edytorski]

³⁷⁶Leibniz, Gottfried Wilhelm (1646–1716) — niemiecki matematyk, fizyk i filozof epoki oświecenia, jeden z najwybitniejszych i najbardziej wszechstronnych uczonych XVII w.; autor metafizycznej teorii monad: podstawowych, nieoddziałujących na siebie składników świata. [przypis edytorski]

³⁷⁷Marivaux, Pierre (1688–1763) — wybitny francuski komediopisarz, także powieściopisarz. [przypis edytorski]

³⁷⁸Bernard, Samuel (1651–1739) — francuski finansista, hrabia de Coubert od 1725. [przypis edytorski]

³⁷⁹koboldów (mit. germ.) — karzeł strzegący skarbów podziemnych. [przypis edytorski]

cego prędzej na wszystko niż na lokaja. Przecież zresztą od razu związek z lokajstwem, z którego pochodził, powiadamiając mnie z uśmiechem zadowolenia, że jest laureatem konserwatorium. Cel wizyty był ten: z pamiątek po wuju Adolfie ojciec jego odłożył niektóre, uważając za niewłaściwe przesyłać je moim rodzicom; ale pomyślał, że mogłyby interesować młodego człowieka w moim wieku. Były to fotografie sławnych aktorek, wielkich kokot, znajomych wuja, ostatnie obrazy życia starego hulaki, które oddzielał od swego życia rodzinnego hermetyczną ścianką. Podczas gdy młody Morel pokazywał mi te pamiątki, zdałem sobie sprawę, że on sili się mówić ze mną jak z równym. Znajdował w mówieniu „vous”, a jak najrzadziej „monsieur” przyjemność człowieka, którego ojciec, zwracając się do moich rodziców, czynił to jedynie w trzeciej osobie.

Prawie wszystkie fotografie nosiły podpisy: „Memu najlepszemu przyjacielowi”. Któraś aktorka, bardziej niewdzięczna a sprytniejsza, napisała: „Najlepszemu z przyjaciół”, co jej pozwalało, jak mnie zapewniano, opowiadać, iż mój wuj nie był bynajmniej (nawet w przybliżeniu) jej najlepszym przyjacielem, ale przyjacielem, który oddał jej najwięcej drobnych usług, przyjacielem, którym się posługiwała, najpoczciwszym człowiekiem, niemal starym osłem.

Młody Morel daremnie starał się wyzwolić ze swoich początków; czuć było, że cień wuja Adolfa, czcigodny i nieproporcjonalnie wielki w oczach starego kamerdynera, nie przestał padać, niemal święty, na dzieciństwo i młodość syna. Podczas gdy ja przeglądałem fotografie, Morel badał mój pokój. I kiedy szukałem miejsca, gdzie bym je mógł schować, on rzekł (tonem, który nie potrzebował wyrażać nagany, tak dalece mieściła się ona w samych słowach):

— Ale czym się dzieje³⁸⁰, że nie widzę ani jednej fotografii wuja w pańskim pokoju?

Uczulem, że się czerwienię, i wyjąkałem:

— Zdaje się, że nie mam żadnej.

— Jak to, pan nie ma ani jednej fotografii wuja Adolfa, który pana tak kochał? Prześlę panu którąś jutro; wezmę z mnóstwa fotografii, które ma mój stary, i mam nadzieję, że ją pan zainstaluje na honorowym miejscu; o, nad tą komodą, którą pan ma właśnie po wuju.

Co prawda, skoro nie miałem w pokoju nawet fotografii ojca ani matki, nie było nic rażącego w tym, że nie było i fotografii wuja Adolfa. Ale nietrudno było zgadnąć, że dla Morela, który wszczepił ten pogląd swemu synowi, wuj był ową najważniejszą osobą w rodzinie, osobą, z której moi rodzice czerpali jedynie odbłask. Byłem dla niego czymś, bo wuj powtarzał co dnia, że będzie ze mnie nowy Racine, Vaulabelle³⁸¹, a Morel uważał mnie niemal za przybranego syna, za ukochane dziecko wuja.

Zdałem sobie rychło sprawę, że syn Morela był wielkim „arywistą”³⁸². I tak owego dnia spytał mnie, będąc także po trochu kompozytorem, zdolnym dorobić muzykę do jakiejś poezji — czy nie znam jakiegoś poety, mającego poważną sytuację w wielkim świecie. Wymieniłem takiego. Nie znał dzieł tego poety i nigdy nie słyszał jego nazwiska; zanotował je sobie. Otóż dowiedziałem się, że niedługo potem napisał do owego poety z oświadczeniem, że jako fanatyczny wielbiciel jego talentu ułożył muzykę do jego sonetu i byłby szczęśliwy, gdyby autor tekstu postarał się o wykonanie utworu u hrabiny ***. To było zbyt obcesowe, zbyt jasno zdradził swój plan. Poeta, zmrożony, nie odpowiedział.

Zresztą, niezależnie od ambicji, młody Morel zdawał się żywić skłonność do konkretniejszych realności. Zauważył w dziedzińcu siostrzenicę Jupiena szyjącą kamizelkę; mimo że mi tylko powiedział, że mu właśnie potrzeba kolorowej kamizelki, uczulem, iż młoda dziewczyna zrobiła na nim silne wrażenie. Bez chwili wahania poprosił mnie, żebym z nim zeszedł i przedstawił go, „ale nie w związku z pańską rodziną, rozumie pan, liczę na pańską dyskrecję co do mego ojca; niech pan powie tylko: »wielki artysta, mój przyjaciel«; rozumie pan, że w stosunkach z rękodzielnikami trzeba dbać o wrażenie”. Natrącił, iż nie będąc z nim na tyle blisko, aby go nazywać (on to rozumie) „drogim przyjacielem”, mógłbym do niego mówić — w obecności siostrzenicy Jupiena — nie »drogi mistrzu«

³⁸⁰czym się dzieje (daw.) — jak to się dzieje; w jaki sposób (przez co, z jakiego powodu) się dzieje. [przypis edytorski]

³⁸¹Vaulabelle, Achille Tenaille de (1799–1879) — francuski publicysta i polityk. [przypis edytorski]

³⁸²arywistą (z fr.) — człowiek bez skrupułów dążący do zdobycia pozycji, pieniędzy lub władzy; karierowicz. [przypis edytorski]

oczywiście... chociaż... „gdyby to panu odpowiadało: »drogi wielki artysto«”. Mimo to unikałem w sklepie „specyfikowania go”, jak by powiedział Saint-Simon, i poprzestałem na zobopólnym „pan”.

Morel wybrał z kilku sztuk aksamitu kolor czerwony, tak żywy i krzyczący, że mimo całego swego złego gustu nie mógł nigdy włożyć tej kamizelki. Młoda dziewczyna wróciła do pracy ze swymi dwiema „pannami”, ale zdawało mi się, że wrażenie było wzajemne i że młody Morel, który wydał się jej kimś „z jej świata” (tyle tylko, że był wykwi-tniejszy i bogatszy), szczególnie się jej spodobał. Bardzo się zdziwiłem, znajdując między fotografiami, które mi przesłał jego ojciec, fotografię portretu miss Sacripant (to znaczy Odety) roboty Elstira; odprowadzając Morela aż do bramy, rzekłem:

— Bardzo obawiam się, że pan nie potrafi mnie objaśnić. Czy wuj blisko znał tę damę? Nie bardzo widzę, w jakiej epoce jego życia mógłbym ją pomieścić; a interesuje mnie to z powodu pana Swann...

— Właśnie zapomniałem panu powiedzieć, że ojciec polecił mi zwrócić pańską uwagę na tę damę. W istocie, ta heroina półświatka była u wuja na śniadaniu ostatnim razem, kiedy go pan widział. Ojciec nie bardzo wiedział, czy pana może wpuścić. Zdaje się, że pan się bardzo spodobał tej puszczałskiej i że spodziewała się pana spotkać jeszcze kiedyś. Ale właśnie w tej chwili (wedle tego, co mówił ojciec) przyszło do kwasów w rodzinie i już pan nigdy nie widział wuja.

Morel uśmiechnął się w tej chwili, żegnając z daleka siostrzenicę Jupiena. Patrzyła na niego, podziwiając z pewnością jego ściągłą twarz o regularnych rysach, jego puszyste włosy, wesołe oczy. Ja, podając mu rękę, myślałem o pani Swann i powiadałem sobie ze zdziwieniem — tak bardzo te dwie istoty były odległe od siebie i różne w moim wspomnieniu — że odtąd będę ją musiał utożsamiać z „różową damą”.

Pan de Charlus usiadł niebawem koło pani Swann. Wszędzie gdzie się znajdował, zawsze wgardliwy wobec mężczyzn, otoczony przez kobiety, przyklepał się do najbardziej eleganckiej, w której toaletę czuł się jak gdyby strojny. Tużurek czy frak dawały baronowi podobieństwo do owych portretów, gdzie wielki kolorysta namalował mężczyznę w czerni, ale rzucił koło niego na krzesło jaskrawy płaszcz, który mężczyzna ów przybierze na jakiś bal kostiumowy. Takie odseparowanie się, zazwyczaj z jakąś „wysokością”, stwarzało panu de Charlus ramę i przywilej zarazem. Miało ono na przykład ten skutek, że gospodyni domu jednemu baronowi pozwalała na jakiejś fecie zająć krzesło na przedzie w szeregu dam, gdy inni mężczyźni tłoczyli się w głębi. Co więcej, baron, opowiadający z przejęciem i bardzo głośno zabawne historyjki zachwyconej damie, zwolniony był od witania się z innymi, tym samym od dopełnienia obowiązków grzeczności. Poza pachnącą barierą, jaką stawała mu się wybrana piękność, siedział na środku salonu niby na widowni teatru w łoży, i kiedy podchodzono, aby go witać poprzez — można rzec — piękność jego sąsiadki, można było baronowi wybaczyć, że odpowiada na ukłon bardzo krótko, nie przerywając rozmowy z damą. Niewątpliwie pani Swann nie bardzo była z rzędu kobiet, z którymi pan de Charlus lubił się afiszować w ten sposób. Ale manifestował swój podziw dla niej, a przyjaźń dla Swanna, wiedząc, że jej pochlebiam jego względy, jemu zaś samemu pochlebiali to, że się kompromituje z najładniejszą z obecnych w tym salonie kobiet.

Pani de Villeparisis nie była zresztą zachwycona wizytą pana de Charlus. Ów, mimo iż widząc w ciotce wielkie wady, kochał ją bardzo. Ale chwilami, pod wpływem gniewu lub urojonych pretensji, niezdolny się pohamować, pisał do niej listy straszliwie gwałtowne, wyolbrzymiając drobiazgi, których dotąd zdawał się nie spostrzegać. Między innymi mogę zacytować ten fakt, o którym dowiedziałem się w związku ze swoim pobylem w Balbec. Pani de Villeparisis, bojąc się, że nie wystarczy jej pieniędzy do końca wilegiatury, a nie mając ochoty, przez skąpstwo i przez niechęć do zbytecznych kosztów, pisać o pieniądzu do Paryża, pożyczyła od pana de Charlus trzy tysiące franków. W miesiąc później baron, urażony na ciotkę o jakąś blahostkę, zażądał owych pieniędzy telegraficznie. Otrzymał dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt i kilka franków. Widząc ciotkę w kilka dni potem w Paryżu i rozmawiając z nią przyjaźnie, zauważył bardzo spokojnie błąd popełniony przez bank przy wysyłce pieniędzy.

— Ależ to nie błąd — odparła pani de Villeparisis — przesyłka telegraficzna kosztowała sześć franków siedemdziesiąt pięć centymów³⁸³.

— A, skoro to jest umyślne, wszystko w porządku — odparł pan de Charlus. — Wspominałem ci o tym jedynie na wypadek, gdybyś nie wiedziała, bo w takim razie, gdyby bank postąpił tak samo wobec kogoś będącego z tobą w mniej zażyłych stosunkach, mogłoby ci to być niemiłe.

— Nie, nie, nie ma żadnej omyłki.

— W gruncie, miałaś zupełną słuszność — zakonkludował wesoło pan de Charlus, czule całując ciotkę w rękę. W istocie nie miał do niej pretensji, uśmiechnął się jedynie z tej małostkowości. Ale w jakiś czas potem uwierzył, że w pewnej rodzinnej sprawie ciotka chce go „nabrać” i że uknuła przeciw niemu cały spisek. Kiedy ona, dość niemądrze, chowała się za adwokatów (gdy baron podejrzewał ją właśnie o konszachty z tymi ludźmi przeciw niemu), napisał do niej list buchający wściekłością i impertynencją. „Nie poprzestanę na tym, aby się zemścić (dodał w *postscriptum*³⁸⁴); ośmieszę cię. Od jutra zacznę opowiadać wszystkim historię przekazu telegraficznego i sześciu franków siedemdziesięciu pięciu centymów, które mi odciągnęłaś od pożyczonych trzech tysięcy. Okryję cię hańbą”.

Zamiast tego poszedł na drugi dzień przeprosić ciotkę, żalując listu, gdzie znajdowały się zwroty naprawdę ohydne. Zresztą, komu miał opowiedzieć historię przekazu? Nie pragnąc zemsty, lecz szczerego pojednania, teraz właśnie chciałby zataić tę historię. Ale przedtem, będąc bardzo dobrze z ciotką, opowiedział ją wszędzie; opowiadał bez złośliwości, dla zabawy i dlatego, że był wcieloną niedyskrecją. Opowiadał, ale bez wiedzy pani de Villeparisis. Tak iż, dowiedziawszy się z jego listu, że on zamierza ją skompromitować rozgłoszeniem rzeczy, którą sam uznał wprzód za właściwą i naturalną, sądziła, że ją oszukał wówczas i że kłamie, udając przywiązanie.

Wszystko to załagodziło się, ale żadne z nich dwojga nie znało ściśle stanu ducha drugiej strony. Niewątpliwie zachodził tu nieco specjalny typ nieporozumienia. Innego typu były scysje Blocha z jego przyjaciółmi. Innego jeszcze typu zwady pana de Charlus — jak się to okaże — z osobami całkiem innymi niż pani de Villeparisis. Mimo to trzeba pamiętać, że opinia, jaką mamy wzajem o sobie, stosunki przyjacielskie, rodzinne, stałe są jedynie na pozór, w istocie zaś są wiecznie ruchliwe jak morze. Stąd tak częste pogłoski o rozwodzie między małżonkami, którzy wydają się tak idealnie zgodni i którzy wkrótce potem mówią najczulej o sobie; stąd tyle bezceństw opowiadanych przez przyjaciela o najbliższym przyjacielu, z którym już zdąży się pogodzić, zanim my zdołamy ochłonąć z naszego zdumienia; stąd tyle zdeptanych przymierzy między narodami i to w tak krótkim czasie!

— Mój Boże, ależ tam ciepło między wujaszkiem a panią Swann! — rzekł do mnie Saint-Loup. — A mama, która w niewinności ducha przeszkadza im! Czystym wszystko jest czyste!

Patrzyłem na pana de Charlus. Jego szpakowaty czub, uśmiechnięte oko z brwią strząsającą się nad monoklem, czerwony kwiat w butonierce tworzyły niby trzy ruchome szczyty konwulsyjnie drgającego i uderzającego trójkąta. Nie odważyłem mu się uklonić, bo nie ośmielił mnie żadnym znakiem. Ale mimo że się baron nie zwrócił w moją stronę, byłem przekonany, że mnie widział; opowiadał jakąś historię pani Swann, której wspinały płaszcz koloru bratków spływał aż na kolana barona, przy czym biegające oczy pana de Charlus, podobne oczom domokrażcy, który drży przed zjawieniem się „gliny”, przepatrzyły z pewnością każdą okolicę salonu i zanotowały wszystkich obecnych. Kiedy pan de Châtellerault podszedł, aby się z nim przywitać, nic na twarzy pana de Charlus nie zdradziło, że widział młodego księcia, zanim ten znalazł się tuż przy nim. W ten sposób na takich liczniejszych zebraniach pan de Charlus zachowywał niemal bez przerwy uśmiech bez określonego kierunku i specjalnego przeznaczenia, uśmiech, który, obecny na jego wargach niejako przed ukłonem przybyłych, mógł być, w momencie gdy ci wchodzili w jego strefę, wyzuty z wszelkich cech indywidualnie umiejscowionej uprzejmości.

³⁸³centym — setna część franka. [przypis edytorski]

³⁸⁴postscriptum (lac.) — dopisek do listu. [przypis edytorski]

Ale trzeba mi się było przywitać z panią Swann. Nie wiedząc, czy ja znam panią de Marsantes i pana de Charlus, przyjęła mnie dość chłodno, bojąc się z pewnością, że ją poproszę, aby mnie przedstawiła. Podszedłem wówczas do pana de Charlus i natychmiast pożałowałem tego, gdyż widząc mnie z pewnością doskonale, nie zdradzał tego niczym. W chwili gdy się ukloniłem, ujrzałem — w pewnej odległości od jego ciała, do którego baron bronił mi dostępu całą długością wyciągniętego ramienia — palec, огоłony, można by rzec, z biskupiego pierścienia, palec podawany jak gdyby po to, aby się go ucałowało w poświęcone miejsce. Robiło to wrażenie, że wtargnął w strefę pana de Charlus bez jego wiedzy, „z włamaniem”, za które całą odpowiedzialność składał na mnie, wyrażając to bezimienną, bezosobistą i roztargnioną ciągłością swego uśmiechu. Ten jego chłód nie przyczynił się do podniesienia temperatury pani Swann.

— Jak ty wyglądasz, zmęczony, niespokojny — rzekła pani de Marsantes do syna, który podszedł, aby się przywitać z panem de Charlus.

I w istocie, oczy Roberta zdawały się chwilami dosięgać głębi, którą opuszczały natychmiast, niby nurek, gdy dotknie dna. Owym dnem, tak bolesnym dla Roberta, że skoro się go dotknął, opuszczał je natychmiast, aby doń wrócić w chwilę potem, była myśl, iż zerwał z kochanką.

— To nic — dodała matka, gładząc go po twarzy — to nic, miło jest widzieć swojego chłopca.

Ale ta czułość drażniła wyraźnie Roberta. Pani de Marsantes pociągnęła syna w głąb salonu, gdzie w obitej żółtym jedwabiem niszy parę foteli *beauvais* odcinało się swoimi fioletowymi haftami, niby purpurowe irysy w polu jaskrów. Pani Swann, znalazłszy się sama i zrozumiałwszy, że ja jestem blisko z Robertem de Saint-Loup, przyzwała mnie gestem. Nie widziałem jej od tak dawna, że nie wiedziałem, o czym mówić. Nie traciłem z oczu mojego kapelusza pośród wszystkich tych, które się znajdowały na podłodze, ale pytałem się ciekawie sam siebie, do kogo może należeć jeden z nich, niebędący kapeluszem księcia de Guermentes, a naznaczony literą „G” z koroną księżęcą. Wiedziałem, kim są wszyscy goście, i nie znajdowałem wśród nich odpowiednika dla tego kapelusza.

— Jaki ten pan de Norpois jest sympatyczny — rzekłem, wskazując na ambasadora.
— Co prawda, Robert de Saint-Loup mówi mi, że to żmija...

— Ma rację — rzekła pani Swann.

Czytając w jej spojrzeniu jakąś myśl, którą przede mną taila, zacząłem naglić panią Swann pytaniami. Rada, iż wygląda na bardzo obleganą przez kogoś w tym salonie, gdzie nie znała prawie nikogo, pociągnęła mnie w kąt.

— Powiem panu, co niewątpliwie pan de Saint-Loup miał na myśli — odparła — ale niech mu pan tego nie powtarza, bo uważałby mnie za niedyskretną, a mnie bardzo zależy na jego szacunku; pan wie, ja jestem bardzo „porządny człowiek”. Niedawno Charlus był na obiedzie u księżnej Marii de Guermentes; nie wiem skąd, rozmowa zeszła na pana. Pan de Norpois powiedział podobno — to idiotyczne, ale niech pan sobie nie nabija tym głowy, nikt do tego nie przywiązywał wagi, wiadano zbyt dobrze z jakich ust to wychodzi — że pan jest pochlebcą dochodzącym granic hysterii.

Zaznaczyłem znacznie wcześniej moje zdumienie, że przyjaciel ojca, jakim był pan de Norpois, mógł się o mnie wyrażać w ten sposób. Jeszcze bardziej zdumiała mnie wiadomość, że moje wzruszenie z owego dawnego dnia, kiedy mówiłem o pani Swann i o Gilbertce, znane jest księżnej Marii, gdy ja nie przypuszczałem, że ona wie o moim istnieniu! Każdy nasz uczynek, każde słowo, każdy gest oddzielone są od „świata”, od ludzi, do których nie doszły bezpośrednio, strefą, której przepuszczalność zmienia się bez końca i pozostaje nam nieznaną. Wiedząc z doświadczenia, że jakieś ważne odezwanie się, którego rozpowszechnienia pragnęlibyśmy żywo (na przykład owe hymny na cześć pani Swann, które wyśpiewywałem wówczas wszystkim i przy każdej sposobności w nadziei, że na tyle rzuconych ziarn znajdzie się jedno, które wszędzie), zostało często właśnie wskutek owego naszego pragnienia natychmiast ukryte pod korcem, z tym większą racją dalecy byliśmy od przypuszczenia, że jakieś drobne słówko, zapomniane przez nas samych, nigdy może nawet przez nas niepowiedziane i powstałe w drodze wskutek niedokładnej refrak-

Portret, Plotka, Obyczaje

cji³⁸⁵ innego słowa, będzie wędrowało bez przerwy, bez końca, na nieskończoną odległość — w danym wypadku aż do księżnej Gilbertowej — i ubawi naszym kosztem ucztę bogów. Szczegółów naszego zachowania się, które sobie przypominamy, nie zauważył nasz najbliższy sąsiad; w zamian słowa, o których zapomnieliśmy lub może nigdyśmy ich nie powiedzieli, będą śmieszyły zgoła mieszkańców innej planety! Obraz, jaki inni tworzą sobie o naszych uczynkach, równie mało podobny jest do obrazu, jaki my tworzymy sobie sami, jak mało podobna byłaby do rysunku jakaś nieudana odbitka, gdzie czarnej plamie odpowiadałaby pusta przestrzeń, a białej zagadkowy kontur. Może się zresztą zdarzyć, że to, co się nie utrzymało, to jest jakiś nierealny rys, który my widzimy jedynie mocą naszego samozłudzenia; to zaś, co się nam wydaje dodane, stanowi, przeciwnie, naszą cechę, ale tak istotną i własną, że uchodzi naszej uwagi. Tak, że ta szczególna odbitka, która się nam wydaje tak niepodobna, zawiera niekiedy ten sam rodzaj prawdy — niewątpliwie mało pochlebny, ale głęboki i pożyteczny — co rentgenowska fotografia. Nie jest to racją, abyśmy się w niej poznali. Wyobraźmy sobie kogoś, kto przywykł uśmiechać się w lustrze do swojej pięknej twarzy i pięknego torsu, i pokażmy mu jego zdjęcie; wobec tego kościstego różańca, mającego być obrazem jego samego, będzie miał to samo wrażenie omyłki, jaką ma zwiedzający wystawę, gdy, stojąc przed portretem młodej kobiety, wyczyta w katalogu: „Odpoczywający dromader”. Ten rozdźwięk między naszym obrazem, zależnie od tego, czy narysowany jest przez nas samych, czy przez kogoś drugiego, miałem sobie później uświadomić na innych osobach, żyjących błogo pośród fotografii, które zdjęli z samych siebie, podczas gdy dokoła szczerzą zęby okropne obrazy, zazwyczaj niewidoczne dla nich samych, ale pogrążające ich w zdumieniu, skoro je im pokaże przypadek, mówiąc: „To ty”.

Kilka lat wprzódby czułbym się szczęśliwy, opowiadając pani Swann, z jakiej przyczyny byłem tak czuły dla pana de Norpois, skoro tą przyczyną była żądza poznania jej. Ale nie odczuwałem już tej żądzy, nie kochałem już Gilberty. Z drugiej strony, nie mogłem utożsamić pani Swann z „różową damą” mego dzieciństwa. Toteż zacząłem jej mówić o kobiecie, która mnie zaprzętała w tej chwili.

— Czy widziała pani księżną de Guermantes? — spytałem pani Swann.

Ale ponieważ księżna nie kłaniała się pani Swann, Odeta chciała stworzyć pozór, że to ona uważa księżną za osobę nieinteresującą, której obecności nawet się nie spostrzega.

— Nie wiem, nie *zrealizowałam*³⁸⁶ — odparła niechętnie, używając terminu przetłumaczonego z angielskiego.

Co do mnie, pragnąłem zdobyć informacje nie tylko o pani de Guermantes, ale o wszystkich osobach żyjących w jej pobliżu; zupełnie tedy jak Bloch, z nietaktem ludzi troszczących się w towarzystwie nie o to, aby sprawić przyjemność innym, ale o to, aby egoistycznie wyświetlić szczegóły, które zajmują ich samych, chcąc tym dokładniej odtworzyć sobie życie pani de Guermantes, zacząłem wypytywać panią de Villeparisis o panią Leroi.

— Tak, wiem — odparła z robioną wzgardą — to córka tego wielkiego handlarza drzewem. Wiem, że u niej teraz bywają, ale powiem panu, że jestem za stara, aby robić nowe znajomości. Znałam ludzi tak interesujących, tak miłych, że doprawdy nie sądzę, aby pani Leroi dała mi coś więcej.

Pani de Marsantes, która objęła rolę damy dworu przy margrabinie, przedstawiła mnie niemieckiemu księciu; nie dokończyła jeszcze, kiedy pan de Norpois przedstawił mnie również, w nader gorących słowach. Może było mu na rękę wyświadczyć mi grzeczność nienaruszającą w niczym jego kredytu (skoro właśnie ktoś inny już mnie przedstawił); może sądził, iż cudzoziemiec, nawet tak znamienity, mniej jest biegły we francuskich salonach i może myśleć, że mu przedstawiono młodzieńca z wielkiego świata; może rad był zrobić użytek ze swojej prerogatywy, kładąc niejako na akcie prezentacji ambasadorski podpis; lub może przez gust do archaizmu chciał wskrzesić na rzecz księcia Rzeszy pochlebny dlań obyczaj, żądający dla prezentacji pary chrzestnych rodziców.

³⁸⁵*refrakcja* — załamanie promieni świetlnych, odchylenie kierunku rozchodzenia się światła przy przejściu do innego ośrodka. [przypis edytorski]

³⁸⁶*nie zrealizowałam* — tu: z ang. *I haven't realized*: nie zauważyłam, nie zdałam sobie sprawy. [przypis edytorski]

Pani de Villeparisis przywołała pana de Norpois, czując potrzebę powiedzenia mi jego ustami, że nie ma powodu żalować, iż nie zna pani Leroi.

— Nieprawdaż, panie ambasadorze, że pani Leroi jest osobą nieciekawą, niedorastającą wszystkich tych, które bywają tutaj, i że miałam rację nie starając się jej ściągnąć?

Ale pan de Norpois — byli to skutek niezależności czy znużenia? — poprzestał na pełnym szacunku, ale nic niemówiącym ukłonie.

— Wie pan — rzekła doń pani de Villeparisis ze śmiechem — zdarzają się ludzie bardzo pocieszni. Czy pan uwierzy, że miałam dziś wizytę pewnego jegomościa, który chciał we mnie wmówić, iż większą sprawia mu przyjemność ucałować rękę moją niż rękę młodej kobiety.

Zrozumiałem natychmiast, że to był Legrandin. Pan de Norpois uśmiechnął się z lekkim zmrużeniem powiek, jak gdyby chodziło o pożądlivość tak naturalną, że niepodobna mieć jej za złe komuś, kto jej doznaje; niemal o początek romansu, który ambasador gotów był rozgrzeszyć, nawet protegować, z przewrotną pobłażliwością *à la Voisenon*³⁸⁷ lub *à la Crébillon-junior*³⁸⁸.

— Mało która ręka młodej kobiety byłaby zdolna zrobić to, co widzę tutaj — rzekł niemiecki *Prinz*³⁸⁹, wskazując akwarele zaczęte przez panią de Villeparisis.

I spytał jej, czy widziała kwiaty Fantin-Latour³⁹⁰, których właśnie była wystawa.

— Pierwszorządne są; Fantin-Latour to, jak się dziś mówi, tęgi pędzel, prawdziwy mistrz palety — oświadczył pan de Norpois — mimo to znajduję, że jego prace nie wytrzymują porównania z kwiatami pani de Villeparisis, w których lepiej czuje się koloryt kwiatu.

Nawet uwzględnwszy, że stronniczość dawnego kochanka, nawyk pochlebstwa, opinie koterii podyktowały te słowa eks-ambasadorowi, dowodziły one jednak, na jakiej nicości prawdziwego smaku opiera się artystyczny sąd światowców, tak dowolny, że lada co wystarczy, aby kazać im pleść najgorsze brednie, których nie powstrzyma ani nie pohamuje żadne naprawdę szczere wrażenie.

— Nie mam żadnej zasługi w tym, że się znam z kwiatami — odparła skromnie pani de Villeparisis — zawsze żyłam na wsi. Ale — dodała z wdziękiem, zwracając się do księcia — jeżeli sobie przyswoiłam za młodu wiedzę nieco poważniejszą niż inne dzieci wsi, zawdzięczam to bardzo niepospolitemu ziomkowi pańskiemu, panu von Schlegel³⁹¹. Spotkałam go w Broglie, dokąd mnie wzięła ciotka moja Kordelia (marszałkowa de Castellane³⁹²). Przypominam sobie doskonale, że pan Lebrun³⁹³, pan de Salvandy³⁹⁴, pan Doudon³⁹⁵ wyciągnęli go na rozmowę o kwiatkach. Byłam kompletnym dzieckiem, nie mogłam dobrze zrozumieć, co on mówi. Ale on lubił się bawić ze mną, wróciwszy zaś do swego kraju, przysłał mi piękny zielnik na pamiątkę wspólnego spaceru faetonem³⁹⁶ do Val Richer, kiedy to zasnęłam na jego kolanach. Zachowałam ten zielnik; nauczył mnie odróżniać wszystkie właściwości kwiatów, które inaczej nie byłyby mnie uderzyły. Kiedy pani de Barante ogłosiła nieco listów pani de Broglie³⁹⁷, pięknych i afektowanych jak ona sama, spodziewałam się znaleźć tam jakąś rozmowę z panem von Schlegel. Ale to była kobieta, która szukała w naturze jedynie argumentów na rzecz religii.

³⁸⁷ *Voisenon, Claude-Henri de Fusée de* (1708–1775) — francuski dramaturg i prozaik, duchowny; przyjaciel Woletra; pisał libertyńskie, frywolne powieści. [przypis edytorski]

³⁸⁸ *Crébillon, Prosper Jolyot de* (1707–1777) — francuski pisarz, liberyn, autor skandalicznych powieści, które obrazowały kulisy życia salonowego, oraz opowiadań o tematyce erotycznej (*Noc i chwila, Igraszki kącika przy kominku*); zwany Crébillonem młodszym (juniozem) dla odróżnienia od jego ojca, autora przesyconych grozą tragedii, noszącego te same imiona. [przypis edytorski]

³⁸⁹ *Prinz* (niem.) — książę. [przypis edytorski]

³⁹⁰ *Fantin-Latour, Henri* (1836–1904) — francuski malarz i grafik; najbardziej znany z obrazów kompozycji kwiatowych, martwych natur oraz realistycznych portretów. [przypis edytorski]

³⁹¹ *Schlegel, Wilhelm von* (1767–1845) — niemiecki poeta, krytyk literacki filolog i tłumacz, brat Friedricha Schlegela, współtwórca idei romantyzmu. [przypis edytorski]

³⁹² *Castellane, Louise Cordélia* (1796–1847) — córka bankiera Louisa Greffulhe, żona Bonifacego de Castellane, oficera, marszałka Francji; prowadziła znany salon polityczny i literacki. [przypis edytorski]

³⁹³ *Lebrun, Pierre-Antoine* (1785–1873) — francuski poeta, dramaturg i polityk. [przypis edytorski]

³⁹⁴ *Salvandy, Narcisse Achille* (1795–1856) — francuski pisarz i polityk. [przypis edytorski]

³⁹⁵ *Doudan, Ximènes* (1800–1872) — francuski dziennikarz, krytyk, moralista. [przypis edytorski]

³⁹⁶ *faeton* — czterokołowy sportowy powóz. [przypis edytorski]

³⁹⁷ *Broglie, Albertine de* (1797–1838) — córka pani de Staël, francuskiej publicystki i powieściopisarki, żona polityka Achillesa Charles'a de Broglie. [przypis edytorski]

Robert odwołał mnie w głąb salonu, gdzie był z matką.

— Jaki ty byłeś miły — rzekłem — jak ci podziękować! Czy będziesz mógł zjeść ze mną obiad jutro?

— Jutro, dobrze, jeżeli chcesz, ale w takim razie i z Blochem; spotkałem go przed bramą; po chwili chłodu, bo mimo chęci zostawiłem bez odpowiedzi jego dwa listy (nie powiedział mi, że to go zmroziło, ale domyśliłem się), był dla mnie tak czuły, że nie mogę się okazać niewdzięczny wobec takiej przyjaźni. Czuję, z jego strony przynajmniej, że to jest między nami na śmierć i życie.

Nie sądzę, aby Saint-Loup absolutnie się mylił. Wieszanie na kimś psów było często u Blocha skutkiem żywej sympatii, o ile Bloch przypuszczał, że jej ktoś nie odwzajemnia. Że zaś mało wnikał w życie innych, nie przychodziło mu na myśl, że ktoś może być chory albo w podróży itd. Tydzień milczenia zaraz mu się wydawał wpływem rozmyślnego chłodu. Toteż nigdy nie sądziłem, aby jego najgorsze wybuchy jako przyjaciela, a później jako pisarza, były zbyt głębokie. Dochodziły szczytu, gdy ktoś odpowiadał na nie chłodną godnością lub płaszczaniem się, które zachęcało go do zdawania razów; ale ustępowały często wobec gorącej sympatii.

— Co się tyczy nas obu — dodał Saint-Loup — twierdzisz, że byłem miły dla ciebie; ależ ja nic nie zrobiłem! Ciotka Oriana twierdzi, że to ty jej unikasz, że do niej nie mówisz ani słowa. Zastanawia się, czy ty nie masz czego przeciwko niej?

Szczęściem dla mnie, gdybym się dał omamić tym słowom, bliski wyjazd do Balbec przeszkodziłby mi próbować widzieć panią de Guermantes, zapewnić ją, że nic nie mam przeciwko niej, i zmusić ją do okazania mi, że ona ma coś przeciwko mnie. Ale wystarczyło mi przypomnieć sobie, że nie zaproponowała mi nawet obejrzenia Elstirów. Zresztą to nie był zawód; nie spodziewałem się wcale, aby mi pani de Guermantes wspomniała o tym; wiedziałem, że się jej nie podobam, że nie mogę marzyć o tym, aby mnie pokochała; wszystko, czegom mógł pragnąć, to abym dzięki jej dobroci zachował z niej — skorom nie miał jej ujrzeć przed wyjazdem z Paryża — wrażenie całkowicie słodkie, które bym uniósł do Balbec, przedłużone w nieskończoność, nietknięte, zamiast wspomnienia zaprawnego lękiem i smutkiem.

Co chwilę pani de Marsantes przerywała rozmowę z Robertem, aby mi powiedzieć, jak często on jej mówił o mnie, jak on mnie bardzo kocha; była dla mnie tak serdeczna, że mi to robiło niemal przykrość, bo czułem w tym jej obawę pogńiewania syna, którego jeszcze nie widziała dzisiaj, z którym pragnęła co rychlej zostać sama i na którego własny jej wpływ nie dorównywał, jak sądziła, mojemu: stąd potrzeba liczenia się ze mną. Usłyszawszy poprzednio, że pytał Blocha o pana Nissima Bernard, jego wuja, pani de Marsantes spytała, czy to ten, który dawniej mieszkał w Nicei.

— W takim razie znał mego męża jeszcze jako kawalera — odparła. — Mąż mówił mi często o nim jak o najlepszym człowieku, o delikatnym i szlachetnym sercu.

„Powiedzieć, że ten jeden raz nie skłamał; to nie do wiary!” — pomyślałby Bloch.

Przez cały czas byłbym pragnął zapewnić panią de Marsantes, że Robert jest do niej nieskończenie więcej przywiązany niż do mnie i że gdyby mi ona nawet okazała niechęć, nie byłbym zdolny buntować syna przeciw niej, odciągnąć go od niej. Ale od czasu jak pani de Guermantes poszła, mogłem swobodniej obserwować Roberta; wówczas dopiero spostrzegłem, że znów wzbiera w nim gniew, napływając do jego twardej i posępnej twarzy. Bałem się, aby na wspomnienie popołudniowej sceny nie czuł się upokorzony wobec mnie, że dał sobą tak bezkarnie poniewierać kochance.

Wyrwał się gwałtownie matce, która mu okoliła szyję ramieniem, podszedł do mnie, pociągnął mnie poza stół z kwiatami, przy którym siedziała pani de Villeparisis, i dał mi znak, abym się udał za nim do saloniku obok. Skierowałem się tam dość żywo, kiedy pan de Charlus, przypuszczając może, że ja już wychodzę, opuścił nagle pana von Faffenheim, z którym rozmawiał, i skręcił tak, że się znalazł na wprost mnie. Ujrzałem z niepokojem, że on bierze kapelusz, w którym było owo „G” z koroną księżęcą. W drzwiach do saloniku baron rzekł, nie patrząc na mnie:

— Ponieważ widzę, że pan teraz bywa w świecie, niech mi pan zrobi tę przyjemność i odwiedzi mnie kiedyś. Ale to dosyć skomplikowane — dodał niedbale, a zarazem obliczając coś w myśli, tak jakby chodziło o przyjemność, której by już nie odnalazł, skoro by przepuścił sposobność omówienia ze mną warunków jej ziszczenia. — Rzadko bywam

w domu, musiałby pan napisać do mnie. Ale wolałbym to panu wytłumaczyć spokojniej. Wychodzę za chwilę. Czy zechce pan przejść ze mną kilka kroków? Nie zatrzymam pana długo.

— Racz pan pozwolić, że panu zwrócę uwagę — rzekłem. — Wziął pan przez omyłkę kapelusz kogoś z gości.

— Nie wolno mi wziąć własnego kapelusza?

Przypuszczałem — ile że to samo zdarzyło mi się nieco przedtem — że ktoś mu zabrał kapelusz i że baron wybrał sobie na chybił trafił jakiś inny, aby nie wracać z gołą głową; zapewne wprawili go w zakłopotanie, odsłaniając jego podstęp. Oświadczyłem panu de Charlus, że muszę przedtem coś powiedzieć Robertowi.

— Rozmawia właśnie z tym idiotą księciem de Guermantes.

— To śliczne, co pan mówi, powtórzę to mojemu bratu.

— A, pan myśli, że to może interesować pana de Charlus? (Wyobrażałem sobie, że jeżeli baron ma brata, ten brat musi się nazywać również Charlus. Saint-Loup dał mi wprawdzie jakieś objaśnienia w tej mierze w Balbec, ale zapomniałem ich).

— Kto panu mówi o panu de Charlus? — rzekł baron impertynencko. — Niech pan idzie do Roberta. Wiem, że pan brał dziś udział w jednej z orgii uprawianych z kobietą, która go okrywa hańbą. Powinien by pan użyć na niego swego wpływu, aby zrozumiał zgryzotę, jaką sprawia biednej matce i nam wszystkim, włączając nasze nazwisko w błocie.

Byłbym rad odpowiedzieć, że na owym hańbiącym śniadaniu mówiło się tylko o Emersonie³⁹⁸, o Ibsenie³⁹⁹, o Tolstoj⁴⁰⁰ i że młoda kobieta prawiła Robertowi kazanie, żeby pił tylko wodę; aby dać jakąś pociechę Robertowi, który musiał cierpieć w swojej dumie, starałem się wybielić jego kochankę. Nie wiedziałem, że w tej samej chwili, mimo iż wściekły na nią, on obsypuje samego siebie wymówkami. Nawet w kłótniach między kimś dobrym a kimś złym i kiedy słuszność jest całkowicie po jednej stronie, zawsze bywa, iż jakaś błahostka może dać osobie złej pozór słuszności na jednym punkcie, wszystkie zaś inne punkty osoba ta zlekceważy; byle tedy ów człowiek dobry trochę jej potrzebował, byle był przybity zerwaniem, przygnębienie jego obudzi w nim skrupuły, przypomni mu niedorzeczne wymówki, jakimi go obsypano, przy czym zapyta sam siebie, czy nie były poniekąd sprawiedliwe.

— Zdaje się, że źle postąpił w tej sprawie z naszymi — rzekł do mnie Robert. — Oczywiście, nie robiłem tego w złej intencji, ale rozumiem, że ktoś może patrzeć na rzeczy z innego punktu niż my sami. Rachela miała dzieciństwo bardzo ciężkie. Dla niej ja jestem mimo wszystko bogacz, który myśli, że wszystko osiągnie pieniędzmi i z którym biedny nie może walczyć, czy by chodziło o decyzję Boucheron, czy o proces sądowy. Niewątpliwie ona była bardzo okrutna; ja przeciw zawsze chciałem tylko jej dobra. Ale zdaję sobie sprawę: ona sądzi, iż ja chciałem jej dać uczuć, że ją można trzymać pieniędzmi, a to nie jest prawda. Ona, która mnie tak kocha, co ona musi myśleć! Biedna mała, gdybyś ty wiedział... Ona ma tyle delikatności, nie umiem ci powiedzieć... często robiła dla mnie rzeczy czarujące. Jakaż ona musi być nieszczęśliwa w tej chwili! W każdym razie, co bądź się stanie, nie chcę, żeby mnie brała za bydlaka, lecę do Boucheron, zamówić kulię. Kto wie, widząc, że ja postępuję w ten sposób, może uznać swoje winy. Widzisz, ja nie mogę znieść myśli, że ona cierpi w tej chwili. To, co się cierpi samemu, to się wie; to nie jest nic. Ale powiedzieć sobie, że ona cierpi, i nie móc sobie tego wyobrazić... mam wrażenie, że bym oszalał; wolałbym raczej nie widzieć jej nigdy niż pozwolić jej cierpieć. Niech będzie szczęśliwa beze mnie, skoro tak być musi, to wszystko, czego żądam. Słuchaj, wiesz, dla mnie wszystko, co jej dotyczy, jest olbrzymie, nabiera czegoś kosmicznego... lecę do jubilerza i potem przeproszę ją. Aż do tego czasu co ona będzie sobie o mnie

³⁹⁸ Emerson, Ralph Waldo (1803–1882) — amerykański eseista, poeta i filozof, jeden z najbardziej wpływowych myślicieli i pisarzy XIX w.; przedstawiciel transcendentalizmu. [przypis edytorski]

³⁹⁹ Ibsen, Henrik (1828–1906) — dramaturg norweski, początkowo tworzący utwory oparte na motywach historycznych, legendach i sagach skandynawskich, później podjął tematykę społeczno-obyczajową w duchu realizmu i naturalizmu; autor m.in. dramatów *Nora czyli dom lalki* oraz *Dzika kaczką*. [przypis edytorski]

⁴⁰⁰ Tolstoj, Lew (1828–1910) — rosyjski prozaik i dramaturg, myśliciel, krytyk literacki i publicysta; przedstawiciel realizmu, łączył wnikliwą obserwację z własnymi poglądami na rzeczywistość, głosił doktrynę „niesprzeciwiania się złu przemocą”, potrzebę odnowienia moralnego i powrotu do natury; autor m.in. powieści: *Wojna i pokój*, *Anna Karenina*; jego utwory wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej jego epoki. [przypis edytorski]

myślała! Gdyby choć wiedziała, że ja przyjdę! W każdym razie mógłbyś zajść do niej; kto wie, wszystko się może ułożyć. Może — rzekł z uśmiechem, jakby nie śmiejąc uwierzyć w takie marzenie — pojedziemy wszyscy troje na obiad na wieś. Ale nie można jeszcze wiedzieć; ja tak nie umiem z nią postępować; biedna mała, znów ją może tylko zranić. A przy tym jej decyzja jest może nieodwołalna.

Robert pociągnął mnie gwałtownie do swojej matki.

— Do widzenia — rzekł do niej — muszę jechać. Nie wiem, kiedy znów dostanę przepustkę, z pewnością nie przed miesiącem. Napiszę ci, skoro będę wiedział.

Z pewnością Saint-Loup nie był z tych synów, którzy będąc w towarzystwie z matką, sądzą, iż opryskliwość w stosunku do niej powinna zrównoważyć uśmiechy i ukłony, jakie znajdują dla obcych. Nic powszechniejszego niż ten ohydny odwet tych, co zdają się wierzyć, że grubiaństwo wobec swoich dopełnia w zupełnie naturalny sposób galowego stroju. Cokolwiek biedna matka powie, syn jej, tak jakby go wyciągnięto z domu wbrew woli i jakby chciał jej drogo dać opłacić swoją obecność, gasi natychmiast ironicznym, precyzyjnym i okrutnym sprzeciwem każde nieśmiało wygłoszone zdanie; daremnie matka poddaje się natychmiast — nie mogąc go tym ułagodzić — opinii syna, tej wyższej istoty: ona będzie sławiła poza oczy jego uroczy charakter, a on nie oszczędził jej najdokuczliwszych szpileczek! Saint-Loup był całkiem inny; ale niepokój, jakim go napęniała nieobecność Racheli, sprawiał, że z odmiennych przyczyn był dla swojej matki nie mniej przykry niż tamci synowie dla swoich. I na słowa, które wyrzekł, ujrzałem, jak zrywa się to samo trzepotanie, podobne trzepotaniu skrzydeł, jakiego pani de Marsantes nie mogła wstrzymać za przybyciem syna; ale teraz wlepiła w niego strwożoną twarz, zrozpaczone oczy:

— Jak to, Robercie, odchodzisz, serio? moje dzieciątko! Jedyny dzień, kiedy cię mogłam mieć!

I prawie po cichu, możliwie naturalnym tonem, starając się wygnać z głosu wszelki smutek, aby nie budzić w synu litości, która byłaby może dla niego okrutna lub też bezcelowa i zdolna go jedynie rozdrażnić, dodała na kształt prostego, rzeczowego argumentu:

— Wiesz, że to nie jest ładnie, to, co ty robisz.

Ale z tą prostotą łączyła tyle nieśmiałości, aby okazać synowi, że ona nie robi zamachu na jego swobodę, tyle czułości, aby jej nie mógł wyrzucać, że go krępuje w jego przyjemnościach, że Saint-Loup musiał dostrzec w sobie samym coś jakby możliwość rozczulenia się, to znaczy przeszkodę do spędzenia wieczoru z kochanką. Toteż wpadł w gniew:

— Bardzo żałuję. Ładnie czy nie, ale tak już jest.

I zaczął robić matce wymówki, czując z pewnością, że on sam może na nie zasługuje; w ten sposób egoiści mają zawsze ostatnie słowo; przyjąwszy za zasadę, że ich postanowienie jest nieodwołalne, im bardziej uczucie, do którego ktoś u nich apeluje, jest wzruszające, tym bardziej wydają się im godni potępienia nie oni sami, że się opierają, ale ci, co im narzucają konieczność oporu; twardość ich może sięgać ostatecznego okrucieństwa, przy czym twardość ta pomnaża jedynie w ich oczach winy istoty na tyle niedelikatnej, aby cierpieć, aby mieć rację i zadawać im tak niecnie ten ból, iż muszą działać wbrew własnej litości. Zresztą pani de Marsantes sama z siebie przestała nalegać, bo czuła, że go już nie zatrzyma.

— Zostawiam cię — rzekł do mnie — ale niech go mama nie trzyma długo, bo on koniecznie musi iść zaraz z wizytą.

Czułem, iż moja obecność nie może zrobić żadnej przyjemności pani de Marsantes; ale wołałem nie odchodzić razem z Robertem, aby nie myślała, że ja mam udział w przyjemnościach, które ją pozbawiają syna. Byłbym pragnął znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla Roberta, mniej przez przyjaźń dla niego niż przez litość dla niej. Ale ona przemówiła pierwsza:

— Biedny mały — rzekła — jestem pewna, że mu zrobiłam przykrość. Widzi pan, drogi panie, matki są bardzo samolubne; on nie ma przecież tak wiele przyjemności, tak rzadko przyjeżdża do Paryża. Mój Boże, gdyby jeszcze nie wyszedł, chciałabym go móc złapać, nie aby go zatrzymać, ale aby mu powiedzieć, że nie mam do niego żalu, uważam, że on miał rację. Czy to panu nic nie szkodzi, że ja wyjrzę na schody?

Wyszliśmy razem.

— Robercie, Robercie! — wołała. — Nie, już poszedł, spóźniłam się.

Egoizm, Cierpienie,
Sumienie, Okrucieństwo

Teraz byłbym się równie chętnie podjął misji rozłączenia Roberta z kochanką, jak przed kilku godzinami misji ułatwienia im wspólnej podróży i w ogóle współżycia. W jednym wypadku Saint-Loup uznałby mnie za zdrajcę, w drugim rodzina nazwałaby mnie jego złym duchem. A przecież byłem tym samym człowiekiem na przestrzeni kilku godzin.

Wróciliśmy do salonu. Nie widząc Roberta, pani de Villeparisis wymieniła z panem de Norpois owo pytające, drwiące i niezbyt współczujące spojrzenie, jakie ma ktoś, pokazując zbyt zazdrosną żonę albo zbyt czułą matkę, które dają z siebie widowisko; spojrzenie mające znaczyć: „Patrz pan, musiała być burza”.

Robert poszedł do kochanki, przynosząc jej wspaniałą klejnot, którego, w myśl ich układu, nie powinien był jej dać. Zresztą to wyszło na jedno, bo ona nie wzięła naszyjnika; nawet później nigdy nie zdołał jej skłonić do przyjęcia. Niektórzy przyjaciele Roberta sądzili, że te jej dowody bezinteresowności są wyrachowaniem mającym go przywiązać tym mocniej. Ale jej nie zależało na pieniądzach, wyjąwszy może na to, aby móc wydawać bez rachuby. I widziałem, jak rozdawała je na prawo i lewo ludziom, o których myślała, że są biedni. „W tej chwili — mówili Robertowi przyjaciele, aby przeciwważyć złymi słowami jakiś bezinteresowny postępek Racheli — w tej chwili spaceruje w hallu »Folies Bergère«⁴⁰¹. Ta Rachela to zagadka, to prawdziwy sfinks”. Ileż zresztą widzimy kobiet interesownych (czego dowodem, że idą na utrzymanie), jak przez delikatność, zakwitającą czasami w tej sferze, same powściągną tysiącem nieuchwytnych granic hojność swego kochanka!

Robert nie wiedział bez mała nic o zdradach kochanki i truł się w myśli tym, co było jedynie błahostką wobec prawdziwego życia Racheli, życia zaczynającego się co dzień dopiero wówczas, gdy on się z nią pożegnał. Nie wiedział prawie nic o tych zdradach. Można by mu powiedzieć o nich, nie osłabiając jego wiary w Rachelę. Bo uroczym prawem natury, objawiającym się w najbardziej złożonych społeczeństwach, jest to, że człowiek żyje w całkowitej nieznajomości przedmiotu ukochania. Z jednej strony zwierciadła, kochanek powiada sobie: „To anioł, nigdy nie zgodzi się należeć do mnie, pozostaje mi tylko umrzeć, a przecież ona mnie kocha; kocha mnie tak, że kto wie... ale nie, to niemożliwe”. I w egzaltacji swoich pragnień, w niepokoju oczekiwania, ileż klejnotów składa u stóp tej kobiety, zapożycza się, aby jej oszczędzić jakiejś troski; podczas gdy z drugiej strony ścianki, przez którą te rozmowy nie przechodzą, niby te, które wymieniają ludzie spacerujący przed akwariem, publiczność mówi: „Nie zna jej pan? Winszuję panu; ona okradła, zrujnowała nie wiem ilu mężczyzn; nie ma gorszej dziwki jak ona. To skończona hultajka. I jaka szczwana!”. I może publiczność nie całkiem się myli co do ostatniego epitetu, bo nawet człowiek sceptyczny, który nie jest naprawdę zakochany w tej kobiecie i któremu się ona tylko podoba, powiada do przyjaciół: „Ależ nie, mój drogi, to wcale nie jest kokota. Nie powiem, aby w swoim życiu nie miała paru epizodów, ale to nie jest kobieta, której się płaci; to by było stanowczo za drogo! Z nią — to pięćdziesiąt tysięcy franków albo nic”. Otóż ten człowiek wydał dla niej pięćdziesiąt tysięcy franków, miał ją raz, ale ona — znajdując zresztą współnika w nim samym, w jego próżności — umiała mu wmówić, że on był z tych, którzy ją mieli gratis. Takie jest społeczeństwo, gdzie każda istota jest podwójna i gdzie człowieka najbardziej przejrzanego na wylot, najbardziej osławionego, jakiś inny człowiek będzie znał niby pod osłoną muszli, miękkiego kokona, rozkosznej naturalnej ciekawości. Było w Paryżu dwóch godnych ludzi, którym Saint-Loup się nie kłaniał i o których nie mógł mówić bez drżenia w głosie, nazywając ich sutenerami; a to dlatego, że ich zrujnowała Rachela.

— Wyrzucam sobie tylko jedno — rzekła po cichu pani de Marsantes — niepotrzebnie powiedziałam Robertowi, że on jest dla mnie niedobry. Jemu, temu cudownemu, jedynemu, niezrównanemu synowi, widząc go nareszcie, powiedzieć, że nie jest dobry! Wolałabym, żeby mnie wybito kijem, bo jestem pewna, że jakakolwiek przyjemność miała go spotkać dziś wieczór (biedny mały, nie ma ich wiele!), zepsuje mu ją to krzywdzące słowo. Ale nie zatrzymuję drogiego pana, skoro się pan spieszy.

⁴⁰¹*Folies Bergère* — paryska sala koncertowa, najbardziej popularna na przełomie XIX i XX w.; zyskała sławę dzięki wystawianym tam przedstawieniom muzycznym, w których często kobiety pokazywały się w skąpych kostiumach. [przypis edytorski]

Pani de Marsantes pożegnała mnie ze wzruszeniem. Uczucie to odnosiło się do Roberta, była szczerą. Ale przestała nią być, aby się stać z powrotem wielką damą:

— Bardzo mnie pan *zainteresował*, byłam *szczęśliwa*, że mogła z panem porozmawiać. Dziękuję, dziękuję!

I z pokorną miną wlepiła we mnie spojrzenia wdzięczne, upojone, tak jakby moja rozmowa była jedną z największych przyjemności, jakich zaznała w życiu. Te urocze spojrzenia doskonale godziły się z czarnymi kwiatami w deseniach jej sukni; spojrzenia wielkiej damy, która zna swój fach.

— Ależ ja się nie spieszę, proszę pani; czekam zresztą na pana de Charlus, z którym się umówiłem.

Pani de Villeparisis usłyszała ostatnie słowa. Zdawała się nimi przykro uderzona. Gdyby nie chodziło o rzecz niezdołną poruszyć tej kategorii uczuć, miałbym wrażenie, że uczuciem urażonym w pani de Villeparisis w tej chwili była wstydlivość. Ale ta hipoteza nie przeszła mi nawet przez głowę. Byłem rad z pani de Guermantes, z Roberta, z pani de Marsantes, z pana de Charlus, z pani de Villeparisis, nie zastanawiałem się, paplałem wesoło na prawo i lewo.

— Pan ma wyjść z moim kuzynem Palamedem? — rzekła margrabina.

Myśląc, że fakt mojej zażyłości z siostrzeńcem, którego ceniła tak wysoko, może wywrzeć korzystne wrażenie na pani de Villeparisis, odparłem z radością:

— Prosił mnie, abyśmy wyszli razem. Bardzo mnie to ucieszyło. Jesteśmy zresztą z sobą bliżej, niż pani przypuszcza, a jestem gotów uczynić wszystko, aby być z nim jeszcze bliżej.

Niezadowolenie pani de Villeparisis zmieniło się w wyraźną troskę.

— Niech pan na niego nie czeka — rzekła z naciskiem. — Rozmawia z panem von Faffenheim, z pewnością nie pamięta już tego, co panu mówił. Niech pan idzie, niech pan prędko korzysta z tego, że on jest odwrócony tyłem.

Pierwszy niepokój pani de Villeparisis podobny był (ale skąd?) do odruchu zawstydzienia. Jej naleganie, jej sprzeciw — gdyby sędzić jedynie z wyrazu twarzy — mogłyby się zdawać dyktowane cnotą. Co do mnie, wcale mi nie było pilno do Roberta i jego przyjaciółki. Ale pani de Villeparisis tak widocznie zależało na tym, abym się zabrał, że myśląc, iż ma do pomówienia z siostrzeńcem o czymś ważnym, pożegnałem ją. Obok niej siedział ciężko w fotelu pan de Guermantes, wspaniała i olimpijski. Można by rzec, że rozlana w jego członkach i wszechobecna świadomość wielkich bogactw daje mu szczególną gęstość, tak jakby te bogactwa stopiono w tyglu w jedną sztabę ludzką, aby stworzyć tego tak drogiego człowieka. Kiedyś go żegnał, podniósł się grzecznie z krzesła: uczułem bezwładną masę trzydziestu milionów, poruszonych z miejsca i podtrzymywanych starym francuskim wychowaniem, stojącą naprzeciw mnie. Zdawało mi się, że widzę posąg owego Olimpijskiego Jowisza⁴⁰², który Fidiasz⁴⁰³, jak powiadają, odlał cały w złocie. Taka była władza, jaką dobre wychowanie miało nad panem de Guermantes, nad ciałem pana de Guermantes przynajmniej, bo nie panowało ono równie przemożnie nad duchem księcia. Pan de Guermantes śmiał się ze swoich dowcipów, ale nie rozchmurzały go dowcipy innych.

Na schodach usłyszałem za sobą głos:

— Więc tak pan na mnie czeka!

Był to pan de Charlus.

— Nic panu nie szkodzi przejść kilka kroków pieszo? — rzekł sucho, kiedyśmy się znaleźli w dziedzińcu. — Przejdziemy się, aż znajdzie fiakra, który by mi się nadał.

— Chciał pan o czymś ze mną mówić, panie baronie?

— A tak, prawda, chciałem w istocie powiedzieć panu pewne rzeczy; ale nie jestem pewien, czy mu je powiem. Niewątpliwie, sędzę, że mogłyby się stać dla pana zaczątkiem nieobliczalnych korzyści. Ale przeczuwam również, że wniosłyby one w moją egzystencję,

⁴⁰²Jowisz a. Jupiter (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

⁴⁰³Fidiasz (490–430 p.n.e.) — najwybitniejszy rzeźbiarz grecki okresu klasycznego; autor m.in. posągów Ateny Promachos i Ateny Partenos na ateńskim Akropolu oraz posągu Zeusa w Olimpii, zaliczanego do siedmiu cudów świata starożytnego. [przypis edytorski]

w wieku, gdy człowiek zaczyna tęsknić za spokojem, dużo straty czasu, dużo zamętu. Pytam sam siebie, czy pan jesteś wart, abym sobie zadawał dla niego tyle kłopotu, a nie mam przyjemności znać pana na tyle, aby go osądzić. Może też nie pragnie pan w tym stopniu tego, co mógłbym zrobić dla pana, abym sobie miał zadać tyle utrapień, bo powtarzam bardzo szczerze, dla mnie to może być jedynie utrapieniem.

Okrzyknąłem się, że w takim razie nie trzeba nawet o tym myśleć. Abnegacja ta nie zdawała się być w guście barona.

— Te ceremonie nie znaczą nic — rzekł twardo. — Nie ma nic przyjemniejszego niż zadawać sobie trudy dla osoby, która jest tego warta. Dla najlepszych spomiędzy nas sztuka, antyki, kolekcje, ogród to są tylko namiastki, *ersatz*, alibi. Z głębi naszej beczki, jak Diogenes⁴⁰⁴, wołamy człowieka. Hodujemy begonie, strzyżemy cyprysy w braku czegoś lepszego, dlatego że cyprysy i begonie dają z sobą robić, co chcemy. Ale wolelibyśmy oddać swój czas roślinie ludzkiej, gdybyśmy byli pewni, że jest tego warta. W tym mieści się cała kwestia: pan musi znać trochę siebie samego. Czy pan jesteś wart, czy nie?

— Nie chciałbym, proszę pana, za nic w świecie sprawić mu kłopotów — rzekłem — ale co się tyczy mojej przyjemności, niech mi pan wierzy, że wszystko, co pochodzi od pana, sprawi mi wielką przyjemność. Jestem głęboko wzruszony, że pan zwrócił na mnie uwagę i że pan pragnie być mi użyteczny.

Ku memu zdumieniu baron podziękował mi za te słowa niemal z zapalem. Wziął mnie pod ramię z tą nagłą poufalością, która mnie już uderzyła w Balbec i która stanowiła kontrast z oschłością jego tonu.

— Zważywszy niedoświadczenie pańskiego wieku — odparł — mógłby pan wyrzec czasami słowa zdolne wykopać między nami przepaść nie do przebycia. Przeciwnie, to, coś pan rzekł przed chwilą, to są właśnie rzeczy zdolne mnie wzruszyć i kazać mi wiele uczynić dla pana.

Wciąż idąc ze mną pod ramię i wymawiając te słowa, które mimo domieszki czegoś wzgardliwego były tak serdeczne, pan de Charlus wpijał we mnie owe uporczywe, przenikliwe, twarde spojrzenia, które mnie uderzyły pierwszego rana, kiedy go ujrzałem pod kasynem w Balbec, a nawet wiele lat wprzód, koło różowego głogu, obok pani Swann, którą brałem wówczas za jego kochankę, w parku w Tansonville. To znów, za chwilę, pozwalał błędzić tym spojrzeniom dokoła i badać fiakry (które o tej godzinie zmiany były dość liczne) tak pilnie, że niejeden z nich zatrzymał się, bo woźnica myślał, że chcemy wsiąść. Ale pan de Charlus odprawiał go natychmiast.

— Żaden nie jest dla mnie — rzekł — cała rzecz to kwestia latarni, dzielnicy, do której wracają. Pragnąłbym, proszę pana — rzekł — aby się pan nie omylił co do na wskroś bezinteresownego i altruistycznego charakteru propozycji, jaką panu zrobię.

Uderzyło mnie (bardziej jeszcze niż w Balbec), jak dalece dykcja barona podobna była do sposobu mówienia Swanna.

— Jest pan dosyć inteligentny, jak sądzę, aby nie przypuszczać, że to przez „brak stosunków”, z obawy samotności i nudy, zwracam się do pana. Nie lubię dużo mówić o sobie, ale ostatecznie, wie pan może — dość głośny artykuł „Timesa” robi do tego aluzję — że cesarz austriacki, który mnie zawsze szacował życzliwością i który raczy utrzymywać ze mną kuzynowskie stosunki, oświadczył świeżo w rozmowie (która się stała publiczną), że gdyby hrabia de Chambord⁴⁰⁵ miał przy sobie człowieka znającego równie gruntownie jak ja podszewki polityki europejskiej, byłby dzisiaj królem Francji. Często myślałem, że jest we mnie — nie z racji moich nikłych darów, ale dzięki okolicznościom, które pan poznasz może kiedyś — skarb doświadczenia, rodzaj tajnego i nieoszacowanego *dossier*⁴⁰⁶, którego nie uważałem za właściwe spożytkować osobiście, ale które jest bez ceny dla młodego człowieka, dostającego ode mnie w ręce w ciągu kilku miesięcy to, na czego nabycie obróciłem więcej niż trzydzieści lat i co może posiadam sam jeden.

⁴⁰⁴*Diogenes z Synopy* (413–323 p.n.e.) — filozof grecki, przedstawiciel cyników; , znany z pogardy wobec dóbr materialnych i wygod; wg legendy mieszkał w beczce; chodził po mieście w dzień z zapaloną latarnią, a pytającym, co robi, odpowiadał: „szukam człowieka”. [przypis edytorski]

⁴⁰⁵*Henri d'Artois* (1820–1883) — książę Bordeaux, nieproklamowany król Francji w dniach 2–9 sierpnia 1830 jako Henryk V, następnie legitymistyczny pretendent do tronu francuskiego; po proklamowaniu monarchii lipcowej wyjechał z kraju, używając tytułów „Henryk V” i „hrabia de Chambord”. [przypis edytorski]

⁴⁰⁶*dossier* (fr.) — zbiór dokumentów dotyczących jakiejś osoby lub sprawy. [przypis edytorski]

Nie mówię o rozkoszach intelektualnych, jakie by pan znalazł, dowiadując się pewnych sekretów, za których poznanie jakiś Michelet⁴⁰⁷ naszych czasów oddałby lata życia i dzięki którym pewne wypadki przybrałyby w jego oczach zupełnie odmienną postać. I nie tylko mówię o faktach spełnionych, ale o łańcuchu okoliczności (było to jedno z ulubionych wyrażeń pana de Charlus i często, kiedy je wymawiał, składał obie ręce tak, jak się czyni do modlitwy, ale ze sztywnymi palcami, jak gdyby chcąc wyrazić tym gestem ów splot okoliczności, których nie określał bliżej, oraz ich zazębienie się). Dałbym panu nieznaną wykład nie tylko przeszłości, ale przyszłości.

Tu pan de Charlus przerwał, aby mi postawić kilka pytań co do Blocha, o którym mówiono (sądziłem, że baron wówczas nie słuchał) u pani de Villeparisis. I intonacją umiał tak dobrze punktować to, co mówił, że zdawało się, iż myśli całkiem o czym innym, a mówi machinalnie; przez prostą uprzejmość spytał mnie, czy mój kolega jest młody, przystojny itd. Gdyby go Bloch słyszał, byłby jeszcze w większym kłopotcie niż z panem de Norpois (mimo iż dla bardzo odmiennych przyczyn), chcąc zgadnąć, czy pan de Charlus jest za Dreyfusem, czy przeciw.

— Jeżeli pan chce rozwinąć swoją inteligencję — rzekł pan de Charlus, zadawszy mi kilka pytań dotyczących Blocha — nieźle pan robi, że wśród swoich przyjaciół ma pan paru cudzoziemców.

Odparłem, że Bloch jest Francuzem.

— A! — rzekł pan de Charlus — ja myślałem, że to Żyd!

Zaakcentowanie tej sprzeczności kazało mi przypuszczać, że pan de Charlus jest większym antydreyfusistą niż ktokolwiek z moich znajomych. Oświadczył się, przeciwnie, przeciw zarzutowi zdrady, o którą oskarżano Dreyfusa. Ale uczynił to w tej formie:

— Zdaje się, że dzienniki mówią, iż Dreyfus popełnił zbrodnię przeciw ojczyźnie; zdaje się, że tak mówią, bo ja nie zwracam uwagi na dzienniki, czytam je tak, jak myję ręce, nie znajdując, aby warto się było tym interesować. W każdym razie ta zbrodnia jest fikcją; rodak pańskiego przyjaciela popełniłby zbrodnię przeciw ojczyźnie, gdyby zdradził Judeę, ale co on ma wspólnego z Francją?

Napomknąłem, że gdyby była wojna, Żydów powołano by pod broń tak samo jak innych.

— Być może, i nie jest dowiedzione, czy to nie byłaby nieostrożność. Ale kiedy się sprowadza Senegalczyków albo Malgaszów, nie sądzę, aby oni wiele serca wkładali w obronę Francji, i to jest bardzo naturalne. Waszego Dreyfusa raczej by można skazać za naruszenie praw gościnności. Ale dajmy temu pokój. Może by pan poprosił swego przyjaciela, aby mnie wprowadził na jaką piękną uroczystość w bóżnicy, na jakieś obrzezanie, śpiewy żydowskie. Mogłby wynająć salę i urządzić dla mnie jakieś biblijne *divertissement*, jak panienki z Saint-Cyr⁴⁰⁸ grały sceny zaczerpnięte z *Psalmów* przez Racine'a dla rozrywki Ludwika XIV⁴⁰⁹. Moglibyście tam może nawet wprowadzić jakieś komiczne scenki. Na przykład walkę między pańskim przyjacielem i jego ojcem, w której syn by go zranił jak Dawid Goliata⁴¹⁰. To by mogła być farsa wcale uciechowa. Mogłby nawet, skoro by się rozmachał, przetrzepać porządnie to ścierwo („ścierwo”, jak mówi moja służąca), swoją matkę. To by było bardzo ładne i mogłoby nam sprawić przyjemność, he, młody przyjacielu, skoro lubimy egzotyczne spektakle i skoro poturbować to pozaeuropejskie indywiduum znaczyłoby dać zasłużoną nauczkę starej kłepie.

Mówiąc te okropne, niemal obłąkane słowa, pan de Charlus ścisnął mi ramię aż do bólu. Przypominałem sobie, że rodzina pana de Charlus cytowała wiele rysów anielskiej dobroci barona dla tej starej służącej, której molierowską gwarę przypominał w tej chwili; i powiadałem sobie, że byłoby interesujące ustalić mało dotąd zbadane stosunki między dobrocią a złością — mimo całej ich rozbieżności — w jednym i tym samym sercu.

⁴⁰⁷ *Michelet, Jules* (1798–1874) — francuski historyk, ceniony przede wszystkim za dzieła *Historia Francji* (1833–1867) oraz *Historia rewolucji francuskiej* (1847–1853). [przypis edytorski]

⁴⁰⁸ *Saint-Cyr* — szkoła klasztorna w pobliżu Wersalu, zał. w 1686 dla młodych dam z ubogich rodzin szlacheckich. [przypis edytorski]

⁴⁰⁹ *Ludwik XIV* (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

⁴¹⁰ *Dawid i Goliat* — postaci biblijne; młody pasterz Dawid w pojedynku pokonał Goliata, olbrzymiego filistyńskiego wojownika, wyrzuconym z procy kamieniem. [przypis edytorski]

Oznajmiłem baronowi, że w każdym razie pani Bloch już nie żyje, co zaś do starego Blocha, nie wiem, czy by mu przypadła do smaku zabawa, w której mógłby stracić oko. Pan Charlus był wyraźnie zirytowany:

— Bardzo nie w porę — rzekł — umarła ta kobieta. A co do wybitych oczu, właśnie Synagoga jest ślepa, nie widzi prawd Ewangelii. W każdym razie, pomyśl pan, w chwili gdy wszyscy ci nieszczęśni Żydzi drżą przed idiotyczną wściekłością chrześcijan, jakimż zaszczytem byłoby dla nich widzieć, że człowiek taki jak ja zniża się do bawienia się ich igraszkami.

W tej chwili spostrzegłem starszego pana Blocha, który minął nas, idąc zapewne naprzeciw syna. Nie widział nas, ale ofiarowałem się, że go przedstawię panu de Charlus. Nie domyślałem się gniewu, jaki rozpętam w swoim towarzyszcu:

— Przedstawić mi go! Ależ, doprawdy, pan nie ma najmniejszego poczucia walorów! Nie tak łatwo jest dostąpić zaszczytu mojej znajomości. W danym wypadku nieprzyzwoitość byłaby dubeltowa z przyczyny młodego wieku tego, kto przedstawia, i nikczemności tego, którego przedstawia. Co najwyżej, o ile wyprawia dla mnie to azjatyckie igrzysko, którego plan naszkicowałem przed chwilą, mógłbym zaszczycić tę plugawą figurę paroma łaskawymi słowy. Ale pod warunkiem, że się wprzód da porządnie wygrzmocić swemu synowi. Wówczas mógłbym się posunąć do wyrażenia mu swojej satysfakcji.

Zresztą pan Bloch nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Idąc, złożył pani Sazerat głęboki ukłon, bardzo dobrze przez nią przyjęty. Zdumiało mnie to, bo niegdyś w Combray dama ta była oburzona, że rodzice przyjmują młodego Blocha, do tego stopnia była antysemitką. Ale dreyfusizm, jak wentylator, zaniósł aż do niej w ciągu kilku dni pana Blocha. Ojciec mego przyjaciela zachwycony był panią Sazerat; głaskał go zwłaszcza mile antysemityzm tej damy, który mu się wydał dowodem żywości jej wiary oraz szczerości jej dreyfusizmu, a zarazem przydawał ceny wizycie, do której go uprawniła. Nie uraziło go nawet, kiedy pani Sazerat przez nieuwagę rzekła w jego obecności: „Pan Drumont⁴¹¹ pakuje rewizjonistów do wspólnego worka z protestantami i Żydami. Przemile sąsiedztwo!”

„Bernardzie — z dumą powiedział za powrotem do domu pan Bloch do pana Nissim Bernard — ty wiesz, ona ma przesady!” Ale Nissim Bernard odpowiedział jedynie anielskim spojrzeniem wzniesionym ku niebu. Smucąc się niedolą Żydów, wspominając swoich przyjaciół chrześcijan, stając się z biegiem lat zmanierowanym i sztucznym z przyczyn, które poznamy później, robił obecnie wrażenie jakiejś prerafaelitycznej⁴¹² larwy, nieregularnie porosłej szczecią podobną do włosów utopionych w opalu.

— Cała ta sprawa Dreyfusa — ciągnął baron, wciąż trzymając mnie pod ramię — ma tylko jedną przykrą stronę: tę, że niszczy *towarzystwo* (nie powiadam „dobre towarzystwo”, od dawna już towarzystwo nie zasługuje na ten chlubny epitet) przez napływ pań i panów Łykowskich, Łykowiczów i Łykowieckich, słowem ludzi nieznanych, których spotykam nawet u swoich kuzynek, dlatego że należą do ligi patriotycznej, antyżydowskiej i sam już nie wiem jakiej, tak jakby opinie polityczne dawały prawo do pozycji socjalnej.

Ta światowa czczość tym bardziej zbliżała pana de Charlus do księżnej de Guermantes. Podniosłem to podobieństwo. Ponieważ baron zdawał się mniemać, że ja go nie znam, przypomniałem mu wieczór w Operze, gdzie wyraźnie chował się przede mną. Oświadczył tak stanowczo, że mnie wcale nie widział, iż byłbym w to w końcu uwierzył, gdyby niebawem drobna okoliczność nie kazała mi wnosić, że pan de Charlus, może przez nadmiar pychy, nie lubi, aby go ze mną widziano.

— Wróćmy do pana — rzekł — i do moich projektów na niego. Istnieje, drogi panie, między pewnymi ludźmi rodzaj masonerii, o której niepodobna mi bliżej mówić, ale która liczy w tej chwili w swoich szeregach czterech monarchów Europy. Otóż otoczenie jednego z nich chce go uleczyć z jego chimery⁴¹³. To jest rzecz bardzo poważna i może nas doprowadzić do wojny. Tak, drogi panie, absolutnie tak. Zna pan historię

⁴¹¹Drumont, Édouard (1844–1917) — francuski nacjonalista, publicysta i pisarz, założyciel Ligue antisémite de France (Liga antysemitka Francji) w 1889 oraz antysemitycznej gazety paryskiej „La Libre Parole” w 1892, jeden z najzacieklejszych oskarżycieli Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

⁴¹²prerafaelityczny — taki jak w prerafaelityzmie, kierunku w sztuce powstałym w XIX w. w Anglii, wzorującym się na sztuce włoskiego renesansu. [przypis edytorski]

⁴¹³chimera — tu: urojenie, coś nierealnego, uluda. [przypis edytorski]

owego człowieka, który wierzył, że ma zamkniętą w butelce księżniczkę chińską⁴¹⁴. Było to szaleństwo. Uleczono go. Ale z chwilą, gdy się pozbył swego szaleństwa, kompletnie zgłupiał. Są choroby, których nie trzeba leczyć, bo właśnie chronią nas od innych, cięższych. Jeden z moich krewnych chorował na żołądek, nic nie mógł trawić. Najlepsi specjaliści od żołądka kurowali go bez skutku. Zaprowadziłem go do pewnego lekarza (też, mówiąc nawiasem, ciekawa figura, o której byłoby wiele do powiedzenia). Poznał natychmiast, że choroba jest czysto nerwowa, przekonał chorego o tym, kazał mu jeść bez obawy, co zechce, ręcząc, że wszystko dobrze strawi. Ale mój kuzyn miał także chore nerki. Żołądek trawił jedzenie wybornie, ale nerki nie mogły wydzielać, i mój kuzyn, zamiast żyć długie lata z urojoną chorobą żołądka, która go zmuszała do przestrzegania diety, umarł koło czterdziestki z wyleczonym żołądkiem, ale ze zrujnowanymi nerkami. Wyprzedzając tak olbrzymio swoje własne życie, staniesz się pan może tym, czym mógłby być wybitny człowiek minionych czasów, gdyby jakiś dobroczynny geniusz odkrył mu zasady pary i elektryczności nieznanie wszystkim innym. Nie bądź pan głuptasem, nie odmawiaj przez delikatność. Zrozum pan, że jeżeli ja panu oddaję wielką przysługę, umiem w zamian ocenić tę, którą pan mi może oddać. Od dawna już ludzie mego świata przestali mnie interesować; mam już tylko jedną namiętność: starać się okupić błędy własnego życia, dzieląc się swymi skarbami z duszą jeszcze dziewiczą i zdolną do płomienia entuzjazmu. Miałem wielkie zgryzoty, drogi panie, opowiem je panu może kiedyś; straciłem żonę, istotę najszlachetniejszą, najpiękniejszą, najdoskonalszą, jaką można wymarzyć. Mam młodych krewnych, którzy nie są, nie powiem: godni, ale nie są zdolni przyjąć moralnego dziedzictwa, o którym panu mówię. Kto wie, czy nie pan jesteś człowiekiem, w którego ręce ono może przejść, człowiekiem, którego życiem będę mógł pokierować i wznieść je tak wysoko! Moje życie zyskałoby na tym. Może wtajemniczając pana w wielkie sprawy dyplomatyczne, odnalazłbym samego siebie i dokonałbym wreszcie niezwykłych rzeczy, w których pan miałbyś udział. Ale zanim się o tym zapewnię, musiałbym pana widywać często, bardzo często, co dzień.

Chciałem skorzystać z tych dobrych intencji pana de Charlus, aby go poprosić, czy by nie mógł ułatwić mi zbliżenia ze swoją bratową; ale w tej chwili jak gdyby elektryczny wstrząs skreślił mi ramię. To pan de Charlus wyrwał spiesznie spod niego rękę. Mimo iż, mówiąc do mnie, cały czas biegał wzrokiem we wszystkich kierunkach, w tej chwili dopiero ujrzał pana d'Argencourt, wychodzącego z poprzecznej ulicy. Na nasz widok pan d'Argencourt zachnął się lekko, objął mnie nieufnym spojrzeniem, niemal takim, jakim mierzy się osobnika innej rasy, jakie pani de Guermantes miała dla Blocha. Próbował nas minąć; ale zdawałoby się, iż pan de Charlus chce okazać, że się nie stara bynajmniej kryć przed nim, bo przywołał go, aby mu powiedzieć jakąś rzecz zupełnie błahą. Obawiając się może, że mnie pan d'Argencourt nie poznał, baron zakomunikował mu, że jestem wielkim przyjacielem pani de Villeparisis, księżnej de Guermantes, Roberta de Saint-Loup, że on sam, Charlus, jest starym przyjacielem mojej babki, szczęśliwym, iż może przenieść na wnuka trochę swojej dla niej sympatii. Mimo to zauważyłem, że pan d'Argencourt, któremu ledwo wymieniono moje nazwisko u pani de Villeparisis, a któremu pan de Charlus obszernie teraz opowiadał o mojej rodzinie, był dla mnie chłodniejszy niż przed godziną i zachował ten chłód przez długi czas, ilekroć mnie spotkał. Obserwował mnie z ciekawością wyzutą z cienia sympatii i zdawał się nawet pokonywać pewien opór, kiedy, żegnając nas, podał mi po chwili wahania rękę, cofając ją zresztą natychmiast.

— Żałuję tego spotkania — rzekł pan de Charlus. — Ten d'Argencourt, dobrze urodzony, ale źle wychowany, dyplomata mniej niż mierny, mąż opłakany, dziwkarz, intrygant jak z komedii, jest z rzędu ludzi niezdolnych zrozumieć, ale bardzo zdolnych zniszczyć rzeczy naprawdę wielkie. Mam nadzieję, że nasza przyjaźń, jeżeli ma się kiedyś ugruntować, będzie taką i mam nadzieję, że pan zrobi mi ten zaszczyt, aby ją, na równi ze mną, chronić od kopnięć osłów, którzy, przez próżniactwo, brak taktu, złość, depcą to, co zdawało się mieć szansę trwania. Na nieszczęście ludzie światowi są przeważnie z rzędu takich.

⁴¹⁴historię owego człowieka, który wierzył, że ma zamkniętą w butelce księżniczkę chińską — nawiązanie do opowiadki o człowieku, który wierzył, że w butelce trzyma zamkniętą chińską księżniczkę, póki przypadkiem butelka się nie stukła. [przypis edytorski]

— Księżna de Guermantes wydaje się bardzo inteligentna. Mówiliśmy przed chwilą o możliwości wojny. Zdaje się, że ona ma specjalne wiadomości w tej mierze.

— Nie ma żadnych — odparł pan de Charlus sucho. — Kobiety, jak wielu mężczyzn zresztą, nie rozumieją nic ze spraw, o których chciałem mówić. Moja bratowa jest uroczą istotką, która sobie wyobraża, że żyje jeszcze w czasach powieści Balzaca⁴¹⁵, kiedy kobiety miały wpływ na politykę. Stosunki z nią mogłyby w danej chwili oddziaływać na pana jedynie ujemnie, jak zresztą wszelkie stosunki światowe. I to jest właśnie jedna z pierwszych rzeczy, które panu chciałem powiedzieć, kiedy mi ten głupiec przerwał. Pierwsza ofiara, jaką trzeba dla mnie zrobić — będę żądał od pana tyluż ofiar, ile panu przynoszę darów — to, aby się pan nie starał bywać w świecie. Cierpiałem przed chwilą, widząc pana na tym pociesnym zebraniu. Powie pan, że i ja tam byłem; ale dla mnie to nie jest zebranie światowe, to wizyta rodzinna. Później, kiedy pan dojdiesz do szczytu, o ile cię będzie bawiło zejść na chwilę w salony, nie będzie to już może niebezpieczne. I wówczas, nie potrzebuję panu mówić, jak bardzo będę ci mógł być użyteczny. Sezam pałacu Guermantes — i wszystkich tych, które są warte, aby ich wrota otworzyły się przed panem — ja mam w ręku. Ja będę o tym sądził i ja chcę decydować o tym, kiedy przyjdzie pora.

Chciałem skorzystać z tego, że pan de Charlus wspomniał wizytę u pani de Villeparisis, aby się dowiedzieć, kim jest, ściśle biorąc, ta margrabina, ale pytanie moje wypadło inaczej, niżbym chciał: zapytałem, co to jest rodzina Villeparisis.

— To zupełnie tak, jakby mnie pan spytał, co to jest rodzina Nic — odparł pan de Charlus. — Ciotka moja zaślubiła z miłości niejakiego pana Thirion, zresztą bardzo bogatego i którego siostry były bardzo dobrze zamężne; od tego czasu, nazwał się margrabią de Villeparisis. Nic to nikomu nie szkodziło, co najwyżej jemu samemu, i to bardzo niewiele! Co do racji tego przezwiska, nie wiem, przypuszczam, że to był w istocie pan z Villeparisis, jegomość urodzony w Villeparisis; pan wie, że to jest miejscowość pod Paryżem. Ciotka moja utrzymywała, że to margrabstwo było w rodzinie; chciała załatwić rzeczy prawidłowo, nie wiem czemu. Z chwilą kiedy się bierze nazwisko, do którego się nie ma prawa, lepiej jest nie bawić się w komedię legalności.

Pani de Villeparisis, będąca tylko panią Thirion, dopełniła upadku, jaki rozpoczęła w moim umyśle w chwili, gdy mój ujrzał mieszany skład jej salonu. Uważałem za niesprawiedliwe, aby kobieta, której nawet tytuł i nazwisko były zupełnie świeże, mogła mylić współczesnych — jak miała zmylić potomność — dzięki swoim monarszym stosunkom. Pani de Villeparisis stała się znów tym, czym mi się wydawała w dzieciństwie; osobą bez cienia czegoś arystokratycznego; owe dostojne krewieństwa, które ją otaczały, zdawały mi się całkowicie jej obce.

Zresztą margrabina nie przestała wciąż być dla nas czarująca. Odwiedzałem ją od czasu do czasu i często przesyłała mi jakiś upominek. Ale nigdy nie miałem wrażenia, aby ona była z Faubourg Saint-Germain, i gdybym miał szukać jakichś informacji co do tego świata, ona byłaby ostatnią osobą, do której bym się zwrócił.

— Obecnie — ciągnął pan de Charlus — bywając w świecie, szkodziłby pan jedynie sobie, pacząc swoją inteligencję i charakter. Zresztą musi pan czuwać nawet, a raczej *zwłaszcza*, nad swymi przyjaźniami. Miej pan kochanki, jeśli twoja rodzina nie ma nic przeciwko temu; to mnie nie obchodzi; mogę cię tylko do tego zachęcać, młody urwisie, młody urwisie, który niedługo zaczniesz golić brodę — rzekł, dotykając mego podbródka. — Ale wybór męskich przyjaciół to inna sprawa. Na dziesięciu młodych ludzi ośmiu to są kanalie, łobuzy zdolne wyrządzić panu krzywdę, której nie odrobisz nigdy. Ot, mój siostrzeniec Saint-Loup to jest od biedy dobry koleżka dla pana. Z punktu widzenia pańskiej przyszłości nie przyda się panu na nic, ale ja tu wystarczę. A na to, aby panu dotrzymać towarzystwa, wówczas gdy będziesz miał mnie dosyć, na to, w sumie, wydaje mi się człowiekiem nieprzedstawiającym poważnych niebezpieczeństw, przynajmniej tak sądzę. To jest bodaj mężczyzna, a nie jeden z tych niewieściuchów, jakich spotyka się dziś tyłu; fałszywych braci zdolnych dziś lub jutro zaprowadzić może na rusztowanie swoją niewinną ofiarę.

⁴¹⁵Balzac, *Honoré de* (1799–1850) — francuski prozaik okresu romantyzmu, nazywany „mistrzem realizmu”, autor monumentalnego cyklu powieściowego pt. *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

Nie bardzo rozumiałem sens gwarowego wyrażenia „falszywy brat”. Ten, co by je znał, byłby równie zdziwiony jak ja. Światowcy dosyć lubią mówić gwarą, a ludzie, którym można zarzucić pewne rzeczy, lubią okazywać, że się o nich nie boją mówić. To stanowi w ich oczach dowód niewinności. Ale zatracili granicę, nie zdają już sobie sprawy ze stopnia, od którego począwszy, pewien żart robi się zbyt specjalny, zbyt rażący, stając się raczej dowodem zepsucia niż naiwności.

— On nie jest taki jak inni, jest bardzo miły, bardzo serio — dodał pan de Charlus.

Nie mogłem się wstrzymać od uśmiechu przy tym epitecie „serio”, któremu intencja pana de Charlus dawała znaczenie „cnotliwy”, „stateczny”, jak się mówi o młodej robotnicy, że jest „serio”. W tej chwili minął nas fiakier, jadący zygzakiem; młody woźnica, zląwszy z kozła, powoził z głębi dorożki, gdzie rozwalił się wpółpijany na siedzeniu. Pan de Charlus zatrzymał go żywo. Woźnica parlamentował chwilę.

— W którą stronę pan chce jechać?

— W twoją (zdziwiło mnie to, bo pan de Charlus już odmówił kilku fiakrom, mającym latarnie tego samego koloru).

— Ale mnie się nie chce siadać na kozioł. To panu nie przeszkadza, że ja zostanę w dorożce?

— Tak, tylko podnieś budę. Zatem, niech się pan zastanowi nad moimi propozycjami — rzekł pan de Charlus przed rozstaniem. — Daję panu kilka dni do namysłu, niech pan do mnie napisze. Powtarzam, będę pana musiał widywać co dzień i uzyskać od pana rękojmię lojalności, dyskrecji, które zresztą, muszę to przyznać, zdajesz się przedstawiać. Ale w ciągu mego życia tak często zwiodły mnie pozory, że nie chcę się już na nie spuszczać⁴¹⁶. Do kroćset, to chyba najmniej, czego można żądać: zanim się powierzy skarb, wiedzieć, w jakie ręce się go oddaje! Słowem, niech pan pamięta, co ja panu ofiaruję. Jest pan jak Herkules, którego, nieszczęściem dla pana, nie zdajesz się mieć tęgiej muskultury: Herkules na rozstaju dwóch dróg⁴¹⁷. Staraj się pan nie musieć żałować całe życie, żeś nie obrał tej, która wiedzie do cnoty. Cóż to — rzekł baron do woźnicy — jeszcze nie podniósł budy? Ja sam podniosę. Zdaje mi się zresztą, że i powozić będę musiał sam, zważywszy stan, w jakim się znajdujesz.

Wskoczył i usiadł obok woźnicy w głębi fiakra, który ruszył tęgim klusem.

Co do mnie, ledwie wróciwszy do domu, zastałem tam *pendant*⁴¹⁸ rozmowy, jaką wiedli dopiero co Bloch i pan de Norpois, ale w formie zwięzłej, odwróconej i okrutnej. Była to dyskusja pomiędzy naszym kamerdynerem, który był dreyfusistą, a kamerdynerem Guermantów — antydreyfusistą. Prawdy i kontrprawdy, które walczyły z sobą na wyżynach intelektualnych pod postacią Patrie Française oraz Ligi Praw Człowieka⁴¹⁹, docierały zaiste aż do warstw ludu. Reinach grał na uczuciach ludzi, którzy go nigdy nie widzieli na oczy, podczas gdy dla niego samego sprawa Dreyfusa była jedynie nieodpartym teorematem, którego dowiódł w istocie w drodze największego sukcesu racjonalnej polityki (sukcesu smutnego dla Francji, powiedzą niektórzy), jaki kiedykolwiek widziano. W dwa lata zmienił gabinet Billota⁴²⁰ na gabinet Clemenceau, zmienił do gruntu opinię publiczną, wydobył z więzienia Picquarta, aby go uczynić — niewdzięcznego — ministrem wojny. Może ten kierujący tłumami racjonalista sam kierował się swoim pochodzeniem. Jeżeli systemy filozoficzne zawierające najwięcej prawd poczynają się, w ostatecznej instancji, w umyśle swoich twórców z racji uczuciowych, jak przypuszczać, że w prostej sprawie politycznej, jak sprawa Dreyfusa, racje tego rodzaju nie mogłyby, bez wiedzy rozumującego, włączyć jego rozumem? Bloch sądził, iż logika podyktowała mu dreyfusizm,

⁴¹⁶ *spuszczać się na coś* (daw.) — polegać na czymś, zdawać się na coś. [przypis edytorski]

⁴¹⁷ *Herkules na rozstaju dwóch dróg* — staroż. grecka przypowieść etyczna o młodym herosie Heraklesie (rzym. Herkulesie), któremu na rozstaju dróg ukazały się dwie kobiety, Nieprawość i Cnota, nakłaniające do wyboru jednej z dwóch dróg życia i przedstawiające swoje argumenty: za życiem łatwym i przyjemnym oraz za pełnym trudów, ale chwalebny. [przypis edytorski]

⁴¹⁸ *pendant* (fr.) — uzupełnienie, dodatek. [przypis edytorski]

⁴¹⁹ *Liga Praw Człowieka* (fr. Droits de l'Homme) — francuskie stowarzyszenie zał. w 1898 w obronie kapitana Dreyfusa, także gazeta o tym tytule, wydawana w latach 1898–1900. [przypis edytorski]

⁴²⁰ *Billot, Jean-Baptiste* (1828–1907) — francuski generał i polityk, minister wojny (1896–1898); dysponował niezbitymi dowodami niewinności Dreyfusa i celowo je ukrywał, co ujawnił Zola w swoim liście otwartym. [przypis edytorski]

choć wiedział, że jego nos, skóra i włosy są dziedzictwem rasy. Niewątpliwie, rozum jest swobodniejszy; podlega jednakże pewnym prawom, których sam nie wybrał.

Przypadek lokaja Guermantów i naszego był dość specjalny. Fale dwóch prądów, dreyfusizmu i antydreyfusizmu, które od góry do dołu dzieliły Francję, były dość milczące; ale nieliczne echa, jakim dawały początek, były szczere. Słyszając, jak ktoś wśród rozmowy, która chętnie unikała „Sprawy”, udziela mimochodem wiadomości politycznej, zazwyczaj fałszywej, ale zawsze upragnionej, można było z charakteru jego wróżby wnosić o kierunku jego pragnień. W ten sposób zderzały się na niektórych punktach z jednej strony nieśmiałe apostołstwo, z drugiej święte oburzenie. Dwaj lokaje, których usłyszałem, wracając, stanowili wyjątek z tego prawidła. Nasz dał do zrozumienia, że Dreyfus jest winien; lokaj Guermantów — że jest niewinny. Nie czynili tego, aby ukryć swoje przekonania, ale przez złośliwość i zacietrzewienie. Nasz lokaj, niepewny, czy dojdzie do rewizji procesu, chciał z góry, w razie klęski, pozbawić lokaja Guermantów radości przeświadczenia, że dobra sprawa przegrała. Lokaj Guermantów myślał, że w razie odmowy rewizji większą przykrość sprawi naszemu lokajowi fakt, iż trzymają na Diabelskiej Wyspie niewinnego.

Wszedłszy, zastałem babkę bardziej cierpiącą. Od jakiegoś czasu, nie bardzo wiedząc, co jej jest, skarżyła się na zdrowie. Dopiero w chorobie zdajemy sobie sprawę, że żyjemy nie sami, ale zespoleni z istotą odmiennego gatunku, od której dzieli nas przepaść, która nas zna, a z którą niepodobna nam się porozumieć: nasze ciało. Bandytę spotkanego na drodze zdołalibyśmy może wzruszyć jego własną korzyścią, jeżeli nie naszym nieszczęściem. Ale błagać litości naszego ciała znaczy mówić do potwora morskiego, dla którego słowa nasze nie więcej mają znaczenia niż szmer wód i z którym współżycie wydałoby się nam czymś przerażającym. Niedyspozycje babki uchodziły jej uwagi, wciąż zwróconej ku nam. Kiedy zbyt od nich cierpiała, siliła się na próżno zrozumieć je, aby próbować je leczyć. O ile objawy chorobowe, których ciało babki było widownią, pozostawały ciemne i nieuchwytnie dla jej inteligencji, były one jasne i zrozumiałe dla istot należących do tego samego fizycznego królestwa; istot, do których duch ludzki nauczył się wreszcie zwracać, aby zrozumieć to, co mu mówi jego ciało, tak jak słyszając mowę cudzoziemca, szukamy kogoś z tego samego kraju, iżby nam posłużył za tłumacza. Owe istoty mogą rozmawiać z naszym ciałem, oznajmić nam, czy jego gniew jest poważny, czy też rozproszy się niebawem. Cottard, którego wezwano do babki i który podrażnił nas, pytając w pierwszej chwili, kiedyśmy mu powiedzieli, że babka jest chora: „Chora? Ale to nie jest choroba dyplomatyczna?” — Cottard próbował dla uspokojenia chorej diety mlecznej. Ale wiekuiste zupki na mleku nie działały, ponieważ babka sypała do nich dużo soli (odkrycia Widala⁴²¹ jeszcze nie istniały), której szkód w owym czasie nie znano. Bo medycyna to jest kompendium kolejnych i sprzecznych błędów lekarzy, tak iż wzywając najlepszych, mamy wielką szansę odwoływania się do prawdy mającej być uznaną za fałsz w kilka lat później. Tak, iż wierzyć w medycynę byłoby szczytem szaleństwa, gdyby nie wierzyć w nią nie było jeszcze większym szaleństwem, bo z tego spiętrzenia błędów wyłaniają się z czasem pewne prawdy.

Cottard polecił zmierzyć temperaturę. Przyniesiono termometr. Na całej prawie przestrzeni rurka była próżna. Ledwo się dostrzeżęło srebrną salamandrę rtęci, przycupniętą na dnie naczynka. Zdawała się martwa. Umieszczono szklany pręcik w ustach babki. Nie potrzeba było trzymać go długo; mała wróżka nie długo ociągała się z horoskopem. Ujrzeliśmy ją nieruchomą, siedzącą w połowie swojej wieży i nie ruszającą się już; wskazywała dokładnie cyfrę, o którąśmy jej pytali, a której wszystkie refleksje, jakie by nad sobą czyniła dusza babki, nie zdołałyby stwierdzić: 38,3°. Pierwszy raz odczuliśmy pewien niepokój. Potrzebaliśmy silnie termometr, aby usunąć wróżebny znak, jak gdybyśmy mogli, wraz ze stopniem temperatury, obniżyć tym gorączkę. Niestety, jasne było, że mała, pozbawiona rozumu sybilla⁴²² nie udzieliła tej odpowiedzi dowolnie; bo nazajutrz, ledwo znów włożono babce do ust termometr, natychmiast, prawie jednym skokiem,

Choroba

Lekarz, Nauka

⁴²¹Widal, Fernand (1862–1929) — francuski lekarz i bakteriolog, znany z prac nad chorobami nerek, szczepieniami i diagnostyką duru brzuszego. [przypis edytorski]

⁴²²Sybilla (mit. gr; mit. rzym.) — wieszczka przepowiadająca przyszłość; najbardziej znaną Sybillą była kapłanka wyroczni Apollina w Cumae, której przypisywano autorstwo ksiąg z przepowiedniami dotyczącymi losów Rzymu. [przypis edytorski]

mała prorokini, wspaniała pewnością i intuicją niewidzialnego dla nas faktu, zatrzymała się na tym samym punkcie, w nieubłaganym bezruchu, i ukazała nam lśniąącym pręciem tę samą cyfrę⁴²³: 38,3°. Nie mówiła nic więcej, ale daremnie byśmy pragnęli, chcieli, prosili — pozostawała głucha, zdawało się, że to jest jej ostatnie, przestrożne i groźne słowo. Wówczas, próbując zmusić ją do zmiany odpowiedzi, zwróciliśmy się do innej istoty z tego samego królestwa, ale istoty potężniejszej, która nie ogranicza się do pytania ciała, lecz może mu rozkazywać: do środka przeciw gorączce, pokrewnego z nieużywaną jeszcze wówczas aspiryną. Nie strzepnęliśmy termometru poniżej 37,5° w nadziei, że w ten sposób słupek rtęci nie będzie się musiał podnosić. Podaliśmy babce preparat i założyliśmy znów termometr. Jak nieubłagany strażnik, gdy mu pokazać rozkaz wyższej władzy, do której znaleźliśmy protekcję, oświadcza, widząc rozkaz w porządku: „Wybornie, nie mam nic do powiedzenia, skoro tak, można przejść”, czujna strażniczka nie ruszyła się tym razem. Ale zdawała się mówić, chmurna: „Na co się wam to przyda? Skoro znacie chininę⁴²⁴, da mi rozkaz, abym się nie ruszała, raz, dziesięć, dwadzieścia razy. Ale wreszcie zmęczy się, ja ją znam, wierzcie. To nie będzie trwało wiecznie. I co wam to pomoże?”

Wówczas babka odczuła w sobie obecność istoty znającej ciało ludzkie lepiej niż my sami, obecność społecznicy zaginionych ras, obecność pierwszego mieszkańca o wiele wcześniejszego niż istnienie myślącego człowieka; uczuła tego tysiącletniego sprzymierzeńca, który obmacywał, dość brutalnie nawet, jej głowę, serce, łokieć, rozpoznawał miejsca, organizował wszystko do tej przedhistorycznej walki, która nastąpiła tuż potem. W jednej chwili zwyciężył gorączkę, niby zmiażdżonego Pytona⁴²⁵, potężny czynnik chemiczny, któremu babka, idąc poprzez królestwa, poprzez wszystkie zwierzęta i rośliny, chciałaby móc podziękować. I była do głębi wzruszona spotkaniem, jakie jej było dane, poprzez tyle wieków, z klimatem zgoła wcześniejszym od istnienia roślin. Ze swojej strony termometr, niby Parka⁴²⁶ zwyciężona na chwilę przez starszego boga, trzymał nieruchomo swoje srebrne wrzeciono. Niestety inne niższe istoty, ułożone przez człowieka do polowania na ową tajemniczą zwierzyne, której nie może ścigać w głębi samego siebie, okrutnie zwiastowały nam co dnia cyfrę białka, słabą, ale na tyle stałą, aby się również można było domyślić związku z jakimś trwałym stanem, któregośmy nie dostrzegali. Swego czasu Bergotte uraził we mnie nieomylny instynkt zmuszający do milczenia moją inteligencję, mówiąc o doktorze du Boulbon jako o lekarzu, który mnie nie znudzi, który znajdzie metody, choćby na pozór dziwaczne, ale dostosowane do odrębności mego intelektu. Ale pojęcia przeobrażają się w nas, pokonują opór, jaki im zrazu stawiamy, i czerpią soki z gotowych już bogatych zasobów intelektualnych, o których nie wiedzieliśmy, że są dla nich przeznaczone. I jak się dzieje zawsze, gdy zasłyszane słowa dotyczące kogoś, kogo nie znamy, zdołały w nas obudzić pojęcie wielkiego talentu, niemal geniuszu, obecnie darzyłem w myśli doktora du Boulbon owym bezgranicznym zaufaniem, jakie w nas budzi ktoś, kto głębszym od innych okiem przenika prawdę. Wiedziałem niewątpliwie, że on jest raczej specjalistą chorób nerwowych, tym, któremu Charcot⁴²⁷ przepowiedział przed śmiercią, iż będzie królem neurologii i psychiatrii. „A, nie wiem, to bardzo możliwe” — rzekła obecna przy tym Franciszka, która pierwszy raz słyszała nazwiska Charcot i du Boulbon. Ale to jej zgoła nie przeszkadzało mówić: „To możliwe”. Te jej „możliwe”, jej „może może”, „nie wiem” doprowadzały mnie w takich sytuacjach do rozpacz. Miało się ochotę odpowiedzieć jej: „Rozumie się, że nie wiesz, skoro nie masz pojęcia o rzeczy, o którą chodzi; jak możesz mówić, czy to możliwe, czy nie, nie wiesz nic o tym! W każdym razie teraz nie możesz mówić, że nie wiesz, co Charcot powiedział doktorowi du Boulbon itd.; wiesz, bośmy ci powiedzieli, a twoje »może, może« i twoje »możliwe« nie są na miejscu, skoro to jest pewne”.

⁴²³cyfrę (daw.) — liczba, wielkość liczbowa; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

⁴²⁴chinina — lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku otrzymywanego z kory chinowca. [przypis edytorski]

⁴²⁵Pyton (mit. gr.) — olbrzymi wąż, syn Gai, strażnik wyroczni w Delfach, zabity przez Apollina, który następnie objął w posiadanie wyrocznię i ustanowił ośrodek swojego kultu. [przypis edytorski]

⁴²⁶Parka (mit. rzym.) — jedna z trzech bogiń przedających i przycinających nić ludzkiego losu; w mit. gr. ich odpowiednikami były Mojry. [przypis edytorski]

⁴²⁷Charcot, Jean-Martin (1825–1893) — francuski lekarz neurolog, twórca nowoczesnej neurologii. [przypis edytorski]

Mimo iż du Boulbon był raczej specjalistą mózgu i układu nerwowego, wiedząc, że to jest wielki lekarz, niepospolity człowiek o twórczej i głębokiej inteligencji, błagałem matkę, aby go sprowadziła; nadzieja, iż dzięki trafnej diagnozie uleczy może babkę, przeżyła w końcu naszą obawę, iż fakt konsylium może ją przerazić. Zdecydowało matkę to, że babka, utwierdzona w tym pośrednio przez Cottarda, nie wychodziła już i prawie nie wstawała. Próżno odpowiadała nam listem pani de Sévigné⁴²⁸ o pani de la Fayette: „Nazywano ją wariatką, że nie chce wychodzić. Mówiłam tym osobom tak nagłym w swoich sądach: »Pani de la Fayette nie jest wariatką«, i obstawałam przy tym. Musiała dopiero umrzeć, aby dowieść, jak słusznie wzbraniała się wychodzić”.

Wezwany, doktor du Boulbon potępił, jeżeli nie panią de Sévigné, której mu nie cytowano, to przynajmniej babkę. Zamiast ją auskultować⁴²⁹, zwrócił na nią swoje wspaniałe oczy, w których kryło się może złudzenie, że przenika do głębi chorą, lub chęć wiania w nią tej iluzji — chęć rozmyślna, ale mająca robić wrażenie machinalnej — lub zamiar niezdradzenia przed chorą, że myśli całkiem o czym innym, lub wreszcie zyskania władzy nad nią. Doktor skierował rozmowę na Bergotte’a.

— A, bardzo wierzę, droga pani, to jest cudowne; jakże pani ma rację, że pani kocha jego książki! Ale którą pani woli? A, doprawdy! Mój Boże, istotnie, to może najlepsza. W każdym razie najlepiej skomponowana; Klara jest urocza; a z mężczyzną, który jest pani najsympatyczniejszy?

Myślałem zrazu, że on tak ściągą rozmowę na literaturę, bo go medycyna nudzi, może też, aby okazać szerokość swego umysłu, a nawet — w bardziej terapeutycznym celu — aby wrócić chorej otuchę, okazać, że nie jest niespokojny, oderwać ją od jej stanu. Ale później zrozumiałem, że du Boulbon, głośny zwłaszcza jako psychiatra i sławny ze studiów nad mózgiem, chciał sobie przez te pytania zdać sprawę ze stanu pamięci u babki. Prawie niechętnie, z chmurnym i martwym wzrokiem, doktor wypytywał ją po trosze o jej życie. I naraz, jak gdyby dostrzegając prawdę i pragnąc jej osiągnąć za wszelką cenę, z uprzednim gestem, który jakby z trudem otrząsał się z ostatnich wahań i z naszych możebnych zarzutów, patrząc na babkę jasnym okiem, rzekł swobodnie i tak jakby nareszcie znalazł się na stałym lądzie, punktując łagodnym i ujmującym tonem słowa, których odcienie łagodziła i cieniowała inteligencja. (Zresztą przez cały czas tej wizyty głos jego zachował swoją naturalną słodycz, a pod krzaczastymi brwiami ironiczne oczy doktora pełne były dobroci).

— Będzie pani zdrowa w dalekim lub bliskim dniu — a od pani jedynie zależy, aby to było choćby dziś — kiedy pani zrozumie, że nic pani nie jest i kiedy pani wróci do zwykłego życia. Mówiono mi, że pani nie je, nie wychodzi.

— Ale, panie doktorze, ja mam trochę gorączki.

Sprawdził ręką.

— Nie w tej chwili przynajmniej. A przy tym, to ładna wymówka! Czy pani nie wie, że my trzymamy na świeżym powietrzu, że przekarmiamy gruzlików mających do trzydziestu dziewięciu stopni?

— Ale ja mam także trochę białka.

— Nie powinna pani o tym wiedzieć. Ma pani to, co ja opisałem pod nazwą „albuminurii psychicznej”. Każdy z nas miał w trakcie jakiejś niedyspozycji porcję białka, które lekarz co żywo utrwał przez to, że zwrócił nam na nie uwagę. Na jedną chorobę, którą lekarze leczą swymi medykamentami (twierdzą przynajmniej, że im się to zdarza czasem), wywołują sami dziesięć chorób u osób zdrowych, zaszczepiając im ten czynnik chorobotwórczy, tysiąc razy jadowitszy od wszystkich mikrobów, mianowicie myśl, że się jest chorym. Takie przeświadczenie, potężnie działające na naturę każdego z nas, jest szczególnie groźne u nerwowców. Powiedzcie im, że okno, w istocie zamknięte, otwarte jest za ich plecami, zaczną kichać; kaźcie im uwierzyć, że im wysypano magnezyj do zupy, dostaną biegunki; powiedzcie im, że kawa była mocniejsza niż zwykle, nie zmrują oka całą noc. Czy pani myśli, że nie wystarczyło mi zobaczyć pani oczy, usłyszeć sposób mówienia, co mówię, ujrzeć pani córkę i wnuka, który jest do pani tak podobny, aby zgadnąć, z kim mam do czynienia?

⁴²⁸pani de Sévigné, właśc. *Marie de Rabutin-Chantal, markiza de Sévigné* (1626–1696) — autorka słynnych listów pisanych do córki, cenionych jako obraz obyczajów epoki. [przypis edytorski]

⁴²⁹auskultować (med.) — osłuchiwać. [przypis edytorski]

— Słuchaj, babcia mogłaby może usiąść, skoro pan doktor pozwala, w jakiej spokojnej alei na Polach Elizejskich, koło tego klombu, gdzieś się bawił niegdyś — rzekła matka, radząc się w ten sposób pośrednio doktora du Boulbon, przy czym głos jej miał coś nieśmiałego i uległego, czego by nie miał, gdyby się zwracała tylko do mnie.

Doktor obrócił się do babki, że zaś był równie wykształcony, jak uczoney, rzekł:

— Niech pani idzie na Pola Elizejskie, usiąść koło owego laurowego klombu drogiego wnukowi pani. Laur przyniesie pani zdrowie. Oczyszcza. Zgładziwszy węża Pytona, Apollo wszedł uroczyście do Delf z gałązką lauru w ręce. Chciał się tym ubezpieczyć od zarazków jadowitego zwierzęcia. Widzi pani, że laur jest najstarszym, najczcigodniejszym i, dodam — co ma swoją wartość w terapii, jak i w profilaktyce — najpiękniejszym z antyseptyków.

Ponieważ lekarze większej części tego, co wiedzą, uczą się od chorych, skłonni są wierzyć, że ta wiedza pacjentów jednaka jest u wszystkich i spodziewają się zdumieć chorego jakimś spostrzeżeniem nabytym od innych chorych. Toteż, przybierając subtelny uśmiech paryżanina, który, rozmawiając z wieśniakiem, myśli go zdumieć zwrotem z jego gwary, doktor du Boulbon rzekł:

— Prawdopodobnie okresy wiatru przynoszą pani sen, którego by nie zdołały spowodzić najsilniejsze środki nasenne.

— Przeciwnie, panie doktorze, wiatr odbiera mi sen całkowicie.

Ale lekarze są drażliwi: „Hum!” — mruknął du Boulbon, marszcząc brwi, tak jakby mu ktoś nastąpił na nogę i jakby bezsenność babki podczas burzy była dlań obrazą osobistą. Ale nie był przesadnie ambitny; ponieważ, jako umysł wyższy, uważał za swój obowiązek nie wierzyć w medycynę, szybko odzyskał filozoficzną pogodę.

Matka moja, w gorącej chęci znalezienia pociechy u przyjaciela Bergotte’a, dodała na poparcie słów doktora, że kuzynka babki, cierpiąca na nerwy, spędziła siedem lat zamknięta w swojej sypialni w Combray, wstając nie częściej niż raz lub dwa na tydzień.

— Widzi pani, ja nie wiedziałem o tym, a byłbym mógł to pani powiedzieć.

— Ale, panie doktorze, ja mam naturę wręcz odmienną; przeciwnie, zwykle lekarz nie może mnie utrzymać w łóżku — rzekła babka, czy że ją nieco drażniły teorie doktora, czy też pragnąc wyczerpać wszelkie możliwe zarzuty w nadziei, że lekarz je odeprze i że odchodząc, nie zostawi jej już żadnej wątpliwości co do swojej szczęśliwej diagnozy.

— Ależ oczywiście, pani; nie można mieć, niech mi pani daruje wyrażenie, wszystkich fiołów; nie ma pani tego, ma pani inne. Wczoraj zwiedzałem sanatorium dla neurasteników. W ogrodzie stał na ławce jakiś człowiek, nieruchomy jak fakir, z szyją zgiętą w sposób najwyraźniej bardzo uciążliwy. Kiedy go spytałem, co on tam robi, odpowiedział bez najłżejszego gestu, nie odwracając głowy: „Panie doktorze, mam wielką skłonność do reumatyzmu i do kataru; za wiele używałem ruchu i będąc spocony, dotknąłem szyję flanelowego kaftanika. Gdybym teraz wychylił szyję, nie dawszy jej wyparować, jestem pewien, że skończyłoby się zawianiem, a może i bronchitem⁴³⁰”. I z pewnością byłoby tak! „Z pana jest ładny neurastenik, tyle panu powiem”, rzekłem. Czy pani wie, co on powiedział, aby mi dowieść, że nie? To, że gdy wszyscy chorzy w zakładzie mają manię ważenia się (tak że musiano zamknąć wagę na kłódkę, aby się przez cały dzień nie ważyli), jego trzeba było przemocą pędzić do wagi, tak dalece nie miał na to ochoty. Był dumny, że nie ma tej manii co drudzy, nie pamiętając, że ma swoją własną i że to ona chroni go od tamtej. Niech pani moje porównanie nie uraża, bo ów człowiek, który bał się poruszyć szyję, aby się nie zaziębić, jest największym poetą naszych czasów. Ten biedny maniak to najwyższa inteligencja, jaką znam. Niech pani raczy pozwolić, że panią nazwę neurasteniczką. Należy pani do tej wspaniałej i żalostnej rodziny, która jest solą ziemi. Wszystko, co znamy wielkiego, zawdzięczamy nerwowcom. To oni, a nie inni, poczuli religie i stworzyli arcydzieła. Nigdy świat się nie dowie, ile im zawdzięcza, a zwłaszcza ile oni wycierpieli, aby to dać światu. Sycimy się ich boską muzyką, ich pięknymi obrazami, tysiącem subtelności, ale nie wiemy, ile one kosztowały bezsennych nocy, płaczów, spazmatycznego śmiechu, pokrzywek, astmy, epilepsji, lęku przed śmiercią, który jest gorszy niż to wszystko i który pani może zna — dodał, uśmiechając się do babki — bo przyzna pani, kiedy tu wszedłem, nie była pani zbyt spokojna. Myślała pani, że pani

⁴³⁰bronchit — zapalenie oskrzeli. [przypis edytorski]

jest chora, może niebezpiecznie chora. Bóg wie, jakich chorób objawy odnajdywała pani w sobie. I nie myliła się pani, miała je pani. Neurastenia jest genialnym transformistą. Nie ma choroby, której by nie udała znakomicie. Naśladuje do złudzenia rozstrzeń żołądka dyspeptyków, nudności ciężarnych, arytmie chorych na serce, gorączkę gruźlików. Zdolna oszukać lekarza, jakże nie miałaby oszukać chorego? Och, niech pani nie sądzi, że ja żartuję z pani cierpień; nie miałbym prawa ich leczyć, gdybym ich nie umiał zrozumieć. I niech mnie pani posłucha; skuteczna spowiedź powinna być wzajemna. Powiedziałem pani, że bez nerwowej choroby nie ma wielkiego artysty; co więcej — dodał, podnosząc poważnie palec — nie ma wielkiego uczonego. Dodam, że bez nerwowej choroby, na którą sam cierpi, nie ma, nie chcę powiedzieć: dobrego lekarza w ogóle, ale przyzwolę tego lekarza chorób nerwowych. W patologii nerwowej lekarzem, który nie mówi zbyt wiele osielstw, może być tylko na wpół wyleczony chory, tak jak krytyk to jest poeta, który przestał pisać wiersze, agent policji to złodziej, który porzucił swoje rzemiosło. Ja, droga pani, nie trapię się, jak pani, o swoje białko, nie mam nerwowego lęku przed jedzeniem i powietrzem, ale za to nie mogę usnąć bez wstawania po dwadzieścia razy i bez sprawdzania, czy drzwi są zamknięte. I w sanatorium, gdzie zastał wczoraj poetę nieporuszającego szyją, byłem właśnie po to, aby zamówić dla siebie pokój, bo, mówiąc między nami, obracam tam swój urlop na kurację, kiedy, zmęczony się leczeniem cudzych chorób, zbyttnio zaniedbam własne.

— Ależ, panie doktorze, czy i ja powinnam odbyć taką kurację? — spytała babka z przestachem.

— Zbyteczne, droga pani. Objawy, które panią trapią, ustąpią przed moim słowem. A przy tym pani ma przy sobie kogoś bardzo potężnego, którego od tej chwili mianuję jej lekarzem. To pani choroba, pani nadmierna pobudliwość nerwowa. Znalbym sposób uleczenia z niej pani, ale ani mi to w głowie! Wystarczy mi ją ująć w ręce. Widzę na pani biurku książkę Bergotte'a: gdybym panią uleczył z jej newrozy, przestałaby już pani lubić tego pisarza. Otóż, czyż ja czułbym się w prawie zamienienia rozkoszy, jakie on przynosi, na zdrowe nerwy, niezdolne dać pani podobnych wrażeń. Ależ same te rozkosze to jest potężne lekarstwo, może najpotężniejsze! Nie, ja nie chcę uszczuplać pani aktywności nerwowej. Żądam od niej tylko, aby mnie słuchała; powierzam jej panią. Niech da kontrparę! Siłę, którą wkładała w to, aby się pani nie dać przechadzać i odżywiać dostatecznie, niechaj obróci na to, aby pani kazać jeść, czytać, chodzić na spacer, rozrywać się na wszelki sposób. Niech mi pani nie mówi, że pani jest zmęczona. Zmęczenie to jest organiczne ziszczenie z góry istniejącej myśli. Niech pani zacznie od tego, aby tę myśl oddalić. A jeżeli się zdarzy jakaś mała niedyspozycja — co się może zdarzyć każdemu — będzie to rzecz bez znaczenia, bo owa siła robi z pani, wedle głębokiego wyrażenia Talleyranda, „zdrowego z urojenia”. O, już zaczęła panią leczyć, słucha mnie pani wyprostowana, nie oparłszy się ani razu, oko żywe, mina tęga, i to już trwa dobre pół godziny, a pani się nie spostrzegła na tym. Mam zaszczyt pożegnać panią.

Kiedy, odprowadziwszy doktora du Boulbon, wróciłem do pokoju, gdzie matka siedziała sama, dławiąca mnie od kilku tygodni zgryzota uleciała; czułem, że matka wybuchnie radością i ujrzy moją radość; odczuwałem owo otepienie, z jakim oczekujemy najbliższej chwili, kiedy obok nas jakaś osoba podda się wzruszeniu; otepienie, w innej kategorii wrażeń będące jak gdyby lękiem, jakiego doznajemy, kiedy wiemy, że ktoś wejdzie, aby nas przestraszyć przez drzwi dotąd jeszcze zamknięte. Chciałem coś rzec, ale głos mi się załamał; zalewając się łzami, trwałem długo z głową na jej ramieniu, płacząc, przyjmując i kochając boleść, smakując ją teraz, kiedy wiedziałem, że opuściła moje życie, tak jak lubimy się upajać cnotliwymi projektami, których okoliczności nie pozwalają nam urzeczywistnić.

Franciszka podrażniła mnie swoim brakiem udziału w naszej radości. Była mocno wzruszona, bo doszło do straszliwej sceny między lokajem a odźwiernym-donosicielem. Trzeba było, aby księżna w swojej dobroci wdała się w sprawę, aby przywróciła pozór zgody i przebaczyła lokajowi. Bo księżna była dobra i miejsce u niej byłoby idealne, gdyby nie słuchała „gadań”.

Już od kilku dni wiedziano, że babka jest chora, i dopytywano się o jej stan. Saint-Loup pisał do mnie: „Nie chcę korzystać z godzin, kiedy twoja droga babka jest cierpiąca, aby ci czynić wymówki — i o wiele więcej niż wymówki — bez związku z jej

osobą. Ale skłamałbym, gdybym ci powiedział, że ci nigdy nie zapomnę perfidii twojego postępowania i że nie zdołam przebaczyć twojej nieszczeroci i zdrady”. Ale przyjaciele moi, przypuszczając, iż babka nie jest zbyt cierpiąca (nie widziano nawet, że jest w ogóle chora), prosili mnie, aby się z nimi spotkać nazajutrz na Polach Elizejskich; mieliśmy wspólnie zrobić jakąś wizytę i pojechać na wieś na obiad, na który się cieszyłem. Nie miałem już powodu wyrzekać się tych przyjemności. Kiedy się mówiło babce, że powinna by teraz, w myśl zaleceń doktora du Boulbon, chodzić dużo na spacer, widzieliśmy, że zaraz wspomniała Pola Elizejskie. Mógłbym ją tam zawieźć; podczas gdy będzie sobie siedziała i czytała, ja umówię z przyjaciółmi miejsce spotkania i na dobrą sprawę będę miał jeszcze czas dopaść z nimi kolejki do Ville-d’Avray⁴³¹.

Gdy nadszedł czas, babka nie chciała wyjść, czuła się zmęczona. Ale matka, wymuszona przez doktora du Boulbon, zdobyła się na tę energię, aby się pogniewać i wymusić posłuszeństwo. Mama omal nie płakała na myśl, że babka znów może popaść w swoją nerwową prostrację⁴³² i że się już z niej nie podniesie. Niepodobna było wymarzyć piękniejszej pogody na przechadzkę. Słońce, zmieniając miejsce, rozpościerało to tu, to tam, niweczając kontur balkonu, swoje wiotkie muśliny i przydawało kamieniowi jakby ciepły naskórek, nieuchwytną złotą otoczkę. Ponieważ Franciszka nie miała czasu przesłać „pneumatyka”⁴³³ córce, opuściła nas zaraz po śniadaniu. To już było bardzo pięknie z jej strony, że przedtem wstąpiła do Jupiena dla zaszczytu mantylki, którą babka miała włożyć. Wracając właśnie w tej chwili z rannego spaceru, wstąpiłem z nią do krawca. „Czy to młody pan przyprowadza tu panią Franciszkę — rzekł do Franciszki Jupien — czy też pani przyprowadza młodego pana, czy też jakiś szczęśny los sprowadza was oboje?”. Mimo że Jupien nie skończył szkół, przestrzegał równie naturalnie składni, jak mimo wielu wysiłków gwałcił ją pan de Guermantes. Skoro Franciszka wróciła z naprawioną mantylką, trzeba było babce się ubrać. Oddaliwszy z uporem pomoc matki, babka ubierała się sama straszliwie długo. Dziwna jest ta nasza obojętność dla naszych najbliższych, dopóki żyją; można by rzec, że są dla nas na ostatnim miejscu, po wszystkich! Teraz, kiedym wiedział, że babka jest zdrowa, uważałem ją za bardzo samolubną, że się tak guzdra, skoro wie, że ja się umówiłem z przyjaciółmi i że mam jechać do Ville-d’Avray. Skoro mi powiedziano dwa razy, że zaraz będzie gotowa, zniecierpliwiony, sam zeszedłem na dół. Wreszcie nadeszła, nie przepraszając mnie za opóźnienie, jak to robiła zazwyczaj w takich razach; czerwona i roztargniona jak osoba, która się spieszy i która zapomniła połowę swoich rzeczy, nadeszła, kiedym dochodził do uchylonych szklanych drzwi, które, nie ogrzewając tym ani trochę sieni, wpuszczały z zewnątrz płynne, gwarne i ciepłe powietrze, tak jakby ktoś otworzył zbiornik pośród lodowatych ścian domu.

— Mój Boże, skoro ty masz spotkać przyjaciół, powinnam była włożyć inną mantylkę. Ta trochę smutno wygląda.

Uderzyło mnie, że babka była jakby skongestionowana⁴³⁴; pojąłem iż, zapóźniwszy się, musiała się bardzo spieszyć. Kiedyśmy wysiedli z fiakra na Polach Elizejskich koło avenue Gabriel, ujrzałem, że babka, nic do mnie nie mówiąc, zwraca się i kieruje do starego, obrosłego zielenią domku, gdzie swego czasu czekałem raz na Franciszkę. Ten sam strażnik, który się tam znajdował wówczas, siedział jeszcze obok „markizy”, kiedy idąc za babką, która musiała mieć nudności, bo zasłaniała usta ręką, przebyłem stopnie tego sielskiego teatrzyku, wznoszącego się pośród ogrodów. U wejścia, niby w owych jarmarcznych budach, gdzie klaun, gotów do wejścia na scenę i umazany mąką, sam odbiera należność za miejsca, „markiza” wysiadynała stale ze swoją ogromną i brzydką, grubo uszmińkowaną gębą, w kapelusiku strojnym w czerwone kwiaty i czarną koronkę, zasadzonym na rudą perukę. Ale nie sądzę, aby mnie poznała. Strażnik, zaniedbując dozór zieleni, do której dostrojono barwę jego uniformu, rozmawiał z nią, siedząc obok.

— Zatem — rzekł — pani jest wciąż tutaj. Nie myśli pani wycofać się z interesu?

— Dlaczego, po co, kochany panie. Niech pan sam powie: gdzie byłoby mi lepiej niż tutaj, gdzie miałabym większe wygody i komfort? A przy tym jest ruch, rozrywka; to istny

⁴³¹ Ville-d’Avray — miejscowość we Francji, na zach. przedmieściach Paryża. [przypis edytorski]

⁴³² prostracja — skrajne wyczerpanie nerwowo-psychiczne. [przypis edytorski]

⁴³³ pneumatyk — list wysłany pocztą pneumatyczną, za pomocą rur poprzez wykorzystanie sprężonego powietrza; system poczty pneumatycznej istniał w Paryżu od 1866 aż do 1984. [przypis edytorski]

⁴³⁴ skongestionowany (neol., z fr.) — przekrwiony. [przypis edytorski]

mały Paryż; przez klientów wiem wszystko, co się dzieje. Ot, proszę pana, ten, co wyszedł stąd może pięć minut temu, to urzędowa osoba, wysoka, bardzo wysoka! I co, proszę pana — wykrzyknęła z zapalem, jakby gotowa poprzeć to twierdzenie siłą, w razie gdyby stróż porządku powątpiewał o jego ścisłości — od ośmiu lat, rozumie pan, w każdy dzień, jaki Pan Bóg stworzył, punktualnie z uderzeniem trzeciej, jest tutaj, zawsze grzeczny, nigdy nie podniesie głosu, nic nie powala i siedzi dłużej niż pół godziny, aby przeczytać gazetę, załatwiając swoje. Jednego jedynego dnia nie przyszedł. Na razie nie spostrzegłam się; ale naraz wieczorem powiedziałam sobie: „O, ten mój gość nie przyszedł, może umarł”. To mnie trochę pikło w serce, bo ja się przywiązuję do ludzi, kiedy są na swoim miejscu. Toteż byłam bardzo kontenta, ujrawszy go na drugi dzień; zagadałam go: „Dzień dobry panu, a co, czy nic się panu nie zdarzyło wczoraj?”. Odpowiedział, że jemu się nic nie zdarzyło, ale że żona mu umarła, i taki był poruszony, że nie mógł przyjść. Miał minę smutną, i co się dziwić, rozumie pan, żyli z sobą od dwudziestu pięciu lat; ale i tak wydawał się kontent, że znów tu jest. Czuło się, że ten wypadek zakłócił jego przyzwyczajenia. Staralam się go pocieszyć, rzekłam: „Nie trzeba się poddawać. Niech pan przychodzi jak zawsze; w pańskim zmartwieniu zawsze to mała dystrakcja”.

Głos „markizy” złagodniał, bo stwierdziła, że opiekun grządek i klombów słuchał jej przyjaźnie, nie myśląc się sprzeciwiać, siedząc ze swoją niewinną szpadą w pochwie, robiącą wrażenie raczej jakiegoś ogrodniczego narzędzia lub rolniczego symbolu.

— A przy tym — rzekła — ja wybieram swoich klejentów, nie każdego wpuszczam do moich salonów. Bo ja to tak nazywam. Czy to nie istny salon z tymi kwiatami? Że mam klejentów bardzo grzecznych, to ten, to ów przyniesie mi ładną gałązkę bzu, jaśminu albo mój ulubiony kwiat — różę.

Myśl, żeśmy się może zgubili w oczach tej damy, nie przynosząc jej nigdy bzu ani róż, przypawiła mnie o rumieniec; aby fizycznie uniknąć jej ujemnego sądu lub być osądzonym jedynie zaocznie, skierowałam się ku wyjściu. Ale w życiu nie zawsze najuprzejmiejsze przyjęcie spotyka tych, co przynoszą piękne różę, bo „markiza”, przypuszczając, że się nudzę, zwróciła się do mnie:

— Chce pan, żebym panu otworzyła gabinecik?

A kiedy odmówiłem:

— Naprawdę, nie chce pan? — dodała z uśmiechem. — Myślałam to z dobrego serca, ale wiem, że są potrzeby, dla których obudzenia nie wystarczy ofiarować je gratis.

W tej chwili szybko weszła lichy ubrana kobieta, najwyraźniej w nagłym położeniu. Ale widać nie należała do świata „markizy”, bo ta z całym okrucieństwem snoba rzekła sucho:

— Wszystko zajęte.

— Czy długo? — spytała biedna dama, czerwona przy swoich żółtych kwiatkach.

— A, moja pani, radzę pani iść gdzie indziej, bo widzi pani, jeszcze dwóch panów tutaj czeka, a mam tylko jeden gabinet, wszystkie inne są w reparacji... Wygląda mi to na lichą klejentele — rzekła „markiza”. — To coś nie dla mnie, nie zna to czystości, nie zna szacunku, trzeba by mi potem godzinę szorować po takiej damuli. Nie żałuję jej dwóch sou⁴³⁵.

W końcu babka wyszła. Bojąc się, że się nie postara napiwkami zatrzeć niedelikatności, jaką okazała, siedząc tak długo, ulotniłam się, aby nie mieć udziału w porcji wzgardy, jaką z pewnością okaże babce „markiza”. Szedłem ścieżką, ale powoli, aby babka mogła mnie łatwo dogonić i iść dalej ze mną. Co się też stało niebawem. Myślałem, że babka mi powie: „Dałam ci długo czekać na siebie; mam nadzieję, że jeszcze złapiesz swoich przyjaciół”. Ale nie rzekła ani słowa; tak iż, trochę zawiedziony, nie chciałem się odezwać do niej pierwszy. W końcu, spojrzawszy na nią, zauważyłem, że idąc koło mnie, obraca głowę w drugą stronę. Bałem się, że znów ma nudności. Przyjrzałem się lepiej, uderzył mnie jej nierówny chód. Kapeluszy miała przekrzywiony, płaszcz powalany, wydawała się zmieszana i niezadowolona; miała czerwoną i wzruszoną twarz osoby, którą dopiero co potrafił powóz lub którą wydobyto z rowu.

— Bałem się, czy nie miałaś nudności, babciu; czy czujesz się lepiej? — spytałem.

⁴³⁵sou — dawna drobna moneta francuska (dwudziesta część franka). [przypis edytorski]

Pomyślała z pewnością, że nie sposób nie odpowiedzieć bez obudzenia mego niepokoję.

— Słyszałam całą rozmowę między „markizą” a strażnikiem — rzekła. — To był kompletny styl Guermantes i „paczki” Verdurinów. Mój Boże! jakież oni mieli dworny ton!

I dodała jeszcze z naciskiem, cytując słowa swojej markizy, pani de Sévigné: „Słuchając ich, pomyślałam, że mi gotują rozkosze pożegnania”.

Takie były jej słowa, w które włożyła całą swoją finezję, swoje upodobanie w cytatach, znawstwo klasyków, trochę więcej nawet, niż to robiła zazwyczaj, jakby dla okazania, że włada tym wszystkim. Ale raczej odgadłem, niż usłyszałem te słowa, które babka wymówiła chrapliwym głosem, ściskając zęby bardziej, niżby to mogła tłumaczyć obawa wymiotów.

— Babciu — rzekłem dość lekko, aby się nie zdawało, że zbyt serio biorę jej niedyspozycję — skoro się czujesz nieszczególnie, wracajmy do domu, jeżeli pozwolisz. Nie będę oprowadzał po Polach Elizejskich babci, która ma nudności.

— Nie śmiałam ci tego proponować z powodu twoich projektów — odparła. — Biedny mały! Ale skoro sam chcesz, to będzie w istocie rozsądniej.

Bałem się, aby babka nie zauważyła trudności, z jaką wymawia te słowa.

— No — rzekłem szorstko — nie męcz się mówieniem; skoro ci jest niedobrze, to nie ma sensu, zaczekaj choć, aż wrócimy.

Uśmiechnęła się smutno i ścisnęła mi rękę. Zrozumiała, że nie ma co ukrywać przede mną tego, com odgadł zaraz: że miała przed chwilą mały atak.

Strona Guermantes

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Choroba babki. Choroba Bergotte'a. Księżę i lekarz. Ostatnie chwile babki i jej śmierć.

Przebyliśmy avenue Gabriel w tłumie przechodniów. Posadziłem babkę na ławce i poszedłem po fiakra. Ona, w której serce wnikałem zawsze, aby osądzić najmniej znaczącą osobę, była teraz dla mnie zamknięta, stała się częścią zewnętrznego świata. Bardziej niż przed lada przechodniem musiałem tać przed nią to, co myślę o jej stanie, tać przed nią swój niepokój. Nie mógłbym z nią mówić o tym szczerzej niż z obcą osobą. Zwróciła mi oto myśli, zgrzyzoty, które od czasu dzieciństwa powierzyłem jej na zawsze. Nie umarła jeszcze. Byłem już sam. I nawet te aluzje, jakie robiła do Guermantów, do Moliera, do naszych rozmów o „paczce” Verdurinów, zdawały się czymś bez oparcia, bez przyczyny, czymś fantastycznym, bo wychodziły z nicości tego samego jestestwa, które — jutro może — nie miało już istnieć, dla którego słowa te nie będą już miały żadnego sensu — z owej niezdolnej ich pojąć nicości, jaką będzie moja babka niebawem.

— Drogi panie, zapewne, owszem, ale pan nie zamówił godziny, nie ma pan numeru. Zresztą to nie jest mój dzień przyjęć. Państwo muszą mieć swojego lekarza. Ja nie mogę mu wchodzić w drogę, o ile mnie nie wezwie na konsylium. To kwestia etyki lekarskiej...

W chwili gdy m kiwał na fiakra, spotkałem sławnego profesora E..., niemal przyjaciela mego ojca i dziadka, w każdym razie dobrego ich znajomego, który mieszkał przy avenue Gabriel. Wiedziony nagłym natchnieniem, zatrzymałem go w chwili, gdy wracał, i pomyślałem, że mógłby być znakomitą pomocą babce. Ale on, spiesząc się, wzięwszy swoją pocztę, chciał mnie splawić; mogłem z nim mówić jedynie w windzie. Prosił, abym mu zostawił manipulację guzikami, to była jego mania.

— Ale, panie profesorze, ja pana nie proszę, żeby pan przyjął babkę, zrozumie pan z tego, co panu powiem, że stan jej nie pozwoliłby... Przeciwnie, ja pana proszę, żeby pan zechciał zająć do nas za pół godziny, kiedy ona wróci.

— Zająć do państwa, ależ, drogi panie, niepodobieństwo! Mam obiad u ministra handlu, muszę przedtem odbyć jedną wizytę, zaraz się muszę ubierać; na dobitkę frak mi się rozdarł, a drugi nie ma tasiemki na ordery. Proszę pana, niech pan będzie tak dobry nie ruszać windy, nie umie pan manipulować, trzeba być ostrożnym w takich rzeczach. Spóźnię się przez ten frak! Wreszcie, przez przyjaźń dla pańskiej rodziny, gdyby babka pańska zaraz tu przyszła, przyjąłbym ją. Ale uprzedzam, że nie mogę jej ofiarować więcej niż kwadrans.

Wróciłem natychmiast, nie wysiadając nawet z windy, którą profesor E... osobiście spuścił na dół, przyjrawszy mi się z nieufnością.

Powiadamy wszyscy, że godzina śmierci jest niepewna, ale kiedy to mówimy, wyobrażamy sobie tę godzinę jak gdyby w mglistej i odległej przestrzeni; nie myślimy, aby miała jakikolwiek związek z zaczętym już dniem i aby mogła znaczyć, że śmierć — lub pierwsze jej częściowe objęcie nas w posiadanie, po którym już nas nie wypuści — mogłoby nastąpić tegoż samego popołudnia, tak określonego, tego popołudnia, w którym plan wszystkich godzin jest wytyczony z góry. Przestrzegamy zwykłej przechadzki, aby mieć w ciągu miesiąca ogólną sumę świeżego powietrza; wahamy się, jaki wziąć płaszcz, jakiego fiakra, sadowimy się, dzień cały jest przed nami — krótki, bo chcemy wrócić na czas z powodu jakiejś schadzki, chcielibyśmy, aby nazajutrz było równie ładnie, i nie domyślamy się, że śmierć, posuwająca się w nas na innej płaszczyźnie, w nieprzeniknionym mroku, wybrała właśnie ten dzień, aby wstąpić na scenę, za kilka minut, bez mała w chwili gdy powóz wjedzie na Pola Elizejskie. Może ci, których zazwyczaj oblega groza dziwności związanej ze śmiercią, znajdują coś uspokajającego w tym rodzaju śmierci — w tym rodzaju pierwszego z nią kontaktu — bo śmierć staje się w ten sposób czymś jakby znanym, poufałym, codziennym. Poprzedziło ją dobre śniadanie, spacer — taki sam, jaki odbywa wielu zdrowych. Powrót otwartym powozem następuje po pierwszym jej zamachu; mimo groźnego stanu babki ostatecznie wiele osób mogłoby powiedzieć, że

o szóstej, kiedyśmy wracali z Pól Elizejskich, kłaniali się jej, widząc ją w cudną pogodę, w otwartym powozie. Legrandin, który szedł w stronę placu Zgody, uklonił się nam, przystając zdziwiony. Ja, który nie byłem jeszcze oderwany od życia, spytałem babki, czy mu się odkloniła, zwracając jej uwagę, że on jest drażliwy. Ale babka, uważając zapewne, że jestem bardzo dziecinny, podniosła rękę, jak gdyby mówiąc: „Cóż to wszystko znaczy? To nie ma żadnego znaczenia”.

Tak, można by powiedzieć, że podczas gdy ja szukałem fiakra, babka siedziała na ławce w avenue Gabriel; że trochę później jechała otwartym powozem. Ale czyby to była prawda? Na to, aby stać w alei, ławka — mimo że i ona podlega pewnym warunkom równowagi — nie potrzebuje energii. Ale, aby żywa istota była czymś stałym — nawet oparta na ławce lub w powozie — trzeba napięcia sił, którego nie czujemy zwykle, tak samo jak nie czujemy ciśnienia atmosfery, dlatego że działa ze wszystkich stron. Gdyby w nas uczynić próżnię i poddać nas ciśnieniu powietrza, wówczas przez chwilę poprzedzającą nasze zniweczenie, uczulibyśmy może straszliwy ciężar niezrównoważony niczym. Tak samo kiedy się w nas otwierają otchłanie choroby i śmierci i kiedy nie możemy już nic przeciwstawić zgiełkowi, z jakim świat i nasze własne ciało rzucają się na nas, wówczas wytrzymać nawet ciężar naszych mięśni, nawet dreszcz pustoszący nasz szpik, wówczas nawet trwać nieruchomo w pozycji, którą uważamy zazwyczaj za czysto bierną, to — o ile chcemy, aby głowa trzymała się prosto, a spojrzenie zachowało spokój — wymaga nakładu energii i staje się przedmiotem wyczerpującej walki.

I jeżeli Legrandin przyjrzał się nam zdziwiony, to dlatego że jemu, jak innym przechodniom, w tym fiakrze, w którym babka na pozór siedziała, wydała się ona czymś zapadającym się, osuwającym się w przepaść; czepiająca się rozpaczliwie poduszek, które ledwie mogły przytrzymać jej walące się ciało, z włosami w nieładzie, z błędnym wzrokiem, niezdolna już stawić czoła naporowi obrazów, których nie mogła przyjąć jej żrenica. Była, mimo iż siedząc koło mnie, zanurzona w owym nieznanym świetle, gdzie już doznała ciosów, których ślady nosiła, kiedy ją ujrzał przed chwilą na Polach Elizejskich, gdy jej kapelusz, jej twarz, jej płaszcz nosiły ślady ręki niewidzialnego anioła, z którym stoczyła walkę. Myślałem później, że ten atak nie musiał całkowicie zaskoczyć babki, że może przewidziała go długo naprzód, że żyła w jego oczekiwaniu. Oczywiście, nie wiedziała, kiedy ta fatalna chwila przyjdzie; niepewna, podobna w tym do kochanków, którym tego samego rodzaju wątpliwość każe na przemian snuć niedorzeczne nadzieje i nieusprawiedliwione posądzenia na temat wierności ich lubej. Ale rzadko się zdarza, aby owe wielkie choroby — jak ta, która wreszcie ugodziła babkę wprost — nie zamieszkały na długo wprzód w chorym, zanim go zabiją, i aby w tym okresie nie nawiązały z nim rychło znajomości, niby towarzyski sąsiad lub lokator. Straszliwa to znajomość, nie tyle przez cierpienie, jakie sprawia, ile przez niesamowitą nowość ostatecznych ograniczeń, jakie nakłada życiu. Człowiek ogląda wówczas swoją śmierć nie w samej chwili śmierci, ale na miesiąc, czasem na lata naprzód, od czasu jej ohydneho w nas zamieszkania. Chora zapoznaje się z tym obcym, którego słyszy przechadzającego się po swoim mózgu. Zapewne, nie zna go z widzenia, ale z ciągłych hałasów wnosi o jego obyczajach. Czy to złoczyńca? Pewnego rana nie słyszy go już. Poszedł. Och! gdybyż na zawsze! Wieczorem — wrócił. Co on ma za zamiary? Domowy lekarz, poddany śledztwu niby ubóstwiana kochanka, odpowiada zapewnieniami, którym jednego dnia się wierzy, innego nie. Zresztą lekarz ma tutaj rolę nie tyle kochanki, ile rolę badanych służących. To są tylko „osoby trzecie”. Istotą, którą przyciskamy do muru, którą podejrzewamy o gotowość zdrady, jest samo życie; i — mimo iż czujemy, że ono nie jest już to samo — wierzymy w nie jeszcze, czepiamy się bodaj wątpliwości, aż do dnia, w którym nas wreszcie opuści.

Wsadziłem babkę do windy; po chwili wyszedł profesor i wpuścił nas do gabinetu. Ale tam, mimo całego pośpiechu, szorstki wyraz twarzy lekarza zmienił się; tak bardzo mocne są przyzwyczajenia, on zaś miał zwyczaj być miły, nawet jowialny z chorymi. Wiedząc, że babka jest bardzo odczytana (jak i on), zaczął jej przez parę minut recytować piękne wiersze o promiennym lecie, które właśnie było. Posadził chorą w fotelu, sam siadając pod światło, aby ją dobrze widzieć. Badał ją drobiazgowo, kazał mi nawet wyjść na chwilę. Jeszcze badał, po czym — mimo iż kwadrans dobiegał końca — znów zaczął częstować babkę cytatami. Rzucił nawet parę wcale dowcipnych żarcików, które byłbym wolał usłyszeć innego dnia, ale których ton uspokoił mnie kompletnie. Przypomniałem

Choroba, Śmierć

sobie, że Fallières⁴³⁶, prezydent senatu, miał przed wielu laty fałszywy atak; że, ku rozpaczy swoich współzawodników, wrócił w trzy dni potem do zwykłych funkcji i gotował się, jak mówiono, kandydować w nieokreślonej przyszłości na prezydenta Republiki. Ufność moja w rychłe wyzdrowienie babki była tym pełniejsza, ile że w chwili gdy sobie przypomniał przykład pana Fallières, wyrwał mnie z moich myśli szczerzy wybuch śmiechu, którym profesor E... zakończył jakąś anegdotę. Po czym wyciągnął zegarek, zmarszczył nerwowo brwi, widząc, że się spóźnił o pięć minut, i żegnając się z nami, zadzwonił, aby mu natychmiast podano frak. Puściłem babkę przodem, zamknąłem drzwi i prosiłem uczonego, żeby mi powiedział prawdę.

— Pańska babka jest stracona — rzekł. — Atak uremii⁴³⁷. Sama w sobie uremia nie jest absolutnie śmiertelna, ale ten wypadek wydaje mi się rozpaczliwy. Nie potrzebuję panu mówić, iż pragnąłbym się mylić. Zresztą, mając doktora Cottard, jesteście państwo w wybornych rękach. Daruje mi pan — rzekł, widząc pokojówkę niosącą jego frak. — Mówiłem panu, że mam obiad u ministra, przedtem jeszcze wizytę. Ha! W życiu nie stąpamy po samych różach, jak się mniema w pańskim wieku.

I podał mi uprzejmie rękę. Zamknąłem drzwi, lokaj przeprowadził mnie wraz z babką, kiedy usłyszeliśmy głośnie wybuchy gniewu. Pokojówka zapomniała przyszyć tasiemkę na ordery. To znów potrwa dziesięć minut! Profesor grzmiał jeszcze, gdy ja patrzyłem w progu na babkę — straconą. Wszelka istota jest bardzo samotna. Pojechaliśmy do domu.

Słońce miało się ku schyłkowi, rozplómieniało niekończący się mur, wzdłuż którego fiakier jechał, zanim skręcił w naszą ulicę. Rzucony przez zachodzące słońce cień konia i powozu odcinał się czarno na rdzawym tle, niby wóz żałobny na pompejańskiej⁴³⁸ terakocie⁴³⁹. Wreszcie przybyliśmy. Posadziłem chorą na dole w sieni i poszedłem uprzedzić matkę. Powiedziałem, że babce zrobiło się trochę niedobrze, zawrót głowy. Od pierwszych słów, twarz matki dosięgła paroksyzmu rozpaczy, ale tak już zrezygnowanej, iż zrozumiałem, że od lat miała ją w sobie w pogotowiu na niepewny dzień katastrofy. Nie pytała o nic; można by rzec, iż tak samo jak złość lubi przesadzać cierpienia drugich, tak ona przez czułość nie chciała dopuścić, aby stan matki był groźny, a zwłaszcza aby mógł dotknąć władz myśli. Mama drżała, twarz jej płakała bez łez; zawołała, aby posłano po lekarza, ale kiedy Franciszka spytała, kto jest chory, matka nie mogła odpowiedzieć, głos uwiązał jej w gardle. Zeszła, biegnąc ze mną, tamując łkanie, które marszczyło jej twarz.

Babka czekała na kanapce w sieni, ale kiedy nas usłyszała, wstała, wyprostowała się, zaczęła do mamy wesoło kiwać ręką. Owinąłem jej głowę białą koronką, mówiąc, że to dlatego, żeby się nie zaziębiła na schodach. Nie chciałem, aby matka zbyt wyraźnie zauważyła zmianę twarzy, skrzywienie ust. Ale ostrożność moja była daremna; matka zbliżyła się do babki, ucałowała jej rękę jak rękę swego Boga, podtrzymała ją, przydźwigała ją aż do windy, z nieskończonymi ostrożnościami, w których, obok obawy niezręczności i sprawienia jej bólu, była pokora istoty jakby niegodnej dotknąć czegoś najcenniejszego. Ale ani razu nie podniosła oczu, nie popatrzyła w twarz chorej. Może dlatego, aby babka nie zasmuciła się myślą, że jej widok mógł zaniepokoić córkę. Może przez lęk przed bólem zbyt silnym, z którym nie miała odwagi się zmierzyć. Może i przez szacunek, bo nie sądziła, aby jej wolno było bez świętokradztwa stwierdzić jakiś ślad upośledzenia umysłowego na tej uwielbionej twarzy. Może, aby zachować nietknięty obraz prawdziwej twarzy swej matki, promieniejący rozumem i dobrocią. Toteż jechały w górę, siedząc obok siebie, babka wpółzakryta mantylką, matka odwracając oczy.

Była natomiast przez ten czas inna osoba, niespuszczająca oczu ze zmienionej twarzy babki, w którą córka nie miała spojrzeć; osoba wlepiająca w tę twarz osłupiałe, niedyskretne i złowróżbne spojrzenie: była nią Franciszka. Nie znaczy to, aby nie kochała szczerze babki (sprawił jej nawet zawód, niemal zgorszył ją chłód mamy, która, wedle

⁴³⁶Fallières, Armand (1841–1931) — francuski polityk, prezydent Senatu (od 1899), premier (1883) i prezydent Francji (1906–1913). [przypis edytorski]

⁴³⁷uremia (med.) — mocznica, stan zatrucia organizmu produktami przemiany materii (m.in. mocznikiem) jako przejaw zaawansowanej niewydolności nerek. [przypis edytorski]

⁴³⁸pompejański — pochodzący z Pompejów, staroż. rzymskiego miasta zasypanego pyłem wulkanicznym w czasie wybuchu Wezuwiusza w 79 n.e., szerzej znanego dzięki wykopaliskom prowadzonym systematycznie od 1869. [przypis edytorski]

⁴³⁹terakota — wyroby z oczyszczonej i wypalanej gliny, zwykle figurki lub ozdobne płytki. [przypis edytorski]

niej, powinna by się rzucić z płaczem w ramiona matki), ale miała wrodzoną skłonność widzenia wszystkiego z najgorszej strony. Zachowała z dzieciństwa dwie właściwości, które powinny by się wykluczać, ale które kiedy się spotkają z sobą, wzmacniają się wzajem: prostactwo chłopów, którzy nie starają się ukryć wrażeń, nawet przerażenia, obudzonego w nich widokiem zmian fizycznych, których delikatniej byłoby nie zauważyć, i nieczulą srogość wieśniaczki, obrywającej skrzydła ważkom, zanim będzie miała sposobność skręcać szyję kurczętom, i nieposiadającej wstydlivosti, która by jej kazała ukryć ciekawość cudzego cierpienia.

Kiedy dzięki niezrównanym staraniom Franciszki babka znalazła się w łóżku, uczuła, że mówi o wiele swobodniej. Naddarcie lub zatkanie naczynia, spowodowane uremią, musiało być bardzo lekkie. Wówczas babka pomyślała o mamie, chciała jej być pomocą w najokrutniejszych chwilach, jakich zaznała w życiu.

— No cóż, dziecko — rzekła, biorąc ją za rękę, drugą zaś ręką zasłaniając usta, aby tym upozorować lekką trudność, jakiej doznawała jeszcze, wymawiając pewne wyrazy — więc ty tak żałujesz matki! Myślisz, że to przyjemna rzecz taka niestrawność?

Wówczas po raz pierwszy oczy matki wpiły się namiętnie w oczy babki, nie chcąc widzieć reszty twarzy. Otwierając listę owych fałszywych zakłęb, których nie możemy dotrzymać, matka rzekła:

— Mamo, będziesz niedługo zdrowa, córka ci za to ręczy.

I wkładając swoją najsilniejszą miłość, całą swoją wolę wrócenia matce zdrowia w pocałunek, któremu powierzyła tę miłość i tę wolę i któremu towarzyszyła swoją myślą, całym swoim jestestwem aż po kraniec warg, złożyła pokornie i nabożnie ten pocałunek na ubóstwianym czole.

Babka skarżyła się na zator kolder, wciąż tworzący się uparcie z tej samej strony na lewej nodze. Ale nie zdawała sobie sprawy, że to ona sama jest tego przyczyną, tak iż co dzień niesłusznie winiła Franciszkę, że źle prześcieliła łóżko. Konwulsyjnym ruchem odrzucała na tę stronę całą falę pieniających się koców z cienkiej wełny, które się tam gromadziły niby piasek w zatoce, bardzo szybko zamulonej (o ile się nie zbuduje tamy) ciągłym osadem przyplywu.

Matka i ja (kłamstwo nasze natychmiast odgadła Franciszka, przenikliwa i brutalna) nie chcieliśmy nawet mówić, że babka jest bardzo chora, jak gdyby to mogło zrobić przyjemność wrogom, których zresztą nie miała, i jakby czulej było sądzić, że nie jest z nią tak źle. Był to ten sam instynkt, który kazał mi przypuszczać, iż Anna zanadto boleje nad Albertyną, aby ją miała bardzo kochać. Te same zjawiska powtarzają się w wielkich momentach, zarówno w poszczególnych osobach, jak w masach. W czasie wojny ktoś, kto nie kocha swojego kraju, nie mówi o nim źle, ale wierzy w jego klęskę, boleje nad nim, widzi rzeczy czarno.

Franciszka oddawała nam nieskończone usługi dzięki swojej zdolności obywania się bez snu, dopełniania najcięższych robót. Kiedy się poszła położyć po kilku nieprzespanych nocach, jeżeli trzeba ją było wołać w kwadrans po tym, jak zasnęła, była tak szczęśliwa, że może robić rzeczy uciążliwe niby coś najprostszego w świecie, iż bez najmniejszego szemrania okazywała tylko pełne skromności zadowolenie. Jedynie kiedy przyszła godzina mszy i pierwszego śniadania, wówczas, choćby nawet babka konała, Franciszka wymknęłaby się w porę, aby się nie spóźnić. Młody służący, przydany jej do posługi, nie mógłby jej zastąpić, zresztą nie zgodziłaby się na to. To pewne, że Franciszka wyniosła z Combray bardzo wysokie pojęcie o obowiązkach każdego wobec nas; nie zniosłaby, aby któryś z naszych ludzi „chybił” nam. Zrobiło to z niej tak szlachetną, tak władczą i skuteczną wychowawczynię, że nie zdarzył się u nas służący na tyle zepsuty, aby szybko nie zmienił i nie oczyścił swoich pojęć o życiu aż do tego stopnia, że wyrzekł się „koszykowego” i rzucał się — choćby przedtem był najmniej usłużny — aby mi wziąć z ręki lada paczkę i nie dać mi się męczyć. Ale równocześnie Franciszka nabyła w Combray przeniesionego później do Paryża zwyczaju nieznoszenia żadnego pomocnika w swojej pracy. Wszelka pomoc zdawała się jej ubliżeniem. Czasem przez całe tygodnie służący nie uzyskał od niej odpowiedzi na ranne dzień dobry, czasem zgoła wyjechał na wakacje bez jej pożegnania, nie mogąc zgadnąć czemu; a w istocie z tej jednej przyczyny, że któregoś dnia, kiedy Franciszka była niezdrowa, chciał odrobić za nią trochę roboty.

Obecnie, kiedy babka była tak chora, robota tym bardziej zdawała się Franciszce jej własnością. Niby primadonna, nie dałaby sobie odebrać roli w te galowe dni. Toteż młody służący, usuwany przez nią, nie wiedział, co robić, i nie poprzestając na tym, że czerpał, jak Wiktor, papier listowy z mojego biurka, zaczął jeszcze zabierać tomy poezji z mojej biblioteki. Czytał je po całych dniach przez podziw dla poetów, co je ułożyli, ale także po to, aby przez resztę czasu zdobić cytatami listy do przyjaciół na wsi. Z pewnością zamierzał olśnić ich w ten sposób. Ale ponieważ był niezbyt rozgarnięty, ubrdał sobie, że te znalezione w mojej bibliotece poematy są czymś powszechnie znanym, na co można się powoływać. Tak iż pisząc do tych chłopków, których zdumieniem z góry się cieszył, własne refleksje przeplatał wierszami Lamartine'a, tak jakby mówił „pomogaj, Boże” lub zgoła „Dzień dobry”.

Z powodu bólów pozwolono dać babce morfinę. Nieszczęściem, uśmierzając bóle, morfina zwiększała równocześnie ilość białka. Ciosy, które wymierzaliśmy w chorobę zamieszkałą w babce, trafiały zawsze fałszywie; to ona, to jej biedne ciało otrzymywało je, przy czym ona odpowiadała na nie jedynie słabym jękiem. A bólów, któreśmy jej sprawiali, nie przeciwważyła ulga, której nie mogliśmy jej przynieść. Zaledwie się nam udało musnąć okrutne cierpienie, które byśmy w niej chcieli zniweczyć; przywodziliśmy je tylko do tym większej wściekłości, przyspieszając może godzinę, w której branka stanie się jego pastwą. W dni, w które ilość białka była zbyt znaczna, Cottard po chwili wahania odmawiał morfiny. U tego tak mało inteligentnego, tak przeciętnego człowieka, w tych krótkich chwilach, kiedy się zastanawiał, kiedy wahał się między dwoma sposobami leczenia, aby się zatrzymać przy jednym, było coś z wielkości wodza, który, pospolity we wszelkiej innej sferze, jest wielkim strategiem i w groźnym momencie, pomyślawszy chwilę, decyduje się na to, co skuteczniejsze, mówiąc: „Przegrupować się na wschód”.

Z lekarskiego punktu widzenia, mimo iż mało było nadziei przecięcia ataku uremii, nie trzeba było nużyć nerek. Ale z drugiej strony, kiedy babce nie dano morfiny, bóle stawały się nie do zniesienia; powtarzała bez końca pewien ruch, który trudno jej było wykonać bez jęku. Cierpienie bywa przeważnie funkcją organizmu uświadamiającego sobie nowy stan, który go niepokoi, dostrajającego swoją wrażliwość do tego stanu. Można stwierdzić tę genezę bólu na wypadkach dolegliwości, które niejednako dokuczają każdemu. Do pokoju pełnego cuchnącego dymu dwaj mało wrażliwi ludzie wejdą i będą funkcjonowali normalnie; trzeci, delikatniejszy z natury, będzie zdradzał nieustający niepokój. Nozdrza jego nie przestaną chwytac niespokojnie zapachu, którego — zdawałoby się — powinien by próbować nie czuć, a który będzie się starał za każdym razem dostosować, przez ściślejsze jego poznanie, do swego urażonego zmysłu powonienia. Stąd pochodzi z pewnością, że żywe zaabsorbowanie czymś każe zapomnieć o bólu zębów. Kiedy babka tak cierpiała, pot spływał po jej wielkim sinym czole, zlepiając białe kosmyki włosów. Kiedy myślała, że nas nie ma w pokoju, krzyczała: „Och, to straszne!”, ale kiedy spostrzegła matkę, natychmiast obracała całą energię na to, aby usunąć z twarzy ślady bólu, lub — przeciwnie — powtarzała tę samą skargę, z towarzyszeniem komentarzy, dających wstecz inny sens słowom dosłyszczanym przez matkę.

— Och, tak, dziecko, to straszne musieć leżeć w ten piękny czas, kiedy by się chciało iść na spacer. Do rozpaczy mnie doprowadzają wasze zakazy!

Ale nie mogła powściągnąć jęku swoich spojrzeń, potu na czole oraz konwulsyjnego, mimo iż natychmiast powściąganego drgania członków.

— Nie boli mnie; skarżę się, bo tak mi źle leżeć, czuję, że mam włosy nie w porządku, nudzi mnie, uderzyłam się o ścianę.

A u stóp łóżka matka, przykuta do tego cierpienia, tak jakby, przesywając spojrzeniem to bolesne czoło, to ciało, które tailo chorobę, miała w końcu dosięgnąć ją i usunąć — matka mówiła:

— Nie, mamusiu droga, nie pozwolimy ci tak cierpieć, znajdziemy coś, bądź cierpliwa przez chwilę, czy pozwolisz się ucałować, ale tak, żebyś się nie ruszała?

I pochylona nad łóżkiem, z uginającymi się nogami, wpół klęcząc, jak gdyby w tej kornej postawie skuteczniej mogła ziszczyć żarliwy dar siebie samej, pochylała ku babce całe własne życie w swojej twarzy niby w cyborium⁴⁴⁰, które jej podawała, zdobne płaskorzeź-

⁴⁴⁰cyborium — naczynie w kształcie puszkii lub kielicha, służące do przechowywania hostii. [przypis edytorski]

bą bruzd i fałdów tak namiętych, tak zrozpaczonych, a tak słodkich, że nie wiedziało się, czy je tam wyłobilo dłuto pocałunku, łkania czy uśmiechu. I babka próbowała zbliżyć do mamy twarz. Była tak zmieniona, że gdyby miała siłę wyjść z domu, poznano by ją chyba po piórze na kapeluszu. Rysy jej, jakby pod ręką rzeźbiarza, siliły się niejako — wysiłkiem odwracającym ją od wszystkiego innego — dostroić do jakiegoś nieznanego nam modelu. Ta praca rzeźbiarza dobiegała końca; twarz babki zmniejszyła się, a równocześnie stwardniała. Przebiegające ją żyły robiły wrażenie nie marmuru, ale jakiegoś bardziej chropawego kamienia. Wciąż pochylona ku przodowi wskutek trudności oddychania, a równocześnie skurczona w sobie od zmęczenia, twarz jej, zniszczona, zmaląła, okrutnie wyrazista, podobna była do prymitywnej, niemal przedhistorycznej rzeźby i w rzeźbie tej do surowej, sinej, ceglastej, zrozpaczonej twarzy jakiejś dzikiej strażniczki grobu. Ale dzieło nie było jeszcze skończone. Trzeba by ją potem skruszyć, a potem spuścić w ten grób, którego strzegła tak mozolnie, z tym twardym skurczem twarzy.

W jednej z tych chwil, w których, jak to mówią, nie wiadomo już, czego się chwycić, ponieważ babka bardzo kaszlała i kichała, posłuchano rady jakiegoś krewniaka, który twierdził, że specjalista X... kuruje z takich rzeczy w trzy dni. Światowi ludzie opowiadają tak o swoich lekarzach i wierzy się im, jak Franciszka wierzyła w reklamy dzienników. Specjalista przybył ze swoim etui, naładowanym — niby worek Eola⁴⁴¹ — wszystkimi katarami jego pacjentów. Babka nie chciała się dać zbadać. A my, zażenowani wobec doktora, który się trudził na próżno, poddaliśmy się jego chęci kolejnego zbadania naszych nosów, mimo że nie były chore. Ale on twierdził przeciwnie — i że migrena, katar kiszek, choroba serca lub cukrzyca, wszystko to jest zaniedbana choroba nosa. Każdemu z nas oświadczył: „Pan ma tu małe zgrubienie, które chętnie bym poznał bliżej. Niech pan nie czeka zbyt długo. Parę przyżegań uwolniłoby pana od tego”.

To pewne, iż w tej chwili mieliśmy co innego w głowie. Jednak pytaliśmy sami siebie: „Od czego by uwolniło?” Krótko mówiąc, wszystkie nosy były chore; doktor mylił się jedynie, ustalając rzecz w czasie terażniejszym. Bo do jutra jego badanie i jego przewidywany zabieg zrobiły swoje: każdy z nas dostał kataru. I kiedy doktor spotkał na ulicy ojca kichającego na umór, uśmiechnął się na myśl, iż nieuk mógłby przypisać tę chorobę jego interwencji. Zbadał nas (wierzył w to święcie) w chwili, gdyśmy już byli chorzy.

Choroba babki dała różnym osobom sposobność objawienia nadmiaru lub niedostatku sympatii, które nas zdziwiły w tym samym stopniu, co charakter przypadku ujawniającego nam łańcuchy okoliczności lub nawet przyjaźni, których nie bylibyśmy podejrzewali. A oznaki współudziału ze strony osób, które wciąż przychodziły zasięgnąć wiadomości, zdradzały nam niebezpieczeństwo choroby, któregośmy dotąd nie dosyć zizolowali, nie dosyć oddzielili od tysiąca bolesnych wrażeń odczuwanych przy chorobie.

Siostry babki, uprzedzone depeszą, nie ruszyły się z Combray. Odkryły artystę, który je raczył doskonałą muzyką kameralną; w tej muzyce spodziewały się znaleźć, skuteczniej niż przy łożu chorej, bolesne skupienie i podniesienie ducha. Bądź co bądź forma ta wydała się nam szczególną. Pani Sazerat napisała do mamy, ale jak osoba, z którą nagle zerwane zaręczyny (zerwaniem był dreyfusizm) rozdzieliły nas na zawsze.

W zamian za to Bergotte spędzał co dzień u mnie po kilka godzin. Z dawna lubił zagnieździć się na jakiś czas w domu, gdzie się nie musiał wysilać. Ale dawniej lubił to po to, aby mówić bez przerwy; teraz po to, aby długo trwać w milczeniu, którego nikt nie przerywał. Bo on był bardzo chory; jedni mówili — na białkomocz, jak babka; wedle innych to był nowotwór. Coraz bardziej opadał z sił, z trudem wspinał się do nas na schody, z jeszcze większym trudem schodził. Mimo iż trzymał się poręczy, chwał się często; sądzę, że najchętniej siedziałby w domu, gdyby się nie bał całkowicie odwyknąć od ludzi, wyjść z obiegu, on, „człowiek z bródką”, którego znałem niedawno tak żwawym. Nie widział już prawie, często nawet słowa mu się płątały.

Ale w tym samym czasie, wręcz odwrotnie, dzieła jego, znane jedynie elicie wówczas, gdy pani Swann patronowała nieśmiałym próbom ich spopularyzowania, teraz rozrosło i tęgie w oczach wszystkich, zdobyły ogromny rozgłos wśród najszerszej publiczności. Bez

⁴⁴¹ *Eol* (mit. gr.) — bóg wiatrów; w *Odysei* podarował Odyseuszowi worek z zamkniętymi w nim nieprzychylnymi wichrami, które mogłyby utrudniać jego statkom podróż powrotną do domu, jednak towarzysze Odyseusza, widząc już brzegi ojczystej Itaki, otworzyli worek, a uwolnione wiatry zepchnęły okręty na pełne morze. [przypis edytorski]

wątpienia, zdarza się, że dopiero po śmierci pisarz robi się sławny. Ale Bergotte jeszcze za życia i w czasie swego powolnego posuwania się ku śmierci był świadkiem kroczenia swoich dzieł ku sławie. Autor umarły jest przynajmniej znakomitym bez umęczenia. Blask jego nazwiska zatrzymuje się u grobowej płyty. Głuchy i wiekuisty sen broni go od natręctwa Chwały. Ale dla Bergotte'a kontrast ten nie ziścił się całkowicie. Pisarz istniał jeszcze na tyle, aby cierpieć od zgiełku. Poruszał się jeszcze, mimo iż z trudem, gdy jego dzieła, podskakując jak córki, które się kocha, ale których impetyczna młodość i hałaśliwe zabawy męczą nas, co dnia ściągały do jego łóżka nowych wielbicieli.

Wizyty jego u nas spóźniły się dla mnie o kilka lat, bo już go nie podziwiałem tyle co wprzód. Nie było w tym sprzeczności ze wzrostem jego sławy. Zwykle zanim jakieś dzieło stanie się całkowicie zrozumiane i zwycięskie, już dzieło innego pisarza, jeszcze nieznanego, zaczyna u niektórych wybredniejszych wprowadzać nowy kult w miejsce tamtego, który stał się już niemal powszechny. W książkach Bergotte'a, które odczytywałem często, zdania były moim oczom równie jasne jak własne myśli, jak meble w moim pokoju i dorożki na ulicy. Wszystkie rzeczy widziało się w nich bez trudu, jeżeli nie tak, jak się je widziało zawsze, to bodaj tak, jak się przywykło widzieć je teraz. Otóż pewien nowy pisarz zaczął ogłaszać utwory, gdzie związki między rzeczami były tak odmienne od tych, które wiązały te same rzeczy dla mnie, że nie rozumiałem prawie nic. Mówił na przykład: „Węże do polewania podziwiała piękny stan dróg (to było łatwe, pomykałem tymi drogami) wyjeżdżających co pięć minut z Brianda⁴⁴² i z Claudela⁴⁴³”. Wówczas nie rozumiałem nic, bo spodziewałem się nazwy miasta, a spotykałem nazwisko osoby. Ale czułem, że to nie zdanie jest źle napisane, ale ja nie jestem dość silny i zwinny, aby je doścignąć. Rozpędzałem się na nowo, pomagałem sobie nogami i rękami, aby dotrzeć do punktu, z którego bym ujrzał nowe związki rzeczy. Za każdym razem, doszedłszy mniej więcej do połowy zdania, opadałem — niby później w pułku przy ćwiczeniu zwanym „portykiem”. Mimo to żywiłem dla nowego pisarza ów podziw, jaki niezgrabne dziecko, mające „pałkę” z gimnastyki, odczuwa dla innego, zręczniejszego. Odtąd mniej podziwiałem Bergotte'a, którego jasność zdała mi się ubóstwem.

Był czas, kiedy bez trudu poznawano przedmioty, gdy je namalował Fromentin⁴⁴⁴, a nie poznawano ich u Renoira⁴⁴⁵. Smakosze mówią nam dziś, że Renoir to jest wielki malarz XVIII wieku. Ale mówiąc tak, zapominają o Czasie i o tym, że dużo go było trzeba, nawet w pełni wieku XIX, aby Renoira uznano wielkim artystą. Aby osiągnąć takie zrozumienie, oryginalny malarz, oryginalny artysta postępują na sposób okulistów. Leczenie ich malarstwem, ich stylem nie zawsze jest przyjemne. Kiedy jest ukończone, lekarz powiada do nas: „Teraz patrz”. I oto świat (który nie był stworzony raz, ale równie często, jak często zjawiał się oryginalny artysta) ukazuje się nam zupełnie odmienny od dawnego, ale całkowicie jasny. Mijają nas na ulicy kobiety różne od dawniejszych, bo to są Renoiry; owe Renoiry, w których wzdraliśmy się niegdyś widzieć kobiety. Powozy są też Renoiry, i woda, i niebo; mamy ochotę przechadzać się po lesie podobnym do tego, który pierwszego dnia wydawał nam się wszystkim, a nie lasem, na przykład dywanem o barwach bogatych, ale pozbawionym właśnie barw właściwych lasom. Oto jest nowy i nietrwały świat, świeżo stworzony. Będzie trwał aż do następnej geologicznej katastrofy, którą rozpęta nowy oryginalny malarz lub nowy pisarz.

Pisarz, który mi zastąpił Bergotte'a, nużył mnie nie bezładem, ale nowością — mającą swój ład — związków, do których nie przywykłem. Wciąż ten sam punkt, do którego opadałem, wskazywał na tożsamość każdorazowego wysiłku. Zresztą kiedy raz na tysiąc razy zdołałem nadążyć pisarzowi aż do końca zdania, to, com oglądał, odznaczało się zawsze dowcipem, prawdą, urokiem, podobnymi tym, które niegdyś znajdowałem w lekturze Bergotte'a, ale w bardziej rozkosznej postaci. I myślałem sobie, że niewiele lat temu Bergotte przyniósł mi tę samą odnowę świata, podobną do tej, jakiej oczekiwałem po jego

⁴⁴²Briand, *Aristide* (1862–1932) — polityk francuski, wielokrotnie minister (gł. spraw zagranicznych), 11-krotnie premier; znany z zaangażowania w sprawy międzynarodowe; laureat Pokojowej Nagrody Nobla (1926). [przypis edytorski]

⁴⁴³Claudel, *Paul* (1868–1955) — francuski poeta i dramaturg, symbolista; członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

⁴⁴⁴Fromentin, *Eugène* (1820–1876) — francuski malarz, krytyk sztuki i pisarz. [przypis edytorski]

⁴⁴⁵Renoir, *Auguste* (1841–1919) — malarz i rzeźbiarz francuski, jeden z czołowych przedstawicieli impresjonizmu. [przypis edytorski]

następcy. I zaczynałem dumać, czy jest coś prawdy w rozróżnieniu, jakie stale robimy między sztuką, która jakoby się nie posunęła naprzód od czasu Homera, a wiedzą z jej nieustannym postępem. Może, przeciwnie, sztuka podobna jest w tym do wiedzy; każdy nowy twórczy pisarz wydawał mi się postępowym w stosunku do jego poprzednika; i któż mi powie, czy za dwadzieścia lat, kiedy będę mógł towarzyszyć bez znużenia dzisiejszemu nowatorowi, nie zjawi się inny, wobec którego dzisiejszy zleje się z Bergotte'em?

Wspomniałem Bergotte'owi o nowym pisarzu. Obrzydził mi go, nie tyle przekonując mnie, że jego sztuka jest chropawa, łatwa i czcza, ile opowiadając, że on bywa ludzko podobny do Blocha. Obraz ten padł od tego czasu na stronie książki, sprawiając, iż nie czułem się już zobowiązany do wysiłku zrozumienia. Jeżeli Bergotte mówił o tym pisarzu źle, to nie tyle, jak sądzę, przez zazdrość o jego niepowodzenie, ile przez nieznamość jego utworów. Nie czytał prawie nic. Już większość jego myśli przeszła z mózgu w jego książki. Wychudł tak, jakby mu je wycięto. Instynkt rozrodczy nie pobudzał już jego energii teraz, kiedy wydzielił z siebie prawie wszystko, co myślał. Prowadził roślinne życie rekonwalescenta, położnicy; piękne jego oczy pozostawały nieruchome, nieco olśnione, jak oczy człowieka wyciągniętego nad morzem i w mglistej zadumie ścigającego po prostu bieg każdej małej fali. Zresztą jeżeli rozmowa z Bergotte'em mniej mnie interesowała niż dawniej, nie odczuwałem z tego powodu wyrzutów. Podlegał on tak bardzo przyzwyczajeniu, że skoro raz go nabrał, każde, najprostsze czy najwyszukańsze, stawało mu się na jakiś czas nieodzowne. Nie wiem, co go ściągnęło pierwszy raz; ale później przychodził co dzień z tej racji, że był wczoraj. Przychodził do nas tak, jakby szedł do kawiarni, po to, aby doń nie mówiono, aby on sam mógł — bardzo rzadko — mówić, tak że gdyby się chciało wyciągać jakiś wniosek z tej wytrwałości, można by ostatecznie znaleźć w niej dowód, że go obeszło nasze zmartwienie lub że znajduje przyjemność w moim towarzystwie.

Wizyty Bergotte'a nie były obojętne matce, wrażliwej na wszystko, w czym można było widzieć hołd dla chorej. I co dzień mówiła mi: „Nie zapomnij mu bardzo podziękować, koniecznie”.

Odwiedziła nas w owym czasie pani Cottard. Była to delikatna uprzejmość kobieca; coś niby podwieczorek, który żona malarza podaje między godzinami pozowania; w tym wypadku, gratisowy naddatek do odwiedzin lekarskich profesora. Przyszła nam ofiarować swoją „donnę”; jeżeli wolimy raczej męską usługę, ofiarowała się „podjąć wywiad”; co więcej, wobec naszej odmowy oświadczyła, iż spodziewa się bodaj, że to nie jest z naszej strony „rekuza dyplomatyczna”, słowo, które w jej świecie oznacza uchylene się od zaproszenia pod fałszywym pozorem. Upewniła nas, że profesor, który nigdy nie mówi w domu o pacjentach, jest tak smutny, jakby chodziło o nią samą. Okaże się później, że nawet gdyby to było prawdą, byłoby to zarazem bardzo mało i bardzo dużo ze strony tego najniewierniejszego i najwdzięczniejszego z mężów.

Propozycje równie użyteczne, a nieskończenie miłsze w formie (będącej połączeniem wysokiej inteligencji, wielkiego serca i rzadkiego wdzięku słowa) przesłał mi następca tronu wielki książę luksemburski⁴⁴⁶. Poznałem go w Balbec, gdzie odwiedził swoją ciotkę, księżnę de Luxembourg, wówczas gdy był jedynie hrabią de Nassau. Zaślubił w kilka miesięcy potem uroczą córkę innej księżnej de Luxembourg, nadzwyczaj bogatej, bo była jedyną córką pewnego księcia, właściciela olbrzymiego przedsiębiorstwa mącznego. Po czym wielki książę luksemburski, który nie miał dzieci i który ubóstwiał swego bratanka de Nassau, uzyskał to, że Izba uznała go księciem-następcą. Jak we wszystkich tego rodzaju małżeństwach, początki majątku są przeszkodą, będąc równocześnie istotną przyczyną. Zapamiętałem tego księcia de Nassau jako jednego z najniezwykleszych młodych ludzi, jakich spotkałem, już wówczas trawionego posępną i namiętną miłością do swojej narzeczonej. Bardzo mnie przejmowały listy, jakie wciąż pisał do mnie podczas choroby babki; nawet mama, wzruszona nimi, powtarzała smutno określenie swojej matki, że „Sévigné nie wyraziłaby tego lepiej”.

Szóstego dnia, ulegając prośbom babki, mama musiała ją opuścić na chwilę i udać, że idzie spocząć. Chciałem, żeby babka usnęła, tym samym, żeby się Franciszka nie ruszała.

⁴⁴⁶Adolf, wielki książę Luksemburga (1817–1905) — pierwszy wielki książę Luksemburga z niemieckiej dynastii Nassau (od 1890), wcześniej książę Nassau (1839–1866), zdetronizowany przez Prusaków po zajęciu i aneksji jego księstwa. [przypis edytorski]

Mimo moich błagań Franciszka wyszła z pokoju. Kochała babkę; przy swojej trzeźwości wzroku i swoim pesymizmie uważała ją za straconą. Rada by tedy była otoczyć ją wszystkimi możliwymi staraniami. Ale oznajmiono właśnie, że przyszedł monter, z dawna zaprzyjaźniony z jej rodziną, szwagier jej byłego pryncypała⁴⁴⁷, ceniony w naszym domu, gdzie miał pracę od wielu lat, zaprzyjaźniony zwłaszcza z Jupienem. Zamówiono go do roboty, zanim babka zachorowała. Sądziłem, że można by go odprawić albo kazać mu poczekać. Ale etykieta Franciszki nie pozwalała na to; byłoby to niedelikatnie wobec tego zacnego człowieka, choroba babki już się nie liczyła za nic. Kiedy po kwadransie, zrozpaczony, poszedłem po Franciszkę do kuchni, zastałem ją rozmawiającą z monterem w sieni przy otwartych drzwiach. Proceder ten miał tę zaletę, że pozwalał — skoro nadszedł ktoś z nas — udać, że się właśnie mieli rozstać; ale miał tę wadę, że powodował straszliwe przeciągi. Franciszka pożegnała tedy montera, śląc za nim jeszcze parę hałaśliwych komplementów pod adresem jego żony i szwagra. Tę tak charakterystyczną dla Combray troskę, aby nie uchybić grzeczności, wносиła Franciszka nawet w swoją politykę zagraniczną. Głupcy wyobrażają sobie, że wielka skala zjawisk społecznych najlepiej pozwala wnikać w sekrety duszy ludzkiej; powinni by, przeciwnie, pojąć, iż większą mieliby szansę zrozumieć te zjawiska, zstępując w głąb jakiejś indywidualności. Franciszka tysiąc razy powtarzała ogrodnikowi z Combray, że wojna jest najnieodrzeczniejszą zbrodnią i że nie ma nic ponad życie. Otóż kiedy wybuchła wojna rosyjsko-japońska, czuła się zażenowana wobec cara, żeśmy nie wydali wojny, aby pomóc tym „biednym Ruskom”, skoro się „jest w aliansach”, powiadała. Uważała, że to nieładnie wobec Mikołaja II⁴⁴⁸, który zawsze miał dla nas takie dobre słowa; był to wyraz tej samej etykiety, która by jej nie pozwoliła odmówić Jupienowi kieliszeczka, mimo iż wiedziała, że ją to „spiera i mgli”. Ta sama etykieta sprawiała, że wobec tak bliskiej śmierci babki sądziłaby, iż popełnia tę samą nieuprzejmość, o jaką oskarżała Francję wraz z jej neutralnością, gdyby nie przeprosiła osobiście pocziwego montera, który sobie zadał tyle trudu.

Na szczęście pozbyliśmy się prędko córki Franciszki, która musiała wyjechać na kilka tygodni. Do zwykłych rad, jakie dawano w Combray rodzinie chorego: „Nie próbowałicie państwo małej podróży, zmiany powietrza, czegoś na apetyt itd.”, osoba ta dodała myśl niemal jedyną, którą sobie specjalnie ukuła i którą powtarzała niestrudzenie przy każdej sposobności, jak gdyby chcąc ją wbić w głowę drugim: „Powinna się była leczyć *radykałnie* od początków”. Nie zalecała jakiejś specjalnej kuracji jako lepszej od innej; chodziło tylko o to, aby kuracja była *radykałna*. Franciszka znowuż zauważyła, że się babce daje mało lekarstw. Ponieważ, wedle niej, lekarstwa służą tylko na to, żeby popsuć żołądek, była z tego rada, ale jeszcze bardziej upokorzona. Miała na południu Francji krewnych — stosunkowo bogatych — których córka, zachorowawszy młodo, umarła, licząc dwadzieścia trzy lat; w ciągu kilku lat rodzice jej zrujnowali się na lekarstwa, na doktorów, na wędrowniki od jednych „wód” do drugich — aż do końca. Otóż Franciszka brała to u tych krewnych za rodzaj zbytku, tak jakby mieli konie wyścigowe, willę na wsi. I oni sami, przy całym zmartwieniu, czerpali pewną próżność z tylu wydatków. Nie mieli już nic, nie mieli zwłaszcza swego najszacowniejszego dobra, swojej córki, ale lubili powtarzać, że zrobili dla niej co najmniej tyle co najbogatsi. Zwłaszcza pochlebiali im promienie ultrafioletowe, których działaniu poddawano nieszczęśliwą przez całe miesiące po kilka razy dziennie. Zbolały i dumny z siebie ojciec dochodził czasem do tego, że mówił o córce niby o gwiazdzie baletu, dla której by się zrujnował. Franciszka nie była nieczuła na taką wystawę; ta, która otaczała babkę, wydawała się jej zbyt skromna, w sam raz dla choroby na scenie prowincjonalnej.

Przyszła chwila, że zaburzenia uremiczne rzuciły się na oczy. Przez kilka dni babka zupełnie nie widziała. Oczy jej nie były wcale podobne do oczu ślepeca, nie zmieniły się. To, że nie widzi, zrozumiałem jedynie z jakiegoś specjalnego powitalnego uśmiechu, jaki przybierała, kiedy ktoś otworzył drzwi, aż do chwili, kiedy się ją wzięło za rękę; uśmiech ten zaczynał się za wcześnie i trwał na ustach, stereotypowy, stały, ale zawsze zwrócony wprost, tak aby go było widać ze wszystkich stron, bo nie było już wzroku, aby

Choroba, Wzrok, Oko

⁴⁴⁷ *pryncypał* (przestarz.) — zwierzchnik, pracodawca. [przypis edytorski]

⁴⁴⁸ *Mikołaj II Romanow* (1868–1918) — ostatni cesarz rosyjski, król Polski, wielki książę Finlandii; panujący od 1894, w wyniku rewolucji lutowej zmuszony do abdykacji w 1917, w 1918 razem z rodziną zamordowany przez bolszewików. [przypis edytorski]

go miarkować, aby mu wskazać chwilę, kierunek, aby go regulować, cieniować w miarę zmiany miejsca lub wyrazu twarzy wchodzącej osoby; dlatego że był sam, bez uśmiechu oczu, który by odwrócił trochę od niego czyjąś uwagę, przez co w swojej niezaradności przybierał nadmierny akcent, stwarzając wrażenie przesadnej uprzejmości.

Potem wzrok wrócił całkowicie; z oczu choroba rzuciła się na uszy. Przez kilka dni babka była głucha i bojąc się, aby jej nie zaskoczyło czyjeś nagłe wejście, którego by nie usłyszała, co chwila (mimo iż leżąc do ściany) zwracała gwałtownie głowę ku drzwiom. Ale ruch jej był niezręczny, bo niepodobna się człowiekowi dostroić w ciągu kilku dni do tej transpozycji, aby jeżeli nie patrzeć na hałasy, to przynajmniej słuchać oczami.

Wreszcie bóle zmniejszyły się, ale zaburzenia mowy wzrosły. Trzeba było kazać babce powtarzać prawie wszystko, co mówiła.

Obecnie, czując, że jej nie rozumieją, babka przestała w ogóle mówić i leżała nieruchomo. Ilekroć mnie spostrzegła, zrywała się jak ci, którym nagle zbraknie powietrza; chciała coś przemówić, ale wydawała jedynie niezrozumiałe dźwięki. Wówczas, pokonana własną bezsilnością, pozwalała głowie opaść, wyciągała się na łóżku, z poważną, marmurową twarzą, z bezwładnymi rękami na kołdrze lub zajęta czysto mechaniczną czynnością, na przykład wycieraniem palców chustką. Nie chciała myśleć. Potem opanował ją ciągły niepokój. Wciąż chciała wstawać. Powstrzymywano ją od tego, o ile się dało, z obawy, aby sobie nie zdała sprawy ze swego porażenia. Pewnego dnia, kiedy ją zostawiono na chwilę samą, zastałem ją stojącą w koszuli, próbowała otworzyć okno.

Pewnego dnia w Balbec, kiedy uratowano, wbrew jej woli, wdowę, która się rzuciła w wodę, babka powiedziała mi (może wiedzona owym przecuciem, które zdarza się nam czasami wyczytać w tajemniczych mrokach naszego organicznego życia, tak ciemnych, ale może odbijających przyszłość), że nie zna większego okrucieństwa niż wydzierać zrozpaczoną istotę upragnionej śmierci i narzucać jej dalsze męczeństwo.

Ledwo mieliśmy czas pochwycić babkę; bronila się matce prawie brutalnie, po czym, zwyciężona, przemocą posadzona w fotelu, przestała chcieć, żalować, twarz jej stała się niewzruszona. Zaczęła starannie usuwać z nocnej koszuli włosy futra, które jej narzucono.

Spojrzenie jej zmieniło się całkowicie. Często niespokojne, żalosne, błędne, nie było to już jej dawne spojrzenie; to było chmurne spojrzenie starej głędzącej kobiety.

Franciszka pytała się tyle razy babki, czy nie chce, aby ją uczesać, iż w końcu wyobraziła sobie, że to babka prosiła ją o to. Przyniosła szczotki, grzebienie, wodę kolońską, peniuar. Mówiła: „To nie może zmęczyć starszej pani, że ją uczeszę; choćby człowiek był i słaby, zawszeć może być uczesany”. To znaczy, że nigdy człowiek nie jest na tyle słaby, aby inna osoba nie mogła go uczesać. Ale kiedy wszedłem do pokoju, ujrzałem w okrutnych rękach Franciszki, uszczęśliwionej tak, jakby właśnie przywracała babce zdrowie, pod żalosną nędzą starych włosów niemających siły znieść dotknięcia grzebienia, głowę, która, niezdolna zachować narzuconej pozycji, osuwała się w nieustającym zamęcie na przemian wyczerpania i bólu. Czulem, że chwila, gdy Franciszka skończy czesanie, zbliża się; nie śmiałem przyspieszyć tej chwili słowem: „Dosyć”, z obawy, że mnie nie usłucha. Rzuciłem się natomiast ku niej, kiedy — chcąc, aby babka sprawdziła, czy jest dobrze uczesana — Franciszka w swoim niewinnym okrucieństwie podsunęła jej lusterko. Szczęśliwie zdołałem wydrzeć jej z rąk lustro, zanim babka, przed którą starannie ukryliśmy wszystkie zwierciadła, ujrzałaby przez tę nieopatrzność własny swój obraz, jakiego nie mogła się domyślać. Ale, niestety, kiedy w chwilę potem pochylałem się, aby ucałować to piękno czoło, które tak umęczono, popatrzyła na mnie ze zdziwioną, nieufną, zgorszoną miną: nie poznała mnie.

Wedle naszego lekarza był to znak, że przekrwienie mózgu wzmaga się. Trzeba było odciągnąć krew.

Cottard wahał się. Franciszka miała przez chwilę nadzieję, że się postawi bańki „rżnięte”. Szukała w mojej encyklopedii ich działania, ale nie mogła znaleźć. Gdyby zamiast „cięte” były „rżnięte”, i tak nie byłaby znalazła; mówiła „rżnięte”, ale pisała (a tym samym myślała, że się tak pisze) „żnięte”.

Cottard — ku wielkiemu rozczarowaniu Franciszki — wybrał, bez wielkiej nadziei, pijawki. Kiedy w kilka godzin później wszedłem do babki, czarne wężyki przyłączone do karku, do skroni, do uszu, wiły się w jej zakrwawionych włosach niby we włosach

Choroba

Samobójstwo

Meduzy⁴⁴⁹. Ale na bladej i spokojnej twarzy, całkowicie nieruchomej, ujrzałem szeroko otwarte, promienne i spokojne, jej piękne dawne oczy (może jeszcze bardziej nasycone inteligencją niż przed chorobą, ponieważ nie mogąc już mówić, a utrzymywana w bezruchu, oczom jedynie powierzała swoją myśl; myśl, która to zajmuje w nas olbrzymie miejsce, ofiarowując nam niepodjęte skarby, to zdaje się obrócona w nicość, po czym może się odrodzić jakby przez samoródtwo dzięki kilku kroplom krwi, które się odciągnie), oczy jej, łagodne i płynne jak oliwa, w których rozlany i płonący ogień oświecał chorej odzyskany wszechświat. Spokój jej nie był już mądrością rozpacz, lecz nadziei. Rozumiała, że się ma lepiej, chciała być rozsądna, nie ruszać się; obdarzyła mnie jedynie pięknym uśmiechem, iżbym wiedział, że się ma lepiej, i uściśliła mi lekko rękę.

Wiedziałem, jaki wstręt ma babka do widoku pewnych zwierząt, a tym bardziej do ich dotknięcia. Wiedziałem, że jedynie przez rozsądek znosi pijawki. Toteż Franciszka doprowadziła mnie do rozpacz, powtarzając babce z owymi chichotami, jakie się miewa z dzieckiem, gdy się je chce rozbawić: „O, jak te robaki biegają po pani”. To znaczyło w dodatku traktować naszą chorą bez szacunku, tak jakby już była zdiecinniała. Ale babka, której twarz oblekła się w spokojny i stoicki hart, nie okazywała nawet, że słyszy.

Niestety, ledwie odjęto pijawki, kongestia⁴⁵⁰ wróciła, i to coraz silniejsza. Zdziwiło mnie, że w tej chwili, kiedy z babką było tak źle, Franciszka znika co chwila. To dlatego, że sobie zamówiła żalobę i nie chciała dać szwaczce czekać. W życiu większości kobiet, wszystko, nawet największa zgryzota, kończy się kwestią „przymierzania”.

W kilka dni później, kiedy spałem, matka zbudziła mnie w nocy. Z tą słodką oględnością, jaką w doniosłych okolicznościach ludzie przygnieceni głęboką boleścią znajdują nawet dla drobnych przykrości drugich, rzekła:

— Przepraszam, że cię budzę.

— Nie spałem — odparłem, budząc się.

Mówiłem szczerze. Wielką zmianą, jaką nam przynosi przebudzenie, jest nie tyle to, że nas wprowadza w jasne życie świadomości, ile że w nas zetraca pamięć przyćmionego nieco światła, w którym spoczywała nasza inteligencja, niby w opalowej głębi wód. Na wpół zamglone myśli, po których żeglowaliśmy jeszcze przed chwilą, wzniecały w nas ruch zupełnie wystarczający na to, abyśmy je mogli określić mianem jawy. Ale przebudzenie spotyka się wówczas z interferencją pamięci. Wkrótce potem nazywamy owe myśli snem, bo ich już sobie nie przypominamy. I kiedy błyszczą ta lśniące gwiazda, która w chwili przebudzenia oświeca poza śpiącym cały jego sen, każe nam ona wierzyć przez kilka sekund, że to nie był sen, lecz jawa; gwiazda — spadająca co prawda — która wraz ze swoim światłem unosi kłamliwe istnienie, ale także perspektywy snu, i człowiekowi, który się budzi, pozwala jedynie powiedzieć: „Spałem”.

Sen

Głosem tak łagodnym, iż zdawało się, że boi się sprawić mi ból, matka spytała, czyby mnie nie zmęczyło zanadto, gdybym wstał. Pieszcząc mi ręce, rzekła:

— Biedne maleństwo, już tylko na tatusia i na mamusię będziesz mógł liczyć.

Weszliśmy do pokoju. Zwinęta w kłębek na łóżku inna istota niż moja babka, niby jakieś zwierzę, które by się przystroiło w jej włosy i ułożyło w jej łóżku, dyszało, jęczało, wstrząsało konwulsjami koldrę. Powieki były zamknięte; ale raczej dlatego, że się nie domykały, niż że się otwierały, ukazywały kącik źrenicy, zamglony, zaropiał, odbijający mrok organicznej wizji i wewnętrznego bólu. Wszystek ten ruch nie zwracał się już do nas; nie widziała nas już, nie znała. Ale jeżeli to już tylko jakieś zwierzę ruszało się tam, gdzie była ona, babka? Poznawało się przecież kształt jej nosa, niezharmonizowany teraz z resztą twarzy, ale mający w rogu ten sam pieprzyk; poznawało się jej rękę, odsuwającą koldrę gestem, który znaczyłby niegdyś, że jej ta koldra zawadza, a teraz nie znaczył nic.

Choroba, Śmierć

Mama prosiła mnie o przyniesienie trochy wody z octem, aby zwilżyć czoło babki. Była to jedyna rzecz, która ją chłodziła, tak przynajmniej myślała mama, widząc, jak babka próbuje rozgarnąć włosy. Ale dano mi przez drzwi znak, abym wyszedł do sieni. Wiadomość, że babka kona, rozeszła się natychmiast po domu. „Dochodzący” lokaj — sprowadza się ich w wyjątkowych okolicznościach, aby odciążyć służbę, co sprawia, że

⁴⁴⁹ *Meduza* (mit. gr.) — jedna z trzech siostr Gorgon, miała na głowie węże zamiast włosów, a jej wzrok mógł przemienić w kamień tego, kto na nią spojrzał. [przypis edytorski]

⁴⁵⁰ *kongestia* (z łac.) — chorobliwy napływ krwi do jakiegoś organu. [przypis edytorski]

agonie mają coś odświętnego — otworzył drzwi księciu de Guermantes, który zatrzymawszy się w przedpokoju, pytał o mnie; nie mogłem mu się wymknąć.

— Przychodzę, drogi panie, zasięgnąć żalobnych nowin. Chciałbym na znak sympatii uścisnąć dłoń pańskiego ojca.

Przeprosiłem, że trudno jest odwołać ojca w tej chwili. Pan de Guermantes wpadł niby w momencie, gdy się wyjeżdża w podróż. Ale tak bardzo świadomy był grzeczności, jaką nam wyświadczał, że to poczucie przesłaniało mu wszystko inne; koniecznie chciał wejść do salonu. W ogóle książe miał zwyczaj upierać się przy całkowitym dopełnieniu formalności, jakimi zamierzył uczcić kogoś, i mało się troszczył o to, że kufry są spakowane lub trumna gotowa.

— Czyście państwo wezwali profesora Dieulafoya⁴⁵¹? A! to wielki błąd. I gdybyście się państwo zwrócili do mnie, *dla mnie* byłby przyszedł, nie odmawia mi niczego, mimo że odmówił księżnej de Chartres. Widzi pan, otwarcie stawiam się przed księżniczką krwi. Zresztą, wobec śmierci wszyscy jesteśmy równi — dodał książe, nie aby mnie przekonać, że moja babka staje mu się równa, ale uczuwszy może, że przeciągać rozmowę na temat swoich forów u profesora Dieulafoya oraz przewag nad księżną de Chartres, nie byłoby może w najlepszym guście.

Rada księcia zresztą nie zdziwiła mnie. Wiedziałem, że u Guermantów zawsze cytowano nazwisko profesora Dieulafoya jak nazwisko jakiejś bezkonkurencyjnej firmy, jedynie może z większym nieco szacunkiem. I stara księżna de Mortemart z domu Guermantes (trudno pojąć czemu, o ile chodzi o księżnę, zawsze prawie mówi się: „stara księżna de...” lub, przeciwnie, o ile jest młoda, mówi się z filuterną miną w stylu Watteau: „młoda księżna de...”) zalecała niemal mechanicznie, mrugając, w poważnych wypadkach: „Dieulafoy, Dieulafoy”, tak jak kiedy chodziło o lody, mówiła: „Poiré Blanche”, albo o ptifury: „Rebattet, Rebattet”. Ale nie wiedziałem, że ojciec właśnie kazał wezwać profesora Dieulafoya.

W tej chwili matka, oczekująca niecierpliwie balonów z tlenem, które miały ułatwić babce oddychanie, weszła sama do przedpokoju, gdzie nie spodziewała się zastać księcia de Guermantes. Byłbym go pragnął schować nie wiem gdzie. Ale przeświadczony, że nic nie może być ważniejsze ani nie może matce bardziej pochlebić, jak również, że nic nie jest nieodzowniejsze do podtrzymania własnej reputacji skończonego gentlemana, książe ujął mnie gwałtownie za ramię i mimo że się bronił niby przed gwałtem, powtarzając: „Proszę pana, proszę pana”, pociągnął mnie ku mamie i rzekł: „Zechce mi pan uczynić ten wielki zaszczyt i przedstawić mnie swojej szanownej *matce!*”, detonując lekko przy słowie *matka*. I tak dalece książe miał poczucie, iż to jest zaszczyt dla niej, że nie mógł się powstrzymać, aby się nie uśmiechnąć, mimo kondolencyjnego wyrazu twarzy. Trzeba mi było wymienić nazwisko księcia, co rozpełtało natychmiast z jego strony przegięcia i szastania, mające poprzedzić pełny ceremoniał ukłonu. Książe zamierzał nawet wszcząć rozmowę, ale matka, pogrążona w boleści, szepnęła mi, żebym szedł prędko, i nie odpowiedziała nawet na frazesy pana de Guermantes. Książe, który się spodziewał, że go poproszą do salonu, i zamiast tego został sam w przedpokoju, byłby się wreszcie zabrał, gdyby nie ujrzał wchodzącego Saint-Loup, który przyjechał tego rana i przybiegł po nowiny. „A to awantura!” — wykrzyknął radośnie książe, chwytając siostrzeńca za rękaw, którego mu omal nie wyrwał, i nie troszcząc się o obecność matki wracającej przez przedpokój. Saint-Loup mimo swego szczerego zmartwienia dość był, jak sądzę, rad, że uniknie spotkania się ze mną, zważywszy jego obecne usposobienie dla mnie. Wyszedł, pociągnięty przez wuja, który, mając mu coś bardzo ważnego do powiedzenia i omal nie wybrałszy się w tym celu do Doncières, nie posiadał się z radości, że sobie może oszczędzić takiego kłopotu.

— A! gdyby mi ktoś powiedział, że wystarczy mi przejść przez dziedziniec i że cię spotkam tutaj, wziąłbym to za grubą błagę; dobry kawał, jakby powiedział twój kolega Bloch.

I oddalając się z Robertem, którego trzymał za ramię, powtarzał:

— Ha, ha, zaraz widać, że dotknąłem sznura wisielca lub czegoś w tym rodzaju: mam złodziejskie szczęście.

⁴⁵¹Dieulafoya, Paul Georges (1839–1911) — francuski lekarz i chirurg. [przypis edytorski]

To nie znaczy, aby ksiądz de Guermantes był źle wychowany; wprost przeciwnie. Ale był z rzędu owych ludzi niezdolnych się postawić w położeniu innych, ludzi podobnych w tym do większości lekarzy i karawaniarzy, którzy, na chwilę oblókłszy żalobny wyraz twarzy i wyrzekłszy: „To są bardzo ciężkie chwile”, uściskawszy was ewentualnie i doradziwszy wam odpoczynek, w agonii lub w pogrzebie widzą już tylko mniej lub więcej zamknięte zebranie towarzyskie, gdzie z powściąganą na chwilę jowialnością szukają oczami osoby, której mogą opowiadać o swoich drobnych sprawach, prosić jej o przedstawienie ich komuś lub ofiarować jej miejsce w powozie, aby ją „wyrzucić w drogę”. Ksiądz de Guermantes, winszując sobie „nosa”, który go zaniósł tam gdzie miał szansę spotkać siostrzeńca, zdumiony był zachowaniem się matki, całkiem przecież naturalnym. Opowiadał później, że matka jest w tym samym stopniu niemila, w jakim ojciec jest uprzejmy, że ma chwile nieprzytomności, w których nie słyszy, co się do niej mówi, słowem, jego zdaniem, jest osobą trochę „niespełna”, a nawet może w ogóle jest pomyłona. Raczył wszelako, wedle tego, co mi opowiadano, złożyć to po części na karb okoliczności i oświadczył, iż matka wydała mu się bardzo „wzięta” tym wydarzeniem. Ale miał jeszcze w nogach cały zapas ukłonów i reweransów⁴⁵², których nie pozwolono mu dopełnić, i tak dalece nie zdawał sobie sprawy z tego, czym jest rozpacz mamy, że w wilię pogrzebu pytał się mnie, czym nie próbował jej rozerwać.

Szwagier babki, który był zakonnikiem, a którego nie znałem, zatelegrafował do Austrii, gdzie rezydował generał jego zakonu, i dzięki wyjątkowym względom uzyskał pozwolenie, przybył tego dnia. Pograżony w smutku, czytał przy łóżku modlitwy i medytacje, nie odrywając wszelako swoich świdrujących oczu od chorej. W pewnej chwili, kiedy babka była nieprzytomna, smutek tego księdza przejął mnie bólem; popatrzyłem nań. Wydawał się zdziwiony moim współczuciem, i wówczas zdarzyło się coś osobliwego. Zakrył rękami twarz jak człowiek pograżony w bolesnej medytacji, ale ujrzałem, iż zgadując, że ja odwrócę oczy, zostawił szparkę między palcami. I w tej chwili, gdy moje spojrzenia opuszczały go, spostrzegłem jego bystre oko, korzystające z osłony rąk, aby obserwować, czy mój ból jest szczery. Zaczaił się tam niby w cieniu konfesjonatu. Ksiądz spostrzegł, że ja to widzę, i natychmiast hermetycznie zamknął uchylone okienko. Spotykałem go później i nigdy nie było między nami mowy o tej minucie. Stała się cicha umowa, że ja nie zauważyłem jego spojrzenia. W księdzu, jak w psychiatrze, jest zawsze coś z sędziego śledczego. Zresztą gdzież jest przyjaciel, choćby najdroższy, w którego przeszłości — wspólnej z naszą przeszłością — nie byłoby jakiejś minuty, co do której wolimy wierzyć, że on musiał o niej zapomnieć.

Lekarz zrobił zastrzyk morfiny; aby ulżyć oddychaniu, kazał podać balony z tlenem. Matka, doktor, siostra trzymali je w rękach; skoro jeden się skończył, podawano drugi. Wyszedłem na chwilę z pokoju. Kiedym wrócił, znalazłem się jakby w obliczu cudu. Przy zgłuszonym akompaniamencie nieustannego szeptu babka zdawała się zwracać do nas długi, szczęśliwy śpiew, który — szybki i muzykalny — wypełniał pokój. Zrozumiałem natychmiast, że jest bez mała równie nieświadomy, równie mechaniczny jak rżenie przed chwilą. Może odbijał w słabej mierze ulgę sprawioną przez morfinę. Wynikał zwłaszcza — ile że powietrze w inny sposób przechodziło przez oskrzela — ze zmiany rejestru oddychania. Oswobodzony podwójnym działaniem morfiny i tlenu, oddech babki nie męczył się już, nie jęczał, ale żywy i lekki przechodził w jakąś lubą płynność. Może z oddechem — niewyczuwalnym niby oddech wiatru w trzcinie — mieszało się w tym śpiewie parę bardziej ludzkich westchnień, które, wyzwolone bliskością śmierci, każą wierzyć w cierpienie lub szczęście tych, co już nie czują. Westchnienia te, mimo iż nie zmieniały rytmu, dały melodyjniejszy akcent owej długiej frazie, która wznosiła się, szła jeszcze wyżej, potem opadała, aby się na nowo wydrzeć z oswobodzonej piersi w pogoń za tlenem. Następnie, wzbiwszy się tak wysoko, przedłużony z taką siłą, śpiew — zmieszany z szeptem błagalnej rozkoszy — ustawał chwilami całkiem, niby wyschłe źródło.

Kiedy Franciszka miała wielkie zmartwienie, odczuwała daremną potrzebę wyrażania go, ale nie posiadała tej tak prostej sztuki. Uważając babkę za zupełnie straconą, chciała nam zakomunikować własne wrażenia. Ale potrafiła jedynie powtarzać: „Aż się przewra-

Ksiądz

Śmierć, Cierpienie,
Szczęście

⁴⁵²rewerans (z fr.) — głęboki ukłon; przesadnie uprzejme zachowanie. [przypis edytorski]

ca w człowieku”, tym samym tonem, jakim powtarzała, zjadłszy za wiele kapuśniaku: „Gniecie me w dołku”; co w obu przypadkach było naturalniejsze, niż się jej zdawało. Zmartwienie jej, mimo iż tak słabo wyrażone, było wielkie, zwiększone jeszcze żalem, że córka jej, zmuszona zostać w Combray (które młoda paryżanka nazywała obecnie „kombraniem” i rymowała z „draniem”), nie będzie zapewne mogła wrócić na żalobną uroczystość, którą Franciszka przeczuwała jako coś wspaniałego. Wiedząc, że nie jesteście skłonni do wylewów, z góry zaprosiła na wszelki wypadek Jupiena na wszystkie wieczory przez cały tydzień. Wiedziała, że nie będzie wolny w godzinie pogrzebu. Chciała bodaj za powrotem opowiedzieć mu wszystko.

Od kilku nocy ojciec, dziadek oraz jeden z naszych krewniaków czuwali, nie wychodząc już z domu. Ich nieustanne poświęcenie przybrało w końcu maskę obojętności, a przewlekająca się dokoła tej agonii bezczynność podsuwała im typ rozmów, które są nieodłączne od przydługiej jazdy w wagonie kolejowym. Zresztą, kuzyn ów (bratanek mojej ciotecznej babki) budził we mnie tyleż antypatii, ile posiadał u innych zasłużonego szacunku.

„Znajdowało się” go zawsze w ciężkich okolicznościach, a był taki wytrwały przy umierających, że stroskane rodziny, utrzymując, iż mimo swego krzepkiego wyglądu, głębokiego basu i brody jest człowiekiem delikatnego zdrowia, zaklinały go zawsze, za pomocą uświęconych zwyczajem omówień, aby nie przychodził na pogrzeb. Wiedziałem z góry, że mama, która w bezmiarze swojego bólu myślała o drugich, powie mu w innej formie to, co miał zwyczaj słyszeć zawsze:

— Przyrzeknij mi, że nie przyjdiesz *jutro*. Zrób to dla *niej*. Przynajmniej nie chodź *aż tam*. Ona cię prosiła, żebyś nie szedł.

Nic nie pomagało; był zawsze pierwszy „w domu”, wskutek czego dano mu w innym środowisku przydomek, któregośmy nie znali: „Zamiast kwiatów na trumnę”. I zanim się stawił „wszędzie”, zawsze „pomyślał o wszystkim”, co mu zyskiwało te słowa: „Tobie się nie dziękuję”.

— Co takiego? — spytał donośnym głosem dziadek, który był już nieco głuchy i który nie dosłyszał czegoś, co kuzyn powiedział ojcu.

— Nic — odparł kuzyn. — Mówiłem tylko, że dostałem dziś rano list z Combray, gdzie jest straszliwy czas, a tutaj zanadto przypieka.

— A przecie barometr stoi bardzo nisko — rzekł ojciec.

— Gdzie, powiadasz, jest brzydko? — spytał dziadek.

— W Combray.

— A, to mnie nie dziwi; za każdym razem, kiedy jest brzydko tutaj, jest ładnie w Combray, i na odwrót. Ale prawda: mówicie o Combray; czy pomyślał ktoś o tym, aby uprzedzić Legrandina?

— Tak, nie kłopotcz się, już zrobione — rzekł kuzyn, którego policzki, ocienione zbyt silnym zarostem, uśmiechnęły się nieznacznie z zadowolenia, że o tym pomyślał.

W tej chwili ojciec zerwał się; myślałem, że zaszło coś pomyślnego lub złowrogiego. To tylko doktor Dieulafoy przybył. Ojciec wyszedł, aby go przyjąć w sąsiednim pokoju, niby aktora, który zjawił się na występ. Doktor Dieulafoy był niewątpliwie wielkim lekarzem, genialnym profesorem; ale z tymi rozmaitymi rolami, w których celował, łączył inną, w której był przez czterdzieści lat bez rywala, rolę równie oryginalną jak „rezoner”, komik lub „szlachetny ojciec”, polegającą na konstatowaniu agonii lub śmierci. Nazwisko jego dawało rękojmię godności, z jaką się wywiąże z roli; kiedy służąca mówiła: „Professor Dieulafoy”, miało się wrażenie, że się jest w Komedii Francuskiej. Z godną postawą łączyła się dyskretnie smukłość ślicznej figury. Twarz, sama w sobie zbyt piękna, przyciszona była konwenansem bolesnych okoliczności. W szlachetnym czarnym tużurku, profesor wchodził, smutny bez przesady, nie składał żadnych kondolencji, które mogłyby się wydać komedią, nie dopuszczał się najmniejszego wykroczenia przeciw taktowi. Przy łóżu chorego to on, a nie książę de Guermantes był wielkim panem. Obejrzawszy babkę, nie męcząc jej, z dyskrecją, która była kurtuazją dla ordynującego lekarza, szepnął cicho kilka słów ojcu, skłonił się z szacunkiem przed matką. Czulem, że ojciec wstrzymuje się, aby nie rzec: „Professor Dieulafoy”. Ale już profesor odwrócił głowę, nie chcąc krępować sobą, i wyszedł najwytworniej w świecie, biorąc z prostotą kopertę, którą mu wręczono. Robił wrażenie, że jej nie widzi, i my sami pytaliśmy siebie przez chwilę, czyśmy mu ją

wręczyli, z taką zwinnością prestidigitatora⁴⁵³ schował ją, nie tracąc przez to — raczej przeciwnie — nic z powagi znakomitego konsyliariusza w długim tużurku z jedwabnymi kłapami, z piękną głową pełną szlachetnego współczucia. Jego spokój i żywość wskazywały, że mimo iż czeka go jeszcze sto wizyt, nie chce robić wrażenia pośpiechu. Bo to był wcielony takt, inteligencja, dobroć. Ten znakomity człowiek już nie żyje. Inni lekarze czy profesorowie mogli mu dorównać, może prześcignąć go. Ale „*emploi*”⁴⁵⁴, w którym jego wiedza, jego osobiste warunki, jego wyborne wychowanie zapewniały mu stały sukces, nie istnieje już z braku następcy, który by mu umiał sprostać.

Mama nie spostrzegła nawet profesora Dieulafoya; wszystko, co nie było jej matką, nie istniało dla niej. Przypominam sobie (uprzedzam tutaj wypadki), że na cmentarzu, gdzie, niby nadprzyrodzona zjawą, zbliżyła się nieśmiało do grobu i zdawała się patrzeć na odlatującą istotę, już będącą daleko od niej, ojciec powiedział jej: „Stary Norpois był w domu, w kościele, na cmentarzu, opuścił bardzo ważną dla siebie komisję, powinna byś mu coś powiedzieć, to by go bardzo wzruszyło”. Ale kiedy ambasador skłonił przed nią głowę, matka zdołała jedynie pochylić ze słodyczą twarz bez śladu łez. Dwa dni przedtem — znów uprzedzam wypadki, nim wrócę do łóża chorej w momencie konania — podczas gdy czuwano nad babką, już zmarłą, Franciszka, która, nie zaprzeczając bezwzględnie istnieniu duchów, płoszyła się za najmniejszym szelestem, rzekła: „Zdaje mi się, że to starsza pani”. Ale zamiast przestraszu słowa te obudziły w mamie uczucie bezmiernej słodyczy: tak by pragnęła, żeby umarli wracali, aby mieć czasem matkę obok siebie!

Ale wróćmy do agonii.

— Czy wiesz, co nam jej siostry zatelegrafowały? — spytał dziadek kuzyna.

— Tak, Beethoven, mówiono mi; to warto oprawić w ramki. Nie dziwi mnie to zresztą.

— Biedna żona, która je tak kochała — rzekł dziadek ocierając łzę. — Nie trzeba im tego mieć za złe. To skończone wariatki, zawszem to mówił. Co się tam dzieje, nie dają już tlenu?

Matka rzekła:

— To mamie znów będzie trudno oddychać.

Lekarz odparł:

— Och, nie, działanie tlenu potrwa jeszcze dobrą chwilę; zaraz zaczniemy znowu.

Miałem wrażenie, że nie powiedziałyby się tak o umierającej; że skoro to działanie ma trwać, to znaczy, iż można utrzymać ją przy życiu. Świsł tlenu ustał na parę chwil. Ale szczęśliwa skarga oddechu wzbijała się wciąż, lekka, zawila, niedokończona, nieustanna, powrotna. Chwilami zdawało się, że wszystko skończone; oddech wstrzymał się, czy to przez te same zmiany oktaw, jakie zachodzą w oddechu śpiącego, czy przez naturalne wahanie, pod wpływem znieczulenia, wzmożonej duszności, niedomogi serca. Lekarz ujął puls babki, ale już — jak gdyby jakiś dopływ zasilił wysychający strumień — nowy śpiew zlał się z przerwana frazą. I ta rozpoczynała się w innej tonacji, z tą samą niewyczerpaną energią. Kto wie, czy — bodaj bez świadomości babki — owe szczęsne i tkliwe stany, zduszone cierpieniem, nie wydzielają się z niej teraz niby lekki gaz, długo zdławiony w zamknięciu. Można by rzec, że wszystko, co ona ma nam do powiedzenia, dobywa się z niej, że to do nas się zwraca z tą wymową, z tą żarliwością, z tym wylaniem⁴⁵⁵.

U stóp łóżka, skręcana konwulsyjnie każdym podmuchem tej agonii, nie płacząc, ale chwilami zalana łzami, matka miała bezduszną rozpacz liści smaganych deszczem i miotanych wiatrem. Kazano mi otrzeć oczy, zanim się zbliżę, aby ucisnąć babkę.

— Ależ ja myślałem, że ona już nie widzi — rzekł ojciec.

— Nie można nigdy wiedzieć — odparł lekarz.

Kiedy moje wargi dotknęły jej, ręce babki poruszyły się; przebiegł ją całą długi dreszcz, czy to odruchowy, czy że pewne przywiązania mają swoje przeczulenie, poznające poprzez zasłonę nieświadomości to, do czego kochania prawie nie trzeba im zmysłów. Naraz babka podniosła się nieco, uczyniła gwałtowny ruch, jak ktoś, kto broni własnego życia. Franciszka nie mogła znieść tego widoku, wybuchnęła płaczem. Przypominając sobie to,

Rozpacz

Śmierć

⁴⁵³*prestidigitator* — sztukmistrz, iluzjonista. [przypis edytorski]

⁴⁵⁴*emploi* (fr.) — zawodowa specjalność aktora, odpowiadająca jego predyspozycjom. [przypis edytorski]

⁴⁵⁵*wylanie* (przeżarz.) — wylewność, żywiołowa szczerość, serdeczność. [przypis edytorski]

co powiedział lekarz, chciałem ją usunąć z pokoju. W tej chwili babka otwarła oczy. Rzuciłem się ku Franciszce, aby zasłonić jej oczy, podczas gdy rodzice będą mówili do chorej. Świsł tlenu zamilkł, lekarz odszedł od łóżka. Babka nie żyła.

W kilka godzin później Franciszka mogła ostatni raz i bez obawy bólu uczesać te piękne włosy, które ledwie zaczynały siwieć i które dotąd zdawały się młodsze od babki. Ale teraz, przeciwnie, one jedne nakładały wieniec starości twarzy, która znów stała się młoda, z której znikły zmarszczki, skurcze, nalania, fałdy, mnożone od tylu lat przez cierpienie. I tak jak niegdyś, dawno, wówczas gdy rodzice wybrali jej męża, znów miała rysy delikatnie wyrzeźbione czystością i poddaniem, policzki lśniące zbożną nadzieją, marzeniem o szczęściu, nawet niewinną wesołością, wszystkim, co stopniowo zniweczyły lata. Odchodząc, życie uniosło z sobą zawody życia. Zdawało się, że uśmiech zstąpił na wargi babki. Na tym żałobnym łożu, śmierć, niby średniowieczny rzeźbiarz, ułożyła ją w postaci młodej dziewczyny.

Śmierć

ROZDZIAŁ DRUGI

Wizyta Albertyny. Widoki bogatego małżeństwa paru przyjaciół Roberta de Saint-Loup. „Duch Guermantów” wobec księżnej Parmy. Dziwna wizyta u pana de Charlus. Coraz to mniej rozumiem jego charakter. Czerwone pantofelki księżnej.

Mimo iż była to po prostu jesienna niedziela, czułem się odrodzony, życie rozciągało się przede mną nietknięte, bo rano, po szeregu ciepłych dni, panowała zimna mgła, która podniosła się dopiero koło południa. Otóż odmiana pogody wystarcza, aby odrodzić świat i nas samych. Niegdyś, kiedy wiatr świstał w kominku, słuchałem uderzeń, które wstrząsały zasuwą, z takim wzruszeniem, jak gdyby, podobne słynnym pociągnięciom smyczka, którymi się zaczyna *Symfonia c-moll*⁴⁵⁶, były one nieubłaganym wołaniem tajemniczego losu. Wszelka widoczna zmiana w przyrodzie staje się dla nas podobnym przeobrażeniem, zestrajając nasze zharmonizowane pragnienia z nowym porządkiem rzeczy. Od samego rana mgła robiła ze mnie w tym odmiennym świecie — w miejsce odśrodkowej istoty, jaką jesteśmy w piękny czas — człowieka zwiniętego w sobie, łączącego kącika przy ogniu i podzielonego z kimś łóżka, zmarzniętego Adama w poszukiwaniu jakiejś domatorki Ewy.

Między szarym i łagodnym kolorem rannych pól a smakiem filizanki czekolady zawarłem całą odrębność fizycznego, intelektualnego i duchowego życia, jaką zawiozłem blisko rok przedtem do Doncières. Odrębność ta, naznaczona, niby herbem, podłużnym kształtem lysego pagórka — wciąż obecnego, nawet kiedy był niewidzialny — tworzyła we mnie serię uciech całkowicie różną od wszystkich innych, niemożliwych do opowiedzenia przyjaciółom, w tym sensie, że bogato tkane i splatające się wrażenia, które je instrumentowały, wyrażały je dla mnie i bez mojej wiedzy o wiele lepiej niż fakty, które bym mógł opowiedzieć. Z tego punktu widzenia nowy świat, w którym mnie pogrążyła mgła tego ranka, był światem już mi znanym (co mu jedynie przydawało prawdy) i zapomnianym od jakiegoś czasu (co mu wracało całą jego świeżość). I mogłem się przyglądać kilku szkicom mgły, które pamięć moja nabyła — *Porankom w Doncières* — czy to pierwszego dnia w koszarach, czy innym razem w sąsiednim zamku, dokąd Saint-Loup zabrał mnie z sobą na dwadzieścia cztery godziny. Z okna, którego firanki uchylilem o świcie, zanim się położyłem znowu, w pierwszym szkicu żołnierz na koniu, w drugim (na wąskiej granicy stawu i lasu, których cała reszta tonęła w jednostajnej i płynnej słodczy mgły) stangret czyszczący rzemienie zjawili mi się jako nieliczne postacie ludzkie — ledwie rozpoznawalne dla oka, zmuszonego dostroić się do tajemniczej mglistości półmroku — wyłaniające się z zatartego fresku.

Patrzyłem dziś na te wspomnienia z łóżka, bo położyłem się z powrotem, aby doczekać chwili, kiedy, korzystając z nieobecności rodziców bawiących przez kilka dni w Combray, wybiorę się wieczorem na komedijkę graną u pani de Villeparisis. Po powrocie rodzi-

⁴⁵⁶*Symfonia c-moll* — V symfonia c-moll op. 67 Ludwiga van Beethovena, jeden najsłynniejszych i najczęściej wykonywanych utworów muzyki poważnej; rozpoczyna ją charakterystyczny, czteronutowy motyw, który niekiedy traktuje się jako mający znaczenie symboliczne, gdyż wg sekretarza Beethovena kompozytor skomentował początek dzieła słowami: „Tak oto los puka do drzwi!”. [przypis edytorski]

ców nie śmiałbym może tego uczynić. Matka przez pietyzm dla pamięci babki pragnęła, aby oznaki żalu po niej były dobrowolne i szczerze; nie zabroniłaby mi też tej wizyty, ale zgałaby ją. Przeciwnie z Combray, gdybym się jej poradził, nie odpowiedziałaby mi smutnym: „Rób, jak chcesz, jesteś dosyć duży, aby wiedzieć, co powinien robić”, ale wyrzucając sobie, że mnie zostawiła samego w Paryżu, i sądząc moją zgryzotę miarą swojej, pragnęłaby dla mnie rozrywek, których wzbronilaby sobie samej, a które (tak mama myślała) babka, dbająca przede wszystkim o moje zdrowie i o moją nerwową równowagę, byłaby mi doradziła.

Od rana zapalono w nowym kaloryferze. Jego nieprzyjemny dźwięk, przechodzący od czasu do czasu w rodzaj czkawki, nie miał żadnego związku ze wspomnieniami moimi z Doncières. Ale jego przydługa styczność we mnie z tymi wspomnieniami owego popołudnia miała mu stworzyć takie z nimi powinowactwo, że za każdym razem, kiedy, odzwyczajony trochę od tego dźwięku, usłyszałbym na nowo centralne ogrzewanie, przypomniałoby mi ono Doncières.

Była w domu tylko Franciszka. Szary dzień, padający niby drobny deszcz, snuł bez przerwy przezroczyste siatki, w których niedzielni przechodnie jak gdyby się srebrzyli. Rzuciłem na ziemię „Figaro”⁴⁵⁷, kazałem je co dzień sumiennie kupować od czasu, jak tam posłałem artykuł, który się nie ukazał. Mimo nieobecności słońca nasilenie dnia wskazywało mi, że jesteśmy dopiero w pełni popołudnia. Tiulowe firanki przy oknach, mgliste i kruche (nie byłyby takie w pogodę), miały to samo połączenie czegoś miękkiego i lamliwego, co skrzydła ważek i szkła weneckie.

Ciężyło mi być samemu w tę niedzielę, tym bardziej że tego rana kazałem zanieść list do panny de Stermaria. Saint-Loup, którego matka doprowadziła — po bolesnych i daremnych próbach — do zerwania z kochanką i którego od tego czasu posłano do Maroka, aby zapomniał o tej, której już nie kochał, napisał do mnie słówko (odebrałem je w wilię), gdzie mi oznajmiał swoje przybycie do Francji na bardzo krótki urlop. Ponieważ miał tylko zawadzić o Paryż (rodzina bała się zapewne, aby nie wrócił do Racheli), uprzedził mnie — na dowód, że myślał o mnie — iż spotkał w Tangerze pannę, lub raczej panią de Stermaria, bo rozwiódła się po trzech miesiącach małżeństwa. I Saint-Loup, przypominając sobie to, com mu mówił w Balbec, poprosił w moim imieniu tej młodej kobiety o spotkanie. Odrzekła, iż chętnie zjadłaby ze mną obiad jednego z dni, które spędzi w Paryżu, zanim się uda do Bretanii. Saint-Loup pisał, abym się czym prędzej porozumiał z panią de Stermaria, bo z pewnością już przyjechała.

List Roberta nie zdziwił mnie, mimo że nie miałem wiadomości od niego od czasu, gdy w chwili choroby babki obwiniał mnie o przewrotność i zdradę. Zrozumiałem wybornie wówczas, co zaszło. Rachelę, która lubiła podsycać jego zazdrość — miała też uboczne żale do mnie — wmówiła w Roberta, że ja robiłem zamachy na nią w czasie jego nieobecności. Bardzo być może, że on wciąż w to wierzył; ale przestał kochać Rachelę, tak iż prawda lub fałsz w tym względzie stały mu się całkiem obojętne i jedynie przyjaźń nasza przetrwała. Kiedy raz, widząc go, próbowałem wspomnieć o jego wymówkach, odpowiedział jedynie poczciwym i serdecznym uśmiechem, jak gdyby chciał się nim usprawiedliwić; po czym odmienił rozmowę.

Nie znaczy to, aby nieco później w Paryżu nie miał jeszcze czasami spotykać Racheli. Istoty, które grały taką rolę w naszym życiu, rzadko wychodzą z niego nagle i ostatecznie. Zjawiają się w nim znowuż chwilami (tak iż niektórzy podejrzewają nawrót miłości), nim je opuszczą na zawsze.

Zerwanie Roberta z Rachelą stało mu się rychło mniej bolesne dzięki kojącej przyjemności, jaką dawały mu jej nieustanne żądania pieniędzy. Zazdrość, będąca przedłużeniem miłości, nie może zawierać o wiele więcej niż inne formy naszej wyobraźni. Jeżeli, puszczając się w podróż, weźmiemy z sobą trzy lub cztery obrazy, które zgubimy zresztą w drodze (lilie i anemony z Ponte Vecchio, perski kościół we mgle itd.), walizka jest już całkiem pełna. Kiedy się rzuca kochankę, chciałoby się — aż do chwili, gdy się o niej po trosze zapomni — aby się ona nie stała łupem trzech lub czterech nabywców, których sobie wyobrażamy, to znaczy, o których jesteśmy zazdrośni; wszyscy, których sobie nie wyobrażamy, są niczym. Zapewne, częste żądania pieniędzy ze strony porzuconej kochan-

Miłość, Rozstanie

⁴⁵⁷ „Figaro” — popularny konserwatywny dziennik paryski, założony w 1854. [przypis edytorski]

ki nie dają nam kompletnego pojęcia o jej życiu, tak jak wykresy gorączki nie dałyby nam pojęcia o jej chorobie. Ale jak te wykresy byłyby bądź co bądź znakiem, że jest chora, tak owe żądania stanowią dowód (dość mglisty, co prawda), że ta, którąśmy rzucili lub która nas rzuciła, nie musiała znaleźć bogatego protektora. Toteż każdą jej prośbę przyjmujemy z radością, jaką nam daje pauza w cierpieniach zazdrości; skwapliwie posyłamy jej pieniądze, bo chcielibyśmy, aby jej nie brakło niczego prócz kochanków (jednego z owych trzech, których sobie wyobrażamy) przez czas potrzebny na to, abyśmy przyszli nieco do siebie i abyśmy mogli bez bólu usłyszeć nazwisko naszego następcy.

Czasem Rachela zjawiała się dość późno wieczorem, aby prosić dawnego kochanka o pozwolenie przespania się obok niego do rana. Było to bardzo słodkie dla Roberta, bo zdawał sobie sprawę, jak bardzo jednak oni blisko żyli z sobą. Czuł to bodaj w tym, że nawet gdy zajął sam większą część łóżka, nie przeszkadzał jej bynajmniej spać. Rozumiał, że jej jest obok jego ciała wygodniej niż gdziekolwiek indziej; że się czuje przy jego boku — nawet w hotelu — niby w znanym od dawna pokoju, do którego się przywykło, gdzie nam się lepiej śpi. Czuł, że jego ramiona, nogi, on cały, to są dla niej — nawet kiedy się zanadto ruszał pod wpływem bezsenności lub natrętnych myśli — rzeczy tak doskonale podręczne, że nie mogą jej zawadzać i że ich poczucie zwiększa jej jeszcze wrażenie odpoczynku.

Ale trzeba się nam cofnąć wstecz. List Roberta wzruszył mnie tym bardziej, że między wierszami czytałem to, czego on nie śmiał napisać wyraźniej. „Możesz ją doskonale zaprosić do gabinetu — pisał. — To urocza młoda osoba, przemiły charakter; porozumiecie się doskonale; z góry jestem pewien, że spędzisz wyborny wieczór”. Ponieważ rodzice wracali z końcem tygodnia, w sobotę lub w niedzielę, po czym musiałbym jechać co dzień w domu, natychmiast napisałem do pani de Stermaria, proponując jej dowolny dzień, do jej wyboru, aż do piątku. Kazała powiedzieć, że napisze do mnie jeszcze tego wieczora koło ósmej. Byłbym doczekał wieczora dość szybko, gdybym miał w ciągu dzielącego mnie od niego popołudnia ratunek jakiejś wizyty. Kiedy godziny spowijają się gawędą, nie możemy ich już mierzyć, nawet widzieć; znikają; i nagle — bardzo daleko od punktu, w którym się nam umknął — znów zjawia się naszej uwadze chyży i oszukany czas. Ale kiedy jesteśmy sami, napięcie myśli, przywodząc nam odległą jeszcze i wciąż oczekiwaną chwilę z częstością i jednostajnością tykania zegara, dzieli, lub raczej mnoży godziny przez wszystkie minuty, których nie liczylibyśmy w towarzystwie przyjaciół. I popołudnie to, w nieustannym nawrocie mojego pragnienia konfrontowane z palącą rozkoszą, jakiej miałem kosztować — niestety dopiero za kilka dni! — z panią de Stermaria; to popołudnie, którego miałem dokończyć sam, wydawało mi się bardzo puste i melancholijne.

Chwilami słyszałem łoskot jadącej w górę windy, ale po nim następował drugi odgłos, nie ten, któremu się spodziewałem, zwiastujący zatrzymanie się na moim piętrze, ale inny, bardzo odmienny, jaki sprawiała winda wznosząc się wyżej. Odgłos ten — ponieważ tak często oznaczał mijanie mojego piętra, kiedy oczekiwałem wizyty — został dla mnie później, nawet wówczas gdy już nie pragnął w ogóle żadnej wizyty, hałasem w samej swojej istocie bolesnym, w którym rozlegał się jakby wyrok opuszczenia. Zmęczony, zrezygnowany, zajęty na kilka godzin jeszcze swoim odwiecznym zadaniem, szary dzień prządl swój perłowy haft; myślałem ze smutkiem, że zostanę sam na sam z tym dniem, który mnie nie znał, tak samo jak robotnica, która siedząc przy oknie, aby lepiej widzieć przy swojej robocie, nie zajmuje się wcale osobą obecną w pokoju.

Naraz (nie słyszałem dzwonka) Franciszka otworzyła drzwi i wprowadziła — Albertynę. Weszła uśmiechnięta, milcząca, pulchna, zawierająca w obfitości swego ciała — przygotowane na to, abym je przeżywał nadal, przybywające do mnie — dni spędzone w owym Balbec, dokąd nigdy nie wróciłem.

Bez wątpienia, za każdym razem kiedy oglądamy osobę, z którą stosunki — choćby najpowierzchniwsze — zmieniły się, staje się to dla nas niby konfrontacją dwóch epok. Nie potrzeba na to, aby dawna kochanka zaszła nas odwiedzić jako przyjaciółka; wystarczy, aby się zjawił w Paryżu ktoś, z kim dzieliliśmy jakieś przygodne i potoczne życie, i aby to życie ustało, choćby od tygodnia. W każdym roześmianym, pytającym i zakłopotanym rysie Albertyny mogłem wyczytać te pytania: „A pani de Villeparisis? A nauczyciel tańca? A cukiernik?” Kiedy usiadła, grzbiet jej robił wrażenie, że mówi: „Cóż, nie ma tutaj skał i morza, ale pozwolisz, abym usiadła koło ciebie, tak jakbym to

zrobiła w Balbec?” Albertyna była niby wróżka podsuwająca mi zwierciadło czasu. Była w tym podobna do wszystkich osób, które widzimy rzadko, ale które niegdyś żyły z nami bliżej. Ale z Albertyną było nie tylko to. Zapewne, nawet w Balbec, w czasie naszych codziennych spotkań, zawsze byłem zaskoczony jej widokiem, tak zmieniała się zależnie od dnia. Ale teraz ledwie ją można było poznać. Rysy jej, wyłonięne z różowego oparu, który je spowijał, stały się wydatne na kształt posągu. Miała inną twarz, lub raczej wreszcie miała twarz; ciało jej urosło. Nie zostało już prawie nic z powłoki, która ją spowijała i na której powierzchni w Balbec przyszyły jej kształt zaledwie się rysował.

Tym razem Albertyna wróciła do Paryża wcześniej niż zazwyczaj. Zwykle wracała dopiero na wiosnę, tak iż, niepokojony już od kilku tygodni burzami przy pierwszych kwiatach, w przyjemności, jakiej doznawałem, nie oddzielałem powrotu Albertyny od powrotu cieplejszych dni. Wystarczyło, by mi powiedziano, że Albertyna jest w Paryżu i że zaszła do mnie, abym ją ujrzał niby różę nad brzegiem morza. Nie bardzo wiem, czy to, co mnie ogarniało wówczas, było pragnieniem Balbec czy jej; może samo pragnienie Albertyny było luźną i niepełną formą posiadania Balbec, jak gdyby posiadać materialnie jakąś rzecz, zamieszkać w jakimś mieście równało się jego duchowemu posiadaniu. Zresztą nawet materialnie, kiedy Albertyny nie kołysała już moja wyobraźnia na tle widnokregu morza, ale kiedy siedziała nieruchomo koło mnie, wydawała mi się często bardzo biedną różą, przy której byłbym rad zamknąć oczy, aby nie widzieć jakiejś skazy jej płatków i aby wierzyć, że oddycham powietrzem plaży.

Mogę to powiedzieć tutaj, mimo że nie wiedziałem wówczas tego, co miało się zdarzyć później. Zapewne, rozsądniej jest poświęcić życie kobietom niż markom⁴⁵⁸ pocztowym, starym tabakierkom, nawet niż obrazom i posągom. Ale przykład innych kolekcji powinien by nas skłonić do tego, aby zmieniać; aby mieć nie jedną kobietę, lecz wiele kobiet. Urocze kombinacje, jakie stwarza młoda dziewczyna z plażą, z zaplecionymi włosami posągu w kościele, z jakimś sztychem, ze wszystkim tym, co sprawia, że kochamy w tej dziewczynie — za każdym razem kiedy wchodzi — jakiś uroczy obraz, kombinacje te nie są zbyt stałe. Wystarczy żyć całkowicie z kobietą, aby przestać widzieć cokolwiek z tego, co nam ją kazało pokochać. Te dwa rozszczerzone składniki może niewątpliwie zespolić na nowo zazdrość. Jeżeli po długim okresie wspólnego życia miałem widzieć w końcu w Albertynie jedynie zwykłą kobietę, jakaś jej miłostka ze znajomym jej z Balbec wystarczyłaby może, aby w nią znów wcielić i stopić z nią plażę i bryzg fal. Ale te wtórne połączenia nie czarują już naszych oczu; w zamian stają się wyczuwalne i złowrogie dla naszego serca. Odnowienie się cudu w tak niebezpiecznej formie nie może być pożądane!

Ale uprzedzam lata. I muszę jedynie tu żałować, że nie pozostał na tyle rozsądny, aby mieć po prostu w życiu swoją kolekcję kobiet, jak się ma kolekcję dawnych lorynetek⁴⁵⁹, nigdy dość licznych za gablotką, gdzie zawsze puste miejsce oczekuje jakiejś nowej i rzadszej lorynetki.

Na wspaniałych porządkach swoich wilegiatur, tego roku Albertyna przybywała prosto z Balbec; a i tak bawiła tam o wiele krócej niż zwykle. Nie widziałem jej od dawna. Że zaś nie znałem — nawet z nazwiska — osób, z którymi przestawała w Paryżu, nie wiedziałem nic o niej w okresach, kiedy mnie nie odwiedzała. Okresy te bywały czasem dość długie. Potem pewnego pięknego dnia wyłaniała się nagle Albertyna, której różowe zjawienie się i milczące wizyty dość skąpo mnie informowały o tym, co mogła robić w przerwach, pogrążonych w owym mroku życia, którego oczy moje nie siły się przebić.

Tym razem pewne oznaki zdawały się wskazywać, że musiały zajść w jej życiu jakieś nowe rzeczy. Ale może po prostu nastęrczały one wnioski, że w wieku Albertyny człowiek zmienia się bardzo szybko. Na przykład inteligencja jej objawiała się wyraźniej; skorom jej przypomniał dzień, gdy włożyła tyle zapалу w dowodzenie, że Sofokles⁴⁶⁰ powinien był pisać: „Mój drogi Racine”, pierwsza roześmiała się serdecznie. „To Anna miała rację, bylam idiotka — rzekła. — Oczywiście Sofokles powinien był napisać: »Panie!«” Odpowiedziałem, że „panie” i „drogi panie” Anny były nie mniej komiczne niż jej „drogi Racine” i niż „drogi przyjacielu” Gizeli, ale że naprawdę niemądrzy byli w tym profesorowie, każący jeszcze Sofoklesowi pisywać listy do Racine’a. Tego już Albertyna nie

⁴⁵⁸marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

⁴⁵⁹lorynetka (daw.) — lornetka. [przypis edytorski]

⁴⁶⁰Sofokles (496–406 p.n.e.) — jeden z trzech największych tragiczków greckich. [przypis edytorski]

chwyciła. Nie rozumiała absolutnie, co w tym jest głupiego; inteligencja jej rozchyłała się, ale nie była rozwinięta. Były w niej nowości bardziej pociągające; czułem w tej samej ładnej dziewczynie, która oto usiadła koło mego łóżka, coś odmiennego; w owych liniach, które w spojrzeniu i rysach twarzy zwykły wyrażać wolę, czułem jakąś zmianę frontu, niemal ustępliwość, jak gdyby znikły już opory, o które łamałem się w Balbec pewnego tak odległego już wieczora, kiedyśmy tworzyli parę symetryczną do dzisiejszej, ale odwrotną, gdyż wówczas Albertyna leżała w łóżku, a ja siedziałem przy niej. Pragnąc i nie śmiejąc sprawdzić, czy teraz pozwoliłaby się pocałować, ilekroć Albertyna wstawała, aby iść, prosiłem, żeby została jeszcze. Nie było to zbyt łatwe do uzyskania, bo mimo iż Albertyna nie miała nic do roboty (inaczej byłaby uciekła), była to osóbką punktualna i zresztą niezbyt czuła dla mnie, niezbyt zdająca się smakować w moim towarzystwie. Mimo to za każdym razem, spojrzawszy na zegarek, siadała na moją prośbę z powrotem, tak iż spędziła ze mną kilka godzin bez żadnych zakusów z mojej strony; słowa moje wiązały się z tym, com mówił w ciągu poprzednich godzin, i nie spotykały się nigdy z tym, com myślał, czegom pragnął — niby równoległe linie idące w nieskończoność. Nic bardziej od pragnienia nie przeszkadza, aby rzeczy, które mówimy, były w czymkolwiek podobne do tego, co mamy w myśli. Czas nagli, a mimo to zdawałoby się, że chcemy zyskać na czasie, mówiąc o przedmiotach zgoła obcych temu, co nas zaprzęta. Ot, gawędzi się, podczas gdy zdaniu, które chcielibyśmy wyrzec, towarzyszyłby już gest — nawet przyjąwszy, że aby sobie stworzyć rozkosz bezpośredniości i aby nasycić ciekawość reakcji, jaką to wywoła bez jednego słowa, bez prośbienia o pozwolenie, nie uczyniliśmy tego gestu. Z pewnością nie kochałem wcale Albertyny; zrodzona z dzisiejszej mgły, mogła ona jedynie zaspokoić imaginacyjne pragnienie zbudzone we mnie zmianą pogody, będące czymś przejściowym między pragnieniami, jakie może zaspokoić z jednej strony sztuka kucharska, a z drugiej monumentalna rzeźba, kazało mi bowiem marzyć równocześnie o złączeniu z moim ciałem substancji odmiennej i cieplej i o spojeniu jakimś punktem odrębnego ciała z moim wyciągniętym ciałem: tak ciało Ewy zaledwie nogami trzyma się biodra Adama, do którego ciała jest ona niemal prostopadła na owych romańskich płaskorzeźbach katedry w Balbec, szlachetnie i spokojnie, niemal jak antyczny fryz, przedstawiających stworzenie kobiety; Bogu towarzyszą tam wszędzie, niby dwaj ministrowie, dwa aniołki, w których poznajemy na całej fasadzie kruchty — niby skrzydlate i wirujące twory lata, zaskoczone i oszczędzone przez zimę — amorki z Herkulanum⁴⁶¹, jeszcze żywe w pełni XIII wieku i lecące swoim ostatnim lotem, zmęczone, ale nie zadające kłamu wdziękowi, jakiego się można po nich spodziewać.

Słowo

Tej przyjemności, która zaspokajając moją żądzę, uwolniłaby mnie od tego marzenia, szukałbym równie chętnie u jakiej bądź innej ładnej kobiety. I gdyby — w ciągu tej nieskończonej paplaniny, w której tailem przed Albertyną to jedno, o czym myślałem — mnie zapytano, na czym się wspiera moja optymistyczna hipoteza jej możliwej ustępliwości, odpowiedziałbym może, że ta hipoteza zrodziła się (podczas gdy zapomniane rysy głosu Albertyny kreśliły mi na nowo kontur jej osobowości) z pojawienia się pewnych słów nienależących do jej słownika, przynajmniej w sensie takim, jaki im dawała obecnie. Kiedy powiedziała, że Elstir jest głupi, a ja zaprotestowałem żywo, odrzekła z uśmiechem:

— Nie rozumiesz mnie; ja chcę powiedzieć, że się okazał głupi w danej okoliczności, ale wiem doskonale, że to jest człowiek zupełnie niepospolity.

Tak samo, chcąc powiedzieć o golfie w Fontainebleau⁴⁶², że jest elegancki, oświadczyła:

— Pierwszorzędnny dobór.

Mówiąc o jakimś dawniejszym pojedynku, powiedziała o moich świadkach: „To są sekundanci zupełnie *prima*”; przyglądając mi się, oświadczyła, że byłoby mi do twarzy z małym wąsikiem. Posunęła się nawet — i moje szanse wydały mi się w tej chwili ogromne — do powiedzenia, że od czasu jak nie widziała Gizeli, upłynęło „iks czasu”. (Przysiągłbym, że w zeszyłym roku nie znała tego zwrotu). Nie znaczy to, aby już za mojej bytności w Balbec Albertyna nie posiadała pokaźnego zasobu wyrażań, które świadczą natychmiast, że się pochodzi z dostatniej rodziny, i które z roku na rok matka przekazuje

⁴⁶¹*Herkulanum* — jedno z miast rzymskich pogrzebanych pod popiołem podczas wybuchu Wezuwiusza w r. 79 n.e. [przypis edytorski]

⁴⁶²*Fontainebleau* — miejscowość ok. 60 km na płd-wsch. od Paryża, znana z rezydencji królów Francji: reprezentacyjnego pałacu z rozległym ogrodem i parkiem. [przypis edytorski]

córce, tak jak jej daje, w miarę jak córka rośnie, w uroczystych momentach własne klejnoty. Zrozumiano, że Albertyna przestała być małym dzieckiem, kiedy pewnego dnia, dziękując obcej pani za jakiś prezent, powiedziała: „Pani mnie zawstydza”. Pani Bontemps mimo woli spojrziała na męża, który odparł:

— Ha, cóż, idzie jej na czternasty rok!

Wyraźniejsza jeszcze dojrzałość ujawniła się, kiedy Albertyna, mówiąc o młodej pannie nieco wątpliwych manier, rzekła:

— Trudno nawet poznać, czy ona jest ładna, ma na *cal rôzu* na policzkach.

Wreszcie, mimo iż będąc młodą panną, już przybierała wzięcie kobiet swego świata i swojej klasy, powiadając na przykład, kiedy ktoś robił miny: „Nie mogę patrzeć na nią, bo i ja mam ochotę robić miny”, lub też, jeśli ktoś bawił towarzystwo imitacjami: „Najzabawniejsze jest, że kiedy ją udaje, robi się do niej podobny”. Wszystko to jest zaczerpnięte ze skarbcza towarzyskości. Ale właśnie sfera Albertyny nie mogła — wedle mego wyczucia — dostarczyć jej owego „niepospolity”, w sensie, w jakim ojciec mój mówił o którymś z nieznanym mu jeszcze kolegów, którego inteligencję mu chwalono: „Zdaje się, że to ktoś zupełnie niepospolity”. „Dobór”, nawet dla golfa, wydał mi się równie nieharmonizujący z rodziną Simonet, jak w towarzystwie przymiotnika „naturalny” nie harmonizowałby z tekstem poprzedzającym o kilka wieków prace Darwina⁴⁶³. „Iks czasu” wydało mi się jeszcze lepszą wróżbą. Wreszcie, oczywistość przewrotów, nieznanym mi jeszcze, ale zdolnym uprawnić we mnie wszystkie nadzieje, ujawniła mi się niezbitcie, kiedy Albertyna oświadczyła mi z zadowoleniem osoby, której sąd nie jest czymś obojętnym:

— *Wedle mego przeświadczenia* nie mogło się zdarzyć nic lepszego... Mniemam, że to jest najlepsze rozwiązanie, rozwiązanie eleganckie.

To było tak nowe, było tak widocznie napływem pozwalającym przypuszczać kapryśne wędrowki przez tereny niegdyś jej nieznanne, że przy słowach „wedle mego przeświadczenia” objąłem Albertynę, a przy „mniemam” posadziłem ją na łóżku.

Bez wątpienia zdarza się, że kobiety bez kultury, zaślubiając człowieka niezwykle wykształconego, otrzymują od męża jako wiano takie wyrażenia. I wkrótce po metamorfizie sprowadzonej przez noc poślubną, kiedy składając wizyty, zachowują pewien dystans wobec dawnych przyjaciółek, widzimy ze zdziwieniem, że stały się kobietami, kiedy, oceniając zalety czyjegoś intelektu, dają dwa „I” przy słowie „intelekt”; ale to jest właśnie cecha odmiany. W słowniku Albertyny, którą znałem niegdyś, największą śmiałością było powiedzieć o osobie nieco ekscentrycznej: „To jest typ!”; lub kiedy proponowano Albertynie grę: „Nie znajduję pieniędzy na ulicy”, lub wreszcie, kiedy przyjaciółka robiła jej wymówkę, jej zdaniem niezasłużoną: „Doprawdy, ty jesteś kapitalna!” — zwrot podyktowany w takich okolicznościach rodzajem mieszczańskiej tradycji, niemal równie starej jak sam *Magnificat*⁴⁶⁴, zwrot z gatunku tych, których młoda dziewczyna, nieco poirytowana, używa, jak się to mówi, „całkiem naturalnie”, to znaczy, dlatego że się ich nauczyła od matki, jak się nauczyła mówić pacierz i kłaniać się. Wszystkie te wyrażenia pani Bontemps wszczepiła jej równocześnie z nienawiścią do Żydów i z szacunkiem dla czarnego koloru, który jest „zawsze na miejscu i zawsze dystyngowany”; to znaczy, nawet nie wyuczyła jej ich formalnie, ale tak jak szczygłe pisklęta wzorują się na szczebiocie szczygłów-rodziców, aż same wyrosną w prawdziwe szczygły. Mimo wszystko „dobór” wydał mi się nabytkiem z obcego plemienia, a „mniemam” pełne zachęty. Albertyna nie była już ta sama, zatem nie postąpiłaby może tak samo, nie reagowałaby tak samo.

Nie tylko jej już nie kochałem, ale nawet nie potrzebowałem się obawiać, jak w Balbec, że zniweczę w niej przyjaźń dla mnie — przyjaźń, która od dawna nie istniała. Nie było wątpliwości, że się jej stał od dawna obojętny. Zdawałem sobie sprawę, że nie stanowią już dla Albertyny części „bandy”, do której niegdyś tak pragnąłem należeć, tak szczęśliwy później, że się w niej znalazł. Przy tym, ponieważ Albertyna nie miała już nawet, jak w Balbec, wyrazu szczerości i dobroci, nie czułem zbyt wielu skrępułów; mimo to sądzę, że w rezultacie zdecydowało mnie ostatnie odkrycie filologiczne. Jakby wciąż

⁴⁶³ Darwin, Charles (1809–1882) — brytyjski przyrodnik, twórca teorii ewolucji. [przypis edytorski]

⁴⁶⁴ *Magnificat* — z łac. *Magnificat anima mea Dominum* (Wielbi dusza moja Pana), łacińska wersja pieśni dziękczynnej Marii z *Ewangelii wg Łukasza*, jednego z najstarszych hymnów chrześcijańskich. [przypis edytorski]

przydając jakieś nowe ogniwo do powierzchownego pasma rozmów, pod którymi kryłem swoje sekretne pragnienie, mówiłem, obejmując równocześnie Albertynę siedzącą na łóżku, o jednej z dziewcząt z „bandy”, drobniejszej od innych, ale wcale ładnej. „Tak — odparła Albertyna — robi wrażenie małej gejszy⁴⁶⁵”. Z wszelką pewnością, kiedy poznał Albertynę, słowo „gejsza” było jej obce. Można przypuszczać, że gdyby rzeczy poszły normalnym torem, nigdy by go nie poznała; co do mnie, nie widziałbym w tym nieszczęścia, bo nie ma dla mnie słowa bardziej uprzykrzonego. Słyszając je, czuję ten sam ból zębów, co kiedy się włoży do ust za wielki kawałek lodu. Ale Albertyna była tak ładna, że nawet „gejsza” nie raziła mnie u niej zbyt. W zamian słowo to wydało mi się oznaką, jeżeli nie faktycznej defloracji⁴⁶⁶, to bodaj ewolucji wewnętrznej. Na nieszczęście była już pora, w której musiałem wyprawić Albertynę, o ile chciałem, aby wróciła na czas na obiad i abym ja wstał dość wcześnie na swój obiad. Gotowała mi Franciszka, która nie lubiła, aby obiad czekał. Już to musiało obrażać jeden z artykułów jej kodeksu, że Albertyna przyszła do mnie w nieobecności rodziców, że siedzi bez końca, tak że wszystko się przez nią spóźni. Ale wobec „gejszy” wszystkie te racje upadły; powiedziałem skwapliwie:

— Wyobraź sobie, że ja wcale nie mam łaskotek, mogłabyś mnie łaskotać godzinę, a ja bym nawet nie uczył.

— Doprawdy!

— Ręczę ci.

Albertyna zrozumiała z pewnością, że to jest niezręczny wyraz pragnienia; uczyniła jak ktoś, kto nam ofiarowuje rekomendację, o którą nie śmieliśmy go prosić, ale do której aluzja przebijała w naszych słowach.

— Czy mam spróbować? — rzekła z kobiecą pokorą.

— Jeżeli sobie życzysz; ale w takim razie byłoby wygodniej, gdybyś się całkiem wyciągnęła na łóżku.

— Czy tak?

— Nie, głębiej.

— Ale czy nie jestem za ciężka?

Domawiała tych słów, kiedy się drzwi otwarły i Franciszka weszła, niosąc lampę. Albertyna ledwo miała czas usiąść z powrotem na krześle. Może Franciszka wybrała umyślnie tę chwilę, aby nas zawstydzić; może podsłuchiwała pod drzwiami lub nawet patrzyła przez dziurkę od klucza. Ale nie potrzebowałem się posuwać do takiego przypuszczenia; Franciszka mogła się obejść bez sprawdzania wzrokiem tego, co jej instynkt musiał dostatecznie przewąchać; w miarę bowiem jak żyła w naszym domu, obawa, ostrożność, baczność i chytrość nauczyły ją w końcu w instynktowny i jasnowidzący niemal sposób znać nas, tak jak majtek zna morze, myśliwiec⁴⁶⁷ zwierzyńcę, a chorobę, jeżeli nie lekarz, to często bodaj chory. Wszystko to, co Franciszka zdołała przeniknąć, mogłoby zdumieć tak, jak nas zdumiewa daleko posunięty stan pewnych wiadomości u starożytnych wobec ich prymitywnych środków informacji. (Środki Franciszki nie były bogatsze: ot, parę słów stanowiących ledwie dwudziestą część naszych rozmów przy obiedzie, słów pochwyconych w lot przez kamerdynera i niedokładnie zaniesionych do kredensu). Nawet błędy jej wynikały raczej — jak błędy starożytnych, jak bajki, w które wierzył Platon⁴⁶⁸ — z fałszywych pojęć o świecie i z powziętych z góry idei niż z ubóstwa środków materialnych. W ten sposób, jeszcze za naszych czasów, największe odkrycia w dziedzinie życia owadów mógł poczynić uczony, który nie rozporządzał żadnym laboratorium, żadnym przyrządem⁴⁶⁹. Ale o ile braki, naturalne u służącej, nie przeszkodziły Franciszce nabyć wiedzy koniecznej dla jej celów — cel ów polegał na tym, aby nas zawstydzić, udzielając

⁴⁶⁵gejsza — w Japonii: kobieta zawodowo zajmująca się dotrzymywaniem towarzystwa i zapewnianiem rozrywki mężczyznom na przyjęciach, bawiąca gości rozmową, tańcem, śpiewem i grą na instrumentach. [przypis edytorski]

⁴⁶⁶defloracja — rozdziwienie, pozbawienie kobiety dziewictwa. [przypis edytorski]

⁴⁶⁷myśliwiec (daw.) — myśliwy. [przypis edytorski]

⁴⁶⁸Platon (427–347 p.n.e.) — filozof grecki, kluczowa postać w rozwoju filozofii; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa; twórca idealizmu filozoficznego. [przypis edytorski]

⁴⁶⁹największe odkrycia w dziedzinie życia owadów mógł poczynić uczony, który nie rozporządzał żadnym laboratorium, żadnym przyrządem — zapewne odniesienie do pracy Darwina *Fertilisation of Orchids by Insects* (*O zapładnianiu storczyków przez owady*, 1862), w której rozwinął zagadnienie zależności ewolucyjnych między roślinami a zapylającymi je owadami. [przypis edytorski]

nam rezultatów tej wiedzy — skrępowanie zrobiło więcej; tu zaporą nie ograniczyła się do nieparaliżowania rozmachu, ale wspomagała go potężnie. Faktem jest, że Franciszka nie zaniedbała żadnego środka pomocniczego — intonacji i gestu. O ile nie wierzyła nigdy w to, cośmy jej mówili i w cośmy pragnęli wzbudzić jej wiarę, przyjmowała w zamian bez cienia wątpliwości wszystko najniedorzeczniejsze, co opowiadała osoba z jej klasy, a zwłaszcza to, co mogło obrażać nasze pojęcia. O ile sposób, w jaki słuchała naszych twierdzeń, świadczył o jej niedowierzaniu, o tyle akcent, z jakim powtarzała (gdyż ta pośrednia forma pozwalała jej bezkarnie obrzucać nas najgorszymi zniewagami) słowa kucharki, która jej opowiedziała, jak zwymyślała swoich państwa i jak, traktując ich przy wszystkich od „ścierwa”, uzyskała od nich tysiąc przywilejów, świadczył, że Franciszka wierzy w to jak w ewangelię. Dodawała nawet: „Ja, bywszy państwem, nie zniesłabym czegoś takiego”. Daremnie, mimo naszej niewielkiej sympatii do damy z czwartego piętra, wzruszaliśmy ramionami, niby na nieprawdopodobną bajkę, na to opowiadanie, stanowiące tak zły przykład; odtwarzając je, Franciszka umiała mu nadać nieznośny repliki i drażniący ton pewnika wykluczającego wszelką dyskusję.

Ale zwłaszcza, jak pisarze, skrępowani tyranią monarchy lub poetyki, surowością prozodii⁴⁷⁰ lub religią państwową, osiągają często siłę wyrazu, z jakiej byłby ich zwolnił ustrój politycznej swobody lub literackiej anarchii, tak Franciszka, nie mogąc nam odpowiedzieć w sposób wyraźny, mówiła jak Tejrezjasz⁴⁷¹, a pisała jak Tacyt⁴⁷². Wszystko, czego nie mogła wyrazić wprost, umiała zawrzeć w jednym zdaniu, do którego nie mogliśmy się przyczepić bez ujmy dla siebie samych; a nawet nie w zdaniu, ale w milczeniu, w sposobie, w jaki stawiała jakiś przedmiot.

Zdarzyło się na przykład zostawić na biurku, przez nieuwagę, między innymi listami jakiś list, którego Franciszka nie powinna była widzieć, dlatego na przykład, że piszący mówił o Franciszce z niechęcią pozwalającą się domyślać podobnej niechęci u adresata. Wieczorem, kiedy wróciłem niespokojny i skierowałem się wprost do swego pokoju, wówczas, na listach ułożonych w porządku we wzorową kupkę, kompromitujący dokument od razu uderzał moje oczy, tak jak musiał uderzyć wprzód oczy Franciszki; leżał umieszczony przez nią na samym wierzchu, prawie osobno, z ostentacją, która miała swój język, swoją wymowę i która już w drzwiach krzyczała do mnie, przyprawiając mnie o wstrząs. Franciszka celowała w przygotowywaniu tych efektów, mających w jej nieobecności objaśnić widza tak skutecznie, że kiedy później wkraczała, ów pewien był, że ona wie wszystko. W tym, aby kazać mówić martwym przedmiotom, kojarzyła genialną i cierpliwą sztuką Irvinga i Fryderyka Lemaître⁴⁷³.

W tej chwili, trzymając nad Albertyną i nade mną zapaloną lampę, dobywającą z cienia wszystkie widocznie jeszcze ślady, jakie ciało młodej dziewczyny wyłobilo na łóżku, Franciszka robiła wrażenie *Sprawiedliwości oświetlającej zbrodnię*⁴⁷⁴. Twarz Albertyny nie traciła na tym oświetleniu. Wydobyło ono z jej policzków ten sam słoneczny połysk, który mnie czarował w Balbec. Ta twarz Albertyny, której całość miewała czasem na dworze jakąś matową bladeść, ukazywała, przeciwnie — w miarę oświetlenia lampą — płaszczyzny tak lśniące i równo zabarwione, tak jędrne i gładkie, że można by je porównać z bogatą karnacją pewnych kwiatów.

Zdumiony nieoczekiwanym wejściem Franciszki, wykrzyknąłem:

— Jak to, już lampa? Och, jakże to światło razi!

Drugie z tych zdań miało z pewnością pokryć moje zmieszanie, pierwsze usprawiedliwić zapóźnienie się. Z okrutną dwuznacznością Franciszka odparła:

⁴⁷⁰ *prozodia* — nauka o brzmieniowych właściwościach mowy lub wiersza: akcenty, iloczasy, intonacji. [przypis edytorski]

⁴⁷¹ *Tejrezjasz* (mit. gr.) — niewidomy wróżbita tebański; obdarzony długim życiem, którego część przeżył jako kobieta. [przypis edytorski]

⁴⁷² *Tacyt*, właśc. *Publius Cornelius Tacitus* (ok. 55–120) — wybitny historyk rzymski; w swoich pracach starał się o rzetelność i obiektywizm. [przypis edytorski]

⁴⁷³ *Irving* i *Lemaître* — znani ówczesni aktorzy: *Henry Irving*, właśc. *John Henry Brodribb* (1838–1905): słynny angielski aktor, reżyser i menadżer teatralny, pierwszy aktor, któremu nadano szlachectwo (1895); *Frédéric Lemaître* (1800–1876): jeden z najwybitniejszych aktorów francuskich XIX w. [przypis edytorski]

⁴⁷⁴ *Sprawiedliwość i boska Zemsta ścigające Zbrodnię* — obraz Pierre-Paula Prud'hona z 1808, przedstawiający uciekającego zbrodniarza i ścigające go dwie uskrzydłone postacie, z których jedna trzyma w ręce pochodnię, a druga miecz, a pod nimi jako Ofiara leży na ziemi młody nagi mężczyzna; obecnie w Luwrze w Paryżu. [przypis edytorski]

— Czy mam zgaszać?

— Sić? — szepnęła mi w ucho Albertyna, spowijając mnie czarem poufalej żywości, z jaką, przyjmując mnie równocześnie za mistrza i za współnika, wsunęła to psychologiczne stwierdzenie w pytający ton kwestii gramatycznej.

Kiedy Franciszka wyszła, a Albertyna znów usiadła na łóżku, rzekłem:

— Czy wiesz, czego się boję? Jeśli tak dalej pójdzie, nie będę się mógł wstrzymać, aby cię nie pocałować.

— To by było straszne nieszczęście.

Nie od razu usłuchałem tego zaproszenia; komu innemu mogłoby się ono nawet wydać zbyt łatwe, bo Albertyna miała akcent tak zmysłowy i słodki, że już mówiąc do kogoś, zdawała się go tulić. Słowo jej było pieszczotą, rozmowa jej obsypywała pocałunkami. A przecież to zaproszenie było mi bardzo mile. Byłoby mi mile nawet ze strony innej ładnej dziewczyny w tym samym wieku; ale fakt, że Albertyna była dla mnie teraz tak łatwa, dawał mi więcej niż przyjemność, dawał mi konfrontację obrazów nasyconych pięknnością. Przypomniałem sobie Albertynę najpierw na plaży, prawie namalowaną na tle morza, mającą dla mnie istnienie nie bardziej rzeczywiste niż owe obrazy w teatrze, gdzie nie wiemy, czy mamy do czynienia z samą aktorką, ze statystką dublującą ją w danej chwili, czy jedynie z projekcją świetlną. Potem prawdziwa kobieta odszczepiła się od świetlnego pęku, podeszła do mnie, ale jedynie po to, abym mógł stwierdzić, że w rzeczywistym świecie nie jest ona bynajmniej tak przystępna, jak się to wydawało w magicznym obrazie. Dowiedziałem się, że niepodobna dotknąć jej, pocałować, że można z nią tylko rozmawiać, że tak samo nie jest dla mnie kobietą, jak nefrytowe⁴⁷⁵ winogrona, niejadalna dekoracja dawnych stołów, nie są winogronami. I oto na trzecim planie ukazywała mi się realna jak w drugiej koncepcji, ale łatwa jak w pierwszej; i to tym rozkoszniej łatwa przez to, że tak długo nie wierzył w tę łatwość. Mój wzrost wiedzy o życiu (mniej jednolitym, mniej prostym, niż sądziłem zrazu) przywiódł mnie tymczasowo do agnostycyzmu⁴⁷⁶. Cóż można twierdzić, skoro to, w co się wierzyło zrazu, okazało się fałszywe potem i znowuż na trzeciej kondygnacji okazuje się prawdą?

I niestety, nie był to koniec moich odkryć z Albertyną. W każdym razie, nawet gdyby nie romantyczny urok tej lekcji bogactwa przekrojów odsłanianych kolejno przez życie (urok przeciwny temu, jakiego kosztował Saint-Loup przy obiedzie w Rivebelle, odnajdując na spokojnej twarzy niegdyś dotykane ustami rysy pośród masek, jakie nałożyło życie), wiadomość, że pocałować Albertynę jest rzeczą możliwą, dawała przyjemność większą może jeszcze niż sam pocałunek. Cóż za różnica między posiadaniem jakiejś kobiety, z którą stykamy się tylko fizycznie (bo jest tylko kawałkiem ciała), a posiadaniem młodej panny, którą widywało się na plaży w gronie przyjaciółek, w pewne dni — nie wiadomo nawet czemu w te dni raczej niż w inne — wśród nieustannej obawy, że się jej już nie ujrzy. Życie odkryło nam w całej rozciągłości powieść o tej dziewczynce; dało nam dla oglądania jej jedno narzędzie optyczne, potem inne; przydało cielesnej żądzy akompaniament, zstokrotniający ją i różniący ją od owych bardziej duchowych i trudniejszych do zaspokojenia pragnień, które nie budzą się z odrętwienia i pozwalają żądzy działać samej, wówczas gdy zmierza jedynie do posiadania kawałka ciała. Ale te same pragnienia, aby posiadać całą sferę wspomnień, rodzących w nich nostalgię wygnańczą, wznoszą się burzliwie obok owej żądzy, potęgują ją, nie mogąc za nią podążać aż do spełnienia, aż do wchłonięcia niematerialnej rzeczywistości — wchłonięcia niemożliwego w tej postaci, w jakiej jej pragniemy — oczekują owej żądzy w połowie drogi i znowuż towarzyszą jej w chwili wspomnienia, nawrotu. Zamiast policzków pierwszej lepszej, choćby najświeższych, ale bezimiennych, pozbawionych tajemnicy i uroku, całować lica, o których tak długo marzyłem, znaczyłoby poznać smak i soczystość jakże często oglądanego koloru. Widziało się kobietę, prosty obraz pomieszczony w dekoracji życia, kobietę — jak Albertyna — rysującą się na tle morza; i nagle można ten obraz zdjąć, postawić go koło siebie, oglą-

Pożądanie, Miłość

⁴⁷⁵nefryt — twarda, zwykle zielona skała, używana do wyrobu ozdobnych przedmiotów. [przypis edytorski]

⁴⁷⁶agnostycyzm — pogląd filozoficzny negujący możliwość pełnego poznania obiektywnej rzeczywistości, w szczególności wykluczający możliwość dowiedzenia się, czy bogowie lub Bóg istnieją oraz jaką mają naturę. [przypis edytorski]

dać kolejno jego wymiary, kolory, tak jakby się go przesuwano za szkłem stereoskopu⁴⁷⁷. Dlatego właśnie jedynie interesujące są kobiety nieco trudne, których nie zdobywa się od razu, o których zrazu nie wiemy nawet, czy kiedy będziemy je mogli posiadać. Bo znać je, zbliżyć się do nich, zdobywać je to znaczy zmieniać kształt, wielkość, oprawę ludzkiego obrazu; to jest lekcja względności w ocenie zjawiska, pięknego do oglądania na nowo, kiedy odzyskało swoją cienkość sylwetki w dekoracji życia. Kobiety, które się poznało po prostu u stręczycielki, nie interesują nas, bo pozostają niezmiennie.

Z drugiej strony Albertyna skupiała dokoła siebie wszystkie wrażenia serii morskiej, szczególnie mi drogiej. Zdawało mi się, że na policzkach tej dziewczyny mógłbym ucałować całą plażę Balbec.

— Jeżeli naprawdę pozwalasz się pocałować, wolałbym to odłożyć na później i dobrze wybrać moment. Ale żebyś tylko nie zapomniała wtedy, żeś mi pozwoliła. Trzeba mi dać „bon na pocałunek”.

— Mam go podpisać?

— A gdybym go wziął zaraz, czy i tak miałbym do niego prawo później?

— Zabawny jesteś ze swoimi bonami; wystawię ci nowy od czasu do czasu.

— Powiedz mi jeszcze jedno: wiesz, w Balbec, kiedy cię jeszcze nie znałem, często miałaś spojrzenie twarde, chytre; czy nie mogłabyś mi powiedzieć, o czym myślałaś w takich chwilach?

— Och, całkiem nie pamiętam.

— O, żeby ci pomóc: jednego dnia twoja przyjaciółka Gizela skoczyła równymi nogami przez krzesło, na którym siedział starszy pan. Staraj się sobie przypomnieć, coś pomyślała w tej chwili.

— Z Gizelą byliśmy w ogóle dość daleko; ot, należała ostatecznie do „bandy”, ale nie całkiem. Musiałam pomyśleć, że jest pospolita i źle wychowana.

— A! to wszystko?

Byłbym chciał przed pocałowaniem Albertyny móc ją na nowo napełnić tajemnicą, jaką była dla mnie na plaży, zanim ją poznałem; odnaleźć w niej krainę, gdzie żyła przedtem; w miejsce tej krainy, skoro jej nie znałem, mogłem bodaj wstawić wszystkie wspomnienia naszego życia w Balbec, plusk fal rozpryskujących się pod oknem, krzyki dzieci. Ale pozwalając spojrzeniom ślizgać się po różowej krągłości jej policzków, których łagodne linie zamierały u stóp pierwszych fal jej pięknych czarnych włosów, biegnących w kształcie ruchomych pagórków, wznoszących strome blanki i żłobiących falistości swoich bruzd, musiałem sobie powiedzieć: „Ostatecznie, skoro mi się to nie powiodło w Balbec, chcę wreszcie poznać smak tej nieznannej róży, policzków Albertyny. I skoro kręgi, przez jakie możemy przeprowadzić rzeczy i ludzi w biegu naszego istnienia, nie są zbyt liczne, będę mógł poniekąd uważać swoje istnienie za spełnione, skoro wyrwawszy z odległej ramy kwitnącą twarz, którą wybrałem wśród wszystkich innych, ściągnę ją na tę nową płaszczyznę, gdzie dostąpię wreszcie poznania jej przez wargi”. Powiadałem to sobie, bo sądziłem, że istnieje poznanie przez wargi; powiadałem sobie, że poznam smak tej cielesnej róży, bom nie pomyślał, że człowiekowi, istocie oczywiście mniej pierwotnej niż jeźowiec, a nawet niż wieloryb, brak jest wszelako jeszcze pewnej ilości zasadniczych narządów; a zwłaszcza nie posiada żadnego, który by służył do pocałunku. Ten nieistniejący organ zastępuje człowiek wargami, przez co dochodzi może do rezultatów nieco doskonalszych, niż gdyby był skazany na pieszczenie kochanki rogiem. Ale wargi, stworzone na to, aby przewodzić do podniebienia smak tego, co je kusi, muszą się zadowalać — nie rozumiejąc swej omyłki i nie przyznając się do swego rozczarowania — błędzeniem po powierzchni, muszą się objąć o zamknięcie nieprzenikalnej i upragnionej twarzy. Zresztą w tej chwili, w samym zetknięciu z ciałem, wargi — nawet przyjąwszy, że stałyby się sprawniejsze i lepiej obdarzone — również nie mogłyby z pewnością kosztować smaku, którego natura nie pozwala im obecnie pochwycić, bo w tej beznadziejnej strefie, gdzie nie mogą znaleźć swego pokarmu, zostały samotne; wzrok, a potem węch, opuściły je od dawna. Zrazu, w miarę jak moje usta zaczęły się zbliżać do twarzy, którą wzrok mój kazał

Pocałunek

⁴⁷⁷stereoskop — przyrząd optyczny służący do obserwowania fotografii stereoskopowych, złożonych z dwóch zdjęć tego samego obiektu, ale wykonanych z różnych punktów widzenia; bardzo popularny w XIX w., przed upowszechnieniem kina. [przypis edytorski]

im ucałować, wzrok ów, zmieniając miejsce, ujrzał nowe policzki; szyja, oglądana z bliska i niby pod lupą, ujawniła w ziarninie tkanki jędrność, która zmieniła charakter twarzy.

Ostatnie zdobycze fotografii ścielą u stóp katedry domy, które z bliska wydawały się nam często prawie równie wysokie jak wieże; każą się kolejno poruszać tym samym budowlom na kształt pułku, szeregami, tyralierą, zwartymi masami; zbliżają do siebie wzajem na Piazzetta⁴⁷⁸ dwie kolumny, przed chwilą tak od siebie odległe; oddalają bliskie Salute⁴⁷⁹ i umięją na białym i zatartym tle zamknąć olbrzymi widnokrąg pod łukiem mostu, w ramie okna, wśród liści znajdującego się na pierwszym planie i silnie zaznaczonego drzewa; stwarzają kolejno jednemu i temu samemu kościołowi ramę z arkad wszystkich innych. I uważam, że jedynie ten proces mógłby, w równym stopniu co pocałunek, z tego, co uważamy za jakąś rzecz o określonym wyglądzie, wydobyć sto innych rzeczy, którymi ona jest równie dobrze, skoro każda z nich jest wyrazem nie mniej uprawnionej perspektywy. Krótko mówiąc, tak samo jak w Balbec Albertyna wydawała mi się często rozmaita, tak teraz, jak gdybym, szalenie przyspieszając szybkość zmian perspektywy i zabarwienia, następczonym nam przez daną osobę w kolejnych spotkaniach, chciał je zawrzeć wszystkie w kilku sekundach, aby doświadczalnie odtworzyć zjawisko różnicujące osobowość jakiejś istoty i wydobyć wszystkie zawarte w niej możliwości — jedno z drugich, niby z futerału — w owej krótkiej wędrówce moich warg do jej policzka, ujrzałem dziesięć Albertyn; ta jedna dziewczyna stała się niby bogini o wielu głowach; ostatnia, którą widziałem, kiedym się starał zbliżyć do niej, ustępowała miejsca innej. Dopóki nie dotknął tej głowy, widziałem ją bodaj, dochodził mnie jej lekki zapach. Ale niestety, nasze nozdrza i oczy są równie źle umieszczone dla pocałunku, jak wargi źle są ukształtowane do tego celu; naraz oczy moje przestawały widzieć, potem mój nos, zgnieciony, nie czuł już żadnego zapachu... Nie poznałem przez to lepiej smaku upragnionej różowości, ale odgadłem z tych przykrych oznak, że wreszcie całuję twarz Albertyny.

Pocałunek

Czy to dlatego, żeśmy odgrywali scenę odwrotną do sceny z Balbec (wyobrażoną przez obrót bryły), gdy ja leżałem, a Albertyna siedziała (mając tym samym możliwość uniknięcia brutalnego ataku i kierowania przyjemnością wedle własnej chęci), czy dlatego przyzwoliła mi teraz z taką łatwością tego, czego mi odmawiała niegdyś z miną tak surową? (Bez wątpienia, rozkoszny wyraz, jaki przybierała dziś jej twarz za zbliżeniem moich warg, różnił się od owej dawnej miny zmianą nieskończenie drobną, ale zdolną zawrzeć cały dystans istniejący między gestem człowieka, który dobija rannego, a gestem człowieka, który go ratuje; między portretem wspaniałym lub okropnym). Nie wiedząc, czy mam być wdzięczny za odmianę Albertyny jakiemś mimowolnemu dobroczyńcy, który pracował dla mnie w ciągu ostatnich miesięcy w Paryżu lub w Balbec, sądziłem, że to nasza zobopólna pozycja była główną przyczyną tej odmiany. Ale Albertyna podała mi inną rację, mianowicie tę: „A bo wówczas w Balbec nie znałam cię jeszcze, mogłam myśleć, że masz złe zamiary”. Ten argument wprawił mnie w osłupienie. Albertyna wytoczyła go z pewnością szczerze. Tak trudno jest kobiecie w ruchach swoich członków, we wzruszeniach swego ciała, w sam na sam z przyjacielem rozpoznać ów nieznaną grzech i paniczny lęk, iż obcy człowiek zamierza ją do niego wciągnąć.

W każdym razie, jakie bądź zmiany zaszły od jakiegoś czasu w jej życiu — zmiany zdolne może wytłumaczyć fakt, że Albertyna tak łatwo użyczyła mojemu doraźnemu i czysto fizycznemu pragnieniu tego, czego w Balbec ze zgrozą odmówiła mojej miłości — bardziej zdumiewająca zmiana zaszła w Albertynie tegoż samego wieczoru, skoro tylko jej pieszczoty doprowadziły mnie do finału, który musiała z pewnością spostrzec; bałem się nawet, aby to w niej nie zrodziło lekkiego odruchu wstrętu i obrażonego wstydu, jakie zdradziła Gilberta w podobnym momencie za klombem laurów na Polach Elizejskich.

Rozkosz, Śmierć,
Dzieciństwo

Stało się przeciwnie. Już w chwili gdym położył Albertynę na łóżku i zaczął ją pieścić, przybrała wyraz, jakiego u niej nie znałem, wyraz powolnej, prostej, dziecięcej niemal uległości. Odsuwając od niej wszelkie myśli, wszelkie zwyczajne pretensje, chwila poprzedzająca rozkosz — podobna w tym do chwili, która następuje po śmierci — wróciła jej odmłodzonym rysom jak gdyby niewinność dzieciństwa. Niewątpliwie, wszelka istota, której talent ma się sposobność nagle objawić, staje się skromna, pilna i urocza;

⁴⁷⁸ *Piazzetta* (wł.: placyk) — przedłużenie placu św. Marka w Wenecji. [przypis edytorski]

⁴⁷⁹ *Salute* (pot.) — barokowa bazylika Santa Maria della Salute (wł.: św. Marii od zdrowia) w Wenecji. [przypis edytorski]

o ile zwłaszcza czuje, że tym talentem sprawia nam wielką przyjemność, sama jest z tego szczęśliwa, chce nam dać tę rozkosz pełną. Ale w tym nowym wyrazie twarzy było u Albertyny coś więcej niż zawodowa bezinteresowność, sumiennosc i szczodrość; było coś na kształt nagłego i konwencjonalnego oddania; w czym Albertyna sięgnęła dalej niż we własne dziecięstwo, odnalazła młodość swojego gatunku. Bardzo różna ode mnie, który nie pragnąłem niczego więcej poza fizycznym ukojeniem uzyskanym w końcu, Albertyna uważała widocznie, że byłoby z jej strony czymś zbyt pospolitym wierzyć, że ta fizyczna rozkosz może się obyć bez udziału serca i że czemuś kładzie koniec. Ona, tak spiesząca się przed chwilą, teraz — z pewnością i dlatego, że uważała, iż pocałunki wyrażają miłość i że miłość przeważa wszelkie obowiązki — kiedy jej przypominał obiad, mówiła:

— Ale to nic nie szkodzi, wierz mi, ja mam czas.

Zdawało się, że ją żenowałoby wstać po tym, co zrobiła, urażałoby to jej poczucie form. Tak Franciszka, kiedy, nie odczuwając pragnienia, uznała, że powinna przyjąć z przystojną wesołością kieliszek wina, którym ją częstował Jupien, nie ośmieliłaby się odejść zaraz po ostatnim łyku, choćby ją wzywał najpilniejszy obowiązek. Albertyna — i to była może (obok innej, która ujawni się później) przyczyna, która bez mojej wiedzy kazała mi jej pragnąć — była jednym z wcieleń młodej wieśniaczki francuskiej, której model znajduje się w Saint-André-des-Champs. Poznałem w niej — wspólne jej i Franciszce, która miała jednak stać się niebawem jej śmiertelnym wrogiem — uprzejmość dla gościa i dla innoziemca, obyczajność, szacunek łoża.

Franciszka, która po śmierci cioci Leonii czuła się obowiązana stale mówić bolesnym tonem, uważałaby za nieprzyzwoite w ciągu miesięcy poprzedzających ślub córki, gdyby ta, przechadzając się z narzeczonym, nie szła z nim pod ramię. Albertyna, leżąc bezwładnie obok mnie, powiadała:

— Masz ładne włosy, masz ładne oczy, milusi jesteś.

Kiedy, zwróciwszy jej uwagę, że jest późno, dodałem: „Nie wierzysz?” — odpowiedziała, co było może prawdą, ale dopiero od dwóch minut i na kilka godzin:

— Wierzę ci zawsze.

Mówiła o mnie, o mojej rodzinie, o mojej sferze. Powiadała: „Och, ja wiem, że twoi rodzice znają ludzi bardzo dystyngowanych. Jesteś w przyjaźni z Robertem Forestier i z Zuzią Delage”. W pierwszej chwili te nazwiska nie powiedziały mi nic. Ale nagle przypomniałem sobie, że w istocie bawiłem się na Polach Elizejskich z Robertem Forestier, którego nigdy od tego czasu nie widziałem. Co do Zuzi Delage, była to cioteczna wnuczka pani Blandais; miałem raz iść do niej na lekcję tańca, a nawet grać jakąś rolę w teatrze amatorskim w domu jej rodziców. Ale obawa, że dostanę ataku konwulsyjnego śmiechu i krwawienia z nosa, udaremniły tę wizytę, tak że nigdy owej Zuzi Delage nie widziałem. Co najwyżej przypominałem sobie coś mglisto, że nauczycielka z piórkiem od Swannów była wprzód u jej rodziców, ale może to była tylko siostra tej nauczycielki albo jej przyjaciółka. Upewniłem Albertynę, że Robert Forestier i Zuzanna Delage mało zajmują miejsca w moim życiu.

— Możliwe, wasze matki żyją blisko z sobą, to pozwala określić twoją pozycję. Często mijam się z Zuzią Delage na avenue de Messine; ma szyk.

Nasze matki znały się jedynie w wyobraźni pani Bontemps, która dowiedziawszy się, że niegdyś bawiłem się z Robertem Forestier (podobno deklamowałem mu jakieś wiersze), wywnioskowała stąd, że nasze rodziny żyją z sobą blisko. Ile razy pani Bontemps słyszała nazwisko mamy, zawsze podobno mówiła: „A, tak, to kółko Delage’ów, Forestierów itd.”, dając moim rodzicom dobry stopień, na który nie zasługiwali.

Zresztą pojęcia socjalne Albertyny odznaczały się zadziwiającą głupotą. Uważała, że Simonnetowie przez dwa „n” są czymś niższym nie tylko od Simonetów przez jedno „n”, ale od wszystkich innych możliwych osób. To, że ktoś nosi to samo nazwisko, nie będąc naszym krewnym, stanowi doniosłą rację gardzenia nim. Zapewne, bywają wyjątki. Może się zdarzyć, że dwaj Simonnetowie (przedstawieni sobie wzajem na jednym z owych zebrań, gdzie się odczuwa potrzebę mówienia o czymkolwiek i gdzie ludzie czują się nalożeni optymizmem, na przykład w orszaku pogrzebowym w drodze na cmentarz), stwierdziwszy wspólność nazwiska, dochodzą z wzajemną życzliwością, a bez rezultatu, czy nie ma między nimi jakiegoś pokrewieństwa. Ale to jest wyjątek. Wielu ludzi nie zasługuje na szacunek, ale my nie wiemy o tym lub nie dbamy o to. Ale jeżeli tożsa-

mość nazwiska sprawia, że nam doręczają ich listy lub odwrotnie, zaczynamy się odnosić do nich z nieufnością, często usprawiedliwioną. Obawiamy się omyłek, uprzedzamy je grymasem niesmaku, kiedy ktoś wspomni naszego imiennika. Czytając w dzienniku nasze nazwisko noszone przez niego, mamy uczucie, że on je sobie przywłaszczył. Grzechy innych członków społeczeństwa są nam obojętne. Obciążamy nimi tym ciężiej naszych imienników. Nienawiść, jaką żywimy dla innych Simonnet, jest tym silniejsza, że nie jest indywidualna, ale przekazywana dziedzicznie. Po upływie dwóch pokoleń pamięta się jedynie wzgardliwą minę, jaką dziadkowie nasi mieli dla innych Simonnetów; nie znamy jej przyczyn; nie zdziwiłaby nas wiadomość, że się to zaczęło od jakiegoś morderstwa. To trwa często aż do dnia, kiedy między jakąś Simonnetówną i Simonnetem — wcale nie krewnymi — sprawa zakończy się małżeństwem.

Albertyna mówiła mi nie tylko o Robercie Forestier i o Zuzi Delage, ale samorzutnie, z obowiązku zaufania, jakie stwarza zbliżenie ciał, przynajmniej z początku, zanim zrodzi specjalną dwoistość i skrytość w stosunku do tej samej istoty, opowiedziała mi o swojej rodzinie i o wuju Anny historię, której w Balbec nie chciała mi zdradzić ani słówkiem. Obecnie sądziła, że nie godzi się mieć dla mnie sekretów. Teraz, gdyby najlepsza przyjaciółka opowiedziała jej coś przeciw mnie, Albertyna uważałaby za swój obowiązek powtórzyć mi to.

Nalegałem, aby poszła do domu; poszła w końcu, ale tak zawstydzona za mnie moją niedelikatnością, że niemal śmiała się, aby mnie usprawiedliwić, niby pani domu, do której ktoś przyjdzie w marynarce; przyjmie takiego gościa, ale nie jest to jej obojętne.

— Śmiejesz się? — rzekłem.

— Nie śmieję się, uśmiecham się do ciebie — rzekła tkliwie. — Kiedy cię znów zobaczę? — dodała, jakby nie dopuszczając myśli, aby to, cośmy zrobili — będące zazwyczaj uwieńczeniem — nie było bodaj wstępem do wielkiej przyjaźni, do przyjaźni praistniejącej, którą naszą powinnością wobec samych siebie było odkryć, wyznaczyć sobie wzajem i która sama jedna mogła wytłumaczyć to, czegośmy się dopuścili.

— Skoro mnie upoważniasz, dam ci znać, jak tylko będę mógł.

Nie śmiałem jej powiedzieć, że uzależniam wszystko od możliwości widywania pani de Stermaria.

— Ale daruj, że to wypadnie niespodzianie, ja nigdy nie wiem z góry — rzekłem. — Czy byłoby możliwe ściągnąć cię kiedyś wieczorem, kiedy będę wolny?

— Niedługo będzie to bardzo możliwe, bo będę miała osobne wejście, niezależnie od ciotki. W tej chwili nie ma sposobu! W każdym razie zajdę na wszelki wypadek jutro lub pojutrze po południu. Przyjmiesz mnie, o ile będziesz mógł.

Doszedłszy do drzwi, zdziwiona, że jej nie wyprzedził, podała mi policzek, uważając, że nie potrzeba grubej fizycznej żądy na to, aby się teraz pocałować. Ponieważ krótkie stosunki, jakie nas łączyły przed chwilą, były z rzędu tych, do jakich prowadzi czasem najbliższa zażyłość i wybór serca, Albertyna uważała za swój obowiązek zaimprovizować i dodać doraźnie do pocałunków, jakieśmy wymienili na łóżku, uczucie, motywujące te pocałunki u rycerza i damy, takich jakich by mógł wyroić średniowieczny rybał⁴⁸⁰.

Kiedy mnie opuściła ta młoda Pikardka, którą mógłby wyrzeźbić w kruchcie snycerz⁴⁸¹ zdobiący kościół Saint-André-des-Champs, Franciszka przyniosła mi list, który mnie przejął radością. List był od pani de Stermaria; godziła się zjeść ze mną obiad. Od pani de Stermaria — to znaczy dla mnie więcej niż od pani de Stermaria rzeczywistej: od tej, o której myślałem cały dzień przed przybyciem Albertyny. To jest straszliwe oszukiwanie miłości, że zaczyna nas mamić nie kobietą ze świata realnego, ale lalką zamieszkałą w naszym mózgu, jedyną zresztą, którą mamy zawsze do rozporządzenia, jedyną, którą będziemy posiadali, którą dowolność wspomnienia, prawie równie absolutna jak dowolność wyobraźni, może uczynić tak odmienną od kobiety rzeczywistej, jak rzeczywiste Balbec było dla mnie różne od Balbec marzonego — sztuczny twór, do którego pomału, ku naszej męce, upodobnimy realną kobietę.

Albertyna tak mnie zapóźniła, że kiedym przybył do pani de Villeparisis, przedstawienie skończyło się właśnie. Niezbyt miałem ochotę przeciskać się przez tłum gości,

⁴⁸⁰rybał — średniowieczny wędrowny śpiewak a. aktor. [przypis edytorski]

⁴⁸¹snycerz — artysta bądź rzemieślnik rzeźbiący w drewnie, dawniej także w kamieniu. [przypis edytorski]

który odpływał, komentując wielką nowinę: separację (podawano ją za fakt dokonany) księstwa Błajejów. W oczekiwaniu, aż będę się mógł przywitać z panią domu, siadłem na pustej berzerce⁴⁸² w saloniku, kiedy z głównego salonu, gdzie z pewnością siedziała w pierwszym rzędzie krzesel, wyłoniła się księżna Oriana — majestatyczna, duża i wysoka, w długiej atlasowej żółtej sukni, haftowanej w ogromne czarne maki. Widok jej nie budził już we mnie żadnego wzruszenia. Pewnego dnia mama rzekła do mnie, kładąc mi ręce na czole, jak miała zwyczaj czynić, kiedy się bała, że mi sprawi przykrość: „Nie rób tych wypraw na spotkanie pani de Guermantes; cały dom śmieje się z tego. Widzisz zresztą, jaka babcia jest chora; doprawdy, masz ważniejsze rzeczy niż czatować na kobietę, która sobie drwi z ciebie”. I za jednym zamachem, jak hipnotyzer, gdy ci otwiera oczy i sprowadza cię z powrotem z dalekiego kraju, gdzie bawiłeś wyobraźnią, lub jak lekarz, gdy budząc w tobie poczucie obowiązku i rzeczywistości, leczy cię z urojonej choroby, w której się lubowałeś, matka obudziła mnie z nazbyt długiego snu. Następnego dnia obróciłem na ostatnie pożegnanie z chorobą, której się wyrzekałem; płacząc, śpiewałem przez kilka godzin *Pożegnanie Schuberta*⁴⁸³.

...Żegnaj — dziwne głosy
Wzywają cię, aniele, byś leciał w niebiosy.

A potem, już był koniec. Przerwałem swoje ranne spacerowanie, i to tak łatwo, że wyciągnąłem z tego wróżbę — fałszywą, jak się okaże później — że łatwo przyzwyczaiłbym się do tego, aby nie widzieć już kobiety w ciągu życia. A kiedy potem Franciszka opowiedziała mi, że Jupien, chcąc powiększyć swój zakład, szuka sklepu w sąsiedztwie, wówczas, pragnąc dla niego coś znaleźć, mogłem podjąć na nowo swoje spacerowanie. Czułem się szczęśliwy, iż wałęsając się po ulicy, którą już z łóżka słyszałem krzyczącą lśniąco na kształt plaży, widzę pod żelazną podniesioną żaluzją mleczarni młode mleczarki o białych rękawach. Czułem się bardzo swobodny, bo miałem świadomość, że nie robię już tego dla widzenia pani de Guermantes; coś niby kobieta, która zachowuje nieskończone ostrożności, dopóki ma kochanka, z chwilą zaś gdy z nim zerwała, pozwala się wałęsać jego listom, narażając się na to, że mąż odkryje tajemnicę błędu, którego przestała się obawiać z chwilą, gdy się go przestała dopuszczać.

Prawdziwą przykrość sprawiało mi odkrycie, że prawie wszystkie domy zamieszkałe były przez ludzi nieszczęśliwych. Tu żona płakała bez ustanku, bo ją mąż zdradzał. Gdzie indziej — odwrotnie. Ówdzie znów pracowita matka, grzmocona przez syna pijaka, starała się kryć swoje niedole przed oczami sąsiadów. Połowa ludzkości płakała. A kiedy poznałem tę połowę, przekonałem się, że jest tak nieznośna, iż pytałem sam siebie, czy słuszność nie jest po stronie cudzołóżnego męża lub wiarołomnej żony, którzy byli wiarołomni jedynie dlatego, że im odmówiono legalnego szczęścia, stawali się zaś czarujący i uczciwi dla każdego innego niż własna żona i własny mąż.

Niebawem moje ranne przechadzki straciły pretekst pomożenia Jupienowi. Okazało się, że stolarz, którego warsztat w dziedzińcu oddzielało od sklepu Jupiena jedynie cienkie przepierzenie, ma dostać wypowiedzenie od rządu, bo robi zbyt hałas. Jupien nie mógł marzyć o czymś lepszym; warsztat miał suteryny, dotąd służące stolarzowi na skład drzewa, a komunikujące⁴⁸⁴ z naszą piwnicą. Jupien znalazłby tam pomieszczenie na węgle, usunąłby przepierzenie i miałby jeden obszerny sklep. Ale nawet bez tego pretekstu dalej wychodziłem na spacer przed śniadaniem. Zresztą Jupien, uważając, że cena księcia de Guermantes jest zbyt wygórowana, pozwalał oglądać warsztat w nadziei, iż książę, zwątpiwszy, czy znajdzie lokatora, zdecyduje się na opust; przy czym Franciszka, zauważywszy, że nawet po godzinach przeznaczonych na oglądanie lokalu odźwierny zostawia otwarte

⁴⁸²berzerka — niski, szeroki fotel z wyścielanym, pełnym oparciem i siedzeniem, na którym kładziono poduszkę. [przypis edytorski]

⁴⁸³„Pożegnanie” Schuberta — pieśń *Adieu!*, opublikowana w Paryżu ok. 1835, opisana na stronie tytułowej jako kompozycja „F. Schuberta”, z francuskim tekstem Edouarda Belangera; jednak prawdziwym autorem muzyki był August Heinrich von Weyrauch (1788–1865), który skomponował ją do tekstu wiersza Karla Friedricha Gottloba Wetzego i wydał w 1824 pod tytułem *Nach Osten* (Na wschód); pieśń zyskała sobie popularność, często łączono ją z nazwiskiem Franza Schuberta (1797–1828), znanego austriackiego kompozytora muzyki romantycznej, i umieszczano w zbiorach jego utworów. [przypis edytorski]

⁴⁸⁴komunikować (daw.) — łączyć się, być połączonym. [przypis edytorski]

drzwi od sklepu stojącego pustką, zwęszyła zasadzkę zastawioną przez odźwiernego po to, aby zwabić narzeczoną lokaja Guermantów (znaleźliby tam gniazdko dla swojej miłości), a potem ich zaskoczyć.

Jak bądź się rzeczy miały, mimo że już nie potrzebowałem szukać sklepu dla Jupiena, dalej wychodziłem przed śniadaniem. Często w czasie tych spacerów spotykałem pana de Norpois. Zdarzało się, że rozmawiając z którymś z kolegów, kierował na mnie spojrzenie, które zbadawszy mnie gruntownie, wracało bez uśmiechu i bez ukłonu, tak jakby mnie ambasador wcale nie znał. Bo u tych ważnych dyplomatów popatrzeć w pewien sposób zgoła nie ma na celu okazać, że nas widzieli, ale że nas nie widzieli i że mają do pomówienia z kolegą o jakiejś ważnej sprawie.

Wysoka dama, którą mijałem często w pobliżu domu, była ze mną mniej ceremonialna. Bo mimo że jej nie znałem, obracała się w moją stronę, oczekiwała mnie — na próżno — przed witrynami sklepów, uśmiechała się do mnie tak, jakby mnie miała uściskać, oddawała się gestem. Jeśli spotkała kogoś, kto ją znał, przybierała z powrotem lodowatą minę.

Już od dawna w czasie tych rannych spacerów — wedle tego, com miał załatwić, boddaj aby kupić byle jaką gazetę — wybierałem drogę najprostszą, bez żalu, gdy leżała poza zwyczajną drogą księżnej, a bez skrupułów i komedii, jeżeli, przeciwnie, wiodła tamtędy. Bo ta droga nie była już dla mnie drogą zakazaną, gdzie wydzierałem niewdzięcznej fawor⁴⁸⁵ oglądania jej wbrew woli. Ale nie myślałem, że moje uleczenie, dając mi w stosunku do pani de Guermantes normalną postawę, równoległe sprawi w niej ten sam skutek, umożliwiając jej uprzejmość i sympatię, o które już nie stałem⁴⁸⁶. Dotychczas sprzymierzone wysiłki całego świata w tym, aby mnie do niej zbliżyć, byłyby daremne wobec złych uroków, jakie rzuca nieszczęśliwa miłość. Potężniejsze od ludzi wróżki postanowiły, że w takich wypadkach nic nam nie pomoże, aż do dnia, w którym szczerze wyrzeczemy w sercu swoim słowa: „Nie Kocham już”. Miałem żal do Roberta, że mnie nie wprowadził do ciotki. Ale jak nikt inny, tak i on nie miał mocy przełamania czarów. Dopóki się kochał w pani de Guermantes, objawy uprzejmości, jakich doznawałem od innych, ich komplementy, robiły mi przykrość, nie tylko dlatego, że nie pochodziły od niej, ale dlatego, że ona o nich nie wiedziała. Otóż gdyby nawet wiedziała, na nic by się to nie zdało. Nawet w trakcie jakiegoś uczucia wyjazd, wymówienie się od obiadu, mimowolna i nieświadoma oschłość więcej pomagają niż wszystkie kosmetyki i najpiękniejsze stroje. Byłoby więcej karierowiczów, gdyby w tym sensie uczono sztuki robienia kariery.

W chwili gdy księżna mijała salonik, z myślą pełną przyjaciół, których nie znałem, a których miała może spotkać za chwilę w innym salonie, ujrzała mnie na berżerce. Zobojętniawszy dla niej naprawdę, pragnąłem być po prostu miły; podczas gdy dopóki kochałem, siliłem się — bez rezultatu — przybierać wyraz obojętności. Księżna skrzyła, podeszła do mnie, odnajdując uśmiech z owego wieczora w Operze — uśmiech, którego nie gasiło już przykre uczucie, że kocha ją ktoś, kogo ona nie kocha:

— Nie, niech się pan nie rusza; czy pozwoli pan, abym siadła na chwilę koło pana? — rzekła, unosząc wdzięcznie olbrzymią spódnicę, która inaczej zajęłaby całą berżerkę.

Większa ode mnie i jeszcze powiększona całą objętością swojej sukni, księżna muskała mnie prawie swoim cudnym nagim ramieniem, dokoła którego niedostrzegalny, a gęsty puszek wznosił nieustannie niby złocistą parę. Jasne jej włosy poiły mnie zapachem. Nie mogąc z braku miejsca łatwo obrócić się do mnie, zmuszona patrzeć raczej przed siebie niż w moją stronę, pani de Guermantes przybrała wyraz marzący i słodki jak na portrecie.

— Ma pan wiadomości od Roberta? — spytała.

W tej chwili przechodziła pani de Villeparisis.

— A, przychodzi pan o ładnej godzinie, szanowny panie, jak na ten jeden raz, kiedy się pana udało złapać!

Spostrzegłszy, że rozmawiam z jej siostrzenicą, pomyślała może, że jesteśmy bliżej, niż sądziła.

⁴⁸⁵fawor (daw.) — wyróżnienie, łaska; przychyłność, względy. [przypis edytorski]

⁴⁸⁶nie stać o coś (daw.) — nie dbać o coś. [przypis edytorski]

— Ale nie chcę państwu przeszkadzać — dodała (bo usługi rajfurki należą do obowiązku gospodyni domu). — Czy nie zechciałby pan zjeść u mnie obiadu we środę razem z Orianą?

Był to dzień spodziewanego obiadu z panią de Stermaria; odmówiłem.

— A w sobotę?

Matka wracała w sobotę lub niedzielę, byłoby nieładnie zostawić ją samą; odmówiłem znowu.

— Och, widzę, że pana nie łatwo jest zdobyć.

— Czemu pan nie przyjdzie nigdy do mnie? — rzekła pani de Guermantes, kiedy pani de Villeparisis oddaliła się, aby powinszować artystom i wręczyć diwie⁴⁸⁷ bukiet róż, któremu całą wartość dawała ręka ofiarodawczyni, bo kosztował tylko dwadzieścia franków. (Była to zresztą najwyższa cena margrabiny, kiedy ktoś śpiewał tylko raz. Osoby, które usławiły swoim talentem wszystkie poranki i wieczory, otrzymywały róże jej pędzla).

— To idiotyczne tak się widywać tylko u innych. Skoro pan nie chce zjeść ze mną obiadu u ciotki, czemu nie miałby pan przyjść na obiad do mnie?

Niektóre osoby, pozostałe pod lada pozorem możliwie najdłużej, ale wychodzące narreszcie, widząc księżnę zagadaną z młodym człowiekiem na meblu tak ciasnym, że można się na nim było zmieścić tylko we dwoje, pomyślały, że je źle poinformowano i że to nie księżę, ale księżna żąda separacji z mojego powodu. Zatem pospieszyli rozgłaszać tę nowinę. Lepiej niż ktokolwiek mogłem ocenić jej niedorzeczność. Ale byłem zdumiony, że w owych trudnych okresach, kiedy się przebąkiwało o separacji, księżna zamiast szukać samotności zaprasza właśnie kogoś, kogo zna tak mało. Zacząłem podejrzewać, że to tylko księżę nie pozwalał żonie zaprosić mnie i że teraz, skoro mąż ją rzuca, księżna nie widzi już przeszkód w otaczaniu się ludźmi, do których czuje sympatię.

Dwie minuty przedtem byłbym zdumiony, gdyby mi ktoś powiedział, że pani de Guermantes zaprosi mnie do siebie, tym bardziej na obiad. Wiedziałem, zapewne, że salon państwa de Guermantes nie może posiadać właściwości, jakie wysnułem z tego nazwiska; mimo to świadomość, że jest on dla mnie zamknięty, kazała mi darzyć go tym samym rodzajem istnienia, co salony, których opis czytaliśmy w powieści lub których obraz widzieliśmy we śnie. To sprawiło, że nawet kiedyś był pewny, że ów salon podobny jest do wszystkich innych, roilem go sobie całkowicie odmiennym; między mną a nim była granica, przy której się kończy rzeczywistość. Być na obiedzie u państwa de Guermantes to było coś niby z dawna upragniona podróż, ucieleśnienie marzeń, zawarcie znajomości ze snem. Mogłbym bodaj przypuszczać, że chodzi o jeden z tych obiadów, na które gospodarstwo domu zapraszają kogoś, mówiąc: „Niech pan przyjdzie, nie będzie *absolutnie* nikogo prócz nas”, udając, że przypisują pariasowi⁴⁸⁸ lęk przed myślą o zetknięciu się z ich przyjaciółmi, i starając się zmienić w szacowny przywilej (zastrzeżony jedynie dla najbliższych) kwarantannę „dzikusa mimo woli”, wykluczonego, a rzekomo wybranego. Ale zrozumiałem, przeciwnie, że pani de Guermantes pragnie mnie uraczyć tym, co ma najprzyjemniejszego, kiedy mi powiedziała, przesuwając równocześnie przed moimi oczami niby fiołkowy czar przybycia Fabrycego do domu ciotki oraz cud jego prezentacji hrabiemu Mosca w *Pustelni Parmeńskiej*.

— Czy w piątek byłby pan wolny, w małym kółku? To byłoby ślicznie. Będzie księżna Parmy, która jest uroczą; zresztą nie zapraszałabym pana, gdyby pan nie miał spotkać ludzi przyjemnych.

W ruchomych sferach „świata”, pochłoniętych nieustannym ruchem wstępującym, rodzina idzie w zaniedbanie; gra ona natomiast ważną rolę w sferach ustabilizowanych, jak drobna burżuazja i jak najwyższa arystokracja, która nie może się wspinać wyżej, bo nad nią, z jej swoistego punktu widzenia, nie ma nic. Przyjaźń, jaką mi okazowali „ciotka Villeparisis” i Robert, zrobiły może ze mnie dla pani de Guermantes i dla jej przyjaciół, żyjących wciąż samymi sobą i w tym samym kółku, przedmiot zainteresowania, któremu się nie domyślał.

⁴⁸⁷ *diwa* (z wł. *diva*: boska) — gwiazda sceny, słynna śpiewaczka, aktorka lub tancerka. [przypis edytorski]

⁴⁸⁸ *parias* — członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]

Pani de Guermantes znalazła tych krewnych znajomością rodzinną, codzienną, pospolitą, bardzo różną od tego, co sobie wyobrażamy; o ile zaś my sami dostaniemy się w sferę tej świadomości, postęпки nasze, bynajmniej nie wyrzucone z niej niby pyłek z oka lub kropla wody z tchawicy, mogą w niej pozostać wyryte, i jeszcze po latach, kiedyśmy je sami zapomnieli, mogą być tematem rozmów i komentarzy w jakimś pałacu, gdzie odnajdujemy je ze zdumieniem, niby nasz własny list w cennej kolekcji autografów.

Zwykli światowcy mogą bronić swoich zbyt obleganych drzwi. Ale drzwi Guermantów nie oblegano. Ktoś obcy prawie nie miał sposobności przekroczyć ich. Skoro księżnej zwrócono na kogoś uwagę, nie troszczyła się o jego ewentualne walory światowe, bo to była rzecz, której ona sama używała i tym samym nie mogła jej przyjąć z zewnątrz. Brała w rachubę jedynie istotne wartości takiego człowieka, a pani de Villeparisis i Saint-Loup upewnili ją, że je posiadają. Ale z pewnością nie byłaby im uwierzyła, gdyby nie zauważyła, że nie mogą mnie nigdy ściągnąć wówczas, gdy pragną, zatem, że nie zależy mi na „świecie”, co zdawało się księżnej rękojmią, że ktoś obcy należy do „ludzi przyjemnych”.

Trzeba było widzieć, jak wśród rozmowy o kobietach, których nie bardzo lubiła, natychmiast zmieniała się księżnej twarz, jeśli z okazji którejś z tych pań wymieniło się na przykład jej bratową. „Och! urocza jest” — powiadała księżna o nieznajomej, tonem subtelnej i niezłomnej pewności. A jedyną racją, którą to uzasadniała, był fakt, że owa dama nie dała się przedstawić margrabinie de Chaussegros i księżnej Sylistrii. Ale nie dodawała, że ta dama nie zgodziła się również, aby ją przedstawiono jej samej, księżnej de Guermantes. Ale tak było, i od tego dnia myśl księżnej siliła się odgadnąć, co może się dziać w domu osoby tak trudnej do poznania. Umierała z ochoty bywania u niej. Ludzie z wielkiego świata tak przywykli być celem zabiegów, że ktoś, kto ich unika, wydaje się im jakimś feniksem⁴⁸⁹ i przykuwa ich uwagę.

Czy prawdziwą pobudką zaproszenia mnie stała się w duszy księżnej de Guermantes (od czasu jak jej już nie kochałem) okoliczność, że się nie ubiegałem o towarzystwo jej krewnych, gdy oni ubiegali się o moje? Nie wiem. W każdym razie, zdecydowawszy się mnie zaprosić, chciała mnie ugościć tym, co miała najlepszego, wykluczając tych swoich bliskich, którzy mogliby mnie zrazić do jej domu, o których wiedziała, że są nudni. Nie wiedziałem, czemu przypisać zmianę kierunku księżnej, kiedym ją ujrzał, jak zbacza ze swojej astronomicznej drogi, siada koło mnie i zaprasza mnie na obiad — wszystko skutek jakichś przyczyn nieznanych, z braku specjalnego zmysłu, który by nas oświecał w tej mierze. Wyobrażamy sobie, że ludzie, których mało znamy — jak ja księżnę — myślą o nas jedynie w rzadkich chwilach, kiedy nas widzą. Otóż ta idealna niepamięć, jaką im przypisujemy w stosunku do nas, jest najzupełniej dowolna. Tak iż podczas gdy w absolutnej ciszy, podobnej do ciszy pięknej nocy, wyobrażamy sobie rozmaite królowe salonów wędrujące po niebie w nieskończonej odległości, nie możemy się powstrzymać od przykrego lub miłego wstrząsu, kiedy niby aerolit⁴⁹⁰ z wyrytym naszym nazwiskiem, któregośmy uważali za nieznaną na Wenus czy na Kasjopei — spadnie na nas zaproszenie na obiad albo złośliwa plotka.

Może czasem, na podobieństwo perskich królów, którzy, wedle *Księgi Estery*⁴⁹¹, kazali sobie odczytywać rejestry, gdzie były zapisane imiona osób szczególnie im oddanych, pani de Guermantes, przeglądając listę życzliwych ludzi, powiedziała sobie o mnie: „Tęgo trzeba zaprosić na obiad”. Ale inne myśli rozproszyły jej uwagę

(Nad ważnymi sprawami nieustanna praca
Wciąż ku nowym przedmiotom władcy myśl obraca)

⁴⁸⁹feniks — legendarny ptak odradzający się co kilkaset lat z popiołów; wg Pliniusza na świecie miał istnieć tylko jeden Feniks; tu przen.: coś nadzwyczajnego i trudnego do znalezienia. [przypis edytorski]

⁴⁹⁰aerolit — meteoryt kamienny. [przypis edytorski]

⁴⁹¹*Księga Estera* — biblijna księga, wg której perski król Achaszwerosz (Ahaswer) oddalił swoją piękną żonę Waszti, ponieważ podczas publicznej uczyt okazała nieposłuszeństwo jego rozkazom. Haman, pierwszy minister króla, nienawidził Żydów i skłonił władcę, by ten wydał rozkaz ich zglądzenia. Tymczasem Achaszwerosz, szukając następczyni Waszti, pokochał i poślubił żydowską dziewczynę Estere, która postępując wedle wskazówek swego wuja i opiekuna Mordechaja (Mardocheusza), wpłynęła na cofnięcie okrutnego zarządzenia, ocalając w ten sposób swój lud. Haman i jego synowie zostali powieszani, a miejsce niegodziwego ministra zajął Mordechaj. Na pamiątkę tego cudownego ocalenia Żydzi obchodzą święto Purim. [przypis edytorski]

aż do chwili, w której ujrzała mnie samego niby Mardocheusza u bram pałacu; skoro zaś mój widok odświeżył jej pamięć, zapagnęła mnie, niby Ahaswer, obsypać swymi dary.

Ale muszę powiedzieć, że po zdziwieniu, któremu doznał w chwili, gdy mnie pani de Guermantes zaprosiła, miało nastąpić zdziwienie wręcz przeciwnego rodzaju. Kiedym uważał za skromniejsze i wdzięczniejsze z mojej strony nie ukrywać tego pierwszego zdziwienia, ale przeciwnie, wyrazić — bodaj z przesadą — radość, jaką ono kryje, pani de Guermantes, już spiesząca się na ostatnie przyjęcie, powiedziała, niemal jako usprawiedliwienie i z obawy, że ja nie wiem dobrze, kim ona jest, skoro mnie zdziwiło, że ona mnie zaprosiła: „Pan wie, ja jestem ciotka Roberta de Saint-Loup, który pana bardzo lubi, zresztą spotkaliśmy się już tutaj”. Odrzekłem, że wiem o tym, i dodałem, że znam także pana de Charlus, który „był bardzo miły dla mnie w Balbec i w Paryżu”. Pani de Guermantes wydała się zdumiona; spojrzenia jej zdawały się kierować — jak gdyby dla sprawdzenia czegoś — na dawniejszą już stronicę wewnętrznej księgi. „Jak to, pan zna Palamedę?” Imię to nabierało w ustach pani de Guermantes wielkiej słodyczy z powodu bezwiednej prostoty, z jaką mówiła o człowieku tak świetnym, który dla niej był tylko szwagrem, kuzynem, towarzyszem lat dziecińczych. I w mętną szarość, jaką było dla mnie życie księżnej de Guermantes, imię „Palamed” wносиło jakby jasność długich letnich dni, w których bawiła się z nim jako młoda dziewczyna w parku w Guermantes. Co więcej, w owej od dawna minionej epoce ich życia Oriana de Guermantes i jej kuzyn Palamed byli bardzo różni od tego, czym się stali potem; pan de Charlus zwłaszcza, całkowicie oddany pasjom artystycznym — później tak skutecznie poskromionym, iż zdumiałem się, słysząc, że to on malował olbrzymi wachlarz w czarno-żółte irysy, który rozwijała w tej chwili księżna. Mogłaby mi także pokazać sonatinę, którą niegdyś skomponował dla niej. Nie miałem pojęcia, że baron posiada wszystkie te talenty, o których nie mówił nigdy.

Powiedzmy mimochodem, iż pan de Charlus nie był zbyt kontent, że go w rodzinie nazywano Palamedem⁴⁹². Co się tyczy zdrobnienia „Mémé”, można by jeszcze zrozumieć, że mu się ono nie podoba. Te idiotyczne skróty są znakiem niezrozumienia arystokracji dla własnej poezji (judaizm okazuje zresztą takie same niezrozumienie, skoro jednego z siostrzeńców lady Rufus Israel, mającego na imię Mojżesz, nazywano potocznie w towarzystwie „Momo”), a zarazem jej troski o to, aby się nie wydawało, iż przywiązuje wagę do tego, co jest arystokratyczne. Otóż, pan de Charlus miał na tym punkcie więcej poetyckiej wyobraźni i więcej ostentacyjnej dumy. Ale przyczyną, dla której nie lubił zbyt zdrobnienia „Mémé”, było widocznie coś innego, skoro niechęć barona obejmowała także imię Palamed. Faktem jest, iż w poczuciu, że pochodzi z udzielnej rodziny, byłby chciał, aby brat i bratowa mówili o nim „Charlus”, tak jak królowa Maria Amelia lub księżę Orleanu mogli mówić o swoich dzieciach, wnukach, bratankach i braciach: „Joinville”, „Nemours”, „Chartres”, „Paris”.

— Co on za ciuciubabki urządza, ten Mémé! — wykrzyknęła księżna. — Mówiliśmy mu dużo o panu; oświadczył, że byłby bardzo rad pana poznać, absolutnie tak, jakby pana nigdy nie widział na oczy. Niech pan przyzna, że on jest zabawny i — choć to może nie bardzo ładnie z mojej strony tak mówić o szwagrze, którego uwielbiam i którego rzadkie przymioty podziwiam — chwilami trochę niepoczytalny?

Bardzo mnie uderzyło to słowo zastosowane do pana de Charlus; pomyślałem, że ta jego niepoczytalność tłumaczy może niektóre rzeczy, na przykład jego upojenie pomysłem poproszenia Blocha, aby zbił własną matkę. Uświadomiłem sobie, że pan de Charlus jest trochę niepoczytalny nie tylko w tym, co mówi, ale w sposobie, w jaki to mówi. Za pierwszym razem, kiedy się słyszy adwokata lub aktora, zdumiewa nas ich ton, tak różny od zwykłej rozmowy. Ale ponieważ zdajemy sobie sprawę, że wszyscy to uważają za całkiem naturalne, nie mówimy nic innym, nie mówimy nic samym sobie, poprzestajemy na ocenie stopnia talentu. Co najwyżej myśli się o aktorze z Komedii Francuskiej:

⁴⁹²Palamed (mit. gr.) — heros, syn Naupliosa, króla Eubei; odkrył podstęp Odysuseusza broniącego się przed udziałem w wyprawie na Troję i udającego obląkanego; w zemście za to Odysseusz podrzucił w jego namiocie sfalszowany list Priama, a następnie oskarżył o zdradę; Palamedesa uznano za winnego, zginął ukamienowany przez Odysuseusza i Diomedesa; wg innej wersji zabili go podczas polowu ryb; miał być wynalazcą liter, miar i wag, umiejętności obliczania, astronomii, praw pisanych itd.; choć nie występuje w eposach Homera, był tytułowym bohaterem zaginionych tragedii Sofoklesa, Eurypidesa i Ajschylosa. [przypis edytorski]

„Czemu zamiast spuścić po prostu rękę opuszcza ją przerywanymi ruchami co najmniej przez dziesięć minut?” lub o jakimś Labori⁴⁹³: „Czemu, od chwili gdy otworzył usta, wydaje nieoczekiwane tragiczne dźwięki, aby powiedzieć najprostszą rzecz?”. Ale ponieważ wszyscy przyjmują to *a priori*⁴⁹⁴, nie razi to nas. Tak samo po zastanowieniu stwierdzało się, że pan de Charlus mówi o sobie z emfazą, tonem zgoła odmiennym od tonu zwykłej rozmowy. Właściwie powinno by się co chwilę mówić mu: „Ależ czemu pan tak głośno krzyczy? Czemu pan jest taki arogancki?”. Ale zdaje się, iż wszyscy akceptowali milcząco, że tak już jest. I wchodziło się w krąg osób, które przysłuchiwały się z zachwytem, gdy on perorował. Ale w pewnych momentach ktoś obcy pomyślałby, że słyszy krzyki wariata.

— Ale czy pan jest pewny, że panu się nie myli, że pan w istocie mówi o moim szwagrze Palamedzie? — dodała księżna z lekką impertynencją, jaką barwiła się u niej prostota.

Odpowiedziałem, że jestem absolutnie pewny i że pan de Charlus musiał nie dosłyszeć mego nazwiska.

— I cóż, muszę pana pożegnać — rzekła jakby z żalem pani de Guermantes. — Muszę zająć na sekundę do księżnej de Ligne. Pan tam nie idzie? Nie, pan nie lubi świata? Ma pan wielką rację, to rozpaczliwe. Gdybym ja nie musiała! Ale to moja kuzynka, to by było niegrzecznie. Żałuję tego samolubnie, dla siebie, bo mogłabym pana tam zawieść, nawet potem odwieść do domu. Ha! więc do widzenia, i cieszę się na srode.

To, że pan de Charlus wstydził się mnie przed panem d'Argencourt — przypuścmy. Ale żeby przed własną bratową, i to mającą o nim tak wysokie pojęcie, wyparł się mojej znajomości — tak naturalnej, skoro znałem i jego ciotkę, i jego siostrzeńca — tego nie mogłem pojąć.

Trzeba mi jeszcze zaznaczyć, że z pewnego punktu widzenia pani de Guermantes posiadała prawdziwą wielkoduszność, polegającą na całkowitym wymazaniu tego, co by u innych zostawiło nieuchronne ślady. Gdyby mnie nie spotykała nagabującego ją, goniącego za nią, tropiącego ją w czasie rannych spacerów; gdyby nigdy nie odpowiadała na mój codzienny ukłon z wyraźnym znudzeniem; gdyby nigdy nie odprawiła z kwitkiem Roberta, kiedy ją błagał, by mnie zaprosiła, nie mogłaby być dla mnie szlachetniej i naturalniej uprzejma. Nie wdawała się w retrospektywne wyjaśnienia, w półsłówka, aluzje, dwuznaczne uśmiechy; w swojej obecnej życzliwości, bez oglądania się wstecz, bez zastrzeżeń, miała coś równie hardo prostolinijnego jak jej majestatyczna postawa; urazy, jakie mogła żywić do kogoś w przeszłości, były tak całkowicie obrócone w popiół, nawet ten popiół tak był wymieciony z jej pamięci lub przynajmniej z jej zachowania się, że patrząc na jej twarz w chwili, gdy traktowała z najpiękniejszą prostotą coś, co u tyłu innych byłoby pretekstem do rekryminacji⁴⁹⁵ i dąsów — miało się wrażenie jakiegoś oczyszczenia.

Ale o ile czułem się zdumiony odmianą księżnej w stosunku do mnie, o ileż bardziej dziwiłem się, znajdując w sobie znacznie większą jeszcze zmianę w stosunku do niej. Jakże niedawną była chwila, kiedy odzyskiwałem życie i siły jedynie w momencie, gdy — budując wciąż nowe projekty — znalazłem kogoś, kto by mnie mógł do niej wprowadzić i kto by po tym pierwszym upojeniu dostarczył wielu innych upojeń mojemu coraz to bardziej wymagającemu sercu. Niemożność wymyślenia czegoś kazała mi jechać do Doncières do Roberta. I teraz oto miało mną wzruszenie będące następstwem jego listu, ale z powodu pani de Stermaria, nie zaś pani de Guermantes.

Aby skończyć z tym wieczorem, dodajmy, iż zaszedł na nim fakt (sprostowany w kilka dni później), który mnie zdziwił i który mnie na jakiś czas poróżnił z Blochem; fakt stanowiący sam przez się jedną z owych osobliwych sprzeczności, których objaśnienie znajdzie czytelnik z końcem następnego tomu (*Sodoma I*). Zatem tego wieczora u pani de Villeparisis Bloch wciąż wychwalał przede mną uprzejmość pana de Charlus, który kiedy go spotkał na ulicy, patrzył mu w oczy tak, jakby go znał, jakby go miał ochotę poznać, jakby doskonale wiedział, kim on jest. Uśmiechnąłem się zrazu; pamiętałem,

⁴⁹³ Labori, *Fernand* (1860–1917) — francuski adwokat i polityk, obrońca w głośnych procesach Alfreda Dreyfusa i Émile'a Zoli. [przypis edytorski]

⁴⁹⁴ *a priori* (łac.) — z góry, z założenia. [przypis edytorski]

⁴⁹⁵ *rekryminacja* (z łac.) — odpowiadanie komuś zarzutem na zarzut, wzajemne obwinianie się. [przypis edytorski]

jak ostro Bloch wyrażał się w Balbec o tym samym panu de Charlus. Pomyślałem po prostu, że Bloch, na podobieństwo swego ojca w stosunku do Bergotte'a, zna barona „ot tak”. I że to, co Bloch brał za jego uprzejmość, było po prostu roztargnieniem. Ale, ostatecznie, Bloch podawał szczegóły tak ściśle, zdawał się tak pewny, że go parę razy pan de Charlus chciał zaczepić! Przypomniałem sobie, że mówiłem o Blochu z baronem, który kiedyśmy wracali z wizyty u pani de Villeparisis, wypytywał mnie o niego; pomyślałem tedy, że może Bloch nie kłamie; może pan de Charlus dowiedział się, kim on jest i że jest moim przyjacielem, itd... Toteż w jakiś czas potem, w teatrze, spytałem pana de Charlus, czy pozwoli sobie przedstawić Blocha; skoro wyraził zgodę, poszedłem po niego. Ale z chwilą gdy go pan de Charlus spostrzegł, zdumienie (opanowane natychmiast) odbiło się na jego twarzy, aby niebawem zmienić się w najwyższą wściekłość. Nie tylko nie podał Blochowi ręki, ale za każdym razem kiedy ów coś mówił do niego, pan de Charlus odpowiadał mu w sposób wyraźnie impertynencki, zirytowanym i niegrzecznym tonem. Tak iż Bloch, który, wedle tego, co mówił, dotąd otrzymywał od barona same uśmiechy, myślał, że ja go nie poleciłem, ale obmówiłem w czasie owej krótkiej rozmowy, w której, znając drażliwość barona w kwestiach etykiety, wspomniałem mu o swoim koledze, zanim go przyprowadziłem. Bloch opuścił nas z uczuciem człowieka, który chciał dosiąść narowistego konia lub płynąć wbrew falom odrzucającym go wciąż na żwir. I nie odzywał się do mnie przez pół roku.

Dni, które poprzedziły mój obiad z panią de Stermaria, były dla mnie nie rozkoszne, ale nieznośne. Zazwyczaj im czas oddzielający nas od celu naszych pragnień jest krótszy, tym wydaje się nam dłuższy, bo mierzymy go krótszą miarą lub po prostu bo go w ogóle mierzymy. Papiestwo — powiadają — liczy czas na wieki, a może nawet wcale go nie liczy, skoro jego cel jest w nieskończoności. Mój cel był tylko na dystans trzech dni, liczyłem na sekundy, oddawałem się marzeniom stanowiącym wstęp do pieśczoł, o których myśl budzi w nas wściekłość przez to, że ich nie możemy dać dokończyć samej kobiecie (właśnie tych pieśczoł, z wyłączeniem wszystkich innych). I w sumie, o ile prawdą jest, że na ogół trudność osiągnięcia przedmiotu żądź wzmaga je (trudność, nie niemożebność, bo ta je poraża), jednakże dla czysto fizycznego pragnienia pewność, iż będzie ono ziszczone w bliskim i określonym momencie, jest mało co mniej podniecająca od niepewności; brak wątpliwości, prawie tak samo jak denerwujące wątplenie, robi oczekiwanie niechybnej rozkoszy czymś nieznośnym, bo robi z tego oczekiwania ziszczenie niezliczone i — przez częstość uprzednich wyobrażeń — dzieli czas na fragmenty tak drobne, jakby to mogła uczynić obawa.

Trzeba mi było posiadać panią de Stermaria, bo od kilku dni z nieprzerwaną energią pragnienia moje przygotowywały w mojej wyobraźni tę rozkosz, i tylko tę; inna (rozkosz z inną) nie byłaby gotowa, ile że rozkosz jest tylko ziszczaniem chęci uprzedniej i nie zawsze jednakiej, zmieniającej się wedle tysięcy kombinacji marzenia, kaprysu wspomnień, stanu fizycznego, porządku rozporządzalności pragnień, z których ostatnio spełnione odpoczywają, dopóki zawód ich ziszczenia nie będzie trochę zapomniany; nie byłbym gotów, opuścić już gościniec bezosobowych żądź i zapuścić się w ścieżkę poszczególnego pragnienia; aby móc pożądać innej schadzki, trzeba by wrócić z nazbyt daleka po to, aby wstąpić na gościniec i skrócić w inną ścieżkę. Posiadać panią de Stermaria na wyspie w Lasku Bulońskim, dokąd ją zaprosiłem na obiad, oto rozkosz, którą sobie wyobrażałem co minutę. Zjeść obiad na tej wyspie bez pani de Stermaria byłoby unicestwieniem tej rozkoszy; ale iść na obiad nawet z nią gdzie indziej — byłoby może znacznym jej uszczupleniem. Zresztą formy, w jakich sobie wyobrażamy przyjemność, wcześniejsze są od kobiety, od rodzaju kobiet, który nadaje się do tego celu. One — te formy — narzucają go, a także miejsce, i dlatego sprowadzają kolejno, wedle kaprysu naszych myśli, taką kobietę, takie miejsce, taki pokój, którymi wzgardzilibyśmy w innym czasie. Zrodzone z pozycji, niektóre kobiety są nie do pomyślenia bez wielkiego łoża, w którym znajdujemy spokój obok nich; inne znów jako ramy dla intymniejszych pieśczoł potrzebują liści kołysanych wiatrem, wód płynących w mroku nocy, są lekkie i ulotne jak one.

Z pewnością, dawno już przed listem Roberta i kiedy nie chodziło jeszcze o panią de Stermaria, wyspa w Lasku zdawała mi się stworzona dla rozkoszy, bo czasem szedłem tam poić się smutkiem, że nie mam żadnej rozkoszy, którą bym tam mógł schronić. Nad

Czas, Pożądanie

Pożądanie

brzegami jeziora wiodącymi do tej wyspy, gdzie przez ostatnie tygodnie lata przechadzają się paryżanki — te, co jeszcze nie wyjechały — błądzimy, nie wiedząc, gdzie odnaleźć ją, a nawet czy już ona nie opuściła Paryża. Błądzimy z nadzieją ujrzenia młodej dziewczyny, w której zakochaliśmy się na balu — ostatnim w tym roku — której nie będziemy już mogli ujrzeć na żadnym wieczorze przed następną wiosną. Czując, że bliski jest — a może już nastąpił — wyjazd ukochanej istoty, przebiegamy nad brzegiem drżącej wody owe piękne aleje, gdzie już pierwszy czerwony liść kwitnie niby ostatnia róża; badamy ten widnokrąg, gdzie siłą złudy odwrotnej do owych panoram, na których pierwszym planie woskowe figury dają malowanemu płótnu złudę głębi i bryły, oczy nasze, przebiegając od sztucznego parku do naturalnych wyżyn Meudon⁴⁹⁶ i Mont Valerien⁴⁹⁷, nie wiedząc, gdzie postawić granicę, i wcielają prawdziwą wieś w ogrody, których sztuczny wdzięk rzutują daleko poza nie; podobnie owe rzadkie ptaki, wychowane na wolności w botanicznym ogrodzie, co dnia wedle kaprysu swoich skrzydlatych spacerów wnoszą nawet w sąsiednie lasy egzotyczną nutę. Między ostatnim świętem lata a wygnaniem zimy przebiegamy trwożliwie romantyczne królestwo niepewnych spotkań i melancholii miłosnych i nie bardziej zdziwilibyśmy się, znajdując je poza geograficznym wszechświatem, co gdybyśmy w Wersalu, na wyżynie terasy, tego obserwatorium, dokoła którego chmury gromadzą się na błękitnym niebie w stylu Van der Meulena⁴⁹⁸, wzniosłszy się w ten sposób poza naturę, dowiedzieli się, że tam, gdzie się ona na nowo zaczyna, na skraju wielkiego kanału, wioski, majaczące na widnokręgu olśniewającym jak morze, nazywają się Fleurus lub Nijmegen⁴⁹⁹.

I skoro minął ostatni ekwipaż⁵⁰⁰, kiedy uczujemy z bólem, że ona już nie przyjdzie, idziemy na obiad na wyspę; ponad drżącymi topolami, które raczej przypominają bez końca tajemnice wieczoru, niż odpowiadają na nie, różowa chmura kładzie ostatnią barwę życia na ukojonym niebie. Kilka kropel dżdżu spada bez szelestu na wodę — starożytną, ale w swym boskim dziecięctwie wciąż zachowującą barwę czasu i zapominającą co chwila obrazu chmur i kwiatów. I gdy geranie, natężając siłę swoich kolorów, znużą się w daremnej walce przeciw gęstniejącemu zmierzchowi, mgła spowija wyspę, która zasypia; przechadzamy się w wilgotnym mroku nad wodą, gdzie co najwyżej milcząca smuga łabędzia zdumiewa cię niby w łóżku w nocy szeroko otwarte przez chwilę oczy i uśmiech dziecka, które, wbrew naszemu spodziewaniu, nie śpi. Wówczas człowiek chciałby tym bardziej mieć przy sobie kochankę, bo czuje się samotny, i może mieć wrażenie, że jest daleko.

A o ileż byłbym szczęśliwszy, gdybym na tę wyspę, gdzie nawet w lecie była często mgła, mógł zawieść panią de Stermaria teraz, kiedy się skończyły pogody, kiedy był już schyłek jesieni. Jeżeli czas trwający od niedzieli nie zmienił sam przez się w szary i morski pejzaż krain, w których żyła moja wyobraźnia — tak jak inne pory roku czyniły je czymś balsamicznym, promiennym i włoskim — nadzieja posiadania za kilka dni pani de Stermaria wystarczylaby, aby dwadzieścia razy na godzinę podnosić zasłonę mgły w mojej wyobraźni, wezbranej monotonną nostalgią. Bądź co bądź, mgła, która od wczoraj zaległa nawet Paryż, nie tylko kazała mi wciąż myśleć o rodzinnych stronach tej oczekiwanej młodej kobiety; ale ponieważ prawdopodobne było, że mgła — o wiele gęstsza jeszcze niż w mieście — zagarnie wieczorem Lasek, zwłaszcza brzegi jeziora, marzyłem, że z Wyspy Łabędziej⁵⁰¹ uczyni mi po trosze wyspę bretońską, której morska i mglista atmosfera zawsze spowijała dla mnie na kształt sukni bladą sylwetkę pani de Stermaria. Z pewnością, kiedy się jest młodym, w wieku moich przechadzek w stronę Méséglise, nasze pragnienie, nasza wiara użyczają strojowi kobiety czegoś indywidualnego, odrębnego, jakiejś nienaruszalnej istności. Ścigamy realność. Ale czując, jak się wciąż wymyka, spostrzegamy w końcu, iż poprzez wszystkie te czcze usiłowania, w których znalazło się nicość, pozostaje coś trwałego — i tegośmy właśnie szukali. Zaczynamy wylaniać, po-

⁴⁹⁶Meudon — położone na wzgórzach przedmieście Paryża. [przypis edytorski]

⁴⁹⁷Mont Valerien — wzgórze położone kilka kilometrów na zachód od Paryża. [przypis edytorski]

⁴⁹⁸Meulen, Adam Frans van der (1632–1690) — malarz flamandzki, nadworny malarz Ludwika XIV, znany szczególnie ze scen batalistycznych. [przypis edytorski]

⁴⁹⁹Fleurus i Nijmegen — Fleurus: miasto w Belgii; Nijmegen: miasto we wschodniej Holandii. [przypis edytorski]

⁵⁰⁰ekwipaż (daw.) — lekki, luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]

⁵⁰¹Wyspa Łabędzia — niewielka sztuczna wyspa na Sekwanie w Paryżu. [przypis edytorski]

znawać to, co kochamy, staramy się to uzyskać, choćby za cenę jakiejś sztuczki. Wówczas, gdy się straciło wiarę, kostium oznacza zastąpienie jej dobrowolną złudą. Wiedziałem, że o pół godziny od domu nie znajdę Bretanii. Ale przechadzając się w uścisku z panią de Stermaria w mrokach wyspy, nad wodą, zrobiłbym jak ci, co nie mogąc się wdrzeć do klasztoru, przebierają bodaj za mniszkę kobietę, którą mają osiąść.

Mogłem nawet mieć tę nadzieję, że będę słuchał z panią de Stermaria plusku fal, bo w wilię naszego obiadu rozpętała się burza. Zaczynałem się golić, aby pojechać na wyspę zamówić gabinet (mimo że w tej porze roku wyspa jest pusta, a restauracja wyludniona) i ustalić menu na jutrzejszy obiad, kiedy Franciszka oznajmiła Albertynę. Wpuściłem ją natychmiast, obojętny na to, że mnie ujrzy brzydkim, nieogolonym; ona, dla której w Balbec nigdy nie czułem się dość piękny i która mnie kosztowała wówczas tyle wzruszeń i trudów co teraz pani de Stermaria. Zależało mi na tym, aby tamta odniosła najlepsze wrażenie z jutrzejszego wieczoru. Toteż poprosiłem Albertynę, żeby się wybrała ze mną na wyspę i pomogła mi ułożyć menu. Tę, której się daje wszystko, tak rychło luzuje inna, że sami się dziwimy, oddając to, co mamy na nowo, o każdej godzinie, bez nadziei przyszłości. Na moją propozycję uśmiechnięta i różowa twarz Albertyny pod płaskim i bardzo nisko, aż na oczy spuszczonej toczkiem zdawała się wahać. Albertyna musiała mieć inne projekty; w każdym razie poświęciła mi je łatwo, ku memu wielkiemu zadowoleniu, bo mi bardzo zależało na tym, aby mieć z sobą młodą gosposię, która potrafi zamówić obiad o wiele lepiej ode mnie.

To pewne, iż Albertyna była dla mnie czymś całkiem innym w Balbec. Ale nasza zażyłość — nawet kiedy się nam wydaje wówczas nie dość bliska — z kobietą, w której jesteśmy zakochani, stwarza między nią a nami — mimo braków, które nas ranią wówczas — węzły, które przetrwają miłość, a nawet wspomnienie miłości. Wówczas gdy ta istota jest już dla nas tylko środkiem i drogą do innych kobiet, ze zdziwieniem i rozbawieniem dowiadujemy się od naszej pamięci, ile niezwykłych rzeczy oznaczało jej imię dla owej innej istoty, którą byliśmy niegdyś. To jest bez mała tak, co gdybyśmy, rzuciwszy woźnicy adres — bulwar des Capucines lub ulica du Bac — myśląc jedynie o osobie, którą tam mamy odwiedzić, spostrzegli się nagle, że ta nazwa była niegdyś nazwą kapucynek, których klasztor znajdował się w tym miejscu, i nazwą promu (*bac*), który przebywał Sekwanę.

Niewątpliwie moje pragnienia z czasu Balbec spulchniły tak soczyście ciało Albertyny, zgromadziły w niej smaki tak świeże i słodkie, że w czasie naszej jazdy przez Lasek, gdy wiatr, niby staranny ogrodnik, wstrząsał drzewa, strącał owoce, zamiatał zeschnięte liście, powiadałem sobie, iż gdyby groziło to, że Saint-Loup się pomylił lub że ja źle zrozumiałem jego list, i gdyby obiad mój z panią de Stermaria miał spalić na panewce, naznaczyłbym schadzki na ten sam wieczór — bardzo późno — Albertynie, aby w godzinie czystej rozkoszy, trzymając w ramionach ciało kipiące obecnie wszystkimi urokami, jakie ciekawość moja rozbierała i ważyła niegdyś, zapomnieć wzruszeń, a może smutków rozpoczynającej się miłości do pani de Stermaria. I z pewnością, gdybym mógł przypuszczać, że pani de Stermaria nie użyczy mi nic owego pierwszego wieczora, przedstawiałbym sobie ten wspólny wieczór dosyć żałośnie. Wiedziałem zbyt dobrze z doświadczenia, w jaki sposób dwa stadia, zachodzące w nas kolejno w początkach miłości dla kobiety, której pragnęliśmy na nieznanie, Kochając w niej nie tyle ją samą, jeszcze prawie obcą, ile owo swoiste życie, w jakim jest zanurzona — w jaki sposób te dwa stadia dziwacznie odbijają się w dziedzinie faktów, to znaczy już nie w nas samych, ale w naszych schadzkiach z tą kobietą. Nigdy nie mając sposobności z nią rozmawiać, wahaliśmy się, kuszeni poezją, jaką ona dla nas wciela. Czy to będzie ona, czy jakaś inna? I oto marzenia skupiają się dokoła niej, tworzą z nią już jedno. Pierwsza schadzka, która nastąpi niebawem, powinna by odbijać tę rodzącą się miłość. Nic podobnego. Jak gdyby było trzeba, aby i realne życie miało swoje pierwsze stadium, Kochając ją już, mówimy do niej najbardziej zdawkowo: „Zaprosiłem panią na obiad na tę wyspę, bo myślałem, że ta rama się pani spodoba. Nie mam pani zresztą nic specjalnego do powiedzenia. Ale boję się, że jest wilgoć i że pani będzie zimno”. — „Ale nie”. — „Pani to mówi przez uprzejmość. Pozwalam pani borykać się jeszcze przez kwadrans z zimnem, aby pani nie dokuczać, ale za kwadrans odwożę panią przemocą. Nie chcę, żeby pani dostała kataru”. I odwozimy ją do domu, nie powiedziawszy jej nic, nie zapamiętawszy z niej nic — co najwyżej pewien sposób patrzenia — ale myśląc tylko o tym, aby ją widzieć na nowo. Otóż, za drugim razem (nie odnajdując

Miłość

Miłość

już nawet tego spojrzenia, jedyne wspomnienia, ale myśląc wciąż, tylko o tym, aby ją ujrzeć znowu) przebyliśmy pierwsze stadium. Nic wśród tego nie zaszło. A przecież zamiast mówić o komforcie restauracji mówimy, nie budząc zdziwienia w nowej osobie, która się nam wydaje brzydka, ale której myśl chcielibyśmy zaprzętać w każdej minucie jej życia: „Będziemy mieli sporo roboty z tym, aby pokonać wszystkie przeszkody piętrzące się między naszymi sercami. Czy myśli pani, że to osiągniemy? Czy wyobraża sobie pani, że zdołamy pokonać naszych wrogów, że możemy się spodziewać szczęśliwej przyszłości?” Ale te rozmowy, zrazu nieznaczące, potem zawierające aluzje do miłości, nie będą potrzebne; mogę w tym wierzyć listowi Roberta. Pani de Stermaria odda mi się od pierwszego dnia, nie potrzebuję tedy zamawiać do siebie Albertyny jako namiastkę na koniec wieczoru. To jest zbyt cenne, Robert nie przesadza nigdy, a list jego był jasny!

Albertyna prawie się nie odzywała do mnie, czuła, że jestem myślami daleko. Przeszliśmy kilka kroków pieszo pod zielonkawą, niemal podmorską grotą drzew, nad której sklepieniem słyszeliśmy szum wiatru i plusk deszczu. Idąc, miażdżyłem zeschnięte liście, które wgniatały się w ziemię jak muszle, i potraçałem laską kasztany, kłujące jak jeżowce.

Na gałęziach ostatnie pokurczone liście biegly za wiatrem jedynie na długość swojej uwięzi, ale czasem, gdy ta się skruszyła, spadały na ziemię i doganiały go pędem. Myślałem z radością, że jeżeli ten czas przetrwa, wyspa będzie jutro jeszcze dalsza, a w każdym razie całkiem pusta. Wsiadliśmy znów do powozu, że zaś zawierucha uspokoiła się, Albertyna prosiła, aby pojechać aż do Saint-Cloud⁵⁰². Jak dołem zwiędłe liście, tak w górze chmury biegly z wiatrem. A wędrownie wieczory, których różowe, niebieskie i zielone warstwy ukazywał stożkowaty wykrój nieba, były już przygotowane dla piękniejszych klimatów. Aby obejrzeć z bliska marmurową boginię, która zrywała się ze swego cokołu i sama jedna w wielkim lesie — jak gdyby jej poświęconym — wypełniała go pół zwierzęcą, pół świętą mitologiczną grozą swoich wściekłych skoków, Albertyna wdrapała się na wzgórek, gdy ja czekałem na drodze. Ona sama, widziana tak z dołu, już nie tęga i nabita, jak wówczas na moim łóżku, kiedy tkanka jej szyi nadržęczała się lupie moich zbliżonych oczu, ale cyzelowana i delikatna, zdawała się posążkiem powleczonym patyną szczęśliwych chwil w Balbec.

Kiedym się znalazł sam w domu, przypominając sobie, że byłam popołudniu na spacerze z Albertyną, że pojutrze mam obiad u pani de Guermites i że mam odpowiedzieć na list Gilberty — trzy kobiety, które niegdyś kochałem — powiedziałem sobie, że nasze życie jest, jak pracownia artysty, pełne porzuconych szkiców, w których próbowaliśmy przez chwilę ustalić swoją potrzebę wielkiej miłości; ale nie pomyślałem, iż czasem, kiedy szkic nie jest zbyt dawny, może się zdarzyć, że go podejmiemy na nowo i stworzymy zeń dzieło zupełnie odmienne, może nawet ważniejsze niż to, któreśmy zamierzali zrazu.

Nazajutrz było zimno i ładnie; czuło się zimę (i w istocie, jak na tę porę, to był cud, żeśmy znaleźli w spustoszonej już Łasku parę kopułek zielonego złota). Budząc się, ujrzałem — niby z okna koszar w Doncières — matową, jednostajną i białą mgłę, która wisiała wesoło u słońca, zwarta i słodka jak cukier lodowaty⁵⁰³. Potem słońce schowało się, a mgła zgęstniała jeszcze w ciągu popołudnia. Zmrok zapadł rychło, ubrałem się, ale było jeszcze za wcześnie; umyśliłem posłać powóz po panią de Stermaria. Nie śmiałem sam pojechać, aby jej nie narzucać swego towarzystwa; ale przesłałem jej przez stangreta bilecik, gdzie pytałem, czy mi pozwoli zajechać po siebie. W oczekiwaniu wyciągnąłem się na łóżku, zamknąłem na chwilę oczy, potem otworzyłem je. Nad frankami była już tylko wąska smuga ciemniejącego dnia. Poznałem tę bezużyteczną godzinę, głęboki przedświecie rozkoszy, z którego ciemną i rozkoszną pustką zapoznałem się w Balbec, kiedy sam w swoim pokoju jak teraz, gdy wszyscy inni jedli obiad, patrzyłem bez smutku na to, jak dzień umiera nad frankami, wiedząc, iż niebawem, po nocy równie krótkiej jak noce podbiegunowe, wskrzeszenie świetniejszy jeszcze w blaskach Rivebelle. Wskoczyłem z łóżka, zawiązałem czarny krawat, przyczesałem włosy — ostatnie gesty spóźnionej toalety, wykonywane w Balbec z myślą nie o sobie, ale o kobietach, które ujrzę w Rivebelle, do których uśmiechałem się zawczasu w swoim pochyłym lustrze; gesty utrwalone tym samym jako wróżba rozrywki pełnej światła i muzyki. Wywoływały ją one niby magicz-

⁵⁰²*Saint-Cloud* — miejscowość nad Sekwaną, na zach. przedmieściach Paryża, z barokowym parkiem, pozostałością dawnej rezydencji królewskiej. [przypis edytorski]

⁵⁰³*cukier lodowaty* — cukier trzcinowy w postaci dużych kryształów, dawny smakołyk. [przypis edytorski]

ne znaki; co więcej, realizowały ją już; dzięki nim miałem pełną świadomość jej prawdy, pełne użycie jej upajającego i lekkiego czaru, jak niegdyś w Combray w lipcu, kiedy słyszałem uderzenia młotka przy zabijaniu pak i kiedy się syciłem w chłodzie swego mrocznego pokoju upałem i słońcem.

Toteż już niezupełnie panią de Stermaria byłbym pragnął widzieć. Zmuszony teraz spędzić z nią wieczór, byłbym wolał — skoro ten wieczór był moim ostatnim przed powrotem rodziców — żeby został wolny i żebym mógł się starać odnaleźć kobiety z Rivabelle. Umyłem jeszcze ostatni raz ręce i wędrując w upojeniu szczęścia po domu, wytarłem je w ciemnej jadalni. Zdawało mi się, że drzwi do oświetlonego przedpokoju są otwarte, ale to, com wziął za jasną szczelinę drzwi (które, przeciwnie, były zamknięte), było jedynie białym odbiciem mojego ręcznika w opartym o ścianę lustrze, które miano powiesić na powrót mamy. Pomyślałem znów o wszystkich cudach, które w ten sposób odkryłem w naszym mieszkaniu — cudach nie tylko optycznych, bo w pierwszych dniach sądziłem, że nasza sąsiadka ma psa, a to z powodu przeciągłego, niemal ludzkiego skuczenia, jakie wydawała rura w kuchni, ilekroć się otwarło kurek. A drzwi od sieni zamykały się same z siebie bardzo wolno od przeciągu ze schodów, powodując przy tym urywki rozkosznych i jęklanych fraz, jakie się piętrzą w chórze pielgrzymów pod koniec uwertury z *Tannhäusera*⁵⁰⁴.

Kiedy wiesział ręcznik na swoim miejscu, miałem zresztą sposobność uzyskać nową audycję⁵⁰⁵ tej olśniewającej symfonii, kiedy, usłyszawszy dzwonek, pobiegłem otworzyć stangretowi wracającemu z odpowiedzią. Myślałem, że odpowiedź będzie: „Ta pani jest na dole”, albo: „Pani czeka na pana”. Ale on miał w ręce list. Ociągałem się chwilę z przeczytaniem tego, co napisała do mnie pani de Stermaria; tego co, póki ona trzymała pióro w ręce, mogłoby być czymś innym, ale co teraz, oderwane od niej, stało się losem, który sam kroczył swoją drogą i w którym ona nie mogła już nic zmienić. Prosiłem stangreta, aby zeszedł na dół i zaczekał chwilę, mimo że psioczył na mgłę. Gdy odszedł, otworzyłem kopertę. Bilet: „Wicehrabina Alix de Stermaria”. Pisała: „Jestem w rozpacz — nagle przeszkody — niepodobna mi dziś spędzić z panem wieczoru na Wyspie. A tak się cieszyłam! Napiszę do pana dłużej ze Stermaria. Żałuję. Serdeczności”.

Stałem bez ruchu, ogłuszony ciosem. Bilet i koperta upadły do moich stóp, niby zatyczka z fuzji po wystrzale. Podniosłem bilet, zanalizowałem to zdanie.

„Powiada, że nie może spędzić ze mną wieczoru na wyspie. Można by stąd wywnioskować, że mogłaby spędzić ze mną wieczór gdzie indziej. Nie będę tak niedyskretny, aby iść po nią, ale ostatecznie, to by można tak rozumieć...”

A ponieważ moja myśl od czterech dni zainstalowała się na tej wyspie z panią de Stermaria, nie umiałem jej stamtąd ściągnąć. Moje pragnienie wracało mimo woli na pochyłość, po której bieгло już od tyłu godzin, i mimo tego biletu, zbyt świeżego, aby je mógł przeważyć, przygotowywałem się instynktownie do wyjścia, jak uczeń ścięty przy egzaminie chciałby odpowiedzieć jeszcze na jedno pytanie. Zdecydowałem się w końcu powiedzieć Franciszce, żeby zeszła zapłacić stangreta. Przebyłem korytarz, nie znajdując Franciszki, minąłem jadalnię; naraz, kroki moje przestały się rozlegać na posadzce, stłumione w ciszy, która — nim jeszcze poznałem jej przyczynę — dała mi wrażenie duszności i zamknięcia. Były to dywany, które zaczęto przybijać na powrót rodziców; owe dywany tak piękne w szczęśliwe poranki, kiedy pośród nieładu słońce oczekuje nas niby kompan przybyły po to, aby nas wyciągnąć na śniadanie na wieś, i kładzie na nich spojrzanie lasu; ale teraz, przeciwnie, były one pierwszym sprzętem zimowego więzienia, skąd — zmuszony teraz żyć i jadać w rodzinie — nie będę się już mógł swobodnie wymykać.

— Niech się panicz nie przewróci, jeszcze nie przybite — krzyknęła Franciszka. — Trza mi było zapalić lampę. Już jest koniec *wrząsnia*, koniec pięknych dniów.

⁵⁰⁴*Tannhäuser* — trójaktowa opera Richarda Wagnera z 1845, o perypetiach rycerza-śpiewaka, który odnalazł legendarną górę bogini miłości. [przypis edytorski]

⁵⁰⁵*audycja* — tu z fr.: seans muzyczny, przesłuchanie utworu muzycznego. [przypis edytorski]

Niebawem przyjdzie zima; na oknie, w rogu, niby na szkle Gallégo⁵⁰⁶, żyła stwardniałego śniegu; i nawet na Polach Elizejskich w miejsce oczekiwanych dziewcząt nic, tylko wróble.

Rozpacz moją, że nie zobaczę pani de Stermaria, pomnażała jedna okoliczność. Odpowiedź jej pozwałała mi przypuszczać, że gdy ja z godziny na godzinę od niedzieli żyłem tylko tym obiadem, ona nie pomyślała o nim z pewnością ani razu. Później dowiedziałem się o jej niedorzecznym małżeństwie z miłości z pewnym młodym człowiekiem, którego już musiała widywać wówczas i który zapewne dał jej zapomnieć o moim zaproszeniu. Bo gdyby o nim pamiętała, nie byłaby — rzecz prosta — czekała powozu, aby mnie uprzędzić, że nie jest wolna, zwłaszcza iż wedle tego, jakieśmy się umówili, nie miałem po nią posyłać. Moje marzenia o feudalnej dziewicy na wyspie mgieł utorowały drogę nieistniejącej jeszcze miłości. Teraz mój zawód, gniew, rozpaczliwa żądza pochwylenia tej, co mi się wymykała, mogły, podniecając moją wrażliwość, utrwalić możebną miłość, którą dotąd nastęrczała mi jedynie moja wyobraźnia, ale miękkiej.

Ileż jest w naszych wspomnieniach — bardziej jeszcze w naszym zapomnieniu — owych przeróżnych twarzy młodych dziewcząt i młodych kobiet, którym przydało uroku — a nam wścieklej ochoty ujrzenia ich znowu — jedynie to, że się nam w ostatniej chwili wymknęły. W stosunku do pani de Stermaria było to o wiele więcej. Teraz, aby ją pokochać, wystarczyło mi ujrzeć ją znowu, iżby się odnowiły owe tak żywe, ale zbyt krótkie wrażenia, których pamięć nie zdołałaby inaczej zachować w jej nieobecności. Okoliczności zdecydowały inaczej, nie ujrzałem jej już. Nie ją pokochałem, ale mogłem pokochać ją. I to była rzecz, która mi może najbardziej zatrula wielką miłość, jaka się miała we mnie zrodzić niebawem: kiedym sobie przypominał ten wieczór, powiadałem sobie, że ta miłość mogła — gdyby bardzo proste okoliczności były inne — skierować się gdzie indziej, na panią de Stermaria; zwrócona do osoby, która ją wzbudziła we mnie rychło potem, nie była tedy — jak w to chciałbym i potrzebowałbym wierzyć — czymś absolutnie koniecznym i przeznaczonym.

Franciszka zostawiła mnie samego w jadalni, powiadając, że nie powinien tam siedzieć, nim ona rozpali ogień. Miała przyrządzić obiad, bo moja klauzura zaczynała się tego wieczoru, jeszcze przed przyjazdem rodziców. Spostrzegłem ogromną pakę dywanów, jeszcze zwiniętych, które Franciszka złożyła koło kredensu; kryjąc w nich głowę, łykając kurz i własne łzy, podobny Żydom, którzy w żalobie posypywali sobie głowę popiołem, zacząłem szlochać. Trzęsłem się, nie tylko dlatego, że w pokoju było zimno, ale dlatego, że pewne łzy, które spływają z oczu kroplą po kropli — niby drobny, przenikliwy, lodowaty, beznadziejny deszcz — powodują znaczny spadek temperatury (którego niebezpieczeństwu i — wyznajmy to — lekkiej przyjemności nie staramy się przeciwdziałać). Naraz usłyszałem głos:

— Czy można wejść? Franciszka powiedziała mi, że ty musisz być w jadalni. Wstąpiłem spytać, czy nie zechciałbyś iść ze mną gdziekolwiek na obiad, jeżeli ci to nie zaszkodzi, bo mgła jest taka, że można ją krajać nożem.

Był to Saint-Loup, który przybył rano, wówczas kiedy myślałem, że jest jeszcze w Maroku lub na morzu.

Powiedziałem już (a w Balbec właśnie Saint-Loup mimo woli bardzo mi pomógł uświadomić to sobie), co sądzę o przyjaźni; mianowicie, że to jest coś tak mało wartościowego, iż trudno mi zrozumieć, aby ludzie niepospolici, na przykład taki Nietzsche⁵⁰⁷, mogli jej naiwnie przypisywać pewną wartość intelektualną, i co za tym idzie starali się unikać przyjaźni niezłączonej z szacunkiem intelektualnym. Tak, to mnie zawsze przejmowało zdumieniem; człowiek, który szczerą wobec samego siebie posuwał tak daleko, aby się przez skrupuł sumienia oderwać od muzyki Wagnera⁵⁰⁸, a który sobie wyobrażał,

⁵⁰⁶ Gallé, *Émile* (1846–1904) — francuski projektant; tworzył głównie projekty dzieł ze szkła, projekty mebli oraz biżuterii w stylu secesji. [przypis edytorski]

⁵⁰⁷ Nietzsche, *Friedrich* (1844–1900) — niemiecki filozof i filolog klasyczny, jeden z najbardziej wpływowych myślicieli końca XIX i początku XX w.; dokonał radykalnej krytyki chrześcijaństwa i ufundowanej na nim kultury zachodniej; koncentrował się na afirmacji życia i postulował powrót do wartości kultury starożytnej; głosił śmierć Boga (tj. powszechny zanik poczucia obcowania z sacrum), pochwałę woli mocy i nadczłowieka oraz wieczny powrót, hasła często rozumiane opacznie jako nihilistyczne. [przypis edytorski]

⁵⁰⁸ Wagner, *Richard* (1813–1883) — niemiecki kompozytor, dyrygent i teoretyk muzyki; reformator muzyki operowej, wprowadził nowy rodzaj dzieła muzyczno-scenicznego: dramat sceniczny (*Lohengrin*, *Tristan i Izolda*,

że prawda może się ziścić w tej formie wyrazu z natury rzeczy mętnej i niepełnej, jaką są na ogół uczynki, a w szczególności przyjaźnie; który wierzył, że mógłby mieć jakiegokolwiek znaczenie fakt porzucenia swojej pracy po to, aby odwiedzić przyjaciela i płakać z nim, słysząc fałszywą wieść o pożarze Luwru. Doszedłem w Balbec do tego, że przyjemność bawienia się z młodymi dziewczętami wydawała mi się mniej zgubna dla życia duchowego (któremu bodaj pozostaje obca) niż przyjaźń, której cały wysiłek zmierza ku temu, abyśmy poświęcili ową jedynie realną i niedającą się udzielić (inaczej niż za pośrednictwem sztuki) część samych siebie dla jakiegoś powierzchownego „ja”, które nie znajduje, jak tamto, radości w sobie samym, ale czerpie mętne roztkliwienie stąd, że czuje zewnętrzne podpórki, że znajduje gościnę w cudzej indywidualności, gdzie, szczęśliwie ze znalezionej opieki, wydziela swoje samozadowolenie w uznaniu i zachwyca się przymiotami, które w sobie samych nazwalibyśmy wadami i staralibyśmy się z nich poprawić. Zresztą ludzie gardzący przyjaźnią mogą, bez złudzeń, a nie bez wyrzutów, być najlepszymi przyjaciółmi w świecie, tak samo jak artysta noszący w sobie arcydzieło i świadom, iż obowiązkiem jego byłoby żyć dla swojej pracy, mimo to, aby się nie wydać egoistą — lub nie stać się nim — oddaje życie za bezużyteczną sprawę, i odda je tym mężniej, im bezinteresowniejsze są racje, dla których wolałby go nie oddać.

Ale jaki bądź był mój sąd o przyjaźni, nawet co do przyjemności, jaką mi dawała, przyjemności tak miernej, że stanowiła coś pośredniego między zmęczeniem a nudą, nie ma tak złowrogiego napoju, iżby nie był w pewnych godzinach szacowny i krzepiący, dając nam smagnięcie batem, któregośmy potrzebowali, ciepło, którego nie możemy znaleźć w sobie samych.

Byłem z pewnością bardzo daleki od tego, aby prosić Roberta (jak tego pragnąłem przed godziną), żeby mnie spiknął z kobietami z Rivebelle; osad żalu za panią de Stermaria nie dał się zatrzeć tak szybko; ale gdy Saint-Loup zjawił się tak w chwili, kiedym już nie czuł w sercu żadnej racji szczęścia, odczułem jakby przypływ dobroci, wesołości, życia, które były niewątpliwie poza mną, ale nastęczały mi się, pragnęły mi się udzielić. Sam Robert nie zrozumiał mego okrzyku wdzięczności i moich łez rozczulenia. Cóż może być zresztą paradoksalniej serdecznego niż jeden z owych przyjaciół — dyplomata, podróżnik, lotnik, wojskowy — jakim był Saint-Loup; przyjaciel, który jadąc nazajutrz na wieś, a stamtąd Bóg wie dokąd, najwidoczniej znajduje w oddanym nam wieczorze tyle szczęścia. Aż się dziwimy, że wrażenie to — tak rzadkie przecież i krótkie — może być dla nich czymś tak słodkim i że — skoro im jest tak miłe — nie przeciągają go dłużej lub nie powtarzają go częściej. Obiad z nami — rzecz taka naturalna — daje tym podróżnikom tę samą osobliwą i rozkoszną przyjemność, jaką nasze bulwary dają Azjaci.

Wybraliśmy się razem na obiad. Schodząc, przypomniałem sobie Doncières, gdzie się co wieczór spotykał z Robertem w restauracji; znów ujrzałem te zapomniane salki jadalne. Przypomniałem sobie jedną, o której nigdy potem nie myślałem; to nie było w hotelu, gdzie Saint-Loup zwykle jadał, ale w innym, o wiele skromniejszym — coś pośredniego między hotelem a pensjonatem — gdzie podawała do stołu właścicielka przy pomocy służącej. Śnieg mnie tam zatrzymał. Zresztą Robert nie miał jeść tego wieczora w hotelu, a ja nie miałem ochoty iść dalej. Podano mi obiad na górze w drewnianej izdebce. Podczas obiadu zgasła lampa; służąca przyniosła dwie świece. Ja, udając, że nie bardzo widzę, kiedym jej podawał swój talerz, podczas gdy mi nakładała ziemniaki, ująłem jej nagie ramię jak gdyby dla pokierowania nim. Widząc, że nie usuwa ramienia, zacząłem je pieścić, po czym bez słowa przyciągnąłem ją do siebie całą, zgasilem świecę i powiedziałem, żeby mnie obszukała i zabrała mi wszystkie pieniądze. Przez następne dni miałem uczucie, że dla kosztowania fizycznej rozkoszy trzeba mi nie tylko tej służącej, ale tej drewnianej i tak zacisznej jadalni. Ale przez przyzwyczajenie, przez przyjaźń aż do wyjazdu z Doncières chodziłem co wieczór tam, gdzie jadał Robert i jego przyjaciele. A przecież nawet o tym hotelu, gdzie on się stołował z przyjaciółmi, od dawna już nie pomyślałem! Nie korzystamy prawie z naszego życia, porzucamy niedokończone w letnich zmierzchach lub we wczesnych zimowych nocach godziny, w których — mniemaliśmy — mogło się mieścić dla nas trochę spokoju lub przyjemności. Ale te godziny

tetralogia *Pierścień Nibelunga*), w którym muzyka i słowa zostały podporządkowane przebiegowi akcji. [przypis edytorski]

nie są zupełnie stracone. Kiedy w nas zaśpiewają z kolei nowe momenty rozkoszy, które tak samo minęłyby równie wątle i jednowymiarowe, owe godziny dają im podmurowanie, gęstość bogatej instrumentacji. Rozciągają się w ten sposób aż do jednego z owych typowych szczęść, które odnajdujemy jedynie od czasu do czasu, ale które nie przestają istnieć; w danym wypadku było nim porzucenie wszystkiego innego po to, aby zjeść obiad w dostatniej ramie, siłą wspomnień zamykającej w obrazie natury nadzieje podróży — podróży z przyjacielem, który poruszy nasze drzemiące życie całą swoją energią, całą swoją serdecznością, udzieli nam tkliwej przyjemności, bardzo różnej od tej, jaką moglibyśmy zawdzięczać własnemu wysiłkowi lub światowym rozrywkom; poświęcimy się tylko jemu, obsypimy go zaklęciami przyjaźni; zrodzone w ścianach tej godziny i w niej zamknięte, zaklęcia te rozwiją się może nazajutrz, ale mogłem je dawać bez skrupułu Robertowi, skoro, z męstwem, które mieściło wiele roztropności oraz przeczucie, że przyjaźni nie da się zgłębić, nazajutrz miał wyjechać.

Tak, idąc po schodach, przeżywałem na nowo wieczory w Doncières. Kiedyśmy wyszli nagle na ulicę, była prawie zupełna noc; zdawało się, że mgła pogasiła latarnie; dostrzegało się je, bardzo słabo, jedynie całkiem z bliska. Przypomniał mi się jakiś przyjazd wieczorem do Combray, kiedy miasteczko jeszcze było oświetlone jedynie z rzadka i kiedy się szło po omacku w wilgotnej, ciepłej i świętej ciemności — ciemności żłóbka — ledwie rozgwieżdżonej tu i ówdzie światelkiem, błyszczącym nie jaśniej od świecy. Cóż za różnice między tym rokiem — niepewnym zresztą — pobytu w Combray a oglądanymi dopiero co przez szczelinę firanek wieczorami w Rivebelle! Odczuwanie tych różnic budziło we mnie entuzjazm, który mógłby być płodny, gdybym został sam, oszczędziłby mi w ten sposób zwłoki wielu daremnych lat, które miałem jeszcze przeżyć, zanim się objawiło niewidzialne powołanie, którego to dzieło jest historią. Gdyby się to zdarzyło tego wieczora, ów powóz powinien by mi zostać bardziej pamiętny niż powóz doktora Percepied, w którym, na kozłach, ułożyłem ów opis — właśnie niedawno odnaleziony, przejrany i daremnie posłany do „Figara” — wieź w Martinville. Czy to dlatego, że nie przeżywamy na nowo swoich lat w ich ciągłości, dzień po dniu, ale we wspomnieniu stężałym w chłodzie lub słońcu poranka albo wieczora, biorącego cień od jakiegoś widoku wyodrębnionego, ogrodzonego, nieruchomego, zatrzymanego i zgubionego, z dala od wszystkiego innego, i że w ten sposób, zmiany, stopniowane nie tylko na zewnątrz, ale w naszych marzeniach i w naszym przeobrażającym się charakterze, wiodące nas nieznacznie w życiu od jednej epoki do drugiej, bardzo odmiennej, usunięte nagle, jeżeli przeżywamy inne wspomnienie zaczerpnięte z innego roku, znajdujemy między nimi, dzięki lukom, dzięki olbrzymim płaszczyznom zapomnienia, jak gdyby przepastną różnicę wysokości, jakby niewspółmierność dwóch niedających się porównać jakości wdychanej atmosfery i otaczających barw? Ale między wspomnieniami, jakie oto odnalazłem kolejno: Combray, Doncières, Rivebelle, czułem w tej chwili — o wiele bardziej niż odległość czasu — odległość zachodzącą między różnymi światami o różnej materii. Gdybym chciał w jakimś utworze naśladować tę, w której jawiły mi się cyzelowane najbliźsze moje wspomnienia z Rivebelle, trzeba by mi substancję, dotąd pokrewną ciemnemu i szorstkiemu kamieniowi z Combray żyłkować różowo, uczynić ją nagle przezroczystą, zwartą, świeżą i dźwięczną.

Ale Robert, skończywszy tłumaczyć woźnicy adres, siadł ze mną do powozu. Myśli, które mi się zjawiały, pierzchły. To są boginie, które raczą się czasem objawić samotnemu śmiertelnikowi, na zakręcie drogi, nawet w jego pokoju, podczas gdy śpi, one zaś, stojąc w drzwiach, przynoszą mu swoje zwiastowanie. Ale z chwilą gdy się jest we dwóch, znikają; w towarzystwie ludzie nie oglądają ich nigdy. I uczułem się strącony w przyjaźń.

Wchodząc, Robert uprzedził mnie, że jest wielka mgła; ale podczas gdyśmy rozmawiali, mgła jeszcze zgęstniała. Był to już nie ów lekki opar, w który pragnąłem się zanurzyć na wyspie z panią de Stermaria. O dwa kroki latarnie gasły i wówczas była noc, równie głęboka jak w szczerym polu, jak w lesie, lub raczej na soczystej wyspie Bretanii, na której chciałbym się znaleźć. Uczułem się zgubiony niby na wybrzeżu jakiegoś północnego morza, gdzie człowiek się naraża dwadzieścia razy na śmierć, zanim dotrze do samotnej gospody; mgła, przestając być mirażem, do którego wyciągamy ręce, stawała się jednym z niebezpieczeństw, przeciw którym się walczy; tak że w szukaniu drogi i dobieciu do portu znaleźliśmy trudności i niepokój, i wreszcie radość, jaką strwożonemu i zgubionemu podróżnikowi daje bezpieczeństwo — niepodobne do odczucia dla kogoś, komu nie

groziła jego utrata. W czasie naszej awanturniczej wyprawy jedna rzecz omal nie naraziła mojej przyjemności, a to przez irytację i zdumienie, w jakie wtrąciła mnie na chwilę.

— Wiesz — rzekł do mnie Saint-Loup — powiedziałem Blochowi, że ty wcale za nim nie przepadasz, że cię często razi jego pospolitość. Ja już taki jestem, lubię jasne sytuacje — dodał z zadowoloną miną, tonem niedopuszczającym repliki.

Oślupiałem. Nie tylko pokładałem w Robercie, w lojalności jego ufność bez granic — ufność, którą on zdradził przez to, co powiedział Blochowi — ale uważałem co więcej, że od takiego postępuku powinny by go uchronić w równej mierze jego wady co przymioty, ów swoisty narów wychowania, zdolny posuwać grzeczność aż do pewnej nieszczerości. Triumfalna mina Roberta była typową miną, jaką staramy się pokryć zakłopotanie, wyznając coś, czego — wiemy to — nie powinniśmy byli zrobić. Czy ta mina wyrażała brak poczucia? czy głupstwo robiące cnotę z wady, której w Robercie nie znałem? czy atak chwilowej antypatii do mnie, szukającej pretekstu do rozstania się, czy wreszcie atak chwilowej antypatii do Blocha, któremu Saint-Loup chciał powiedzieć coś przykrego, bodaj narażając mnie? Zresztą gdy wymawiał te brzydkie słowa, twarz jego szpeciła jakaś ohydna bruzda, którą widziałem u niego jedynie raz lub dwa w życiu i która, przecinając zrazu mniej więcej w połowie twarz, doszedłszy do warg, skręcała je, dawała im wyraz wstrętny i plugawy, niemal wyraz bestialstwa, zupełnie przemijający i z pewnością odziedziczony po przodkach. W tych momentach, które z pewnością zdarzały się nie częściej niż raz na dwa lata, musiało zachodzić całkowite zaćmienie jego własnego „ja”, wynikłe z inwazji osobowości jakiegoś protoplasty, który się w nim odbijał.

Jak ten wyraz zadowolenia z siebie, tak i słowa Roberta: „Lubię jasne sytuacje” nastroczały podobną wątpliwość i zasługiwały na tę samą naganę. Chciałem mu powiedzieć, że kiedy ktoś lubi jasne sytuacje, powinien dawać folę tym napadom szczerości w tym, co dotyczy jego samego, nie zaś uprawiać zbyt łatwą cnotę cudzym kosztem. Ale już pówóz zatrzymał się przed restauracją, której oszklona i błyszcząca fasada samotnie jaśniała w ciemnościach. Dzięki zasobnej jasności wnętrza nawet mgła zdawała się na trotuarze wskazywać wejście, z radością owych lokajów, którzy odzwierciedlają nastrój swego pana; rozświetlała się najdelikatniejszymi odcieniami, znaczyła wejście niby świetlna kolumna wiodąca Hebrajczyków⁵⁰⁹.

Było ich zresztą wielu wśród gości. W tej właśnie restauracji spotykali się przez długi czas co wieczór Bloch i jego przyjaciele, pijani postem w równym stopniu wyglądającym co post rytualny (który bodaj przypada tylko raz na rok), pijani kawą i polityką. Ponieważ wszelkie podniecenie umysłowe podnosi wartość i jakość nawyków, które się z nim wiążą, nie ma pasji, która by nie skupiała w ten sposób dokoła siebie towarzystwa zespolonego w tej pasji i stawiającego ponad wszystko szacunek członków tego kółka. Tu — choćby to było małe prowincjonalne miasteczko — znajdziecie namiętnych miłośników muzyki: czas, pieniądz, wszystko idzie na muzykę kameralną, na zebrania, gdzie się mówi o muzyce, na kawiarnię, gdzie się siaduje w kółku amatorów i gdzie się można otrzeć o zawodowych muzyków. Inni, zapaleni do awiacji, dbają o łaski starego kelnera w barze na szczycie hangaru; bezpieczni od wiatru, niby w latarni morskiej, mogą śledzić w towarzystwie lotnika, który nie lata w tej chwili, ewolucje pilota wyczyniającego loopingi⁵¹⁰, podczas gdy drugi, niewidzialny chwilę przedtem, ląduje nagle i spada z łoskotem skrzydeł godnych ptaka Roka⁵¹¹.

Koteria⁵¹², która się tam zbierała, starając się przedłużyć i pogłębić ulotne wzruszenia procesu Zoli⁵¹³, również przywiązywała wielką wagę do tej kawiarni. Ale była tam

⁵⁰⁹światlna kolumna wiodąca Hebrajczyków — Hebrajczykom wędrującym po pustyni do ziemi Kanaan drogę wskazywał Bóg idący przed nimi pod postacią kolumny z obłoków za dnia i kolumny ognia w nocy (Wj 13, 21). [przypis edytorski]

⁵¹⁰looping (ang.) — robienie pętli. [przypis edytorski]

⁵¹¹ptak Rok — legendarny olbrzymi ptak drapieżny z opowieści perskich i arabskich; występuje w jednej z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

⁵¹²koteria — grupa wzajemnie popierających się osób, działająca w określonym celu. [przypis edytorski]

⁵¹³proces Zoli — po publikacji przez Émile'a Zolę głośnego listu otwartego w obronie Dreyfusa *J'Accuse!*... (Oskarżam!), w którym zarzucał władzom antysemityzm i działania niezgodne z prawem, minister wojny złożył przeciwko autorowi pozew o zniesławienie; przeprowadzony w dniach 7–23 lutego 1898 proces odbywał się z łamaniem podstawowych zasad i praw oskarżonego do obrony i zakończył się skazaniem Zoli na rok więzienia i grzywnę. [przypis edytorski]

źle widziana przez młodych paniczów, którzy stanowili drugą część klienteli i obrali sobie drugą salę, oddzieloną od tamtej jedynie lekkim parapetem przybrany zielonią. Ci uważali Dreyfusa i jego stronników za zdrajców, mimo że w ćwierć wieku później (gdy poglądy miały się czas zgrupować, a dreyfusizm zdołał nabrać w historii pewnej elegancji), bolszewizujący i walczący synowie tych samych młodych panów, na zapytanie w tej mierze, oświadczyli „intelektualistom”, że z pewnością, gdyby żyli w owym czasie, byłiby za Dreyfusem, nie o wiele więcej wiedząc już, co to była sprawa Dreyfusa — *l’Affaire* — niż kto to była hrabina Edmundowa de Pourtales lub margrabina Gallifet⁵¹⁴, inne gwiazdy zagasłe już w dniu ich urodzenia. Bo tego wieczora, gdy była taka mgła, owi panicze z kawiarni, mający być później ojcami młodych intelektualistów, retrospektywnych dreyfusistów, byli jeszcze nie żonaci. Niewątpliwie dla każdego z nich rodzina miała na oku bogate małżeństwo, ale nie zrealizowało się ono jeszcze dla żadnego. To bogate małżeństwo — jeszcze potencjalne — pożądane równocześnie przez wielu (było wprawdzie wiele „dobrych partii” na widoku, ale w sumie liczba wielkich posagów była o wiele mniejsza od liczby aspirantów) wносиło między tych młodych ludzi pewną rywalizację.

Nieszczęściem dla mnie, Saint-Loup zatrzymał się przez kilka minut, zamawiając woźnicę, aby przyjechał po nas po obiedzie; trzeba mi tedy było wejść samemu. Na początek dostałem się w obrotowe drzwi, do których nie byłem przyzwyczajony, i myślałem, że nigdy z nich nie wyjdę. (Powiedzmy mimochodem, dla amatorów ściślejszego słownictwa, że te drzwi „z bębenkiem”, mimo swego pokojowego charakteru, zowią się drzwi „rewolwerowe” z angielskiego „*revolving door*”). Tego wieczora gospodarz, nie mając ochoty zmknąć, wychodząc za próg, ani opuścić swoich klientów, stał wszelako blisko drzwi, z przyjemnością słuchając wesołych utyskiwań nowo przybyłych, rozpromienionych jak ludzie, którzy z trudem dobili celu, omal nie zgubiwszy się w drodze. Uśmiechniętą serdecznością jego powitań rozproszył widok obcego, który nie umiał się wygramolić ze szklanych przegródek. Ta jaskrawa oznaka nieokrziesania przyprawiła gospodarza o zmarszczenie brwi, niby egzaminatora, który ma wielką ochotę nie wymówić sakramentalnego *dignus est intrare*⁵¹⁵. Na domiar nieszczęścia, usiadłem w sali zastrzeżonej dla arystokracji, skąd gospodarz wyrwał mnie brutalnie, wskazując mi — z szorstkością, do której natychmiast dostroili się garsoni — miejsce w drugiej sali. Niezbyt mi się tam podobało, zwłaszcza że kanapa, na której znajdowało się to miejsce, była już pełna ludzi, i że miałem na wprost siebie drzwi przeznaczone dla Hebrajczyków, drzwi już nie obrotowe, za każdym otwarciem i zamknięciem puszczające na mnie straszliwe zimno. Ale gospodarz nie chciał mi wskazać innego miejsca, mówiąc: „Nie, proszę pana, nie będę wszystkich niepokoił dla pana”. Zapomniał zresztą niebawem o niewczesnym i niewydarzonym gościu, pochłonięty kolejno każdym nowo przybyłym, który nim zażądał zimnej kury, szklanki piwa lub grogu⁵¹⁶ (pora obiadu minęła od dawna), musiał, jak w starych powieściach, opłacić „cechę”, opowiadając swoją przygodę, z chwilą gdy się znalazł w tym ciepłym i bezpiecznym azylu, gdzie kontrast z tym, czego się uniknęło, stwarzał wesołość i koleżeństwo, baraszkujące zgodnie przy ogniu biwaku.

Jeden opowiadał, że jego fiaker, myśląc, iż jest na moście Zgody, trzy razy okrążył Inwalidów⁵¹⁷; inny, że jego woźnica, próbując się trzymać alei Pól Elizejskich, wjechał w klomb Rond-Point⁵¹⁸, skąd przez trzy kwadransy nie mógł się wydobyć. Następowaly lamenty na mgłę, na zimno, na śmiertelną ciszę ulicy; lamenty wygłaszane i słuchane z wyjątkowo radosnymi minami, tłumaczącymi się przytulną atmosferą sali (gdzie, wyjąwszy moje miejsce, było ciepło), żywym światłem, od którego trzeba było mrużyć

⁵¹⁴hrabina Edmundowa de Pourtales lub margrabina Gallifet — gwiazdy salonów paryskich okresu Drugiego Cesarstwa: *Mélanie de Pourtales* (1836–1914), żona hrabiego Edmonda de Pourtales, oraz *Florence Georgina Laffitte, markiza de Gallifet* (1830–1901), żona generała Gastona de Gallifet. [przypis edytorski]

⁵¹⁵*dignus est intrare* (łac.) — godny jest, by wstąpić. [przypis edytorski]

⁵¹⁶grog — napój alkoholowy sporządzany z rumu (lub innego mocnego alkoholu) rozcieńczonego wodą i doprawionego sokiem z cytrusów, cynamonem i cukrem. [przypis edytorski]

⁵¹⁷Inwalidzi (fr. *Les Invalides*) — wybudowany z inicjatywy króla Ludwika XIV wielki kompleks budynków w Paryżu, służący jako szpital i pensjonat dla inwalidów wojennych, obecnie mieszczący również muzea związane z wojskową historią Francji. [przypis edytorski]

⁵¹⁸*Rond-Point de Champs-Élysées* — duże rondo na paryskiej alei Champs-Élysées (Pól Elizejskich). [przypis edytorski]

przywykłe już do ciemności oczy, oraz zgiełkiem rozmów, który wracał uszom ich aktywność.

Nadpływający goście z trudem mogli zachować milczenie. Osobliwość ich przygód — jak sądzili, jedynych w swoim rodzaju — paliła im język; szukali oczami kogoś, z kim by mogli nawiązać rozmowę. Sam gospodarz zatracił poczucie dystansów: „Księżę de Foix zgubił się trzy razy, jadąc od Porte Saint-Martin⁵¹⁹” — nie lękał się powtarzać, wskazując jednocześnie — jak gdyby go przedstawiał! — sławnego arystokratę adwokatowi Izraelicie, którego w każdym innym dniu dzieliłaby od księcia zaporą o wiele trudniejszą do przebycia niż przegroda zieleni. „Trzy razy, patrzcie państwo!” — rzekł adwokat, dotykając kapelusza. Ten odcień poufałości nie przypadł do smaku księciu. Należał do grupy arystokratów, u których impertynencja — nawet wobec „urodzonych”, o ile to urodzenie nie było najwyższej klasy — zdawała się być jedynym zatrudnieniem. Nie odpowiedzieć na ukłon, a jeżeli grzeczny człowiek ukłonił się powtórnie, zaśmiać się drwiąco lub zadrzeć głowę z wściekłą miną; udawać, że się nie zna starszego człowieka, który swego czasu oddał im przysługę; chować uścisk dłoni i ukłon dla samych książąt i dla najbliższych książęcych przyjaciół — oto był „fason” tych młodych ludzi, a zwłaszcza księcia de Foix. Takiemu wzięciu sprzyjało rozbuchanie pierwsze młodości (gdzie nawet w mieszczańskiej sferze młody chłopak łatwo dopuszcza się niewdzięczności i staje się chamem, bo zapomniawszy w ciągu kilku miesięcy napisać do swego dobroczyńcy, gdy ów stracił żonę, potem — dla uproszczenia — przestaje mu się kłaniać), ale zwłaszcza rodził ją wybujały snobizm kastowy. Prawda, iż na kształt pewnych nerwowych schorzeń, których objawy łagodnieją w wieku dojrzałym, na ogół snobizm ów przestawał z wiekiem objawiać się w sposób równie natarczywy u ludzi tak nieznośnych za młodu. Skoro raz minie młodość, rzadko się zdarza, aby człowiek zakrzepł w arogancji. Sądził, że ona jedna istnieje; i nagle, choćby był nie wiem jakim księciem, odkrywa, że istnieje także muzyka, literatura, ba, mandat poselski. Hierarchia wartości zmienia się w tym świetle; wielki pan nawiązuje stosunki z ludźmi, których niegdyś miażdżył wzrokiem. Szczęśliwa nadzieja dla tych, co mieli cierpliwość czekać, a są na tyle dobroduszni — jeśli się można tak wyrazić — aby znaleźć około czterdziestki przyjemność w grzecznościach i awansach, których im oschle odmawiano, gdy mieli lat dwadzieścia.

Z okazji księcia de Foix wypada powiedzieć, skoro się nastęrcza sposobność, że należał do pewnej koterii dwunastu czy piętnastu młodych ludzi oraz do wybrańszej „grupy czterech”. Koteria owych dwunastu czy piętnastu posiadała tę wspólną cechę (od której, sądzę, książę był wolny), że każdy z tych młodzieńców miał podwójną fizjonomię. Zadłużeni po uszy, uważani byli za hetkę pętelkę przez swoich krawców mimo przyjemności, jaką ci znajdowali w powtarzaniu: „pan hrabia, pan margrabia, książę pan”... Mieli nadzieję wygrzebać się za pomocą sławnej „dobrej partii”, zwanej także „ciężkim workiem”; że zaś grubych posagów, do których wzdychali, było ledwie cztery czy pięć, wielu z nich brało po cichu na cel tę samą pannę. I zachowywano sekret tak ściśle, że gdy jeden z nich, wchodząc do kawiarni, powiedział: „Moje gołąbki, zanadto was kocham, aby wam nie oznajmić swoich zaręczyn z panną d’Ambresac”, rozległo się kilka okrzyków, ile że niejeden z nich uważał tę rzecz za załatwioną dla siebie samego, a nie miał tyle zimnej krwi, aby zdławić pierwszy wybuch wściekłości i zdumienia. „Ty się tak palisz do małżeństwa, Bibi?” — nie mógł się wstrzymać od okrzyku książę de Châtellerault, który upuścił widelec ze zdumienia i rozpacz, bo myślał, iż zaręczyny panny d’Ambresac staną się niebawem publicznym faktem, ale — zaręczyny z nim samym. A przecież samemu Bogu wiadomo, co jego ojciec zręcznie wszczył Ambresakom w ucho o matce młodego Bibi! „Ty się tak palisz do małżeństwa?” — nie mógł się wstrzymać od pytania drugi raz „Bibiego”, który, lepiej przygotowany (od czasu jak to było „prawie oficjalne”, miał czas się oswoić z sytuacją), odpowiadał z uśmiechem: „Jestem zachwycony nie tym, że się żenię, na co nie miałem najmniejszej ochoty, ale że się żenię z Daisy d’Ambresac, która jest doprawdy urocza”. W czasie tej odpowiedzi pan de Châtellerault opamiętał się; ale pomyślał, że trzeba co rychlej skrócić chorągiewkę w kierunku panny de la Canourque albo miss Foster, wielkich partii nr 2 i nr 3, prosić o cierpliwość wierzycieli, którzy cze-

Młodość

⁵¹⁹ *Porte Saint-Martin* (fr.: Brama św. Marcina) — paryski pomnik w formie łuku triumfalnego, zbudowany przez Ludwika XIV w miejscu dawnej bramy miejskiej; w pobliżu znajduje się teatr: Théâtre de la Porte-Saint-Martin. [przypis edytorski]

kali na pannę d'Ambresac, a wreszcie wytłumaczyć ludziom (którym także opowiadał, że panna d'Ambresac jest uroczą), że to jest partia dobra dla takiego Bibi, ale że on, zanimby się ożenił z tą panną, musiałby się poróżnić z całą swoją rodziną. Pani de Soléon tak by opowiadał — oświadczyła wręcz, że by ich nie przyjęła u siebie!

Ale o ile w oczach szewców, krawców, restauratorów itd. panicze ci mieli wątpliwą opinię, w zamian za to, kiedy się znaleźli w „świecie”, sądzono ich już nie wedle zaszarganego majątku i smutnych sposobów, jakimi próbowali go odrestaurować. Stawali się z powrotem księciem, diukiem takim a takim, szacowanym jedynie wedle ilości antenatów⁵²⁰. Jakiś książę, prawie miliardowy i jednoczący — zdawałoby się — wszystko w swojej osobie, ustępował im kroku, bo jako naczelnicy rodu byli niegdyś udzielnymi panami w małym kraiku, gdzie mieli prawo bić monetę itd... Często w restauracji jeden spuszczał oczy, kiedy drugi wchodził, aby nie zmuszać wchodzącego do ukłonu, a to dlatego, że sam, w swojej chimerycznej pogoni za bogactwem, zaprosił na obiad jakiegoś bankiera. Za każdym razem kiedy światowiec nawiązuje w tych warunkach stosunki z bankierem, bankier upuszcza mu krwi na jakieś sto tysięcy franków, co nie przeszkadza światowcowi powtarzać tego samego z drugim. Dalej pali świeczki i radzi się lekarzy.

Ale książę de Foix, sam z siebie bogaty, należał nie tylko do tej wykwintnej koterii piętnastu młodych, ale także do zamkniętej i nierozłącznej grupy czterech, w której był i Saint-Loup. Nie zapraszano nigdy jednego bez drugiego, nazywano ich „czterej żigolo⁵²¹”, widziało się ich zawsze razem na spacerach, w zamkach dawano im sąsiadujące pokoje, tak iż świat szeptał sobie na ucho o tej zażyłości, tym bardziej że wszyscy czterej byli bardzo piękni. Mogłem zaprzeczyć tym pogłoskom — o ile tyczyły one Roberta de Saint-Loup — w sposób najformalniejszy. Ale najciekawsze jest, iż później, choć się okazało, że te pogłoski były prawdą co do wszystkich czterech, w zamian za to żaden z nich absolutnie nie podejrzewał trzech innych. A przecież każdy z nich bardzo się starał dowiedzieć o innych, czy to, aby zaspokoić pragnienie — lub raczej urazę — popsuć małżeństwo, mieć broń na zdemaskowanego przyjaciela. Do tych czterech platoników — bo grupy „czterech” zawsze liczą więcej niż czterech — przyłączył się piąty, jeszcze większy platonik od tamtych. Ale skrupuły religijne powstrzymywały go aż do czasu, kiedy grupa czterech od dawna się już rozbiła, a on sam, żonaty i ojciec rodziny, modląc się w Lourdes o to, by następne dziecko było chłopcem lub dziewczynką, w pauzach rzucił się na żołnierzy.

Mimo charakteru księcia fakt, iż słowa wypowiedziane przy nim nie były doń zwrócone wprost, złagodził pioruny jego gniewu. Przy tym ten wieczór miał coś wyjątkowego. Wreszcie, adwokat nie więcej miał szans wejść w stosunki z księciem de Foix niż stangret, który go przywiózł. Toteż książę uważał, iż może odpowiedzieć — z oschłą miną i nie patrząc nań — natrętowi, który pod protekcją mgły stał się czymś w rodzaju towarzysza podróży, spotkanego het na krańcu świata, na jakiejś plaży smaganej wichrem i tonącej we mgłach. „To jeszcze nic zgubić się, najgorsze, że nie sposób się odnaleźć”. Trafność tej myśli uderzyła gospodarza, ponieważ słyszał ją już z ust gości tego wieczora kilka razy.

W istocie, miał on zwyczaj porównywać to, co słyszał lub czytał, z jakimś znanym już tekstem i odczuwał poryw zachwyty, kiedy nie spostrzegał różnic. Tych stanów duszy nie trzeba lekceważyć, gdyż zastosowane do rozmów politycznych, do lektury dzienników, tworzą opinię publiczną i przez to przygotowują grunt dla największych wydarzeń. Niemieccy właściele kawiarni, jedynie przez to, iż podziwiali swego gościa lub swój dziennik, powtarzających że Francja, Anglia i Rosja „szukają zaczepki” z Niemcami, umożliwili w momencie Agadiru⁵²² wojnę, która zresztą nie wybuchła. Historycy, którzy nie bez słuszności wyrzekli się tłumaczenia czynów ludów wolą królów, powinni ją zastąpić psychologią „szarego człowieka”.

⁵²⁰ *antenat* (z łac.) — przodek. [przypis edytorski]

⁵²¹ *żigolo* — płatny partner do tańca w lokalu rozrywkowym; młody mężczyzna czerpiący korzyści materialne z dotrzymywania towarzystwa lub ze stosunków z zamożnymi kobietami. [przypis edytorski]

⁵²² *kryzys agadirski* a. *drugi kryzys marokański* (1911) — incydent militarny i dyplomatyczny między Francją a Niemcami, spowodowany rozmieszczeniem znacznych sił francuskich w głębi Maroka i wysłaniem przez Niemcy kanonierki SMS *Pantser* do marokańskiego portu Agadir; wobec stanowczej reakcji Wielkiej Brytanii zakończony po kilku miesiącach uznaniem przez Niemcy francuskiej dominacji w Maroku oraz przekazaniem części terenów Francuskiej Afryki Równikowej na rzecz Niemiec. [przypis edytorski]

W polityce gospodarz tej kawiarni przykładał od jakiegoś czasu swoją mentalność profesora recytacji jedynie do pewnej ilości wypowiedzi na temat sprawy Dreyfusa. O ile w słowach gościa lub na łamach dziennika nie odnalazł utartych zwrotów, oświadczał, że artykuł jest nudny lub gość nieszczerzy. Natomiast książę de Foix zachwycił go: ledwie pozwolił księciu dokończyć zdania. „Dobrze powiedział książę pan, dobrze powiedziane (co w sumie znaczyło: wyrecytowane bez błędu); to, to, właśnie to!” — wykrzyknął, wypełniony, jak mówią opowieści *Tysiąca i jednej nocy*, zadowoleniem po brzegi. Ale książę już znikł w małej sali. Przy tym — ponieważ życie odzyskuje swoje prawa nawet po najosobliwszych wypadkach — wylaniający się z morza mgły goście zamawiali to jakieś danie, to całą kolację; pomiędzy tymi byli zwłaszcza młodzi ludzie z Jockey Clubu, którzy wobec wyjątkowego charakteru dnia nie wahali się zająć dwóch stołów w wielkiej sali i w ten sposób znaleźli się tuż koło mnie. Kataklizm stworzył nawet między małą a dużą salą, między tymi wszystkimi ludźmi podnieconymi komfortem restauracji po długim błędzeniu w oceanie mgły, poufałość, z której ja jeden byłem wyłączony — podobną do tej, jaka musiała panować w arce Noego.

Naraz ujrzałem, że gospodarz zgina się w pokłonach, kelnerzy nadbiegają w komplecie, sprawiając, że wszyscy goście odwrócili się.

—Prędko, zawołać mi Cypriana, stolik dla pana margrabiego de Saint-Loup! — wykrzyknął gospodarz, dla którego Robert był nie tylko wielkim panem wywierającym niewątpliwy urok, nawet w oczach księcia de Foix, ale także klientem, który żył szeroko i zostawiał w tej restauracji dużo pieniędzy.

Goście z wielkiej sali patrzyli z ciekawością, goście z małej wołali na wyprzódki przyjaciela, który kończył wycierać nogi. Ale, w chwili gdy miał wejść do małej sali, Saint-Loup spostrzegł mnie w dużej.

— Dobry Boże! — wykrzyknął. — Co ty robisz tutaj, i to jeszcze koło otwartych drzwi! — rzekł, patrząc z wściekłością na gospodarza, który pobiegł zamknąć drzwi, zrzucając winę na garsonów:

— Zawsze im mówię, żeby drzwi były zamknięte.

Trzeba mi było ruszyć mój stolik i sąsiednie stoły, aby się przedostać do Roberta.

— Czemuś się ruszył? Wolisz jeść tutaj niż w małej sali? Ale, dziecino, ty zmarzniesz! Będzie pan tak łaskaw kazać zamknąć te drzwi na klucz — rzekł Saint-Loup do gospodarza.

— W tej chwili, panie margrabio, odtąd już goście będą po prostu przechodzili przez małą salę, wybornie.

I aby lepiej zadokumentować swoją gorliwość, zawołał do tej operacji starszego kelnera i kilku garsonów, miotając równocześnie straszliwe groźby, w razie gdyby jej nie wykonano należycie. Obsypywał mnie oznakami przesadnego szacunku, chcąc, bym zapomniał, że nie zaczęły się one od chwili mego przybycia, ale dopiero od zjawienia się Roberta. Zarazem, iżbym nie sądził, że te względy są wynikiem przyjaźni, jaką mi okazuje bogaty i arystokratyczny klient, restaurator słał mi ukradkiem dyskretne uśmieški, mające świadczyć o jego na wskroś osobistej sympatii.

Odezwanie się jakiegoś gościa tuż za mną kazało mi na chwilę odwrócić głowę. Zamiast zwykłych słów w rodzaju: „Kawałek kury, owszem, i szampan, ale nie za suchy”, usłyszałem, co następuje: „Wolałbym glicerynę. Tak, gorącą, wybornie”. Chciałem zobaczyć, kto jest owym ascetą nakładającym sobie podobne menu. Odwróciłem żywo głowę ku Robertowi, aby mnie ten osobliwy smakosz nie poznał. Był to po prostu mój znajomy, doktor, z którego pacjent, korzystając z mgły, aby go zablokować w tej kawiarni, wyludził konsultację. Lekarze, jak giełdciarze, lubią formę „ja”.

Tymczasem patrzyłem na Roberta i myślałem tak: Jest w tej kawiarni — i w życiu znałem ich wielu — sporo cudzoziemców, intelektualistów, cyganów wszelkiego rodzaju, pogodzonych ze śmiechem, jaki budzą ich pretensjonalne peleryny, krawaty *à la* 1830, a bardziej jeszcze ich niezręczne ruchy; posuwających się do prowokowania śmiechu, aby okazać, że o niego nie dbają: ludzi rzetelnej wartości intelektualnej i moralnej, wielkich zalet serca. I wszyscy oni — zwłaszcza Żydzi, Żydzi niezasymilowani, rozumie się, nie mogłoby być mowy o innych — razili tych, co nie mogli znieść ekscentrycznego, kabotyńskiego wyglądu (jak Bloch raził Albertynę). Na ogół uznawało się później, że o ile przeciw nim przemawiały za długie włosy i nosy, za wielkie oczy, teatralne i pretensjonalne gesty,

dzieciństwem⁵²³ byłoby sądzić ich z tego; mieli wiele inteligencji, serca; byli to w obcowaniu ludzie, których można było szczerze pokochać. Co się tyczy w szczególności Żydów, mało było wśród nich takich, których rodzice nie odznaczałoby się szlachetnością serca, szerokością umysłu, szczerością; matka Roberta de Saint-Loup i książę de Guermantes wyglądałoby przy nich bardzo mizernie ze swoją oschłością, ze swoją powierzchowną dewocją potępiającą jedynie skandal, ze swoją apologią⁵²⁴ chrystianizmu wiodącego nieomylnie (drogami niepojętymi dla inteligencji, rzekomo jedynie przez nich cenionej) do kolosalnie bogatego małżeństwa. Ale koniec końców, u takiego Roberta de Saint-Loup (jak gdyby wady rodziców skombinowały się w nowe wcielenie zalet) istniała na wskroś urocza prostota umysłu i serca. I wówczas — trzeba to powiedzieć na nieśmiertelną chwałę Francji — kiedy te przymioty znajdują się u czystego Francuza, czy z arystokracji, czy z ludu, zakwitają one — „rozpościerają się” byłoby za wiele powiedziane, bo jest w tym miara i ograniczenie — z wdziękiem, jakiego nie spotykamy u najwartościowszego bodaj cudzoziemca. Zalety umysłu i serca posiadają niewątpliwie i inni i nie umniejsza ich ceny to, iż zrazu trzeba nam przebyć to, co nas razi i odstręcza, i przyprawia o uśmiech. Bądź co bądź ładną i może wyłącznie francuską właściwością jest, że to, co uznajemy za istotnie piękne, to, co ma wartość wedle umysłu i serca, jest przede wszystkim urocze dla oka, zabarwione wdziękiem, wyczelowane subtelnie, że także w swojej materii i formie osiąga wewnętrzną doskonałość. Patrzyłem na Roberta i myślałem, że to jest ładna rzecz, kiedy szpetota fizyczna nie jest przedśmionkiem duchowego wdzięku; kiedy delikatne skrzydła nosa mają rysunek doskonały jak skrzydła motylków siadających na kwiatach polnych dokoła Combray; i że prawdziwe *opus francigenum*⁵²⁵, którego sekret nie zatracił się od XIII wieku i nie zginąłby wraz z naszymi kościołami, to są nie tyle kamienne anioły w Saint-André-des Champs, ile małe Francuziki, ze szlachty, z mieszczan czy z chłopów, o twarzy wyrzeźbionej z tą delikatną prostotą, równie tradycyjną jak w słynnej kruchcie, ale jeszcze twórczą.

Oddaliwszy się na chwilę, aby czuwać osobiście nad zamknięciem drzwi i nad naszym obiadem (nalegał, żebyśmy wzięli „zimne mięso”, bo drób musiał być nieszczególny), gospodarz wrócił, aby nam oznajmić, że książę de Foix bardzo by pragnął, aby pan margrabia pozwolił mu zjeść obiad przy stoliku obok.

— Ależ wszystkie są zajęte — odparł Saint-Loup, patrząc na stoły, które zatarasowywały mój stolik.

— O to nie chodzi; gdyby to mogło być przyjemne panu margrabiemu, można by doskonale poprosić te osoby, żeby się przesiadły. Takie rzeczy da się zrobić dla pana margrabiego!

— Decyduj ty — rzekł do mnie Saint-Loup. — Foix jest dobry chłopak, może cię nie znudzi; jest mniej głupi niż wielu innych.

Odpowiedziałem, że z pewnością bardzo by mi było miło, ale że kiedy się nam raz zdarzyło wybrać we dwójkę na obiad i kiedyś się na to tak cieszył, wolałbym raczej żebyśmy byli sami.

— Ładny ma płaszcz książę de Foix — rzekł gospodarz w trakcie naszej narady.

— Tak, znam ten płaszcz — odparł Saint-Loup.

Chciałem opowiedzieć Robertowi, iż pan de Charlus zataił przed jego ciotką, że mnie zna, przy czym chciałem go spytać, co może być tego za przyczyna; ale przeszkodziło mi przybycie księcia de Foix. Zjawił się nagle o dwa kroki; przyszedł się przekonać, czy jego propozycję przyjęto. Robert zapoznał nas, ale nie ukrywał swemu przyjacielowi, że mając ze mną do pomówienia, wolałby, żeby nas zostawiono w spokoju. De Foix oddalił się, podkreślając pożegnalny ukłon uśmiechem, którym wskazywał mi Roberta, jak gdyby składając na niego krótkość tej znajomości, którą by rad przedłużył. Ale w tej chwili, Robert, jak gdyby uderzony nagłą myślą, pospieszył za nim, rzuciwszy mi: „Usiądź i zacznij jeść, ja zaraz przyjdę” — po czym znikł w małej sali.

Przykro mi było, kiedyś słyszał, jak jacyś nieznanymi eleganci opowiadają niedorzeczne a złośliwe historie o młodym następcy tronu, księciu Luksemburga (eks-hrabi

⁵²³dzieciństwo (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

⁵²⁴apologia — obrona stanowiąca zarazem usprawiedliwienie i pochwałę. [przypis edytorski]

⁵²⁵*opus francigenum* (łac.) — dzieło francuskie. [przypis edytorski]

de Nassau), któremu poznał w Balbec i który dał mi tak delikatne dowody sympatii w czasie choroby babki. Jeden utrzymywał, że ów książę powiedział do księżnej Oriany de Guermantes: „Żądam, aby wszyscy wstawali, kiedy przechodzi moja żona”, i że księżna odpowiedziała (co grzeszyłoby nie tylko brakiem dowcipu, ale i brakiem ścisłości, gdyż babka młodej księżnej była zawsze najuczciwszą kobietą w świecie): „Skoro wszyscy będą wstawali dla twojej żony, będzie to coś nowego w porównaniu z babką, z którą się wszyscy kładli”. Opowiadali potem, że kiedy młody książę odwiedził w tym roku swoją ciotkę, księżnę de Luxembourg, w Balbec i stanął w „Grand Hotelu”, skarżył się dyrektorowi (mojemu przyjacielowi), że nie wywieszono flagi Luksemburga. Otóż, ponieważ ta flaga była mniej znana i mniej używana niż flaga angielska lub włoska, trzeba było kilku dni, aby się o nią postarać, ku wielkiemu niezadowoleniu młodego księcia. Nie uwierzyłem ani trochę w tę historię, ale przyrzekłem sobie, skoro się znajdę w Balbec, zapytać o to dyrektora hotelu, aby się upewnić, że to jest czyste zmyślenie.

Czekając na Roberta, poprosiłem gospodarza, aby mi kazał dać chleba.

— Natychmiast, panie baronie.

— Nie jestem baronem — odparłem.

— Och przepraszam, panie hrabio!

Nie miałem jeszcze czasu założyć nowego protestu, po którym zostałbym z pewnością „panem margrabią”, kiedy, równie szybko, jak mi to zapowiedział, zjawił się w progu Saint-Loup, trzymając w ręku obszerny płaszcz księcia de Foix; zrozumiałem, iż poprosił przyjaciela o ten płaszcz, aby mi było ciepło. Dał mi z daleka znak, żebym się nie ruszał; posuwał się ku mnie, ale trzeba było jeszcze ruszyć mój stół albo musiałbym zmienić miejsce, aby Robert mógł usiąść. Wszedłszy do wielkiej sali, Saint-Loup wstąpił lekko na czerwoną aksamitną kanapkę okrążającą salę wzdłuż ściany; na tej kanapce oprócz mnie siedziało tylko trzech czy czterech młodych ludzi z Jockey Clubu, znajomych Roberta, którzy nie znaleźli miejsca w małej sali. Pomiędzy stolikami były rozpięte sznury elektryczne na pewnej wysokości; nie zważając o nie, Saint-Loup przeskoczył je zręcznie, niby koń wyścigowy przeszkodę. Zawstydzony, że on dokazuje tych cudów jedynie dla mnie, aby mi oszczędzić bardzo prostego ruchu, byłem równocześnie oczarowany pewnością, z jaką wykonywał tę woltyżerską sztukę; i nie ja sam: gospodarz i garsoni (mimo iż byliby z pewnością średnio smakowali w tej sztuce u mniej arystokratycznego i mniej hojnego klienta) stali olśnieni niby znawcy przy wadze na wyścigach; pikolo, jakby sparaliżowany, stał nieruchomo z półmiskiem, na który czekali goście obok; a kiedy Saint-Loup, mając przejść za swymi przyjaciółmi, wstąpił na ramę oparcia i posuwał się, zachowując doskonałą równowagę, dyskretnie oklaski rozległy się na sali. Zrównawszy się wreszcie ze mną, osadził w miejscu swój rozmach z precyzją wodza przed trybuną monarchy i kłaniając się, podał mi, z wyrazem dworności i poddania, płaszcz z wielbłądziej sierści, aby natychmiast potem, siadłszy obok mnie i nie pozwalając mi uczynić najmniejszego ruchu, ułożyć go niby lekki i ciepły szal na moich ramionach.

— Posłuchaj, żebym nie zapomniał — rzekł Robert — wuj Charlus ma ci coś do powiedzenia. Obiecałem mu, że cię przyślę do niego jutro wieczór.

— Właśnie miałem z tobą pomówić o nim. Ale jutro mam obiad u twojej ciotki Guermantes.

— Tak, jest wyżerka pierwszej klasy jutro u Oriany. Mnie nie proszono w gości. Ale wuj Palamed wolałby, żebyś ty tam nie szedł. Nie możesz się wymówić? W każdym razie idź do wuja Palameda potem. Zdaje mi się, że mu zależy na tym widzeniu. No, możesz zdążyć do niego na jedenastą. Jedenasta, nie zapomnij, podejmuję się uprzedzić go. On jest bardzo drażliwy. Jeśli nie przyjdiesz, będzie miał pretensje. Zresztą u Oriany zawsze się wcześniej kończy. Jeżeli masz tylko obiad, wybornie możesz być o jedenastej u wuja. I ja zresztą powinien bym się zobaczyć z Orianą, chodzi o moje stacjonowanie w Maroku, które chciałbym zmienić. Ona jest taka poczciwa w tych rzeczach, a robi co chce z generałem de Saint-Joseph, od którego to zależy. Ale nie mów jej o tym. Powiedziałem słówko księżnej Parmy, to pójdzie jak po maśle. Och, to Maroko, bardzo interesujące. Dużo by mówić o tym. Mężczyźni są tam bardzo subtelni. Czuć równość inteligencji.

— Nie sądzisz, że Niemcy mogliby się posunąć z powodu Maroka aż do wojny?

— Nie, ich to drażni, i w gruncie to rozumiałe. Ale cesarz jest pacyfistą. Zawsze będą przed nami udawali, że chcą wojny, aby nas skłonić do ustępstw. Bluffują, jak w pokerze. Książę Monako⁵²⁶, agent Wilhelma II⁵²⁷, powiedział nam poufnie, że Niemcy rzucą się na nas, jeżeli nie ustąpimy. Więc ustępujemy. Ale gdybyśmy nie ustąpili, nie byłoby ani cienia wojny. Pomyśl tylko, co by to była za komiczna rzecz — wojna dzisiaj. To byłoby katastroficzniesze niż *Déluge*⁵²⁸ i *Götterdämmerung*⁵²⁹. Tylko trwałoby krócej.

Robert mówił mi o przyjaźni, o sympatii, o żalu, mimo że — jak wszyscy tacy wędrowcy — wyjeżdżał nazajutrz na kilka miesięcy, które miał spędzić na wsi, aby wpaść tylko na czterdzieści osiem godzin do Paryża przed powrotem do Maroka (lub gdzie indziej); ale słowa, które rzucał w ten sposób w ciepło mego serca owego wieczora, rozpały w nim słodkie marzenia. Nasze rzadkie sam na sam — a zwłaszcza to — wyrły się później w mojej pamięci. Dla Roberta, jak dla mnie, był to wieczór przyjaźni. Ale przyjaźń, jaką odczuwałem w tej chwili, niezupełnie była (obawiałem się) tą, którą on byłby rad we mnie budzić. Odczuwałem nawet cień wyrzutu z tego powodu. Jeszcze pełen przyjemności, jakiej doznałem, patrząc, jak on się posuwa na kształt jeźdźca, aby osiągnąć z wdziękiem celu, czulem, iż ta przyjemność wynika stąd, że każdy z jego ruchów, wykonanych wzdłuż ściany na ławeczce, czerpał swój sens, swoją przyczynę może w indywidualnej naturze Roberta, ale bardziej jeszcze w tej, którą z urodzenia i wychowania odziedziczył po swojej rasie.

Pewność smaku w zakresie nie piękna, ale manier każe w obliczu nowej okoliczności wytwornemu człowiekowi — jak muzykowi, gdy go proszą o zagranie nieznanego utworu — chwycić natychmiast ton, rytm, jakiego utwór żąda, i dostroić doń najwłaściwszą technikę; następnie pozwala temu smakowi przejawiać się bez skrepowania żadnymi innymi względami, które sparaliżowałyby tyłu młodych ludzi z burżuazji, zarówno przez obawę śmieszności w oczach świata w razie uchybienia konwenansom, jak przez obawę nadmiaru uprzejmości w oczach przyjaciół. Miejsce tego wszystkiego zastępowała u Roberta wzdąta, której z pewnością nigdy nie czuł w sercu, ale którą otrzymał dziedzicznie w swoim ciele i która wyrobiła u jego przodków nawyk poufności, a to dzięki przeświadczeniu, że ona może jedynie pochlebić i sprawić przyjemność temu, do kogo się odnosi; wreszcie szlachetna hojność, która, nie biorąc zgoła w rachubę tyłu materialnych przewag (sute rachunki w tej restauracji uczyniły zeń w końcu, tutaj, jak i gdzie indziej, najmodniejszego klienta i wielkiego faworyta, a sytuację tę podkreślała w stosunku do Roberta skwapliwość nie tylko służby, ale i najświetniejszej młodzieży), kazała mu je deptać nogami, niby te faktycznie i symbolicznie deptane purpurowe ławeczki, podobne do wspaniałej drogi, która podobała się Robertowi jedynie przez to, że pozwalała mu się zbliżyć do mnie z większym wdziękiem i szybciej; oto były jego na wskroś arystokratyczne zalety, które zza tego ciała, nie tępego i ciemnego, jak byłoby moje, ale wymownego i jasnego, świeciły tak, jak poprzez dzieło sztuki prześwieca przemyślna i sprawna potęga, która je stworzyła, każdy gest owej lotnej podróży, jaką Robert odbył wzdłuż ściany, czyniąc czymś zrozumiałym i wdzięcznym, niby ruchy jeźdźców wyrzeźbionych na fryzie⁵³⁰.

„Ach! — pomyślałby Robert. — Wartoż mi było przez całą młodość gardzić urodzeniem, cenić jedynie sprawiedliwość i inteligencję, wybierać poza narzuconymi mi przyjaciółmi niezręcznych i źle ubranych kolegów, o ile mieli dar słowa, po to, aby jedyną uderzającą we mnie i wrażającą się w sympatyczną pamięć istotą była nie ta, którą wola moja, dokładając wysiłków i pracując nad sobą, ukształtowała na moje podobieństwo, ale owa inna, niebędąca moim dziełem, niebędąca nawet mną, istota, którą zawsze gardziłem

⁵²⁶książę Monako — Albert I (1848–1922), książę Monako od 1889. [przypis edytorski]

⁵²⁷Wilhelm II (1859–1941) — cesarz niemiecki w latach 1888–1918. [przypis edytorski]

⁵²⁸*Déluge* (fr.: Potop) — oratorium francuskiego kompozytora Camille'a Saint-Saënsa z 1875, ze słowami Louisa Galleta, opowiadające historię biblijnego potopu; napisane pod wpływem oper Wagnera. [przypis edytorski]

⁵²⁹*Götterdämmerung* (niem.) a. *Ragnarök* (mit. skand.) — wielka walka między bogami a olbrzymami i potworami, w wyniku której splanie świat i siedziba bogów, Asgard, zgasną wszystkie gwiazdy, a Ziemię zaleje wielkie morze; po katastrofach wyłoni się odnowiony, oczyszczony świat. *Götterdämmerung* (pol. *Zmierzch bogów*) to także tytuł ostatniej części dramatu muzycznego Richarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*. [przypis edytorski]

⁵³⁰jeźdźców wyrzeźbionych na fryzie — odniesienie do postaci z fryzu dłuta Fidiasza, biegnącego wokół Partenonu, świątyni bogini Ateny na ateńskim Akropolu; na fryzie przedstawiono uroczysty pochód podczas najważniejszego święta na cześć Ateny, między innymi kawalkadę jeźdźców. [przypis edytorski]

i którą starałem się przezwyciężyć? Wartoż mi było tak bardzo kochać mego ulubionego przyjaciela, po to, aby jego największą przyjemnością było odkrywać we mnie coś o wiele ogólniejszego niż ja sam; przyjemnością niepłynącą zgoła — jak on nieszczerze powiada — z przyjaźni, ale będącą czymś intelektualnym i bezinteresownym, rozkoszą niejako artystyczną?”

Oto — obawiam się dzisiaj — co Saint-Loup niekiedy myślał. W takim razie mylił się. Gdyby on nie był ukochał czegoś wyższego od wrodzonej gibkości swego ciała, gdyby nie gardził tak długo dumą rodową, nawet zwinność jego byłaby mniej swobodna, cięższa, wzięcie jego miałyby coś z nadętej pospolitości. Jak pani de Villeparisis musiała wiele przemyśleć serio, aby dać swojej rozmowie i swoim pamiętnikom wrażenie lekkości (które jest czymś intelektualnym), tak samo na to, aby w ciele Roberta zamieszkało tyle pańskości, musiała ta pańskość ustąpić z jego myśli, zwróconej ku wyższym celom; musiała, wsiąkszy w jego ciało, utrwalić się w nim w bezwiednych i szlachetnych liniach. Tym samym jego dystynkcja duchowa nie była obca jego dystynkcji fizycznej, która bez owej pierwszej nie byłaby zupełna. Artysta nie potrzebuje wyrażać wprost swojej myśli w dziele na to, aby to dzieło odbijało jej wartości; powiedział nawet ktoś, że najwyższą pochwałą Boga jest negacja ateusza, który uważa stworzenie za coś na tyle doskonałego, aby się mogło obejść bez twórcy. I miałem świadomość, że nie wyłącznie dzieło sztuki podziwiam w tym młodym jeźdźcu, rozwijającym wzdłuż ściany fryz swojego biegu; młody książę (pochodzący od Katarzyny de Foix, królowej Nawarry i wnuczki Karola VII), którego Robert opuścił dla mnie, urodzenie i majątek, jakie pochylał przede mną w hołdzie, dumni i gibcy przodkowie, którzy przetrwali w jego pewności i zwinności, dworność, z jaką otulił moje wrażliwe ciało płaszczem z wielbłądziej sierści, czyż z wszystkim tym nie było tak jak z jego przyjaciółmi dawniejszymi ode mnie, którzy — sądziłem — powinni byli zawsze nas dzielić, a których, przeciwnie, poświęcał dla mnie mocą wyboru, możebnego do uczynienia jedynie na wyżynach inteligencji, z tą skończoną swobodą, której ruchy jego były obrazem, a w której się objawia doskonała przyjaźń.

Artysta, Bóg

Ile pospolitej nadętości — w miejsce dystynkcji, jaką miała poufalość Roberta, dlatego że dziedziczna wzgarda była w nim jedynie zmienionym w nieświadomy wdzięk strojem istotnej pokory moralnej — może ujawnić poufalość jakiegoś Guermantes, mogłem sobie uświadomić nie w panu de Charlus, u którego wady charakteru, dotąd dla mnie niezrozumiałe, pokryły arystokratyczne wzięcie, ale w księciu Błażeju. I on zresztą — przy pospolitej całości, która się tak nie podobała mojej babce, kiedy niegdyś spotkała księcia u pani de Villeparisis — miał znamiona dawnej wielkości, które mnie uderzyły, kiedy nazajutrz po wieczorze spędzonym z Robertem znalazłem się u niego na obiedzie.

Znamion tych nie dostrzegłem ani u niego, ani u księżnej Oriany, kiedym ich widział pierwszy raz u ich ciotki, tak samo jak nie dostrzegłem pierwszego dnia różnic dzielących Bermę od jej towarzyszek, mimo że u niej swoiste cechy były nieskończenie bardziej uderzające niż u ludzi światowych, bo wyraźniejsze, w miarę jak przedmioty stają się realniejsze, dostępne inteligencji. Ale mimo całej błahości tych odcieni socjalnych (błahości takiej, że kiedy rzetelny obserwator, jak Sainte-Beuve⁵³¹, chce kolejno zaznaczyć subtelne różnice między salonem pani Geoffrin, pani Recamier i pani de Boigne⁵³², wszystkie te salony wydają się identyczne, główną zaś prawdą, jaka bez wiedzy autora wylania się z jego studiów, jest nicość życia salonów), bądź co bądź — z tej samej racji co u Bermy — kiedy Guermantowie stali mi się obojętni, a kropelka ich oryginalności nie zmieniała się już w parę w temperaturze mojej wyobraźni, wówczas mogłem ją zebrać, mimo iż tak mało ważką.

Ponieważ na wieczorze u ciotki księżna nie wspomniała mi o mężu, zastanawiałem się, czy wobec krążących pogłosek rozwodowych mąż ów będzie obecny na obiedzie. Ale niebawem zyskałem tego pewność, bo między lokajami, którzy stali w przedpokoju i którzy (dotąd patrzeli z pewnością na mnie jak na dzieci stolarza, to znaczy z większą może sympatią niż ich pan, ale jak na kogoś nienadającego się do tego domu) musieli dociekać

⁵³¹ Sainte-Beuve, Charles Augustin (1804–1869) — francuski pisarz i krytyk literacki; członek Akademii Francuskiej (od 1844). [przypis edytorski]

⁵³² pani Geoffrin, pani Recamier i pani de Boigne — paryskie damy prowadzące salony, gdzie spotykali się artyści, pisarze i politycy: Marie Thérèse Rodet Geoffrin (1699–1777), Juliette Recamier (1777–1849) oraz Adèle d’Osmond, hrabina Boigne (1781–1866). [przypis edytorski]

przyczyn tego przewrotu, ujrzałem sunącego pana de Guermites, który czyhał na moje przybycie, aby mnie przyjąć w progę i zdjąć mi własnoręcznie palto.

— Żona będzie bardzo a bardzo szczęśliwa — rzekł książę tonem przymilnej perswazji. — Niech mi pan pozwoli uwolnić się od swoich rupieci (uważał za dobroduszne i komiczne zarazem używać gwary ludu). Żona bała się trochę dezercji z pańskiej strony, mimo że pan raczył sam naznaczyć dzień. Od rana powiadaliśmy sobie oboje: „Zobaczysz, że nie przyjdzie”. Muszę powiedzieć, że księżna lepiej oceniła sytuację. Nie jest pan człowiekiem łatwym do zdobycia i byłem przekonany, że pan nam skręci kominka.

Książę był tak złym mężem, podobno nawet tak brutalnym, że mu poczytywano na zasługę (tak jak się ma za zasługę ludziom złych ich dobroduszność) te słowa „moja żona”, robiące wrażenie, że w nich rozciąga nad księżną opiekuńcze skrzydło, iżby stanowiła z nim jedno.

Ująwszy mnie poufale za rękę, książę wiódł mnie z sobą, aby mnie wreszcie wprowadzić do salonów. Gminne wyrażenie może się podobać w ustach wieśniaka, jeżeli streszcza trwałość jakiejś lokalnej tradycji, ślad historycznego wypadku, może nieznanego temu, kto do nich robi aluzję; tak samo grzeczność pana de Guermites, którą miał mnie otaczać cały wieczór, zachwyciła mnie jak pozostałość kilkowiecznych obyczajów, w szczególności obyczajów XVII wieku. Ludzie minionych czasów wydają się nam nieskończenie dalecy. Nie śmiemy im podsuwać głębokich intencji poza tym, co wyrażają formalnie; zdumieni jesteśmy, kiedy u bohaterów Homera spotkamy jakieś uczucie dość podobne do naszych lub fintę taktyczną u Hannibala⁵³³ pod Kannami, gdzie pozwolił złamać swoje skrzydło, aby niespodzianie otoczyć nieprzyjaciela; zdawałoby się, że my sobie wyobrażamy owego poetę lub wodza równie odległymi od nas co zwierzę oglądane w zoologicznym ogrodzie. Nawet kiedy u jakichś figur z otoczenia Ludwika XIV spotykamy znamiona dworności w listach pisanych do ostatniego człowieka, niezdolnego zdać się im na nic, czujemy się zdumieni, bo to odsłania nam nagle u tych wielkich panów cały świat pojęć, których nie wyrażają nigdy wprost, ale którymi się rządzą, w szczególności zaś przeświadczenie, że należy przez grzeczność udawać pewne uczucia oraz najskrupulatniej przestrzegać pewnych form dworności.

Ta urojona odległość od przeszłości jest może jedną z przyczyn tłumaczących, że nawet wielcy pisarze dopatryli się genialnego piękna w dziełach miernych mistyfikatorów jak Osjan⁵³⁴. To, aby prastarzy bardowie mogli mieć nowoczesne myśli, zdumiewa nas tak bardzo, że popadamy w zachwyt, jeżeli w rzekomej starej pieśni gaelickiej⁵³⁵ spotkamy jakąś myśl, która u współczesnego poety wydałaby się nam ot, dosyć zgrabną. Utalentowanemu tłumaczowi starożytnego, a mniej lub bardziej wiernie odtwarzanego autora wystarczy dodać do tekstu ustępy, które, podpisane współczesnym nazwiskiem i wydane oddzielnie, wydałyby się ledwie niezłe; natychmiast przyda tym jakąś wzruszającą wielkość swemu poecie, grającemu w ten sposób na klawiaturze kilku wieków. Tłumacz ów zdolny był dać jedynie mierną książkę — gdyby tę książkę wydano jako oryginał. Podana jako przykład — wydaje się przykładem arcydzieła. Przeszłość bynajmniej nie pierzcha, pozostaje w miejscu. Dopiero po miesiącach trwania wojny prawa uchwalone bez pośpiechu mogą na nią skutecznie oddziaływać; w piętnaście lat po niewykrytej zbrodni sędzia może jeszcze znaleźć materiały, które posłużą do jej wyświecenia; ba, po całych wiekach uczony badający w odległej strefie toponimię i obyczaje mieszkańców zdoła w nich jeszcze odkryć jakąś legendę wcześniejszą od chrześcijaństwa, już niezrozumiałą — o ile nie zapomnianą — za czasu Herodota⁵³⁶, a która w nazwie jakiejś skały, w obrzędzie religijnym trwa w pełni teraźniejszości niby gęstsza, odwieczna i stała emanacja. Istniała też —

⁵³³ *Hannibal Barkas* (246–183 p.n.e.) — wybitny wódz kartagiński; rozpoczął II wojnę punicką, wslawił się przeprowadzeniem 60-tysięcznej armii, łącznie ze słoniami bojowymi, z Hiszpanii przez Pireneje i Alpy do Italii, czym zaskoczył swoich wrogów, Rzymian, oraz umiejętnościami taktycznymi (m.in. bitwa pod Kannami w 216 p.n.e.). [przypis edytorski]

⁵³⁴ *Osjan* — legendarny wojownik i bard celtycki, bohater średniowiecznych podań; miał być autorem rzekomo starożytnych poematów celtyckich, *Pieśni Osjana*, opublikowanych w 1760 przez Jamesa Macphersona jako tłumaczenie z języka gaelickiego; mimo że w 1805 starożytny epos okazał się falsyfikatem, a rzekomy tłumacz autorem, tekst zyskał ogromną popularność w dobie romantyzmu i był tłumaczony na liczne języki w całej Europie. [przypis edytorski]

⁵³⁵ *gaelicki* — szkocki język z grupy języków celtyckich. [przypis edytorski]

⁵³⁶ *Herodot z Halikarnasu* (ok. 484–ok. 426 p.n.e.) — historyk grecki, nazywany „ojcem historii”, autor pierwszego zachowanego greckiego dzieła prozą pt. *Dzieje*, opisującego w 9 księgach wojny grecko-perskie

o wiele mniej starożytna — emancjacja dworskiego życia, jeżeli nie w manierach pana de Guermantes — często pospoliczych — to bodaj w duchu, który nimi władał. Miałem się nią jeszcze napawać, niby dawnym zapachem, odnalazłszy ją nieco później w salonie. Bo nie udałem się tam od razu.

Mijając się, wspomniałem panu de Guermantes, że bardzo bym pragnął obejrzeć jego Elstiry.

— Jestem na pańskie rozkazy. Więc pan jest w przyjaźni z Elstirem? Znam go trochę, miły człowiek, to, co nasi ojcowie nazywali „godny człowiek”; niezmiernie boleję, byłbym go mógł poprosić, aby nam uczynił ten zaszczyt i raczył dziś przyjść na obiad. Byłby z pewnością nader szczęśliwy, mogąc spędzić ten wieczór w pańskim towarzystwie.

Będąc w lichym stylu *ancien régime*, kiedy się silił na to, książę nabierał stylu późnej niechęcy. Spytawszy mnie, czy sobie życzę, aby mi pokazał te obrazy, poprowadził mnie, cofając się z wdziękiem i przepraszając, ilekroć, aby mi wskazać drogę, musiał przejść przodem: scena, którą (od czasu gdy Saint-Simon opowiada, że przodek Guermantów robił mu honory swego pałacu z tą samą skrupulatnością w dopełnianiu błahych powinności wielkiego pana) musiało odgrywać wielu innych Guermantów dla wielu innych gości, zanim się wreszcie osunęła do nas. Że zaś zwierzyłem się księciu, że rad bym zostać chwilę sam z tymi obrazami, wyszedł dyskretnie, prosząc, abym potem przyszedł do salonu.

Ale znalazłszy się sam na sam z Elstirami, zapomniałem zupełnie godziny i obiadu. Znów, jak w Balbec, miałem przed sobą fragmenty tego świata o nieznanym kolorach, będącego jedynie projekcją, wizją swoistą dla wielkiego malarza, nietłumaczącą się bynajmniej w jego słowach. Partie ścian pokryte jego płótnami, jednolitymi w charakterze, były niby obrazy latarni magicznej, którą była w danym wypadku głowa artysty, a której dziwności nie można by się domyślać, póki by się znało jedynie człowieka, to znaczy: póki by się widziało tylko latarnię i lampę przed wsunięciem kolorowego szkiełka. Niektóre z tych obrazów — te, co się wydawały wytwornej publiczności najpocieszniejsze — interesowały mnie bardziej od innych, tym mianowicie, że odtwarzały owe złudzenia optyczne, dowodzące, iż bez udziału rozumowania nie byłibyśmy zdolni zidentyfikować przedmiotów. Ileż razy, jadąc powozem, odkrywamy długą jasną ulicę zaczynającą się o kilka metrów od nas, gdy w istocie mamy przed sobą jedynie kawałek mocno oświetlonej ściany, dającej nam złudę głębi. Z tą chwilą, czy nie jest logiczne — nie jako sztuczka symbolizmu, ale przez szczerzy powrót do samego źródła wrażeń — przedstawić jedną rzecz jako ową drugą, którą wzięliśmy za nią w błyskawicy pierwotnego złudzenia? Powierzchnie i bryły są w rzeczywistości niezależne od nazw przedmiotów, jakie narzuca im nasza pamięć, skorośmy je poznali. Elstir starał się to, co wiedział, wyrwać z tego, co odczuł; usiłowaniem jego było często rozsądzić to skupienie rozumowań, które nazywamy widzeniem.

Ci, co nie cierpieli tych „okropności”, dziwili się, że Elstir wielbi Chardina⁵³⁷, Perroneau⁵³⁸, tyłu malarzy, których oni, ludzie światowi, lubili. Nie zdawali sobie sprawy, że Elstir na swoją rękę powtórzył w obliczu natury (przy swoistej skłonności do pewnych prób) to samo usiłowanie co jakiś Chardin lub Perroneau; tym samym, oderwawszy się od swojej pracy, podziwiał w nich analogiczne dążenia, niemal antycypowane fragmenty swoich dzieł. Ale ludzie światowi nie dopełniali w myśli dzieła Elstira ową perspektywą Czasu, która im pozwalała lubić obrazy Chardina lub bodaj oglądać je bez uprzedzeń. A przecież najstarsi z nich widzieli w ciągu swego życia, iż — w miarę jak lata oddalały ich od tych zjawisk — nieprzebyta odległość między tym, co uważali za arcydzieło Ingres⁵³⁹, a tym, co wedle nich powinno pozostać na zawsze ohydą (na przykład *Olimpia*

Artysta

oraz zawierającego cenne informacje o geografii, historii, wierzeniach i obyczajach Hellady oraz różnych krajów wchodzących wówczas w skład imperium perskiego, a także ludów ościennych. [przypis edytorski]

⁵³⁷ Chardin, Jean (1699–1779) — francuski malarz, mistrz scen rodzajowych i martwej natury. [przypis edytorski]

⁵³⁸ Perroneau, Jean-Baptiste (1715–1783) — francuski malarz i grafik, portrecista, posługiwał się głównie pastelami. [przypis edytorski]

⁵³⁹ Ingres, Jean-Auguste-Dominique (1780–1867) — francuski malarz historyczny i portrecista, jeden z najwybitniejszych artystów francuskich XIX w.; autor m.in. obrazu *Wielka odaliska* (1814), przedstawiającego leżącą nagą kobietę z haremu. [przypis edytorski]

Maneta⁵⁴⁰), zmniejsza się tak bardzo, że oba płótna robią wręcz wrażenie dwóch bliźniąt. Ale świat nie korzysta z żadnej nauki, bo nie umie zstąpić do ogólnych pojęć i wyobraża sobie zawsze, że znajduje się w obliczu zjawiska niemającego przykładu w przeszłości.

Ze wzruszeniem odnalazłem na dwóch obrazach (bardziej realistycznych, z wcześniejszej maniery) tego samego pana, raz we fraku w swoim salonie, drugi raz w marynarce i w cylindrze na zabawie ludowej nad wodą, gdzie najoczywściej był nie na swoim miejscu; co dowodziło, że dla Elstira był nie tylko zwyczajnym modelem, ale przyjacielem, może protektorem, którego — jak niegdyś Carpaccio⁵⁴¹ jakichś dygnitarzy weneckich, i to zupełnie podobnych — lubił pakować w swoje obrazy. Tak Beethoven⁵⁴² znajdował przyjemność w tym, aby na czele ulubionego dzieła wypisać drogie imię arcyksięcia Rudolfa⁵⁴³.

Ta zabawa nad wodą miała coś uroczego. Rzeka, suknie kobiet, żagle, niezliczone odbicia tego wszystkiego sąsiadowały na barwnym prostokącie, jaki Elstir wyciął z cudownego popołudnia. To, co zachwycało w sukni kobiety przestającej na chwilę tańczyć z powodu upału i zdyszaną, połyskiwało także — i w ten sam sposób — na płótnie nieruchomego żagla, w wodzie małej zatoki, na drewnianym mostku, w liściach i w niebie. Jak na jednym z obrazów, które oglądałem w Balbec, szpital, równie piękny pod lazurowym niebem jak sama katedra, zdawał się — śmieiej niż Elstir teoretyzujący, niż Elstir-esteta zakochany w średniowieczu — śpiewać: „Nie ma gotyku, nie ma arcydzieł, szpital bez stylu wart jest tyleż co wspaniały portal”, tak samo słyszałem: „Ta nieco pospolita dama, na którą przechadzający się pięknoduch nie raczyłby spojrzeć, którą by wygnał z poetycznego obrazu, jaki natura roztacza przed jego oczami, ta kobieta jest także piękna, suknia jej odbija to samo światło co ten żagiel; nie ma rzeczy bardziej lub mniej cennych, pospolita suknia i żagiel ładny sam w sobie to są dwa zwierciadła tego samego odbicia, cała wartość jest w spojrzeniu malarza”. Otóż ten malarz umiał nieśmiertelnie zatrzymać ruch godzin w owej promiennej chwili, gdy damie zrobiło się gorąco i gdy przestała tańczyć, kiedy drzewo okolił krąg cienia, kiedy żagle zdawały się ślizgać po złotym werniksie. Ale właśnie dlatego że chwila ciążyła na nas z taką siłą, to tak utrwalone płótno dawało wrażenie najbardziej ulotne, czuło się, że dama za chwilę się odwróci, że łódzie znikną, że cień zmieni miejsce, że przyjdzie noc, przyjemność się kończy, życie mija i że chwile, pokazane naraz tyłoma sąsiadującymi z sobą światłami, nie wracają.

Jeszcze jeden aspekt, zupełnie inny co prawda, tego, czym jest chwila, poznałem w kilku akwarelach mitologicznych, datujących z początków Elstira i również zdołających ten salon. Światowcy „zaawansowani” posuwali się „aż do” tej maniery, ale nie dalej. Nie były to z pewnością najtęższe dzieła Elstira, ale sama szczerość, z jaką potraktowano temat, odejmowała mu chłód. Muzy na przykład były przedstawione tak, jakby można przedstawić istoty z gatunku kopalnego; z tym że w czasach mitologicznych nie byłoby niezwykle widzieć je po dwie lub trzy, wieczorem, idące górską ścieżką. Czasami jakiś poeta, z rasy również mającej dla zoologa odrębną indywidualność (wyróżniającą się czymś jakby aseksualnym) przechadzał się z Muzą, jak w naturze istoty należące do odrębnych gatunków, ale zaprzyjaźnione i chodzące parami. Na jednej z tych akwarel widziało się wyczerpanego długą przechadzką górską poetę, którego spotkany centaur, współczując jego zmęczeniu, bierze na grzbiet i odnosi do domu. Na innych rozległy pejzaż (gdzie scena mityczna, bajeczni bohaterowie zajmują maleńko miejsca i są jakby zgubieni) oddany jest od szczytów aż do morza z dokładnością malującą już nie godzinę, ale minutę danej chwili, dzięki ścisłemu kątowni nachylenia słońca, dzięki ulotnej dokładności cieniów. W ten sposób artysta daje symbolowi mitu, ustalając go co do chwili, rodzaj przeżytej historycznej rzeczywistości; maluje ten symbol i opowiada go w czasie przeszłym dokonany.

Podczas gdy się przyglądał obrazom Elstira, dzwonki nowych gości rozlegały się bez przerwy, hipnotyzując mnie łagodnie. Ale cisza, która nastąpiła po nich i trwała już

⁵⁴⁰Manet, Édouard — malarz francuski, prekursor impresjonizmu; autor m.in. obrazu *Olimpia* (1865), przedstawiającego nagą kobietę, prostytutkę. [przypis edytorski]

⁵⁴¹Carpaccio, Vittore (1465–1526) — malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

⁵⁴²Beethoven, Ludwig van (1770–1827) — pianista i kompozytor niemiecki, jeden z klasyków wiedeńskich, prekursor romantyzmu w muzyce. [przypis edytorski]

⁵⁴³Habsburg, Rudolf Johann (1788–1831) — austriacki arcybiskup, najmłodszy syn cesarza Leopolda II, uczeń i mecenas Beethovena. [przypis edytorski]

od dłuższego czasu, obudziła mnie w końcu — mniej szybko co prawda — z mojego marzenia, tak jak w *Cyruliku*⁵⁴⁴ wyrwa Bartola ze snu cisza następująca po muzyce Lindora. Złakłem się, że o mnie zapomniano, że już wszyscy siedzą przy stole, i udałem się spieszenie do salonu. W drzwiach gabinetu z Elstirami ujrzałem lokaja, który — siwy czy upudrowany, sam nie wiem — czekał z miną hiszpańskiego ministra, ale okazując mi ten sam szacunek, jaki złożyłby u stóp króla. Uczułem z jego miny, że byłby na mnie czekał jeszcze godzinę, i pomyślałem z dreszczem zgrozy o opóźnieniu, jakie spowodowałem w obiedzie, zwłaszcza że przyrzekł być o jedenastej u pana de Charlus.

Idąc, spotkałem owego młodego lokaja, ofiarę odźwiernego; kiedym go spytał o narzeczoną, powiedział mi, promieniejąc szczęściem, że właśnie jutro oboje mają wychodne, że będzie mógł z nią spędzić cały dzień, sławił dobroć księżnej pani. Tymczasem hiszpański minister zaprowadził mnie do salonu; bałem się, że tam zastanę pana de Guermantes w złym humorze. Przeciwnie, przyjął mnie z radością, oczywiście po części sztuczną i konwencjonalną, ale skądinąd szczerą, natchnioną i jego żołądkiem, wygłodzonym przez tę zwłokę, i poczuciem podobnej niecierpliwości u gości, którzy wypełnili salon. Dowiedziałem się w istocie później, że czekano na mnie blisko trzy kwadranse. Książę de Guermantes pomyślał z pewnością, że przedłużyć powszechną męczarnię jeszcze o dwie minuty jest już rzeczą bez znaczenia i że skoro grzeczność kazała mu przewlec tak długo chwilę siadania do stołu, grzeczność ta byłaby zupełniejsza, gdyby, nie każąc podawać natychmiast, zdołał mnie przekonać, że się nie spóźnił i że na mnie nie czekano. Toteż spytał mnie — tak jakbyśmy mieli jeszcze godzinę czasu do obiadu i jakby jeszcze brakowało niektórych gości — jak mi się podobały Elstiry. Ale równocześnie, pokrywając niecierpliwość swego żołądka, nie chcąc tracić ani sekundy dłużej, przystąpił wraz z księżną do prezentacji. Wówczas dopiero spostrzegłem, iż spełniała się dokoła mnie — który do tego dnia (z wyjątkiem salonu pani Swann) przywykłem u nas w domu, w Combray i w Paryżu, do protekcyjnych lub wymuszonych manier nadąsanych mieszczek, traktujących mnie jak dziecko — zmiana dekoracji, podobna tej, jaka wprowadza nagle Parsifala⁵⁴⁵ między żywe kwiaty. Te, co mnie otaczały, głęboko wydekoltowane (ciało ich lśniło się po dwóch stronach krętej gałązki mimozy lub pod szerokimi płatkami róży), witając się ze mną, obejmowały mnie długimi pieszczącymi spojrzeniami, jak gdyby sama tylko nieśmiałość wzbraniała im uściskać mnie. Niejedna z tych kobiet była mimo to wzorem cnoty; niejedna, nie wszystkie, bo najcnotliwsze nie miały w stosunku do mniej surowych owej odrazy, jaką by czuła na przykład moja matka. Grzeszki tego rodzaju, negowane wbrew oczywistości przez święte przyjaciółki, najwyraźniej miały w świecie Guermantów o wiele mniej znaczenia niż stosunki, jakie ktoś umiał zachować. Udawano nieświadomość, że ciało jakiejś damy przechodziło z rąk do rąk, byle „salon” jej pozostał nietknięty.

Książę bardzo mało liczył się ze swymi gośćmi (co do których, jak oni co do niego, od dawna nie miał złudzeń), ale bardzo liczył się ze mną, którego gatunek wyższości, będąc mu nieznany, budził w nim po trosze ten sam rodzaj szacunku, co w wielkich panach na dworze Ludwika XIV ministrowie-mieszczanie. Uważał najoczywiściej, że fakt nieznanania jego gości nie ma żadnego znaczenia, jeżeli nie dla nich, to bodaj dla mnie; i gdym ja się troskał, z jego powodu, o wrażenie, jakie zrobię na nich, książę troszczył się jedynie o to, jakie wrażenie oni zrobią na mnie.

Na wstępie zresztą zdarzyło się podwójne *imbroglio*⁵⁴⁶. W istocie, ledwiem wszedł do salonu, pan de Guermantes, nie pozwalając mi nawet przywitać się z księżną, powiódł mnie ku niedużej damie, z miną człowieka chcącego sprawić jej miłą niespodziankę, zdając się mówić: „O, jest pani przyjaciel, widzi pani, przynoszę go pani za kark”. Otóż, zanim jeszcze, popychany przez księcia, dotarłem do niej, dama ta nie przestawała mi słać swoimi dużymi i łagodnymi oczami tysiąca porozumiewawczych uśmiechów, takich, jakie zwracamy do dawnego znajomego, który nas może nie poznaje. Ponieważ byłem właśnie w tym położeniu i nie umiałem sobie przypomnieć, kto to taki, odwracałem

⁵⁴⁴*Cyrulik sewilski* — opera Gioacchino Rossiniego z 1816, na podst. francuskiej komedii Pierre’a Beaumarchais’go z 1775 pod tym samym tytułem. [przypis edytorski]

⁵⁴⁵*Parsifal* — jeden z towarzyszy króla Artura, rycerz Okrągłego Stołu, poszukiwacz Graala; bohater dramatu muzycznego Ryszarda Wagnera pt. *Parsifal*, luźno opartego na noszącym ten sam tytuł średniowiecznym poemacie epickim Wolframa von Eschenbacha. [przypis edytorski]

⁵⁴⁶*imbroglio* (wł.) — dosł.: zamieszanie, zamęt; zawila intryga sceniczna. [przypis edytorski]

głowę, posuwając się naprzód, tak aby nie musieć odpowiedzieć na te spojrzenia do chwili, gdy prezentacja wydobędzie mnie z kłopotu. Przez ten czas dama nadal utrzymywała w chwiejnej równowadze swój przeznaczony dla mnie uśmiech. Robiła wrażenie, że jej jest pilno pozbyć się go i że czeka, abym powiedział wreszcie: „Ależ tak, rozumie się! Jaka mama będzie szczęśliwa, żeśmy się spotkali!” Było mi równie pilno dowiedzieć się jej nazwiska, jak jej ujrzeć, że się kłaniam wreszcie ze świadomością rzeczy i że jej uśmiech, wytrzymywany bez końca niby nuta *gis*, może się wreszcie skończyć. Ale pan de Guermantes pokpił sprawę, moim zdaniem przynajmniej; miałem wrażenie, że przedstawił tylko mnie, tak iż wciąż nie wiedziałem, kim jest ta pseudonieznamą, niemającą tego natchnienia, aby wymienić swoje nazwisko, tak bardzo racje naszej zażyłości, ciemne dla mnie, zdawały się jej jasne.

W istocie, skorom się znalazł przy niej, nie podała mi ręki, ale ujęła poufale moją i mówiła do mnie tonem takim, jak gdybym był — na równi z nią — świadom miłych wspomnień, jakie ona odnajduje w pamięci. Powiedziała mi, jak bardzo Albert (domyśliłem się, że to jej syn) będzie żałował, że nie mógł przyjść. Szukałem między dawnymi kolegami jakiegoś Alberta; znalazłem tylko Blocha, ale osoba, którą miałem przed sobą, nie mogła być matką Blocha, zmarłą od wielu lat. Próżno sililem się odgadnąć wspólną przeszłość, jaką ona najwyraźniej odnajduje w myśli. Ale tak samo nie dojrzałem jej poprzez przeświecający agat⁵⁴⁷ szerokich i słodkich źrenic przepuszczających jedynie uśmiech, jak nie poznaje się krajobrazu rozciągającego się za czarną szybą, nawet rozplamioną słońcem. Spytała mnie, czy mój ojciec nie zanadto się męczy; czy nie chciałbym któregoś dnia iść do teatru z Albertem; czy jestem mniej cierpiący; że zaś moje odpowiedzi, potykające się w duchowym mroku, stały się wyraźniejsze jedynie w objaśnieniu, że się nie czuję dobrze tego wieczora, dama ta podsunęła mi sama krzesło, świadcząc mi tysiąc grzeczności, do jakich mnie nie przyzwyczaili inni przyjaciele rodziców. Wreszcie książę wydał mi słowo zagadki⁵⁴⁸: „Zachwycona jest panem” — szepnęła, a słowa te zabrzmiały w moim uchu czymś znajomym. To były te same słowa, które pani de Villeparisis powiedziała babce i mnie, kiedyśmy poznali księżnę de Luxembourg. Wówczas zrozumiałem wszystko: obecna dama nie miała nic wspólnego z panią de Luxembourg, ale z wysłowienia osoby, która mnie nią raczyła, poznałem gatunek zwierzyńny. To była *Księżęca Wysokość*. Nie znała ani trochę mojej rodziny ani mnie, ale wiodąc się z najszlachetniejszego rodu i posiadając największy majątek w świecie (będąc bowiem córką księcia Parmy, zaślubiła kuzyna również z panującej rodziny), pragnęła, w swojej wdzięczności dla Stwórcy, okazać bliźniemu, choćby najbiedniejszemu lub najniżej urodzonemu, że nim nie gardzi. Prawdę mówiąc, z uśmiechów jej mogłem to być zgadnąć; widziałem, jak księżna de Luxembourg kupowała na plaży bułeczki, aby je dawać mojej babce niby sarnie w zoologicznym ogrodzie. Ale to była dopiero druga księżniczka krwi, której mnie przedstawiono; można by tedy darować, że nie wyodrębnił ogólnych cech dostojnej uprzejmości. Zresztą, czyż sami ci wielcy nie postarali się uprzedzić mnie, abym nie liczył zbyt mało na tę uprzejmość? Toż księżna de Guermantes, tak kiwająca do mnie ręką w Opera-Comique, była wyraźnie wściekła, kiedy się jej kłaniał na ulicy, jak ludzie, którzy dawszy raz komuś Ludwika, myślą, że się z nim już załatwili na zawsze. Co do pana de Charlus, jego przyływy i odpływy stwarzały jeszcze większe kontrasty. A z czasem poznałem, jak się pokaże, książęce wysokości i królewskie moście innego typu, królowe, które grają królowe i mówią nie na sposób im równych, ale jak królowe w sztukach Sardou⁵⁴⁹.

Jeżeli pan de Guermantes tak się pospieszył z moją prezentacją, to dlatego, iż fakt, aby się znajdował w towarzystwie kogoś nieznanego królewskiej wysokości, jest czymś niedopuszczalnym i nie może się przeciągać ani przez sekundę. To był ten sam pośpiech, z jakim Saint-Loup żądał, abym go przedstawił babce. Poza tym, przez pozostałość z życia dworów, która się zwie dwornością i która nie jest czymś powierzchownym, ale w której, przeciwnie, siłą jakiegoś przenicowania, powierzchnia staje się samą głębią rzeczy, oboje księstwo de Guermantes uważali za obowiązek ważniejszy od dość często zaniedbywanych

⁵⁴⁷ *agat* — minerał półszlachetny o różnobarwnych pasmach, używany gł. w jubilerstwie. [przypis edytorski]

⁵⁴⁸ *słowo zagadki* (daw.) — rozwiązanie zagadki. [przypis edytorski]

⁵⁴⁹ *Sardou, Victorien* (1831–1908) — francuski dramaturg, autor sztuk o starannie skonstruowanym schemacie akcji, cieszących się dużą popularnością w Europie i Ameryce. [przypis edytorski]

obowiązków miłości bliźniego, czystości, miłosierdzia i sprawiedliwości, za obowiązek nad wszystkie niezłomny — to, aby mówić do księżnej Parmy jedynie w trzeciej osobie.

Skoro nie byłem nigdy dotąd w Parmie (czego pragnąłem od czasu jakże dawnych już ferii wielkanocnych), poznanie księżnej tej Parmy, księżnej, która — wiedziałem o tym — posiadała najpiękniejszy pałac w tym jedynym mieście, gdzie wszystko zresztą musiało być jednolite, tak bardzo było ono zizolowane od reszty świata, wśród gładkich ścian, w atmosferze swojej zwartej i zbyt słodkiej nazwy, dusznej niby letni wieczór bez powietrza na placu małego włoskiego miasteczka, powinno by podstawić nagle realną Parmę pod tę, którą sobie starałem wyobrazić. Był to surogat przybycia do tego miasta bez ruszenia się z miejsca; było to, w algebrze podróży do miasta Giorgionego⁵⁵⁰, niby pierwsze równanie o tej niewiadomej. Ale o ile od wielu lat nasyciłem — jak fabrykant perfum nasyca lity blok tłustej substancji — nazwisko księżnej Parmy zapachem tysięcy fiołków, w zamian za to, odkąd ujrzałem księżną, którą byłbym dotąd sobie wyobrażał jako jakąś co najmniej Sanseverinę⁵⁵¹, zaczął się drugi proces, który, prawdę mówiąc, skończył się dopiero w kilka miesięcy później, a który polegał na usuwaniu z nazwiska księżnej, przy pomocy nowych chemicznych procesów, wszelkiego właściwego fiołkom olejku i wszelkiego stendhalowskiego zapachu i na wprowadzeniu w to miejsce obrazu czarniawej kobietki, pochłoniętej dobroczynnością i roztaczającej uprzejmość tak pokorną, że pojmowało się natychmiast, z jakiej wyniosłej dumy ta uprzejmość bierze początek. Zresztą, podobna — z drobnymi różnicami — do innych wielkich dam, księżna ta równie mało była stendhalowska, jak na przykład w Paryżu, w Quartier de l'Europe⁵⁵², ulica Parmeńska, o wiele mniej podobna do nazwy Parmy niż do wszystkich sąsiednich ulic, i o wiele mniej budząca myśl o pustelni, gdzie umiera Fabrycy, niż o poczekalni dworca Saint-Lazare.

Uprzejmość księżnej Parmy płynęła z dwóch przyczyn. Jedną, ogólną, było wychowanie, jakie otrzymała ta córka monarsza. Matka księżniczki (nie tylko spokrewniona ze wszystkimi panującymi domami Europy, ale jeszcze — w przeciwieństwie do książęcego domu Parmy — bogatsza od niejonej monarchini) wszczepiła jej od najmłodszych lat pysznie pokorne zasady ewangelicznego snobizmu; i teraz każdy rys twarzy córki, spadek jej ramion, każdy gest, zdawały się powtarzać. „Pamiętaj, że jeżeli Bóg dał ci się urodzić na stopniach tronu, nie powinnaś dlatego gardzić tymi, nad których boska Opatrzność (za co niech będzie pochwalona) raczyła cię wywyższyć urodzeniem i majątkiem. Przeciwnie, bądź dobra dla maluczkich. Twój przodekowie byli książętami Cleves i Juliers⁵⁵³ od roku 647; Bóg chciał w swojej dobroci, abyś posiadała prawie wszystkie akcje Suezu⁵⁵⁴ i trzy razy tyle Royal Dutchów⁵⁵⁵ co Edmund Rothschild⁵⁵⁶; rodowód twój w prostej linii ustalony jest przez heraldyków od roku 63 ery chrześcijańskiej; masz dwie szwagierki cesarsowe. Toteż w rozmowie nie sprawiaj nigdy wrażenia, że sobie przypominasz o tak wielkich przywilejach; nie iżby były znikome (bo niepodobna coś zmienić w dawności rodu, a zawsze świat będzie potrzebował nafty); ale zbyteczne jest okazywać, że jesteś lepiej urodzona od innych i że twój majątek ulokowany jest *prima*, skoro każdy o tym wie. Bądź miłosierna dla nieszczęśliwych. Wszystkim tym, których łaska niebios pomieściła poni-

⁵⁵⁰Giorgione, właśc. *Zorzi di Castelfranco* (1478–1510) — włoski malarz renesansowy; artysta owiany tajemnicą: niewiele wiadomo o jego życiu i twórczości, zmarł przedwcześnie, podczas zarazy, żaden z jego obrazów nie jest sygnowany ani datowany, autorstwo wielu z nich jest sporne. [przypis edytorski]

⁵⁵¹Sanseverina, *Gina* — postać literacka z *Pustelni parmeńskiej* Stendhala: ciotka Fabrycego del Dongo, która została księżną Parmy. [przypis edytorski]

⁵⁵²Quartier de l'Europe (fr.: Dzielnica Europejska) — dzielnica Paryża, w której ulice noszą nazwy miast europejskich. [przypis edytorski]

⁵⁵³Clèves i Juliers (fr.) — miasto Kleve w ob. zach. Niemczech oraz miasto Jülich w Holandii; w XI w. uformowały się wokół nich hrabstwa, które w XIV–XV w. zostały przekształcone w księstwa, wchodzące w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego; w 1521 księstwa Jülich, Berg, Kleve i Mark połączyły się, tworząc Zjednoczone Księstwa Jülich-Kleve-Berg. [przypis edytorski]

⁵⁵⁴akcje Suezu — akcje Kompanii Kanału Sueskiego, zarządzającej zbudowanym w 1859–1869 Kanałem Sueskim, który połączył M. Śródziemne z M. Czerwonym, umożliwiając Europejczykom żeglugę do Indii bez opływania Afryki; w 1956 kanał został znacjonalizowany przez władze egipskie. [przypis edytorski]

⁵⁵⁵Royal Dutch (pot.) — Royal Dutch Petroleum Company (niderl.: Koninklijke Nederlandse Petroleum Maatschappij), dawna holenderska spółka wydobywcza; w 1907 połączona ze spółką brytyjską, utworzyła obecny koncern Shell. [przypis edytorski]

⁵⁵⁶Rothschild, *Edmond James de* (1845–1934) — francuski kolekcjoner i mecenas sztuki pochodzenia żydowskiego, członek słynącej z bogactwa międzynarodowej rodziny Rothschildów. [przypis edytorski]

żej ciebie, oddawaj to, co im możesz oddać, nie uchybiając swemu stanowisku; to znaczy pomoc pieniężną, nawet miłosierdzie samarytańskie, ale, rozumie się, nigdy zaproszeń na swoje wieczory, co by im nie przyniosło żadnej korzyści, a w zamian, zmniejszając twój *prestige*⁵⁵⁷, uszczupliłoby skuteczność twojej dobroczynnej działalności”.

Toteż nawet w chwilach, w których nie mogła świadczyć dobrego, jej wysokość starała się okazać lub raczej przekonać wszystkimi zewnętrznymi oznakami niemej wymowy, że się nie uważa za wyższą od osób, wśród których się znajdowała. Miała dla każdego ową uroczą grzeczność, jaką mają dla niższych ludzie dobrze wychowani; co chwila, aby się okazać użyteczną, usuwała swoje krzesło, aby zostawić więcej miejsca; trzymała moje rękawiczki, ofiarowywała mi się ze wszystkimi usługami, niegodnymi dumnych mieszczek, które to usługi bardzo chętnie oddają królowe lub też — przez zawodowy nawyk — dawni lokaje.

Ale już ksiązę, któremu wyraźnie było pilno skończyć z prezentacjami, pociągnął mnie ku innej wytwornej pani. Usłyszawszy nazwisko damy, rzekłem, iż zdarzyło mi się przejeżdżać koło jej zamku, w pobliżu Balbec.

— Och, jaka byłabym szczęśliwa, mogąc go panu pokazać — rzekła prawie cicho, jak gdyby z nadmiaru skromności, ale tonem pełnym uczucia, z żalem, że ją minęła ta rzadka przyjemność. Z wiele mówiącym spojrzeniem dama dodała: — Miejmy nadzieję, że nie wszystko stracone. I muszę wyznać, że najbardziej zainteresowałby pana zamek mojej ciotki Brancas; budował go Mansard⁵⁵⁸, to perła całej prowincji.

Nie tylko więc ona sama byłaby rada pokazać mi swój zamek, ale ciotka jej, księżna de Brancas, z nie mniejszym zachwytem robiłaby mi honory swojego zamku, wedle zapewnień tej damy, uważającej z pewnością, że zwłaszcza w epoce, gdy ziemia przechodzi w ręce wzbogaconych prostaków, ważne jest, aby wielcy panowie podtrzymywali wysokie tradycje pańskiej gościnności za pomocą słów niezobowiązujących do niczego. A także ponieważ starała się, jak wszystkie osoby jej świata, mówić rzeczy zdolne komuś zrobić najwięcej przyjemności, dać mu najwyższe pojęcie o nim samym, sprawić, by wierzył, że pochlebia tym, do których pisze, że czyni zaszczyt swoim gospodarzom, że wszyscy płoną chęcią poznania go. Ta chęć dania innym milego pojęcia o nich samych zdarza się czasem nawet w sferach mieszczańskich. Spotyka się tam tę uprzejmość — jako osobisty przymiot, kompensujący jakąś wadę — niestety nie u najpewniejszych przyjaciół, ale bodaj u najmilszych partnerek. W każdym razie zakwita tam ona pojedynczo. Przeciwnie, w przeważnej części arystokracji ten rys charakteru przestał być indywidualny; pielęgnowany wychowaniem, podtrzymywany poczuciem własnej wielkości, która nie boi się upokorzyć, która nie ma rywalów, wie, że swoją uprzejmością może kogoś uszczęśliwić, i lubi to czynić — rys ten stał się plemienną cechą kasty. I nawet ci, którym zbyt sprzeczne temu rysowi osobiste wady nie pozwalają go zachować w sercu, noszą nieświadomy jego ślad w słownictwie lub w gestach.

— To bardzo dobra kobieta — rzekł do mnie pan de Guermantes, mówiąc o księżnej Parmy — przy tym umie być „wielką damą” jak nikt.

Podczas gdy mnie przedstawiano paniom, jeden z obecnych zdradzał niezwykle podniecenie: był to hrabia Hannibal de Bréauté-Consalvi. Przybywszy późno, nie miał czasu wywiedzieć się o uczestników; ujrawszy tedy w mojej osobie gościa nienależącego do towarzystwa księżnej i posiadającego zapewne tym samym zupełnie niezwykle tytuły, aby się w nim znaleźć, hrabia zasadził pod sklepionym łukiem brwi monokl, sądząc, że mu to znakomicie pomoże rozpoznać, do jakiego gatunku ludzi należą. Pani de Guermantes posiadała (cenny przywilej kobiet naprawdę niepospolitych) to, co się nazywa „salonem”; to znaczy do ludzi swego świata dorzucała czasami jakąś znakomitość, którą postawiło świeżo na świeczniku odkrycie jakiegoś leku lub stworzenie arcydzieła. Wielki świat był jeszcze pod wrażeniem faktu, że na przyjęcie dla królestwa angielskich księżna Oriana nie lękała się zaprosić pana Detaille⁵⁵⁹. Inteligentne kobiety z tego świata były niepokieszone, że ich nie zaproszono, tak rozkoszny dreszczyk przeczuwały w zbliżeniu się do

⁵⁵⁷*prestige* (fr.) — poważanie, prestiż. [przypis edytorski]

⁵⁵⁸*Mansard, François* (1598–1666) — francuski architekt epoki baroku; spopularyzował typ dachu na jego cześć nazwany mansardowym. [przypis edytorski]

⁵⁵⁹*Detaille, Édouard* (1848–1912) — francuski malarz akademicki, batalista, szczególnie znany z obrazów ukazujących wojnę francusko-pruską 1870. [przypis edytorski]

tego niezwykłego człowieka. Pani de Courvoisier utrzymywała, że był także pan Ribot, ale to było zmyślenie mające utrwalić pogłoskę, że Oriana stara się wypromować męża na ambasadora. Wreszcie na domiar skandalu, pan de Guermantes, z galanterią godną marszałka saskiego⁵⁶⁰, zjawił się w *foyer* Komedii Francuskiej i poprosił pannę Reichemberg, aby przysłała recytować wiersze wobec króla, co się też stało i co było faktem bez precedensu w rocznikach rautów.

Na wspomnienie tylu niespodzianek, które zresztą pan de Bréauté aprobował całkowicie — ile że on sam był, na równi z księżną, nie tylko ozdobą, ale i konsekracją wszelkiego salonu — pan de Bréauté, zadając sobie pytanie, kim ja mogę być, czuł, że się przed nim otwiera szerokie pole dociekań. Przez chwilę błysło mu w mózgu nazwisko pana Widor⁵⁶¹; ale uznał, że jestem zbyt młody, aby być organistą, a pan Widor za mało sławny, aby „bywać”. Naturalniejsze wydało mu się widzieć we mnie po prostu nowego szwedzkiego *attaché*⁵⁶², o którym mu wspomniano; już gotował się mnie spytać o nowiny o królu Oskarze⁵⁶³, który kilka razy przyjął go nader łaskawie; ale kiedy książę, przedstawiając mnie panu de Bréauté, wymienił moje nazwisko, ów, widząc, że to nazwisko jest mu absolutnie nieznane, nie wątpił już, iż skoro się tu znajduję, muszę być jakąś sławą. Tak, to było w stylu Oriany, która posiadała sztukę ściągania do swego salonu ludzi wybitnych, w stosunku jeden na sto, oczywiście, gdyż inaczej zdeklasowałyby ten salon. Pan de Bréauté zaczął tedy oblizywać wargi i rozdymać łakome nozdrza, podniecony nie tylko pewnością dobrego obiadu, ale i charakterem zebrania, któremu moja obecność niezawodnie miała przydać smaku, a które dostarczy mu pikantnego tematu nazajutrz przy śniadaniu u jego wysokości księcia de Chartres. Pan de Bréauté nie był jeszcze zdecydowany, czy ja jestem twórcą świeżo wypróbowanej surowicy przeciw-rakowej, czy autorem jednoaktówki będącej w próbach w Komedii Francuskiej; ale jako wielki intelektualista, wielki amator „opisów podróży”, nie przestawał mnożyć dla mnie ukłonów, mrugań, uśmiechów spoza monokla; bądź to w fałszywym mniemaniu, iż zyska w oczach człowieka wartościowego, jeśli mu zdoła wszczepić złudzenie, że dla niego, hrabiego de Bréauté-Consalvi, przywileje myśli nie mniej są godne szacunku niż przywileje urodzenia; bądź po prostu przez potrzebę i trudność wyrażenia swojego zadowolenia, w nieświadomości języka, jakim należało do mnie mówić, w sumie tak jakby się znalazł w obecności jednego z „tubylców” nieznannej ziemi, do której przybiłaby tratwa, i z którymi w nadziei zysku próbowałyby — obserwując równocześnie ciekawie ich obyczaje i nie przerywając wylewów przyjaźni ani wydawania jak oni głośnych okrzyków — zamieniać strusie jaja i korzenie na szkiełka.

Odpowiedziawszy, jak mogłem najlepiej, jego radości, uściśnięciem rękę księcia de Châtellerault, spotkanego już u pani de Villeparisis, o której powiedział mi, że to jest „spryciara”. Ten książę był nadzwyczaj „Guermantes” przez swoje blond włosy, przez orlikowaty profil, przez skazy na skórze policzków — cechy, które się widzi na portretach tej rodziny, przekazanych nam przez wiek XVI i XVII. Ale ponieważ nie kochałem już księżnej, wcielenie jej w postać młodego człowieka było dla mnie bez uroku. Odczytywałem haczyk, jaki tworzył nos księcia de Châtellerault, niby podpis malarza, któremu długo studiował, ale który mnie już przestał interesować. Następnie przywitałem się z księciem de Foix, po czym — na nieszczęście dla moich palców, które wyszły z tego zmaltrretowane — dałem je pochwycić w kleszcze uścisku dłoni w stylu niemieckim, z towarzyszeniem ironicznego czy też dobrodusznego uśmiechu Prinza von Faffenheim. Przez manię przydomków, właściwą temu środowisku, tego przyjaciela pana de Norpois nazywano tak powszechnie „Prinzem Von”, że on sam podpisywał się „Prinz Von” lub kiedy pisał do najbliższych — „Von”. Ten skrót można było jeszcze zrozumieć dla długości tego skomplikowanego nazwiska. Trudniej było ocenić racje, które kazały zastępować Elżbieta to przez „Lili”, to przez „Bietka”, jak w innym świecie roily się „Kiki”. Można pojąć, że mężczyźni — mimo iż na ogół wiodący puste i próżniacze życie — przyjęli formę „Quiou”, aby nie tracić czasu na wymawianie „Montesquiou”. Trudniej zrozumieć, co zyskiwali,

⁵⁶⁰Maurycy Saski (1696–1750) — hrabia saski, wódz i strateg, marszałek Francji. [przypis edytorski]

⁵⁶¹Widor, Charles-Marie (1844–1937) — francuski organista, kompozytor i nauczyciel akademicki. [przypis edytorski]

⁵⁶²attaché (fr.) — dyplomata, będący specjalistą w jakiejś dziedzinie. [przypis edytorski]

⁵⁶³Oskar II (1829–1907) — król Szwecji (od 1872) oraz Norwegii (1872–1905). [przypis edytorski]

zmieniając imię „Ferdynand” jednego z kuzynów na „Dynand”. Nie trzeba zresztą sądzić, że w swoich przydomkach Guermantowie posługiwali się niezmiennie powtórzeniem sylaby. Tak na przykład dwóch siostr, hrabiny de Montpeyroux i wicehrabiny de Vélude (obie były straszliwie otyłe), nigdy nie nazywano inaczej (o co się wcale nie gniewały i co nawet nie budziło niczyjego uśmiechu, taki zwyczaj był dawny) jak „Malańka” i „Kruszynka”. Kiedy pani de Montpeyroux była poważnie chora, pani de Guermantes, która przepadała za nią, ze łzami w oczach pytała jej siostry: „Słyszałam, że Malańka jest bardzo chora?”. Pani de l’Enclin, osoby noszącej nioby⁵⁶⁴ zasłaniające jej całkowicie uszy, nie nazywano nigdy inaczej jak „wilczy głód”. Czasem dla określenia żony zmieniano po prostu końcówkę przy imieniu męża. Pewien człowiek, najbardziej chciwy i nieludzki brudas z całego „towarzystwa”, miał na imię Rafael; otóż jego uroczą żonę, kwiat wyrastający ze skały, podpisywała się „Rafaella”. Ale to są jedynie próbki niezliczonych prawideł, które będziemy może mieli jeszcze sposobność zilustrować.

Poprosiłem księcia, aby mnie przedstawił księciu d’Agrigente.

— Jak to, pan nie zna naszego kochanego Grigri? — wykrzyknął pan de Guermantes i przedstawił mnie panu d’Agrigente.

Nazwisko księcia, tak często cytowane przez Franciszkę, wydawało mi się zawsze niby przezroczyste szkło, pod którym widziałem, smagane skośnymi promieniami złotego słońca, nad brzegiem fioletowego morza, różowe sześciany starożytnego miasta, którego — nie wątpię o tym — książę, przelotnym cudem bawiący w Paryżu, jest we własnej osobie, równie promiennie sycylijski i chlubnie patynowany, faktycznym władcą. Niestety, pospolity chrabąszcz, któremu mnie przedstawiono i który wykręcił pirueta, aby się ze mną przywitać z ciężką dezynwolturą⁵⁶⁵ mającą wyobrażać elegancję, był równie obcy swemu nazwisku, jak byłby obcy dziełu sztuki, które by posiadał, nie biorąc z niego żadnego odblasku, nie spojrzawszy może na nie nigdy. Książę d’Agrigente był tak całkowicie pozbawiony czegoś książęcego i przywodzącego na myśl Agrigente⁵⁶⁶, że można było doprawdy przypuszczać, iż jego nazwisko, całkowicie odeń wyodrębnione, niezwiązane niczym z jego osobą, posiadało moc wessania w siebie nieuchwytniej poezji zdolnej się kryć w tym człowieku — jak w każdym innym — i zamknięcia jej po tej operacji w zaczarowanych sylabach. Jeżeli taka operacja miała miejsce, była w każdym razie dobrze wykonana, bo nie zostało już ani atomu czaru w tym krewniaku Guermantów. Tak iż on był zarazem jedynym człowiekiem na świecie, który był księciem d’Agrigente, a zarazem może tym, co nim był najmniej. Był zresztą bardzo rad, że nim jest, ale tak jak bankier jest rad, że ma liczne akcje jakiejś kopalni, nie troszcząc się poza tym, czy ta kopalnia nosi piękne imię „Ivanhoe” lub „Primerose”, lub też po prostu nazywa się „Kopalnia Pierwsza”.

Dobiegały wreszcie końca prezentacje tak długie do opowiedzenia, ale które, rozpoczęte tuż po moim wejściu do salonu, trwały tylko kilka chwil. Pani de Guermantes błagalnym niemal tonem mówiła do mnie:

— Jestem pewna, że Błażej męczy pana, wodząc tak pana od jednego do drugiego; chcemy, żeby pan znał naszych przyjaciół, ale chcemy przede wszystkim nie zmęczyć pana, żeby pan przychodził często.

Wtem książę dość niezręcznym i nieswobodnym gestem spełnił to, co byłby chciał zrobić od godziny wypełnionej przeze mnie oglądaniem Elstirów: dał znak, że można podawać.

Trzeba dodać, że brakowało jeszcze jednego z zaproszonych, pana de Grouchy, którego żona, z domu Guermantes, przyszła sama, gdyż mąż miał przybyć wprost z polowania. Pan de Grouchy, potomek owego Grouchy⁵⁶⁷ z Pierwszego Cesarstwa, o którym fałszywie twierdzono, że jego nieobecność na początku bitwy pod Waterloo stała się główną przyczyną klęski Napoleona, był z doskonałej rodziny, niedostatecznej wszelako dla nie-

⁵⁶⁴nioby (daw.) — pukle włosów na skroniach kobiecych wypukło uczesane na podkładkach; od imienia Niobe, postaci z mit. gr. [przypis edytorski]

⁵⁶⁵dezynwoltura — swobodne, nieco lekceważące podejście do jakiejś kwestii. [przypis edytorski]

⁵⁶⁶Agrigente (fr.) — Agrigento, miasto na południowym wybrzeżu Sycylii. [przypis edytorski]

⁵⁶⁷Grouchy, Emmanuel de (1766–1847) — francuski generał, marszałek Francji (1815) i par Francji; ostatni z marszałków Napoleona Bonaparte; mimo iż słyszał odgłosy bitwy pod Waterloo, wykonał wydane mu uprzednio rozkazy i zaangażował się w walkę z korpusem nieprzyjaciela postawionym celowo przez głównego dowódcę wojsk pruskich z dala od głównego pola bitwy. [przypis edytorski]

których fanatyków szlachectwa. Toteż księżę Gilbert de Guermantes, który w wiele lat później miał być mniej wybredny dla samego siebie, miał zwyczaj mówić siostrzenicom:

— Co za nieszczęście, że ta biedna Guermantes (wicehrabina de Guermantes, matka pani de Grouchy) nie mogła znaleźć mężów dla swoich córek.

— Ależ, wuju, starsza wyszła za pana de Grouchy.

— Ja tego nie nazywam mężem! Ostatecznie, twierdzą, że wuj Franciszek stara się o młodszą; chwała Bogu, nie wszystkie zostaną starymi pannami.

Skoro tylko padł rozkaz, aby podawać do stołu, natychmiast, zakreślając szerokie luki, drzwi do jadalni otwarły się na oścież; marszałek dworu, robiący wrażenie mistrza ceremonii, skłonił się przed księżną Parmy i oznajmił „*Madame est servie*”⁵⁶⁸, tonem podobnym do słynnego „*Madame se meurt*”⁵⁶⁹ Bossueta⁵⁷⁰, ale nie zasmucając tym bynajmniej zebranych; z wesołą miną, niby w lecie na spacer, pary posunęły kolejno ku jadalni, rozdzielając się, skoro dotarły do swoich miejsc, gdzie lokaje zasuwali za nimi krzesła. Ostatnia, pani de Guermantes podeszła do mnie, abym ją poprowadził; nie odczułem ani cienia lęku, którego mógłbym się obawiać, bo księżna, której nabyta na łowach zręczność fizyczna uczyniła wdzięk czymś łatwym, widząc z pewnością, że się znalazł po niewłaściwej stronie, okręciła się tak zręcznie dookoła mnie, że uczułem jej ramię na swoim, najnaturalniej w świecie oprawne w rytm precyzyjnych i szlachetnych ruchów. Poddawałem się im swobodnie, ile że Guermantowie przywiązywali do tego nie więcej wagi, niż jej przywiązuje do wiedzy prawdziwy uczonec, wobec którego czujemy się mniej oniesmiełeni niż wobec niedouka. Otwarły się inne drzwi, przez które weszła dymiąca zupa, jak gdyby obiad odbywał się w doskonale urządzonym teatrze marionetek i jak gdyby późne zjawienie się młodego gościa poruszyło, na znak pana domu, wszystkie sprzężyny.

Gest księcia, któremu odpowiedziało puszczenie w ruch tego wielkiego, zmyślnego, posłusznego i wspaniałego mechaniczno-ludzkiego zegara, był raczej nieśmiały, niż majestatyczny i władczy. Niezdecydowanie gestu nie osłabiło mi wrażenia widowiska będącego jego następstwem. Bo czułem, iż w wahaniu się i zakłopotaniu księcia kryła się obawa okazania, że czekano z obiadem tylko na mnie i że czekano długo; tak samo jak pani de Guermantes bała się, aby mnie po oglądaniu tylu obrazów nie zmęczono tyloma prezentacjami i nie przeszkodzono mi wytchnąć. Tak że właśnie brak wspaniałości w geście oddychał prawdziwą wspaniałością. Tak samo jak ta obojętność księcia na własny zbytek, w przeciwieństwie do jego względów dla nieznaczącego gościa, którego chciał uczcić.

Nie przeszkadzało to, iż pan de Guermantes był pod wieloma względami bardzo pospolity, a nawet miał śmieszność człowieka zanadto bogatego, pychę parweniusza, którym nie był. Ale tak samo jak mierne talenty jakiegoś urzędnika lub księdza mnożą się nieskończenie (jak fala mnoży się przez całe morze tłoczące się za nią) przez siły, na których się wspierają — rząd francuski i Kościół katolicki — tak samo pana de Guermantes niosła owa inna siła, najautentyczniejsza grzeczność arystokratyczna. Ta grzeczność wyklucza wiele osób. Pani de Guermantes nie byłaby przyjęła pani de Cambremer ani pana de Forcheville. Ale z chwilą gdy ktoś — w danym wypadku ja — uzyskał prawo wstępu w sferę Guermantów, grzeczność ta odkrywała skarby gościnnej prostoty, wspanialsze jeszcze — o ile to możliwe — niż te stare salony i te cudowne meble, które tam przetrwały.

Kiedy pan de Guermantes chciał komuś zrobić przyjemność, wówczas posiadał prawdziwy kunszt, umiejący wyzyskać miejsce i okoliczności, aby uczynić owego gościa na ten dzień główną osobą. Bez wątpienia w Guermantes „wyróżnienia” jego i „łaski” przybrałyby inną formę. Kazałby zaprząć, aby mnie zabrać we dwójkę na spacer przed obiadem. Człowiek czuł się wzruszony jego przyjęciem, tak jak czytając stare pamiętniki, czuje się wzruszony przyjęciem Ludwika XIV, kiedy król, uśmiechnięty i z lekkim ukłonem, odpowiada z dobrocią jakiemuś petentowi. Bądź co bądź, trzeba w obu wypadkach zrozumieć, że owa dworność nie wychodziła poza ścisłe znaczenie tego słowa.

⁵⁶⁸*Madame est servie* (fr.) — Panią podano. [przypis edytorski]

⁵⁶⁹*Madame se meurt* (daw. fr.) — Pani umarła; wykrzyknienie z najbardziej znanej mowy żałobnej słynnego francuskiego mówcy Bossueta, wygłoszonej po śmierci Henrietty Anny Stuart (1644–1670), żony Filipa I Burbona, księcia Orleanu (brata króla Ludwika XIV). [przypis edytorski]

⁵⁷⁰*Bossuet, Jacques-Bénigne* (1627–1704) — francuski duchowny katolicki, biskup, teolog, wybitny mówca, wychowawca i nadworny kaznodzieja Ludwika XIV. [przypis edytorski]

Ludwik XIV (któremu fanatycy szlacheństwa z owej epoki zarzucają przecie jego nie-dbałość o etykietę, tak iż — powiada Saint-Simon — był to król bardzo niskiej rangi w porównaniu z Filipem Walezym⁵⁷¹, z Karolem V⁵⁷² itd.) każe układać szczegółowe instrukcje, iżby książęta krwi i ambasadorowie wiedzieli, którym panującym mają dawać krok przed sobą. W pewnych wypadkach, wobec niemożności uzgodnienia, ceremoniał woli uznać, że syn Ludwika XIV, *Monseigneur*, przyjmie jakiegoś zagranicznego królika tylko poza domem, w szczerym polu, aby nie było powiedziane, że wchodząc do pałacu, jeden miał krok przed drugim; a elektor Palatynatu, przyjmując księcia de Chevreuse na obiedzie, udaje — aby mu nie dać kroku przed sobą — że jest chory, i je z nim, ale leżąc, co przecina trudności. Kiedy *Monsieur le Duc*⁵⁷³ unika sposobności obsłużenia *Monsieur*⁵⁷⁴, ten, za radą króla — swego brata, który go zresztą serdecznie kocha — znajduje jakiś pretekst, aby kazać kuzynowi zjawić się u niego podczas wstawania i zmusza go tym do podania mu koszuli. Ale z chwilą gdy chodzi o głębokie uczucie, o względy serca, wówczas powinność — tak nieugięta, dopóki chodziło o formę grzeczności — zmienia się całkowicie. W kilka godzin po śmierci brata, jednego z ludzi, których król najbardziej kochał, kiedy *Monsieur*, wedle wyrażenia księcia de Montfort, jest jeszcze ciepły, Ludwik XIV śpiewa aryjki z opery, dziwi się, że księżna burgundzka, która z trudem ukrywa boleść, ma taką smutną minę, i chcąc, by wesołość wróciła natychmiast, każe księciu burgundzkiemu rozpocząć partię brelana⁵⁷⁵, iżby dworacy siedli do gry. Otóż nie tylko w światowych i celowych postępkach pana de Guermentes, ale w jego najbardziej odruchowych słowach, zajęciach, zabawach spotykało się ten sam kontrast. Guermentowie nie odczuwali zmartwień bardziej niż inni śmiertelnicy, można nawet powiedzieć, że ich istotna wrażliwość była mniejsza; ale za to czytało się co dzień ich nazwisko w światowej kronice „*Gaulois*”⁵⁷⁶, z okazji niesłychanej mnogości pogrzebów, na których mieliby sobie za grzech nie zapisać się na liście. Jak podróżnik odnajduje domy kryte ziemią, tarasy, prawie takie same jak te, które mogli znać Ksenofont⁵⁷⁷ lub święty Paweł, tak samo w obejściu pana de Guermentes, człowieka wzruszającego uprzejmością i oburzającego twardością, niewolnika najdrobniejszych obowiązków i zwalniającego się od najświętszych paktów, odnajdowałem — jeszcze nietkniętą po upływie przeszło dwóch wieków — ową deformację właściwą życiu dworu za Ludwika XIV, która przesuwając skrupuły sumienia z dziedziny uczuć i moralności w sferę czysto formalną.

Druga racja uprzejmości, jaką mi okazała księżna Parmy, była bardziej specjalna. Dama ta była przekonana z góry, że wszystko, co widzi u księżnej de Guermentes, w zakresie rzeczy i ludzi, wyższe jest od tego, co ona ma u siebie. Co prawda, wobec wszystkich innych osób zachowywała się podobnie; przy najzwyklejszej potrawie, przy najpospolitszych kwiatach, nie poprzestawała na zachwycie, prosiła o pozwolenie przysłania nazajutrz po przepis lub sprawdzenia na miejscu przez kucharza lub naczelnego ogrodnika; a ten kucharz lub ogrodnik to były figury pobierające grube pensje, mające swój powóz, a zwłaszcza swoje zawodowe ambicje, i wielce upokorzone, kiedy im przychodziło informować się o banalny przysmak lub kopiować odmianę goździków ani w połowie tak piękną, tak pstro nastrożoną, tak imponującą rozmiarami, jak egzemplarze dawno osiągnięte w ogrodach księżnej. Ale jeżeli owe zachwyty księżnej Parmy wszystkim u wszystkich, owo jej zdumienie wobec najdrobniejszych rzeczy, były sztuczne i miały dowieść, że księżna z przewag swego stanowiska i swoich bogactw nie czerpie pychy zabronionej jej przez dawnych preceptorów⁵⁷⁸, ukrywanej przez jej matkę i nieznośnej

⁵⁷¹ Filip VI Walezjusz (1293–1350) — pierwszy król Francji z dynastii Walezjuszów (od 1328). [przypis edytorski]

⁵⁷² Karol V Mądry (1338–1380) — król Francji (od 1364) z dynastii Walezjuszów. [przypis edytorski]

⁵⁷³ *Monsieur le Duc* (fr.) — pan książę; używany na dworze królewskim tytuł męża nieślubnej córki Ludwika XIV, księcia Ludwika III de Bourbon-Condé (1668–1710), później także jego najstarszego syna, Ludwika IV Henryka de Bourbon-Condé (1692–1740). [przypis edytorski]

⁵⁷⁴ *Monsieur* (fr.) — pan; tu jako tytuł używany na określenie Filipa I Orleańskiego (1640–1701), brata francuskiego króla Ludwika XIV. [przypis edytorski]

⁵⁷⁵ *brelan* — dawna francuska hazardowa gra karciana, popularna w XVII–XIX w. [przypis edytorski]

⁵⁷⁶ „*Les Gaulois*” — francuski dziennik literacki i polityczny, zał. w 1868, publikowany do 1929, kiedy został połączony z „*Le Figaro*”. [przypis edytorski]

⁵⁷⁷ *Ksenofont z Aten* (ok. 430–ok. 355 p.n.e.) — grecki pisarz i historyk, żołnierz najemny, uczeń Sokratesa. [przypis edytorski]

⁵⁷⁸ *preceptor* (z łac.) — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

Bogu, w zamian za to salon pani de Guermantes uważała księżna Parmy najszybciej za miejsce wybrane, wróżące jej bezustanne niespodzianki i rozkosze. Na ogół (co jednak nie wystarczyłoby do wytłumaczenia tego stanu ducha) Guermantowie byli dość różni od reszty arystokratycznego towarzystwa, byli cenniejsi, rzadsi. Z pierwszego wejrzenia sprawili na mnie wrażenie przeciwne, wydali mi się pospolici, podobni do wszystkich mężczyzn i do wszystkich kobiet, ale to dlatego, że uprzednio widziałem w nich — jak w Balbec, jak we Florencji, w Parmie — nazwisko. Oczywiście w tym salonie, wszystkie damy, którym sobie wyobrażał jako statuetki z saskiej porcelany, podobne były bądź co bądź raczej do większości kobiet. Ale tak samo jak Balbec i Florencja, tak i Guermantowie, rozczarowawszy wyobraźnię, bo byli podobniejsi do równych sobie niż do swego nazwiska, mogli później, mimo iż w mniejszym stopniu, uderzyć pewnymi odrębnościami. Ich strona fizyczna, różowy kolor cery dochodzący niekiedy fioletu, specjalny, jak gdyby świecący kolor blond ich delikatnych włosów, nawet u mężczyzn układających się w złociste i miękkie pukle, mające coś z mchu i coś z sierści kota (blaskowi temu odpowiadała błyskotliwość inteligencji, o ile bowiem mówiło się „cera i włosy Guermantów”, mówiło się także „dowcip Guermantów”, jak niegdyś Mortemartów⁵⁷⁹ — pewna szczególnie delikatna właściwość towarzyska sprzed Ludwika XIV — i tym bardziej uznana przez wszystkich, iż głosili ją oni sami), wszystko to sprawiało, że w samej choćby najszacowniejszej materii arystokratycznego świata, gdzie się odnajdywało tu i ówdzie Guermantów, można ich było rozróżnić, można ich było poznać i śledzić, jak owe jasne żyłki biegnące w jaspisie i onyksie⁵⁸⁰, lub raczej jak miękkie falowanie jasnych kędziarów, których mierzwiłone kosmyki biegną na kształt gibkich promieni w łonie mszystego agatu.

Guermantowie — przynajmniej ci, co byli godni tego nazwiska — posiadali nie tylko wyborną jakość ciała, włosów, przezroczyściego spojrzenia, ale mieli sposób trzymania się, chodzenia, kłaniania się, spoglądania przed podaniem ręki, sposób ściskania dłoni — równie odmienni w tym wszystkim od jakiegokolwiek „człowieka z towarzystwa” jak ten od wieśniaka w siermiedze. I mimo ich uprzejmości myślało się: czy oni w istocie — mimo że to kryją — nie mają prawa, widząc nas, jak chodzimy, jak się kłaniamy, wychodzimy, jak robimy wszystkie te rzeczy, które, wykonywane przez nich, stają się pełne wdzięku niby lot jaskółki lub pochylenie się róży — czy oni nie mają prawa myśleć: „To są ludzie innej rasy niż my, a my jesteśmy królowie ziemi”. Zrozumiałem później, że Guermantowie uważali mnie w istocie za człowieka z innej rasy, ale z rasy, która budziła ich zazdrość, bo posiadałem wartości, których nie byłem świadom, a które oni mienili czymś jedynie ważnym. Jeszcze później uczulem, że to ich wyznanie wiary jest tylko na wpół szczere i że wzgarda lub zdziwienie istnieją w nich równocześnie z podziwem i zazdrością. Wrodzona Guermantom fizyczna gibkość była podwójna: dzięki jednej — wciąż i w każdej chwili, kiedy na przykład któryś z nich składał ukłon przed damą — Guermantes komponował własną sylwetę, stworzoną z chwiejnej równowagi asymetrycznych i cudownie zharmonizowanych ruchów, z jedną nogą powłóczącą trochę, bądź umyślnie, bądź dlatego że, często łamana na polowaniu, dociągając się do drugiej nogi, dawała torsowi skrzywienie, zrównoważone podniesieniem ramienia, podczas gdy monokl tkwił w oku, podnosząc brwi, w chwili gdy czub zniżał się dla ukłonu; druga gibkość — niby kształt fali, wiatru lub prądu, jaki zachowuje na zawsze muszla lub statek — wystylizowała się poniekąd w rodzaj stężalego ruchu, zakrzywiając orli nos, który, pod wypukłymi niebieskimi oczami, nad zbyt cienkimi wargami, skąd wychodził u kobiet chrapliwy głos, przypominał (głoszone w XVI wieku przez gorliwość pieczeniarczy i hellenizujących heraldyków) bajeczne początki tej rasy, dawnej niewątpliwie, ale nie tak, jak oni utrzymywali, dając jej za początek mitologiczne zapłodnienie nimfy przez boskiego Ptaka⁵⁸¹.

Guermantowie byli nie mniej specjaliści pod względem intelektualnym niż pod fizycznym. Z wyjątkiem księcia Gilberta (zacoфанego małżonka Marii Bawarskiej, który sadzał

⁵⁷⁹ *Mortemart* — francuska rodzina znana z *esprit des Mortemart*, szczególnego rodzaju błyskotliwego humoru, uważanego za dziedziczny. [przypis edytorski]

⁵⁸⁰ *jaspis i onyks* — skały z wstęgopatymi pasmami, cenione jako materiał jubilerski. [przypis edytorski]

⁵⁸¹ *mitologiczne zapłodnienie nimfy przez boskiego Ptaka* — odniesienie do greckiego mitu o Ledzie, królowej Sparty, uwiedzionej przez Zeusa, który przybrał postać ląbedzia; z ich związku zrodziła się piękna Helena, małżonka Menelaosa, oraz dwaj synowie, Kastor i Polluks. [przypis edytorski]

zonę po lewej ręce, kiedy jechali na spacer, bo mimo iż z krwi królewskiej, była gorzej urodzona od niego; ale on stanowił wyjątek i — poza oczy — stawał się przedmiotem drwin rodziny i wciąż świeżych anegdot) Guermantowie, żyjąc w najczystszej „śmietance” arystokracji, udawali, że nie przypisują szlachectwu najmniejszej wagi. Poglądy księżnej Oriany (która, prawdę mówiąc, była tak bardzo Guermantes, że stawała się poniekąd czymś innym i miłszym) tak dalece stawiały ponad wszystko inteligencję i były w sferze polityki tak socjalistyczne, że można było zapytać, gdzie się kryje w jej pałacu geniusz, mający za zadanie strzec form arystokratycznego życia — geniusz, który, zawsze niewidzialny, ale najoczywiściej przycupnięty to w przedpokoju, to w salonie, to w gotowni, przypominał służącym tej kobiety niewierzącej w tytuły, aby ją nazywali „księżną panią”, tak jak jej samej, lubiącej tylko lekturę i niedbającej o ludzkie względy, przypominał, aby z uderzeniem ósmej jechała na obiad do bratowej i aby się odpowiednio wydekoltowała w tym celu.

Ten sam geniusz rodu narzucał pani de Guermantes tryb życia wielkich dam (przynajmniej największych i jak ona wielomilionowych), nudne herbaty, obiady proszone, rauty w miejsce owych godzin, kiedy mogłaby czytać rzeczy interesujące! To były przykre konieczności, podobnie jak deszcz, i pani de Guermantes poddawała się im, chłoscząc je swoją buntowniczą werwą, ale nie dociekając przyczyn swojej rezygnacji. Ten szczególny traf, że marszałek dworu pani de Guermantes zawsze mówił „księżna pani” do kobiety wierzącej tylko w inteligencję, nie zdawał się jej razić. Nigdy nie przyszło jej na myśl poprosić go, aby mówił po prostu „pani”. Posuwając dobrą wolę do ostatnich granic, można by przypuścić, że ona w swoim roztargnieniu słyszała tylko „pani” i że owo wzmocnienie tego słowa nie dochodziło jej świadomości. Ale o ile mogła być na tym punkcie głucha, nie była niema. Otóż za każdym razem, kiedy miała jakieś zlecenie do męża, mówiła kamerdynerowi: „Proszę przypomnieć księciu panu...”

Geniusz rodu miał zresztą inne zatrudnienia, na przykład kazać mówić o moralności. Z pewnością byli Guermantowie specjalnie inteligentni i Guermantowie specjalnie moralni — i zazwyczaj nie byli to jedni i ci sami. (Był nawet jeden Guermantes, który fałszował weksle i oszukiwał w karty, i ten był najmilszy ze wszystkich, dostępny wszelkiej nowej i sprawiedliwej myśli). Ale owi pierwsi rozprawiali o moralności jeszcze lepiej od owych drugich i w ten sam sposób jak pani de Villeparisis w chwilach, gdy geniusz rodu wyrażał się przez usta starej damy. W identycznych momentach widziało się nagle Guermantów przybierających ton niemal równie stareńki, równie pocziwy — a z przyczyny ich większego uroku bardziej wzruszający od tonu margrabiny — kiedy mówili o pokojówce: „Czuje się, że ona ma dobry grunt; ta dziewczyna nie ma nic pospolitego, musi być córką zacnych rodziców, z pewnością szła w życiu zawsze prostą drogą”. W tych momentach geniusz rodu mieścił się w intonacji. Ale czasem krył się we wzięciu, w wyrazie twarzy, tak samo u księżnej Oriany, jak u jej dziadka marszałka, w jakimś nieuchwytnym skurczu (podobnym do skurczu Węża, kartagińskiego geniusza rodziny Barka⁵⁸²), wskutek czego niejedną raz dostawałem bicia serca w czasie swoich rannych spacerów, kiedy zanim poznałem panią de Guermantes, uczułem, że ona patrzy na mnie z głębi małej mleczarni. Ten geniusz wmieszał się w okoliczność zgoła nieobojętną nie tylko dla Guermantów, ale dla Courvoisierów, drugiej części rodu, równej Guermantom krwią, ale stanowiącej ich przeciwieństwo. (Guermantowie tłumaczyli nawet babką Courvoisier zaciekłość księcia Gilberta na punkcie szlachectwa i urodzenia jako jedynej ważnej rzeczy w świecie). Nie tylko Courvoisierowie nie przyznawali inteligencji tyle miejsca co Guermantowie, ale nawet mieli o niej wręcz inne pojęcie. Dla Guermanta (choćby był głupi) być inteligentnym to znaczyło mieć ostry język, umieć mówić złośliwości, znajdować pod ręką argumenty; to znaczyło także móc rozprawić równie dobrze o malarstwie, o muzyce, o architekturze, mówić po angielsku. Courvoisierowie tworzyli sobie o inteligencji mniej pochlebne pojęcie; i o ile ktoś nie należał do ich świata, „być inteligentnym” było pojęciem niedalekim od „być zdolnym zamordować ojca i matkę”.

⁵⁸²Węża, kartagińskiego geniusza rodziny Barca — Hannibalowi z rodu Barkidów, wielkiemu kartagińskiemu wodzowi z czasów wojen z Rzymianami, ukazał się we śnie boski młodzieniec, który miał go prowadzić do Italii, a za nim olbrzymi wąż, niszczący wszystko na swojej drodze; wąż ten miał oznaczać samego Hannibala (Liwiusz, *Dzieje Rzymu*, XXI, 22); w powieści Flauberta *Salambô* (1862) wąż jest godłem rodu Barka. [przypis edytorski]

Dla nich inteligencja była rodzajem łomu, dzięki któremu ludzie niewiodący się od Adama i Ewy włamywali się do najwybrańszych salonów; wiedzano u Courvoisierów, że się zawsze wpada w końcu, przyjmując tego rodzaju „figury”. Najobojętniejsze twierdzenia ludzi inteligentnych, a nienależących do „towarzystwa” przyjmowali Courvoisierowie z systematyczną nieufnością. Kiedy ktoś powiedział raz: „Swann jest przecież młodszy od Palamedy”. — „Przynajmniej on tak powiada, a skoro on tak powiada, bądźcie pewni, że ma w tym jakiś interes” — odpowiedziała pani de Gallardon. Co więcej, kiedy mówiono o dwóch bardzo eleganckich cudzoziemkach, które Guermantowie przyjmowali, i że posadzono jedną wyżej, bo była starsza: „Ale czy ona jest bodaj starsza?” — spytała pani de Gallardon; nie jak gdyby ten rodzaj osób nie miał w ogóle wieku, ale jak gdyby te panie, pozbawione prawdopodobnie stanu cywilnego, religii, tradycji, były czymś w rodzaju małych kotek z tego samego miotu, między którymi sam chyba weterynarz mógłby się wyznaczyć. Courvoisierowie utrzymywali zresztą (lepiej od Guermantów) w pewnym sensie czystość szlachectwa, zarówno dzięki ciasności umysłu, jak oschłości serca. Podobnie Guermantowie (dla których, poniżej rodzin królewskich i paru innych, jak Ligne, La Trémoille itd., wszystko inne mieszało się na kształt drobnego narybku) byli impertynency z ludźmi starego rodu mieszkającymi w sąsiedztwie Guermantes, właśnie dlatego, że nie zwracali uwagi na te drugorzędne wartości, tak bardzo zaprzatające Courvoisierów; brak tych wartości miał dla nich niewielkie znaczenie. Niektóre kobiety, nieposiadające zbyt wysokiego kursu w swoich stronach, ale świetnie wydane za mąż, bogate, ładne, ulubienice największego świata, były dla Paryża, który jest mało świadomy, „kto zasz i kto cię rodzi”, wybornym i eleganckim artykułem importu. Mogło się zdarzyć, choć rzadko, że takie kobiety dostawały się, przez księżnę Parmy lub siłą własnych uroków, do salonu niektórych Guermantów. Ale nigdy nie udało się im ułagodzić oburzenia Courvoisierów. Spotkać na „fajfie”⁵⁸³ u kuzynki osoby, z których krewnymi ich krewni nie lubili stykać się kędyś w le Perche⁵⁸⁴, stawało się dla nich motywem rosnącej wściekłości, tematem niewyczerpanych rozpraw. Z chwilą na przykład, gdy urocza hrabina G... wchodziła do Guermantów, twarz pani de Villebon przybierała ściśle taki wyraz, jaki musiałaby przybrać, gdyby miała zadeklamować ów wiersz:

A gdy zostanie jeden, ja tym jednym będę,⁵⁸⁵

wiersz, którego zresztą nie znała. Ta Courvoisier spożywała prawie co poniedziałek ciastko z kremem o kilka kroków od hrabiny G..., ale bez skutku. I pani de Villebon wyznawała w cichości, że nie może pojąć, jak jej kuzynka Oriana może przyjmować kobietę, która w Châteaudun nie należy nawet do drugiego towarzystwa. „Doprawdy, ta Oriana, niby tak wybredna na punkcie stosunków, ona chyba kpi sobie ze świata” — konkludowała pani de Villebon z innym wyrazem twarzy, tym razem uśmiechniętym i drwiącym w swej rozpacz, i w który, bawiąc się w zagadki, można by wpisać raczej inny wiersz, również, oczywiście, nieznaną hrabinie:

Nieszczęście własne moje przewyższa nadzieje.⁵⁸⁶

Upředźmy zresztą wypadki, powiadając, że wytrwałość, z jaką pani de Villebon tępiła panią G..., nie była zupełnie bezużyteczna. W oczach pani G... dała ona pani de Villebon taki blask — zresztą czysto urojony — że kiedy córka pani G..., najładniejsza i najbogatsza z dziewcząt pojawiających się na balach, była panną na wydaniu, dziwiono się, widząc, jak odrzuca wszystkich książąt i diuków. Bo jej matka, pamiętając cotygodniowe awanse, jakie znosiła przy ulicy de Grenelle przez wspomnienie Châteaudun, pragnęła szczerze dla córki tylko jednego męża: młodego Villebon.

⁵⁸³*fuff* (daw., z ang. *five o'clock*: godzina piąta) — popołudniowe spotkanie towarzyskie, połączone z piciem herbaty. [przypis edytorski]

⁵⁸⁴*le Perche* (fr.) — dawna prowincja w pn. Francji, znana ze swoich lasów. [przypis edytorski]

⁵⁸⁵*A gdy zostanie jeden, ja tym jednym będę* — ostatni wers wiersza Wiktora Hugo *Ultima verba*, napisanego, kiedy autor po zamachu stanu Napoleona III i utworzeniu Drugiego Cesarstwa udał się na wygnanie. [przypis edytorski]

⁵⁸⁶*Nieszczęście własne moje przewyższa nadzieje* — Racine, *Andromacha*, akt V, scena 5. [przypis edytorski]

Jedyny punkt, w którym typ Guermantes i typ Courvoisier spotykały się, polegał na sztuce — nieskończenie urozmaiconej zresztą — markowania dystansów. Wzięcie Guermantów nie było całkowicie wspólne wszystkim. Ale na przykład wszyscy Guermantowie — ci, co nimi byli naprawdę — kiedy cię im przedstawiano, dopełniali pewnego ceremoniału; fakt, że ci podają rękę, zdawał się równie ważny, co gdyby chodziło o pasowanie cię na rycerza. W chwili gdy jakiś Guermantes, choćby miał tylko dwadzieścia lat, ale już kroczący w ślady starszych, usłyszał twoje nazwisko, wpijał w ciebie — tak jakby wcale nie miał zamiaru przywitać się z tobą — spojrzenie przeważnie błękitne, zawsze zimne jak stal, jak gdyby się gotował zatopić je w najgłębsze zakątki twego serca. Guermantom wydawało się zresztą, że w istocie to robią: wszyscy uważali się za pierwszorzędnych psychologów. Co więcej, sądzili, że taka inspekcja zwiększa uprzejmość mającego nastąpić ukłonu, którego chcieli wam użyzyć jedynie z pełną świadomością. Wszystko to działo się na dystans, który, nieznaczny, gdyby chodziło o skrzyżowanie broni, zdawał się olbrzymi dla uścisku ręki, mroził cię tak, jakby szło w istocie o pojedynek. Tak iż kiedy jakiś Guermantes, po szybkiej rewizji dokonanej w ostatnich zaułkach twojej duszy i twoich kwalifikacji, uznał cię odtąd godnym swojej znajomości, ręka jego, zwrócona do ciebie na końcu wyciągniętego w całej długości ramienia, robiła wrażenie, że ci podaje floret dla spotkania wręcz; i w rezultacie ręka ta znajdowała się w tej chwili tak daleko od Guermanta, że kiedy równocześnie schylał głowę, trudno było zgadnąć, czy on się kłania tobie, czy własnej ręce. Niektórzy Guermantowie, wyzuci z poczucia miary lub niezdolni nie powtarzać się ustawicznie, przesadzali, wznawiając tę ceremonię za każdym razem, kiedy cię spotkali. Wobec tego, że już nie potrzebowali podejmować uprzedniej ankiety psychologicznej, do której wydelegował ich „geniusz rodu”, a której rezultaty musieli pamiętać, natarczywość badawczego spojrzenia przed uściskiem dłoni można było tłumaczyć jedynie nabytym automatyzmem lub wiarą ich we własny dar jakiejś fascynacji.

Courvoisierowie, posiadający odmienne warunki fizyczne, daremnie silili się przyswoić sobie ten badawczy ukłon; trzeba im było poprzestać na wyniosłej sztywności lub na lekceważącym pospiechu. W zamian za to, zdawałoby się, iż niektóre rzadkie egzemplarze żeńskie Guermantów przejęły od Courvoisierów ukłon damski. W chwili gdy cię przedstawiano jednej z tych Guermantek, darzyła cię głębokim ukłonem, w którym zbliżała do ciebie głowę i biust mniej więcej pod kątem czterdziestu pięciu stopni, gdy dół ciała (bardzo u nich długi), aż do pasa tworzącego oś, pozostawał nieruchomy. Ale zaledwie pochylila tak ku tobie górę swojej osoby, natychmiast odrzucała ją wstecz od pionu nagłym cofnięciem jej na równą mniej więcej odległość. Ten wtórny rzut neutralizował to, co ci na pozór przyznano; nie tylko nie zdobyłeś terenu, ale nawet nie zyskałeś go w sensie pojedynekowym: wracało się do pierwotnych pozycji. To samo zamilowanie uprzejmości przez odzyskanie dystansu (wynalazek Courvoisierów, mający dowiedzieć, że awanse uczynione w pierwszym odruchu były jedynie chwilową fintą) objawiało się równie jasno — tak u Courvoisierów, jak u Guermantów — w listach, jakie się od nich otrzymywało, przynajmniej w pierwszych czasach znajomości. „Korpus” listu mógł zawierać zdania, które napisałoby się chyba tylko do przyjaciela; ale na próżno łudziłbyś się, że jesteś przyjacielem owej damy; list zaczynał się od „Łaskawy panie”, a kończył się na „Niech pan raczy przyjąć wyrazy szacunku”. Z tą chwilą, między tym zimnym początkiem a lodowatym końcem, które zmieniały sens całej reszty, mogły się cisnąć (jeśli to była odpowiedź na twoje kondolencje) najbardziej wzruszające obrazy smutku, w jakim pograżyła Guermantkę strata siostry, obrazy istniejącej między nimi zażyłości, uroków okolicy, gdzie spędzała lato, pociechy, jaką znajdowała we wdzięku swoich wnucząt — wszystko to był już tylko list taki, jaki się spotyka w listownikach, a poufny jego charakter stwarzał między tobą a twoją korespondentką nie większą zażyłość, niż gdyby to był Pliniusz Młodszy⁵⁸⁷ lub pani de Simiane⁵⁸⁸.

Prawda, że niektóre Guermantki pisały do ciebie od pierwszego razu „Mój drogi panie”, „Drogi przyjacielu”; nie były to konieczne najnaturalniejsze spośród nich, ale raczej te, które, żyjąc jedynie w świecie koronowanych głów, a z drugiej strony będąc „lekkie”,

⁵⁸⁷ Pliniusz Młodszy (ok. 61–ok. 113) — rzymski mówca i pisarz, znany ze swoich licznych listów (*Epistulae*). [przypis edytorski]

⁵⁸⁸ Simiane, Pauline de (1674–1737) — wnuczka pani de Sévigné, odegrała ważną rolę w redagowaniu korespondencji swojej babki. [przypis edytorski]

czerpały w swojej dumie pewność, że wszystko, co pochodzi od nich, sprawia przyjemność, tak jak znów w swoim zepsuciu czerpały nawyk nieskądienia żadnej przyjemności, jakiej mogą użyć. Zresztą, ponieważ wspólna praszczurka⁵⁸⁹ za Ludwika XIII⁵⁹⁰ wystarczała, aby młody Guermantes, mówiąc o margrabinie de Guermantes, nazywał ją „ciotka Adamowa”, Guermantowie byli tak liczni, że nawet w tych prostych obrzędach — w ukłonie przy prezentacji na przykład — istniało wiele odmian. Każda nieco wybrańsza grupka miała swój ukłon, który przekazywało się z rodziców na dzieci, niby receptę na maść lub na konfitury. Tak widzieliśmy, że uścisk dłoni Roberta de Saint-Loup rozpoczął się jakby mimo woli, w chwili gdy usłyszał twoje nazwisko, bez udziału spojrzenia, bez towarzyszącego mu ukłonu. Nieszczęśliwy plebejusz, którego z jakiejś specjalnej racji — co zdarzało się zresztą dość rzadko — przedstawiono komuś z grupki Saint-Loup, łamał sobie głowę wobec tego, tak gwałtownego minimum przywitania, chętnie przybierającego pozór automatyzmu, dociekając, co jakiś Guermantes lub Guermantka mogą mieć przeciwko niemu. I bardzo był zdziwiony, dowiadując się, że on lub ona pokwapili się napisać specjalnie do tego, kto im cię przedstawił, aby wyrazić, jak bardzo się im podobał i że mają nadzieję ujrzeć cię znów niebawem. Równie specjalny charakter, jak mechaniczny gest Roberta de Saint-Loup, miały skomplikowane i szybkie podrygi margrabiego de Fierbois (z których dworował sobie pan de Charlus) lub poważne i odmierzone kroki księcia Gilberta. Ale niepodobna tu opisać choreografii Guermantów w całym jej bogactwie, dla samej mnogości tego *corps de ballet*⁵⁹¹.

Aby wrócić do antypatii Courvoisierów do księżnej Oriany, powiedzmy, iż Courvoisierowie mogli znaleźć pociechę w ubolewaniu nad nią, dopóki była panną, bo była wówczas niebogata. Na nieszczęście, zawsze jakies jak gdyby sadzowate i specyficzne opary skrywały i przesłaniały oczom bogactwo Courvoisierów, które choćby było najznaczniesze, pozostawało w cieniu. Choćby bardzo bogata Courvoisierka wyszła najbogaciej za mąż, zawsze zdarzało się, że młode małżeństwo nie miało w Paryżu własnego mieszkania, „stawało” u teściów, a przez resztę roku żyło na prowincji w towarzystwie bez skazy, ale i bez blasku. Podczas gdy Saint-Loup, mający już prawie same długi, olśniewał Doncières swymi zaprzęgami, w tym samym mieście bardzo bogaty Courvoisier jeździł tylko tramwajem. Na odwrót (zresztą wiele lat przedtem), panna de Guermantes (Oriana), mająca bardzo niewiele, więcej zadawała szyku swoimi toaletami niż wszystkie Courvoisierki razem. Nawet skandale jej różnych powiedzeń były rodzajem reklamy dla jej sposobu ubierania się i czesania. Ośmieliła się powiedzieć do wielkiego księcia rosyjskiego: „I co, wasza wysokość, podobno wy chcecie kazać zamordować Tolstoja?”, a powiedziała to na obiedzie, na który nie zaproszono Courvoisierów, zresztą mało biegłych w Tolstoju. Nie o wiele byli bieglejsi w autorach greckich, o ile sądzić po starej diuszecie de Gallardon (teściowej księżnej de Gallardon, wówczas jeszcze panny), która, w ciągu pięciu lat nie zaszczycona ani jedną wizytą Oriany, odpowiedziała komuś, kto jej pytał o przyczynę tego bojkotu: „Zdaje się, że ona recytuje Arystotelesa (chciała powiedzieć Arystofanesa⁵⁹²) w salonie. Ja tego u siebie nie toleruję!”

Można sobie wyobrazić, jak bardzo ten „wyskok” panny de Guermantes na temat Tolstoja, o ile oburzał Courvoisierów, zachwycał Guermantów, a poprzez nich wszystko, co było z nimi bliżej lub dalej związane. Starsza hrabina d’Argencourt, z domu Seineport (która przyjmowała po trosze wszystkich, bo była sawantką, mimo że jej syn był straszliwy snob), powtarzała to powiedzenie w obecności literatów, mówiąc: „Oriana de Guermantes, hoho! sprytna, złośliwa jak małpka, utalentowana do wszystkiego, maluje akwarele godne wielkiego malarza, a pisze wiersze mogące rywalizować z wielkimi poetami; a wiecie państwo, jako rodzina to jest, co tylko może być najlepszego: jej babka była Montpensier, a ona jest osiemnąstą Orianą de Guermantes bez jednego mezaliansu;

⁵⁸⁹praszczurka (neol.) — żyjąca w dawnych czasach kobieta, od której pochodzi jakaś osoba; żeński odpowiednik pojęcia *praszczur*. [przypis edytorski]

⁵⁹⁰Ludwik XIII (1601–1643) — król Francji (od 1610); do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

⁵⁹¹*corps de ballet* (fr.) — zespół tancerek i tancerzy danego baletu lub teatru, z wyjątkiem solistów, występujący na scenie jako jedna grupa. [przypis edytorski]

⁵⁹²Arystofanes (ok. 445–ok. 385 p.n.e.) — grecki komediopisarz, najwybitniejszy z twórców komedii starożytckiej. [przypis edytorski]

to najczystsza, najstarsza krew Francji”. Toteż ci quasi-literaci, półintelektualiści, jakich przyjmowała pani d’Argencourt, wyobrażali sobie Orianą de Guermantes, której nigdy nie mieliby sposobności poznać osobiście, jako coś cudowniejszego i niezwyklejszego od księżniczki Badrul Budur⁵⁹³; i nie tylko byliby gotowi umrzeć dla niej, dowiadując się, że osoba tak szlachetnie urodzona wielbi ponad wszystko Tolstoja, ale czuli wręcz, iż czerpią w jej duchu nową siłę, swoją własną miłość do Tolstoja, żądę opierania się caratowi. Te liberalne poglądy mogłyby w nich zwiędnąć, mogliby zwątpić o ich uroku, nie śmiejąc ich już wyznawać, kiedy nagle sama panna de Guermantes, to znaczy osoba tak bezspornie wartościowa i miarodajna, nosząca włosy płasko nad czołem (na co nigdy nie zdobyłaby się żadna Courvoisier), przybywała im z odsieczą! Różnym (dobrym lub złym) sprawom zdarza się w ten sposób bardzo zyskać na sukursie osób cieszących się powagą w naszych oczach. Na przykład u Courvoisierów formy uprzejmości na ulicy składały się z pewnego ukłonu, bardzo brzydkiego i raczej nieuprzejmego; ale wiadano, że to jest dystygowany sposób powitania, tak że wszyscy silili się naśladować tę martwą gimnastykę z wykluczeniem uśmiechu i wszelkiego przyjaznego gestu. Ale Guermantowie w ogóle, a w szczególności Oriana, mimo iż lepiej od kogokolwiek znając ten ceremoniał, nie wahali się, spostrzegłszy cię z powozu, pozdrowić cię przyjaźnie ręką; w salonie zaś, zostawiając Courvoisierom ich sztywne i sztuczne ukłony, improwizowali czarujące reweranse, wyciągali do ciebie rękę jak do kolegi, uśmiechając się swymi błękitnymi oczami, tak że nagle dzięki Guermantom w istotę „szyku”, dotąd nieco pustą i suchą, wchodziło wszystko to, co by człowiek z natury lubił, a co silono się wygnać: życzliwość, wylanie⁵⁹⁴, szczerą uprzejmość, swoboda. W ten sam sposób, ale w drodze rehabilitacji, tym razem mniej usprawiedliwionej, osoby mające wrodzony pociąg do złej muzyki i do melodii, bodaj najbanalniejszych, ale słodkich i łatwych, dochodzą dzięki kulturze muzycznej do tego, aby zdławić w sobie ten gust. Ale skoro raz to osiągnęli, naraz, słusznie zachwyceni olśniewającą instrumentacją Ryszarda Straussa⁵⁹⁵, widzą, że ten muzyk, z pobłażaniem godnym jakiegoś Aubera⁵⁹⁶, korzysta z najpospolitszych motywów; i to, co sami z dawna lubili, znajduje nagle w dostojnym autorytecie szczęśliwe usprawiedliwienie, tak iż obecnie, słuchając *Salome*, bez skrupułu i z podwójną wdzięcznością, zachwycają się tym, co im było wzbronione lubić w *Diamencie korony*.

Rozmówka panny de Guermantes z wielkim księciem, autentyczna czy nie, obnoszona od domu do domu, dawała sposobność sławienia „szyku”, jaki Oriana roztoczyła na tym obiedzie. Ale o ile zbytek (co właśnie czyniło go niedostępnym dla Courvoisierów) rodzi się nie z bogactwa, lecz z rozrzutności, niewątpliwie rozrzutność może trwać dłużej, jeżeli ją wspiera bogactwo, pozwalające jej wówczas lśnić wszystkimi ogniami. Otóż przyjąwszy zasady głoszone jawnie nie tylko przez Orianą, ale przez panią de Villeparisis, że urodzenie nie znaczy nic, że tytuły są śmieszne, że majątek nie daje szczęścia, że jedynie inteligencja, serce, talent są czymś istotnym, Courvoisierowie mogli przypuszczać, że na zasadzie wychowania margrabiny, Oriana zaślubi kogoś spoza „świata”, artystę, kryminalistę, włóczęgę, wolnomyśliciela, że się osunie bezapelacyjnie w kategorię tych, których Courvoisierowie nazywali „wykolejeńcami”. Mogli się tego spodziewać tym bardziej, ile że pani de Villeparisis, przebywając w tej chwili — ze światowego punktu widzenia — trudny moment (jeszcze nie odzyskała żadnej z nielicznych świetnych osób, które spotykałem u niej), afiszowała głęboki wstręt do towarzystwa, które ją trzymało na pokucie. Nawet kiedy mówiła o swoim bratanku księciu Gilbercie, z którym zachowała stosunki, nie miała dlań dość szyderstw, dlatego że był przejęty swoim urodzeniem. Ale w chwili gdy szło o to, aby znaleźć męża dla Oriany, już nie zasady głoszone przez ciotkę i przez siostrzenicę pokierowały sprawą, ale tajemniczy „geniusz rodu”. Równie niechybnie, co gdyby pani de Villeparisis i Oriana zamiast mówić o wartościach literackich i zaletach ser-

Bogactwo

⁵⁹³ *Badrul Budur*, właśc. *Badr al-Budur* — postać literacka, księżniczka, która poślubił Aladyn, bohater jednej z opowieści *Księgi tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

⁵⁹⁴ *wylanie* (przestarz.) — wylewność, żywiołowa szczerłość, serdeczność. [przypis edytorski]

⁵⁹⁵ *Strauss, Richard* (1864–1949) — niemiecki kompozytor i dyrygent, jeden z czołowych kompozytorów późnego romantyzmu; tworzył początkowo głównie poematy symfoniczne, później opery, pisane pod wpływem Wagnerowskiej koncepcji dramatu muzycznego; autor m.in. opery *Salome* (1905), według dramatu Oscara Wilde’a. [przypis edytorski]

⁵⁹⁶ *Auber, Daniel* (1782–1871) — francuski kompozytor, twórca licznych oper, m.in. *Les diamants de la couronne* (*Diamenty korony*, 1841). [przypis edytorski]

ca rozprawiały wyłącznie o lokatach pieniężnych i o genealogiach, i co gdyby margrabina na przeciąg kilku dni (jak się to miało stać później) leżała w trumnie umarła, w kościele w Combray — gdzie każdy członek rodziny był już tylko Guermantem, wyzutym z osobowości i z imion własnych, o czym świadczyło na wielkich czarnych oponach⁵⁹⁷ samotne purpurowe G..., uwieńczone mitrą księżęcą — tym, na którego geniusz rodu skierował wybór intelektualistki, buntownicy, ewangelicznej pani de Villeparisis, był człowiek najbogatszy i najlepiej urodzony, najlepsza partia z całego Faubourg Saint-Germain, starszy syn diuka de Guermantes, książę des Laumes. I przez dwie godziny, w dniu ślubu, pani de Villeparisis miała u siebie wszystkie owe wysoko urodzone osoby, z których sobie drwiła; drwiła z nich sobie nawet z paroma bliskimi osobami „nieurodzonymi”, które zaprosiła i którym książę des Laumes rzucił wówczas karty, zanim „przeciął komunikację” z nimi od następnego roku.

Na domiar nieszczęścia Courvoisierów, maksymy uznające wyłączną supremację inteligencji i talentu odzyskały kurs u księżnej des Laumes natychmiast po ślubie. I pod tym względem, powiedzmy mimochodem, punkt widzenia, którego bronił Saint-Loup, kiedy żył z Rachelą, kiedy bywał u przyjaciół Racheli, kiedy się omal chciał żenić z Rachelą, zawierał — mimo całej zgrozy, jaką budził w rodzinie — mniej kłamstwa niż poglądy panien de Guermantes w ogólności, sławiących inteligencję, niedopuszczających niemal, aby ktoś wątpił o równości ludzi, wówczas gdy wszystko to zmierzało w danym momencie do tego samego rezultatu, co gdyby głosiły wręcz przeciwne maksymy, mianowicie do możliwie arystokratycznego i możliwie najbogatszego małżeństwa. Saint-Loup natomiast działał zgodnie ze swymi zapatrywaniami, wskutek czego mówiono, że jest na złej drodze. Zapewne, z punktu widzenia moralności dużo można było Racheli zarzucić. Ale nie jest dowiedzione, w razie gdyby jakaś osoba była warta nie więcej od niej, ale była księżną lub posiadała dużo milionów — czy pani de Marsantes nie sprzyjałaby takiemu małżeństwu.

Otóż, aby wrócić do pani des Laumes (wkrótce potem diuszesy de Guermantes wskutek śmierci teścia), największym cierpieniem Courvoisierów był fakt, że teorie młodej księżnej, wyładowując się w ten sposób w słowach, nie wpływały w niczym na jej postępowanie; dzięki czemu filozofia ta (jeżeli można ją tak nazwać) w niczym nie szkodziła arystokratycznej elegancji salonu Guermantes. Niewątpliwie wszystkie osoby, których pani de Guermantes nie przyjmowała u siebie, wyobrażały sobie, że dzieje się to dlatego, iż nie są dość inteligentne; niejedna młoda Amerykanka, która nie posiadała żadnej książki poza starym i nigdy nie otwieranym egzemplarzem poezji Parny’ego⁵⁹⁸, leżącym (dlatego że był z „epoki”) na stoliku w jej buduarze, wyrażała swój kult inteligencji żarłocznymi spojrzeniami, jakie wpijała w Oriane de Guermantes, gdy ta zjawiała się w Operze. Bez wątpienia również pani de Guermantes była szczera, kiedy wyróżniała jakąś osobę dla jej inteligencji. Kiedy mówiła o jakiejś kobiecie: „Zdaje się, że jest »uroczą«,” lub o mężczyźnie, że jest niesłychanie inteligentny, nie sądziła, aby miała inne przyczyny do przyjmowania ich niż ten urok lub inteligencję, ile że geniusz Guermantów nie interweniował w tej minucie; ale ów czujny geniusz, usadowiony głębiej, u tajnych wrót strefy, w której Guermantowie sądzili, nie pozwalał Guermantom uznać mężczyzny za inteligentnego, a kobiety za uroczą, o ile nie mieli obecnych lub przyszłych walorów światowych. Wówczas nazywano mężczyznę uczonym, ale na kształt encyklopedii, lub, przeciwnie, pospolitym, dowcipnym jak komiwojażer; ładna kobieta miała fatalny ton lub była zbyt gadatliwa. Co do ludzi pozbawionych światowej sytuacji — okropność, snoby! Pan de Bréauté, którego zamek sąsiadował z Guermantes, żył z samymi książętami krwi. Ale podrwiwał z nich i marzył jedynie o muzeach. Toteż pani de Guermantes była oburzona, kiedy nazywano pana de Bréauté snobem. „Snob, Babal? Ależ pan oszalał, drogi panie! Wręcz przeciwnie, on nienawidzi ludzi modnych, nie można go zmusić do nowej znajomości. Nawet do mnie, kiedy go zaproszę z kimś nowym, przychodzi tak niechętnie!”

Nie znaczy to, aby nawet w praktyce Guermantowie nie szacowali inteligencji inaczej niż Courvoisierowie. Różnica między Guermantami a Courvoisierami wydawała w prak-

⁵⁹⁷ opona (daw.) — zasłona; ozdobna tkanina okrywająca coś. [przypis edytorski]

⁵⁹⁸ Parny, *Évariste de* (1753–1814) — francuski poeta epoki oświecenia. [przypis edytorski]

tyce dość piękne owoce. I tak, księżna Oriana, otaczając się zresztą tajemnicą pobudzającą z dala marzenia tylu poetów, wyprawiła ową fetę, o której jużśmy mówili, gdzie król angielski czuł się lepiej niż kiedykolwiek, bo Oriana wpadła na pomysł (czyżby to przyszło do głowy Courvoisierom?) i zdobyła się na odwagę (przed którą byliby się wzdrygnęli wszyscy Courvoisierowie), aby, poza cytowanymi już osobami, zaprosić muzyka Gastona Lemaire⁵⁹⁹ oraz autora dramatycznego Grandmougin⁶⁰⁰. Ale intelektualizm jej wyrażał się zwłaszcza negatywnie. O ile wymagany współczynnik inteligencji i wdzięku zniżał się, w miarę jak się wznosiła pozycja osoby pragnącej bywać u księżnej Oriany, zbliżał się zaś do zera, kiedy chodziło o koronowane głowy, w zamian za to im bardziej się schodziło poniżej tego monarszego poziomu, tym bardziej współczynnik się podnosił. Na przykład u księżnej Parmy bywało sporo osób, które jej wysokość przyjmowała dlatego, że je znała dziećmi lub że były spowinowacane z jakąś diuszesa, lub stały blisko jakiegoś panującego, choćby te osoby były poza tym brzydkie lub głupie; otóż, dla jakiegoś Courvoisiera, racja, że ktoś jest „faworytem księżnej Parmy”, „przyrodnią siostrą księżnej d’Arpajon”, że „spędza co rok trzy miesiące u królowej hiszpańskiej”, wystarczyłaby, aby zaprosić takich ludzi; ale pani de Guermantes, która od dziesięciu lat wymieniała grzecznie z tymi osobami ukłon u księżnej Parmy, nigdy nie wpuściła ich za swój próg, uważając, że z salonem w sensie towarzyskim jest tak samo jak w sensie materialnym: wystarczy trochę mebli, których się nie lubi, ale które się zostawia jako zapchanie kątów i dowód zamożności, aby uczynić salon czymś okropnym. Taki salon podobny jest do książki, w której autor nie umiał się wstrzymać od zdań świadczących o wiedzy, o świetności umysłu, łatwości stylu. Jak książka, jak dom, tak i wartość salonu — słusznie myślała pani de Guermantes — ma za kamień węgielny ofiarę.

Wiele przyjaciółek księżnej Parmy, z którymi księżna Oriana ograniczała się od lat do tego samego grzecznego przywitania lub do wymiany biletów, nie zapraszając ich nigdy ani nie chodząc na ich przyjęcia, skarżyło się dyskretnie jej wysokości, która w dni, kiedy pan de Guermantes zachodził do niej sam, natrącała księciu o tym. Ale ten szcwany bywalec, zły mąż w stosunku do księżnej o tyle, że miał kochanki, ale lojalny współnik we wszystkim, co się tyczyło dobrego funkcjonowania jej salonu (a także dowcipu Oriany, będącego głównym tego salonu powabem), odpowiadał: „Ale czy moja żona ją zna? Och, w takim razie tak, powinna była. Ale ja powiem waszej wysokości prawdę: Oriana nie lubi towarzystwa kobiet. Otacza ją elita wyższych duchów; ja — jak mnie wasza wysokość widzi — ja nie jestem jej mężem, jestem tylko jej pierwszym kamerdynerem. Kobiety nudzą ją, z wyjątkiem małej liczby wyjątkowo inteligentnych. No, a wasza wysokość, która ma tyle poczucia tych rzeczy, nie powie mi przecie, aby margrabina de Souvré była inteligentna! Tak, rozumiem, księżna przyjmuje ją przez dobroć. A przy tym księżna ją zna. Powiada księżna, że Oriana ją spotykała; to możliwe, ale bardzo mało, upewniam waszą wysokość. A przy tym, ja powiem księżnej, w tym jest też trochę mojej winy. Moja żona jest bardzo zmęczona, a tak lubi być uprzejma, że gdybym jej tylko pozwolił, nie byłoby końca wizytom. Nie dalej jak wczoraj wieczór miała podwyższoną temperaturę; ale cóż, bała się, że zrobi przykrość księżnej de Bourbon, jeśli do niej nie pójdzie. Musiałem wkroczyć; zabroniłem zaprzęgać. Ot, wie księżna, doprawdy, ja mam ochotę nie mówić nawet Orianie, że księżna wspomniała o pani de Souvré. Oriana tak kocha waszą wysokość, że pobiegnie od razu zaprosić panią de Souvré, to będzie jedna wizyta więcej, to nam ściągnie stosunki z jej siostrą, której męża ja znam bardzo dobrze. Ja myślę, że ja nic nie powiem Orianie, jeżeli wasza wysokość mnie upoważni do tego. W ten sposób oszczędzimy Orianie wiele zmęczenia i wzruszeń. A ja ręczę waszej wysokości, że to nie będzie z krzywdą pani de Souvré. Ona bywa wszędzie, w najświetniejszych domach. A my właściwie wcale nie prowadzimy domu, ot mały obiadek od czasu do czasu, pani de Souvré znudziłaby się śmiertelnie”.

Księżną Parmy — naiwnie przekonaną, że książkę de Guermantes nie powtórzy jej prośby żonie, i zbolełą, że nie może uzyskać upragnionego zaproszenia dla pani de Souvré — tym milej poglaskało, że jest jednym z filarów tak zamkniętego salonu. Bez wątpienia, to zadowolenie nie było wolne od trosk. I tak za każdym razem kiedy księżna

⁵⁹⁹ *Lemaire, Gaston* (1854–1928) — francuski kompozytor. [przypis edytorski]

⁶⁰⁰ *Grandmougin, Charles* (1850–1930) — francuski poeta, dramaturg i librecista. [przypis edytorski]

Parmy zapraszała Orianę, łamała sobie głowę, aby nie zaprosić nikogo, kto by mógł być nie w smak pani de Guermantes i wystraszyć ją z jej domu.

W zwyczajne dni (po obiedzie, który jadła zawsze w towarzystwie kilku osób, bardzo wcześnie, przestrzegając dawnego obyczaju) salon księżnej Parmy był otwarty dla stałych gości i w ogóle dla całej francuskiej i cudzoziemskiej arystokracji. Przyjęcie odbywało się tak, że opuściwszy jadalnię, księżna siadała na kanapie za dużym okrągłym stołem, rozmawiała z dwiema najznaczniejszymi damami z tych, które były na obiedzie, lub przeglądała jakieś ilustrowane pismo; grała w karty (lub udawała, że gra, obyczajem dworu niemieckiego) bądź kładąc pasjansa, bądź też biorąc za prawdziwego lub rzekomego partnera jakąś wybitną osobistość. Około dziewiątej drzwi do wielkiej sali otwierały się bez przerwy na oścież, zamykały się, otwierały kolejno, aby wpuścić gości, którzy zjedli obiad na *lap-cap* (lub o ile byli na proszonym obiedzie, opuszczali kawę, powiadając, że wrócą niebawem, licząc w istocie na to, że „wejdą jednymi drzwiami, a wyjdą drugimi”), aby się nagiąć do godzin księżnej Parmy. Wśród tego księżna, pochłonięta grą lub rozmową, udawała, że nie widzi przybywających; aż w chwili gdy się znaleźli o dwa kroki, wstawiała z wdziękiem, uśmiechając się z dobrocią do kobiet. Te znowuż składały przed stojącą wysokością głęboki ukłon, dochodzący aż do przykłonienia, tak iż ukłon ten zbliżał ich wargi do poziomu pięknej ręki, zwisającej bardzo nisko. Ale w tej chwili księżna Parmy, tak jakby ją za każdym razem zaskoczył ceremoniał, który znała przecież bardzo dobrze, podnosiła przykłonającą damę jak gdyby przemocą, z niezrównaną słodyczą i wdziękiem, i całowała ją w policzki. Wdźwięk i słodycz, które — powie ktoś — miały za warunek pokorę, z jaką nowo przybyła zgięła kolano. Oczywiście; i zdaje się, że w społeczeństwie zdemokratyzowanym grzeczność znikłaby, nie — jak by ktoś mniemał — z braku wychowania, ale dlatego, że u jednych znikłoby uszanowanie należne prestiżowi, który może być urojony, aby był skuteczny, a zwłaszcza u drugich uprzejmość, którą się roztacza i która się wysubtelnia, kiedy się czuje, że ona ma dla zaszczyconej nią osoby nieskończoną cenę, która w świecie opartym na równości spadłaby natychmiast do zera, jak wszystko, co miało wartość jedynie umowną. Ale ten zanik grzeczności w nowym społeczeństwie nie jest pewny; czasami nazbyt jesteśmy skłonni mniemać, że obecne warunki i stan rzeczy są jedynie możliwe. Bardzo bystre umysły przypuszczały, że republika nie mogłaby mieć dyplomacji ani sojuszków i że chłopci nie zniesliby rozdziału Kościoła od państwa. Ostatecznie, grzeczność w społeczeństwie opartym na równości nie byłaby większym cudem niż sukces kolei żelaznych i wojskowe spożytkowanie samolotów. Gdyby nawet grzeczność znikła, nic nie dowodzi, aby to było nieszczęście. Przy tym, czyż społeczeństwo nie hierarchizowałoby się sekretnie, w miarę jakby się stawało realnie bardziej demokratyczne? To wielce możliwe. Władza polityczna papieża bardzo wzrosła od czasu, jak papieństwo nie ma już państwa ani armii; katedry miały o wiele mniejszy czar dla dewota w XVII wieku, niż go mają dla ateusza w wieku XX; gdyby zaś księżna Parmy była panującą, z pewnością miałbym o niej do mówienia mniej więcej tyle, co o prezydencie Republiki, to znaczy nic.

Skoro księżna Parmy podniosła i uściskała przybyłą, siadała z powrotem i wracała do swojego pasjansa; o ile nowo przybyła była wielką figurą, jej wysokość rozmawiała z nią chwilę, posadziwszy gościa na fotelu.

Kiedy w salonie robiło się za pełno, dama dworu, mająca za zadanie utrzymywanie porządku, robiła trochę luzu, prowadząc stałych gości do sąsiadującego z salonem ogromnego hallu, pełnego portretów i osobliwości związanych z rodem Burbonów. Stali goście księżnej Parmy pełnili wówczas chętnie rolę przewodników i mówili rzeczy interesujące, niecierpliwie słuchane przez młodych ludzi, bardziej łakomych oglądania żywych wysokości (a w potrzebie przedstawienia się im za pośrednictwem dam i panien dworu) niż podziwiania relikwii zmarłych królowych. Zbyt pochłonięci możliwością stosunków i zaproszeń, jakie spodziewali się zławić, nie mieli, nawet po latach, najmniejszego pojęcia, co się mieściło w tym szacownym muzeum monarchii; przypominali sobie jedynie mglisto, że było ono strojne kaktusami i olbrzymimi palmami, czyniącymi to centrum elegancji podobnym do palmarium w Ogrodzie Zoologicznym.

Zapewne, księżna Oriana zachodziła czasami, dla umartwienia, na te wieczory księżnej Parmy z tzw. „dizestią”⁶⁰¹. Jej wysokość trzymała księżną Orianą cały czas przy sobie, żartując równocześnie z jej mężem. Ale kiedy pani de Guermantes przychodziła na obiad, księżna Parmy strzegła się zapraszać swoich zwykłych gości i kasowała poobiednie przyjęcie z obawy, że jej goście, nie dość przesiani przez sito, nie przypadną do smaku wymagającej Orianie. W te wieczory, jeżeli jakiś nieświadomy wierny zjawił się u bram księżnej Parmy, odzwierny odpowiadał: „Jej królewska wysokość nie przyjmuje dziś wieczór” i gość zabierał się, skąd przyszedł. Wielu przyjaciół księżnej wiedziało zresztą z góry, że tego dnia nie będą proszeni. Była to specjalna seria — zamknięta dla tylu osób, które pragnęłyby się w niej znaleźć! Wykluczeni mogli z zupełną niemal pewnością wyliczyć wybranych i mówili kwaśno między sobą: „Wicie przecie, że Oriana nie rusza się bez swojego sztabu”. Przy pomocy tego sztabu księżna Parmy starała się odgrodzić panią de Guermantes niby murem ochronnym od osób, które mniej by jej mogły przypaść do smaku. Ale w stosunku do wielu wybranych przyjaciół Oriany, do wielu członków tego świetnego „sztabu” z pewną trudnością przychodziło księżnej Parmy stosować ten specjalny ceremoniał, ile że te osoby traktowały ją dosyć bezceremonialnie. Bez wątplenia księżna Parmy rozumiała doskonale, że ktoś może woleć towarzystwo pani de Guermantes niż jej własne. Musiała widzieć, że się tłoczono na „żurach”⁶⁰² Oriany i że ona sama spotykała tam często kilka królewskich wysokości poprzestających na rzucaniu biletów jej samej. Próżno notowała sobie w pamięci powiedzonka Oriany, próżno naśladowała jej suknie i podawała u siebie na herbacie ten sam torcik z truskawkami; bywały dni, że siedziała cały wieczór sama z damą dworu i z jakimś radcą zagranicznej ambasady. Toteż kiedy ktoś (jak niegdyś Swann) nie umiał skończyć dnia, nie spędziwszy dwóch godzin u pani de Guermantes, a raz na dwa lata składał wizytę księżnej Parmy, ta nie miała zbytej ochoty, nawet dla przyjemności Oriany, robić temu jakiemuś Swannowi „awansów”, zapraszając go na obiad.

Krótko mówiąc, zaprosić panią de Guermantes było dla księżnej Parmy emocjonującym przejściem, tak ją dręczyła myśl, że Orianie wszystko się może nie podobać. Ale w zamian — z tej samej przyczyny — kiedy księżna Parmy przychodziła na obiad do pani de Guermantes, z góry była pewna, że wszystko będzie dobrze, rozkosznie; bała się tylko o jedno: że nie potrafi wszystkiego zrozumieć, zapamiętać, być dość miłą, że nie potrafi przyswoić sobie myśli i ludzi. Z tego tytułu moja obecność podsycala jej uwagę i jej zachłanność, tak jakby to sprawił nowy sposób strojenia stołu girlandami owoców; niepewna, który szczegół — dekoracja stołu czy moja obecność — stanowi specjalnie jeden z uroków, sukces przyjęć Oriany, i w wątpliwości tej zdecydowana na swoim najbliższym obiedzie spróbować jednego i drugiego. Zachwyconą ciekawość, jaką księżna Parmy wносиła do pani de Guermantes, usprawiedliwiał zresztą w całej pełni ów element komiczny, niebezpieczny, podniecający, w którym wysokość ta zanurzała się z odcieniem obawy, wzruszenia i rozkoszy (jak nad morzem w czasie mocnej fali, której niebezpieczeństwa sygnalizują kąpielowi po prostu dlatego, że żaden z nich nie umie pływać); skąd wychodziła zelektryzowana, szczęśliwa, odmłodzona. Element ów zwał się „dowcipem Guermantów”. Dowcip Guermantów (wedle księżnej — uważającej się za jedyną Guermantes, która go posiada — istność równie nieistniejąca jak kwadratura koła⁶⁰³) był kwestią reputacji, jak paszteciki z Tours lub biszkopty z Reims. Że jednak właściwość duchowa nie udziela się tymi samymi sposobami co farba na włosy lub szminka, niektórzy bliscy pani de Guermantes, ale nie krewni, posiadali niewątpliwie dowcip, który w zamian nie zdołał nawiedzić pewnych Guermantów, zbyt opornych dla wszelkiego dowcipu. Niespokrewnieni z Orianą dzierzawcy „dowcipu Guermantów” mieli zazwyczaj tę cechę, że byli to niegdyś ludzie świetni, mający widoki kariery, nad którą — czy to była sztuka, dyplomacja, polityka, wojskowość — przełożyli życie salonowej koterii. Wybór

⁶⁰¹„dizestia” (neol.) — z fr. *digestion*: trawienie, przemyślenie. [przypis edytorski]

⁶⁰²„żur” (neol.) — z fr. *jour*: dzień. [przypis edytorski]

⁶⁰³kwadratura koła — jeden z trzech wielkich problemów geometrycznych postawionych w starożytności, polegający na skonstruowaniu metodą klasyczną (przy użyciu wyłącznie cyrkla i linijki bez podziałki) takiego kwadratu, którego pole jest równe polu danego koła; przez setki lat tego trudnego problemu nie udało się rozwiązać ani wykazać, że rozwiązanie nie istnieje; w 1882 udowodniono, metodą niegeometryczną, że taka konstrukcja jest niewykonalna; dziś pot.: zadanie niewykonalne. [przypis edytorski]

ten dałoby się może wytłumaczyć jakimś brakiem indywidualności lub inicjatywy, lub woli, lub zdrowia, lub szczęścia — albo też snobizmem.

U niektórych (trzeba zresztą przyznać, że to były wyjątki), jeżeli salon Guermantów stał się grobem ich kariery, to wbrew ich woli. I tak pewien lekarz, pewien malarz i pewien dyplomata — wszystko ludzie z wielką przyszłością — nie zrobili kariery, mimo iż wyjątkowo uzdolnieni, dlatego że dzięki swojej zażyłości z Guermantami dwaj pierwsi zyskali opinię bawidamków, a trzeci wstecznika, co ich zgubiło w oczach kolegów po fachu. Starodawna toga i czerwony biret, strojące jeszcze ciała Fakultetu⁶⁰⁴, nie są — lub przynajmniej nie były jeszcze do niedawna — jedynie czystym przeżytkiem zacofanej i ciasnej kastowości. Pod biretem ze złotymi galkami, jak arcykapłani żydowscy pod wysoką czapką, „profesorowie” tkwili jeszcze — mówię tu o latach sprzed sprawy Dreyfusa — w pojęciach ściśle faryzejskich⁶⁰⁵. Du Boulbon był w gruncie artystą, ale ocaliło go to, że nie lubił „świata”. Cottard bywał u Verdurinów, ale pani Verdurin była pacjentką; przy tym ratowała Cottarda jego pospolitość; wreszcie u siebie w domu przyjmował wyłącznie Fakultet, biesiadami, nad którymi unosił się opar karbolu⁶⁰⁶. Ale w silnych organizacjach, gdzie zresztą ostracyzm przesądów wynagrodzony jest nieskazitelną uczciwością, wysokimi pojęciami moralnymi, bardziej nieugiętymi niż w środowiskach liberalnych — swobodniejszych i rychło ulegających rozkładowi — profesor, w swojej szkarłatnej atłasowej czerwonej szacie podbitej gronostajami jak u weneckiego doży⁶⁰⁷ (doża — diuk), rezydującego w pałacu dożów, był równie cnotliwy, równie oddychający szlachetnymi zasadami, ale równie nieubłagany dla wszelkiego obcego elementu, jak ów inny diuk, zacny, ale groźny — Saint-Simon. Obcy — to dla nich był lekarz światowy, mający inny sposób bycia, inne stosunki. Aby z tego wybrnąć, nieszczęśliwiec, o którym tutaj mowa, bojąc się ściągnąć podejrzenie kolegów, że nimi gardzi (cóż za światowy punkt widzenia!), gdyby przed nimi taił księżnę de Guermantes, miał nadzieję rozbroić ich, wyprawiając obiady „mieszane”, na których element lekarski rozpuszczony był w elemencie światowym. Nie wiedział, że podpisał tym swoją zgubę, a raczej dowiedział się o tym, kiedy Rada Dziesięciu⁶⁰⁸ (trochę liczniejsza niż dziesięciu) miała obsadzić wakuującą katedrę i kiedy zawsze nazwisko „normalniejszego” (choćby mierniejszego) lekarza wychodziło z fatalnej urny, a w starożytnym Fakultecie rozlegało się „veto”, równie uroczyste, równie śmieszne, równie straszliwe, jak „iuro”, przy którym umarł Molier⁶⁰⁹. To samo było z malarzem na zawsze opatrzonym etykietą światowca, podczas gdy światowcy uprawiający sztukę zdołali uzyskać etykietkę artystów; toż samo wreszcie z dyplomata mającym za wiele reakcyjnych stosunków.

Ale to były najrzadsze wypadki. Typem dystyngowanych ludzi składających salon Guermantów byli ci, którzy dobrowolnie (bodaj we własnym mniemaniu) wyrzekli się reszty, wyrzekli się wszystkiego niedającego się pogodzić z duchem Guermantów, grzecznością Guermantów, z tym nieokreślonym czarem, wstrętem dla wszelkiego „ciała”, bodaj trochę scentralizowanego.

I ci, co wiedzieli, że niegdyś jeden z tych stałych gości księżnej dostał złoty medal w Salonie⁶¹⁰; że drugi, sekretarz kongresu adwokatów, zabył swego czasu w parlamencie; że trzeci oddał usługi Francji jako dyplomata, mogliby uważać za skrachowanych owych ludzi, którzy nie działali już nic od dwudziestu lat. Ale ci „poinformowani” byli nieliczni; samym zaś zainteresowanym nie pozostałoby w głowie przypominać o tym, ile

⁶⁰⁴Fakultet — tu: Fakultet (Wydział) Medyczny Paryża (*Faculté de Médecine de Paris*), w 1896 roku zgrupowany z czterema innymi wydziałami paryskimi w nowy Uniwersytet Paryski. [przypis edytorski]

⁶⁰⁵faryzejski — taki jak u faryzeuszów; *faryzeusze*: polityczno-religijne konserwatywne stronnictwo żydowskie w Palestynie, odznaczające się formalistycznym stosunkiem do starych praw i obyczajów religijnych. [przypis edytorski]

⁶⁰⁶karbol — wodny roztwór fenolu; środek odkażający o silnym, nieprzyjemnym zapachu, dawniej szeroko używany w lecznictwie do dezynfekcji pomieszczeń i przedmiotów. [przypis edytorski]

⁶⁰⁷doża — naczelnik państwa w Wenecji. [przypis edytorski]

⁶⁰⁸Rada Dziesięciu — urząd Republiki Weneckiej odpowiedzialny za bezpieczeństwo państwa i tajną dyplomację, często działający potajemnie. [przypis edytorski]

⁶⁰⁹„iuro”, przy którym umarł Molier — gdy Molier grał jako aktor w swojej sztuce *Chory z urojenia*, przy słowie „iuro” zemdlął i kilka godzin po przedstawieniu zmarł. [przypis edytorski]

⁶¹⁰Salon Paryski — organizowana cyklicznie oficjalna wystawa sztuki, na której prezentowano publicznie prace artystów Królewskiej Akademii Malarstwa i Rzeźby; pierwszą wystawę zorganizowano po raz pierwszy w 1667 w Salon Carré w Luwrze (stąd nazwa). [przypis edytorski]

że — właśnie na zasadzie „ducha Guermantów” — uważali te dawne tytuły za bezwartościowe; czyż ten duch nie mienił „piłą”, „belfrem” lub, przeciwnie, „komiwojażerem” wybitnych ministrów, z których jeden był trochę uroczystry, a drugi miał słabość do kalamburów? Dzienniki śpiewały ich chwałę, ale pani de Guermantes ziewała i okazywała zniecierpliwienie, o ile nieuwaga gospodyni domu dała jej któregoś z nich za sąsiada. Skoro być wybitnym mężem stanu nie stanowiło dla księżnej żadnej rekomendacji, ci spośród jej przyjaciół, którzy zrezygnowali z dyplomacji lub z armii, którzy poniechali ubiegania się o mandat poselski, przychodząc co dzień na śniadanie i na gawędy ze swoją dostojną przyjaciółką, odnajdując ją w salonie królewskich wysokości (mało zresztą przez nich cenionych, przynajmniej tak powiadali), sądzili, że wybrali lepszą część, mimo że ich wyraz twarzy — melancholijny nawet wśród wesołości — przeczył nieco słuszności tego sądu.

Bądź co bądź, trzeba przyznać, że subtelności towarzyskie, finezja rozmowy były u Guermantów czymś realnym — mimo iż wątłym. Żaden oficjalny tytuł nie był tam wart tyle, co uznanie niektórych ulubieńców pani de Guermantes, których najpotężniejsi ministrowie nie zdołaliby ściągnąć do siebie. Jeżeli w tym salonie pogrzebano na zawsze tyle ambicji intelektualnych, a nawet tyle szlacheckich aspiracji, z pyłu ich zrodził się bodaj najpiękniejszy kwiat światowości. Niewątpliwie, ludzie dowcipni, jak na przykład Swann, uważali się za coś wyższego od wartościowych ludzi, którymi gardzili; dlatego że wartością, którą księżna de Guermantes ceniła ponad wszystko, była nie inteligencja, ale to, co wedle niej było wyższą, wyborniejszą formą inteligencji, wzniesionej aż do słownej odmiany talentu — dowcip. I kiedy niegdyś u Verdurinów Swann uznał Brichota i Elstira jednego pedantem, drugiego bufonem, mimo całej wiedzy jednego, a geniuszu drugiego, klasyfikacja ta płynęła z ducha Guermantów. Nigdy Swann nie ośmieliłby się przedstawić żadnego z nich księżnej, czując, z jaką miną przyjęłaby tyrady Brichota i kalambury Elstira, ile że „duch Guermantów” mieścił pretensjonalne i przydługie popisy „serio” lub „buffo”⁶¹¹ w kategorii najnieznośniejszego kretynstwa.

Co się tyczy Guermantów z krwi i kości, o ile „duch Guermantów” nie opanował ich tak zupełnie, jak się to zdarza na przykład w kółkach literackich, gdzie wszyscy mają wspólną manierę dykcji, stylu, a w następstwie i myśli, nie znaczy to z pewnością, aby oryginalność była w kołach światowych silniejsza i aby przeszkadzała tam naśladownictwu. Ale warunkiem naśladownictwa jest nie tylko brak bezwzględnej oryginalności, lecz także pewna subtelność ucha, pozwalająca najpierw rozpoznać to, co się imituje potem. Otóż niektórym Guermantom brakło tego zmysłu muzycznego w równym stopniu co Courvoisierom.

Weźmy za przykład ćwiczenie, które się zwie w innym znaczeniu słowa „imitacja” — „robieniem imitacji” (co u Guermantów nazywało się „parodią”). Mimo iż pani de Guermantes robiła je cudownie, Courvoisierowie równie byli niezdolni ocenić tego, co gdyby byli gromadą królików; po prostu dlatego, że nigdy nie umieli zauważyć wady lub akcentu, które księżna starała się parodiować. Kiedy „imitowała” księcia de Limoges, Courvoisierowie protestowali: „Och, nie, przecież on tak nie mówi; byłem z nim wczoraj na obiedzie u Bebetki, rozmawiał ze mną cały czas, nie mówił wcale w ten sposób”; podczas gdy nieco bardziej wyrobieni Guermantowie wykrzykiwali: „Boże, jaka ta Oriana jest cudowna! Najlepsze jest, że, kiedy go udaje, robi się do niego podobna! Zdaje mi się, ależ tak, że go słyszę! Oriano, jeszcze trochę Limoges!” Otóż ci Guermantowie (nie sięgając nawet do najwybitniejszych, którzy kiedy księżna imitowała księcia de Limoges, wykrzykiwali z podziwem: „Och, można powiedzieć, że pani go *chwyciła*” albo że „tyś go chwyciła”), mimo iż nie grzeszyli dowcipem wedle pani de Guermantes (w czym miała słuszność), przez osłuchanie się z powiedzeniami księżnej i powtarzanie ich nauczyli się, lepiej lub gorzej, naśladować jej sposób mówienia, formowania myśli, tego, co Swann, zarówno jak książę Błazej, nazwałby jej sposobem „redagowania”. W rezultacie mieli w swojej rozmowie coś, co Courvoisierom wydawało się okropnie pokrewne z dowcipem Oriany i co stało się dla nich mitycznym „dowcipem Guermantów”. Ponieważ ci Guermantowie byli nie tylko jej krewnymi, ale i wielbicielami, Oriana — która bardzo

⁶¹¹ „serio” lub „buffo” — serio lub żartobliwie; odniesienie do dwóch podstawowych gatunków opery: *opera seria* to opera poważna, zaś *opera buffa* to opera komiczna. [przypis edytorski]

trzymała resztę rodziny na uboczu, mszcząc się obecną wzdargą za dokuczliwość, jakie od niej cierpiała, będąc panną — odwiedzała ich od czasu do czasu, zazwyczaj z mężem, korzystając z pięknego dnia. Te wizyty stanowiły ewenement. Serce biło szybciej księżnej d'Épinay, przyjmującej gości w wielkim parterowym salonie, kiedy spostrzegła z daleka, niby pierwsze blaski niegroźnego pożaru lub rekonesans niespodzianego najazdu, Oriane, mijającą wolno dziedziniec, w czarującym kapeluszu, z pochyloną umbrellką, z której ociekał zapach lata. „O! Oriana” — wołała niby „baczość”, mające przezornie ostrzec gości, iżby mieli czas wyjść w ordynku i bez paniki ewakuować salony. Połowa obecnych nie ważyła się zostać, zrywała się. „Ale nie, czemu? niechże pani siada, bardzo mi będzie miło” — mówiła pani domu swobodnym i niedbałym tonem (aby robić wielką damę), ale głosem mającym coś sztucznego. — „Nie, nie, z pewnością macie do pomówienia ze sobą”. — „Doprawdy, spieszysz się, kochanie? Odwiedzę cię niedługo” — odpowiadała pani domu tym, których wołałaby widzieć za drzwiami.

Księstwo Błażejowie kłaniali się bardzo grzecznie osobom, które widywali tam od lat, nie dopuszczając do bliższych stosunków, a które ledwo się z nimi witały przez delikatność. Zaledwie ci goście wyszli, książę wypytywał się o nich uprzejmie, aby się wydawało, że on się żywo interesuje tymi osobami, mimo że ich nie zaprasza do siebie wskutek niegodziwości losu lub nerwów Oriany.

— Kto to była ta mała w różowym kapelusiku?

— Ależ, kuzynie, widziałeś ją nieraz; to wicehrabina de Tours, z domu Lamarzelle.

— Wiecie państwo, że ona jest ładna, wygląda bardzo inteligentnie; gdyby nie drobna wada w górnej wardze, byłaby po prostu czarująca. Jeżeli istnieje wicehrabia de Tours, można mu powinszować. Oriano, wiesz, kogo mi przypominają te brwi i ta linia czoła? Twoją kuzynkę, Jadzię de Ligne.

Księżna de Guermantes, która wiedziała, z chwilą gdy się mówiło o piękności innej kobiety, nie podejmowała tego tematu. Nie doceniała dobrej woli swego małżonka w okazywaniu, że się bardzo interesuje osobami, które u niego nie bywają, przez co, jak sądził, robił wrażenie człowieka bardziej serio niż jego żona.

— Kuzynko! — wykrzykiwał nagle z siłą. — Powiedziała kuzynka: Lamarzelle. Przypominam sobie, kiedy byłem posłem, bardzo niepospolitą mowę, którą wygłosił...

— To był właśnie wuj tej młodej kobietki.

— A, co za talent! Nie, kochanie — rzekł książę do wicehrabiny d'Égremont, której pani de Guermantes nie mogła znieść, ale która, nie ruszając się z domu księżnej d'Épinay, gdzie zniżała się dobrowolnie do roli subretki (wynagradzała to sobie biciem własnej subretki za powrotem do domu), tkwiła tam zmieszana, zafrasowana, ale siedziała, kiedy książęca para wkraczała do salonu, zdejmowała płaszcz, starała się być użyteczna, przez dyskrecję proponowała, że przejdzie do sąsiedniego pokoju — nie trzeba dla nas robić herbaty, rozmawiajmy sobie spokojnie, my jesteśmy ludzie prości, bez pretensji. Zresztą — dodawał, zwracając się do księżnej d'Épinay, a opuszczając panią d'Égremont, zarumienioną, pokorną, ambitną i gorliwą — mamy tylko kwadrans czasu.

Ten kwadransik wypełniało całkowicie cytowanie dowcipów, które Oriana popełniła w ciągu ubiegłego tygodnia; ona sama nie byłaby ich z pewnością cytowała, ale książę, niby to łącząc żonę z powodu wydarzeń, które je wywołały, bardzo zręcznie doprowadzał ją do powtórzenia konceptu.

Księżna d'Épinay, która lubiła kuzynkę i wiedziała, że Oriana ma słabość do komplementów, rozplywała się nad jej kapeluszem, parasolką, dowcipem.

— Niech kuzynka chwali jej toaletę, ile się kuzynce podoba — rzekł książę niby to opryskliwym tonem, który łagodził figlarnym uśmiechem, iżby nie wzięto poważnie jego niezadowolenia — ale na miłość boską nie jej dowcip; obszedłbym się chętnie bez posiadania tak dowcipnej żony. Kuzynka myśli zapewne o lichym kalamburze Oriany na mojego brata Palameda — dodał, wiedząc doskonale, że księżna d'Épinay, wraz z resztą rodziny, nie znała jeszcze tego kalamburu, i ciesząc się, że może zareklamować żonę. — Po pierwsze, uważam za niegodne osoby, której, przyznając, udało się nieraz powiedzieć coś bardzo ładnego, popełniać liche kalambury, zwłaszcza na mego brata, który jest bardzo drażliwy. Jeżeli to ma mieć ten skutek, że nas poróżni z Palamedem, to w istocie piękny rezultat!

— Ależ my nic nie wiemy! Kalambur Oriany? To musi być coś uroczonego. Och, niech kuzyn powie.

— Ale nie, ale nie — odparł księżę jeszcze nadąsany, mimo iż bardziej uśmiechnięty — niezmiernie się cieszę, żeście tego nie słyszeli. Serio, ja bardzo kocham mojego brata.

— Słuchaj, Błażeju — rzekła księżna, na którą przyszedł moment wmieszania się do dialogu — nie wiem, czemu ty mówisz, że to może pogniewać Palamedę; wiesz doskonale, że wcale nie. On jest zbyt inteligentny, aby się obrazić o ten niemądry żarcik, w którym nie ma nic przynoszącego ujmę. Gotów kto uwierzyć, że ja powiedziałam coś złośliwego; odpowiedziałam po prostu coś, w czym nie ma nic zabawnego, ale czemu ty nadajesz wagę przez swoje oburzenie. Nie rozumiem cię.

— Intrygujecie nas, o cóż więc chodzi?

— Och, oczywiście o nic poważnego — wykrzyknął pan de Guermantes. — Słyszeliście może, że mój brat chciał darować Brézé, zamek, który ma po żonie, swojej siostrze Marsantes.

— Tak, ale mówiono nam, że ona nie pragnie tego prezentu, że nie lubi tych stron, że jej klimat nie odpowiada.

— No więc właśnie ktoś mówił to wszystko mojej żonie, dodając, że jeżeli brat darowuje ten zamek naszej siostrze, to nie po to, aby jej zrobić przyjemność, ale żeby ją „takinować”⁶¹². „Charlus jest taki sprzyka” — mówił ów ktoś. Otóż wiecie państwo, Brézé to jest kąsek królewski, to może być warte kilka milionów, dawna siedziba królewska, jeden z najpiękniejszych lasów we Francji. Jest wiele osób, które by się zgodziły, aby je „takinować” w podobny sposób. Toteż słysząc to wyrażenie w zastosowaniu do Charlusa, dlatego że chciał darować tak wspaniały zamek, Oriana nie mogła się wstrzymać, aby nie wykrzyknąć — mimo woli, przynaję, bez złej myśli, bo jej to przyszło nagle jak błyskawica. „Takinować, takinować... w takim razie to jest Takiniusz pyszny!” Rozumiecie — dodał księżę przybierając z powrotem nadąsaną minę, a zarazem spoglądając wkoło, aby ocenić wrażenie dowcipu żony (przy czym księżę był raczej sceptyczny co do biegłości pani d'Épinay w historii starożytnej); rozumie kuzynka, to aluzja do Tarkwiniusza Pysznego, króla rzymskiego; idiotyczna zresztą, licha gra słów, niegodna Oriany. A przy tym ja, który, mniej wprawdzie dowcipny od Oriany, jestem taktowniejszy od niej, ja myślę o następstwach; jeżeli fatalność zechce, aby to ktoś powtórzył bratu, będzie cała historia! Tym więcej — dodał — że ponieważ właśnie Palamed jest bardzo wyniosły, bardzo dumny i drażliwy, skłonny do komeraży⁶¹³, trzeba przyznać, że nawet pomijając kwestię zamku, „Takiniusz Pyszny” wcale dobrze go maluje. To ratuje powiedzonka mojej pani, że nawet kiedy się chce zniżyć do dość pospolitej gry słów, pozostaje „inteligentna mimo woli” i niezgorzej charakteryzuje ludzi.

Tak więc, raz „Takiniuszem Pysznym”, drugi raz innym dowcipem, owe familijne wizyty państwa de Guermantes odnawiały repertuar anegdot, a wzruszenie, jakie wносиły, trwało długo po odejściu dowcipnej pani i jej impresaria. Najpierw dzielono się powiedzonkami Oriany z wybranymi osobami, które zostawszy w salonie, brały udział w tej biesiadzie.

— Pani nie znała „Takiniusza Pysznego”? — pytała księżna d'Épinay.

— Owszem — odpowiadała, rumieniąc się, margrabina de Baveno. — Księżna de Sarsina (La Rochefoucauld) mówiła mi o tym, mimo iż trochę w innej formie. Ale to musiało być o wiele zabawniejsze opowiedziane przy samej Orianie — dodała tak, jakby mówiła: „z akompaniamentem autora”.

— Mówiliśmy o ostatnim dowcipie Oriany, która była tu przed chwilą — powiadano jakiejś damie, zrozpaczonej, że nie przyszła o godzinę wcześniej.

— Jak to, Oriana była tutaj?

— Ależ tak, gdybyś była przyszła trochę wcześniej! — odpowiadała księżna d'Épinay bez wyrzutu, ale dając do zrozumienia, ile niezręczna straciła. To jej wina, jeżeli nie była świadkiem stworzenia świata lub ostatniego występu pani Carvalho⁶¹⁴.

⁶¹²„takinować” (neol.) — z fr. *taquiner*: drażnić, dokuczać. [przypis edytorski]

⁶¹³komeraż (daw.) — złośliwa plotka, obgadywanie. [przypis edytorski]

⁶¹⁴Miolan-Carvalho, Caroline (1827–1895) — francuska śpiewaczka operowa, sopran. [przypis edytorski]

„Co powiadacie o ostatnim dowcipie Oriany? Wyznaję, że bardzo mi się podoba Takiniusz Pyszny!” — powtarzano, podając dowcip jeszcze na zimno nazajutrz przy śniadaniu specjalnie na to zaproszonym gościom i odgrzewając go w różnych sosach przez cały tydzień. Nawet księżna d'Épinay, będąc w tym tygodniu z doroczną wizytą u księżnej Parmy, skorzystała z tego, aby spytać jej wysokość, czy знаła już ten kalambur, po czym opowiadała go.

„A! Takiniusz Pyszny” — powiadała księżna Parmy z oczami z góry rozszerzonymi podziwem, błagając o dodatkowe wyjaśnienia, których nie odmawiała jej pani d'Épinay. „Przyznaję, że Takiniusz Pyszny nieskończenie mi się podoba jako redakcja” — konkludowała księżna. Ściśle biorąc, słowo „redakcja” nie nadawało się wcale do tego kalamburu, ale pani d'Épinay, która miała pretensję do dowcipu Guermantów, przejęła od Oriany wyrażenia „redakcja, redagować” i używała ich trochę po omacku. Otóż księżna Parmy, która nie bardzo lubiła panią d'Épinay, znajdując, że jest brzydka, wiedząc, że jest skąpa, i sądząc — na wiarę Courvoisierów — że jest zła, poznała to słowo „redakcja”, które słyszała w ustach pani de Guermantes, a którego nie umiałaby zastosować sama. Miała wrażenie, że to w istocie „redakcja” stanowi wdzięk Takiniusza Pysznego i nie zapominając całkowicie swojej antypatii do brzydkiej i skąpej damy, nie mogła się obronić uczuciu podziwu dla kobiety, posiadającej w tym stopniu ducha Guermantów. Posunęła się tak daleko, że chciała zaprosić panią d'Épinay do Opery; powstrzymała ją jedynie myśl, że wypadłoby się może poradzić wprzód Oriany. Co do pani d'Épinay, która — bardzo w tym różna od Courvoisierów — umizgała się na tysiąc sposobów do Oriany i lubiła ją, ale była zazdrosna o jej stosunki i nieco podrażniona publicznymi żarcikami księżnej na temat jej skąpstwa, opowiadała za powrotem do domu, z jakim trudem przyszło księżnej Parmy zrozumieć Takiniusza Pysznego i jaka Oriana musi być snobka, aby wciąż przedstawać z podobną gęsią. „Nie mogłabym bywać u księżnej Parmy, choćbym chciała — mówiła pani d'Épinay do osób będących u niej na obiedzie. — Mąż nie pozwoliłby mi z powodu jej życia — dodała, czyniąc aluzję do pewnych najzupełniej urojonych wybryków księżnej Parmy. — Ale nawet gdybym miała męża mniej surowego, wyznaję, że bym nie mogła. Nie rozumiem, jak Oriana może z nią wytrzymać. Ja tam chodzę raz na rok i z trudem mogę dotrzeć do końca wizyty”.

Co się tyczy Courvoisierów, którzy się znajdowali u Wiktoryny d'Épinay w chwili wizyty pani de Guermantes, przybycie pani de Guermantes dawało im na ogół hasło do ucieczki, bo ich drażniły przesadne „salamaleki” wyprawiane dla Oriany. Jeden jedyny Courvoisier został tam w dniu Takiniusza Pysznego. Nie zrozumiał żartu całkowicie, ale zrozumiał go bądź co bądź w połowie, bo był wykształcony. I Courvoisierowie opowiadali wszędzie, że Oriana nazwała wuja Palamedę „Tarkwiniuszem Pyszny”, co go malowało, ich zdaniem, dosyć dobrze, ale po co robić tyle historii z Orianą? — dodawali. Nie robiono by więcej hec z królową! „Ostatecznie, co to jest Oriana? Nie powiadam, aby »Guermantes« nie było stare nazwisko, ale »Courvoisier« nie ustępuje mu w niczym ani jako znakomitość, ani jako dawność, ani jako parantele. Nie trzeba zapominać, że kiedy raz w obozie król angielski spytał Franciszka I⁶¹⁵, który z obecnych panów jest najszlachetniejszy rodem, ów odpowiedział: „Courvoisier, Sire”. Zresztą, choćby wszyscy Courvoisierowie zostali w salonie, dowcipy Oriany zrobiłyby na nich niewielkie wrażenie, ile że wydarzenia, które je zazwyczaj rodziły, przedstawiały się ich oczom zgoła odmiennie. Jeżeli na przykład któreś Courvoisierce zbrakło krzesła na jej przyjęciu lub jeśli się pomyliła w nazwisku gościa, którego nie poznała, albo jeżeli ktoś ze służby głupio się do niej odezwał, Courvoisierka, zrozpaczona, pąsowa, trzęsąc się z emocji, bolała nad tym wypadkiem. I kiedy miała u siebie jakiegoś gościa, a Oriana miała przyjść, mówiła niepokojnie, trwożliwie i rozkazująco pytającym tonem: „Czy pan ją zna?”, obawiając się — o ile gość jej nie zna — aby jego obecność nie sprawiła na Orianie złego wrażenia. Pani de Guermantes natomiast czerpała z takich wypadków temat do opowiastek, które śmieszyły Guermantów do łez, tak iż trzeba było jej zazdrościć, że jej zbrakło krzesła,

⁶¹⁵Franciszek I Walecjusz (1494–1547) — król Francji (od 1515); w czerwcu 1520 spotkał się z Henrykiem VIII, królem Anglii, chcąc sobie zapewnić jego przychylności w zbliżającym się konflikcie z Karolem V Habsburgiem. [przypis edytorski]

że sama strzeliła lub pozwoliła swemu służącemu strzelić bąka, że miała u siebie kogoś, kogo nikt nie znał, tak jak trzeba się cieszyć, że wielkiego pisarza upokarzali mężczyźni, a zdradzały kobiety, skoro ich upokorzenie i cierpienia stały się, jeżeli nie źródłem ich geniuszu, to bodaj tematem ich dzieł.

Courvoisierowie nie byli również zdolni wzbić się do nowatorstwa, które pani de Guermantes wnosila w życie światowe i które — stosując je nieomylnym instynktem do potrzeb chwili — czynila czymś artystycznym tam, gdzie sztywne zastosowanie reguł dałoby równie złe rezultaty, co gdyby ktoś, chcąc osiągnąć sukcesy w miłości lub w polityce, skopiował dosłownie własnym życiem czyny jakiegoś Bussy d'Amboise⁶¹⁶. Jeżeli Courvoisierowie wydawali obiad rodzinny lub obiad dla koronowanej głowy, zaproszenie jakiegoś utalentowanego człowieka, przyjaciela ich syna, zdawało się im anomalią zdolną wyrzucić najgorsze wrażenie. Jedna Courvoisierka, której ojciec był za Cesarstwa ministrem, mając wydać herbatkę na cześć księżniczki Matyldy⁶¹⁷, wyciągnęła stąd matematyczny wniosek, że może zaprosić jedynie samych bonapartystów. Otóż nie znała prawie żadnego. Wszystkie eleganckie kobiety z jej świata, wszyscy mili mężczyźni zostali bezlitośnie wykluczeni, ponieważ — jako legitymiści z przekonania lub z tradycji — musieliby, wedle logiki Courvoisierów, razić jej cesarską wysokość. Księżniczka Matylda, która przyjmowała u siebie kwiat Faubourg Saint-Germain, zdziwiła się, zastając u pani de Courvoisier jedynie słynną pieczeniarkę⁶¹⁸, wdowę po eks-prefekcie Cesarstwa, dalej wdowę po dyrektorze poczty oraz kilka osób, znanych zarówno ze swej wierności dla Napoleona III, jak ze swej głupoty i nudy. Niemniej księżniczka Matylda rozlała szczodry i łaskawy strumień swego monarszego wdzięku na tych żalonych brzydaków, których pani de Guermantes ani w głowie było prosić, kiedy jej z kolei przyszło gościć księżniczkę Matyldę. Zamiast nich, nie wdając się w bonapartystyczne dociekania, uwiła najbogatszy bukiet wszystkich piękności, talentów, sław, w których swoisty węch, takt i spryt księżnej Oriany pozwolił jej odgadnąć, że sprawią przyjemność bratanicy Cesarza, nawet gdy należały bodaj do rodziny króla. Nie brakowało nawet księcia d'Aumale⁶¹⁹, a kiedy księżniczka Matylda, podnosząc panią de Guermantes — która, pochylając się głęboko, chciała ją pocałować w rękę — ucałowała ją w oba policzki, mogła z głębi serca zapewnić Oriane, że nigdy nie spędziła miłszego dnia ani nie oglądała udatniejszej fety.

Księżna Panny była Courvoisierką przez swój brak inwencji towarzyskiej; ale w przeciwieństwie do Courvoisierów niespodzianka, jaką jej bez ustanku sprawiała pani de Guermantes, rodziła w niej nie — jak w Courvoisierach — antypatię, lecz zachwyty. Zdumienie owo pogłębiał jeszcze fakt niezmiernie zaniedbanej kultury księżnej Parmy. Sama pani de Guermantes była o wiele mniej „awangardowa”, niż przypuszczała. Ale wystarczyło jej być nią więcej od księżnej Parmy, aby zdumieć tę królewską wysokość; że zaś każde pokolenie krytyków poprzestaje na postawieniu na głowie prawd poprzedników, wystarczyło Orianie powiedzieć, że Flaubert⁶²⁰, ten wróg mieszczaństwa, sam był na wskroś mieszcuchem, lub że w Wagnerze jest dużo włoszczyzny, aby otworzyć księżnej Parmy — za cenę wciąż nowego zmęczenia, podobnego uczuciu człowieka pływającego w czasie burzy — horyzonty, które się jej wydawały niesłychane i pozostawały dla niej mgliste. Odczuwała zdumienie wobec tych paradoksów, rzucanych nie tylko na temat dzieł sztuki, ale i na temat znajomych osób i wydarzeń towarzyskich. Bez wątpienia, księżniczka Parmy niezdolna była odróżnić „ducha Guermantów” od prymitywnie przyswojonych form tego ducha, co rodziło jej wiarę w wysoką wartość intelektualną pewnych Guermantów, a zwłaszcza Guermantek, o których ku własnemu zdumieniu słyszała później z ust Oriany, że są proste gęsi; i to było jedną z przyczyn zdumienia, w jakie wprawiła

⁶¹⁶*Bussy d'Amboise, Louis de* (1549–1579) — szlachcic francuski, sławny pojedykowiec na dworze króla Henryka III, faworyt brata królewskiego Franciszka d'Alençon, kochanek królowej Małgorzaty Walezjuszki. [przypis edytorski]

⁶¹⁷*Matylda Letycja Bonaparte* (1820–1904) — księżniczka francuska, córka byłego króla Westfalii Hieronima, najmłodszego brata Napoleona I, i jego drugiej żony, Katarzyny Wirtemberskiej. [przypis edytorski]

⁶¹⁸*pieczeniarka* — kobieta mająca skłonności do żywienia się cudzym kosztem, lubiąca dobrze zjeść na cudzy koszt. [przypis edytorski]

⁶¹⁹*Henryk Orleański, książę d'Aumale* (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I, ostatniego monarchy Francji z rodu Burbonów. [przypis edytorski]

⁶²⁰*Flaubert, Gustave* (1821–1880) — francuski pisarz, wybitny realista, uważany też za jednego z pierwszych przedstawicieli naturalizmu. [przypis edytorski]

zawsze jej wysokość sądy Oriany o ludziach. Była jeszcze inna przyczyna, którą ja, znając w owej epoce więcej książek niż ludzi i lepiej literaturę niż świat, tłumaczyłem sobie na swój sposób. Sądziłem, że księżna Oriana — żyjąc owym światowym życiem, którego czczość i próżniactwo są w stosunku do życia czynu tym, czym w sztuce krytyka wobec tworzenia — rozciąga na swoje otoczenie zmienność perspektyw, niezdrowe pragnienie mędrka, który aby napoić swój oschły umysł, szuka jakiegokolwiek niezbyt jeszcze zużytego paradoksu, gotów chwycić się orzeźwiającego poglądu, że najpiękniejszą *Ifigenią* jest *Ifigenia* Picciniego, a nie Glucka⁶²¹, a w potrzebie iż prawdziwą *Fedra* jest *Fedra* Pradona⁶²².

Kiedy jakaś inteligentna, wykształcona dowcipna kobieta zaślubiła niezgułę, którego widywało się rzadko, a nie słyszało nigdy, pani de Guermantes zafundowała sobie pewnego dnia duchową rozkosz, nie tylko zohydżając żonę, ale „odkrywając” męża. Wobec małżeństwa Cambremer na przykład (gdyby Oriana żyła wówczas w tym kole) orzekłaby, że pani de Cambremer jest głupia, natomiast człowiekiem zapoznanym, uroczym, skazanym na milczenie przez żonę terkotkę, ale tysiąc razy wartościowszym od niej jest margrabia. I w takim wyroku znalazłaby pani de Guermantes ten sam rodzaj orzeźwienia, co krytyk, który po siedemdziesięciu latach zachwyty nad *Hernanim*⁶²³ wyznaje, że woli *Zakochanego lwa*⁶²⁴. A ta sama chorobliwa potrzeba arbitralnych przewartościowań sprawiała, iż jeżeli od czasu młodości księżnej ubolewano nad jakąś wzorową żoną, istną świętą, że ją wydano za mąż za łajdaka, pani de Guermantes twierdziła pewnego dnia, że ten łajdak jest człowiekiem lekkomyślnym, ale pełnym serca, którego oschła pruderia żony pchnęła na złe drogi.

Wiedziałem, że nie tylko między dziełami w długim szeregu wieków, ale nawet w tym samym dziele krytyka lubi grażyć w cieniu to, co błyszczało zbyt długo, a wydobywa na jaw to, co się zdawało skazane na ostateczne mroki. Widziałem nie tylko Belliniego⁶²⁵, Winterhaltera⁶²⁶, architektów-jezuitów, pewnego snycerza z czasów Restauracji⁶²⁷ windowanych na miejsce geniuszów, o których powiadano, że się zużyli, po prostu dlatego że znużyli się nimi jałowi esteci, skłonni — jak wszyscy neurastenicy — do znużenia i zmienności. Widziałem, jak Sainte-Beuve bywał kolejno to krytykiem, to poetą, jak przekreślano poezję Musseta⁶²⁸, z wyjątkiem drobiazgów. Bez wątpienia, niektórzy eseści błądzą, ponad najślawniejsze sceny z *Cyda* lub *Polyeucte*⁶²⁹ wynosząc jakąś tyradę z *Kłamcy*⁶³⁰ Corneille'a, dającą, niby stary plan, wskazówki co do życia ówczesnego Paryża; ale ich wybór — usprawiedliwiony jeżeli nie racjami artystycznymi, to bodaj wartością dokumentu — jeszcze jest zbyt racjonalny dla niepoczytalnej krytyki. Ta oddaje całego

Twórczość

⁶²¹*Piccini i Gluck* — Niccolò Piccinni (1728–1800), włoski kompozytor operowy, oraz Christoph Willibald Gluck (1714–1787), kompozytor niemiecki, uważani za rywali; obaj wystawili w Paryżu opery o tytule *Ifigenia w Taurydzie* (*Ifigénie en Tauride*): Gluck w 1779, Piccinni w 1781, opera Glucka odniosła wielki sukces, wersja Picciniego poniosła porażkę. [przypis edytorski]

⁶²²*Pradon, Jacques* (1632–1698) — francuski dramatopisarz, rywal Jeana Racine'a; 1 stycznia 1677 Racine wystawił swoją tragedię *Fedra*, Pradon dwa dni później przedstawił swoją własną sztukę na ten sam temat, pt. *Fedra i Hippolit* (*Phèdre et Hippolyte*). [przypis edytorski]

⁶²³*Hernani* — przełomowy dramat Wiktora Hugo z 1830, stanowiący praktyczną realizację zasad dramatu romantycznego; wzbudził kontrowersje, podzielił ówczesnych starszych i młodszych krytyków i odbiorców (tzw. „bitwa o Hernaniego”). [przypis edytorski]

⁶²⁴*Zakochany lew* (fr. *Le Lion amoureux*) — popularna komedia historyczna Francois Ponsarda z 1866; Ponsard otrzymał w 1845 nagrodę Akademii Francuskiej za „postawienie tamy fali romantyzmu”, w 1855 został wybrany członkiem Akademii. [przypis edytorski]

⁶²⁵*Bellini* — rodzina włoskich malarzy epoki renesansu: Jacopo Bellini i dwóch jego synów, Giovanni i Gentile; trudno powiedzieć, którego z nich ma na myśli autor. [przypis edytorski]

⁶²⁶*Winterhalter, Franz Xaver* (1805–1873) — niemiecki malarz i twórca litografii, znany głównie z portretów przedstawiających członków europejskich rodów królewskich i arystokratycznych; w 1824 przybył do Paryża, gdzie stał się bardzo popularny. [przypis edytorski]

⁶²⁷*Restauracja* — okres w historii Francji wyznaczony datami 1814–1830, od powrotu na tron dynastii Burbonów po upadku Napoleona I do rewolucji lipcowej, która ponownie obaliła ich rządy. [przypis edytorski]

⁶²⁸*Musset, Alfred de* (1810–1857) — francuski poeta i pisarz, wybitny przedstawiciel romantyzmu, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

⁶²⁹*Cyd, Polyeucte* — tragedie Pierre'a Corneille'a. [przypis edytorski]

⁶³⁰*Kłamca* (fr. *Le menteur*) — komedia Pierre'a Corneille'a z 1644; w scenie 5 aktu II jej bohater, Dorante, zdumiewa się szybkimi zmianami w Paryżu. [przypis edytorski]

Moliera za jeden wiersz z *Wartogłowa*⁶³¹; a nawet, uważając Wagnerowskiego *Tristana*⁶³² za nudziarstwo, ocali z niego „ładny motyw rogu” w scenie przeciągania myśliwych. Owa deprawacja krytyki pomogła mi zrozumieć tę, której dowód dawała pani de Guermantes, orzekając, że pewien osobnik z jej sfery, uznany na ogół za poczciwego głupca, jest, przeciwnie, potworem egoizmu, sprytniejszym, niż się mniema; że inny, znany z hojności, jest wcieleniem skąpstwa; że dobra matka nie dba o dzieci, kobieta zaś, którą uważano za zepsutą, ma najszlachetniejsze instynkty. Jak gdyby skażone czczością światowego życia, inteligencja i wrażliwość pani de Guermantes były zbyt chwiejne, aby niesmak nie zastępował szybko entuzjazmu (luzując się z nim kolejno w stosunku do tych samych przejawów ducha). Sympatia, jaką w niej budził wartościowy człowiek, ustępowała miejsca irytacji, o ile ten człowiek zbyt często szukał jej towarzystwa, a zwłaszcza o ile szukał w niej kierunku, którego nie była zdolna mu udzielić. Sądziła, iż irytację tę spowodował jej wielbiciel, w istocie zaś przyczyną była jedynie niemożność znalezienia przyjemności — niepodobnej do pochwylenia, o ile się wyłącznie jej szuka. Kaprys sądów księżnej nie oszczędzał nikogo, wyjąwszy męża. On jeden nigdy jej nie kochał; w nim czuła zawsze charakter z żelaza, obojętny na jej grymasy, niedbający o jej piękność, gwałtowny, o nieugiętej woli — jedynej, pod której władzą nerwowe natury zdolne są znaleźć spokój. Z drugiej strony, pan de Guermantes, ścigając wciąż jeden typ kobiecej piękności, ale szukając go w zmienianych często kochankach, miał tylko jedną trwałą i niezmienną współniczkę, która go drażniła często gadulstwem, ale o której wiedział, że ją cały świat ma za najpiękniejszą, najcnotliwszą, najinteligentniejszą, najwykształceńszą w arystokracji; za żonę, z której posiadania on, książę de Guermantes, powinien być szczęśliwy; która pokrywała wszystkie jego szaleństwa, umiała przyjmować jak nikt i utrzymywała dom na stopie pierwszego salonu Faubourg Saint-Germain. Tę opinię świata podzielał i książę: wściekły często na żonę, był jednakże z niej dumny. O ile, będąc równie skąpy jak próżny, odmawiał jej najdrobniejszej sumki na dobroczynność lub dla służby, dbał o to, aby księżna miała najwspanialsze toalety i najpiękniejsze zaprzęgi.

Za każdym razem kiedy pani de Guermantes wymyśliła, na temat gwałtownie przez nią przewartościowanych zalet i wad jednego z przyjaciół, nowy i smakowity paradoks, płonęła żądzą wypróbowania go wobec osób zdolnych go ocenić, olśnienia ich oryginalnością psychologiczną paradoksu i błysnięcia jego lapidarną zjadliwością. Zapewne, te nowe poglądy mieściły najczęściej nie więcej prawdy niż dawne, często mniej; ale właśnie ta ich dowolność i niespodzianość dawały im coś intelektualnego, podniecającego samą ich autorkę. Tyle tylko, że pacjent, na którym ćwiczyła się psychologiczna bystrość Oriany, był zazwyczaj bliskim przyjacielem, ci zaś, z którymi ona pragnęła podzielić się swoim odkryciem, nie wiedzieli nic o tym, że on już wypadł z łaski; toteż reputacja pani de Guermantes jako nieporównanej przyjaciółki, serdecznej i wiernej, utrudniała rozpoczęcie ataku; księżna mogła co najwyżej dorzucić słówko później, jak gdyby zniewolona, mieszając się do rozmowy po to, aby łagodzić, aby powstrzymać na pozór, w istocie zaś, aby wspomagać partnera mającego za zadanie sprowokowanie jej; i w tej właśnie roli celował pan de Guermantes.

Co się tyczy spraw „świata”, była to znów inna przyjemność, samowładnie teatralna, jaką odczuwała pani de Guermantes, wygłaszając w tych sprawach owe nieoczekiwane sądy, smagające księżnę Parmy nieustanną i rozkoszną niespodzianką. Tę przyjemność pani de Guermantes próbowałam sobie wytłumaczyć nie tyle analogiami z krytyką literacką, ile z życiem politycznym i kroniką parlamentarną. Kiedy zmienne i sprzeczne edykty, jakimi pani de Guermantes wciąż wywracała hierarchię osób swojego świata, nie wystarczały już, aby ją rozerwać, starała się kosztować owych sztucznych emocji również we własnym postępowaniu, w sposobie, w jaki notyfikowała⁶³³ swoje najdrobniejsze światowe wyroki; starała się być w nich posłuszna owym sztucznym obowiązkom, pobudzającym temperaturę zgromadzeń i sugestionującym umysły polityków. Wiadomo,

⁶³¹ *Wartogłów* — wczesna komedia Moliera z 1655, wzorowana na komediach włoskich. [przypis edytorski]

⁶³² *Tristan i Izolda* — opera Richarda Wagnera z roku 1859, dramat muzyczny na podstawie średniowiecznej legendy o tragicznej miłości rycerza Tristana i księżniczki Izoldy Jasnowłosej; „ładny motyw rogu” w scenie *przeciągania myśliwych*: na początku II aktu tej opery. [przypis edytorski]

⁶³³ *notyfikować* — w stosunkach dyplomatycznych: oficjalnie powiadamiać inne państwo lub grupę państw o ważnym fakcie lub postanowieniu. [przypis edytorski]

że kiedy minister tłumaczy Izbie intencje, jakie miał, trzymając się pewnej linii postępowania, która w istocie wydaje się całkiem prosta rozsądnemu człowiekowi czytającemu nazajutrz w swoim dzienniku sprawozdanie z tego posiedzenia, ów rozsądny czytelnik odczuwa nagły wstrząs i zaczyna wątpić, czy słusznie aprobował ministra, kiedy widzi, że mowy jego słuchano wśród żywego podniecenia i punktowano ją słowami nagany, jak: „To bardzo poważne”, rzuconymi przez posła o tak długim nazwisku i tytułach i mającymi za następstwo poruszenia tak wymowne, iż w całym incydencie słowa: „To bardzo poważne!” zajmują mniej miejsca niż hemistych⁶³⁴ w aleksandrynie⁶³⁵. Swojego czasu na przykład, kiedy pan de Guermantes, jako książę des Laumes, zasiadał w Izbie, czytywało się w dziennikach paryskich, mimo że to było zwłaszcza obliczone na okręg Méséglise, aby dowieść wyborcom, że nie oddali głosów na gnuśnego lub niemego kandydata:

Pan de Guermantes-Bouillon, książę des Laumes: „To bardzo poważne!” — („Słusznie! Bardzo słusznie!” — w centrum i na niektórych ławkach prawicy; żywe okrzyki skrajnej lewicy).

Rozsądny czytelnik zachowuje jeszcze cień wierności dla roztropnego ministra, ale serce jego wstrząsają nowe uderzenia przy pierwszych słowach nowego mówcy, odpowiadającego ministrowi:

„Zdumienie, osłupienie — to nie będzie za silnie powiedziane (żywe poruszenie po prawej stronie sali) — z jakim słuchałem słów tego, który jest jeszcze, przypuszczam, członkiem rządu...” (grzmot oklasków; kilku posłów ciśnie się do ławy ministrów; podsekretarz stanu poczt i telegrafu daje ze swego miejsca twierdzący znak głową).

Ten „grzmot oklasków” zwalcha ostatni opór rozsądnego czytelnika; widzi obelgę dla Izby, potworność w postępku najzupełniej pozbawionym znaczenia, ewentualnie w jakimś normalnym fackie, na przykład: żądać, aby bogaty płacił więcej niż biedny, oświecić jakąś niesprawiedliwość, woleć pokój od wojny; wyda mu się to skandaliczne i dojrzy w tym obrazy pewnych zasad, o których sam nie pomyślał, które nie są wyryte w sercu człowieka, ale które wzruszają silnie z powodu oklasków, jakie rozpętują, oraz zwartych większości, jakie skupiają.

Trzeba zresztą przyznać, że ta subtelność ludzi politycznych, która mi pomogła zrozumieć środowisko Guermantów, a później inne środowiska, jest jedynie nadużyciem pewnej sztuczki w interpretacji, często określanej jako „czytanie między wierszami”. Jeżeli nadużywanie tej finezji jest absurdem zgromadzeń, brak jej znowuż trąci tępotą publiczności, która bierze wszystko dosłownie, nie podejrzewa dymisji, kiedy wysokiego dygnitarza zwalniają z jego obowiązków „na własne żądanie”, i powiada sobie: „Nie dostał przecież dymisji, skoro to on sam prosił o nią”; która nie podejrzewa klęski, kiedy Rosjanie ruchem strategicznym cofają się przed Japończykami na „silniejsze i z góry przygotowane pozycje”; nie podejrzewa odmowy, kiedy jakaś prowincja żądała od cesarza Niemiec niezawisłości, a ten użycza jej autonomii religijnej. Możliwe zresztą jest (aby wrócić do posiedzeń Izby), że z początku sami posłowie podobni są do owego rozsądnego człowieka, który będzie czytał sprawozdanie. Dowiadując się, że strajkujący robotnicy wysłali delegatów do ministra, może pytają się naiwnie: „A, to ciekawe, co oni tam sobie powiedzieli; miejmy nadzieję, że wszystko się ułożyło” — może tak sobie powiadają w chwili, gdy minister wstępuje na trybunę wśród głębokiego milczenia, już zaostrażającego sztucznie emocje. Pierwsze słowa ministra: „Nie potrzebuję mówić Izbie, że mam zbyt wysokie poczucie obowiązków rządu, abym mógł przyjąć delegację, której powaga mego urzędu nie pozwoliła mi uznać”, są istnym efektem teatralnym, była to bowiem jedyna hipoteza, której zdrowy rozsądek posłów nie byłby przypuścił. Ale właśnie dlatego, że to jest efekt teatralny, przyjęty jest takimi oklaskami, że dopiero po upływie kilku minut może zacząć mówić minister — minister, który wracając na swoje miejsce, spotka

⁶³⁴hemistych — półwers, w poezji nowożytej: połówka wersu wiersza wyodrębniona przez średniówkę. [przypis edytorski]

⁶³⁵aleksandryn (lit.) — parzyście rymowany dwunastozgłoskowy wiersz ze średniówką po szóstej sylabie, stosowany w utworach o charakterze heroicznym, np. w epejach lub tragediach, popularny w poezji francuskiej. [przypis edytorski]

się z powinszowaniem kolegów. Wszyscy są równie wzruszeni jak w dniu, kiedy minister nie zaprosił na wielką oficjalną uroczystość prezesa rady gminnej, która była w stosunku do niego w opozycji; i wszyscy oświadczają, że w jednej, jak i w drugiej okazji postąpił jak prawdziwy mąż stanu.

W tej epoce swego życia, ku wielkiemu zgorszeniu Courvoisierów, pan de Guermantes często należał do owych „kolegów winszujących ministrowi”. Słyszałem później, że nawet w momencie, w którym grał dosyć wielką rolę w Izbie, kiedy to myślano dla niego o ministerstwie lub o ambasadzie, był on, kiedy jakiś przyjaciel prosił go o przysługę, nieskończenie prostszy, o wiele mniej robiący ważną figurę polityczną niż wszelki inny, który by nie był księciem de Guermantes. Bo jeżeli książę powiadał, że urodzenie jest rzeczą błahą, że uważa swoich kolegów za równych sobie, nie myślał tego ani trochę. Zabiegał o sytuacje polityczne, udawał, że je ceni, ale gardził nimi; że zaś zostawał dla samego siebie panem de Guermantes, nie przydawały mu one owej dygnitarzkiej nadętości, która innych czyni niedostępnymi. I dzięki temu дума księcia chroniła od wszelkich wpływów nie tylko jego ostentacyjną poufałość, ale do pewnego stopnia i szczerą prostotę.

Aby wrócić do tych wyroków pani de Guermantes — sztucznych i emocjonujących niby decyzje polityków — Oriana nie mniej niepokoiła Guermantów, Courvoisierów, całe faubourg, a bardziej niż kogokolwiek księżnę Parmy, swymi nieoczekiwanymi dekretami, kryjącymi zasady, które tym bardziej zaskakiwały, im mniej się ich spodziewano. Kiedy nowy poseł grecki dawał bal maskowy, każdy obmyślał kostium i wszyscy zastanawiali się, jaki będzie kostium Oriany. Jeden myślał, że zechce być księżną burgundzką, drugi stawiał hipotezę księżniczki Dujabaru, trzeci — Psyche⁶³⁶. Wreszcie któraś Courvoisier spytała: „Za kogo ty będziesz, Oriano?”, wywołując jedyną odpowiedź, która nie przyszłaby jej na myśl: „Ależ za nikogo!”, co wprawiło w ruch języki, jak gdyby odsłaniając pogląd Oriany na istotną światową pozycję nowego posła i na postępowanie, jakiego się należy trzymać wobec niego, to znaczy opinię, którą powinno się było przewidzieć; mianowicie, że księżna „jako taka” nie ma co robić na balu maskowym u tego nowego posła.

— Nie widzę konieczności chodzenia do posła greckiego, którego nie znam; nie jestem Greczynką, po co miałabym się tam tłuc, nie mam tam nic do roboty — mówiła księżna.

— Ależ wszyscy tam idą, zdaje się, że to będzie uroczyste! — wykrzyknęła pani de Gallardon.

— Siedzieć sobie spokojnie przy kominku też jest uroczyste — odpowiedziała pani de Guermantes.

Courvoisierowie nie mogli ochłonąć, ale Guermantowie, mimo iż nie naśladowali Oriany, pochwalali ją:

— Oczywiście, nie wszyscy mają sytuację taką jak Oriana, aby mogli łamać wszelkie zwyczaje. Ale, z drugiej strony, nie można powiedzieć, aby ona nie miała racji, chcąc okazać, że my przesadzamy, płaszcząc się przed tymi cudzoziemcami, o których często się nie wie, skąd się biorą.

Rzecz prosta, iż wiedząc, co za komentarze wywoła niechybnie taki lub inny jej postępek, pani de Guermantes znajdowała tyleż przyjemności w tym, aby się zjawić na balu, gdzie nie śmiano liczyć na jej obecność, co aby zostać w domu lub spędzić wieczór z mężem w teatrze w dniu zabawy, „gdzie będą wszyscy”, lub kiedy myślano, że ona zaćmi najpiękniejsze diamenty historycznym diademem, wejść bez żadnego klejnotu i w stroju odmiennym od tego, jaki uważano niesłusznie za obowiązujący. Mimo że była antydreyfusistką (wierząc w niewinność Dreyfusa, tak samo jak wiodła życie światowe, wierząc tylko w życie myśli), sprawiła ogromne wrażenie na wieczorze księżnej de Ligne najpierw tym, że siedziała, gdy wszystkie damy wstały na wejście generała Mercier⁶³⁷, a potem wstając i wołając ostentacyjnie swoją służbę, kiedy nacjonalistyczny orator rozpoczął wykład, przez co księżna okazała, że nie uważa salonu za miejsce odpowiednie do uprawiania polityki. Podobnie wszystkie głowy obróciły się ku niej na wielkopiątkowym

⁶³⁶ *Psyche* (mit. gr.) — ukochana Erosa, boga miłości, wyobrażana w postaci dziewczyny o skrzydłach motyla; oznaczała też duszę ludzką. [przypis edytorski]

⁶³⁷ *Mercier, Auguste* (1833–1921) — francuski generał, minister wojny (1893–1895) w czasach sprawy Dreyfusa; zdecydował o winie Dreyfusa; pozbawiony stanowiska po tym, gdy zażądał zniszczenia tajnych akt w tej sprawie. [przypis edytorski]

koncercie, skąd, mimo iż wolterianka, wyszła, bo uważała za nieprzyzwoite wprowadzanie na scenę Chrystusa. Wiadomo, czym jest, nawet dla największych dam, moment, kiedy się zaczynają zabawy; tak dalece, że margrabina d'Amoncourt, która z potrzeby paplania, z manii psychologizowania, a także z braku serca często dogadywała się do głupstwa, mogła odpowiedzieć komuś, kto przyszedł do niej z kondolencją z powodu śmierci jej ojca, pana de Montmorency: „Tak, to bardzo smutne: takie nieszczęście w chwili, gdy człowiek ma na biurku setkę zaproszeń!”. Otóż w tym momencie, kiedy zapraszano księżnę de Guermantes na jakiś obiad, spiesząc się, aby nie była już zajęta, ona odmawiała dla tej jednej przyczyny, o której światowiec nigdy by nie pomyślał: puszczała się jachtem zobaczyć fiordy norweskie, które ją interesowały. Światowcy osłupieli; mimo iż nie zamierzali naśladować księżnej, postępek jej sprawił im rodzaj ulgi, podobnej do tej, jaką nam daje Kant⁶³⁸, kiedy po najściślejszym dowodzie determinizmu stwierdza, iż ponad światem konieczności istnieje świat wolności. Wszelki pomysł, na który by się nigdy nie wpadło, podnieca nawet tych, co z niego nie umieją korzystać. Wynalazek statków parowych był drobniactwem wobec korzystania ze statków parowych we wrogim turystyce okresie *seasonu*⁶³⁹. Myśl, że można się dobrowolnie wyrzec stu obiadów lub śniadań, dubeltowej liczby „herbatek”, potrójnej rautów, najświetniejszych poniedziałków w Operze i wtorków w Komedi Francuskiej po to, aby oglądać fiordy, wydała się Courvoisierom równie niepojęta jak *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*⁶⁴⁰, ale dała im to samo wrażenie swobody i uroku. Toteż nie było dnia, w którym by się nie rozlegało nie tylko: „Czy znasz ostatnie powiedzenie Oriany?”, ale: „Czy znasz ostatni pomysł Oriany?”. I o ostatnim pomysle Oriany, jak o ostatnim powiedzeniu Oriany, powtarzano: „To cała Oriana!”, „To wykapana Oriana” albo: „To najczystsza Oriana”. Ostatnim pomysłem Oriany było na przykład to, że mając odpowiedzieć imieniem⁶⁴¹ jakiegoś towarzystwa patriotycznego kardynałowi X..., biskupowi Mâcon (którego, mówiąc o nim, pan de Guermantes nazywał stale: „pan de Mascon”, bo to się wydawało księciu bardzo *vieille France*⁶⁴²), kiedy każdy starał się sobie wyobrazić, jak list będzie zredagowany, i z łatwością znajdował pierwsze słowa: „Eminencjo” lub „Wasza Dostojność”, ale nie umiał wybrnąć z reszty, list Oriany ku zdumieniu wszystkich zaczynał się od: „Panie Kardynale”, z racji starego akademickiego obyczaju, lub od: „Mój Kuzynie”, ile że ten termin praktykowany był między książętami Kościoła, Guermantami i panującymi, przy czym prosili Boga, aby miał adresata „w swojej świętej i godnej pieczy”. Na to, by mówiono o „ostatnim pomysle Oriany”, wystarczyło, aby na przedstawieniu, gdzie był cały Paryż i gdzie grano bardzo ładną sztukę, kiedy szukano pani de Guermantes w łożu księżnej Parmy, księżnej Gilbertowej lub w tyłu innych łożach, do których ją proszono, odkryto ją samotnie, w czarnej sukni i w małym kapelusiku, w fotelu, gdzie siedziała już od *lever du rideau*⁶⁴³. „Lepiej stamtąd słyhać, więc skoro zdarza się sztuka, która jest tego warta...” — tłumaczyła się wobec zgorznięcia Courvoisierów, a zachwytu Guermantów i księżnej Parmy, którzy odkrywali nagle, że „styl” słuchania sztuki od początku jest bardziej nowy, wyraża więcej oryginalności i inteligencji (co nie mogło zbytnio dziwić ze strony Oriany) niż przychodzenie na ostatni akt po wielkim obiedzie oraz raucie odrobionym po drodze.

Takie były rozmaite rodzaje zdumienia, jakich księżna Parmy mogła się spodziewać, jeśli zagadnęła panią de Guermantes o jakąś kwestię światową lub literacką, co sprawiało, że podczas tych obiadów u księżnej Oriany jej królewska wysokość puszczała się na najbłahszy temat jedynie z niespokojną i zachwyconą ostrożnością osoby kąpiącej się przy silnej fali.

Wśród elementów odróżniających salon pani de Guermantes od paru innych mniej więcej równorzędnych i tworzących szczyty Faubourg Saint-Germain (jak Leibniz przyjmuje, że każda monada, odbijając cały wszechświat, przydaje mu coś osobistego) jeden z najmniej sympatycznych składników stanowiło zazwyczaj parę bardzo pięknych kobiet,

⁶³⁸ Kant, Immanuel (1724–1804) — niemiecki filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnej filozofii. [przypis edytorski]

⁶³⁹ *season* (ang.) — pora roku; sezon. [przypis edytorski]

⁶⁴⁰ *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* — powieść przygodowa i fantastyczno-naukowa Juliusza Verne'a, wyd. 1869–1870. [przypis edytorski]

⁶⁴¹ *odpowiedzieć imieniem* — tu: odpowiedzieć w imieniu. [przypis edytorski]

⁶⁴² *vieille France* (fr.) — stara Francja. [przypis edytorski]

⁶⁴³ *lever du rideau* (fr.) — podniesienie kurtyny. [przypis edytorski]

niemających innego tytułu obecności prócz swojej urody i sposobu, w jaki z niej korzystał pan de Guermantes. Obecność ich zdradzała natychmiast — jak w innych salonach podejrzane obrazki — że w tym domu mąż jest gorącym miłośnikiem wdzięków niewieścich. Wszystkie te damy były do siebie trochę podobne, bo książę miał gust do kobiet dużych, majestatycznych i swobodnych zarazem, coś pośredniego między *Wenus miłoską*⁶⁴⁴ a *Wiktoria z Samotrake*⁶⁴⁵; często blondynki, rzadko brunetki, czasem rude, jak najświeższa zdobycz znajdująca się na tym obiedzie, owa wicehrabina d'Arpajon, którą książę kochał tak namiętnie, że przez długi czas zmuszał ją do dziesięciu depesz dziennie (co trochę drażniło księżnę), korespondował z nią za pomocą gołębi pocztowych, kiedy był w Guermantes, i bez której przez długi czas tak był niezdolny się obejść, że pewnej zimy, którą musiał spędzić w Parmie, wracał co tydzień do Paryża, spędzając dwa dni w podróży, aby ją zobaczyć.

Zazwyczaj te piękne figurantki były kochankami księcia dawniej, ale nie były już nimi w tej chwili (to była właśnie sytuacja pani d'Arpajon) lub miały niebawem przestać być nimi. Może urok, jaki miała w ich oczach księżna Oriana, oraz nadzieja znalezienia się w jej salonie (mimo iż same należały do sfer bardzo arystokratycznych, ale drugoplanowych) kazały im, bardziej jeszcze niż uroda i hojność księcia, ulec jego pragnieniom. Zresztą księżna nie przeciwstawiała się absolutnie wpuszczeniu ich do swego domu; wiedziała, że w niejednej z tych kobiet znalazła sprzymierzeńca, że dzięki niej uzyskiwała tysiąc rzeczy, na które miała ochotę, a których pan de Guermantes odmawiał bezlitośnie żonie, póki nie był zakochany w innej. Toteż fakt, iż panie te dostawały się do salonu księżnej dopiero w późnej fazie swego miłosnego stosunku, tłumaczył się tym, że książę za każdym razem, kiedy się rzucił w wielką miłość, uważał to raczej za zwykłą miłośćkę, dla której zaproszenie do salonu żony zdawało mu się zbyt wysoką ceną. Zdarzało się zresztą, że ofiarowywał tę cenę za znacznie mniej; za pierwszy pocałunek, bo się spotkał z nieoczekiwanym oporem lub bo, przeciwnie, wcale nie znalazł oporu. Wdzięczność, chęć zrobienia przyjemności każą w miłości często obdarzać ponad to, co przyrzekły nadzieja i interes.

Ale wówczas ziszczeniu tego daru stawały na przeszkodzie inne okoliczności. Po pierwsze, wszystkie kobiety, które odwzajemniły miłość pana de Guermantes (czasem nawet zanim mu jeszcze uległy), były kolejno przez niego internowane. Nie pozwalał im widywać nikogo, spędzał przy nich prawie wszystek czas, zajmował się wychowaniem ich dzieci, którym czasami, jeżeli sądzić o tym z krzyżących podobieństw, zdarzało się księciu przydać brata lub siostrę. Następnie, o ile w początkach stosunku miłosnego zbliżenie z panią de Guermantes — bynajmniej niezamierzone przez księcia — odegrało jakąś rolę w intencjach kochanki, sam stosunek zmienił jej punkt widzenia; książę stawał się dla niej już nie mężem najmodniejszej kobiety w Paryżu, ale człowiekiem, którego świeża kochanka kochała; człowiekiem również, który często dostarczał jej środków zbytku oraz obudził zamięłowanie do zbytku; który przewrócił dawny porządek pierwszeństwa w sprawach snobizmu i interesu; czasami wreszcie wszelkiego rodzaju zazdrość o panią de Guermantes trawiła kochanki księcia. Ale ten wypadek był najrzadszy; zresztą, kiedy dzień prezentacji nadszedł wreszcie (zazwyczaj w chwili gdy dana osoba była już dość obojętna księciu, którego uczynki, jak bywa u wszystkich ludzi, częściej dyktowane były uczynkami poprzednimi niż właściwym bodźcem, który już nie istniał), zdarzało się często, że to pani de Guermantes pragnęła zbliżenia z kochanką, w której spodziewała się znaleźć ceną, a tak bardzo potrzebną aliantkę przeciw swemu straszliwemu małżonkowi. Nie znaczy to, aby — z wyjątkiem rzadkich chwil, w których kiedy księżna mówiła za dużo, księciu wymykały się w domu słowa, a zwłaszcza milczenia, które ją piorunowały — pan de Guermantes chybiał w stosunku do żony tak zwanym formom. Ludzie, którzy nie znali księstwa, mogliby się omylić. Czasami w jesieni, między wyścigami w Deauville, wodami a wyjazdem do Guermantes w okresie polowań, w czasie kilku tygodni, które

⁶⁴⁴*Wenus miłoska*, dziś zwykle: *Wenus z Milo* — hellenistyczna marmurowa rzeźba z II w. p.n.e., przedstawiająca grecką boginię miłości Afrodytę (rzymska *Wenus*), znaleziona na wyspie Milos w 1820; od 1821 znajduje się w paryskim Luwrze. [przypis edytorski]

⁶⁴⁵*Wiktoria z Samotrake*, dziś zwykle: *Nike z Samotraki* — hellenistyczna marmurowa rzeźba z III lub II w. p.n.e., przedstawiająca uskrzydloną Nike, grecką boginię zwycięstwa, znaleziona w 1863 na wyspie Samotraka; od 1884 eksponowana w paryskim Luwrze. [przypis edytorski]

spędza się w Paryżu, książę towarzyszył żonie do *café-concert*, które lubiła. Publiczność spostrzegła natychmiast w jednej z owych łózek, gdzie jest miejsce tylko na dwoje, tego Herkulesa w „smokingu” (skoro we Francji daje się wszelkiej rzeczy, mniej lub więcej brytyjskiej, nazwę, jakiej ta rzecz nie nosi w Anglii), z monokłem w oku, puszczającego od czasu do czasu kłęb dymu z wielkiego cygara tkwiącego w grubej, ale pięknej ręce, na której obrączkowym palcu błyszczał szafir. Spojrzenie księcia zazwyczaj zwracało się ku scenie, ale kiedy je kierował na salę, gdzie nie znał zresztą absolutnie nikogo, łagodził je wyraz słodczy, dyskrecji, uprzejmości, poważania. Kiedy kuplet⁶⁴⁶ wydał mu się zabawny, a niezbyt sprośny, obracał się z uśmiechem do żony, aby, z wyrazem porozumiewawczej dobroci, podzielić z nią niewinną wesołość czerpaną z nowej piosenki. Kiedy księżna czuła się zmęczona, pan de Guermantes wstawał, podawał jej płaszcz, poprawiając naszyjniki, aby się nie zahaczyły o podszewkę, torował jej drogę z pełnymi szacunku względami, które ona przyjmowała z chłodem światowej lali, widzącej w tym jedynie prostą formę, czasem nawet z ironiczną nieco goryczą zawiedzionej małżonki, która nie ma już żadnych złudzeń; ale widzowie mogli przypuszczać, że nie ma w świecie lepszego męża niż książę ani osoby godniejszej zazdrości niż ta kobieta, poza którą on mieścił wszystkie zainteresowania swego życia, której nie kochał, której nigdy nie przestawał zdradzać. Mimo tych pozorów (będących inną fizjonomią owej grzeczności, która przesunęła obowiązki z głębi na powierzchnię w pewnej epoce już odległej, ale żywej jeszcze dla jej potomków) życie księżnej bywało ciężkie. Pan de Guermantes stawał się z powrotem szczodry i ludzki jedynie dla miłości nowej kochanki, która brała najczęściej stronę księżnej; znów otwierały się przed Orianą widoki hojności dla niższych, miłosierdzia dla ubogich, a nawet później, dla niej samej, nowego i wspaniałego samochodu. Nie znaczy to, aby kochanki księcia były zabezpieczone od irytacji rodzącej się zazwyczaj dość szybko w pani de Guermantes z oswojenia z osobami, które były w stosunku z nią nazbyt uległe. Niebawem księżna brzydziła je sobie. Otóż w tej chwili właśnie stosunek księcia z panią d'Arpajon zbliżał się ku końcowi. Nowa kochanka była na horyzoncie.

Niewątpliwie, miłość, jaką pan de Guermantes płonął kolejno do wszystkich tych kobiet, dochodziła pewnego dnia znów do głosu. Miłość ta, umierając, zapisywała te kobiety, niaby piękne marmury — piękne dla księcia, który stawał się w ten sposób po trosze artystą, ponieważ je niegdyś kochał, a teraz był wrażliwy na formy, których nie byłby ocenił bez miłości — grupujące w salonie księżnej swoje kształty, długo wrogie, pożerane zazdrościami i kłótniami, wreszcie pojednane w pokoju przyjaźni. I sama ta przyjaźń była następstwem miłości, która pozwoliła panu de Guermantes spostrzec w swoich kochankach przymioty istniejące w każdym człowieku, ale wyczuwalne jedynie dla rozkoszy; tak iż dawna kochanka, przeobrażona w „najlepszego kolegę, który zrobiłby dla nas wszystko”, jest istnym frazesem, jak lekarz lub ojciec niebędący lekarzem ani ojcem, ale przyjacielem. Ale w pierwszym okresie kobieta, którą pan de Guermantes zaczynał zaniedbywać, skarżyła się, robiła sceny, była wymagająca, niedyskretna, swarliwa. Książę zaczynał mieć jej dość. Wówczas pani de Guermantes miała możliwość wydobywać na światło prawdziwe lub urojone wady osoby, która ją drażniła. Znana ze swej dobroci, pani de Guermantes przyjmowała telefony, zwierzenia, lży opuszczonej i nie skarżyła się na to. Śmiała się z tego z mężem, potem z paroma bliskimi; sądziła, iż współczucie, jakie okazuje nieszczęśliwej, daje jej prawo bawić się trochę jej kosztem, nawet w jej obecności. I za każdym odezwaniem się tej kobiety, o ile ono potwierdzało charakter śmieszności, w jaką oboje księstwo świeżo ją ustroiło, pani de Guermantes, nie krępując się, wymieniała z mężem ironiczne i porozumiewawcze spojrzenia.

Siadając do stołu, księżna Parmy przypomniała sobie, że miała zaprosić do Opery księżnę d'Heudicourt; chcąc wiedzieć, czy to nie wystraszy Oriany, starała się ją wy badać.

W tej chwili wszedł pan de Grouchy, którego pociąg wskutek jakiegoś wypadku spóźnił się o godzinę. Wy tłumaczył się, jak mógł. Gdyby jego żona była z domu Courvoisier, umarłaby ze wstydu. Ale pani de Grouchy nie darmo była Guermantką. Kiedy mąż tłumaczył się ze spóźnienia, rzekła:

— Widzę, że spóźniać się nawet w drobnych rzeczach jest tradycją w waszej rodzinie.

⁶⁴⁶kuplet — żartobliwa, satyryczna piosenka o budowie zwrotkowej z wyrazistym refrenem, występująca jako element wodewilu i operetki a. samodzielna forma kabaretowa. [przypis edytorski]

— Siadaj, Grouchy, nie daj się zbić z pantalyku — rzekł książę.

— Idąc z duchem czasu, zmuszona jestem uznać, że bitwa pod Waterloo⁶⁴⁷ miała swoje dobre strony, skoro przywróciła Francji Burbonów, co więcej, w sposób, który im zapewnił niepopularność. Ale widzę, że pan jest prawdziwy Nemrod⁶⁴⁸!

— Ustrzeliłem w istocie parę ładnych sztuk. Pozwolę sobie przesłać jutro książęcej tuzin bażantów.

Zdawało się, że jakaś myśl odbiła się w oczach pani de Guermites. Prosiła, aby pan de Grouchy nie trudził się przysyłaniem bażantów. Dając znak owemu zaręczonemu lokajowi, z którym rozmawiałem, wychodząc z sali z Elstirami, rzekła:

— Poullein, pojedziesz jutro po bażanty do pana hrabiego i przywieziesz je zaraz tutaj. Prawda, panie Grouchy, pan nie ma nic przeciw temu, abym zrobiła grzeczność paru osobom. Nie zjemy we dwójkę z Błażem dwunastu bażantów na raz.

— Ależ pojutrze zupełnie wystarczy — rzekł pan de Grouchy.

— Nie, wolę jutro — zdecydowała księżna.

Poullein zbladł: schadzka z narzeczoną spaliła na panewce. To wystarczyło, aby ściągnąć uwagę księżnej, która dbała, aby wszystko zachowało znamiona ludzkości.

— Wiem, że jutro jest twój wolny dzień — rzekła do Poulleina — zamienisz się po prostu z Jerzym, który wyjdzie jutro, a zostanie pojutrze.

Ale pojutrze narieczona Poulleina nie była wolna, nie zależało mu na tym dniu. Z chwilą gdy Poullein opuścił pokój, wszyscy zaczęli komplementować księżnę za jej dobroć dla służby.

— Ależ ja postępuję z nimi tylko tak, jak chciałabym, aby ludzie postępowali ze mną.

— Właśnie! To fakt, że oni mają tu dobre miejsca!

— Nie takie nadzwyczajne. Ale sądzę, że mnie lubią. Ten chłopak jest trochę nieznośny, bo jest zakochany; czuje się w obowiązku stroić melancholijne miny.

W tej chwili Poullein wrócił.

— W istocie — rzekł pan de Grouchy — nie robi wrażenia zbytniej pogody ducha. Z nimi trzeba być dobrym, ale nie za dobrym.

— Uznaję, że ja nie jestem tyranka; w ciągu całego dnia ma tylko pojechać po pańskie bażanty, siedzieć tu po próżnicy i zjeść swoją porcję.

— Dużo ludzi chciałoby być na jego miejscu — rzekł pan de Grouchy, bo zawiść jest ślepa.

— Oriano — rzekła księżna Parmy — miałam któregoś dnia wizytę twojej kuzynki d'Heudicourt; trzeba przyznać, że to jest kobieta o niepospolitej inteligencji; prawdziwa Guermites, to mówi wszystko; ale powiadają, że ma zły język.

Książę spojrział na żonę z rozmyslnym zdziwieniem. Pani de Guermites zaczęła się śmiać. Księżna Parmy spostrzegła to w końcu.

— Ależ... czy ty nie jesteś... mojego zdania?... — spytała, niespokojna.

— Doprawdy, jej wysokość jest zbyt łaskawa, aby się zajmować minami Błażeja. Słuchaj, Błażeju, nie podsuwaj złych myśli o naszych krewnych.

— Uważa, że jest taka zła? — spytała żywo księżna Parmy.

— Och, wcale nie. Nie wiem, kto waszej wysokości opowiedział, że ona ma zły język. To, przeciwnie, wyborna istota, która nigdy źle nie mówiła o nikim ani nie zrobiła nikomu nic złego.

— A! — rzekła księżna Parmy z ulgą. — Ja także nie zauważyłam niczego podobnego. Ale ponieważ wiem, że często trudno jest nie być trochę złośliwą, kiedy się jest tak dowcipną...

— Dowcipną? To chyba jeszcze mniej.

— Jeszcze mniej?... — spytała księżna Parmy, zdumiona.

— Słuchaj, Oriano — przerwał książę bolesciwym tonem, rzucając na prawo i lewo rozbawione spojrzenia — słyszysz przecie, jej wysokość powiada, że to jest kobieta niepospolita.

⁶⁴⁷bitwa pod Waterloo (18 czerwca 1815) — stoczona na terenie Belgii ostatnia bitwa cesarza Napoleona Bonapartego, w której armia francuska została zniszczona przez koalicyjne wojska angielskie Wellingtona i wojska pruskie Blüchera; w wyniku klęski Napoleon abdykował, co zakończyło okres rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

⁶⁴⁸Nemrod (bibl.) — biblijny prawnuk Noego, sławny myśliwy. [przypis edytorski]

— Czyż nie jest?...

— Jest co najmniej niepospolicie gruba.

— Niech go księżna nie słucha, on nie jest szczerzy, ona jest głupia jak gęś (gęś) — rzekła mocnym i zachrypłym głosem pani de Guermantes, która, jeszcze bardziej *vieille France* niż książkę, kiedy się na to nie siliła, starała się często przybierać ten ton, nie w przestarzałym stylu żabotów i koronek swego męża, ale w istocie o wiele subtelniejszy przez akcent niemal chłopski, mający ostrą i rozkoszną woń ziemi. — Ale to najlepsza kobieta pod słońcem. I nie wiem nawet, czy głupota w tym stopniu może się jeszcze nazywać głupotą. Nie sądzę, abym kiedy widziała coś podobnego: to *casus*⁶⁴⁹ lekarski, coś patologicznego, rodzaj idiotki, kretynki, niedorozwiniętej, jak w melodramach albo jak w *Arlésienne*⁶⁵⁰. Kiedy ona jest tutaj, pytam się zawsze, czy nadeszła chwila, w której jej inteligencja się zbudzi, co zawsze przeraża trochę.

Księżna Parmy była olśniona tymi określeniami, zarazem zdumiona wyrokiem:

— Cytowała mi, zarówno jak pani d'Épinay, twojego Takiniusza Pysznego. To rozkoszne — powiedziała.

Pan de Guermantes objaśnił ten dowcip. Miałem ochotę zwierzyć się mu, że jego brat, który twierdził, że mnie nie zna, czeka na mnie o jedenastej. Ale nie spytałem się Roberta, czy mogę mówić o tej schadzce, że zaś fakt, iż pan de Charlus niemal mi ją naznaczył, był w sprzeczności z tym, co powiedział księżnej, uznałem za właściwsze zachować milczenie.

— Takiniusz Pyszny jest niezły — rzekł pan de Guermantes — ale pani d'Heudicourt nie opowiedziała prawdopodobnie waszej wysokości czegoś o wiele ładniejszego, co Oriana powiedziała jej innym razem, w odpowiedzi na zaproszenie na śniadanie.

— Och, nie, proszę opowiedzieć!

— Słuchaj, Błażeju, siedź cicho; po pierwsze, to jest idiotyczne; księżna gotowa przypuszczać, że jestem jeszcze głupsza niż ta idiotka, moja kuzynka. A potem, nie wiem, czemu ja mówię: „moja kuzynka”. To jest kuzynka Błażeja. No, jest zarazem trochę i moją krewną.

— Och! — wykrzyknęła księżna Parmy przerażona myślą, że mogłaby uważać panią de Guermantes za głupią, i zaklinając się, że nic nie zdołałoby pozbawić Oriany miejsca, jakie zajmuje w jej podziwiewie.

— A przy tym jużemy jej odjęli zalety ducha; ponieważ ta anegdota grozi odjęciem jej niektórych zalet serca, wydaje mi się nie na czasie.

— „Grozi odjęciem”! „Nie na czasie”! Jak ona się dobrze wyraża! — rzekł książkę z udaną ironią, aby wzbudzić podziw dla Oriany.

— Słuchaj, Błażeju, nie kpj sobie ze swojej żony.

— Trzeba powiedzieć waszej królewskiej wysokości — podjął książkę — że kuzynka Oriany jest niepospolita, dobra, gruba, wszystko, co kto chce, ale nie jest specjalnie... jak by to powiedzieć... rozrzutna.

— Tak, wiem, jest straszliwa kutwa — wtrąciła księżna Parmy.

— Nie byłbym sobie pozwolił na to określenie, ale jej wysokość trafiła w sedno. To się wyraża w trybie jej domu, a w szczególności w jej kuchni, która jest wyborna, ale ściśle odmierzona.

— To daje nawet powód do scen dosyć komicznych — przerwał pan de Bréauté. — Wiesz, Błażeju, pojechałem raz do Heudicourt w dniu, gdy spodziewano się tam Oriany i ciebie. Poczyniono wspaniałe przygotowania, kiedy w ciągu popołudnia lokaj przyniósł depeszę, że nie przyjedziecie.

— To mnie nie dziwi — rzekła księżna Oriana, która nie tylko niełatwo się udzielała, ale lubiła, aby to wiedziano.

— Twoja kuzynka czyta telegram, martwi się, po czym natychmiast, nie tracąc przytomności umysłu i powiadając sobie, że nie potrzeba zbytecznych szyków dla faceta bez znaczenia jak ja, odwołuje lokaja: „Powiedz kucharzowi, żeby wstrzymał kurczętą”, krzyczy. A wieczorem słyszałem, jak pytała kamerdynera: „No i co, a resztki wczorajszej wółwiny? Nie podajecie ich?”.

⁶⁴⁹*casus* (łac.) — przypadek; sprawa. [przypis edytorski]

⁶⁵⁰*L'Arlésienne* (fr.) — *Arlieżjanka*, opowiadanie Alphonse Daudeta (1840–1897), francuskiego pisarza i poety z Prowansji; w 1872 przerobione przez autora na dramat, wystawiony z muzyką Georges'a Bizeta. [przypis edytorski]

— Zresztą trzeba przyznać, że strawa jest tam doskonała — rzekł książę, który sądził, iż używając tego wyrażenia, okaże się *ancien régime*. — Nie znam domu, gdzie jadłoby się lepiej.

— I mniej — przerwała księżna.

— To bardzo zdrowo i bardzo wystarczająco dla takiego prostaka jak ja; człowiek zachowuje apetyt.

— A, jeżeli kuracja, to co innego. Jest to niewątpliwie bardziej higieniczne niż luksusowe. Zresztą nie je się tam wcale tak dobrze — dodała pani de Guermantes, która nie bardzo lubiła, aby tytuł „najlepszej kuchni w Paryżu” przyznawano innej kuchni niż jej własnej. — Z moją kuzynką to jest po trosze tak jak z autorami cierpiącymi na obstrukcję⁶⁵¹, którzy rodzą co piętnaście lat jednoaktówkę lub sonet. Wówczas nazywa się to „małe arcydzieło”, istny „klejnocik”, słowem, rzecz, której najbardziej nie znoszę. Kuchnia u Zenajdy nie jest zła, ale nie wydawałaby się tak wykwinna, gdyby była mniej oszczędna. Są rzeczy, które jej kucharz robi dobrze, i inne, które partoli. Trafiłam tam, jak gdzie indziej, na bardzo liche obiady, ale mniej mi zaszkodziły niż gdzie indziej, bo żołądek jest w gruncie wrażliwszy na ilość niż na jakość.

— Słowem — zakonkludował książę — Zenajda nalegała, aby Oriana przyszła do niej na śniadanie; że zaś żona nie bardzo lubi wychodzić z domu, broniła się, wypytywała, czy pod pozorem małego śniadania nie wpakują jej podstępnie w wielkie tralala, i starała się na próżno wywiedzieć, kto tam właściwie ma być. „Przyjdź, przyjdź — nalegała Zenajda, zachwalając menu. — Dostaniesz purée z kasztanów, paluszki lizać, a przedtem będzie siedem małych *bouchées à la reine*⁶⁵²”. „Siedem! — krzyknęła Oriana — w takim razie będzie nas co najmniej ośmioro”.

Po upływie kilku chwil księżna Parmy, zrozumiałwszy, parsknęła śmiechem podobnym do grzmotu.

— A, „będzie nas ośmioro”, to cudowne! Jak to dobrze zredagowane! — rzekła, odnalazszy w swojej ekstazie wyrażenie, którego użyła pani d'Épinay i które lepiej się nadało tym razem.

— Oriano, to bardzo ładne, co powiada jej wysokość; mówi, że to jest dobrze zredagowane.

— Ależ, mój drogi, nie powiadasz mi nic nowego; ja wiem, że księżna Parmy jest inteligentna — odparła pani de Guermantes, która łatwo uznawała jakieś powiedzenie, kiedy zarazem padło z ust królewskiej wysokość i podkreślało jej własny dowcip. — Jestem bardzo dumna, że jej wysokość aprobejuje moje skromne redakcje. Zresztą, nie przypominam sobie, abym to powiedziała. A jeżeli powiedziałam, to po to, aby pochlebić kuzynce, bo skoro ona powiedziała siedem *bouchées*⁶⁵³, ilość gąb, o ile wolno się tak wyrazić, przekraczałyby dwanaście.

Tymczasem hrabina d'Arpajon, od której przed obiadem usłyszałem, że jej ciotka tak byłaby rada widzieć mnie u siebie w Normandii, mówiła mi teraz ponad głową księcia d'Agrigente, że bardzo by chciała ugościć mnie w Côte d'Or, bo tam, w Pont-le-Duc, ma swoją rodową siedzibę.

— Bardzo by pana zainteresowało archiwum zamkowe. Znajdują się w nim niesłychanie ciekawe zbiory listów pisanych przez najwybitniejsze osobistości siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Spędzam nad nimi cudowne godziny. Ja żyję przeszłością — zapewniła mnie hrabina, którą pan de Guermantes scharakteryzował mi jako wielką znawczynię literatury.

— Posiada wszystkie rękopisy pana de Bornier — podjęła księżna Parmy, która starała się zgromadzić słuszne racje, usprawiedliwiające jej zażyłość z panią d'Heudicourt.

— Musiało się jej przyśnić; sądzę, że go nawet nie znała — rzekła pani de Guermantes.

— Co jest zwłaszcza interesujące, to, że ta korespondencja pochodzi od ludzi z różnych krajów — dodała hrabina d'Arpajon, która, spokrewniona z pierwszymi domami książęcymi, a nawet panującymi Europy, szczęśliwa była, że może to przypomnieć.

⁶⁵¹obstrukcję (med.) — zatwardzenie. [przypis edytorski]

⁶⁵²*bouchées à la reine* (fr.) — dosł.: przekąski królowej; paszteciki z ciasta francuskiego faszzerowane mięsem. [przypis edytorski]

⁶⁵³*bouchée* (fr.) — kęs, kasek. [przypis edytorski]

— Ależ tak, Oriano — rzekł pan de Guermantes nie bez intencji. — Przypominasz sobie ten obiad, na którym pan de Bornier⁶⁵⁴ siedział koło ciebie.

— Ach, Błażeju — przerwała pani de Guermantes — jeżeli chcesz mi powiedzieć, że znała pana de Bornier, oczywiście, że go znałam, parę razy nawet odwiedził mnie, ale nigdy się nie mogłam zdobyć na to, aby go zaprosić, bo trzeba by mi za każdym razem dezynfekować salon formaliną. Co do tego obiadu, przypominam go sobie bardzo dobrze; to nie było wcale u Zenajdy, która w życiu nie widziała na oczy pana de Bornier i która musi przypuszczać, kiedy ktoś mówi o *Córce Rolanda*, że chodzi o księżniczkę Bonaparte, o której mówiono, że się zaręczyła z synem króla greckiego⁶⁵⁵; nie, to było w ambasadzie austriackiej. Przemily Hoyos myślał, że mnie uszczęśliwi, sadzając obok mnie tego zapowietrzonego akademika. Musiałam sobie zatykać nos, jak mogłam, przez cały obiad; odważyłam się odetchnąć aż przy rokforze⁶⁵⁶.

Pan de Guermantes, który osiągnął swój tajemny cel, badał ukradkiem na twarzy gości efekt dowcipu żony.

— Korespondencja ma zresztą dla mnie szczególny urok — ciągnęła, oddzielona ode mnie twarzą księcia d'Agrigente, znawczyni literatury, posiadająca tak ciekawe listy w swoim zamku.

— Czyście państwo nie zauważyli, że listy pisarza są często więcej warte niż cała jego twórczość? Jakże się nazywał ten, co napisał *Salammbô*⁶⁵⁷?

Nie miałem ochoty odpowiedzieć, żeby nie przedłużać tej rozmowy, ale zdałem sobie sprawę, że dotknąłbym księcia d'Agrigente, który zrobił minę, jak gdyby doskonale wiedział, kto jest autorem *Salammbô*, i tylko przez grzeczność czekał, żebym to ja wymienił jego nazwisko, sam jednak zdradzał straszliwe zakłopotanie.

— Flaubert — odparłem wreszcie, ale przytakujący ruch głowy, jaki jednocześnie zrobił książę, sprawił, że powiedziałem to niewyraźnie i moja rozmówczyni sama nie wiedziała dokładnie, czy usłyszała Paul Bert, czy też Flaubert, i ani jedno, ani drugie nazwisko nie zadowoliło jej całkowicie.

— W każdym razie — powiedziała — jaka ciekawa jest ta korespondencja i o ile więcej warta od jego książek! Ona poza tym pozwala go zrozumieć, bo z tego, co on mówi o trudnościach, jakie miał przy pisaniu książek, widać, że to nie był prawdziwy pisarz, człowiek z talentem.

— Mówicie państwo o korespondencji, mnie się wydają urocze listy Gambetty — rzekła pani de Guermantes, która nie obawiała się interesować proletariuszem i radykałem.

Pan de Bréauté zrozumiał całą wartość tej odwagi, powiódł dokoła okiem równocześnie zamglonym i rozczulonym, po czym przetarł monokl.

— Mój Boże, to diabelnie nudne, ta *Córka Rolanda* — rzekł książę de Guermantes, który nadal tkwił przy panu de Bornier, z zadowoleniem, jakie mu dawało poczucie własnej wyższości nad dziełem, przy którym się tak nudził; może także przez *suave mari magno*⁶⁵⁸, jakiego doświadczamy przy dobrym obiedzie, wspominając sobie tak straszliwe wieczory. — Ale jest tam parę niezłych wierszy, jest poczucie narodowe.

Wtrąciłem, że się przynajmniej nie zachwyam panem de Bornier.

— A, ma pan coś przeciw niemu? — spytał ciekawie książę, który ilekroć się mówiło źle o mężczyźnie, przypuszczał, że to musi płynąć z jakiejś osobistej urazy, a kiedy dobrze o kobiecie, że to jest początek miłości. — Widzę, że pan go ma na wątrobce. Co on panu takiego zrobił? Niech nam pan to opowie. Ależ tak, musicie mieć z sobą na pieńku, skoro pan go krytykuje. To długie, ta *Córka Rolanda*, ale to ma swój zapaszek.

⁶⁵⁴Bornier, Henri de (1825–1901) — francuski poeta i dramaturg; autor m.in. dramatu *La Fille de Roland* (*Córka Rolanda*, 1875). [przypis edytorski]

⁶⁵⁵księżniczkę Bonaparte, o której mówiono, że się zaręczyła z synem króla greckiego — Maria Bonaparte (1882–1962), jedyna córka księcia Rolanda Napoleona Bonaparte; od 1907 żona księcia Jerzego, syna greckiego króla Jerzego I. [przypis edytorski]

⁶⁵⁶rokfor a. roquefort — gatunek owczego sera o ostrym smaku. [przypis edytorski]

⁶⁵⁷*Salammbô* (fr.), pol. *Salambo* — powieść Gustawa Flauberta z 1862, której akcja rozgrywa się podczas wojny Kartagińczyków z najemnikami w III w. p.n.e. [przypis edytorski]

⁶⁵⁸*suave mari magno* (łac.) — „miło wielkie morze” (wzburzone wichrem obserwowac z brzegu, patrząc na trudy żeglarsza), cytat z poematu Lukrecjusza *O naturze wszechrzeczy* (*De rerum natura*) II, 1–2. [przypis edytorski]

— „Zapaszek” to dobrze powiedziane jak na tak pachnącego autora — przerwała ironicznie pani de Guermantes.

— Jeżeli nasz biedny mały znalazł się kiedyś w jego towarzystwie, dość zrozumiałe jest, że go ma w... nosie.

— Muszę się zresztą przyznać waszej wysokości — podjął książę, zwracając się do księżnej Parmy — że, pomijając *Córkę Rolanda*, ja jestem w literaturze, nawet w muzyce, straszliwie zacofany; nie ma tak starego rupiecia, który by mi się nie podobał. Nie uwierzyłaby księżna, ale wieczorem, kiedy żona siądzie do fortepianu, często zdarza mi się prosić ją o jakąś starą melodię Aubera, Boieldieu⁶⁵⁹, nawet Beethovena! Oto, co lubię! W zamian za to, co się tyczy Wagnera, ten usypia mnie natychmiast.

— Nie masz racji — rzekła pani de Guermantes. — Przy swoich niemożliwych dłużyznach Wagner miał rzeczy genialne. *Lohengrin* jest arcydziełem. Nawet w *Tristanie* znajdują się tu i ówdzie jakieś ciekawe momenty. A *Chór prządek z Latającego Holendra* to istne чудо.

— Prawda, Babal — rzekł pan de Guermantes, zwracając się do pana de Bréauté — my wolimy:

*Les rendez-vous de noble compagnie
Se donnent tous en ce charmant séjour.*⁶⁶⁰

— To urocz. A *Fra Diavolo*⁶⁶¹, a *Flet zaczarowany*⁶⁶², a *Chatka*⁶⁶³, a *Wesele Figara*⁶⁶⁴, a *Diamenty korony*⁶⁶⁵: oto muzyka! W literaturze tak samo. Na przykład ja uwielbiam Balzaca, *Bal w Sceaux*, *Mobikanie Paryża*⁶⁶⁶.

— Och, mój drogi, jeżeli wsiądziesz na Balzaca, nie skończymy tak prędko. Wiesz, zachowaj to na dzień, kiedy będzie Mémé. On jest jeszcze lepszy, umie Balzaca na pamięć.

Zirytowany przerywaniem żony, książę wytrzymał ją parę chwil pod ogniem groźnego milczenia. I jego myśliwskie oczy robiły wrażenie pary nabitych pistoletów. Tymczasem pani d'Arpajon wymieniła z księżną Parmy, w przedmiocie poezji tragicznej i innej, poglądy, które doszły do mnie wyraźniej, dopiero kiedy usłyszałem, jak pani d'Arpajon mówi:

— Och, wszystko, co wasza wysokość zechce; przyznając, że on nam pokazuje świat od brzydkiej strony, bo nie umie rozróżniać piękna i brzydoty, lub raczej, bo jego nieznośna próżność każe mu sądzić, iż wszystko, co mówi, jest piękne; godzę się z waszą wysokością, że w utworze, o którym mowa, są rzeczy śmieszne, niezrozumiałe, niesmaczne, że to jest trudne do zrozumienia, że to jest ciężkie do czytania, tak jakby było pisane po rosyjsku lub po chińsku, bo rzeczywiście tam jest wszystko z wyjątkiem francuskiego; ale kiedy sobie zadać ten trud, jakże się to oplaca: on ma tyle wyobraźni.

Nie słyszałem początku tej tyrady. Zrozumiałem w końcu nie tylko to, iż poetą „niezdolnym rozróżnić piękna od brzydoty” jest Wiktor Hugo, ale i to, że utworem tak trudnym do zrozumienia jak język rosyjski lub chiński jest:

Lorsque l'enfant paraît, le cercle de famille

⁶⁵⁹Boieldieu, François-Adrien (1775–1834) — francuski kompozytor, autor popularnych oper. [przypis edytorski]

⁶⁶⁰*Les rendez-vous de noble compagnie...* (fr.) — Wszystkie spotkania w szlacheckim towarzystwie odbywają się w tym uroczym miejscu (z opery komicznej *Le pré aux clercs* Ferdinanda Hérolda, z librettem François-Antoine-Eugène de Planarda, z 1832). [przypis edytorski]

⁶⁶¹*Fra Diavolo* — opera komiczna z muzyką Daniela Aubera oraz librettem Eugène'a Scribe'a, z 1831. [przypis edytorski]

⁶⁶²*Flet zaczarowany* — dziś najczęściej: *Czarodziejski flet*, opera z niemieckim librettem Emanuela Schikanedera i muzyką Wolfganga Amadeusa Mozarta, z 1791. [przypis edytorski]

⁶⁶³*Chatka* — fr. *Le Chalet* (Chatka w górach), opera francuskiego kompozytora Adolpha Adama z librettem Eugène'a Scribe'a i Anne Honoré Josepha Mélesville'a, z 1834. [przypis edytorski]

⁶⁶⁴*Wesele Figara* — opera komiczna z 1786, z muzyką Wolfganga Amadeusza Mozarta i librettem Lorenza Da Ponte na podstawie sztuki Pierre'a Beaumarchais'go. [przypis edytorski]

⁶⁶⁵*Diamenty korony* — fr. *Les diamants de la couronne*, opera komiczna francuskiego kompozytora Daniela Aubera z librettem Eugène'a Scribe'a, z 1841. [przypis edytorski]

⁶⁶⁶uwielbiam Balzaca, *Bal w Sceaux*, *Mobikanie Paryża* — *Bal w Sceaux* jest jednym z najbliższych drobiazgowów Balzaca, *Mobikanie Paryża* nie są Balzaca [to powieść Aleksandra Dumasa, wydawana w odcinkach w latach 1854–1859; red. WL]. [przypis tłumacza]

Utwór z pierwszej epoki poety, bliższy może pani Deshoulières⁶⁶⁸ niż Wiktora Hugo z *Legendy wieków*⁶⁶⁹. Daleki od tego, aby uważać panią d'Arpajon za śmieszna, ujrzałem ją (ją pierwszą przy tym stole, tak realnym, tak banalnym, gdzie usiadłem z takim rozczarowaniem), ujrzałem ją — oczami ducha — w koronkowym czepeczku, z którego wymykają się kręte pukle, jak je nosiły panie de Rémusat⁶⁷⁰, de Broglie⁶⁷¹, de Saint-Aulaire⁶⁷², wszystkie niepospolite kobiety, które w swoich uroczych listach tak uczenie i tak dorzecznie cytują Sofoklesa⁶⁷³, Schillera⁶⁷⁴ i *Naśladowanie Chrystusa*⁶⁷⁵, ale w których pierwsze poezje romantyków budziły owo przerażenie i znużenie, o jakie przyprawiały moją babkę ostatnie wiersze Mallarmégo⁶⁷⁶.

— Pani d'Arpajon bardzo kocha poezję — rzekła do pani de Guermantes księżna Parmy, uderzona zapalem tej apostrofy⁶⁷⁷.

— Nie, nie rozumie się na niej absolutnie nic — odparła cicho pani de Guermantes, która skorzystała z tego, że pani d'Arpajon, odpowiadając na jakieś obiekcje generała de Beautreillis, zbyt była zajęta własnymi słowami, aby słyszeć to, co szepcze Oriana. — Robi się literatką, odkąd została na lodzie. Powiem waszej wysokości, że to ja dźwigam ciężar tego wszystkiego, bo ona przychodzi płakać na moim łonie za każdym razem, kiedy Błażej nie był u niej, to znaczy prawie co dzień. Ostatecznie, to nie jest moja wina, jeżeli ona go nudzi; nie mogę go zmusić, żeby do niej chodził, mimo iż wolałabym raczej, żeby był jej trochę wierniejszy, bo wówczas widywałam ją trochę mniej. Ale ona go nudzi i nie ma w tym nic dziwnego. To nie jest zła osoba, ale jest nudna w stopniu, o jakim księżna nie może mieć pojęcia. Przyprawia mnie codziennie o takie bóle głowy, że za każdym razem muszę brać proszek piramidonu. A wszystko dlatego, że Błażewi przyszło do głowy zdradzać mnie z nią w ciągu roku. I mieć do tego lokaja, który zakochał się w podfruwajce i stroi miny, kiedy nie prosi tej młodej osoby, aby porzuciła na chwilę swój rentowny trotuar i przyszła do mnie na herbatę. Och, życie jest rozpaczliwe — zakończyła smętnie Oriana.

Pani d'Arpajon męczyła zwłaszcza księcia de Guermantes dlatego, że był od niedawna kochankiem innej; dowiedziałem się, że ową inną jest margrabina Surgis-le-Duc. Właśnie ów lokaj pozbawiony wychodnego podawał przy stole. I pomyślałem, że, jeszcze widać smutny, usługuje bardzo niepewnie, bo zauważyłem, że kiedy podawał panu de Châtellerault, wywiązywał się tak niezręcznie z zadania, że łokieć księcia kilka razy potrącił łokieć służącego. Młody książę nie pognewał się bynajmniej na rumieniącego się

⁶⁶⁷ *Lorsque l'enfant paraît...* (fr.) — Kiedy zjawia się dziecko, krąg rodzinny wiwatuje głośnie krzykami; początek wiersza *Kiedy zjawia się dziecko* z wczesnego tomu poezji Wiktora Hugo *Liście jesienne* (*Les Feuilles d'automne*, 1831). [przypis edytorski]

⁶⁶⁸ Deshoulières a. Des Houlières, Antoinette du Ligier de la Garde (1638–1694) — poetka francuska, autorka listów, znana jako pani Deshoulières (*Madame Deshoulières*), dla odróżnienia od swojej córki Antoinette-Thérèse Deshoulières (1659–1718), także poetki, określanej jako panna Deshoulières (*Mademoiselle Deshoulières*). [przypis edytorski]

⁶⁶⁹ *Legenda wieków* — poemat Wiktora Hugo, pisany w latach 1855–1876, który w planach autora miał opisywać całą historię ludzkości, postępu cywilizacyjnego i przemian społecznych. [przypis edytorski]

⁶⁷⁰ Rémusat, Claire Élisabeth Jeanne Gravier de Vergennes de (1780–1821) — francuska pisarka i pamiętnikarka, dama dworu cesarzowej Józefiny. [przypis edytorski]

⁶⁷¹ Broglie, Albertine de (1797–1838) — córka pani de Staël, francuskiej publicystki i powieściopisarki, żona polityka Achillesa Charles'a de Broglie. [przypis edytorski]

⁶⁷² pani de Saint-Aulaire — Louise Charlotte Victoire de Grimoard de Beauvoir du Roure de Beaumont-Brison (1791–1874), która w 1806 poślubiła Louis-Clair de Beaupoila, hrabiego de Saint-Aulaire (1778–1854), szambelana Napoleona i członka Akademii Francuskiej (1841); autorka pamiętników wyd. w 1875. [przypis edytorski]

⁶⁷³ Sofokles (496–406 p.n.e.) — jeden z trzech największych tragiczków greckich. [przypis edytorski]

⁶⁷⁴ Schiller, Friedrich (1759–1805) — czołowy niemiecki poeta, dramatopisarz, teoretyk sztuki; przyjaciel Goethego; początkowo przedstawiciel preromantycznego nurtu burzy i naporu (niem. *Sturm und Drang*), później tworzył w stylu klasycznym; znany z dramatu historycznego (np. *Dziewica Orleańska*) i romantycznych ballad (np. *Rękawiczka*), a także z *Ody do radości* (1785). [przypis edytorski]

⁶⁷⁵ *Naśladowanie Chrystusa*, właśc. *O naśladowaniu Chrystusa* (łac. *De imitatione Christi*) — bardzo popularna książka religijna, poradnik życia chrześcijańskiego, napisany ok. 1418–1427, przypisywany Tomaszowi à Kempis. [przypis edytorski]

⁶⁷⁶ Mallarmé, Stéphane (1842–1898) — francuski poeta, krytyk literacki, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli symbolizmu, uważany za prekursora liryki współczesnej. [przypis edytorski]

⁶⁷⁷ *apostrofa* (z gr.) — tu: przemówienie do kogoś lub przeciw komuś. [przypis edytorski]

lokaja; przeciwnie, popatrzył na niego ze śmiechem swymi jasnoblękitnymi oczami. Ten dobry humor zdawał mu się dowodem dobroci. Ale uporczywość jego śmiechu kazała mi przypuszczać, że, świadomy goryczy służącego, czuje może, przeciwnie, złośliwą radość.

— Ależ, moja droga, wiesz, że to, co nam powiadasz o Wiktorze Hugo, to nie jest odkrycie — ciągnęła Oriana, zwracając się tym razem do pani d'Arpajon, która obróciła głowę z dosyć niespokojną miną. — Nie licz na ten zaszczyt, że lansujesz debiutanta. Wszyscy wiedzą, że on ma talent. Co jest okropne, to Wiktor Hugo z ostatnich lat, *Legenda wieków*, nie wiem już tytułów. Ale w *Jesiennych liściach*, w *Pieśniach zmierzchu* to jest często poeta, prawdziwy poeta. Nawet w *Kontemplacjach* — dodała księżna, której obecni nie śmieli przeczyć (i mieli po temu powody!) — są jeszcze ładne rzeczy. Ale przyznaję, że wolę już nie zapuszczać się w to po *Zmierzchu*! A przy tym w pięknych poezjach Wiktora Hugo, a są takie, spotyka się często myśl, nawet głęboką myśl.

I ze szczerym poczuciem, całą siłą intonacji uwypuklając melancholijną myśl, wyodrębniając ją niejako ze swego głosu i wlepiając przed siebie marzące i urocze spojrzenie, księżna powiedziała wolno:

— O, na przykład:

Ból to owoc, Bóg tego owocu nie rodzi
Na gałęzi zbyt wężej jeszcze, by mu sprostać...⁶⁷⁸

albo to:

Umarli trwają krótko, krótko,
Niestety, w trumnie w pył się rozsypują
Mniej szybko niż w naszych sercach!⁶⁷⁹

I z uśmiechem rozczarowania, marszczącym wdzięcznie jej bolesne usta, księżna zwróciła na panią d'Arpajon marzące spojrzenie jasnych i czarujących oczu. Zaczynałem znać te oczy, zarówno jak jej głos, wlokący się tak ociężale, tak cierpko soczysty. W tych oczach i głosie odnajdywałem wiele z przyrody Combray. Z pewnością w afektacji, z jaką ten głos uwydatniał chwilami szorstkość ziemi, było wiele rzeczy: czysto prowincjonalne pochodzenie tej gałęzi Guermantów, która pozostała dłużej lokalna, śmielszej, dzikszej, bardziej wyzywającej; następnie nawyk ludzi naprawdę dystygowanych i inteligentnych, świadomych, że dystynkcja nie polega na cedzeniu słówek; a równocześnie coś z wielkich panów, chętniej fraternizujących ze swymi chłopami niż z mieszczaństwem. Królewskie stanowisko, jakie miała pani de Guermantes, łatwiej pozwoliło jej dawać wyraz tym cechom, podkreślać je. Zdaje się, że ten sam głos miały jej siostry, których nie cierpiała i które, mniej inteligentne i wydane za mąż prawie po mieszczańsku — jeżeli można się posłużyć tym przysłówkiem, gdy chodzi o pokątną arystokrację zagrzebaną gdzieś na prowincji albo w Paryżu w szarzynach Faubourg Saint-Germain — miały również ten głos, ale poskromiły go, poprawiły, złagodziły, ile mogły. Tak rzadko się zdarza, aby człowiek miał odwagę swojej oryginalności i nie siłił się upodobnić do najbardziej renomowanych wzorów! Ale Oriana była o tyle inteligentniejsza, bogatsza, zwłaszcza modniejsza od siostr, tak dobrze umiała, jako księżna des Laumes, zmienić swój salon w kwaterę księcia Walii, iż zrozumiała, że te dysonanse jej głosu stanowią urok. Z całą odwagą oryginalności i sukcesu zrobiła w wielkim świecie z tego głosu to, co w teatrze jakaś Réjane⁶⁸⁰ lub Jeanne Granier⁶⁸¹ (nie zestawiam tu zresztą wartości i talentu tych dwóch artystek) zrobiły ze swego; coś cudownego i odrębnego, co może siostry pań Réjane i Granier — na wieki nieznanne nikomu — próbowały pokryć jako wadę.

⁶⁷⁸ *Ból to owoc, Bóg tego owocu nie rodzi...* — Wiktor Hugo, *Les contemplations* (Kontemplacje). [przypis edytorski]

⁶⁷⁹ *Umarli trwają krótko, krótko...* — Wiktor Hugo, *À un voyageur* (Do podróżnego) z tomu poezji Wiktora Hugo *Les Feuilles d'automne* (Liście jesienne, 1831). [przypis edytorski]

⁶⁸⁰ *Réjane, Gabrielle* (1856–1920) — jedna z najpopularniejszych francuskich aktorek początku XX w. [przypis edytorski]

⁶⁸¹ *Granier, Jeanne* (1853–1939) — francuska piosenkarka i aktorka, jedna z największych gwiazd muzyki w Paryżu. [przypis edytorski]

Do tyłu źródeł jej lokalnej oryginalności ulubieni pisarze pani de Guermantes — Mérimée⁶⁸², Meilhac⁶⁸³ i Halévy⁶⁸⁴ — dodali, wraz z kultem prostoty, pasję prozajizmu, w której Oriana sięgała poezji, oraz czysto towarzyską swadę, która wskrzeszała dla mnie krajobrazy. Zresztą, bogacąc te wpływy inwencją artystki, księżna umiała dobrać dla większości słów wymowę, która jej się zdawała najbardziej „Ile-de-France”, najbardziej „Champagne”. Mimo iż nie tak całkowicie jak jej bratowa Marsantes, posługiwała się prawie wyłącznie czystym słownictwem, którego mógłby użyć stary autor francuski. I kiedy się było zmęczonym komplikacją i pstrokacizną współczesnej gwary, doznawało się — mimo iż wiedząc, że to słownictwo jest znacznie uboższe — uczucia wypoczynku, słuchając pani de Guermantes. Kiedy się z nią było sam na sam i kiedy ona jeszcze zwęzła i klarowała swój strumyczek, miało się to samo uczucie, co kiedy się słucha starej piosenki. Wówczas, patrząc na panią de Guermantes, słuchając jej, widziałem — uwięzione w wiekuistym i spokojnym popołudniu jej oczu — błękitne niebo Ile-de-France lub Szampanii, nachylone pod tym samym kątem co u Roberta de Saint-Loup.

Tak więc w tych różnych formacjach pani de Guermantes wyrażała równocześnie najstarszą feudalną Francję; następnie — o wiele później — sposób, w jaki księżna de Broglie mogłaby chwalić i ganić Wiktora Hugo za monarchii lipcowej⁶⁸⁵; wreszcie żywe poczucie literackie zrodzone z Mérimée’go i Meilhaca. Pierwsza z tych formacji bardziej mi się podobała od drugiej, lepiej mogła mi wynagrodzić zawody podróży i przybycia do tego Faubourg Saint-Germain, tak odmiennego od moich nadziei; ale wołałem jeszcze drugą od trzeciej. Otóż, o ile pani de Guermantes była Guermantes prawie mimo woli, jej „pailleronizm”⁶⁸⁶, jej admiracja dla Dumasa-syna⁶⁸⁷ były rozmyślnie i dobrowolne. Ponieważ ten smak był całkowicie sprzeczny z moim, księżna zasilala moją inteligencję literacko, kiedy mówiła o Faubourg Saint-Germain, nigdy zaś nie wydawała mi się równie głupio „Faubourg Saint-Germain”, co kiedy mówiła o literaturze.

Wzruszona ostatnimi wierszami, pani d’Arpajon wykrzyknęła:

Serca relikwie też mają swe prochy!⁶⁸⁸

— Musi mi to książkę wypisać na wachlarzu — rzekła do pana de Guermantes.
 — Biedna kobieta, żal mi jej! — szepnęła księżna Parmy do pani de Guermantes.
 — Nie, niech się księżna nie rozczula; ma tylko to, na co zasłużyła.
 — Ale... przepraszam, że tobie to mówię... ale ona go naprawdę kocha!
 — Ale wcale nie, niezdolna jest do tego; myśli, że kocha, tak jak myśli w tej chwili, że cytuje Wiktora Hugo, dlatego że przytoczyła wiersz Musseta. Och — dodała księżna melancholijnym tonem — nikt bardziej ode mnie nie wzruszyłby się prawdziwym uczuciem. Ale ja dam księżnej przykład. Wczoraj zrobiła Błażejowi straszliwą scenę. Wasza wysokość myśli może, że to dlatego, że on kocha inną, że już nie kocha jej; wcale nie: dlatego, że nie chce przedstawić jej synów do Jockey Clubu! Czy wasza wysokość sądzi, że tak postępuje kochająca kobieta? Nie, ja powiem więcej — zakonkludowała pani de Guermantes — to jest osoba o rzadkim braku serca.

Tymczasem pan de Guermantes z okiem błyszczącym radością słuchał, jak żona mówi *ex abrupto*⁶⁸⁹ o Wiktorze Hugo i cytuje zeń parę wierszy. Mimo iż Oriana drażniła go często, w takich chwilach był z niej dumny. „Oriana jest doprawdy nadzwyczajna. Może

⁶⁸²Mérimée, Prosper (1803–1870) — francuski dramaturg, pisarz. [przypis edytorski]

⁶⁸³Meilhac, Henri (1831–1897) — francuski dramaturg i librecista. [przypis edytorski]

⁶⁸⁴Halévy, Ludovic (1834–1908) — francuski pisarz, członek Akademii Francuskiej, autor sztuk teatralnych i librett operetkowych, współpracował z Henrim Meilhakiem. [przypis edytorski]

⁶⁸⁵monarchia lipcowa (1830–1848) — monarchia konstytucyjna we Francji za panowania króla Ludwika Filipa I, okres od obalenia Karola X przez rewolucję lipcową i ogłoszenia Ludwika Filipa królem Francuzów do rewolucji lutowej, która wprowadziła ustrój republikański. [przypis edytorski]

⁶⁸⁶pailleronizm (neol.) — cechy typowe dla twórczości Edouarda Paillerona (1834–1899), francuskiego poety i dramatopisarza, autora satyrycznych komedii obyczajowych, m.in. bardzo popularnej sztuki *Le Monde où l’on s’ennuie* (1881), wyśmiewającej klasę wyższą. [przypis edytorski]

⁶⁸⁷Dumas, Alexandre, syn (1824–1895) — francuski pisarz, członek Akademii Francuskiej, autor powieści obyczajowych, komedii moralistycznych. [przypis edytorski]

⁶⁸⁸Serca relikwie też mają swe prochy! — Alfred de Musset, *La Nuit d’octobre* (Noc październikowa). [przypis edytorski]

⁶⁸⁹ex abrupto (łac.) — bez przygotowania, od razu, nagle. [przypis edytorski]

mówić o wszystkim, wszystko czytała. Nie mogła przecież zgadnąć, że rozmowa zejdzie dziś na Wiktora Hugo. Na jaki bądź temat ją zagadnąć, gotowa jest; może stawić czoło najuczciwszym. Ten młody człowiek musi być olśniony”.

— Ale odmieńmy rozmowę — szepnęła pani de Guermantes do księżnej Parmy — bo ona jest strasznie podejrzliwa. Musi mnie pan znajdować bardzo niemodną — rzekła, zwracając się do mnie — ja wiem, że to dziś uchodzi za słabość kochać w poezji idee, poezję, w której jest myśl.

— Niemodne? — rzekła księżna Parmy z lekkim dreszczykiem, o jaki ją przyprawiała ta nowa fala, której się nie spodziewała, mimo iż wiedziała, że rozmowa Oriany gotuje jej zawsze te kolejne i rozkoszne uderzenia, te zapierające oddech wstrząsy, to zdrowe znużenie, po których instynktownie przychodziła jej ochota na kąpiel nożną i na szybki spacer „dla wywołania reakcji”.

— Co się mnie tyczy, nie, Oriano — rzekła pani de Brissac — ja nie mam pretensji do Wiktora Hugo, że ma idee, przeciwnie; raczej o to, że ich szuka w tym, co jest potworne. W gruncie rzeczy to nas przyzwyczaił do szpetoty w literaturze. Dostatek już jest brzydkich rzeczy w życiu. Czemu nie zapomnieć o nich bodaj wówczas, gdy czytamy? Przykry widok, od którego odwróciłibyśmy oczy w życiu, oto, co pociąga Wiktora Hugo.

— Wiktor Hugo nie jest przecież tak realistyczny jak Zola? — spytała księżna Parmy.

Nazwisko Zoli nie poruszyło ani jednego mięśnia w twarzy pana de Beautreillis. Antydreyfusizm generała był zbyt głęboki, aby czuł potrzebę wypowiedzania się. I życzliwe milczenie generała, kiedy ktoś poruszył owe tematy, ujmowało profanów tą samą delikatnością, jaką okazuje ksiądz, nie mówiąc nam o obowiązkach religijnych, finansista starający się nie zachwalać interesów, które prowadzi, siłacz okazując się łagodnym i nie częstując nas pięścią.

— Wiem, że pan jest krewny admirała Jurien de la Gravière⁶⁹⁰ — rzekła do mnie ze świadomą miną pani de Varambon, dama dworu księżnej Parmy, kobieta zacna, ale ograniczona, ulokowana u księżnej Parmy niegdyś przez matkę pana de Guermantes. To były jej pierwsze słowa do mnie; i nigdy później, mimo upomnień księżnej Parmy i własnych moich protestów, nie mogłem jej wytłumaczyć, że nie mam absolutnie nic wspólnego z admirałem-akademikiem, którego nawet nie znałem. Upór tej damy dworu, aby we mnie widzieć bratanka admirała, miał coś komicznego. Ale błąd jej był jedynie krańcowym i schematycznym typem tylu lżejszych, delikatniejszych, mimowolnych lub rozmyślnych błędów towarzyszących naszemu nazwisku w „fiszce”, jaką świat z nas sporządza. Przypominam sobie, że pewien przyjaciel Guermantów, objawiwszy żywą chęć poznania mnie, podał mi jako przyczynę fakt, że ja bardzo dobrze znam jego kuzynkę, panią de Chaussegros: „Uroczą jest, przepada za panem”. Przez czczy zaiste skrupułem czułem się w obowiązku stwierdzić, że zachodzi pomyłka, że ja nie znam pani de Chaussegros. „W takim razie zna pan jej siostrę, to na jedno wychodzi. Spotkała pana w Szkocji”. Nigdy nie byłem w Szkocji i przez uczciwość starałem się to daremnie wytłumaczyć owemu panu. To sama pani de Chaussegros powiedziała mu, że mnie zna, i wierzyła w to z pewnością szczerze, na skutek jakiejś pierwotnej omyłki, bo zawsze wyciągała do mnie rękę, ilekroć mnie spotkała. Że zaś w sumie świat, w którym bywałem, był ten sam, co świat pani de Chaussegros, pokora moja była ni w pięć, ni w dziewięć. To, że żyłem blisko z Chaussegrosami, było omyłką; ale z towarzyskiego punktu widzenia było ekwiwalentem mojej sytuacji, o ile można mówić o „sytuacji” tak młodego człowieka, jakim byłem wówczas. Mimo zatem iż przyjaciel Guermantów opowiadał o mnie same rzeczy fałszywe, nie obniżył mnie ani mnie nie wywyższył (ze światowego punktu widzenia) w pojęciu, jakie nadal sobie tworzył o mnie.

W sumie dla tych, co nie grają w teatrze, nuda pędzenia życia wciąż w jednej osobowości rozprasza się na chwilę — tak jakby się wstąpiło na deski sceniczne — kiedy inna osoba stworzy sobie o nas fałszywe pojęcie, uwierzy, że jesteśmy blisko z jakąś damą, której wcale nie znamy, i że stwierdzone jest, żeśmy ją poznali w czasie ślicznej podróży, którejśmy nigdy nie odbyli. Takie błędy bogacą życie, uroczą są, o ile nie posiadają niewzruszonej sztywności błędu, jaki popełniała i miała popełniać całe życie idiotyczna

⁶⁹⁰Jurien de La Gravière, Edmond (1812–1892) — francuski admirał, autor obszernych prac dotyczących historii marynarki wojennej; członek Akademii Francuskiej (1866). [przypis edytorski]

dama dworu księżnej Parmy, skostniała na zawsze w przeświadczeniu, że ja jestem krewnym nudnego admirała Jurien de la Gravière.

— Ona nie jest zanadto mądra — rzekł do mnie książę — a przy tym nie trzeba jej zbyt wielu libacji, sądzę, że jest leciutko pod znakiem Bachusa⁶⁹¹.

W rzeczywistości pani de Varambon piła tylko wodę, ale książę lubił lokować swoje ulubione wyrażenia.

— Ależ, wasza wysokość, Zola nie jest realistą, to poeta! — rzekła pani de Guermantes, czerpiąc natchnienie i w studiach krytycznych, czytanych w ciągu ostatnich lat, i zaprawiając je osobistym akcentem.

Księżna Parmy, przyjemnie wstrząsana dotąd, w czasie pełnej wzruszeń kąpieli duchowej, jaką brała tego wieczora, uważając ją dla siebie za szczególnie zbawienną, dając się nieść paradoksom, które rozbryzgiwały się jeden po drugim, tu, wobec tego paradoksu potworniejszego od innych, aż skoczyła z obawy, aby jej fala nie przewróciła. I przerywanym głosem, tak jakby traciła oddech, rzekła:

— Zola poetą!

— Ależ tak — rzekła, śmiejąc się księżna, uszczęśliwiona tą zadyszka. — Niech wasza wysokość zauważy, jak on wyolbrzymia wszystko, czego dotknie. Powie mi księżna, że on dotyka jedynie tego, co... przynosi szczęście! Ale robi z tego coś olbrzymiego: to epik gnojówki, Homer kloaki! Nigdy mu dość wielkich liter, aby wypisać słowo generała Cambronne⁶⁹².

Mimo ogromnego zmęczenia, jakie zaczynała odczuwać, księżna Parmy była zachwycona; nigdy się nie czuła lepiej. Tych boskich obiadów, które pani de Guermantes uczyniła czymś tak tonizującym od nadmiaru soli, nie oddałaby za pobyt w Schönbrunn⁶⁹³, jedyną rzecz, która jej pochlebiała.

— Pisz je przez wielkie „C” — wykrzyknęła pani d’Arpajon.

— Raczej, sądzę, przez wielkie „G”, kochanie — odparła pani de Guermantes, wymieniając równocześnie z mężem wesołe spojrzenie, mające znaczyć: „Czy nie idiotka?” — O właśnie — rzekła do mnie pani de Guermantes, darząc mnie uśmiechniętym i słodkim spojrzeniem, i dlatego że jako doskonała gospodyni domu chciała okazać swoją wiedzę w przedmiocie artysty, który mnie szczególnie interesował, i aby mi dać w potrzebie sposobność okazania mojej wiedzy — o — rzekła, poruszając lekko wachlarzem z piór, tak była świadoma w tej chwili, że wykonuje w całej pełni obowiązki gościnności, i aby nie chybić żadnemu z nich, dała znak, aby mi jeszcze raz podano szparagi *sauce mousseline*⁶⁹⁴ — o, zdaje mi się, że właśnie Zola napisał studium o Elstirze, tym malarzu, którego obrazy oglądał pan przed chwilą; jedyne zresztą obrazy tego malarza, które lubię — dodała.

W rzeczywistości księżna Oriana nie cierpiała malarstwa Elstira; ale uważała za cenne i jedyne wszystko, co się znajdowało w jej domu. Spytałem pana de Guermantes, czy zna nazwisko owego pana figurującego w cylindrze na zabawie ludowej: utożsamilem go z panem, którego Guermantowie posiadali tuż obok wielki portret, datujący się mniej więcej z tej samej epoki, kiedy indywidualność Elstira nie wyraziła się jeszcze całkowicie i pozostawała nieco pod wpływem Maneta.

— Mój Boże — odparł — wiem, że to jest człowiek do pewnego stopnia znany i niepozbawiony talentu w swojej specjalności, ale doprawdy nie mam pamięci do nazwisk. Mam go na końcu języka; pan... pan... ostatecznie, pał sześć, nie pamiętam. Swann by to panu powiedział; to Swann namówił moją żonę na kupno tych rzeczy, a Oriana jest zawsze zbyt uprzejma, zanadto się boi urazić kogoś, jeżeli odmówi; mówiąc między nami, sądzę, że kochany Swann ubrał nas w tęgie knoty. Tyle mogę panu powiedzieć, że ten jegomość był dla Elstira czymś w rodzaju mecenasa, lansował go i niejedną raz wydobyl go z tarapatów, zamawiając u niego płótna. Przez wdzięczność (jeżeli pan to nazwie

⁶⁹¹Bachus (mit. rzym.) — bóg winnej latorośli i wina. [przypis edytorski]

⁶⁹²Cambronne, Pierre (1770–1842) — francuski generał wojen napoleońskich; wg tradycji podczas bitwy pod Waterloo na propozycję poddania się miał odpowiedzieć: „Gwardia umiera, ale nie się poddaje”, według innej wersji odpowiedział jednym wulgarnym słowem: „Merde”, tj. „gówno”; we Francji funkcjonuje do dziś określenie *mot de Cambronne* (słowo Cambronne’a). [przypis edytorski]

⁶⁹³Schönbrunn — pałac wraz z parkiem w Wiedniu, powstały na przełomie XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

⁶⁹⁴*sauce mousseline* (fr.) — sos muslinowy: sos holenderski (emulsja żółtek jaj i masła) z dodatkiem bitej śmietany; podawany do szparagów. [przypis edytorski]

wdzięcznością, to zależy od gustu) malarz wpakował go w ten interes, gdzie wystrojony jak łyk na niedzielę, robi dosyć zabawne wrażenie. To może być bardzo tęgi fachowiec, ale najoczywiściej nie wie, w jakich okolicznościach wkłada się cylinder. Sam jeden w tym cylindrze, pośród tych wszystkich dziewcząt bez kapeluszy, robi wrażenie prowincjonalnego rejenta, który się puszcza. Ale ja widzę, że pan jest bardzo bity w tych obrazach. Gdybym wiedział, byłbym się i ja obkuł, żeby panu móc stawiać czoło. Zresztą, dla zgłębienia malarstwa pana Elstir nie ma co się zapuszczać tak głęboko, co gdyby chodziło o *Źródło Ingresy* lub o *Dzieci Edwarda* pana Delaroche⁶⁹⁵. Ot, można przyznać, że to jest zręcznie pochwycone, sprytnie, paryskie i... do widzenia! Nie ma potrzeby być erudytą⁶⁹⁶, aby to oglądać. Wiem, że to są proste szkice, ale nie wydaje mi się, aby to było dość wypracowane. Swann miał ten tupet, że chciał nam wmówić jakąś *Wiązkę szparagów*. Stały nawet tutaj te szparagi przez kilka dni. Było na obrazie tylko tyle: wiązka szparagów, ściśle podobna do tych, które właśnie pan łyka. Ale ja nie połknąłem szparagów pana Elstir. Żądał za nie trzysta franków. Trzysta franków wiązka szparagów! Jednego ludwika, oto co mogą być warte, nawet jako nowalia! To był za gruby kawał. A skoro do tych rzeczy dodaje figury, osoby, nabiera to jakiegoś akcentu gminnego, pesymistycznego, którego nie lubię. Dziwi mnie, że człowiek tak subtelny, umysł tak wyborny jak pański, ceni te rzeczy.

— Doprawdy nie wiem, czemu ty to mówisz, Błażeju — rzekła księżna, która nie lubiła, aby deprecjonowano coś, co się mieściło w jej salonach. — Daleka jestem od uznawania bez różnicy wszystkiego w obrazach Elstira. Trzeba umieć wybierać. Ale to nie zawsze jest bez talentu. I trzeba przyznać, że te rzeczy, które ja kupiłam, są rzadkiej piękności.

— Oriano, w tym rodzaju wolę tysiąc razy małe studium pana Vibert⁶⁹⁷, któreśmy oglądali na wystawie akwarelistów. To drobiazg, przyznaję, zmieściłby się w tej dłoni, ale jest w tym sens, myśl! Ten misjonarz chudy jak szkielec, brudny, obok tego tłusciutkiego pralata, który bawi się z piaskiem, to cały poemacik finezji, nawet głębi.

— Zdaje się, że pan zna pana Elstir — rzekła do mnie księżna. — Jako człowiek jest miły.

— Nawet inteligentny — rzekł książę. — Kiedy się z nim rozmawia, człowiek dziwi się, że jego malarstwo jest takie proste.

— Jest więcej niż inteligentny, jest nawet wcale dowcipny — rzekła księżna z wyrazem smakosza.

— Czy nie zaczął twojego portretu, Oriano? — spytała księżna Parmy.

— Tak, na czerwono *à la rak* — odparła pani de Guermantes. — Ale nie to przekaże jego imię potomności. To ohyda, Błażej chciał to zniszczyć.

Zdanie to powtarzała pani de Guermantes często. Ale kiedy indziej sąd jej bywał inny. „Nie lubię jego malarstwa, ale swego czasu zrobił mój ładny portret”. Jeden z tych sądów zwracał się zwykle do osób, które wspominały księżnej o jej portrecie, drugi do osób, które jej o nim nie mówiły, a które chciała powiadomić o jego istnieniu. Pierwszy jej sąd rodziła kokieteria, drugi próżność.

— Zrobić ohydę z twojego portretu! Ależ w takim razie to nie portret, to kłamstwo: ja, która ledwie umiem trzymać pędzel w ręce, mam wrażenie, że gdybym cię malowała, po prostu oddając to, co widzę, zrobiłabym arcydzieło — rzekła naiwnie księżna Parmy.

— Widzi mnie zapewne tak, jak ja widzę siebie, to znaczy wyprutą z wdzięku — rzekła pani de Guermantes ze spojrzeniem zarazem melancholijnym, skromnym i przymilnym, najspodobniejszym, aby ją pokazać inną, niż to uczynił Elstir.

— Ten portret musi się dosyć podobać pani de Gallardon — rzekł książę.

— Dlatego że się nie zna na malarstwie? — spytała księżna Parmy, która wiedziała, że Oriana ma liche pojęcie o kuzynce. — Ale to dobra kobieta, nieprawdaż?

Książę de Guermantes przybrał wyraz głębokiego zdumienia.

— Ależ, Błażeju, czy nie widzisz, że jej wysokość żartuje sobie z ciebie (jej wysokości ani się śniło). Wie równie dobrze jak ty, że Gallardonka to stara żmija — odparła

⁶⁹⁵Delaroche, Paul (1797–1856) — francuski malarz, przedstawiciel akademizmu. [przypis edytorski]

⁶⁹⁶erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową. [przypis edytorski]

⁶⁹⁷Vibert, Jehan Georges (1840–1902) — francuski malarz akademicki. [przypis edytorski]

pani de Guermites, której słownik, zazwyczaj ograniczony do wszystkich tych antycznych wyrażen, był smaczny jak owe dostępne w rozkosznych książkach Pampille⁶⁹⁸, ale w rzeczywistości dziś tak rzadkie potrawy, gdzie auszpik, masło, sok z mięsa, pulpety są autentyczne, bez żadnej podejrzonej domieszki, a nawet sól sprowadza się ze słonych bagien Bretanii; z akcentu, z doboru słów czuło się, że grunt rozmowy księżnej pochodzi wprost z Guermites. Przez to księżna różniła się głęboko od swego siostrzeńca Saint-Loup, zarażonego tyłoma nowymi pojęciami i wyrażeniami; trudno jest, kiedy się jest zmaconym ideami Kanta i nostalgią Baudelaire'a⁶⁹⁹, pisać wyborną francuszczyzną z czasu Henryka IV, tak iż sama czystość mowy księżnej była znakiem ograniczenia oraz tego, że inteligencja i wrażliwość pozostały w niej zamknięte dla wszystkich nowości. Umysłowość pani de Guermites podobała mi się i przez to, co wykluczała (a co było właśnie substancją mojej własnej myśli), i przez to wszystko, co właśnie z tej przyczyny mogła zachować, tę powabną krzepkość gibkiego ciała, której nie skaziła żadna wyczerpująca refleksja, żadna troska moralna ani zaburzenie nerwowe. Dusza jej, formacją o tyle dawniejsza od mojej, była dla mnie czymś bliskim tego, co mi dał chód dziewcząt z „małej bandy” nad brzegiem morza. Pani de Guermites ukazywała mi — obłaskawione i ujarzmione przez uprzejmość, przez kult walorów duchowych — energię i wdzięk okrutnej dziewczynki wielkiego rodu z okolic Combray, która od dzieciństwa dosiadała konia, łamała krzyże kotom, wylupiała oczy królikom i równie dobrze jak została kwiatem cnoty, mogła (tak dalece posiadała ten sam typ elegancji) zostać, sporo lat przedtem, najświetniejszą kochanką księcia de Sagan⁷⁰⁰. Ale niezdolna była pojąć, czego w niej szukałem — uroku nazwy „Guermites” — i tej prowincjonalnej resztki Guermites, którą w niej znalazłem. Nasze stosunki wspierały się na nieporozumieniu, które musiałyby się ujawnić, z chwilą gdy moje hołdy zamiast się zwracać do kobiety stosunkowo wyższej, za jaką uważała się księżna, skierowałyby się do jakiejś innej, równie miernej, a wydzielającej ten sam bezwiedny czar. To tak naturalne nieporozumienie zawsze będzie istniało między młodym marzycielem a światową kobietą; ale jest mu ono bolesne, dopóki jeszcze nie pojął charakteru swojej wyobraźni i nie pogodził się z nieuniknionymi zawodami, jakich musi doznawać w stosunkach z ludźmi, podobnie jak w teatrze, w podróży, nawet w miłości.

Pan de Guermites oświadczył (dalszy ciąg szparagów Elstira i tych, które właśnie podano po kurczętach *financière*), że szparagi zielone, wyrosłe na powietrzu i — jak zabawnie powiedział uroczy autor podpisujący się: „E. de Clermont-Tonnerre”⁷⁰¹ — „nie-mające niepokojącej sztywności swoich braci”, powinno się jeść z jajkami.

— To, co się podoba jednym, nie podoba się drugim, i *vice versa* — odparł pan de Bréauté. — W prowincji Kantonu w Chinach nie mogą wam ofiarować delikatniejszej uczy niż kompletnie zgniłe jajka ortolana⁷⁰².

Pan de Bréauté, autor studium o mormonach⁷⁰³ w „Revue des Deux Mondes”, był jedynie w najwyższej arystokracji, ale wśród niej był jedynie w sferach posiadających pewną renomę inteligencji. Tak iż po jego wizytach (przynajmniej częstych) u jakiejś kobiety poznawało się, czy ona ma „salon”. Utrzymywał, że nie cierpi świata, i zapewniał oddzielnie każdą diuszese, że jeżeli szuka jej towarzystwa, to dla jej inteligencji i urody. Wszystkie były o tym przekonane. Za każdym razem kiedy, z rozpaczą w duszy, decydował się iść na wielki raut do księżnej Parmy, zwoływał wszystkie te panie, aby mu dodawały odwagi, tak iż nie pojawiał się inaczej, jak w intymnym kółku. Chcąc, aby reputacja intelektualisty przetrwała jego światowość, stosował pewne zasady „ducha Guermitów”:

⁶⁹⁸ Pampille (pseud.), właśc. *Marthe Allard Daudet* (1878–1960) — autorka książki kucharskiej *Les Bons plats de France. Cuisine régionale* (Dobre dania Francji. Kuchnia regionalna), wyd. w 1913. [przypis edytorski]

⁶⁹⁹ Baudelaire, *Charles* (1821–1867) — francuski poeta, krytyk sztuki, prekursor symbolizmu i poezji nowoczesnej, dekadent; uznawany za jednego z tzw. „poetów przeklętych”; jego twórczość była kontrowersyjna, samego autora oskarżano o niemoralność ze względu na podejmowaną tematykę w swych utworach: dewiacje, rzekome popieranie satanizmu, prostytucja, życie marginesu społecznego itd. [przypis edytorski]

⁷⁰⁰ *Boson de Talleyrand-Périgord, księżę de Sagan (Żagania)* (1859–1937) — słynny francuski salonowiec; w 1858 poślubił Jeanne Scillière (1839–1905), która zasłynęła z wdzięku i wpływów we francuskim życiu towarzyskim XIX w. [przypis edytorski]

⁷⁰¹ *Élisabeth de Gramont, księżna Clermont-Tonnerre* (1875–1954) — francuska pisarka. [przypis edytorski]

⁷⁰² *ortolan* — mały ptak wędrowny z rodziny trznadli. [przypis edytorski]

⁷⁰³ *mormoni* — członkowie wspólnoty religijnej powstałej w poł. XIX w. w Stanach Zjednoczonych w wyniku działalności Josepha Smitha, uznawanego przez wiernych za proroka. [przypis edytorski]

puszczał się na przykład w towarzystwie wytwornych dam w karnawale na długie podróże naukowe; a kiedy jakaś snobka, tym samym osoba niemająca jeszcze sytuacji, zaczynała szeroko „bywać”, wkładał dziki upór w to, aby się z nią nie zapoznać, aby się jej nie dać przedstawić. Nienawiść pana de Bréauté do snobów płynęła z jego snobizmu, ale pozwalała wierzyć naiwnym — to znaczy całemu światu — że jest wolny od tej przywary.

— Babal wie zawsze wszystko! — wykrzyknęła pani de Guermantes. — Uroczy wydaje mi się ten kraj, gdzie ludzie chcą mieć gwarancję, że im mleczarz sprzedaje jajka dostatecznie zgniłe, jajka z roku komety. Widzę się w Chinach, jak w tym maczam swoją bułeczkę z masłem. Muszę powiedzieć, że to się zdarza u ciotki Magdaleny (pani de Villeparisis) podają tam rzeczy kompletnie zgniłe, nawet jajka. (Tu pani d'Arpajon okrzyknęła się). Ależ daj spokój, Fili, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Kurczątka już się lęgnie. Nie wiem nawet, jak one mogą tak grzecznie wysiedzieć. To nie jest omlet, ale kurnik, ale przynajmniej nie mówi się o tym w menu. Dobrześ zrobiła, żeś nie przyszła na obiad przedwczoraj, była tam fładra w formalinie. To już robiło wrażenie nie obiadu, ale kwarantanny. Doprawdy, Norpois posunął wierność aż do heroizmu: dobrał drugi raz!

— Zdaje się, że pana spotkałem tam w dniu, kiedy ona tam wpadła na pana Bloch — pan de Guermantes, może aby dać izraelickiemu nazwisku bardziej cudzoziemski charakter, nie wymawiał w nazwisku Bloch „ch” jak „k”, ale jak w niemieckim *hoch* — gdy oświadczył, nie wiem już o jakim poecie, że jest boski. Daremnie Châtellerault kopał pod stołem pana Bloch; nic nie rozumiał i myślał, że te trącania siostrzeńca przeznaczone są dla jakiejś ładnej kobiety siedzącej obok — tu pan de Guermantes zarumienił się lekko. — Nie zdawał sobie sprawy, że drażni naszą kochaną ciotkę swoimi „boskościami”, rozdawanymi na prawo i lewo. Krótko mówiąc, ciotka Magdalena, która ma ostry języczek, odpaliła Blochowi: „Och, drogi panie, co pan w takim razie zachowa dla pana de Bossuet⁷⁰⁴”. — Pan de Guermantes sądził, że przydatek „pan” oraz „de” przed sławnym nazwiskiem są na wskroś *ancien régime*. — To było nieopłacone!

— A co odpowiedział ów pan Bloch? — spytała z roztargnieniem pani de Guermantes, która nie znajdując pod ręką żadnej oryginalności, czuła się w obowiązku kopiować germańską wymowę męża.

— Och, ręczę ci, że pan Bloch nie czekał na więcej, wziął nogi za pas.

— Ależ tak, przypominam sobie wybornie, że pani widziała owego dnia — rzekła z naciskiem pani de Guermantes, tak jakby ta jej pamięć zawierała coś, co by mi mogło szczególnie pochlebić. — Zawsze jest bardzo interesująco u ciotki. Na ostatnim wieczorze, gdzie pana właśnie spotkałam, chciałam pana spytać, czy ten stary pan, co przeszedł koło nas, to nie był François Coppée⁷⁰⁵? Pan musi znać wszystkie nazwiska — rzekła, szczerze zazdroszcząc mi moich stosunków poetyckich, a także przez uprzejmość, aby tym lepiej „postawić” w oczach swoich gości młodego człowieka tak biegłego w literaturze.

Upewniłem księżnę, że nie widziałem żadnej sławnej twarzy na wieczorze u pani de Villeparisis.

— Jak to! — rzekła nieopatrznie pani de Guermantes, okazując przez to, że jej szacunek dla literatury, a wgarda dla świata są bardziej powierzchowne, niż mówiła, a może nawet, niż sama przypuszczała. — Jak to! Nie było wielkich pisarzy? Zdumiewa mnie pan, były tam przecież facjaty wręcz niemożliwe!

Przypomniałem sobie bardzo dobrze ów wieczór z powodu nader błahego wypadku. Pani de Villeparisis przedstawiła pani Alfonsowej Rotszyldowej⁷⁰⁶ Blocha, który nie dosłyszał jej nazwiska. Sądząc, że ma do czynienia ze starą i trochę pomyloną Angielką, odpowiadał jedynie półsłówkami na obfite wynurzenia eks-piękności; gdy naraz pani de Villeparisis, przedstawiając ją komuś innemu, powiedziała, tym razem bardzo wyraźnie: „baronowa Alfonsowa de Rotszyld”. Wówczas w tętnice Blocha wdarło się nagle i naraz tyle obrazów milionów i stosunków (obrazów, które należałoby rozwaźnie dawkować), że

⁷⁰⁴Bossuet, Jacques-Bénigne (1627–1704) — francuski duchowny katolicki, biskup, teolog, wybitny mówca, wychowawca i nadworny kaznodzieja Ludwika XIV. [przypis edytorski]

⁷⁰⁵Coppée, François (1842–1908) — francuski poeta i dramaturg; członek Akademii Francuskiej (1884). [przypis edytorski]

⁷⁰⁶pani Alfonsowa Rotszyldowa — Leonora de Rothschild (1837–1911), urodzona w Londynie, od 1857 żona swego kuzyna, barona Alphonse'a de Rothschild, przeniósł się do Paryża. [przypis edytorski]

uczul jakby ściśnięcie serca, uderzenie na mózg, i w obecności sympatycznej starej damy wykrzyknął: „Gdybym był wiedział!”. Głupota tego wykrzyknika przyprawiła go o bezsenność przez tydzień. Te słowa Blocha były czymś niezbyt ważnym, ale zapamiętałem je jako dowód, że czasem w życiu pod wpływem wyjątkowego wzruszenia mówi się to, co się myśli.

— Zdaje się, że pani de Villeparisis nie jest osobą bardzo... moralną — rzekła księżna Parmy, która wiedziała, że się nie bywa u ciotki pani de Guermantes, z tego zaś, co sama Oriana natrąciła przed chwilą, odgadła, że można mówić o tej damie swobodnie. Widząc w twarzy pani de Guermantes jakby dezaprobatę, dodała: — Ale inteligencja, kiedy jest tak wysokiej klasy, okupuje wszystko.

— Wasza wysokość tworzy sobie o mojej ciotce pojęcie, jakie ma o niej świat — odparła księżna — pojęcie w sumie bardzo fałszywe. To samo właśnie, nie dalej niż wczoraj, powiedział mi Mémé.

Zarumieniła się, jakies nieznanne mi wspomnienie zamglilo jej oczy. Przyszło mi na myśl, że może pan de Charlus nalegał na księżnę, aby mnie odprosiła, tak jak mnie nakłaniał przez Roberta, abym do niej nie szedł.

Miałem wrażenie, że rumieniec — niezrozumiały zresztą dla mnie — jakim wprzód oblał się książę, mówiąc w pewnej chwili o swoim bracie, nie może płynąć z tej samej przyczyny.

— Moja dobra ciotka — ciągnęła księżna — zachowa reputację osoby *ancien régime*, olśniewającej inteligencji i szalonego zepsucia. Otóż nie ma umysłowości bardziej mieszczkańskiej, poważnej, szarej. Będzie uchodziła za protektorkę sztuki, co znaczy, że była kochanką wielkiego malarza, który nigdy nie zdołał jej wytłumaczyć, co to jest obraz. Co zaś do jej życia, nie tylko nie była osobą zepsutą, ale była tak stworzona do małżeństwa, tak dalece urodziła się połowicą, że nie mogąc zatrzymać męża, który był zresztą wielką kanalia, każdy ze swoich romansów brała równie serio, co gdyby to był legalny związek, z tymi samymi podejrzliwościami, z tymi samymi kwasami i z tą samą wiernością. Zauważcie, że to są czasem najszczerze związki; w sumie jest w świecie więcej niepokieszonych kochanków niż mężów.

— Jednak, Oriano, spójrz na swego szwagra Palamedę, o którym wspomniałaś; nie ma kochanki, która by mogła marzyć o tym, aby być tak opłakiwaną, jak on opłakiwał swoją biedną żonę.

— Och — odparła pani de Guermantes — niech mi wasza wysokość pozwoli nie dzielić w tym całkowicie jej zdania. Nie każdy lubi być opłakiwany w ten sam sposób; każdy ma swoje predylekcje.

— To fakt, że on żywi dla niej prawdziwy kult od czasu jej śmierci. Prawda, że czasem robi się dla umarłych rzeczy, których nie zrobiłoby się dla żywych.

— Po pierwsze — rzekła pani de Guermantes tonem zadumy, tworzącej kontrast z jej żartobliwą intencją — idzie się na ich pogrzeb, czego się nie robi nigdy dla żyjących.

Pan de Guermantes popatrzył z chytrą miną na pana de Bréauté, jakby chcąc go sprowokować do śmiechu z dowcipu żony.

— Ale w sumie, przyznając szczerze — podjęła pani de Guermantes — że jeźlibym lubiła być opłakiwana przez człowieka, którego bym kochała, to niekoniecznie na sposób mego szwagra.

Twarz księcia spochmurniała. Nie lubił, aby żona rzucała sądy na prawo i lewo, zwłaszcza o panu de Charlus.

— Wymagająca jesteś. Jego żal zbudował wszystkich — rzekł surowo.

Ale księżna miewała z mężem rodzaj zuchwałstwa pogromców lub ludzi żyjących z wariatem i nie lękających się go podrażnić:

— Powiadają, że nie! Cóż chcesz, to jest budujące, nie mówię; chodzi co dzień na cmentarz opowiadać jej, ile osób miał na śniadaniu, żałuje jej niezmiernie, ale tak jak kuzynki, jak babki, jak siostry. To nie jest żałoba męża. Prawda, że to było dwoje świętych, co daje żałobie charakter nieco specjalny.

Pan de Guermantes, podrażniony paplaniną żony, wlepił w nią ze straszliwą nieruchomością źrenice nabite jak lufy dubeltówki.

— Nie mówię tego, aby obmawiać pocziwego Mémé, który, nawiasem mówiąc, nie był wolny dziś wieczór — podjęła księżna. — Uznaję, że on jest dobry jak nikt,

jest rozkoszny, delikatny, serce ma takie, jak się mężczyznom nie zdarza mieć zazwyczaj. Mémé to serce kobiety.

— To, co mówisz, nie ma najmniejszego sensu — przerwał żywo pan de Guermantes. — Mémé nie ma w sobie nic zniewieściałego, nikt nie jest bardziej męski.

— Ależ ja nie twierdzę, że jest bodaj trochę zniewieściała. Zrozum choć, co ja mówię — odparła księżna. — Och, ten Błażej, skoro tylko ruszyć jego brata! — dodała, obracając się do księżnej Parmy.

— To bardzo ładne, to urocze. Nie ma nic piękniejszego niż dwaj bracia, którzy się kochają — rzekła księżna Parmy tak, jak by powiedziało wiele osób z ludu, bo można należeć do rodziny monarszej krwią, a zarazem duchem do rodziny bardzo ludowej.

— Skoro mówimy o twojej rodzinie, Oriano — ciągnęła — widziałam wczoraj twego siostrzeńca Saint-Loup; zdaje mi się, że on chce cię prosić...

Książe de Guermantes zmarszczył jowiszowe⁷⁰⁷ brwi. Kiedy nie miał ochoty wyświadczyć jakiejś przysługi, nie chciał, aby się żona tego podejmowała; wiedział, że to wyszłoby na jedno i że osoby, których księżna musiałaby o coś prosić, zapisałyby to na wspólne konto małżeństwa, tak samo jakby prosił on sam.

— Czemu mi sam nie powiedział — rzekła Oriana. — Siedział tutaj dwie godziny wczoraj, a Bóg wie, jaki on potrafi być nudny. Nie byłby głupszy od innych, gdyby miał, jak tylu ludzi z towarzystwa, ten rozum, aby umieć pozostać głupim. Tylko ten pokost wiedzy jest u niego straszny. Chce mieć głowę otwartą... otwartą dla wszystkich rzeczy, których nie rozumie. Gada o Maroku, to okropne!

— Nie chce tam wracać z powodu Racheli — rzekł książę de Foix.

— Ale przecież to już zerwane — przerwał pan de Bréauté.

— Tak dalece nie zerwane, żem ją zastał dwa dni temu w garsonierze Roberta; nie robili wrażenia ludzi pokłóconych, ręczę państwu — odpowiedział książę de Foix, który chętnie rozpowszechniał wszystkie pogłoski zdolne udaremnić małżeństwo Roberta, przy czym mogły go zresztą omylić dorywcze nawroty zakończonego w istocie stosunku.

— Ta Rachela mówiła mi o panu, widuję ją czasem, przechodząc rano przez Pola Elizejskie; trochę pomyłona, jak wy to nazywacie, to, co się u was mówi „ładacznica”, rodzaj „Damy kameliowej”⁷⁰⁸, w przenośni, rozumie się. — Mówił to do mnie Prinz Von, który lubił się okazywać człowiekiem *au courant*⁷⁰⁹ francuskiej literatury i paryskich finezji.

— To właśnie z powodu Maroka... — wykrzyknęła księżna Parmy, starając się nawiązać.

— Czego on może chcieć z tym Marokiem? — spytał surowo pan de Guermantes. — Wie dobrze, że Oriana nie może nic w tym zakresie.

— Myśli, że on wynalazł strategię — ciągnęła pani de Guermantes — przy tym on używa niemożliwych słów dla najmniejszych rzeczy, co nie przeszkadza, że robi kleksy w listach. Któregoś dnia mówił mi, że jadł *boskie* kartofle i że dostał *boską* lożę do teatru.

— Mówi po łacinie — podlicytował książę.

— Jak to po łacinie? — spytała księżna Parmy.

— Słowo honoru! Niech wasza wysokość spyta Oriany, czy ja przesadzam.

— Ależ tak! Kiedyś powiedział mi w jednym zdaniu, jednym haustem: „Nie znam bardziej wzruszającego przykładu *Sic transit gloria mundi*⁷¹⁰”; powtarzam to zdanie waszej wysokości, bo po dwudziestu pytaniach, uciekając się do *lingwistów*, zdołaliśmy je zrekonstruować; ale Robert wyrzucił to na jednym oddechu, ledwie można było poznać, że

⁷⁰⁷jowiszowy — taki jak u rzymskiego boga Jowisza, gromowładnego władcy bogów i ludzi: surowy, groźny, władczy. [przypis edytorski]

⁷⁰⁸Dama kameliowa — tytułowa bohaterka powieści Aleksandra Dumasa (syna) z 1848: kurtyzana Małgorzata Gautier; pierwowzór bohaterki opery Giuseppe Verdiego *La Traviata* powstałej na podstawie tej powieści. [przypis edytorski]

⁷⁰⁹*au courant* (fr.) — na bieżąco. [przypis edytorski]

⁷¹⁰*Sic transit gloria mundi* (łac.) — Tak przemija sława świata. [przypis edytorski]

to łacina, robił wrażenie figury z *Chorego z urojenia*⁷¹¹. I wszystko zmierzało do śmierci cesarzowej austriackiej!

— Biedna kobieta! — wykrzyknęła księżna Parmy. — Cóż to była za rozkoszna istota!

— Tak — odparła pani de Guermantes — trochę postrzelona, trochę zwariowana, ale to była bardzo dobra kobieta, pocziwa wariatka, bardzo miła, nigdy tylko nie mogłam zrozumieć, czemu ona sobie nie sprawi sztucznej szczęki lepiej dopasowanej, zawsze odklejała się jej przed końcem zdania i biedactwo musiało przerywać, aby nie połączyć szczęki.

— Ta Rachel wspominała mi o panu, mówiła, że młody Saint-Loup uwielbia pana, że woli nawet pana od niej — rzekł do mnie Prinz Von, jedząc równocześnie jak smok, z cerą czerwoną jak ćwikła, odsłaniając wszystkie zęby w ciągłym śmiechu.

— Ale w takim razie musi być zazdrosna o mnie i nie cierpieć mnie — przerwałem.

— Wcale nie, mówiła o panu dużo dobrego. Kochanka księcia de Foix byłaby może zazdrosna, gdyby on pana wołał od niej. Nie rozumie pan? Niech mnie pan odprowadzi do domu, wytłumaczę to panu.

— Nie mogę, idę o jedenastej do pana de Charlus.

— O, wczoraj zapraszał mnie na dziś na obiad, ale żebym nie przychodził po trzech kwadransach na jedenastą⁷¹². Ale jeżeli pan ma zamiar być u niego, może mnie pan odprowadzić choć do Komedii Francuskiej, będzie pan w peryferii⁷¹³ — rzekł książę, który myślał z pewnością, że to znaczy „w pobliżu” albo „w centrum”.

Ale rozszerzone oczy Prinza Von na szerokiej i pięknej czerwonej twarzy przestraszyły mnie; odmówiłem, powiadając, że przyjaciel ma po mnie wstąpić. Ta odpowiedź nie wydawała mi się niczym obrażającym. Prinz osądził zapewne inaczej, bo nigdy od tego czasu nie odezwał się do mnie.

— Muszę właśnie zajść do królowej Neapolu⁷¹⁴, jaka ona musi być zmartwiona! — rzekła lub przynajmniej zdawało mi się, że rzekła księżna Parmy. Bo słowa jej doszły mnie jedynie poprzez owe inne, bliższe, skierowane do mnie (ale bardzo cicho) przez Prinza Von, który bał się może, że jeżeli będzie mówił głośniej, usłyszy go pan de Foix.

— Och, nie — odparła pani de Guermantes — ani trochę.

— Ani trochę! Ty zawsze wpadasz w ostateczności, Oriano — rzekł pan de Guermantes, wracając do roli skalistego brzegu, który przeciwstawiając się fali, zmusza ją, aby wyżej rzucała pióropusz piany.

— Błazej wie jeszcze lepiej ode mnie, że ja mówię prawdę — odparła Oriana — ale czuje się w obowiązku robić surowe miny z powodu jej wysokości i boi się, że ją ją gorsze.

— Och, nie, proszę cię — wykrzyknęła księżna Parmy, bojąc się, aby z jej powodu nie naruszono w czymkolwiek tych rozkosznych obiadów księżnej de Guermantes, zakazanego owocu, którego sama królowa szwedzka⁷¹⁵ nie miała jeszcze prawa pokosztować.

— Ależ ona samemu Błazejowi odpowiedziała, kiedy jej mówił z miną banalnie smutną: „Wasza królewska mość jest w żałobie: po kim, czy to jakieś wielkie zmartwienie?”. Odparła: „Nie, to nie jest wielka żałoba, to mała, malutka żałoba, to po siostrze”. To fakt, że ona jest zachwycona, Błazej wie bardzo dobrze; zaprosiła nas na wieczór tego samego dnia i dała mi dwie perły. Chciałabym, żeby traciła siostrę co dzień! Nie oplakuje śmierci siostry, ośmiewa ją do rozpuku. Powiada prawdopodobnie jak Robert, że: *Sic transit*, wreszcie sama już nie wiem — dodała przez skromność Oriana, mimo że wiedziała bardzo dobrze.

⁷¹¹*Chory z urojenia* — komedia Moliera z 1673, ostatnie jego dzieło, opowiadające historię hipochondrycznego Argana; w scenie ceremonii promocji na doktora medycyny, wyśmiewającej pozory uczoności, wypowiedzi postaci są gęsto naszpikowane łacińskimi słowami, niekiedy z dodanymi rodzimymi końcówkami gramatycznymi. [przypis edytorski]

⁷¹²trzy kwadransy na jedenastą (daw.) — trzy kwadransy po dziesiątej, czyli za piętnaście minut jedenasta. [przypis edytorski]

⁷¹³peryferia (z łac., lm) — zewnętrzna część czegoś, krańce; odległe od centrum, dzielnice na krańcach miasta. [przypis edytorski]

⁷¹⁴królowa Neapolu — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

⁷¹⁵królowa szwedzka — Zofia Wilhelmina Nassau (1836–1913), królowa Szwecji i Norwegii (od 1873). [przypis edytorski]

Zresztą pani de Guermantes mówiła to tylko dla konceptu, i to bardzo lichego, bo królowa Neapolu, jak księżna d'Alençon, również tragicznie zmarła, miała wielkie serce i szczyrze opłakiwała swoich. Pani de Guermantes za dobrze знаła szlachetne siostry bawarskie, swoje kuzynki, aby tego nie wiedzieć.

— Chciałby nie wracać do Maroka — rzekła księżna Parmy, znów chwytając się imienia Roberta, które jej, bardzo mimo woli, podawała na kształt żerdzi pani de Guermantes. — Sądzę, że ty znasz generała de Monserfeuil.

— Bardzo mało — rzekła Oriana, która znała nader blisko tego wojskowego.

Księżna Parmy wytłumaczyła, o co chodzi Robertowi.

— Mój Boże, jeśli go zobaczę... może się zdarzyć, że go spotkam — odparła księżna, aby się nie wydawało, że odmawia; zdawałoby się, że jej stosunki z generałem de Monserfeuil rozluźniły się nagle, odkąd chodziło o to, aby go o coś poprosić. Ta niepewność nie wystarczyła jeszcze księciu, który przerywając żonie, rzekł:

— Wiesz dobrze, że go nie zobaczysz, Oriano; a potem, już go prosiłaś o dwie rzeczy, których nie zrobił. Moja żona ma szal usłużności — dodał coraz bardziej wściekły, aby zmusić księżnę Parmy do cofnięcia swojej prośby tak, aby to nie zostawiło wątpliwości co do usłużności Oriany i aby księżna Parmy złożyła rzecz na jego nieużyteczność. — Robert mógłby uzyskać, co chce, od MonserfeUILa. Tylko ponieważ sam nie wie, czego chce, prosi go przez nas, bo wie, że nie ma lepszego sposobu, aby rzecz pogrzebać. Oriana za często prosiła o coś generała. Teraz jej prośba to najpewniejsza gwarancja odmowy.

— Och, w tych warunkach lepiej, żeby Oriana nie tykała tego — rzekła księżna Parmy.

— Oczywiście — zakończył książę.

— Biedny generał, znowu przepadł przy wyborach — rzekła księżna Parmy, aby odmienić rozmowę.

— Och, to nic poważnego, to dopiero siódmy raz — rzekł książę, który, sam zmuszony zrezygnować z polityki, dosyć lubił niepowodzenia wyborcze innych.

— Pocieszył się, robiąc nowe dziecko swojej żonie.

— Jak to! Ta biedna pani de Monserfeuil jest znów w ciąży! — wykrzyknęła księżna Parmy.

— Ależ tak — odparła pani de Guermantes — to jedyny okręg, gdzie biedny generał ani razu się nie poszkapil.

Miałem być w przyszłości stałym gościem — bodaj w bardzo małym kółku — tych obiadów, których uczestników wyobrażałem sobie niegdyś niby apostołów w Sainte-Chapelle⁷¹⁶. Zbierali się tam w istocie, jak pierwsi chrześcijanie, nie tylko aby dzielić pokarm materialny (zresztą wyborny), ale dla rodzaju biesiady towarzyskiej; tak iż w niewiele obiadów przyswoilem sobie znajomość wszystkich przyjaciół moich gospodarzy, przyjaciół, którym mnie przedstawiali z odcieniem życzliwości tak wymownej (jak kogoś, kogo by od wszech czasów po ojcowsku kochali), że nie było ani jednego pośród nich, który by nie sądził, że obraziłby księżnę i księcia, gdyby wydając bal, nie pomieścił mnie na liście; równocześnie zaś, spijając Yquem⁷¹⁷ z piwnicy Guermantów, delektowałem się ortolanami przyrządzanymi wedle rozmaitych recept, które książę wypracował i roztropnie odmieniał. Jednakże dla kogoś, kto już niejedną raz zasiadał przy mistycznym stole, gryzienie tych ptaków nie było nieodzowne. Starzy przyjaciele księstwa de Guermantes zachodzili po obiedzie — *en cure-dents*⁷¹⁸, powiedziałyby pani Swann — bez zaproszenia i wypijali w zimie filiżankę kwiatu lipowego w blaskach wielkiego salonu, w lecie zaś szklankę oranżady w mroku prostokątnego ogródka.

Nigdy u państwa de Guermantes w ciągu tych poobiednich sjeest w ogrodzie nie widziano nic innego prócz oranżady. Miała ona coś rytualnego. Przydać do niej inne

⁷¹⁶ *Sainte-Chapelle* (fr.: Święta Kaplica) — dwukondygnacyjna gotycka kaplica zamkowa w centrum dawnej siedziby królewskiej na wyspie Cité w Paryżu; ściany górnej kondygnacji zdobią figury apostołów. [przypis edytorski]

⁷¹⁷ *Château d'Yquem* — francuskie słodkie wino z Sauternes, w pld. części Akwitunii. [przypis edytorski]

⁷¹⁸ *en cure-dents* (fr.) — dosł.: na wykałaczki; zaraz po posiłku. [przypis edytorski]

chłodniki zdawałoby się spaceniem tradycji, tak jak wielki raut w Faubourg Saint-Germain nie jest już rautem, jeżeli będzie komedia lub muzyka. Trzeba, aby się zdawało — choćby było pięćset osób — że się przyszło po prostu odwiedzić księżnę de Guermantes. Podziwiano moje wpływy, bo zdołałem zdublować oranżadę karafką soku z wiśni lub z gruszek. Znienawidziłem z tej przyczyny księcia d'Agriente; był jak wszyscy ludzie pozbawieni wyobraźni, ale nie zachłanności, którzy dziwią się temu, co pijecie, i chcą też trochę. Tak iż za każdym razem pan d'Agriente, uszczuplając moją porcję, psuł mi przyjemność. Bo tego soku owocowego nigdy nie jest dość dużo, aby ugasić pragnienie. Nigdy się nie uprzykrzy ta smakowa transpozycja koloru owocu, który, ugotowany, cofa się niejako w porę kwiatów. Sok taki, purpurowy jak sad na wiosnę lub bezbarwny i świeży jak wietrzyk pod drzewami owocowymi, można wdychać i oglądać kropla po kropli, a pan d'Agriente regularnie przeszkadzał mi się nim nasycić.

Mimo tych kompotów tradycyjna oranżada przetrwała, zarówno jak kwiat lipowy. Pod tą skromną postacią dopełniała się komunia⁷¹⁹ towarzyska. I w tym z pewnością przyjaciele państwa de Guermantes zostali jednak — jak ich sobie wyobrażałem zrazu — bardziej rozmaici, niżby mi kazało przypuszczać moje rozczarowanie co do nich. Wielu starców kosztowało u księżnej, wraz z niezmiennym napojem, przyjęcia często niezbyt milego. Otóż jeżeli to znosili, to nie przez snobizm, sami będąc z tych, ponad których nikt nie mógł być wyższy, ani przez miłość zbytku; o ile lubili zbytek, w niższych regionach socjalnych znaleźliby jeszcze wspanialszy, bo tegoż samego wieczora urocza i przebogata bankierowa dałaby wszystko, aby ich mieć na olśniewającym polowaniu, które przez dwa dni wyprawiała dla króla hiszpańskiego⁷²⁰. Odmówili przecież i przyszli na los szczęścia dowiedzieć się, czy pani de Guermantes jest w domu. Nie byli nawet pewni, czy znajdują tam opinie absolutnie zgodne z własnymi lub uczucia szczególnie gorące; pani de Guermantes rzucała czasem w przedmiocie sprawy Dreyfusa, republiki, praw antyreligijnych — lub nawet pod adresem ich samych, ich niedomagań, nudy ich rozmowy — uwagi, które trzeba im było przelknąć, udając, że nic nie zauważyli. Bez wątpienia, o ile się trzymali jej salonu, przyczyną tego był wyrafinowany nawyk światowych smakoszków, świadomość doskonałej i nienagannej jakości społecznego menu, o smaku znanym, bezpiecznym i soczystym, bez zapraw i bez fałszu; menu, którego początek i historię znali równie dobrze jak ta, która ich nim raczyła, będąc w tej mierze bardziej „urodzeni”, niż przypuszczali sami.

Otóż między tymi gośćmi, którym mnie przedstawiono po obiedzie, przypadkowo znalazł się ów generał de Monserfeuil, o którym mówiła księżna Parmy, a którego pani de Guermantes, mimo że był jednym z wiernych jej salonu, nie spodziewała się tego wieczora. Skłonił się, usłyszawszy moje nazwisko, tak jakbym był przewodniczącym Najwyższej Rady Wojennej. Sądziłem, że jeżeli księżna Oriana niemalże odmówiła polecenia swego siostrzeńca panu de Monserfeuil, było to skutkiem jakiejś wrodzonej nieużytości, w której książę — jak w dowcipie, byle nie w miłości — był partnerem żony. Obojętność ta zdawała mi się tym bardziej naganna, ile że z pewnych słów, które się wymknęły księżnej Parmy, odniosłem wrażenie, że posterunek Roberta jest niebezpieczny i że przeczorniej byłoby postarać się o jego zmianę. Ale tu oburzyła mnie już istotna niegodziwość pani de Guermantes; kiedy bowiem księżna Parmy ofiarowała się, że ona sama, na własny rachunek, pomówi z generałem, Oriana zrobiła wszystko, aby odwrócić jej wysokość od tego zamiaru.

— Ale nie — wykrzyknęła — Monserfeuil nie ma najmniejszego wpływu w nowym rządzie. Szkoda zachodu.

— Boję się, że on nas może usłyszeć — szepnęła księżna Parmy, starając się skłonić Oriane, aby mówiła ciszej.

— Niech się wasza wysokość nie boi, głuchy jest jak pień — rzekła, nie zniżając głosu księżna, którą generał słyszał doskonale.

— Bo zdaje mi się, że posterunek pana de Saint-Loup jest nie bardzo bezpieczny — rzekła księżna Parmy.

⁷¹⁹komunia (z łac.) — tu: uczestnictwo, wspólność; emocjonalne utożsamienie się z czymś. [przypis edytorski]

⁷²⁰król hiszpański — Alfons XIII (1886–1941), król Hiszpanii do 1931. [przypis edytorski]

— Cóż wasza wysokość chce, jest w tym położeniu co wielu innych, z tą różnicą, że on sam prosił, aby go tam wysłano. A przy tym tak nie jest, nie ma żadnego niebezpieczeństwa; inaczej, księżna rozumie, że sama bym się w to wdała. Byłabym o tym pomówiła z generałem Saint-Joseph w czasie obiadu. On jest o wiele wpływowszy, i co za pracowitość! Widzi wasza wysokość, już odszedł. Zresztą to byłoby o wiele mniej drażliwe niż z tym, który ma trzech synów właśnie w Maroku i nie chciał się starać o ich przeniesienie; mógłby się na to powołać. Skoro waszej wysokości zależy na tym, pomówię z generałem Saint-Joseph... jeżeli go zobaczę, albo z Beautreillis. Ale jeżeli ich nie zobaczę, niech wasza wysokość zanadto nie biada nad Robertem. Wytłumaczono nam kiedyś, gdzie to jest. Ja myślę, że nigdzie nie mogłoby mu być lepiej.

— Co za ładny kwiat, nigdy nie widziałam podobnego, tylko u ciebie, Oriano, zdarzają się podobne cuda — rzekła księżna Parmy, która z obawy, aby generał de Monserfeuil nie usłyszał księżnej, chciała odmienić rozmowę.

Poznałem roślinę z gatunku tych, które Elstir malował przy mnie.

— Zachwycona jestem, że się podobają waszej wysokości; są urocze, proszę popatrzeć na tę aksamitną obwódkę lila na szyi; tylko, jak się to zdarza osobom bardzo ładnym i bardzo dobrze ubranym, brzydko się nazywają i śmierzdzą. Mimo to lubię je bardzo. Toteż zasmuca mnie trochę, że muszą umrzeć.

— Ależ one są w doniczce, to nie są cięte kwiaty — rzekła księżna.

— Nie — odparła Oriana, śmiejąc się — ale to na jedno wychodzi, skoro to są damy! To gatunek kwiatów, gdzie damy i panowie nigdy nie znajdują się na jednej łodydze. Jestem w położeniu ludzi, którzy mają suczkę. Trzeba by mi męża dla moich kwiatów, inaczej nie będę miała młodych!

— Jakie to ciekawe. Ale w takim razie w naturze...

— No tak! Są pewne owady, które się trudnią dopełnianiem małżeństwa, jak u koronowanych głów, przez prokurację⁷²¹; tak że oblubieniec i oblubienica nie widzieli się na oczy. Toteż niech mi księżna wierzy, że zalecam służącemu, aby wystawiał tę roślinę, ile tylko może, w oknie, od dziedzińca czy od ogrodu, w nadziei, że się zjawi nieodzowny owad. Ale to wymagałoby takiego trafu! Niech wasza wysokość pomyśli, trzeba by, aby właśnie wracał od osoby tego samego gatunku, a odmiennej płci, i aby mu przyszło na myśl rzucić bilet wizytowy u mnie. Nie zjawił się dotąd; zdaje mi się, że moja roślina wciąż ma swój wianek dziewiczy; przyznaję, że wołałabym trochę więcej rozpusty. O, to tak jak to piękne drzewo, tam w dziedzińcu; umrze bezdzietnie, bo to jest gatunek bardzo rzadki w naszych krajach. U niego zadanie dopełniania związku bierze na siebie wiatr; ale mur jest trochę za wysoki.

— W istocie — rzekł pan de Bréauté — powinna by księżna zniżyć mur bodaj o kilka centymetrów, to by wystarczyło. Trzeba w tych sprawach umieć brać się do rzeczy. Zapach wanilii, którym rozkoszowaliśmy się przed chwilą w pysznych lodach księżnej, pochodzi z rośliny, która się zowie wanilią. Ta wydaje wprawdzie równocześnie kwiaty męskie i żeńskie, ale obecność jakby twardej ścianki między nimi uniemożliwia wszelką komunikację. Toteż nie było sposobu uzyskać z niej owoców aż do dnia, w którym młody Murzyn, rodem z Reunionu i nazwiskiem Albins⁷²² (co, nawiasem mówiąc, jest dosyć komiczne dla czarnego, bo to znaczy „biały”), wpadł na pomysł, aby za pomocą małego cięcia ułatwić stosunki rozdzielonym narządom.

— Babal jest boski — wykrzyknęła księżna Oriana — on wie wszystko.

— Ale i ty, Oriano, nauczyłaś mnie rzeczy, o których mi się nie śniło — rzekła księżna Parmy.

— Powiem waszej wysokości, że to Swann kształcił mnie w botanice. Czasem, kiedy się nam nie chciało iść na jakąś herbatkę lub na jakiś „poranek”, jechaliśmy za miasto; pokazywał mi nadzwyczajne małżeństwa kwiatów, o wiele zabawniejsze niż małżeństwa

⁷²¹prokuracja (daw.; z łac.) — zastępstwo; pełnomocnictwo; przez prokurację: za pośrednictwem pełnomocnika. [przypis edytorski]

⁷²²Albins — popr. *Albius*, *Edmond* (1829–1880): ogrodnik z francuskiej wyspy Reunion (na zach. od Madagaskaru); urodzony w niewoli, w wieku 12 lat wynalazł technikę szybkiego, ręcznego zapyłania storczyków waniliowych, co umożliwiło opłacalną uprawę tych roślin z dala od rodzimego dla nich Meksyku, gdzie są zapyłane przez miejscowe owady; kiedy Francja zniosła niewolnictwo w swoich koloniach, przyjął nazwisko „Albius” (łac.: biały), być może od koloru kwiatów storczyka waniliowego; zmarł w nędzy. [przypis edytorski]

ludzi, bez *lunchu* i bez zakrystii. Ale nigdy nie było czasu jechać zbyt daleko. Teraz, kiedy są samochody, to byłoby urocze. Na nieszczęście, wśród tego on sam popełnił małżeństwo, jeszcze bardziej zdumiewające, i to zepsuło wszystko. Och! Wasza wysokość, życie to jest okropna rzecz; człowiek trawi lata na robieniu rzeczy, które go nudzą, a kiedy przypadkowo pozna się kogoś zdolnego nam pokazać rzeczy interesujące, ten ktoś musi się ożenić jak Swann! Mając do wyboru rezygnację z botanicznych spacerów a stosunki z osobą kompromitującą, wybrałam pierwszą z tych niedoli. Zresztą, w gruncie, nie potrzeba by chodzić tak daleko. Zdaje się, że nie dalej niż w moim ogródku dzieje się w biały dzień więcej nieprzyzwoitych rzeczy niż w nocy... w Lasku Bulońskim. Tylko nie dostrzega się tego, bo między kwiatami odbywa się to bardzo po prostu; widzi się drobny pomarańczowy deszczyk albo bardzo zapyloną muchę, która ociera nóżki albo bierze tusz z pyłków, zanim zanurzy się w kwiat. I już po wszystkim, stało się!

— Komoda, na której stoi ta roślina, jest także wspaniała, to *empire*⁷²³, o ile mi się zdaje — rzekła księżna Parmy, która, nieobeznana z pracami Darwina⁷²⁴ i jego następców, niezbyt chwytła sens żarcików Oriany.

— Prawda, to piękne! Szczęśliwa jestem, że się to księżnej podoba — odparła pani de Guermantes. — Wspaniały egzemplarz. Powiem księżnej, że ja zawsze uwielbiałam styl *empire*, nawet wówczas kiedy to nie było w modzie. Przypominam sobie, że w Guermantes naraziłam się na drwiny teściowej, bo kazałam ściągnąć ze strychu wszystkie wspaniałe *empiry*, jakie Błażej odziedziczył po ciotce Montesquiou, i umeblowałam skrzydło pałacu, gdzie mieszkałam.

Pan de Guermantes uśmiechnął się. Musiał sobie przypomnieć, że rzecz odbyła się w sposób bardzo odmienny. Ale żarty księżnej des Laumes na temat złego gustu jej teściowej należały do tradycji sięgającej krótkiego czasu, kiedy książe był zakochany w żonie; kiedy zaś miłość pierzchła, przeżyło ją pewne lekceważenie dla ograniczenia umysłowego starej księżnej — lekceważenie niewykluczające bynajmniej przywiązania i szacunku.

— Państwo Iéna mają taki sam fotel z inkrustacjami Wedgwooda⁷²⁵; piękny, ale ja znacznie wolę mój — rzekła księżna tym samym tonem bezstronności, co gdyby nie posiadała żadnego z tych dwóch mebli. — Uznaję zresztą, że oni mają wspaniałe rzeczy, których ja nie mam.

Księżna Parmy zachowała milczenie.

— Ale prawda, wasza wysokość nie zna ich kolekcji. Och! Powinna by się księżna absolutnie wybrać kiedyś tam ze mną. To jedna z najwspanialszych rzeczy w Paryżu, to jest żywe muzeum.

Propozycja ta była jednym z najbardziej stylowych („styl Guermantes”) zuchwałstw, gdyż księstwo Iéna byli dla księżnej Parmy czystymi uzurpatorami: syn ich nosił, jak jej syn, tytuł księcia de Guastalla! Toteż pani de Guermantes, wymawiając te słowa, mimo woli spojrzała na innych gości rozbawionym i roześmianym wzrokiem, tak dalece kult własnej oryginalności przeważał jeszcze względy, jakie miała dla księżnej Parmy. I oni również silili się na uśmiech, równocześnie przerażeni, zachwyceni, a zwłaszcza uszczęśliwieni tym, że byli świadkami „ostatniego pomysłu Oriany” i że będą go mogli opowiadać „na ciepło”. Zdumienie ich było zresztą umiarkowane; wiedzieli, że Oriana posiada sztukę wyzyskiwania wszystkich przesądów Courvoisierów dla tym pikantniejszych i miłszych sukcesów. Toż nie dawniej jak przed kilku laty zdołała spiknąć u siebie księżniczkę Matyldę⁷²⁶ z księciem d’Aumale⁷²⁷, tym, który niegdyś napisał do rodzzonego brata księżniczki sławny list: „W mojej rodzinie wszyscy mężczyźni są odważni, a kobiety

⁷²³*empire* (fr.) — styl cesarstwa; styl w sztuce, meblarstwie, modzie itp., odmiana późnego klasycyzmu związana z rządami Napoleona I we Francji; wykorzystywał wzory i motywy sztuki staroż. Grecji, Rzymu i Egiptu, np. sfinksy, gryfy, kariatydy, a także motyw łabędzia (ulubionego ptaka cesarzowej Józefiny), inicjał Napoleona w wieńcu laurowym, motyw pszczoły, gwiazdy, orłów cesarskich. [przypis edytorski]

⁷²⁴*Darwin*, *Charles Robert* (1809–1882) — angielski przyrodnik, twórca teorii ewolucji biologicznej. [przypis edytorski]

⁷²⁵*Wedgwood* — angielskie przedsiębiorstwo produkujące porcelanę, ceramikę i luksusowe akcesoria, założone w 1759 przez Josiaha Wedgwooda (1730–1795), dziadka Charlesa Darwina. [przypis edytorski]

⁷²⁶*księżniczka Matylda* — Matylda Letycja Bonaparte (1820–1904), córka byłego króla Westfalii Hieronima, najmłodszego brata Napoleona I, i jego drugiej żony, Katarzyny Wirtemberskiej. [przypis edytorski]

⁷²⁷*Henryk Orleański*, *książe d’Aumale* (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I, ostatniego monarchy Francji z rodu Burbonów. [przypis edytorski]

czyste”. Otóż książęta krwi pozostają książętami nawet w chwili, gdy zdają się zapominać o tym; w rezultacie książę d’Aumale i księżniczka Matyllda tak się sobie spodobali u pani de Guermantes, że bywali potem u siebie, z ową zdolnością zapominania przeszłości, jakiej dowiódł Ludwik XVIII⁷²⁸, robiąc swoim ministrem Fouchégo⁷²⁹, który głosował za śmiercią jego brata. Pani de Guermantes żywiła ten sam zamiar zbliżenia księżnej Murat⁷³⁰ z królową Neapolu⁷³¹. Na razie księżna Parmy zdawała się równie zakłopotana, jak mogliby być zakłopotani dziedzice korony Niderlandów i Belgii (książę Oranii i księżę Brabantu), gdyby im chciano przedstawić pana de Mailly-Nesle, księcia Oranii, oraz pana de Charlus, księcia Brabantu. Ale już Oriana, którą Swann i Charlus (mimo że ten wytrwał w ignorowaniu książąt Iéna) z wielkim trudem nauczyli lubić meble *empire*, wykrzyknęła:

— Całkiem szczerze, nie umiem powiedzieć, jak wasza wysokość będzie zachwycona. Przyznaję, że styl *empire* zawsze robił na mnie głębokie wrażenie. Ale u tych Iéna to doprawdy istna halucynacja. To coś... jak by to księżnej powiedzieć... coś niby przyniesione falą z wyprawy egipskiej⁷³²... i ten powiew starożytności, wszystko to, co zalewa nasze domy, sfinksy usadowione w nogach foteli, węże owijające się o kandelabry, olbrzymia muza, która trzyma mały świecznik, aby nam świecić do partyjki *bouillotte*⁷³³, lub wdrapała się spokojnie na kominek i opiera się o zegar; a potem te wszystkie lampy pompejańskie, łódeczka w kształcie łodzi, wyglądające tak, jakby je znaleziono w Nilu, gotowe wyłonić małego Mojżesza, te antyczne kwadrygi galopujące po nocnych stolikach...

— Nie siedzi się zbyt dobrze na meblach *empire* — zaryzykowała księżna Parmy.

— Nie — odparła Oriana — ale lubię — dodała z uśmiechem — lubię źle siedzieć na tych mahoniowych fotelach pokrytych wiśniowym aksamitem lub zielonym jedwabiem. Lubię ten brak komfortu wojowników, którzy pojmują tylko krzesło kurulne⁷³⁴, którzy krzyżują różgi liktorskie⁷³⁵ i piętrzą laury na środku salonu. Zapewniam waszą wysokość, że u Iénów nie myśli się ani przez chwilę o tym, jak się siedzi, widząc przed sobą zwalistą Wiktorię⁷³⁶ wymalowaną *al fresco*⁷³⁷ na ścianie. Mój małżonek będzie mnie uważał za bardzo złą rojalistkę, ale ja jestem w istocie bardzo nieprawomyślna i ręczę, że u tych ludzi człowiek dochodzi do tego, że kocha wszystkie te „N”, wszystkie te pszczoły. Mój Boże, dosyć długo królowie nie psuli nas zbyt chwałą, toteż ci rycerze, którzy znosili tyle wieńców laurowych, że obwieszali nimi nawet poręcze krzesel, uważam, że to ma swój sztyk! Wasza wysokość powinna by tam iść.

⁷²⁸Ludwik XVIII (1755–1824) — król Francji z dynastii Burbonów (od 1814), brat Ludwika XVI, skazanego i ściętego podczas rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

⁷²⁹Fouché, Joseph (1759–1820) — francuski polityk, oceniany jako przebiegły i bezwzględny karierowicz; członek Konwentu w okresie rewolucji francuskiej, głosował za skazaniem Ludwika XVI na śmierć, odpowiedzialny za krwawe stłumienie powstania w Lyonie w 1793, minister policji podczas panowania Napoleona, po jego upadku w 1815 został prezydentem rządu tymczasowego, następnie ministrem policji króla Ludwika XVIII. [przypis edytorski]

⁷³⁰Księżna Murat — potomkini napoleońskiego marszałka Joachima Murata i Karoliny Bonaparte, najmłodszej siostry Napoleona I; Napoleon I Bonaparte w 1808 nadał Joachimowi Muratowi królestwo Neapolu (z formalnym tytułem króla Neapolu i Sycylii, mimo że nie kontrolował Sycylii); zostało ono utracone w 1815, wraz ze śmiercią Murata, na rzecz jego rywala, Ferdynanda I Burbona, pierwszego z dynastii Burbonów Sycylijskich, rządzących zjednoczonym Królestwem Obojga Sycylii (tj. Sycylii i Neapolu) aż do jego włączenia do zjednoczonych Włoch (1861); potomkowie Murata zaliczani są do najwyższej arystokracji francuskiej. [przypis edytorski]

⁷³¹Królowa Neapolu — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

⁷³²wyprawa egipska (1798–1801) — ekspedycja wojenna Napoleona Bonaparte do Egiptu, mająca na celu odcięcie Anglii od Indii; w wyprawie wzięło udział 167 naukowców; przywiezione z Egiptu zabytki oraz wydane po wyprawie bogato ilustrowane publikacje dały początek fascynacji kulturą starożytnego Egiptu i narodzinom egiptologii w Europie. [przypis edytorski]

⁷³³bouillotte — dawna francuska hazardowa gra karciana, popularna w XIX w. [przypis edytorski]

⁷³⁴krzesło kurulne — składany taboret o wygiętych, nożycowych nogach; w starożytnym Rzymie przysługiwało królom, a w okresie republiki wyższym urzędnikom. [przypis edytorski]

⁷³⁵różgi liktorskie — w starożytnym Rzymie najwyższym urzędnikom państwowym w miejscach publicznych jako asysta towarzyszyli funkcjonariusze zwani *liktorami*, nosząc przed nimi oznaki władzy: przewiązane wiązki różg, między którymi zatknięty był topór. [przypis edytorski]

⁷³⁶Wiktorja (mit. rzym.) — bogini zwycięstwa. [przypis edytorski]

⁷³⁷al fresco (wł.) — dosł.: na świeżo; technika malarstwa ściennego polegająca na malowaniu farbami na świeżym tynku, przed jego zaschnięciem. [przypis edytorski]

— Mój Boże, jeżeli tak uważasz — rzekła księżna Parmy — ale zdaje mi się, że to nie będzie łatwe.

— Ależ zobaczy wasza wysokość, że wszystko się ułoży bardzo dobrze. To są bardzo dobrzy ludzie i wcale niegłupi. Zaprowadziliśmy tam panią de Chevreuse — dodała księżna, znając potęgę przykładu — była zachwycona. Syn jest nawet bardzo miły... To, co powiem, nie jest może bardzo przyzwoite — dodała — ale on ma pokój, a zwłaszcza łóżko, gdzie lubiłoby się spać — bez niego! Jeszcze mniej przyzwoite jest, że byłam go raz odwiedzić, kiedy był chory i w łóżku. Obok niego, na poręczy łóżka była wyrzeźbiona długa wyciągnięta syrena, urocza, z ogonem z perłowej masy, trzymająca w ręku coś w rodzaju lotosu. Ręczę księżnej — dodała pani de Guermites wolniej, aby lepiej jeszcze uwydatnić słowa, które jakby rzeźbiła ruchem pięknych warg, wrzecionem długich wyrazistych rąk, i wlepiając w księżnę Parmy łagodne, uparte spojrzenie — że z tymi gałązkami palmy i z tym wieńcem złotym tuż obok to było wzruszające, to była zupełnie kompozycja *Młodego człowieka i śmierci* Gustawa Moreau⁷³⁸ (wasza wysokość zna z pewnością to arcydzieło).

Księżna Parmy, która nie знаła nawet nazwiska malarza, potrząsnęła gwałtownie głową i uśmiechnęła się żarliwie, aby wyrazić swój podziw dla tego obrazu. Ale żywość jej mimiki nie zdołała zastąpić tego błysku, którego brakuje naszym oczom, kiedy nie wiemy, o czym ktoś do nas mówi.

— To podobno ładny chłopiec? — spytała.

— Nie, bo jest podobny do tapira⁷³⁹. Oczywiście są trochę niby oczy królowej Hortensji z abażuru. Ale prawdopodobnie uznał, że byłoby trochę śmieszne dla mężczyzny rozwijać to podobieństwo, toteż gubi się to w jego wywoskowanych policzkach, dających mu po trosze minę mameluka⁷⁴⁰. Czuć, że froter musi je przejeżdżać co rano. Swann — dodała, wracając do łóżka młodego księcia — uderzony był podobieństwem tej syreny do *Śmierci* Gustawa Moreau. Ale zresztą — dodała szybciej, ale poważnie, aby tym lepiej rozśmieszyć — nie mamy się co przejmować, bo to zwykły katar i młodzieniec jest zdrow jak ryba.

— Powiadają, że on jest snob? — spytał pan de Bréauté z niezyczliwą, podnieconą miną, oczekując odpowiedzi równie ścisłej, co gdyby powiedział: „Mówiono mi, że ma tylko cztery palce u ręki, czy to prawda?”

— Mój B... oże, n... ie — odparła pani de Guermites z uśmiechem łagodnego poślazania. — Może troszkę snob z pozoru, bo jest bardzo młody, ale dziwiłabym się, gdyby miał być snob naprawdę, bo on jest inteligentny — dodała tak, jakby dla niej snobizm był czymś nie do pogodzenia z inteligencją. — On jest sprytny, czasem bywał zabawny — rzekła jeszcze, śmiejąc się z miną smakoszki i znawczyni, tak jakby wydanie sądu, że ktoś jest zabawny, wymagało wesołej miny lub jakby jakiś koncept księcia de Guastalla przypomniawszy jej w tej chwili. — Zresztą, ponieważ go nigdzie nie przyjmują, ten snobizm niewiele miałby okazji — dodała, nie zastanawiając się, że nie bardzo zachęca księżną Parmy.

— Myślę, co powie książę Gilbert, który nazywa ją „pani Iéna”, jeśli się dowie, że ja byłam u niej.

— Jak to! — wykrzyknęła żywo pani de Guermites — księżna wie, że to myśmy ustąpili Gilbertowi (żałowała tego gorzko teraz!) cały pokój do gry *empire*, który mieliśmy po Quiou-Quiou i który jest cud wspaniałości! Nie było tutaj miejsca, chociaż zdaje mi się, że tu wyglądało to lepiej niż u niego. To skończenie piękne, pół etruskie⁷⁴¹, pół egipskie...

⁷³⁸ Moreau, Gustave (1826–1898) — francuski malarz i grafik, jeden z czołowych twórców symbolizmu; autor m.in. obrazu *Młody człowiek i śmierć* (*Le Jeune Homme et la mort*, 1865), powstałego w holdzie dla jego zmarłego przyjaciela. [przypis edytorski]

⁷³⁹ tapir — ssak lasów tropikalnych, o niewielkiej trąbie wykształconej z nosa i wargi. [przypis edytorski]

⁷⁴⁰ mameluk — w dawnych państwach muzułmańskich: państwowy niewolnik-żołnierz, szczególnie służący w gwardii przybocznej władcy; w 1250 mamelucy przejęli władzę w Egipcie, którym rządili do 1517; nazwę mameluków gwardii cesarskiej nosiła również jednostka lekkiej kawalerii pochodzenia egipskiego, stworzona przez Napoleona Bonapartego po powrocie z Egiptu, wchodząca w skład armii francuskiej w latach 1801–1815. [przypis edytorski]

⁷⁴¹ etruski — odnoszący się do Etrusków; *Etruskowie*: lud zamieszkujący w starożytności północną Italię (Etrurię), początkowo dominujący nad Rzymianami, w III w. p.n.e. całkowicie przez nich podbity i wchłonięty. [przypis edytorski]

— Egipskie? — spytała księżna Parmy, której słowo „etruskie” niewiele mówiło.

— Tak, oba po trosze. Swann mówił nam to, wytłumaczył mi, tylko że ja, widzi księżna, jestem wielki nieuk. A potem, w gruncie, wie wasza wysokość, trzeba sobie powiedzieć, że Egipt *empire* nie ma żadnego związku z prawdziwym Egiptem ani ich Rzymianie z Rzymianami, ani ich Etruria...

— Doprawdy! — rzekła księżna Parmy.

— Absolutnie, to tak jak to, co nazywano kostiumem Louis XV za Drugiego Cesarstwa, w młodości Anny de Mouchy⁷⁴² lub matki kochanego Brigode⁷⁴³. Przed chwilą Błażej wspomniał Beethovena. Grano nam któregoś dnia jedną jego rzecz, bardzo ładną zresztą, trochę zimną, gdzie jest temat rosyjski. To doprawdy wzruszające, że on to uważał za rosyjskie. I tak samo malarze chińscy myśleli, że kopią Belliniego. Zresztą nawet w tym samym kraju, za każdym razem, kiedy ktoś spojrzy na rzeczy w sposób nowy, cztery czwarte ludzi nie widzi nic z tego, co on im pokazuje. Trzeba co najmniej czterdziestu lat, aby się nauczyli rozróżniać.

— Czterdziestu lat! — wykrzyknęła księżna Parmy, przerażona.

— Ależ tak — mówiła Oriana, akcentem swoich słów (będących niemal powtórzeniem moich, bo właśnie rozwijałem przed nią pokrewne myśli) stwarzając wrażenie tego, co w drukarstwie nazywa się kursywą — to jest coś niby pierwszy osamotniony egzemplarz gatunku, który jeszcze nie istnieje, a którego będzie pełno, osobnik obdarzony pewnym zmysłem, którego rodzaj ludzki w jego epoce nie posiada. Nie bardzo mogę cytować samą siebie, bo ja, przeciwnie, zawsze kochałam od początku wszystkie interesujące objawy, choćby były nie wiem jak nowe. Ale świeżo byłam z wielką księżną w Luwrze; przechodziliśmy koło *Olimpii* Maneta. Teraz się nikt temu nie dziwi. To wygląda na Ingres! A przecież Bóg wie, ile ja musiałam kopii kruszyć o ten obraz, w którym, nie powiem, żebym lubiła wszystko, ale którego autor to jest jednak ktoś! Jego miejsce nie jest może całkiem w Luwrze...

— Czy dobrze ma się wielka księżna⁷⁴⁴? — spytała księżna Parmy, której ciotka cara była nieporównanie bardziej znajoma niż model Maneta.

— Tak, mówiłyśmy o waszej wysokości. W gruncie — ciągnęła Oriana, wciąż trwając przy swojej myśli — faktem jest, że jak powiada szwagier Palamed, istnieje pomiędzy nami a wszelką inną osobą ściana różnego języka. Uznaję zresztą, że dla nikogo nie jest to tak bardzo prawdziwe jak dla Gilberta. Jeżeli księżnę bawiłoby iść do Iénów, wasza wysokość ma za wiele rozumu, aby chcieć uzależniać swoje postęпки od tego, co o nich może pomyśleć ten nieborak, który jest bardzo kochanym pocziwiną, ale który, ostatecznie, ma pojęcia z innego świata. Czuję się bliższa, jednogatunkowsza z moim stangretem, z moimi końmi niż z tym człowiekiem normującym wciąż swoje uczynki wedle tego, co by o jakiejś rzeczy pomyślano za Filipa Śmiałego⁷⁴⁵ lub za Ludwika Otyłego⁷⁴⁶. Niech wasza wysokość pomyśli, że kiedy on się przechadza na wsi, odsuwa wieśniaków, z dobrotliwą miną, laską, mówiąc: „Precz, hultaje!”. Jestem w gruncie równie zdziwiona, kiedy on do mnie mówi, co gdyby się do mnie zwróciły któreś z owych „zwłok” strojących dawne gotyckie grobowce. Choć ten żywy kamień jest moim kuzynem, przeraża mnie, i mam tylko jedną myśl: zostawić go w jego średniowieczu. Poza tym uznaję, że nigdy nie zamordował nikogo.

— Spotkałem go właśnie na obiedzie u pani de Villeparisis — rzekł generał, ale bez uśmiechu i nie wchodząc w ton księżnej Oriany.

— Czy nie było tam pana de Norpois? — spytał Prinz Von, który wciąż myślał o Akademii.

— Owszem — odparł generał. — Mówił nawet o pańskim cesarzu.

⁷⁴²Murat, Anna, księżna de Mouchy (1841–1924) — córka Luciena Murata, wnuczka Joachima Murata i Karoliny Bonaparte, od 1865 żona Antoine’a de Noailles (1841–1909), księcia Mouchy. [przypis edytorski]

⁷⁴³Brigode, Romain-Joseph de (1775–1854) — francuski polityk. [przypis edytorski]

⁷⁴⁴wielka księżna — Maria Aleksandra z Meklemburgii-Schwerinu (1854–1920), znana też jako Miechen, która w 1874 wyszła za mąż za syna cara Aleksandra II, wielkiego księcia Włodzimierza Aleksandrowicza Romanowa; po ślubie dodała do swego imienia rosyjski patronimik od imienia swojego przodka, rosyjskiego cesarza Pawła I, i stała się odtąd znana jako wielka księżna Maria Pawłowna. [przypis edytorski]

⁷⁴⁵Filip III Śmiały (1245–1285) — król Francji (od 1270) z dynastii Kapetyngów. [przypis edytorski]

⁷⁴⁶Ludwik VI Gruby (1081–1137) — król Franków (od 1108) z dynastii Kapetyngów. [przypis edytorski]

— Zdaje się, że cesarz Wilhelm⁷⁴⁷ jest bardzo inteligentny, ale nie lubi malarstwa Elstira. Nie mam mu tego zresztą za złe — rzekła księżna — podzielam jego punkt widzenia. Mimo że Elstir zrobił mój piękny portret. A, pan go nie zna. To nie jest podobne, ale ciekawe. On sam jest interesujący w czasie pozowania. Zrobił ze mnie coś w rodzaju staruszki. To imituje *Regentki szpitala Halsy*⁷⁴⁸. Myślę, że pan zna te boskości, aby użyć wyrażenia drogiego memu siostrzeńcowi — rzekła, obracając się do mnie księżna, która mówiąc, poruszała lekko wachlarzem z czarnych piór. Wyprostowana na krześle, odrzucała szlachetnie głowę, bo, będąc wciąż wielką damą, robiła troszeczkę wielką damę. Odpowiedziałem, że byłem swego czasu w Amsterdamie i w Hadze, ale że, mając czas ograniczony, poniechałem Haarlemu, aby nie mieszać wszystkiego.

— A, Haga! Co za muzeum! — krzyknął pan de Guermantes.

Natrąciłem, że z pewnością podziwiał tam *Widok Delft Vermeera*⁷⁴⁹.

Ale książę był mniej wykształcony niż pyszny. Toteż odpowiedział tylko z arogancją miną — jak za każdym razem, kiedy ktoś wspominał jakieś dzieło w muzeum lub w Salonie, którego on sobie nie przypominał:

— Jeżeli jest godny widzenia, widziałem!

— Jak to! Pan był w Holandii, a nie był pan w Haarlemie! — wykrzyknęła księżna Oriana. — Ależ choćby pan nie miał więcej niż kwadrans czasu, to niesłychana rzecz do widzenia, te Halsy. Powiedziałabym, że gdyby ktoś je mógł oglądać tylko z imperiałki⁷⁵⁰ omnibusu⁷⁵¹ bez zatrzymania się, gdyby były wystawione na ulicy, powinien by szeroko otwierać oczy.

Te słowa uderzyły mnie niemile, jako coś będącego zaprzeczeniem sposobu, w jaki się w nas kształtują wrażenia artystyczne; można by z powiedzenia księżnej wnosić, że nasze oko jest tu jedynie prostym aparatem do migawkowych zdjęć. Pan de Guermantes, szczęśliwy, że żona mówi tak biegle o rzeczach, które mnie interesują, patrzył na sławną postawę księżnej, słuchał, co mówiła o Halsie, i myślał: „Kuta jest we wszystkim. Ten młody człowiek może sobie powiedzieć, że ma przed sobą wielką damę w dawnym stylu, w całym znaczeniu tego słowa, taką, jakich nie ma dzisiaj”.

I tak widziałem ich oboje, wyrwanych z tego nazwiska „Guermantes”, w którym niegdyś wyobrażałem ich sobie wiodących niepojęte życie, teraz podobnych do innych mężczyzn i kobiet, zapóźnionych jedynie nieco w stosunku do współczesności, ale niejednak, jak tyle małżeństw z Faubourg Saint-Germain, gdy żona miała talent zatrzymać się na wieku złotym, a mąż miał nieszczęście wybrać z przeszłości niewdzięczną epokę: ona została jeszcze Louis XV, gdy mąż kultuwuje pompatycznie styl Louis-Philippe.

To, że pani de Guermantes była podobna do innych kobiet, przyniosło mi zrazu zawód, a potem, przez reakcję i przy współdziałaniu tylu dobrych win, niemal zachwyce- nie. Jakiś Don Juan d’Austria⁷⁵², jakaś Izabella d’Este⁷⁵³, pomieszczeni dla nas w świecie imion, równie mało stykają się z wielką historią jak strona Méséglise ze stroną Guermantes. Izabella d’Este była z pewnością w rzeczywistości bardzo małą księżniczką, podobną do tych, które za Ludwika XIV nie miały żadnego specjalnego stanowiska na dworze. Ale ponieważ nam się ona wydaje czymś jedynym, a przez to nieporównanym, nie umiemy

⁷⁴⁷Wilhelm II (1859–1941) — cesarz niemiecki w latach 1888–1918. [przypis edytorski]

⁷⁴⁸Hals, Frans (ok. 1582–1666) — holenderski malarz, przedstawiciel baroku; tworzył głównie portrety indywidualne i grupowe; autor m.in. obrazu *Regentki domu staruszek w Haarlemie*, przedstawiającego grupę ubranych na czarno staruszek. [przypis edytorski]

⁷⁴⁹Vermeer, Johannes (1632–1675) — malarz holenderski, autor głównie scen rodzajowych; *Widok Delft* (ok. 1661) stanowi jeden z jego dwóch obrazów przedstawiających widoki miejskie. [przypis edytorski]

⁷⁵⁰imperiałka (daw.) — wierzch dyliżansu pocztowego lub omnibusu konnego z miejscami pasażerskimi. [przypis edytorski]

⁷⁵¹omnibus (łac. dosł.: dla wszystkich) — dawny środek komunikacji (XVII–XIX w.), duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, kursujący w miastach lub między miastami. [przypis edytorski]

⁷⁵²Juan de Austria, don (1547–1578) — hiszpański wódz, nieślubny syn cesarza Karola V Habsburga i Barbary Blomberg; od 1568 dowódca floty hiszpańskiej na Morzu Śródziemnym; w 1569 krwawo stłumił bunt ludności muzułmańskiej w Grenadzie; w 1571 dowodził flotą Ligi Świętej w wielkiej bitwie pod Lepanto; jako dowódca floty w 1573 zdobył Tunis. [przypis edytorski]

⁷⁵³Izabela d’Este (1474–1539) — włoska arystokratka, jedna z czołowych postaci włoskiego renesansu; córka Herkulesa I d’Este, księcia Ferrary i Modeny, oraz jego żony Eleonory Aragońskiej; od 1490 żona Franciszka II Gonzagi, markiza Mantui, pod jego nieobecność pełniła funkcję regentki; patronowała artystom, wyznaczała wzorce mody we Włoszech i Francji. [przypis edytorski]

jej sobie wyobrazić mniejszą od niego; tak iż kolacja z Ludwikiem XIV byłaby dla nas tylko czymś interesującym, gdy spotkanie z Izabellą d'Este pozwoliłoby nam w sposób nadprzyrodzony oglądać na własne oczy heroinę romansów. Otóż skoro studiując Izabellę d'Este i przeniósłszy ją cierpliwie z tego bajecznego świata w świat historii, stwierdzamy, że jej życie, jej myśli nie zawierały nic z owej tajemniczej dziwności, jaką nam zrazu sugerowało jej imię, raz przełknąwszy ów zawód, jesteśmy nieskończenie wdzięczni tej księżniczce, że miała o malarstwie Mantegny⁷⁵⁴ wiadomości niemal równe wiedzy pana Lafenestre⁷⁵⁵, dotąd lekceważonej przez nas i uważanej — jak by powiedziała Franciszka — „gorzej psa”.

Wstąpiwszy na niedostępne wyżyny nazwiska „Guermantes” i schodząc wewnętrznym stokiem życia księżnej Oriany, zdumiewałem się, spotykając tam poufale gdzie indziej nazwiska Wiktora Hugo, Franza Halsa i, niestety, Viberta. Było to owo zdziwienie, jakiego doznaje podróżny, który biorąc miarę dla swoich pojęć o niezwykłości obyczajów w dzikiej dolinie Ameryki Centralnej lub Północnej Afryki z geograficznej odległości i dziwności nazw flory, naraz, przebywszy zasłonę olbrzymich aloesów lub mancenili⁷⁵⁶, odkrywa (czasem nawet opodal ruin rzymskiego teatru lub kolumny poświęconej Wenerze) mieszkańców, którzy czytają *Meropę* lub *Alzira*⁷⁵⁷. I ta pokrewna kultura, przez którą pani de Guermantes, stojąca tak daleko, tak ustronnie i o tyle wyżej od znajomych mi wykształconych „pań z miasta”, siliła się, bez interesu, bez pobudek ambicji, zstąpić na poziom tych, których nie miała poznać nigdy, miała coś chwalebne, niemal wzruszającego przez swoją bezcelowość, coś niby erudycja w starożytnościach fenickich u męża stanu lub u lekarza.

— Mogłabym panu pokazać bardzo pięknego Halsa — rzekła uprzejmie pani de Guermantes — najpiękniejszego, jak twierdzą niektórzy. Odziedziczyłam go po kuzynie z Niemiec. Na nieszczęście, przywiązany jest prawem lenna do zamku; nie zna pan tego wyrażenia, ja także nie — dodała, wierna swemu stylowi żartowania (w czym uważała się za osobę nowoczesną) z dawnych zwyczajów, do których jednak była nieświadomie i niezłomie przywiązana. — Cieszę się, że pan widział moje Elstiry, ale byłabym jeszcze bardziej rada, gdybym mogła pana uczyć swoim Halsem, tym właśnie obrazem „lennym”.

— Znam go — rzekł Prinz Von — był u wielkiego księcia heskiego.

— Właśnie, jego brat ożenił się z moją siostrą — rzekł pan de Guermantes. — Zresztą matka jego była cioteczną siostrą matki Oriany.

— Ale co się tyczy Elstira — dodał Prinz Von — pozwolę sobie zauważyć (mimo że nie mam zdania o jego dziełach, których nie znam), że nienawiść, jaką go ściga cesarz, nie powinna świadczyć przeciw niemu. Cesarz to wspaniała inteligencja.

— Tak, jadłam z nim dwa razy obiad, raz u ciotki Sagan, drugi raz u ciotki Radziwiłłowej, i muszę powiedzieć, że mi się wydał ciekawy. Nie powiem, aby był łatwy! Ale ma coś zajmującego, coś „osiągniętego” — rzekła księżna, biorąc to słowo w cudzysłów — coś niby zielony goździk: to znaczy, rzecz, która mnie zdumiewa, a która nie bardzo mi się podoba; rzecz zadziwiająca tym, że ją ktoś mógł zrobić, ale co do której uważam, że byłoby jeszcze lepiej, gdyby jej nie zrobił. Mam nadzieję, że pana nie gorszę.

— Cesarz jest fantastycznie inteligentny — odparł Prinz Von — kocha namiętnie sztukę, ma w rzeczach sztuki smak poniekąd niezawodny, nie myli się nigdy. Jeżeli jakaś rzecz jest piękna, pozna to natychmiast i nienawidzi jej. Jeżeli jakiejś rzeczy nie cierpi, nie można mieć żadnej wątpliwości, że jest wyborna.

Wszyscy się uśmiechnęli.

— Uspokoił mnie pan — rzekła księżna.

— Porównałbym chętnie cesarza — podjął niemiecki książę, który nie umiejac wymówić poprawnie po francusku słowa „archeolog” (wymawiał „arszeolog”), nie tracił nigdy sposobności posłużenia się nim — do starego archeologa — (i książę powiedział:

⁷⁵⁴Mantegna, Andrea (ok. 1430–1506) — włoski malarz i rytownik, prekursor miedziorytu. [przypis edytorski]

⁷⁵⁵Lafenestre, Georges (1837–1919) — francuski poeta, krytyk sztuki i historyk sztuki; konserwator muzeum w Luwrze, członek Akademii Sztuk Pięknych Instytutu Francji. [przypis edytorski]

⁷⁵⁶mancenilia (łac. *Hippomane mancinella*) — tropikalne drzewo amerykańskie osiągające do 15 m wysokości; jedno z najbardziej trujących drzew na świecie. [przypis edytorski]

⁷⁵⁷Meropa oraz Alzira — tragedie Woltera; akcja pierwszej rozgrywa się w czasach mitycznych w Mesenii na Peloponezie, zaś drugiej toczy się w Peru w czasach konkwistadorów hiszpańskich. [przypis edytorski]

„arszeolog”) — którego mamy w Berlinie. Przed zabytkami asyryjskimi⁷⁵⁸ stary arszeolog płacze. Ale jeżeli to jest fałszyfikat, jeżeli nie jest naprawdę starożytny: nie płacze. Zatem jeżeli się chce wiedzieć, czy jakiś arszeologiczny kawałek jest naprawdę stary, niesie się go do starego arszeologa. Jeżeli płacze, kupuje się tę rzecz do muzeum. Jeżeli oczy arszeologa pozostaną suche, odsyła się przedmiot kupcowi i skarży się o fałszerstwo. Otóż za każdym razem, kiedy jestem na obiedzie w Poczdamie, ilekroć cesarz mówi mi: „Trzeba, żebyś to, książę, zobaczył, to genialne”, notuję sobie w pamięci, żeby się wystrzegać obejrzenia tego; a kiedy słyszę, że piorunuje na jakąś wystawę, pędzę tam co prędzej.

— Czy Norpois nie jest za zbliżeniem anglo-francuskim? — rzekł pan de Guermantes.

— Na co by się wam to zdało? — spytał z niechętną wraz i chytrą miną Prinz Von, który nie mógł znieść Anglików. — Oni są tacy klupi. Ja wiem, że nie na wojskową pomoc liczyacie u nich. Ale można ich i tak osądzić z tępoty ich generałów. Jeden z moich przyjaciół rozmawiał świeżo z Bothą⁷⁵⁹, wie pan, wodzem Boerów⁷⁶⁰. Botha mówił: „To przerażające taka armia. Ja raczej dość lubię Anglików, ale niech pan pomyśli, że ja, prosty chłop, natłukłem ich we wszystkich bitwach. I w ostatniej, gdzie uległem liczbie nieprzyjaciół dwadzieścia razy wyższej od nas, poddając się z musu, jeszcze potrafiłem wziąć im dwa tysiące jeńców! A przecież ja dowodziłem tylko chłopami, ale gdyby kiedy ci idioci zmierzyl się z prawdziwą armią europejską, strach bierze, co by się z nimi stało!”. Zresztą wystarczy, że ich król, którego państwo znacie równie dobrze jak ja, uchodzi za wielkiego człowieka w Anglii.

Puszczając mimo uszu te opowiadki w stylu pana de Norpois; nie dostarczały one żadnego pokarmu moim ulubionym marzeniom! Gdyby zresztą i posiadały te składniki, musiałyby je mieć w szczególnie ożywczym gatunku, aby obudzić moje wewnętrzne życie w czasie tych światowych godzin, przez które mieszkalem w swoim naskórku, w swoich starannie uczesanych włosach, w gorsiej koszuli, to znaczy, kiedym nie był zdolny odczuć nic z tego, co było dla mnie w życiu przyjemnością.

— Och, nie jestem pańskiego zdania — rzekła pani de Guermantes, która uważała, że niemiecki Prinz okazuje brak taktu — mnie się wydaje król Edward⁷⁶¹ uroczy, taki prosty, a o wiele sprytniejszy, niż się mniema. A królowa jest jeszcze teraz najpiękniejszym stworzeniem, jakie znam.

— Ależ, pani — rzekł Prinz Von, podrażniony, nie spostrzegając, że sam drażni innych — jednak gdyby książę Walii był sobie prywatnym człowiekiem, nie ma klubu, z którego by go nie wyrzucono, i nikt nie chciałby mu podawać ręki. Królowa jest czarująca, niezmiernie słodka i ograniczona. Ale ostatecznie jest coś rażącego w tej parze królewskiej, która jest dosłownie na utrzymaniu swoich poddanych, każe grubym żydowskim finansistom opłacać wszystkie wydatki, do jakich jest zobowiązana, i robi ich w zamian baronetami. To tak jak książę Bułgarii⁷⁶²...

— To nasz kuzyn — rzekła księżna — bardzo inteligentny człowiek...

— I mój kuzyn także — odparł Prinz Von — ale nie uważam przez to, aby to był poszły człowiek. Nie, powinni byćście się zbliżyć do nas, to jest najgorętsze pragnienie cesarza, ale on chciałby, żeby to wyszło z serca. Powiada: „Chcę uścisku dłoni, a nie machnięcia kapeluszem”. W ten sposób byłibyście niezwycczeni. To byłoby praktyczniejsze niż sojusz anglo-francuski, na który dzwoni pan de Norpois.

⁷⁵⁸asyryjski — odnoszący się do Asyryjczyków, semickiego ludu, który w XXI w. p.n.e. utworzył w północnej Mezopotamii (ob. pln. Irak) państwo (Asyrie), istniejące do 612 p.n.e. [przypis edytorski]

⁷⁵⁹Botha, Louis (1872–1919) — południowoafrykański polityk i wojskowy, pierwszy premier utworzonego w 1910 Związku Południowej Afryki (ob. RPA). [przypis edytorski]

⁷⁶⁰Burawie a. Boerowie — biały naród afrykański, wywodzący się od holenderskich kolonistów w Afryce Południowej; na przełomie XIX i XX w. walczyli o niezależność z Brytyjczykami (tzw. wojny burskie), zostali pokonani, a z ich republik w 1910 utworzono dominium brytyjskie pod nazwą Związek Południowej Afryki. [przypis edytorski]

⁷⁶¹Edward VII (1841–1910) — od 1901 król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii i dominiów brytyjskich oraz cesarz Indii; syn królowej Wiktorii, od 1841 książę Walii; jego żoną była Aleksandra Duńska (1844–1925). [przypis edytorski]

⁷⁶²książę Bułgarii — Ferdynand I Koburg (1861–1948), książę Bułgarii (od 1887), w 1908 ogłosił niezależność Bułgarii od tureckiego Imperium Osmańskiego i przyjął tytuł cara; w 1918 zmuszony do abdykacji. [przypis edytorski]

— Pan zna pana de Norpois, wiem — rzekła do mnie pani de Guermantes, aby mnie nie zostawiać poza kręgiem rozmowy.

Przypomniałem sobie, że pan de Norpois opowiadał, iż robiłem wrażenie, że go chcę pocałować w rękę. Myśląc, że z pewnością opowiedział to pani de Guermantes, a w każdym razie musiał jej mówić o mnie w sposób złośliwy, skoro mimo przyjaźni z ojcem nie wahał się mnie ośmieszać, nie zrobiłem w tej chwili tego, co by zrobił człowiek światowy. Powiedziałby, że nie znosi pana de Norpois i że mu to dał uczuć; a powiedziałby to w tym celu, aby się zdawało, że jest dobrowolną przyczyną złośliwości ambasadora, które to złośliwości stałyby się tym samym jedynie kłamliwym i interesownym odwetem. Rzekłem, przeciwnie, iż, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu, sądzę, że mnie pan de Norpois nie lubi.

— Zupełnie się pan myli — odparła pani de Guermantes. — Bardzo pana lubi. Może pan spytać Błażeja: o ile ja uchodzę za nazbyt uprzejmą, on nie grzeszy wcale tą wadą. Powie panu, że o nikim nie słyszeliśmy z ust pana de Norpois tyle miłego co o panu. A w ostatnich czasach chciał panu dać w ministerstwie świetne stanowisko. Ponieważ się dowiedział, że pan jest cierpiący i że nie mógłby pan przyjąć tego stanowiska, miał tę delikatność, aby o swojej dobrej intencji nie wspominać nawet pańskiemu ojcu, którego niezmiernie ceni.

Pan de Norpois był ostatnią osobą, od której bym się spodziewał przysługi. Faktem jest, że on był złośliwy, a nawet zjadliwy; ci, co dali się, jak ja — sądząc go z łatwych rozczuleń i zbyt harmonijnych dźwięków głosu — wziąć na jego pozory świętego Ludwika⁷⁶³ wymierzającego sprawiedliwość pod dębem, pomawiali go o prawdziwą perfidię, kiedy się dowiadawali o jakimś złośliwym wybryku na ich temat, pochodzącym od człowieka, który zdawał się kłaść serce w słowa. Te złośliwości były u niego dość częste. Ale to nie przeszkadzało mu mieć swoje sympatie, chwalić tych, których lubił, i znajdować przyjemność w tym, aby im oddać przysługę.

— To mnie nie dziwi zresztą, że on pana ceni — rzekła pani de Guermantes — to człowiek inteligentny. I rozumiem doskonale — dodała dla innych, czyniąc aluzję do projektów małżeńskich, których nie znałem — że moja ciocia, która go już nie bardzo bawi jako stara kochanka, wydaje mu się tym bardziej zbyteczna jako młoda małżonka. Zwłaszcza, iż sądzę, że i kochanką przestała być od dawna, zamarynowała się w dewocji. Booz-Norpois⁷⁶⁴ może powiedzieć, jak w wierszach Wiktora Hugo:

Od dawna już kobieta, z którą sypiał społem,
Zmieniła moje łożo, o Panie, na Twoje!⁷⁶⁵

Doprawdy, moja biedna ciocia jest jak ci artyści z awangardy, którzy grzmieli całe życie przeciw Akademii, a u schyłku formują swoją własną akademię; lub renegaci, którzy fabrykują sobie prywatną religię. W takim razie lepiej było zatrzymać habit lub nie wchodzić w dzikie związki. Kto wie — dodała księżna z marzącym wyrazem oczu — może ona tego pragnie w przewidywaniu wdowieństwa. Nie ma nic smutniejszego niż żałoba, której nie wolno nosić.

— Ba, gdyby pani de Villeparisis została panią de Norpois, sądzę, że kuzyn Gilbert przechorowałby to — rzekł generał de Saint-Joseph.

— Książę Gilbert jest uroczy, ale w istocie jest bardzo przywiązany do spraw urodzenia i etykiety — rzekła księżna Parmy. — Spędziłam u niego dwa dni na wsi, w czasie gdy na nieszczęście Maria była chora. Była ze mną Małeńka (przydomek dawany pani d'Hunolstein dlatego, że była olbrzymia). Książę czekał na mnie przed gankiem, ofiarował mi ramię, udając, że nie widzi Małeńkiej. Zaszliśmy na pierwsze piętro aż pod drzwi salonu; wówczas, usuwając się, aby mnie przepuścić, rzekł: „A, dzień dobry, pa-

⁷⁶³Ludwik IX Święty (1214–1270) — król Francji; usprawnił administrację, system monetarny, zorganizował dwie wyprawy krzyżowe. [przypis edytorski]

⁷⁶⁴Booz a. Boaz (bibl.) — postać z biblijnej *Księgi Rut*: bogaty krewny wdowy Noemi, której towarzyszką w biedzie była jej synowa Rut, również owdowiała; na polecenie teściowej Rut próbowała nocą uwieść Boozą, który odrzucił jej zaloty, ale ostatecznie się z nią ożenił. [przypis edytorski]

⁷⁶⁵*Od dawna już kobieta, z którą sypiał społem...* — z poematu Wiktora Hugo *Booz endormi* (Śpiący Booz), z tomu *La Légende des siècles* (Legenda wieków). [przypis edytorski]

ni d'Hunolstein" (zawsze ją tylko tak nazywa od czasu jej separacji), udając, że dopiero wówczas spostrzegł Malańką, aby okazać, że nie schodziłby dla jej przywitania na dół.

— To mnie wcale nie dziwi. Nie potrzebuję waszej wysokości mówić — rzekł pan de Guermantes, który się miał za człowieka nadzwyczaj nowoczesnego, bardziej niż ktokolwiek gardzącego urodzeniem, a nawet za republikanina — że niewiele mam wspólnych poglądów z moim kuzynem. Łatwo wasza wysokość zgodnie, że w przeważnej ilości rzeczy zgadzamy się jak dzień z nocą. Ale muszę powiedzieć, że gdyby ciotka zaślubiła starego Norpois, na ten raz byłbym zdania Gilberta. Być córką Florymonda de Guise i zrobić taką partię, to, jak powiadają, koń by się uśmieł; cóż jeszcze mam powiedzieć?

Ten ostatni zwrot, który książę wsuwał przeważnie w połowie zdania, był tutaj zupełnie niepotrzebny. Ale czuł ustawiczną potrzebę wtrącania go, co mu kazało przенosić go na koniec okresu⁷⁶⁶, o ile nie znalazł sobie miejsca gdzie indziej. Była to dla niego, między innymi rzeczami, kwestia rytmiki.

— Trzeba zresztą stwierdzić — dodał — że Norpois to wyborna szlachta, dobra krew, z dobrego gniazda.

— Słuchaj, Błażeju, nie warto sobie żartować z Gilberta po to, aby mówić jak on — rzekła pani de Guermantes, dla której „dobroć” urodzenia, zarówno jak dobroć wina, ściśle polegała, jak dla Gilberta i Błażeja de Guermantes, na jego dawności. Ale, mniej szczerza niż jej kuzyn, a sprytniejsza od męża, pilnowała się, aby w rozmowie nie zadać kłamu „duchowi Guermantów”; gardziła urodzeniem w słowach, poprzestając na uznawaniu go w uczynkach.

— Ale czy państwo nie jesteście trochę skuzynowani? — spytał generał de Saint-Joseph. — Zdaje mi się, że Norpois ożenił się z panną de La Rochefoucauld.

— Z tej strony ani trochę: ona była z gałęzi książąt de La Rochefoucauld, a moja babka jest z książąt Doudeauville. To rodzona babka Edzia Koko, najrozumniejszego człowieka w rodzinie — odparł książę, który miał co do rozumu poglądy nieco powierzchowne — a te dwie gałęzie nie zeszyły się od Ludwika XIV; to by było trochę dalekie.

— A, to ciekawe, nie wiedziałem o tym — rzekł generał.

— Zresztą — dodał pan de Guermantes — matka jego była, zdaje mi się, siostrą księcia de Montmorency i zaślubiła najpierw jakiegoś La Tour d'Auvergne. Że jednak ci Montmorency ledwie że są Montmorency, a ci La Tour d'Auvergne wcale nie są La Tour d'Auvergne, nie widzę, aby mu to mogło przydać wiele chwały. Powiada, i to by było ważniejsze, że on pochodzi od Saintrailles'a⁷⁶⁷, a że my się wiemy od niego w prostej linii...

Była w Combray ulica Saintrailles'a, o której nigdy już od owych czasów nie myślałem. Wiodła od ulicy de la Bretonnerie do ulicy Ptasiej. A że Saintrailles, ów towarzysz Joanny d'Arc, zaślubiając pannę de Guermantes, wniósł w tę rodzinę hrabstwo de Combray, herb jego widniał między herbami Guermantów pod witrażem w kościele Św. Hilarego. Ujrzałem stopnie z czarniawego kamienia, kiedy jakiś akcent przywrócił nazwisku „Guermantes” zapomnianą tonację, w jakiej słyszałem je niegdyś, tak różną od tej, w której oznaczało uprzejmych gospodarzy podejmujących mnie dziś obiadem. Jeżeli nazwisko księżnej de Guermantes było dla mnie nazwiskiem zbiorowym, proces ten spełnił się nie tylko w historii przez zsumowanie wszystkich kobiet, które je nosiły, ale także w ciągu mojej krótkiej młodości, widzącej kolejno w tej jednej księżnej de Guermantes tyle warstw różnych kobiet, z których każda znikiała z chwilą, gdy następna zdołała się utrwalić. Słowa nie zmieniają tak znaczenia w ciągu wieków, jak zmieniają je dla nas nazwiska na przestrzeni kilku lat! Nasza pamięć i nasze serce nie są dość przestronne na to, aby mogły być wierne. Nie mamy w swojej obecnej myśli dosyć miejsca, aby zachować tam umarłych obok żywych. Trzeba nam budować na tym, co było przedtem, a co odnajdujemy jedynie wedle przypadku wykopalisk, w rodzaju tego, jakiego dokonało nazwisko Saintrailles.

Wydawało mi się bezcelowe wyjaśniać to wszystko i nawet trochę przedtem dopuściłem się biernego kłamstwa, nie odpowiadając panu de Guermantes, kiedy mnie spytał:

⁷⁶⁶okres — retorycznie ukształtowane zdanie złożone, stanowiące całość znaczeniową. [przypis edytorski]

⁷⁶⁷Saintrailles, właśc. Xaintrailles, Jean Poton de (ok. 1390–1461) — szlachcic gaskoński, zasłużony uczestnik wojny stuletniej, towarzysz broni Joanny d'Arc; od 1454 marszałek Francji. [przypis edytorski]

„Czy pan nie zna naszych stron?”. Może nawet wiedział, że je znam, i jedynie przez dobre wychowanie nie nalegał.

Pani de Guermantes wyrwała mnie z mojego marzenia.

— Mnie się to wszystko wydaje mordercze. Wie pan, nie zawsze jest u mnie tak nudno jak dziś. Mam nadzieję, że pan niedługo znów przyjdzie na obiad dla kompensaty, tym razem już bez genealogii — rzekła półgłosem księżna, niezdolna zrozumieć uroku, jaki mogłem znajdować w jej domu, i niezdolna wznieść się do tej pokory, aby mnie czarować jedynie jako zielnik pełen niemodnych roślin.

To, czym pani de Guermantes bała się mnie rozczarować, to, przeciwnie, pod koniec — bo książę i generał nie przestawali rozprawiać o genealogiach — ratowało mój wieczór od kompletnego zawodu. Jakimż cudem nie doznałbym go dotąd! Każdy z gości przy obiedzie, wypełniając tajemnicze nazwisko, pod jakim go jedynie znałem i pod jakim marzyłem o nim na odległość, ciałem i inteligencją w najlepszym razie równymi ciału i inteligencji wszystkich znajomych mi osób, dał mi wrażenie tej samej płaskiej pospolitości, jaką wszelkiemu rozegzaltowanemu czytelnikowi *Hamleta* może dać wjazd do duńskiego portu Elsynor⁷⁶⁸. Bez wątpienia owe strefy geograficzne i owa dawność, wnoszące starodrzew i gotyckie wieżycy w ich nazwiska, ukształtowały poniekąd ich twarze, dusze i przesady, ale istniały w nich jedynie jak przyczyna w skutku, to znaczy możliwe poniekąd do odkrycia dla inteligencji, lecz zgoła nie działające na wyobraźnię.

I te dawne przesady wróciły nagle gościom państwa de Guermantes ich straconą pozycję. Z pewnością wiadomości posiadane przez ludzi szlacheckiego rodu i robiące z nich ludzi uczonych i biegłych w etymologii⁷⁶⁹ nie słów, lecz nazwisk (i to jeszcze tylko w stosunku do przeciętnego ciemnego mieszczucha, bo o ile przy równej inteligencji dewot lepiej objaśni was w jakiejś kwestii liturgicznej od wolnomyśliciela, w zamian za to antyklerykalny archeolog zawstydzi swego proboszcza we wszystkim, co się tyczy nawet jego własnego kościoła), te wiadomości — jeżeli chcemy pozostać w sferze prawdy, to znaczy w duchu — nie miały dla wielkich panów nawet tego uroku, jaki miałyby dla plebejusza. Wiedzieli może lepiej ode mnie, że diuszesa de Guise jest księżną de Clèves⁷⁷⁰, d'Orléans, de Porcien itd., ale znali, nawet przed wszystkimi tymi nazwiskami, twarz pani de Guise, którą tym samym odbijało im to nazwisko. Ja zacząłem od wróżki, choćby miała niedługo zginąć; oni od kobiety.

W mieszczańskich rodzinach często rodzą się zazdrości, jeżeli młodsza siostra wyjdzie za mąż przed starszą. Podobnie świat arystokratyczny — zwłaszcza Courvoisierowie, ale także Guermantowie — sprowadzał swoją arystokratyczną wielkość do prostych przewag domowych, wskutek dziecinady, którą poznałem (był to dla mnie jedyny jej urok) z książek. Czyż nie mamy wrażenia, że Tallemant des Réaux⁷⁷¹ mówi o Guermantach zamiast o Rohanach, kiedy z widoczną satysfakcją opowiada, że pan de Guéménéé wołał do brata: „Możesz wejść, tu nie jest Luwr”, i powiadał o kawalerze de Rohan⁷⁷² (dlatego że był naturalnym synem⁷⁷³ księcia de Clermont): „Ten przynajmniej jest księciem!”.

Jedyną rzeczą sprawiającą mi przykrość w tej rozmowie był fakt, iż niedorzeczne historie dotyczące uroczego wielkiego księcia następcy tronu Luksemburga znajdowały wiarę w tym salonie, podobnie jak wśród przyjaciół Roberta. Stanowczo to była istna epidemia, mająca trwać może nie dłużej niż dwa lata, ale ogarniająca wszystkich. Powtarzano te same bajki i dodawano do nich inne. Zrozumiałem, że nawet sama księżna de Luxembourg, niby broniąc swego bratanka, dostarczała oręża przeciw niemu.

— Niesłusznie go pan broni — rzekł do mnie pan de Guermantes, podobnie jak przedtem Saint-Loup. — Ot, zostawmy nawet opinię naszych krewnych, która jest jed-

⁷⁶⁸*Elsynor* — nazwa zamku w Danii, w którym rozgrywa się akcja tragedii Szekspira *Hamlet*; od nazwy nadmorskiego miasta *Helsingør*, którego zamek faktycznie nazywa się Kronborg. [przypis edytorski]

⁷⁶⁹*etymologia* — pochodzenie danego wyrazu; nauka zajmująca się pochodzeniem wyrazów. [przypis edytorski]

⁷⁷⁰księżna de Clèves — Katarzyna de Clèves (1548–1633); wdowa po Antoine de Croy, księciu de Porcien, przez małżeństwo z Henrykiem I de Guise w 1570 była diuszesa de Guise do jego śmierci w 1588. [przypis edytorski]

⁷⁷¹Tallemant des Réaux, *Gédéon* (1619–1692) — francuski pisarz; autor zbioru krótkich biografii pt. *Historiettes* (Historyjki, wyd. 1834–1835). [przypis edytorski]

⁷⁷²kawaler de Rohan, właśc. *Guy Auguste de Roban-Chabot* (1683–1760) — francuski szlachcic, znany głównie z kłótni z młodym Wolterem, po której nasał na niego kilku wynajętych bandytów. [przypis edytorski]

⁷⁷³naturalny syn — syn urodzony poza małżeństwem; daw. przeciwieństwo syna legalnego. [przypis edytorski]

nomyślna; ale niech pan spyta o niego służby, która ostatecznie zna nas najlepiej. Pani de Luxembourg darowała swemu bratankowi małego Murzynka. Murzynek wrócił, płacząc: „Wielkie księżę mnie bić, ja nie łajdak, wielkie księżę złe”. To bajeczne. A ja mogę coś o tym wiedzieć, to jest kuzyn Oriany.

Nie sposób zresztą powiedzieć, ile razy w ciągu tego wieczora słyszałem słowa „kuzyn” i „kuzynka”. Z jednej strony, pan de Guermantes za każdym nazwiskiem, które padło, wykrzykiwał: „Ależ to kuzyn Oriany!”, z tą samą radością, z jaką człowiek zgubiony w lesie czyta na końcu dwóch rozbieżnych strzałek na tabliczce informacyjnej, wraz z bardzo nieznaczną cyfrą kilometrów: „Belvédère Casimir-Perier” i „Croix du Grand-Veneur” i upewnia się, że jest na dobrej drodze. Z drugiej strony, tych słów „kuzyn” i „kuzynka” używała w całkiem innym sensie (stanowiącym tutaj wyjątek) ambasadorowa turecka, która przyszła po obiedzie. Pożerana światową ambicją i obdarzona istotną zdolnością asymilacji, ambasadorowa uczyła się równie łatwo historii *Odwrotu dziesięciu tysięcy*⁷⁷⁴, jak perwersji seksualnej u ptaków. Niepodobna byłoby złapać ją na jakim błędzie co do najświeższych prac niemieckich, czy traktowały o ekonomii politycznej, o chorobach umysłowych, o rozmaitych formach samogwałtu, czy o filozofii Epikura⁷⁷⁵. Była to zresztą kobieta niebezpieczna, gdyby ktoś jej zaufał, bo żyjąc w ustawicznym błędzie, wskazywała ci, jako kobiety arcylekkie, nieskazitelne cnoty, ostrzegając cię przed jakimś jegomościem ożywionym najczystszyimi intencjami i opowiadała historie, które zdawały się zaczerpnięte z książki, nie dlatego że takie poważne, ale że tak nieprawdopodobne.

Ambasadorową mało przyjmowano w owej epoce. Bywała w ciągu kilku tygodni u kobiet zupełnie świetnych, jak księżna de Guermantes, ale na ogół trzymała się z konieczności, co się tyczy bardzo arystokratycznych rodzin, skromniejszych gałęzi, z którymi Guermantowie nie utrzymywali stosunków. Łudziła się, iż robi wrażenie kobiety na wskroś światowej, cytując wielkie nazwiska ludzi mało ustosunkowanych, z którymi żyła blisko. Toteż pan de Guermantes, myśląc, iż chodzi o osoby często bywające u niego na obiedzie, drżał radośnie, że się odnajduje między swymi, i wydawał okrzyki: „Ależ to kuzyn Oriany. Znam go jak swoją kieszeń. Mieszka przy ulicy Vaneau. Matka jego była z domu d’Uzes”. Ambasadorowa zmuszona była wyznać, że jej egzemplarz pochodzi z ostatnich gatunków. Starła się nawiązać swoich przyjaciół do przyjaciół pana de Guermantes, dopadając go z ukosa: „Tak, tak, wiem dobrze, o kim pan mówi. Nie, to nie ci, to ich kuzyni”. Ale to desperackie zdanie, rzucone przez biedną ambasadorową, zamierało szybko. Bo pan de Guermantes, zniechęcony, odpowiadał: „A, w takim razie, nie wiem, o kim pani myśli”. Ambasadorowa nie odpowiadała nic, bo o ile znała zawsze jedynie kuzynów tych, których trzeba było znać, często ci kuzyni nie byli nawet krewnymi. Po czym ze strony pana de Guermantes rozległy się nowe: „Ależ to kuzynka Oriany”, które to słowa zdawały się przedstawiać dla pana de Guermantes w każdym jego zdaniu ten sam pożytek co dla poetów łacińskich niektóre epitety, wygodne, bo dostarczały im daktyla lub spondeja⁷⁷⁶ w heksametrze⁷⁷⁷.

Bądź co bądź, wybuch: „Ależ to kuzynka Oriany”, wydał mi się zupełnie naturalny w zastosowaniu do księżnej Gilbertowej, która była w istocie bardzo bliską krewną Oriany. Zdaje się, że ambasadorowa nie przepadała za księżną Marią. Szepnęła do mnie po cichu:

— To idiotka. Ależ nie, nie jest wcale taka ładna. Przesadzona reputacja. Zresztą — dodała z miną zarazem skupioną, niechętną i stanowczą — ona mi jest zasadniczo antypatyczna.

⁷⁷⁴*Odwrot dziesięciu tysięcy* (fr. *La retraite des Dix-Mille*) — francuska wersja tytułu dzieła *Wyprowa Cyrusa*, znanego także jako *Anabaza*, pamiętnika wojskowego Ksenofonta z Aten (ok. 430–ok. 355 p.n.e.), opisującego liczącą 1000 mil drogę powrotną do ojczyzny armii 10 tysięcy najemników greckich zwerbowanych przez księcia perskiego Cyrusa Młodszego przeciwko jego bratu, królowi Persji Artakserksesowi II. [przypis edytorski]

⁷⁷⁵*Epikur* (341–270 p.n.e.) — filozof grecki uznający szczęście za najwyższą wartość; podkreślał też, że niczego nie należy przyjmować na wiarę, pierwszeństwo przyznając obserwacji i logicznemu rozumowaniu na jej podstawie. [przypis edytorski]

⁷⁷⁶*daktyl i spondej* — stopy metryczne w poezji: *daktyl* składa się z trzech sylab: jednej długiej i dwóch krótkich, zaś *spondej* z dwóch sylab długich; w heksametrze zamiast daktyli mogły występować spondeje. [przypis edytorski]

⁷⁷⁷*heksametr* — miara antycznego wiersza bohaterskiego, składająca się z sześciu stóp daktylicznych; heksametrem napisano *Iliadę* i *Odyseję* Homera. [przypis edytorski]

Ale często kuzynostwo rozciągało się o wiele dalej, ile że pani de Guermantes czuła się w obowiązku mówić „ciociu” do osób, z którymi aby znaleźć wspólnego przodka, musiałaby sięgnąć co najmniej do czasu Ludwika XV⁷⁷⁸. Toż samo, za każdym razem kiedy niedole epoki sprawiły, że miliardka zaślubiła jakiegoś księcia, którego praszczur ożenił się, jak praszczur pani de Guermantes, z córką ministra Louvois⁷⁷⁹, największym szczęściem Amerykanki za pierwszą wizytą w pałacu Guermantes, gdzie była zresztą dość lichy przyjęta i gruntownie obmówiona, było mówić „ciociu” do pani de Guermantes, która zezwalała na to z macierzyńskim uśmiechem. Ale było mi dość obojętne, czym było „urodzenie” dla pana de Guermantes i dla pana de Beuserfeuil; w rozmowach, jakie wiedli na ten temat, szukałem jedynie poetyckiej przyjemności. Nie doświadczając jej sami, dostarczali mi jej tak, jakby to robili rolnicy lub rybacy, mówiąc o uprawie roli lub o połowie, realnościach nazbyt zrosniętych z nimi, aby w nich mogli kosztować uroków, które ja osobiście podejmowałem się z nich wydobyć.

Czasem nazwisko przywodziło na myśl nie tyle rasę, ale jakiś szczególny fakt, datę. Słyszac, jak pan de Guermantes przypomina, że matka pana de Bréauté była z domu Choiseul, a babka Lucinge, miałem wrażenie, że pod banalną koszulą ze zwykłymi perłowymi spinkami widzę krwawiące się w dwóch kryształowych kulach te dostojne relikwie: serce pani de Praslin⁷⁸⁰ i serce księcia de Berry⁷⁸¹; inne były bardziej zmysłowe: długie i delikatne włosy pani Tallien⁷⁸² lub pani de Sabran⁷⁸³.

Czasem dostrzegałem nie tylko zwykłą relikwię. Bardziej oświecony od żony co do przodków, pan de Guermantes posiadał wspomnienia czyniące jego rozmowę czymś na kształt pięknej starej siedziby niezawierającej istotnych arcydzieł, ale pełnej autentycznych obrazów, miernych i majestatycznych, w całości mających wielki styl. Gdy książę d'Agrigente spytał, czemu książę X, mówiąc o księciu d'Aumale, powiedział „mój wuj”, pan de Guermantes odparł: „Dlatego że brat jego matki, książę wirtemberski, zaślubił córkę Ludwika Filipa⁷⁸⁴”. Wówczas ujrzałem cały relikwiarz, podobny tym, jakie malowali Carpaccio⁷⁸⁵ lub Memling⁷⁸⁶, od pierwszego kwadratu, gdzie księżniczka na godach weselnych swego brata, księcia Orleanu, zjawia się ubrana w codzienną suknię, okazując tym swoje niezadowolenie, że odtracono posłów wyprawionych, aby prosić dla niej o rękę księcia Syrakuz, aż do ostatniego kwadratu, gdzie rodzi chłopca, księcia wirtemberskiego (rodzonego wuja księcia, z którym jadłem obiad), w tym zamku Wyobraźni⁷⁸⁷, jednym z miejsc równie arystokratycznych jak niektóre rody. I one także trwają dłużej niż jedno pokolenie, wiążą się z niejedną historyczną osobistością. Tu zwłaszcza żyją obok siebie

⁷⁷⁸Ludwik XV (1710–1774) — król Francji (od 1715) z dynastii Burbonów, prawnik i następca Ludwika XIV; pod jego rządami podupadła gospodarka i finanse państwa. [przypis edytorski]

⁷⁷⁹Louvois, François Michel Le Tellier de (1641–1691) — francuski polityk, wybitny minister wojny Ludwika XIV. [przypis edytorski]

⁷⁸⁰Choiseul-Praslin, Franciszka de (1807–1847) — francuska księżna; została znaleziona zamordowana, o jej zabójstwo oskarżono jej męża Charles'a, który w oczekiwaniu na proces popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

⁷⁸¹Karol Ferdynand d'Artois, książę de Berry (1778–1820) — najmłodszy syn króla Karola X i Marii Teresy Sabaudzkiej; zaatakowany i śmiertelnie raniony, kiedy opuszczał budynek paryskiej opery razem ze swoją żoną; jedną z jego córek była Charlotta Maria Augustyna (1808–1886), która poślubiła Ferdynanda, hrabiego (później księcia) Faucigny-Lucinge. [przypis edytorski]

⁷⁸²pani Tallien — Thérèse Tallien (1773–1835), francuska arystokratka, słynęła z urody i swobodnego trybu życia; wyszła za mąż w wieku 14 lat, po rozwodzie jej kochankiem, a potem drugim mężem został rewolucjonista Jean Tallien; po rozwodzie z Tallienem miała krótki flirt z Napoleonem, dwa kolejne romanse, ostatecznie wyszła za mąż za księcia de Chimay. [przypis edytorski]

⁷⁸³pani de Sabran — Delphine de Sabran (1770–1826), francuska arystokratka, pisarka, prowadziła salony literackie i artystyczne, wolnomyslicielka, znana z urody i inteligencji; podczas rewolucji uwięziona wraz z mężem, którego potem zgilotynowano; uwolniona po upadku Robespierre'a; miała kilku kochanków. [przypis edytorski]

⁷⁸⁴książę wirtemberski, zaślubił córkę Ludwika Filipa — Aleksander Fryderyk Wirtemberski (1804–1881), książę Wirtembergii, poślubił w 1837 Marię Orleańską (1813–1839), córkę króla Francji Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

⁷⁸⁵Carpaccio, Vittore (1465–1526) — malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

⁷⁸⁶Memling, Hans (ok. 1435–1494) — niderlandzki malarz pochodzenia niemieckiego, jeden z najważniejszych przedstawicieli wczesnego odrodzenia. [przypis edytorski]

⁷⁸⁷Zamek Wyobraźni (niem. *Schloss Fantaisie*) — niemiecki zamek we wsi Donndorf, w pobliżu miasta Bayreuth. [przypis edytorski]

wspomnienia margrabiny Bayreuth⁷⁸⁸, również nieco ekscentrycznej księżniczki (siostry księcia Orleanu), której podobno spodobała się nazwa zamku jej małżonka; dalej króla bawarskiego⁷⁸⁹ i wreszcie księcia X, którego adres to była właśnie nazwa tej miejscowości: dopiero co prosił pana de Guermantes, aby tam do niego napisał, bo odziedziczył ten zamek i wynajmował go jedynie na czas cykli wagnerowskich innemu rozkosznemu oryginałowi, księciu de Polignac⁷⁹⁰. Kiedy pan de Guermantes, chcąc wytłumaczyć, w jaki sposób spokrewniony jest z panią d'Arpajon, musiał tak daleko, a tak po prostu wspinać się po łańcuchu, poprzez złożone dłonie trzech czy pięciu prababek, aż do Marii Ludwiki⁷⁹¹ lub do Colbert⁷⁹², to było znów to samo: wielkie wydarzenie historyczne ukazywało się przelotnie, jedynie zamaskowane, wynaturzone, ograniczone, w nazwie miejscowości, w imionach jakiejś kobiety, dobranych w ten sposób, ponieważ była wnuczką Ludwika Filipa i Marii Amelii⁷⁹³, widzianych już nie w charakterze króla i królowej Francji, ale tylko w tej mierze, w jakiej, jako dziadkowie, zostawili spadek. (Widzimy, z innych racji, w skorowidzu do dzieł Balzaca, gdzie najznamienitsze osobistości figurują jedynie wedle swego związku z *Komedią ludzką*, że Napoleon zajmuje o wiele mniej miejsca niż Rastignac i zajmuje je tylko dlatego, że rozmawiał z pannami de Cinq-Cygne⁷⁹⁴). Podobnie arystokracja, w swojej ciężkiej budowlu o nielicznych oknach skąpo przepuszczających światło, okazując ten sam brak polotu, ale tę samą masywną i ślepą potęgę co architektura romańska, zamyka całą historię, zamurowuje ją, zasępia.

Tak więc przestrzenie mojej pamięci pokrywały się stopniowo nazwiskami, które szeregując się, grupując się w wzajemnym stosunku, wchodząc ze sobą w coraz to liczniejsze związki, naśladowały owe skończone dzieła sztuki, gdzie żadne dotknięcie pędzla nie jest odosobnione, gdzie każda partia czerpie z innych swoją rację bytu, im znowuż narzucając swoją.

Kiedy nazwisko pana de Luxembourg wróciło na tapetę, ambasadorowa turecka opowiedziała, że kiedy dziadek jego żony (ten, co posiadał ów olbrzymi majątek zrobiony na mące i na makaronie) zaprosił pana de Luxembourg na śniadanie, ten odmówił, kreśląc na kopercie adres: „Pan de X, młynarz”, na co dziadek odpowiedział: „Bardzo żałuję, że kochany pan nie mógł przyjść, tym bardziej że byliśmy w małym kółku, sami swoi, i że znaleźliby się przy stole jedynie młynarz, jego syn i pan”. Ta historia wydała mi się wstrętą; nie tylko nie uwierzyłbym nigdy, aby mój drogi de Nassau, pisząc do dziadka swojej żony (po którym zresztą miał dziedziczyć), nazywał go „młynarzem”, ale także niezdarność tej powiastki biła od pierwszych słów, ile że słowo „młynarz” pomieszczono zbyt oczywiście na to, aby sprawdzić tytuł bajki la Fontaine'a⁷⁹⁵. Ale w Faubourg Saint-Germain głupota — kiedy się z nią połączy — jest taka, iż wszyscy uznali, że to jest cudownie trafione i że dziadek (którego natychmiast na ślepo okrzyknięto niepospolitym człowiekiem) okazał więcej dowcipu od przyżenionego wnuka.

Książę de Châtellerauld chciał skorzystać z tej historyjki, aby opowiedzieć inną, którą słyszałem w kawiarni: „Wszyscy się kładli”, ale od pierwszych słów, kiedy wspomniął o pretensji pana de Luxembourg, aby pan de Guermantes wstawał przed jego żoną, pani de Guermantes przerwała mu i rzekła:

— Nie, on jest bardzo śmieszny, ale jednak nie do tego stopnia.

⁷⁸⁸ Bayreuth — miejscowość w Bawarii, gdzie znajduje się Teatr Operowy wybudowany w 1876 specjalnie na potrzeby związane z wykonaniem dzieł Wagnera; do dziś odbywa się w nim coroczny festiwal wagnerowski. [przypis edytorski]

⁷⁸⁹ król bawarski — Ludwik II Bawarski (1845–1886), król Bawarii (od 1864) z dynastii Wittelsbachów, przyjaciel i mecenas kompozytora Ryszarda Wagnera, budowniczy wystawnych pałaców oraz fantastycznego zamku Neuschwanstein; w 1886 uznany za niepoczytalnego i ubezwłasnowolniony. [przypis edytorski]

⁷⁹⁰ Polignac, Edmond de (1834–1901) — francuski książę, kompozytor; znajomy Prousta. [przypis edytorski]

⁷⁹¹ Maria Ludwika Austriaczka (1791–1847) — arcyksiężniczka austriacka, córka Franciszka II, ostatniego władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego, druga żona Napoleona I. [przypis edytorski]

⁷⁹² Colbert, Jean Baptiste (1619–1683) — francuski polityk, minister finansów i premier na dworze Ludwika XIV. [przypis edytorski]

⁷⁹³ Ludwik Filip i Maria Amelia — Ludwik Filip I (1773–1850), ostatni monarcha Francji z rodu Burbonów, oraz jego żona, Maria Amelia Burbon (1782–1866), księżniczka Królestwa Obojga Sycylii. [przypis edytorski]

⁷⁹⁴ Rastignac i Laurence de Cinq-Cygne — postacie z cyklu powieściowego Balzaca *Komedii Ludzkiej*. [przypis edytorski]

⁷⁹⁵ aby sprawdzić tytuł bajki la Fontaine'a — *Młynarz, jego syn i osioł*. [przypis tłumacza]

Byłem święcie przekonany, że wszystkie historyjki odnoszące się do pana de Luxembourg są równie fałszywe i że ilekroć się znajdę w obecności jednego z ich uczestników lub świadków, usłyszę to samo zaprzeczenie. Pytałem jednak sam siebie, czy protest pani de Guermantes płynie z troski o prawdę, czy z pychy. Jeżeli to była pycha, ustąpiła miejsca złościwości, bo księżna dodała, śmiejąc się:

— Zresztą i mnie spotkała mała awania⁷⁹⁶, bo on mnie zaprosił na podwieczorek, chcąc mnie zapoznać z wielką księżną luksemburską: w ten sposób i z tak dobrym smakiem nazywa własną żonę, pisząc do ciotki. Wyraziłam mu swój żal i dodałam: „Co do »wielkiej księżnej luksemburskiej«, w cudzysłowie, powiedz jej, że jeżeli zechce przyjść do mnie, jestem w domu od godziny piątej co czwartek”. Spotkał mnie i drugi afronik. Kiedy byłam w Luksemburgu, zatelefonowałam do niego, prosząc, aby podszedł do telefonu. Jego wysokość szedł na śniadanie, kończył śniadanie, dwie godziny upłynęły bez rezultatu; wówczas użyłam innego środka: „Proszę poprosić hrabiego de Nassau do telefonu”. Dotknięty do żywego, przybiegł w tej chwili.

Wszyscy śmieli się z opowiadania księżnej i z innych analogicznych, to znaczy — jestem o tym przekonany — kłamliwych, bo nie spotkałem człowieka inteligentniejszego, lepszego, subtelniejszego, powiedzmy, wręcz bardziej uroczego niż ten Luxembourg Nassau. Dalszy ciąg okaże, że to ja miałem słuszność. Muszę uznać, że pośród tych wszystkich niegodziwości wymknęło się pani de Guermantes ładne powiedzenie.

— On nie zawsze był taki — rzekła. — Zanim stracił rozum, zanim się zrobił jak ów człowiek z bajki, który myśli, że został królem, nie był głupi, i nawet w pierwszym okresie po swoich zaręczynach mówił o tym w sposób dość sympatyczny, jak o nieoczekiwanym szczęściu. „To istna bajka, muszę odbyć wjazd do Luksemburga w karocy z feerii” — powiadał do swego wuja d’Ornessan, który mu odpowiedział, bo państwo wiecie, że Luksemburg to nie jest duże: „Karoca z feerii! Boję się, że nie zdołasz wjechać; radzę ci już lepiej wózek zaprzężony w kozy”. Nie tylko Nassau nie obraził się, ale pierwszy powtarzał ten żart i śmiał się z niego.

— Ornessan jest bardzo dowcipny i ma po kim być dowcipny; matka jego jest z domu Montjeu. Bardzo jest źle z biednym Ornessan.

To nazwisko miało tę zaletę, że przerwało niestrawne złościwości, które byłyby się ciągnęły w nieskończoność. Po czym pan de Guermantes wytłumaczył, że prababka pana d’Ornessan była siostrą Marii Kastylijskiej de Montjeu⁷⁹⁷, żony Tymoleona Lotaryńskiego, a tym samym ciotki Oriany. Tak iż rozmowa wróciła do genealogii, podczas gdy idiotka ambasadorowa turecka szepotała mi:

— Robi pan wrażenie, że pan jest bardzo dobrze notowany u księcia de Guermantes; niech się pan ma na baczności. — A kiedy jej prosiłem o wyjaśnienie: — Mam na myśli, pan mnie zrozumie w pół słowa, że to jest człowiek, któremu można by bezpiecznie powierzyć córkę, ale nie syna.

Otóż, przeciwnie, jeżeli był kiedy człowiek kochający namiętnie i wyłącznie kobiety, był nim książę de Guermantes. Ale błąd, przeciwieństwo prawdy, w które naiwnie wierzyła, były dla ambasadorowej jak gdyby elementem, poza którym nie mogła się poruszać.

— Jego brat, Mémé, który mi jest zresztą z innych przyczyn (nie kłaniał się jej) głęboko antypatyczny, bardzo martwi się narowami księcia. Toż samo ich ciotka Villeparisis. Ubóstwiam ją. Oto święta kobieta, prawdziwy typ dawnych wielkich dam! To nie tylko wcielona cnota, ale i fakt. Jeszcze mówi „panie” do ambasadora Norpois, którego widuje co dzień i który, nawiasem mówiąc, zostawił w Turcji wyborne wspomnienie.

Nawet nie odpowiedziałem ambasadorowej, aby dalej słuchać genealogii. Nie wszystkie były ważne. Zdarzyło się nawet w ciągu rozmowy, że jeden z nieoczekiwanych alian-sów, który mi objaśnił pan de Guermantes, był mezaliansem, ale nie bez wdzięku, kojarząc bowiem za monarchii lipcowej księcia de Guermantes i księcia de Fezensac z dwiema uroczymi córkami znakomitego żeglarza, dawał w ten sposób dwom księżnym nieoczekiwany smak egzotycznie mieszczańskie, louis-filipicznie indiańskiego wdzięku. Lub,

⁷⁹⁶ *awania* (z fr. *avanie*) — afront, zniewaga, wyrządzona przykrość. [przypis edytorski]

⁷⁹⁷ *Castille Jeannin de Montjeu, Marie Louise Chrétienne de* (1680–1736) — francuska arystokratka. [przypis edytorski]

za Ludwika XIV, jakiś Norpois zaślubił córkę księcia de Mortemart⁷⁹⁸, którego znamienity tytuł ujął w owej odległej epoce nazwisko „Norpois” (które mi się zdawało szare i które mogłem uważać za świeże) i wyczelował je, dając mu piękność medalu. Zresztą w takich wypadkach nie tylko mniej znane nazwisko zyskiwało na tym zbliżeniu; drugie, zbanalizowane własną świetnością, bardziej uderzało mnie pod tą nową i dyskretniejszą fizjonomią, tak jak wśród portretów olśniewającego kolorysty często najbardziej zaskakuje nas portret robiony na czarno. Nowa ruchliwość, jakiej nabywały wszystkie te nazwiska, zgrupowane obok innych, od których zdawały się tak dalekie, wypływała nie tylko z mojej ignorancji; te same *chassés-croisés*⁷⁹⁹, jakie robiły w moim pojęciu, wykonywały one nie mniej łatwo w epokach, gdy tytuł, zawsze przywiązany do posiadłości ziemskiej, szedł za nią z jednej rodziny do drugiej, tak iż w pięknej feudalnej budowlu, jaką jest tytuł księcia de Nemours lub księcia de Chevreuse, mogłem odkryć kolejno, osiadłych niby w gościnnym domu Bernarda l’Hermite, jakiegoś Guise’a, księcia sabaudzkiego, Orleana, Luynes’a. Czasem wielu z nich rościło sobie prawa do jednej skorupki: na przykład królewska rodzina Holandii oraz panowie de Mailly-Nesle do księstwa Oranii; baron de Charlus i królewska rodzina belgijska do księstwa Brabancji; tylu innych do tytułów książąt Neapolu, książąt Parmy, książąt Reggio. Czasem było odwrotnie; skorupka była od tak dawna opuszczona przez wymarłych właścicieli, że nigdy nie przyszłoby mi na myśl, iż jakaś nazwa zamku mogła — ostatecznie w epoce niezbyt odległej — być nazwiskiem rodziny. Toteż kiedy na jakies pytanie pana de Monserfeuil pan de Guermantes odpowiedział: „Nie, moja kuzynka była wściekła rojalistka, to była córka margrabiego de Féterne, który odegrał pewną rolę w szuanerii⁸⁰⁰”, wówczas, widząc, jak ta nazwa „Féterne”, która od czasu Balbec była dla mnie nazwą zamku, staje się (czego bym o niej nigdy nie pomyślał) nazwiskiem rodziny, doznałem tego samego zdumienia, co kiedy w feerii wieże i ganek ożywiają się i stają się osobami. W tym znaczeniu można powiedzieć, że historia, nawet po prostu genealogiczna, wraca życie starym kamieniom. Byli też zapewne w świecie paryskim ludzie, którzy odegrali w nim rolę równie znaczną jak książę de Guermantes lub książę de la Trémoille, równie wysoko urodzeni, a bardziej poszukiwani dla swojej elegancji lub dowcipu. Zapomniano dziś o nich, bo nie mieli potomków, tym samym nazwisko ich, którego się już nie słyszy, wydaje się nieznanne; co najwyżej nazwa rzeczy, pod którą nie spodziewamy się odkryć nazwy ludzi, przeżyła w jakimś zamku, w jakiejś odległej wsi. Maluczko, a podróżny, który kędyś w Burgundii zatrzyma się w małej wiosce Charlus, aby zwiedzić miejscowy kościół, jeżeli nie jest na tyle dokładny lub jeżeli zanadto się spieszy, aby badać nagrobki, nie będzie wiedział, że owo „Charlus” było nazwiskiem człowieka, który trzymał równy krok z największymi.

Refleksja ta przypomniła mi, że trzeba iść i że podczas gdy słuchałem wywodów genealogicznych pana de Guermantes, zbliżała się godzina spotkania z jego bratem. Kto wie, myślałem dalej, czy kiedyś samo Guermantes nie stanie się wyłącznie nazwą miejscowości, wyjąwszy dla archeologów, którzy zatrzymawszy się przypadkiem w Combray, będą mieli cierpliwość przed witrażem Gilberta Złego wysłuchać objaśnień następcy naszego Teodora lub odczytać przewodnik proboszcza. Ale dopóki wielkie nazwisko nie wygasło, utrzymuje ono w pełnym blasku tych, co je nosili; i z pewnością zainteresowanie moje świetnością tych rodów płynęło stąd, że wychodząc z dnia dzisiejszego, można iść za nimi, stopień po stopniu, gdzieś daleko poza wiek XIV i odnaleźć pamiątki i korespondencje wszystkich przodków pana de Charlus, księcia d’Agrigente, księżnej Parmy w przeszłości, w której nieprzenikniona noc skryłaby początki jakiejś mieszczańskiej rodziny i gdzie, pod świetlną i retrospektywną projekcją danego nazwiska, rozpoznajemy początek i trwałość pewnych neuropatycznych cech, przywar i wybryków jakichś Guermantów. Patologicznie niemal podobni do dzisiejszych, z wieku na wiek budzą niespokojną ciekawość swoich

⁷⁹⁸Mortemart, Louis de Rochecouart de (1663–1688) — francuski książę, mąż Marie-Anne Colbert (1665–1750), córki Jean-Baptiste Colberta, ministra Ludwika XIV. [przypis edytorski]

⁷⁹⁹*chassé croisé* (fr.; lm *chassés croisés*) — figura w tańcu polegająca na zamianie pozycji, podczas której tancerze mijają się, przechodząc na przeciwne strony. [przypis edytorski]

⁸⁰⁰szuaneria a. powstanie szuanów (1794–1795) — rojalistyczne chłopskie powstanie w Bretanii i Mayenne w okresie rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

korespondentów, bądź dawniejszych od księżnej Palatynatu⁸⁰¹ i pani de Motteville⁸⁰², bądź późniejszych od księcia de Ligne⁸⁰³.

Zresztą moje zaciekawienie historyczne było mniejsze od rozkoszy estetycznej. Cytowane nazwiska miały ten skutek, że odcieleśniały gości księżnej, których maska ich ciała oraz nieinteligencji czy miernej inteligencji zmieniała w przeciętnych ludzi; tak iż w sumie słomianka przedpokoju księżnej stała się dla mnie nie — jak w to wierzyłem — progiem, ale kresem zaczarowanego świata nazwisk. Sam książę d’Agrigente, kiedyś usłyszał, że matka jego, z domu Damas, była wnuczką księcia Modeny, wyzbył się — niby przypadkowej chemicznej domieszki — twarzy i słów niepozwalających go rozpoznać i stworzył z Damas i Modeną, które były jedynie tytułami, nieskończenie powabniejszą kombinację. Każde nazwisko, przemieszczone przyciąganiem innego, z którym nie posądzałem go o żadne powinowactwo, opuszczało niezmiennie miejsce, które zajmowało w moim mózgu, gdzie poszarzyło je przyzwyczajenie, i kojarząc się z Mortemartami, Stuartami lub Burbonami, rysowało wraz z nimi pełne wdzięku gałązki o zmiennym kolorycie. Nawet nazwisku „Guermantes” wszystkie te piękne, wygasłe i tym żarliwiej rozpalane nazwiska, z którymi — jak się o tym dowiedziałem świeżo — było ono związane, dawały jakiś nowy, czysto poetycki sens. Co najwyżej na zakończeniu każdego pęczka dumnej lodygi mogłem oglądać, jak ona zakwita jakimś obliczem mądrego króla lub dostojnej księżniczki, jak ojciec Henryka IV⁸⁰⁴ lub księżna de Longueville⁸⁰⁵. Ale ponieważ te twarze, różne w tym od twarzy gości, nie były dla mnie zamulone żadnym osadem materialnego poznania i światowej pospolitości, w swoim pięknym rysunku i zmiennych refleksach zachowały jedność z tymi nazwiskami, które, w regularnych odstępach, każde odmiennego koloru, odcinały się od drzewa genealogicznego Guermantów, żadną obcą i nieprzezroczystą materią nie ćmiąc przeświecających, zmiennych i wielobarwnych pączków, które, niby przodkowie Jezusa na starożytnych witrażach z rodowodem Jessego⁸⁰⁶, kwitły po obu stronach szklanego drzewa.

Kilka razy już chciałem się wymknąć, a pobudką moją, bardziej od wszelkiej innej racji, było upośledzenie, jakie moja obecność narzucała temu zebraniu. Tak długo roilem je jako coś tak pięknego, i byłoby z pewnością piękne, gdyby nie miało w mojej osobie krępującego świadka. Nieobecność moja, z chwilą usunięcia się profana, pozwoli uczestnikom ukonstytuować się wreszcie w sekretne ciało. Będą mogli święcić misteria, dla których się zebrali, bo z pewnością nie zeszli się po to, aby rozmawiać o Franzu Halsie i o skąpstwie, i to rozmawiać w ten sam sposób co ludzie nieurodzeni. Mówiono same błahostki, z pewnością dlatego że ja tam byłem; widząc poszczególne wszystkie te piękne kobiety, doświadczałem wyrzutów, że obecnością swoją przeszkadzam im w najwykwintniejszym z salonów wieść tajemnicze życie Faubourg Saint-Germain. Ale mimo że chciałem najszybciej zniknąć, księstwo de Guermantes dawali dowód prawdziwego poświęcenia, przedłużając moją obecność. A co jeszcze ciekawsze, niektóre damy, które przyszły skwapliwie, zachwycone, wystrojone, iskrzące się klejnotami, aby wziąć udział — z mojej winy — po prostu w fecie niewiele się różniącej od wieczorów dawanych poza Faubourg Saint-Germain — tak samo jak człowiek czuje się w Balbec jak w mieście niewiele różniącym się od tego, co nasze oczy przywykły oglądać — niektóre damy odeszły nie tak, jak by powinny odejść, z uczuciem zawodu, ale dziękując entuzjastycznie pani de Guermantes za rozkoszny wieczór, tak jakby w inne dni (w te, kiedy mnie nie było) nie działo się tam nic innego.

⁸⁰¹Elżbieta Charlotta z Palatynatu (1652–1722) — niemiecka księżniczka Palatynatu Reńskiego, żona księcia Orleanu; opisywała zdarzenia i osoby z dworu Ludwika XIV w swoich listach do Niemiec. [przypis edytorski]

⁸⁰²Motteville, Françoise de (ok. 1620–1689) — francuska pamiętnikarka, pokojówka Anny Austriaczki. [przypis edytorski]

⁸⁰³Ligne, Charles-Joseph de (1735–1814) — książę Świętego Cesarstwa Rzymskiego, dyplomata i wojskowy w służbie Austrii, pamiętnikarz. [przypis edytorski]

⁸⁰⁴ojciec Henryka IV — Antoine de Bourbon-Vendôme (1518–1562), król Nawarry (od 1555). [przypis edytorski]

⁸⁰⁵księżna de Longueville — Anna Genowefa de Bourbon (1619–1679), córka Henryka, księcia Condé, i jego żony, Charlotty Małgorzaty de Montmorency; znana z urody i wpływu na Fronde. [przypis edytorski]

⁸⁰⁶drzewo Jessego — artystyczne przedstawienie drzewa genealogicznego Jezusa z Nazaretu; Jesse był wg Biblii ojcem Dawida, króla Izraela; w *Księdze Izajasza* (Iz 11) mowa o wybitnym potomku Jessego, w czym chrześcijanie widzą prorocstwo dotyczące Chrystusa. [przypis edytorski]

Czy doprawdy na obiady takie jak dzisiejszy wszystkie te osoby stroiły się i nie wpuszczały „pań z miasta” do swoich tak zamkniętych salonów? Na obiady takie jak ten i takie same wówczas, gdy mnie nie było? Na chwilę powziąłem to podejrzenie, ale było ono zbyt niedorzeczne. Prosty rozsądek pozwalał je oddalić. A przy tym, gdybym je przyjął, cóż by zostało z nazwiska „Guermantes”, już tak zdegradowanego od czasów Combray?

Zresztą te żywe kwiaty były szczególnie łatwe do zadowolenia przez inną osobę lub pragnące jej zrobić przyjemność, bo niejedna z tych dam, do której się zaledwo przez cały wieczór odezwałem, i to tak głupio, że się rumienił na samą myśl o tym, postarała się przed opuszczeniem salonu oświadczyć mi, wlepiając we mnie swoje piękne pieśczołliwe oczy i poprawiając girlandę storczyków okalającą jej piersi, jaką przyjemnością było dla niej poznanie mnie. Po czym natrącała — dyskretna aluzja do zaproszenia na obiad — o swym pragnieniu „zorganizowania czegoś”, skoro „uloży dzień” z panią de Guermantes.

Zaden z tych żywych kwiatów nie opuścił salonu przed księżną Parmy. Nie wolno wychodzić przed królewską wysokością. Obecność księżnej Parmy była jedną z dwóch, niepodjęzrywanych przeze mnie, przyczyn, dla których pani de Guermantes tak usilnie starała się mnie zatrzymać. Z chwilą gdy księżna Parmy wstała, było to jakby hasło swobody. Wszystkie damy, zgąwszy kolano przed jej wysokością, która podniosła każdą, otrzymały od niej wraz z pocałunkiem — jak gdyby wyblagane na kolanach błogosławieństwo — pozwolenie zakrzętnienia się za okryciem i karetą. Tak że przed bramą odbywał się jakby przegląd wywoływanych kolejno wielkich nazwisk z historii Francji. Księżna Parmy zabroniła pani de Guermantes odprowadzać ją na dół z obawy, aby się nie zaziębiła, a książkę dodał:

— No, Oriano, skoro jej wysokość zezwała, przypomnij sobie, co ci powiedział doktor.

„Zdaje mi się, że księżna Parmy była *bardzo rada* z tego obiadu z panem”. Znałem tę formułę. Książę de Guermantes przebył cały salon, aby mi jej udzielić z uprzejmą i ważną miną, tak jakby wręczał dyplom lub podawał ciasteczka. I z przyjemności, którą zdawał się odczuwać w tej chwili, a która dawała chwilowo tak słodki wyraz jego twarzy, zrozumiałem, że rodzaj obowiązków, jaki to dlań przedstawiało, był z tych, z których się będzie wywiązywał aż po ostatni kres życia, jak z owych honorowych i łatwych funkcji, które zachowuje się nawet będąc ramolem.

W chwili gdy miał odejść, dama dworu księżnej Parmy wróciła do salonu, zapomniawszy zabrać wspaniałych, sprowadzonych z Guermantes goździków, które księżna ofiarowała jej wysokości. Dama dworu była dość czerwona, czuło się, że ją spotkała pucówka⁸⁰⁷, bo księżna Parmy, tak dobra dla wszystkich, nie mogła powstrzymać zniecierpliwienia wobec głupoty swojej suiwantki⁸⁰⁸. Toteż ta biegła szybko, unosząc goździki, ale aby zachować swobodną figlarną minkę, rzekła, przechodząc koło mnie: „Jej wysokość uważa, że ja się zapóźniłam; chciałyby już odejść i mieć równocześnie goździki. Trudno, ja nie jestem mały ptaszek, nie mogę być w kilku miejscach naraz”.

Niestety! Racja niedopuszczająca wstawania przed jej wysokością nie była jedyną. Nie mogłem wyjść natychmiast, bo była i inna racja: było nią to, że sławny zbytek nieznanego Courvoisierom, jakim Guermantowie — bogaci czy na wpół zrujnowani — umieli raczyć swoich przyjaciół, to nie był zbytek jedynie materialny, ale, jak tego często doświadczyłem z Robertem de Saint-Loup, także zbytek uroczych wyrazów, uprzejmych gestów, cała elegancja słowna, podsycana istotnym bogactwem wewnętrznym. Że jednak w próżniactwie światowym bogactwo to pozostaje bez użytku, wyladowywało się ono często, szukając ujścia w jakimś ulotnym i przez to tym lękliwszym wylewie, który u księżnej Oriany mógłby dać złudzenie serdeczności. Czula ją zresztą w chwili, gdy jej dawała upust, bo wówczas w towarzystwie przyjaciela lub przyjaciółki znajdowała rodzaj upojenia, zgoła niezmysłowego, podobnego temu, jakie w niektórych osobach wzniesła muzyka; zdarzało się jej odpiąć od stanika kwiat, medalion i dać je komuś, z kim pragnęłyby przeciągnąć wieczór, czując z melancholią, że takie przedłużenie doprowadziłoby jedynie do czczych rozmówek, w które nie przeszłoby nic z dreszczu przelotnego wzruszenia; rozmówek podobnych do pierwszych ciepłych dni wiosennych przez wrażenie zmęczenia i smutku, jakie zostawiają. I nie należało zbyt poważnie brać upajających

⁸⁰⁷pucówka (daw., pot.) — ostre napomnienie, nagana. [przypis edytorski]

⁸⁰⁸suiwantka (neol.) — z fr. *suivante*: dama do towarzystwa. [przypis edytorski]

ponad wszystko przyrzeczeń, wygłaszanych przez owe kobiety, które dlatego że z taką siłą odczuwają słodycz chwili, czynią z niej — z delikatnością i szlachetnością nieznaną normalnym istotom — arcydzieło wzruszające wdziękiem i dobrocią i nie mają już nic do oddania z siebie z nadejściem innej chwili. Serdeczność ich nie trwa dłużej niż egzaltacja, która ją dyktuje; subtelność, która kazała im wówczas odgadnąć, co byśmy chcieli usłyszeć, i powiedzieć nam to wszystko, pozwoli im równie dobrze w kilka dni później podchwycić nasze śmieszności i bawić nimi innego gościa, z którym właśnie będą kosztowały jednego z owych tak ulotnych „momentów muzycznych”.

W przedśionku zażądałem od lokaja moich *snow-boots*, wziętych dla ochrony od śniegu, którego spadło nieco płatków rychło zmienionych w błoto. Nie zdałem sobie sprawy, że to jest nieeleganckie; ale pod wpływem pogardliwego uśmiechu wszystkich uczulem zawstydenie, które doszło szczytu, kiedy ujrzałem, że księżna Parmy nie wyszła i że mnie widzi, jak wkładam swoje amerykańskie kalosze. Księżna podeszła ku mnie:

— Och, co za wspaniała myśl! — wykrzyknęła. — Jakie to praktyczne: to się nazywa człowiek inteligentny! Wie pani, będziemy musiały kupić takie — rzekła do damy dworu, podczas gdy ironia lokajów zmieniała się w szacunek, goście zaś tłoczyli się dokoła mnie, aby się dowiedzieć, gdzie ja mogłem znaleźć te cuda.

— Dzięki temu nie potrzebuje się pan niczego obawiać, nawet gdyby znów spadł śnieg i gdyby pan szedł daleko, nie ma już pół roku! — rzekła do mnie księżna Parmy.

— Och, co do tego wasza królewska wysokość może być spokojna — przerwała dama dworu ze sprytną miną — nie będzie już śnieg padał.

— Co pani może wiedzieć? — spytała cierpko przezacna księżna Parmy, którą jedynie głupota jej damy dworu umiała wyprowadzić z równowagi.

— Mogę zaręczyć waszej królewskiej wysokości, że nie może śnieg padać, to jest fizyczne niepodobieństwo.

— Ależ czemu?

— Nie może już padać, bo zrobiono, co trzeba, aby temu zapobiec: posypano sól!

Naiwna dama nie spostrzegła gniewu księżnej i wesołości innych osób, bo zamiast zmilczeć, rzekła do mnie z miłym uśmiechem, nie biorąc w rachubę moich zaprzeczeń w przedmiocie admirała Jurien de la Gravière:

— Zresztą cóż to znaczy? Pan musi być zahartowany jak marynarz. Dobra krew nie zawodzi.

Odprowadziwszy księżnę Parmy, pan de Guermantes rzekł do mnie, biorąc moje palto:

— Pomogę panu wdziac kożuch.

Nie uśmiechał się już nawet, używając tego słowa, bo właśnie najpospolitsze wyrażenia stały się, wskutek afektowanej prostoty Guermantów, arystokratyczne.

Egzaltacja kończąca się jedynie melancholią, ponieważ była sztuczna — oto co, mimo iż całkiem odmiennie niż pani de Guermantes, odczuwałem, znalazłszy się w dorożce, która mnie wiozła do pałacu pana de Charlus. Możemy wedle ochoty oddawać się jednej lub drugiej z tych sił: jedna wznosi się z nas samych, promieniuje z naszych głębokich wrażeń, druga nawiedza nas z zewnątrz. Pierwsza w naturalny sposób niesie z sobą radość, tę, którą wydziela życie twórców. Drugi prąd, ten, który próbuje wnieść w nas ruch ożywiający inne osoby, nie jest połączony z przyjemnością; ale możemy ją znaleźć przez odbicie, w ujęciu tak sztucznym, że szybko obraca się w nudę, w smutek; stąd martwa twarz tylu światowców i tyle u nich stanów neurastenicznych, wiodących niekiedy do samobójstwa. Otóż w pojeździe, który mnie wiozł do pana de Charlus, byłem pastwą tego drugiego rodzaju podniecenia, bardzo odmiennego od tego, które czerpiemy z osobistych wrażeń, jak to, które poznałem w innych pojazdach, raz w Combray w kabrioletcie doktora Percepied, skąd widziałem rysujące się w zachodzie słońca wieże Martinville, innego dnia w Balbec, w landzie⁸⁰⁹ pani de Villeparisis, kiedy się starałem odcyfrować reminiscencję następczoną przez grupę drzew. Ale w tym trzecim pojeździe miałem przed oczyma ducha jedynie rozmówki z obiadu u pani de Guermantes, które mi się wydawały tak nudne, na przykład opowiadanie Prinza Von o cesarzu niemieckim, o generale Botha i o armii angielskiej! Wstawiłem je w wewnętrzny stereoskop, poprzez który z chwilą gdy nie jesteśmy już samymi sobą, gdy, obdarzeni duszą światową, pra-

⁸⁰⁹lando — rodzaj czteroosobowego powozu konnego z opuszczaną budą. [przypis edytorski]

gniemy czerpać życie jedynie z drugich, dajemy głębię wszystkiemu, co oni powiedzieli, co zrobili. Niby człowiek pijany, pełen tkliwości dla usługującego mu garsona, zachwycałem się swoim szczęściem — nieodczutym co prawda przeze mnie w danej chwili — żem jadł obiad z kimś, kto zna tak dobrze Wilhelma II i opowiada o nim anegdoty, dalibóg, bardzo dowcipne. Przypominając sobie, wraz z niemieckim akcentem Prinza, historię generała Botha, śmiałem się na cały głos, jakby ten śmiech, podobny pewnym oklaskom zwiększającym wewnętrzny podziw, potrzebny był temu opowiadaniu, aby wzmocnić jego komizm. Przez powiększające szkła nawet te opinie pani de Guermantes, które mi się wydały głupie (na przykład o Franzu Halsie oglądanym z tramwaju), nabierały życia, zdumiewającej głębi. I muszę powiedzieć, że to podniecenie — które zresztą opadło szybko — nie było całkiem niedorzeczne. Tak samo jak pewnego pięknego dnia możemy być szczęśliwi, że znamy osobę absolutnie dla nas dotąd bezwartościową, ponieważ osoba ta okaże się przyjaciółką młodej panienki, w której się kochamy i której ona może nas przedstawić, nabierając dla nas w ten sposób pożytku i uroku, których w naszych oczach zdawała się na zawsze pozbawiona, tak samo nie ma słów, zarówno jak stosunków, co do których można by być pewnym, że się nam nigdy na nic nie zdadzą. To, co pani de Guermantes mówiła o obrazach, które byłoby interesujące oglądać nawet z tramwaju, było mylne, ale zawierało część prawdy, która mi się stała cenna kiedyś.

Tak samo zacytowane przez nią wiersze Wiktora Hugo były, trzeba przyznać, z epoki wcześniejszej od tej, w której Hugo stał się więcej niż nowym człowiekiem, kiedy ukazał w pełni rozkwitu nieznaną jeszcze rodzaj literacki, obdarzony subtelniejszymi organami. W tych poezjach Wiktor Hugo jeszcze sam myśli, zamiast poprzestać — jak natura — na tym, aby dawać do myślenia. Wyrażał wówczas „myśli” w formie najbardziej bezpośredniej, niemal w tym sensie, w jakim brał to słowo książę de Guermantes, kiedy uważając za staromodne i zbyt techniczne, aby uczestnicy wielkich fet w Guermantes wpisywali w album zamkowy, obok swojego podpisu, refleksje filozoficzno-poetyckie, uprzedzał nowo przybyłych błagalnym tonem: „Kochany, tylko nazwisko, bez myśli!”. Otóż te właśnie „myśli” Wiktora Hugo (prawie równie nieobecne w *Legendzie wieków*⁸¹⁰ jak „arie” i „melodie” w drugim okresie Wagnera) lubiła pani de Guermantes w „pierwszym” Wiktorze Hugo. I nawet nie całkiem mylnie. Były wzruszające i już dokoła nich — mimo iż forma nie miała jeszcze głębi, jaką miała osiągnąć później — plusk harmonijnych słów i bogatych rymów czynił je czymś innogatunkowym od tych wierszy, jakie można znaleźć na przykład u Corneille’a i gdzie okresowy i powściągnięty romantyzm, tym bardziej może dla nas wzruszający, nie przeniknął jednak aż do fizycznych źródeł życia, nie przeobraził nieświadomego i podatnego uogólnieniom organizmu kryjącego myśl. Toteż źle zrobiłem, żem się zasklepił dotąd w ostatnich tomach Wiktora Hugo. Z owych pierwszych, zapewne, jedynie maleńka część zdobiła rozmowę pani de Guermantes. Ale właśnie cytując tak oderwany wiersz, zdziesięciokrotnie się jego siłę atrakcji. Wiersze, które wniknęły w moją pamięć lub odżyły w niej w czasie tego obiadu, przyciągały znowuż magnetycznie utwory, w których przywykły się znajdować, i to z taką mocą, że moje naelektryzowane ręce nie mogły dłużej niż czterdzieści osiem godzin opierać się sile wiodącej mnie do domu, w którym znajdowały się *Orientales* i *Chants du crépuscule*. Przeklinałem młodego lokajczyka, że swojej wiosce uczynił dar z mego egzemplarza *Feuilles d’automne*, i posłałem go bezzwłocznie, aby mi kupił inny. Odczytałem te tomy od deski do deski i odzyskałem spokój dopiero wówczas, kiedy nagle ujrzałem, oczekujące mnie w świetle, w którym je skąpała pani de Guermantes, zacytowane przez nią wiersze. Dla wszystkich tych przyczyn rozmowy z księżną Orianą podobne były do owych wiadomości, jakie czerpiemy w bibliotece pałacowej, przestarzałej, niekompletnej, niezdolnej nasycić inteligencję, pozbawionej prawie wszystkiego, co lubimy, ale nastęrczającej czasem jakąś ciekawą informację, nawet cytat pięknej stronicy, której nie znaleźliśmy i którą radzi przypomnimy sobie później wraz z myślą, że jej poznanie zawdzięczamy wspaniałej pańskiej siedzibie. Wówczas dzięki temu, żeśmy znaleźli przedmowę Balzaca do *Pustelni parmeńskiej* lub niewydane listy Jouberta, gotowi jesteśmy przeceniać wartość życia, któreśmy tam pędzili i o którego jałowości zapominamy na skutek tej gratki jednego wieczora.

⁸¹⁰*Legenda wieków* — poemat Wiktora Hugo, pisany w latach 1855–1876, który w planach autora miał opisywać całą historię ludzkości, postępu cywilizacyjnego i przemian społecznych. [przypis edytorski]

Z tego punktu widzenia, o ile wielki świat nie mógł w pierwszej chwili odpowiedzieć temu, czego oczekiwała moja wyobraźnia, i miał tym samym uderzyć mnie zrazu nie tyle różnicą, ale raczej swoim podobieństwem ze wszystkimi innymi światami, mimo to objawił mi się on pomału jako coś bardzo odrębnego. Wielcy panowie to są prawie jedyni ludzie, od których człowiek się uczy tyle co od chłopów; rozmowa ich bogaci się wszystkim, co dotyczy ziemi, dawnych siedzib, dawnych zwyczajów — wszystkim tym, czego świat pieniądza głęboko jest nieświadom. Przyjawszy, że najumiarkowańszy w swych poglądach arystokrata dogonił wreszcie epokę, w której żyje, matka jego, wujowie, cioteczne babki łączą go, kiedy wspomina swoje dzieciństwo, z tym, czym mogło być życie prawie nieznanne dzisiaj. W śmiertelnym pokoju dzisiejszego nieboszczyka pani de Guermentes zauważyłaby natychmiast wszystkie uchybienia zwyczajom, choćby ich nawet nie sformułowała. Raziło ją, gdy na pogrzebie widziała kobiety pomieszane z mężczyznami, gdy istnieje osobne nabożeństwo przeznaczone dla kobiet. Co się tyczy całunu, o którym Bloch myślałby, że użytek jego ograniczony jest do pogrzebów (z powodu „sznurów całunu”, o których mówi się w sprawozdaniach z pogrzebów), pan de Guermentes przypomniałby sobie czas, gdy będąc jeszcze dzieckiem widział, jak trzymano sznury przy ślubie pana de Mailly-Nesle⁸¹¹. Podczas gdy Saint-Loup sprzedał swoje szacowne „drzewo genealogiczne”: stare portrety Bouillonów, listy Ludwika XIII, aby kupić obrazy Carrière’a⁸¹² i meble *modern style*⁸¹³, państwo de Guermentes (wiedzeni może uczuciem, w którym namiętna miłość sztuki grała mniejszą rolę i które mniej przynosiło im zaszczytu) zachowali swoje cudowne meble Boulle’a⁸¹⁴, przedstawiające całość o ileż szacowniejszą dla artysty! Literat byłby również zachwycony ich rozmową, będącą dlań — bo zgłodniały nie potrzebuje drugiego zgłodniałego — żywym słownikiem wszystkich owych wyrażen, które z każdym dniem coraz bardziej idą w zapomnienie: krawatów *à la Saint-Joseph*, dzieci Marii itd., żyjących już tylko u tych, którzy chcą być miłymi i dobrowolnymi konserwatorami przeszłości. Przyjemność, jakiej doznaje pośród nich — bardziej niż w towarzystwie innych literatów — pisarz, przyjemność ta nie jest bez niebezpieczeństwa, bo ów pisarz gotów jest uwierzyć, iż rzeczy minione mają czar same przez się; gotów jest przenieść je jako takie do swego utworu, martwego wówczas od urodzenia, wydzielającego nudę, w której autor się pociesza, mówiąc: „To ładne, bo to jest prawdziwe, tak właśnie się mówi”.

Owe arystokratyczne rozmowy miały zresztą u pani de Guermentes ten urok, że się toczyły w wybornej francuszczyźnie. Z tej racji uprawniały one wesołość księżnej wobec słów takich jak „ezoteryczny”, „kosmiczny”, „pytyjski”, „hiperboliczny”, jakich używał Saint-Loup — tak samo jak wobec jego mebli od Binga⁸¹⁵.

Mimo to opowiastki, które słyszałem u pani de Guermentes — bardzo różne od tego, co mogłem odczuć wobec krzaka głogów lub jedząc magdalenkę — były mi obce. Można by rzec, iż wszedłszy na chwilę we mnie i wzięwszy mnie w posiadanie jedynie fizyczne (ile że miały charakter socjalny, a nie indywidualny), pragnęły co rychlej wyjść ze mnie. Miotałem się w powozie jak pytonissa⁸¹⁶. Czekałem nowego obiadu, gdzie bym sam mógł się stać rodzajem Prinza Von..., pani de Guermentes i opowiedzieć te historie. Na razie wprawiały one w drżenie moje wargi, które szeptały je, i na próżno starałem się przytrzymać swoją myśl, zawrotnie unoszoną odśrodkową siłą. Toteż z gorączkową żądzą niedźwigania już dłużej tego ciężaru samotnie w powozie, gdzie zresztą zastępowałem brak partnera, mówiąc głośno sam do siebie, zadzwoniłem do bramy pana de Charlus. Długi monolog, w którym powtarzałem sobie wszystko, com miał mu opowiedzieć (nie myśląc już prawie o tym, co on mnie mógłby mieć do powiedzenia), wypełnił mi cały czas pobytu

⁸¹¹Mailly-Nesle, Ferry Paul Alexandre de, (1821–1872) — francuski arystokrata, książę Oranii; w 1851 poślubił Józefinę Odoard du Hazez. [przypis edytorski]

⁸¹²Carrière, Eugène (1849–1906) — francuski malarz i grafik. [przypis edytorski]

⁸¹³modern style (ang.) — dosł.: nowoczesny styl; secesja, art nouveau; nurt artystyczny z przełomu XIX i XX w., charakteryzujący się stosowaniem płynnych, falistych linii oraz bogatej ornamentyki, zwłaszcza roślinnej. [przypis edytorski]

⁸¹⁴Boulle, Charles André (1642–1732) — francuski projektant i wytwórca mebli; mistrz intarsji, reprezentant stylu Ludwika XIV. [przypis edytorski]

⁸¹⁵Bing, Siegfried (1838–1905) — niemiecko-francuski marszand, kolekcjoner i mecenas sztuki. [przypis edytorski]

⁸¹⁶pytonissa — w staroż. Grecji: Pytia, wieszczka Apolla w świątyni w Delfach, która siedząc na trójnogu w podziemnym pomieszczeniu, odurzona oparami, w transie udzielała niejasnych przepowiedni na przekazane jej pytania. [przypis edytorski]

w salonie, dokąd mnie lokaj wprowadził. Byłem zresztą zbyt wzruszony, aby cośkolwiek widzieć. Tak bardzo potrzebowałem, aby pan de Charlus wysłuchał opowiadań, które mi pilno było wydzielić z siebie, że odczułem gwałtowny zawód na myśl, że on może śpi i że będę musiał zawrócić do domu, samotnie trawiąc swoje pijaństwo słów.

Spostrzegłem w istocie, że czekam już dwadzieścia pięć minut, że może mnie zapomniano w tym salonie, o którym mimo tak długiego czekania mógłbym co najwyżej powiedzieć, że był olbrzymi, zielonkawy i że były tam jakieś portrety. Potrzeba mówienia przeszkadza nie tylko słyszeć, ale widzieć; w tym wypadku wszelki brak zewnętrznego opisu jest już opisem stanu wewnętrznego. Miałem wyjść z salonu, aby zawołać kogoś, a jeśli nikogo nie znajdę, odszukać drogę do przedpokoju i kazać sobie otworzyć, kiedy, właśnie w chwili kiedy wstałem i postąpiłem kilka kroków na mozaikowej posadzce, wszedł kamerdyner i z zakłopotaną miną oświadczył:

— Pan baron miał ważne sprawy, zajęty był aż do tej pory. Jeszcze kilka osób czeka na niego. Zrobię, co w mojej mocy, aby pan baron przyjął pana, kazałem już dwa razy telefonować do sekretarza.

— Nie, niech się pan nie trudzi; umówiłem się z panem baronem, ale już jest późno i skoro jest dziś zajęty, przyjdę innego dnia.

— Och, nie, niech pan nie odchodzi — wykrzyknął kamerdyner. — Pan baron mógłby się gniewać. Jeszcze raz spróbuję.

Przypomniałem sobie, com słyszał o służących pana de Charlus i o ich przywiązaniu do pana. Nie można było całkowicie powiedzieć o nim tego, co o księciu de Conti⁸¹⁷, że stara się podobać tak samo lokajowi jak ministrowi, ale pan de Charlus tak dalece umiał zrobić ze swego najdrobniejszego żądania rodzaj łaski, że wieczorem, kiedy przebiegłszy wzrokiem lokajów zebranych dokoła niego w pełnej szacunku odległości, powiedział: „Coignet, lichtarz!”, albo: „Ducret, koszula!”, inni oddalali się, mruczając z zawiści, zazdrośni o tego, którego spotkało to wyróżnienie. Dwaj nawet, którzy się nie cierpieli, próbowali nawzajem wydrzeć sobie łaski pana, nasuwając mu się pod najgłupszym pretekstem z usługą, w nadziei, że im przypadnie tego wieczora lichtarz lub koszula. Jeżeli się zwrócił do którego z nich wprost z rzeczą nienależącą do jego obowiązków, co więcej, jeżeli w ogrodzie w zimie, wiedząc, że któryś z jego stangretów jest zakatarzony, powiedział mu po upływie dziesięciu minut: „Nakryj głowę”, inni nie odzywali się do tego szczęśliwca przez dwa tygodnie, zazdroszcząc łaski, jaka go spotkała.

Czekałem jeszcze dziesięć minut, po czym, poprosiwszy mnie, żebym nie siedział zbyt długo, ponieważ pan baron jest zmęczony i musiał odprawić kilka bardzo ważnych osób zamówionych od dawna, wprowadzono mnie do niego. Ten ceremoniał dokoła pana de Charlus mniej robił na mnie wrażenie wielkości niż prostota jego brata Guermantes; ale już drzwi się otwały, ujrzałem barona w chińskim szlafroku, z gołą szyją, wyciągniętego na kanapie. W tej samej chwili uderzył mnie widok błyszczącego cylindra spoczywającego na krześle wraz z futrem, tak jakby baron dopiero co wrócił do domu.

Lokaj wyszedł. Sądziłem, że pan de Charlus podejdzie do mnie. Bez żadnego ruchu wlepił we mnie nieubłagane oczy. Zbliżyłem się, pozdrowiłem go; nie podał mi ręki, nie odpowiedział ani słowa, nie poprosił, abym usiadł. Po chwili spytałem go, tak jakbym się spytał źle wychowanego lekarza, czy muszę koniecznie stać. Zrobiłem to bez złej intencji, ale wyraz zimnego gniewu na twarzy pana de Charlus stał się jeszcze groźniejszy. Nie wiedziałem zresztą, że u siebie na wsi, w zamku w Charlus, baron, który lubił się bawić w króla, miał zwyczaj po obiedzie rozkładać się na fotelu w palarni, pozwalając gościom stać dokoła siebie. Prosił jednego o ogień, drugiemu ofiarowywał cygaro, po czym po upływie kilku chwil mówił: „Ależ, Argencourt, siadaj, proszę, weź sobie krzesło, mój drogi” itd., umyślnie przedłużając ich stanie, jedynie aby pokazać, że to on im pozwala usiąść.

— Siadaj pan na krześle Louis XIV — odparł z rozkazującą miną, raczej aby mnie oddalić od siebie niż aby mi ofiarować krzesło.

Siadłem na fotelu opodal.

⁸¹⁷ *Bourbon-Conti, Franciszek Ludwik de* (1664–1709) — francuski arystokrata, książę Conti (od 1685); w 1697 oficjalnie wybrany królem Polski przez większość sejmową, zmuszony do wycofania się wobec wcześniejszego wkroczenia z armią do Rzeczypospolitej Augusta II Mocnego, kontrkandydata popieranego przez Rosję. [przypis edytorski]

— A, to pan nazywa krzesłem Louis XIV! Widzę, że pan jest wykształcony — wykrzyknął drwiąco.

Byłem tak zdumiony, że nie ruszyłem się, ani by odejść (tak jak by należało), ani aby się przesiąść, jak chciał baron.

— Mój panie — rzekł, wążąc każde wyrażenie i w najbardziej impertynenckich słowach dublując spółgłoski — rozmowa, której zgodziłem się panu udzielić na prośbę osoby nieżyczącej sobie, abym ją wymieniał, będzie końcowym punktem naszych stosunków. Nie będę panu ukrywał, że się spodziewałem czegoś lepszego; spaczyłbym może nawet znaczenie słów — czego, przez prosty szacunek dla samego siebie, nie powinno się czynić nawet z kimś, kto nie zna ich wartości — mówiąc panu, że miał dla niego sympatię. Sądzę jednak, że „życzliwość”, w swoim sensie najoczywściej protekcyjnym, nie przekraczałaby ani tego, com odczuwał, ani tego, co zamierzałem ujawnić. Zawiadomiłem pana tuż po swoim powrocie do Paryża, dałem panu znać jeszcze do Balbec, że pan może liczyć na mnie...

Przypominając sobie scenę, po której pan de Charlus rozstał się ze mną w Balbec, zaprzeczyłem gestem.

— Jak to! — wykrzyknął z gniewem, i w istocie twarz barona, skurczona i blada, tak bardzo się różniła od jego zwyczajnej twarzy, jak morze, na którym w burzliwy poranek zamiast zwykłej promiennej powierzchni ujrzymy tysiąc wężów spienionej śliny. — Pan twierdzisz, żeś nie otrzymał mego zlecenia, oświadczyń niemal, że pan ma o mnie pamiętać? Co zdobyło książkę, którą panu przesłałem?

— Bardzo ładny ornamentek — odparłem.

— A — odparł baron ze wzgardliwą miną — młodzi Francuzi nietęgo znają arcydzieła swojego kraju. Co by się powiedziało o młodym berlińczyku, który by nie znał *Walkirii*! Trzeba zresztą przypuszczać, że pan jesteś ślepy, skoroś mi mówił, żeś spędził dwie godziny przed tym arcydziełem. Widzę, że pan się tak samo nie znasz na kwiatach jak na stylach; niech pan nie protestuje co do stylów — krzyknął baron tonem najwyższej wściekłości — pan nie wiesz nawet, na czym siedzisz! Częstujesz swój zadek kozetką *directoire*⁸¹⁸ jako berżerką Louis XIV! Któregoś dnia weźmiesz pan kolana pani de Villeparisis za sedes i licho wie, co na nie urządzisz. Podobnie nie poznałeś nawet w oprawie książki Bergotte’a ornamentu niezapominajek z kościoła w Balbec. Czy był jaśniejszy sposób powiedzenia panu: „Nie zapomnij o mnie!”?

Patrzyłem na pana de Charlus. Niewątpliwie jego wspaniała i odpychająca głowa biła głowy wszystkich jego bliskich; można by rzec — postarzały Apollo⁸¹⁹; ale zdawało się, że oliwkowa wątrobiana ciecz tryśnie z jego złych ust. Co się tyczy inteligencji, niepodobna zaprzeczyć, że dzięki szerokiemu kąтови widzenia ogarniała ona wiele rzeczy, które miały pozostać na zawsze nieznanie księciu de Guermantes. Ale jakimi bądź pięknymi słowy baron barwił swoje nienawiści, czuło się, że nawet jeżeli w nich grała to obrażona duma, to zawiedziona miłość, uraza, sadyzm, przekora, *idée fixe*⁸²⁰, człowiek ten jest zdolny zamordować kogoś i dowodzić potem całą siłą logiki, wymowy, że miał rację to uczynić i że mimo to przerasta o sto głów swego brata, bratową itd., itd.

— Jak we *Włócznikach* Velasqueza⁸²¹ — ciągnął — zwycięzca posuwa się ku temu, który jest najpokorniejszy (tak jak przystało wszelkiej szlachetnej istocie), tak ja, czując się wszystkim, gdy pan jesteś niczym, zrobiłem pierwszy krok ku panu. Odpowiedziałeś pan głupio na to, co nie mnie przystoi nazwać wielkością. Ale ja się nie dałem zniechęcić. Nasza religia głosi cierpliwość. Cierpliwość, jaką okazałem wobec pana, będzie mi policzona, mam nadzieję; i ów fakt, że się tylko uśmiechnął z tego, co można było poczytać za impertynencję — o ile można mówić o impertynencji ze strony pana wobec kogoś, kto pana przerasta o tyle stóp. Ale dziś, młody panie, nie ma już mowy o tym

⁸¹⁸*directoire* (fr.) — dyktoriał; tu: styl z francuskiego okresu Dyktoriałtu, od obalenia jakobinów na czele z Robespierre’em do zamachu stanu Napoleona (1794–1799). [przypis edytorski]

⁸¹⁹*Apollo* (mit. gr.) — bóg słońca, opiekun sztuki, przewodnik dziewięciu muz, klasyczny ideał męskiego piękna. [przypis edytorski]

⁸²⁰*idée fixe* (fr.) — powracająca, natrętna myśl; obsesja. [przypis edytorski]

⁸²¹*Velasquez, Diego* (1599–1660) — hiszpański malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista; jego obraz *Poddanie Bredy* z 1635, przedstawiający poddanie wojskom hiszpańskim niderlandzkiego miasta Breda, znany jest także pod hiszp. tytułem *Las Lanzas* (Piki): nad przedstawionym w prawej części oddziałem hiszpańskim gęsto wznoszą się piki (długa broń drzewcowa piechoty). [przypis edytorski]

wszystkim. Poddałem pana próbie, którą jedyny wybitny człowiek naszego świata bardzo inteligentnie nazywa „próbą nadmiaru uprzejmości”, słusznie określając ją jako najstraszliwszą ze wszystkich, jedyną zdolną oddzielić ziarno od kłokolu. Nie wyrzuciłbym nawet panu, żeś ją przeszedł bez powodzenia, bo rzadcy są ci, co z niej wychodzą zwycięsko. Ale przynajmniej — i to jest konkluzja ostatnich słów, jakie zamienimy na ziemi — chcę być zabezpieczony od pańskich potwarczych urojeń.

Nie przyszło mi dotąd na myśl, że przyczyną gniewu pana de Charlus mogło być jakieś ujemne wyrażenie, które mu powtórzono; sięgałem do swojej pamięci: nie mówiłem o nim z nikim. Jakiś złośliwy język musiał coś zmyślić całkowicie. Zaręczyłem panu de Charlus, że nie mówiłem o nim absolutnie nic.

— Nie sądzę — dodałem — abym mógł pana pogniewać tym, że powiedział pani de Guermantes, iż jesteście w przyjaźni.

Uśmiechnął się ze wzgardą, podniósł głos do najwyższych rejestrów i, tu biorąc łagodnie najostrzejszą i najbardziej arogancką nutę, rzekł, wracając nadzwyczaj powoli do naturalnej intonacji, jakby oczarowany po drodze niezwykłością tej zstępującej gamy:

— Och, drogi panie, sądzę, że pan sam sobie czynisz krzywdę, obwiniając się, żeś powiedział, iż jesteście „w przyjaźni”. Nie spodziewałem się wielkiej ścisłości słownictwa od kogoś, kto wziąłby łatwo mebel Chippendale⁸²² za rokokową⁸²³ ambonę, ale ostatecznie, nie sądzę — dodał z coraz to bardziej drwiącą pieszczotą głosu, zakwitającą na jego ustach czarującym uśmiechem — nie sądzę, abys pan powiedział i wierzył, że jesteście w przyjaźni! Co do tego, żeś się pan pochwalił, iż byłeś mi *przedstawiony*, żeś *rozmawiał ze mną*, że *mnie znasz* trochę, żeś uzyskał niemal bez natręctwa nadzieję stania się kiedyś moim *protegowanym*, to uważam, przeciwnie, z pańskiej strony za bardzo naturalne i inteligentne. Znaczna różnica wieku między nami pozwala mi uznać bez ironii, że ta *prezentacja*, te *rozmowy*, ta mglista przynęta *stosunków* były dla pana, nie moją rzeczą jest powiedzieć, *zaszczytem*, ale ostatecznie co najmniej korzyścią. Uważam, że głupstwo pańskie leży nie w tym, żeś to rozgłosił, ale żeś tego nie umiał zachować. Dodam nawet — rzekł nagle, przechodząc na chwilę z wyniosłego gniewu do słodczy tak nasyczonej smutkiem, iż myślałem, że zacznie płakać — że kiedyś pan zostawił bez odpowiedzi propozycję, jaką panu uczyniłem w Paryżu, wydało mi się to czymś tak niesłychanym ze strony pana, tak dobrze zdawałoby się, wychowanego, z dobrej *mieszkańskiej* rodziny — jedynie przy tym przymiotniku głos jego zadrgał świstem impertynencji — że byłem gotów naiwnie uwierzyć we wszystkie bajeczki, które nie zdarzają się nigdy, w zgubione listy, w omyłki w adresie. Uznaję, że to była z mojej strony wielka naiwność, ale święty Bonawentura⁸²⁴ wołał raczej uwierzyć w to, że wół może latać, niż w to, że jego brat mógł skłamać. Ostatecznie, wszystko to jest skończone, propozycja nie nadała się panu, nie ma już o tym mowy. Zdaje się jedynie, że pan mógłbyś — tu doprawdy zadrgały łzy w głosie barona — napisać do mnie, bodaj przez szacunek dla mego wieku. Miałem dla pana na myśli rzeczy nieskończenie ponętne, których panu bynajmniej nie wyjawilem. Woląłeś pan odmówić na nieznane: to pańska rzecz. Ale, powtarzam panu, zawsze można *napisać*. Ja na pańskim miejscu, a nawet na swoim, byłbym to zrobił. Wolę nawet z *tego powodu* swoje miejsce niż pańskie; mówię: z tego powodu, ponieważ sądzę, że wszystkie miejsca są równe, i więcej mam sympatii dla inteligentnego robotnika niż dla niejednego księcia. Ale mogę powiedzieć, że wolę swoje miejsce, bo wiem, że w całym swoim życiu, które zaczyna być dosyć długie, nigdy nie zrobiłem tego, coś pan zrobił. — Głowa pana de Charlus odwróciła się w cieniu; nie wiem, czy z oczu jego spłynęły łzy, jak można by przypuszczać z głosu. — Mówiłem, żeś zrobił sto kroków ku panu; to miało ten skutek, żeś pan zrobił dwieście kroków wstecz. Teraz na mnie kolej oddalić się: i koniec znajomości! Nie zapamiętam pańskiego nazwiska, ale zapamiętam postępowanie, aby w dniach, kiedy byłbym skłonny przypuszczać, że ludzie mają serce, delikatność lub że mają bodaj

⁸²²Chippendale, Thomas (1718–1779) — brytyjski projektant mebli; jego nazwisko stało się nazwą angielskiego stylu meblarstwa, zapoczątkowanego przez wydaną przez niego pierwszą w historii książkę o projektowaniu mebli. [przypis edytorski]

⁸²³rokoko — dekoracyjny styl w sztuce europejskiej w XVIII w., najsilniej rozwinął się we Francji, za panowania Ludwika XV. [przypis edytorski]

⁸²⁴Bonawentura z Bagnoregio, właśc. Giovanni Fidanza (ok. 1217–1274) — włoski franciszkanin, teolog, filozof scholastyk; święty katolicki. [przypis edytorski]

na tyle inteligencji, aby nie wypuszczać szansy niełatwo powtarzającej się w życiu, aby sobie przypomnieć, że kto tak mniema, ten szacuje ludzi zbyt wysoko. Nie, to, żeś pan powiedział, że mnie znasz, kiedy to była prawda (bo teraz przestanie być prawdą), mogę uznać jedynie za naturalne; uważam to za hołd, to znaczy za rzecz miłą. Na nieszczęście, gdzie indziej i w innych okolicznościach mówiłeś pan rzeczy zupełnie inne.

— Proszę pana, ja przysięgam, że nie powiedział nic, co by pana mogło obrazić.

— A kto mu powiada, że ja jestem obrażony? — wykrzyknął baron, wściekły, przystając się gwałtownie na szeszlangu, na którym spoczywał dotąd nieruchomo, podczas gdy blade, spienione wężę jego twarzy kurczyły się, a głos stawał się na przemian ostry lub poważny, niby ogłuszająca i rozpętana burza. (Donośny głos, jakim mówił zazwyczaj, sprawiający, że się ludzie na ulicy oglądali, zstokrotnił się na kształt *forte*⁸²⁵, gdy zamiast na fortepianie weźmie się je w orkiestrze, i co więcej, zmieni w *fortissimo*⁸²⁶. Pan de Charlus ryczał). Czy pan myśli, że jest w pańskiej mocy obrazić mnie? Nie wie pan, do kogo pan mówi? Czy pan myśli, że zatruta ślina pięciuset pańskich lilipucich przyjaciół, gdyby nawet stanęli jedni na drugich, zdołałyby osiągać bodaj moich dostojnych stóp?

Od pewnej chwili chęć przekonania pana de Charlus, że nigdy nie mówiłem ani nie słyszałem o nim nic złego, ustąpiła szalonej wściekłości, wywołanej jego słowami, które, moim zdaniem, dyktowała jedynie potworna pycha. Były może skutkiem, częściowo bodaj, owej pychy. Prawie wszystko inne płynęło z uczucia, którego jeszcze nie znałem; nie było zatem moją winą, że go nie wziął w rachubę. Mógłbym co najwyżej, w braku tego nieznanego uczucia — gdybym pamiętał słowa pani de Guermantes — dumę barona zaprawić domieszką szaleństwa. Ale w tej chwili szaleństwo nie przyszło mi nawet na myśl. Wedle mnie, była w panu de Charlus sama pycha, we mnie sama wściekłość. W chwili gdy pan de Charlus przestał na chwilę ryczeć, aby mówić o swoich „dostojnych stopach”, z majestatyczną miną, niemal wymiotując wzdargą na pokątnych oszczerców, wściekłość moja przestała już panować nad sobą. Czułem odruchową potrzebę walenia w coś, resztką zaś zastanowienia kazała mi szanować człowieka o tyle starszego ode mnie, jak również — dla jej artystycznej wartości — niemiecką porcelanę, stojącą w pobliżu barona. Rzuciłem się na jego nowy cylinder, strąciłem go na ziemię, zdeptałem, sililem się rozgnieść go zupełnie. Zerwałem rondo, przedarłem na pół główkę, nie zważając na krzyki pana de Charlus; po czym, przebiegłszy pokój, otwarłem drzwi. Ku memu zdumieniu po obu stronach drzwi stali dwaj lokaje, którzy oddalili się wolno, aby się mogło zdawać, że znaleźli się tam jedynie przypadkiem. (Dowiedziałem się później ich nazwisk: jeden nazywał się Burnier, drugi Charmel). Nie oszukało mnie ani na chwilę to tłumaczenie podsufwane mi ich niedbałym krokiem. Było nieprawdopodobne; trzy inne hipotezy wydały mi się wiarygodniejsze; jedna, że baron przyjmuje czasem gości, przeciw którym mógłby potrzebować pomocy (ale czemu?); uważa tedy za potrzebne mieć w pobliżu odzież. Druga, że zwabieni ciekawością, podsłuchiwali po prostu, nie przypuszczając, abym wyszedł tak szybko. Trzecia, że cała scena, którą mi zrobił pan de Charlus, była przygotowana i odegrana; że sam polecił im, aby słuchali, przez gust do teatralności, połączonej może z jakimś *Nunc erudimini*⁸²⁷, z którego każdy mógł wyciągnąć naukę.

Gniew mój nie uśmierzył gniewu barona, ale moje wyjście z pokoju najwyraźniej przejęło go szczerą boleścią. Odwołał mnie, kazał mnie zawrócić i w końcu jakby zapomniawszy, że przed chwilą, mówiąc o swoich „dostojnych stopach”, czynił mnie niejako świadkiem własnej deifikacji⁸²⁸, pobiegł pędem, dopadł mnie w sieni i zagroził sobą drzwi.

— No — rzekł — nie bądź pan dzieckiem, wróć na minutę; kto mocno kocha, ten mocno karci, jeżeli więc pana skarciłem, to dlatego, że pana bardzo kocham.

Gniew mój opadł, puściłem mimo uszu słowo „karcić” i udałem się za baronem, który przywoławszy lokaja, kazał mu bez żadnej urazy zabrać strzepy cylindra, który zastąpiono innym.

⁸²⁵*forte* (wł., muz.) — mocno, głośno. [przypis edytorski]

⁸²⁶*fortissimo* (muz., wł.) — bardzo głośno, bardzo mocno. [przypis edytorski]

⁸²⁷*Nunc erudimini* (łac.) — Teraz nauczcie się (słowa z Ps 2, 10, w kulturze francuskiej znane z użycia ich przez Bossueta w mowie żałobnej poświęconej Henryce Marii de France, księżniczce francuskiej i królowej Anglii). [przypis edytorski]

⁸²⁸*deifikacja* — ubóstwienie. [przypis edytorski]

— Jeżeli mi pan zechce zdradzić, kto mnie nikczemnie spotwarzył — rzekłem do pana de Charlus — zostaję, aby się dowiedzieć o tym i aby skarać szalbierza.

— Jak to, więc pan nie wie? Czy pan nie zachowuje w pamięci tego, co pan mówi? Czy pan myśli, że osoby, które mi oddają tę usługę, aby mnie ostrzec, nie proszą na wstępie o sekret? I czy pan myśli, że ja chybię sekretu temu, komu go przyrzekłem?

— Zatem nie może mi pan powiedzieć? — spytałem, ostatni raz szukając w głowie (gdzie nie znajdowałem nikogo), komu mogłem coś mówić o panu de Charlus.

— Czyś pan nie słyszał, że przyrzekł sekret swemu informatorowi — rzekł baron świszczącym głosem. — Widzę, że ze skłonnością do ohydnych paplania łączy pan zwyczaj daremnych nalegań. Powinieneś pan bodaj umieć skorzystać z naszej ostatniej rozmowy i mówić po to, aby coś powiedzieć, a nie kręcić się w kółko dokoła niczego.

— Panie baronie — rzekłem, cofając się — pan mnie znieważa; wobec tego, że mnie pan kilkakrotnie przewyższa wiekiem, jestem bezbronny, gra jest nierówna. Z drugiej strony, nie mogę pana przekonać; przysiągłem panu, że nic nie mówił.

— Zatem ja kłamię! — wykrzyknął straszliwym głosem, robiąc taki skok, że się znalazł o dwa kroki ode mnie.

— Oszukano pana.

Wówczas słodkim, serdecznym, melancholijnym głosem, niby w owych symfoniach granych bez pauzy między częściami, i gdzie lube, idylliczne scherzo⁸²⁹ następuje po gromach pierwszego ustępu, baron rzekł niespodzianie:

— To bardzo możliwe. W zasadzie, powtórzone słowa rzadko bywają prawdziwe. To pańska wina, jeżeli, nie skorzystawszy ze sposobności widzenia mnie, którą panu ofiarowałem, nie dał mi pan, za pomocą szczerých i codzienných słów stwarzających zaufanie, jedynej i stanowczej rękąmi przeciw słowu, które pana czyniło zdrajcą. W każdym razie, prawdziwe czy fałszywe, słowo to zrobiło swoje. Nie mogę się już wyzwolić z wrażenia, jakie na mnie sprawiło. I nie mogę nawet powiedzieć, że kto mocno kocha, mocno karci, bo choć pana mocno skarciłem, nie Kocham już pana.

Mówiąc to, baron zmusił mnie, abym usiadł. Zadzwoił. Nowy lokaj wszedł do pokoju.

— Przynies coś do picia i kaź zaprzęgać.

Powiedziałem, że mi się nie chce pić, że jest późno i że mam zresztą swój powóz.

— Prawdopodobnie zapłacono go i odprawiono — rzekł baron — niech się pan tym nie zajmuje. Kazałem zaprzęgać, aby pana odwiedziono... Jeżeli się pan boi, że jest za późno... mógłbym panu dać pokój tutaj...

Powiedziałem, że matka byłaby niespokojna.

— Och, tak, prawdziwe czy fałszywe, słowa zrobiły swoje. Moja nieco przedwczesna sympatia zakwitła zbyt rychło; i jak te jabłonie, o których pan tak poetycznie mówił w Balbec, nie wytrzymała pierwszego przymrozka.

Gdyby sympatia pana de Charlus wciąż była jeszcze żywa, baron nie mógłby postępować inaczej; powtarzając bowiem, że wszystko między nami skończone, zatrzymywał mnie, dawał mi pić, ofiarowywał nocleg i obiecywał mnie odesłać. Robił nawet wrażenie, że boi się chwili, gdy się ma rozstać ze mną i zostać sam — owym rodzajem nerwowego lęku, jakiego jego bratowa i kuzynka Oriana doświadczała godzinę wprzód, kiedy mnie zmuszała, abym został jeszcze trochę, z tą samą ulotną sympatią do mnie, z tą samą żądzą przedłużenia minuty.

— Na nieszczęście — dodał pan de Charlus — nie mam daru wskrzeszenia tego, co raz szeszło. Moja sympatia dla pana już umarła. Nic jej nie może wrócić życia. Sądzę, iż nie ubliżę samemu sobie, wyznając, że żałuję tego. Czuję się zawsze trochę jak Booz Wiktora Hugo:

Jestem wdowiec, samotny, wieczór na mnie pada.

Szedłem z baronem przez wielki zielony salon. Powiedziałem, na ślepo, że salon jest bardzo piękny.

⁸²⁹ scherzo (muz.) — utwór instrumentalny o trójdzielnej budowie i szybkim tempie. [przypis edytorski]

— Prawda? — odparł. — Trzeba coś kochać. Boazerie rzeźbił Bagard⁸³⁰. Dosyć ładnie, jak pan widzi, dostosowano je do krzeseł *beauvais* i do konsoli. Uważa pan: powtarzają ten sam dekoracyjny motyw. Były już tylko dwie rezydencje, gdzie jest coś podobnego: Luwr i dom pana d’Hinnisdal. Ale oczywiście z chwilą gdy postanowiłem zamieszkać przy tej ulicy, znalazł się stary pałac Chimay, którego nikt nigdy nie widział, bo zjawiał się tylko dla mnie. W sumie to niezłe. Mogłoby zapewne być lepiej, ale ostatecznie: niezłe. Prawda, są tu ładne rzeczy; portrety moich wujów, króla polskiego i króla angielskiego: Mignard⁸³¹. Ale co ja panu mówię, wie pan to równie dobrze jak ja, skoro pan czekał w tym salonie. Nie? A! Widocznie wprowadzono pana do błękitnego salonu — rzekł tonem bądź pogardy dla mego braku ciekawości, bądź tonem osobistej wyższości, jakby się nie zatroszczył o to, gdzie mi kazano czekać. — O, w tym gabinecie są wszystkie kapelusze księżniczki Elżbiety⁸³², księżnej de Lamballe⁸³³ i królowej⁸³⁴. To pana nie interesuje; można by rzec, że pan nie widzi. Może pan jest dotknięty zanikiem nerwu optycznego. Jeżeli pan przekłada ten rodzaj piękności, oto *Tęcza* Turnera⁸³⁵, która zaczyna błyszczeć między tymi dwoma Rembrandtami na znak naszego pojednania. Słyszy pan: Beethoven przyłącza się do niej.

I w istocie rozległy się pierwsze akordy trzeciej części *Symfonii pastoralnej*, „radość po burzy”, wykonane niedaleko nas, z pewnością na pierwszym piętrze. Spytałem naiwnie, jakim cudem grają to tutaj i co to za muzykanci.

— Ha! Cóż? Nie wiadomo. Nigdy nie wiadomo. To są harmonie niewidzialne. To ładne, prawda — rzekł tonem lekko impertynenckim, który jednak przypominał trochę wpływ i akcent Swanna. — Ale pan troszczy się o to tyle co gęś o fiołki. Chce pan wracać do domu, choćbyś miał chybić szacunku Beethovenowi i mnie. Wydaje pan sam na siebie sąd i wyrok — dodał baron serdecznie i smutno, kiedy nadeszła chwila pożegnania. — Daruję pan, że go nie odprowadzę, jak by grzeczność nakazywała. Pragnąc nie ujrzyć już pana nigdy, nie dbam o to, aby z nim spędzić jeszcze pięć minut. Zmęczony jestem i mam dużo do czynienia. — Jednakże widząc, że pogoda jest piękna, dodał:

— Zresztą dobrze, odwiozę pana. Jest wspaniały księżyc, pojedę go oglądać do Lasku, skoro pana odstawię na miejsce. Jak to, pan się nie umie golić, nawet kiedy masz proszony obiad, przepuścił pan kilka włosów — rzekł baron, ujmując mój podbródek w dwa jakby namagnesowane palce, które, zawahawszy się chwilę, pobiegły ku moim uszom jak palce fryzjera. — Ha! To byłoby przyjemne oglądać ten „błękitny blask księżycy” w Lasku z kimś takim jak pan — rzekł z nagle i jakby mimowolną słodyczą, po czym smutno dodał: — Bo pan jest i tak bardzo miły, mógłby pan być miłszy niż ktokolwiek — dodał, dotykając po ojcowsku mego ramienia. — Dawniej, muszę to panu powiedzieć, wydawał mi się pan bardzo nieciekawym.

Powinienem być pomyśleć, że wciąż mu się wydaję takim. Wystarczyło mi przypomnieć sobie wściekłość, z jaką mówił do mnie niespełna przed pół godziną. Mimo to miałem wrażenie, że pan de Charlus jest w tej chwili szczery, że jego dobre serce góruje nad tym, co mi się wydało stanem niemal szaleństwa z podejrzliwości i dumy. Powóz stał, a baron przedłużał jeszcze rozmowę.

— No — rzekł — niech pan siada; za pięć minut będziemy u pana. I powiemy sobie dobranoc, które położy kres, i to na zawsze, naszym stosunkom. A skoro się mamy rozstać na zawsze, lepiej, żebyśmy to zrobili, jak w muzyce, na doskonałym akordzie.

Mimo tych uroczystych zapewnień, że się ujrzemy nigdy, przysiągłbym, iż pan de Charlus, niekoment, że się zapomniał przed chwilą, i bojąc się, że mi sprawił przykrość, chętnie ujrzałby mnie jeszcze raz. Nie myliłem się, bo po chwili rzekł:

⁸³⁰ *Bagard, César* (1620–1709) — francuski rzeźbiarz w drewnie i dekorator. [przypis edytorski]

⁸³¹ *Mignard* — francuski malarz: Pierre Mignard (1612–1695) lub jego brat Nicolas Mignard (1606–1668). [przypis edytorski]

⁸³² *Elżbieta Filipina Maria Helena de France*, zwana *Madame Elisabeth* (1764–1794) — księżniczka francuska, siostra królów Francji: Ludwika XVI, Ludwika XVIII i Karola X. [przypis edytorski]

⁸³³ *Marie-Thérèse-Louise de Savoie-Carignan* (1749–1792) — francuska arystokratka, żona Ludwika Aleksandra, księcia Lamballe, przyjaciółka Marii Antoniny, królowej Francji. [przypis edytorski]

⁸³⁴ *królowa* — Maria Antonina Maria Antonina (1755–1793), królowa Francji jako żona Ludwika XVI. [przypis edytorski]

⁸³⁵ *Turner, William* (1775–1851) — wybitny angielski malarz pejzażysta, prekursor impresjonizmu. [przypis edytorski]

— Cha, cha! Ale ja zapomniałem najważniejszego. Przez pamięć pańskiej drogiej babci kazałem oprawić dla pana ciekawe wydanie pani de Sévigné. Drobiazg ten nie pozwala, aby to nasze spotkanie było ostatnim. Trzeba się pocieszyć świadomością, że rzadko się w jednym dniu likwiduje zawikłane sprawy. Niech pan pomyśli, jak długo trwał kongres wiedeński⁸³⁶.

— Ależ ja mógłbym posłać po to, nie trudząc pana — rzekłem uprzejmie.

— Będziesz ty cicho, głuptasie mały — odparł baron z gniewem — wolałby pan oszczędzić sobie tej śmieszności, aby uważać za małą rzecz honor, iż będziesz prawdopodobnie przyjęty przeze mnie (nie mówię na pewno, bo może po prostu lokaj odda panu te książki).

Opamiętał się:

— Nie chcę się z panem rozstawać na tych słowach. Nie trzeba dysonansu; przed wiekiutą ciszą: akord dominantowy.

Miałem wrażenie, że to dla własnych nerwów baron obawia się powrotu tuż po ostrych słowach zwady.

— Nie chce pan przejechać się ze mną do Lasku — rzekł tonem nie pytającym, lecz twierdzącym i, jak mi się zdawało, nie dlatego, że nie chciał mi tego zaofiarować, ale że jego miłość własna bała się odmowy.

— Więc tak — rzekł, zwołując jeszcze — to chwila, kiedy, jak powiada Whistler, mieszcuchy wracają do domu (może baron chciał mnie wziąć na ambicję), a kiedy należy zacząć patrzeć. Ale pan nawet nie wie, co to jest Whistler.

Zmieniłem temat i spytałem, czy księżna Iéna jest osobą inteligentną. Pan de Charlus zatrzymał mnie i rzekł tonem nieskończonej wzgardy:

— Och, drogi panie, robi pan aluzje do nomenklatury, z którą nie mam nic do czynienia. Jest może arystokracja u mieszkańców Tahiti, ale przyznaję, że jej nie znam. Nazwisko, które pan wymówił, rozległo się jednak, szczególnie rzecz, przed kilku dniami w moich uszach. Zapytano mnie, czybym się zgodził, aby mi przedstawiono młodego księcia de Guastalla. Pytanie zdziwiło mnie; książę de Guastalla nie potrzebuje mi się przedstawiać z tej prostej racji, że jest moim kuzynem i że mnie zna od wieków. Jest to syn księżnej Parmy i jako bardzo dobrze wychowany młody krewny nigdy nie zaniedbuje przedłożyć mi swoich służb w dzień Nowego Roku. Ale po zasięgnięciu informacji okazało się, że nie chodzi o mego krewniaka, ale o syna osoby, którą pan właśnie wspomniał. Ponieważ nie istnieje księżna tego nazwiska, przypuszczałem, że chodzi o jakąś nędzarkę spijającą pod mostem Iéna, która przybrała malowniczo tytuł „księżnej Iéna”, tak jak się mówi Pantera z Batignolles⁸³⁷ albo Król Stali⁸³⁸. Ale nie, chodziło o bogatą osobę, której bardzo piękne meble podziwiałem na wystawie; meble mające nad nazwiskiem posiadacza tę wyższość, że nie są fałszywe. Co do rzekomego księcia de Guastalla, mógłby to być makler giełdowy mojego sekretarza: pieniądze daje tyle rzeczy! Ale nie, to Cesarz, zdaje się, zabawił się w to, aby dać tym ludziom tytuł zgoła niewakujący. Może to był dowód wszechpotęgi albo ignorancji, albo złośliwości; bądź co bądź, uważam, że to był bardzo niemily figiel splewany mimowolnym uzurpatorom. Ale ostatecznie nie mogę panu wyjaśnić tego wszystkiego, moja kompetencja kończy się na Faubourg Saint-Germain, gdzie pośród wszystkich Courvoisierów i Gallardonów znajdzie pan, jeżeli pan zdoła się tam dostać, stare jędze jakby wyrwane z Balzaca, które pana zabawią. Oczywiście, to nie ma nic wspólnego z czarem księżnej Marii de Guermantes, ale beze mnie i bez mojego sezamu jej salon jest niedostępny.

— To podobno bardzo piękne, prawda, proszę pana, pałac księżnej Marii de Guermantes?

— Och, to nie jest bardzo piękne. To jest najpiękniejsze w świecie; po samej księżnej Marii, oczywiście.

— Czy księżna Maria jest czymś więcej od księżnej Oriany?

⁸³⁶ *kongres wiedeński* (1814–1815) — międzynarodowa konferencja dyplomatyczna, zwołana w celu odtworzenia europejskiego porządku politycznego po upadku francuskiego cesarza Napoleona I Bonaparte. [przypis edytorski]

⁸³⁷ *Pantera z Batignolles* — francuska grupa anarchistyczna, zał. w 1882. [przypis edytorski]

⁸³⁸ *Król Stali* — Andrew Carnegie (1835–1919), amerykański przemysłowiec szkockiego pochodzenia, właściciel stalowni; w swoich czasach uważany za największego bogacza na świecie. [przypis edytorski]

— Och, jak można porównywać!

Trzeba zauważyć, że gdy ludzie światowi mają trochę wyobraźni, koronują i detronizują, wedle swoich sympatii i swoich uraz, osoby, których sytuacja zdawała się najtrwalsza i najbardziej ustalona.

— Księżna Błażejowa de Guermantes (nie nazywając jej Orianą, baron chciał może stworzyć większą przepaść między nią a mną) jest urocza, wyższa ponad wszystko, co pan może przeczuwać. Ale, ostatecznie, ona jest czymś niewspółmiernym ze swoją kuzynką. Tamta reprezentuje ściśle to, co przekupki z Hal mogą widzieć w osobie księżnej Metternich⁸³⁹, ale Metternichowa myślała, że to ona wylansowała Wagnera, dlatego że знаła Wiktora Maurel⁸⁴⁰. Księżna Maria, lub raczej jej matka, znała prawdziwego Wagnera. To jest urok, nie mówiąc o niezrównanej piękności tej kobiety. I choćby same ogrody Estery⁸⁴¹!

— Czy nie można ich zwiedzić?

— Ależ nie, trzeba by być zaproszonym, a nie zapraszają nigdy *nikogo* bez mojej interwencji.

I cofając natychmiast wysuniętą na chwilę przynętę nadziei, baron podał mi rękę, bo przybyliśmy pod mój dom.

— Moja rola jest skończona, młody człowieku, dodam tylko kilka tych słów. Kto inny może ofiaruje panu pewnego dnia swoją sympatię, jak ja to uczyniłem. Obecny przykład niechaj panu posłuży za naukę. Niech pan nie zrazi tego człowieka. Sympatia jest zawsze cenna. To, czego nie można zrobić w życiu samemu (bo są rzeczy, których nie można żądać ani dokonać ich, ani pragnąć, ani dowiedzieć się samemu), można zrobić w kompanii, i na to nie potrzeba trzynastu, jak w powieści Balzaca, ani czterech, jak w *Trzech muszkietierach*. Żegnam.

Baron musiał być zmęczony i widocznie wyrzekł się zamiaru oglądania księżycy, bo poprosił mnie, abym kazał stangretowi wracać. W tej samej chwili uczynił żywy ruch, jakby chciał coś zmienić. Ale ja już powtórzyłem rozkaz i aby się nie zapóźniać dłużej, zadzwoniłem do bramy, zapomniawszy, że miałem opowiedzieć panu de Charlus o cesarzu niemieckim, o generale Botha, rzeczy przed chwilą tak naglące, ale przepłoszone nieoczekiwanym i piorunującym przyjęciem barona.

Za powrotem ujrzałem na biurku list, który młody lokaj napisał do jednego ze swoich przyjaciół; widocznie zapomniał go na biurku. Od czasu jak nie było matki, służący ów nie cofał się przed żadną poufalością; zawiniłem niewątpliwie, odpłacając mu to i czytając list bez koperty, szeroko rozłożony i — co było moim usprawiedliwieniem — zapraszający mnie niejako do czytania.

„Drogi przyjacielu i kuzynie!

Mam nadzieję, że zdrowie twoje jest zawsze dobre i że tak samo mie-
wa się cała twoja rodzinka, w szczególności mój młody chrześniak Józef,
którego nie miałem jeszcze okoliczności poznać, ale którego wolę od was
wszystkich jako swojego chrześniaka; relikwie serca też mają swe prochy,
niech świętokradzka ich oszczędzi ręką. Zresztą, drogi przyjacielu i kuzynie,
kto ci mówi, że jutro ty i twoja droga żona, a moja kuzynka Maria, nie
będziecie oboje strąceni na dno morza niby majtek przywiązany do szczytu
masztu, bo to życie jedynie mroczną jest doliną. Drogi przyjacielu, muszę
ci powiedzieć, zdumienie twoje nie zdziwi mnie wcale, że oddaję się teraz
namiętnie poezji, bo trzeba przecie jakoś zabić czas. Toteż, drogi przyjacielu,
nie bądź zanadto oburzony, że jeszcze nie odpowiedziałem na twój ostatni
list; jeśli nie przebaczenie, przybądź, zapomnienie. Jak wiesz, matka naszej
pani zgasła w niewysłowionych cierpieniach, które ją dość utrapiły, bo było
do niej aż trzech lekarzy. Pogrzeb był piękny, bo wszystkie stosunki naszego
pana przyszły tłumem, jak również kilku ministrów. Dwie godziny szło się

⁸³⁹ *Paulina von Metternich* (1836–1921) — węgierska arystokratka, żona Richarda von Metternicha, słynna z urody i elegancji bywalczyni salonów Wiednia i Paryża, propagatorka muzyki Wagnera. [przypis edytorski]

⁸⁴⁰ *Maurel, Victor* (1848–1923) — francuski śpiewak operowy, baryton. [przypis edytorski]

⁸⁴¹ *ogrody Estery* — scenografia III aktu tragedii Racine'a *Estera* przedstawia wspaniałe ogrody Estery. [przypis edytorski]

na cmentarz, na co wszyscy szeroko otworzyli oczy w waszej wiosce, bo ze starą Michu z pewnością nie będzie takich ceregielów. Toteż moje życie będzie już tylko długim łkaniem. Używam sobie co wlezie na motocyklu, na którym nauczyłem się świeżo jeździć. Co byście powiedzieli, drodzy przyjaciele, gdybym tak przybył do was z błyskawiczną szybkością do Ecorres. Ale zamilczeć o tym nie będzie w mej mocy, bo pijaństwo niedoli nad rozum silniejsze. Bywam u Księżnej de Guermantes, u osób, których nazwiska nigdy nawet nie słyszałeś w naszej ciemnej krainie. Toteż z przyjemnością przysługę wam książki Racine'a, Wiktora Hugo, *Wybór pism Chenedolle'a*⁸⁴², Alfreda de Musset, bo chciałbym ziemię, co mi dała życie, wyleczyć z ciemnoty, która wiedzie nieuchronnie do zbrodni. Nie mam ci już nic do powiedzenia i posyłam ci, jako pelikan, długą zmęczony podróżą, moje pozdrowienia, zarówno jak twojej żonie, memu chrześniakowi i twojej siostrze Róży. Oby można było nie rzec o niej: I różą będąc, żyła, ile żyją róże, jak powiedzieli Wiktor Hugo, sonet Arversa⁸⁴³, Alfred de Musset, wszyscy ci wielcy geniusze, którzy z tego powodu zginęli w płomieniach stosu jak Joanna d'Arc. Oczekuję twojej najbliższej wieści, przyjm me całunki jak całunki brata.

Perigot (Józef)”.

Przyciąga nas wszelkie życie ukazujące nam coś nieznanego, ostatnie złudzenie.

W ogóle to, co mi powiedział pan de Charlus, podcięło niby biczem moją wyobraźnię; pozwalając jej zapomnieć, jak bardzo rzeczywistość rozczarowała ją u pani de Guermantes (z nazwiskami osób jest jak z nazwami miejscowości), baron pchnął tę wyobraźnię w stronę księżnej Marii. Zresztą, jeżeli pan de Charlus oszukał mnie na jakiś czas co do urojonych wartości i odmian ludzi światowych, to jedynie dlatego, że sam się łudził w tej mierze. Może tak było dlatego, że baron nic nie robił, nie pisał, nie malował, nie czytał nawet nic w sposób poważny i głębszy. Że jednak przerastał o kilka stopni ludzi światowych, tedy mimo iż czerpał treść rozmowy z nich i ich obrazu, nie rozumiano go. Mówiąc jako artysta, mógł co najwyżej wydobyć zwodniczy urok światowców. Ale mógł go wydobyć jedynie dla artystów, dla których baron mógłby być tym, co ren dla Eskimosów: szacowne to zwierzę wyrwa dla nich na jałowych skałach porosty, mchy, których nie umieliby odkryć ani spożytkować, ale które, przeżute przez rena, stają się dla mieszkańców Dalekiej Północy posilnym pokarmem.

Dodam do tego, że obrazy wielkiego świata, jakie kreślił pan de Charlus, nabierały wiele życia dzięki pomieszaniu jego wściekłych nienawiści i jego żarliwych sympatii. Nienawiści kierowały się zwłaszcza przeciw młodym ludziom, adorację budziły szczególnie niektóre kobiety.

O ile pan de Charlus pomieścił pośród nich księżną Marię de Guermantes na najwyższym tronie, o tyle tajemnicze jego słowa o „niedostępnym pałacu Aladyna”, w jakim mieszka jego kuzynka, nie wystarczają, aby wytłumaczyć moje zdumienie — po którym rychło nastąpiła obawa, że padł ofiarą czyjś figla, zmierzającego ku temu, aby mnie wyrzucono za drzwi z domu, gdzie bym się zjawił bez zaproszenia — kiedy, mniej więcej w dwa miesiące po owym obiedzie u księżnej Oriany i kiedy księżna Oriana była w Cannes, otwarcie kopertę, niemającą z pozoru nic nadzwyczajnego, wyczytałem na karcie te słowa: „Księżna Maria de Guermantes, z domu księżniczka bawarska, będzie u siebie w domu dnia...” itd.

Bez wątpienia, być zaproszonym do księżnej Marii nie było może ze światowego punktu widzenia czymś trudniejszym niż być na obiedzie u księżnej Oriany, a moje słabe wiadomości heraldyczne pouczyły mnie, że tytuł *prince* nie jest wyższy od tytułu *duc*⁸⁴⁴. Następnie powiadałem sobie, że inteligencja kobiety światowej nie może tak dalece różnić się gatunkiem od inteligencji innych kobiet światowych, jak to utrzymywał pan de

⁸⁴²Chenedollé, Charles-Julien Lioult de (1769–1833) — francuski poeta. [przypis edytorski]

⁸⁴³Arvers, Félix (1806–1850) — francuski poeta i dramaturg. [przypis edytorski]

⁸⁴⁴tytuł *prince* nie jest wyższy od tytułu *duc* — zaznaczyliśmy już wyżej, że polska tytulatura nie zna tej różnicy, tym samym zarówno tytuł Oriany de Guermantes (*duchesse*), jak Marii de Guermantes (*princesse*) wypadło tłumaczyć przez „księżna”. [przypis tłumacza]

Charlus. Ale moja wyobraźnia, podobna do Elstira w trakcie oddawania efektu perspektywy bez uwzględnienia wiadomości z fizyki, które mógł skądinąd posiadać, malowała mi nie to, com wiedział, ale to, co ona widziała; to, co ona widziała, to znaczy, co jej ukazywało nazwisko. Otóż nawet kiedy nie znałem diuszesy Oriany, nazwisko „Guermantes” poprzedzone tytułem *princesse*, niby nuta, kolor albo cyfra (głęboko zróżnicowane od otaczających walorów przez właściwy im matematyczny lub estetyczny „znak”), budziło we mnie zawsze coś całkiem odmiennego. Przy tym tytule odnajduje się je zwłaszcza w pamiętnikach z czasów Ludwika XIII i Ludwika XIV; wyobrażałem sobie pałac księżnej Marii mniej lub więcej odwiedzany przez księżnę de Longueville i przez wielkiego Kondeusza⁸⁴⁵, których obecność czyniła mało prawdopodobnym, abym się tam dostał kiedyś.

Mimo tego, co w takich sztucznych powiększeniach zależne jest od rozmaitych subiektywnych punktów widzenia (do czego jeszcze powrócę), faktem jest, że przecież istnieje we wszystkich tych istotach jakaś przedmiotowa rzeczywistość, a tym samym różnice między nimi.

W jaki sposób zresztą mogłoby być inaczej? Ludzkość, z którą obcujemy i która tak mało podobna jest do naszych marzeń, jest jednak ta sama, którą widzieliśmy w pamiętnikach, w listach wybitnych ludzi i którą pragnęliśmy poznać. Najzupełniej nieznaczący starzec, z którym sąsiadujemy przy obiedzie, jest tym, który — jak to czytaliśmy ze wzruszeniem w książce o wojnie roku 1870 — napisał ów dumny list do księcia Fryderyka Karola⁸⁴⁶. Nudzimy się przy obiedzie, bo wygnano zeń wyobraźnię, a bawi nas książka, bo wyobraźnia dotrzymuje nam w niej towarzystwa. Ale i tu, i tam chodzi o te same osoby. Lubilibyśmy znać panią de Pompadour⁸⁴⁷, która popierała tak skutecznie sztukę, ale znudzilibyśmy się z nią tak samo jak z nowoczesnymi egeriami⁸⁴⁸, do których nie możemy się wybrać z ponowną wizytą, tak są nieciekawe.

Mimo to faktem jest, że te różnice istnieją. Ludzie nigdy nie są całkiem jednakowi; ich sposób odnoszenia się do nas — przy równej, aby tak rzec, życzliwości — zdradza różnice, które w ostatecznym rachunku wyrównują się. Kiedym poznał panią de Montmorency, lubiła mi mówić rzeczy nieprzyjemne; ale kiedy potrzebowałem jakiejś przysługi, wówczas, aby mi ją wyświadczyć, rzucała na szalę wszystkie swoje wpływy, nie oszczędzając niczego. Podczas gdy inna dama, jak na przykład pani de Guermantes, nie chciała mi nigdy zrobić przykrości, mówiła o mnie jedynie to, co by mi mogło sprawić przyjemność, zasypywała mnie wszystkimi uprzejmościami stanowiącymi duchowe bogactwo Guermantów, ale gdybym ją prosił o cokolwiek poza tym wszystkim, nie zrobiłaby dla mnie ani kroku, jak w owych pałacach, gdzie gość ma do swojego rozporządzenia samochód, kamerdynera, ale gdzie niepodobna uzyskać szklanki jabłeczniaka nieprzewidzianej programem. Kto był moją prawdziwą przyjaciółką: czy pani de Montmorency, tak rada zawsze, ilekroć mogła mnie drasnąć, a zawsze gotowa mi usłużyć, czy pani de Guermantes, odczuwająca dotkliwie najmniejszą przykrość, jaką mi ktoś zrobił, a niezdolna do najmniejszego wysiłku, aby mi być użyteczną? Z drugiej strony, powiadano, że księżna Oriana mówi jedynie o błahostkach, a kuzynka jej, przy inteligencji zupełnie miernej, o rzeczach zawsze interesujących. Formy intelektu są tak rozmaite, tak sprzeczne, nie tylko w literaturze, ale w „świecie”, że nie sami Baudelaire i Mérimée mają prawo gardzić sobą wzajem. Właściwości te tworzą w każdej osobie całokształt spojrzeń, rozmów, czynów tak zwarty, tak despotyczny, że kiedy jesteśmy w ich towarzystwie, całość ta wydaje się nam czymś wyższym od wszystkiego innego. U pani de Guermantes słowa jej, wyprowadzone niby teoremat⁸⁴⁹ z jej umysłowości, wydawały mi się jedynie właściwe w danej chwili. I byłem w gruncie jej zdania, kiedy mi mówiła, że pani de Montmorency

⁸⁴⁵ *Kondeusz* — Ludwik II, książę de Condé (1621–1686), z dynastycznej rodziny Bourbonów; marszałek Francji, wybitny dowódca w czasie wojny trzydziestoletniej. [przypis edytorski]

⁸⁴⁶ *Fryderyk Karol Hohenzollern* (1828–1885) — książę pruski, dowódca armii podczas wojny francusko-pruskiej. [przypis edytorski]

⁸⁴⁷ *pani de Pompadour*, właśc. *Jeanne Antoinette Poisson*, *markiza de Pompadour* (1721–1764) — faworyta francuskiego króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

⁸⁴⁸ *Egeria* (mit. rzym.) — nimfa wodna, doradczyni króla Rzymu Numy Pompiliusza; przen. jako rzecz. poplity *egeria* oznacza doradczynie, powiernicę męża stanu a. artysty. [przypis edytorski]

⁸⁴⁹ *teoremat* (z gr.) — twierdzenie pochodne, wyprowadzone na drodze wnioskowania dedukcyjnego z aksjomatów (pewników, twierdzeń pierwotnych) danego systemu. [przypis edytorski]

jest głupia i że ma umysł otwarty na wszystkie rzeczy, których nie rozumie, lub kiedy, dowiadując się o jakiejś jej złośliwości, księżna mówiła: „Pan ją nazywa dobrym stworzeniem, dla mnie to jest potwór”. Ale ta tyrania rzeczywistości, jaką mamy przed sobą, ta oczywistość lampy, przy której odległa już jutrzienka błędnie jak proste wspomnienie, znikają, kiedy byłem daleko od pani de Guermentes i kiedy inna dama mówiła mi, stawiając się na równej stopie ze mną i sądząc księżnę jako coś będącego o wiele poniżej nas: „Oriana nie interesuje się w gruncie rzeczy niczym ani nikim”, a nawet (co w rozmowie z panią de Guermentes zdawałoby się niepodobne do wiary, tak bardzo ona sama głosiła rzecz przeciwną): „Oriana jest snob”. Ponieważ żadna matematyka nie pozwala zmienić pani d’Arpajon i pani de Montpensier w jednolite wartości, niepodobna by mi odpowiedzieć, gdyby mnie spytano, która z nich wydaje mi się wartościowsza.

Otóż pomiędzy swoistymi rysami salonu księżnej Marii de Guermentes najpowszechniej cytowano ekskluzywizm, wynikający po części z królewskiego urodzenia księżnej, a zwłaszcza z kopalnych niemal, arystokratycznych przesądów księcia Gilberta, przesądów, z których księstwo Błażejowie nieraz żartowali przede mną, a które, rzecz prosta, musiały mi czynić czymś jeszcze nieprawdopodobniejszym owo zaproszenie. Mnie by miał zaprosić człowiek, dla którego istniały jedynie królewskie i książęce wysokości! Trzeba wiedzieć, że książę Gilbert przy każdym obiedzie robił scenę, ponieważ nie dano mu przy stole miejsca, do którego miałby prawo za Ludwika XIV — miejsca, które dzięki swojej nadzwyczajnej erudycji w kwestiach historii i genealogii znał on jeden. Z tej przyczyny wielu ludzi z towarzystwa rozstrzygało na korzyść księstwa Błażejów różnice dzielące ich od kuzynostwa. „Księstwo Błażejowie są o wiele bardziej nowoczesni, inteligentniejsi, nie zajmują się, jak tamci, wyłącznie liczbą pokoleń, ich salon wyprzedza o trzysta lat salon ich kuzyna” — to były potoczne zdania, których wspomnienie przejmowało mnie teraz dreszczem, kiedy patrzyłem na owo zaproszenie, mające w świetle o wiele więcej szans, że mi je przesłał jakiś kawalarz.

Gdyby jeszcze księstwo Błażejowie nie byli w Cannes, spróbowałbym się dowiedzieć przez nich, czy otrzymane zaproszenie jest prawdziwe. Wątpliwość moja nie wynikała nawet (jak sobie pochlebiałem przez chwilę) z uczucia, które byłoby obce człowiekowi światowemu i które tym samym literat, choćby poza tym należał do kasty światowców, powinien by odtworzyć, aby być całkowicie „obiektywnym” i odmalować każdą klasę odmiennie. Niedawno w istocie znalazłem w uroczym tomie pamiętników niepewności analogiczne do tych, w jakie mnie wpędziło zaproszenie księżnej Marii. „Jerzy i ja (albo: „Hély i ja”, nie mam pod ręką książki, aby sprawdzić) płonęliśmy tak bardzo chęcią dostania się do salonu pani Delessert⁸⁵⁰, że otrzymawszy zaproszenie, uważaliśmy za ostrożniejsze upewnić się, każdy na swoją rękę, czyśmy nie padli ofiarą jakiegoś figla”. Otóż piszący te słowa jest nie kim innym, tylko hrabią d’Haussonville⁸⁵¹ (później zięciem księcia de Broglie), a drugi młody człowiek, który na „swoją rękę” upewnia się, czy się nie stał igraszką mistyfikacji, to jest — wedle tego, czy się nazywa Jerzy, czy Hély — jeden z dwóch nierozłącznych przyjaciół pana d’Haussonville, pan d’Harcourt albo książę de Chalais.

W dniu, w którym miał się odbyć wieczór u księżnej Marii, dowiedziałem się, że księstwo Błażejowie przybyli wczoraj do Paryża, i postanowiłem wybrać się do nich rano. Ale księstwo, wyszedłszy wcześniej, jeszcze nie wrócili; czyhałem zrazu z saloniku, który mi się wydał dobrym obserwatorium, na powrót powozu. W rzeczywistości źle wybrałem swoją placówkę, skąd ledwie widziałem nasz dziedziniec, oglądając w zamian inne dziedzińce, co, mimo iż pozbawione pożytku, rozerwało mnie na chwilę. Nie tylko w Wenecji ma się owe widoki na kilka domów naraz, które skusiły tylu malarzy, ale i w Paryżu. Nie jest to przypadek, że wspominam tu Wenecję. Jej dzielnice ubogich przywodzą mi na myśl niektóre ubogie dzielnice paryskie, z ich wysokimi, rozszerzającymi się kominami, którym ranne słońce daje tak żywo różowe i czerwone tony; to cały ogród, kwitnący

⁸⁵⁰ *pani Delessert* — Valentine de Laborde (1806–1894), znana też jako Valentine Delessert: od 1824 żona Gabrieli Delessert; w czasach monarchii lipcowej prowadziła słynny salon; znana również jako kochanka pisarza Prospera Mérimée, pisarza i fotografa Maxime’a du Camp oraz polityka i filozofa Charles’a de Remusat. [przypis edytorski]

⁸⁵¹ *d’Haussonville, Joseph* (1809–1884) — francuski polityk i historyk; członek Akademii Francuskiej (1869), od 1836 mąż Luizy d’Haussonville (1818–1882), córki księcia Achille Charles’a de Broglie. [przypis edytorski]

ponad domami i kwitnący w odcieniach tak rozmaitych, iż można by rzec, że nad miastem wznosi się ogród jakiegoś miłośnika tulipanów z Delft czy z Haarlemu. Zresztą nadzwyczajna bliskość domów, których okna wychodzą na wspólny dziedziniec, zmienia każde okno w obraz, gdzie kucharka marzy spoglądając w dół, gdzie nieco dalej młodej dziewczynie czesze włosy stara kobieta z twarzą czarownicy, ledwie dającą się rozróżnić w mroku; i tak, każdy dziedziniec, tłumiąc hałas swoim oddaleniem, pozwalając oglądać milczące gesty w prostokącie umieszczonym pod szkłem zamkniętego okna, tworzy dla sąsiada wystawę stu zawieszonych obok siebie holenderskich obrazów.

Zapewne, z pałacu Guermantes nie miało się widoków tego samego typu, ale też miało się ciekawe, zwłaszcza z osobliwego punktu trygonometrycznego, gdzie się ulokowałem i gdzie nie zatrzymywało nic oka aż do odległych wyżów, które tworzył (poprzedzające je, niezabudowane prawie tereny położone były na dość stromym zboczu) pałac księżnej Sylistrii i margrabiny de Plassac, wielce szlacheckie krewniaczek pana de Guermantes, których zresztą nie znałem. Aż do tego pałacu (należącego do ich ojca, pana de Bréquigny) nic — tylko niewysokie, obrócone w najrozmaitszych kierunkach budynki, które nie zatrzymując wzroku, przedłużały odległość swoimi skośnymi płaszczyznami. Kryta czerwoną dachówką wieżyczka remizy, gdzie margrabia de Frecourt trzymał powozy, kończyła się iglicą wyższą, ale tak cienką, że nie zasłaniała nic i przywodziła na myśl ładne, dawne budowle szwajcarskie, które strzelają w górę, samotne u stóp gór. Wszystkie te niepewne i rozbieżne punkty, na których odpoczywało oko, oddalały — bardziej niż gdyby go od nas dzieliło kilka ulic i mnogie przypory — pałac pani de Plassac, w istocie dość bliski, ale pozornie odległy niby krajobraz alpejski. Kiedy jego szerokie kwadratowe okna, rozelśnione słońcem niby płac miki, otworzono dla sprzątnięcia, wówczas widząc na różnych piętrach niewyraźnych lokajów trzepiących dywany, można było znaleźć tę samą przyjemność, co oglądając na obrazie Turnera lub Elstira podróżnego w dyliżansie lub przewodnika na rozmaitych stopniach wysokości Św. Gotarda⁸⁵². Ale groziło mi, że z punktu, gdzie się ulokowałem, mógłbym nie zobaczyć wracających państwa de Guermantes; tak iż kiedy po południu zdołałem wrócić na czaty, umieściłem się po prostu na schodach, skąd miałem oko na wylot wjazdowej bramy. Na tych schodach przycupnąłem, mimo że nie mogłem tam podziwiać alpejskich piękności pałacu pana de Bréquigny, tak olśniewających z ich mikroskopijnymi z powodu odległości, a sprzątającymi w tej chwili lokajami.

Otóż to czekanie na schodach miało mieć dla mnie następstwa tak doniosłe, miało mi odsłonić tak ważny krajobraz już nie Turnerowski, ale moralny, że wolę opóźnić relację o tym o parę chwil, poprzedzając ją wizytą u Guermantów, kiedyś się dowiedział, że księstwo wrócili.

Księżę Błażej przyjął mnie sam w bibliotece. W chwili gdy wchodziłem, wyszedł stamtąd mały człowieczek z włosami całkiem białymi, z niepoczesną⁸⁵³ miną, w czarnym „moytylku”, takim, jakie nosili rejent w Combray i niektórzy przyjaciele mojego dziadka. Człowieczek ów, niepozorny i nieśmiały, skłonił mi się głęboko kilka razy, nie chcąc wyjść, dopóki ja nie wejść. Księżę krzyknął mu z biblioteki coś, czego nie zrozumiałem, tamten zaś odpowiedział nowymi ukłonami skierowanymi do ściany, bo księżę nie mógł go widzieć, mimo to powtarzającymi bez końca, jak owe zbyteczne uśmiechy ludzi rozmawiających przez telefon. Mówił dyszkantem; odkłonił mi się jeszcze raz z unізonością totumfackiego⁸⁵⁴. Mógł to być zresztą jakiś plenipotent⁸⁵⁵ z Combray, tak dalece miał ową prowincjonalną minę drobnych ludzi, skromnych tamtejszych starców.

— Zaraz zobaczy pan Oriane — rzekł księżę, kiedy wszedłem. — Swann ma przyjść za chwilę, przynieść jej odbitki swojego studium o monetach zakonu maltańskiego i, co gorsza, olbrzymią fotografię, gdzie kazał odbić dwie strony tych monet; toteż Oriana wolała ubrać się najpierw, aby móc z nim być aż do pory obiadu. Jesteśmy już tak zawaleni gratami, że nie wiemy, gdzie je chować; pytam sam siebie, gdzie my wpakujemy tę foto-

⁸⁵²Przełęcz św. Gotarda — jedna z najbardziej znanych przełęczy w Alpach, położona w pld.-wsch. Szwajcarii na wys. 2108 m n.p.m. [przypis edytorski]

⁸⁵³niepoczesny (daw.) — następujący w niewłaściwym czasie. [przypis edytorski]

⁸⁵⁴totumfacki (przest.) — osoba zaufana, wypełniająca dla kogoś wszelkie zlecenia i załatwiająca sprawy. [przypis edytorski]

⁸⁵⁵plenipotent (z łac.) — pełnomocnik, osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu. [przypis edytorski]

grafię? Ale mam żonę nazbyt uprzejmą, która zanadto lubi robić przyjemność. Myślała, że to będzie milusio z jej strony prosić Swanna o pokazanie jej wszystkich tych wielkich mistrzów zakonu, których medale znalazł na Rodos. Bo ja mówiłem panu: Malta, a to jest Rodos; ale to jest ten sam Zakon Świętego Jana z Jerozolimy⁸⁵⁶. W gruncie rzeczy, ona się tym interesuje jedynie dlatego, że Swann się tym zajmuje. Nasza rodzina jest bardzo wmieszana w całą tę historię; nawet dziś jeszcze mój brat, którego pan zna, jest jednym z najwyższych dygnitarzy zakonu maltańskiego. Ale gdybym ja mówił o tym wszystkim Orianie, nawet by mnie nie słuchała. W zamian za to wystarczyło, aby poszukiwania Swanna co do templariuszy⁸⁵⁷ (niesłychana jest ta pasja ludzi jednej religii do studiowania religii drugich!) zawiodły go do historii kawalerów rodyjskich, spadkobierców templariuszy, a już Oriana z punktu ciekawa jest gąb tych kawalerów! To byli bardzo mali chłoptasie obok takich Lusignanów, królów Cypru, od których my pochodzimy w prostej linii. Ale jak dotąd, Swann się nimi nie zajmował; toteż Oriana nie chce nic wiedzieć o Lusignanach.

Nie mogłem od razu powiedzieć księciu, po co przyszedłem. Kilka krewniaczek lub przyjaciółek, jak księżna Sylistrii⁸⁵⁸ i księżna de Montrose⁸⁵⁹, zaszło z wizytą do pani de Guermantes, która często przyjmowała przed obiadem, a nie zastawszy jej, wstąpiły na chwilę do księcia. Pierwsza z tych dam (księżna Sylistrii), ubrana z wielką prostotą, sucha, ale z miną dość uprzejmą, trzymała w ręce laskę. Bałem się zrazu, czy nie jest ranna lub kaleka. Przeciwnie, była bardzo zwinna. Ze smutkiem mówiła księciu o jakimś jego bliskim kuzynie — nie od strony Guermantów, ale jeszcze świetniejszym, o ile to było możliwe — którego zdrowie, bardzo zagrożone od pewnego czasu, pogorszyło się nagle. Ale widoczne było, iż książę, współczując z losem swego krewniaka i powtarzając: „Biedny Mama! To taki dobry chłopiec”, skłania się ku optymistycznej diagnozie. W istocie, obiad, na który się książę wybierał, bawił go; wielki wieczór u księżnej Marii nie nudził go również; ale zwłaszcza o pierwszej w nocy miał z żoną iść na wielką kolację i na bal kostiumowy: kostiumy Ludwika XI dla księcia, a Izabeli Bawarskiej⁸⁶⁰ dla księżnej były już gotowe. I książę nie miał ochoty, aby cierpienie dobrego Amaniana d’Osmond zmąciło mu te wszystkie fety.

Dwie inne damy z laską, pani de Plassac i pani de Tresmes, obie córki hrabiego de Bréquigny, zaszły następnie do Błażeja i oświadczyły, że stan kuzyna nie zostawia już żadnej nadziei. Wzruszywszy ramionami i chcąc odmienić rozmowę, książę spytał ich, czy idą wieczór do księżnej Marii. Odpowiedziały, że nie, z powodu Amaniana, który jest konający; odprosiły się nawet z obiadu, na który szedł książę i którego uczestników wliczyły mu: brat króla Teodozjusza, infantka Maria Annunziata itd. Ponieważ margrabia d’Osmond był ich krewnym w dalszym stopniu niż Błażeja, abstynencja ich wydała się księciu pośrednią krytyką jego postępowania i nie był dla nich zbyt miły. Toteż mimo

⁸⁵⁶*Zakon Św. Jana z Jerozolimy* — pot. joannici, szpitalnicy a. kawalerowie maltańscy: zakon rycerski założony w XII w., pierwotnie zajmujący się strzeżeniem bezpieczeństwa wewnętrznego w Królestwie Jerozolimskim. Po upadku Królestwa w 1291 zakon przeniósł się razem z templariuszami na Cypr; w 1309 zajęli wyspę Rodos (odtąd zwani Kawalerami Rodyjskimi). Po likwidacji zakonu templariuszy w 1317 papież przekazał joannitom większość ich dóbr i ziem. W 1522 Rodos została zdobyta przez Imperium Osmańskie, w 1530 cesarz Karol V roku pozwolił Kawalerom Rodyjskim osiedlić się na Malcie, gdzie przyjęli używaną do dziś nazwę Kawalerów Maltańskich. W 1798 Maltę zajęła flota Napoleona; po upadku Napoleona odzyskali część posiadłości, ale trudności finansowe zmusiły zakon do ich porzucenia i przeniesienia siedziby do Rzymu. Funkcjonują jako instytucja dobroczynna, opiekująca się chorymi i rannymi. [przypis edytorski]

⁸⁵⁷*templariusze* — zakon rycerski, założony ok. 1120 w Jerozolimie w celu obrony i eskorty pielgrzymów do Ziemi Świętej. Posiadali kilkanaście prowincji w Europie, dzięki licznym nadaniom, przywilejom papieskim i operacjom finansowym zgromadzili wielkie bogactwa, dzięki którym mieli znaczące wpływy polityczne. Po upadku Królestwa Jerozolimskiego, pozbawieni siedziby templariusze przenieśli się na Cypr, a następnie do Francji. Upadek zakonu spowodowały wysunięte przez króla Francji Filipa IV Pięknego (1268–1314), poważnie zadłużonego u zakonu, oskarżenia o świętokradztwa, herezję i czary. Francuska gałąź zakonu została skasowana w 1311, jej majątki skonfiskowano, a wielu templariuszy, włącznie z wielkim mistrzem Jakubem de Mollay i najwyższymi dostojnikami, spalono na stosie. Ostatecznie zakon został zawieszony przez papieża w 1317. [przypis edytorski]

⁸⁵⁸*Sylistria* — miasto w pln.-wsch. Bułgarii. [przypis edytorski]

⁸⁵⁹*księżna Montrose* — szkocki tytuł szlachecki; zapewne chodzi o Violet Hermione Graham (1854–1940), żonę Douglasa Grahama (1852–1925), księcia Montrose. [przypis edytorski]

⁸⁶⁰*Izabela Bawarska* (1371–1435) — żona króla Francji Karola VI Szalonego, od 1392 rządziła krajem w jego imieniu jako regentka. [przypis edytorski]

że zstąpiły z wyżyn pałacu Bréquigny, aby zobaczyć księżnę (lub raczej aby jej oznajmić niepokojący stan kuzyna, niedający się pogodzić ze światowymi uciechami), nie zostały długo. Uzbrojone w kije alpejskie, Walpurga i Dorota (takie były imiona dwóch siostr) ruszyły stromą drogą na swoją górę. Nigdy nie przyszło mi na myśl spytać państwa de Guermantes, co oznaczały te laski, tak częste w pewnej koterii Faubourg Saint-Germain. Może uważając całą parafię za swoją dziedzinę, a nie lubiąc brać fiaków, damy te robiły dalekie kursy, w których jakieś dawne złamanie nogi, wynikłe z nadużycia polowań i z upadków z konia, lub po prostu reumatyzmy, pochodzące z wilgoci „lewego brzegu” i starych pałaców, zmuszały je do użytku laski. A może, nie zamierzając wyprawy tak dalekiej, zeszedłszy jedynie do ogrodu (niezbyt odległego od ogrodu księżnej Oriany), aby zerwać trochę owoców na kompot, zaszły powiedzieć dobranoc pani de Guermantes, nie przynosząc bądź co bądź z sobą sekatora ani polewaczki.

Księżę zdawał się wzruszony tym, że przybiegł do nich w sam dzień ich powrotu. Ale twarz jego zachmurzyła się, kiedy oznajmił, że przychodzę spytać księżnej, czy jej kuzynka naprawdę mnie zaprosiła. Dotknąłem jednej z usług, jakich państwo de Guermantes nie lubili oddawać. Księżę oświadczył, że jest za późno, że w razie gdyby księżna Maria nie przesłała mi zaproszenia, wyglądałoby, że się przymawia o nie; już raz (powiedział księżę) kuzynostwo odmówili mu tego; toteż nie chce w żadnej mierze, aby się wydawało, że on się miesza do listy ich gości, że się „wtrąca”; a wreszcie nie wie nawet, czy on i jego żona, mając proszony obiad, nie wrócą zaraz potem do siebie, w którym to wypadku, wobec pominięcia rautu księżnej Marii, najlepszą wymówką byłoby ukryć swój powrót do Paryża; gdyby nie to, niechybnie pospieszyłby wyjaśnić moją sprawę, pisząc do niej słówko lub telefonując, z pewnością zresztą za późno, bo najprawdopodobniej lista gości musi być już zamknięta.

— Nie zaszło nic między wami? — rzekł księżę z podejrzliwą miną, bo Guermantowie boją się zawsze i tego, aby nie być *au courant* ostatnich nieporozumień, i tego, aby ktoś nie szukał pojednania ich kosztem. Księżę miał zwyczaj brać na siebie wszystkie decyzje, które mogły mu się wydawać niezbyt przyjemne: — Wie pan co, drogi panie — rzekł nagle, jakby ta myśl przysłała mu niespodzianie do głowy — mam ochotę wcale nawet nie wspominać Orianie, że mi pan o tym mówił. Pan wie, jaka ona jest uprzejma; co więcej, ona pana niezmiernie lubi, chciałaby mimo wszystko, co bym jej mógł powiedzieć, pisać do kuzynki; tym samym, gdyby była zmęczona po obiedzie, nie będzie już wymówki, będzie musiała iść na raut. Nie, stanowczo, nie powiem jej nic. Zresztą zobaczy ją pan za chwilę. Ani słowa o tym, proszę. Jeżeli się pan zdecyduje iść na raut, nie potrzebuję mówić, jak nam będzie miło spędzić wieczór razem.

Względy ludzkości są nazbyt święte, aby ten, wobec którego się ich wzywa, nie skłonił się przed nimi — wierząc lub nie wierząc w ich szczerść; nie chciałem ani na chwilę robić wrażenia człowieka, który kładzie na szali swoje zaproszenie naprzeciw zmęczenia pani de Guermantes; przyrzekłem tedy nie wspomnieć księżnej o celu mojej wizyty, ściśle tak, jakbym wziął za dobrą monetę komedyjkę odegraną przez pana de Guermantes. Spytałem księcia, czy sądzi, iż mogę spotkać u księżnej Marii panią de Stermaria.

— Chyba nie — odparł z miną znawcy. — Znam nazwisko, które pan wymienia, bo widuję je czasem w rocznikach klubów; to nie jest zupełnie typ osób bywających u Gilberta. Spotka pan tam jedynie ludzi nadzwyczaj dystyngowanych i bardzo nudnych, jakieś tytuły, które się miało za wygastłe, a które wydobyto na tę okazję, wszystkich ambasadorów, dużo Koburgów⁸⁶¹, zagraniczne altessy⁸⁶², ale niech się pan nie spodziewa ani cienia Stermaria. Gilbert rozchorowałby się od samego takiego przypuszczenia! O, pan kocha malarstwo, muszę panu pokazać wspaniały obraz, który kupiłem od mego kuzyna, po części w drodze wymiany za Elstiry, których stanowczo nie lubimy. Sprzedano mi go jako Filipa de Champagne⁸⁶³, ale ja sądzę, że to jest jeszcze coś więcej. Mam panu

⁸⁶¹ *Koburgowie* — boczna linia niemieckiej dynastii Wettynów, znana także jako dynastia sasko-koburska (od nazwy księstwa Saksonii-Coburg-Gotha). [przypis edytorski]

⁸⁶² *altessa* (neol.) — z fr.: *altesse*: wysokość, tytuł honorowy nadawany księżtom i księżnom. [przypis edytorski]

⁸⁶³ *Champaigne, Philippe de* (1602–1674) — francuski malarz pochodzenia flamandzkiego; nadworny artysta Ludwika XIII i kardynała Richelieu. [przypis edytorski]

zdradzić moją myśl? Myślę, że to jest Velasquez, i to z najlepszej epoki — rzekł książę, patrząc mi w oczy, czy aby poznać moje wrażenie, czy aby je wzmocnić.

Wszedł lokaj.

— Księżna pani każe spytać księcia pana, czy książę zechce przyjąć pana Swann, bo księżna pani jest jeszcze niegotowa.

— Wprowadź pana Swann — rzekł książę, spojrzawszy na zegarek i sprawdziwszy, że jeszcze ma kilka minut, zanim się pójdzie ubierać. — Oczywiście, żona, zamówiwszy go na tę godzinę, jest niegotowa! Nie ma potrzeby mówić przy Swannie o tym wieczorze u Marii Gilbertowej — rzekł książę. — Nie wiem, czy on jest zaproszony. Gilbert bardzo go lubi, bo myśli, że on jest naturalnym wnukiem księcia de Berry, to cała historia! (Inaczej, niech pan pomyśli! Mój kuzyn dostaje ataku, kiedy widzi Żyda o sto kroków!) Ale teraz to się komplikuje sprawą Dreyfusa, Swann mógłby chyba zrozumieć, że bardziej niż ktokolwiek powinien by przeciąć wszystkie kontakty z tymi ludźmi; otóż wręcz przeciwnie, on wygaduje niesłychane rzeczy.

Książę przywołał lokaja, aby się dowiedzieć, czy służący, którego posłano do kuzyrna d'Osmond, wrócił. Plan księcia był następujący: ponieważ słusznie uważał kuzyrna za umierającego, zależało mu na tym, aby mieć o nim nowiny przed śmiercią, to znaczy przed przymusową żałobą. Raz będąc kryty oficjalną pewnością, że Amanian jeszcze żyje, książę drapnąłby na swój obiad, na raut księżnej Marii i na redutę, gdzie wystąpiłby w kostiumie Ludwika XI⁸⁶⁴ i gdzie miał bardzo pikantną schadzkę z nową kochanką. A po nowiny posłałby dopiero nazajutrz, kiedy już fety byłyby skończone. Wówczas wdziałoby się żałobę, o ile by chory umarł.

— Nie, proszę księcia pana, nie wrócił jeszcze.

— Kroćset diabłów, robi się tutaj wszystko na ostatni moment — rzekł książę na myśl, że Amanian może mieć czas klapnąć przed wieczornym dziennikiem i zepsuć mu redutę. Kazał podać sobie „Temps”⁸⁶⁵, gdzie nie było nic.

Nie widziałem Swanna od bardzo dawna; zastanawiałem się chwilę, czy on dawniej strzygł wąsy, czy nie nosił włosów „na jeża”, bo wydawał mi się czymś zmieniony; po prostu był bardzo „zmieniony”, bo był bardzo chory, a choroba sprowadza w twarzy zmiany równie głębokie co zapuszczenie brody lub zmiana uczesania. (Swann cierpiał na chorobę, która zabiła jego matkę, a wystąpiła u niej właśnie w wieku, w którym on był obecnie. Nasze egzystencje są w istocie, wskutek dziedziczności, równie pełne kabalistycznych cyfr, rzuconych uroków, co gdyby istniały naprawdę czarownice, i tak jak jest pewne trwanie życia ludzkiego w ogóle, jest również pewne jego trwanie dla poszczególnych rodzin, to znaczy dla tych członków rodziny, którzy są do siebie podobni).

Swann był ubrany z elegancją, która, jak elegancja jego żony, kojarzyła to, czym był teraz, z tym, czym był dawniej. W obcisłym perłowszarym tużurku uwydatniającym jego wysoką postać, smukły, w białych rękawiczkach z czarnymi prążkami, nosił ów szary cylinder rozszerzający się u góry, jaki Delion robił już tylko dla niego, dla księcia de Sagan⁸⁶⁶, dla pana de Charlus, dla margrabiego Modeny, dla Karola Haas⁸⁶⁷ i dla hrabiego Ludwika de Turenne⁸⁶⁸. Zdziwił mnie jego przemiły uśmiech i serdeczny uścisk dłoni, jakim Swann odpowiedział na mój ukłon, bo sądziłem, że po tak długim czasie nie pozna mnie od razu; wyraziłem mu swoje zdziwienie; przyjął je z wybuchem śmiechu, z lekkim oburzeniem i z nowym uściskiem dłoni, tak jakbym, przypuszczając, że on mnie nie poznaje, kwestionował solidność jego mózgu lub szczerłość jego uczuć. A jednak tak było: zidentyfikował mnie (dowiedziałem się o tym znacznie później) dopiero w kilka minut potem, słysząc moje nazwisko. Ale żadna zmiana w jego twarzy, w jego słowach, w tym, co mówił do mnie, nie zdradziła odkrycia, na które naprowadziło go jakieś słówko pana de Guermantes — tak mistrzowskie było opanowanie Swanna w formach światowego życia. Wnosił w nie wreszcie tę samą swobodę manier oraz owo coś indywidualnego, nawet w sposobie ubierania się, jakie charakteryzują Guermantów. I tak, ukłon, jakim stary

⁸⁶⁴Ludwik XI (1423–1483) — król Francji (od 1461), złamał potęgę wielkich feudalów. [przypis edytorski]

⁸⁶⁵„Temps” — paryski dziennik, wydawany w latach 1861–1942. [przypis edytorski]

⁸⁶⁶książę de Sagan — Bosen I de Talleyrand-Périgord (1832–1910), książę żagański (1898–1906), znany paryski dandys. [przypis edytorski]

⁸⁶⁷Haas, Charles (1833–1902) — francuski salonowiec. [przypis edytorski]

⁸⁶⁸Turenne d'Aynac, Gabriel Louis de (1843–1907) — francuski oficer i podróżnik. [przypis edytorski]

clubman powitał mnie (nie poznając), to nie był zimny i sztywny, czysto oficjalny ukłon światowca, ale ukłon pełen szczerzej uprzejmości, prawdziwego wdzięku, jaki rozwijała na przykład księżna de Guermantes (posuwając się aż do uśmiechnięcia się pierwsza, kiedy kogo spotkała, zanim ów zdążył się jej uklonić), w przeciwieństwie do mechanicznych ukłonów, właściwych damom Faubourg Saint-Germain. Tak samo kapelusz, który wedle ginącego już zwyczaju Swann postawił koło siebie na ziemi, miał (czego się nie robiło zazwyczaj) podszewkę z zielonej skóry, dlatego że to się (jak sam mówił) mniej wala, ale w istocie dlatego, że to było bardzo eleganckie (tego jednak nie mówił).

— Słuchaj, Karolu, ty, który jesteś wielki znawca, chodź coś obejrzyć; a potem, moje dzieci, poproszę was o pozwolenie zostawienia was tu na chwilę, gdy ja pójdę włożyć frak; sądzę zresztą, że Oriana zaraz przyjdzie.

I książę pokazał Swannowi swego „Velasqueza”.

— Ależ mnie się zdaje, że ja to znam — rzekł Swann ze skrzywieniem ludzi cierpiących, dla których samo mówienie jest już zmęczeniem.

— Tak — rzekł książę, zaniepokojony tym, że znawca ociąga się z wyrażeniem swego podziwu. — Widziałeś to zapewne u Gilberta.

— A, w istocie, przypominam sobie.

— Jak przypuszczasz, co to jest?

— Ba, skoro to było u Gilberta, to jest prawdopodobnie jeden z waszych *przodków* — rzekł Swann z mieszaniną ironii i szacunku wobec wielkości, którą uważałby za niegrzeczne i śmieszne lekceważyć, ale o której przez dobry smak nie chciał mówić inaczej niż żartem.

— Ależ oczywiście — rzekł szorstko książę. — To Boson, nie wiem już który numer, de Guermantes. Ale takie rzeczy ja mam gdzieś. Wiesz, że ja nie jestem taki feudal jak mój kuzyn. Słyszałem, jak padały przed tym portretem takie słowa, jak: Rigaub⁸⁶⁹, Mignard⁸⁷⁰, nawet Velasquez — rzekł książę, wlepiając w Swanna wzrok inkwizytora i kata, starając się wyczytać jego myśl i wpłynąć na odpowiedź. — Zresztą — zakończył książę (kiedy bowiem doprowadził do tego, że wywołał sztucznie sąd, jakiego pragnął, umiał po paru chwilach uwierzyć, że ten sąd jest dobrowolny) — powiedz sam, bez pochlebstw. Czy sądzisz, że to jest jeden z tych wielkich mogółów, których wymieniłem?

— Nnnie — rzekł Swann.

— Ależ w takim razie... ostatecznie, ja się na tym nic nie rozumiem; nie moją rzeczą rozstrzygać, czyj jest ten knot. Ale ty, miłośnik, mistrz w tej materii, komu go przypisujesz?

Swann zawahał się chwilę przed tym płótnem, które mu się najwidoczniej wydawało okropne.

— Złośliwości ludzkiej! — odparł ze śmiechem księciu, który nie mógł powstrzymać odruchu wściekłości.

Uspokoiwszy się, książę rzekł:

— Jesteście bardzo mili obaj, zaczekajcie chwilę na Oriane, ja się tylko wyfraczę i wracam. Powiem mojej połowicy, że wy tu czekacie na nią.

Rozmawiałem chwilę ze Swannem o sprawie Dreyfusa; spytałem, jak to się dzieje, że wszyscy Guermantowie są antydreyfusiści.

— Po pierwsze dlatego, że w gruncie wszyscy ci ludzie są antysemitami — odparł Swann, który wiedział przecie z doświadczenia, że nie wszyscy, ale który, jak wszelcy ludzie mający bardzo żarliwe przekonanie, wołał dla wytłumaczenia, że niektóre osoby go nie dzielą, podsunąć im jakąkolwiek rację, przesąd, na który nie ma rady, raczej niż rację nadające się do dyskusji. Zresztą, doszedłszy przedwczesnego kresu życia, nienawidził tych prześladowań niby zmęczone, szczute zwierzę i skłaniał się do religii ojców.

— Co do księcia Gilberta — rzekłem — to prawda, mówiono mi, że on jest antysemitą.

— Och, o tym nawet nie mówię. Jest nim do tego stopnia, że kiedy był oficerem i szalenie go rozboleły zęby, wołał raczej cierpieć niż poradzić się jedyne dentysty w okolicy,

⁸⁶⁹ *Rigaub, Hyacinthe* (1659–1743) — malarz francuski, portrecista Ludwika XIV. [przypis edytorski]

⁸⁷⁰ *Mignard* — rodzina francuskich malarzy, słynnych w XVII w., należeli do niej Pierre (1610–1695), najbardziej znany dzięki płótnom i freskom o tematyce religijnej, jego brat Nicolas (1606–1668) i bratanek Pierre II (1640–1725). [przypis edytorski]

Żyda. Innym razem zniósł raczej, aby się spaliło całe skrzydło zamku, gdzie się wszczął ogień, niż żeby miał poprosić o sikawkę w sąsiednim zamku, należącym do Rotszyldów.

— Czy pan idzie może dziś wieczór do niego?

— Tak — odparł Swann — mimo że się czuję nieszczególnie. Ale uprzedził mnie, że ma mi coś do powiedzenia. Czuję, że będę zbyt cierpiący w tych dniach, aby iść do niego lub aby go przyjąć, to by mnie zanadto denerwowało, wolę pozbyć się teraz zaraz.

— Ale książę Błażej nie jest antysemitą.

— Widzi pan, że tak, skoro jest antydreyfusistą — odparł Swann, nie spostrzegając, że popełnia to, co się w logice nazywa *petitio principii*⁸⁷¹. — Co nie przeszkadza, iż bardzo mi jest przykro, że m zawiódł tego człowieka... co ja mówię! Tego księcia, nie podziwiając jego rzekomego Mignarda czy już sam nie wiem czego.

— Ale przynajmniej — rzekłem, wracając do sprawy Dreyfusa — księżna Oriana jest niewątpliwie inteligentna.

— Tak, urocza jest. Moim zdaniem była jeszcze bardziej urocza, kiedy była księżną des Laumes. Intelkt jej nabral czegoś bardziej kanciastego, wszystko to było miększe w młodziutkiej wielkiej damie. Ale wreszcie, młodzi czy mniej młodzi, mężczyźni czy kobiety, cóż pan chce, wszyscy ci ludzie są z innej rasy, nie można mieć bezkarnie tysięcy lat feudalizmu we krwi. Oczywiście, oni uważają, że to nie gra żadnej roli w ich przekonaniach.

— Ale Robert de Saint-Loup jest przecież dreyfusistą.

— Och, tym lepiej; zwłaszcza że pan wie, matka jego jest bardzo *przeciw*. Mówiono mi, że on jest *za*, ale nie byłem pewny. To mnie bardzo cieszy. Nie dziwi mnie to, on jest bardzo inteligentny. To jest dużo.

Dreyfusizm zrobił Swanna zadziwiająco naiwnym i oddział na jego psychikę jeszcze znamiennej niż niegdyś małżeństwo z Odetą; to nowe zdeklasowanie (które można by raczej nazwać powrotem do swojej klasy) było dlań jedynie zaszczytne, skoro go wracało na drogę, którą szli jego bliscy i z której wykoleiły go arystokratyczne stosunki. Ale Swann, właśnie w chwili gdy on, tak jasnowidzący, mógłby dzięki danym odziedziczonym po przodkach widzieć prawdę jeszcze ukrytą światowcom, okazywał się mimo to komicznie zaślepiony. Wszystkie swoje podziwy i wzgardy poddawał próbie nowego kryterium — dreyfusizmu. To, że antydreyfusizm pani Bontemps kazał mu ją uznać za głupią, nie było dziwniejsze niż to, że kiedy się ożenił, odkrył w niej inteligencję. Nie było również bardzo poważne to, że nowa fala dosięgnęła w nim również sądów politycznych, każąc mu zapomnieć, że traktował swego czasu jako człowieka sprzedajnego, angielskiego szpiega (była to niedorzeczność kół Guermantów), tego samego Clemenceau, którego — jak oświadczał teraz — zawsze jakoby uważał za wielkie sumienie, za człowieka że stali, jak Cornély⁸⁷². „Nie, nigdy nie mówiłem inaczej. Pomyliło się panu”. Ale przekraczając sądy polityczne, fala obalała w Swanna sądy literackie i nawet sposób wyrażania ich. Barrés⁸⁷³ postradał wszelki talent: nawet utwory z czasu jego młodości były słabe, ledwie czytelne. „Próbuj pan, nie doczyta pan do końca. Co za różnica z takim Clemenceau! Osobiście, ja nie jestem antyklerykałem, ale jakże się czuje przy nim, że Barrés nie ma kręgosłupa! To bardzo wielki pan ten Clemenceau. Co za język!”

Zresztą, antydreyfusiści nie mieliby prawa krytykować tych aberracji. Oni znowuż tłumaczyli, że ktoś jest dreyfusistą dlatego, że jest z pochodzenia Żydem. Jeżeli praktykujący katolik, jak Saniette, również był za rewizją procesu, to dlatego (mówiono), że jest na garnuszku u pani Verdurin, która stała się dziką radykałką. Ona była przede wszystkim przeciw „klechom”. Saniette jest bardziej głupi niż zły i nie wie, ile mu krzywdy wyrządza „pryncypałka”. A kiedy ktoś podnosił, że Brichot, też przyjaciel pani Verdurin, jest członkiem Patrie Française, to dlatego (odpowiadano), że jest inteligentniejszy.

— Czy go pan widuje czasem? — rzekłem do Swanna, mówiąc o Robercie de Saint-Loup.

⁸⁷¹*petitio principii* (łac.) — błąd logiczny uzasadnienia, polegający na użyciu tezy, której należy dowieść, jako przesłanki dowodu. [przypis edytorski]

⁸⁷²*Cornély, Jules* (1845–1907) — francuski dziennikarz. [przypis edytorski]

⁸⁷³*Barrès, Maurice* (1862–1923) — francuski powieściopisarz, eseista, polityk i teoretyk nacjonalizmu; od 1889 członek Izby Deputowanych. [przypis edytorski]

— Nie, nigdy. Napisał do mnie kiedyś, żebym poprosił księcia de Mouchy⁸⁷⁴ i paru innych, aby głosowali za nim w „Jockeyu”, gdzie przeszedł zresztą śpiewająco.

— Mimo Dreyfusa!

— Nie podnoszono tej kwestii. Zresztą, powiem panu, że od czasu tego wszystkiego nie pokazuję się w tej budzie.

Wszedł pan de Guermantes, a niebawem jego żona, już gotowa, wysoka i wspaniała, w czerwonej atlasowej sukni wyszytej pajetkami. Miała we włosach wielkie purpurowe pióro strusie, a na ramionach tiulową szarfę tegoż koloru.

— Jakie to ładne, ta zielona podszewka w kapeluszu — rzekła księżna, której oku nic nie uchodziło. — Zresztą u Lola wszystko jest ładne, zarówno to, co nosi, jak to, co mówi, co czyta i co robi.

Tymczasem Swann, jak gdyby nie słysząc, patrzył na księżnę tak, jakby patrzył na płótno mistrza; po czym poszukał jej spojrzenia, czyniąc ustami ruch mający znaczyć: „Psiakość!”. Pani de Guermantes parsknęła śmiechem.

— Moja toaleta podoba się panu, uszczęśliwiona jestem. Ale ja muszę powiedzieć, że mnie się ona nie bardzo podoba — ciągnęła z nachmurzoną minką. — Mój Boże, jakie to nudne: ubierać się, iść między ludzi, kiedy by się tak lubiło zostać w domu.

— Co za wspaniałe rubiny!

— Mój drogi Lolo! Widać przynajmniej, że pan się zna na tym, nie jest pan jak to zwierzę Monserfeuil, który się spytał, czy są prawdziwe! Muszę przyznać, że nie widziałam nigdy równie pięknych. To prezent od wielkiej księżnej. Na mój gust są trochę za duże, trochę przypominają pełny po brzegi kieliszek bordo, ale włożyłam je, bo spotkamy dziś wieczór wielką księżnę u Marii Gilbertowej — dodała pani de Guermantes, nie domyślając się, że te słowa obalały twierdzenie jej męża.

— Co tam jest u księżnej Marii? — spytał Swann.

— Prawie nic — pospiesznie odpowiedział książę, którego pytanie Swanna utwierdziło w mniemaniu, że Swann nie jest proszony.

— Ależ, Błażeju, co ty mówisz! Rozesłano wici na wszystkie strony, będzie tłum taki, że się będą zabijali. Co będzie ładne — mówiła, patrząc na Swanna z subtelną minką — o ile nie wybuchnie burza, która wisi w powietrzu, to te cudowne ogrody. Pan je zna. Byłam tam miesiąc temu, w chwili kiedy bzy już kwitły; niepodobna wyobrazić sobie, jakie to było piękne. A przy tym ten wodotrysk to naprawdę Wersal w Paryżu.

— Co to za rodzaj kobiety, księżna Gilbertowa? — spytałem.

— Ależ wie pan już, skoro pan ją widział tutaj, że jest piękna jak dzień, że jest także trochę idiotka, bardzo miła, mimo całej swojej germańskiej dumy, pełna serca i gaf.

Swann był zbyt sprytny, aby nie widzieć, że pani de Guermantes stara się w tej chwili robić *esprit* Guermantes, i to tanim kosztem, bo odgrzewała jedynie, w mniej doskonałej formie, swoje stare słówka. Mimo to, aby dowieść księżnej, że rozumie jej chęć okazania się dowcipną, i tak jakby nią była w tej chwili istotnie, uśmiechnął się nieco wymuszenie, powodując we mnie owym swoistym rodzajem nieszczerości to samo zażenowanie, jakiego doznawałem niegdyś, słysząc rodziców mówiących z panem Vinteuil o zepsuciu pewnych kół (podczas gdy wiedzieli dobrze, iż zepsucie panujące u niego w Montjouvain jest znacznie większe) lub Legrandina wysiłającego się dla głupców, dobierającego subtelnych epitetów, o których doskonale wiedział, że nie może ich zrozumieć publiczność bogata lub elegancka, ale ciemna.

— Ej, Oriano, co ty opowiadasz — rzekł pan de Guermantes. — Maria głupia? Ona wszystko czytała, jest muzykalna jak skrzypce.

— Ależ, mój drogi mali Błażejku, ty jesteś jak nowo narodzone dziecko! Jakby nie można było łączyć tego wszystkiego i być trochę idiotką. Idiotka to zresztą przesadzone; nie, ona jest mgławicowa, ona jest Hesse-Darmstadt⁸⁷⁵, Cesarstwo Rzymskie i „och, och, och”! Już sama jej wymowa denerwuje mnie. Ale uznaję zresztą, że to jest urocza wariatka. Zresztą sama ta myśl, aby zstąpić ze swego niemieckiego tronu i wydać się po

⁸⁷⁴Noaille, Antoine de (1841–1909) — francuski arystokrata, książę Mouchy, polityk. [przypis edytorski]

⁸⁷⁵Hesse-Darmstadt — Hesja-Darmstadt, dawne niewielkie państwo niemieckie ze stolicą w mieście Darmstadt; powstałe w 1567 wskutek podziału Hesji pomiędzy synów Filipa Wielkodusznego, wchodziło w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego; po likwidacji Cesarstwa w 1806 przekształcone w Wielkie Księstwo Hesji, w 1871 stało się częścią Cesarstwa Niemieckiego. [przypis edytorski]

mieszczkański za prywatnego człowieka! To prawda, że go sobie dobrała! A prawda — rzekła, zwracając się do mnie — pan nie zna Gilberta. Dam panu o nim pojęcie: swojego czasu rozchorował się i położył do łóżka, dlatego że ja rzuciłam bilet pani Carnot⁸⁷⁶... Ale, mój drogi Lolo — rzekła księżna, aby zmienić rozmowę, widząc, że historia biletu rzuconego pani Carnot wyraźnie drażni pana de Guermantes — wie pan, że mi pan nie przysłał fotografii naszych kawalerów rodyjskich, których kocham dla pana i z którymi tak chciałabym zawrzeć znajomość.

Ale książę nie przestawał się wpatrywać bystro w żonę.

— Oriano — rzekł — trzeba przynajmniej opowiadać prawdę i nie lykac jej połowę. Trzeba powiedzieć — sprostował, zwracając się do Swanna — że ówczesna ambasadorowa angielska (niezła kobieta, ale trochę pomyłona i specjalistka od takich gaf) wpadła na dość dziki concept, aby nas zaprosić z prezydentem Republiki i jego żoną. Byliśmy (nawet Oriana) trochę zdziwieni, zwłaszcza że ambasadorowa dosyć miała z nami wspólnych znajomych, aby nas nie zapraszać właśnie na tak dziwne zebranie. Był tam jeden minister, który coś ukradł, wreszcie nie mówmy o tym, nie byliśmy uprzedzeni, wpadliśmy jak w pułapkę; trzeba zresztą uznać, że wszyscy ci ludzie byli bardzo grzeczni. Ale to już było zupełnie dosyć. Oriana, która nieczęsto robi mi ten zaszczyt, aby zasięgać mojej rady, uznała, iż powinna w ciągu tygodnia rzucić bilet w Pałacu Elizejskim⁸⁷⁷. Gilbert posunął się może za daleko, widząc w tym plamę na nazwisku. Ale nie trzeba zapominać, że, poza wszelką polityką, pan Carnot⁸⁷⁸, który zresztą wywiązywał się bardzo przyzwoicie ze swoich obowiązków, był wnukiem członka trybunału rewolucyjnego, który w ciągu jednego dnia posłał na śmierć jedenastu naszych.

— W takim razie, Błażeju, czemuś jeździł co tydzień na obiad do Chantilly? Książę d'Aumale był zupełnie tak samo wnukiem członka trybunału rewolucyjnego, z tą różnicą, że Carnot był zacny człowiek, a Filip Egalité⁸⁷⁹ obrzydliwa kanalia.

— Przepraszam, że przerywam księżnej, ale chcę powiedzieć, że ja przysłałem fotografię — rzekł Swann. — Nie rozumiem, że jej nie oddano.

— Mnie to mniej dziwi — rzekła księżna. — Moja służba mówi mi tylko to, co uważa za stosowne. Prawdopodobnie nie lubią Zakonu Świętego Jana.

Pani de Guermantes zadzwoniła.

— Wiesz, Oriano, że kiedyś jeździł na obiad do Chantilly, to bez entuzjazmu.

— Bez entuzjazmu, ale z nocną koszulą, na wypadek gdyby cię książę zatrzymał na noc, co zresztą robił rzadko, jako skończony cham, jak wszyscy Orleanowie... Czy wiesz, kogo dziś spotkamy na obiedzie u pani de Saint-Euverte? — spytała pani de Guermantes męża.

— Poza gośćmi, o których wiesz, zaproszono w ostatniej chwili brata króla Teodorzusza.

Na tę wiadomość rysy księżnej wyraziły radość, a słowa zdumienie:

— Och, Boże, znowu ci króle!

— Ale ten jest miły i inteligentny — rzekł Swann.

— Tak zupełnie to nie — odparła księżna, robiąc wrażenie, że szuka słów, aby dać więcej oryginalności swojej myśli. — Czy pan zauważył, że najmilszy z królewskich wysokości mimo wszystko nie są całkiem mili? Ależ tak, zapewniam pana! Trzeba im zawsze mieć zdanie o wszystkim. A ponieważ nie mają żadnego, obracają pierwszą część swego życia na to, aby nas pytać o opinie, drugą, aby nas nimi częstować z powrotem. Muszą

⁸⁷⁶ *pani Carnot* — Marie Pauline Cecile Dupont-White (1841–1898), żona prezydenta Francji, Sadi Carnota. [przypis edytorski]

⁸⁷⁷ *Pałac Elizejski* — oficjalna siedziba prezydenta Francji, służąca również jako miejsce posiedzeń Rady Ministrów zbierającej się pod przewodnictwem prezydenta. [przypis edytorski]

⁸⁷⁸ *Carnot, Marie François Sadi*, zwany *Sadi Carnot* (1837–1894) — francuski polityk, od 1881 przewodniczący umiarkowanej lewicy w parlamencie, od 1887 prezydent Francji; zginął zamordowany przez włoskiego anarchistę; był wnukiem Lazare Nicolasa Marguerite Carnota, inżyniera wojskowego i uczestnika rewolucji francuskiej, członka Komitetu Ocalenia Publicznego. [przypis edytorski]

⁸⁷⁹ *Ludwik Filip II Orleański*, zw. *Philippe Egalité* (1747–1793) — książę Orleanu, polityk z czasów rewolucji francuskiej, kuzyn Ludwika XVI, ojciec króla Ludwika Filipa I; zwolennik rewolucji francuskiej, deputowany do Stanów Generalnych, członek Konstytuanty i Konwentu Narodowego; po obaleniu monarchii zrezygnował z tytułów i przyjął nazwisko *Égalité* (Równość); w styczniu 1793 głosował za wyrokiem śmierci dla Ludwika XVI; dwa miesiące później aresztowany razem z innymi Burbonami, oskarżony o zdradę i stracony. [przypis edytorski]

koniecznie mówić, że to a to było dobrze grane, a to mniej dobrze grane. Nie ma żadnej różnicy. Ot, ten smarkacz wice-Teodozjusz (nie przypominam sobie jego imienia) spytał mnie, jak się nazywa „motyw orkiestralny”. Odpowiedziałam mu — rzekła z błyszczącymi oczami i parszcząc śmiechem pięknymi czerwonymi wargami: — „Nazywa się: motyw orkiestralny”. I cóż! W gruncie nie był zadowolony. Och, mój drogi Lolo — ciągnęła omdlewająco pani de Guermentes — jakież to umie być nudne, te proszone obiady! Są wieczory, że wołaloby się umrzeć. Prawda, że umrzeć to jest może równie nudne, bo nie wiemy przecie, co to jest.

Zjawił się lokaj. Był to ów młody narzeczony, który miewał zatargi z odźwiernym, aż księżna w swojej dobroci zaprowadziła pozorny spokój.

— Czy mam iść dziś wieczór po wiadomości o panu margrabi d’Osmond? — spytał.

— Ależ nigdy w życiu, nie wcześniej aż jutro rano. Nie chcę nawet, abys był w domu dziś wieczór. Lokaj pana margrabiego, którego znasz, mógłby tutaj przyjść z wiadomością i żądać, żebyś poszedł nas szukać. Wyjdź z domu, idź, gdzie chcesz, ladaco, śpij poza domem, ale nie chcę tu ciebie wcześniej niż jutro rano.

Olbrzymia radość trysnęła z twarzy młodego lokaja. Będzie mógł wreszcie spędzić długie godziny ze swoją przyszłą, której prawie wcale nie mógł widywać, od czasu jak po nowej scenie z odźwiernym księżna wytłumaczyła mu przyjaźnie, że lepiej będzie, aby dla uniknięcia konfliktów w ogóle nie korzystał z wychodnego. Na myśl, że będzie miał wreszcie wolny wieczór, pływał w szczęściu, które księżna zauważyła i zrozumiała. Uczuła jakby ułucie w sercu i swędzenie całego ciała na widok tego szczęścia, którego ktoś kosztował bez jej wiedzy, kryjąc się przed nią, które drażniło ją i budziło jej zazdrość.

— Nie, Błażeju, przeciwnie, niech zostanie tutaj i nie rusza się z domu.

— Ależ, Oriano, to nie ma sensu, wszyscy twoi ludzie są w domu; prócz tego będziesz miała o północy krawcową i kostiumera na tę redutę. On nie zda się tu na nic, a ponieważ on jeden jest w przyjaźni z lokajem biednego Mama, tysiąc razy wolę wyprawić go daleko.

— Słuchaj, Błażeju, daj pokój; będę mu miała właśnie coś do polecenia w ciągu tego wieczora, ale nie wiem ściśle, o której godzinie. Nie ruszaj się, pamiętaj, ani na minutę — rzekła do zrozpaczonego lokaja.

Jeżeli były wciąż sprzeczki w domu i jeżeli służba na ogół nie trzymała się długo u księżnej, osoba, której trzeba przypisać tę stałą wojnę, była nie do ruszenia z miejsca; ale osobą tą nie był odźwierny. Bez wątpienia, do „grubszej roboty”, do kłopotliwszych szykan, do awantur, które się kończyły guzami, księżna posługiwała się tym narzędziem; odźwierny, odgrywając swoją rolę, nie podejrzewał zresztą, że mu ją nałożono. Jak cała służba, podziwiał dobroć księżnej; a niezbyt jasnowidzący lokaje, rzuciwszy swoje miejsce, często odwiedzali Franciszkę, powiadając, że dom księcia de Guermentes byłby najlepszy w Paryżu, gdyby nie odźwierny. Księżna posługiwała się nim tak, jak się wygrywało długie czas klerykalizm, masonerię, niebezpieczeństwo żydowskie itd... Wszedł lokaj.

— Czemu mi nie doręczono paczki, którą pan Swann przysłał? Ale słuchaj no (wiesz, Swann, że Mama jest bardzo chory), czy Julian, który poszedł do pana margrabiego d’Osmond po wiadomości, wrócił?

— Wrócił w tej chwili, proszę księcia pana. Oczekują z chwili na chwilę, że pan margrabia odda ducha.

— A, żyje! — wykrzyknął książę z westchnieniem ulgi. — Oczekują, oczekują, oczekują! Dopóki tli się życie, póty jest nadzieja — rzekł do nas książę z radosną miną. — Już mi go malowano umarłym i pogrzebionym. Za tydzień będzie zdrowszy ode mnie.

— To panowie lekarz powiedzieli, że pan margrabia nie przeżyje wieczoru. Jeden chciał wrócić w nocy, ale najstarszy doktor powiedział, że nie ma po co. Pan margrabia już by powinien nie żyć, przetrwał jedynie dzięki enomom⁸⁸⁰ z kamforą.

— Cicho siedź, idioto! — wykrzyknął książę u szczytu wściekłości. — Kto się ciebie pyta o to wszystko? Nie zrozumiałeś nic z tego, co ci mówiono.

— To nie mnie, to Julianowi.

— Będziesz ty cicho! — ryknął książę. Po czym obracając się do Swanna: — Co to za szczęście, że on żyje. Odzyska pomału siły. Żyje po takim ataku! To już świetnie. Nie

⁸⁸⁰ *enema* (med.) — lewatywa, płukanie jelita grubego. [przypis edytorski]

można żądać wszystkiego naraz. To nie musi być przykre taka mała lewatywka z kamforą — powiedział książę, zacierając ręce. — Żyje, żyje, czego chcieć więcej! Po tym, co on przeszedł, to już wcale ładnie. Pozazdrościć takiej żywotności. Cha, cha! Ci chorzy, chodzi się koło nich, nie to co z nami. Dziś rano hultaj kucharz zrobił mi baranię z sosem *béarnaise*⁸⁸¹, kapitalną, przyznaję, ale właśnie dlatego tyle zjadłem, że mi dotąd leży w żołądku. Co nie przeszkadza, że nikt nie przysyła dowiadywać się o moje zdrowie, jak o tego drogiego Amaniana. Zanadto się o niego dowiadują. To go męczy. Trzeba mu dać wytchnąć. Zabija się tego człowieka, posyłając do niego co chwila.

— No i co — rzekła księżna do odchodzącego lokaja — prosiłam, żeby przyniesiono tę opakowaną fotografię, którą przysłał pan Swann.

— Proszę księżnej pani, to takie wielkie, że nie wiedziałem, czy to przejdzie przez drzwi. Zostawiliśmy w sieni. Czy księżna pani każe przynieść?

— Więc nie, powinniście mi byli powiedzieć; ale skoro to takie wielkie, obejrzę za chwilę, schodząc.

— Zapomniałem też powiedzieć księżnej pani, że pani hrabina Molé zostawiła dziś rano bilet dla księżnej pani.

— Jak to, rano? — rzekła księżna z wyrazem niezadowolenia, uważając, że tak młodej kobiecie nie przystało zostawiać biletów rano.

— Około dziesiątej, proszę księżnej pani.

— Pokażcie mi te bilety.

— W każdym razie, Oriano — podjął książę, wracając do poprzedniej rozmowy — kiedy mówisz, że Maria miała dziwny pomysł, wychodząc za Gilberta, to ty masz osobliwy sposób pisania historii. Jeżeli kto był głupi w tym małżeństwie, to Gilbert, że zaślubił właśnie tak bliską krewną króla Belgów, który przywłaszczył sobie tytuł księcia Brabancji, należący do nas. Słowem, jesteśmy z tej samej krwi co Hesse, i ze starszej linii. To zawsze głupie mówić o sobie — rzekł zwracając się do mnie — ale fakt jest, że kiedyś byli nie tylko w Darmstadt, ale nawet w Kassel i w całym elektoracie heskim landgrafowie; bardzo uprzejmie spieszyli ustąpić nam pierwszego kroku i miejsca, jako pochodzącym ze starszej linii.

— Ależ ostatecznie, Błażeju, nie powiesz mi, że ta osoba, która była majorem wszystkich pułków swego kraju, którą zaręczano z królem szwedzkim...

— Och, Oriano, to już szczyt; rzekłby kto, że ty nie wiesz, iż dziadek króla szwedzkiego orał ziemię w Pau, kiedy my od dziewięciuset lat trzymaliśmy prym w całej Europie.

— To nie przeszkadza, że gdyby ktoś krzyknął na ulicy: „O, jedzie król szwedzki!”, wszyscy pogналиby go oglądać aż na plac Zgody, a kiedy kto powie: „O, pan de Guermantes”, nikt nie wie, kto to taki.

— Także racja!

— Zresztą nie mogę zrozumieć, w jaki sposób, z chwilą gdy tytuł księcia Brabancji przeszedł do królewskiej rodziny belgijskiej, możecie rościć do niego pretensje.

Lokaj wrócił z biletem hrabiny Molé lub raczej z tym, co zostawiła jako bilet. Powołując się na to, że nie ma biletu przy sobie, wyjęła z kieszeni list adresowany do siebie i zatrzymując list, zagięła kopertę mieszczącą nazwisko „Hrabina Molé”. Ponieważ koperta była dość duża, zgodnie z modnym tego roku formatem listowego papieru, ten ręcznie pisany „bilet” miał niemal podwójny rozmiar zwykłego biletu wizytowego.

— To nazywają „prostotą pani Molé” — rzekła z ironią księżna. — Chce w nas wmówić, że nie miała biletów, aby pokazać swoją oryginalność. Ale my znamy się na tym, prawda, Lolo, za starzy jesteśmy i za wielkie oryginały sami, aby się uczyć dowcipu od damulki bywającej od czterech lat. Uroczą jest, ale nie przypisuję jej na tyle autorytetu, aby sobie mogła wyobrażać, iż zdoła zadziwić świat równie tanim kosztem, zostawiając kopertę zamiast biletu wizytowego, i to o dziesiątej rano! Stara mysz pokaże małej myszce, że się umie zdobyć na to samo.

Swann nie mógł się wstrzymać od śmiechu, myśląc, że księżna, trochę zresztą zazdrosna o sukcesy pani Molé, znajdzie w „dowcipie Guermantów” jakąś impertynencką odpowiedź na tę wizytę.

⁸⁸¹*sos béarnaise* — sos bearnijski, robiony na bazie sosu holenderskiego z dodatkiem estragonu i szalotki. [przypis edytorski]

— Co się tyczy tytułu księcia Brabancji, mówiłem ci sto razy Oriano... — podjął książę, któremu księżna przerwała w pół słowa, mówiąc do Swanna:

— Ale, mój drogi Lolo, ja tęsknię za pana fotografią.

— A! *Extincto draconis latrator Anubis*⁸⁸² — rzekł Swann.

— Tak, to ładne, co pan o tym powiedział, robiąc porównanie ze świętym Jerzym w Wenecji. Ale nie rozumiem, czemu „Anubis”.

— Jak wygląda ten, co jest przodkiem Babala? — spytał pan de Guermentes.

— Chciałbyś widzieć jego babalę — rzekła pani de Guermentes sucho, aby pokazać, że sama gardzi tym kalamburem. — Ja chciałabym ich zobaczyć wszystkich — dodała.

— Słuchaj, Karolu, zejdźmy, zanim powóz zajedzie — rzekł książę. — Złóżysz nam wizytę w sieni, bo żona nie da nam spokoju, póki nie zobaczy twojej fotografii. Ja jestem, szczerze mówiąc, mniej niecierpliwy — dodał z zadowoloną miną. — Ja jestem człowiek spokojny, ale ona gotowa nas uśmiercić.

— Jestem zupełnie twojego zdania, Błażeju — rzekła księżna. — Chodźmy do sieni, będziemy przynajmniej wiedzieli, czemu schodzimy z twojego gabinetu na dół, podczas gdy nie dowiemy się nigdy, czemu pochodzimy od hrabiów Brabancji.

— Powtarzałem ci sto razy, w jaki sposób ten tytuł dostał się do domu heskiego — rzekł książę (podczas gdyśmy szli obejrzeć fotografię, a ja myślałem o fotografiach, które mi Swann przywoził do Combray) — w drodze małżeństwa pewnego Brabanta w 1241 z córką ostatniego landgrafa Turynii i Hesji; tak że to raczej tytuł księcia heskiego wszedł w dom brabancki niż tytuł księcia brabanckiego w dom heski. Przypominasz sobie zresztą, że naszym zawołaniem było zawołanie diuków Brabantu: „Limburg temu, kto go zdobył”, aż do czasu, kiedyśmy zmienili herb Brabantów na herb Guermantów, w czym, uważam, żeśmy popełnili błąd, a przykład Gramontów nie zmieni mojego zdania...

— Ależ — odparła pani de Guermentes — skoro zdobył go król Belgów... Zresztą, belgijski następca tronu nazywa się księciem brabanckim.

— Ależ, kochanie, to, co mówisz, nie trzyma się kupy, fałszywe jest od podstaw. Wiesz równie dobrze jak ja, że istnieją tytuły pretendentów, które obowiązują nadal, jeżeli terytorium zajęte jest przez uzurpatora. Na przykład król hiszpański mieni się również księciem Brabancji, stwierdzając przez to stan posiadania mniej dawny od naszego, ale dawniejszy niż posiadanie króla Belgów. Nazywa się także księciem Burgundii, królem Indii Zachodnich i Wschodnich, księciem Mediolanu. Otóż nie posiada już Burgundii, Indii ani Brabancji, tak jak ani ja, ani książę heski nie posiadamy Brabancji. Król hiszpański mieni się mimo to królem Jerozolimy, cesarz Austrii również, a ani jeden, ani drugi nie ma Jerozolimy.

Książę przerwał na chwilę, zmieszany tym, że nazwa Jerozolimy mogła zakłopotać Swanna z przyczyny „spraw aktualnych”, ale ciągnął tym szybciej:

— To, co mówisz w tym wypadku, mogłabyś powiedzieć o wszystkim. Byliśmy książętami d’Aumale, które to księstwo przeszło równie prawidłowo do domu francuskiego jak Joinville i jak Chevreuse do domu d’Albert. Nie zgłaszamy rewindykacji co do tych tytułów jak co do tytułu margrabiego de Noirmoutiers, który był nasz i który przypadł całkiem prawidłowo domowi de La Trémoille; ale z tego, że niektóre cesje są ważne, nie wynika, aby ważne były wszystkie! Na przykład — rzekł książę, zwracając się do mnie — syn mojej szwagierki nosi tytuł księcia d’Agrigente, który my mamy po Joannie Szalonej⁸⁸³, jak La Trémoille tytuł księcia Tarentu. Otóż Napoleon dał ten tytuł księcia

⁸⁸²*Extincto draconis latrator Anubis* (łac.) — Zabójca smoka, ujadającego Anubisa; Swann łączy tu dwa nawiązania: do św. Jerzego, zabójcy smoka, którego wizerunki widnieją na obrazach Carpaccia we wnętrzu budynku Scuola di San Giorgio degli Schiavoni w Wenecji, oraz do określenia z *Eneidy* Wergiliusza (VIII 698): *omnigenumque deum monstra et latrator Anubis / contra Neptunum et Venerem contraque Minervam / tela tenent* (Przeróżnych bogów larwy i szczekacz zuchwały Anub w Neptuna, Wenus i Minerwę strzały mieczą; tłum. Tadeusz Karyłowski). Anubis to egipski bóg świata zmarłych, przedstawiany z głową szakala. Najprawdopodobniej Swann przywołuje tutaj skojarzenie z lektury książki Johna Ruskina *St Mark’s Rest* (1884), w której określenie z Wergiliusza pojawia się jako tytuł rozdziału omawiającego ewolucyjną ciągłość starożytnych motywów smoka oraz zabójcy potworów w postaci św. Teodora Tyrona, pierwszego patrona Wenecji, jako zabójcy smoka, co przeniesiono później na św. Jerzego. [przypis edytorski]

⁸⁸³*Joanna Szalona* (1479–1555) — córka Izabeli I Katolickiej i Ferdynanda II Katolickiego, nominalna królowa Kastylii (od 1504) i Aragonii (od 1516); zdradzała objawy niezrównoważenia psychicznego; po śmierci jej męża, Filipa I Pięknego, księcia Burgundii z rodu Habsburgów, została odsunięta od władzy i uwięziona, rządy w jej imieniu sprawował ojciec, następnie syn. [przypis edytorski]

Tarentu żołnierzowi, który mógł być tęgim wiarusem, ale w danym przedmiocie cesarz rozrządził tym, co do niego należało, bardziej jeszcze niż Napoleon III, kreując księcia de Montmorency, bo Périgord miał bodaj matkę Montmorency, podczas gdy Tarent Napoleona I miał jedynie życzenie Napoleona, żeby był Tarentem. Co nie przeszkodziło, że Chaix d'Est-Ange, robiąc aluzję do twojego wuja Condé, spytał cesarskiego prokuratora, czy znalazł tytuł księcia de Montmorency w rowach Vincennes.

— Słuchaj, Błażeju, nie mam nic przeciw temu, aby wędrować za tobą do rowów Vincennes, a nawet do Tarentu. I w związku z tym, mój drogi Lolo, oto co chciałam panu powiedzieć, gdy mi pan mówił o swoim świętym Jerzym z Wenecji. Mamy właśnie zamiar z Błażem spędzić przyszłą wiosnę we Włoszech i na Sycylii. Gdyby się pan tak wybrał z nami, pomyśl, Lolo, co by to była za różnica! Nie mówię już o przyjemności takiego towarzystwa, ale niech pan sobie wyobrazi, z tym wszystkim, co mi pan nieraz opowiadał o pamiątkach podboju normandzkiego i o pamiątkach starożytności, niech pan sobie wyobrazi, czym by się stała taka podróż odbyta z panem! Myślę, że nawet Błażej, co ja mówię, nawet Gilbert, skorzystaliby na tym, bo czuję, że zgoła pretensje do korony Neapolu i wszystkie te historie zainteresowałyby mnie, gdyby mi je pan tłumaczył w starych kościołach romańskich albo w miasteczkach wiszących u skały, jak na obrazach prymitywów. Ale musimy obejrzeć pańską fotografię. Rozwińcie — rzekła księżna do lokaja.

— Ależ, Oriano, nie dziś! Obejrzyj to jutro — błagał książe, który dawał mi już znaki przerażenia, widząc ogrom fotografii.

— Ale mnie bawi oglądać to z Lolem — rzekła księżna z uśmiechem zarazem sztucznie pożądlivym i sprytnie psychologicznym, bo pragnąc być miłą dla Swanna, mówiła o rozkoszy oglądania tej fotografii niby o przyjemności, z jaką chory zjadłby pomarańczę, lub tak jakby równocześnie układała eskapadę z przyjaciółmi i objaśniała biografię o swoich przynoszących jej zaszczyt gustach.

— No więc Swann przyjdzie do ciebie specjalnie — oświadczył książe, któremu żona wreszcie musiała ustąpić. — Spędzicie przed tym trzy godziny razem, jeżeli was to bawi — rzekł ironicznie. — Ale gdzie ty pomieścisz zabawkę tych rozmiarów?

— Ależ w sypialni; ja chcę to mieć przed oczami.

— A, tak, to doskonale: jeżeli w twojej sypialni, mam nadzieję nie ujrzyć tego nigdy — rzekł książe, nie uważając, że mimo woli odsłania niebacznie negatywny charakter swoich stosunków małżeńskich.

— Więc, proszę, odpakujesz to bardzo starannie — zaleciła pani de Guermantes służącemu (mnożyła upomnienia przez uprzejmość dla Swanna). — Staraj się nie zniszczyć koperty.

— Trzeba nam szanować nawet kopertę — rzekł do mnie książe, wznosząc ręce do nieba. — Ale wiesz, Swann — dodał — ja, który jestem tylko biednym, bardzo prozaicznym mężem, najbardziej w tym wszystkim podziwiam to, żeś ty mógł znaleźć kopertę podobnych rozmiarów. Gdzieś ty to wyszperał?

— To zakład fotograficzny; często miewa tego rodzaju wysyłki. Ale to chamy, bo widzę, że napisali tutaj po prostu „pani de Guermantes”, bez dodatków.

— Przebaczam im — rzekła z roztargnieniem księżna, po czym, uderzona nagle myślą, która ją rozweseliła, powściągnęła lekki uśmiech; ale wracając szybko do Swanna, spytała: — Więc co, nie mówi Lolo, czy pojedzie z nami do Włoch?

— Droga pani, sądzę, że to nie będzie możliwe.

— Ha, pani de Montmorency ma więcej szczęścia. Był pan z nią w Wenecji i Vicenzy. Powiedziała mi, że z panem widzi się to, czego by się nigdy nie widziało inaczej, o czym nikt nigdy nie mówił; że pan jej pokazał nawet wśród rzeczy znanych rzeczy niesłychane; że mogła w ten sposób zrozumieć szczegóły, koło których bez pana przeszłaby dwadzieścia razy, nie zauważywszy ich. Stanowczo, większe ma u pana łaski od nas... Weźmiesz tę ogromną kopertę z fotografii pana Swann — rzekła księżna do służącego — i złożysz ją, zagiętą, w moim imieniu, dziś o wpół do jedenastej wieczorem u pani hrabiny Molé.

Swann parsknął śmiechem.

— Chciałabym jednak wiedzieć — rzekła pani de Guermantes — w jaki sposób na dziesięć miesięcy naprzód może pan wiedzieć, że to będzie niemożliwe.

— Droga księżno, powiem pani, jeżeli pani na tym zależy, ale przede wszystkim widzi pani, że ja jestem bardzo chory.

— Tak, Lolo, uważam, że pan wcale niedobrze wygląda, nie jestem zadowolona z pańskiej cery; ale ja nie proszę pana o to za tydzień, proszę o to za dziesięć miesięcy. Przez dziesięć miesięcy ma się pan czas leczyć, wie pan.

W tej chwili lokaj przyszedł oznajmić, że powóz zajechał.

— No, Oriano, na koń — rzekł książę, który już od dobrej chwili parskał z niecierpliwości, tak jakby był sam jednym z koni, które czekały.

— No więc, w jednym słowie: przyczyna, która panu nie pozwoli pojechać do Włoch? — pytała księżna, wstając, aby się z nami pożegnać.

— Ależ, droga księżno, przyczyna ta, że wówczas od kilku miesięcy... nie będę żył. Zdaniem lekarzy, których radziłem się z końcem ubiegłego roku, choroba, na którą cierpię i która może zresztą zmieść mnie od razu, nie zostawia mi w każdym razie więcej niż trzy lub cztery miesiące życia, a jeszcze to jest maksimum — odparł Swann, uśmiechając się, podczas gdy lokaj otwierał szklane drzwi, aby przepuścić księżnę.

— Co mi pan opowiada! — wykrzyknęła księżna, zatrzymując się przez sekundę w drodze ku powozowi i podnosząc swoje piękne oczy, błękitne i melancholijne, ale pełne niepewności. Znalazłszy się po raz pierwszy w życiu między dwoma tak odmiennymi obowiązkami, jak wsiąść do karety, aby jechać na proszony obiad, a objawić współczucie człowiekowi, który ma umrzeć, nie znalazła w kodeksie światowym nic, co by jej wskazało właściwą drogę, i nie wiedząc, któremu z dwóch obowiązków ma dać pierwszeństwo, uznała za właściwe udać, że nie wierzy, aby druga alternatywa mogła istnieć, tak aby móc iść za pierwszą, wymagającą w tej chwili mniej wysiłku; po czym pomyślała, że najlepszym sposobem rozwiązania konfliktu jest zaprzeczyc mu.

— Żartuje pan — rzekła do Swanna.

— Byłby to żart w uroczym guście — odparł ironicznie Swann. — Nie wiem, po co to pani opowiadam, nie mówiłem pani o swojej chorobie dotąd. Ale ponieważ księżna mnie pytała, obecnie zaś mogę umrzeć lada dzień... Ale zwłaszcza nie chcę, aby się pani spóźniła, ma pani obiad — dodał Swann, ponieważ wiedział, że dla drugich własne ich światowe obowiązki więcej znaczą niż śmierć przyjaciela, i ponieważ wrodzona grzeczność kazała mu się postawić na ich miejscu. Ale księżnej znowu grzeczność pozwalała mglisto spostrzec, że ten obiad, na który szła, musi dla Swanna mniej znaczyć niż własna jego śmierć. Toteż, wciąż posuwając się w stronę powozu, pochyliła plecy, mówiąc:

— Niech się pan nie troszczy o ten obiad. To nie ma żadnego znaczenia!

Ale te słowa wprawiły w zły humor księcia, który wykrzyknął:

— Słuchaj, Oriano, zamiast się tak rozgadywać i oddawać się jeremiadom⁸⁸⁴ ze Swannem, pamiętaj, że pani de Saint-Euverte przestrzega tego, aby siadać do stołu punkt o ósmej. Trzebaż wiedzieć, czego ty chcesz; już dobrych pięć minut konie czekają. Przepraszam cię, Karolu — rzekł, obracając się do Swanna — ale jest już za dziesięć ósma. Oriana jest zawsze spóźniona, trzeba nam więcej niż pięć minut, aby dotrzeć do starej Saint-Euverte.

Pani de Guermantes skierowała się z determinacją do powozu, żegnając ostatni raz Swanna.

— Wie pan, pomówimy o tym jeszcze, nie wierzę ani słowa w to, co pan mówi; ale trzeba o tym pomówić. Przestraszono pana idiotycznie, niech pan przyjdzie na śniadanie w dniu, który pan sam oznaczy (dla pani de Guermantes wszystko streszczało się zawsze w śniadaniu) powie mi pan dzień i godzinę...

I podnosząc czerwoną spódnicę, postawiła nogę na stopniu. Miała wejść do karety, kiedy, widząc tę nogę, książę wykrzyknął straszliwym głosem:

— Oriano! Nieszczęsna, coś ty chciała zrobić! Nie zmieniłaś trzewików! Przy czerwonej sukni! Leć prędko włożyć czerwone pantofelki albo — rzekł do lokaja — ty powiedz prędko pokojowej księżnej pani, żeby tu zniosła czerwone pantofelki.

⁸⁸⁴jeremiada — narzekanie, biadanie; nazwa utworzona od imienia biblijnego proroka Jeremiasza, który wzywał do zmiany postawy i przewidywania nieszczęść, jakie mogły stąd wynikać. [przypis edytorski]

— Ależ, mój drogi — odparła z cicha księżna, zażenowana tym, że Swann, który wychodził ze mną, ale chciał przepuścić powóz, może usłyszeć — skoro jesteśmy spóźnieni...

— Ależ nie, mamy masę czasu. Jest dopiero za dziesięć ósma, nie potrzeba dziesięciu minut na to, aby zjechać do parku Monceau. A przy tym, co chcesz, choćby miało być wpół do dziewiątej, poczekają; nie możesz przecie jechać w czerwonej sukni i w czarnych pantofelkach. Zresztą nie będziemy ostatni, nie bój się, mają być Sassenage'owie, wiesz, że nigdy nie zjawiają się przed trzema kwadransami na dziewiątą⁸⁸⁵.

Księżna pobiegła do swego pokoju.

— No i co — rzekł do nas pan de Guermantes — biedni mężowie, dosyć z nich sobie świat nakpi, ale mają zalety. Beze mnie Oriana poszłaby na obiad w czarnych pantofelkach.

— To nie jest brzydkie — rzekł Swann — zauważyłem czarne pantofelki i nic mnie nie raziły.

— Nie będę ci przeczył — odparł książę — ale zawsze to bardziej elegancko, aby były tego samego koloru co suknia. A przy tym, bądź spokojny: ledwo przyjechałaby na miejsce, spostrzegłaby się i wtedy ja musiałbym dyrdać po czerwone pantofelki. Jadłbym obiad o dziewiątej. Do widzenia, dzieci — rzekł, odpychając nas lekko — idźcie sobie, zanim Oriana zjeździe. Nie dlatego aby nie lubiła widzieć was obu. Przeciwnie, dlatego że was zanadto lubi. Jeżeli was jeszcze tu zastanie, znów zacznie gadać, jest już bardzo zmęczona, przyjedzie na obiad: trup. A wreszcie, przyznam się wam szczerze, że umieram z głodu. Jadłem śniadanie ot, na chybicka, na wysiadanym z pociągu. Był wprawdzie ten przeklęty sos *bearnaise*, ale mimo to przyznam się, że nie gniewałbym się, ale to wcale a wcale, żeby już siąść do stołu. Za pięć ósma! Och, kobiety! Rozchorujemy się oboje na żołądek. Oriana jest o wiele mniej odporna, niżby ktoś przypuszczał.

Książę nie robił sobie najmniejszej ceremonii z tym, aby mówić o niedomaganiach żony i swoich własnych do umierającego; po prostu dlatego że go bardziej interesowały, wydawały mu się ważniejsze. Toteż jedynie przez dobre wychowanie i przez jowialność⁸⁸⁶, splawiwszy nas grzecznie, szeroko krzyknął stentorowym⁸⁸⁷ głosem z drzwiczek karety do Swanna, który był już na dziedzińcu:

— A ty, Swann, nie daj sobie wmawiać głupstw lekarzom, u diaska! To są osły. Jesteś zdrów jak tur. Pochowasz nas wszystkich!

⁸⁸⁵trzy kwadrans na dziewiątą (daw.) — dziś: trzy kwadransy po ósmej, ósma czterdzieści pięć. [przypis edytorski]

⁸⁸⁶jowialność — pogodne usposobienie, dobroduszość. [przypis edytorski]

⁸⁸⁷stentorowy głos — głos gromki, donośny jak głos Stentora, herolda opisanego w *Iliadzie*. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/strona-guermantes>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, Strona Guermantes, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1938; M. Proust, *Strona Guermantes*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Porozumienie Wydawców, Warszawa 2000.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Magdalena Szudziak, Paulina Choromańska, Tadeusz Boy-Żeleński, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0710-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.